wolnelektury.pl

Jean-Jacques Rousseau
(tłum. Tadeusz Boy-Żeleński)

Wyznania

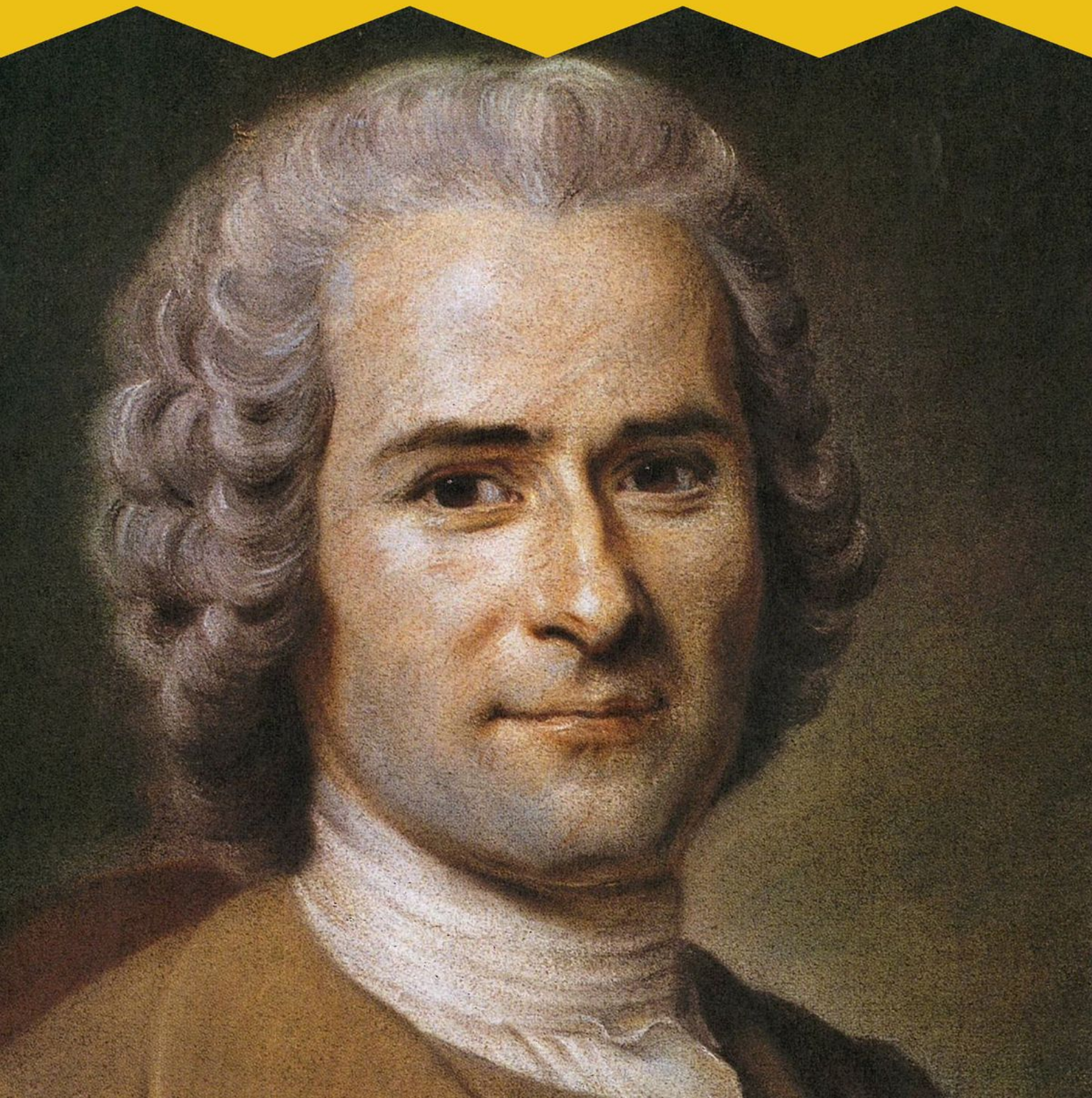

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JEAN-JACQUES ROUSSEAU

Wyznania

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

JEAN-JACQUES ROUSSEAU

Wyznania

TOM PIERWSZY

Od tłumacza

„Osobliwe zjawisko! Jedyne wprost w naszej literaturze, a nawet, jak sądzę, we wszystkich literaturach świata. Ten włóczęga, próżniak, samouk, który po trzydziestu latach majaczenia na jawie wpada jednego dnia w najświetniejsze społeczeństwo Paryża XVIII stulecia i sprawia w nim wrażenie Hurona[1], ale Hurona prawdziwego i brzemienniejszego w konsekwencje niż ów Wolterowski; występuje pierwszy raz jako autor, mając pod czterdziestkę; pisze, w ciągu dziesięciu lat i wśród cierpień fizycznych prawie nieustannych, trzy czy cztery książki — ani zbyt tęgie, ani zbyt bogate w myśli, ale przynoszące z sobą nowy sposób czucia i jakby jakiś dreszcz dotychczas nieznany; który później zanurza się w powolne szaleństwo — i który, dzięki tym kilku książkom, mocen jest przekształcić po śmierci literaturę, historię i zmienić koryto całego życia narodu, do którego sam nie należał — cóż za niesłychane wydarzenie!" Tym okrzykiem zdumienia rozpoczyna J. Lemaître swoje mistrzowskie studium o Janie Jakubie Rousseau.

Wydarzenie istotnie niesłychane! Bardziej może jeszcze, niż się na pozór wydaje. Oswoiliśmy się już z brzmieniem imienia Jana Jakuba, tak że dziś wystarcza wymówić to imię, aby w nas obudzić stokrotne echa i pogłosy. Gdyby jednak było możliwym odłączyć w sobie bezpośrednie odczucie od literackiej tradycji, *prestige'u* imion i świadomości ich wpływu i w ten sposób odczytać *Umowę społeczną*, *Nową Heloizę* i *Emila*, trudno byłoby zapewne odgadnąć, że jedno z tych dzieł było owym dynamitem, który w kilkanaście lat po śmierci autora eksplodował w wielkiej rewolucji, drugie stało się czarodziejskim źródłem, z którego miała trysnąć fala romantyzmu, trzecie sprawiło, iż pielgrzymki wiernych ciągnęły do azylu „filozofa", szukając u niego kabalistycznego[2] słowa, kreślącego wytyczne linie wychowania nie tylko ludzi, ale i całych narodów.

Wykazać, iż fundamentem myślowym tych epokowych dzieł była przeważnie niedorzeczność, jest to zadaniem łatwym i nieraz podejmowanym; co dowodzi tylko, że mechanizm ludzkości, zwłaszcza w jej przełomowych momentach, czym innym się rządzi niż prawidłami rozumu i gdzie indziej szuka swoich dźwigni. „Nowy sposób *czucia* i dreszcz dotychczas nieznany", potężne walory emocjonalne, jakie wniósł w społeczeństwo w epoce, gdzie na wierzchu królowała *myśl*, doprowadzona do precyzji niemal matematycznej, a pod nią, niby pod pokrywą, kipiały w dole nieświadome siebie, budzące się siły — oto tajemnica potęgi i wpływu Jana Jakuba, bez względu na to, czy go zechcemy uważać za geniusza, za szarlatana, czy za połączenie obydwóch.

O ile istota innych pisarzy francuskich XVIII stulecia zamyka się dla nas w dziełach, samo zaś życie ich jest dla ich zrozumienia mniej więcej obojętne, o tyle z Russem rzecz ma się niemal przeciwnie. Mimo całego ich rozgłosu dzieła jego spoczywają — powiedzmy otwarcie — w pyle zapomnienia. Można by je określić jako potężne butelki lejdejskie[3] doszczętnie rozbrojone. Tu i ówdzie zajrzy ktoś do nich z literackiej ciekawości, mało kto jednak poza badaczami literatury szuka w nich dzisiaj pokarmu dla myśli i wzruszeń. Ale pozostała wśród nich jedna książka, niesympatyczna, to pewna[4], nieraz po prostu wstrętna, ale na wskroś świeża, na wskroś czytelna i żywa: to ta, w której mówi nam o swoim *życiu*, i to w taki sposób, iż dotąd, po półtora wieku, prawdą pozostały pierwsze słowa, od których zaczyna swe *Wyznania*: „Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy".

Tak jest. Ani przed nim, ani po nim, odkąd istnieje literatura, nikt nie obnażył w ten sposób swojego wnętrza. Mimo iż właśnie wpływ Russa rozpętał istną orgię wystawia-

[1] *Huron* — członek plemienia Indian z Ameryki Płn.; w satyrycznej powieści Woltera prostolinijny Huron, tytułowy *Prostaczek*, przybywa do Francji, gdzie jego bezpośredni sposób interpretacji rzeczy i nieznajomość społeczeństwa europejskiego prowadzi do wielu nieporozumień i kłopotów, ukazujących negatywne strony instytucjonalnego Kościoła, nietolerancję religijną, hipokryzję, nadużycia władzy, dziwactwa i niesprawiedliwości społeczne. [przypis edytorski]

[2] *kabalistyczne słowo — kabała*: żydowska mistyczna filozofia religii w średniowieczu. Kabaliści stosowali w swych dociekaniach kombinacje liczb i liter, którym przypisywali głębsze znaczenie. [przypis edytorski]

[3] *butelka lejdejska* — urządzenie do gromadzenia ładunku elektrycznego w formie cylindrycznego szklanego naczynia pokrytego obustronnie folią metalową; pierwowzór kondensatora. [przypis edytorski]

[4] *pewna* (daw.) — skrócone: rzecz pewna; dziś: pewne. [przypis edytorski]

nia na pokaz swojego *ja*, „objaśniania" samego siebie, istną ekshibicję[5] najtajniejszych drgnień swej istoty, wypełniającą znaczną część literatury XIX wieku, nikt nie dorównał mu co do tego w bezwzględności, powiedzmy w bezwstydzie. Trzeba było tej chorobliwej, do ostatecznych granic wybujałej pychy, a zarazem tego jakiegoś żaru wewnętrznego, podnoszącego chwilami napięcie tonu *Wyznań* istotnie niemal do sakramentu spowiedzi, aby pisać w ten sposób o swoim życiu, z jakimś dziwnym przeświadczeniem, iż szczerość tych kart oczyszcza je z ich szpetoty, a zarazem z całą naiwnością i, można powiedzieć, samouctwem etycznym tego włóczęgi, samotnika i proroka, który wychował się i spędził młodość poza społeczeństwem, a zetknąwszy się z nim, nie wszedł w nie, ale je rozwalił.

Dziwne były koleje tego człowieka! Ojciec jego, skromny zegarmistrz w Genewie, człowiek uczuciowy i lekkomyślny, karmi dzieciaka, zaledwie umiejącego czytać, romansami, w których zatapia się wraz z nim do białego rana, oraz *Żywotami sławnych ludzi* Plutarcha. Zmuszony opuścić miasto, zaniedbuje stopniowo syna zupełnie; Rousseau dostaje się w końcu „do terminu", do rytownika, gdzie staje się skończonym urwiszem[6] i skąd jako szesnastoletni wyrostek ucieka, z obawy przed plagami. W czasie pobytu u majstra zdążył pochłonąć całą sąsiednią wypożyczalnię książek. Włóczy się po okolicy, nocuje u chłopów, w końcu, skierowany tam przez proboszcza z Confignon w Sabaudii, dostaje się w ręce agentki od „nawracań", dwudziestoośmioletniej i ładnej pani de Warens, osoby która staje się jego opatrznością. Z jej poręki wędruje do Turynu, gdzie przyjmuje katolicyzm w nadziei świetnego losu; ale po ceremonii kościelnej, znalazłszy się na ulicy z dwudziestoma frankami w kieszeni, widzi, iż nadzieje jego były czczą złudą. Włóczy się po mieście; w braku czego lepszego, zostaje lokajem; popisując się w sposobną porę znajomością łaciny i pewnym polorem, ściąga na siebie uwagę chlebodawców; otwierają się przed nim widoki przyszłości. Ale dziecinny kaprys i popęd do włóczęgi przemaga: Rousseau, w towarzystwie drugiego wyrostka, puszcza się znowu przez Alpy, zamierzając opędzać koszta życia pokazywaniem „bani Herona"[7]. Rozczarowawszy się rychło co do tej nadziei, Rousseau wraca do Annecy, do domu swej opiekunki, w pobliżu której wałkoni się aż do trzydziestego roku życia, próbując różnych zawodów, rzucając je, czytając z panią de Warens La Bruyere'a etc.[8], kształcąc się bezładnie, napadowo, najbardziej systematycznie stosunkowo uprawiając muzykę, którą zaczyna uważać za istotne powołanie swego życia. Pobyt ten przerywają zresztą nieustanne włóczęgi, stanowiące istny nałóg Russa. Rousseau w tym okresie to natura bardzo złożona, pełna kontrastów, zmysłowa i marząca, ufna i podejrzliwa, zamknięta w sobie i wylana[9], zdradzająca wybitnie cechy tego, co dziś się nazywa *moral insanity*[10], a żadnych śladów przyszłej potęgi. Z tym wszystkim musiał mieć dużo uroku i na ogół tzw. „szczęście do ludzi". W tych latach Rousseau robi wrażenie jakby somnambulika[11], który porusza się, działa nieprzytomnie, pod wpływem jakiejś tajemniczej siły. Znamiennym jest, że gdziekolwiek opiekunka próbuje go ulokować, zawsze zwracają jej dryblasa z nadmienieniem, iż jest zupełnie nie do użytku: los ten spotyka go nawet w seminarium duchownym, mimo poparcia samego biskupa.

Osiemnastoletni Rousseau ubóstwiał oczywiście swą młodą „mamusię" (takie było miano, jakim ją zawsze nazywał), która ze swej strony obdarzała tkliwszymi względami swego ogrodnika, statecznego i oddanego Klaudiusza Anet. Rousseau wiedział o tym stosunku; jakież było tedy jego zdumienie, kiedy jednego dnia „mamusia", kazawszy mu się przygotować do poważnej rozmowy, oświadczyła, iż pragnąc go uchronić od czyhających nań niebezpieczeństw, postanowiła sama wtajemniczyć go w misteria życia.

> Ów dzień, którego więcej lękałem się, niż oczekiwałem, nadszedł wreszcie. Znalazłem się pierwszy raz w ramionach kobiety, i kobiety, którą ubó-

[5] *ekshibicja* (z łac.) — obnażanie, wystawianie na pokaz. [przypis edytorski]

[6] *urwisz* (daw.) — urwis, łobuziak. [przypis edytorski]

[7] *bania Herona* — pierwowzór turbiny parowej wynaleziony przez Herona z Aleksandrii (ok. 10–ok. 70): urządzenie w postaci kuli z dwiema przeciwbieżnymi dyszami, zamocowanej na osi i podgrzewanej ogniem ze znajdującego się poniżej kotła. Rousseau wyruszył na wędrówkę z fontanną Herona, inną ciekawostką techniczną tego samego wynalazcy. [przypis edytorski]

[8] *etc.* (łac.) — skrót od *et caetera* odpowiadający polskiemu: „itd." lub „i in.". [przypis edytorski]

[9] *wylany* (daw.) — dziś: wylewny. [przypis edytorski]

[10] *moral insanity* (ang.) — obłęd moralny, hist. termin medyczny oznaczający patologiczny brak naturalnych odczuć, uczuć, skłonności i instynktów moralnych. [przypis edytorski]

[11] *somnambulik* — naukowe określenie lunatyka. [przypis edytorski]

stwiałem. Czy byłem szczęśliwy? Nie; poznałem rozkosz. Jakiś niezwyciężony smutek zatruwał mi jej urok. Miałem uczucie, jak gdybym spełnił kazirodztwo. Tuląc ją z uniesieniem w ramionach, skrapiałem równocześnie jej łono łzami. Co do niej, nie była ani smutna, ani upojona; była serdeczna i spokojna...

...Tak wytworzyła się między nami trojgiem spójnia, jakiej przykładu nie było może na ziemi. Wszystkie nasze chęci, troski, wprost nasze serca były wspólne; nic nie istniało poza granicami tego małego kółka. Przyzwyczajenie życia razem i życia wyłącznie z sobą stało się tak silne, że kiedy w godzinie posiłku brakło jednego z trojga albo też przybył ktoś czwarty, wszystko było popsute. Mimo naszych poszczególnych związków sam na sam były nam mniej słodkie niż wspólne zebrania...

Sielanka ta trwa jakiś czas; kres kładzie jej śmierć Klaudiusza. Następca jego w sercu i gospodarstwie pani de Warens, niejaki Wintzenried, natura gruba[12], czynna, energiczna, nie nadaje się do tego tercetu, mimo iż w zasadzie nie stawia mu opozycji: stopniowo zagarnia panią de Warens dla siebie; Rousseau zaczyna czuć, że w tym domu, coraz bardziej zresztą rozprzęgającym się finansowo, nie ma już dlań miejsca. Pakuje swoje książki i mając jako talizman wymyślony przez siebie nowy system pisania nut, puszcza się do Paryża.

Ta część książki, kreśląca dzieje młodzieńczych lat pisarza, jest nieoszacowanym komentarzem do jego życia i twórczości. Dopiero czytając te *Wyznania*, zaczyna się rozumieć Russa i potęgę jego wpływu. W nich znajdujemy najlepsze oświetlenie, a poniekąd wytłumaczenie „osobliwego zjawiska", nad którym tak się zdumiewa Lemaître. W tych pamiętnikach, pisanych, mimo teatralnego nieraz gestu i powieściowego *arrangement*[13], z bezwzględną szczerością (nie prawdomównością — to rzecz inna) możemy śledzić krok po kroku zadziwiającą historię *ducha*, który w najbardziej niesprzyjających warunkach z niestrudzonym wysiłkiem zmaga się z sobą i łamie, pręży się i drąży sobie drogę ku światłu, aż wreszcie będzie mógł trysnąć wysoko kipiącym gajzerem. Rozumiemy tajemniczą potęgę oddziaływania myśli Russa — tak bardzo nieproporcjonalną nieraz do ich wartości — gdy śledzimy, etap po etapie, ich genezę i źródło: gdy widzimy, jak żadna z nich nie jest produktem literackiej kombinacji i gry myślowej, lecz każda płynie z głębi jego istoty, urabia się w męce życia, żywi się krwią serdeczną i kupiona jest tą krwią i życiem.

Dawny lokaj pani de Vercellis inne akcenty znajdzie, mówiąc o nierównościach społecznych, niż najbardziej rewolucyjny nawet filozof paryskich salonów. Jedenastoletni kochanek małej Goton, dla którego miłość była przez całe życie jedynie trawieniem się nigdy nienasyconej i smaganej chorobliwymi popędami wyobraźni, narzuci, niemal na wiek cały, Europie swą psychopatię, przekazując ją w dziedzictwie swej progeniturze[14] romantycznej. I jeszcze jeden rys, ważniejszy może od innych. W epoce, gdy wszystkie fundamenty, na których wspiera się ład społeczeństwa i życie wewnętrzne jednostki, rysują się i walą, Rousseau, jedyny ze współczesnej plejady filozofów francuskich, całą niemal swą twórczość poświęca kwestii etyki; a etyka ta również nie jest dla niego teoretyczną spekulacją, lecz sprawą najintegralniej związaną z życiem. Tę etykę, te zasady moralne buduje sobie sam, kamień po kamieniu; dzięki niej dźwiga się z nizin, które jakże łatwo mogły się dlań stać szczeblami ostatecznego upadku! To „samouctwo", jak je nazwaliśmy, etyczne nadaje moralności Russa owe szczególne cechy, nad którymi nieraz przyjdzie się zdumiewać czytelnikowi *Wyznań*, i czyni tę moralność niejednokrotnie więcej niż wątpliwą. Niemniej jednak kwestia etyki szukanej w samym sobie, kwestia samorzutnego odrodzenia moralnego własną mocą — jest sprawą wypełniającą niemal całą duchową istotę pisarza i człowieka. Jakoż niebawem, w epoce rewolucji, teatralna frazeologia o „cnocie", która zastąpi podstawy religii, wyraźnie będzie nosić piętno autora *Nowej Heloizy*.

[12] *gruby* — tu: pospolity, prostacki. [przypis edytorski]
[13] *arrangement* (fr.) — urządzenie czegoś, kompozycja, układ. [przypis edytorski]
[14] *progenitura* (z łac.) — potomstwo. [przypis edytorski]

Wspomniałem, iż prawdomówność *Wyznań* Russa nie zawsze idzie równym krokiem z jego szczerością. Nie mogło być zresztą inaczej w pamiętniku pisanym w kilkadziesiąt lat po przeżytych wypadkach, wyłącznie ze wspomnień, i to przez człowieka obdarzonego wyobraźnią Jana Jakuba! Niezmiernie ciekawą jest rzeczą konfrontacja *Wyznań* z tym, co nam obiektywnie wiadomo o życiu pisarza i stosunkach otaczających go osób[15]. Ale już czytając same *Wyznania*, trudno się oprzeć w niektórych miejscach wrażeniu mistyfikacji, której ulega w pierwszym rzędzie sam autor. Do takich należy owa słynna kradzież kawałka znoszonej wstążki, z której to kradzieży Rousseau czyni taką tragedię, ba, największą zbrodnię swego życia („Uniosłem z sobą niestarte wspomnienie zbrodni i nieznośny ciężar wyrzutów, które po upływie czterdziestu lat gniotą jeszcze moje sumienie i których gorycz nie tylko nie słabnie, ale zaostrza się, w miarę jak zbliżam się ku starości…"), a która do tego stopnia, zdaje się, była drobnostką, iż jego chlebodawca mimo dwuznacznego rezultatu śledztwa sam z siebie najgoręcej zajął się Russem i umieścił go w znajomym domu. Słowem, *Wyznania* Russa, zwłaszcza ich część pierwsza, są przedziwnym romansem o jego życiu, kreślonym — mimo iż w późnym już wieku — z nieporównaną świeżością i kolorem. Jak każdy prawdziwy romans, mają swą bohaterkę: jest nią owa pani de Warens, której imię Rousseau unieśmiertelnił tak, jak gdyby ona sama nie istniała nigdy na ziemi, lecz była jedynie tworem fantazji pisarza. Rousseau w swym szale spowiedzi nie ogranicza się do własnej osoby, ale z równym zapałem spowiada się z błędów wszystkich tych, których losy postawiły na drodze jego życia. W pierwszej linii ofiarą tych wynurzeń pada pani de Warens: Rousseau nie oszczędza jej ani jednej słabości, ani jednej tajemnicy kobiecego serca, ciągle pisząc jej najpłomienniejszą apologię[16]; i istotnie jest to może najświetniejszym dowodem geniuszu pisarskiego Russa, że czytając te karty, tak dalece wcielamy się w horyzont jego uczuć i pojęć, iż bodaj ani razu nie dopuszczamy wrażenia, iż życie prywatne tej wybornej osoby z punktu widzenia oficjalnej moralności przedstawia się więcej niż dwuznacznie[17]. Mówię umyślnie „oficjalnej", bo zresztą te karty książki Russa poświęcone pani de Warens aż dyszą moralnością. Trudno się nieraz wstrzymać od uśmiechu, czytając opis idyllicznych[18] scen, jakie rozgrywały się między nim, panią de Warens i jej wiernym Klaudiuszem. „Jednym z dowodów zalet charakteru tej uroczej kobiety — wykrzykuje Rousseau głosem apostoła — jest to, iż wszyscy, którzy ją kochali, kochali się między sobą. Zazdrość, współzawodnictwo nawet ustępowało dominującemu uczuciu, jakie ona budziła, i nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek z tych, którzy ją otaczali, odnosił się z nieprzyjaźnią do drugiego. Niechaj czytelnik niniejszej książki zawiesi na chwilę lekturę przy tej pochwale i jeśli zastanowiwszy się, znajdzie w myśli drugą kobietę, o której mógłby powiedzieć to samo, niech złoży w jej ręce spokój swego życia, choćby to była zresztą[19] najostatniejsza z ladacznic". Prawda, że Rousseau był całe życie człowiekiem fizycznie chorym i życiowo nieodpowiedzialnym, stąd stosunek jego do ludzi, a zwłaszcza do kobiet musiał być odmienny, niż bywa zazwyczaj. Ale niech kto spróbuje prostymi słowami streścić dzieje jego współżycia z panią de Warens i przymierzyć do przeciętnych ludzkich pojęć: jak ten eksperyment wypadnie! A co czyni z tego Rousseau! Oto potęga sugestywna geniuszu.

[15] *konfrontacja* Wyznań *z tym, co nam obiektywnie wiadomo o życiu pisarza…* — najświetniejszą taką konfrontacją są studia Fagueta: *Vie de Rousseau* i *Les amies de Rousseau*. Oprócz tych dwóch książek, ogłosił Faguet równocześnie w „roku jubileuszowym" (1912) jeszcze trzy inne: *Rousseau artiste*, *Rousseau penseur* i *Rousseau contre Molière*. [przypis tłumacza]

[16] *apologia* — obrona (a zazwyczaj jednocześnie pochwała) jakiejś osoby lub poglądu. [przypis edytorski]

[17] *życie prywatne tej wybornej osoby z punktu widzenia oficjalnej moralności przedstawia się więcej niż dwuznacznie* — osoba i życie pani de Warens pozostały do dziś dnia w wielu szczegółach zagadkowe. Co się tyczy pozycji jej w stosunku do dworu Sardynii, być może, iż owa pensja wypłacana jej całe życie była rekompensatą jakichś usług oddawanych w pośledniejszych misjach politycznych. Stawiano także wprost hipotezę szpiegostwa. Być może jednak obowiązki te ograniczały się do propagandy religijnej i do „nawróceń" w rodzaju Russa. Nieubłagany skalpel wiedzy próbował również i na życiu wewnętrznym pani de Warens swego ostrza. Temperament jej, „lodowaty", jak zapewnia Rousseau, stał się przedmiotem dociekań historyczno-literackich, nastrojonych na tym punkcie raczej sceptycznie. Poważna nauka skłania się do przypuszczenia, iż była to, przeciwnie, osoba o zmysłach nader wymagających, a skazana z powodu swej drażliwej, na wpół „duchownej" sytuacji, na ścisłe przestrzeganie pozorów, ograniczyła swoje życie uczuciowe do gromadki zaufanych domowników. Bądź co bądź, kwestia jest jeszcze otwarta i pani de Warens z ostatecznym zwierzeniem tej delikatnej tajemnicy czeka stęskniona na swego Hösicka. [przypis tłumacza]

[18] *idylliczny* — pogodny, spokojny, upływający w atmosferze szczęścia. [przypis edytorski]

[19] *zresztą* (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

Jest jeszcze jedno magiczne słowo, którym karmić się miały później całe pokolenia, a które jest niemal w zupełności wynalazkiem Jana Jakuba. To — *natura*. Molier, pisząc niespełna setkę lat przed nim prolog do *Chorego z urojenia*, dodaje w scenariuszu następujące objaśnienie: „Scena przedstawia okolicę wiejską, niemniej jednak bardzo powabną". Jakaż przepaść dzieli tę epokę od pokolenia opętanych *naturą* romantyków! To ten włóczęga, ten łazik, gotowy zawsze rzucić chleb, karierę, spokój dla rozkoszy przewędrowania pieszo o głodzie i chłodzie przez Alpy, zarazi ludzkość swym szaleństwem:

> Życie włóczęgi to najmilsza dla mnie forma życia. Wędrować pieszo w piękną pogodę, piękną okolicą, nie spiesząc się, mając wszelako jako kres drogi przedmiot pełen uroku — oto ze wszystkich sposobów życia ten, który najbardziej przypada mi do smaku...
>
> ...Z rozkoszą przypominam sobie noc spędzoną poza miastem, przy drodze ciągnącej się wzdłuż Rodanu czy Saony, nie pamiętam już tego bliżej. Ogrody, wznoszące się tarasowato, opuszczały się łagodnie ku drodze. Było tego dnia bardzo gorąco. Wieczór był uroczy; rosa zwilżyła przywiędłą trawę; ani śladu wiatru, noc spokojna; powietrze świeże, a nie chłodne; słońce, schowane już za horyzontem, zostawiło na niebie czerwone opary, których odbicie barwiło wodę różowym kolorem; drzewa dawały schronienie mnóstwu słowików, które odpowiadały sobie wzajem. Błądziłem po alejach w jakimś upojeniu, otwierając zmysły i serce tym słodkim wrażeniom i wzdychając jedynie z żalu, iż muszę się nimi napawać samotny. Pochłonięty słodkim marzeniem, przechadzałem się do późnej nocy, nie zdając sobie sprawy, iż jestem zmęczony. Wreszcie dało mi się to uczuć. Ułożyłem się rozkosznie na płycie jakiejś niszy czy framugi wgłębionej w murze terasy. Baldachim łóżka tworzyły wierzchołki drzew; słowik śpiewał tuż nad moją głową; usnąłem kołysany śpiewem. Sen był mi słodki, obudzenie bardziej jeszcze. Był jasny dzień. Oczy moje, otwierając się, ujrzały wodę, zieloność, cudowny krajobraz. Wstałem, otrząsłem się, uczułem głód. Ruszyłem wesoło ku miastu...

Rousseau otwiera oczy współczesnych na przyrodę; co więcej, zadzierzguje związki między nią a sercem człowieka, każe jej współżyć z jego życiem, śmiać się z jego radością, płakać z jego smutkiem. Przyroda przemawia do tej muzycznej organizacji całą gamą tonów; dusza tego „dzikiego", którego pierwszych trzydzieści lat było wpółsenną — mimo iż ruchliwą — wegetacją, drga zgodnie z jej pulsem. I to zostanie mu na całe życie[20]. Daremnie będzie się silił przedzierzgnąć w paryżanina, w salonowca: natura ciągnie go, dosłownie, jak wilka do lasu: „Nie umiałem nigdy — pisze w swoich wspomnieniach z Pustelni — pisać i myśleć swobodnie inaczej, jak tylko *sub dio*[21]. Liczyłem na to, iż las Montmorency, dochodzący nieomal do moich wrót, będzie mi odtąd gabinetem do pracy". I nie wystarcza mu na to sztuczna, wystrzyżona, wyperfumowana „natura", w jakiej jego mecenasi szukają letnich wywczasów; nie, jemu trzeba prawdziwej, chłopskiej wsi:

> Byłem tak znudzony salonami, wodotryskami, strzyżonymi trawnikami, klombami i jeszcze bardziej nudnymi gospodarzami tego wszystkiego; tak przesycony broszurami, klawikordem, tryktrakiem, „węzełkami", mizernymi dowcipkami, mdłym mizdrzeniem się, lekkimi opowiastkami i ciężkimi kolacjami, że kiedy zerknąłem przelotnie na prosty krzak głogu, na chaszcze, spichlerz, łąkę; kiedy przejeżdżając przez jakieś sioło, zaciągnąłem się parą dobrego omleta z trybulką; kiedy słyszałem z daleka prostą nutę piosenki pasterskiej — słałem do diabła i róż i falbanki, i ambrę...

Te słowa zamykają i grzebią dwuwiekowy blisko okres kultury francuskiej; genialny cham, dopuszczony do biesiady wytwornych państwa, napluł im w ich *blanc-manger*[22] tak

[20] *którego pierwszych trzydzieści lat było wpółsenną […] wegetacją […] I to zostanie mu na całe życie* — za negatywny, ale wymowny dowód, jak bezwzględnie szczerym jest Rousseau w swoich wrażeniach, może posłużyć fakt, iż opisując kilkunastumiesięczny pobyt w Wenecji, ani jednego słowa nie poświęca pięknościom tej „królowej mórz". Któryż z nowoczesnych literatów pozwoliłby sobie na to zaniedbanie! [przypis tłumacza]

[21] *sub dio* (łac.) — pod gołym niebem. [przypis edytorski]

[22] *blanc-manger* (fr.) — blamanż: danie deserowe, rodzaj galaretki ze słodzonego mleka zagęszczonego żelatyną i przyprawionego migdałami. [przypis edytorski]

solennie, że stało się niepodobne do jedzenia. Krzykiem generacji następującej bezpośrednio po nim, niezdolnej jeszcze do stworzenia nowych form, ale do szczętu zbrzydzonej dawnymi, będą *Listy panny de Lespinasse*.

Z końcem pierwszej części *Wyznań* rozstaliśmy się z Janem Jakubem Rousseau w chwili, gdy w wieku bliskim lat trzydziestu opuszcza ostatecznie wpółmacierzyńskie objęcia pani de Warens[23], aby odtąd już samoistnie szukać sobie drogi życia na szerokim świecie. Przybywa do Paryża (1741), aby przedstawić Akademii projekt nowego klucza muzycznego; klucz okazuje się nieszczególny, ale bądź co bądź otwiera mu drzwi do wielu wpływowych domów i pomaga zadzierzgnąć cenne na przyszłość stosunki. Dzięki nim muzyk Rousseau zostaje nagle... sekretarzem ambasadora francuskiego w Wenecji. Nieporozumienia z tym dostojnikiem, jeszcze mniej kompetentnym do wykonywania swego urzędu niż jego sekretarz, wypędzają Russa z powrotem do Paryża, gdzie dalej uprawia z coraz większym rozgłosem muzykę, sekretarzuje w znacznym domu finansisty, pisuje liche komedyjki oraz artykuły dla *Encyklopedii*, z której redaktorami wchodzi w zażyłość. Zawiązuje wolne stadło[24] z nieokrzesaną dziewczyną, Teresą Levasseur i ma z nią pięcioro dzieci, które bez wyjątku oddaje do domu podrzutków. Przypadkowo wpada mu w ręce konkursowe zagadnienie Akademii w Dijon: „Czy rozwój sztuk i nauk przyczynił się do skażenia czy oczyszczenia obyczajów?" i pewnego ranka budzi się najgłośniejszym człowiekiem w Paryżu. „Wrażenie niebotyczne, porywające — donosi mu Diderot po wydaniu drukiem rozprawy — nie było przykładu podobnego tryumfu".

Rozprawa ta, pamflet przeciwko cywilizacji, rozstrzyga nie tylko o dalszej twórczości, ale i o życiu pisarza. Rousseau nigdy nie umiał się dostroić do tonu „dobrego towarzystwa", chwyta tedy tę sposobność, aby uczynić ze swoich braków cnotę, dociąga praktykę do teorii, porzuca puder, szpadę i żaboty[25], staje się rodzajem paryskiego Diogenesa[26]:

> Byłem w istocie przeobrażony; przyjaciele, znajomi nie poznawali mnie. Nie byłem już tym człowiekiem nieśmiałym, raczej wstydliwym niż skromnym, który nie umiał się ani pokazać, ani odezwać; którego żartobliwe słówko zbijało z tropu, spojrzenie kobiety przyprawiało o rumieniec. Śmiały, dumny, nieustraszony, wnosiłem wszędzie pewność siebie tym bardziej nieugiętą, iż była prosta i mieszkająca raczej w mej duszy niż w postawie. Wzgarda, jaką głębokie rozmyślanie obudziło we mnie dla obyczajów, zasad i przesądów epoki, czyniła mnie nieczułym na szyderstwa tych, którzy je wyznawali: dławiłem ich mizerne koncepty moimi sentencjami, tak jak się gniecie owada w palcach. Jaka odmiana! Cały Paryż powtarzał ostre i gryzące sarkazmy tegoż samego człowieka, który dwa lata przedtem i dziesięć lat potem niezdolny był znaleźć myśli, którą chciał wyrazić, ani słowa, którego chciał użyć...

Na prośby gorącej wielbicielki, żony finansisty, pani d'Épinay, Rousseau wraz ze swą towarzyszką i jej matką przenosi się do zbudowanej dlań Pustelni. W pierwszym upojeniu tym rozkosznym pobytem czuje się przepełniony miłością bez przedmiotu, która wciela się w koncepcję *Nowej Heloizy*. Niebawem pierwsza spotkana kobieta ucieleśnia dlań tę miłość w realnej postaci i staje się równocześnie natchnieniem poczętego dzieła. Osobą tą była hrabina d'Houdetot, kuzynka pani d'Épinay, a kochanka nieobecnego wówczas Saint-Lamberta. I znowuż powtarza się w życiu Jana Jakuba tak ulubiony mu tercet, tym razem w odmiennej postaci:

---

[23] *opuszcza ostatecznie wpółmacierzyńskie objęcia pani de Warens* — omawiając pierwszą część *Wyznań*, wyraziłem przekonanie, iż pani de Warens oczekuje jeszcze swego biografa. Istotnie, niemal równocześnie pojawiła się obszerna jej monografia (Benedetto: *Madame de Warens*, Paris 1914), oparta na nowych dokumentach i przynosząca wiele światła w kwestii tej dość zagadkowej egzystencji, której — jak można już na pewno orzec — podstawą był rodzaj agentury mającej na celu połów dusz protestanckich i nawracanie ich, przeważnie za pomocą materialnych usług i nadziei, na katolicyzm. [przypis tłumacza]

[24] *stadło* (daw.) — małżeństwo, związek małżeński; para małżeńska. [przypis edytorski]

[25] *żabot* — ozdoba z marszczonej tkaniny umieszczana pod szyją na przodzie bluzki lub koszuli. [przypis edytorski]

[26] *Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) — filozof gr.; głosił, że dla osiągnięcia szczęścia należy maksymalnie ograniczyć własne potrzeby i uniezależnić się od dóbr materialnych; według legendy sam prowadził ascetyczne życie, mieszkając w beczce. [przypis edytorski]

> ...niesłusznie mówię „miłość niepodzielana"; ukochana moja podzielała ją; miłość była równa z obu stron, mimo iż nie była wzajemna. Byliśmy pijani miłością oboje: ona dla swego kochanka, ja dla niej; westchnienia nasze, nasze rozkoszne łzy zlewały się razem. Byliśmy wzajem dla siebie parą tkliwych powierników, uczucia nasze były tak pokrewne, iż niepodobnym było, aby się nie schodziły poniekąd. Wszelako w samej pełni tego niebezpiecznego odurzenia ona nigdy nie zapomniała się ani na chwilę; ja zaś zaklinam się, przysięgam, iż jeżeli, oszaleniony niekiedy zmysłami, kusiłem się przywieść ją do niewierności, nigdy tego naprawdę nie pragnąłem...

Miłość ta, która dla jego partnerki była, zdaje się, kwestią próżnostki kobiecej i zapełnienia czasu, wciągnęła Jana Jakuba w sieć intryg i nieporozumień kobiecych i literackich, w następstwie których rozgoryczony, chory opuszcza Pustelnię. Osiada w Montmorency, żyje tam kilka lat spokojnie (1757–1762), aż do chwili gdy ogłosiwszy drukiem *Umowę społeczną* i *Emila* i uchodząc przed pościgiem władz, jaki nań ściągnęły te dzieła, chroni się do Szwajcarii. Opis tułaczki po ziemi helweckiej[27], która okazała się nader niegościnną dla swego wielkiego syna, zamyka drugą część *Wyznań*.

O ile pierwsza część, poświęcona wrażeniom i marzeniom młodości, mniej lub więcej upoetyzowanym, mogła się obejść bez szczególnego komentarza, o tyle ta druga, w której Jan Jakub wchodzi w styczność z życiem rzeczywistym, opisuje je zaś pod kątem stanowczo rozwijającej się w nim manii prześladowczej, wymaga kilku słów objaśnienia. Docieczenie prawdy w sprawach tyczących życia Russa i ujęcie ich w trafnym oświetleniu nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Proces pisarza, który on sam rozpoczął swoim samooskarżeniem i apologią zarazem, daleki jest od ukończenia. Mało jest artystów i myślicieli, których by sława — za życia i po śmierci — przechodziła takie falowania i wywoływała tak jaskrawe kontrowersje. Za życia, o ile Rousseau miał, to prawda, namiętnych wrogów (nie tylu i nie w tym stopniu jak sam mniema), o tyle miał i fanatycznych wielbicieli. Kult ten spotęgował się jeszcze w pierwszym okresie po śmierci pisarza, kiedy wiele jego idei czy szaleństw zaczęło się wcielać w czyn, a płomienna jego dialektyka stała się pierwowzorem republikańskiej wymowy. W miarę jednak jak z biegiem lat aktualność ideowa Russa zaczyna przechodzić do historii, a dzieło jego trwa nadal już w dziedzinie literatury, bierze górę, odnośnie do tego autora, coraz większa reakcja, oparta przede wszystkim na łatwo dającej się wyczuć żywiołowej antypatii.

Przyczyn do tego jest wiele. Po pierwsze, jego *Wyznania*. Obnażywszy się tak bezprzykładnie za całą ludzkość, Rousseau ponosi konsekwencję tego gestu, który mimo wszystkich zapewnień autora powabny ani sympatyczny nie jest. Po wtóre, typ jego umysłowości. Rousseau nie jest rasowym pisarzem francuskim: piśmiennictwo francuskie nie może się mimo wszystko powstrzymać nieraz od niechętnego żachnięcia wobec konieczności przyjęcia go w poczet swych najpierwszych luminarzy. Nie jest rasowym Francuzem nie tylko przez swe pochodzenie, przez swój szwajcarski protestantyzm, przez fanatyzm niezłagodzony owym wrodzonym sceptyzmem[28], którego miły uśmiech stanowi tak znamienną cechę francuskiej kultury, ale także przez absolutny brak smaku i tego, co nie da się wyrazić w innym języku, a co Francuz nazywa *esprit*[29]. Russa można było, w danym stanie dusz i umysłów, uwielbiać jako myśliciela, wyznawać jako proroka — niepodobna[30] go prawie lubić jako pisarza.

Dalej, jego legenda. Istnieją co prawda dwie legendy Jana Jakuba, biegnące w ciągu lat równolegle obok siebie lub też kolejno, na przemian, biorące górę. Jedna, która wyposaża „obywatela genewskiego" we wszystkie cnoty stoiczne[31], rzymskie i arkadyjskie[32]:

[27] *helwecki* — szwajcarski; od nazwy staroż. celtyckiego plemienia Helwetów, którzy zamieszkiwali tereny dzisiejszej Szwajcarii. [przypis edytorski]

[28] *sceptyzm* — dziś popr.: sceptycyzm. [przypis edytorski]

[29] *esprit* (fr.) — myśl, dowcip, zdolność, duch. [przypis edytorski]

[30] *niepodobna* (daw.) — nie można, nie da się, jest niemożliwe. [przypis edytorski]

[31] *stoiczny* — dziś: stoicki; zalecany przez staroż. filoz. szkołę stoików: charakteryzujący się umiarem, opanowaniem i spokojem wewnętrznym niezależnie od sytuacji życiowych. [przypis edytorski]

[32] *arkadyjski* — mający cechy sentymentalnej Arkadii, pasterskiej krainy beztroskiej szczęśliwości. [przypis edytorski]

to ta, która utrzymywała się wśród „maluczkich" i która służyła za kanwę panegirystom[33] jego z czasów rewolucji. Podstawę do drugiej legendy stanowią — można powiedzieć — wszystkie ujemne fakty, z których spowiada się z takim zapałem w *Wyznaniach*, ale zabarwione tak, jak się mogły przedstawiać chłodnemu i nieżyczliwemu spojrzeniu jego wrogów. Gorzej jeszcze! Utarło się przez długi czas w krytyce literackiej wierzyć słowom Russa wówczas, gdy się oskarża, uważać je za kłamstwo tam, gdzie się uniewinnia. Niemało przyczyniły się do tego tzw. *Pamiętniki pani d'Épinay*, ogłoszone drukiem z początkiem XIX wieku i przez długi czas brane w rachubę przez wybitnych nawet krytyków — między innymi Sainte-Beuve'a — jako poważny dokument odnośnie do biografii Russa[34]. W ogóle nie mogło ujść bezkarnie pamięci pośmiertnej Jana Jakuba to, iż za życia poróżnił się, można powiedzieć, ze wszystkim, co stanowiło elitę świata piśmienniczego i umysłowego Francji. Historia tych nieporozumień, u ich samego źródła, wypełnia znaczną część drugiej połowy *Wyznań*; akta tych zajść zbadane są przez krytykę literacką tak dokładnie chyba, jak w ogóle możebne[35]: każde słowo, każdy wiersz korespondencji przepatrzono, zestawiono i roztrząśnięto na wszystkie sposoby. Mimo to wyłaniają się wciąż nowe interpretacje; spór ten jest pod wieloma względami do dziś nierozjaśniony i jak sądzę, zawsze pozostanie ciemny, gdyż pobudki jego kryją się w nieprzeniknionych głębiach serca ludzkiego; a trudniejszym jeszcze do rozświetlenia czyni go ta okoliczność, iż w wydarzeniach tych splatają się czynniki doniosłe i wielkie z nieskończenie błahymi i małymi; walki idei mających świat odrodzić — obok światowych intryżek kobiecych lub jeszcze innych elementów, wręcz gminnych i niskich. W ogóle cała ta dziwna sprawa ma kilka planów i przekrojów; spróbuję je w paru słowach choć zaznaczyć.

Po pierwsze, stosunek Russa do tzw. „filozofów". Stronnictwo „encyklopedystów", zmuszone do walki na kilka frontów, stanowi w ówczesnym paryskim światku niby sektę niezmiernie solidarną, zazdrosną o swój wpływ, w najwyższym stopniu despotyczną, i — w zakresie swoich pojęć — pozbawioną tolerancji. Rousseau, w początkach luźno z nimi związany, jest dla nich zawsze człowiekiem niepewnym: instynktem czują w nim drzemiącą zagadkową siłę, a nie wiedzą, w którym kierunku się obróci[36]. Chcieliby mieć nań wpływ (dopóki Rousseau mieszkał w Paryżu, Diderot miał nań wpływ bardzo znaczny), trzymać go pod ręką; stąd owo niezadowolenie z emigracji Russa do Pustelni i dość dwuznaczne zabiegi celem ściągnięcia go z powrotem. Przy tym ten obieżyświat, ten samouk, ten muzykus, ten „chłystek" (jak stale nazywa Russa baron d'Holbach, amfitrion[37] *Encyklopedii*) posiada jakiś dziwny, niepojęty dar, iż wszystko, co czyni, pociąga ku niemu oczy wszystkich i połączone jest stale z niebywałym rozgłosem! Jest niby muzykiem; mozoli się nad jakimś utopijnym systemem nutowym; naraz wystrzela konkursową broszurą najeżoną paradoksami: zdobywa nagrodę Akademii, broszura jest rozchwytywana, stanowi wypadek dnia, uświetniony jeszcze szermierką dialektyczną z królem polskim. I znowuż, po tym pasowaniu na „filozofa", zamiast użytecznie pracować w szeregach encyklopedystów, którzy gotowi są przyjąć go za swego, pisze operę: wystawiają ją na dworze, pani de Pompadour się zachwyca, król chce widzieć autora, dać mu pensję ze swej szkatuły — ten

[33]*panegirysta* — osoba przesadnie wychwalająca kogoś; twórca panegiryków, tj. utworów pochwalnych. [przypis edytorski]

[34]Pamiętniki pani d'Épinay *[…] przez długi czas brane w rachubę przez wybitnych nawet krytyków* — nowsza krytyka coraz bardziej podkopywała autentyczność i znaczenie tych „pamiętników"; w ostatnich zaś latach cenne rewelacje panny Macdonald (*La legende de Jean-Jacqnes Rousseau*, Paris 1909, przekład z angielskiego) obaliły doszczętnie wszelką ich wartość jako dokumentu. Panna M. znalazła rękopis tych rzekomych pamiętników, z którego niezbicie wynika, iż jest to po prostu swobodnie przez panią d'Épinay pisany romans w formie pamiętnika, i że, co więcej, po zerwaniu stosunków z Russem pani d'Épinay, po części pod dyktandem Diderota i Grimma, przerobiła go całkowicie, obciążając w tej nowej redakcji Russa mnóstwem tendencyjnych rysów, sprzecznych z pierwotnym tekstem. Pamiętniki te, zanim dostały się do druku, uległy jeszcze nowym przeróbkom. *Pamiętniki pani d'Épinay* miały być w tej wersji niewątpliwie odpowiedzią na *Wyznania*, które Rousseau od dawna zapowiadał, za życia jeszcze odczytywał w paryskich kołach, a które po śmierci jego obiegały w odpisach, zanim je wreszcie ogłoszono drukiem. [przypis tłumacza]

[35]*możebne* — dziś: możliwe. [przypis edytorski]

[36]*nie wiedzą, w którym kierunku się obróci* — istotnie, obróciła się przeciwko nim: Chateaubriand, wcielający w siebie reakcję romantyczno-chrześcijańską przeciw racjonalizmowi XVIII w., jest synem duchowym Russa. [przypis tłumacza]

[37]*amfitrion* (daw.) — gościnny pan domu, gospodarz wydający ucztę a. fundator przyjęcia; od imienia króla Tyrynsu i Teb w mit. gr. [przypis edytorski]

szaleniec ją odtrąca. Zaledwie zdobywszy znów ostrogi w muzyce francuskiej, występuje z pamfletem odmawiającym tejże francuskiej muzyce racji istnienia: znów hałas, wrzawa nie do opisania, powódź polemik, broszur. Więcej jeszcze: nowo kreowany filozof wprowadza swoje dzikie maksymy w czyn: dziwacznym przebraniem, trybem życia i diogenicznie gburowatymi odpowiedziami ściąga na swe poddasze cały wielki świat Paryża. Doprawdy, ten wieczny, wciąż niespodziewany Jan Jakub zaczyna być niecierpliwiący!

Z drugiej strony, światek kobiecy. Znanym jest zamiłowanie modnych pań do obłaskawiania genialnych „niedźwiedzi" (*mon ours* — tytuł powtarzający się często w listach świetnych przyjaciółek Jana Jakuba); to wdzięczne zadanie wzięła na siebie pani d'Épinay, robiąc zresztą na tym, odnośnie do swoich światowych i literackich aspiracji, znakomity interes[38]. I otóż ten prawdziwy niedźwiedź, ten niewdzięcznik, pomieszczony przez nią w zbudowanej dlań umyślnie Pustelni, ośmiela się zakochać — w kim innym! Ależ to policzek w oczach Europy! I w kim jeszcze? W znienawidzonej bratowej, w pani d'Houdetot! Wśród tego światka operuje Grimm, przybysz niemiecki, karierowicz, człowiek zdolny, niepospolitej wytrwałości i sprytu, chłodny i bezwzględny. Ten Grimm zna się na ludziach i wie, jak ich użyć: przyjaźń Diderota starczy mu na całe życie za kopalnię myśli i sądów krytycznych; Rousseau, skoro mu raz dopomógł dobrodusznie do wejścia w „piękny świat", nie zda mu się już na nic, mógłby go jedynie zaćmiewać na terenie, na którym się wspólnie obracają. Wprowadzony przez Russa do domu pani d'Épinay, zostawszy jej kochankiem, Grimm nie ma ochoty znosić w jej pobliżu człowieka mającego prawa dawniejszej przyjaźni, a przerastającego go o ileż głów talentem i urokiem! Odtąd programem Grimma — świadomym czy instynktownym — będzie zatruć „pustelnikowi" życie na dworze pani domu tak, aby musiał opuścić swą pustelnię. To wszystko są motywy dość ludzkie i zrozumiałe, nie potrzeba szukać poza nimi „spisku", w jaki później, z perspektywy momentu pisania *Wyznań*, Rousseau wierzył tak niezłomnie.

Istotnie, ciekawym jest, czytając *Wyznania*, patrzeć, jak w tej sieci, usnutej, może bez świadomej intencji działających osób, z tylu rozmaitych nitek, miota się biedny genialny niedźwiadek, pomiędzy dwuznaczną a wścibską przyjaźnią Diderota, chłodną zawiścią Grimma, draśniętą ambicją pani d'Épinay, głupotą Teresy, interesownością starej Levasseur, niefrasobliwą i nieodpowiedzialną zalotnością *mondaine'y*[39] na świeżym powietrzu, pani d'Houdetot! Jak śle na wszystkie strony epistoły[40], w których geniusz jego pisarski utrwala w nieśmiertelność błahostki przeważnie niewarte wzruszenia ramion! Aby zrozumieć stan psychiczny Russa w tej całej przygodzie, trzeba pamiętać (obok momentów uwydatnionych w *Wyznaniach*), że ten, do lat trzydziestu, „mały" pani de Warens był również — prawie od samych początków — zepsutym dzieckiem Paryża, przyzwyczajonym do bezgranicznej pobłażliwości; w ostatnich zaś czasach był bożyszczem wielkiego świata, obcałowywanym w zamian za swe grubiaństwa przez najwytworniejsze damy. Czytając *Wyznania*, w których Rousseau mówi aż do przesytu o różnych swoich fizycznych przypadłościach i dolegliwościach, jak również ciągle kładzie nacisk na swą ciężkość, niezręczność towarzyską itd., można by mieć wrażenie, jakoby stanowił zjawisko raczej odpychające. Tymczasem zarówno świadectwa współczesne, jak i sam fakt przyciągania do siebie coraz to nowych entuzjastów i przyjaciół, zwłaszcza wśród kobiet, każą wnosić, iż osoba Jana Jakuba musiała wywierać — zwłaszcza w początkach znajomości — ten sam potężny urok, który tak czarował w jego pismach.

Przeznaczeniem Russa było stać się na każdym polu odrodzicielem swej epoki. Podobnie jak otworzył oczy ludziom na naturę, tak samo przypomniał istnienie *miłości* temu światu, który przez nadużycie rozkoszy i dowcipu zatracił niemal jej pojęcie. *Nowa Heloiza* stała się uderzeniem różdżki w jałową opokę tych serc przeżytych i wyschłych; z tych podkreślonych barwiczką oczu trysnął strumień łez i piękne panie pozwoliły im płynąć swobodnie, zapomniawszy na chwilę o bruzdach, jakie znaczą w pokładzie różu i bieli-

[38] *robiąc zresztą na tym, odnośnie do swoich światowych i literackich aspiracji, znakomity interes* — zabawnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie kiedy Rousseau, na wpół wypędzony przez nią, opuszczał Pustelnię, pani d'Epinay przyjmowała w Genewie deputację obywateli, składających jej hołd za opiekę i przyjaźń okazane ich wielkiemu ziomkowi. Pani d'Houdetot też doczekała się apoteozy: rewolucja otoczyła ją nimbem, jako uwielbianą Muzę Jana Jakuba, i ten nimb pozostał jej do końca życia. [przypis tłumacza]

[39] *mondaine* (fr.) — kobieta światowa. [przypis edytorski]

[40] *epistoła* — daw.: list; przen. długi, nudny list. [przypis edytorski]

dła. Znowuż odwołam się do *Listów panny de Lespinasse* jako do wyrazu tej cudownej przemiany.

Notując to odrodzenie, które w konsekwencjach przerodziło się nieraz w bardzo podniosły idealizm, nie zapominajmy, iż źródłem, z którego ono wyszło, jest najpłomienniejsza zmysłowość, jaką zna literatura, i *nic tylko zmysłowość*; zmysłowość człowieka, którego całe życie było daremnym pragnieniem kobiety i u którego rozpędowe koło twórczości obracało się wyłącznie poruszane tym motorem. Oto znamienne w swojej szczerości wyznanie tego apostoła „powrotu do natury".

> Zresztą, szwaczki, pokojówki, panny sklepowe nie kusiły mnie wcale; trzeba mi było wykwintnych panien. Każdy ma swoje fantazje; moja była zawsze taka i nie godzę się bynajmniej z Horacym na tym punkcie. To, co mnie w tym pociąga wszelako, to wcale nie próżnostka pozycji społecznej i stanu; nie, to lepiej utrzymana płeć, ładniejsze ręce, wdzięczniejszy strój, polor[41] wykwintu i schludności w całej osobie, więcej smaku w sposobie bycia i wysławiania się, suknie z cieńszej materii i lepiej skrojone, zgrabniejszy trzewiczek, wstążki, koronki, lepiej utrefione włosy. Dałbym zawsze pierwszeństwo mniej ładnej, byleby miała to wszystko. Sam uważam to wyróżnienie za śmieszne, ale serce nie pyta mnie w tym o zdanie...

Zmysłom tego wyrafinowanego plebejusza potrzeba wielkich dam, od których dzieli go własna nieśmiałość i niezgrabstwo, dzielą zapory społeczne, towarzyskie: *ergo*[42], ustrój społeczeństwa jest zły, trzeba je przebudować lub zburzyć! Na razie zaś, zostawiając troskę o tę przebudowę przyszłym pokoleniom, schronić się w lesie i zmusić wielkie damy, aby przyszły go tam szukać; i to mu się udało.

A posłuchajmy tego ustępu, w którym kreśli „największą, jedyną" miłość swego życia: w bezwzględnej swojej szczerości Rousseau zdaje się nie przeczuwać nawet, aby miłość, poza dręczącym go wciąż problematem nasycenia zmysłów, miała jakąkolwiek inną stronę:

> I niechaj nikt sobie nie wyobraża, że zmysły zostawiały mnie przy niej w spokoju, jak koło Teresy i mamusi. Powiedziałem już, tym razem była to miłość, i to miłość w całym jej napięciu i całym szaleństwie. Nie będę opisywał ani wzruszeń, ani drżenia, ani palpitacji, ani konwulsyjnych skurczów, ani omdleń serca, których doświadczałem nieustannie: można będzie sądzić o mym stanie z wrażenia, jakie sam jej obraz czynił na mnie. Wspomniałem, iż z Pustelni do Eaubonne był spory kawałek drogi; szedłem zazwyczaj przez wzgórza Andilly, które są urocze. Idąc, marzyłem o tej, którą miałem ujrzeć, o serdecznym powitaniu, jakie mi zgotuje, o pocałunku, który mnie czeka za przybyciem. Sam ten pocałunek, ten złowrogi pocałunek, zanim go nawet otrzymałem, rozpalał mi krew do tego stopnia, iż w głowie mi się mąciło, ćmiło w oczach, drżące kolana nie mogły mnie utrzymać; byłem zmuszony zatrzymać się, usiąść; cały organizm znajdował się w niepojętym bezładzie; bliski byłem omdlenia.

Czytając drugą część *Wyznań*, a zwłaszcza jej epizod z Pustelni, o wielu jeszcze rzeczach trzeba by pamiętać, aby w należytym świetle zrozumieć ton tych korespondencji, tych ciągłych deklamacji o cnocie, przyjaźni etc. Warunki epoki, w której toczą się owe wypadki, były bardzo różne od tych, w których my żyjemy. „Przyjaźń", „przyjaciel", te słowa miały w XVIII wieku inną wagę niż ta, którą przyznajemy im dzisiaj, gdy nowożytne warunki istnienia zapewniają każdemu obywatelowi bodaj minimum uregulowanej egzystencji, opartej przede wszystkim na sobie samym, na prawie i na instytucjach. Jeżeli mimo wszystko i dziś tzw. stosunki tak znaczną odgrywają rolę, cóż dopiero było w epoce, gdzie wszystko stało[43] dowolnością i względami osobistymi? W społeczeństwie przy tym tak towarzyskim jak francuskie, paryskie raczej, człowiek ważył tylko tyle, ilu i jakich miał przyjaciół: bez tego wszystkie drogi miał zamknięte lub w najwyższym stopniu utrudnione; co więcej, jeśli bodaj trochę szedł na przebój lub miał sposobność się

[41] *polor* — dobre maniery, ogłada towarzyska. [przypis edytorski]
[42] *ergo* (łac.) — więc, zatem. [przypis edytorski]
[43] *stać czymś* (daw.) — istnieć dzięki czemuś; opierać się na czymś. [przypis edytorski]

narazić, każdy go mógł pozbawić czci, mienia i wolności[44]. Stąd strata przyjaciół, osamotnienie równało się niemal śmierci cywilnej. Dlatego może tyle i tak ustawicznie słyszy się wówczas o przyjaźni; niezależnie od pobudek sercowych każdy, zwłaszcza wśród świata literackiego, robi przegląd swoich „przyjaciół" z takim uczuciem, z jakim dziś przegląda się w kasie ogniotrwałej pewne walory i police[45] asekuracyjne.

Toż samo owo nieustanne moralizowanie, te deklamacje o cnocie, zasadach, jakich pełne jest ówczesne piśmiennictwo, trzeba brać również z perspektywy epoki. Filozofia XVIII wieku podkopywała zdecydowanie kryteria moralne religii; o ile tedy nie zamierzała zepchnąć ludzkości do poziomu bydląt, poczuwała się do obowiązku stworzenia nowych, własnych kryteriów. To świeżo na własny użytek stwarzane „świeckie sumienie" musiało być z natury rzeczy drażliwsze i bardziej agresywne. Podczas gdy człowiek oparty o tradycje religijne (choćby tylko formalnie) zniesie doskonale w swoim postępowaniu, nawet nie zastanawiając się nad tym, uczynki będące w jaskrawej sprzeczności z wszelką elementarną etyką, „filozof", będący sam dla siebie trybunałem etycznym i zmuszony samoistnie rozwiązywać każdą kwestię, ciągle znajduje się pod wysokim ciśnieniem moralnym. Jeżeli mu to nie przeszkadza czynić źle, zmusza go co najmniej do stworzenia w każdym dotyczącym wypadku odpowiedniej *ad hoc*[46] frazeologii.

Jako przykład w tej mierze może służyć sposób, w jaki Rousseau odnosi się w *Wyznaniach* do sprawy niezmiernie tutaj ważnej, do postąpienia z własnymi dziećmi.

Była to paląca kwestia jego życia; kwestia stanowiąca tak namacalną sprzeczność z jego dziełem i grożąca taką plamą na jego pamięci, iż być może dla jej poruszenia podjął on w ogóle spisanie swych zwierzeń. Nie jest bowiem prawdą, jakoby tajemnice te zdradził z własnego popędu; był to niewątpliwie fakt szeroko znany, który wrogowie wygrywali przeciw niemu (*Sentiments des citoyens*), i jeśli pisze o nim, to dla oświetlenia go na swój sposób. Kto wie, jeżeli Rousseau tak wydobywa na jaw wszystkie swoje błędy, niegodne nieraz wspomnienia, jeżeli z taką emfazą obwinia się, jako o „największą zbrodnię swego życia", o głupią historię ze skradzionym kawałkiem wstążki (Część pierwsza), kto wie, czy to wszystko, u tego pierwszorzędnego znawcy psychologii czytelników, nie ma instynktownie na celu przygotowania tła i nastroju, w którym by owo jego naprawdę ciężkie wyznanie dało się przemycić. Niechaj czytelnik zważy dokładnie wszystkie ustępy, gdzie Rousseau mówi o pobudkach swej decyzji: cóż za sofistyka[47] w przedstawieniu sprawy! Ile sposobów usprawiedliwienia, z których jeden stoi w sprzeczności z drugim!

Istotnie, mimo całego mistrzostwa Jana Jakuba w szermowaniu paradoksem, tych pięcioro dzieci, konsekwentnie i z lekkim sercem zaprzepaszczonych w domu podrzutków, to fakt niełatwy do przełknięcia dla tego samozwańczego nauczyciela „cnoty", dla autora *Emila*, w którym narzuca się światu jako prawodawca wychowania, dla apostoła macierzyństwa, który wymową swą sprawił, iż piękne panie każą przynosić sobie niemowlęta do loży Opery, aby je tam karmić publicznie. Ciekawy to przyczynek do problemu, do jakiego stopnia u Russa linia talentu pociągnęła za sobą linię życia[48] i podniosła go na wyżyny, do których charakter jego i poziom moralny zupełnie był nieprzygotowany. „To karzeł na szczudłach" — powiada o nim w chwili podrażnienia pani d'Épinay; mimo to

[44] *każdy go mógł pozbawić czci, mienia i wolności* — jeden przykład wśród tysiąca: młody literat Clément za krytykę literacką arcynudnego poematu Saint-Lamberta (tego samego, który odgrywa taką rolę w *Wyznaniach*) *Pory roku*, został dzięki osobistym stosunkom autora osadzony w więzieniu Fort-l'Evéque, a broszura jego wstrzymana w obiegu. Clément wprawdzie rychło wydostał się z więzienia, jednakże z pewnością nie siłą swej niewinności, ale znowuż dzięki zabiegom przyjaciół. Bezpośrednia przyczyna uwięzienia Diderota była niemal jeszcze błahsza. [przypis tłumacza]

[45] *polica* (daw.) — polisa (lm: polisy), dokument potwierdzający zawarcie umowy ubezpieczeniowej. [przypis edytorski]

[46] *ad hoc* (łac.) — doraźnie, bez wcześniejszego przygotowania. [przypis edytorski]

[47] *sofistyka* — rozmyślne używanie nieuczciwej argumentacji w celu udowodnienia fałszywej tezy. [przypis edytorski]

[48] *Ciekawy to przyczynek do problemu, do jakiego stopnia u Russa linia talentu pociągnęła za sobą linię życia* — nie mniej ciekawym jest ustęp w *Wyznaniach*, opowiadający (Część druga), jak jego niedomaganie pęcherza stało się główną przyczyną, iż uchylił się od audiencji u króla i przyjęcia pensji królewskiej, a w następstwie pchnęło go w objęcia ideologii republikańskiej. Zważywszy olbrzymi wpływ Russa na kształtowanie się umysłowości współczesnej, a zwłaszcza jej dynamikę, można sobie bez cienia żartu zadać pytanie, czy gdyby pęcherz jego był zdrowszy, czy rewolucja francuska byłaby przyszła do skutku, a w każdym razie, czy w tej samej formie? [przypis tłumacza]

w tym powiedzeniu jest tylko część prawdy, i może nie najistotniejsza — reszta kryje się w przepastnych mrokach istoty twórczości i geniuszu...

Wydarzenia, które spowodowały rozstanie się Jana Jakuba z Pustelnią, wywarły niezmiernie doniosły a opłakany wpływ na dalsze życie pisarza. Postradał od jednego zamachu wszystko, co mu było drogie; sam chory, odcięty od ludzi, przeczuwał — i wiedział zresztą z doniesień uczynnych bajczarzy — że zatarg jego, komentowany najnieprzychylniej, jest legendą całego Paryża, że krążą tam z rąk do rąk własne jego listy nieopatrznie pisane w chwili podniecenia, list Diderota do Grimma, kreślący w strasznych barwach wrażenia ostatniej bytności „filozofa" w Pustelni etc. Można przypuszczać, że i Rousseau nie odmawiał sobie satysfakcji oświetlenia po swojemu aktów sprawy; miał po temu sposobność tym bardziej, ile że niebawem osamotnienie jego zmieniło się w otoczenie świetniejsze, niż kiedykolwiek mógł zamarzyć. Serdeczna przyjaźń i opieka, jaką otoczyli go marszałkostwo de Luxembourg, a za ich pośrednictwem hrabina de Boufflers, książę Conti, sam kwiat dworskiego towarzystwa, musiała być dla pani d'Épinay i jej koterii niemiłą niespodzianką. Znając drażliwość i pobudliwość wyobraźni Russa, znając jego skłonność do wynurzeń, nie mogli mieć złudzeń, aby ich nadto oszczędzał. Jeszcze bardziej niepokojąco musiał podziałać zamiar spisania pamiętników, który to zamiar musiał wcześnie już dojść do ich uszu, choćby ze wzmianki w liście Russa do Duclosa. O ile tedy wypadki w Pustelni, w których Rousseau, patrząc z późniejszej perspektywy, dopatrywał się tajemniczego „spisku", były, jak się zdaje, po prostu szeregiem nieporozumień, których główne źródło tkwiło w pospolitych antypatiach literackich i zazdrostkach kobiecych, a przede wszystkim w stanie nerwowym samego pisarza, o tyle po zerwaniu tak pani d'Épinay, jak i grupa „filozofów" nieustannie, w obawie o własną skórę, obserwują Jana Jakuba, starają się wszędzie zneutralizować jego wpływ, odwrócić odeń ucho i wiarę ludzi z nim sympatyzujących — słowem, obwarować się przed jego niebezpieczną urazą. A trzeba pamiętać, że jak już zaznaczyłem, koteria, której Rousseau się naraził, składała się z najbardziej wybitnych, ruchliwych i solidarnie trzymających się ludzi, których wpływy sięgały daleko poza granice Francji[49]. Rousseau czuje to. Czuje, że gdziekolwiek się ruszy, niewidzialna ręka stara się odwrócić odeń sympatie, stara się go pomniejszyć i okryć śmiesznością. Widzi zapewne więcej, niż było w istocie: widzi celową intrygę wrogów w wypadkach, które w znacznej części były naturalnym następstwem jego śmiałych i nowatorskich wystąpień[50]. Wygnanie jego po *Emilu*, tułaczka po Szwajcarii, orgia pamfletów i oszczerstw jakie mu w niej towarzyszą, wreszcie epizod „kamienowania" w Motiers

[49] *koteria, której Rousseau się naraził, składała się z najbardziej wybitnych, ruchliwych i solidarnie trzymających się ludzi, których wpływy sięgały daleko poza granice Francji* — niemałą siłą w ręku Grimma i jego koterii była „Correspondance littéraire", rękopiśmienny dwutygodnik, który tenże, z współpracownictwem Diderota, pani d'Épinay, a w ostatnich latach Meistera, wydawał przez 40 lat blisko na użytek większości koronowanych głów i co najznamienitszych dostojników Europy. W piśmie tym, doskonale redagowanym, otrzymywali wysoko położeni abonenci przegląd najświeższych wiadomości paryskich, wolnych tu od knebla cenzury, ile że „Correspondance" była tajna, abonowana i przesyłana pod ścisłą dyskrecją. Było tam i sprawozdanie z ostatniej premiery, i plotka towarzyska, nieraz bardzo drastyczna, i wyciąg wszystkich, nawet najbłahszych nowości literackich, i wreszcie swobodne omówienie wypadków dnia. Łatwo zrozumieć, iż odnośnie do kształtowania opinii dziennik taki stanowił siłę, z którą dzisiejsza prasa, jawna, dająca możność dyskusji i polemiki i zresztą neutralizująca się wzajem, ani w przybliżeniu równać się nie może. Nie potrzeba dodawać, że „Correspondance" była oficjalnym organem koterii „filozofów" i że wszystkie hymny pochwalne — z wielką wszelako miarą i smakiem — są w niej na cześć świeczników *Encyklopedii*. Panna Macdonald, partyzantka teorii „spisku", zestawia ustępy „Correspondance" dotyczące Russa i dopatruje się w nich konsekwentnego działania celem zgubienia pisarza w opinii Europy, oraz denuncjowania go niejako, właśnie w epoce, kiedy uchodząc z Francji, w tejże Europie musi szukać gościny. Faguet nie godzi się z tym zapatrywaniem i raczej skłonny jest dziwić się umiarkowanemu tonowi Grimma odnośnie do Jana Jakuba. Dla własnej ciekawości przewertowałem w kilkunastu tomach „Correspondance" wszystko, co w niej dotyczy osoby i pism Russa; oczywiście, życzliwym stanowisko Grimma nie jest, ale jakież mogło być inne w stosunku do pisarza, który mu był antypatyczny ideowo, a wrogi osobiście? Jakiegoś planowo wytyczonego działania wręcz na zgubę pisarza trudno mi się było dopatrzyć w tych ustępach, które zresztą rozproszone są na przestrzeni szeregu lat. [przypis tłumacza]

[50] *w znacznej części były naturalnym następstwem jego śmiałych i nowatorskich wystąpień* — trzeba mieć na uwadze, że Rousseau był w swojej epoce jedynym pisarzem poruszającym doniosłe kwestie filozoficzne i społeczne, który *podpisywał* swoje utwory. Było utartym zwyczajem, iż autor ogłaszał w takim razie swe pisma bezimiennie, a nawet w razie potrzeby wręcz ich się wypierał, na co władze patrzały chętnym okiem, ponieważ ta cicha umowa uwalniała je od niepopularnych represji. Mimo takich ostrożności tak Wolter, jak i Diderot i tylu innych zapoznali się w swoim czasie z więzieniem. Zagadkową jedynie w całej sprawie wydania *Emila* jest nieopatrzność pana de Malesherbes, człowieka, którego charakter stoi tak wysoko, iż nawet Rousseau, mimo tak fatalnego obrotu sprawy, nigdy ani na chwilę nie obrzucił go najlżejszym podejrzeniem. Zdaje się, traf-

— mniej groźny zresztą, jak się zdaje, w rzeczywistości, niż go przedstawia wyważona z trybów wyobraźnia pisarza — wszystko to stanowczo mąci jego umysł, zmieniając wrodzoną podejrzliwość w kliniczną już manię prześladowczą z szeregiem towarzyszących objawów, jak halucynacje słuchowe etc.

W którymś z listów swoich w tej sprawie Diderot pisze: „Gdyby Jan Jakub miał mieć słuszność, zbyt wielu uczciwych ludzi znalazłoby się pod pręgierzem". W istocie. Toteż w odnoszeniu się francuskiej krytyki literackiej do tej zawiłej sprawy czuć wyraźną niechęć do wyciągnięcia konsekwencji, które by przyznawały słuszność niektórym bodaj domysłom i podejrzeniom Russa, zwłaszcza co się tyczy Diderota. W zakłopotaniu swoim i trudności pogodzenia niektórych faktów znalazła sobie taż krytyka innego kozła ofiarnego: Teresę Levasseur. Trzeba przyznać, że już co biedna Teresa „prasę" ma fatalną. „Panna Levasseur była nieokrzesana, głupia, zazdrosna, obmowna, zgryźliwa, kłótliwa, podejrzliwa, swarliwa, sprzeczna, kłamliwa, i opanowana przez rodzinę, która była gniazdem hultajów. Wszyscy współcześni Russa zgodni są na tym punkcie"[51]. Oto próbka tonu, w jakim odnoszą się do niej biografowie pisarza, w szczególności nowoczesna krytyka. We wszystkim, co jest niejasnego w zatargach Russa z otoczeniem, mówi się: Teresa. Teresa podsycała, przez głupotę i zawiść, jego chorobliwą podejrzliwość, Teresa poróżniła go z przyjaciółmi, Teresa całe życie otwierała jego listy (jeden z ważnych punktów w urojeniach Russa), Teresa wmawiała weń wszędzie, gdzie jej się pobyt dłużył, że otoczenie i ludność dybie na bezpieczeństwo Jana Jakuba. Teresa zdenuncjowała go przed Saint-Lambertem, obciążając równocześnie przed nim samym panią d'Épinay fałszywymi zeznaniami; Teresa wreszcie powtarzała mu kredensowe plotki odnośnie do owego słynnego wyjazdu do Genewy, stając się tym samym bezpośrednią przyczyną dramaciku w Pustelni. Niechże i tak będzie. Tyle jest pewne, że Teresa, jako niepiśmienna, najwierniej uniosła swą tajemnicę do grobu.

Kto w stosunku do Jana Jakuba odegrał wprost szpetną rolę, to Wolter, najmniej przez Russa, mimo jego podejrzliwości, o to podejrzewany. Jeżeli chodzi o okres — jedyny w życiu pisarza, kiedy cierpiał istotne prześladowanie — okres tułaczki po Szwajcarii — to niewątpliwie Wolter umaczał w niejednym ręce; a miał je długie, i przez wpływ swej olbrzymiej korespondencji ze wszystkim niemal, co było możnego i oświeconego w Europie, i przez ulotne, jadowite i potwarcze pamflety[52], jakich w tej sprawie nie wahał się bezimiennie wypuszczać. Najohydniejsze pisma (jak np. *Sentiments des citoyens, Lettre au docteur Pansophe*), o które Rousseau pomawiał zupełnie kogo innego, pochodziły — jak dziś niewątpliwie stwierdzonym zostało — z „fabryki" Wolterowskiej. W cynizmie swoim Wolter nie wzdragał się przybrać maski świętoszka, aby domagać się wręcz gardła pisarza, który targnął się na — dogmaty religii! Dla Woltera był Rousseau zawsze owym „chłystkiem", który ośmielił się podzielić z nim zachwyt i podziw Francji i Europy; co więcej, odważył się go zaczepić (niewinnie, co prawda, i z większą emfazą niż dokuczliwością) w tym, co stanowiło największą pasję jego życia, tj. teatr[53]. Jakaż kara byłaby za wielką dla takiego zuchwalca!

Pozostaje mi w kilku słowach skreślić koleje Russa od chwili, gdy urywa się wątek jego *Wyznań*. Opuściwszy wysepkę Saint-Pierre, udał się do Strasburga, gdzie, przyjęty nader życzliwie, pozostał przez jakiś czas, zastanawiając się nad wyborem schronienia. Wahał się głównie między Berlinem, gdzie byłby go rad widział Fryderyk II, a Anglią. Od kilku już lat znakomity filozof i historyk angielski, Dawid Hume, gorący wielbiciel Russa, starał się przez kobiety, których był bożyszczem, ściągnąć wygnańca do Anglii,

nym jest tu wyrażone przez Russa przypuszczenie związku odnośnego stanowiska parlamentu w sprawie *Emila* z przypadającym na tę chwilę wygnaniem zakonu jezuitów. [przypis tłumacza]

[51] *Panna Levasseur była nieokrzesana, głupia, zazdrosna…* — Faguet, *Vie de Rousseau*. [przypis tłumacza]

[52] *pamflet* — utwór będący ostrą demaskatorską krytyką osoby, grupy lub instytucji, zwykle złośliwy, często anonimowy. [przypis edytorski]

[53] *co stanowiło największą pasję jego życia, tj. teatr* — Wolter, mieszkający wówczas w Délices pod Genewą, marzył o tym, aby w tym mieście stworzyć teatr, którego brak czynił mu pobyt z dala od Paryża dolegliwym. Za jego inspiracją, a może i z jego współpracownictwem, d'Alembert, opracowując dla *Encyklopedii* artykuł pt. *Genewa*, wyraził w dłuższym ustępie żal, iż miasto tak oświecone nie posiada teatru. W odpowiedzi Rousseau wystosował słynny *List do d'Alemberta o widowiskach*, w którym broni „czystości obyczajów" swego rodzinnego miasta przed niepowołanymi nowatorami. List ten, będący równocześnie pamfletem przeciw teatrowi i wytaczający proces tej instytucji w osobie najświetniejszego jej przedstawiciela, Moliera, zyskał olbrzymi rozgłos i wywołał polemikę liczącą blisko 400 pism i broszur. [przypis tłumacza]

ofiarując mu swoje mieszkanie. W tym duchu nakłaniała Russa pani de Boufflers już wówczas, gdy opuszczał Francję. Zgodził się wreszcie i przejechawszy przez Paryż, gdzie zatrzymał się w dawnym monastyrze Temple, rezydencji księcia Conti, miejscu, które odwieczna tradycja czyniła wolnym od pościgu prawa, przybył w styczniu 1766 do Londynu. Zamieszkał w zameczku Wooton, należącym do pana Davenport, przyjaciela Hume'a; stosunki między oboma filozofami zaczęły się jak najpomyślniej. Niebawem jednak usposobienie Russa odmieniło się fatalnie. Dzienniki angielskie pozwoliły sobie na parę złośliwych konceptów pod jego adresem; obiegał między publicznością sfingowany list, jakoby Fryderyka II do Russa[54], ośmieszający niezbyt dotkliwie tego ostatniego; równocześnie szaleją dalej inwektywy w Szwajcarii; pojawia się jadowity pamflet Woltera *List do doktora Panzofa*. Do tego Teresa Levasseur, która nudząc się, nie znając języka, nie umiejąc sobie wytworzyć *modus vivendi*[55] ze służbą w zameczku (właściciele byli nieobecni), starała się uprzedzić Russa jak najgorzej do pobytu w Anglii. Nieszczęśliwy pisarz, w straszliwym stanie duchowym, drażniony, judzony ze wszystkich stron, zaczynający wówczas już ulegać halucynacjom słuchu, począł roić sobie całą sieć intryg, których twórcą miał być przede wszystkim Hume. Dnia 1 maja 1767 ucieka potajemnie z Wooton, oskarżając głośno Hume'a o zdradę, rozsyła na wszystkie strony listy zupełnie już szalone, przemawia na ulicach Doowru do ludu. Przeprawiwszy się do Francji, znajduje kolejno schronienie w zamku margrabiego de Mirabeau (ojca przyszłego trybuna), w Trye u księcia Conti i wielu jeszcze innych siedzibach, wszędzie nieufny, wciąż zmieniając miejsce pobytu. W ciągu tych to wędrówek kończy swoje *Wyznania*, zaczęte w Anglii; w tym czasie zaślubia również długoletnią towarzyszkę, Teresę Levasseur. Wreszcie w roku 1770 wraca do Paryża, gdzie mimo dawnego dekretu będącego wciąż w mocy władze patrzą przez palce na jego pobyt i nie niepokoją go. Znalazłszy schronienie w Paryżu, uspokoił się nieco; zajął skromne mieszkanko przy ul. Platrière, dziś noszącej jego imię, wrócił do zajęć kopisty, herboryzował[56], stał się łagodny, prosty, życzliwy. Po śmierci pisarza żona jego, Teresa, rzekła naiwnie do pana de Girardin: „Jeżeli mój mąż nie jest świętym, to któż nim będzie?". Mimo to urojenia prześladowcze nie opuściły pisarza, ciągle widział sprzysiężenie zwrócone przeciw sobie. To skłoniło go, iż w zimie 1770–1771 odczytał w domu hrabiego Egmont przed wybranym kołem swoje *Wyznania*, w których postanowił się oczyścić przed potomnością z możliwych potwarzy. Czytanie wedle współczesnego świadectwa trwało siedemnaście godzin; jedyną przerwę w nim stanowiły „dwa krótkie posiłki oraz westchnienia i łzy obecnych". Niebawem po tym seansie nastąpiło drugie czytanie w obecności hrabstwa d'Egmont oraz kilku również wysoko postawionych osobistości. Lektury te wywołały popłoch (zupełnie usprawiedliwiony) wśród osób, którymi zajmuje się druga część *Wyznań*; za staraniem pani d'Épinay policja wystosowała do Russa uprzejmą prośbę, aby zaprzestał dalszego odczytywania drażliwej książki. To utwierdziło Russa tym bardziej w przekonaniu o wielkim spisku: spisek ten kojarzył rzekomo przeciw niemu wszystko, co było wybitnego we Francji, na czele jego zaś stał minister książę de Choiseul! W owym czasie Francja zagarnęła pod swoje berło Korsykę, której obywatele zwrócili się niedawno do Jana Jakuba z prośbą o nakreślenie projektu konstytucji: oczywiście, w pojęciu Russa Francja zajęła wysepkę z umysłu[57], aby pisarza pozbawić tego lauru. Gdyby (twierdził) Choiseul obrócił na dobro kraju połowę tych pieniędzy, które wydawał na zaspokojenie swej nienawiści dla Russa, byłby jednym z największych ministrów Francji. Chorobliwe urojenia swoje złożył Rousseau w ostatnich swych utworach (*Dialogi* pt. *Rousseau sędzią Jana Jakuba*), zdradzających, obok genialnych przebłysków, głęboko już posunięty rozkład władz umysłowych. Umiera nagle, w roku 1778, tknięty udarem mózgowym w czasie pobytu na wsi w Ermenonville, posiadłości hrabiego de Girardin. W roku 1791 dekret Konstytuanty[58] uchwalił przeniesienie jego zwłok do

[54]*sfingowany list, jakoby Fryderyka II do Russa* — autorem listu, ukutego w salonie pani du Deffant, był Horacy Walpole; podobno jednak i Hume współpracował w tym żarcie. [przypis tłumacza]

[55]*modus vivendi* (łac.) — sposób życia; tu: zasady współżycia. [przypis edytorski]

[56]*herboryzować* — zajmować się zbieraniem roślin w celach naukowych. [przypis edytorski]

[57]*z umysłu* (daw.) — umyślnie, celowo. [przypis edytorski]

[58]*Konstytuanta* — właśc. Zgromadzenie Narodowe Konstytucyjne, nazwa przyjęta przez Stany Generalne we Francji w 1789 w związku z podjęciem prac ustawodawczych nad ustrojem państwa. [przypis edytorski]

Panteonu[59]. Teresa Rousseau wkrótce po śmierci Jana Jakuba zaślubiła, blisko w sześćdziesiątym roku życia, jakiegoś lokaja czy masztalerza.

Wyznania ukazały się drukiem już w kilka lat po śmierci pisarza. Pierwsze wrażenie było oczywiście wrażeniem światowego skandalu: większość osób żyła jeszcze (nawet obcesowa pani de Larnage z pierwszej części *Wyznań* żyła jako wiekowa matrona w swoim zameczku). Stopniowo ta strona zachodziła w cień (zwłaszcza iż niemal równocześnie rewolucja zmiotła z powierzchni cały ten dawny światek), ale osobliwa ta książka została i poczęła wnikać w literaturę, tworząc w niej potężny zaczyn, którego działanie sięga aż do naszych czasów. Przedstawiając niedawno publiczności arcydzieło poezji Villona[60], miałem sposobność zwrócić uwagę na to, jak bardzo ta poezja uczuć, wrażeń, przeżyć osobistych, czerpiąca wprost z serca poety wyłączne źródło natchnienia, przepada, kryje się na kilka wieków pod ziemią. Miejsce jej zajmuje dążenie do możliwie doskonałej *obiektywizacji*. Oczywiście, że gdy Corneille kreśli swego *Cyda*, a Racine *Fedrę*, biorą oni swe kreacje w całej pełni *z siebie*[61]; ale forma, w jakiej oddają siebie samych, nakłada hamulec wszelkiemu rozpętaniu egotyzmu. W XVIII wieku literatura piękna, stając się w znacznej mierze zabawą dobrego towarzystwa, dalej jeszcze posuwa wstydliwość własnych uczuć i ograniczenie ich konwencją. Stopniowo, odcięta od swych żywych źródeł, wysusza się i karłowacieje, staje się igraszką mózgową: powszechny, entuzjastyczny kult Woltera *jako poety* daje tego wystarczającą miarę. Wówczas zjawia się człowiek, który blisko do czterdziestego roku życia wychował się poza wszelkim społeczeństwem, który każdą elementarną myśl, każde uczucie — zamiast otrzymać je gotowe w paryskiej kawiarni lub salonie — zdobywał sobie w mozole i cierpieniu; który wszystkie przedmioty będące dla innych literackim tematem dialektycznym bierze, z naiwnością dzikiego, na serio. Trudno dziś wprost określić, trudno nawet samemu sobie zdać sprawę, do jakiego stopnia wszystko to, co wnosił Rousseau w ówczesne społeczeństwo, było nowe i płodne: nie zawsze przez nowość myśli, ale przez *stosunek tych myśli do niego samego*. Niech wystarczy jeden przykład: czytając opis przygody z Zuliettą, gdy Rousseau, ogarnięty płomieniem żądzy, nagle zalewa się łzami pod wpływem refleksji nad losem pięknej kurtyzany, niejeden czytelnik minął zapewne ten ustęp, nie zwracając nań uwagi: tyle razy się już spotykało wylewy liryczne tego rodzaju, dziś niemal już banalne!

> Wszedłem do alkowy kurtyzany jak do sanktuarium miłości i piękności; zdawało mi się, że ich bóstwo widzę w jej osobie. Nigdy nie byłbym uwierzył, iż bez szacunku i czci można doznawać czegoś podobnego jak to, co ona budziła we mnie. Zaledwie w momentach pierwszych zbliżeń poznałem siłę jej uroków i pieszczot, natychmiast, z obawy, iż zawczasu stracę ich owoc, chciałem najspieszniej je uszczknąć. Nagle w miejsce płomieni, które mnie pożerały, uczułem śmiertelny chłód w żyłach; nogi uginały się pode mną i bliski omdlenia usiadłem, tonąc we łzach jak dziecko.
>
> Kto mógłby odgadnąć przyczynę łez i myśli, które przebiegały mi przez głowę w tej chwili? Mówiłem sobie: „Ta istota, którą mam w swej mocy, jest arcydziełem natury i miłości; duch, ciało, wszystko jest doskonałe; jest równie dobra i szlachetna, jak powabna i miła; magnaci, książęta, powinni by być jej niewolnikami, berła powinny by się chylić do jej stóp. I oto jako nędzna ulicznica wydana jest na żer pospólstwu; kapitan kupieckiego okrętu rozrządza nią do woli; rzuca mi się na szyję, mnie, o którym wie, że nie mam nic, mnie, którego wartość, niedostępna jej ocenie, musi być w jej oczach żadna".

Otóż ten ustęp, w którym mieści się niemal cały *Rolla* Musseta i tyle innych „nastrojów", w istocie już banalnych, był dla współczesnych czymś tak nowym, tak niezrozumiałym, iż La Harpe cytuje go wręcz jako pozytywny *dowód obłędu* pisarza! Punkt po

[59] *Panteon* — budowla w Paryżu, w Dzielnicy Łacińskiej, miejsce pochówku osób szczególnie zasłużonych dla Francji. [przypis edytorski]

[60] *arcydzieło poezji Villona* — *Wielki Testament* (1461) François Villona. [przypis edytorski]

[61] *biorą oni swe kreacje w całej pełni z siebie* — pytano raz Flauberta, skąd zaczerpnął postać pani Bovary; odpowiedział: „Pani Bovary — to ja". [przypis tłumacza]

punkcie można by tak przechodzić twórczość Russa i stosunek jej do literatury współczesnej oraz tej, która po niej wyrosła. Trzeba przyjąć za pewnik, że jeżeli mało rodzi się ludzi samoistnie myślących, ludzi czujących samoistnie — mimo iż czucie zdawałoby się rzeczą na wskroś osobistą — rodzi się jeszcze mniej. Rzadka jednostka, obdarzona samorodnym geniuszem czucia i potęgą wibracji, całym pokoleniom sugeruje (lub może tylko w nich *wyzwala*?) swój stan psychiczny, na którym wtórne (nieraz zresztą bardzo bogate) ustroje duchowe snują swoje wariacje. Pod tym względem ze wszystkich dzieł Russa — nie wyłączając może nawet *Nowej Heloizy* — *Wyznania* wywarły wpływ największy. Czy to wylewy romantyzmu (i całej zresztą współczesnej poezji), uderzające w ton spowiedzi lirycznej, nieznanej od czasu Villona; czy te stosy autobiografii, objaśniających dla potomności duchową organizację własnej istoty; czy wreszcie autoanaliza psychologiczna — słowem połowa niemal literatury XIX wieku, żeglującej pod flagą olbrzymiego, bezwstydnego JA, wyszła z tej oto książki. Mimo to sposób, w jaki Rousseau pojął i wykonał swą spowiedź, sprawia, iż nic nie zatarło dotąd prawdy słów, jakimi ją rozpoczyna: „Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy".

Wyznania Russa to jedna z tych bolesnych książek, w których — jak w *Wielkim Testamencie* Villona, jak w *Listach panny de Lespinasse* — mamy uczucie, iż kładziemy rękę wprost na bijącym, chorym sercu ludzkim; uczucie tutaj tym bardziej przejmujące, iż serce to biło w człowieku, który jak mało kto inny zaważył na biegu myśli, uczuć i dziejów wielkiej epoki ludzkości.

Boy.

Kraków 1914–1917 r.

TOM PIERWSZY

Księga I

(1712–1719)[62]. Imam[63] się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy. Chcę pokazać moim bliźnim człowieka w całej prawdzie jego natury; a tym człowiekiem będę ja.

Ja sam. Czuję moje serce i znam ludzi. Nie jestem podobny do żadnego z tych, których widziałem; śmiem wierzyć, iż nie jestem podobny do żadnego z istniejących. Jeśli nie lepszy, w każdym razie jestem inny. Czy natura uczyniła źle, czy dobrze, niszcząc formę, w której mnie odlała, o tym wolno będzie sądzić dopiero po przeczytaniu tych kartek.

Niechaj trąba ostatecznego sądu zabrzmi, kiedy przyjdzie godzina: przybędę z tą książką w ręku stanąć przed obliczem Najwyższego Sędziego. Powiem głośno: oto co czyniłem, co myślałem, czym byłem. Wyznałem dobre i złe równie szczerze. Nie przemilczałem nic złego, nie dodałem nic dobrego; a jeśli zdarzyło mi się uciec do czczej ozdoby, to jedynie wówczas, gdy trzeba było wypełnić lukę ułomnej pamięci. Mogłem wziąć za prawdę to, o czym wiedziałem, że mogło być prawdą; nigdy tego, o czym wiedziałem, iż było fałszem. Pokazałem się takim, jakim jestem: godnym pogardy i szpetnym, kiedy nim byłem; dobrym, szlachetnym, wzniosłym, kiedy nim byłem: odsłoniłem moje wnętrze takim, jakim tyś je widział sam, Najwyższy Sędzio. Zgromadź dokoła mnie nieprzeliczoną liczbę moich bliźnich; niech słuchają mej spowiedzi, niech litują się mych nieprawości, niech się rumienią za me niedole. Niech każdy z nich kolejno odsłoni serce u stóp twego tronu z równą szczerością; a potem niechaj jeden jedyny powie ci, jeśli będzie miał czoło[64]: „Byłem lepszy od tego człowieka".

Urodziłem się w Genewie w r. 1712, z Izaaka Rousseau[65], obywatela[66], i Zuzanny Bernard, obywatelki. Ojciec mój, którego ojcowizna wskutek podziału między piętnaścioro rodzeństwa równa była niemal zeru, musiał szukać środków do życia w zawodzie zegarmistrza, w którym istotnie był bardzo biegły. Matka, córka pastora Bernard, była bogatsza od niego: miała urodę i cnotę. Nie bez trudności przyszło ojcu otrzymać jej rękę. Miłość ich zaczęła się niemal z życiem: mając osiem czy dziewięć lat przechadzali się co wieczór wspólnie po wybrzeżu Treille[67], jako dziesięciolatki stanowili nierozłączną parę. Sympatia, porozumienie dusz wzmocniły w nich jeszcze uczucie zrodzone z przyzwyczajenia. Los, który sprzeciwiał się poniekąd ich miłości, spotęgował ją tylko. Młody kochanek, nie mogąc otrzymać bogdanki[68], usychał z rozpaczy; poradziła mu udać się w podróż, aby szukać zapomnienia. Zwędrowawszy świat bez skutku, wrócił tym bardziej rozkochany. Zastał swą ulubioną tkliwą i wierną jak wprzódy. Po tej próbie nie pozostało im nic, jak kochać się całe życie; przysięgli to sobie i niebo pobłogosławiło ich ślubom.

Gabriel Bernard, brat mojej matki, zakochał się w jednej z sióstr ojca; zgodziła się zań wyjść jedynie pod warunkiem, że brat jej poślubi jego siostrę. Miłość usunęła wszystkie zapory i oba związki skojarzyły się jednego dnia. W ten sposób wuj mój był mężem mej ciotki, a dzieci ich mym stryjeczno-ciotecznym rodzeństwem. Urodziło się z końcem roku po jednym w każdym domu, po czym trzeba było się rozłączyć.

Wuj Bernard był inżynierem wojskowym; pociągnął do cesarstwa i do Węgier służyć pod księciem Eugeniuszem[69]. Ojciec, po urodzeniu mego jedynego brata, udał się do

---

[62] *(1712–1719)* — daty przed akapitami zostały wprowadzone przez wydawców. [przypis edytorski]

[63] *imać się czegoś* (daw.) — zabierać się do czegoś, brać się za coś. [przypis edytorski]

[64] *jeśli będzie miał czoło* (książk.) — mieć odwagę, czelność. [przypis edytorski]

[65] *Izaak i Zuzanna* — w protestanckich rodzinach zwyczajne są te imiona, czerpane ze Starego Testamentu. [przypis tłumacza]

[66] *Izaaka Rousseau, obywatela, i Zuzanny Bernard, obywatelki* — w Genewie status obywateli (fr. *citoyens*), posiadających pełnię praw politycznych, przysługiwał tylko osobom urodzonym w mieście i pochodzącym ze stanu mieszczańskiego; było to ok. 1500 osób na 20 tysięcy ludności. Pozostali należeli do urodzonych w mieście *natifs*, nieposiadających czynnych praw politycznych, oraz do *habitants* (mieszkańców), bez żadnych praw politycznych. [przypis edytorski]

[67] *Treille* — najstarsza promenada Genewy. [przypis edytorski]

[68] *bogdanka* (daw.) — ukochana. [przypis edytorski]

[69] *Eugeniusz Sabaudzki*, właśc. *Eugène-François de Savoie* (1663–1736) — książę Sabaudii, krainy hist. w płd.-wsch. Francji, przy granicy ze Szwajcarią i Włochami, dowódca cesarskiej armii austriackiej, jeden z najwybitniejszych wodzów nowożytnych. [przypis edytorski]

Konstantynopola, dokąd go powołano: został zegarmistrzem seraju[70]. Podczas jego nieobecności piękność matki, jej dowcip i talenty znęciły wielbicieli. Pan de la Closure, poseł francuski, był jednym z najgorliwszych. Można wnosić, iż uczucie jego było gorące, skoro po upływie trzydziestu lat, mówiąc o niej, nie mógł ukryć wzruszenia. Matka miała ku obronie więcej niż samą cnotę: kochała czule męża. Napisała do niego, aby wrócił: rzucił wszystko i pośpieszył na wezwanie. Ja byłem smutnym owocem tego powrotu. W dziesięć miesięcy potem przyszedłem na świat, wątły i chory. Urodzenie moje kosztowało matkę życie i stało się pierwszym z mych nieszczęść. Żałoba

Nie wiem, jak ojciec przeniósł[71] tę stratę, ale to wiem, że nie pocieszył się po niej nigdy. Patrząc na mnie, odnajdywał we mnie matkę, nie mogąc z drugiej strony zapomnieć, że to ja mu ją zabrałem; ilekroć mnie brał w ramiona, czułem, po jego westchnieniach, po konwulsyjnym uścisku, że gorzki żal wplata się w jego pieszczoty: tym czulsze były wszelako! Kiedy mówił: „Chodź, dziecko, pomówimy o matce", odpowiadałem: „Ach, ojcze, znowu będziemy płakać!". I te słowa już wystarczały, aby go pobudzić do łez. „Ach! — powiadał, wzdychając — oddaj mi ją, pociesz mnie po niej, zapełnij pustkę, jaką zostawiła w mej duszy. Czyżbym cię kochał tyle, gdybyś był tylko moim synem?" W czterdzieści lat po jej stracie umarł w ramionach drugiej żony, ale z imieniem pierwszej na ustach i z jej obrazem w sercu.

Tacy byli twórcy moich dni. Ze wszystkich darów, jakich użyczyło im niebo, przekazali mi tylko jeden, to jest tkliwe serce; ale to, co dla nich było szczęściem, stało się źródłem wszystkich nieszczęść mego życia.

Urodziłem się na wpół umarły; niewiele było nadziei utrzymania mnie przy życiu. Przyniosłem na świat zaród dolegliwości, która wzmogła się z latami[72] i która teraz daje mi niekiedy folgę[73] jedynie po to, aby mi kazać cierpieć jeszcze okrutniej, choć w odmienny sposób. Siostra ojca, miła i zacna dziewczyna, otoczyła mnie opieką tak tkliwą, że mnie uratowała. W chwili gdy piszę te słowa, żyje jeszcze i pielęgnuje, mając osiemdziesiąt lat, męża młodszego od niej, ale zniszczonego trunkiem. Droga ciotko, przebaczam ci, że utrzymałaś mnie przy życiu, i boleję, iż nie mogę na schyłku twoich dni oddać ci tkliwych starań, którymi otoczyłaś mnie w niemowlęctwie. Żyje także piastunka Joanna, czerstwa do dziś i zdrowa. Ręce, które mi otworzyły oczy przy urodzeniu, będą mi je mogły zamknąć.

Zacząłem wcześniej czuć niż myśleć — to wspólna dola ludzkości. Doświadczyłem jej bardziej niż ktokolwiek. Nie wiem, com robił do pięciu lub sześciu lat. Nie wiem, jak nauczyłem się czytać; pamiętam jedynie chwile pierwszych czytań i wrażenia, które im zawdzięczam; od tego czasu towarzyszy mi już nieprzerwanie świadomość. Po matce zostały jakieś powieści; zaczęliśmy je z ojcem czytywać wspólnie po wieczerzy. Zrazu chodziło o to, aby mnie zaprawić w czytaniu przy pomocy zajmujących książek; ale niebawem przykuły nas do tego stopnia, iż czytaliśmy kolejno, bez przerwy, i spędzali na tym całe noce. Nie byliśmy w stanie oderwać się przed skończeniem tomu. Niekiedy ojciec, słysząc ranne jaskółki, powiadał zawstydzony: „Kładźmy się spać; większy ze mnie dzieciak od ciebie". Książka, Dzieciństwo

Dzięki tej niebezpiecznej metodzie, posiadłem, w krótkim czasie, nie tylko nadzwyczajną łatwość czytania i rozumienia, ale także niezwykłą na mój wiek inteligencję uczuć. Nie miałem najmniejszego pojęcia o rzeczach, kiedy wszystkie uczucia były mi znajome. Nic nie pojmowałem jeszcze, a wszystko już czułem. Te mgliste wzruszenia nie zamąciły mi rozumu, którego jeszcze nie miałem, ale stworzyły we mnie rozum jakiś odmienny, innego rodzaju, i dały mi o życiu ludzkim dziwaczne i romantyczne pojęcia, z których doświadczenie i refleksja nigdy mnie nie zdołały zupełnie wyleczyć.

(1719–1723). Powieści skończyły się z latem roku 1719. Następnej zimy przyszło co innego. Wyczerpawszy bibliotekę matki, sięgnęliśmy do książek, które zostały nam po jej ojcu. Szczęściem znalazło się między nimi wiele dzieł wartościowych: nie mogło być inaczej w bibliotece pastora, to prawda, i uczonego nawet, było to bowiem podówczas

[70] *seraj* — pałac władcy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

[71] *przenieść* (daw.) — znieść. [przypis edytorski]

[72] *zaród dolegliwości, która wzmogła się z latami* — wrodzona wada pęcherza, utrudniająca oddawanie moczu. [przypis tłumacza]

[73] *folga* (daw.) — ulga, odpoczynek. [przypis edytorski]

w modzie, ale człowieka światłego i z dobrym smakiem. *Historia Kościoła i Cesarstwa* przez Le Sueura; *Rozprawy Bossueta o historii powszechnej*; *Znakomici mężowie* Plutarcha; *Historia Wenecji* Naniego; *Metamorfozy* Owidiusza; La Bruyere; *Światy* Fontenelle'a; tegoż *Rozmowy umarłych* i parę tomów Moliera przewędrowały do pracowni ojca, gdzie mu je czytywałem, gdy pracował. Nabrałem do tych dzieł szczególnego i niezwykłego w tym wieku upodobania. Plutarch zwłaszcza stał się mą ulubioną lekturą. Rozkosz, jaką znajdywałem w odczytywaniu go bez przerwy, wyleczyła mnie nieco z romansów; wkrótce Agesilaus, Brutus i Arystydes[74] stali mi się milsi od Orondata, Artamena i Juby[75]. W tym szale czytania, w rozmowach, jakie toczyliśmy z ojcem, wytworzył się we mnie ów wolny i republikański duch, ów charakter nieokiełzany i hardy, czuły na jarzmo i niewolę, który mnie dręczył przez całe życie w sytuacjach najmniej sposobnych. Nieustannie pochłonięty Rzymem i Atenami, żyjąc niejako z ich wielkimi mężami, urodzony sam jako obywatel rzeczypospolitej[76] i syn ojca, u którego miłość ojczyzny była najsilniejszą namiętnością, rozpłomieniałem się za jego przykładem; zdawało mi się, że jestem Grekiem lub Rzymianinem; stawałem się osobą, której czytałem żywot. Kiedy czytałem historię ich hartu i nieustraszonych czynów, oczy błyszczały mi jaśniej, głos stawał się potężniejszy. Jednego dnia, opowiadając przy stole przygodę Scewoli[77], ku przerażeniu wszystkich omal nie włożyłem ręki w płomień, aby tym żywiej przedstawić jego postępek.

Miałem brata, starszego ode mnie o lat siedem. Kształcił się w rzemiośle ojca. Niezmierne przywiązanie ojca do mnie sprawiało, iż zaniedbywał brata, czego mu bynajmniej nie chwalę. Wychowanie chłopca ucierpiało na tym. Przyzwyczaił się do swywoli[78], zanim jeszcze osiągnął wiek, w którym przywary młodości dochodzą do głosu. Oddano go do innego majstra, skąd wymykał się niejednokrotnie, jak wprzódy z domu rodzicielskiego. Nie widywałem go prawie wcale; ledwie mogę powiedzieć, żeśmy się znali; mimo to kochałem go czule i on mnie także, o ile taki wisus[79] zdolny jest coś kochać. Przypominam sobie, iż raz, gdy ojciec karcił go surowo, rzuciłem się między nich, obejmując brata z całych sił. Osłoniłem go swoim ciałem, przyjmując ciosy przeznaczone dla niego, i tak zaciekłem się w tej pozycji, iż w końcu ojciec musiał mu darować, bądź rozbrojony moimi łzami, bądź czując, iż kara godziłaby dotkliwiej we mnie niż w brata. W końcu chłopiec zeszedł na tak złe drogi, iż uciekł i znikł zupełnie. Doszły słuchy, że jest w Niemczech. Nie napisał do domu ani razu. Od tego czasu nie było o nim wiadomości, i oto jak zostałem jedynakiem.

Jeśli wychowanie tego nieboraka zostawiało wiele do życzenia, inaczej było ze mną; dzieci królewskie nie mogłyby się cieszyć staranniejszą opieką niż ja w pierwszych latach. Ani razu, do czasu, w którym opuściłem dom rodzicielski, nie zdarzyło się, aby mi pozwolono uganiać po ulicy z innymi dziećmi; nigdy nie było potrzeby poskramiać we mnie ani zaspakajać owych kaprysów, które przypisuje się naturze, a które rodzą się jeno[80] z błędnego wychowania. Miałem przywary mego wieku: byłem papla, łakotniś, niekiedy kłamałem. Zdarzyło mi się ściągnąć owoce, cukierki, łakocie; ale nigdy nie szukałem przyjemności w robieniu złego, w wyrządzaniu szkody, składaniu winy na drugich, w dręczeniu biednych zwierząt. Przypominam sobie wszelako, iż raz nasiusiałem do rondla sąsiadki, pani Clot, gdy była na kazaniu. Przyznaję nawet, że to wspomnienie

[74] *Agesilaus, Brutus i Arystydes* — postacie historii starożytnej, bohaterowie biograficznych *Żywotów* Plutarcha, przedstawieni w nich jako wzory cnót obywatelskich. [przypis edytorski]

[75] *Orondat, Artamen, Juba* — postacie z XVII-wiecznych poczytnych, ckliwych romansów rycerskich: Orondat i Juba z powieści Gauthiera La Calprenède'a *Cassanddre* (1642) i *Cleopatre* (1647), Artamen z powieści Madeleine de Scudéry *Artamène, ou le grand Cyrus* (1649–1653). [przypis edytorski]

[76] *obywatel rzeczypospolitej* — Genewa w czasach autora była republiką; dołączyła do Konfederacji Szwajcarskiej w 1815 roku. [przypis edytorski]

[77] *Scewola* — właśc. Gaius Mucius Cordus; legendarny bohater rzymski, który został wysłany, by zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy został jednak schwytany w obozie wroga, włożył rękę w ogień, by dowieść, że nie straszne mu tortury ani śmierć; takie męstwo przekonało Porsennę, by puścić wolno zamachowca; nosił on odtąd z chlubą przydomek *Scaevola*, tzn. Mańkut. [przypis edytorski]

[78] *swywola* (daw.) — swawola. [przypis edytorski]

[79] *wisus* (daw.) — urwis. [przypis edytorski]

[80] *jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

jeszcze mnie śmieszy, pani Clot bowiem, dobra zresztą[81] kobiecina, była najzrzędniejszą staruszką, jaką spotkałem. Oto krótka i szczera spowiedź z występków młodości.

Jakże miałbym się stać złym, gdy przed oczyma miałem same jeno przykłady słodyczy i naokoło siebie najlepszych ludzi pod słońcem? Ojciec, ciotka, piastunka, krewni, przyjaciele, sąsiedzi, całe otoczenie, nie ulegali mi, to prawda, ale mnie kochali; i ja ich. Wola moja spotykała tak mało podniet i tak mało zapór, że nie przychodziło mi na myśl ją objawiać. Mogę przysiąc, że aż do czasu kiedy się dostałem pod jarzmo zwierzchnika, nie wiedziałem nawet, co to kaprys. Wyjąwszy czas pisania i czytania pod okiem ojca albo przechadzki z piastunką, przebywałem zawsze w towarzystwie ciotki, patrząc, jak haftuje, słuchając, jak śpiewa, stojąc lub siedząc przy niej; i czułem się szczęśliwy. Jej wesołość, słodycz, miła fizjonomia[82], odcisnęły się we mnie tak silnie, że widzę jeszcze jej twarz, spojrzenie, ruchy: przypominam sobie pieszczotliwe słówka; umiałbym opisać jak była ubrana i uczesana, wszystko, aż do dwóch ciemnych loczków na skroniach, wedle ówczesnej mody.

Jestem przekonany, że jej zawdzięczam upodobanie albo raczej namiętność do muzyki, namiętność, która rozwinęła się o wiele później. Umiała moc piosenek i nuciła je głosikiem pełnym słodyczy. Pogoda duszy tej przemiłej dziewczyny oddalała od niej i od wszystkiego, co ją otaczało, zadumę i smutek. Śpiew jej miał dla mnie taki urok, że nie tylko wiele z jej piosnek utrwaliło mi się na zawsze w pamięci, ale nawet teraz, w miarę jak się starzeję, przypominają mi się nowe, zapomniane od dzieciństwa, i wprawiają mnie w zachwyt, którego nie umiem wprost opisać. Czy powiedziałby ktoś, że ja, stary mantyka[83], zużyty troskami i niedolą, chwytam się niekiedy na tym, iż płaczę jak dziecko, mamrocząc te nikłe aryjki głosem złamanym już i drżącym!

Jedna z nich zwłaszcza przypomniała mi się w całości, przynajmniej melodia, bo część słów stale mi ginie, mimo że mętnie pobrzękują mi jej rymy. Zastanawiam się w czym tkwi rozrzewniający urok, jaki serce moje znajduje w tej piosence; jest to kaprys, którego nie umiem zrozumieć, ale niepodobna[84] mi wręcz prześpiewać jej do końca, iżby łzy nie przerwały mi śpiewania. Sto razy myślałem napisać do Paryża o resztę słów, o ile ktoś zna je jeszcze. Ale jestem prawie pewny, że przyjemność, którą znajduję w przypominaniu sobie tej aryjki rozwiałaby się, gdybym miał dowód, iż śpiewał ją kto inny prócz biednej ciotki Zuzi.

Takie były pierwsze przywiązania w zaraniu mego życia; tak zaczynało się kształtować i objawiać we mnie to serce, tak harde i tak tkliwe, ten charakter niemal kobieco słaby, a jednak niezłomny, który bujając nieustannie między słabością a męstwem, między gnuśnością a hartem, do końca wtrącał mnie w sprzeczności i sprawił, iż powściągliwość i użycie, rozkosz i umiarkowanie zarówno pozostały mi niedoścignione.

Wychowanie to uległo przerwie wskutek wypadku, którego następstwa rozstrzygnęły o mym życiu. Ojciec pokłócił się z niejakim panem Gautier, kapitanem francuskim mającym krewnych w Radzie. Ów Gautier, człowiek bezczelny i podły, skorzystał z lekkiego broczenia nosa, aby przez zemstę obwinić ojca, iż dobył nań szpady w obrębie miasta. Ojciec, którego chciano wtrącić do więzienia, uparł się, aby, wedle litery prawa, oskarżyciela jego również uwięziono; nie mogąc tego uzyskać, wolał opuścić Genewę i kraj na całe życie, niż ustąpić w tym, w czym widział naruszenie honoru i wolności obywatela.

Zostałem pod opieką wuja Bernarda, wówczas zatrudnionego przy fortyfikacjach Genewy. Starsza jego córka umarła, ale miał syna mniej więcej w moim wieku. Umieszczono nas razem w Bossey[85], u pastora Lambercier, abyśmy wypchali sobie głowy łaciną oraz wszelakim innym rupieciem, które zaszczyca się mianem wykształcenia.

Dwa lata spędzone na wsi złagodziły nieco mą rzymską surowość i wróciły mnie do stanu dzieciństwa. W Genewie, gdzie mi w ogóle nie narzucano nic, a już nigdy nauki ani czytania, było ono mą jedyną rozrywką; w Bossey przymus pracy obudził we mnie smak do zabaw, które stanowiły po niej ożywcze wytchnienie. Wieś była dla mnie czymś tak nowym, że nie mogłem się nią nasycić. Nabrałem do niej upodobania, które nigdy

[81] *zresztą* (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]
[82] *fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]
[83] *mantyka* — zrzęda. [przypis edytorski]
[84] *niepodobna* (daw.) — nie można, nie da się, jest niemożliwe. [przypis edytorski]
[85] *Bossey* — wioska ok 5 km na płd. od Genewy. [przypis edytorski]

we mnie nie wygasło. Wspomnienie szczęśliwych dni na wsi kazało mi wciąż żałować jej uciech i słodyczy, aż wreszcie sprowadziło mnie ku niej z powrotem. Pan Lambercier był to człowiek bardzo rozsądny; nie zaniedbując wychowania, nie przeciążał nas wszakże. Za dowód, iż brał się dobrze do swego zadania, może służyć, iż mimo odrazy do wszelkiego przymusu nigdy nie wspominałem ze wstrętem czasu moich nauk; a jeżeli nie nauczyłem się zbyt wiele, to, czegom się nauczył, posiadłem bez trudu i trwale.

Prostota wiejskiego życia dała mi nieoszacowany skarb, otwierając me serce na uroki przyjaźni. Do tego czasu znałem jedynie uczucia podniosłe, ale urojone. Wspólne życie wśród spokojnych trudów i wywczasów spoiło mnie tkliwym węzłem z kuzynem mym Bernardem. Niebawem nabrałem dlań uczuć serdeczniejszych, niż kiedykolwiek żywiłem je dla brata; a uczucia te nie zatarły się nigdy. Był to wyrośnięty chłopak, szczupły i wątły, równie łagodnego charakteru jak słabych sił fizycznych, dzięki czemu nie nadużywał uprzywilejowanej pozycji, jaką posiadał w domu jako syn mego opiekuna. Mieliśmy jednakie zajęcia, zabawy, upodobania; byliśmy sami, rówieśnicy, każdy zarówno czuł potrzebę towarzysza; rozdzielić nas znaczyłoby niejako unicestwić obu. Przywiązanie nasze, mimo iż niewiele mieliśmy sposobności, aby go sobie dowieść, było ogromne; nie tylko nie mogliśmy żyć rozłączeni, ale nie wyobrażaliśmy sobie, aby to było możebne[86]. Obaj mieliśmy usposobienia łatwe do prowadzenia łagodnością i podatne, o ile ktoś nie chciał nagiąć nas przemocą; z sobą godziliśmy się zawsze we wszystkich punktach. Jeżeli, dzięki wyróżnieniu naszych wychowawców, on miał nade mną przewagę pod ich okiem, to znów kiedy byliśmy sami, ja brałem górę; w ten sposób utrzymywała się równowaga. W czasie nauki podpowiadałem lekcję, gdy nie był jej pewny; uporawszy się z zadaniem, pomagałem jemu; w zabawach ja, bardziej rzutki, byłem przodownikiem. Słowem, zgadzaliśmy się tak dobrze i żyliśmy w tak szczerej przyjaźni, że w ciągu pięciu lat nierozłącznego pożycia, tak w Bossey, jak w Genewie, biliśmy się często, to prawda, ale nigdy nie było trzeba nas rozłączać, nigdy kłótnia nie trwała dłużej kwadransa i nigdy, ani razu, żaden nie poskarżył się na drugiego. Te szczegóły mogą się komu wydać błahe, jednakże zawarty w nich przykład jest może jedyny od czasu jak istnieją dzieci.

Życie, jakie pędziliśmy w Bossey, odpowiadało mi tak dobrze, że, gdyby potrwało dłużej, zdecydowałoby o moim charakterze. Podstawę jego stanowiły uczucia tkliwe, serdeczne, łagodne. Sądzę, iż nie było człowieka, który by z natury mniej był próżny ode mnie. Wznosiłem się w chwili wybuchu do najszczytniejszych wzruszeń, ale niebawem opadałem w zwykłe rozmarzenie. Być kochanym przez wszystkich — to było moje najwyższe pragnienie. Byłem łagodny, mój krewniak również, toż i nasi wychowawcy. Przez całe dwa lata nie byłem ani świadkiem, ani ofiarą gwałtowniejszego wstrząsu. Wszystko podtrzymywało w mym sercu skłonności wszczepione przez naturę. Nie znałem większego szczęścia niż widzieć, że wszyscy są radzi ze mnie i ze świata. Przypominam sobie dziś jeszcze, jak kiedy nas egzaminowano w kościele z katechizmu i zdarzyło mi się zająknąć, największą troską dla mnie były oznaki niepokoju i zmartwienia na twarzy panny Lambercier. To jedno trapiło mnie bardziej niż niepowodzenie publiczne, które wszakże dotykało mnie mocno: mało wrażliwy na chwalby, byłem zawsze bardzo czuły na wstyd; mimo to mogę rzec, iż spodziewane wymówki panny Lambercier mniej mnie dręczyły niż obawa jej przykrości.

Bądź co bądź, w razie potrzeby, umiała ona uciec się do surowości, jak również i jej brat; ponieważ jednak ta surowość, prawie zawsze sprawiedliwa, nigdy nie była wywołana uniesieniem, cierpiałem, ale się nie buntowałem[87]. Bardziej niż kara bolała mnie utrata ich łaski, a świadomość niezadowolenia była mi dotkliwsza niż jego następstwa. Trudno mi ściślej się wytłumaczyć, a jednak trzeba. Zmieniono by niewątpliwie metody postępowania z młodzieżą, gdyby lepiej widziano najdalsze skutki owego pedagogicznego środka, stosowanego zawsze bez rozwagi, niekiedy bez miary! Przykład mój, równie pospolity jak opłakany, może posłużyć za naukę: to skłania mnie do przytoczenia go tutaj.

Panna Lambercier, przywiązana do nas jak matka, miała i władzę matki, i posuwała ją niekiedy, o ileśmy zasłużyli, aż do dotkliwej kary, zazwyczaj stosowanej u dzieci.

[86] *możebne* — dziś: możliwe. [przypis edytorski]

[87] *cierpiałem, ale się nie buntowałem…* — w. 21 i nast. Cały ten zawiły opis wyraża, iż Rousseau podlegał znanemu w medycynie zboczeniu płciowemu, które kazało mu najwyższą rozkosz fizyczną pokładać w tym, aby być oćwiczonym przez kobietę. [przypis tłumacza]

Dość długo poprzestawała na groźbie, a ta groźba kary, całkiem mi nieznanej, przerażała mnie niezmiernie. Po egzekucji wszelako wydała mi się ona mniej straszna niż samo oczekiwanie; a co najosobliwsze, to iż kara ta przywiązała mnie jeszcze do osoby, z której rąk jej doznałem. Trzeba nawet było całej szczerości tego przywiązania i wrodzonej mej łagodności, aby mnie powstrzymać od pokusy powtórnego zasłużenia na tę karę; w tym bólu bowiem, we wstydzie nawet, znalazłem domieszkę zmysłowej rozkoszy, której wspomnienie, silniejsze od obawy, budziło we mnie raczej chęć doznania jeszcze raz tych samych wzruszeń z tej ręki. Bez wątpienia musiało się w tym przejawiać jakieś przedwczesne pobudzenie płciowe, bo sama kara, o ile bym jej doznał z rąk np. pastora, nie byłaby mi wcale przyjemna. Ale wobec jego usposobienia substytucja[88] ta nie groziła wcale; jeżeli tedy wstrzymywałem się od ochoty zasłużenia na karę, to jedynie z obawy zmartwienia panny Lambercier; każde bowiem przywiązanie, nawet to, które zrodziło się pod wpływem zmysłów, zawsze brało nad zmysłami górę.

Ta recydywa, którą oddalałem, nie lękając się jej wszelako, przyszła wreszcie bez mej winy, to znaczy bez mej woli; skorzystałem z niej, mogę rzec, ze spokojnym sumieniem. Ale ten drugi raz był zarazem ostatnim. Panna Lambercier, spostrzegłszy zapewne po jakimś objawie, że kara mija się z celem, oświadczyła, iż rezygnuje z niej jako zbyt dla niej nużącej. Dotąd sypialiśmy w jej pokoju, w zimie niekiedy w jej łóżku — w dwa dni potem pomieszczono nas na noc gdzie indziej. Odtąd (czego byłbym się chętnie wyrzekł) miałem zaszczyt być przez nią traktowany jako duży chłopiec.

Pożądanie

Któżby uwierzył, że ta dziecinna kara, otrzymana przez ośmioletniego chłopca z rąk trzydziestoletniej panny, rozstrzygnęła o mych upodobaniach, pragnieniach, namiętnościach, o mnie całym, na całe życie, i to właśnie w kierunku przeciwnym temu, który, naturalnym sposobem, powinien by stąd wyniknąć? Równocześnie z tym rozpaleniem zmysłów, pożądania moje wypaczyły się w taki sposób, iż zamykając się w sferze poznanych wrażeń, nie troszczyły się o szukanie innych. Z krwią przepaloną zmysłami niemal od urodzenia, uchowałem się czysty od zmazy do wieku, w którym najzimniejsze i najbardziej spóźnione temperamenty przychodzą do głosu. Dręczony długo sam nie wiedząc czym, pożerałem płomiennym okiem piękne kobiety; wyobraźnia moja przyzywała je nieustannie jedynie po to, aby im kazać działać w myśl moich upodobań i wskrzeszać pod ich postacią pannę Lambercier i jej egzekucję.

Nawet po okresie dojrzewania to dziwne upodobanie, wciąż trwające i posunięte aż do deprawacji, do szaleństwa, zachowało we mnie czystość obyczajów, z której na pozór powinno by mnie obedrzeć. Wychowanie moje było w najwyższym stopniu czyste i skromne. Ciotki moje były to osoby nie tylko rzadkiej cnoty, ale i wstydliwości od dawna już w tym stopniu nieznanej kobietom. Ojciec, człowiek lubiący żyć, ale po staroświecku dworny, nigdy w obecności kobiet najbardziej mu miłych nie odezwał się słowem, które by mogło przyprawić o rumieniec dziewicę. Nigdy chyba dalej niż w mojej rodzinie i w mojej obecności nie posunięto względów winnych dzieciom. Nie mniej uwagi znalazłem w domu pana Lambercier: bardzo zdatną służącą odprawiono bezzwłocznie za jedno swobodne słowo, na które pozwoliła sobie przy nas. Nie tylko aż do młodzieńczego wieku nie miałem wyraźnego pojęcia o stosunkach płci, ale i te mgliste domysły przedstawiały mi się zawsze jako obraz pełen wstrętu i ohydy. Dziewczyny publiczne budziły we mnie grozę, która nigdy się nie zatarła; nie mogłem patrzeć na rozpustnika bez wzgardy, bez przerażenia nawet. Odraza moja do rozpusty datowała się od czasu, gdy raz, idąc jarem, ujrzałem po obu stronach drogi zagłębienia w ziemi i gdy mi powiedziano, że tam ci ludzie chronią się parami dla swoich czynności. Obraz ten zlał mi się w jedno z obrazem parzących się psów, które widywałem czasem; czułem w gardle spazm wstrętu na samo wspomnienie.

Temu wychowaniu, które już samo wystarczało, aby opóźnić pierwsze wybuchy zapalnego temperamentu, przyszedł w pomoc, jak rzekłem, rodzaj zboczenia, które skojarzyło się u mnie z pierwszym pobudzeniem zmysłów. Umiałem sobie wyobrazić jedynie to, co już odczułem: mimo dokuczliwego burzenia się krwi, nie umiałem tedy kierować pragnień ku innej rozkoszy, prócz tej, jaka mi była znana; nigdy mi nie przychodziła na myśl ta, którą mi tak zohydzono, a która, bez najmniejszej świadomości z mej strony, tak by-

[88] *substytucja* — zastępowanie, wymiana czegoś. [przypis edytorski]

ła tamtej pokrewna. W naiwnych chimerach[89] wyobraźni, w erotycznych uniesieniach, w wariackich postępkach, do których mnie nieraz popychały, uciekałem się w imaginacji do pomocy płci odmiennej, nie przypuszczając ani na chwilę, aby ta płeć mogła służyć do innego użytku, prócz tego, który jej dawałem w marzeniach.

Rozkosz, Pożądanie

W ten sposób, obdarzony temperamentem bardzo zapalnym, bardzo zmysłowym, bardzo wczesnym, przebyłem okres dojrzewania, nie doznawszy innych pragnień, nie znając innych rozkoszy, prócz tych, których świadomość wszczepiła mi w niewinności ducha panna Lambercier; a kiedy z postępem lat stałem się wreszcie mężczyzną, i wówczas to, co mnie powinno było zgubić, ocaliło mnie. Dawna skłonność dziecka, miast[90] wygasnąć, połączyła się tak ściśle z inną, że nigdy nie mogłem jej zupełnie usunąć z rozpłomienionych zmysłów; szaleństwo to, w połączeniu z wrodzoną nieśmiałością, czyniło mnie bardzo mało przedsiębiorczym wobec kobiet. Nie śmiałem wszystkiego powiedzieć, a nie mogłem wszystkiego wykonać, ponieważ tej rozkoszy, której inna rozkosz była dla mnie jedynie szczytem, nie może wziąć po prostu ten, który jej pragnie, ani nie może go odgadnąć ta, która mogłaby jej udzielić. W ten sposób przebyłem życie, pożądając i ukrywając moje pożądania przy boku osób, które kochałem najwięcej. Nie śmiejąc nigdy wyznać mych upodobań, oszukiwałem je bodaj, dając stosunkom moim formy pokrewne. Przebywać u kolan despotycznej kochanki, ulegać jej rozkazom, żebrać przebaczenia było dla mnie najsłodszą rozkoszą; im bardziej rozpalona wyobraźnia smagała mi krew, tym bardziej na zewnątrz miałem postać trwożnego wielbiciela. Łatwo zrozumieć, że ten sposób okazywania miłości nie prowadzi do zbyt szybkich postępów i nie zagraża cnocie osób będących jej przedmiotem. Posiadałem też w życiu kobiet bardzo niewiele; mimo to przeżyłem wiele na swój sposób, przez wyobraźnię. Oto jak moje zmysły, jednocząc się z nieśmiałym usposobieniem i romantyczną głową, zachowały mi czystość uczuć i skromność obyczajów dzięki tym samym skłonnościom, które przy większej śmiałości byłyby mnie zanurzyły w odmęt zezwierzęcenia.

Spowiedź

Uczyniłem pierwszy i najtrudniejszy krok w ciemnym i bagnistym labiryncie mej spowiedzi. Nie to najciężej wyznać, co w nas jest zbrodnicze, ale co wstydliwe i śmieszne. Odtąd jestem już pewien siebie; po tym, com ośmielił się powiedzieć, nic mnie nie powstrzyma. Ile musiało mnie kosztować podobne wyznanie, można osądzić z tego, iż przez całe życie, opanowany niekiedy, przy boku istot, które kochałem, namiętnością odejmującą mi wprost wzrok i słuch, wpół przytomny i drżący konwulsyjnie na ciele, nigdy przecież nie mogłem się zdobyć na to, aby wyznać me szaleństwo i nawet w najpoufniejszej sytuacji błagać o jedyną łaskę, której mi brakło. Zdarzyło mi się to raz tylko, w dzieciństwie, z dziewczyną w moim wieku, a i wówczas propozycja wyszła raczej od niej.

Wracając oto myślą do pierwszych śladów życia uczuciowego, odnajduję w nim składniki, które, sprzeczne niekiedy na pozór między sobą, stopiły się mimo to, wywołując z całą siłą jednolite i proste objawy; inne znowuż, na pozór jednorakie, kształtowały się przez zbieg okoliczności w kombinacje tak różnorodne, że nie można sobie wręcz wyobrazić, aby pomiędzy nimi istniał jaki związek. Kto by mniemał na przykład, iż jedna z najsilniejszych sprężyn duszy hartowała się w tym samym źródle, z którego spływały w mą krew miękkość i zmysłowość? Nie opuszczając przedmiotu, o którym mówiliśmy poprzednio, wprowadzę czytelnika w bardzo odmienną sferę wrażeń.

Krzywda, Dziecko

Siedziałem jednego dnia sam nad lekcją w pokoju przy kuchni. Służąca rozłożyła na blasze grzebienie panny Lambercier. Kiedy wróciła po nie, okazało się, iż w jednym wszystkie zęby były połamane. Kogo posądzić o tę psotę? Nikt prócz mnie nie wchodził do pokoju. Biorą mnie na spytki: zaklinam się, że nie ruszałem grzebienia. Państwo Lambercier wzywają mnie, napominają, przypierają do muru, grożą — wciąż przeczę. Poszlaki były wszelako zbyt silne i przeważyły wszystkie zaklęcia, mimo że pierwszy raz zdarzyło się spotkać u mnie z tak zuchwałym kłamstwem. Złośliwość, kłamstwo, upór, wszystko to było godne najsurowszej kary; ale tym razem nie panna Lambercier mi ją wymierzyła. Napisano do wuja: przybył. Mój biedny krewniak pozostawał pod zarzutem innego, nie mniej ciężkiego występku: objęto nas wspólną egzekucją. Była straszliwa.

[89] *Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

[90] *miast* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Gdyby, szukając lekarstwa w samym źródle złego, ktoś chciał na zawsze przytłumić me zbłąkane zmysły, nie mógłby się lepiej wziąć do dzieła. Od tego czasu zostawiły mnie długo w spokoju.

Nie było sposobu wydobyć ze mnie wyznania. Brany na kilkanaście zawodów[91] do kaźni i doprowadzony do najopłakańszego stanu, pozostałem niewzruszony. Byłbym przeniósł śmierć i byłem na nią zdecydowany. W końcu nawet siła musiała ustąpić wobec szatańskiego uporu dziecka; nie doświadczano już więcej mej stałości. Wyszedłem z okrutnej próby poszarpany na strzępy, ale tryumfujący.

Upłynęło blisko pięćdziesiąt lat od tej przygody i nie obawiam się już, aby mnie powtórnie ukarano; otóż, oznajmiam w obliczu nieba, że byłem niewinny. Nie złamałem ani nie dotykałem grzebienia, nie zbliżyłem się do blachy, nawet mi to w myślach nie postało. Niech nikt nie pyta, w jaki sposób stała się szkoda; nie wiem i nie pojmuję: to jedno wiem, że nie ja byłem winny.

Niech sobie teraz czytelnik wyobrazi charakter nieśmiały i łatwy w życiu codziennym, ale żarliwy, hardy, niezłomny w uczuciach; dziecko zawsze prowadzone rozsądkiem, słodyczą, wyrozumiałością, uprzejmością, które nawet nie miało pojęcia o istnieniu niesprawiedliwości i które pierwszy raz doznaje jej, i to w tak straszliwej postaci, ze strony osób, dotąd będących dlań przedmiotem czci i ukochania: co za przewrót! co za zamęt uczuć! co za wstrząs w sercu, w mózgu, w całej drobnej duchowej i moralnej istotce! Powiadam, niech sobie ktoś wyobrazi, o ile możebne, gdyż co do mnie, nie czuję się zdolny rozplątać ani pochwycić najmniejszego śladu tego, co się wówczas we mnie działo.

Krzywda

Nie miałem jeszcze dość zastanowienia, aby ocenić, do jakiego stopnia pozory mnie potępiały, i aby się postawić na miejscu drugich osób. Czułem jedynie okrucieństwo kary za zbrodnię, której nie popełniłem. Cierpienie fizyczne, jakkolwiek bolesne, mało mnie dotykało; czułem jedynie oburzenie, wściekłość, rozpacz. Mój krewniak, w położeniu mniej więcej podobnym, gdyż ukarano go za mimowolny błąd jak gdyby za czyn rozmyślny, wpadał we wściekłość za moim przykładem i dostrajał się do mego tonu. Leżąc w jednym łóżku, ściskaliśmy się konwulsyjnie, dławiliśmy się; i kiedy nasze młode ciałka, nieco przyszedłszy do siebie, mogły wyrazić swoje wzburzenie, podnosiliśmy się, wpół siadając na łóżku i krzyczeliśmy po sto razy ile tchu: „*Carnifex![92] carnifex! carnifex!*".

Czuję, pisząc to, dziś jeszcze, że puls wali mi jak młotem; te chwile będą mi zawsze przytomne, choćbym żył sto tysięcy lat. To pierwsze zetknięcie z gwałtem i niesprawiedliwością pozostało tak głęboko wyryte w mej duszy, że sama myśl o tym wprawia mnie w dawne wzruszenie. Uczucie to, zrodzone zrazu z pobudek osobistych, takiej nabrało mocy i tak oderwało się od osobistego interesu, iż serce moje rozpala się od widoku lub opowieści niesprawiedliwego postępku, na kimkolwiek i gdziekolwiek popełnionego, tak jakbym sam był jego ofiarą. Kiedy czytam o okrucieństwach tyrana, o matactwach przewrotnego klechy, gotów bym natychmiast zasztyletować nędznika, choćbym miał po stokroć zginąć. Nieraz zdyszałem się i spociłem cały, ciskając kamieniami za kogutem, krową, psem, jakimkolwiek zwierzęciem, które w moich oczach dręczyło drugie jedynie dlatego, iż czuło się silniejsze. Ten odruch jest może u mnie wrodzony i mniemam, że tak jest; ale wspomnienie pierwszej niesprawiedliwości z pewnością przyczyniło się znacznie do jego wzmocnienia.

Tu znaczy się kres mej dziecięcej pogody. Od tej chwili przestałem cieszyć się niezmąconym szczęściem i czuję dziś jeszcze, że wspomnienie uroków dzieciństwa kończy się tutaj. Zostaliśmy w Bossey jeszcze kilka miesięcy. Żyliśmy odtąd tak, jak nam malują pierwszego człowieka, gdy jeszcze mieszka w raju, ale już pozbawiony jego słodyczy. Na pozór, sytuacja ta sama, w istocie treść zupełnie odmienna. Przywiązanie, szacunek, ufność, swoboda wobec wychowawców zgasły. Nie patrzyliśmy już na nich jak na bogów, którzy czytają w sercach; mniej wstydziliśmy się złych uczynków, a bardziej lękali posądzenia; zaczęliśmy się kryć, udawać, kłamać. Zwykłe przywary skaziły dawną niewinność i wdzięk naszych zabaw. Wieś nawet straciła w naszych oczach urok słodyczy i prostoty; opustoszała i posępna, pokryła się jak gdyby oponą[93] przesłaniającą jej piękność. Przestaliśmy pielęgnować nasze ogródki, zioła, kwiaty. Nie spieszyliśmy już lekko rozdrapywać

[91] *zawód* (daw.) — tu: zmaganie się, staranie, próba dokonania czegoś. [przypis edytorski]
[92] *carnifex* (łac.) — oprawca, kat. [przypis edytorski]
[93] *opona* (daw.) — tkanina ochronna a. ozdobna. [przypis edytorski]

ziemię i krzyczeć z radości, odkrywając kiełek ziarna, któreśmy posiali. Zbrzydło nam to życie; myśmy zbrzydli wszystkim; wreszcie, wuj odebrał nas i tak rozstaliśmy się z państwem Lambercier, przesyceni sobą wzajem i niezbyt bolejąc nad rozłąką.

Przez blisko trzydzieści lat od mego rozstania się z Bossey nie zdarzyło mi się wspominać owego pobytu w sposób przyjemny i z pewnym skupieniem; ale od czasu gdy, przekroczywszy wiek dojrzały, pochyliłem się ku starości, czuję, że te właśnie wspomnienia odżywają w miarę zacierania się innych i utrwalają się w mej pamięci, zyskując na wdzięku i sile: jak gdybym, czując uciekanie życia, starał się je pochwycić u samych początków. Najmniejsze ówczesne zdarzenia radują mnie przez to jedynie, że są z tego czasu. Przypominam sobie wszystkie okoliczności tyczące miejsc, osób, godzin. Widzę pokojową albo służącego krzątających się po pokoju, jaskółkę wpadającą przez okno, muchę siadającą mi na ręce, gdy wydaję lekcje[94]; widzę całe umeblowanie naszego pokoju: gabinet pana Lambercier po prawej, sztych przedstawiający wszystkich papieży, barometr, kalendarz, krzaki malin pchające się do okien. Wiem, że czytelnik nie jest ciekaw tego wszystkiego, ale ja czuję potrzebę powiedzenia mu o tym. Czemuż nie śmiem opowiedzieć mu tak samo wszystkich drobnych wydarzeń tego błogiego czasu, który przyprawia mnie jeszcze o dreszcz szczęścia, kiedy go wspomnę! Kilka zwłaszcza... Ułóżmy się. Daruję wam resztę anegdot; chcę tylko jedną jedyną, byle mi wolno było opowiedzieć ją jak najobszerniej, aby przedłużyć chwile mej rozkoszy.

Gdyby mi chodziło tylko o waszą zabawę, mógłbym wybrać historię o kuperku panny Lambercier, który wskutek nieszczęśliwego koziołka w rów przydrożny ukazał się w całej okazałości królowi Sardynii w czasie jego przejazdu; ale historia orzecha na terasie[95] zabawniejsza jest dla mnie, który byłem jej aktorem, gdy przy owym koziołku byłem jedynie widzem; a przyznaję, że wcale nie było mi do śmiechu w chwili owego wypadku, który mimo iż sam w sobie komiczny, przejął mnie niepokojem o osobę tak drogą dla mnie jak matka, a może bardziej.

O wy, ciekawi czytelnicy wspaniałych dziejów orzecha, słuchajcie jego straszliwej tragedii i jeżeli zdołacie, wstrzymajcie się od drżenia!

Drzewo, Woda

Za bramą, po lewej ręce przy wjeździe, znajdowała się terasa, na której siadywało się często po obiedzie, ale która nie miała cienia. Aby temu zaradzić, pan Lambercier posadził tam orzech. Zasadzenie drzewa odbyło się z wielką uroczystością. Dwaj pensjonarze byli rodzicami chrzestnymi: gdy zasypywano wydrążenie w ziemi, my wśród tryumfalnych śpiewów trzymaliśmy, każdy jedną ręką, drzewo. Aby je podlewać, wyżłobiono dokoła, u jego stóp, małą sadzawkę. Mój krewniak i ja, żarliwi spektatorzy[96] tego codziennego podlewania, umacnialiśmy się w bardzo naturalnej idei, że zasadzenie drzewa jest czynem piękniejszym zgoła niż zatknięcie sztandaru na wyłomie; postanowiliśmy dostąpić sami tego zaszczytu, nie dzieląc go z nikim.

W tym celu ucięliśmy gałąź młodej wierzby i zasadziliśmy ją na tej samej terasie, o jakie dziesięć stóp od dostojnego orzecha. Nie zapomnieliśmy również wyżłobić dołka; trudność była w tym, że nie było go czym napełnić; wodę trzeba było nosić z dość daleka i nie pozwolonoby nam biegać po nią. Bądź co bądź, woda była niezbędnie potrzebna dla naszej wierzbiny. Rozwinęliśmy wszelakie chytrości, aby jej dostarczyć drzewku przez kilka dni; powiodło nam się tak dobrze, iż wnet ujrzeliśmy, jak wypuszcza listki, których wzrost śledziliśmy z godziny na godzinę, przekonani, jakkolwiek drzewko nie miało więcej niż stopę wysokości, iż niebawem użyczy nam cienia.

Ponieważ drzewko, pochłaniając całą naszą uwagę, czyniło nas niezdolnymi do wszelkiego zajęcia, do nauki i wprawiało nas w stan jakby oszołomienia, wzięto nas jeszcze krócej niż zwykle. Ujrzeliśmy tedy nieszczęsny moment, w którym braknie nam wody, i trawiliśmy się rozpaczą w oczekiwaniu chwili, gdy drzewko obumrze z posuchy. W końcu potrzeba, matka przemyślności, podsunęła nam wynalazek mogący zabezpieczyć drzewo i nas od nieuchronnej śmierci: przyszło nam do głowy wykopać pod ziemią kanał odprowadzający tajemnie do wierzby część wody, którą podlewano orzech. To przedsięwzięcie, wykonane z zapałem, nie powiodło się zrazu. Źle obliczyliśmy spadek,

[94] *wydawać lekcje* — recytować przed kimś zadany materiał lekcyjny. [przypis edytorski]
[95] *terasa* (daw.) — taras. [przypis edytorski]
[96] *spektator* (z łac.) — widz. [przypis edytorski]

tak iż woda nie spływała; ziemia odrywała się i zatykała kanał; otwór zaczopowywał się śmieciem, wszystko szło jak najgorzej. Nic nas nie zrażało: *Labor omnia vincit improbus*[97]. Pogłębiliśmy jeszcze nasz basen, aby ułatwić spadek; pokrajaliśmy pokrywki od pudełek w wąskie deseczki, z których jedne ułożone na płask rzędem, drugie zaś ustawione po dwóch stronach pod kątem stworzyły trójgraniasty kanał. Otwór zagrodziliśmy cienkimi patyczkami, ułożonymi na krzyż, tak iż tworząc rodzaj kraty, zatrzymywały muł i kamienie, a zostawiały odpływ dla wody. Pokryliśmy nasze dzieło troskliwie udeptaną ziemią i gdy wszystko było gotowe, czekaliśmy z drżeniem nadziei i obawy na godzinę podlewania. Po wiekach oczekiwania godzina ta wybiła nareszcie; pan Lambercier przyszedł, jak zwykle, asystować operacji, podczas której trzymaliśmy się za nim, aby ukryć nasze drzewko, do którego na szczęście odwrócony był plecami.

Zaledwie wlano w zagłębienie pierwsze wiadro, ujrzeliśmy, iż woda zaczyna spływać do naszego baseniku. Na ten widok ostrożność opuściła nas, zaczęliśmy wydawać okrzyki radości, które sprawiły, iż pan Lambercier się odwrócił; a szkoda: właśnie z przyjemnością stwierdzał, iż ziemia koło jego orzecha jest doskonała i bardzo chciwie pije wilgoć. Widząc ze zdumieniem, iż woda zasila aż dwa baseny, wydaje on z kolei krzyk, patrzy, spostrzega sztuczkę, każe co żywo przynieść łopatę, uderza nią w ziemię, rozbija w drzazgi parę deseczek i krzycząc wniebogłosy: „Akwedukt! Akwedukt!", zadaje niemiłosierne ciosy, z których każdy godził nas prosto w serce. W jednej chwili deseczki, kanał, basen, wierzba — wszystko zniszczone, zaorane! Przez czas tego straszliwego dzieła pan Lambercier nie wyrzekł ani słowa, prócz owego wciąż powtarzanego wykrzyknika: „Akwedukt! — wołał, łamiąc i niszcząc wszystko — Akwedukt! Akwedukt!"

Mógłby ktoś mniemać, iż przygoda skończyła się źle dla małych architektów. Wcale nie: wszystko ograniczyło się na tym. Pan Lambercier nie uczynił nam żadnej wymówki, nie skrzywił się nawet i nie mówił o tym więcej; słyszeliśmy nawet później, jak śmiał się na całe gardło rozmawiając z siostrą, śmiech bowiem pana Lambercier słychać było z daleka; a co jeszcze dziwniejsze, to iż my sami, skoro minęło pierwsze wzruszenie, nie byliśmy nadto zmartwieni. Zasadziliśmy gdzie indziej inne drzewo i przypominaliśmy sobie często katastrofę, powtarzając z emfazą: „Akwedukt! Akwedukt!". Dotąd miewałem od czasu do czasu napady dumy, kiedy byłem Arystydesem lub Brutusem: to był u mnie pierwszy odruch wyraźnej próżności. Zbudować naszymi rękami akwedukt, przeciwstawić mizerną gałązkę prawdziwemu drzewu — zdawało mi się najwyższym szczeblem chwały. W dziesiątym roku życia miałem o tym lepszy sąd niż Cezar w trzydziestym[98].

Wspomnienie tego orzecha i historyjka z nim związana utkwiła mi tak silnie w pamięci, iż jednym z najmilszych projektów w czasie podróży do Genewy w r. 1754 było iść do Bossey odwiedzić pamiątki zabaw dziecinnych, a zwłaszcza kochany orzech, który musiał liczyć wówczas trzecią część wieku. Byłem tak oblężony, tak mało byłem panem swego czasu, że nie mogłem znaleźć chwili dla zaspokojenia swych życzeń. Mało jest nadziei, aby sposobność nadarzyła się jeszcze; mimo to nie wyzbyłem się pragnienia i jestem prawie pewny, że gdybym kiedyś, wróciwszy do tych miejsc ukochanych, znalazł drogi orzech jeszcze przy życiu, zrosiłbym go gorącymi łzami.

Wróciwszy do Genewy, spędziłem parę lat u wuja, czekając, aby ze mną coś postanowiono. Ponieważ wuj przeznaczał syna do inżynierii, kazał go kształcić po trosze w rysunku i uczyć *Elementów* Euklida[99]. Przechodziłem i ja to wszystko dla towarzystwa i nabrałem zamiłowania zwłaszcza do rysunku. Tymczasem zastanawiano się, czy zrobić ze mnie zegarmistrza, adwokata czy pastora. Byłbym się zgodził na pastora, ponieważ prawienie kazań wydawało mi się rzeczą pełną powabu; ale szczupłe dziedzictwo po mat-

[97] *Labor omnia vincit improbus* (łac.) — ustawiczna praca zwycięża wszystko; cytat z *Georgik* (I, 145–146) Wergiliusza. [przypis edytorski]

[98] *W dziesiątym roku życia miałem o tym lepszy sąd niż Cezar w trzydziestym* — żartobliwe nawiązanie do militarnych dokonań i planów rzymskiego wodza i polityka Gajusza Juliusza Cezara (100–44 p.n.e.), który mając 26 lat objął dowództwo nad oddziałami rzymskimi w zaatakowanej przez króla Pontu Mitrydatesa VI Bitynii i odparł agresję; mając 32 lata jako kwestor prowincji planował zbrojne wystąpienie przeciw Rzymowi, jednak brakowało mu odpowiedniej armii. [przypis edytorski]

[99] *Euklid* a. *Euklides* (ok. 300 p.n.e.) — czołowy matematyk grecki; „ojciec geometrii", autor dzieła *Elementy*, do XIX w. będącego podstawowym podręcznikiem geometrii i wzorem ścisłości wykładu, w którym usystematyzował wiedzę matematyczną i jako pierwszy przedstawił ją w formie systemu wniosków z zaproponowanego przez siebie zestawu aksjomatów. [przypis edytorski]

ce, które trzeba było dzielić między mnie i brata, nie wystarczało na podjęcie długich studiów. Ponieważ wiek mój nie naglił jeszcze do wyboru, przebywałem czasowo u wuja, tracąc czas mniej więcej na niczym i płacąc, jak sprawiedliwość kazała, wcale przyzwoitą pensyjkę za utrzymanie.

Wuj, podobnie jak mój ojciec, człowiek lubiący żyć, tak samo nie umiał sobie zadawać przymusu i nie troszczył się o nas zbyt wiele. Ciotka, pogrążona w dewocji, wolała śpiewać psalmy niż czuwać nad naszym wychowaniem. Pozostawiono nam prawie zupełną swobodę, której nie nadużywaliśmy zresztą. Nierozłączni, wystarczaliśmy sobie wzajem; nie mając ochoty przestawać z urwisami w naszym wieku, nie nabraliśmy żadnej z przywar, które próżniactwo mogło nam było podszepnąć. Źle mówię właściwie, żeśmy próżnowali, w życiu bowiem pewno nie byliśmy bardziej czynni; a najszczęśliwsze było to, że wszystkie pochłaniające nas kolejno zabawy przykuwały nas do domu, tak że nie mieliśmy najmniejszej pokusy wychylać się na ulicę. Sporządzaliśmy klatki, flety, wolanty, bębny, domy, łodzie, proce. Psuliśmy narzędzia poczciwego dziadka, aby za jego wzorem robić zegarki. Mieliśmy zwłaszcza upodobanie w zasmarowywaniu papieru, rysowaniu, malowaniu, „iluminowaniu", przy czym w farbach sprawialiśmy istne spustoszenie. Przybył wówczas do Genewy szarlatan włoski, zwany Gamba-Corta; poszliśmy go zobaczyć i nie byliśmy oczarowani; ale miał marionetki, zaczęliśmy tedy sporządzać marionetki. Jego marionetki odgrywały coś w rodzaju komedii — i my zaczęliśmy układać komedie. Naśladowaliśmy, jakeśmy umieli, gardlany głos Poliszynela[100]. Dawaliśmy śliczne przedstawienia, których, w braku innej publiczności, musiała cierpliwie słuchać nieszczęśliwa rodzina. Raz znów wuj Bernard przeczytał w domu bardzo piękne kazanie własnego układu; w kąt komedie, zaczęliśmy układać kazania. Te szczegóły nie są zbyt interesujące, przyznaję, ale pokazują, jak nasze pierwsze wychowanie musiało być racjonalne, skoro teraz, rozrządzając niemal swobodnie czasem i sobą, w wieku tak niebezpiecznym, tak mało sililiśmy się nadużyć tej swobody. Nie czuliśmy potrzeby dobierania sobie towarzyszów; idąc na przechadzkę, spoglądaliśmy na ich zabawy bez pożądliwości, nie myśląc nawet, że moglibyśmy wziąć w nich udział. Przyjaźń wypełniała tak doskonale nasze serca, że wystarczyło nam być razem, aby najskromniejsze uciechy stawały się rozkoszą.

Nierozdzielność ta ściągnęła w końcu na nas uwagę; tym bardziej, iż wysoki wzrost krewniaka przy mojej małej figurce czynił z nas dość komiczną parę. Jego długa cienka postać, twarz podobna do gotowanego jabłka, łagodna mina, niedbały chód, wszystko to pobudzało dzieciaków do drwinek. W miejscowej gwarze dano mu przydomek *Barnâ Bredanna*; ledwie wyszliśmy z domu, wszędzie, gdzieśmy się ruszyli, słyszeliśmy natychmiast „Barnâ Bredanna". On znosił to spokojniej; ja złościłem się, chciałem się bić — tego właśnie pragnęli mali hultaje. Rozdawałem kuksańce, obrywałem je wzajem. Biedny krewniak wspomagał mnie jak mógł; ale był słaby, jedno uderzenie pięści waliło go na ziemię. Wówczas wpadałem we wściekłość. Wprawdzie, chociaż dostawało mi się sporo guzów, drwiny te mierzyły nie we mnie, lecz w Barnâ Bredanna, ale moja gwałtowność tak pogarszała sprawę, iż w końcu z obawy przed napaściami i prześladowaniem odważaliśmy się wychodzić jedynie w godzinach, gdy cała dzieciarnia była w szkole.

Otóż i znalazłem się w roli mściciela krzywd. Aby się stać doskonałym rycerzem, brakło mi jedynie damy; niebawem miałem aż dwie. Od czasu do czasu udawałem się do ojca do Nion, miasteczka w Vaud. Ojca bardzo tam kochano, a życzliwość ta spływała i na syna. W czasie tych krótkich pobytów pieszczono mnie i ugaszczano na wyścigi. Zwłaszcza niejaka pani de Vulson psuła mnie dobrocią, a jako szczyt wszystkiego córka jej wzięła mnie sobie za kawalera. Łatwo sobie wyobrazić rolę kawalera jedenastolatka wobec panny liczącej lat dwadzieścia dwa. Ale wszak te hultajki zawsze rade wysuwają na pierwszy plan takie małe laleczki, aby ukryć za nimi duże, albo też znęcić je obrazem igraszek, którym umieją dać odrobinę pieprzyku! Co do mnie, nie dostrzegałem wówczas tego niestosunku[101] i brałem rzecz poważnie: oddałem się jej całym sercem, a raczej całą głową, jedynie bowiem głową byłem zakochany, mimo iż zakochany byłem do szaleństwa,

[100] *Poliszynel* — jedna z charakterystycznych postaci włoskiej komedii *dell'arte*, zwykle występująca z kogucim piórem, charakteryzująca się złośliwością, nieuprzejmością i egoizmem. [przypis edytorski]

[101] *niestosunek* (daw.) — brak odpowiedniości, należytej proporcji. [przypis edytorski]

a moje uniesienia, wybuchy, gniewy wyładowywały się w scenach, na które patrząc, można było umrzeć ze śmiechu.

Znam dwa rodzaje miłości, wyraźnie zarysowane, bardzo realne i niemające z sobą niemal nic wspólnego, jakkolwiek oba są bardzo żywe i różne od tkliwej przyjaźni. Cały bieg mego życia dzielił się między te dwie miłości tak odmiennej przyrody, a nawet zdarzyło mi się doświadczyć obu naraz. I tak na przykład w chwili, o której mówię, gdy zajmowałem się panną de Vulson tak publicznie i tak tyrańsko, iż nie mogłem ścierpieć zbliżenia się do niej drugiego mężczyzny, równocześnie miewałem z niejaką małą Goton sam na sam krótkie, ale dość żywe, w których ona raczyła obejmować rolę surowej mentorki. To było wszystko, co od niej uzyskałem; ale to wszystko, które w istocie było wszystkim dla mnie, zdawało mi się najwyższym szczęściem. W ten sposób, rozumiejąc już, jakkolwiek po dziecinnemu, wartość tajemnicy, odpłacałem pannie de Vulson, bez żadnego podejrzenia z jej strony, chytrość, z jaką posługiwała się mną dla pokrycia innych uczuć. Ku wielkiemu memu żalowi sekret mój albo odkryto, albo też moja mała mistrzyni mniej ściśle go strzegła ode mnie, niebawem bowiem rozdzielono nas.

Ta mała Goton była to doprawdy szczególna osóbka. Nie będąc ładną, miała w sobie coś takiego, iż trudno ją było zapomnieć; do tego stopnia, iż wspominam ją dotąd jeszcze, często o wiele żywiej, niżby staremu szaleńcowi przystało. Oczy jej, figurka, wzięcie[102], wszystko wyprzedzało o wiele jej lata. Miała minkę rozkazującą i dumną, bardzo właściwą dla jej roli ze mną, i to może podsunęło nam pomysł naszych igraszek. Ale co było w niej najdziwniejsze, to jakieś pomieszanie zuchwalstwa i skromności, trudne w istocie do pojęcia. Pozwalała sobie ze mną na najdalej idące poufałości, nie dopuszczając mnie do żadnej; traktowała mnie jak dziecko, co każe mi przypuszczać, że sama albo nim przestała być, albo, przeciwnie, była nim tak bardzo, iż w niebezpieczeństwie, z którym igrała, widziała tylko zabawę.

Mogę rzecz, iż należałem cały do każdej z tych dwóch istot, i to tak doskonale, że przy żadnej z nich nie zdarzyło mi się pomyśleć o drugiej. Ale poza tym uczucia, jakie budziły we mnie, były najzupełniej różne.

Byłbym spędził życie całe przy pannie de Vulson bez myśli o rozstaniu; ale kiedym ją oglądał, radość moja była spokojna i nie dochodziła do wzruszenia. Lubiłem ją zwłaszcza w większym towarzystwie: żarty, przekomarzania, wybuchy zazdrości nawet przywiązywały mnie, pochłaniały; dumny byłem z przywilejów, jakich zażywałem u niej wobec dorosłych rywali, którymi zdawała się pomiatać. Dręczyłem się, ale kochałem tę udrękę. Przyklaskiwania, zachęty, śmiechy, rozpalały mnie, podniecały. Przy ludziach byłem zdolny do uniesień, wybuchów, płonąłem miłością; sam na sam byłbym sztywny, oziębły, może znudzony. Mimo to brałem tkliwy udział we wszystkim, co jej tyczyło; cierpiałem, gdy była chora, byłbym oddał dla niej własne zdrowie; a zważcie, że wiedziałem dobrze z doświadczenia, co to choroba, a co zdrowie. Z oddali — myślałem o niej, brakowało mi jej; przy jej boku — pieszczoty dawały słodycz memu sercu, a nie zmysłom. Poufałość nasza była dla mnie bez niebezpieczeństwa: wyobraźnia moja zaspakajała się tym, na co ona sama mi pozwalała; mimo to nie umiałbym ścierpieć, gdybym widział, iż tą samą łaską obdarza kogoś drugiego. Kochałem ją jak brat, ale zazdrosny byłem jak kochanek.

O pannę Goton byłbym zazdrosny jak Turek, jak szaleniec, jak tygrys, gdyby mi nawet w myśli postało, że mogłaby innemu użyczyć względów, którymi mnie obdarzała, gdyż nawet to było łaską, o którą musiałem błagać na kolanach. Zbliżałem się do panny de Vulson z przyjemnością, ale bez niepokoju; na sam widok panny Goton w oczach mi się ćmiło, zmysły me kipiały. Czułem się swobodny z pierwszą, mimo iż trzymany na odległość; wobec drugiej, przeciwnie, nawet podczas najpoufalszych zbliżeń byłem drżący i pomieszany. Sądzę, że gdybym z nią przebywał nadal, nie pożyłbym długo; wzruszenia, jakie przechodziłem, byłyby mnie zdławiły. Lękałem się jednako popaść w niełaskę u obydwu; ale objawiało się to większą przymilnością wobec jednej, większą uległością wobec drugiej. Za nic w świecie nie byłbym chciał pogniewać panny de Vulson; ale gdyby panna Goton kazała mi się rzucić w płomienie, sądzę, iż usłuchałbym w tejże chwili.

Miłostki albo raczej schadzki nasze trwały krótko, szczęściem dla obojga. Jakkolwiek stosunki z panną de Vulson nie groziły niebezpieczeństwem, i one, po dłuższym nieco

[102] *wzięcie* (daw.) — postać i sposób poruszania się. [przypis edytorski]

trwaniu, skończyły się katastrofą. Wszystkie te finały zawsze musiały mieć coś romantycznego, patetycznego. Jakkolwiek stosunek mój z panną de Vulson był mniej żywy, głębiej może sięgał w sferę uczuć. Rozstania nasze nigdy nie obyły się bez łez, po każdym czułem przygnębiającą pustkę. Nie umiałem mówić ani myśleć o czym innym, żałość moja była żywa i szczera; ale podejrzewam, że w głębi te heroiczne żale nie wszystkie odnosiły się do niej i że, bez mej świadomości, zabawy, których ona była ośrodkiem, też grały pewną rolę. Aby złagodzić nasze cierpienia, pisywaliśmy do siebie listy, których patos byłby zdolny zmiękczyć skały. Wreszcie dożyłem tej chluby, iż nie mogła znieść dłużej rozłąki i przybyła mnie odwiedzić. Teraz zawróciło mi się w głowie do reszty: byłem pijany, oszalały przez całe dwa dni jej pobytu.

Kiedy odjechała, chciałem się rzucić za nią w wodę, długo rozdzierałem powietrze krzykami rozpaczy. W tydzień później posłała mi cukierki i rękawiczki; byłbym wzruszony tą uprzejmością i dobrocią, gdybym równocześnie nie dowiedział się, że wyszła za mąż i że ta jej podróż, którą pozwoliła mi się puszyć, miała za cel przedślubne sprawunki. Nie będę opisywał mej wściekłości, można ją sobie wyobrazić. W szlachetnym gniewie przysiągłem sobie nie oglądać na oczy przewrotnej istoty, nie mogąc wyroić straszliwszej kary. Nie zabiło jej to; w dwadzieścia lat potem, bawiąc raz u ojca i pływając z nim po jeziorze, kiedy go spytałem, kto są panie, które zauważyłem opodal w łódce, ojciec rzekł z uśmiechem: „Jak to, serce ci nic nie mówi? To twoja dawna miłość: pani Cristin, z domu de Vulson". Zadrżałem na to imię prawie zapomniane, ale kazałem skierować łódź gdzie indziej, nie uważając — mimo iż sposobność odwetu była niezła — aby warto było łamać przysięgę i wskrzeszać zwady sprzed lat dwudziestu z kobietą czterdziestoletnią.

(1723–1728). W ten sposób spływały na głupstwach najcenniejsze lata, zanim postanowiono wreszcie o mym powołaniu. Po długich naradach i dociekaniu mych naturalnych skłonności obrano karierę, do której ich miałem najmniej. Umieszczono mnie u pana Masseron, pisarza miejskiego, abym, jak powiadał wuj Bernard, wykształcił się przy nim w pożytecznym rzemiośle kauzyperdy[103]. Ten przydomek bardzo mi się nie podobał; nadzieja ciułania talarów na tej obmierzłej drodze zbyt mało pochlebiała mej niebotycznej dumie, zatrudnienie zdało mi się nudne, nieznośne; przymus, zależność zraziły mnie do reszty. Wchodziłem do kancelarii z odrazą wzmagającą się co dzień. Pan Masseron znowuż, niezbyt zadowolony z ucznia, odnosił się do mnie z pogardą, wyrzucając wciąż, że wuj zaręczył mu, że umiem to, że umiem owo, gdy w istocie nie umiem nic; że przyrzekł mu sprytnego chłopca, a dał koronnego osła. Wreszcie przepędzono mnie sromotnie z powodu niezdarności, dependenci[104] zaś pana Masseron orzekli, że nadaję się jedynie do władania pilnikiem.

W ten sposób rozstrzygnęło się moje powołanie. Oddano mnie do terminu; nie do zegarmistrza, ale do rytownika. Lekceważenie pana pisarza zdeptało mą dumę; poddałem się bez szemrania. Mój pryncypał[105], pan Ducommun, był to młody człowiek nieokrzesany i gwałtowny. W bardzo krótkim czasie udało mu się zetrzeć cały blask mego dzieciństwa, pognębić kochający i żywy charakter i ściągnąć mnie, tak umysłem jak dolą, do stanu prawdziwego terminatora. Łacina, starożytność, historia, wszystko poszło na długo w zapomnienie: nie pamiętałem, czy w ogóle byli jacy Rzymianie na świecie. Ojciec, gdy mi się go zdarzyło odwiedzić, nie widział już we mnie przedmiotu ubóstwienia; przestałem być dla dam przymilnym Kubusiem. Czułem tak dobrze, że państwo Lambercier nie poznaliby we mnie swego ucznia, że wstyd by mi było się im pokazać: jakoż nie widziałem ich już od tego czasu. Najszpetniejsze upodobania, najniższego gatunku hultajstwo zajęło miejsce lubych igraszek, tak iż nawet pamięć ich mi nie została. Musiałem, mimo najstaranniejszego wychowania, mieć wielką skłonność do zwyrodnienia, wszystko to bowiem stało się szybko i bez cienia oporu. Nigdy chyba tak przedwczesny Cezar nie zmienił się tak szybko w Larydona[106].

[103] *kauzyperda* (pot.) — prawnik (zwykle: nieudolny, od łac. *causam perdere*, tj. przegrać sprawę). [przypis edytorski]

[104] *dependent* — praktykant u adwokata lub notariusza. [przypis edytorski]

[105] *pryncypał* (daw.) — zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

[106] *Larydon* — aluzja do bajki La Fontaine'a *Wychowanie* (VIII, 24), w której dwa psy z jednego miotu, Cezar i Larydon, zostają odmiennie wychowane: pierwszy do polowań w lesie, drugi do łatwego życia i wygód w kuchni; Cezar wydaje gromadkę dzielnego potomstwa, Larydon ginie pod płotem. [przypis edytorski]

Zawód sam przez się nie był odpychający. Miałem zamiłowanie do rysunku, robota rylcem też dosyć mnie bawiła; że zaś kunszt rytownika w zegarmistrzostwie jest bardzo ograniczony, miałem nadzieję, iż z czasem posiędę go w całej pełni. Byłbym może do tego doszedł, gdyby brutalność majstra i straszliwa niewola nie zmierziły mi pracy. Odkradałem jej mój czas, aby go obracać na zatrudnienia[107] tego samego rodzaju, ale mające dla mnie urok swobody. Rytowałem medale służące mnie i towarzyszom jako rodzaj odznaki rycerskiej. Pryncypał zdybał mnie przy tej kontrabandzie i oćwiczył niemiłosiernie, powiadając, że zaprawiam się do fałszerstwa, bo medale miały herby rzeczypospolitej. Mogę przysiąc, że nie miałem żadnego pojęcia o fałszywej monecie, a bardzo słabe o prawdziwej; lepiej wiedziałem, jak się wyrabia asy[108] rzymskie niż nasze trzygroszówki.

Tyrania majstra doprowadziła mnie w końcu do znienawidzenia pracy, którą byłbym inaczej polubił, i zaszczepiła mi przywary, których byłbym nienawidził, jak kłamstwo, próżniactwo, kradzież. Nic bardziej nie ujawniło mi różnicy między synowską uległością a służalczą niewolą niż pamięć przemian, jakie sprowadziła we mnie ta epoka. Z natury byłem nieśmiały i wstydliwy; ze wszystkich wad najbardziej może było mi obce zuchwalstwo. Ale wprzód cieszyłem się godziwą swobodą, która teraz stopniowo ścieśniała się, aż w końcu zupełnie znikła. Czułem się śmiały w domu ojca, swobodny u pana Lambercier. U wuja stałem się oględny i uważający; w terminie zastrachany; odtąd byłem straconym chłopakiem. Nawykły żyć ze zwierzchnikami na równej stopie, nie widząc przyjemności, która by mi nie była dostępna, potrawy, której bym nie skosztował, pragnienia, którego bym wraz nie objawił, gotów zawsze spowiadać się z każdego drgnienia serca, można sobie wyobrazić, czym musiałem się stać w tym domu, gdzie nie śmiałem ust otworzyć, gdzie trzeba mi było wstawać od stołu w połowie posiłku, a wychodzić z pokoju, gdy nie byłem zatrudniony; gdzie, wciąż przykuty do pracy, patrzyłem na swobodę i uciechy drugich, gdy dla mnie zostawały same wyrzeczenia. Widok swobody majstra i czeladników powiększał brzemię upodlenia i niewoli; wszystko, com ujrzał, stawało mi się przedmiotem pożądania, bo wszystkiego byłem pozbawiony. Bywaj zdrów, dostatku, i ty, wesołości, bywajcie zdrowe, dowcipne słówka, które niegdyś w razie przewinienia nieraz ratowały mnie od kary. Dotąd śmieszy mnie wspomnienie, jak jednego wieczora, u ojca, kiedy za jakąś psotę kazano mi iść spać bez wieczerzy i kiedym przechodził przez kuchnię, trzymając w ręku żałosny kawałek chleba, ujrzałem i poczułem pieczyste obracające się na różnie. Wszyscy siedzieli koło ognia, trzeba było się pożegnać. Kiedy już obszedłem całe koło, wówczas, zerkając spod oka na owo pieczyste, wyglądające tak apetycznie i pachnące tak smakowicie, nie mogłem się wstrzymać, aby mu się również nie pokłonić i nie powiedzieć smętnym głosikiem: „Dobranoc, pieczyste". Ten wyskok naiwności wywołał taką uciechę, że pozwolono mi zostać. Może podobne słówko miałoby powodzenie i w domu majstra, ale to pewna[109], że nie przyszłoby mi na myśl i że nie ośmieliłbym się dać mu folgi.

Oto jak nauczyłem się pragnąć w milczeniu, ukrywać się, udawać, kłamać, a wreszcie i łasować: przywara, która do tego czasu była mi obcą, a z której odtąd nigdy nie mogłem się zupełnie wyleczyć. Oto czemu wszyscy lokaje są łasuchy i czemu wszyscy chłopcy w terminie powinni by nimi zostać; ale ci, przy równym i spokojnym zajęciu, nienarażeni na pokusy pożądania, wyzbywają się z wiekiem tej haniebnej skłonności. Nie zaznawszy tego szczęścia, nie mogłem odczuć i jego dobroczynnych skutków.

Pierwszy krok do złego wynika prawie zawsze u dzieci z dobrych skłonności źle pokierowanych. Mimo nieustannych wyrzeczeń i pokus, przebyłem rok w terminie, nie mogąc się zdobyć na to, aby coś ściągnąć, nawet coś do jedzenia. Pierwsza kradzież była dziełem uczynności, ale otwarła drogę innym, które nie miały tak chwalebnych pobudek.

Kradzież
Złodziej

Był u majstra czeladnik nazwiskiem Verrat, przy którego domu, w sąsiedztwie, znajdował się ogród dość rozległy, dający piękne szparagi. Otóż imćpanu Verrat, który nie miał do zbytku pieniędzy, przyszła ochota ukraść matce nieco wczesnych szparagów, aby sprzedawszy tę nowalię, obrócić zysk na parę dobrych śniadanek. Ponieważ sam nie miał ochoty się narażać i nie był dość zwinny, wybrał na tę ekspedycję mnie. Po wstępnych uprzejmościach, które zjednały mnie tym skuteczniej, ile że nie rozumiałem ich celu,

[107] *zatrudnienie* (daw.) — zajęcie, czynność. [przypis edytorski]
[108] *as* — tu: drobna moneta rzymska. [przypis edytorski]
[109] *pewna* (daw.) — skrócone: rzecz pewna; dziś: pewne. [przypis edytorski]

poddał mi ów pomysł, który jakoby przyszedł mu nagle do głowy. Opierałem się długo; nastawał. Nie umiałem się nigdy oprzeć prośbom i pieszczotom: uległem. Chodziłem co rano wybierać najpiękniejsze szparagi; zanosiłem je na targ, gdzie jakaś kupczycha, zgadując, że towar jest skradziony, mówiła mi to w żywe oczy, aby uzyskać tańszą cenę. W przerażeniu brałem, co mi raczyła dać, i odnosiłem pieniądze imćpanu Verrat. Przeobrażało się to szybko w śniadanko, którego ja byłem dostawcą, a które dzielił z innym czeladnikiem. Co do mnie, byłem rad, gdy przypadło mi parę ochłapów, nie mówiąc o winie, którego nie skosztowałem ani kropelki.

Ta sztuczka ciągnęła się kilka dni, w czasie których nie przyszło mi nawet na myśl okraść samego złodzieja i nałożyć panu Verrat dziesięcinę od ceny jego szparagów. Wywiązywałem się z mego łajdactwa z wzorową uczciwością; jedyną mą pobudką było wygodzić temu, kto mnie do niego używał. Gdyby mnie odkryto, ileż kijów, obelg byłoby na mnie spadło, gdy nędznik byłby się wyparł spokojnie i uwierzono by mu na słowo: był czeladnikiem, ja tylko terminatorem! Oto jak w każdym stanie silny zbrodniarz wychodzi cało kosztem niewinnego słabeusza.

Dowiedziałem się w ten sposób, że kraść to rzecz nie tak straszna, jak dotąd myślałem; niebawem zacząłem stosować mą umiejętność tak gorliwie, że żaden łakomy przedmiot, o ile znalazł mi się pod ręką, nie był bezpieczny. Żywiono mnie u majstra nieźle; wstrzemięźliwość była mi tylko przez to tak przykra, iż on sam w moich oczach przekraczał często jej granice. Zwyczaj wyprawiania od stołu chłopców, w chwili gdy się podaje potrawy najbardziej im ponętne, jest moim zdaniem bardzo skuteczny, aby z nich zrobić łakomców i złodziei. Stałem się w krótkim czasie jednym i drugim i wcale mi się z tym dobrze działo na co dzień, bardzo źle natomiast od czasu do czasu, gdy mnie złapano na gorącym uczynku.

Kradzież

Jest wspomnienie, które przyprawia mnie wraz o śmiech i o dreszcze, mianowicie wyprawa na jabłka, bardzo smutna w następstwach. Te jabłka znajdowały się w spiżarni, do której za pomocą wysoko umieszczonego okienka przedostawało się światło dzienne z kuchni. Jednego dnia, znalazłszy się sam w domu, wdrapałem się na gzyms, aby obejrzeć w owym ogrodzie Hesperyd[110] cenny owoc, do którego droga była mi zamknięta. Poszedłem po rożen, aby się przekonać, czy z jego pomocą nie można by tam sięgnąć; okazał się za krótki. Przedłużyłem go za pomocą drugiego rożenka, który służył dla drobniejszej zwierzyny: pryncypał lubił polowanie. Żgnąłem parę razy bez skutku, w końcu uczułem, iż złowiłem jabłko. Pociągnąłem ostrożnie: już, już było przy samym otworze, już miałem je pochwycić. Któż opisze mą boleść? Jabłko było za duże, nie mogło przeleźć przez dziurę. Ileż wynalazczości, aby je wydobyć! Trzeba było znaleźć podpórki, aby utrzymać rożen w niezmienionej pozycji, nóż dość długi, aby pokrajać jabłko, deszczułkę, aby je podtrzymać. Z dużym nakładem zręczności i czasu udało mi się je poćwiartować, w nadziei, iż wydobędę je po kawałku; ale ledwo rozpadło się na części, obie połówki runęły na dno spiżarki. Litościwy czytelniku, użal się mego strapienia!

Nie straciłem zapału, ale straciłem wiele czasu. Lękałem się, by mnie nie zaskoczono; odłożyłem do następnego dnia szczęśliwszą próbę i zabrałem się najspokojniej do roboty, nie myśląc o dwóch niedyskretnych świadkach, leżących jako akt oskarżenia na podłodze spiżarki.

Nazajutrz tedy, upatrzywszy sposobność, rozpoczynam nową próbę. Wchodzę na drabinkę, wsuwam rożen, celuję: już byłem bliski trafienia zdobyczy... Niestety, smok nie spał: drzwi spiżarni otwierają się nagle i wychodzi z nich pryncypał, spogląda na mnie z założonymi rękami i mówi: „Tylko śmiało!..." Tu pióro wypada mi z ręki.

Złodziej

Niebawem oswoiłem się ze złym obchodzeniem i z wszelkimi karami. Stałem się na nie mniej wrażliwy: wydawały mi się po prostu rodzajem haraczu od kradzieży, który upoważnia mnie niejako do jej uprawiania. Miast obracać oczy wstecz i myśleć o karze, obracałem je wprzód i myślałem o pomście. Skoro mnie bito jak hultaja, uważałem, że mam prawo nim być. Mniemałem, że kraść i brać kije, to rzeczy, które idą razem i stanowią rodzaj rzemiosła; wypełniając tedy część tego zawodu, która zależała ode mnie, zostawiałem pryncypałowi troskę o spełnienie drugiej części. Umocniony tym poglą-

[110] *Hesperyd ogród* (mit. gr.) — ogród pilnowany przez siostry Hesperydy, nimfy zachodzącego słońca, w którym rosła jabłoń rodząca złote jabłka; jej owoce miał zdobyć Herakles. [przypis edytorski]

dem, uprawiałem kradzież z większym spokojem niż poprzednio. Mówiłem sobie: „Cóż mi się wreszcie stanie? Dostanę kije. Niech i tak będzie, toć moje przeznaczenie i moja rola".

Lubię jeść, nie będąc żarłoczny: jestem więcej zmysłowcem[111] niż smakoszem. Zbyt wiele innych zamiłowań odciąga mnie od tej namiętności. Interesowałem się mym podniebieniem jedynie wtedy, gdy serce było bezczynne, a to zdarzało mi się w życiu tak rzadko, że niewiele miałem czasu myśleć o smakołykach. Oto czemu nie długo ograniczałem moje hultajstwa do wiktuałów i rozciągnąłem je niebawem na wszystko, co mnie nęciło; jeśli nie stałem się formalnym złodziejem, to dlatego, że nigdy nie kusiły mnie pieniądze. We wspólnym warsztacie, majster miał osobny warsztacik zamykany na klucz; znalazłem sposób otwierania drzwiczek i zamykania ich z powrotem tak, żeby nikt nie spostrzegł. Tam gospodarowałem sobie w jego przednich narzędziach, najlepszych rysunkach, formach, we wszystkim, co budziło we mnie pożądliwość, a co on starał się chować przede mną. W gruncie, kradzieże te były bardzo niewinne, boć rezultat ich szedł ostatecznie na dobro pryncypała; ale radość sprawiało mi mieć te drobiazgi, zdawało mi się, że kradnę sam talent wraz z jego wytworami. Poza tym, były tam skrzynki z odpadkami złota i srebra, klejnociki, rzadkie pieniądze. Jeżeli miałem kiedy parę groszaków w kieszeni, to było dużo, mimo to nie tylko nie ruszyłem nigdy tych skarbów, ale nie przypominam sobie nawet, abym je kiedy obrzucił pożądliwym spojrzeniem: widok ich budził we mnie więcej grozy niż przyjemności. Pewien jestem, że tę grozę przed kradzieżą pieniędzy i wszystkiego, co można na nie zmienić, zawdzięczałem wychowaniu. Łączyły się z tym pojęcia hańby, więzienia, kary, szubienicy, które wystarczały, aby mnie przerazić gdybym nawet czuł pokusę; gdy zwykłe moje nadużycia zdały mi się jeno psotą i w istocie nie były czym innym. Wszystko, co mi groziło za nie, to jedynie porządne wały z ręki majstra, a z tym godziłem się z góry.

Ale, jeszcze raz powtarzam, nie czułem nawet pokusy na tyle, abym się musiał wstrzymywać; nie było tu walki. Arkusik ładnego papieru do rysowania kusił mnie więcej niż pieniądz, za który mógłbym dostać całą ryzę. Ta właściwość charakteru tak wielki miała wpływ na moje postępowanie w wielu okolicznościach, że trzeba mi ją wytłumaczyć.

Podlegam namiętnościom bardzo gorącym: podczas ich działania, gwałtowność moja dochodzi wręcz ostatecznych granic. Nie znam wówczas ani względów, ani szacunku, ani obawy, ani przyzwoitości; jestem cyniczny, bezczelny, brutalny, nieustraszony; nie ma hańby, która by mnie mogła wstrzymać, niebezpieczeństwa, które by mnie przestraszyło; poza jednym przedmiotem, który mnie pochłania, świat dla mnie nie istnieje. Ale to trwa tylko moment; w chwilę potem, popadam w bezwład i obojętność.

W stanie spokoju jestem bezgranicznie bierny, trwożliwy nawet; wszystko mnie uraża, mrozi; mucha zdolna jest mnie wystraszyć. Jedno słowo, jeden gest stanowią dla mego lenistwa nieprzeparty wysiłek; wstyd i obawa paraliżują mnie tak, że rad bym ukryć się przed całym światem. Gdy trzeba działać, nie wiem, co robić; gdy trzeba się odezwać, nie wiem, co mówić; kiedy na mnie patrzą, czuję się zbity z tropu. Porwany uniesieniem, umiem niekiedy znaleźć wyrazy; ale w zwyczajnej rozmowie nie znajduję nic, zupełnie nic i każda rozmowa jest mi nieznośna przez to samo, że zmuszony jestem mówić.

Zważcie przy tym, iż żadne z mych zasadniczych upodobań nie opiera się na rzeczach *do kupienia*. Trzeba mi rozkoszy czystych, a pieniądz każdą zatruwa. Lubię na przykład Pieniądz
uciechy stołu; ale nie mogąc ścierpieć ani przymusu wykwintnego towarzystwa, ani plugastwa traktierni[112], umiem ich kosztować jedynie z przyjacielem; sam nie, wówczas bowiem wyobraźnię moją zaprząta co innego i nie znajduję w jedzeniu żadnej przyjemności. O ile moja wrząca krew domaga się kobiet, o tyle tkliwe serce jeszcze silniej domaga się miłości. Kobiety nabyte za pieniądze straciłyby dla mnie cały urok; wątpię nawet, czy przemógłbym na sobie to, aby z nich korzystać. Tak samo z każdą przyjemnością: jeżeli związana jest z zapłatą, wydaje mi się bez smaku. Lubię tylko te słodycze, które nie należą do nikogo, a raczej do pierwszego z brzegu umiejącego je smakować.

Nigdy pieniądz nie wydawał mi się rzeczą tak cenną, za jaką go uważają. Co więcej, Pieniądz
nigdy nie wydał mi się przedmiotem zbyt poręcznym; nie służy do niczego sam przez

[111] *więcej zmysłowcem* — dziś popr.: bardziej zmysłowcem. [przypis edytorski]
[112] *traktiernia* (daw.) — podrzędna restauracja; jadłodajnia. [przypis edytorski]

się, trzeba go dopiero zmienić na coś, aby się nim cieszyć; trzeba kupować, targować się, często być oszukanym, dobrze płacić za lichą usługę. Pragnę, aby każda rzecz była w dobrym gatunku — za pieniądze mogę być pewny, że dostanę lichą. Płacę drogo za świeże jajko, okazuje się zleżałe; za piękny owoc, jest zielony; za dziewczynę, jest zarażona. Lubię dobre wino, ale gdzie go szukać? U handlarza? Co bądź bym czynił, zawsze mnie struje. Pragnę za wszelką cenę być dobrze obsłużony; co tu trudności, kłopotów! Starać się o przyjaciół, sekretarzy, dawać zlecenia, pisać, chodzić, jeździć, czekać — i często w końcu być oszukanym. Co tu utrapień za własne pieniądze! Lękam się ich jeszcze więcej, niż lubię dobre wino.

Tysiąc razy, za czasu terminatorstwa i później, zdarzyło mi się wyjść z domu w zamiarze kupienia łakoci. Zbliżam się do cukierni, spostrzegam jakieś kobiety przy ladzie; już widzę jak się śmieją i żartują z małego łakotnisia. Przechodzę koło owocarki, zerkam na piękne gruszki, nęci mnie ich zapach; ale sterczy w pobliżu paru młodych ludzi i patrzą; ktoś kto mnie zna stoi przed sklepem! Widzę z daleka nadchodzącą dziewczynę; czy to nie służąca z sąsiedztwa? Krótki wzrok nastręcza mi mnóstwo sposobności do złudzeń. Każdy przechodzień wydaje mi się znajomy; wszędzie mnie coś onieśmiela, wszędzie jakaś przeszkoda; rośnie wstyd wraz z pragnieniem i bierze nad nim górę; wreszcie wracam do domu jak głupiec, trawiony pożądaniem, mając w kieszeni środki i nie śmiejąc sobie nic kupić.

Musiałbym wchodzić w najgłupsze szczegóły, gdybym chciał malować wstyd, odrazę, utrapienia, wszelakiego rodzaju ohydy, których zawsze doznawałem, gdy chodziło o wydanie własnych pieniędzy dla siebie czy dla drugich. W miarę jak, zapuszczając się ze mną w moje życie, czytelnik zapozna się z mym charakterem, odczuje sam wszystko, bez potrzeby rozwodzenia się nad tym z mej strony.

To pojąwszy, każdy będzie mógł pojąć bez trudu jedną z mych rzekomych sprzeczności: połączenie brudnego niemal skąpstwa z największą pogardą pieniędzy. Jest to rzecz dla mnie tak nieporęczna, że nawet mi się nie śni pożądać pieniędzy, których nie mam; a kiedy je mam, długo je przechowuję bez użytku, w niemożności zużycia ich wedle ochoty. Ale niech tylko się nadarzy przyjemna sposobność, korzystam z niej tak sumiennie, że sakiewka opróżnia się w mgnieniu oka. Nie szukajcie też we mnie zwykłego narowu skąpców, to znaczy wydatków dla popisu; wręcz przeciwnie, wydaję potajemnie i dla przyjemności. Daleki od szukania w wydatkach chluby, kryję się z nimi. Czuję tak dobrze, że pieniądz jest nie dla mnie, że niemal wstyd mi jest go posiadać, a bardziej jeszcze zeń korzystać. Gdybym kiedy posiadał dochód wystarczający, aby żyć dostatnio, nie miałbym żadnej skłonności do skąpstwa, tego jestem pewny; wydawałbym moje dochody, nie starając się ich mnożyć. Ale moje położenie, trudne i niepewne, trzyma mnie w nieustannej obawie. Ubóstwiam swobodę; mam wstręt do skrępowania, do trudu, niewoli. Póki trwają pieniądze w sakiewce, póty trwa i niezależność: uwalniają mnie od gonienia za zarobkiem, co zawsze wstręt budziło we mnie. Lękając się tedy, iż niebawem się wyczerpią, duszę je. Pieniądz, który człowiek posiada, to swoboda; ten, za którym goni — to niewola. Oto czemu, kiedy je mam, duszę je, nie pragnąc niczego.

Moja bezinteresowność jest więc tylko lenistwem; przyjemność posiadania nie jest warta zabiegów. I rozrzutność moja płynie z lenistwa; kiedy nadarzy się sposobność przyjemnego strwonienia, korzystam z niej co żywo! Mniej kuszą mnie pieniądze niż same przedmioty, między pieniądzem bowiem a posiadaniem jest zawsze coś pośredniego; między samą rzeczą a jej użyciem — nie. Gdy widzę *przedmiot*, kusi mnie on; co inne, gdy widzę jedynie środek do nabycia go. Byłem tedy łasuchem i teraz jeszcze zdarza mi się przywłaszczyć sobie jakiś drobiazg, który mnie nęci i który łatwiej mi wziąć, niż o niego prosić: ale, w dzieciństwie czy później, nie przypominam sobie, abym sobie przywłaszczył bodaj grosz cudzy, poza jednym jedynym razem, niespełna przed piętnastu laty, kiedy zdarzyło mi się ukraść siedem funtów[113] i dziesięć su[114]. Przygoda warta jest, aby ją opowiedzieć, mieści bowiem tak nieocenione połączenie bezczelności i głupoty, że trudno by mi samemu w nią uwierzyć, gdyby dotyczyła kogo innego, nie mnie.

[113] *funt* — tu jako pieniądz francuski: liwr (fr. *livre*), jednostka obrachunkowa i moneta używana w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

[114] *su*, właśc. *sou* (fr.) — daw. drobna moneta francuska, o wartości 1/20 liwra (funta). [przypis edytorski]

Było to w Paryżu. Przechadzałem się, około piątej, z panem de Francueil w Palais-Royal[115]. Pan de Francueil wyjmuje zegarek, spogląda i powiada: „Chodźmy do Opery". Nie mam nic przeciw temu, idziemy. Bierze dwa bilety do amfiteatru, wręcza mi jeden i wchodzi pierwszy; ja za nim. Rozdziela nas tłok u wejścia. Patrzę i widzę, że wszyscy stoją; przychodzi mi na myśl, że łatwo mógłbym stracić się[116] w ciżbie lub bodaj pozwolić panu de Francueil przypuszczać, że się straciłem. Wychodzę, odbieram kontramarkę[117], potem pieniądze i wymykam się, nie myśląc, iż ledwie przeszedłem próg, wszyscy siedli i wówczas pan de Francueil musiał spostrzec moją nieobecność.

Ponieważ trudno o coś bardziej sprzecznego z mym usposobieniem niż ten rys, notuję go, aby ukazać, że bywają chwile jakiegoś półobłędu, w których nie trzeba sądzić ludzi z uczynków. W tym wypadku nie była to właściwie kradzież pieniędzy, raczej kradzież ich przeznaczenia; ale im mniej była kradzieżą, tym bardziej była paskudztwem.

Nie wybrnąłbym z tych szczegółów, gdybym chciał notować wszystkie etapy, przez które w czasie mego terminu zeszedłem z wyżyn bohatera do nikczemności łajdaka. Ale nasiąkając przywarami stanu, nie umiałem nabrać wszystkich jego upodobań. Nudziły mnie zabawy towarzyszy; a kiedy wskutek zbytniej niewoli obmierzła mi i praca, nudziło mnie wszystko. To wróciło mi zamiłowanie do książek, od dawna zaniedbanych. Czytanie, dla którego chwile odkradałem pracy, stało się nową zbrodnią, którą opłacałem nowymi karami. Zamiłowanie to, drażnione przeszkodami, stało się namiętnością, wkrótce szałem. La Tribu, sławna właścicielka czytelni, dostarczała mi książek wszelkiego rodzaju. Dobre, złe, wszystko mi było jedno; nie wybierałem; czytałem wszystko jednako chciwie. Książka

Czytałem w warsztacie, czytałem chodząc z posyłkami, czytałem w wychodku, zapamiętując się po prostu całe godziny; w głowie mi się kręciło, nic nie robiłem poza czytaniem. Majster szpiegował mnie, łapał, bił, zabierał mi książki. Ile tomów podartych, spalonych, wyrzuconych oknem! Ile dzieł zbrakowanych w czytelni starej la Tribu! Kiedy nie miałem czym płacić, oddawałem koszule, krawatki, łachy; trzy su niedzielnej pensji przechodziły regularnie do jej kasy.

Otóż i chwila, powie ktoś, w której pieniądze były mi potrzebne. Prawda; ale chwila ta przyszła wówczas, kiedy czytanie odjęło mi wszelką przedsiębiorczość. Pochłonięty nową pasją, nic nie widziałem poza książką; przestałem kraść. To także jedna ze znamiennych właściwości. W pełni danego sposobu życia drobnostka jakaś odrywa mnie, zmienia, pociąga, wreszcie pochłania; i oto świat cały ginie, myślę jedynie o mej nowej pasji. Serce biło mi z niecierpliwości, aby się dobrać czym prędzej do nowej książki, jaką miałem w kieszeni; dobywałem jej natychmiast, skoro tylko zostałem sam, i ani mi już w głowie nie postało plądrować warsztat pryncypała. Chwila obecna jest mi wszystkim; nie umiem sobie zadawać jakiegokolwiek trudu dla przyszłości. La Tribu udzieliła mi kredytu; zawsze wisiałem u niej z małą sumką; a kiedy miałem książkę w kieszeni, nie myślałem już o niczym. Pieniądze, które posiadałem, przechodziły do rąk tej kobiety, a kiedy stawała się natarczywa, najprostszym odruchem było oddać jej własne rupiecie. Kraść zawczasu było dla mnie aktem zbyt przewidującym, a kraść dla spłaty długów nie przedstawiało nawet pokusy.

Pod wpływem tych wymyślań, kijów, czytania ukradkiem i bez wyboru, usposobienie moje stało się dzikie, milczące; głowa poczęła mi się bakierować, żyłem jak odludek. O ile wszakże pewien wrodzony smak uchronił mnie od książek płaskich i głupich, o tyle moje szczęście uchroniło mnie od bezecnych i wyuzdanych. Nie iżby la Tribu, kobieta pod wszystkimi względami uczynna, miała się skrupulizować z ich pożyczaniem; ale aby podnieść ich wartość, szeptała ich tytuły z tajemniczą miną, która właśnie kazała mi odmawiać, tak ze wstydu jak z odrazy. Przypadek tak dobrze przyszedł w pomoc mej wrodzonej wstydliwości, że miałem przeszło trzydzieści lat, nim pierwszy raz rzuciłem okiem

[115] *Palais-Royal* (fr.: Pałac Królewski) — pałac położony w centrum Paryża, 150 m od Luwru, w latach 1643–1661 siedziba Ludwika XIV, następnie własność książąt orleańskich, którzy w latach 1780–1784 wokół udostępnionych publicznie ogrodów pałacowych zbudowali galerie mieszczące sklepy i kawiarnie, tworząc najważniejsze miejsce handlowe w mieście. [przypis edytorski]

[116] *stracić się* — zgubić się. [przypis edytorski]

[117] *kontramarka* (daw.) — znaczek, numerek otrzymywany przy oddawaniu ubrania na przechowanie personelowi w teatrze, sali koncertowej itp. [przypis edytorski]

na jedno z owych niebezpiecznych wydawnictw, które pewna światowa dama określiła jako bardzo niewygodne, ponieważ przy czytaniu można je trzymać tylko w jednej ręce.

W niespełna rok wyczerpałem kramik jejmości La Tribu, wówczas stałem się pastwą okrutnej bezczynności. Z narowów dziecka i urwisa wyleczył mnie nałóg czytania; a nawet lektury moje, jakkolwiek bez wyboru i często nie najlepsze, wszczepiły we mnie uczucia ponad mój stan.

Zmierżony tym, co mi było dostępne, a czując zbytnią odległość od tego, co by mnie kusiło, nie widziałem nic, co by mogło pociągnąć me serce. Zmysły, od dawna zbudzone, domagały się rozkoszy, której przedmiotu nie umiałem sobie nawet wyobrazić. Pojęcia o ich naturalnym wyładowaniu były myślom moim tak odległe, jak gdybym nie posiadał płci. Wyrosły z dziecięctwa i zdolny do wzruszeń, wracałem niekiedy myślą do dawnego szaleństwa, ale nie widziałem nic poza tym. W tym szczególnym położeniu niespokojna wyobraźnia obrała sposób, który ocalił mnie od samego siebie i uśmierzył rodzącą się zmysłowość. Zacząłem karmić się sytuacjami, które zainteresowały mnie w książkach, odmieniać je, kombinować, stosować do siebie, wżywając się w osobę jednego z bohaterów, z działających osób, oglądając się w najbardziej mi ponętnych rolach, słowem, żyjąc życiem urojonym, w które w końcu zupełnie wrastałem i które wyzwalało mnie z opłakanej rzeczywistości. To zamiłowanie do życia wyobraźnią i łatwość wcielania się w jej przedmioty, obrzydziły mi do reszty wszystko, co mnie otaczało, utrwalając upodobanie w samotności, które mi odtąd pozostało na zawsze. Nie jeden raz jeszcze będzie można stwierdzić dziwaczne następstwa tego usposobienia ponurego i na pozór zabarwionego mizantropią[118], ale które w istocie wypływa ze zbyt zapalnego, kochającego, zbyt czułego serca. Nie mogąc znaleźć w rzeczywistym życiu istot, które by mu były pokrewne, serce to musi karmić się fikcjami. Na teraz poprzestanę na zaznaczeniu źródła i pierwotnych przyczyn owego wypaczenia, które przeobraziło wszystkie moje namiętności i które, przez osobliwą sprzeczność, czyniło mnie zawsze leniwym w działaniu, a to przez zbytnią żarliwość w pragnieniu.

Książka, Samotność

Doszedłem w ten sposób szesnastego roku, niespokojny, nierad ze wszystkich i z siebie samego, bez zamiłowania do rzemiosła, bez uciech mego wieku, pożerany żądzami, których nie znałem przedmiotu. Często bez powodu zalewałem się łzami, wzdychałem nie wiedząc czemu; słowem, pieściłem swoje chimery, nie widząc dokoła nic realnego, co by je mogło zastąpić. W niedzielę koledzy wstępowali po mnie po kazaniu, aby wspólnie zbijać bąki. Byłbym im się chętnie wymknął gdybym mógł, ale gdy raz wciągnąłem się w zabawę, żaden z nich nie dorównał mi w zapalczywości; nie sposób mnie było opanować i zatrzymać. Taka już była moja natura. Na wycieczkach za miasto szedłem zawsze naprzód, nie myśląc o powrocie, o ile inni nie pomyśleli o tym za mnie. Dwa razy przypłaciłem to dotkliwie: zamknięto bramy, zanim zdążyłem wrócić. Co się działo w domu nazajutrz, można sobie wyobrazić; za drugim razem obiecano mi takie przyjęcie na trzeci, że postanowiłem się na to nie narażać. Mimo to ten trzeci raz, tak brzemienny grozą, nadszedł. Czujność moją udaremnił pewien przeklęty kapitan nazwiskiem Minutoli, który zawsze zamykał bramę powierzoną jego straży pół godziny przed innymi. Wracałem z dwoma kolegami. Na pół mili od miasta słyszę, że trąbią pobudkę, podwajam kroku; słyszę capstrzyk, biegnę co sił; dobiegam zdyszany, zlany potem; serce mi bije, widzę z daleka szyldwachów[119]; przebiegam, krzyczę zduszonym głosem. Za późno! Na dwadzieścia kroków przede mną podnosi się pierwszy most. Zadrżałem, widząc w powietrzu jego straszliwe rogi, złowrogą i nieszczęsną wróżbę losu, który otwierał się dla mnie w tej chwili.

W uniesieniu rozpaczy rzuciłem się na szaniec i zacząłem gryźć ziemię. Koledzy, śmiejąc się ze swego nieszczęścia, pogodzili się z nim rychło. I ja pogodziłem się również, ale w odmienny sposób. Przysiągłem w tejże chwili nie wrócić nigdy do pryncypała; kiedy nazajutrz, skoro otwarto bramy, koledzy wesoło podążyli do miasta, pożegnałem się z nimi na zawsze, prosząc jedynie, aby uwiadomili w sekrecie krewniaka mego Bernarda o mym postanowieniu i aby mu wskazali miejsce, gdzieby się mógł zobaczyć ze mną raz ostatni.

[118] *mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]
[119] *szyldwach* (daw., z niem.) — żołnierz pełniący wartę, strażnik. [przypis edytorski]

Od mego wstąpienia do terminu, straciliśmy się z oczu z krewniakiem. Przez jakiś czas spotykaliśmy się w niedzielę; ale stopniowo czuliśmy, jak wkrada się między nas pewna obcość, spotkania nasze stały się coraz rzadsze. Jestem przekonany, iż matka jego wiele przyczyniła się do tej zmiany. On pozostał chłopcem z wyższej sfery, ja, mizerny terminator, należałem już do plebsu. Mimo równości urodzenia nie byliśmy już równi stanem; przestawać ze mną znaczyło zniżać się. Bądź co bądź, stosunki nie przerwały się zupełnie; a że to był chłopiec z natury dobry, szedł niekiedy, mimo wskazówek matki, za popędem serca. Powiadomiony o mym zamiarze, przybiegł, nie aby mnie od niego odwodzić albo też go podzielić, ale aby za pomocą drobnych podarków osłodzić nieco mą ucieczkę: własne zasoby nie mogły mnie zawieźć zbyt daleko! Dał mi między innymi szpadkę, którą byłem bardzo zachwycony; nosiłem ją aż do Turynu, gdzie z konieczności musiałem się jej pozbyć. Im bardziej zastanawiałem się później nad sposobem, w jaki Bernard postąpił sobie ze mną w owym krytycznym momencie, tym bardziej jestem przekonany, iż poczynał sobie wedle wskazówek matki, może i ojca; nie jest możebne, aby sam z siebie nie próbował w jakiś sposób mnie zatrzymać lub nie objawił chęci towarzyszenia mi — tymczasem nic! Owszem[120], raczej umacniał mnie w zamiarze, niż odwodził od niego; a gdy wreszcie widział, że jestem zupełnie zdecydowany, pożegnał się bez zbytniego wzruszenia. Nigdyśmy od tego czasu nie pisali do siebie ani się nie widzieli. Szkoda, była to natura na wskroś dobra; byliśmy stworzeni, aby się kochać wzajemnie.

Zanim się oddam na łup fatalności swego losu, niech mi będzie wolno obrócić jeszcze oczy na dolę, której mogłem się spodziewać, gdybym się dostał w ręce lepszego zwierzchnika. Nie było nic zgodniejszego z mym usposobieniem ani sposobniejszego, by mnie uczynić szczęśliwym, niż skromny i spokojny zawód rękodzielnika, w pewnym rzemiośle zwłaszcza, np. rytownika w Genewie. Ten zawód, dość zyskowny, aby zapewnić dostatnie utrzymanie, a nie dość, aby obudzić żądzę bogactwa, byłby na resztę życia zakreślił granice mej ambicji, byłby mnie zamknął w mojej sferze, nie dając żadnego sposobu wydobycia się poza nią. Posiadając wyobraźnię dość bogatą, aby rojeniami jej ozdobić każde położenie; dość potężną, aby z jej pomocą przenosić się, że tak powiem, w dowolne horyzonty, niewiele byłbym dbał o istotne warunki życia. Między miejscem mego zamieszkania a najbliższym zamkiem na księżycu nie mogła istnieć taka odległość, abym z łatwością nie zdołał jej przebyć w każdej chwili. Z tego właśnie wynikło, iż zawód najprostszy, najmniej wymagający kłopotu i zabiegów, zostawiający myślom najwięcej swobody, byłby najzgodniejszy z mą naturą; a takim było właśnie rzemiosło, które miałem porzucić. Byłbym spędził na łonie mej religii, ojczyzny i przyjaciół życie spokojne i ciche, takie, jakie odpowiadało memu charakterowi, wśród jednostajnej umiłowanej pracy, w małym dobranym kole. Byłbym dobrym chrześcijaninem, dobrym obywatelem, rzemieślnikiem, dobrym człowiekiem we wszystkim. Byłbym kochał swój zawód, może stałbym się jego ozdobą; i, przeżywszy lata cichego i prostego, ale równego i pogodnego życia, umarłbym spokojnie w otoczeniu bliskich. Wkrótce zapomniano by o mnie, to pewna; bądź co bądź, żałowano by mnie przynajmniej tak długo, jak długo by przetrwało bodaj nikłe wspomnienie.

Wyobraźnia

W miejsce tego... Jakiż obraz przyjdzie mi nakreślić? Ach, nie uprzedzajmy nieszczęść mego życia; aż nadto trzeba mi będzie zaprzątać czytelników tym smutnym przedmiotem.

Księga II

(1728–1731). O ile chwila, w której strach podsunął mi zamiar ucieczki, była smutna, o tyle samo wykonanie zdało mi się urocze. Dzieckiem jeszcze[121], rzucić kraj, rodzinę, wszelkie podpory, środki, opuszczać naukę na wpół przebytą, nie nauczywszy się rzemiosła na tyle, aby żyć z niego; wydać się na pastwę biedy, nie widząc żadnego sposobu wydobycia się z niej; w wieku pustoty[122] i niewinności wystawiać się na wszystkie pokusy grzechu i rozpaczy; w dalekich stronach szukać nędzy, upadku, niebezpieczeństw, niewoli i śmierci, w jarzmie o wiele twardszym od tego, którego nie mogłem udźwignąć — oto co miałem uczynić; oto perspektywy, które powinienem był sobie uzmysłowić.

[120] *owszem* — tu: przeciwnie. [przypis edytorski]
[121] *Dzieckiem jeszcze* — będąc jeszcze dzieckiem. [przypis edytorski]
[122] *pustota* — lekkomyślność i skłonność do figlów. [przypis edytorski]

Jakże odmienne tymczasem kreśliłem horyzonty! Pełnia swobody, którą zdobyłem sobie w mym mniemaniu, była jedynym uczuciem, jakiemu byłem dostępny. Czując się wolnym i panem siebie, mniemałem, iż mogę dopiąć wszystkiego: wystarczał mi jeden rzut, aby się wznieść i szybować w przestworzach. Wkraczałem z ufnością na szeroką scenę świata; spodziewałem się wypełnić ją wartością mej osoby. Na każdym kroku spodziewałem się spotkać uczty, skarby, przygody, usłużnych przyjaciół, kochanki ubiegające się o moje względy; samym ukazaniem się miałem napełnić sobą świat — nie wszechświat wszelako, pod tym względem byłem skłonny do ustępstw. W umiarkowaniu swoim ograniczyłem się do ciasnej, ale rozkosznie dobranej sfery, w której pewien byłem królowania. Ambicji mojej wystarczał jeden zamek; tam, będąc ulubieńcem obojga państwa, amantem panny, przyjacielem jej brata i opatrznością sąsiadów, czułem się zadowolony; nie trzeba mi było więcej.

W oczekiwaniu tej skromnej przyszłości błądziłem kilka dni koło miasta, koczując u znajomych wieśniaków, którzy przyjęli mnie z dobrocią większą niżbym ją mógł znaleźć u mieszkańców miasta. Przygarnęli mnie, dali nocleg, nakarmili; wszystko z poczciwością i prostotą nie roszczącą sobie pretensji do żadnej zasługi. Tego nie można nazwać dobroczynnością, zbyt mało wkładali w swą ludzkość poczucia wyższości.

W ciągu tych wędrówek zapuściłem się aż do Confignon, miejscowości w Sabaudii, o dwie mile od Genewy. Proboszcz tameczny nazywał się ksiądz de Pontverre[123]. Nazwisko to, słynne w historii Rzeczypospolitej, uderzyło mnie wielce. Ciekaw byłem zobaczyć, jak wyglądają potomkowie Rycerzy Łyżki[124]. Wstąpiłem do księdza de Pontverre; przyjął mnie łaskawie, mówił o herezji genewskiej, o powadze świętej matki Kościoła i zatrzymał mnie na obiad. Nie miałem repliki na argumenty, które kończyły się w ten sposób; osądziłem, że księża, u których tak smacznie się jada, warci są co najmniej naszych pastorów. Byłem z pewnością bardziej kuty w naukach od księdza de Pontverre, mimo całego jego szlachectwa; ale byłem zbyt dobrym kompanem, aby być równie dobrym teologiem; francuskie winko, w istocie przednie, argumentowało tak zwycięsko za swego gospodarza, że uważałbym sobie za hańbę zamykać mu usta. Ustępowałem tedy, a przynajmniej nie oponowałem wręcz. Patrząc na me wykręty, mógłby mnie ktoś pomówić o fałsz; niesłusznie: byłem jedynie grzeczny. Pochlebstwo, a raczej ustępliwość, nie zawsze jest przywarą; częściej jest cnotą, zwłaszcza u młodych. Dobroć, z jaką ktoś odnosi się do nas, przywiązuje: ustępujemy, nie aby wprowadzić w błąd, ale aby nie sprawić przykrości, aby nie odpłacić złym za dobre. Jakiż interes mógł mieć ksiądz de Pontverre przygarniając mnie, obchodząc się ze mną po ludzku, starając się mnie przekonać? Żadnego, chyba mój własny. Moje młode serce mówiło mi to. Byłem przejęty wdzięcznością i szacunkiem dla zacnego kapłana. Czułem swą wyższość, ale nie chciałem go przygniatać nią w odpłatę gościnności. Nie było w tym hipokryzji: nie myślałem bynajmniej zmieniać wyznania; sama myśl o tym przejmowała mnie wówczas grozą i wstrętem. Pragnąłem jedynie nie martwić tych, którzy przyciągali mnie w tym celu; chciałem zachować ich życzliwość i zostawić im nadzieję zwycięstwa, okazując się na pozór mniej uzbrojony, niż byłem w istocie. Błąd mój podobny był do kokieterii uczciwych kobiet, które pragnąc przeprowadzić jakiś zamiar, umieją niekiedy, nie przyzwalając ani nie przyrzekając, więcej pozwolić się spodziewać, niż mają zamiar dotrzymać.

Grzeczność

Względy rozsądku, litości, ładu społecznego przemawiały z pewnością za tym, aby zamiast dopomagać memu szaleństwu, raczej zatrzymać mnie na drodze zguby, po której biegłem, i odesłać mnie rodzinie. To byłby uczynił, albo starał się uczynić każdy człowiek naprawdę cnotliwy. Ale jakkolwiek ksiądz de Pontverre był dobrym człowiekiem, nie był on z pewnością człowiekiem cnotliwym; przeciwnie, był to bigot[125], który nie znał innej cnoty, jak modlić się do obrazów i odmawiać różańce; typ misjonarza, który nie wyobrażał sobie nic lepszego dla dobra wiary, niż wydawać książeczki przeciw genewskim

[123] *Pontverre, Benoît Quimier de* (1656–1733) — ksiądz katolicki, był proboszczem Confignon od 1691. [przypis edytorski]

[124] *Rycerze Łyżki* — katoliccy szlachcice sabaudzcy, którzy w 1528 pod przewodnictwem Francois de Ternier, pana na Pontverre, ślubowali podbić kalwińską Genewę: na szyjach wieszali sobie drewniane łyżki, chełpiąc się, że zjedzą nimi genewczyków. [przypis edytorski]

[125] *bigot* — dewot; człowiek przywiązujący przesadną wagę do zewnętrznych form pobożności, zaniedbujący przy tym duchowość wewnętrzną i moralność. [przypis edytorski]

pastorom. Nie tylko tedy nie pomyślał o tym, aby mnie odesłać do domu, ale skorzystał z mych awanturniczych zamiarów, aby mnie pchnąć na drogę, z której powrót byłby niemożliwy, nawet gdybym go kiedyś zapragnął. Wszystko przemawiało za tym, że na tej drodze muszę zginąć z nędzy lub stać się łajdakiem. Na to zupełnie nie miał oczu, widział jedynie duszę wydartą herezji i wróconą Kościołowi. Czy będę uczciwym człowiekiem czy gałganem — cóż to znaczy, bylem chodził na mszę. Nie trzeba zresztą mniemać, aby ten sposób myślenia właściwy był jedynie katolikom; jest on związany z wszelką religią dogmatyczną, która treść widzi nie w postępkach, ale w wierze.

„Bóg cię wzywa, moje dziecko — rzekł ksiądz de Pontverre — idź do Annecy; znajdziesz tam zacną panią, bardzo miłosierną, która dzięki dobrodziejstwom króla posiada środki wydobywania innych dusz z błędów, z których ocaliła się sama". Chodziło o panią de Warens[126], osobę świeżo nawróconą, którą istotnie księża zmuszali, aby z kanalią gotową frymarczyć swą wiarą dzieliła pensję dwóch tysięcy franków, wyznaczoną jej przez króla Sardynii. Czułem się bardzo upokorzony, iż trzeba mi było pomocy „zacnej pani, bardzo miłosiernej". Lubiłem mieć wszystko, czego mi trzeba, ale nie z jałmużny; obraz dewotki też nie miał dla mnie nic pociągającego. Przypierany wszelako przez księdza de Pontverre, przez głód, który już mi się dał we znaki, rad również, iż mam przed sobą podróż, do tego z jakimś celem, zdecydowałem się, jakkolwiek z przykrością, i ruszyłem do Annecy. Mogłem się tam dostać w ciągu jednego dnia, ale nie było mi spieszno: zabawiłem w drodze aż trzy. Nie minąłem żadnego dworku po prawej albo lewej stronie drogi, abym nie próbował szukać w nim przygód, co do których byłem pewny, że mnie oczekują. Nie śmiałem wejść do dworu ani zapukać, byłem bardzo nieśmiały; ale śpiewałem pod oknem, które przedstawiało się najokazalej, i byłem zdumiony, gdy po dłuższym rozdzieraniu sobie gardła nie ujrzałem dam ani panien, które by znęciła piękność głosu albo wdzięk moich piosenek; a umiałem bardzo piękne, nauczone od kolegów, i śpiewałem je, w swoim mniemaniu, cudownie.

Przybywam nareszcie: widzę panią de Warens. Ta chwila zdecydowała o moim charakterze; nie sposób pominąć jej lekko. Miałem wówczas szesnasty rok. Nie będąc co się nazywa ładnym chłopcem, byłem, mimo średniego wzrostu, dość sobie niczego; miałem ładną stopę, zgrabną nogę, fizjonomię rozgarniętą i żywą, ładnie wykrojone usta, czarne brwi i włosy, oczy małe i głęboko osadzone, ale które z siłą promieniowały ogień krążący mi w żyłach. Na nieszczęście, nic nie wiedziałem o tym wszystkim i nie zdarzyło mi się w życiu myśleć o swej urodzie, chyba wówczas, gdy już za późno było ciągnąć z niej korzyści.

Nieśmiałość właściwa wiekowi łączyła się z trwożliwością natury bardzo tkliwej, wciąż dręczonej obawą narażenia się komuś. Przy tym, jakkolwiek posiadałem dość wykształcenia, nie obracając się nigdy w świecie, nie znałem zupełnie form; a wiadomości moje nie tylko nie mogły ich zastąpić, ale jeszcze pomnażały onieśmielenie, dając mi świadomość własnych braków.

Lękając się tedy, iż sam mój widok nie usposobi zbyt korzystnie nowej opiekunki, postanowiłem inaczej wyzyskać swoje przewagi. Skomponowałem piękny list w stylu retorycznym, gdzie, sztukując książkowe zwroty gwarą terminatora, rozwinąłem całą elokwencję, aby sobie zjednać przychylność pani de Warens. Włożyłem list księdza de Pontverre w mój własny i ruszyłem na straszliwą audiencję. Nie zastałem pani de Warens w domu; powiedziano mi, że przed chwilą wyszła do kościoła. Była to niedziela palmowa roku 1728. Biegnę, aby ją dogonić; widzę ją, przystępuję do niej, mówię... Ach, jak żywo mam przed oczyma miejsce tego spotkania; ileż razy później zlewałem je łzami i okrywałem pocałunkami! Czemuż nie mogę otoczyć złotą barierą tego błogosławionego miejsca! Czemuż nie mogę ściągnąć doń hołdów całego świata! Ktokolwiek umie czcić święte pamiątki zbawienia człowieka, nie powinien się tam zbliżać inaczej niż na kolanach.

Była to ścieżka za domem, między strumykiem, który ją, po prawej ręce, oddzielał od ogrodu, a murem okalającym podwórze po lewej. Ścieżka ta prowadziła bocznymi drzwiczkami do kościoła franciszkanów. Mając już wejść, pani de Warens odwróciła się

[126] *Warens, Françoise-Louise de* a. *Louise Éléonore de la Tour du Pil* (1699–1762) — wydana za mąż w wieku 14 lat, w 1726 porzuciła męża, przeszła na katolicyzm i została agentką Wiktora Amadeusza II, otrzymując roczną pensję za opiekę nad protestantami pragnącymi przejść na katolicyzm. [przypis edytorski]

na mój głos. Jakichż uczuć doznałem na ten widok! Wyobrażałem sobie starą, zasuszoną dewotkę; „zacna dama" księdza de Pontverre nie mogła być, w mym pojęciu, czym innym. Ujrzałem piękną twarz, piękne niebieskie oczy pełne słodyczy, olśniewającą płeć, kształty porywające urokiem. Nic nie uszło szybkiemu rzutowi oka młodego prozelity[127]; stałem się nim bowiem w jednej chwili, pewien, iż religia głoszona przez takich misjonarzy nie może prowadzić gdzie indziej niż do raju. Wzięła z uśmiechem list, który podałem jej drżącą ręką, otwarła, rzuciła okiem na pismo księdza de Pontverre, wróciła do mego, które przeczytała w całości, i byłaby odczytała raz jeszcze, gdyby służący nie zwrócił uwagi, że już czas do kościoła. „Och, dziecko — rzekła tonem, który przyprawił mnie o drżenie — zbyt młodo znalazłeś się na gościńcu; to niedobrze". Następnie, nie czekając odpowiedzi, dodała: „Wejdź do domu i poczekaj na mnie; powiedz, żeby ci dano śniadanie; skoro się skończy msza, porozmawiamy".

Ludwika Eleonora de Warens, z domu de la Tour de Pil, pochodziła ze szlachetnej i starożytnej rodziny w Vevai[128], w kantonie Vaud. Zaślubiła bardzo młodo pana de Warens z domu Loys, starszego syna pana de Villardin z Lozanny. Małżeństwo to, zresztą bezpotomne, nie było szczęśliwe. Pani de Warens, popchnięta do tego kroku jakimś domowym zatargiem, skorzystała z pobytu króla Wiktora Amadeusza[129] w Evian, aby przebyć jezioro i rzucić się do stóp władcy; tym samym, w chwili szaleństwa dość podobnej do mego i którego również przyszło jej żałować, opuściła w jednej godzinie męża, dom i kraj rodzinny. Król, który lubił grać rolę żarliwego katolika, wziął ją pod swą opiekę, wyznaczył jej tysiąc pięćset funtów piemonckich pensji, co było dużo na księcia mało hojnego z natury; a widząc, że ściągnął tym na siebie posądzenie o miłostkę, wysłał swą pupilkę pod eskortą oddziału gwardii do Annecy, gdzie w klasztorze Zwiastowania, pod kierunkiem Michała Gabriela de Bernex, tytularnego biskupa Genewy, dopełniła zmiany wyznania.

W chwili mego przybycia bawiła tam już od lat sześciu; sama liczyła ich dwadzieścia osiem, przyszła bowiem na świat wraz ze stuleciem. Uroda pani de Warens była z tych, które trwają długo, ponieważ są bardziej w wyrazie niż w rysach; piękność jej promieniowała jeszcze pierwszym blaskiem. Miała wyraz pieszczotliwy i czuły, łagodne spojrzenie, anielski uśmiech, usta na miarę moich, rzadkiej piękności popielate włosy, których swobodne i proste uczesanie stroiło ją dziwnym powabem. Była niedużego wzrostu, mała nawet i nieco krótka w stanie, jakkolwiek bez niekształtności; niepodobna natomiast spotkać piękniejszej głowy, gorsu, piękniejszych rąk i ramion.

Wychowanie jej było bardzo różnorodne. Straciła, podobnie jak ja, matkę przychodząc na świat; uczyła się przygodnie, od kogo się zdarzyło; nieco od ochmistrzyni, od ojca, od nauczycieli, a wiele od swoich kochanków, szczególniej od niejakiego pana de Tavel, który, sam obdarzony niepospolitym smakiem i wiadomościami, umiał nimi wzbogacić umysł ukochanej. Ale wśród tylu odmian wykształcenia jeden kierunek sprzeciwiał się drugiemu; wskutek braku porządku nie wszystkie wiadomości pogłębiły się w takim stopniu, jakby to było możliwe przy naturalnej jej bystrości. I tak, mimo iż posiadała nieco wiadomości z zakresu filozofii i fizyki, nie umiała się oprzeć upodobaniu, jakie przejęła po ojcu do medycyny empirycznej i do alchemii. Sporządzała eliksiry, maści, balsamy, specyfiki; twierdziła, że posiada jakieś tajemnice. Szarlatani wszelakiego rodzaju, korzystając z tej słabostki, zawładnęli nią, opętali ją, doprowadzili do ruiny, i pośród tyglów[130] i odwarów strawili jej umysł, talenty i uroki, dzięki którym mogła była stać się rozkoszą najwykwintniejszych towarzystw.

Ale jeśli nikczemni szalbierze nadużyli braków nieporządnego wykształcenia, aby zaciemnić jej umysł, doskonałe jej serce przetrwało wszystkie próby i zawsze zostało jednakie: natura kochająca i słodka, tkliwość dla nieszczęśliwych, niewyczerpana dobroć, wesołe, otwarte i szczere usposobienie nie zmieniły się nigdy; i nawet w obliczu starości, wśród niedostatku, nieszczęść i klęsk, pogoda jej pięknej duszy zachowała do końca wesołość najszczęśliwszych dni.

---

[127] *prozelita* — neofita, nowo pozyskany wyznawca jakiejś wiary. [przypis edytorski]

[128] *Vevai*, *Vevay* — ob. Vevey, niewielkie miasto w pobliżu Lozanny. [przypis edytorski]

[129] *Wiktor Amadeusz II* (1666–1732) — władca z dynastii sabaudzkiej, od 1675 książę Sabaudii, od 1720 król Sardynii; abdykował w 1730. [przypis edytorski]

[130] *tyglów* — dziś popr. D lm: tygli. [przypis edytorski]

Błędy pani de Warens wynikały z jej natury niewyczerpanie czynnej i wciąż potrzebującej zatrudnienia. Ale czynność ta nie szła w kierunku jakichś kobiecych intryżek; żywiołem jej były wielkie przedsięwzięcia. Pani de Warens była urodzona do wielkich spraw. W jej położeniu pani de Longueville[131] byłaby tylko wścibską kumoszką; w roli pani de Longueville ona trzęsłaby państwem. Talenty jej nie były na swoim miejscu; to, co byłoby jej chlubą na wyżynach, stało się jej zgubą w warunkach, w jakich jej żyć wypadło. W każdej rzeczy, która ją zaprzątała, plan rozrastał się w jej głowie; każdy przedmiot widziała w powiększeniu. Z tego wynikało, iż, używając środków zastosowanych bardziej do zamiarów niż do sił, załamywała się; kiedy projekty zawiodły, groziła jej ruina tam, gdzie ktoś inny byłby stracił bardzo niewiele. Ta namiętność do interesów, która jej wyrządziła tyle złego, oddała jej bodaj jedną przysługę: tę, że się nie dała jej zagrzebać na całe życie w klasztorze, jak to zrazu było jej zamiarem. Jednostajne i proste życie zakonnicy, codzienna paplaninka w parlatorium[132], wszystko to nie mogło skusić umysłu będącego w nieustannym ruchu i który, tworząc co dnia nowe systematy, potrzebował swobody, aby się im poświęcić. I nie brak żarliwości był powodem, że ta urocza kobieta nie zamknęła się cała w drobnych praktykach, jakby to przystało osobie świeżo nawróconej, żyjącej pod okiem prałata. Jakakolwiek pobudka wpłynęła na zmianę jej religii, raz ją zmieniwszy, była szczera w swej wierze. Żałowała może, iż popełniła ten błąd, ale nie pragnęła się cofnąć. Nie tylko umarła jako dobra katoliczka, ale była nią i za życia. Ja, który, sądzę, czytałem w jej duszy, śmiem twierdzić, że jedynie ze wstrętu przed ostentacją nie okazywała publicznie swej pobożności: wiara jej była zbyt gruntowna, aby udawać dewocję. Ale nie tu miejsce rozwodzić się nad jej zasadami; kiedy indziej będę miał sposobność pomówić o nich.

Niech ci, którzy przeczą sympatii dusz, wytłumaczą, jeśli potrafią, w jaki sposób — od pierwszego widoku, od pierwszego słowa, spojrzenia — pani de Warens tchnęła we mnie nie tylko najżywsze przywiązanie, ale i doskonałą ufność, która nigdy się nie zachwiała. Przypuśćmy, że to, com uczuł, było w istocie miłością — rzecz, która wyda się co najmniej wątpliwa temu, kto będzie dalej śledził historię naszego stosunku; w jaki tedy sposób namiętności tej mogły, od samych narodzin, towarzyszyć uczucia najbardziej jej zazwyczaj obce, jak spokój serca, ufność, pogoda, bezpieczeństwo, pewność? W jaki sposób, przystępując po raz pierwszy do uroczej, wykwintnej, świetnej kobiety, damy przerastającej mnie o całe niebo pozycją, istoty, do jakiej nigdy dotąd nie zbliżyłem się nawet, do tej, od której zależał poniekąd mój los, stosownie do mniejszego albo większego zainteresowania, jakie obudzę; w jaki sposób, powiadam, czułem się w jednej chwili tak swobodny, radosny, jak gdybym miał zupełną pewność jej sympatii? W jaki sposób nie miałem ani chwili zakłopotania, nieśmiałości, przymusu? Z natury wstydliwy, nierówny, nieumiejący się zachować, w jaki sposób znalazłem z nią, od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, tę łatwość, te serdeczne słówka, ten swobodny ton, jaki miałem w dziesięć lat później, gdy najbliższe współżycie nasze mogło go uczynić naturalnym? Czy można czuć miłość, nie mówię: bez pragnień — doznawałem ich; ale bez niepokoju, zazdrości? Czy nie czuje się bodaj potrzeby usłyszenia z ust ukochanego przedmiotu, czy się jest wzajem kochanym? Otóż, w życiu nie przyszło mi na myśl pytać ją o to, tak jak nie pytałem siebie, czy ją kocham; i ona w stosunku do mnie również nie zdradzała tej ciekawości. Było coś szczególnego w uczuciach moich dla tej uroczej kobiety i w dalszym ciągu czytelnik spotka się z mnóstwem nieoczekiwanych szczegółów.

Zaczęła się narada nad tym, czym mam zostać; aby swobodniej pomówić, pani de Warens zatrzymała mnie na obiad. Był to pierwszy posiłek w życiu, przy którym apetyt mi nie dopisał; dziewczyna, która nam usługiwała, powiadała również, że jestem pierwszym wędrowcem mego wieku i stanu, u którego spotyka się z tym brakiem. Uwaga ta, która na pani jej uczyniła raczej korzystne wrażenie, rzucona była poniekąd pod adresem tęgiego draba, również włóczęgi, który jadł z nami i który, sam jeden, pożarł przyzwoity obiad na sześć osób. Co do mnie, byłem jakby w zachwyceniu, które nie pozwalało mi jeść. Serce

[131] *pani de Longuevilie* — księżna [Anna Genowefa Burbon] de Longueville (1619–1679) odgrywała wybitną rolę polityczną w czasie Frondy. [przypis tłumacza]

[132] *parlatorium* — rozmównica, pomieszczenie w klasztorze przeznaczone do rozmów z gośćmi. [przypis edytorski]

moje karmiło się nowym uczuciem, które wypełniało całą mą istotę; nie zostało we mnie tchu na żadną inną czynność.

Pani de Warens chciała posłyszeć szczegóły moich skromnych dziejów; opowiadając je, odnalazłem całą żywość, którą straciłem u majstra. Im bardziej udało mi się zjednać sympatię tej wybornej istoty, tym bardziej ubolewała nad losem, na jaki miałem się narazić. Tkliwe współczucie wyrażało się w jej twarzy, spojrzeniu, ruchach. Nie śmiała mnie upominać, abym wrócił do Genewy; w jej położeniu byłoby to zbrodnią wobec katolicyzmu, a nie było jej tajne, pod jak ścisłym była dozorem i jak ważono jej słowa. Ale mówiła mi tak wzruszająco o zgryzocie mego ojca, że widziałem dobrze, iż byłaby w duchu przyklasnęła zamiarowi powrotu. Nie wiedziała, jak bardzo, mimo woli, wymowa jej działa przeciw jej chęciom. Jak już, o ile mi się zdaje, wspominałem, byłem zdecydowany w mym postanowieniu; obecnie im bardziej mentorka zdała mi się wymowną i przekonywającą, im bardziej wywody jej wnikały mi do serca, tym mniej mogłem się pogodzić z myślą, bym się miał od niej oderwać. Czułem, że wrócić do Genewy znaczyłoby postawić między nią a sobą zaporę prawie nie do przebycia; chyba żebym znów uciekł się do kroku, który uczyniłem — w takim razie lepiej zostać przy nim od razu. Tak się też stało. Pani de Warens, widząc bezowocność wysiłków, nie posunęła ich aż do nieostrożności względem samej siebie; rzekła jeno z pełnym współczucia spojrzeniem: „Biedny mały, trzeba ci iść tam, dokąd Bóg cię wzywa; ale kiedy dorośniesz, wspomnisz moje słowa". Sądzę, iż nie myślała sama, aby ta przepowiednia miała się ziścić tak okrutnie.

Główna trudność była wciąż nierozwiązana. W jaki sposób, w tak młodym wieku, znaleźć w obcym kraju utrzymanie? Przebywszy ledwie połowę nauki, daleki byłem od posiadania arkanów rzemiosła. Zresztą, gdybym je był nawet posiadł, nie mógłbym zeń żyć w Sabaudii, kraju zbyt biednym, aby hodować sztuki. Włóczęga, który jadł obiad za nas, zmuszony przerwać na chwilę, aby dać odpocząć szczękom, oświadczył się z radą, o której mówił, iż pochodzi z nieba, a która, jeśli sądzić po skutkach, pochodziła raczej z przeciwnej strony: mianowicie, abym się udał do Turynu. Tam, w przytulisku dla katechumenów[133], znajdę środki (mówił) do cielesnego i duchowego życia aż do czasu, w którym, wstąpiwszy na łono Kościoła, otrzymam, dzięki miłosierdziu dobrych dusz, odpowiednie miejsce. „Co się tyczy kosztów podróży — ciągnął dalej obieżyświat — jego wielebność ksiądz biskup nie omieszka, jeżeli pani mu podsunie to świątobliwe dzieło, dostarczyć, w swym miłosierdziu, środków; pani baronowa zaś, która jest tak dobroczynna — rzekł pochylając się nad talerzem — niewątpliwie również przyłoży się do tego".

Całe to miłosierdzie było mi bardzo ciężkie; serce mi się ścisnęło, nie mówiłem nic. Pani de Warens, nie chwytając się tego projektu z równym zapałem, odrzekła tylko, że każdy powinien wedle możności przykładać się do dobrych uczynków i że pomówi o tym z jego wielebnością. Ale ten ciemny osobnik, który obawiał się snadź[134], iż rozmowa może wypaść nie po jego myśli, i który chciał w tej sprawie upiec swoją pieczeń, pobiegł uprzedzić wikariuszów i obrobił dobrych księży tak skutecznie, że gdy pani de Warens, która lękała się dla mnie tej podróży, spróbowała mówić o niej z biskupem, przekonała się, iż cała sprawa jest już załatwiona. Doręczono jej nawet bezzwłocznie pieniądze, przeznaczone na mój podróżny fundusik. Nie śmiała nalegać, aby mnie zostawiono: zbliżałem się do wieku, w którym kobieta w jej latach nie może bez uchybienia przyzwoitości zatrzymywać przy sobie młodego człowieka.

Wobec decyzji osób, które zajmowały się mym losem, trzeba się było poddać; uczyniłem to nawet bez niechęci. Jakkolwiek Turyn był dalej niż Genewa, mniemałem, iż jako stolica musi posiadać z Annecy ściślejsze stosunki niźli odrębna państwowo i wyznaniowo Genewa; a przy tym, wyruszając tam z woli i na życzenie pani de Warens, miałem uczucie, iż żyję wciąż pod jej kierunkiem i opieką, co było więcej niż żyć w jej pobliżu. Wreszcie, myśl o wielkiej podróży schlebiała mojej wędrowniczej manii, która już wówczas zaczynała się objawiać. Zdawało mi się czymś pięknym przewędrować w moim wieku góry i wznieść się nad głowy kolegów o całą wysokość Alp. Zwiedzić kawał świata — to ponęta, której mieszkaniec Genewy nie umie się oprzeć. Przystałem tedy na wszystko. Obieżyświat miał wyruszyć za dwa dni ze swą połowicą. Powierzono mnie

[133] *katechumen* — osoba przygotowująca się do przyjęcia chrztu. [przypis edytorski]
[134] *snadź* (daw.) — widocznie, zapewne. [przypis edytorski]

i polecono ich staraniom. Oddano im moją sakiewkę, skrzepioną przez panią de Warens, która prócz tego wsunęła mi tajemnie mały fundusik, dołączając obszerne instrukcje; po czym wyruszyliśmy w Wielką Środę.

Nazajutrz po mym wyjeździe z Annecy przybył tam ojciec, goniąc moim śladem wraz z panem Rival, swoim przyjacielem, zegarmistrzem jak on, sprytnym człowiekiem, wcale wykształconym nawet, który układał wiersze lepsze niż La Motte[135] i mówił też prawie tak dobrze; był to zacny człowiek, ale z całą swoją manią literacką doprowadził tylko do tego, iż syn jego został komediantem.

Obaj ci panowie odwiedzili panią de Warens i zadowolili się tym, iż wspólnie z nią uronili parę łez nad mym losem, miast jechać za mną i dogonić mnie, co było bardzo łatwe wobec tego, iż byli na koniach, a ja pieszo. To samo powtórzyło się z wujem Bernardem. Przybył do Confignon i tam, dowiedziawszy się, że jestem w Annecy, wrócił do Genewy. Zdawałoby się, że moi bliscy byli w zmowie z mą gwiazdą, aby mnie wydać losowi, który mnie oczekiwał. Brat zaginął przez podobne zaniedbanie i przepadł tak dobrze, że nigdy nie dowiedziano się, co się z nim stało.

Ojciec

Ojciec był nie tylko człowiekiem honoru, ale i nieskazitelnej uczciwości, z duszą zdolną wznieść się na wysokie szczeble cnoty; co więcej, był dobrym ojcem, zwłaszcza dla mnie. Kochał mnie czule; ale kochał też swoje przyjemności; inne przywiązania osłabiły miłość ojcowską, zwłaszcza od naszego rozłączenia. Ożenił się powtórnie w Nyon; żona, nie będąc już w wieku, w którym by mogła dać mi braci, miała za to krewnych; nowa rodzina, nowe twarze, nowe gospodarstwo — to wszystko zacierało pamięć o mnie. Ojciec posuwał się w lata, nie mając żadnego majątku ani zabezpieczenia starości. Ja i brat mieliśmy po matce jakiś mająteczek, z którego dochód w czasie naszej nieobecności przypadał oczywiście ojcu. Myśl ta nie nasuwała mu się wprost, jasno i nie byłaby go wstrzymała od spełnienia obowiązku; ale działała podziemnie, bez świadomości z jego strony i ostudzała niekiedy gorliwość, którą byłby może dalej posunął w innych okolicznościach. Oto, jak mniemam, czemu, przybywszy do Annecy w moje ślady, nie pospieszył za mną do Chambéry, gdzie miał moralną pewność, że mnie odnajdzie. Oto również czemu, ilekroć odwiedziłem go od czasu mej ucieczki, zawsze znalazłem u niego tę samą ojcowską serdeczność, ale bez wielkich starań, aby mnie zatrzymać.

Obowiązek, Cnota

To postępowanie ojca, którego przywiązanie i cnota były mi znane, pobudziło mnie do dumań nad samym sobą, a rezultat ich niemało się przyczynił do moralnego zdrowia mego serca. Wyciągnąłem stąd tę maksymę moralną, jedyną może mającą praktyczne znaczenie, iż należy unikać sytuacji, które stawiają nasze obowiązki w sprzeczności z naszymi interesami i ukazują nam własną korzyść w cudzej szkodzie; w takich okolicznościach, mimo najszczerszego umiłowania cnoty, prędzej czy później, samemu nie wiedząc o tym, słabnie się; człowiek staje się zły i niesprawiedliwy w czynie, nie przestając być sprawiedliwym i dobrym w duszy.

Ta maksyma, głęboko wyciśnięta w mym sercu i przeprowadzona, jakkolwiek nieco późno, w całym postępowaniu, jest jedną z tych, które mi dały pozory największego dziwactwa, nawet szaleństwa, zwłaszcza między znajomymi. Okrzyczano mnie, że chcę być oryginałem i robić inaczej niż drudzy. W rzeczywistości nie myślałem ani o tym, żeby robić jak drudzy, ani żeby robić inaczej. Pragnąłem jedynie szczerze robić to, co jest dobre. Usuwałem się całą mocą od sytuacji, które by mój interes stawiały w sprzeczności z interesem cudzym, a tym samym mogły wszczepić tajemne, choć mimowolne pragnienie czyjejś krzywdy.

Przed dwoma laty milord marszałek[136] chciał pomieścić w swym testamencie zapis na moją korzyść. Sprzeciwiłem się ze wszystkich sił. Oświadczyłem, że nie chciałbym za nic w świecie wiedzieć, iż figuruję w czyimkolwiek testamencie, a już najmniej jego. Ustąpił. Obecnie chce mi dać dożywotnią pensję: nie sprzeciwiam się. Powie ktoś, że nieźle wychodzę na zamianie. Może. Ale, o mój dobroczyńco i ojcze! Jeśli będę miał nieszczęście cię przeżyć, wiem, że tracąc cię, wszystko mam do stracenia, a nic do zyskania.

[135] *La Motte, Antoine Houdar de* (1672–1731) — fr. poeta i dramaturg, należący do grona tzw. „nowożytników", wiodących spór ze zwolennikami form antycznych. [przypis edytorski]

[136] *milord marszałek* — patrz księga XII. [George Keith (1686–1778), ostatni lord marszałek Szkocji; red. WL]. [przypis tłumacza]

Oto, podług mnie, zbawienna filozofia, jedynie zgodna z sercem człowieka. Z każdym dniem umacniam się w przekonaniu o jej głębokich podstawach; roztrząsałem ją w najrozmaitsze sposoby w ostatnich pismach; ale płocha i bezmyślna publiczność nie zwróciła na to uwagi. Jeśli skończywszy to dzieło, będę żył jeszcze dość długo, aby podjąć nowe, mam nadzieję dać, w dalszym ciągu *Emila*[137], tak wspaniały i uderzający przykład tej zasady, że czytelnik będzie musiał uznać jej oczywistość. Ale jak na podróżnika za wiele tych refleksji, czas mi w drogę.

Wypadła ona milej, niż mogłem się spodziewać; urwipołeć nie był tak srogi jak wyglądał. Był to mężczyzna w średnim wieku, ze związanymi z tyłu szpakowatymi włosami, z grenadierską[138] miną, donośnym głosem, dość wesoły, tęgi piechur, jeszcze tęższy żarłok. Chwytał się wszelakiego rzemiosła, nie mając pojęcia o żadnym. O ile mi się zdaje, stworzył projekt, aby założyć w Annecy fabrykę, nie wiem już czego. Pani de Warens pierwsza dała się w to wciągnąć i właśnie ta podróż, którą odbywał, nie na swój koszt oczywiście, do Turynu, miała na celu uzyskanie zgody ministra. Człowiek ten miał talent chodzenia koło swoich interesów; wieszając się ustawicznie przy księżach i udając zelanta[139], przyswoił sobie w ich szkole świątobliwą gwarę, którą posługiwał się nieustannie, mając się tym samym za wielkiego kaznodzieję. Znał nawet jeden łaciński ustęp z Biblii, co było tak, jak gdyby ich znał tysiąc, powtarzał go bowiem tysiąc razy dziennie. Poza tym niełatwo brakło mu pieniędzy, kiedy wiedział, iż znajdują się w mieszku bliźniego; operował wszelako więcej zręcznością niż prostym hultajstwem. W ogóle ze swą miną obieżyświata, a namaszczeniem kaznodziei, podobny był do pustelnika Piotra[140], gdy z mieczem przy boku zagrzewał ludy do wojny krzyżowej.

Co się tyczy pani Sabran, jego małżonki, była to niezła kobiecina, spokojniejsza w dzień niż w nocy. Ponieważ sypiałem zawsze w ich pokoju, hałaśliwe jej bezsenności budziły mnie często i byłyby budziły o wiele więcej jeszcze, gdybym rozumiał ich przyczynę. Ale nawet mi się to nie śniło; na tym punkcie zachowałem naiwność, która samej naturze zostawiła troskę mego uświadomienia.

Wędrowałem tedy wesoło w towarzystwie nabożnego przewodnika i jego fertycznej[141] towarzyszki. Żaden wypadek nie zakłócił podróży. Czułem się w tak szczęśliwym usposobieniu ciała i ducha jak jeszcze nigdy. Młody, silny, pełen zdrowia, animuszu, zaufania do siebie i drugich, znajdowałem się w owym krótkim, ale cennym momencie życia, w którym poczucie jego pełni zestokrotnia niejako wrażliwość i upiększa całą przyrodę urokiem naszego istnienia. Co więcej, mój słodki niepokój związany był z przedmiotem, który go czynił mniej błędnym i przykuwał mą wyobraźnię.

Uważałem się za dzieło, za wychowanka, przyjaciela, niemal kochanka pani de Warens. Przyjazne słowa, których mi nie szczędziła, macierzyńskie pieszczoty, tkliwe zainteresowanie, jakie mi okazywała, urocze spojrzenia, które zdawały mi się pełne miłości, ponieważ tchnęły ją we mnie — wszystko to dawało pokarm myślom w drodze i wprawiało mnie w stan rozkosznego marzenia. Żadna obawa, żadna niepewność przyszłego losu nie mąciła tych rojeń. Wysłać mnie do Turynu znaczyło, w moich oczach, zobowiązać się dostarczyć mi sposobu do życia, przyzwoitego stanowiska. Przestałem się zupełnie troszczyć o siebie; inni zajęli się już tym kłopotem.

Wędrowałem tedy z lekkim sercem, zrzuciwszy z niego ten ciężar; młode pragnienia, urocze nadzieje, świetne projekty napełniały mą duszę. Każdy ujrzany przelotnie przedmiot zdawał się rękojmią przyszłej szczęśliwości. W domach spotkanych po drodze wyobrażałem sobie sielskie festyny, na łąkach rozkoszne igraszki, koło rzek i stawów rybołóstwo; na drzewach smaczne owoce; w ich cieniu, rozkoszne sam na sam; w górach dzieże mleka i śmietany, lube wywczasy, spokój, prostotę, rozkosz błądzenia bez drogi i celu. Słowem, cokolwiek ściągnęło moje oczy, wraz zwiastowało sercu nowe jakieś uciechy. Majestat, rozmaitość, istotna piękność spotykanych dokoła widoków usprawie-

[137] *Emil* — powieść Russa, mająca za przedmiot wychowanie dzieci. [przypis tłumacza]

[138] *grenadier* — od XVIII w.: żołnierz doborowego oddziału przeznaczonego do ataków na bagnety; na grenadierów wybierano rosłych i silnych mężczyzn. [przypis edytorski]

[139] *zelant* (z łac.) — gorliwy wyznawca. [przypis edytorski]

[140] *Piotr z Amiens* a. *Piotr Pustelnik* (ok. 1050–1115) — pustelnik i kaznodzieja, organizator i przywódca nieudanej krucjaty ludowej (1096). [przypis edytorski]

[141] *fertyczny* — ruchliwy, ożywiony, żwawy. [przypis edytorski]

dliwiały w oczach rozsądku te upojenia; próżność także dodawała tu swej zaprawy. W tak młodym wieku wędrować do Włoch, zwiedzić już tyle kraju, ciągnąć śladem Hannibala[142] przez góry, zdawało mi się chwałą przerastającą moje lata. Dodajcie do tego częste i sute popasy, potężny apetyt i środki do zaspokojenia go; po prawdzie bowiem nie warto było na mnie oszczędzać i przy obiadach pana Sabran zupełnie znać nie było mego posiłku.

Nie przypominam sobie, abym w całym życiu przeżył okres równie wolny od trosk i zgryzoty, jak owych siedem czy osiem dni, które trwała podróż: tempo bowiem, w jakim kroczyła pani Sabran, a do którego trzeba było się stosować, uczyniło z tej drogi długą przechadzkę. Wspomnienie to zostawiło mi najżywsze upodobanie do wszystkiego, co się z nim łączy, zwłaszcza do gór i do pieszych podróży. Podróżowałem pieszo jedynie za moich pięknych dni i zawsze z rozkoszą. Z czasem obowiązki, interesy, pakunki zmusiły mnie do odgrywania „pana" i do brania wehikułów; palące troski, kłopoty, skrępowanie wsiadały do nich ze mną. Gdy dawniej w podróżach moich czułem jedynie rozkosz wędrowania, odtąd miejsce jej zastąpiła niecierpliwość przybycia do celu. W Paryżu szukałem długo dwóch towarzyszy o podobnych moim upodobaniach, którzy by gotowi byli poświęcić po pięćdziesiąt ludwików[143] i rok czasu, aby razem piechotą zwędrować Włochy, za całą usługę biorąc chłopca, który by niósł woreczek z podręcznym przyborem. Ofiarowało się wielu, zachwyconych na pozór projektem, ale w gruncie uważających go za czystą chimerę, o której się gawędzi, nie mając zamiaru jej urzeczywistnić. Przypominam sobie, że rozmawiając z pasją o tym zamyśle z Diderotem[144] i Grimmem[145], ożywiłem ich wreszcie mym zapałem. Myślałem, że sprawa już postanowiona: wszystko ograniczyło się do podróży na papierze, w której Grimm, jako najlepszy dowcip, każe Diderotowi popełniać mnóstwo bezbożności i mnie miast niego wydaje w ręce Inkwizycji.

Żal, iż tak rychło dotarliśmy do Turynu, złagodziła uciecha z widoku dużego miasta i nadzieja, iż niebawem zajmę tam godne stanowisko: już uderzyła mi do głowy ambicja, już uważałem się za coś więcej niż terminatora. Daleki byłem od przewidywania, że niebawem znajdę się o wiele niżej tego stanu.

Nim pójdę dalej, winien jestem usprawiedliwić się przed czytelnikiem i przeprosić go za błahostki, nad którymi się rozwiodłem, jak również i za inne, w które zapuszczę się niebawem, a które wydadzą mu się może równie niezajmujące. Skoro raz postanowiłem pokazać całkowicie siebie, chcę, aby nic nie zostało w ciemności lub w ukryciu; chcę nieustannie być na oczach czytelnika; chcę, aby mi towarzyszył we wszystkich zbłąkaniach serca, we wszystkich zaułkach życia; aby mnie nie stracił z oczu ani na chwilę, z obawy, by znalazłszy w opowiadaniu najmniejszą lukę, najmniejszą przerwę i spytawszy samego siebie: „Co robił przez ten czas?", aby, powiadam, nie obwinił mnie, że nie chciałem wszystkiego powiedzieć. Dość daję strawy złośliwości ludzkiej przez swoje wyznania, nie chcę dostarczać jej jeszcze przez przemilczenie.

Fundusik mój zniknął: wygadałem się z nim, opiekunowie zaś umieli skorzystać z tego zbytku szczerości. Pani Sabran znalazła sposób wydarcia mi nawet srebrnej szarfy, którą pani de Warens dała mi dla przypasania mojej szpadki; ta strata była mi najdotkliwsza. I szpada byłaby została w ich rękach, gdybym się stanowczo nie sprzeciwił. Dali mi sumienne utrzymanie przez drogę, ale nie zostawili mi absolutnie nic. Przybyłem do Turynu bez odzieży, bez pieniędzy, bez bielizny; chwała mego losu miała być dziełem wyłącznie mej osobistej zasługi.

Miałem listy, oddałem je wedle adresu; natychmiast zaprowadzono mnie do konwiktu[146] katechumenów, celem obznajmienia z zasadami religii, za którą sprzedawano mi utrzymanie. Wchodząc, ujrzałem wielką bramę z żelaznymi sztabami, która skoro tylko

[142] *Hannibal Barkas* (246–183 p.n.e.) — wybitny kartagiński wódz; przez wiele lat prowadził walki z Rzymianami; wsławił się umiejętnościami taktycznymi oraz przeprowadzeniem 60-tysięcznej armii, łącznie ze słoniami bojowymi, z Hiszpanii przez Pireneje i Alpy do Italii, czym zaskoczył Rzymian. [przypis edytorski]

[143] *ludwik* a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]

[144] *Diderot*, [*Denis* (1713–1784)] — słynny pisarz i filozof XVIII w., zrazu przyjaciel Russa, później z nim poróżniony (patrz księga IX). [przypis tłumacza]

[145] *Grimm*, [*Friedrich Melchior von* (1723–1807] — Niemiec z urodzenia, wydający w Paryżu dziennik „Correspondance litteraire", był zrazu przyjacielem Russa, który go później uważał za swego najcięższego wroga. [przypis tłumacza]

[146] *konwikt* — szkoła z internatem, zwykle przyklasztorna; też: sam internat. [przypis edytorski]

wszedłem, zatrzasnęła się na dwa spusty. Ten początek wydał mi się bardziej imponujący niż przyjemny i zaczynał mi dawać do myślenia, kiedy mnie wprowadzono do dość dużej sali. Ujrzałem, za całe umeblowanie, drewniany ołtarz ustawiony pod wielkim krucyfiksem, dokoła zaś kilka również drewnianych krzeseł. Krzesła te zdawały się woskowane, ale były tylko błyszczące od użytku i wycierania. W sali tej znajdowało się czterech czy pięciu ohydnych bandytów, moich towarzyszów nauki, którzy wyglądali raczej na lejbgwardzistów[147] diabła niźli na aspirantów do godności dzieci bożych. Dwaj z tych opryszków byli to Sklawończycy[148], jeden rzekomo żyd, drugi mahometanin. Obaj, jak mi sami wyznali, trawili życie na wędrówkach po Hiszpanii i Włoszech, przyjmując katolicyzm i dając się chrzcić wszędzie, gdzie były widoki, że się to opłaci. Otworzono drugie żelazne drzwi, które dzieliły na dwoje balkon, wychodzący na podwórze. Przez te drzwi weszły siostry katechumenki, które miały, jak ja, odrodzić się nie przez chrzest, ale przez solenne wyrzeczenie się herezji. Były to największe pluchy[149] i najostatniejsze ladacznice, jakie kiedykolwiek zapaskudziły owczarnię Pana. Jedna tylko wydała mi się ładna i interesująca. Była mniej więcej w moim wieku, może o rok lub dwa starsza. Miała szelmowskie oczy, które spotykały się niekiedy z moimi. To obudziło we mnie chęć zawarcia z nią znajomości; ale przez niespełna dwa miesiące, które mieszkała w tym domu, niepodobna mi było zbliżyć się do niej, tak czujną opiekę roztoczyła nad nią stara dozorczyni i tak pilnie zagarnął ją święty misjonarz, który pracował nad jej nawróceniem z większym zapałem niż pośpiechem. Musiała być wyjątkowo tępa, mimo iż nie wyglądała na to, nigdy bowiem podobne przygotowanie nie wlokło się dłużej. Świątobliwy człowiek wciąż znajdował, że nie jest dojrzała do uroczystego aktu. Wreszcie znudziła się zamknięciem i oświadczyła, że chce wyjść, nawrócona czy nie. Trzeba ją było wziąć za słowo, póki godziła się jeszcze poddać tej operacji, z obawy, że może skaprysić i już nie chcieć.

Całą tę małą gminę zgromadzono na cześć nowego przybysza. Udzielono nam krótkiego napomnienia; mnie, aby mnie zachęcić do godnego odpowiedzenia łasce, jaką Bóg na mnie zsyła, innym, aby zechcieli wspierać mnie modlitwą i budować przykładem. Następnie dziewice wróciły do swej zagrody, ja zaś miałem czas rozejrzeć się po naszej.

Nazajutrz rano zebrano nas znów na naukę; wówczas zacząłem po raz pierwszy zastanawiać się nad krokiem, jaki miałem uczynić, i nad okolicznościami, które mnie do niego przywiodły.

Powiedziałem, powtarzam i powtórzę jeszcze rzecz, w której każdy dzień coraz więcej[150] mnie umacnia: a to, że jeżeli kiedy dziecko otrzymało wychowanie rozumne i zdrowe, to tym dzieckiem byłem ja. Przyszedłszy na świat w rodzinie tradycją i obyczajami wyrastającej nad zwykłe pospólstwo, miałem dokoła siebie, wśród krewnych, jedynie wzory cnoty i przykłady honoru. Ojciec, mimo iż lubiący żyć, był człowiekiem nie tylko z gruntu uczciwym, ale także bardzo religijnym. Był to człowiek światowy między ludźmi, chrześcijanin w domowym ognisku; jakoż wszczepił mi wcześnie uczucia, którymi był przeniknięty. Ciotki moje, wszystkie trzy, były cnotliwe i zacne. Dwie starsze były wybitnie nabożne; trzecia, osoba pełna wdzięku, dowcipu i rozsądku, była może pobożniejsza od nich, mimo iż z mniejszą ostentacją. Z łona tej godnej rodziny dostałem się do pana Lambercier, który mimo iż duchowny i kaznodzieja, był człowiekiem wierzącym i czynił prawie równie dobrze, jak nauczał. Siostra jego i on rozwinęli za pomocą rozumnych i łagodnych nauk zasady pobożności, które zastali w mym sercu. Ci zacni ludzie używali do tego celu środków tak prostych, tak umiarkowanych, tak mądrych, że nie tylko nie nudziłem się na kazaniu, ale zawsze wychodziłem wzruszony do głębi i pełen postanowień lepszego życia, postanowień, którym rzadko chybiałem, o ile myślałem o tym. W domu ciotki Bernard nabożność była mi uciążliwsza, bo ciotka czyniła z niej rzemiosło. U majstra nie myślałem wcale o tych rzeczach, co nie znaczy, bym myślał o nich odmiennie. Nie spotkałem tam młodych ludzi, którzy by mnie zepsuli w tym względzie. Byłem wisusem, ale nie niedowiarkiem.

---

[147] *lejbgwardzista* (z niem.) — członek straży przybocznej monarchy. [przypis edytorski]

[148] *Sklawończyk*, wł. *Schiavoni* (hist.) — zapożyczone z włoskiego określenie Słowianina z terenów nad płn. Adriatykiem, używane w okresie Republiki Weneckiej; słowo stosowane w muzułmańskiej Hiszpanii jako odpowiednik arabskiego określenia Słowianina lub europejskiego niewolnika. [przypis edytorski]

[149] *plucha* (daw.) — flejtuch, brudas. [przypis edytorski]

[150] *więcej* — tu dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

Byłem tedy człowiekiem religijnym w stopniu, w jakim może być dziecko w moim wieku. Może i więcej; czemuż bowiem nie rzec otwarcie, co myślę? Dzieciństwo moje nie miało cech dziecinnych; czułem, myślałem zawsze jak człowiek dorosły. Dopiero wzrastając, osunąłem się do pospolitej klasy; przychodząc na świat, wyszedłem z niej. Może się ktoś śmiać ze mnie, iż z taką skromnością podaję się tu za fenomen. Dobrze, ale kiedy się wyśmieje do syta, niechaj mi znajdzie dziecko, które w szóstym roku życia czytanie powieści zajmuje, przykuwa, porywa aż do łez; wówczas uczuję śmieszność mej próżności i przyznam, że jestem w błędzie.

Religia

Kiedy twierdziłem zatem, że nie trzeba dzieciom mówić o religii, jeśli się pragnie, aby ją miały kiedyś, i że są one niezdolne do pojęcia Boga, nawet na nasz sposób, zaczerpnąłem to zdanie z obserwacji, a nie z doświadczenia; wiedziałem, że doświadczenie nie może być miarą dla innych. Znajdźcie więcej Janów Jakubów w szóstym roku życia i mówcie im o Bogu w siódmym, a ręczę, że nic wam nie grozi.

Religia

Każdy czuje, jak mniemam, iż mieć religię — dla dziecka, a nawet dla dorosłego — znaczy czcić tę, w której się ktoś urodził. Niekiedy, coś z niej odpada; rzadko coś przybywa; dogmatyczna wiara jest owocem wychowania. Poza tą powszechną zasadą, która wiązała mnie do wyznania ojców, miałem właściwą naszemu miastu odrazę do katolicyzmu, który przedstawiano nam w najczarniejszych kolorach. To uczucie posuwało się u mnie tak daleko, że zrazu, ilekroć zdarzyło mi się zajrzeć do kościoła, spotkać kapłana w komży, usłyszeć dzwonek procesji, ogarniał mnie dreszcz grozy i przestrachu; uczucie, którego z czasem przestałem doświadczać w miastach, ale które nieraz odżywało we mnie w parafiach wiejskich, bardziej podobnych do miejsc, w których go pierwotnie doznałem. To prawda, że osobliwy kontrast do tego wrażenia stanowiło wspomnienie pieszczot i czułości, z jaką księża z okolic Genewy chętnie odnoszą się do tamecznych dzieci. Równocześnie z uczuciem strachu, które budził we mnie dzwonek kapłana z wiatykiem, dzwon wzywający na mszę i nieszpory, przypominało mi się jakieś śniadanko, podwieczorek, świeże masełko, owoce, nabiał. Obiadek księdza de Pontverre wycisnął się jeszcze głębszym wrażeniem. Dlatego łatwo uległem pomieszaniu pojęć na tym punkcie. Patrząc na papizm[151] jedynie pod kątem zabawy i łakoci, oswoiłem się bez trudu z myślą o tym wyznaniu; ale przyjęcie go solenne przedstawiało mi się jedynie mglisto i w nieokreślonym oddaleniu. I oto przyszła chwila, w której niepodobna było się cofnąć: ujrzałem z najwyższym przerażeniem zobowiązanie, które przyjąłem i jego nieuniknione skutki. Przyszli neofici, których widziałem wkoło siebie, nie bardzo byli po temu, aby swoim przykładem umocnić mą odwagę; nie mogłem utaić przed sobą, że święte dzieło, którego miałem dokonać, było w gruncie postępkiem szubrawca. Mimo swej młodości uczułem, że bez względu na to, która religia jest prawdziwa, miałem sprzedać moją i że choćby nawet wybór mój był dobry, miałem w głębi serca skłamać Duchowi Świętemu i zasłużyć na wzgardę ludzką. Im więcej o tym myślałem, tym więcej byłem oburzony na siebie, a zarazem jęczałem nad losem, który mnie do tego doprowadził, jak gdyby ten los nie był mym własnym dziełem! Niekiedy refleksje te stawały się tak silne, iż gdybym na chwilę znalazł drzwi otwarte, byłbym się z pewnością wymknął; ale nie miałem sposobności, a i samo postanowienie również nie utrzymało się w tej sile.

Zbyt wiele zwalczało je tajemnych pragnień, aby go nie miały zwyciężyć. Zresztą, upór w postanowieniu niewracania do Genewy, wstyd, trudność nawet przebycia gór z powrotem, obawa znalezienia się z dala od kraju bez przyjaciół, bez środków, wszystko skłaniało mnie ku temu, aby wyrzuty sumienia uważać za spóźnione żale. Tym ciężej wyrzucałem sobie to, co uczyniłem, aby usprawiedliwić to, co miałem uczynić. Powiększając ciężar błędów przeszłości, patrzałem na przyszłość jako na ich nieunikniony skutek. Nie powiadałem sobie: „Nic się jeszcze nie stało; możesz zostać niewinny, jeśli zechcesz", ale mówiłem: „Cierp za zbrodnię, której się dopuściłeś i która zmusza cię iść po tej drodze aż do końca".

W istocie, jakiejż siły trzeba by w moim wieku, aby odwołać wszystko, com do tej chwili przyrzekł albo czegom pozwolił się spodziewać; aby zerwać łańcuchy, które sam sobie nałożyłem i oświadczyć nieustraszenie, że chcę zostać przy wierze ojców; aby to uczynić, powiadam, narażając się na wszystkie skutki! Ten hart ducha nie był na mój

[151] *papizm* — tu: używane dawniej przez protestantów określenie katolicyzmu. [przypis edytorski]

wiek. Rzeczy zaszły zbyt daleko, aby się zgodzono na taką zmianę frontu; im większy byłby mój opór, tym bardziej, w ten lub w inny sposób, uważano by za obowiązek go przełamać.

Cnota

Sofizmat, który mnie zgubił, wspólny jest wielu ludziom, którzy skarżą się, że brak im siły, wówczas gdy już za późno jest, aby jej użyć. Żyć cnotliwie przychodzi nam z trudnością jedynie z naszej winy; gdybyśmy chcieli być zawsze rozsądni, rzadko potrzebowalibyśmy być bohaterami cnoty. Ale idziemy bez oporu za naszymi skłonnościami, wówczas gdy łatwo jeszcze byłoby je pokonać; ustępujemy lekkim pokusom, lekceważąc niebezpieczeństwo. Tak, ani widząc kiedy, popadamy w karkołomne sytuacje, których mogliśmy się z łatwością ustrzec, ale z których nie możemy się wydobyć bez heroicznych wysiłków; wówczas, przerażeni i bezsilni, osuwamy się w przepaść, mówiąc Bogu: „Czemuś mnie uczynił tak słabym?". Ale wbrew sofizmatom, on odpowiada naszemu sumieniu: „Uczyniłem cię zbyt słabym, abyś się wydobył z przepaści, ponieważ uczyniłem cię dość mocnym, aby się w nią nie stoczył".

Nie postanowiłem wyraźnie przejść na katolicyzm; ale, widząc termin jeszcze w oddaleniu, oswajałem się z wolna z tą myślą, żywiąc zarazem nadzieję, iż zajdzie jakiś niespodziany wypadek, który mnie wybawi. Aby zyskać na czasie, postanowiłem rozwinąć najenergiczniejszą obronę. Wkrótce próżność moja sprawiła, że nie potrzebowałem pamiętać o celach mego zamiaru; z chwilą gdy spostrzegłem, że udaje mi się niekiedy wprawić w kłopot moich instruktorów, nie potrzebowałem innej podniety, aby się starać ich pognębić. Wkładałem w to nawet zapał dość komiczny: gdy oni, ze swego urzędu, nawracali mnie, ja siliłem się nawrócić ich samych! Wierzyłem naiwnie, że wystarczy ich przekonać, aby ich skłonić do przejścia na protestantyzm.

Bądź co bądź, nie znaleźli we mnie ofiary tak łatwej, jak się spodziewali, ani pod względem światła, ani pod względem woli. Protestanci są zazwyczaj bardziej wykształceni religijnie niż katolicy. To całkiem naturalne: zasady jednych wymagają ciągłego roztrząsania, zasady drugich — poddania się. Katolik musi przyjąć decyzję, jaką mu nałożą, protestant uczy się sam stanowić o sobie. To było im wiadomo; ale nie oczekiwano po chłopcu mego stanu i wieku, aby wytrawnym ludziom mógł nastręczyć wielkie trudności. Zresztą, nie odbyłem jeszcze pierwszej komunii ani nie odebrałem nauk z nią złączonych; to wiedziano również, ale nie wiedziano, iż w zamian przeszedłem staranną naukę u pastora Lambercier i co więcej, zgromadziłem zapasik wiadomości bardzo niedogodny dla tych panów, mianowicie z *Historii Kościoła i cesarstwa*[152], które posiadłem prawie na pamięć w domu ojca i które, mimo iż później zapomniane, odżywały mi w pamięci, w miarę jak rozgrzewałem się dysputą.

Pewien stary ksiądz, nieduży, ale dość czcigodnej postaci, miał wspólnie dla nas pierwszą rekolekcję. Rekolekcja ta była dla moich towarzyszy raczej katechizacją niż dysputą; księżyna więcej miał roboty z tym, aby ich pouczać niż aby usuwać wątpliwości i zarzuty. Inaczej ze mną. Kiedy przyszła kolej na mnie, wychwytywałem go na wszystkim, nie oszczędziłem ani jednego zarzutu, ani jednej pułapki. To przedłużało konferencję i czyniło ją dla obecnych bardzo nudną. Staruszek gadał dużo, rozpalał się, zaperzał; w końcu wykręcał się z kłopotu, mówiąc, że nie umie dobrze po francusku. Nazajutrz z obawy, by moje niedyskretne zarzuty nie zgorszyły towarzyszy, umieszczono mnie oddzielnie w innym pokoju z drugim księdzem, młodszym, tęgim mówcą, to znaczy umiejącym snuć nieskończenie długie okresy i delektującym się sobą. Mimo to nie dałem się ujarzmić jego imponującej minie; czując, iż ostatecznie jestem w swoim prawie, zacząłem mu odpowiadać, jak umiałem, i wyłapywać go tędy i owędy. Mniemał, iż zdławi mnie św. Augustynem[153], św. Grzegorzem[154] i innymi ojcami; ale wnet spostrzegł ku swemu zdumieniu, że obracam się w tych wszystkich ojcach niemal tak dobrze jak on; to nie znaczy, abym ich czytał kiedy, i on także może nie; ale zachowałem w pamięci wiele ustępów z książki Le Sueura; owóż ilekroć on mi zacytował jakieś zdanie, natychmiast, nie

[152] *Historia Kościoła i cesarstwa* — wspomniane w księdze I dzieło *Histoirie de l'Église et de l'Empire* pastora protestanckiego Jeana Le Sueura (1603–1681), wydane w Genewie w latach 1672–1677. [przypis edytorski]

[153] *Augustyn z Hippony* (354–430) — filozof i teolog chrześcijański, autor licznych traktatów, m.in. *Państwo Boże*, oraz autobiograficznych *Wyznań*; jeden z tzw. ojców Kościoła. [przypis edytorski]

[154] *Grzegorz I* zw. *Wielkim* (ok. 540–604) — papież (od 590), reformator organizacji kościelnej; autor kazań i licznych listów; jeden z tzw. ojców Kościoła. [przypis edytorski]

wdając się w dysputę nad cytatem, odpowiadałem innym z tego samego ojca, wprowadzając go nieraz w znaczny kłopot. Mimo to ksiądz bił mnie w końcu z dwóch przyczyn: jedna, że był silniejszy i że czując się niejako na jego łasce, rozumiałem dobrze, mimo mej młodości, że nie trzeba go nadto przypierać do muru; widziałem bowiem, że księżyna wcale nie zasmakował w mojej erudycji ani we mnie. Druga racja, to że mój adwersarz miał studia, a ja nie. To sprawiało, iż rozwijał w swej argumentacji metodę, której nie mogłem wydołać. Zresztą, ilekroć go zaskoczyłem nieprzewidzianym zarzutem, odkładał go do nazajutrz, powiadając, że odbiegam od tematu. Odrzucał niekiedy wszystkie moje cytaty, utrzymując, że są fałszywe; ofiarowując się przynieść książki, wyzywał mnie, abym je w nich znalazł. Czuł, że nie ponosi wielkiego ryzyka i że przy całej pożyczanej erudycji byłem zbyt mało obytym w książkach i zbyt słabym łacinnikiem, aby znaleźć jakiś ustęp w grubym tomie, choćbym nawet pewien był, że się tam znajduje. Podejrzewam nawet, że uciekał się sam do niesumienności, o którą oskarżał pastorów i że zdarzało mu się podrobić jakiś ustęp, aby się wykręcić od kłopotliwego argumentu.

Tak schodziły dni na tych pasowaniach, dysputach, mamrotaniu pacierzy i wałkoństwie. Wśród tego zdarzyła mi się mała przygoda, dość szpetna, która mogła mieć dla mnie przykre następstwa.

Nie ma tak brudnej duszy i tak barbarzyńskiego serca, iżby nie były zdolne do jakiegoś przywiązania. Jeden z dwóch bandytów, którzy podawali się za Maurów[155], spodobał sobie we mnie. Szukał chętnie mego towarzystwa, gwarzył ze mną w swym diabelskim szwargocie, świadczył mi drobne usługi, podsuwał mi niekiedy swój talerz przy stole, a zwłaszcza obdarzał mnie częstymi pocałunkami z żarliwością bardzo dla mnie kłopotliwą. Twarz ta, koloru piernika, ozdobiona wielką szramą oraz spojrzenie to, rozpłomienione, zdawałoby się, raczej wściekłością niż uczuciem, budziły we mnie naturalną odrazę; mimo to znosiłem te pocałunki, powiadając sobie: „Ten biedak powziął snadź dla mnie szczerą przyjaźń; nie godzi się go odtrącać". Stopniowo przybierał coraz swobodniejsze obyczaje i mówił rzeczy tak szczególne, iż przypuszczałem, że ma źle w głowie. Jednego dnia wieczór chciał położyć się ze mną; sprzeciwiłem się, mówiąc że łóżko jest za małe. Wówczas zaczął nalegać, abym ja przyszedł do niego; odmówiłem również, łajdaczyna bowiem był tak niechlujny i tak cuchnął tytoniem, który żuł ustawicznie, że przyprawiał mnie o mdłości.

Nazajutrz dość wczesnym rankiem znaleźliśmy się sami w sali; zaczął znowu swoje pieszczoty, ale z tak gwałtowną mimiką, że można się było przestraszyć. W końcu chciał przejść do najbardziej niewłaściwych swobód i zmusić mnie, kierując mą ręką, abym go naśladował. Wyrwałem się, wydając krzyk i uskakując w tył, nie zdradzając wszelako oburzenia ani gniewu, gdyż nie miałem najmniejszego pojęcia, o co mu chodzi; ale z taką energią dałem wyraz memu wstrętowi i zdumieniu, że mnie poniechał. Naraz, gdy on się dalej szamotał sam ze sobą, ujrzałem, jak wyleciało ku kominkowi i spadło na ziemię coś białawego i lepkiego. W gardle mi się ścisnęło ze wstrętu. Rzuciłem się na balkon, tak wzruszony, pomieszany, przerażony nawet, jak jeszcze nigdy w życiu, bliski po prostu omdlenia.

Nie mogłem zrozumieć, co to było, co się dzieje z tym nieszczęśnikiem: mniemałem, iż cierpi na wielką chorobę[156] albo na inne, jeszcze straszliwsze cierpienie; i doprawdy, dla kogoś patrzącego chłodno, nie mogę sobie wyobrazić nic wstrętniejszego niż te plugawe zabiegi i tę ohydną twarz, rozpaloną ogniem najbrutalniejszej żądzy. Nie widziałem innego mężczyzny w podobnym stanie; ale, jeżeli wszyscy tak wyglądamy wobec kobiet, muszą mieć chyba wzrok bardzo urzeczony, aby nie nabrać do nas wstrętu.

Nie miałem nic pilniejszego niż opowiedzieć wszystkim, co mi się trafiło. Stara gospodyni kazała mi cicho siedzieć, ale widziałem, że bardzo była przejęta tą historią i słyszałem jak mruczała przez zęby: *Can maledet! brutta bestia!*[157] Ponieważ nie rozumiałem czemu miałbym milczeć, robiłem dalej swoje mimo zakazu i paplałem tak, że nazajutrz

[155] *Maurowie* — od średniowiecza do pocz. XIX w.: europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i płn.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis edytorski]

[156] *wielka choroba* (daw.) — epilepsja, padaczka. [przypis edytorski]

[157] *Can maledet! brutta bestia!* (dialekt piemoncki) — Pies przeklęty, dzika bestia. [przypis edytorski]

rano jeden z zarządców wypalił mi dość ostrą reprymendę, wyrzucając, że narażam honor świętego domu i że robię zbyt wiele hałasu dla drobnostki.

Rozgadał się na ten temat, tłumacząc mi wiele rzeczy, których nie wiedziałem, ale co do których przypuszczał, iż musiały mi być wiadome; był przekonany, iż broniłem się wiedząc, czego tamten ode mnie żąda, ale nie chcąc się zgodzić. Oświadczył mi poważnie, że jest to uczynek zakazany jak wszelka rozpusta, ale którego intencja nie jest poza tym obrażająca dla osoby, i że nie ma powodu tak się gniewać o to, iż się w kimś wzbudziło sympatię. Powiedział mi bez ogródek, iż on sam w młodości dostąpił tego samego zaszczytu i że, zaskoczony w taki sposób, iż nie mógł stawić oporu, nie znalazł w tym wszelako nic strasznego. Posunął swój bezwstyd aż do użycia właściwych terminów w ich całej nagości i wyobrażając sobie, iż przyczyną mego oporu była obawa bólu, upewnił, iż ta obawa jest płonna i że nie ma powodu do najmniejszej trwogi.

Słuchałem tego bezecnika ze zdumieniem tym większym, iż nie przemawiał we własnym interesie; pouczał mnie jakoby tylko dla mego dobra. Nauki te wydawały mu się tak naturalne, iż wygłaszając je, nawet się nie troszczył o poufność; świadkiem naszej rozmowy był jakiś ksiądz, który nie zdawał się ani trochę zgorszony. Owa swoboda mówienia o tym takie na mnie uczyniła wrażenie, że zacząłem mniemać, iż jest to zapewne obyczaj powszechnie przyjęty, z którym jedynie nie miałem sposobności zapoznać się dotąd. To było przyczyną, iż wysłuchałem bez gniewu, choć nie bez odrazy. Obraz tego, co mi się zdarzyło, a już szczególnie tego, com widział, wycisnął mi się tak mocno w pamięci, iż mdłości mnie zbierały na samo wspomnienie. Mimo woli odraza do samej rzeczy rozciągnęła się i na jej obrońcę; mimo że starałem się panować nad sobą, musiał widzieć, jak złe wrażenie wywarły jego nauki. Obrzucił mnie mało przychylnym spojrzeniem i odtąd nie zaniechał niczego, aby mi pobyt w przytulisku uczynić nieprzyjemnym. Dopiął tak dobrze celu, iż widząc jeden tylko sposób wydobycia się stamtąd, chwyciłem się go z tą samą energią, z jaką dotychczas starałem się go oddalić.

Ta przygoda ubezpieczyła mnie na przyszłość od podejrzanych przyjaźni; sam widok takich ludzi budził we mnie — przez wspomnienie twarzy i ruchów ohydnego Maura — taki wstręt, iż niepodobna mi było go ukryć. Przeciwnie, kobiety wiele zyskały w mych oczach na porównaniu: zdawało mi się, że najtkliwsze moje uczucia, najpoddańsze hołdy ledwie mogą być zadośćuczynieniem za zniewagi, jakie cierpią od mojej płci, a najszpetniejsza poczwara stawała się w mych oczach cudowną pięknością przez pamięć rzekomego Afrykanina.

Co się tyczy jego, nie wiem, co mu tam powiedziano; nie uważałem wszakże, aby z wyjątkiem pani Lorenzy ktokolwiek patrzył nań gorszym okiem. Bądź co bądź, nie zaczepił mnie od tej pory ani nie odzywał się do mnie. W tydzień później przystąpił do chrztu z wielką ceremonią, ubrany biało od stóp aż do głowy, dla wyobrażenia białości odrodzonej duszy. Nazajutrz opuścił przytułek i nie spotkałem go już.

Moja kolej przyszła w miesiąc później; tyle czasu było trzeba, aby zapewnić kierownikom duchownym chlubę trudnego nawrócenia. Kazano mi kolejno przejść wszystkie dogmaty, aby święcić tryumfy nad mą świeżo zdobytą uległością.

Wreszcie, dostatecznie pouczony i dostatecznie, zdaniem mych nauczycieli, przejęty łaską, udałem się, wiedziony procesjonalnie, do katedry św. Jana, aby tam dopełnić uroczystego wyrzeczenia się i przyjąć dodatkowe obrzędy chrztu, mimo iż nie chrzczono mnie w istocie: ale ponieważ są to mniej więcej te same obrządki, korzysta się z tego, aby budzić wśród ludu pojęcie, że protestanci nie są chrześcijanami. Byłem przybrany w jakąś szatę szarego koloru z białymi wyłogami, przeznaczoną na takie okazje. Dwóch drabów niosło przede mną i za mną duże mosiężne tace, w które uderzali kluczem i gdzie każdy z obecnych składał jakąś jałmużnę, w miarę swej pobożności lub zainteresowania osobą nowo nawróconego. Słowem, nie poniechano nic z całego katolickiego przepychu, aby uczynić uroczystość bardziej budującą dla publiczności, a upokarzającą dla mnie. Brakło jedynie białej szaty, która byłaby mi się bardzo przydała, a której mi nie dano jak owemu Maurowi, zważywszy, iż nie miałem zaszczytu być żydem.

Nie koniec na tym: trzeba było iść do urzędu Inkwizycji, by otrzymać rozgrzeszenie ze zbrodni herezji i wrócić na łono Kościoła z tą samą ceremonią, jakiej musiał się poddać

Henryk IV[158] przez swego ambasadora. Mina i obejście wielebnego ojca inkwizytora nie bardzo były po temu, aby rozproszyć tajemny strach, jaki mnie ogarnął, gdym wchodził do tego domu. Po licznych pytaniach tyczących mej wiary, stanu, rodziny spytał nagle, czy matka moja jest potępiona. Zgroza, jakiej doznałem, powściągnęła pierwszy odruch oburzenia; zadowoliłem się odpowiedzią, iż mam nadzieję, że nie i że Bóg mocen[159] był ją oświecić w ostatniej chwili. Mnich zamilkł, ale uczynił grymas, który nie wyrażał wcale aprobaty.

Po ceremonii, w chwili gdy spodziewałem się, iż zaczną się urzeczywistniać moje błyszczące rojenia, wyprawiono mnie za drzwi, wsypawszy w rękę w drobnej monecie nieco więcej niż dwadzieścia franków — owoc kwesty. Polecono mi żyć jak przystało dobremu chrześcijaninowi, być wiernym uzyskanej łasce; dodano życzenia pomyślności, po których drzwi się zamknęły i wszystko znikło.

Tak rozpadły się w jednej chwili wielkie nadzieje; z interesownego postępku, który popełniłem, zostało mi jedynie wspomnienie, że byłem odstępcą i dudkiem zarazem. Łatwo osądzić, jaki przewrót musiał nastąpić w mych pojęciach, kiedy ze świetnych rojeń o wspaniałym losie znalazłem się nagle w najzupełniejszej nędzy. Rano rozmyślałem jeszcze nad wyborem pałacu, w którym mam zamieszkać, wieczorem ujrzałem perspektywę nocowania na ulicy. Pomyśli ktoś, że pierwszym mym uczuciem była rozpacz, tym okrutniejsza, iż do wyrzutów sumienia dołączyła się dotkliwa świadomość, iż całe nieszczęście było mym własnym dziełem. Nic podobnego. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się spędzić w zamknięciu przeszło dwa miesiące; otóż uczuciem, jakiego doznałem, była radość z odzyskanej swobody. Czułem się po długiej niewoli panem siebie i swoich uczynków; znalazłem się w dużym mieście pełnym dostatków, pełnym światłych ludzi, którzy z pewnością pośpieszą przygarnąć mnie i oddać sprawiedliwość mym talentom, skoro tylko będą mieli sposobność je poznać. Ba, miałem zresztą czas: dwadzieścia franków, które czułem w kieszeni, zdawały mi się skarbem nie do wyczerpania. Mogłem rozrządzać nimi wedle ochoty, nie zdając nikomu sprawy. Pierwszy raz w życiu byłem panem takiego bogactwa. Daleki tedy od łez i rozpaczy, zmieniłem jedynie kierunek swych nadziei. Nigdym nie miał uczucia takiej wiary w sobie: miałem przeświadczenie, iż los mój jest zapewniony i dumny byłem, iż zawdzięczam go jedynie sobie.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie skusiła, było przebiec całe miasto. Zaspakajając naturalną ciekawość, dopełniałem zarazem aktu swobody. Poszedłem zobaczyć, jak zmieniają straże; muzyka wojskowa spodobała mi się bardzo. Włóczyłem się za procesjami: lubiłem słuchać nosowego falsetu księży. Poszedłem obejrzeć pałac królewski; zbliżałem się z obawą, ale widząc, że inni wchodzą, poszedłem za ich przykładem; przepuszczono mnie. Może zawdzięczałem ten przywilej małemu zawiniątku, które miałem pod pachą. Jak bądź rzecz się miała, powziąłem wielkie mniemanie o sobie samym, znalazłszy się w pałacu; czułem się niemal jego mieszkańcem. W końcu, nawałęsawszy się tam i sam, zmęczyłem się; uczułem głód, było gorąco; wstąpiłem do handlarki nabiału; dała mi sera, kwaśnego mleka; dodawszy do tego dwie kromki wybornego piemonckiego chleba, wyprawiłem sobie za pięć czy sześć soldów[160] jeden z najlepszych obiadków w życiu. Trzeba było starać się o nocleg. Ponieważ znałem już język piemoncki na tyle, aby się porozumieć, nietrudno mi to przyszło; byłem tak przezorny, iż obrałem kwaterę wedle sakiewki, a nie wedle mego smaku. Wskazano mi przy ulicy Padewskiej żołnierkę, która, za solda na noc, dawała przytułek służącym bez miejsca. Znalazłem wolny tapczan i zakwaterowałem się. Gospodyni była młoda i świeżo zamężna, mimo iż miała już kilkoro dzieci. Spaliśmy wszyscy w jednej izbie, matka, dzieci, lokatorowie; trwało tak przez cały czas, dopóki mieszkałem u niej. Zresztą, była to dobra kobieta, mocna w przekleństwach jak stangret, wiecznie rozmamłana i nieuczesana, ale łagodna i uczynna. Nabrała do mnie sympatii i nawet przyszła mi w niejednym z pomocą.

[158] *Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów; protestant, przez państwa katolickiej Świętej Ligi uznany za uzurpatora, w 1593 oficjalnie przeszedł na katolicyzm; ogłosił edykt nantejski (1598) gwarantujący wolność wyznania i kończący wojny religijne w kraju. [przypis edytorski]

[159] *mocen* (daw.) — zdolny; mający moc, zdolność czynienia czegoś. [przypis edytorski]

[160] *sold* — daw. drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

Strawiłem tak kilka dni, oddając się jedynie uczuciu swobody i ciekawości. Wałęsałem się po mieście i okolicy, zwiedzając wszystko, co mi się zdało nowe i zajmujące; a cóż nie było nowe dla młodego chłopca świeżo wybiegłego z gniazda, który nigdy nie widział stolicy! Byłem zwłaszcza bardzo punktualnym dworakiem: regularnie, co rano, asystowałem mszy króla jegomości. Miało dla mnie pewien urok znajdować się w jednej kaplicy wraz z monarchą i jego świtą; ale główną pobudką raczej była namiętność do muzyki, już zaczynająca się objawiać, niż pompa dworska, której ceremoniał, powtarzający się i zawsze jednaki, nie jest w stanie zająć długo. Król Sardynii miał wówczas najlepszą kapelę w Europie: Somis, Desjardins, Bezuzzi, błyszczeli w niej na przemian. Nie trzeba było i tyle, aby ściągnąć młodego chłopca, którego dźwięk najlichszego instrumentu, byle czysty, przejmował rozkoszą. Poza tym wspaniałość uderzająca me oczy budziła we mnie jedynie głupio dziecinny i pozbawiony wszelkiej pożądliwości podziw. W całym tym blasku dworskim zajmowało mnie jedynie to, czy nie było tam gdzie jakiej księżniczki, która by warta była mego hołdu i z którą mógłbym nawiązać intrygę miłosną.

Tymczasem o włos, że nie nawiązałem innej miłostki, o wiele mniej świetnej, ale która gdyby doszła do skutku, dałaby mi stokroć rozkoszniejsze słodycze.

Jakkolwiek prowadziłem życie bardzo oszczędne, sakiewka wyczerpała się nieznacznie[161]. Oszczędność moja wynikała zresztą nie tyle z przezorności, ile z prostoty upodobań, której nawet dzisiaj obycie ze światowym wykwintem nie zatarło we mnie. Nie znałem i nie znam do dziś lepszej uczty niż prosty, sielski posiłek. Nabiałem, jajkami, trochą[162] sałaty, sera, z dodatkiem świeżego chleba i jakiego takiego wina, można być pewnym, że się mnie najlepiej uraczy; dobry apetyt dopełni reszty, o ile marszałek dworu i lokaje sterczący wkoło nie odbiorą mi go swym natrętnym widokiem. W owym czasie, wydając sześć albo siedem soldów, jadałem o wiele lepiej niż później za cenę sześciu albo siedmiu franków. Byłem tedy wstrzemięźliwy z braku pokus; źle zresztą mówię „wstrzemięźliwy", wkładałem w to bowiem całą pełnię smakoszostwa. Parę gruszek, *giunca*[163], kromka chleba i kilka szklaneczek taniego wina czyniły mnie najszczęśliwszym z gastronomów. Ale i przy tym trybie owych dwadzieścia franków musiało kiedyś, ostatecznie, mieć swój koniec. Przekonywałem się o tym z każdym dniem wyraźniej; mimo nieopatrzności mego wieku, przyszłość przejmowała mnie grozą. Ze wszystkich zamków na lodzie została mi tylko nadzieja, iż uda mi się znaleźć zatrudnienie, z którego bym mógł żyć; a i to nie było łatwe. Przypomniałem sobie dawne rzemiosło; ale nie umiałem go na tyle, aby znaleźć pracę w jakim warsztacie, a i warsztatów tych niedużo było w Turynie. Postanowiłem tedy w oczekiwaniu czego lepszego chodzić od sklepu do sklepu, ofiarowując się z wyryciem liter albo herbów na naczyniu stołowym, w nadziei, iż umiarkowana cena i gotowość do usług znęci klientelę. Pomysł nie okazał się zbyt szczęśliwy. Prawie wszędzie spotkałem się z odmową, a robota, jaką uzyskałem przedstawiała tak niewiele, że ledwo parę posiłków zdobyłem tą drogą. Jednego dnia, przechodząc dość wcześnie przez Contra Nova, ujrzałem przez szyby sklepowe młodą kupczynię tak pełną uroku i tak powabnej postaci, iż mimo mej nieśmiałości wobec dam nie zawahałem się wejść i ofiarować me skromne usługi. Nie odprawiła mnie, kazała usiąść, opowiedzieć swoje dzieje, użaliła się nade mną, dodała otuchy, upewniając, iż dobrzy chrześcijanie mnie nie opuszczą; następnie, posławszy tymczasem do sąsiedniego złotnika po narzędzia, które mi były potrzebne, poszła do kuchni i sama przyniosła śniadanie. Początek wydał mi się dobrą zapowiedzią, dalszy ciąg nie zadał jej kłamu. Pani była widocznie rada z mej skromnej pracy, jeszcze więcej z mego szczebiotu, skoro się trochę ośmieliłem; wydawała mi się bowiem tak świetna i strojna, iż mimo łaskawego tonu blask ten przejął mnie zrazu nieśmiałością. Ale przyjęcie pełne dobroci, współczujący głos, łagodne i pieszczotliwe obejście wróciły mi rychło swobodę. Widziałem, że sprawiam korzystne wrażenie, i to dodawało mi skrzydeł. Mimo to ona, jakkolwiek Włoszka i zbyt ładna, aby nie być trochę zalotną, była tak skromna, a ja tak trwożliwy, że mała była nadzieja rychłego porozumienia. Nie zostawiono nam zresztą czasu... Z tym większym urokiem wspominam krótkie chwile, które spędziłem przy niej; mogę rzec, iż wówczas poznałem w ich pączku najsłodsze i najczystsze zarazem rozkosze miłości.

[161] *nieznacznie* — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]
[162] *trocha* (daw.) — odrobina, niewielka ilość czegoś. [przypis edytorski]
[163] *giunca* — rodzaj słonego włoskiego sera. [przypis edytorski]

Była to bardzo fertyczna brunetka; wrodzona dobroć wszelako, malująca się na twarzy, łagodziła jej żywość odcieniem słodyczy. Nazywała się pani Basile. Mąż, starszy od niej i dość zazdrosny, zostawiał ją w czasie swych podróży pod strażą pomocnika. Był to osobnik zbyt skąpo obdarzony od natury, aby mógł być niebezpieczny; nie był i on wprawdzie wolny od pretensji, ale objawiał je jedynie złym humorem. Zdołałem od razu wzbudzić jego antypatię, mimo iż lubiłem przysłuchiwać się jak grał na flecie, którym władał dosyć dobrze. Cerber[164] ten mruczał zawsze, ilekroć widział mnie wchodzącego do pokoju pani; traktował mnie ze wzgardą, którą ona odpłacała mu z nawiązką. Zdawała się czerpać w tym zabawę, aby dla jego udręki darzyć mnie niewinnymi pieszczotami w jego obecności, który to rodzaj zemsty, bardzo zresztą przypadający mi do smaku, byłby mi jeszcze o wiele milszy sam na sam. Ale pani nie posuwała go aż tak daleko, a przynajmniej nie w taki sam sposób. Czy że znajdowała mnie zbyt młodym, czy nie umiała czynić pierwszych kroków, czy naprawdę chciała zostać bez skazy, dość, iż wówczas zachowywała się z miarą, która nie była odpychająca, ale która onieśmielała mnie, sam nie wiem czemu. Mimo iż nie żywiłem dla niej owej głębokiej i tkliwej czci, jaką miałem dla pani de Warens, czułem wobec niej więcej obawy, a mniej poufałości. Byłem zakłopotany, drżący; nie śmiałem na nią patrzeć, nie śmiałem oddychać; mimo to rozłąki z nią lękałem się bardziej niż śmierci. Ukradkiem pożerałem oczyma deseń jej sukni, koniec ładnej nóżki, kawałek białego i jędrnego ramienia, który błyszczał między rękawkiem a rękawiczką, rąbek biustu wychylający się spod chusteczki. W miarę jak zapuszczałem wzrok coraz mniej dyskretnie, oczy zachodziły mi mgłą, pierś ściskała się, brakowało mi oddechu; zdolny byłem wydawać jedynie westchnienia, bardzo wymowne w ciszy, jaka często zapadała między nami. Szczęściem, pani Basile, zajęta swą robotą, nie spostrzegła tego, o ile mi się zdawało. Mimo to widziałem niekiedy, iż jakby przez sympatyczne odczucie chusteczka kryjąca jej piersi faluje szybszym tempem. Ten niebezpieczny widok do reszty pozbawiał mnie przytomności; ale kiedy już byłem bliski poddania się swym wzruszeniom, zwracała się do mnie najspokojniej z jakimś słówkiem, które wracało mnie natychmiast do przytomności.

Kilka razy spędziłem z nią w ten sposób całe godziny, przy czym najlżejsze słowo, gest, nawet bardziej wymowne spojrzenie nie zaznaczyło najmniejszego porozumienia między nami. Ten stan, pełen udręki, był jednakże mą rozkoszą; w niewinności serca nie bardzo umiałem sobie wytłumaczyć przyczyny mych cierpień. Zdaje się, iż te niewinne sam na sam i jej nie były przykre; przynajmniej dostarczała do nich sposobności wcale często — gorliwość dość jałowa, zważywszy sposób, w jaki korzystała z tych chwil sama i mnie pozwalała z nich korzystać!

Jednego dnia pani Basile, znudzona głupimi docinkami cerbera, schroniła się do swego pokoju. Pośpieszyłem się, jak mogłem, aby co rychlej dokończyć roboty i udałem się za nią. Drzwi były uchylone, wszedłem niepostrzeżony. Haftowała przy oknie, z twarzą odwróconą od drzwi. Nie mogła widzieć, jak wchodzę, nawet i słyszeć, z przyczyny ulicznego turkotu. Ubierała się zawsze starannie; tego dnia strój jej trącił zalotnością. Siedziała w pozycji pełnej wdzięku: głowa, pochylona nieco, odsłaniała biały karczek, włosy podczesane zręcznie, upięte kwiatami. Cała postać tchnęła czarem, którym miałem czas napawać się do syta i który wyprowadził mnie z równowagi. Rzuciłem się na kolana tuż u drzwi, wyciągając namiętnym ruchem ręce, bez myśli, aby mnie mogła widzieć, ale lustro nad kominkiem zdradziło mnie. Nie wiem, jakie wrażenie wywarł na niej ten wybuch; nie spojrzała, nie przemówiła; ale, na wpół odwracając głowę, nieznacznym ruchem wskazała mi podnóżek u swych stóp. Zadrżeć, wydać okrzyk, rzucić się ku wskazanemu miejscu było rzeczą jednej chwili; ale co trudniejsze do uwierzenia, to że w tym stanie nie śmiałem nic przedsięwziąć ponadto, nie odważyłem się wyrzec jednego słowa, podnieść oczu. Trwałem nieruchomo, nie mając nawet tyle odwagi, aby w tak niewygodnej postawie oprzeć się przez chwilę o jej kolana. Byłem niemy, sparaliżowany, daleki wszakże od spokoju; wszystko zdradzało we mnie wzruszenie, radość, wdzięczność, żarliwe pragnienia, ledwie świadome swego przedmiotu i powściągane obawą jej gniewu.

[164] *Cerber* (mit. gr.) — trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

Ona wydała mi się również niespokojna i strwożona. Zmieszana mą bliskością, przestraszona tym, że mnie ściągnęła ku sobie, i zaczynając sobie zdawać sprawę z doniosłości owego znaku, który z pewnością wyrwał się jej bez zastanowienia, nie czyniła nic, aby mnie przygarnąć ani też odtrącić. Nie odejmując oczu od robótki, starała się zachować, jak gdyby nie widziała mnie u swoich nóg; ale mimo całej mej naiwności musiałem spostrzec, że podziela me zakłopotanie, może moje pragnienia i że wstrzymuje ją jakiś wstyd podobny mojemu; to wszystko nie dodawało mi wszelako siły do wyzwolenia nas z tego kłopotliwego stanu. Oczekując z tytułu kilku lat starszeństwa pierwszych kroków z jej strony, powiadałem sobie, iż skoro ich nie czyni, nie życzy sobie widocznie, abym się dalej posunął. Dziś jeszcze myślę, iż miałem słuszność: była ona z pewnością zbyt sprytna, aby nie widzieć, że nowicjusz taki jak ja potrzebował nie tylko zachęty, ale i nauki.

Nie wiem, jakby się skończyła ta scena tak żywa, choć niema, ani jak długo byłbym przetrwał w tej równie śmiesznej, jak rozkosznej pozycji, gdyby nam nie przerwano. W chwili mych największych wzruszeń usłyszałem, iż otwierają się drzwi od kuchni. Pani Basile, przerażona, rzekła z cicha, podkreślając gestem żywość słów: „Wstań, idzie Rozyna". Wstając spiesznie, chwyciłem rękę, którą zostawiła w moich, i wycisnąłem na niej dwa palące pocałunki; przy drugim uczułem, iż ta urocza ręka przycisnęła się nieco do mych warg. W życiu nie zaznałem tak słodkiego momentu, ale raz utracona sposobność nie powtórzyła się i nasze nieśmiałe miłostki nie posunęły się dalej.

Może dlatego właśnie obraz tej lubej istoty odcisnął się w mym sercu w tak czarujących rysach i wypiękniał mi jeszcze, w miarę jak lepiej poznawałem świat i kobiety. Gdyby miała bodaj trochę doświadczenia, byłaby się inaczej zabrała do dzieła, aby ośmielić młodego chłopca. Ale serce jej, mimo iż słabe, było z gruntu uczciwe; ustępowała, wbrew własnej woli, skłonności, która ją ciągnęła: była to według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwsza jej niewierność. Kto wie, może więcej miałbym trudu z przezwyciężeniem jej wstydliwości niżeli mojej własnej. Nie doszedłszy do tego momentu, zakosztowałem wszelako przy niej niewypowiedzianych słodyczy. Nic z tego, czegom zaznał w objęciach kobiet, nie jest warte owych dwóch minut, które spędziłem u jej nóg, nie śmiejąc nawet dotknąć jej sukni. Nie, nie ma rozkoszy równych tym, jakie może dać uczciwa a ukochana przez nas kobieta. Jedno skinienie palcem, lekkie przyciśnięcie ręki do ust — oto jedyne dowody wzajemności, jakie otrzymałem od pani Basile, ale gdy o tym myślę, wspomnienie owych drobnych łask przejmuje mnie jeszcze wzruszeniem.

Przez dwa następne dni próżno czyhałem na nowe sam na sam. Niepodobieństwem[165] mi było znaleźć sposobną chwilę, z jej strony zaś nie spostrzegłem współdziałania w tym względzie. Obejście pani Basile było nawet, nie powiem chłodniejsze, ale powściągliwsze niż zazwyczaj; zdaje mi się, że unikała mych spojrzeń z obawy, iż nie umiałaby dosyć panować nad swymi. Przeklęty strażnik nieznośniejszy był niż kiedykolwiek: stał się wprost drwiący, uszczypliwy; powtarzał mi, że będę miał w życiu powodzenie u kobiet. Drżałem z obawy, czy nie zdradziłem się jaką nieostrożnością: uważając się już poniekąd za wspólnika grzechu mej ukochanej, chciałem największą tajemnicą osłonić wzajemną skłonność, która jak dotąd, tak bardzo tego nie wymagała! Stałem się tak ostrożny i oględny w szukaniu sposobności, iż w końcu nie znalazłem ich wcale.

Oto jeszcze jedno romantyczne szaleństwo, z którego nigdy nie mogłem się uleczyć i które, połączone z wrodzoną nieśmiałością, w znacznym stopniu zadało kłam wróżbie sklepikarza. Kochałem zbyt szczerze, zbyt doskonale, śmiem powiedzieć, aby móc łatwo dostąpić szczęścia. Nigdy może nikt nie żywił namiętności bardziej żywych i czystych zarazem; nigdy miłość nie była tkliwsza, szczersza, bezinteresowniejsza. Byłbym tysiąc razy poświęcił własne szczęście dla szczęścia osoby, którą kochałem. Dobra sława jej była mi droższa od własnego życia; nigdy, za wszystkie słodycze posiadania, nie chciałbym jej narazić bodaj na chwilę na niebezpieczeństwo. To sprawiało, iż wkładałem tyle starań, tyle tajemnicy, tyle ostrożności w swoje zabiegi, iż nigdy żaden z nich nie mógł doprowadzić do skutku. Słabe moje rezultaty z kobietami wynikały zawsze z tego, iż nadto je kochałem.

Wracając do cerbera grającego na flecie, muszę zaznaczyć, iż odnoszenie się jego do mnie uległo naraz korzystnej zmianie, co było zapewne wynikiem powziętego już zdradzieckiego planu. Od pierwszego dnia gdy zdołałem wzbudzić w pani Basile sympatię,

[165] *niepodobieństwo* (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

pomyślała o tym, aby mnie w jakiś sposób zatrudnić w sklepie. Byłem dość mocny w arytmetyce; zaproponowała mu tedy, aby mnie nauczył prowadzić książki; ale gbur bardzo niechętnie przyjął propozycję, lękając się może, abym go nie wyparował z miejsca. Tak więc po odłożeniu rylca całą mą pracą było przepisywanie jakichś rachunków, porządkowanie ksiąg i czasem tłumaczenie paru listów z włoskiego na francuski. Naraz człowiek ten objawił dobre chęci, których mu wprzódy brakło, i oznajmił, iż będzie mnie uczył podwójnej buchalterii. Mówił, iż chce mnie przygotować na tyle, abym mógł ofiarować usługi panu Basile, skoro wróci. Było wszakże w jego tonie, w spojrzeniu coś fałszywego, złośliwego, ironicznego, co nie budziło we mnie zaufania. Pani Basile, nie czekając odpowiedzi, rzekła sucho, że jestem mu wdzięczny za gotowość, co do niej jednak, ma nadzieję, iż znajdę w życiu godniejsze siebie stanowisko i że byłaby szkoda, gdybym przy mojej bystrości miał zostać jedynie mizernym subiektem[166].

Powtarzała często, że chce ułatwić mi pewną znajomość, która może mi być użyteczna. Nasze nieme wyznania miały miejsce we czwartek; w niedzielę, pani Basile wydała obiad, na którym znalazłem się ja i także pewien okazały zakonnik, jakobin[167], któremu mnie przedstawiła. Mnich odnosił się do mnie nader serdecznie, winszował nawrócenia, wtrącił też parę słów świadczących, iż pani Basile opowiedziała mu szczegółowo moje dzieje. Następnie, klepiąc mnie po twarzy, powiedział, abym był rozsądny, nie tracił otuchy, abym go odwiedził kiedy, a wówczas będziemy mogli swobodniej pogadać. Ze sposobu, w jaki się doń wszyscy zwracali, domyśliłem się, że to musi być jakaś wpływowa osobistość, z ojcowskiego zaś tonu, z jakim odnosił się do pani Basile, że jest jej spowiednikiem. Przypominam sobie również, iż mimo dobrodusznej poufałości obejście jego zdradzało wyraźnie szacunek, a nawet cześć jaką miał dla swej penitentki — szczegół, który mniejsze wrażenie uczynił na mnie wówczas aniżeli dziś. Gdybym miał więcej doświadczenia, jakąż dumą i wzruszeniem przejęłoby mnie to, że zdołałem poruszyć serce młodej kobiety, posiadającej szacunek swego spowiednika!

Stół okazał się zbyt mały jak na ilość gości; trzeba było dostawić stoliczek, przy którym zasiadłem w lubym sam na sam z panem subiektem. Nie czułem się jednak na tym wygnaniu bynajmniej upośledzony; co chwila wędrowały do stoliczka smaczne kąski przeznaczone z pewnością nie pod adresem cerbera. Dotąd szło wszystko jak najlepiej: kobiety były wesołe, mężczyźni dworni, pani Basile robiła honory z nieopisanym wdziękiem. W połowie obiadu słyszymy nagle, iż lektyka zatrzymuje się pod bramą; ktoś idzie po schodach: to pan Basile. Widzę go, jak gdyby wszedł w tej chwili, w szkarłatnym ubraniu ze złotymi guzami, do którego to koloru nabrałem od tego dnia odrazy. Był to rosły i przystojny mężczyzna, przedstawiający się nader okazale. Wszedł z hałasem i z taką miną, jak gdyby kogoś zaskoczył, mimo iż byli tam sami jego przyjaciele. Żona rzuca mu się na szyję, ściska za ręce, obsypuje tysiącem pieszczot, które on przyjmuje chłodno i obojętnie. Pozdrawia całe towarzystwo, dają mu nakrycie, zasiada do jedzenia. Ledwie wymieniono pierwsze zdania, pan Basile rzucając okiem w stronę stolika, zapytuje surowo, kto jest chłopak, którego tam widzi. Pani Basile objaśnia go w najlepszej wierze. Pyta dalej, czy mieszkam w domu; dowiaduje się, że nie. „Czemu nie? — mówi szorstko. — Skoro przesiaduje tu cały dzień, mógłby równie dobrze spędzać i noce". Tu zabrał głos zakonnik; oddawszy poważne i zasłużone pochwały pani Basile, przemówił kilka słów na mą korzyść; dodając pod adresem męża, iż nie tylko nie powinien ganić pobożnego miłosierdzia żony, ale raczej przyczynić się do niego szczerym sercem, ile że w niczym nie naruszono granic uczciwości. Mąż odpowiedział z irytacją, ledwie złagodzoną szacunkiem należnym duchownej osobie; ale i to wystarczyło, abym się domyślił, że miał co do mnie informacje i że pan subiekt przysłużył mi się w tej mierze.

Ledwie wstaliśmy od stołu, subiekt ów, wysłany przez pryncypała, przyszedł z tryumfem nakazać mi w jego imieniu, abym opuścił natychmiast dom i aby moja noga tu nie postała. Ze zlecenia wywiązał się w sposób najbardziej obelżywy i okrutny. Wyszedłem, nie mówiąc słowa, ale z rozpaczą w sercu, nie tyle, iż trzeba mi porzucić tę uroczą kobietę, ile że muszę ją zostawić na pastwę mężowskiej brutalności. Miał słuszność, oczywiście,

[166] *subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

[167] *jakobin* — tu: francuski dominikanin; od nazwy paryskiej siedziby zakonu: klasztoru św. Jakuba, założonego przy głównej osi miejskiej, gdzie rozpoczynał się szlak pielgrzymkowy z Paryża do grobu św. Jakuba w Santiago de Compostela. [przypis edytorski]

iż nie chciał, aby go zdradziła; ale mimo iż szlachetna i cnotliwa, była ona Włoszką, to znaczy czułą i mściwą; i sądzę, iż źle czynił, uciekając się do takich środków, bardziej sposobnych, aby nań ściągnąć nieszczęście, niż aby mu zapobiec.

Taki był rezultat mej pierwszej przygody. Próbowałem przejść parę razy ulicą, aby bodaj z daleka ujrzeć tę, którą serce me opłakiwało bez przerwy; ale zamiast niej ujrzałem jedynie męża i czujnego subiekta, który spostrzegłszy mnie, łokciem kupieckim uczynił w mą stronę gest bardziej wymowny niż pociągający. Widząc taką czujność, straciłem nadzieję i przestałem chodzić tamtędy. Byłbym chciał odwiedzić bodaj protektora, którego pani Basile usposobiła dla mnie tak życzliwie. Na nieszczęście nie znałem jego nazwiska. Krążyłem wkoło klasztoru, próbując go spotkać, ale bez skutku. Wreszcie inne wypadki zatarły we mnie urocze wspomnienie pani Basile, a nawet w ogóle kazały mi zapomnieć o istnieniu pięknych kobiet i ich powabów.

Bądź co bądź, hojność opiekunki podrestaurowała nieco mój tłumoczek, bardzo skromnie wszelako i z rozwagą praktycznej kobiety, która bardziej troszczy się o schludność niż o strojność i która chciała zabezpieczyć mnie od braku, nie zaś dostarczyć sposobów błyszczenia. Ubranie, w którym przywędrowałem z Genewy, było jeszcze wcale przyzwoite; uzupełniła je jedynie kapeluszem i trochą bielizny. Nie miałem mankietów; nie chciała mi ich dać, mimo że miałem na nie serdeczną ochotę. Poprzestała na tym, iż dostarczyła mi środków ubrania się schludnie; zresztą, nie trzeba mi było tego zalecać, dopóki czułem na sobie jej oczy.

W krótki czas po katastrofie gospodyni moja, która jak wspomniałem, nabrała do mnie sympatii, oznajmiła mi, iż może uda się znaleźć dla mnie miejsce i że pewna dystyngowana dama pragnie mnie widzieć. Słysząc to, wyobraziłem sobie, iż tym razem wpłynąłem co się zowie na wody wielkiego świata; ta chimera bowiem prześladowała mnie nieustannie. Przygoda okazała się mniej wspaniała niż sobie wyobrażałem. Udałem się do tej pani ze służącym, który o mnie wspominał. Zaczęła mnie wypytywać, badać; musiałem zrobić niezłe wrażenie, z miejsca bowiem wstąpiłem w jej służby, nie tyle w charakterze faworyta, co lokaja. Ubrano mnie w liberię, jaką nosili jej ludzie; jedyna różnica była ta, iż oni nosili pętelkę, mnie zaś jej nie dano; że zaś liberia nie miała galonów, wyglądała prawie na zwykłe ubranie. Oto nieoczekiwany kres, do którego przybiły wreszcie moje wielkie nadzieje.

Hrabina de Vercellis, do której się zgodziłem, była bezdzietną i wdową; mąż jej pochodził z Piemontu; co do niej, zawsze uważałem ją za Sabaudkę, nie przypuszczając, aby Piemontka mogła mówić po francusku tak dobrze i tak czysto. Była to osoba w średnim wieku, szlachetnej postaci, wykształcona, zamiłowana w literaturze francuskiej i wielka jej znawczyni. Pisywała dużo, zawsze po francusku. Listy jej miały styl i niemal wdzięk pani de Sevigné[168], niektóre mogły wprost przyprawić o pomyłkę. Głównym mym i chętnie spełnianym zatrudnieniem było pisywać pod dyktandem; hrabina bowiem, cierpiąc na bardzo dokuczliwego raka w piersi, nie mogła pisywać sama.

Pani de Vercellis miała nie tylko bystry umysł, ale i silną, wzniosłą duszę. Patrzałem na jej ostatnią chorobę; patrzałem, jak cierpiała i umierała bez najmniejszej słabości, bez walk z sobą, bez sprzeniewierzenia się roli kobiety i bez świadomości, ile w tym mieści się głębokiej *filozofii*: słowo, które nie było jeszcze w modzie i którego nie znała nawet w znaczeniu dzisiejszym. Ta siła charakteru dochodziła niekiedy do oschłości. Twarda i hartowna dla siebie, i drugimi nie rozczulała się zbytnio; kiedy czyniła dobrze nieszczęśliwym, to raczej, aby czynić to, co jest dobre samo w sobie, niż przez prawdziwe współczucie. Doświadczyłem nieco tego chłodu przez trzy miesiące, które spędziłem przy niej. Było naturalną rzeczą, aby nabrała sympatii dla młodego człowieka rokującego pewne nadzieje, którego miała nieustannie przed oczami, i aby czując zbliżającą się śmierć, pomyślała, iż straciwszy jej dom, będzie potrzebował oparcia i pomocy. Mimo to czy nie uznała mnie godnym szczególnej uwagi, czy że ludzie, którzy ją oblegali, nie pozwolili jej pomyśleć o tym, nie uczyniła nic dla mnie.

Przypominam sobie dobrze, iż zrazu objawiła niejaką ciekawość bliższego poznania mnie. Zadawała mi niekiedy pytania, kazała sobie pokazywać listy, które pisywałem do

[168]*pani de Sevigné* — margrabina [Maria de Rabutin-Chantal] de Sevigné (1626–1696), dama za Ludwika XIV, która dzięki swym listom pisanym do córki znalazła się w gronie wielkich klasyków francuskich. [przypis tłumacza]

pani de Warens, zachęcała mnie do wynurzeń. Ale snadź niedobrą obrała drogę do mego wnętrza, nie otwierając nigdy własnego przede mną. Serce moje skłonne było do wylań, byle czuło, iż odbiera je drugie serce. Suche i zimne pytania, nieodwzajemniające mych odpowiedzi żadną pochwałą ani naganą, nie mogły obudzić we mnie ufności. Nie mogąc odgadnąć, czy paplanina moja jest jej do smaku, czułem się wciąż niepewny; całą mą troską było nie tyle wyrażenie mych myśli, ile nie wyrwanie się z niczym, co by mi mogło zaszkodzić. Zauważyłem później, że ten suchy sposób zadawania ludziom pytań, jakoby celem ich poznania, jest dosyć powszechny u kobiet, które wiele mniemają o swoim rozumie. Wyobrażają sobie, iż nie zdradzając swoich myśli, łatwiej przenikną myśli drugiego; nie widzą, iż tym samym odejmują odwagę objawienia ich. Człowiek, którego się bierze na spytki, zaczyna przez to samo mieć się na ostrożności; jeśli mniema, iż nie mając dlań istotnego zainteresowania, chce ktoś go jedynie wyciągnąć na słowa, wówczas albo kłamie, albo milczy, albo ma się w dwójnasób na ostrożności i woli raczej uchodzić za głupca niż wziąć się na lep obojętnej ciekawości. Słowem, źle się ten bierze do czytania w sercu drugich, kto zbyt oczywiście ukrywa przed nimi własne.

Pani de Vercellis nie rzekła mi nigdy najmniejszego słowa, które by trąciło sympatią, współczuciem, życzliwością. Wypytywała mnie chłodno, odpowiadałem oględnie. Odpowiedzi moje były tak nieśmiałe, iż musiały się jej wydać służalcze i widocznie znudziła się nimi. Pod koniec nie pytała już o nic i odzywała się do mnie jedynie w rzeczach usługi. Oceniła mnie nie tyle wedle tego, czym byłem, ile wedle tego czym mnie uczyniła; nie widząc we mnie nic oprócz lokaja, nie pozwoliła, abym się jej okazał czym innym.

Pierwszy to raz wówczas zetknąłem się z ową złośliwą grą ukrytych interesów, która miała mnie prześladować całe życie i która wzbudziła we mnie bardzo naturalną odrazę do rzekomego porządku, będącego ich źródłem. Pani de Vercellis nie miała dzieci; spadkobiercą jej był siostrzeniec, hrabia de la Roque, który nadskakiwał jej pilnie. Poza tym wpływowsi domownicy, widząc, że dni ich pani zbliżają się ku końcowi, nie zapominali o sobie; tyle osób cisnęło się koło niej, iż trudno było w istocie, aby miała czas pomyśleć o mnie. Na czele domu stał niejaki Lorenzi, obrotny człowiek, którego żona, jeszcze zręczniejsza od niego, tak umiała się wcisnąć w łaski pani, że raczej była na stopie przyjaciółki niżeli płatnej sługi. Naraiła jej za pokojową swoją siostrzenicę, pannę Pontal, sprytną osóbkę, która przybierała tony damy do towarzystwa. We dwie opanowały tak skutecznie swą panią, że widziała jedynie przez ich oczy i działała jedynie przez ich ręce. Nie miałem szczęścia przypaść do serca tym trojgu; słuchałem ich, ale się im nie wysługiwałem; nie uważałem za właściwe, abym poza obsługą wspólnej pani miał jeszcze być lokajem jej lokajów. Byłem zresztą dla nich figurą raczej niepokojącą. Widzieli dobrze, że nie jestem tu na swoim miejscu; lękali się, iż pani może to również spostrzec i że to, co uczyni, aby mi pomóc do odzyskania właściwszego stanowiska, może zmniejszyć ich udziały; tego rodzaju ludzie, w których chciwość tłumi poczucie sprawiedliwości, uważają każdy legat jako zrabowany[169] z ich części. Podali sobie tedy ręce, aby mnie usuwać z jej oczu. Lubiła pisywać listy; w tym stanie było to dla niej rozrywką; odstręczali ją od tego i postarali się, aby lekarz wpłynął na nią w tym duchu, tłumacząc, iż to ją męczy. Pod pozorem, że jestem nie dość zręczny, użyli do posług koło pani dwóch drabów noszących zazwyczaj lektykę; słowem, zakręcili się tak dobrze, iż kiedy przyszła pora testamentu, od tygodnia noga moja nie postała w jej pokoju. Trzeba dodać, iż później bywałem tam tak jak dawniej; byłem nawet gorliwszy od innych, cierpienia bowiem biednej istoty rozdzierały mi serce; męstwo, z jakim cierpiała, czyniło mi ją czcigodną i drogą; wiele szczerych, a przez nikogo nie widzianych łez wylałem w jej pokoju.

Straciliśmy ją wreszcie. Patrzałem na jej zgon. Życie jej było życiem niepospolitej i rozumnej kobiety, śmierć była śmiercią mędrca. Mogę rzec, iż pojednała mnie z religią katolicką przez tę pogodę duszy, z jaką wypełniła jej obowiązki, bez zaniedbania i bez afektacji[170]. Umysł jej był z natury poważny. Pod koniec choroby zdradzała jakiś odcień wesołości, zbyt równej, aby mogła być sztuczna; była to jakby samoobrona jej rozumu przeciw opłakanemu stanowi. Spędziła w łóżku jedynie dwa ostatnie dni, do końca rozmawiając spokojnie. W końcu, przestawszy mówić, już w mękach agonii p...ła głośno.

[169] *uważają każdy legat jako zrabowany* — dziś popr.: uważają każdy legat za zrabowany. [przypis edytorski]
[170] *afektacja* — przesada w okazywaniu uczuć, egzaltacja. [przypis edytorski]

„Brawo! — rzekła, odwracając się — kto p..., jeszcze nie umarł". To były ostatnie słowa, jakie wyrzekła.

Zapisała testamentem roczne zasługi całej niższej służbie; ale ponieważ nie byłem jeszcze na liście, nie dostało mi się nic. Mimo to hrabia de la Roque kazał mi dać trzydzieści funtów i zostawić nowe ubranie, które miałem na grzbiecie, a które pan Lorenzi chciał ze mnie ściągnąć. Przyrzekł nawet zająć się wyszukaniem mi miejsca i pozwolił zgłosić się do siebie. Poszedłem dwa czy trzy razy nie mogąc dotrzeć do hrabiego; łatwy do zniechęcenia, jak zwykle, nie wróciłem więcej. Okaże się niebawem, iż byłem w błędzie.

Ach, czemuż nie dokończyłem wszystkiego, co miałem do powiedzenia z pobytu u pani de Vercellis! Ale mimo iż położenie moje zostało toż samo, nie wyszedłem z tego domu takim, jakim weń wstąpiłem. Uniosłem z sobą niestarte wspomnienie zbrodni i nieznośny ciężar wyrzutów, które po upływie czterdziestu lat gniotą jeszcze me sumienie i których gorycz nie tylko nie słabnie, ale zaostrza się, w miarę jak zbliżam się ku starości. Któż by mniemał, iż błąd dziecka może mieć tak okrutne następstwa? Te następstwa właśnie, więcej niż prawdopodobne, czynią me serce niepocieszonym. Może przyprawiłem o zgubę w hańbie i nędzy miłą, uczciwą, godną szacunku dziewczynę, z pewnością więcej wartą ode mnie.

Rzadko bywa, aby zwinięcie domu nie pociągnęło za sobą jakiegoś nieporządku i aby nie zginęło przy tym to lub owo. Tutaj domownicy byli tak uczciwi, oboje zaś Lorenzi tak czujni, iż nic nie brakło przy oddawaniu inwentarza. Jedynie pannie Pontal zginęła jakaś wstążka różowa ze srebrem, już znoszona. Wiele cenniejszych rzeczy było mi dostępnych; ta jedna wstążka skusiła mnie, ukradłem ją po prostu, a że nie kryłem się wcale, wnet znaleziono ją u mnie. Żądano wytłumaczenia, skąd ją wziąłem. Mieszam się, bełkocę i wreszcie, czerwieniąc się, powiadam, że dała mi ją Maryjka. Maryjka była to młoda dziewczyna, którą pani de Vercellis przyjęła za kucharkę, kiedy przestawszy wydawać przyjęcia, odprawiła kucharza, bardziej potrzebując dobrego rosołu niż wykwintnych łakoci. Maryjka nie tylko była ładna, ale miała tę świeżość cery spotykaną w górach, a zwłaszcza ten wyraz skromności i słodyczy, który sprawiał, iż każdy, kto ją ujrzał, musiał ją polubić; poza tym dziewczyna dobra, cnotliwa i nieskazitelnie wierna. Toteż słowa moje wywołały zdziwienie. Zaufanie, jakie budziła powszechnie, osłabiało nieco wiarogodność moich twierdzeń; osądzono też, iż należy wprzód sprawdzić, kogo z dwojga trzeba będzie uważać za łotrzyka. Wezwano ją; zebranie było liczne, był i hrabia de la Roque. Zjawia się, pokazują jej wstążkę, oskarżam ją bezczelnie; stoi w osłupieniu, milczy, rzuca mi spojrzenie zdolne rozbroić diabła, moje nieludzkie serce zostaje nieczułym. Przeczy wreszcie stanowczo, choć bez uniesienia, przemawia do mnie, upomina, abym wszedł sam w siebie, abym nie odzierał z czci niewinnej dziewczyny, która mi nie uczyniła nic złego. Ja z piekielnym bezwstydem powtarzam oskarżenie i utrzymuję do oczu, że dała mi wstążkę. Biedna dziewczyna rozpłakała się i rzekła tylko te słowa: „Ach, Rousseau, myślałam, że masz lepszy charakter. Czynisz mi wielką krzywdę, ale nie chciałabym być na twoim miejscu". Oto wszystko. Broniła się w dalszym ciągu z prostotą i stałością, ale nie pozwalając sobie na żadne wycieczki przeciwko mnie. To umiarkowanie w zestawieniu z moim stanowczym tonem zgubiło ją. Zdawało się trudnym do wiary przypuszczać z jednej strony bezczelność tak szatańską, z drugiej tak anielską słodycz. Sąd nie wypowiedział się jasno, ale raczej przechylał się na moją stronę. Zamęt, jaki panował w domu, nie pozwalał na zbytnie zgłębianie sprawy; hrabia de la Roque uwolnił jedynie ze służby nas oboje i ograniczył się do powiedzenia, że sumienie tego, który zawinił pomści krzywdę niewinnego. Przepowiednia jego nie była czczym słowem: dzień odtąd nie przeminął, aby się nie sprawdziła okrutnie.

Złodziej, Kłamstwo

Nie wiem, co się stało z ofiarą mego oszczerstwa, ale mało jest prawdopodobne, aby łatwo znalazła odpowiednie miejsce. Wyniosła ze sobą zarzut ciężko naruszający jej honor. Kradzież była drobnostką; ale ostatecznie była to kradzież, co gorsza łączyła się ze zbałamuceniem młodego chłopca; do tego kłamstwo i upór; słowem, niewiele można się było spodziewać po istocie, w której jednoczy się tyle przywar. Dzięki mnie znalazła się może w nędzy i opuszczeniu; może gorzej jeszcze. Kto wie, dokąd mogła ją zawieść w jej wieku gorycz pohańbionej niewinności? Jeśli nieznośną jest mi już zgryzota, iż mogłem ją uczynić nieszczęśliwą, można osądzić, czym jest dla mnie obawa, iż może uczyniłem ją gorszą ode mnie!

Wyrzuty sumienia

To okrutne wspomnienie nawiedza mnie niekiedy i dręczy tak, iż w bezsenne noce widzę tę biedną dziewczynę zjawiającą się, aby mi wyrzucać mą zbrodnię, jak gdybym ją popełnił wczoraj. Póki żyłem w spokoju, mniej mnie ono dręczyło; ale teraz, w odmętach burzliwego życia, odejmuje mi najsłodszą pociechę cierpiących prześladowanie — świadomość, iż cierpią niewinnie. Powiedziałem, zdaje mi się, w którymś z pism, że wyrzut sumienia zasypia w pomyślnej doli, ale zaostrza się w przeciwnościach. Mimo to nie mogłem się nigdy zdobyć na to, aby zrzucić z serca to wyznanie, wylewając je na łono przyjaciela. W najpoufniejszym zbliżeniu nigdy nie zwierzyłem się z tym nikomu, nawet pani de Warens. Umiałem zdobyć się jedynie na ogólnikowe zwierzenie, iż mam sobie do wyrzucenia czyn okrutny, ale nigdy nie powiedziałem, na czym on polega. Ten ciężar uciskał tedy, do dziś, me sumienie i mogę powiedzieć, iż potrzeba uwolnienia się od niego przyczyniła się w znacznej mierze do podjęcia tej spowiedzi.

Wina, Strach

Kłamstwo

W wyznaniu mym postąpiłem sobie otwarcie, bez ogródek; nikt chyba nie będzie uważał, iż starałem się tu ułagodzić ohydę mej zbrodni. Ale nie dopełniłbym celu książki, gdybym nie przedstawił równocześnie mego wnętrza i gdybym nie starał się usprawiedliwić o tyle, o ile tego wymaga prawda. Nigdy nie była dalej ode mnie wszelka zła intencja niż w tym okrutnym momencie; dziwnym, ale prawdziwym będzie, gdy powiem, iż kiedym obwiniał tę nieszczęśliwą dziewczynę, nie co innego, lecz przychylność moja dla niej stała się tego przyczyną. Ona plątała się właśnie w mych myślach; zaskoczony, oparłem swoje usprawiedliwienie o pierwszy przedmiot, który się nasunął. Oskarżyłem ją, iż uczyniła to, co ja chciałem uczynić; powiedziałem, iż dała mi wstążkę, ponieważ ja właśnie miałem zamiar jej ją ofiarować. Kiedy ujrzałem ją później pod ciężarem oskarżenia, serce darło mi się w strzępy, ale obecność tylu osób była silniejszą niż skrucha. Nie lękałem się kary, lękałem się jedynie wstydu; ale lękałem się go bardziej niż śmierci, więcej niż zbrodni, niż czego bądź w świecie. Byłbym chciał ukryć się, zapaść pod ziemię, niezwyciężony wstyd przeważył wszystko, wstyd jedynie dał mi siłę bezwstydu; im głębiej brnąłem w zbrodnię, tym bardziej obawa przyznania się czyniła mnie nieustraszonym. Widziałem jedynie grozę, iż mogę być odkryty, ogłoszony publicznie, w żywe oczy, złodziejem, kłamcą, oszczercą. Zamęt, w jaki mnie to wprawiało, odejmował mi wszelkie inne uczucie. Gdyby mi zostawiono czas do opamiętania, byłbym niechybnie wszystko wyznał. Gdyby mnie pan de la Roque wziął na osobność, gdyby powiedział: „Nie gub tej biednej dziewczyny. Jeśliś winien, wyznaj mi" — byłbym mu się bezzwłocznie rzucił do nóg, jestem pewny. Ale czyniono wszystko, aby mnie onieśmielić w chwili, w której należało dodać mi odwagi. Trzeba również mieć na względzie i wiek: wszak ja wówczas ledwie wyszedłem z dzieciństwa, raczej tkwiłem w nim jeszcze. W młodym wieku prawdziwa niegodziwość jest bardziej zbrodnicza niż w wieku dojrzałym; ale to, co jest tylko słabością, stanowi o wiele mniejszą winę, a w gruncie błąd mój nie był niczym innym. Toteż wspomnienie jego trapi mnie mniej dla samego złego niż dla złego, którego może stało się powodem. Wspomnienie to oddało mi tę usługę, iż zabezpieczyło mnie na całe życie od wszelkiego uczynku trącącego występkiem, a to przez owo straszliwe wrażenie, jakie mi zostało po jednej jedynej zbrodni, którą kiedykolwiek popełniłem. Zdaje mi się, że mój wstręt do kłamstwa płynie w znacznej części z wyrzutu, iż mogłem się go dopuścić w tak niecnej postaci. Jeżeli to jest zbrodnia, którą można odpokutować (a śmiem tak przypuszczać), to powinna mi być darowana za tyle nieszczęść przygniatających schyłek mego życia, za czterdzieści lat prawości i honoru w trudnych okolicznościach. Biedna Maryjka znalazła w świecie tylu mścicieli, iż mimo ogromu mej winy nie lękam się, abym ciężar tego błędu miał z sobą ponieść do grobu. Oto co miałem do powiedzenia w tym przedmiocie. Niechaj mi będzie wolno nie wracać do niego więcej.

Wyrzuty sumienia

Księga III

(1728–1731). Wyszedłszy z domu pani de Vercellis mniej więcej tak, jak do niego wstąpiłem, wróciłem do dawnej gospodyni i przebyłem tam jakieś pięć czy sześć tygodni. Zdrowie, młodość i bezczynność sprawiły, iż w tym okresie zmysły dopiekały mi nieraz. Byłem niespokojny, roztargniony, zadumany; płakałem, wzdychałem, pożądałem szczęścia, o którym nie miałem jasnego wyobrażenia, a którego brak dawał mi się we znaki. Niepodobna opisać tego stanu; niewielu mężczyzn może go sobie nawet wyobrazić,

ponieważ większość uprzedziła ten nadmiar życia, pełen rozkoszy wraz i udręki, który w gorączce pożądania daje niejako przedsmak użycia. Kipiąca krew zaludniała nieustannie mózg mój obrazami dziewcząt i kobiet: ale nieświadom ich rzeczywistego przeznaczenia wprzęgałem je w myślach w swoje chorobliwe fantazje, ograniczając do tego swe wybuchy żądzy. Majaki te utrzymywały moje zmysły w nader kłopotliwym stanie ciągłego pobudzenia, od którego na szczęście nie nauczyły mnie, jak się uwalniać. Byłbym oddał życie za kwadransik spędzony przy pannie Goton. Ale minął już czas owych igraszek dziecięcych. Wstydliwość, towarzyszka świadomości złego, przyszła z wiekiem; ona to wzmogła wrodzoną nieśmiałość, czyniąc ją wprost nie do zwyciężenia. Nigdy, ani wówczas, ani później, nie mogłem się zdobyć na nieskromną propozycję, o ile partnerka nie zmusiła mnie poniekąd, wychodząc naprzeciw mych życzeń; choćbym nawet wiedział z pewnością, że nie ma na tym punkcie skrupułów i że zrozumie mnie w pół słowa.

Niepokój mój wzrósł do tego stopnia, iż nie mogąc zadowolić swych pragnień, drażniłem je za pomocą najosobliwszych wymysłów. Szukałem ciemnych alej, ustronnych zakamarków, w których mógłbym się z dala pokazywać osobom płci odmiennej w stanie, w jakim chciałbym się znaleźć przy ich boku. Ale to, co nastręczało się ich spojrzeniom, była to raczej komiczna niż sprośna strona medalu; tamto nie przychodziło mi nawet na myśl. Trudno opisać głupią przyjemność, jakiej doznawałem, wystawiając się tak ich oczom. Od tego do upragnionego zaspokojenia był tylko jeden krok; nie wątpię też, że jakaś osoba rezolutniejszej natury byłaby mimochodem ziściła me chęci, gdybym miał odwagę czekać na to. Mania ta pociągnęła za sobą katastrofę niemal równie komiczną, ale mniej dla mnie zabawną.

Jednego dnia przyczaiłem się w jakimś dziedzińcu, gdzie znajdowała się studnia, dokąd dziewczęta chodziły często po wodę. Opodal były drzwiczki, którymi schodziło się do piwnic. Zgłębiłem w ciemności te podziemne chodniki, a przekonawszy się, że są długie i ciemne, sądziłem, że są w ogóle bez końca i że gdyby mnie ujrzano i zaskoczono, znalazłbym tam pewne schronienie. Ufny w to, ukazałem dziewczętom, które szły do studni, ów ulubiony mi obraz, bardziej dla nich pocieszny niż kuszący. Najrozsądniejsze udały, że nic nie widzą; inne zaczęły się śmiać; inne wzięły to za obrazę i podniosły larum[171]. Cofnąłem się do mego schronienia; podążono za mną. Usłyszano głos męski, na który nie byłem przygotowany i który mnie przeraził. Zapuszczałem się coraz dalej w podziemia, narażając się na zabłądzenie; hałasy, okrzyki, męski głos, szły ciągle w moje tropy. Liczyłem na ciemność, nagle ujrzałem światło. Zadrżałem, zapuściłem się dalej jeszcze. Natknąłem się wreszcie na gładką ścianę; nie mogąc iść dalej, musiałem oczekiwać swego losu. W jednej chwili dosięgnął mnie i pochwycił duży mężczyzna o dużym wąsie, dużym kapeluszu, dużej szabli, eskortowany przez kilka starych bab zbrojnych w miotły. Pomiędzy nimi ujrzałem ową małą hultajkę, która mnie wyśledziła i która zapewne chciała mi spojrzeć w oczy.

Mężczyzna z szablą chwycił mnie za ramię i spytał szorstko, co tu robię. Łatwo pojąć, że nie miałem przygotowanej odpowiedzi. Opamiętałem się wszakże i w nerwowym podnieceniu znalazłem romantyczny środek ocalenia, który mi się powiódł w zupełności. Zwracając się doń błagalnie, prosiłem, aby miał litość nad mym wiekiem i stanem; że jestem młodym cudzoziemcem wysokiego rodu, który ma umysł niezupełnie w porządku; wymknąłem się z domu, ponieważ chciano mnie zamknąć; byłbym zgubiony, gdyby mnie zdradził; ale jeśli raczy mnie puścić wolno, może kiedyś potrafię mu się odwdzięczyć. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, bajeczka moja i żałośliwa mina zrobiły wrażenie; straszliwy człowiek dał się wzruszyć i po dość krótkim napomnieniu pozwolił mi odejść spokojnie, nie pytając więcej. Po minie, z jaką młoda kobieta i jej stare towarzyszki patrzyły na mnie, gdym odchodził, mogłem wnosić, że mężczyzna, któregom się tak lękał, był moim zbawieniem i że z nimi samymi nie byłbym się wykręcił tak tanio. Słyszałem jak mruczały groźnie, z czego sobie niewiele robiłem; byle szabla i jej właściciel nie mieszali się do rzeczy, czułem się dość lekki i zwinny, aby się ocalić.

W kilka dni potem, przechodząc ulicą z młodym księżykiem, mym sąsiadem, spotkałem się nos w nos z moim zbawcą. Poznał mnie i ozwał się drwiąco, przedrzeźniając

[171] *larum* (łac.) — alarm. [przypis edytorski]

mnie: „Jestem księciem" — rzekł — „jestem księciem, a ja jestem dudek[172]. Ale niech Jego Wysokość nie próbuje drugi raz". Nie dodał nic więcej, a ja pomknąłem ze spuszczoną głową, błogosławiąc w duchu tę wyrozumiałość. Domyśliłem się, że przeklęte staruchy musiały mu zmyć głowę za jego łatwowierność. Jak bądź się rzeczy miały, ów wąsal, mimo że Piemontczyk, był to dobry człowiek; ilekroć o nim myślę, to zawsze z uczuciem wdzięczności; historia bowiem była tak pocieszna, że dla samego zabawienia słuchaczy każdy na jego miejscu byłby mnie wydał na hańbę. Ta przygoda, mimo że nie miała skutków, uczyniła mnie wszakże na długo ostrożnym.

W czasie pobytu u pani de Vercellis zawarłem parę znajomości, które podtrzymywałem w nadziei, że mogą mi być użyteczne. Odwiedzałem niekiedy między innymi sabaudzkiego księdza nazwiskiem Gaime, nauczyciela dzieci hrabiego de Mellarede. Był to człowiek jeszcze bardzo młody i mało udzielający się, ale rozsądny, uczciwy, wykształcony, jeden z najzacniejszych ludzi, jakich znałem. Na nic mi się nie przydał w sprawie, dla której go odwiedzałem; nie miał dość stosunków, aby mi wyrobić miejsce; ale znalazłem u niego cenniejsze korzyści, które posłużyły mi na całe życie: naukę zdrowej moralności, zasady uczciwości i rozsądku. W kolejnych przewrotach moich upodobań i poglądów byłem zawsze za wysoko albo za nisko, Achillesem lub Tersytem[173], to bohaterem, to nicponiem. Ksiądz Gaime podjął trud postawienia mnie na właściwym miejscu i otworzenia mi oczu na samego siebie, nie oszczędzając mnie ani zniechęcając. Wyrażał się bardzo pochlebnie o mym charakterze i zdolnościach, ale dodał, iż widzi w nich samych przeszkody, które nie pozwolą mi należycie ich wyzyskać; tak iż powinny, jego zdaniem, posłużyć mi nie tyle jako stopnie do powodzenia, ile raczej jako środki obycia się bez niego. Nakreślił prawdziwy obraz ludzkiego życia, o którym miałem jedynie chimeryczne pojęcia; pokazał mi, jak w przeciwieństwach losu rozumny człowiek zawsze może zmierzać ku szczęściu i obrać najwłaściwsze drogi; jako nie istnieje prawdziwe szczęście bez mądrości i cnoty, te zaś można znaleźć w każdym stanie. Zwątlił bardzo mój kult dla wielkości świata, dowodząc, że ci, którzy władają drugimi, nie są ani mądrzejsi, ani szczęśliwsi od tamtych. Powiedział jedną rzecz, która często wracała mi na pamięć, że gdyby każdy mógł czytać w sercu bliźnich, więcej byłoby ludzi, którzy by woleli zstąpić niżej, niż takich, którzy by chcieli wspinać się wyżej. Ta uwaga, której prawda bije w oczy i w której nie ma nic przesady, bardzo mi w życiu pomogła w tym, aby spokojnie pozostawać na swoim miejscu. Dał mi pierwsze prawdziwe pojęcia uczciwości, którą moje niezrównoważenie pojmowało jedynie w jej krańcach. Przekonał mnie, że szczytny zapał cnoty mało ma zastosowania w pożyciu z ludźmi; że kto wzbija się zbyt wysoko, naraża się na upadki; że ustawiczne i równe spełnianie drobnych obowiązków nie mniej wymaga siły od bohaterskich czynów; że ta droga lepsza jest i bezpieczniejsza dla szczęścia i honoru; że o wiele cenniejsze jest budzić zawsze szacunek niż od czasu do czasu podziw.

Pozycja społeczna

Cnota

Aby ustalić powinności człowieka, trzeba było zstąpić do ich źródeł. Rozmawiając nieraz o kroku, którego następstwem było moje obecne położenie, zeszliśmy oczywiście na kwestie religijne. Można się domyślić, że zacny ksiądz Gaime jest, bodaj w znacznej części, oryginałem mego wikarego sabaudzkiego[174]. Różnica jest ta, iż on sam, zniewolony do ostrożności i powściągliwości, mniej otwarcie do niektórych punktów wyraził mi swe zdanie: ale poza tym jego zasady, uczucia, przestrogi, nawet rada, abym wrócił do ojczyzny, wszystko zgodne jest z obrazem, jaki wiernie przekazałem czytelnikom. Nie zatrzymując się tedy przy naszych rozmowach, których treść każdy może poznać, powiem tylko, że jego nauki, mądre, ale zrazu bezowocne, stały się w mym sercu zarodkiem cnoty i religii, który nie obumarł nigdy i który, aby wydać owoc, czekał jedynie starań bardziej umiłowanej ręki.

Mimo iż wówczas nawrócenie moje mało miało fundamentów, rozmowy te wzruszały mnie. Nie tylko nie nudziły mnie one, ale zasmakowałem w nich dla ich jasności, prostoty, a zwłaszcza dla serca, którym były przepojone. Mam duszę stworzoną do kochania i zawsze przywiązywałem się do ludzi nie tyle w stosunku do tego, co mi wyświadczyli dobrego,

[172] *dudek* (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

[173] *Achilles i Tersyt* (mit. gr.) — bohaterowie *Iliady*, wojownicy achajscy biorący udział w oblężeniu Troi: *Achilles* był mężny, zaś *Tersytes* kłótliwy i tchórzliwy. [przypis edytorski]

[174] *Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego* — głośny ustęp z *Emila* [traktatu pedagogicznego autorstwa Rousseau; red. WL]. [przypis tłumacza]

ile w stosunku do ich chęci; pod tym względem instynkt mój mnie nie myli. Toteż, pokochałem szczerze księdza Gaime; stałem się niejako jego drugim uczniem; co mi przyniosło doraźnie tę nieocenioną korzyść, iż odwróciło mnie od spadzistości złego, ku której ciągnął mnie brak zatrudnienia.

Jednego dnia, kiedy się najmniej tego spodziewałem, wezwano mnie w imieniu hrabiego de la Roque. W swoim czasie po kilku daremnych usiłowaniach zniechęciłem się i nie zachodziłem doń więcej; myślałem, że o mnie zapomniał albo że zraził się do mnie. Myliłem się. Niejednokrotnie był on świadkiem gorliwości, z jaką pełniłem obowiązki przy jego ciotce; mówił jej nawet o tym i przypomniał mi to wówczas, gdy sam już zapomniałem. Przyjął mnie dobrze; rzekł, nie bawiąc się w puste obietnice, że starał się znaleźć dla mnie miejsce, że mu się to powiodło, że otwiera mi się droga zostania *czymś*, do mnie zaś należy postarać się o resztę; że dom, w który mnie wprowadza, jest możny i wpływowy, i stosunki jego wystarczą w zupełności, aby zapewnić mi karierę; mimo iż zrazu zajmę stanowisko zwykłego służącego, mogę być pewny, że jeśli zachowanie moje i wartość okażą się powyżej tego stanu, nie pozostanę w nim długo. Koniec przemowy był okrutnym ciosem dla świetnych nadziei, które obudził we mnie początek. „Ech! Wciąż lokajem!" — rzekłem sobie w duszy z gorzkim zawodem, który jednak niebawem rozproszyła wiara w siebie. Czułem się zbyt mało stworzonym do tego stanowiska, bym się miał obawiać, iż mogę na nim pozostać zbyt długo.

Mój protektor zaprowadził mnie do hrabiego de Gouvon, nadwornego koniuszego królowej, naczelnika znamienitego rodu Solar. Wyraz godności, który cechował szanownego starca, podniósł jeszcze w mych oczach cenę życzliwości, z jaką mnie przyjęto. Zadał mi parę pytań z widocznym zainteresowaniem, odpowiedziałem z pełną szczerością. Powiedział hrabiemu de la Roque, że mam fizjonomię przyjemną i zwiastującą bystry umysł; ale że bystrość dowcipu to jeszcze nie wszystko: trzeba dopiero przekonać się o reszcie. Następnie, zwracając się do mnie, rzekł: „Moje dziecko, prawie w każdej rzeczy początki są trudne, mam wszelako nadzieję, iż twoje nie będą zbyt uciążliwe. Bądź uważający, staraj się przypaść do serca wszystkim w domu, oto na razie jedyne twoje zajęcie. Poza tym bądź dobrej myśli, będziemy pamiętali o tobie". Natychmiast udał się do apartamentów margrabiny de Breil, swojej córki, i przedstawił mnie; również księdzu Gouvon, swemu synowi. Ten początek zdawał się dobrze wróżyć. Znałem już na tyle świat, aby wiedzieć, że nie robi się tylu ceremonii z przyjęciem zwykłego lokaja. W istocie, nie odnoszono się do mnie w ten sposób. Jadałem z domownikami, nie dano mi liberii; a gdy hrabia de Favria, młody wartogłów[175], wyjeżdżając na miasto, polecił mi stanąć z tyłu karocy, dziadek zabronił, aby mnie używano do takich funkcji i abym miał pełnić jakiekolwiek posługi poza domem. Usługiwałem mimo to przy stole i w domu sprawowałem mniej więcej funkcje lokaja; ale sprawowałem je poniekąd swobodnie, nie przydany w szczególności żadnej osobie. Poza paroma listami, które mi dyktowano, i obrazkami, które hrabia Favria kazał mi wycinać, byłem przez cały dzień prawie zupełnym panem swego czasu. Była to próba, na której się nie spostrzegłem, i z pewnością była ona bardzo niebezpieczna, a nawet nie bardzo ludzka; w tej zupełnej bezczynności łatwo mogłem nabrać przywar, w które nie byłbym popadł inaczej.

Szczęściem nie zaszło nic podobnego. Nauki księdza Gaime wycisnęły się w mym sercu i tak w nich zasmakowałem, że wymykałem się niekiedy, aby ich jeszcze posłuchać. Nie sądzę, aby ktoś, kto mnie widział wychodzącego ukradkiem, domyślił się, gdzie szedłem. Ksiądz Gaime udzielił mi, w tym okresie, wielu mądrych wskazówek. Początki były wprost cudowne; pilność moja, baczność[176], gorliwość zwróciły na siebie uwagę wszystkich. Ksiądz Gaime ostrzegł mnie roztropnie, abym pohamował ten pierwszy zapał, z obawy, aby nie ostygł z czasem i aby tego nie zauważono. „Ten wstęp — rzekł mi — będzie miarą tego, czego będą od ciebie żądali. Zostawże sobie możność dawania w przyszłości więcej, a strzeż się zacząć dawać mniej".

Ponieważ nie egzaminowano mnie wcale z mych skromnych umiejętności i przypuszczano, iż posiadam jedynie to, co mi dała natura, nie zanosiło się, mimo tego, co mi hrabia Gouvon oświadczył, abym miał zająć poczesniejsze miejsce. Przyszły różne sprawy,

[175] *wartogłów* (daw.) — narwaniec. [przypis edytorski]
[176] *baczność* — uwaga. [przypis edytorski]

kłopoty, zapomniano o mnie po trochu. Margrabia de Breil, syn hrabiego de Gouvon, był wówczas ambasadorem w Wiedniu. Zaszły na dworze wypadki, które dały się odczuć rodzinie i na kilka tygodni wprawiły dom w poruszenie, nie zostawiając czasu do myślenia o mnie. Mimo to aż do tej chwili nie zaniedbałem się ani trochę. Pewna okoliczność wpłynęła na mnie źle i dobrze zarazem, broniąc mnie od wszelkiej dystrakcji[177] z zewnątrz, ale czyniąc mnie nieco mniej uważnym w spełnianiu obowiązków. Pani de Breil miała córkę, mniej więcej w moim wieku, kształtną, dość ładną, bardzo białą, o włosach bardzo czarnych; mimo to na twarzy jej malował się ów wyraz słodyczy właściwy blondynkom, któremu serce moje nigdy nie umiało się oprzeć. Dworski krój, tak korzystny dla młodych osób, rysował jej zgrabną figurkę, uwydatniał piersi i ramiona i czynił płeć jeszcze bardziej olśniewającą, ile że wówczas noszono żałobę. Powie ktoś, że nie jest prawem służącego zwracać uwagę na takie rzeczy. Źle czyniłem, to pewna. Ale cóż? Zauważyłem to wszystko, i nawet nie ja jeden. Marszałek dworu i pokojowcy rozmawiali nieraz na ten temat przy stole, i to z brutalnością, która sprawiała mi okrutne cierpienia. Mimo to nie straciłem głowy do tego stopnia, aby się zakochać na dobre. Nie zapomniałem się; pamiętałem, czym jestem, i pragnienia moje nawet nie przychodziły do głosu. Lubiłem widywać pannę de Breil, słyszeć z jej ust słowa, które świadczyły o dowcipie, rozsądku, dobroci. Ambicja moja, ograniczając się do rozkoszy usługiwania jej, nie przekraczała moich atrybucji[178]. Przy stole bacznie szukałem sposobności, która by pozwoliła mi z nich skorzystać. Jeśli lokaj panny de Breil opuścił na chwilę jej krzesło, natychmiast stawałem za nim; poza tym starałem się zawsze znaleźć naprzeciw niej; czytałem w jej oczach żądanie, nim je wyrzekła; śledziłem moment, w którym mogłem odmienić jej talerz. Czegóż nie byłbym uczynił, aby raczyła wydać mi jakiś rozkaz, spojrzeć na mnie, rzucić jedno słowo! Ale nie. Cierpiałem tę mękę, iż nie istnieję dla niej; nie spostrzegła nawet, że jestem. Raz tylko, gdy jej brat, który niekiedy odzywał się do mnie przy stole, powiedział mi coś niezbyt uprzejmego, a ja sparowałem to w lot zręcznie i przytomnie, ściągnęło to jej uwagę, spojrzała na mnie. Ten rzut oka, mimo iż przelotny, wprawił mnie w prawdziwe uniesienie. Nazajutrz zdarzyła się sposobność dostąpienia po raz drugi tego szczęścia; skorzystałem z niej skwapliwie. Dawano tego dnia wielki obiad, przy którym pierwszy raz ujrzałem ze zdumieniem, że marszałek dworu usługuje ze szpadą przy boku i w kapeluszu na głowie. Przypadkiem zaczęto mówić o godle domu Solar, które znajdowało się na hafcie z herbami: „*Tel fiert, qui ne tue pas*". Któryś z gości (Piemontczycy nie są zbyt tędzy w języku francuskim) dopatrzył się w tym godle błędu ortograficznego i powiedział, że w słowie *fiert* niepotrzebna jest litera *t*.

Stary hrabia de Gouvon miał zamiar odpowiedzieć, ale rzuciwszy okiem na mnie, spostrzegł, iż uśmiecham się, nie śmiejąc się odezwać; kazał mi mówić. Wówczas rzekłem, iż nie wydaje mi się, aby *t* było zbyteczne; *fiert* jest to stare słowo francuskie, które nie pochodzi od słowa *ferus*, dumny, groźny, ale od słowa *ferit*, uderza, rani. Zatem, o ile mi się zdaje, godło nie mówi: „Nie każdy, kto *grozi*", ale: „Nie każdy, kto *uderza*, zabija".

Wszyscy patrzeli na mnie i spoglądali po sobie w milczeniu. W życiu nie widział nikt podobnego zdumienia. Ale co mi pochlebiło najwięcej, to iż wyraźnie ujrzałem na twarzy panny du Breil wyraz ukontentowania. Wyniosła osóbka raczyła mi rzucić drugie spojrzenie, warte co najmniej pierwszego; następnie, skierowawszy oczy na dziadka, zdawała się oczekiwać niecierpliwie pochwały, którą mi był winien i którą oddał mi w istocie tak szczerze i z miną tak zadowoloną, iż cały stół zawtórował chórem.

Chwila krótka, ale rozkoszna! Był to jeden z owych zbyt rzadkich momentów, które wracają rzeczy do ich naturalnego porządku i mszczą zdeptaną wartość ludzką za zniewagi losu. W chwilę potem panna de Breil, podnosząc znów oczy na mnie, poprosiła mnie, tonem równie nieśmiałym jak uprzejmym, abym jej nalał wody. Można się domyślić, że nie pozwoliłem jej czekać; ale kiedym się zbliżył, owładnęło mną takie drżenie, iż nalawszy zbyt pełno, rozlałem nieco na talerz, a nawet na suknię. Brat jej spytał niebacznie, czemu tak drżę. To pytanie nie pomogło mi do odzyskania spokoju, a panna zarumieniła się po białka.

[177] *dystrakcja* — czynnik rozpraszający, utrudniający skupienie się. [przypis edytorski]
[178] *atrybucje* — uprawnienia komuś przysługujące. [przypis edytorski]

Tu kończy się mój nowy romans, przy czym czytelnik zauważy, iż, podobnie jak z panią Basile i w całym późniejszym mym życiu nie byłem szczęśliwy w rezultatach moich miłostek. Próżno wysiadywałem w przedpokoju pani de Breil; nie zyskałem już najmniejszego znaku uwagi ze strony córki. Wchodziła i wychodziła, nie patrząc na mnie, a ja ledwie śmiałem na nią podnieść oczy. Byłem nawet tak głupi i niezręczny, że gdy raz, przechodząc, upuściła rękawiczkę, którą byłbym rad okryć pocałunkami, nie śmiałem ruszyć się z miejsca i ścierpiałem, aby ją podniósł jakiś drab lokaisko, za co byłbym go chętnie udusił. Do reszty onieśmieliło mnie to, iż spostrzegłem, że nie mam szczęścia być w łaskach u pani de Breil. Nie tylko nie dawała mi żadnych poleceń, ale nigdy nie chciała przyjąć moich usług; dwa razy wręcz, zastawszy mnie u siebie w przedpokoju, spytała bardzo sucho, czy nie mam nic do roboty. Trzeba mi było porzucić ten drogi przedpokój. Zrazu czułem żal, ale później co innego zaprzątnęło mi głowę i niebawem przestałem o tym myśleć.

Wzgardę pani de Breil wynagrodziły mi w pełni względy jej teścia, który zauważył wreszcie mą obecność. Po owym pamiętnym obiedzie miał ze mną blisko półgodzinną rozmowę; zdawał się rad ze mnie, ja zaś byłem oczarowany. Dobry staruszek miał może umysł nie tak świetny jak pani de Vercellis, ale bardziej ludzki; czułem się też z nim o wiele lepiej. Powiedział mi, abym się trzymał księdza de Gouvon, jego syna, który ma do mnie sympatię; że o ile potrafię z niej skorzystać, przychylność jego może mi być użyteczną pomocą w widokach kariery. Zaraz nazajutrz rankiem pomknąłem do księdza de Gouvon. Przyjął mnie zgoła nie jak służącego. Kazał mi usiąść przy kominku i, zadając pytania z wielką słodyczą, spostrzegł, że wykształcenie moje, zaczęte w wielu przedmiotach, w żadnym nie było ukończone. Znajdując zwłaszcza, iż zbyt mało posiadam łaciny, podjął się wydoskonalić mnie w tym języku. Umówiliśmy się, że będę przychodził co rano; mieliśmy zacząć nazajutrz. Tak, jednym z kaprysów losu, które często spotka się w biegu mego życia, znalazłem się wraz powyżej i poniżej swego stanu, będąc równocześnie wychowankiem i lokajem w tym samym domu; jako sługa zyskałem pedagoga, który z urodzenia mógł być nauczycielem chyba dzieci królewskich.

Księdza Gouvon, jako młodszego syna, przeznaczała rodzina do infuły[179], z której to przyczyny dalej posunął swoje nauki, niż jest obyczajem dzieci szlachetnego rodu. Wyprawiono go na uniwersytet do Sienny, gdzie pozostał kilka lat i skąd przywiózł sporą dozę „kruskantyzmu"[180], aby się stać w Turynie mniej więcej tym, czym niegdyś ksiądz Dangeau[181] w Paryżu. Wstręt do teologii pchnął go w kierunku literatury; zjawisko częste we Włoszech u młodych arystokratów na drodze do pastorału[182]. Czytywał poetów, składał dość zgrabne wiersze po łacinie i po włosku. Słowem, posiadał tyle smaku, ile było trzeba, aby ukształtować mój smak i wprowadzić pewien ład i wybór w rupieciarni, jaką przedstawiała moja mózgownica. Ale czy moja paplanina dała mu złudzenia co do mej wiedzy, czy nauczanie samych początków łaciny zdało się mu zbyt nudne, wziął od razu o wiele zza wysoka; ledwie przeczytawszy ze mną kilka bajek Fedra[183], rzucił mnie w Wergiliusza[184], z którego nie rozumiałem prawie nic. Przeznaczone mi było, jak się okaże, brać się kilka razy do łaciny i nigdy się jej nie nauczyć. Mimo to pracowałem dość żarliwie, a nauczyciel mój użyczał mi swej pomocy z dobrocią, której wspomnienie dziś jeszcze mnie rozczula. Spędzałem przy nim dobrą część ranka, tak dla mej nauki, jak dla jego usługi; nie jego osoby, gdyż nigdy nie pozwolił, abym go obsługiwał, ale pisząc za dyktandem i przepisując. Te zajęcia sekretarza więcej mi wyszły na pożytek niż same godziny lekcji. Nie tylko nauczyłem się w ten sposób języka włoskiego w całej je-

[179] *infuła* — wysokie, ceremonialne nakrycie głowy dostojników kościelnych; przen.: wysoka godność kościelna. [przypis edytorski]

[180] *kruskantyzm* — kruskantyzm jest synonimem puryzmu językowego, uprawianego przez Akademię della Crusca [założoną we Florencji w 1582 w celu dbałości o poprawność języka włoskiego; red. WL]. [przypis tłumacza]

[181] *Dangeau, abbé de*, właśc. *Louis de Courcillon* (1643–1723) — francuski duchowny i gramatyk, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

[182] *pastorał* — długa laska, symbol władzy biskupiej. [przypis edytorski]

[183] *Fedr* a. *Fedrus*, właśc. *Phaedrus* (ok. 15–ok. 50 n.e.) — rzym. poeta pochodzenia greckiego, autor poczytnych łacińskich adaptacji bajek Ezopa. [przypis edytorski]

[184] *Wergiliusz*, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta, autor m.in. *Eneidy*, poematu epickiego o wędrówkach Eneasza i założeniu Rzymu. [przypis edytorski]

go czystości, ale nabrałem zamiłowania do literatury i niejakiego rozeznania w dobrych książkach, których nie można było dostać u pani La Tribu. Przydało mi się to bardzo w przyszłości, kiedy mi przyszło pracować samemu.

To był okres mego życia, w którym, bez romantycznych projektów, mogłem z największą słusznością oddawać się nadziejom. Ksiądz de Gouvon był ze mnie zadowolony i powtarzał to wszystkim dokoła; ojciec zaś jego nabrał do mnie tak szczególnej sympatii, iż jak się dowiedziałem od hrabiego de Favria, wspomniał o mnie królowi. Nawet pani de Breil porzuciła lekceważące tony. Słowem, stałem się rodzajem faworyta, ku zazdrości reszty domowników, którzy widząc, iż mam zaszczyt pobierać nauki od syna ich pana, czuli, że niedługo przyjdzie mi być im równym.

Z paru słów, nad którymi zastanowiłem się dopiero po czasie, mogłem poniekąd osądzić, jakie miano na mnie widoki. Otóż zdaje mi się, iż dom de Solar, pragnąc iść drogą karier ambasadorskich, a może utorować ją sobie i do ministerium[185], byłby rad urobić sobie zawczasu zdolnego i uczciwego człowieka, który, zależąc wyłącznie od tego domu, mógłby w przyszłości posiąść jego zaufanie i służyć mu skutecznie. Ten zamiar hrabiego de Gouvon był szlachetny, rozumny, wielkoduszny i w istocie godny dobroczynnego i przewidującego zarazem magnata; ale pomijając, że nie zdawałem sobie wówczas sprawy z jego doniosłości, plan ten był zbyt rozsądny jak na moją głowę i wymagał zbyt długiej cierpliwości. Moja szalona ambicja chciała szukać szczęścia jedynie w zamęcie przygód; nie widziałem w tym wszystkim kobiety, droga ta zdała mi się przeto wolna, uciążliwa i smutna, gdy właśnie dlatego powinna mi się była wydać bardziej zaszczytną i pewną; ile że rodzaj przymiotów, jakie popierają kobiety, mniej jest z pewnością wart od tych, których się we mnie dopatrywano.

Wszystko szło wprost cudownie. Zyskałem, zdobyłem niemal przemocą uznanie całej rodziny; czas próby był skończony. W domu patrzano na mnie jako na młodego człowieka, rokującego największe nadzieje, który nie jest na swoim miejscu i ma je niebawem zająć. Ale miejsce moje było inne niż to, które mi przeznaczali ludzie, i miałem doń przybyć zgoła odmiennymi drogami. Tu zbliżam się do jednego z owych charakterystycznych rysów, które mi są właściwe. Wystarczy pokazać czytelnikowi fakty, nie dodając żadnych uwag.

Jakkolwiek w Turynie znajdowało się wielu „nawróconych" mego pokroju, nie lubiłem ich i nie szukałem z nimi stosunków. Widywałem natomiast paru Genewczyków, którzy nie zmienili wyznania, między innymi niejakiego Mussard, z przezwiskiem Kręcimorda, malarza miniatur, nieco mi krewnego. Ten Mussard wyszperał mnie u hrabiego de Gouvon i przyszedł mnie odwiedzić z drugim Genewczykiem zwanym Bâcle, z którym kolegowałem w terminie. Ów Bâcle był to chłopiec zabawny, wesoły, pełen wybryków i pustoty, którym młodość jego dawała szczególny powab.

I oto zacietrzewiłem się w tym Bâcle'u, ale to do tego stopnia, że nie byłem wprost zdolny się z nim rozłączyć. Miał wkrótce opuścić Turyn, aby wrócić do Genewy. Cóż za strata! Czułem ogrom jej w całej pełni. Aby wyzyskać bodaj chwile, które mi zostały, nie rozstawałem się z nim po prostu, a raczej on się nie rozstawał ze mną; na razie bowiem nie straciłem jeszcze głowy na tyle, aby się z nim wałęsać całymi dniami poza domem bez opowiedzenia się.

Niebawem, widząc, że mnie obsiaduje nieustannie, zabroniono mu wstępu do pałacu; ja zaś zapamiętałem się do tego stopnia, że tracąc z oczu wszystko z wyjątkiem przyjaciela, nie pokazywałem się ani u księdza de Gouvon, ani u starego hrabiego. Słowem, nie widziano mnie już w domu. Upominano mnie; nie słuchałem. Zagrożono mi odprawą. Groźba ta stała się moją zgubą: ukazała mi w perspektywie możliwość nierozstawania się z przyjacielem. Od tej chwili nie widziałem innej rozkoszy, innego losu, szczęścia, jak tylko, aby mu towarzyszyć w podróży. Przed oczami majaczyły mi już niewymowne słodycze takiej wędrówki, na końcu której na domiar upojenia widziałem panią de Warens, ale w niezmiernym oddaleniu; bo co się tyczy powrotu do Genewy, nie przyszło mi to nawet na myśl. Góry, łąki, lasy, strumienie, wsie przesuwały mi się przed oczami bez końca i bez przerwy, pełne wciąż nowych uroków; zdawało mi się, że w tej błogosławionej wędrówce spłynie całe moje życie. Przypomniałem sobie z rozkoszą, jak bardzo ta sama

[185] *ministerium* (daw.) — ministerstwo. [przypis edytorski]

podróż wydała mi się uroczą, gdy szedłem do Turynu. Czymże byłaby teraz, gdy do całego uroku swobody dołączyłoby się szczęście wędrówki z towarzyszem w moim wieku, miłym, wesołym; wędrowania bez przymusu, bez obowiązków, bez troski, idąc, zatrzymując się, popasając wedle zachcenia! Trzeba by być szaleńcem, aby poświęcać podobne szczęście dla widoków powolnych, trudnych, niepewnych, które — przypuściwszy, że kiedyś się ziszczą — i wówczas w całym swoim blasku nie warte są kwadransa prawdziwego szczęścia i wolności.

Opanowany tym rozsądnym szaleństwem, działałem tak skutecznie, iż w końcu osiągnąłem, że mnie wypędzono; a trzeba przyznać, nie przyszło mi to bez trudu. Jednego wieczora, gdym właśnie wrócił, marszałek dworu oznajmił mi w imieniu hrabiego, że mogę dom opuścić. Tego właśnie pragnąłem; czując bowiem mimo woli szaleństwo mego postępowania, dorzucałem do niego dla uspokojenia sumienia niesprawiedliwość i niewdzięczność, mniemając, iż w ten sposób własne winy przerzucę na drugich i uniewinnię sam przed sobą swój krok, rzekomo spowodowany koniecznością. Powiedziano mi również, w imieniu hrabiego Favria, abym się z nim rozmówił nazajutrz przed opuszczeniem domu; a ponieważ widziano po mnie, iż będąc zupełnie niepoczytalny, gotów jestem tego nie uczynić, marszałek dworu oznajmił, że dopiero po tej wizycie wręczy mi sumkę, którą mi przeznaczono, a którą zarobiłem z pewnością bardzo licho; nie mając bowiem zamiaru zostawiać mnie na stanowisku lokaja, nie wyznaczono mi zasług.

Hrabia Favria, mimo swej młodości i roztrzepania, przemówił do mnie słowami pełnymi rozsądku, śmiałbym nawet rzec tkliwości. W pochlebnych i wzruszających wyrazach przywiódł mi przed oczy starania swego wuja i zamiary dziadka. Wreszcie, przedstawiwszy w żywych kolorach wszystko, co poświęcam, aby biec ku zgubie, ofiarował się załagodzić sprawę, wymagając jedynie, abym przestał się widywać z nicponiem, który mnie opętał.

Jasnym było, że nie mówił tego wszystkiego sam z siebie. Jakoż mimo głupiego zaślepienia, uczułem całą dobroć starego mego pana i wzruszyłem się; ale wyśniona podróż zbyt głęboko wycisnęła się w mej wyobraźni, aby cośkolwiek mogło przeważyć jej urok. Byłem zupełnie nieprzytomny; zaciąłem się, zaciekłem, naburmuszyłem i odparłem zuchwale, że skoro mi dano odprawę, zastosowałem się do tego; że nie czas się już cofać i że co bądź by mi się miało przytrafić w życiu, wolę to niż czekać, aż mnie drugi raz wypędzą z domu. Wówczas młody hrabia, słusznie pogniewany, nazwał mnie tak, jak na to zasługiwałem, wyrzucił mnie z pokoju za kark i zatrzasnął drzwi. Co do mnie, wyszedłem tryumfujący, jak gdybym odniósł wielkie zwycięstwo; z obawy zaś, bym nie musiał stawić czoła nowej próbie, miałem tę niegodziwość, aby opuścić dom, nie podziękowawszy księdzu de Gouvon za jego trudy.

Aby zrozumieć, do jakich granic byłem w tej chwili pod władzą mego szaleństwa, trzeba wiedzieć, do jakiego stopnia serce moje zdolne jest rozpalać się z najdrobniejszych powodów i z jaką siłą urojenia, przedmiot choćby najbłahszy, który mnie pociąga w danej chwili, działa na mą wyobraźnię. Najbardziej dziwaczne, dziecinne, szalone projekty przychodzą wówczas w pomoc ulubionemu zachceniu i stroją je w kolory prawdopodobieństwa. Czy uwierzyłby ktoś, że w dziewiętnastym roku może ktoś na pustej fiolce oprzeć całą egzystencję? Owóż, słuchajcie.

Ksiądz Gouvon darował mi przed kilku tygodniami małą fontannę Herona[186], bardzo ładną, którą byłem oczarowany. Bawiąc się tą fontanną a zarazem mówiąc o naszych planach, wpadliśmy obaj, doświadczony Bâcle i ja, na pomysł, że zabawka ta mogłaby nam oddać ważne usługi w podróży i dopomóc do jej przedłużenia. Czy może być w świecie coś równie ciekawego jak fontanna Herona? Zasada ta była podstawą, na której wznieśliśmy gmach swojej fortuny. W każdej wiosce mieszkańcy niechybnie zbiegać się będą tłumnie do naszej fontanny, a żywność i wszelakie łakocie spadać będą na nas tym obficiej, ile że obaj byliśmy przekonani, że środki żywności nic nie kosztują tych, którzy je produkują, i jeśli nie częstują nimi wędrowców, to z czystej złej woli. Roiliśmy tedy same uczty i zabawy, licząc, że bez innych wkładów prócz powietrza z płuc i wody z naszej fontanny, opędzimy koszta podróży w Piemoncie, w Sabaudii, we Francji i w całym świecie. Ukła-

[186] *Heron z Aleksandrii* (ok. 10–ok. 70) — gr. matematyk, fizyk i wynalazca; konstruktor m.in. *fontanny Herona*: urządzenia hydraulicznego złożonego z trzech zbiorników umieszczonych na różnych wysokościach oraz łączących je rurek, w którym dzięki wypieraniu wody i powietrza z dwu niższych zbiorników na najwyższym przez rurkę wytryskuje woda. [przypis edytorski]

daliśmy na ten temat projekty iście bez końca. Na początek postanowiliśmy skierować się na północ, bardziej dla przyjemności przebycia Alp niż dla określonego celu.

(1731–1732). Taki był plan, na podstawie którego puściłem się w drogę, rzucając bez żalu mego protektora, nauczyciela, studia, nadzieję, widoki kariery niemal pewnej, aby rozpocząć życie prawdziwego włóczęgi. Żegnaj mi, stolico, żegnaj dworze, ambicjo, próżności, miłostki, piękne damy i wszystkie wspaniałe przygody, których nadzieja przywiodła mnie tu przed rokiem. Odchodzę z moją fontanną, z drugim włóczęgą, mym godnym przyjacielem, ze szczupło zaopatrzoną sakiewką, ale z sercem przepełnionym radością, myśląc jedynie o tym, aby nacieszyć się wędrownym szczęściem, do którego od jednego zamachu ograniczyłem moje świetne projekty.

Ta wariacka podróż odbyła się niemal tak przyjemnie, jak się spodziewałem, ale niezupełnie w ten sposób; mimo bowiem iż fontanna zabawiła na chwilę po karczmach gospodynie i dziewczęta, niemniej na odchodnym trzeba było płacić rachunek. Ale to nas nie trapiło; chowaliśmy sobie ten środek ratunku dopiero na chwilę ostateczną, kiedy będzie kuso z pieniędzmi. Przypadek oszczędził nam tego kłopotu: fontanna stłukła się, a był już czas, czuliśmy bowiem, nie śmiejąc sobie tego wyznać, że zaczynała nas nudzić. To nieszczęście przydało podniet naszej wesołości; śmialiśmy się serdecznie sami z siebie, iż w roztrzepaniu naszym zapomnieliśmy, że ubrania i trzewiki zużyją się z czasem, lub spodziewaliśmy się je odnowić za pomocą swojej fontanny. Wędrowaliśmy teraz dalej, równie wesoło i bez troski jak z początku, ale zmierzając prostszą drogą ku celowi, który wobec coraz większego wychudzenia sakiewki, trzeba było sobie wreszcie naznaczyć.

Zbliżając się do Chambéry, zacząłem być niespokojny, nie dla głupstwa, które uczyniłem, nikt bowiem równie dobrze i szybko jak ja nie załatwiał się z przeszłością, ale na myśl o przyjęciu, jakie mnie czeka u pani de Warens. Uważałem jej dom najzupełniej za swój dom rodzinny. Doniosłem jej o miejscu u hrabiego de Gouvon; wiedziała, na jakiej stopie tam jestem; winszując mi, udzieliła mi roztropnych przestróg co do sposobu odwdzięczenia się za okazywaną dobroć. Uważała mój los za zapewniony, o ile go nie zburzę własną dłonią. Cóż powie teraz na mój nagły powrót? Nie przyszło mi nawet na myśl, że mogłaby mi zamknąć drzwi, ale bałem się jej zmartwienia, lękałem się wymówek okrutniejszych dla mnie niźli nędza. Postanowiłem ścierpieć je w milczeniu i uczynić wszystko, aby ją ułagodzić. W całym świecie nie widziałem nic poza nią: żyć z jej niełaską, było mi wprost niepodobieństwem.

Co mnie najbardziej niepokoiło, to mój towarzysz; nie chciałem jej obarczać na dobitkę tym ciężarem, a lękałem się, że niełatwo przyjdzie mi się go pozbyć. Przygotowałem rozstanie, zachowując się ostatniego dnia dość zimno. Urwis odgadł mnie; był bardziej postrzelony niż głupi. Myślałem, że go dotknie moja niestałość. Byłem w błędzie, imć Bâcle nie troszczył się o takie drobnostki. Ledwie, dotarłszy do Annecy, wkroczyliśmy w bramy, rzekł: „Jesteś tedy w domu", uściskał mnie, pożegnał, zakręcił się na pięcie i znikł. Nigdy o nim nie słyszałem więcej. Znajomość nasza i przyjaźń trwały wszystkiego około pięciu tygodni, ale następstwa będą trwać póki mego życia.

Jakże mi biło serce, kiedy zbliżałem się do domu pani de Warens! Nogi drżały pode mną, oczy zachodziły mgłą, nie widziałem, nie słyszałem nic, nie byłbym poznał nikogo. Musiałem się zatrzymywać kilkakrotnie, aby odetchnąć i odzyskać zmysły. Czy to może obawa, że nie znajdę u niej potrzebnej pomocy, tak mnie wzruszała? Czyż w tym wieku obawa głodowej śmierci napełnia takim przestrachem? Nie, nie; stwierdzam to z równą szczerością jak dumą, nigdy, w żadnej dobie życia nadzieja korzyści lub obawa niedostatku nie zdołały przejąć mego serca radością lub lękiem. W ciągu mego życia, tak niespokojnego i upamiętnionego tyloma błędami, często bez dachu i chleba, zawsze jednako spokojnym okiem patrzałem na nędzę i dostatek. W potrzebie byłbym zdolny kraść albo żebrać jak każdy inny, ale nie troskać się, iż popadłem w tę ostateczność. Mało ludzi tyle cierpiało co ja, niewielu tyle wylało łez w życiu; ale nigdy ubóstwo ani jego obawa nie wydarły mi z piersi jednego westchnienia, z oka jednej łzy. Dusza moja, w próbach losu, widziała swoje dobro i zło jedynie w rzeczach, które nie zależą od niego. Wówczas właśnie, kiedy mi niczego nie brakło do życia, czułem się najnieszczęśliwszym ze śmiertelnych.

Ledwie stanąłem przed panią de Warens, widok jej uspokoił mnie. Zadrżałem na dźwięk jej głosu. Rzucam się jej do stóp i w uniesieniu najżywszej radości przyciskam

usta do jej ręki. Nie wiem, czy miała o mnie jaką wiadomość; w twarzy jej wyczytałem niewiele zdumienia, a już gniewu wcale. „Biedny mały! — rzekła pieszczotliwie. — Już z powrotem? Wiedziałam, że za młody jesteś na tę podróż. Rada jestem przynajmniej, że nie obróciła się tak źle, jak się obawiałam". Następnie kazała mi opowiedzieć mą historię, która nie była zbyt długa. Opowiedziałem wszystko wiernie, pomijając co prawda niektóre szczegóły, ale zresztą[187] nie oszczędzając się ani uniewinniając.

Nasunęła się kwestia noclegu. Naradziła się z panną służącą. Nie śmiałem oddychać w czasie tej narady; ale, gdy usłyszałem, że będę nocował pod jej dachem, trudno mi było powściągnąć radość. Patrzałem jak niesiono moje zawiniątko do pokoju, który mi był przeznaczony, tak mniej więcej jak Saint-Preux, kiedy wyprzęgają u pani de Wolmar[188] jego dyliżans. Na domiar szczęścia dowiedziałem się, iż łaska ta nie będzie przelotna; na pozór nie słuchając i niby zajęty czym innym, usłyszałem, jak pani de Warens rzekła: „Niech gadają, co chcą, ale skoro Opatrzność mi go odsyła z powrotem, zdecydowana jestem go nie opuścić".

Znalazłem się tedy w jej domu. Pobyt ten to nie był jeszcze ów, od którego liczę szczęśliwe dni mego życia, ale przyczynił się do przygotowania tamtego. Mimo iż owa wrażliwość serca, której zawdzięczamy poczucie naszego szczęścia, jest dziełem natury, a może wytworem organizacji, potrzebuje ona okoliczności, które by ją rozwinęły. Bez tych okolicznościowych przyczyn człowiek z urodzenia wrażliwy nie doznałby żadnych wzruszeń i umarłby, nie poznawszy nic ze swego jestestwa. Takim mniej więcej byłem dotąd; takim może byłbym został na zawsze, gdybym nie poznał pani de Warens albo gdybym, nawet poznawszy ją, nie żył obok niej dość długo, aby nasiąknąć słodkim nawykiem tkliwości, jaką we mnie obudziła. Nie waham się rzec, że kto zna tylko miłość, temu nieznane jest najsłodsze, co istnieje w życiu. Znam inne uczucie, mniej gwałtowne może, ale tysiąc razy bardziej rozkoszne, które niekiedy łączy się z miłością, a często jest od niej odrębne. Uczucie to — to nie jest też sama przyjaźń. Jest bardziej upajające, tkliwsze i nie wyobrażam sobie, aby mogło istnieć w stosunku do osoby tej samej płci. Ja przynajmniej, choć zdolny do przyjaźni jak mało kto w świecie, nie doznawałem go nigdy dla żadnego z przyjaciół. To, co mówię, nie jest dość jasne, ale stanie się jaśniejsze w dalszym ciągu: uczucia można opisać jedynie w ich działaniu i skutkach.

Pani de Warens zamieszkiwała domostwo stare, ale dość obszerne, posiadające między innymi piękny, obszerny pokój, z którego uczyniła rodzaj salonu; tam właśnie mnie pomieszczono. Pokój ten wychodził na dróżkę, o której mówiłem, miejsce naszego pierwszego spotkania; za strumieniem i ogrodami ciągnęły się pola. Widok ten nie był dla młodego lokatora rzeczą obojętną. Pierwszy raz od czasów Bossey widziałem za oknami zieloność. Zawsze uwięziony w murach, miałem przed oczyma jedynie dachy albo szarzyznę ulic. Jakże ta nowość zdała mi się rozkoszna i słodka! Mnożyła ona wielce moje roztkliwienie. Uroczy krajobraz stawał się w mych oczach jeszcze jednym dobrodziejstwem drogiej opiekunki. Zdawało mi się, że umieściła go tam umyślnie dla mnie. Czułem rozkosz znajdowania się w jej pobliżu, widziałem ją wszędzie wśród kwiatów i zieloności; jej uroki i urok wiosny zlewały się w mych oczach w jedno. Serce moje, dotąd zduszone, czuło się wolniejsze w tej przestrzeni, westchnienia moje płynęły swobodniej w tę zieleń.

Nie było u pani de Warens wspaniałości, jakie widziałem w Turynie; ale była schludność, przystojność i patriarchalny dostatek, które nigdy nie idą w parze z przepychem. Miała niewiele sreber, porcelany wcale, nie miała zapasów dziczyzny w spiżarni ani zagranicznych win w piwnicy; ale i jedna, i druga dobrze były zaopatrzone dla użytku wszystkich, a w filiżankach z fajansu podawała doskonałą kawę. Ktokolwiek wstąpił w jej dom, zaproszony był na obiad z nią albo u niej, i nigdy żaden robotnik, posłaniec albo przechodzień nie wyszedł nie nakarmiony albo nie napojony. Służbę jej stanowili: pokojowa, dość ładna dziewczyna z Fryburga, nazwiskiem Merceret; służący z jej stron rodzinnych, Klaudiusz Anet, o którym będzie mowa w dalszym ciągu; kucharka i dwaj najemni tragarze, gdy udawała się w lektyce w odwiedziny, co zdarzało się rzadko. Był to dość wielki dwór na dwa tysiące franków renty; ale i ten dochodzik przy dobrym gospodarstwie[189] mógł był starczyć na wszystko, w kraju, gdzie ziemia jest dobra, a pieniądz rzadki. Nie-

[187] *zresztą* (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]
[188] *Saint-Preux i pani de Wolmar* — bohaterowie *Nowej Heloizy*, słynnej powieści Russa. [przypis tłumacza]
[189] *gospodarstwo* — tu: gospodarowanie, zarządzanie. [przypis edytorski]

szczęściem, oszczędność nigdy nie była jej cnotą: zadłużała się, płaciła procenty, pieniądz przemykał przez ręce i rozchodził się nie wiadomo gdzie.

Sposób prowadzenia domu był właśnie taki, jaki ja sam byłbym wybrał; można się domyślić, że korzystałem zeń z przyjemnością. Mniej mi się podobało to, że trzeba było długo siedzieć przy stole. Pani de Warens z trudnością znosiła pierwszy opar zupy i potraw; zapach ten przyprawiał ją niemal o omdlenie, a uczucie odrazy trwało długo. Powoli przychodziła do siebie i rozmawiała, nic nie biorąc do ust. Ledwie po jakiej półgodzinie próbowała pierwszego kąska. Byłbym przez ten czas trzy razy uporał się z obiadem; dawno skończyłem posiłek, gdy ona jeszcze nie zabrała się do swego. Zaczynałem na nowo dla towarzystwa; w ten sposób jadłem za dwóch, co mi nie wychodziło na szkodę. Słowem, oddawałem się całym sobą słodkiemu uczuciu dobrobytu, jakiego doznawałem przy niej, ile że dobrobytu tego nie mącił wówczas żaden niepokój o jego środki. Nie będąc powiernikiem jej interesów, mniemałem, iż zawsze dom będzie mógł iść tym trybem. Później zażywałem w jej domu tych samych słodyczy; ale bardziej świadom położenia i wiedząc, że te wydatki zjadają na pniu dochody, nie smakowałem już w nich z takim spokojem. Przewidywanie zawsze niweczyło we mnie rozkosz użycia. Poza tym, odgadywanie przyszłości na nic mi się nie zdało w życiu; nigdy nie zdołałem jej uniknąć.

Od pierwszego dnia utrwaliła się między nami najmilsza poufałość, taka jaka przetrwała do końca jej życia. Ja nazywałem się dla niej „mały", ona dla mnie „mamusią"; i zawsze zostaliśmy „małym" i „mamusią", nawet kiedy z biegiem lat zatraciła się prawie różnica wieku. Uważam, że te dwa miana cudownie oddają obraz naszego stosunku, prostoty obcowania, a zwłaszcza tonu serc. Ona była dla mnie najczulszą matką, która nigdy nie szukała swojej przyjemności, lecz zawsze mego dobra. A jeżeli zmysły miały udział w mym przywiązaniu, to głos ich nie przeobrażał charakteru tego przywiązania, ale czynił je bardziej uroczym; upajał mnie szczęściem, iż posiadam mamusię ładną i młodą, której pieszczoty przejmują mnie rozkoszą; powiadam „pieszczoty" w dosłownym znaczeniu, bo nigdy nie przyszło jej na myśl skąpić mi pocałunków i najsłodszych macierzyńskich pieszczot, a nigdy nie postała w mym sercu myśl nadużywania ich. Powie ktoś, iż mieliśmy w końcu stosunki odmiennego i rodzaju. Przyznaję; ale cierpliwości, nie mogę wszystkiego powiedzieć od razu.

Chwila pierwszego spotkania i wzruszeń z nią połączonych była jedyną, w której widok pani de Warens obudził we mnie namiętność; a i ta chwila była poniekąd dziełem niespodzianki. Nigdy moje niedyskretne spojrzenia nie wciskały się pod jej chusteczkę, mimo iż powabne okrągłości mogły je były skusić. Nie doznawałem przy niej uniesień ani pożądań; zażywałem rozkosznego spokoju, upajałem się, sam nie wiedząc czym. Byłbym tak przebył całe życie, wieczność nawet, nie nudząc się ani chwili. Ona była jedyną osobą, z którą nigdy nie odczułem przymusu, graniczącego nieraz z męką. Nasze sam na sam były nie tyle rozmową, ile nieustającym świegotaniem, które kończyło się wówczas, gdy nam je coś przerwało. Nie tylko nie trzeba mnie było zmuszać do mówienia, ale raczej narzucać mi milczenie. Nieraz, mając głowę nabitą projektami, mamusia popadała w zadumę. Ach, wówczas pozwalałem jej dumać, milczałem, patrzałem na nią i czułem się najszczęśliwszym z ludzi. Miałem jeszcze jeden osobliwy narów. Nie pragnąc wyciągać z naszych sam na sam szczególnych korzyści, szukałem ich wszakże bez ustanku, napawałem się nimi z upojeniem, które mieniło się we wściekłość, skoro jakimś natrętom zdarzyło się je zakłócić. Ilekroć ktoś przybył, mniejsza o to kto, mężczyzna czy kobieta, wychodziłem natychmiast, szemrając, nie mogąc ścierpieć, abym miał dzielić jej obecność z kimś trzecim. Chroniłem się do przedpokoju, gdzie liczyłem minuty, przeklinając po tysiąc razy ciągłych gości i nie mogąc pojąć, o czym oni mają tyle do gadania, ponieważ sam miałem do gadania jeszcze więcej.

Ale siłę swego przywiązania czułem w pełni dopiero wówczas, kiedy nie byłem przy mamusi. Kiedy byliśmy razem, byłem tylko zadowolony. W jej nieobecności niepokój mój stawał się wprost bolesny. Potrzeba życia obok niej przyprawiała mnie o wybuchy czułości dochodzące niekiedy do łez. Nigdy nie zapomnę, jak raz w wielkie święto, gdy ona była na nieszporach, ja przechadzałem się za miastem, z sercem pełnym jej obrazu i gorącego pragnienia, aby resztę dni spędzić przy jej boku. Miałem dość rozsądku, aby widzieć, że jak na teraz było to niemożliwe i że szczęście, którym się upajałem, nie potrwa długo. To dawało marzeniom moim odcień smutku; ale nie miał on nic posępnego, ła-

godziła go radosna nadzieja. Dźwięk dzwonów, na który zawsze byłem dziwnie wrażliwy, śpiew ptaków, piękność dnia, słodycz krajobrazu, zaciszne i sielskie domki, w których roiłem wspólne nasze mieszkanie — wszystko to budziło we mnie tak żywe, czułe, smętne i przejmujące wzruszenie, że byłem jak gdyby w ekstazie, przeniesiony w ten szczęsny czas i w to szczęśliwe pożycie. Serce moje, zażywając upragnionej słodyczy, syciło się nią w nieopisanym upojeniu, nie myśląc nawet o rozkoszy zmysłów. Nie przypominam sobie, abym kiedy prężył się duchem w przyszłość z większą siłą i potęgą iluzji niż wówczas. A co mnie najbardziej uderzyło we wspomnieniu tych marzeń, wówczas gdy się one spełniły, to zupełna tożsamość przedmiotów rzeczywistych z tymi, które widziałem w moim zachwyceniu. Niepodobna, aby sen człowieka na jawie miał większe podobieństwo do wizji proroczej niż ten właśnie. Zawodu doznałem jedynie co do jego urojonej trwałości: w śnie tym bowiem dnie, lata, życie całe spływały z niezmiennym spokojem, podczas gdy w rzeczywistości trwało to tylko chwilę. Niestety! Najtrwalsze moje szczęście było we śnie, ziszczeniu jego prawie natychmiast towarzyszyło przebudzenie.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał szczegółowo opowiadać szaleństwa, do jakich pobudzało mnie wspomnienie drogiej mamusi, kiedy nie byłem przy jej boku. Ileż razy całowałem moje łóżko z myślą, że ona w nim spała; to znów firanki, meble — z myślą, iż należały do niej i że dotykała ich jej piękna ręka; podłogę nawet, do której przyciskałem twarz z myślą, że ona po niej stąpała! Niekiedy, nawet w jej obecności, nawiedzały mnie szaleństwa, które, zdawałoby się, jedynie najgwałtowniejsza miłość zdolna jest podsunąć. Jednego dnia, w chwili gdy kładła kąsek do ust, zawołałem, że jest na nim włos; wypluła na talerz; chwytam go chciwie i połykam. Słowem, między najnamiętniejszym kochankiem a mną była tylko jedna jedyna różnica, ale zasadnicza i która czyni niepojętym dla rozumu mój stan ówczesny.

Wróciłem z Włoch niezupełnie taki, jak się tam puściłem, ale taki, jakim może nigdy w moim wieku nikt nie wrócił z tego kraju. Przyniosłem z powrotem nie dziewictwo, ale nieznajomość kobiety. Odczułem bieg lat. Niespokojny temperament obudził się wreszcie, a pierwsze jego wyładowanie, bardzo mimowolne, zrodziło we mnie, na punkcie mego zdrowia, niepokoje, które lepiej niż wszystko malują poprzednią mą niewinność. Wkrótce, zbywszy się obaw, nauczyłem się owego niebezpiecznego surogatu, który oszukuje naturę i oszczędza młodym ludziom o moim usposobieniu wielu szaleństw, kosztem zdrowia, sił, a niekiedy i życia. Ten nałóg, tak poręczny dla wstydliwych i nieśmiałych natur, ma prócz tego wielki urok dla człowieka z żywą wyobraźnią; daje możność rozrządzania niejako całą płcią niewieścią i wciągania w swoje uciechy piękności, która nas kusi, bez potrzeby starania się o jej zgodę. Uwiedziony tą złowrogą łatwością, pracowałem nad zniszczeniem silnej konstytucji, którą natura odbudowała we mnie z wątłych zaczątków i której pozostawiłem czas na spełnienie tego dzieła. Proszę teraz dorzucić do tego nałogu obecne warunki: mieszkam pod jednym dachem z piękną kobietą, pieszcząc jej obraz w sercu, widując ją bez przerwy w ciągu dnia, wieczór otoczony przedmiotami, które ją przypominają, w łóżku, w którym wiem, że ona sypiała. Ileż tu podniet! Niejeden czytelnik, który je sobie uzmysłowi, musi mnie już uważać za półnieboszczyka. Wręcz przeciwnie: to, co powinno było mnie zgubić, ocaliło mnie właśnie, przynajmniej na jakiś czas. Upojony życiem w jej pobliżu, z gorącą chęcią pozostania z nią przez resztę dni, widziałem w niej — bądź bliskiej, bądź nieobecnej — najczulszą matkę, ukochaną siostrę, rozkoszną przyjaciółkę i nic więcej. Widziałem ją zawsze tak, zawsze tę samą i tylko ją.

Jej obraz, wciąż przytomny w mym sercu, nie zostawiał miejsca na żaden inny; była dla mnie jedyną kobietą, jaka istniała na świecie. Niezmierna słodycz uczuć, które we mnie tchnęła, nie pozwalając zmysłom moim obudzić się dla drugich, zabezpieczała mnie od niej samej i od jej płci. Słowem, byłem wstrzemięźliwy, ponieważ ją kochałem. Z tych stanów, które zresztą maluję niedostatecznie, niech mi kto wytłumaczy, jakiego rodzaju było moje przywiązanie. Co do mnie, mogę powiedzieć tyle, że jeśli już teraz wydaje się ono niezwykłe, w dalszym ciągu wyda się nim o wiele więcej jeszcze.

Spędzałem czas najrozkoszniej w świecie, zajęty rzeczami, które najmniej przypadały mi do smaku. Zajęciem moim było redagowanie projektów, porządkowanie rachunków, przepisywanie recept, to znów przesiewanie ziół, rozcieranie lekarstw, dozorowanie

alembików[190]. Wśród tego przewijały się tłumy interesantów, żebraków, gości wszelkiego rodzaju. Trzeba było równocześnie zajmować się żołnierzem, aptekarzem, kanonikiem, piękną damą, braciszkiem klasztornym. Klątem, mruczałem, złorzeczyłem, wysyłałem do diabła przeklętą ciżbę. Mamusia, która wszystko brała z wesołej strony, śmiała się z moich wybuchów do łez; a więcej jeszcze rozśmieszała ją moja wściekłość, że nie mogę wstrzymać się od śmiechu. Zachwycające były te chwile przerwy, w których miałem czas dać upust niezadowoleniu. A jeśli w czasie sprzeczki zjawił się jaki natręt, umiała znaleźć nowy materiał do zabawy, przedłużając złośliwie wizytę i rzucając mi spojrzenia, za które byłbym ją chętnie wybił. Trudno jej było nie parsknąć śmiechem, widząc, jak skrępowany przyzwoitością wytrzeszczam rozjuszone oczy, czując, mimo wszystkich wysiłków, w głębi duszy cały komizm sytuacji.

Wszystko to, choć mniej miłe samo przez się, bawiło mnie, ponieważ stanowiło cząstkę owego życia, które miało dla mnie niewysłowiony urok. Nic z tego, co się działo koło mnie, co ja sam musiałem robić, nie było wedle mego smaku, ale wszystko wedle mego serca. Sądzę, iż byłbym zdolny polubić nawet medycynę, gdyby mój wstręt nie był źródłem paradnych scen, którymi bawiliśmy się bez przerwy; pierwszy raz może umiejętność ta sprawiała podobne skutki. Twierdziłem, iż odróżnię po zapachu książkę medyczną od każdej innej, a co zabawne, rzadko się myliłem. Mamusia kazała mi kosztować najobrzydliwszych leków. Daremnie próbowałem bronić się albo uciekać; mimo oporu i wykrzykiwań, mimo zaciskania zębów, skoro jej ładne paluszki całe ubabrane zbliżyły się do mej twarzy, trzeba mi było otworzyć usta i posmakować. Kiedy jej cały dwór zgromadzony był w jednym pokoju, gdyby ktoś słyszał nas, jak uganiamy i krzyczymy wśród wybuchów śmiechu, myślałby, iż tu się przygotowuje jakąś farsę, a nie opiaty albo eliksiry.

Nie cały czas jednak trawiłem na figlach. W pokoju swoim znalazłem kilka książek: „Spektator"[191], Passendorf[192], Saint-Evremond[193], *Henriada*[194]. Mimo iż przeminęła mi dawna furia czytania, w braku zajęcia rozczytywałem się po trochu w tym wszystkim. „Spektator" zwłaszcza podobał mi się bardzo i dobrze na mnie wpłynął. Ksiądz de Gouvon nauczył mnie czytać mniej chciwie, a z większym zastanowieniem, więcej też korzystałem z lektury. Przyzwyczajałem się zwracać uwagę na styl, na budowę zdania. Uczyłem się odróżniać czysty francuski język od prowincjonalnych naleciałości.

Niekiedy rozmawiałem z mamusią o tym, com czytał. Czasem czytywałem jej głośno; to sprawiało mi wielką przyjemność; starałem się dobrze czytać, co mi się również przydało. Wspomniałem, iż posiadała umysł pięknie uprawny; wówczas znajdował się on w swoim rozkwicie. Wielu ludzi pióra starało się o jej względy i wszczepiło jej trafny sąd o płodach ducha. Miała, jeśli można się tak wyrazić, smak nieco protestancki, czytywała chętnie Bayle'a[195] i wysoko ceniła Saint-Evremonda, który od dawna we Francji się przeżył, ale to nie przeszkadzało, że znała i dobre książki i mówiła o nich bardzo trafnie. Wychowała się w doborowych towarzystwach, przybywszy zaś do Sabaudii jeszcze młodo, straciła w przemiłym towarzystwie miejscowych szlacheckich domów ów wymuszony ton panujący w Vaud, gdzie kobiety uważają, że szczytem światowości jest chęć nieustannego błyszczenia i że każde słowo powinno być kalamburem.

Jakkolwiek na dworze spędziła czas bardzo krótki, rzut oka wystarczył jej, aby ten świat dobrze poznać. Zawsze zachowała tam przyjaciół i mimo tajemnych zazdrości, mimo szemrań, jakie budził jej sposób życia i jej długi, nigdy nie postradała swojej pensji. Posiadała znajomość świata, oraz zdolność orientacyjną, która pozwalała jej wyciągnąć praktyczny użytek z owej znajomości. Był to ulubiony przedmiot jej rozmów, a zważyw-

[190] *alembik* — dawne naczynie służące do destylacji płynów. [przypis edytorski]

[191] *Spektator*, [*The Spectator*] — tytuł angielskiego pisma periodycznego z początku XVIII w., za którego wzorem Marivaux zaczął wydawać „Spektatora francuskiego" (1725). [„The Spectator", pierwsza nowoczesna gazeta, promował wartości oświeceniowe i poruszał głównie tematy społeczne; ukazywał się w latach 1711–1712, wznowiony na krótko w 1714; wszystkie numery opublikowano w postaci kilkutomowej książki, przetłumaczonej m.in. na francuski (1714); red. WL]. [przypis tłumacza]

[192] *Passendorf, Samuel von* (1632–1694) — publicysta i historyk niemiecki, którego dzieła przekładano wielokrotnie na francuski. [prekursor niemieckiego oświecenia; jako prawnik i filozof zajmował się teorią prawa naturalnego, wywierając znaczny wpływ na poglądy Rousseau; red. WL]. [przypis tłumacza]

[193] *Saint-Evremond*, [*Charles de Marguetel de Saint-Denis de*] (1616–1703) — fr. pisarz, filozof, dworzanin. [przypis tłumacza]

[194] *Henriada* — poemat Woltera opiewający Henryka IV. [przypis tłumacza]

[195] *Bayle*, [Pierre] (1647–1706) — słynny filozof francuski. [przypis tłumacza]

szy moje chimeryczne o świecie pojęcia, ten rodzaj nauki był mi właśnie najpotrzebniejszy. Czytywaliśmy razem La Bruyer'a[196]: bardziej smakowała w nim niż w *Maksymach* la Rochefoucaulda[197], smutnej i rozpaczliwej książce, zwłaszcza za młodu, kiedy nie lubimy widzieć człowieka takim jak jest. Kiedy zapuszczała się w rozprawy moralne, gubiła się nieco we mgle; ale całując od czasu do czasu jej twarz albo ręce, mogłem zdobyć się na cierpliwość i te przydługie wywody nie nudziły mnie wcale.

Życie to było zbyt słodkie, aby mogło trwać. Czułem to. Niepokój, iż ono się skończy, był jedyną rzeczą, która mąciła mi jego słodycze. Wśród całej tej pustoty mamusia przyglądała mi się, rozważała, zadawała mi pytania i układała różne plany mej przyszłości, które byłbym jej chętnie podarował. Szczęściem, nie wystarczało na to poznać moje skłonności, upodobania, talenciki; trzeba było jeszcze znaleźć albo stworzyć sposobność korzystania z tego wszystkiego, a to nie było łatwe. Poczciwa dusza wytworzyła sobie dość wysokie wyobrażenie o mej wartości; to samo już odwlekało chwilę wprzęgnięcia mnie w jakieś taczki, czyniąc mamusię trudniejszą w wyborze. Słowem, wszystko składało się wedle mych życzeń dzięki dobrej opinii jaką mamusia o mnie powzięła; ale wreszcie trzeba było spuścić z tonu, i oto koniec mych lubych wywczasów! Krewny pani de Warens nazwiskiem d'Aubonne przybył w odwiedziny. Był to człowiek bardzo sprytny, intrygant, geniusz projektów jak ona, ale z tą różnicą, iż nie tracił na nich, ale zyskiwał; słowem, egzystencja nieco awanturnicza. Przedłożył właśnie kardynałowi de Fleury[198] skomplikowany plan loterii[199], który nie zyskał uznania. Jechał go przedstawić na dworze w Turynie, gdzie go przyjęto i wprowadzono w czyn. Po drodze zatrzymał się jakiś czas w Annecy, gdzie zakochał się w pani intendentowej, osobie bardzo miłej, bardzo w moim guście, jedynej, którą widywałem z przyjemnością u mamusi. Pan d'Aubonne zauważył mnie, kuzynka mówiła mu z zapałem o moich talentach. Podjął się wyegzaminować mnie, zobaczyć do czego jestem zdatny, i gdyby egzamin wypadł po myśli, gdzieś mnie umieścić.

Pani de Warens wysyłała mnie doń kilka dni z rzędu, pod pozorem jakiegoś zlecenia, nie uprzedzając mnie o niczym. Pan d'Aubonne rozgadał mnie zręcznie, spoufalił się ze mną, ośmielił mnie jak mógł, paplał ze mną o głupstwach i o najrozmaitszych przedmiotach, nie zdradzając niczym, że mnie obserwuje, bez najmniejszego przymusu, ot tak jak gdyby smakując w moim towarzystwie, chciał sobie trochę pogwarzyć bez ceremonii. Byłem oczarowany. Rezultat obserwacji był, iż mimo obiecujących pozorów i żywej fizjonomii, jest ze mnie chłopak jeśli nie całkiem tępy, to w każdym razie nierozgarnięty, bez własnego sądu, bez myśli, słowem, ograniczony pod każdym względem, i że zaszczyt zostania kiedyś wiejskim proboszczem jest największym losem, do jakiego mogę aspirować. Tak brzmiało sprawozdanie, które złożył pani de Warens. Już drugi czy trzeci raz w życiu osądzono mnie w ten sposób. Nie był to raz ostatni i wyrok pana Masseron często miał się spotkać z potwierdzeniem.

Przyczyna tych sądów zbyt silnie wiąże się z moim charakterem, abym mógł ją zostawić bez objaśnienia. Zrozumiałą bowiem jest rzeczą, że nie mogę szczerze pisać się na ten wyrok i że przy całej bezstronności nie sposób przyjąć mi dosłownie tego, co orzekli panowie Masseron, d'Aubonne i wielu po nich.

Dwie rzeczy prawie niemożebne[200] do połączenia kojarzą się we mnie w sposób zupełnie niepojęty: bardzo gorący temperament, namiętności żywe, gwałtowne — oraz myśli poczynające się leniwo, jakby spętane i zawsze zjawiające się późno. Rzekłbyś, serce moje i umysł nie należą do jednego osobnika. Uczucie, szybsze niż błyskawica, w jednej chwili napełnia mą duszę; ale miast oświecić parzy mnie i oślepia. Czuję wszystko, nie widzę nic. Czuję się porwany, jakby ogłuszony; aby skupić myśl, muszę odzyskać zimną krew. Co jest dziwne, to że przy tym mam odczucie dość trafne, mam przenikliwość,

[196] *La Bruyère*, [*Jean de* (1645–1696)] — jeden z wielkich klasyków francuskich XVII w., moralista i psycholog. [przypis tłumacza]

[197] *Książę de la Rochefoucauld*, [*François de* (1613–1680)] — słynny pisarz z XVII w., który ujął swoje „refleksje moralne" w mały tomik aforystycznych uwag. [przypis tłumacza]

[198] *Fleury, André Hercule de* (1653–1743) — fr. polityk, kardynał; jako pierwszy minister (1726–1743) króla Francji Ludwika XV uporządkował i ustabilizował finanse państwa. [przypis edytorski]

[199] *plan loterii…* — w XVIII w. roiło się od takich planów, z których wszelacy awanturnicy ofiarowali się rządom w ich powszechnych wówczas kłopotach. [przypis tłumacza]

[200] *niemożebne* (daw.) — niemożliwe. [przypis edytorski]

nawet spryt, byle mi zostawiono czas. Umiem złożyć wyborne impromptu[201], gdy się przygotuję, ale dorywczo, naprędce, nigdy nie byłem zdolny nic dorzecznego uczynić ani powiedzieć. Umiałbym podtrzymać zręczną wymianę myśli listownie, tak jak podobno Hiszpanie grywają w szachy. Kiedy przeczytałem anegdotę o księciu Sabaudii, który ujechawszy spory kawał drogi od stacji, odwrócił się, aby krzyknąć: „W wasze ręce, panie gospodarzu!", pomyślałem sobie: „Oto ja".

Literat

Ta powolność myślenia połączona z żywością czucia cechuje mnie nie tylko w rozmowie. Mam ją i sam, kiedy pracuję. Myśli układają mi się w głowie z trudnością nie do wiary. Krążą w niej podziemnie, fermentują tak, iż cały drżę, płonę, doznaję palpitacji. Ale w tym naporze wzruszenia nie widzę nic jasno, nie umiałbym napisać ani słowa, muszę czekać. Nieznacznie uspokajam się, chaos ten porządkuje się, każda rzecz układa się na swoim miejscu, ale powoli i po długim okresie zamętu. Czy widzieliście kiedy we Włoszech operę? W czasie zmiany scen panuje tam w teatrach przykry i długi nieład; dekoracje plączą się w jeden chaos, gwałt, szarpanina nieznośna do patrzenia, zdaje się, że wszystko się przewróci. Ale powoli wszystko się układa, niczego nie zbywa i widz patrzy ze zdumieniem, jak z tego długiego zamętu wyłania się urocze widowisko. Podobny mniej więcej proces rozgrywa się w moim mózgu, kiedy się biorę do pisania. Gdybym umiał odczekać, a potem oddać w całej piękności rzeczy, które się tak zarysowały, niewielu autorów zdołałoby mnie przewyższyć.

Literat

Stąd ogromna trudność, jaką mi sprawia pisanie. Rękopisy moje pokreślone, pobazgrane, splątane, nieczytelne, świadczą o trudzie, jaki mnie kosztowały. Nie ma jednego, którego bym nie musiał przepisywać kilka razy, nim oddam do druku. Nie umiałem nigdy nic zrobić z piórem w ręku w obliczu stolika i ćwiartki papieru. Piszę w swoim mózgu, to na przechadzce, wśród skał i lasów, to znów przewracając się po łóżku w bezsenne noce. Można osądzić, jak powolny to proceder, zwłaszcza dla człowieka zupełnie pozbawionego słownej pamięci, który w życiu nie mógł się nauczyć sześciu wierszy. Niejedno zdanie, okres cały musiałem obracać i przerabiać przez kilka nocy w głowie, nim byłem zdolny przelać je na papier. Stąd pochodzi, iż łatwiej mi przychodzą dzieła wymagające pracy niż rzeczy lżejsze, np. listy, których tonu nigdy nie umiałem pochwycić i których pisanie jest dla mnie męczarnią. List, choćby najbłahszy, kosztuje mnie całe godziny męki albo jeśli chcę pisać wprost, jak mi myśli przychodzą, nie umiem zacząć ani skończyć; list staje się jedynie długą i mętną gadaniną, ledwie zrozumiałą dla tego kto go czyta.

Nie tylko ujmowanie wrażeń przychodzi mi ciężko, odbieranie ich także. Studiowałem ludzi i mam się za niezgorszego obserwatora. Nie umiem wszelako nic spostrzec z tego, co widzę. Widzę dobrze jedynie to, co sobie przypominam, bystry jestem jedynie we wspomnieniu. Ze wszystkiego, co mówią, co czynią, co się dzieje w mej obecności, nie wiem, nie ogarniam nic. Działa na mnie wówczas jedynie zewnętrzność. Ale później wszystko mi wraca. Przypominam sobie miejsce, czas, dźwięk, spojrzenie, ruch, okoliczności — nic mi nie ujdzie. Wówczas z uczynków albo powiedzeń każdej osoby odtwarzam sobie jej ukryte myśli i rzadko zdarzy mi się pomylić.

Będąc tedy tak mało panem swego umysłu sam ze sobą, można osądzić, czym muszę być w rozmowie, gdzie aby mówić do rzeczy, trzeba równocześnie i od razu mieć w myśli tysiąc drobiazgów! Samo wyobrażenie tych wszystkich konwenansów oraz pewność, iż to lub owo niechybnie ujdzie mej uwagi, wystarcza, aby mnie onieśmielić. Nie rozumiem, jak ktoś może przemawiać w większym towarzystwie: przy każdym słowie trzeba by chyba zrobić w myśli przegląd obecnych, trzeba by znać charaktery wszystkich, znać ich dzieje, aby być pewnym, że się nie powie czegoś, co mogłoby kogoś dotknąć. Pod tym względem ludzie światowi mają wielką przewagę: lepiej wiedząc, co trzeba zamilczeć, pewniejsi są tego, co mówią, a i im zdarzy się strzelić bąka. Otóż proszę sobie wyobrazić pomyleńca takiego jak ja — minuty jednej nie może mówić bezkarnie. Rozmowa sam na sam ma inną niedogodność, dla mnie jeszcze uciążliwszą, to jest konieczność ustawicznego mówienia: kiedy ktoś mówi, trzeba odpowiadać; kiedy milknie, trzeba podtrzymywać rozmowę. Ten nieznośny przymus wystarczyłby już sam, aby mi zmierzić towarzystwo. Nie znam straszliwszego musu niż konieczność mówienia z miejsca i bez ustanku. Nie

[201] *impromptu* — improwizacja. [przypis edytorski]

wiem, czy to wynika z mej śmiertelnej odrazy dla wszelkiego ucisku; ale wystarczy, żeby mi było trzeba koniecznie mówić, abym niechybnie palnął głupstwo.

Najfatalniejsze jest to, że zamiast siedzieć cicho, kiedy nie mam nic do powiedzenia, wówczas właśnie, aby co rychlej pozbyć się obowiązku, zaczynam mówić z istną furią. Jak opętany bełkocę jakieś słowa bez myśli; bardzo jeszcze szczęśliwie, jeśli w ogóle nic nie znaczą! Chcąc przezwyciężyć albo uleczyć swoje niezdarstwo, rozwijam je właśnie w całej pełni. Wśród tysiąca przykładów, które mógłbym przytoczyć, wybieram jeden, nie datujący z mej młodości, ale z czasu kiedy obracając się wiele lat w świecie, byłbym nabrał jego swobody i tonu, gdyby to w ogóle było możliwe. Znalazłem się raz w towarzystwie dwóch wielkich pań i mężczyzny, którego mogę wymienić: książę de Gontaut. Nie było nikogo więcej; ja zaś czyniłem wszelkie wysiłki, aby wcisnąć jakieś słówko — i jakie, Boże! — w rozmowę czworga osób, z których trzy nie potrzebowały z pewnością mej pomocy. Pani domu[202] kazała sobie przynieść szkatułkę z jakimś opiatem, który zażywała co dzień na żołądek. Druga, widząc jej skrzywienie, rzekła, śmiejąc się: „Czy to specyfik doktora Tronchin[203]?" — „Cóż znowu" — odparła tym samym tonem druga. — „Myślę, że nie o wiele lepszy" — dorzucił dwornie dowcipny Rousseau. Wszyscy zmartwieli, nikomu nie wymknęło się najlżejsze słowo ani uśmieszek; w chwilę potem rozmowa zwróciła się na inne tory. Wobec kogo innego bąk byłby tylko zabawny; ale zwrócone do osoby zbyt uroczej, aby mogła nie ściągnąć na siebie ludzkich gadań, osoby, której z pewnością nie miałem chęci obrazić, odezwanie się było straszliwe. Sądzę, że świadkowie mego wyskoku bardzo musieli się wstrzymywać, aby nie parsknąć śmiechem. Oto jakie koncepty wymykają mi się przez to, iż chcę odezwać się z czymś, nie mając nic do powiedzenia. Póki życia, nie zapomnę tej przygody. Pomijając bowiem, że sama w sobie jest dość pamiętna, podejrzewałem mocno, że miała ona następstwa, które przypominają mi o niej aż nadto.

Mniemam, że dostatecznie już wytłumaczyłem, w jaki sposób, nie będąc głupcem, często uchodziłem za niego, nawet u ludzi zdolnych mieć sąd w tej mierze. Sąd ten wypadał tym nieszczęśliwiej, im więcej obiecywano sobie po moich oczach i fizjonomii; to uczucie zawodu przyczynia się jeszcze do podkreślenia mego gamońskiego. Szczegół ten, o którym nadmieniam tu przy sposobności, okaże się w dalszym ciągu nie bez znaczenia. Zawiera on klucz do wielu dziwactw mego postępowania, przypisywanych zazwyczaj dzikości, która zgoła nie jest mą naturą. Lubiłbym towarzystwo jak każdy, gdybym nie miał pewności, iż okazuję się w nim nie tylko w najmniej korzystnej postaci, ale zupełnie inny, niż jestem. Dlatego właśnie tryb życia, jaki obrałem, to jest pisać i pozostawać w ukryciu, najlepiej mi odpowiada. Z obcowania ze mną nikt by się nie domyślił, co jestem wart, nikt by nawet nie podejrzewał tego. Tak np. było z panią Dupin, mimo iż jest to osoba bystra i mimo że spędziłem w jej domu kilka lat; sama mi to później powtarzała. Zresztą, w tym wszystkim nie brak i pewnych wyjątków, do czego jeszcze będę miał sposobność powrócić.

Skoro tedy określono tak stanowczo miarę mych talentów i wskazano najwłaściwszy zawód, była już tylko mowa o tym, jak ułatwić mą wokację[204]. Trudność była w tym, że nie przeszedłem żadnych studiów; nie posiadałem nawet dosyć łaciny na to, aby zostać księdzem. Pani de Warens wpadła na myśl, aby mnie przygotować przez jakiś czas w seminarium. Pomówiła z przełożonym. Był to lazarysta[205] nazwiskiem ksiądz Gross, poczciwy człeczyna, wpółślepy na jedno oko, chudy, szpakowaty, najrozumniejszy i najmniej skłonny do pedanterii ze wszystkich lazarystów, jakich znałem; co zresztą nie mówi zbyt wiele.

Zachodził czasem do mamusi, która go ugaszczała, czuliła się z nim, kokietowała nawet. Niekiedy kazała mu się sznurować, której to czynności podejmował się dość chętnie. Gdy on poważnie wywiązywał się z funkcji, ona uganiała po pokoju to tu, to tam, chwytała się tego i owego. Wleczony za sznurowadło, ksiądz superior[206] biegł za nią, narzekając

[202] *pani domu* — damą tą była księżna de Luxembourg (patrz księga X). [przypis tłumacza]
[203] *specyfik doktora Tronchin* — był używany w leczeniu chorób wenerycznych. [przypis edytorski]
[204] *wokacja* (z łac.) — powołanie. [przypis edytorski]
[205] *lazarysta* — członek Zgromadzenia Misjonarzy, założonego w Paryżu w 1625 przez Wincentego à Paulo, powołanego do pracy misyjnej, szkolnictwa i opieki nad chorymi w małych miejscowościach. [przypis edytorski]
[206] *superior* (łac.: wyższy) — przełożony w zakonie, np. opat, przeor. [przypis edytorski]

i powtarzając raz po razu: „Ale stójże pani spokojnie!". Przedstawiało to obrazek dość malowniczy.

Ksiądz Gross przychylił się chętnie do projektu. Zadowolił się umiarkowaną opłatą i podjął się nauki. Chodziło jedynie o zezwolenie biskupa; nie tylko zgodził się, ale podjął się opłacać pensję. Pozwolił również, abym nosił świeckie ubranie do czasu, gdy będzie można ocenić moje widoki.

Cóż za przemiana! Ha, trzeba było się poddać. Szedłem do seminarium jak na ścięcie. Cóż to za smutne miejsce, zwłaszcza gdy się dlań opuszcza dom uroczej kobiety! Wziąłem z sobą jedną książkę, którą mamusia pożyczyła mi na moje prośby i która była mi wielką pociechą. Nie zgadnie nikt, co to za książka: nuty. Między talentami, które mamusia uprawiała, nie brakło i muzyki. Miała ładny głos, śpiewała nieźle i grała na klawikordzie. Była tak dobra, że udzieliła i mnie paru lekcji śpiewu; a trzeba było zaczynać z daleka, ledwie bowiem znałem melodie psalmów. Kilka lub kilkanaście tych kobiecych lekcji, bardzo nieregularnych, nie tylko nie doprowadziło mnie do solfedżiów[207], ale nie nauczyło nawet czwartej części znaków muzycznych. Mimo to miałem taką pasję do tej sztuki, że chciałem ćwiczyć się dalej sam. Nuty, które uniosłem z sobą, nie były z najłatwiejszych; były to kantaty Clérambaulta[208]. Można sobie wyobrazić, jaka była moja pilność i zawziętość, kiedy powiem, że nie znając ani interwałów, ani wartości nut, zdołałem odcyfrować i prześpiewać bez błędu pierwszy recytatyw i pierwszą arię kantaty *Alfeus i Aretuza*. Prawda, iż utwór ten skandowany jest tak trafnie, że wystarczy rytmicznie czytać wiersze, aby trafić w rytm melodii.

Nauczyciel

Był w seminarium przeklęty lazarysta, który się zabrał do mej edukacji i który przez sposób, w jaki mnie uczył łaciny, obudził we mnie wstręt do tego języka. Miał wylizane czarne i tłuste włosy, twarz jak z piernika, głos bawoli, spojrzenie puchacza, dziczą szczeć na brodzie; uśmiech miał sardoniczny, członki poruszały się jak kikuty manekina. Zapomniałem jego obmierzłego nazwiska, ale obleśna i złowroga jego twarz tak dobrze mi się wyryła w pamięci, iż trudno mi ją przypomnieć sobie bez drżenia. Czasem zdaje mi się, że jeszcze go spotykam w korytarzu, jak wdzięcznie wysuwa swój lepki od brudu biret, dając znak, abym wszedł do pokoju, okropniejszego dla mnie niż więzienie. Można osądzić wrażenie: podobny nauczyciel dla mnie, który bywałem uczniem dworskiego labusia[209]!

Gdybym pozostał dwa miesiące wydany na pastwę tego potwora, jestem przekonany, że postradałbym zmysły. Ale poczciwy ksiądz Gross, który widział, że jestem smutny, nie jem, chudnę, odgadł przyczynę strapienia, co zresztą nie było trudno. Wydobył mnie z pazurów bestii, i oto — nowy kontrast, jeszcze jaskrawszy! — oddał mnie najłagodniejszemu z ludzi. Był to młody kleryk nazwiskiem Gâtier, który odbywał lata seminarium i który przez uprzejmość dla księdza Grossa, a myślę, że i przez wrodzoną poczciwość, zechciał ująć nieco czasu studiom i poświęcić go mnie. Nie widziałem nigdy bardziej ujmującej fizjonomii. Włosy blond, broda przechodziła w odcień rudawy: wygląd miał zwyczajny ludziom z owych stron, którzy pod pospolitą postacią kryją zazwyczaj umysł subtelny i bystry. Ale co uderzało najbardziej, to wrażliwa, czuła, kochająca dusza. W niebieskich oczach malowało się jakieś połączenie słodyczy, tkliwości i smutku, które sprawiało, iż ujrzawszy, nie można było minąć go obojętnie. Ze spojrzeń, z głosu biednego młodzieńca można było odgadnąć niejako, że przewiduje swój los i czuje się zrodzony po to, aby być nieszczęśliwym.

Nauczyciel

Charakter jego, cierpliwy i uprzejmy, był w zgodzie z fizjonomią. Raczej zdawał się uczyć wraz ze mną niżeli mnie nauczać. To wszystko starczyło aż nadto, aby zdobyć mą miłość: poprzednik jego uczynił to zadanie bardzo łatwym. Ale mimo czasu, który mi poświęcał, mimo najlepszej woli nas obu i mimo że brał się bardzo dobrze do rzeczy, czyniłem przy dużym nakładzie pracy małe postępy. Szczególne jest, że mimo iż objęcie[210]

Nauka

[207] *solfedżio*, częściej: *solfeż* (z wł. *solfeggio*) — czytanie nut głosem, podstawowe ćwiczenie w nauce śpiewu. [przypis edytorski]

[208] *Clérambault, Nicolas Luis* (1676–1749) — fr. kompozytor i organista, pozostawił m.in. 25 świeckich kantat o tematyce inspirowanej mitologią antyczną. [przypis edytorski]

[209] *labuś* (daw., z fr. *l'abbé*: ksiądz) — księżulek. [przypis edytorski]

[210] *objęcie* (daw.) — pojętność, zdolność pojmowania, uczenia się; *objęcie mam dość łatwe*: pojmuję dość łatwo. [przypis edytorski]

mam dość łatwe, nie mogłem nigdy nic sobie przyswoić z nauczycielem, wyjąwszy ojca i pana Lambercier. Wszystkiego, co umiem, nauczyłem się sam, jak później się okaże. Umysł mój, niecierpliwy na wszelkie jarzmo, nie umie się poddać przymusowi chwili. Lęk, iż nie zdołam czegoś się nauczyć, rozprasza mą uwagę. Z obawy zniecierpliwienia tego, kto mi wykłada, udaję, że rozumiem, on idzie dalej, a ja nie pojmuję nic i gubię się zupełnie. Duch mój chce iść własnym krokiem i nie umie dostroić się do cudzego.

Ksiądz Gâtier ukończył seminarium i wrócił jako diakon w swoje strony. Uniósł z sobą mój żal, przywiązanie, wdzięczność. Zanosiłem za niego modły, które nie zostały wysłuchane, jak i te, które słałem za samego siebie. W kilka lat później dowiedziałem się, iż będąc wikarym, przyprawił o ciążę jakąś dziewczynę, jedyną, jaką tkliwe jego serce miało w życiu pokochać. W surowo rządzonej diecezji wypadek ten stał się niebywałym skandalem. Księżom chcącym przestrzegać reguły wolno płodzić dzieci jedynie z mężatkami. Za uchybienie temu prawidłu przyzwoitości wtrącono go do więzienia, osławiono[211], wygnano. Nie wiem, czy zdołał później zatrzeć te następstwa; ale wspomnienie jego niedoli, głęboko wyryte w mym sercu, wróciło mi na pamięć, kiedy pisałem *Emila*: jednocząc księdza Gâtier z księdzem Gaime, ulepiłem z tych dwóch zacnych kapłanów oryginał wikarego sabaudzkiego. Pochlebiam sobie, że kopia nie przyniosła hańby pierwowzorom.

Gdy przebywałem w seminarium, pan d'Aubonne musiał opuścić Annecy. Intendentowi zaczęły się nie podobać miłostki z żoną. Postępował w tym jak ów pies ogrodnika[212]; mimo bowiem, iż pani Corvezi była godna wszelkich względów, sam żył z nią bardzo licho. Południowe upodobania[213] czyniły mu jej towarzystwo zbytecznym; obchodził się z nią tak brutalnie, iż była wręcz mowa o separacji. Pan Corvezi był to szpetny człowiek, czarny jak kret, ponury jak sowa. Postępowaniem swym doprowadził do tego, iż w końcu usunięto go ze stanowiska. Powiadają, że Prowansalczycy mszczą się na nieprzyjaciołach piosenką; pan d'Aubonne pomścił się na wrogu komedią i posłał tę sztukę pani de Warens, która mi ją pokazała. Spodobała mi się i obudziła we mnie ochotę napisania też jakiej dla spróbowania, czy jestem w istocie tak tępy, jak autor zawyrokował. Ale dopiero w Chambéry urzeczywistniłem ten zamiar, pisząc sztuczkę pt. *Kochanek samego siebie*. Zatem, mówiąc w przedmowie do tej sztuki, że napisałem ją w osiemnastym roku, skłamałem o kilka lat.

Do tego czasu mniej więcej odnosi się wypadek mało ważny sam w sobie, ale który nie był bez następstw i narobił wiele hałasu w świecie wówczas, gdy o nim zapomniałem. Raz na tydzień wolno mi było wychodzić; nie potrzebuję mówić, jaki użytek robiłem z tego czasu. Jednej niedzieli, kiedy byłem u mamusi, ogień wszczął się w budynku franciszkanów przylegającym do jej domu. Budynek ten, w którym mieściły się kuchnie klasztorne, pełen był, aż do stropu, suchych drew. Wszystko stanęło w ogniu w jednej chwili. Dom był w wielkim niebezpieczeństwie; płomienie, niesione wiatrem, już poczęły go lizać. Zaczęto go opróżniać w pośpiechu i wynosić meble do ogrodu położonego pod mymi dawnymi oknami, za strumykiem. Byłem tak pomieszany, że rzucałem przez okno, bez różnicy, co mi podpadło pod rękę; między innymi kamienny moździerz, który w innym czasie ledwie byłbym udźwignął. Byłbym gotów wyrzucić nawet wielkie lustro, gdyby mnie ktoś nie wstrzymał. Zacny biskup, który tego dnia bawił u mamusi, nie pozostał bezczynny: zaciągnął ją do ogrodu, gdzie zaczął odprawiać modły wraz z nią i obecnymi; tak iż, nadbiegłszy w chwilę potem, ujrzałem cały dom na kolanach i sam też ukląkłem. Podczas modłów tego świętego człowieka wiatr zmienił kierunek, ale tak nagle i tak w porę, że płomienie, które ogarniały dom i wciskały się już przez okna, zwróciły się w inną stronę dziedzińca. Dom nie ucierpiał żadnej szkody. W dwa lata później, kiedy ksiądz de Bernex umarł, antonianie[214], jego dawni współbracia, zaczęli gromadzić dokumenty do jego beatyfikacji. Na prośbę ojca Boudet dołączyłem do tych aktów poświadczenie tego zdarzenia, co było słuszne; zbłądziłem tylko w tym, iż podałem ten fakt za cud. Widziałem biskupa pogrążonego w modlitwie i podczas tej modlitwy, w moich

Cud

[211] *osławiać* (daw.) — zniesławiać, oczerniać. [przypis edytorski]

[212] *pies ogrodnika* (fraz.) — ktoś, kto nie pozwala innym z czegoś korzystać, mimo że sam tego nie używa. [przypis edytorski]

[213] *południowe upodobania* — homoseksualizm. [przypis edytorski]

[214] *antonianie* a. *antonici* — członkowie Zakonu szpitalnego św. Antoniego, założonego w 1095, zlikwidowanego w 1803. [przypis edytorski]

oczach, wiatr zmienił szczęśliwie kierunek — oto co mogłem zeznać i poświadczyć; ale żeby jedna z tych dwóch rzeczy była przyczyną drugiej, tego nie powinienem był stwierdzać, nie mogłem bowiem tego wiedzieć. Wszelako, o ile mogę sobie przypomnieć mój stan pojęć, wówczas szczerze katolicki, działałem w dobrej wierze. Miłość cudowności, tak wrodzona ludzkiemu sercu, cześć dla cnotliwego prałata, tajemna duma, że i sam może przyczyniłem się do cudu — oto co mnie skusiło. Tyle jest pewne, że gdyby istotnie cud ten był skutkiem najżarliwszych modłów, miałbym zaiste prawo mniemać, że i ja nie byłem w nim bez zasługi.

Przeszło trzydzieści lat później, kiedy ogłosiłem moje *Listy z gór*[215], pan Fréron[216] odgrzebał, nie wiem jakim sposobem, ten certyfikat i zrobił z niego użytek w dziennikach. Trzeba przyznać, że pomysł był szczęśliwy i na czasie, a zestawienie to mnie samego zabawiło szczerze.

Przeznaczone mi było stać się wyrzutkiem wszystkich zawodów. Mimo iż ksiądz Gâtier wydał co do mych postępów orzeczenie jak mógł najmniej nieprzychylne, jawnym było, że nie stoją one w stosunku do włożonej pracy; to nie było zachęcające, aby prowadzić dalej moje studia. Toteż biskup i superior zniechęcili się i zwrócili mnie pani de Warens jako osobnika, który nie zda się nawet na księdza. Poza tym, mówili, dobry chłopiec i niezepsuty; co było przyczyną, że mimo tylu niekorzystnych opinii nie porzuciła mnie.

Odniosłem w jej dom z tryumfem nuty, z których tak wiele korzystałem. Melodia z *Alfeusa i Aretuzy* — to mniej więcej wszystko, czegom się nauczył w seminarium. Moje wyraźne zamiłowanie do tej sztuki nasunęło dobrej opiekunce myśl, aby ze mnie zrobić muzyka; a była sposobność po temu. Muzykowano w jej domu przynajmniej raz na tydzień, a kapelmistrz katedralny, który przodował małemu koncertowi, odwiedzał ją często. Był to paryżanin, tytułowany przez wszystkich Mistrzem[217], dobry kompozytor, żywy, wesoły, młody jeszcze, dość przyjemnej postaci, nie żaden orzeł, ale zresztą najlepszy człowiek w świecie. Mamusia zapoznała mnie z nim. Polubiłem go bardzo, on też nie był dla mnie źle uprzedzony. Powstał projekt umieszczenia mnie u niego; ugodzono się. Krótko mówiąc, przystałem do niego i spędziłem tam zimę, tym przyjemniej, iż dom jego znajdował się o dwadzieścia kroków od mamusi, mogliśmy tedy być u niej w jednej chwili i często wieczerzaliśmy razem.

Można sobie wyobrazić, że życie na chórze kościelnym, śpiewne i wesołe, w towarzystwie muzykantów i chłopców z chóru, podobało mi się lepiej niż pobyt w seminarium z ojcami lazarystami. Życie to, mimo iż swobodniejsze, było wszelako wcale jednostajne i uregulowane. Było mi przeznaczone kochać niezależność, a nigdy jej nie użyć do syta. Przez pół roku nie wyszedłem ani razu z domu inaczej, jak tylko udając się do mamusi albo do kościoła, i nawet nie miałem żadnej pokusy w tej mierze. To był okres mego życia, w którym cieszyłem się największym spokojem i który wspominam najmilej. W rozmaitych sytuacjach, jakie kolejno przebywałem, niektóre nacechowane były takim uczuciem błogości, że wspominając je, doznaję wzruszenia, jak gdyby jeszcze trwały. Nie tylko przypominam sobie czas, miejsce, osoby, ale wszystkie otaczające przedmioty, temperaturę powietrza, jego zapach, barwę, jakieś nieokreślone wrażenie danego miejsca, którego doznałem tylko tam i które mnie ogarnia na nowo najżywszym wspomnieniem. Tak na przykład wszystko, co ćwiczyliśmy na próbach, wszystko, cośmy śpiewali na chórze, wszystko, co się tam działo, piękny i szlachetny strój kanoników, ornaty księży, mitry kantorów, twarze muzykantów, stary kulawy cieśla, który grał na kontrabasie, młody blondyn, kleryczek rzępolący na skrzypcach, jakaś obstrzępiona sutanna, którą Mistrz, odpiąwszy szpadę, wkładał na świeckie ubranie, i piękna komża z cienkiego płótna, którą zakrywał jej łachy, kiedy udawał się na chór; duma, z jaką trzymając w ręku flecik, sadowiłem się w orkiestrze na trybunie, aby odegrać parę taktów, które Mistrz dopisał

[215] *Listy z gór* — głośne polemiczne pismo Russa. [przypis tłumacza]

[216] *Fréron*, [*Élie* (1718–1776)] — dziennikarz i pisarz XVIII w., głośny zwłaszcza nienawiścią Woltera. [przypis tłumacza]

[217] *paryżanin, tytułowany przez wszystkich Mistrzem* — w oryginale: *un Parisien nommé M. le Maître*, „paryżanin nazwiskiem p. Le Maître" (fr. *maître* oznacza „mistrz"); muzyk ten nazywał się Jacques-Louis-Nicolas Le Maître (ur. ok. 1701), był głównym organistą kapituły w katedrze św. Piotra w Genewie; tam, gdzie w tłumaczeniu występuje „Mistrz", należy czytać „Le Maître". [przypis edytorski]

umyślnie dla mnie; smaczny obiadek, który nas czekał potem; apetyt, z jakim się do niego siadało — owo pasmo drobnych wydarzeń, odbijające się z całą żywością w mej pamięci, czarowało mnie sto razy wspomnieniem, tak samo i bardziej jeszcze niż w rzeczywistości. Zachowałem zawsze czułość dla jednej melodii z *Conditor alme siderum*[218], idącej jambami[219], w którąś bowiem niedzielę adwentu słyszałem z łóżka, jak śpiewano ten hymn przed świtem na stopniach katedry. Panna Merceret, pokojowa mamusi, miała trochę pojęcia o muzyce; nigdy nie zapomnę motetu[220] *Afferte*, który Mistrz kazał mi z nią śpiewać i którego pani de Warens słuchała z taką przyjemnością. Słowem, wszystko, nawet poczciwa służąca Piotrusia, zacna dziewczyna, której chłopaki z chóru tyle psot płatały, wszystko wraca mi nieraz we wspomnieniach owego czasu szczęścia i niewinności, aby mnie czarować i zasmucać.

Żyłem w Annecy blisko od roku bez zarzutu, wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Od Turynu nie popełniłem żadnego szaleństwa; a ten piękny stan trwał tak długo, jak długo byłem pod okiem mamusi. Ona mnie prowadziła i prowadziła zawsze dobrze. Przywiązanie do niej stało się mą jedyną namiętnością; a że namiętność ta nie była obłędem, dowodzi, iż serce moje kształtowało mój rozsądek. Prawda, iż jedno jedyne uczucie, pochłaniające niejako wszystkie władze, odejmowało mi możność uczenia się czegokolwiek, nawet muzyki, mimo wszelkiej z mej strony wysiłków. Ale nie było w tym mojej winy; przeciwnie, okazywałem dobrą wolę, pilność i wytrwałość. Byłem roztargniony, marzący, wzdychałem co chwila. Cóż poradzić? Brak postępów zupełnie był niezależny ode mnie. Z drugiej strony, abym znów wrócił na drogę szaleństw, trzeba było jedynie, aby się znalazł ktoś, kto by mnie pociągnął. Ten ktoś zjawił się. Przypadek przyszedł mu z pomocą i jak się pokaże dalej, moja szalona głowa nie umiała się obronić.

Jednego wieczora w lutym, w tęgi mróz, siedząc w domu wkoło ognia, usłyszeliśmy pukanie. Piotrusia bierze latarnię, schodzi, otwiera: jakiś młody człowiek wciska się za nią do pokoju. Przedstawia się swobodnie i zwraca się do Mistrza w dwornym i zgrabnym powitaniu, podając się za muzyka z Francji, który wskutek złego stanu finansów musi szukać w swej sztuce środków opędzenia drogi. Na to miano „muzyk z Francji", serce zadrżało zacnemu Mistrzowi — kochał namiętnie swój kraj i swą sztukę. Przyjął młodego wędrowca, ofiarował mu łóżko, którego tamten zdawał się mocno potrzebować i które przyjął bez wielkich ceremonii. Przyglądałem mu się, gdy się grzał przy ogniu i gwarzył, czekając wieczerzy. Był średniego wzrostu, ale pleczysty; miał coś niekształtnego, mimo iż bez szczególnego kalectwa, coś jakby karzeł o spłaszczonych ramionach. Zdaje mi się, że i kulał nieco. Miał czarne ubranie, bardziej zniszczone niż stare, które opadało z niego w strzępach; bardzo cienką i bardzo brudną koszulę, piękne koronkowe mankiety, kamasze, z których jeden mógłby pomieścić obie jego nogi; wreszcie jako ochronę od śniegu kapelusik taki, jakie się nosi w salonie pod pachą. Ten komiczny strój miał jednak coś szlachetnego, z czym obejście nie kłóciło się zresztą. Fizjonomię miał bystrą i sympatyczną. Mówił łatwo i dobrze, ale bez cienia skromności. Wszystko znamionowało w nim młodego utracjusza, który otrzymał dobre wychowanie, ale którego awanturniczy temperament popchnął do włóczęgi. Rzekł, iż nazywa się Venture de Villeneuve, że idzie z Paryża i zabłądził w drodze. Po czym, zapominając nieco o roli muzyka, dodał, iż spieszy do Grenoble odwiedzić krewniaka, którego ma tam w parlamencie. Przy wieczerzy rozmowa toczyła się o muzyce. Gość odzywał się z wielką pewnością siebie. Znał wszystkich wirtuozów, wszystkie dzieła, aktorów, aktorki, ładne kobiety, wielkich panów. We wszystkim, o czym była mowa, zdawał się bardzo mocny; ale ledwie dotknął jakiego przedmiotu, zwracał rozmowę na inny za pomocą jakiegoś błazeństwa, z którego się wszyscy śmiali, zapominając, o czym była mowa. Była to sobota, nazajutrz miała być muzyka w katedrze. Mistrz proponuje mu, aby zaśpiewał — odpowiedź: „Bardzo chętnie"; pyta go, jakim głosem śpiewa — „Pierwszy tenor", i znowuż o czym innym. Nim

[218] *Conditor alme siderum* — łaciński hymn gregoriański z VII w., śpiewany w liturgii wieczornej podczas adwentu. [przypis edytorski]

[219] *jamb* — w metryce iloczasowej: stopa (sekwencja sylab) złożona z dwóch sylab: krótkiej i długiej (w wierszach polskich odpowiednikiem sylaby długiej jest sylaba akcentowana, zaś krótkiej nieakcentowana). [przypis edytorski]

[220] *motet* (muz.) — rodzaj kompozycji wokalnej na wiele głosów, przeważnie z tekstem o tematyce religijnej, zwykle śpiewanej bez akompaniamentu. [przypis edytorski]

ruszyliśmy do kościoła, dano mu partię do przejrzenia; nawet okiem na nią nie rzucił. Ta gaskonada[221] zdziwiła Mistrza. „Zobaczycie — szepnął mi do ucha — że on ani jednej nuty nie zna". — „Mocno się obawiam" — odparłem. Szedłem za nimi bardzo niespokojny. Kiedy koncert miał się zacząć, serce biło mi jak młotem, bardzo bowiem obchodził mnie już ten przybłęda.

Uspokoiłem się od pierwszej chwili. Odśpiewał dwa ustępy czysto i z najlepszym smakiem, a co większa, bardzo ładnym głosem. W życiu nie miałem przyjemniejszego zdziwienia. Po mszy Venture był przedmiotem owacji kanoników i muzykantów, na które odpowiadał błaznując, ale zawsze z wdziękiem. Mistrz uściskał go serdecznie, ja również. Widział, że byłem bardzo rad, co, o ile mi się zdaje, sprawiło mu przyjemność.

Każdy mi przyzna, sądzę, iż, zadurzywszy się poprzednio w Bâcle'u, ostatecznie tylko zwykłym włóczędze, mogłem się zapalić do pana Venture, który miał wykształcenie, talent, dowcip, obył się w świecie i który robił wrażenie przemiłego urwisa. Zdarzyło mi się to w istocie, a byłoby się zdarzyło, jak myślę, każdemu młodemu na moim miejscu, o tyle łatwiej jeszcze, o ile miałby więcej rozeznania, aby poznać się na czyichś talentach, i więcej smaku, aby się do nich zapalić. Venture bezsprzecznie był utalentowany, miał zwłaszcza jeden talent, rzadki w jego wieku: nie był natrętny w roztaczaniu swych bogactw. Prawda, iż chełpił się wieloma rzeczami, o których nie miał pojęcia; ale o tych, które umiał, a było ich sporo, nie wspominał nic: czekał sposobności popisu; wówczas, bez zbytniej gorliwości, roztaczał swą biegłość, która, podana w ten sposób, czyniła tym większe wrażenie. Ponieważ po każdym takim sukcesie przerywał niedbale nie wspominając o reszcie, nie wiadomo było kiedy ujrzy się dno skarbnicy. Żartowniś, figlarz, niewyczerpany w konceptach, pełen uroku w rozmowie, zawsze uśmiechnięty a nie śmiejący się nigdy, umiał najwykwintniejszym tonem mówić najgrubsze rzeczy, które mu uchodziły. Kobiety, nawet najskromniejsze, same były zdziwione na ile mu pozwalają. Próżno zdawały sobie sprawę, że trzeba by się pogniewać — nie mogły. Co do niego, zadowalał się zupełnie dziewczętami z ulicy i nie sądzę, aby był stworzony do miłości; ale miał dar wnoszenia niesłychanego uroku w towarzystwo innych, szczęśliwszych odeń w tym względzie. Trudno wyobrazić sobie, aby przy tylu przemiłych talentach w kraju, w którym umieją się na nich poznać i ocenić je, mógł długo pozostać w sferze podrzędnych muzyków.

Moja przyjaźń dla pana Venture'a, jakkolwiek żywsza i trwalsza niż uczucie, które powziąłem dla Bâcle'a, bardziej była usprawiedliwiona w swej przyczynie, a zarazem mniej żałosna w skutkach. Lubiłem go widywać, rozmawiać z nim. Wszystko, co robił, zdało mi się zachwycające, co mówił, było mi wyrocznią, ale zacietrzewienie nie szło tak daleko, abym się z nim nie mógł rozłączyć. Miałem tuż obok siebie najlepszą ochronę przeciw takim wybrykom. Zresztą, jasne mi było, iż zasady jego, wyborne dla niego samego, nie nadawały się zgoła dla mnie. Mnie trzeba było innych rozkoszy, o jakich on nie miał pojęcia i o których nie śmiałem nawet z nim mówić, pewny, iż wyśmiałby mnie. Mimo to pragnąłem połączyć moje przywiązanie dla niego z owym innym, które władało w mym sercu. Opowiadałem o nim mamusi z entuzjazmem. Mistrz również dołączał swoje pochwały. Pozwoliła go przyprowadzić. Ale spotkanie zawiodło zupełnie: on ujrzał w niej pretensjonalną wykwintnisię, ona w nim urwisa i nicponia. Zaniepokojona tak podejrzaną znajomością, nie tylko nie pozwoliła więcej go sprowadzać, ale odmalowała mi tak wymownie niebezpieczeństwo tego towarzystwa, że stałem się nieco powściągliwszy w przyjaźni. Zresztą, bardzo szczęśliwie dla mych obyczajów i rozsądków, niebawem rozstaliśmy się.

Mistrz miał upodobania właściwe swej sztuce: lubił wino. Przy stole był wstrzemięźliwy; ale kiedy pracował, musiał popijać. Służąca znała go tak dobrze, iż skoro tylko przygotował papier nutowy i wydobył wiolonczelę, dzbanek i szklanka zjawiały się natychmiast na stole, przy czym dzbanek odnawiał od czasu do czasu swą zawartość. Nie będąc nigdy zupełnie pijany, był prawie stale zaprószony; a doprawdy szkoda, był to bowiem człek z gruntu dobry i tak wesoły, że mamusia nie nazywała go inaczej jak „kotusiem". Na nieszczęście, kochał swą sztukę, pracował dużo i pił toż samo. To odbiło się na jego zdrowiu, a z czasem i na humorze: stawał się drażliwy i łatwo obrażający się. Niezdolny do

[221] *gaskonada* (z fr.) — przechwałki, bufonada, chełpliwość (mieszkańcy Gaskonii, krainy w płd.-zach. Francji, mieli w kraju opinię chełpliwych). [przypis edytorski]

grubiaństwa ani uchybienia komu, nigdy nie powiedział złego słowa nawet chłopakom z chóru; ale i jemu nie trzeba było uchybić: w czym miał słuszność. Złe było w tym, iż Mistrz, będąc nieco ciężkiego pojęcia, nie umiał poznać się na tonie i na charakterach i często uroił sobie coś bez powodu.

Dawna kapituła genewska, w której tylu książąt i biskupów uważało sobie za zaszczyt zasiadać, straciła na wygnaniu[222] pierwotną świetność, ale zachowała przywileje. Aby się do niej dostać, trzeba jeszcze teraz być szlachcicem albo doktorem Sorbony; sądzę zaś, że jeśli jest duma godna przebaczenia (po tej, która opiera się na osobistej zasłudze), to z pewnością duma z urodzenia. Zazwyczaj księża, jeśli mają na żołdzie ludzi świeckich, którym dają zatrudnienie, poczynają sobie z nimi dość z góry. Tak i kanonicy traktowali często biednego Mistrza. Kantor zwłaszcza, nazwiskiem ksiądz de Vidonne, zresztą bardzo przyzwoity człowiek, ale zanadto nadęty szlachectwem, nie zawsze się doń odnosił ze względami, do jakich prawo dawał mu talent. Mistrz zaś niechętnie cierpiał to lekceważenie. Tego roku w Wielkim Tygodniu zaszła między nimi żywsza niż zazwyczaj sprzeczka, a to z okazji tradycyjnego obiadu, który biskup wydał dla kanoników i na który Mistrza zawsze zapraszano. Kantor rzucił mu jakieś pogardliwe słowo, którego Mistrz nie mógł strawić. Postanowił uciec najbliższej nocy i nic nie zdołało go wstrzymać, mimo iż pani de Warens, z którą poszedł się pożegnać, dokładała wszelkich starań, aby go ułagodzić. Nie mógł sobie darować przyjemności pomszczenia się na swych tyranach, zostawiając ich w kłopocie podczas świąt, w które to dni właśnie był im najpotrzebniejszy. Sam kłopotał się jedynie o nuty, które chciał zabrać z sobą, co nie było łatwe: była tego cała skrzynia, duża i ciężka, której nie można było unieść pod pachą.

Mamusia zrobiła to, co sam byłbym zrobił wówczas i dziś jeszcze na jej miejscu. Po daremnych wysiłkach, widząc go mimo wszystko zdecydowanym, starała mu się, o ile mogła, przyjść z pomocą. Śmiem powiedzieć, iż było to jej obowiązkiem: poczciwy Mistrz zawsze był na jej usługi. Czy to w rzeczach swej sztuki, czy w innych grzecznościach, był we wszystkim na jej rozkazy, i to z serdecznością, która zdwajała cenę jego dobrych chęci. Było to zatem z jej strony jedynie odwdzięczenie w ciężkich okolicznościach przyjacielowi tego, co on robił dla niej w drobniejszych okazjach od paru lat. Ale dobre jej serce nie potrzebowało z pewnością szukać podniety w poczuciu obowiązku. Zawołała mnie, kazała mi towarzyszyć Mistrzowi przynajmniej do Lyonu i być na jego usługi tak długo, jak długo mnie będzie potrzebował. Wyznała mi później, że chęć oddalenia mnie od Ventury niemało przyczyniła się do tego postanowienia. Z Klaudiuszem Anet, swym wiernym sługą, naradziła się co do skrzyni. Był on zdania, iż zamiast najmować juczne zwierzę w Annecy, co by niechybnie zdradziło ślad, trzeba raczej z zapadnięciem nocy przenieść skrzynię w rękach kawał drogi, następnie zaś wynająć osła, aby ją przywieźć aż do Seyssel, gdzie, będąc już na terytorium francuskim, niczego nie potrzebujemy się obawiać. Usłuchaliśmy rady. Wyruszyliśmy tegoż wieczora o siódmej. Mamusia, pod pozorem opłacenia moich kosztów, zaopatrzyła nieco szczupłą sakiewkę „kotusia", co jak sądzę, bardzo mi się przydało. Klaudiusz Anet, ogrodnik i ja, zanieśliśmy z wielkim mozołem skrzynię do najbliższej wsi, gdzie nas zluzował najęty osiołek; tej samej nocy powędrowaliśmy do Seyssel.

Zauważyłem, o ile mi się zdaje, że bywają okresy, w których tak jestem niepodobny do samego siebie, iż można by mnie wziąć za innego człowieka o wręcz przeciwnym charakterze. Zaraz dam przykład. Ksiądz Reydelet, proboszcz w Seyssel, był kanonikiem kapituły św. Piotra, tym samym znał Mistrza; był tedy człowiekiem, przed którym w tej chwili najbardziej powinien się był ukrywać. Ja wpadłem na koncept, aby, przeciwnie, iść prosto do niego i pod jakimś pozorem poprosić o nocleg, tak jakbyśmy tu byli za zezwoleniem kapituły. Mistrzowi spodobał się ten pomysł, który zemście jego dodawał pieprzyk złośliwego figla. Idziemy tedy bezczelnie do księdza Reydelet, który przyjął nas bardzo dobrze. Mistrz powiedział mu, że wędruje do Bellay[223], aby na życzenie biskupa objąć część muzyczną w uroczystościach wielkanocnych, i że za kilka dni mamy nadzieję być z powrotem. Ja na poparcie tego kłamstwa nawiązałem setkę innych w sposób

[222] *Dawna kapituła genewska (…) na wygnaniu* — rezydencję biskupa i kapituły katolickiej w 1535 przeniesiono z Genewy, zdominowanej przez zwolenników Kalwina, do pobliskiego Annecy. [przypis edytorski]

[223] *Bellay* — chodzi o Belley we wsch. Francji, ok. 50 km od Annecy, będące siedzibą biskupią od V w.; nazwę Bellay nosi zamek na zachodzie Francji. [przypis edytorski]

tak naturalny, iż ksiądz Reydelet, ujęty mą werwą i humorem, nabrał do mnie sympatii i okazywał mi ją w tysiączne sposoby. Podjedliśmy smacznie, wyspali się jeszcze smaczniej. Ksiądz Reydelet nie wiedział wprost, jak nas ugościć. Rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni, z przyrzeczeniem zatrzymania się dłużej w powrotnej drodze. Ledwie mogliśmy się doczekać chwili, gdy się znajdziemy sami, aby się wyśmiać do syta; przyznaję, że dotąd jeszcze chce mi się śmiać, gdy o tym pomyślę, trudno bowiem wyobrazić sobie lepiej i ze szczęśliwszym rezultatem odegraną psotę. Byłaby nam starczyła długo na zabawę, gdyby nie to, że Mistrz, nieustannie w czasie drogi zaglądający do dzbanka, dostał dwa czy trzy razy swoich napadów, które nawiedzały go coraz częściej, a były bardzo podobne do epilepsji. To mnie wprawiło w wielkie przerażenie i wtedy już zacząłem myśleć, jakby się zręcznie wycofać z kłopotu.

Wędrowaliśmy do Bellay, aby tam spędzić święta Wielkanocy, jak to oznajmiliśmy księdzu Reydelet. Mimo że nas nie oczekiwano, znaleźliśmy u miejscowego kapelmistrza i w ogóle u wszystkich najlepsze przyjęcie. Mistrz zażywał w swej sztuce wielkiego poważania, na które w zupełności zasługiwał. Kapelmistrz z Bellay wystąpił ze swymi najlepszymi dziełami i dokładał starań, aby pozyskać uznanie tak dobrego sędziego: prócz tego bowiem, że Mistrz znał się doskonale na rzeczy, sąd jego był zawsze wolny od zawiści, jak i od pochlebstwa. Przerastał on o tyle wszystkich tych prowincjonalnych muzykusów i oni sami czuli to tak dobrze, że uważali go nie tyle za kolegę, ile za swoją głowę.

Spędziwszy bardzo przyjemnie kilka dni w Bellay, wyruszyliśmy wreszcie i ciągnęliśmy dalej bez przypadków. Przybywszy do Lyonu, ulokowaliśmy się w Notre-Dame-de-Pitié. W oczekiwaniu skrzyni, którą za pomocą innego kłamstwa wyprawiliśmy Rodanem z pomocą naszego dobrego gospodarza, księdza Reydelet, Mistrz wybrał się odwiedzić znajomych, między innymi Ojca Caton, franciszkanina, o którym będzie mowa później, i księdza Dortan, hrabiego Lyonu. Jeden i drugi przyjęli go dobrze, ale zdradzili go, jak się pokaże; szczęście nasze wyczerpało się u księdza Reydelet.

Wina

W dwa dni po przybyciu do Lyonu, kiedyśmy przechodzili uliczką niedaleko oberży, Mistrz dostał nowego ataku, który tym razem był tak gwałtowny, iż przerażenie mnie ogarnęło. Zacząłem krzyczeć, wołać na pomoc, wskazałem oberżę, błagając, aby go tam zaniesiono. Następnie, gdy coraz większa ciżba gromadziła się koło człowieka leżącego bez życia i toczącego pianę na środku ulicy, opuścił go jedyny przyjaciel, na którego miał prawo liczyć. Skorzystałem z chwili, w której nikt na mnie nie zwracał uwagi, wykręciłem się na rogu i znikłem. Dzięki niebu, dopełniłem tego trzeciego ciężkiego wyznania. Gdybym miał jeszcze dużo podobnych przed sobą, raczej poniechałbym pracy, którą podjąłem.

Wszystkie dotychczas skreślone zdarzenia zostawiły jakieś ślady w miejscach, gdzie bawiłem; ale to, co mam opowiedzieć w następnej księdze, jest prawie zupełnie nieznane. Jest to okres największych szaleństw mego życia; całe szczęście, że nie skończyły się gorzej. Ale głowa moja, nastrojona wówczas na ton obcego instrumentu, wyszła na jakiś czas ze swego diapazonu[224]. Wróciła doń później sama przez się; wówczas poniechałem szaleństw albo raczej przeszedłem do innych, bardziej zgodnych z mą naturą. Z tej epoki mojej młodości zachowałem najmętniejsze wspomnienia. Nic prawie w niej nie zaszło dość interesującego dla mego serca, aby mi żywo utrwalić jej szczegóły. Trudno przy tym, abym wśród ciągłej włóczęgi, wśród tylu kolejnych wędrówek, nie pomieszał niekiedy czasu i miejsca. Piszę najzupełniej z pamięci, bez dokumentów, bez materiałów, które by mogły ją wesprzeć. Są wypadki w moim życiu, które mi są tak przytomne, jakby zdarzyły się wczoraj; ale są przerwy i próżnie, dla których wypełnienia muszę nieraz uciekać się do nie mniej mętnych reakcji. Mogłem tedy popełnić omyłki i mogę na przyszłość popełnić je w jakiej drobnostce aż do okresu, w którym mam co do siebie dokładniejsze informacje. Ale co się tyczy samej treści, mam pewność, że jestem wierny i ścisły; co do tego, czytelnik może mi zaufać.

Ledwiem opuścił Mistrza, od razu powziąłem postanowienie i ruszyłem z powrotem do Annecy. Niezwykłe okoliczności i tajemniczość naszego wyjazdu sprawiły, iż z początku bardzo byłem przejęty tą wyprawą; obecnie uczucie przeważające w mym sercu odzyskało swoje prawa. Nic mnie nie obchodziło, nie nęciło, nie miałem innego pragnienia, jak tylko wrócić do mamusi. Tkliwość i szczerość tego przywiązania wyrugowały

[224] *diapazon* (z gr.) — rozpiętość, skala (zwykle: instrumentu lub głosu). [przypis edytorski]

z mego serca wszystkie fantastyczne projekty, wszystkie szaleństwa ambicji. Nie widziałem innego szczęścia, jak tylko być przy niej; z każdym krokiem, jaki czyniłem, czułem, że oddalam się od tego szczęścia. Wróciłem tedy najspieszniej, jak mogłem. Powrót mój odbywał się tak szybko, a myśl była tak pochłonięta jego celem, że mimo iż z taką przyjemnością przypominam sobie inne podróże, z tej jednej nie mam żadnych wspomnień; nie pamiętam literalnie nic, prócz chwili opuszczenia Lyonu i powrotu do Annecy. Za to ta ostatnia chwila, ach, niechaj czytelnik osądzi, czy mogła ulecieć z mej pamięci! Za powrotem nie zastałem pani de Warens; wyjechała do Paryża.

Nigdy nie znałem dobrze sekretu tej podróży. Byłaby mi go wyznała, jestem tego najpewniejszy, gdybym bardzo nalegał; ale nie było chyba człowieka mniej ciekawego sekretów przyjaciół. Serce moje, pochłonięte teraźniejszością, wypełnia nią całą swą pojemność, całą przestrzeń. Oprócz minionych uciech, których wspomnienie stanowi teraz mą jedyną radość, nie ma w nim ani kącika wolnego na to, co *nie jest*. Z paru słów, które mi mamusia rzekła, mogłem domyślić się jedynie, iż lękała się, aby w zamęcie rewolucji spowodowanej w Turynie abdykacją króla, nie zapomniano o niej[225]. Pragnęła, przy pomocy zabiegów pana d'Aubonne, zająć to samo stanowisko przy dworze francuskim; co, jak mi mówiła nieraz, bardziej przypadłoby jej do smaku, ile że obfitość toczących się tam ważnych spraw wyklucza możliwość tak czujnego dozoru. Jeśli to jest prawda, dziwne mi się wydaje, iż wróciwszy stamtąd, nie doznała z tego powodu żadnych dokuczliwości i zawsze, bez żadnej przerwy, korzystała ze swej pensji. Wielu mniemało, iż podróż ta miała za cel jakąś sekretną misję, bądź z ramienia biskupa, który miał wówczas sprawy na dworze francuskim i sam musiał nawet często tam jeździć, bądź ze strony kogoś potężniejszego jeszcze, kto jej zabezpieczył spokojny powrót. To pewna, że jeśli tak było, posłanniczka nie była źle obrana i że, wówczas w pełni młodości i urody, posiadała wszystkie potrzebne talenty, aby się dobrze wywiązać z negocjacji.

Księga IV

(1731–1732). Przybywam i nie zastaję jej. Można sobie wyobrazić moje zdumienie i boleść! Wówczas dopiero zaczął mnie dręczyć żal, iż tak niegodnie opuściłem Mistrza. Żal mój stał się żywszy jeszcze, skoro się dowiedziałem o nieszczęściu, jakie mu się trafiło. Skrzynię z nutami, która zawierała cały jego majątek, tę nieoszacowaną skrzynię, uwiezioną z takim trudem, przejęto na rogatkach Lyonu, a to za sprawą hrabiego Dortan, do którego napisano z kapituły, aby go uprzedzić o ucieczce Mistrza. Próżno Mistrz upominał się o swój dobytek, swój chleb, pracę całego życia. Własność skrzyni powinna była stać się co najmniej kwestią procesu; nie było żadnego. Sprawę rozstrzygnięto z miejsca, prawem silniejszego, i biedny Mistrz postradał w ten sposób owoc swych talentów, pracę młodości i zabezpieczenie na starość.

Wszystko składało się na to, aby ów cios uczynić mi najdotkliwszym. Ale byłem w latach, w których wielkie zgryzoty niełatwo chwytają się człowieka. Liczyłem na to, iż w niedługim czasie otrzymam wiadomości od pani de Warens, mimo że nie znałem jej adresu, ona zaś nie wiedziała, że jestem z powrotem. Co zaś do mej dezercji, to ostatecznie nie uważałem jej za taką zbrodnię. Byłem użyteczny Mistrzowi w jego ucieczce — to jedyna usługa, która była w mej mocy. Gdybym został z nim we Francji, nie uleczyłbym go z choroby, nie ocaliłbym skrzyni, podwoiłbym jeno wydatki, nie będąc przydatny na nic. Oto jak wówczas przedstawiały mi się rzeczy; dziś patrzę na to inaczej. Szpetny uczynek ma to do siebie, iż nie wówczas najbardziej dręczy, kiedy się go świeżo popełniło, ale dopiero później, kiedy sobie przypomnimy o nim, wspomnienie takie bowiem nie wygasa nigdy. Wyrzuty sumienia

Jedyną drogą jakichś wiadomości o mamusi było po prostu czekać na nie. Gdzież szukać jej w Paryżu i z kim puścić się w taką podróż? Annecy było jedynym miejscem, w którym miałem nadzieję dowiedzieć się wcześniej lub później, gdzie ona bawi. Zostałem tedy, ale prowadziłem się dość nietęgo. Nie poszedłem do biskupa, który zaszczycał

[225] *aby w zamęcie rewolucji spowodowanej w Turynie abdykacją króla, nie zapomniano o niej* — pamięć zawodzi autora: Wiktor Amadeusz II abdykował 3 września 1730, zaś pani de Warens wyjechała do Paryża w kwietniu 1730, w towarzystwie Klaudiusza Anet i pułkownika d'Aubonne. Zapewne celem było uzyskanie poparcia Francji dla planowanego przez d'Aubonne powstania we francuskojęzycznym kantonie Vaud przeciw władzy niemieckojęzycznego patrycjatu Berna i przywrócenia władzy Sabaudii nad Vaud. W sierpniu propozycje d'Aubonne'a zostały przez sabaudzkiego dyplomatę w Paryżu przekazane Wiktorowi Amadeuszowi II. [przypis edytorski]

mnie protekcją i jeszcze mógłby mi jej użyczyć: pozbawiony opiekunki, nie czułem się dość pewny siebie i lękałem się wyrzutów za ucieczkę. Tym bardziej nie pokazałem się w seminarium: księdza Gross już tam nie było. Nie zaszedłem do nikogo ze znajomych; byłbym wprawdzie chętnie złożył wizytę intendentowej, ale brakło mi śmiałości. Postąpiłem sobie jeszcze gorzej: odszukałem Venture'a, o którym mimo całego uwielbienia nie pomyślałem ani razu od wyjazdu. Zastałem go w świetnej pozycji, fetowanego w całym Annecy; damy wydzierały go sobie. To powodzenie do reszty zawróciło mi głowę. Nie widziałem już nic poza Venture'em, nieomal zasłonił w mej pamięci panią de Warens. Aby korzystać tym swobodniej z jego lekcji, zaproponowałem mu, by podzielił ze mną kwaterę; zgodził się. Mieszkał u pewnego szewca, zabawnego i wesołego kompana, który, w gwarze swojej, nie nazywał swej żony inaczej jak „maciorką"; miano zresztą dość trafnie dobrane. Był z nią w nieustannych kłótniach, które Venture, pod pozorem łagodzenia ich, podsycał troskliwie. Chłodnym na pozór tonem rzucał im od czasu do czasu swoim prowansalskim akcentem słówka, które działały jak oliwa dolana do ognia; można było skonać ze śmiechu, patrząc na te sceny. Tak mijał ranek, ani się człowiek obejrzał kiedy. O drugiej lub trzeciej trzeba było coś przetrącić. Potem Venture wędrował po znajomych domach, gdzie zostawał zwykle na kolacji, ja zaś przechadzałem się sam, rozmyślając nad tym niepospolitym człowiekiem, podziwiając go, zazdroszcząc talentów i przeklinając nieżyczliwą gwiazdę, która nie powołała mnie do tego rozkosznego życia. Ach, jakże fałszywie oceniałem je wówczas! Moje własne byłoby mi płynęło sto razy rozkoszniej, gdybym był mniej głupi i gdybym lepiej umiał go używać.

Pani de Warens zabrała ze sobą tylko Klaudiusza. Zostawiła w domu pannę Merceret, pokojową o której wspominałem; zastałem ją rozgoszczoną w pokojach pani. Merceret była to dziewczyna nieco starsza ode mnie, niełądna, ale dość ponętna; poczciwa i dobroduszna fryburżanka, bez innych przywar prócz tej, iż była niekiedy dość zuchwała względem chlebodawczyni. Była to więc dawna znajomość; widok jej, który przypominał mi inną, droższą osobę, sprawił mi szczerą przyjemność. Miała różne przyjaciółki, między innymi pannę Giraud, genewkę, której, za moje grzechy, wpadło do głowy zadurzyć się we mnie. Nalegała wciąż na Merceret, aby mnie przyprowadziła. Pozwalałem się ciągnąć, ponieważ dość lubiłem Merceret i ponieważ były tam inne osoby, które rad widywałem. Co do panny Giraud, która starała się mnie wieść na pokuszenie wszelkimi sposobami, miałem zawsze do niej niezwyciężoną odrazę. Kiedy zbliżała do mej twarzy swoją suchą i czarną mordkę, wiecznie ubabraną hiszpańską tabaką, musiałem się wstrzymywać, aby w nią nie napluć. Ale znosiłem to cierpliwie, poza tym bowiem dobrze mi było w towarzystwie tych dziewcząt; one zaś, czy aby przypodobać się pannie Giraud, czy dla mnie samego, fetowały mnie na wyścigi. Widziałem w tym jedynie objawy przyjaźni; nieraz później przychodziło mi na myśl, że może tylko ode mnie zależało dopatrzeć się czegoś więcej, ale wówczas nie postało mi to nawet w głowie.

Zresztą szwaczki, pokojówki, panny sklepowe nie kusiły mnie wcale, trzeba mi było wykwintnych panien. Każdy ma swoje fantazje; moja była zawsze taka i nie godzę się bynajmniej z Horacym[226] na tym punkcie. To, co mnie w tym pociąga, to wcale nie próżnostka pozycji społecznej i stanu: nie, to lepiej utrzymana płeć, ładniejsze ręce, wdzięczniejszy strój, polor[227] wykwintu i schludność w całej osobie, więcej smaku w obejściu i wysławianiu się, cieńsze i lepiej skrojone suknie, zgrabniejszy trzewiczek, wstążki, koronki, lepiej utrefione włosy. Dałbym zawsze pierwszeństwo mniej ładnej, byle miała to wszystko. Sam uważam to za śmieszne, ale serce nie pyta mnie o zdanie.

I otóż mogłem mieć to wszystko! Wszystkie te uroki szły mi w ręce i ode mnie tylko zależało z nich korzystać. Jakże lubię zachodzić czasami myślą w szczęśliwe chwile młodości! Jakże mi były słodkie! Były tak krótkie, tak rzadkie i korzystałem z nich tak niewinnie! Ach, samo ich wspomnienie napawa jeszcze me serce czystą rozkoszą, tak potrzebną, by skrzepić odwagę do życia i podtrzymać mnie w paśmie smutnych dni, które mi zostały.

[226] *nie godzę się bynajmniej z Horacym* — w *Satyrach* (I, 2, w. 80–85) Horacy stwierdza, że zamożna mężatka mimo przepychu pereł i szmaragdów nie ma smuklejszych nóg ani lepszych bioder niż kurtyzana, więc woli dziewczęta bez ozdób, odsłaniające swoje zalety i wady. [przypis edytorski]

[227] *polor* — dobre maniery, ogłada towarzyska. [przypis edytorski]

Jednego ranka brzask wydał mi się tak piękny, iż ubrawszy się spiesznie, żywo pomknąłem w pole, by oglądać wschód słońca. Syciłem się tą rozkoszą w całym jej powabie; było to w tydzień po św. Janie. Ziemia w pełni swej krasy okryła się zielonością i kwieciem. Słowiki, wyciągając ostatnie trele, zdawały się lubować w sile i wibracji swego głosu. Wszystkie ptaki, chóralnym koncertem żegnając wiosnę, opiewały narodziny dnia letniego, jednego z owych pięknych dni, których nie widuje się już w moim wieku i których nigdy nie widziano w smutnej ziemi będącej dziś mym schronieniem.

Nieznacznie[228] oddaliłem się od miasta. Upał wzmagał się, przechadzałem się w cienistej dolinie nad strumieniem. Wtem słyszę tętent koni i głosy dziewcząt; zdawały się niby zakłopotane, mimo to śmiały się z szczerego serca. Obracam się, ktoś woła mnie po imieniu. Zbliżam się, widzę dwie młode osoby, znajome: pannę de Graffenried i pannę Galley, które, niezbyt mocne w sztuce amazonek[229], nie umiały zmusić rumaków do przejścia przez strumień. Panna de Graffenried była to młoda bernenka, bardzo miła, która, w przystępie jakiegoś młodocianego szaleństwa opuściwszy ziemię rodzinną, poszła za przykładem pani de Warens; ale nie posiadając jak ona pensji, szczęśliwa była, iż znalazła schronienie u panny Galley. Ta, zaprzyjaźniwszy się z nią serdecznie, skłoniła matkę, aby przyjęła panienkę w dom w charakterze towarzyszki, póki nie znajdzie się dla niej czegoś trwalszego. Panna Galley, o rok młodsza, była jeszcze ładniejsza: miała coś delikatniejszego, wytworniejszego. Kształty jej były zarazem bardzo dziecięce i bardzo kobiece — najpiękniejsza faza młodej dziewczyny. Kochały się czule, a dobra ich natura pozwalała wróżyć, iż przyjaźń ta będzie trwałą, o ile miłość jaka nie stanie jej w drodze. Powiedziały mi, że jadą do Toune[230], starego dworu należącego do pani Galley. Błagały o pomoc w przeprowadzeniu koni, z czym same nie umiały sobie dać rady. Chciałem popędzić konie, ale obawiały się, iż zaczną wierzgać i kopać. Uciekłem się do innego środka: ująłem konia panny Galley za wędzidło i ciągnąc go za sobą, przebyłem strumień, prawie po kolana w wodzie. Drugi koń przeszedł sam bez trudności. Dokonawszy tego, chciałem się skłonić pannom i oddalić jak dudek; wymieniły parę słów po cichu, po czym pana de Graffenried rzekła: „Nie, nie, nie uda się panu wymknąć w ten sposób. Przemoczył się pan w naszych usługach, obowiązkiem naszym jest pana osuszyć. Proszę, jeśli łaska, z nami, bierzemy pana do niewoli". Serce mi biło, spoglądałem na pannę Galley. „Tak, tak — dodała, śmiejąc się z mej przerażonej miny — jest pan naszym jeńcem wojennym. Proszę siadać na konia za nią; rozrządzamy pana losem". — „Ależ — rzekłem — nie mam zaszczytu znać szanownej matki pani. Co ona powie?..." — „Pani Galley nie ma w Toune — rzekła panna de Graffenried — jesteśmy same, wracamy dziś wieczór i pan z nami".

Słowa te podziałały na mnie jak iskra elektryczna. Drżałem z radości, wskakując na konia panny de Graffenried, a kiedy trzeba było ją objąć, aby się utrzymać, serce biło mi tak mocno, że aż ona to spostrzegła; rzekła, że i jej bije serce z obawy przed spadnięciem. W danej sytuacji była to niemal zachęta do sprawdzenia — nie miałem odwagi. Całą drogę ręce moje obejmowały jej kibić dość wprawdzie ciasno, ale nie zmieniając położenia. Sądzę, iż niejedna kobieta, przeczytawszy to, spoliczkowałaby mnie chętnie, i nie bez słuszności.

Przybyliśmy do Toune. Osuszyłem się gruntownie, zjedliśmy śniadanie. Następnie trzeba było przystąpić do ważnej sprawy obiadu. Panny, krzątając się w kuchni, raz po razu dawały buziaki dzieciom szafarki, a biedny improwizowany kuchta patrzył na to, zżymając się z zazdrości. Posłano po zapasy do miasta i wkrótce było z czego sporządzić dobry obiad, szczególnie pod względem łakoci; nieszczęściem, zapomniano o winie. Zapomnienie to nie miało w sobie nic dziwnego ze strony dziewcząt, które nie używały tego trunku; ale mnie było dość nie na rękę, ponieważ liczyłem nieco na jego ośmielające działanie. One zdawały się również zmartwione, może dla tej samej przyczyny, choć nie sądzę. Żywa i urocza ich wesołość oddychała niewinnością, a zresztą cóż by we dwie zrobiły ze mną jednym? Posłały po wino w sąsiedztwo: nigdzie nie można było znaleźć, tak mieszkańcy tej okolicy są ubodzy i wstrzemięźliwi. Kiedy panny ubolewały nad tym, odparłem, iż nie ma się czym kłopotać i że nie trzeba im wina, by mnie upoić. Oto jedyna dworność,

[228] *nieznacznie* — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]
[229] *sztuka amazonek* — jazda konna. [przypis edytorski]
[230] *Toune* — ob. Thônes, gdzie siedzibą rodu Gallay był niewielki dworek La Tour. [przypis edytorski]

z jaką ośmieliłem się wyruszyć przez cały dzień; ale sądzę, że te szelmutki widziały po mnie dobrze, jak dalece było to prawdą.

Zasiedliśmy do obiadu w kuchni: przyjaciółki na ławkach, po dwóch bokach podłużnego stołu, gość między nimi, na zydelku. Co za obiad! Co za urocze wspomnienie! Po co, mogąc równie tanim kosztem smakować tak czystych i prawdziwych rozkoszy, ludzie uganiają się za innymi? Nigdy żadna wieczerza paryskich modniś nie dorównała temu obiadowi, nie tylko wesołością, słodyczą uciech, ale i upojeniem zmysłów.

Po obiedzie uchwaliliśmy małą oszczędność: miast wypić kawę, która została od śniadania, zachowaliśmy ją na podwieczorek wraz ze śmietanką i ciastkami, które panienki przywiozły ze sobą; dla podsycenia zaś apetytu, poszliśmy do sadu spożyć na deser trochę wiśni. Wszedłem na drzewo i rzucałem im całe garście owocu; one odrzucały mi pestki poprzez gałęzie. Raz panna Galley, wysuwając fartuszek i przechylając w tył głowę, nadstawiła się tak dobrze, że pęk wisien wpadł prosto za gors; dopieroż było śmiechu! Mówiłem sam do siebie w duchu: „Czemuż usta moje nie są wiśnią! Jakżebym chętnie cisnął im je, z jak szczerego serca!".

Dzień spłynął na igraszkach pełnych swobody, a zarazem niewinności. Ani jednego dwuznacznego słowa, ani jednego ryzykownego żartu; a skromność ta nie była jakimś narzuconym przymusem, wynikała sama z siebie; ton ten poddawały nam serca. Słowem, skromność moja — kto inny powie: głupota — była taka, iż największą poufałością, na którą sobie pozwoliłem, był jeden jedyny pocałunek w rękę panny Galley. Prawda, iż okoliczności, w których się to stało, dodawały ceny temu lekkiemu faworowi[231]. Byliśmy sami; ja oddychałem z trudnością, ona miała spuszczone oczy. Usta moje, miast szukać wyrazów, ośmieliły się przycisnąć do jej dłoni, którą ona cofnęła natychmiast, patrząc na mnie wszelako oczyma bynajmniej nie wyrażającymi gniewu. Nie wiem, co bym jej powiedział, ale weszła przyjaciółka, która w tej chwili wydała mi się szpetną.

W końcu panny przypomniały sobie, iż nie należy czekać nocy z powrotem do miasta. Ledwo mieliśmy czas zdążyć przed zmierzchem. Ruszyliśmy spiesznie sadowiąc się tak, jakeśmy jechali. Gdybym miał odwagę, odmieniłbym ten porządek: spojrzenie panny Galley zapadło mi w serce; ale nie śmiałem nic powiedzieć, a nie jej rzeczą było to podsuwać. W drodze powtarzaliśmy sobie, że szkoda, iż ów dzień się skończył; ale nie mogliśmy rzec, aby nam się wydał krótki, umieliśmy go przedłużyć tysiącem zabaw, wypełniając go w najmilszy sposób.

Rozstałem się z dziewczętami mniej więcej tam, skąd mnie zabrały. Z jakimż żalem rozłączyliśmy się! Z jakąż radością układaliśmy projekty nowego spotkania! Dwanaście godzin spędzonych razem stanowiły dla nas wieki całe. Słodkie wspomnienie tego dnia nie kosztowało tych lubych dziewcząteк żadnej ofiary. Tkliwa przyjaźń między nami trojgiem z pewnością warta była tyleż, co inne żywsze słodycze, przy których nie mogłaby się ostać: kochaliśmy się bez tajemnicy i wstydu i chcieliśmy się zawsze tak kochać. Czystość obyczajów ma swą rozkosz, wyższą może od innej, ponieważ nie podlega zmąceniu: odczuwa się ją wciąż jednako. Co do mnie, wiem, że wspomnienie tak pięknego dnia wzrusza, czaruje mnie więcej, bardziej przypada mi do serca niż pamięć jakichkolwiek rozkoszy kosztowanych w życiu. Nie zdawałem sobie zbyt jasno sprawy, jakie były me pragnienia w stosunku do tych dwóch uroczych istot, ale pociągały mnie obie w wysokim stopniu. Nie powiadam, iż gdybym był mocen pokierować wypadkami, serce me stanęłoby na rozdrożu; owszem[232], czułem w mych skłonnościach niejaką różnicę. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł być kochankiem panny de Graffenried; ale, mogąc wybierać, sądzę, że wolałbym ją za powiernicę. Jak bądź się rzeczy miały, rozstając się z nimi, miałem uczucie, iż nie potrafiłbym już żyć bez obu. Któż by mi powiedział, że nie ujrzę ich już w życiu i że na tym się skończy ta ulotna miłostka?

Ci, którzy będą czytali te karty, uśmiechną się pewnie z mych przygód miłosnych, widząc, jak, po wielu wstępach, najdalej posunięte kończą się pocałunkiem w rękę. O czytelnicy! Nie dajcie się zmylić pozorom! Więcej może zaznałem rozkoszy w moich miłościach, kończąc na owym pocałunku w rękę, niż wy ich zakosztujecie kiedy, zaczynając co najmniej od tego.

---

[231] *favor* (daw., z łac.) — przychylność; wyróżnienie, łaska; względy. [przypis edytorski]

[232] *owszem* — tu: przeciwnie. [przypis edytorski]

Venture, który położył się poprzedniego dnia bardzo późno, wrócił do domu wkrótce po mnie. Tym razem ujrzałem go z mniejszą przyjemnością niż zwykle i nie postało mi w myśli spowiadać mu się z mego dnia. Panienki wyrażały się o nim z niewielkim szacunkiem i zdawały się nierade, dowiedziawszy się, iż znajduję się w tak niedobrych rękach: to mnie zraziło nieco. Zresztą, wszystko, co mnie odrywało od myśli o nich, mogło mi być tylko przykre. Venture przywołał mnie niebawem do opamiętania, uświadamiając mi położenie. Było ono zbyt krytyczne, aby móc trwać. Jakkolwiek wydawałem na siebie bardzo mało, zapasik mój miał się ku końcowi; po czym zostawałem bez środków. Żadnych wiadomości od mamusi. Nie wiedziałem, co z sobą począć, i czułem okrutne ściśnięcie serca, widząc, iż przyjaciela panny Galley czeka w perspektywie życie z jałmużny.

Venture powiedział mi, że wspomniał o mnie sędziemu powiatowemu, że jutro chce mnie doń zaprowadzić na obiad. Twierdził, iż człowiek ten będzie mi mógł dopomóc przez swoich przyjaciół. Zresztą, znajomość była korzystna sama przez się: człowiek piśmienny, wykształcony, miły w pożyciu, sam utalentowany i ceniący talent u drugich. Następnie, mieszając wedle swego obyczaju rzeczy poważne do najpłochszej swywoli, pokazał mi ładny kuplecik[233], przysłany mu z Paryża, na nutę arii z opery Moureta[234], którą podówczas dawano. Kuplet ten tak spodobał się panu Simon (nazwisko sędziego), że pragnął ułożyć nowy, niejako w odpowiedzi na ten, na tę samą melodię. Polecił Venture'owi, aby napisał drugi, ten zaś uparł się, bym ja skomponował trzeci; powiadał, że to będzie bardzo zabawne, taka wojna na kuplety.

W nocy, nie mogąc usnąć, skleciłem, jak umiałem, mą strofkę. Jak na pierwsze wiersze w życiu, były one wcale znośne; lepsze z pewnością, a przynajmniej ułożone z większym smakiem, niżbym to był zdolny uczynić na dobę przedtem, ile że przedmiot kręcił się koło bardzo czułego tematu, do którego serce moje wybornie było nastrojone. Pokazałem rano kuplet Venture'owi, spodobał mu się. Schował go do kieszeni, nie mówiąc nic, czy i sam co ułożył. Udaliśmy się do pana Simon, który przyjął nas nader uprzejmie. Rozmowa była przyjemna, nie mogło być inaczej w towarzystwie dwóch ludzi pełnych dowcipu i oczytania. Co do mnie, trzymałem się swej roli: przysłuchiwałem się i milczałem. Ani jeden, ani drugi nie wspomnieli o kuplecie, ja również; i nigdy, o ile mi wiadomo, nie było mowy o moim utworze.

Pan Simon zdawał się rad z mego zachowania; to było mniej więcej wszystko, co mógł o mnie wiedzieć z tej wizyty. Spotykał mnie już poprzednio u pani de Warens, nie zwracając na mnie większej uwagi. Tak tedy dopiero ten obiad mogę liczyć za datę naszej znajomości, która, biorąc praktycznie, nie przydała mi się na nic, ale z której wyciągnąłem inne, cenniejsze może korzyści; i dla nich wspominam ją zawsze ze szczerą przyjemnością.

Nie mogę pominąć milczeniem wyglądu tej osobistości; znając go bowiem jedynie z tego, co tu mówię o nim jako urzędniku oraz o talentach, które stanowiły przedmiot jego ambicji, nikt by się nie domyślił jego zewnętrznej postaci. Sędzia Simon miał z pewnością nie więcej niż dwie stopy[235] wysokości. Nogi jego, proste, drobne i nawet dość długie, byłyby mu przydały wzrostu, gdyby były prostopadłe; ale rozchodziły się ukośnie jak ramiona bardzo otwartego kompasu. Korpus był nie tylko krótki, ale szczupły i niesłychanie drobny. Wyobrażam sobie, iż, nagi, musiał być podobny do szarańczy. Głowa, naturalnej wielkości, o regularnych rysach, szlachetnym wejrzeniu, z dość ładnymi oczyma, zdawała się sztuczną głową osadzoną w kikucie. Mógłby sobie oszczędzić wydatków na ubranie, wielka peruka ubierała go sama od stóp aż do głowy.

Miał dwa rodzaje głosu, zupełnie odmienne, które przeplatały się wciąż, kiedy rozmawiał, wywołując tym zabawne zrazu, ale wkrótce bardzo przykre kontrasty. Jeden głos był poważny i dźwięczny; był to, jeżeli można tak rzec, głos jego głowy. Drugi, jasny, ostry i przenikliwy, to był głos jego ciała. Kiedy bardzo uważał na siebie, kiedy mówił z namysłem, oszczędzając oddechu, mógł mówić stale swym głębokim głosem; ale ilekroć ożywił się i wziął ton nieco żywszy, głos brzmiał jak świstanie na kluczu i z największą trudnością przychodziło mu wrócić do basu.

---

[233] *kuplet* — żartobliwa, satyryczna piosenka o budowie zwrotkowej z wyrazistym refrenem. [przypis edytorski]

[234] *Mouret, Jean-Joseph* (1682–1738) — fr. kompozytor, autor operowych tragedii lirycznych i oper baletowych, czołowy przedstawiciel muzyki barokowej we Francji. [przypis edytorski]

[235] *stopa* — daw. miara długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

Przy tej postaci, którą tu odmalowałem bez najmniejszej przesady, pan Simon był wielki galant[236], komplemencista i aż do kokieterii dbały o swój wygląd. Ponieważ chciał się zawsze wydać najkorzystniej, udzielał chętnie audiencji rano w łóżku. Widząc tę piękną głowę na poduszkach, nikt nie przypuszczał nawet, że to jest wszystko. To dawało niekiedy powód do scen, które, jestem pewien, całe Annecy przypomina sobie jeszcze.

Jednego dnia, leżąc w łóżku, lub raczej na łóżku, sędzia oczekiwał klientów, strojny w cienki i biały czepek nocny, z dwoma dużymi pomponami z różowych wstążek. Przychodzi jakiś wieśniak i puka. Służąca gdzieś wyszła. Sędzia, słysząc powtórne pukanie, woła: „Proszę!". Słowo to, wymówione zbyt głośno, wymknęło mu się dyszkantem. Człowiek wchodzi, szuka, skąd wyszedł ten głos kobiecy, a widząc w łóżku czepek z fantazyjnymi wstążkami, chce wyjść, tłumacząc się uniżenie przed jaśnie panią. Pan Simon wpada w złość, krzycząc przez to jeszcze cieniej. Chłopek, utwierdzony w pomyłce, czując się obrażony, bierze z innego tonu, wymyśla rzekomej pani od ulicznic i ścierek, i wykrzykuje, iż pan sędzia nie świeci w domu zbyt dobrym przykładem. Sędzia, wściekły, mając za jedyną broń nocnik przy łóżku, już miał go rzucić nieborakowi na głowę, kiedy wbiegła służąca.

Ten karzełek, tak upośledzony przez przyrodę, otrzymał od niej hojne dary umysłu, który, z natury pełen wdzięku, umiał jeszcze przyozdobić. Mimo iż wedle powszechnego zdania był idealnym prawnikiem, nie lubił swego zawodu. Rzucił się w literaturę nie bez powodzenia. Zdobył w niej ów błyszczący polor, ów kwiat, który daje tyle uroku w obcowaniu, zwłaszcza z kobietami. Znał na pamięć wszystkie anegdotki światowych kulis. Umiał je znakomicie podać, opowiadając z przejęciem, tajemniczo, jako nowalie ostatniego dnia rzeczy, które zdarzyły się przed sześćdziesięciu laty. Uprawiał nieco muzykę i śpiewał przyjemnie swoim męskim głosem. Słowem, jak na biurokratę posiadał wiele miłych talentów. Tak wytrwale wdzięczył się do wszystkich dam w Annecy, aż wreszcie zyskał wśród nich prawo obywatelstwa; dreptał za ich spódniczką jak piesek. Miał nawet pretensje zdobywcy serc, co je serdecznie bawiło. Niejaka pani d'Epagny powiada, iż naturalnym kresem szczęśliwości było dlań pocałować kobietę w kolano.

Ponieważ znał wiele dobrych książek i chętnie o nich mówił, rozmowa z nim była nie tylko zajmująca, ale i pouczająca. Później, kiedy nabrałem zamiłowania do nauk, pielęgnowałem tę znajomość z wielką dla siebie korzyścią. Chodziłem często do niego z Chambéry, gdzie mieszkałem wówczas. Chwalił i podsycał mój zapał, dając mi co do lektury dobre wskazówki, z których nieraz korzystałem. Na nieszczęście w tym wątłym ciele mieszkała tkliwa dusza. W kilka lat później dotknęło go jakieś przykre wydarzenie i z tego umarł. Szkoda go, był to poczciwy człeczyna, który bawił zrazu, ale którego w końcu musiało się pokochać. Mimo iż stykaliśmy się niewiele, otrzymałem od niego sporo użytecznych wskazówek; sądziłem tedy, iż mogę przez wdzięczność poświęcić mu tych parę słów wspomnienia.

Skoro znalazłem chwilę czasu, pobiegłem na ulicę, gdzie mieszkała panna Galley, pieszcząc nadzieję, iż spotkam kogoś wchodzącego lub wychodzącego albo że bodaj okno się uchyli. Nic, ani żywej duszy; dom był tak cichy i zamknięty, jak gdyby w nim nikt nie mieszkał. Ulica była mała i odludna; łatwo było na niej zauważyć człowieka. Od czasu do czasu ktoś przechodził w pobliżu. Zacząłem mieć bardzo głupią minę: zdawało mi się, że każdy zgaduje po co tu sterczę, i ta myśl przyprawiała mnie o tortury, zawsze bowiem nad własną przyjemność przekładałem honor i bezpieczeństwo osób, które mi były drogie.

Wreszcie, znużony rolą hiszpańskiego kochanka i nie mając gitary, postanowiłem napisać do panny de Graffenried. Byłbym wolał napisać wprost do jej przyjaciółki, ale nie śmiałem; bardziej zresztą wypadało mi pisać do tej, przez którą zawarłem tę znajomość i z którą byłem bliżej. Napisawszy list, zaniosłem go do panny Giraud, tak jak się umówiłem z panienkami. Panna Giraud była hafciarką i pracując niekiedy u pani Galley, miała wstęp do jej domu. Pośredniczka nie wydała mi się szczęśliwie dobrana, ale bałem się, że gdybym robił trudności co do tej drogi, nie wskażą mi żadnej innej. Co więcej, nie śmiałem się przyznać, że ta brzydula miała na mnie sama jakieś widoki. Poniżało mnie,

[236]*galant* (daw.) — mężczyzna odznaczający się wyszukaną uprzejmością. [przypis edytorski]

iż ona, w stosunku do mnie, mogła się uważać za osobę tej samej płci co moje urocze przyjaciółki. Ostatecznie wolałem to pośrednictwo niż żadne i puściłem się[237] na hazard.

Za pierwszym słowem panna Giraud przejrzała mnie, co nie było trudno. Gdyby nawet list przeznaczony dla panienek nie mówił sam za siebie, zdradziłaby mnie głupia i zakłopotana mina. Można się domyślić, że to zlecenie nie sprawiło jej przyjemności; podjęła się go wszelako i dopełniła wiernie. Nazajutrz rano pobiegłem do niej i znalazłem odpowiedź. Jakże mi pilno było wyjść, by ją odczytywać i całować do woli! Nie potrzebuję tego powiadać. Uważam natomiast, iż trzeba mi podnieść zachowanie się panny Giraud, która okazała w tym więcej delikatności i umiarkowania, niżbym się spodziewał. Mając dość zdrowego rozsądku, aby widzieć, że w swoich trzydziestu siedmiu latach, ze swymi zajęczymi oczami, zatabaczonym nosem, chrypliwym głosem i czarniawą cerą nie miała szans powodzenia wobec dwóch młodych osób pełnych wdzięku i w rozkwicie piękności, nie chciała ani zdradzić ich, ani im służyć i wolała raczej mnie stracić, niż oddać mnie w ich ręce.

(1732). Już od pewnego czasu Merceret, nie mając żadnej wiadomości o pani, wybierała się z powrotem do Fryburga; panna Giraud wpłynęła na jej decyzję. Zrobiła więcej, podsunęła jej myśl, że byłoby dobrze, aby ją ktoś odprowadził, i poddała mnie. Merceret, która również nie czuła do mnie wstrętu, zasmakowała od razu w pomyśle. Oznajmiły mi o tym tego samego dnia jako o ubitej sprawie; że zaś ten sposób rozrządzania moją osobą był mi dość po myśli, zgodziłem się, uważając całą podróż za rzecz najwyżej tygodnia. Panna Giraud, która miała inne poglądy, zajęła się przygotowaniami. Trzeba było wyznać stan moich finansów. Zaradzono i na to; Merceret podjęła się opędzić koszta, aby zaś odbić tę nadwyżkę, zdecydowano na mą prośbę, że wyśle naprzód swój nieduży pakunek i że drogę odbędziemy, wędrując z wolna pieszo. Tak się też stało.

Przykro mi, że muszę się chwalić miłością tylu dziewcząt; ale ponieważ nie mam powodu zbytnio się wbijać w dumę z korzyści, które wyciągnąłem z tych wszystkich amorów, sądzę, iż mogę mówić prawdę bez skrupułu. Merceret, młodsza i mniej szczwana niż Giraud, nigdy nie była ze mną tak otwarcie zalotna; ale naśladowała mój ton, sposób mówienia, powtarzała moje odezwania, miała dla mnie wszystkie względy, jakie ja powinienem był mieć dla niej, i obstawała zawsze przy tym (jako że była bardzo bojaźliwa), abyśmy sypiali w jednym pokoju — wspólność, która rzadko pozostaje w tych skromnych granicach w czasie podróży dwudziestoletniego chłopca z dwudziestopięcioletnią dziewczyną.

Mimo to nie przekroczyła ich tym razem. Naiwność moja sięgała tak daleko, iż mimo że Merceret wcale była warta grzechu, w całej tej podróży nie przyszła mi na myśl, nie mówię, pokusa, ale nawet najdalsza idea jej możliwości. Gdyby nawet ta idea wpadła mi do głowy, byłem zbyt głupi, aby z niej skorzystać. Nie wyobrażałem sobie, w jaki sposób dziewczyna i chłopiec mogą dojść do tego momentu, aby się razem położyć do łóżka; myślałem, że trzeba całych wieków, by doprowadzić do tej straszliwej poufałości. Jeżeli biedna Merceret, biorąc mnie na swój koszt, rachowała na tego rodzaju odszkodowanie, przeliczyła się grubo; przybyliśmy do Fryburga zupełnie tak, jak wyruszyliśmy z Annecy.

Ojczyzna, Wolność

Przechodząc przez Genewę, nie wstępowałem do nikogo, ale gdym znalazł się na moście, byłem bliski omdlenia. Nigdy nie zdarzyło mi się oglądać murów tego błogosławionego miasta, nie zdarzyło mi się ich przestąpić, żeby nie doznawać jakiejś omdlałości serca wynikłej ze zbytku rozczulenia. Szlachetny obraz wolności podnosił mą duszę, a zarazem wizje równości, jedności, prostoty obyczajów wzruszały mnie do łez i budziły najwyższą żałość, iż utraciłem te wszystkie skarby. W jakimż byłem błędzie, ale jakże błąd ten był naturalny! Zdawało mi się, iż widzę w mej ojczyźnie to wszystko dobro, ponieważ nosiłem je w sercu.

Trzeba było przechodzić przez Nyon. Minąć, nie oglądając ojca! Gdybym miał odwagę to uczynić, umarłbym chyba z żalu. Zostawiłem Merceret w gospodzie i poszedłem, na los szczęścia, do ojca. Ach, jakże płonne były me obawy! Na mój widok dusza jego dała upust ojcowskim uczuciom, którymi była wezbrana. Ileż łez wylaliśmy, obejmując się wzajem! Mniemał zrazu, iż wróciłem na stałe. Opowiedziałem mu swe dzieje i zwierzyłem zamysły. Zwalczał je dość miękko. Ukazał mi niebezpieczeństwa, na które się narażam,

[237] *puścić się na coś* (daw.) — zdecydować się na coś, odważyć się na coś, zaryzykować. [przypis edytorski]

mówił, że im wcześniej człowiek się opamięta, tym dlań lepiej. Poza tym nie kusił się nawet zatrzymywać mnie przemocą i w tym uważam, że miał słuszność; ale to pewna, iż nie próbował wszystkiego, co było w jego mocy, by mnie przyciągnąć do siebie, czy że po tym, co uczyniłem, mniemał, iż nie ma dla mnie powrotu, czy że sam był w kłopocie, co począć z chłopakiem w moim wieku. Dowiedziałem się później, iż powziął on o mej towarzyszce wyobrażenie bardzo niesprawiedliwe i odległe od prawdy, ale zresztą dość naturalne. Macocha, poczciwa kumoszka, nieco obleśna, próbowała niby to zatrzymać mnie na wieczerzy. Nie zostałem, ale rzekłem, że mam nadzieję zatrzymać się dłużej wracając, i zostawiłem u nich mały pakunek, który przybył za mną statkiem i który sprawiał mi kłopot. Ruszyłem w drogę wczesnym rankiem, niezmiernie rad, że widziałem ojca i że miałem odwagę spełnić obowiązek.

Przybyliśmy szczęśliwie do Fryburga. Pod koniec podróży czułość panny Merceret osłabła nieco. Od chwili przybycia odnosiła się już do mnie bardzo chłodno; ojciec jej, który nie opływał w dostatki, również nie okazywał mi zbytniej serdeczności; wobec tego ulokowałem się w gospodzie. Odwiedziłem ich nazajutrz; zaprosili mnie na obiad, przyjąłem. Rozstaliśmy się bez łez. Wieczorem powróciłem do mej nory i ruszyłem z powrotem, na trzeci dzień po przybyciu, nie wiedząc sam dobrze, dokąd się udać.

Oto jeszcze jedna okoliczność w moim życiu, w której Opatrzność podsuwała mi właśnie to, czego mi było trzeba, aby pędzić do końca szczęśliwe i spokojne dni. Merceret była to bardzo dobra dziewczyna, bez jakichś świetnych zalet, nie ładna, ale też wcale nie brzydka; spokojna, rozsądna, pomijając przelotne napady humorów, które wyładowywały się w płaczu i nigdy nie miały burzliwych następstw. Miała do mnie szczerą skłonność; byłbym ją mógł zaślubić bez trudności i uprawiać rzemiosło jej ojca. Moje zamiłowanie do muzyki pozwoliłoby mi polubić ten zawód[238]. Byłbym się osiedlił we Fryburgu, mieścinie niełądnej, ale zamieszkałej przez dobrych ludzi. Postradałbym z pewnością wielkie rozkosze życia, ale żyłbym spokojnie do ostatniej godziny; a mogę lepiej niż ktokolwiek inny wiedzieć, że nie ma się co i wahać przy takiej zamianie.

Wróciłem nie do Nyonu, ale do Lozanny. Chciałem się nasycić widokiem tego pięknego jeziora[239], które stamtąd można oglądać w najszerszym widnokręgu. Istotnie motywy, od których bywały zależne me postanowienia, zazwyczaj były niewiele poważniejszej natury. Odległe horyzonty rzadko działają na mnie dość silnie, by mnie pobudzić do czynu. Niepewność przyszłości zawsze kazała mi patrzeć na rzeczy dalsze jako na czcze mamidła. Mogę jak każdy poddawać się złudom nadziei, byle mnie to nic nie kosztowało; ale gdy trzeba długo się mozolić, oho! już mnie nie ma. Lada przyjemność, która nawinie się po drodze, kusi mnie więcej niż wszystkie rozkosze raju. Wyjątek stanowi przyjemność, po której następuje troska: ta mnie nie kusi, lubię jedynie radości czyste, takich zaś nigdy nie można zakosztować, kiedy się wie, iż czeka po nich zgryzota.

Pragnąłem zresztą dostać się do jakiegokolwiek miasteczka, i to im bliżej, tym lepiej; zabłąkawszy się bowiem w drodze, znalazłem się wieczorem w Moudon, gdzie wydałem resztę pieniędzy, z wyjątkiem dziesięciu centów, które poszły nazajutrz na obiad. Przybywszy wieczorem do wioski w pobliżu Lozanny, wszedłem do karczmy, nie mając grosza na zapłacenie noclegu i nie wiedząc, co z sobą począć. Byłem bardzo głodny; przybrałem minę pewną siebie i zażądałem wieczerzy, jak gdybym miał czym zapłacić. Udałem się spokojnie na spoczynek, nie myśląc o niczym. Rano, pośniadawszy i obliczywszy się z gospodarzem, chciałem za mą należność oddać w zastaw kamizelkę. Zacny człowiek nie przyjął ofiary; powiedział, iż, dzięki niebu, nie obdarł nigdy nikogo, że zaś nie chce zaczynać tego dla kilkudziesięciu groszy, mogę zachować kamizelkę, a zapłacę, kiedy będę mógł. Uczułem się wzruszony jego dobrocią, ale mniej, niżbym powinien i niż byłem nieraz później, wspominając to zdarzenie. Odesłałem mu pieniądze z podziękowaniem i kiedy w piętnaście lat później, wracając z Włoch, przejeżdżałem przez Lozannę, bardzom żałował, iż zapomniałem nazwiska karczmy i gospodarza. Byłbym go odwiedził; sprawiłoby mi szczerą przyjemność przypomnieć mu jego dobry uczynek i dowieść, że nie trafił na niewdzięcznika. Usługi, ważniejsze z pewnością, jakich doznałem od ludzi,

[238] *moje zamiłowanie do muzyki pozwoliłoby mi polubić ten zawód* — Rousseau nie mówi jaki: może organisty? [przypis tłumacza]

[239] *widokiem tego pięknego jeziora* — Lozanna leży na stoku opadającym ku Jezioru Genewskiemu. [przypis edytorski]

ale świadczone z mniejszą prostotą, nie wydały mi się tak godne wdzięczności, jak prosta i skromna ludzkość tego zacnego człowieka.

Zbliżając się do Lozanny, rozmyślałem nad swym rozpaczliwym położeniem oraz nad środkami wydobycia się zeń bez zdradzenia swej nędzy wobec macochy. W ciągu pielgrzymki nieraz porównywałem się w myśli do przyjaciela Venture'a w chwili jego przybycia do Annecy. Rozpaliłem się tak tą ideą, że nie myśląc o tym, iż nie mam ani jego uroku, ani talentów, nabiłem sobie głowę konceptem, aby odegrać w Lozannie małego Venture'a, dawać lekcje muzyki, której sam nie umiałem, i podać się za przybywającego z Paryża, gdzie nigdy w życiu nie byłem. Powziąwszy ten piękny zamiar, ale mając jeszcze na tyle zastanowienia, by się nie pchać między zawodowych muzyków, zacząłem się na początek wywiadywać o jaką oberżę, gdzieby można żyć dobrze i tanio. Wskazano mi niejakiego Perroteta, który odnajmował stancje z utrzymaniem. Ów Perrotet okazał się najpoczciwszym człowiekiem w świecie, przyjął mnie bardzo dobrze. Wytrząsłem przed nim swoje kłamstewka, tak jak je sobie ułożyłem. Obiecał, że będzie o mnie mówił i że postara się znaleźć mi uczniów; powiedział, iż mogę mu zapłacić dopiero wówczas, gdy sam coś zarobię. Pensja wynosiła pięć talarów; nie było to wiele, ale bardzo wiele dla mnie. Poradził mi, bym się zgodził na początek na pół pensji, która obejmowała na obiad dobrą zupę bez dalszego ciągu, ale za to dostatnią wieczerzę. Przystałem. Dobry Perrotet ofiarował mi wszystkie te usługi najserdeczniej w świecie i nie oszczędzał starań, aby mi być użytecznym.

Jak to się dzieje, iż spotkawszy tylu dobrych ludzi w młodości, tak mało znajduję ich w późniejszym wieku? Czyżby rasa ich się wyczerpała? Nie; ale sfera, w której zmuszony jestem szukać ich dziś, nie jest tą, w której znajdowałem ich wówczas. Wśród ludu, gdzie wielkie namiętności odzywają się jedynie z rzadka, naturalne uczucia częściej przychodzą do głosu. W wyższych klasach zduszone są one zupełnie i pod maską uczucia przemawia zawsze jedynie interes lub próżność.

Napisałem z Lozanny do ojca; odesłał mi tobołek i dołączył wyborne rady, z których powinienem był lepiej skorzystać. Zaznaczyłem już, iż zdarzały się w moim życiu chwile niepojętego zamroczenia, w których przestawałem być sobą. Oto jeszcze jeden typowy przykład. Aby zrozumieć, jak miałem przewrócone w głowie, do jakiego stopnia byłem niejako „zwenturyzowany", trzeba się tylko przypatrzeć, ile szaleństw nagromadziłem. Jestem tedy nauczycielem śpiewu, nie umiejąc odczytać z nut jednej melodii. Gdybym nawet skorzystał z sześciu miesięcy spędzonych u Mistrza, nigdy by to nie wystarczyło; prócz tego uczyłem się tam z cudzą pomocą — to dla mnie dość, abym się uczył licho. Występując jako genewski paryżanin i jako katolik w kraju protestanckim, uważałem, iż wraz z religią i ojczyzną należy mi odmienić nazwisko. O ile mogłem, wciąż starałem się zbliżyć do pierwowzoru. On mienił się Venture de Villeneuve, ja zrobiłem anagram z mego nazwiska Rousseau na Vaussore i nazwałem się Vaussore de Villeneuve. Venture posiadał zasady kompozycji, choć nikomu o tym nie wspominał; ja, nie posiadając ich wcale, chwaliłem się przed całym światem tą umiejętnością; niezdolny sklecić najmniejszej melodii, podawałem się za skończonego muzyka. To nie wszystko: przedstawiony panu de Treytorens, profesorowi prawa, który lubił muzykę i urządzał u siebie koncerty, chciałem dać próbkę swego talentu i zacząłem komponować utwór na koncert u niego, tak bezczelnie, jak gdybym miał o tym pojęcie. Miałem wytrwałość parania się przez dwa tygodnie z tym pięknym dziełem, skopiowałem je na czysto, rozpisałem partie i rozdałem je z taką pewnością, jak gdyby to było arcydzieło harmonii. Wreszcie — rzecz trudna do wiary, a jednak prawdziwa — aby godnie uwieńczyć tę wyniosłą produkcję, umieściłem w niej na końcu menuecik, który obiegał wówczas ulice i który może wszyscy przypomną sobie jeszcze po tych tak znanych słowach:

Muzyka

Quel caprice!
Quelle injustice!
Quoi! ta Clarisse
Trahirait tes feux![240] etc.[241]

[240] *Quel caprice!…* (fr.) — Co za kaprys! Co za niesprawiedliwość! Jak to! Twoja Klarysa zdradziłaby twą miłość? [przypis edytorski]

[241] *etc.* (łac.) — skrót od *et caetera*: i tak dalej. [przypis edytorski]

Venture nauczył mnie tej melodii z akompaniamentem i z plugawą trawestacją, dzięki której zachowałem ją w pamięci. Umieściłem tedy na końcu utworu ten menuet i akompaniament, usuwając słowa i podając go za własną kompozycję z takim tupetem, jak gdybym miał do czynienia z mieszkańcami księżyca.

Schodzą się tedy wszyscy, aby wykonać mój utwór. Tłumaczę każdemu rytmikę, sposób wykonania, prowadzenie głosów; krzątam się jak mogę. Strojenie instrumentów trwa pięć czy sześć minut, które były dla mnie sześcioma wiekami. Wreszcie wszystko gotowe, uderzam rulonem papieru o pulpit na znak rozpoczęcia. Robi się cisza. Poważnie daję takt batutą, zaczynają... Nie, odkąd istnieją na świecie opery francuskie, w życiu nie słyszał nikt podobnego harmideru. Cokolwiek by ktoś mógł myśleć o mym rzekomym talencie, efekt przeszedł oczekiwanie. Grajkowie dusili się od śmiechu, słuchacze otwierali szeroko oczy; zatkaliby chętnie w zamian uszy, ale nie było sposobu. Nielitościwi symfoniści, chcąc sobie uczynić zabawę, rżnęli tak swoje partie, iż mogli przyprawić o pęknięcie błonę bębenkową grubości podeszwy. Miałem odwagę dyrygować bez przerwy dalej, pocąc się co prawda wielkimi kroplami, ale, powstrzymywany wstydem, nie śmiejąc rzucić wszystkiego i uciec, gdzie pieprz rośnie. Na pociechę słyszałem dokoła, jak słuchacze powtarzali sobie, a raczej mnie do ucha: „Toć to czyste błazeństwo!" albo: „Cóż za opętana muzyka!", inny: „Cóż za sabat piekielny!". Biedny Janie Jakubie! W tym okrutnym momencie nie spodziewałeś się pewnie, iż pewnego dnia, wobec króla Francji i całego dworu, tony twoje wywołają szmer zdumienia i oklask zachwytu i że we wszystkich lożach urocze kobiety będą szeptały półgłosem: „Cóż za czarowne dźwięki! Co za boska muzyka! Jak te melodie wnikają do serca!"

Ale co wprawiło wszystkich w doskonały humor, to menuet. Ledwie zaczęto pierwsze takty, usłyszałem ze wszystkich stron wybuchy śmiechu. Wszyscy winszowali mi gustu; zapewniano, iż ten menuet rozsławi me imię i że godzien jest, by go wszędzie śpiewano. Nie potrzebuję chyba malować swej męki i dodawać, iż sumiennie na nią zasłużyłem.

Nazajutrz jeden z symfonistów nazwiskiem Lutold przyszedł mnie odwiedzić i był tyle poczciwy, iż nie winszował mi przynajmniej sukcesu. Poczucie mego szaleństwa, wstyd, żal, rozpacz z powodu położenia, do jakiego się doprowadziłem, niemożność stłumienia głosu serca w chwilach ciężkiej próby, wszystko to sprawiło, iż otworzyłem mu duszę; dałem folgę łzom i miast zadowolić się wyznaniem nieuctwa, powiedziałem mu wszystko, prosząc o sekret, który mi przyrzekł i którego dochował tak, jak można się spodziewać. Tego samego dnia cała Lozanna wiedziała, kim jestem; ale co szczególne, nikt tego mi nie okazał, nawet poczciwy Perrotet, który mimo wszystko nie przestał mnie darzyć dachem i posiłkiem.

Żyłem tedy, ale bardzo smutnie. Taki początek kariery nie uczynił mi pobytu w Lozannie zbyt przyjemnym. Uczniowie nie cisnęli się tłumnie, uczennicy ani jednej, a nikogo z miasta. Miałem wszystkiego dwóch czy trzech tępych Szwabów, których niezdarstwo dorównywało memu nieuctwu i którzy w moich rękach nie wyrośli na wielkich znawców sztuki wokalnej. Wezwano mnie do jednego domu, gdzie panna, mała żmijka, zrobiła sobie uciechę, znosząc całe mnóstwo partycji[242], z których nie umiałem odczytać ani nuty, później zaś miała złośliwość odśpiewania tego wszelkiego przed „panem nauczycielem", aby mu pokazać, jak się to robi. Tak dalece nie byłem zdolny czytać *a vista*[243], że w owym wspaniałym koncercie, który opisałem, nie umiałem ani przez chwilę podążać za wykonaniem, bodaj na tyle, aby zdać sobie sprawę, czy w istocie grano to, co miałem przed oczyma i co sam napisałem.

Wśród tylu upokorzeń czerpałem bardzo słodką pociechę w wiadomościach, które otrzymywałem od czasu do czasu od dwóch uroczych przyjaciółek. Zawsze stwierdzałem, że płeć niewieścia ma wielką umiejętność pocieszania; toteż nic tak nie łagodzi mych strapień w przeciwnościach losu, jak czuć, że jakaś luba istota bierze w nich udział. Prawda, iż korespondencja urwała się niebawem i już się nie nawiązała: ale to z mojej winy. Zmieniając miejsce pobytu, zapomniałem podać adres, a niebawem, zmuszony okolicznościami do myślenia wciąż o sobie samym, zapomniałem o nich zupełnie.

[242] *partycja* (daw.) — partytura, szczegółowy zapis nutowy utworu muzycznego. [przypis edytorski]

[243] *a vista* a. *a prima vista* (wł.: pierwszy raz widząc) — od razu, bez wcześniejszego przygotowania; w muzyce: o odegraniu lub odśpiewaniu utworu, którego nuty wykonawca widzi po raz pierwszy. [przypis edytorski]

Długo już nie mówiłem słowa o mej najlepszej mamusi; ale kto by mniemał, iż zapomniałem o niej, myliłby się bardzo. Nie przestałem o niej myśleć, pragnąłem ją odszukać, nie tylko dla potrzeb egzystencji, ale daleko więcej dla potrzeby serca. Przywiązanie do niej, mimo iż tak żywe i serdeczne, nie przeszkadzało mi kochać się w innych; ale było to inaczej. Niewątpliwie i ona, i te inne zawdzięczały pierwotnie mą czułość swym powabom; ale u innych rzeczy te były ściśle z sobą związane i miłość nie przetrwałaby straty wdzięków, gdy mamusia mogłaby się zestarzeć i zbrzydnąć, nie tracąc nic z mego przywiązania. Hołd, zrazu oddany urodzie, serce moje przelało w całej pełni na jej osobę i mimo wszelkich przeobrażeń, byleby to zawsze była ona, uczucia moje nie mogły się zmienić. Wiem, że byłem jej winien wdzięczność; ale, doprawdy, nawet nie myślałem o tym. Czyby coś uczyniła dla mnie, czy nie, w niczym nie zmieniłoby to istoty rzeczy. Kochałem ją nie z obowiązku ani z interesu, ani z przywiązania; kochałem, bo byłem stworzony, aby ją kochać. Kiedy zdarzyło mi się zakochać w innej, rozpraszało mnie to nieco, przyznaję, i myślałem wówczas o niej mniej często; ale myślałem z tą samą przyjemnością i nigdy, czy byłem zakochany, czy nie, nie zdarzyło mi się wspomnieć o mamusi, abym natychmiast nie uczuł, że nie może być dla mnie prawdziwego szczęścia, o ile będę z dala od niej.

Mimo iż nie miałem o niej wiadomości od tak dawna, ani na chwilę nie wierzyłem, abym miał zupełnie ją postradać, ani żeby ona mogła o mnie zapomnieć. Powiadałem sobie: „Prędzej czy później dowie się o mej włóczędze i da mi jakiś znak życia; odnajdę ją, pewien jestem". W oczekiwaniu słodko mi było przebywać w kraju, który był jej krajem, chodzić po ulicach, po których ona chodziła, koło domów, w których ona mieszkała; a wszystko na podstawie przypuszczeń, jednym bowiem z mych niedorzecznych dziwactw było to, iż nie śmiałem się nigdy dowiadywać o nią ani też wymawiać jej imienia bez absolutnej konieczności. Zdawało mi się, że wymawiając jej imię, obnażam wszystkie uczucia, które ona budzi we mnie, że usta moje odsłaniają tajemnicę mego serca i że narażam, do pewnego stopnia, ją samą. Sądzę nawet, że mieszała się z tym i pewna obawa, aby ktoś nie rzekł o niej czegoś złego. Mówiono dużo o jej postępku[244], a trochę i o sposobie życia. Z obawy, by nie powiedziano czegoś, czego bym nie chciał słyszeć, wolałem, aby nie mówiono mi o niej wcale.

Ponieważ uczniowie nie zabierali mi zbyt wiele czasu, rodzinne zaś miasto mamusi odległe było tylko o cztery mile od Lozanny, zrobiłem tam wycieczkę na parę dni, podczas których nie opuszczało mnie ani na chwilę najsłodsze wzruszenie. Widok genewskiego jeziora i jego wspaniałych wybrzeży miał zawsze w moich oczach szczególny urok, którego nie umiałbym wytłumaczyć i który nie wypływa jedynie z piękności krajobrazu, ale z czegoś tkwiącego głębiej, co mnie przejmuje i rozczula. Za każdym razem kiedy zbliżam się do Vaud, doznaję jakiegoś złożonego uczucia: wchodzi w nie wspomnienie pani de Warens, która się tam urodziła, ojca mego, który tam żył, panny de Vulson, która posiadła tam pierwociny mego serca, różnych uroczych wycieczek, które odbyłem w dzieciństwie i, zdaje mi się, jakaś inna przyczyna, tajemniejsza jeszcze i silniejsza. Kiedy żarliwa tęsknota za tym szczęściem i słodkim życiem, które mi ucieka, a do którego byłem zrodzony, rozpłomieni mą wyobraźnię, zawsze wówczas zatrzymuję się w Vaud nad jeziorem, w tych uroczych wioskach. Trzeba mi koniecznie sadu nad jeziorem, nie gdzie indziej, trzeba mi dobrego, pewnego przyjaciela, miłej kobiety, własnej krówki, małego czółenka. Nie zaznam prawdziwego szczęścia, póki nie będę miał tego wszystkiego. Śmiać się muszę z naiwności, z jaką wiele razy puszczałem się w te okolice po to jedynie, by szukać w nich tego urojonego szczęścia. Zawsze byłem zdziwiony, znajdując wśród mieszkańców, zwłaszcza wśród kobiet, zupełnie inny typ niż ten, którego szukałem. Jakże często raził mnie ten dysonans! Ziemia i ludzie, którzy tam mieszkają, nigdy nie wydawali mi się stworzeni dla się wzajem.

W czasie tej podróży do Vevay[245], wędrując pięknym wybrzeżem, poddawałem się najsłodszej melancholii. Serce moje wybiegało z zapałem po tysiąc niewinnych rozkoszy. Rozrzewniałem się, wzdychałem i płakałem jak dziecko. Ileż razy, zatrzymawszy się, aby

[244] *postępek* — tu: postępowanie. [przypis edytorski]
[245] *Vevay* — ob. Vevey, niewielkie miasto w pobliżu Lozanny. [przypis edytorski]

się wypłakać do woli, siedząc na dużym kamieniu, przyglądałem się, jak moje łzy kapały do wody!

W czasie dwóch dni, które spędziłem w Vevay, nie widując nikogo, nabrałem dla tego miasta uczucia miłości, które nie opuszczało mnie nigdy w moich wędrówkach i które tam mi kazało wreszcie umieścić bohaterów mego romansu[246]. Rad byłbym powiedzieć wszystkim, którzy umieją czuć i patrzeć: „Idźcie do Vevay, zwiedźcie kraj, przebiegnijcie okolice, przejedźcie się po jeziorze i powiedzcie, czy natura nie stworzyła tych uroczych stron dla takiej Julii, dla takiej Klary i dla takiego Saint-Preux, ale nie szukajcie tam ich samych!". Wracam do opowieści.

Ponieważ byłem katolikiem i podawałem się za takiego, dopełniałem bez tajemnicy i bez skrupułu obrządków mego przybranego wyznania. W niedzielę, gdy czas był ładny, chodziłem na mszę do Assens, o dwie mile od Lozanny. Odbywałem zwykle tę drogę w towarzystwie innych katolików, zwłaszcza pewnego paryskiego hafciarza, którego nazwiska zapomniałem. A nie był to paryżanin taki jak ja, ale prawdziwy paryżanin z Paryża, arcyparyżanin z bożej łaski, przy tym najpoczciwszy człowiek w świecie. Kochał swoje rodzinne miasto tak, iż nigdy nie pozwolił sobie wątpić, że ja zeń pochodzę, z obawy utracenia sposobności do rozmowy o nim. Pan de Crouzas, zastępca gubernatora, miał ogrodnika również z Paryża, ale ten był mniej wyrozumiały i uważał za zniewagę dla chwały swego miasta, gdy ktoś ważył się podawać za jego mieszkańca, nie mając tego zaszczytu. Zadawał mi pytania z miną człowieka pewnego, iż mnie na czymś wyłapie, a potem uśmiechał się złośliwie. Zapytał mnie raz, co znajduje się godnego uwagi na Nowym Targu. Zrejterowałem naturalnie, jak można sobie wyobrazić. Przeżywszy dwadzieścia lat w Paryżu, teraz muszę chyba znać to miasto; mimo to, gdyby mi kto dziś zadał podobne pytanie, odpowiedź na nie byłaby mi równie kłopotliwa; z tego zakłopotania mógłby ktoś tak samo wnosić, że nigdy nie byłem w Paryżu. Do tego stopnia, nawet kiedy człowiek spotka się z prawdą, z łatwością buduje sądy na złudnych podstawach.

Nie umiałbym ściśle powiedzieć, jak długo zostałem w Lozannie. Nie mam z tego miasta żadnych ważnych wspomnień. Wiem tylko, że nie mając z czego żyć, udałem się do Neufchâtel, gdzie spędziłem zimę. W tym mieście powiodło mi się lepiej; znalazłem uczniów i zapracowałem tyle, że mogłem się uiścić z długu memu zacnemu przyjacielowi, panu Perrotet, który wiernie odesłał mi tobołek, mimo iż winien mu byłem sporo.

Nieznacznie, nauczając muzyki, sam się jej poduczyłem. Życie płynęło mi dość przyjemnie; rozsądny człowiek byłby się nim zadowolił; ale moje niespokojne serce domagało się czego innego. W niedzielę i w dnie, w które byłem wolny, wałęsałem się po wsiach i okolicznych lasach, wciąż błądząc, marząc, wzdychając; a kiedy raz wydostałem się z miasta, nie wracałem aż wieczór. Jednego dnia, w Bondry, wstąpiłem na obiad do jakiejś karczemki. Ujrzałem tam mężczyznę z wielką brodą, w fioletowej szacie greckiego kroju, w fantazyjnej czapce, ze stroju i z miny wyglądającego dość godnie. Przybysz ów zaledwie mógł się porozumieć, mówił bowiem szwargotem prawie niepodobnym do schwycenia uchem, ale bardziej zbliżonym do włoskiego niż do jakiegokolwiek innego języka. Rozumiałem prawie wszystko, ale tylko ja jeden; z gospodarzem i miejscowymi ludźmi porozumiewał się jedynie na migi. Rzekłem po włosku kilka słów, które zrozumiał doskonale; wstał i zbliżył się do mnie, by mnie uściskać z zapałem. Wkrótce przypieczętowaliśmy znajomość i od tej chwili służyłem mu za tłumacza. Obiad, przy którym siedział, był smaczny i obfity; mój — więcej niż skromny. Zaprosił mnie, czego nie dałem sobie dwa razy powtarzać. Pijąc i gwarząc, zbliżyliśmy się jeszcze bardziej; pod koniec obiadu byliśmy już nierozłączni. Opowiedział mi, że jest prałatem greckim i jerozolimskim archimandrytą[247] i że podjął się zbierać po Europie składkę na odrestaurowanie Grobu Zbawiciela. Pokazał mi patenty[248] carycy i cesarza; miał je także i od innych panujących. Był dość rad z tego, co zebrał dotąd, ale wedle tego, co mówił, spotkał się z nadzwyczajnymi trudnościami w Niemczech, nie rozumiejąc ani słowa po niemiecku, po francusku

[246]*tam (…) umieścić bohaterów mego romansu* — *Nowa Heloiza* [pierwsze wydanie tego romansu (1761) nosiło tytuł: *Listy dwojga kochanków, mieszkańców małego miasteczka u stóp Alp*; red. WL]. [przypis tłumacza]

[247]*archimandryta* — przełożony klasztoru prawosławnego. [przypis edytorski]

[248]*patent* — tu daw.: dokument poświadczający upoważnienie do pewnych czynności, z łac. *panens, patentis*: otwarty, jawny. [przypis edytorski]

i po łacinie, skazany na język turecki, grecki i *lingua franca*[249] za cały ratunek; co wszystko nie na wiele mu się zdało w tym kraju. Zaproponował mi, bym mu towarzyszył jako sekretarz i tłumacz. Mimo świeżo nabytego fioletowego ubranka, które dość harmonizowało z mą nową pozycją, wyglądałem tak niepokaźnie, iż liczył snadź, że bez trudności przyjdzie mu mnie pozyskać, w czym zresztą się nie omylił. Łatwo dobiliśmy targu: ja nie żądałem nic, on przyrzekał wiele. Bez poręki, bez rękojmi, bez znajomości, oddałem się w jego ręce i oto z dnia na dzień puszczam się na wędrówkę do Jerozolimy.

Zaczęliśmy kwestę od kantonu fryburskiego, gdzie mój prałat utargował niezbyt wiele. Godność biskupa nie pozwalała puszczać się na żebraninę i kwestować u osób prywatnych; ale przedłożyliśmy pełnomocnictwa senatowi, który ofiarował niedużą sumkę. Stamtąd udaliśmy się do Berna. Stanęliśmy w oberży „Pod Sokołem", wówczas dobrej gospodzie, gdy schodziło się lepsze towarzystwo. Stół był liczny i dobrze zaopatrzony. Od dawna już z jadłem moim było nader krucho, bardzo trzeba mi było skrzepić się pod tym względem; nadarzyła się sposobność, korzystałem z niej. Jego wielebność archimandryta był to człek dość światowy, lubiący swobodną pogawędkę przy stole, wesoły, dowcipny (dla tych, którzy go rozumieli), nie bez wykształcenia i wcale przyjemnie zaprawiający rozmowę swą grecką erudycją. Jednego dnia, rozłupując przy wetach[250] orzechy, zaciął się w palec; krew popłynęła obficie, on zaś pokazał palec kompanii i rzekł ze śmiechem: *Mirate, signori, questo e sangue Pelasgo*[251].

W Bernie usługi moje nie były mu wcale zbyteczne i wywiązałem się z nich nie tak źle, jak się obawiałem. Czułem się o wiele śmielszy i wymowniejszy, niżbym nim umiał być dla samego siebie. Sprawa nie odbyła się tak gładko jak we Fryburgu; trzeba było długich i częstych konferencji z naczelnikami rządu, a sprawdzanie tytułu archimandryty też nie dało się ubić w jednym dniu. W końcu, znalazłszy wszystko w porządku, dopuszczono prałata do audiencji w senacie. Wszedłem z nim jako tłumacz; polecono mi mówić. Była to ostatnia rzecz, której się spodziewałem. Nie przyszło mi na myśl, iż po tak długich naradach z poszczególnymi członkami trzeba będzie zwracać się znowu do „ciała", tak jakby nic nie było powiedziane. Można sobie wyobrazić moje zakłopotanie! Dla człowieka tak nieśmiałego przemawiać nie tylko publicznie, ale wobec senatu miasta Berna, i to z miejsca, nie mając ani minuty na przygotowanie — to chyba dość, by mnie unicestwić. Tymczasem nawet się nie zmieszałem. Wyłożyłem treściwie i jasno uprawę archimandryty. Pochwaliłem pobożność monarchów, którzy przyczynili się do składki. Pobudzając ich ekscelencje do szlachetnej emulacji[252], rzekłem, iż zwykła ich wspaniałomyślność pozwala i w nich nie mniejsze pokładać nadzieje; następnie wywiódłszy, iż to szlachetne dzieło równie drogim być winno wszystkim chrześcijanom bez różnicy obrządku, zakończyłem obietnicą błogosławieństwa niebios tym, którzy zechcą dać swój grosik. Nie powiem, aby mój wywód wywarł silne wrażenie, ale zrobił swoje i z końcem audiencji archimandryta otrzymał dość pokaźny prezencik, a zarazem sporo komplementów dla talentów jego sekretarza, komplementów, których miałem przyjemność być tłumaczem, nie śmiejąc ich wszakże przytoczyć w dosłownym brzmieniu. Oto jedyny raz w życiu przemawiałem publicznie i przed najwyższą władzą i jedyny raz może mówiłem dobrze i śmiało. Co za różnice w charakterze jednego i tego samego człowieka! Przed trzema laty, wybrawszy się do Yverdun, do mego starego przyjaciela Roguin, musiałem przyjąć deputację[253], która przybyła podziękować za parę książek ofiarowanych bibliotece tego miasta. Szwajcarzy są wielcy oratorzy, toteż panowie ci wypalili do mnie oracją. Czułem się w obowiązku odpowiedzieć; ale poplątałem się tak i w głowie mi się tak zmąciło, że utknąłem w połowie i naraziłem się tylko na drwiny. Mimo iż lękliwy z natury, bywałem niekiedy śmiały w młodości, nigdy w późniejszym wieku. Im dłużej żyłem na świecie, tym trudniej mi było dostroić się do jego tonu.

---

[249] *lingua franca* (wł.: język Franków) — uproszczony gramatycznie język używany od średniowiecza w basenie M. Śródziemnego w kontaktach handlowych i dyplomatycznych między Arabami a Europejczykami, będący mieszanką francuskiego, włoskiego, greckiego, hiszpańskiego i arabskiego. [przypis edytorski]

[250] *wety* (daw.) — deser. [przypis edytorski]

[251] *Mirate, signori, questo e sangue Pelasgo* (wł.) — patrzcie, panowie, oto krew Pelazgów. *Pelazgowie*: lud zamieszkujący Grecję i wyspy na Morzu Egejskim przed przybyciem Greków. [przypis edytorski]

[252] *emulacja* (daw., z łac.) — rywalizacja. [przypis edytorski]

[253] *deputacja* (z łac.) — przedstawicielstwo, poselstwo. [przypis edytorski]

Opuściwszy Berno, udaliśmy się do Solury; zamiarem archimandryty było skierować się znów ku Niemcom i wrócić przez Węgry i Polskę, co stanowiło olbrzymią drogę; ale ponieważ w drodze sakwy raczej pęczniały niż się wypróżniały, nie obawiał się zbytnio tego okrążenia. Co do mnie, który podróż konną lubiłem tak samo jak pieszą, nie miałbym nic przeciw temu, aby podróżować tym kształtem całe życie. Ale było pisane, że nie zawędruję tak daleko.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniliśmy przybywszy do Solury, było pokłonić się ambasadorowi francuskiemu. Nieszczęściem dla biskupa, stanowisko ambasadora zajmował margrabia de Bonac, który był w swoim czasie ambasadorem u Porty[254] i który tym samym musiał być dobrze poinformowany o wszystkim, co tyczyło Świętego Grobu. Archimandryta otrzymał audiencję trwającą blisko kwadrans, ponieważ ambasador rozumiał *lingua franca*, a po włosku mówił co najmniej równie dobrze jak ja. Skoro Grek wyszedł, chciałem iść za nim; zatrzymano mnie i wzięto z kolei na spytki. Ponieważ podałem się za paryżanina, podpadałem jako taki pod jurysdykcję jego ekscelencji. Zapytał, kto jestem, upominając, bym mówił prawdę; co też przyrzekłem, prosząc o osobną audiencję, której mi udzielono. Ambasador zabrał mnie do oddzielnego gabinetu i zamknął drzwi; tam, rzuciwszy mu się do nóg, dotrzymałem słowa. Toż samo byłbym uczynił bez żadnego przyrzeczenia, potrzeba bowiem zwierzania się i wynurzeń należy do właściwości mego charakteru. Skoro mogłem się bez zastrzeżeń wyspowiadać owemu muzykantowi Lutoldowi, nie miałem przyczyny bawić się w sekrety z margrabią de Bonac. Był tak rozbawiony moją historią i mym naiwnym wylaniem[255], że wziął mnie za rękę, zaprowadził do ambasadorowej i przedstawił mnie jej, powtarzając w skróceniu me dzieje. Pani de Bonac przyjęła mnie z dobrocią i rzekła, że nie trzeba mi pozwolić iść z tym mnichem greckim. Postanowiono, że zostanę na razie w pałacu, a później pokaże się, co ze mną począć. Chciałem pożegnać się z biednym archimandrytą, do którego przywiązałem się po trosze — nie pozwolono mi. Posłano doń z wiadomością, że mnie zatrzymano; w kwadrans potem otrzymałem moje zawiniątko. Panu de la Martinière, sekretarzowi ambasady, polecono zaopiekować się mną na razie. Prowadząc mnie do przeznaczonego pokoju, rzekł: „Ten pokój zajmował, za hrabiego de Luc, sławny człowiek tego samego nazwiska co ty. Od ciebie jedynie zależy wstąpić w jego ślady i sprawić, by kiedyś mówiono: »Rousseau pierwszy[256], Rousseau drugi«". Ta wróżba, której ziszczenia nie spodziewałem się wówczas wcale, byłaby mniej lubo pogłaskała me pragnienia, gdybym mógł przewidzieć, jak drogo przyjdzie mi kiedyś okupić jej spełnienie.

Odezwanie się pana de la Martinière obudziło we mnie ciekawość. Przeczytałem dzieła tego, którego pokój zajmowałem i podniecony tym komplementem, mniemając, iż mam zamiłowanie do poezji, skomponowałem jako pierwszą próbę kantatę na cześć pani de Bonac. Ta skłonność okazała się bez głębszych podstaw. Składałem od czasu do czasu dość mierne wiersze. Jest to niezłe ćwiczenie, aby się zaprawić w wykwintnej składni i nauczyć się lepiej pisać prozą, ale nigdy poezja francuska nie przedstawiała dla mnie dość uroku, abym się jej zapragnął poświęcić całkowicie.

Pan de la Martiniere chciał poznać mój styl i zażądał na piśmie mojej szczegółowej historii, tak jak ją opowiedziałem ambasadorowi. Wypisałem długi list, przechowany, jak się dowiaduję, dotąd u pana de Marianne, który długi czas przebywał przy margrabi de Bonac i był później następcą de la Martinière za ambasady pana de Courteilles. Prosiłem pana de Malesherbes, aby się postarał dla mnie o kopię tego listu. Jeśli ją zdołam wydostać przez niego albo przez kogo innego, znajdzie się w małym archiwum, które ma być dołączone do tych *Wyznań*.

Doświadczenie, którego zaczynałem nabierać, łagodziło po trosze moje romantyczne projekty. Tak na przykład nie tylko nie zakochałem się w pani de Bonac, ale zrozumiałem od razu, iż nie mogę dojść do niczego w domu jej męża. Wobec tego, że miejsce było zajęte przez pana de la Martinière, który miał już następcę w osobie pana de Marianne, jedynym losem, który mógł mnie oczekiwać, byłoby stanowisko jakiegoś podsekretarza,

[254] *Porta Ottomańska* a. *Wysoka Porta* (hist.) — rząd, dwór lub ogólnie państwo tureckie za panowania sułtanów; określenie stosowane szczególnie w kontekście dyplomatycznym. [przypis edytorski]

[255] *wylanie* (przestarz.) — wylewność, żywiołowa szczerość, serdeczność. [przypis edytorski]

[256] *Rousseau pierwszy* — był to Jean-Baptiste Rousseau (1670–1741), francuski dramaturg i poeta; przypisywano mu oszczercze wiersze, z powodu których został w 1712 dożywotnio wygnany z Francji. [przypis edytorski]

co nie kusiło mnie zbytnio. To było powodem, iż kiedy mnie spytano, co pragnę począć z sobą, objawiłem wielką ochotę dostania się do Paryża. Ambasadorowi spodobał się ten pomysł, który miał bodaj tę zaletę, iż uwalniał go ode mnie. Pan de Merveilleux, tłumacz ambasady, powiedział, że jego przyjaciel Godard, pułkownik Szwajcarów w służbie Francji, szuka kogoś, kogo by mógł umieścić przy swoim siostrzeńcu, młodo rozpoczynającym karierę wojskową: pomyślał tedy, iż mógłbym się nadać. W myśl tego postanowienia, powziętego dość lekko, uchwalono mój wyjazd. Co do mnie, który widziałem w tym perspektywę podróży z Paryżem u kresu, puściłem się w drogę z radością. Dano mi parę listów, sto franków wraz z wieloma zbawiennymi naukami i ruszyłem.

Podróż ta zajęła mi dwa tygodnie, które mogę zaliczyć do najszczęśliwszych w życiu. Byłem młody, czułem się zdrów, miałem dość pieniędzy, dużo nadziei, podróżowałem pieszo i sam. Mógłby się czytelnik zdziwić, słysząc, że wymieniam to ostatnie jako dodatnią okoliczność, gdyby nie to, że musiał się już chyba zapoznać z mym usposobieniem. Słodkie chimery dotrzymywały mi towarzystwa, a nigdy w mej rozpłomienionej wyobraźni nie lęgły się one wspanialej! Kiedy mi ktoś ofiarował miejsce w wehikule albo przyczepił się do mnie w drodze, sarkałem, widząc, jak rozsypują się fantastyczne zamki, które budowałem sobie, wędrując samotnie. Tym razem myśli moje miały charakter marsowy[257]. Miałem objąć stanowisko przy osobie wojskowej i sam wstąpić do wojska; ułożono bowiem, że na początek mam zostać kadetem. Już się widziałem w oficerskim mundurze z białym pióropuszem. Serce rosło we mnie pod wpływem tego szlachetnego obrazu. Miałem trochę pojęcia o geometrii i o sztuce fortyfikacyjnej; miałem wuja inżynierem — byłem tedy poniekąd dzieckiem obozu. Krótki wzrok sprawiał niejakie trudności, ale to mnie nie kłopotało; liczyłem, iż zimna krew i nieustraszona odwaga zrównoważą tę drobną ułomność. Czytałem gdzieś, że marszałek Schomberg[258] miał wzrok bardzo krótki; czemuż marszałek Rousseau nie mógłby mieć tego braku? Tak rozpalałem się tymi szaleństwami, że widziałem same wojska, szańce, okopy, baterie i siebie w ogniu i dymie, z lunetą w dłoni, wydającego spokojnie rozkazy. Mimo to, kiedy przechodziłem przez urocze wioski, kiedy widziałem strumienie i gaiki, ten wzruszający widok wyrywał mi westchnienie żalu; czułem, w pełni chwały, że serce me nie jest stworzone do bitewnego zgiełku; w jednej chwili, sam nie wiedząc jak, znów znajdowałem się na łonie mej pasterskiej sielanki, wyrzekając się na zawsze czynów Marsa[259].

Jakże doszczętnie pierwszy widok Paryża obalił wszystko, co o nim roiłem! Wspaniałości, które podziwiałem w Turynie, piękność ulic, symetria i uszeregowanie domów kazały mi się spodziewać po Paryżu czegoś o wiele wspanialszego jeszcze. Wyobrażałem sobie miasto równie piękne jak duże, o imponującym kształcie, gdzie spotyka się jeno pyszne ulice, pałace z marmuru i złota. Wchodząc przez przedmieście Saint-Marceau, ujrzałem, przeciwnie, brudne i cuchnące uliczki, brzydkie i czarne domy, niechlujstwo, ubóstwo, żebraków, przekupniów, cerowaczki pończoch, handlarki limonady[260] i starych kapeluszy. Wszystko to uderzyło najpierw moje oczy, a wrażenie było tak silne, że wszystkie prawdziwe wspaniałości, które później widziałem w Paryżu, nie mogły zatrzeć tego wrażenia i na zawsze został mi pewien tajemny wstręt do mieszkania w tej stolicy. Mogę powiedzieć, że cały czas, który spędziłem później w Paryżu, obracałem jedynie na zdobycie środków, które by mi pozwoliły żyć z dala od niego. Taki jest owoc zbyt żywej wyobraźni, która przesadza jeszcze wszelką ludzką przesadę i widzi zawsze więcej, niż ktoś jej powiada. Tak mi wysławiano Paryż, że wyobraziłem go sobie niby dawny Babilon, który, gdybym go mógł widzieć, tak samo by mnie może zawiódł w stosunku do pojęć, jakie sobie o nim wytworzyłem. Toż samo zdarzyło mi się w Operze, gdzie pośpieszyłem zaraz na drugi dzień po przybyciu; toż samo później w Wersalu; toż samo za pierwszym widokiem morza; i zdarzy mi się zawsze, ilekroć przyjdzie mi oglądać rzeczy zbyt *zapowiadane*; niepodobna bowiem ludziom, a trudno nawet samej naturze, przewyższyć co do bogactwa mą wyobraźnię.

---

[257] *marsowy* (daw.) — związany z wojną, z rzemiosłem wojennym. [przypis edytorski]

[258] *Schomberg, Friedrich Hermann* (1615–1690) — marszałek Francji, generał armii portugalskiej i brytyjskiej. [przypis edytorski]

[259] *Mars* (mit. rzym.) — bóg wojny. [przypis edytorski]

[260] *limonada* (daw.) — lemoniada. [przypis edytorski]

Wnosząc ze sposobu, w jaki mnie przyjęto u wszystkich osób, do których miałem listy, sądziłem, iż los mój jest zapewniony. Człowiekiem, któremu najgoręcej mnie polecono, a który najmniej okazał mi przychylności, był pan de Surbeck, wycofany ze służby i pędzący filozoficzny żywot w Bagneux. Odwiedziłem go tam kilkakrotnie, przy czym nie poczęstował mnie nigdy ani szklanką wody. Lepszego doznałem przyjęcia u pani de Merveilleux, bratowej tłumacza, i u jego bratanka, oficera gwardii. Nie tylko matka i syn przyjęli mnie życzliwie, ale zaprosili mnie do swego stołu, z którego nieraz korzystałem w ciągu pobytu w Paryżu. Pani de Merveilleux musiała być niegdyś piękna; miała bujne czarne włosy, zakręcone, starą modą, w różyczki na skroniach. Zostało jej to, co nie przemija z urodą: żywy i bystry umysł. Zdawała się nawzajem smakować w moim i zrobiła, co mogła, aby mi dopomóc; ale nikt jej nie poparł i niebawem rozczarowałem się zupełnie co do zainteresowania, które mi zrazu okazywano. Ale trzeba oddać sprawiedliwość Francuzom: nie silą się oni tak bardzo, jak o nich powiadają, na oświadczenia i obietnice, a jeśli je czynią, to prawie zawsze szczerze; ale mają ów żywy sposób okazywania swego zajęcia, który bardziej łudzi niż słowa. Ciężkie komplementy Szwajcarów mogą zwieść jedynie głupca. Przyjęcie Francuzów jest przez to samo bardziej pociągające, że jest nader proste. Myślelibyście, że oni nie mówią wszystkiego, co chcą dla was uczynić, aby wam sprawić tym milszą niespodziankę. Powiem więcej, nie są wcale fałszywi w swych wylaniach; są z natury uczynni, ludzcy, życzliwi i nawet, mimo wszystko, co o nich mówią, szczersi od innych; ale są lekcy i zmienni. Wierzą w uczucia, które okazują, ale uczucia te odchodzą równie łatwo jak przyszły. Mówiąc z wami, pełni są was niejako — zejdźcie im z oczu, zapomną natychmiast. Nic trwałego w ich sercu, wszystko jest dziełem chwili.

Doznałem tedy mnóstwa grzeczności, a mało pomocy. Pułkownik Godard, którego bratankowi mnie przydano, okazał się paskudnym starym skąpcem, który mimo iż nadziany złotem, widząc mnie w ciężkim położeniu, chciał mnie kupić za nic. Pragnął uczynić ze mnie przy swoim siostrzeńcu coś w rodzaju służącego, i to bez zasług! Nieustannie przywiązany do jego osoby, a tym samym wolny od czynnej służby, musiałbym żyć jedynie z nędznej płacy kadeta, to znaczy żołnierza. Ledwie zgodził się sprawić mi mundur; chciał, bym się zadowolił pułkowym. Pani de Merveilleux, oburzona tymi warunkami, sama odradziła mi przyjęcie, syn jej również podzielał to zdanie. Szukano mi czegoś innego; nic nie można było znaleźć. Tymczasem zaczęło być koło mnie kuso. Sto franków, z których już opędziłem podróż, nie mogły mnie zaprowadzić daleko. Szczęściem otrzymałem od ambasadora jeszcze małą przesyłkę, która mnie bardzo wspomogła. Sądzę, że i nadal nie byłby mnie opuścił, gdybym miał więcej cierpliwości; ale czekać, znosić, prosić to były dla mnie rzeczy niemożliwe. Zraziłem się, przestałem się pokazywać i wszystko się urwało. Nie zapomniałem mej drogiej mamusi. Ale jak ją znaleźć? Gdzie szukać? Pani de Merveilleux, która znała moje dzieje, pomagała mi w poszukiwaniach; długo bez skutku. Wreszcie, powiadomiła mnie, iż pani de Warens opuściła miasto przed dwoma z górą miesiącami, ale nie wiadomo, czy się udała do Sabaudii czy do Turynu; wiele osób twierdziło, iż wróciła do Szwajcarii. Nie trzeba było więcej, bym się puścił w jej ślady, w tej nadziei, iż gdziekolwiek bawi, łatwiej mi ją będzie odnaleźć na prowincji niż w Paryżu.

Nim opuściłem miasto, dałem upust świeżo obudzonej wenie poetyckiej w epistole do pułkownika Godard, w której osmarowałem go jak umiałem. Pokazałem te bazgroty pani de Merveilleux, która, miast je osądzić, jak należało, uśmiała się serdecznie z mych sarkazmów; toż samo syn, który jak mniemam, nie lubił pana Godard — trzeba przyznać, że nie był przyjemny. Ogarnęła mnie pokusa, by mu posłać owe wiersze; oboje podsycali mnie w tej myśli. Zwinąłem je w pakiecik, zaadresowałem, a że wówczas nie było jeszcze w Paryżu miejskiej poczty, włożyłem do kieszeni i wysłałem po drodze z Auxerre. Śmieję się jeszcze czasem, gdy sobie wyobrażę, jaką minę musiał robić, czytając ten panegiryk, gdzie był odmalowany do najdrobniejszego rysu. Zaczynał się tak:

Więceś[261] ty, stary kutwo[262], myślał, że się skuszę,
By twojego bratanka torturować duszę?

[261] *Więceś ty (…) myślał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; znaczenie: więc ty myślałeś. [przypis edytorski]

[262] *kutwa* — skąpiec. [przypis edytorski]

Ten drobny utwór, licho napisany, ale nie pozbawiony soli i zdradzający pewien talent do satyry, był wszelako jedynym pismem satyrycznym, które wyszło spod mego pióra. Posiadam serce zbyt obce nienawiści, aby robić użytek z podobnego talentu; ale, o ile mi się zdaje, z niektórych utworów polemicznych, które zmuszony byłem pisać od czasu do czasu w swej obronie, można wnosić, że, gdybym był bardziej wojowniczej natury, wrogowie moi rzadko mieliby śmieszków po swojej stronie.

Ze wszystkich szczegółów zagubionych w mej pamięci rzeczą, której żałuję najbardziej, jest to, że nie prowadziłem dziennika podróży. Nigdy tyle nie myślałem, nie czułem, nie żyłem, nie byłem tak sobą, jeśli można się tak wyrazić, jak w czasie tych wędrówek, które odbywałem sam i pieszo. Chodzenie ma w sobie coś, co pobudza i ożywia mą myśl; nie jestem prawie zdolny myśleć, kiedy siedzę w miejscu; trzeba, by ciało było w ruchu, aby pobudzić mój umysł. Widok wsi, urocze krajobrazy, świeże powietrze, dobry apetyt, zdrowie, które wdycham w siebie w takiej pieszej wędrówce, swobodne popasy, oddalenie od wszystkiego, co daje mi uczuć zależność, co mi przywodzi na pamięć moje położenie — wszystko to wyzwala mą duszę, daje większą śmiałość myśli, rzuca mnie niejako w nieskończoność bytów, aby je kombinować, wybierać, brać w siebie wedle woli, bez troski i obawy. Rozrządzam wówczas jak władca całą przyrodą. Serce, błądząc z przedmiotu na przedmiot, łączy się, zespala z tymi, które są mu miłe, otacza się czarownymi obrazami, upaja rozkoszą czucia. Jeżeli dla utrwalenia ich przyjdzie mi ochota zabawić się notowaniem ich w duszy, jakąż daję im siłę pędzla, jakąż świeżość kolorytu, energię wyrazu! Wszystko to, powiadają, przejawia się w mych dziełach, jakkolwiek pisanych na schyłku lat. Ach, gdyby kto mógł znać dzieła pierwszej młodości, te, które były poczęte w czasie mych podróży, te, które tworzyłem, a których nie spisałem nigdy!... Czemuż, powiecie, było nie pisać ich? A po co? odpowiem. Po co ujmować sobie uroku doraźnej rozkoszy, by opowiedzieć drugim, że jej doznałem? Co mnie obchodzili czytelnicy, publiczność, ziemia cała, gdy duszą szybowałem w niebie? Zresztą, czyż miałem z sobą papier, pióra? Gdybym myślał o tym wszystkim, nic by mi nie przyszło do głowy. Nie przewidywałem z góry, że będę miał natchnienie; spływa, kiedy jemu się podoba, a nie kiedy ja bym pragnął. Myśli albo nie przychodzą wcale, albo przychodzą tłumnie, przygniatają mnie mnogością i siłą. Dziesięć tomów na dzień nie byłoby mi starczyło. Skąd wziąć czas do napisania ich? Przybywając na popas, myślałem jedynie o tym, by się krzepić dobrym obiadem. Ruszając w drogę — tylko o tym, aby dobrze maszerować. Czułem, że nowe raje czekają mnie u bramy. Myślałem tylko o tym, aby się do nich dostać.

Nigdy nie czułem tego tak, jak w owej powrotnej drodze. Wędrując do Paryża, ograniczałem się w myśli do mych przyszłych planów. Rzuciłem się w karierę, której miałem się poświęcić i przebiegłem ją dość chlubnie; ale kariera owa nie była tą, do której serce mnie ciągnęło; rzeczywistość zawadzała wyobraźni. Pułkownik Godard i jego bratanek zbyt mało nadawali się do kompanii takiego jak ja bohatera. Dzięki niebu, byłem teraz wolny od wszystkich przeszkód, mogłem zanurzyć się do syta w krainę chimer, bo jedynie to zostało przede mną. Toteż zagłębiłem się w niej tak skutecznie, iż niejednokrotnie dosłownie zgubiłem się w drodze. Byłbym zresztą bardzo nierad trzymał się jej zbyt ściśle, czując bowiem, że w Lyonie będę musiał znaleźć się na ziemi, byłbym wolał tam nigdy nie dotrzeć.

Jednego dnia, między innymi, zboczywszy umyślnie z drogi, aby obejrzeć z bliska jakąś okolicę, która wydała mi się cudowna, upodobałem sobie w niej tak bardzo i tak długo krążyłem po niej w rozmaitych kierunkach, aż zabłądziłem na dobre. Po kilku godzinach daremnej wędrówki, zmęczony i konający z głodu i pragnienia, wszedłem do domku jakiegoś wieśniaka. Chałupa nie przedstawiała się zbyt okazale, ale była to jedyna, jaką widziałem w okolicy. Mniemałem, że jest tu tak jak w Genewie albo Szwajcarii[263], gdzie wszyscy mieszkańcy mają się nieźle i w danym razie nie są w zbytnim kłopocie, gdy trzeba ugościć przybysza. Poprosiłem go, aby za wynagrodzeniem przyrządził mi jakiś obiad. Ofiarował kubek kwaśnego mleka i kromkę jęczmiennego chleba, powiadając, że to wszystko, co posiada. Wypiłem mleko z rozkoszą i zjadłem chleb ze słomą, z otrębami, ze wszystkim; ale nie było to zbyt świetne pokrzepienie dla człowieka upadającego ze

[263] *w Genewie albo Szwajcarii* — Genewa była niezależnym miastem, dołączyła do Konfederacji Szwajcarskiej dopiero po wojnach napoleońskich, w roku 1815. [przypis edytorski]

znużenia. Chłopek, który mi się przyglądał tymczasem, ocenił szczerość mych intencji ze szczerego apetytu. Oświadczywszy tedy, iż widzi[264], że jestem porządny chłopak, który nie ma zamiaru go podejść, otworzył skrytkę przy kuchni, spuścił się do niej i wrócił za chwilę z pięknym bochenkiem pszennego chleba, z nader apetyczną szynką i z buteleczką wina, której fizjonomia, bardziej niż wszystko inne, rozweseliła mi serce; do tego dołączył się omlecik uczciwej konsystencji. Słowem, obiad, jakiego nikt, kto nie podróżował pieszo, nie zaznał w życiu. Kiedy przyszło do płacenia, na nowo chwyta go obawa i niepokój; nie chce przyjąć pieniędzy, odpycha je z pomieszaniem. A najzabawniejsze było, że zupełnie nie mogłem się domyślić, czego on się tak obawia. Wreszcie, wymówił ze drżeniem miano komisarzy i poborców. Dał mi do zrozumienia, że z obawy przed ich drapieżnością ukrywa tak starannie swój dobytek i że byłby zgubiony, gdyby ktoś mógł podejrzewać, że nie umiera z głodu! To, co mi powiedział w tym przedmiocie, a o czym nie miałem najmniejszego pojęcia, zrobiło na mnie wrażenie, które nigdy się nie zatrze. To był zarodek nieugaszonej nienawiści, jaka rozwinęła się później w mym sercu przeciw męczarniom nieszczęśliwego ludu i przeciw jego ciemiężcom. Ten człowiek, mimo iż wcale dostatni, nie śmiał jeść chleba, który zdobył w pocie czoła! Ratował się od ruiny, przybierając niejako pozór nędzy, która panowała wkoło niego. Opuściłem chatę oburzony i rozczulony zarazem, bolejąc nad losem pięknego kraju, który natura obsypała darami jedynie po to, by się stały łupem barbarzyńskich publikanów[265].

Oto jedyne wyraźne wspomnienie z tego, co mi się zdarzyło w drodze. Przypominam sobie jeszcze tylko to, iż zbliżając się do Lyonu, skusiłem się przedłużyć drogę dla odwiedzenia brzegów Lignon; między romansami bowiem, które pochłaniałem z ojcem, nie brakło i *Astrei*[266] i ona to najczęściej wracała mi na pamięć. Spytałem o drogę do Forez. Gospodyni, wdawszy się w gawędę, powiedziała, że jest to okolica, gdzie bardzo radzi widzą robotników, obfitująca w kuźnie i słynna z pięknych wyrobów żelaznych. Ta pochwała zgasiła w jednej chwili mą romantyczną ciekawość; nie wydało mi się właściwym iść na poszukiwanie Dian i Sylwandrów wśród kowali. Dobra kobiecina, która zachęcała mnie w ten sposób, wzięła mnie z pewnością za czeladnika ślusarskiego.

Nie szedłem do Lyonu zupełnie bez celu. Przybywszy do miasta, wybrałem się najpierw do Chasottes w odwiedziny do panny du Châtelet, przyjaciółki pani de Warens, do której mamusia dała mi nawet list, kiedy puściłem się do Lyonu z mistrzem; była to już tedy stara znajomość. Panna du Châtelet powiedziała mi, że w istocie przyjaciółka jej przejeżdżała przez Lyon, ale nie wiadomo, czy dotarła do Piemontu: wyjeżdżając nawet, sama nie była pewna, czy nie zatrzyma się w Sabaudii. Zaproponowała mi, że jeżeli chcę, może napisać do niej o wiadomości; najlepiej zaś będzie, jeśli zaczekam w Lyonie. Przyjąłem propozycję, ale nie śmiałem wyznać pannie du Châtelet, że pilno mi mieć odpowiedź i że stan mej sakiewki nie pozwala na zbyt długie czekanie. Nie wstrzymała mnie od tego obawa złego przyjęcia; przeciwnie, panna du Châtelet okazała mi wiele serdeczności, traktując mnie na stopie zupełnej równości. To właśnie odebrało mi odwagę, lękałem się z roli miłego znajomego spaść do roli nieszczęśliwego żebraka.

Zdaje mi się, że czytam dość jasno w porządku wydarzeń zanotowanych w tej księdze. Wszelako, jeśli się nie mylę, przypominam sobie w tej samej epoce inną podróż do Lyonu, której czasu nie mogę oznaczyć i w ciągu której było koło mnie bardzo kuso. Mała przygoda, dość trudna do opowiedzenia, utrwaliła mi w pamięci ten pobyt. Jednego dnia siedziałem na ławce na Bellecour po bardzo chudej kolacyjce, kiedy człowiek jakiś w czapce siadł koło mnie. Z miny wyglądał na jednego z owych robotników zatrudnionych w przemyśle jedwabnym, których w Lyonie nazywają tafciarzami. Odzywa się do mnie, odpowiadam mu. Pogadaliśmy sobie z kwadrans, kiedy z tą samą zimną krwią i nie zmieniając tonu, człowiek ten proponuje, byśmy się zabawili wspólnie. Czekałem wytłumaczenia, co to ma być za zabawa; ale on, bez żadnych objaśnień, uważał za sto-

[264] *Oświadczywszy tedy, iż widzi, że jestem porządny chłopak* — widocznie nie miałem wówczas jeszcze fizjonomii, jaką mi dawano później w moich portretach. [przypis autorski]

[265] *publikaninie* (hist.) — w państwie rzymskim dzierżawcy dochodów państwowych w prowincjach, pobierający podatki i opłaty i przekazujący skarbowi państwa zakontraktowaną sumę; różnica pomiędzy zebranymi pieniędzmi a kwotą umówioną ze skarbem stanowiła dochód publikanów, toteż często narzekano na ich chciwość i wyzysk. [przypis edytorski]

[266] *Astrea* — obszerna powieść sielankowa Honoriusza d'Urfé, publikowana w częściach między 1607 a 1627, niezmiernie popularna w Europie; jej akcja rozgrywa się w V w. w lasach w okolicach Forez. [przypis edytorski]

sowne pouczyć mnie przykładem. Siedzieliśmy prawie ramię w ramię, a noc nie była dość ciemna, bym mógł nie widzieć, jakiego rodzaju zabawie się oddawał. Nie miał żadnych zamiarów na mą osobę, przynajmniej nic nie zdradzało tej intencji i miejsce nie było po temu; chciał jedynie, jak rzekł, „zabawić się" i żebym ja się zabawił, każdy sobie. To zdawało mu się tak proste, że nawet nie przypuszczał, bym ja mógł patrzeć inaczej na rzeczy. Przerażony tym bezwstydem, nie odpowiadając, zerwałem się i zacząłem uciekać, mając wciąż uczucie, że ten nieszczęśnik goni mnie. Byłem tak pomieszany, że miast skierować się do mej kwatery przez ulicę św. Dominika, pobiegłem wybrzeżem i zatrzymałem się aż za drewnianym mostem, drżąc tak, jak gdybym popełnił zbrodnię. Oddawałem się temu samemu nałogowi — wspomnienie to wyleczyło mnie na długo.

W czasie tej podróży miałem przygodę mniej więcej tego samego rodzaju, ale niebezpieczniejszą. Czując, iż gotowizna[267] zbliża się ku końcowi, oszczędzałem jak mogłem szczupłe resztki. Coraz rzadziej zachodziłem na posiłek do oberży, a w końcu przestałem tam jadać zupełnie, znalazłszy jakąś norę, w której za pięć czy sześć soldów mogłem nasycić się tak samo jak tam za dwadzieścia pięć. Nie jadając w domu, wahałem się, czy mogę tam iść spać; nie, iżbym był dużo winien, ale wstyd mi było zajmować pokój, nie dając nic utargować gospodyni. Pora była ładna. Jednego wieczora było tak ciepło, że postanowiłem spędzić noc na placu; ułożyłem się na ławce, kiedy jakiś przechodzący ksiądz, widząc mnie tak spoczywającego, zbliżył się i spytał, czy nie mam noclegu. Wyznałem mu mą sytuację, którą zdawał się wzruszony. Usiadł koło mnie, zaczęliśmy rozmawiać. Mówił przyjemnie; wszystko, co mówił, uprzedziło mnie jak najlepiej. Spostrzegłszy, iż pozyskał moje zaufanie, zwierzył mi się, iż nie posiada zbyt obszernego pomieszczenia, tylko jeden pokój, ale że z pewnością nie pozwoli mi tak spać pod gołym niebem, że zaś za późno jest szukać noclegu, na tę noc ofiaruje mi połowę łóżka. Przyjąłem, rojąc już sobie, że oto znalazłem przyjaciela, który może mi być użyteczny. Idziemy. Pokój szczupły, ale schludny; gospodarz bardzo uprzejmy. Wydobył ze szklanego słoja wiśnie na wódce; zjedliśmy po dwie i położyliśmy się spać.

Okazało się, iż ten człowiek miał takie same upodobania jak ów żyd w przytulisku, tylko że nie objawił ich równie brutalnie. Czy że, w obawie iż mogę narobić hałasu, lękał się mego oporu, czy w istocie mniej był gorącego temperamentu, dość że nie ośmielił się czynić otwartych propozycji, tylko starał się mnie wzruszyć łagodniejszymi środkami. Bardziej świadomy rzeczy niż pierwszym razem, zrozumiałem wkrótce jego chęci i zadrżałem. Nie wiedząc, ani w jakim domu, ani w czyich rękach się znajduję, lękałem się, iż w razie gwałtownego sprzeciwu, mogę to przypłacić życiem. Udawałem, że nie rozumiem, czego żąda; ale, okazując wielkie zniecierpliwienie jego pieszczotami i zdecydowany nie ścierpieć dalszego ciągu, opierałem się tak skutecznie, że musiał przestać. Wówczas zacząłem doń przemawiać z całą słodyczą i stanowczością, do jakiej byłem zdolny. Udając, że nic nie podejrzewam, niepokój mój wytłumaczyłem dawniejszą przygodą, którą odmalowałem mu umyślnie w wyrazach tak pełnych grozy i wstrętu, że w nim samym, sądzę, musiałem wywołać obrzydzenie. Wreszcie odstąpił zupełnie od brudnych zamiarów. Spędziliśmy spokojnie resztę nocy; powiedział mi nawet wiele rzeczy bardzo zacnych, bardzo rozsądnych; był to z pewnością człowiek nie bez zalet, mimo że wielki świntuch.

Rano księżyk, który nie chciał okazać swego zawodu, wspomniał o śniadaniu i poprosił córkę gospodyni, ładną dziewczynę, aby nam coś przyniosła. Odparła, że nie ma czasu. Zwrócił się do jej siostry — nie raczyła nawet odpowiedzieć. Czekaliśmy ciągle, śniadania ani śladu. Wreszcie przeszliśmy do pokoju panienek. Przywitały księżyka w sposób bardzo mało uprzejmy. Ja jeszcze mniej miałem powodu do zadowolenia z przyjęcia. Starsza, wykręcając się na pięcie, wbiła mi szpiczasty obcas w nogę, właśnie w miejsce, w którym bolesny odcisk zmusił mnie do przecięcia trzewika. Druga usunęła gwałtownie krzesło, na którym miałem właśnie usiąść. Matka, wylewając wodę oknem, skropiła mi po drodze facjatę. Gdziekolwiek się usadowiłem, spędzano mnie pod jakimś pozorem; w życiu nie byłem w podobnych opałach. Widziałem w ich zelżywych i drwiących spojrzeniach tajoną wściekłość, której przyczyny w głupocie swojej nie pojmowałem zgoła. Osłupiały, zdumiony, bliski mniemania, że te kobiety poszalały, zacząłem już lękać się na dobre,

[267] *gotowizna* (daw., pot.) — pieniądze w gotówce. [przypis edytorski]

kiedy ksiądz, który udawał, że tego wszystkiego nie widzi i nie słyszy, osądziwszy trafnie, iż nie ma już co spodziewać się śniadania, zdecydował się opuścić mieszkanie; pośpieszyłem za nim, rad że wymknąłem się tym trzem furiom. Po drodze zaproponował mi, by wstąpić na śniadanie do kawiarni. Mimo że bardzo głodny, nie przyjąłem ofiary, na którą zresztą i on nie nastawał. Na którejś ulicy rozstaliśmy się; ja zachwycony, iż tracę z oczu wszystko, co mi przypominało to przeklęte domostwo, on, jak sądzę, rad, iż odprowadził mnie dość daleko dla zmylenia śladu. Ponieważ ani w Paryżu, ani w żadnym innym mieście nie trafiło mi się nic podobnego do tych dwóch wydarzeń, zostało mi z nich mało pochlebne wrażenie o mieszkańcach Lyonu i zawsze uważałem to miasto za najbardziej ze wszystkich w Europie podległe ohydnemu zepsuciu.

Pamięć smutnych ostateczności, w które popadłem, również nie przyczynia się do uprzyjemnienia wspomnień tego pobytu. Gdybym umiał poczynać sobie tak jak drudzy, gdybym miał talent pożyczania i zadłużania się w oberży, z łatwością dałbym sobie radę; ale odznaczam się równą odrazą jak niezdatnością do tych rzeczy. Aby dać o tym pojęcie, wystarczy powiedzieć, iż mimo niedostatku, w którym spędziłem całe życie, nieraz wprost braku chleba, nie zdarzyło mi się ani razu, by wierzyciel, upomniawszy się o pieniądze, nie był natychmiast zaspokojony. Nigdy nie umiałem lawirować wśród niedoborów i wolałem cierpieć niż być dłużnym.

Z pewnością, że można chyba nazwać cierpieniem konieczność spędzenia nocy pod gołym niebem, a to mi się wiele razy trafiło w Lyonie. Tych parę groszy, które mi zostały, wolałem obrócić na chleb niż na nocleg; ostatecznie, mniej groźną była mi śmierć z niedospania niż z głodu. Co dziwne, to że w tym okrutnym stanie nie czułem się niespokojny ani smutny. Nie miałem najmniejszej troski o przyszłość. Odpowiedzi, którą miała otrzymać panna du Châtelet, czekałem, sypiając pod gołym niebem, ułożywszy się na ziemi lub na ławce, równie spokojnie jak na posłaniu z róż. Z rozkoszą po prostu przypominam sobie noc spędzoną za miastem, przy drodze ciągnącej się wzdłuż Rodanu czy Saony, nie pamiętam już bliżej. Terasowate ogrody schodziły łagodnie ku drodze. Było bardzo gorąco tego dnia. Wieczór był uroczy. Rosa zwilżyła przywiędłą trawę; ani śladu wiatru, noc spokojna; powietrze świeże, a nie chłodne; słońce, schowane już za widnokręgiem, zostawiło na niebie czerwone opary, których odblask barwił wodę różowym kolorem; drzewa na tarasach dawały schronienie mnóstwu słowików, które odpowiadały sobie wzajem. Błądziłem po alejach w jakimś upojeniu, poddając zmysły i serce tym słodkim wrażeniom i wzdychając jedynie z żalu, iż muszę się nimi napawać samotny. Pochłonięty słodkim marzeniem, przechadzałem się do późnej nocy, nie zdając sobie sprawy, iż jestem zmęczony. Wreszcie uczułem znużenie. Ułożyłem się rozkosznie na płycie w jakiejś niszy czy framudze w murze podpierającym terasę[268]. Baldachim mego łóżka tworzyły wierzchołki drzew; słowik śpiewał tuż nad mą głową; usnąłem kołysany jego śpiewem. Sen był mi słodki, obudzenie bardziej jeszcze. Był jasny dzień. Oczy moje, otwierając się, ujrzały wodę, zieloność, cudowny krajobraz. Wstałem, otrząsłem się, uczułem głód. Ruszyłem wesoło ku miastu, postanawiając obrócić na dobre śniadanie dwie drobne sztuki srebra, które mi jeszcze zostały. Byłem w tak dobrym humorze, że idąc śpiewałem kantatę Batistiniego[269], pod tytułem *Kąpiel w Thomery*, którą umiałem na pamięć. Błogosławiony niech będzie Batistini i jego kantata, której zawdzięczam śniadanie lepsze od tego, na które liczyłem i obiad wspanialszy jeszcze, na który nie liczyłem wcale! Tak idąc i wyśpiewując w najlepsze, słyszę za sobą kroki. Obracam się i widzę mnicha, antoniana; szedł za mną i widocznie przysłuchiwał się z przyjemnością. Zbliża się, pozdrawia mnie, pyta, czy jestem muzyk. Odpowiadam: „Trochę", aby dać do zrozumienia „bardzo". Wypytuje dalej, opowiadam mu co nieco z mych dziejów. Pyta, czy kopiowałem kiedy nuty. „Często" — odpowiadam. Była to prawda; najlepszym sposobem uczenia się było dla mnie kopiować. „Chodź tedy ze mną — powiedział mi — mogę ci dać zajęcie na kilka dni, w czasie których nie będzie ci zbywało na niczym, byleś się zgodził nie opuszczać pokoju". Przystałem chętnie i udałem się za nim.

[268] *terasa* (daw.) — taras. [przypis edytorski]

[269] *Batistini*, właśc. *Jean-Baptiste Stuck* (1680–1755) — francuski kompozytor i wiolonczelista pochodzenia włosko-niemieckiego, autor wielu oper i kantat. [przypis edytorski]

Ów antonian nazywał się Rolichon; lubił muzykę, znał się na niej i śpiewał w małych koncertach, które urządzał z przyjaciółmi. Była to godziwa i przyzwoita zabawa; ale upodobanie to graniczyło u niego z szałem, z którym musiał się po trosze ukrywać. Zaprowadził mnie do pokoiku, gdzie znalazłem mnóstwo nut przepisanych przez niego. Dał mi do przepisywania inne, zwłaszcza kantatę, którą śpiewałem po drodze, a którą on sam miał śpiewać niebawem. Zostałem tam kilka dni, poświęcając kopiowaniu cały czas, który nie był wypełniony jedzeniem; w życiu bowiem nie byłem tak zgłodniały ani tak dobrze karmiony. Przynosił mój posiłek sam z kuchni klasztornej; sądząc po mojej ordynarii[270], musiała być niezgorsza. Jak żyję, nie znajdowałem w jedzeniu takiej rozkoszy; trzeba przyznać, że ta gratka trafiła mi się bardzo w porę i że byłem wyschnięty jak drewno. Pracowałem i jadłem niemal z równym zapałem — a to wiele! Prawda, iż dokładność moja nie była równa pilności. W kilka dni potem Rolichon, którego spotkałem na ulicy, powiedział mi, iż moje partycje uniemożliwiły wykonanie utworu, tyle w nich było błędów, opuszczeń i przestawień. Trzeba przyznać, iż rzemiosło to, które obrałem sobie później za stałe zajęcie, najmniej było dla mnie stosowne. Wprawdzie mam ładny charakter pisma i kopiuję bardzo czysto, ale, kiedy pracuję dłużej, podlegam takim dystrakcjom, że więcej zajmuje mi czasu wyskrobywanie niż pisanie i że jeśli z największą uwagą nie skolacjonuję[271] partii, wykonanie ich staje się niemożliwe. Chcąc zatem rzecz odrobić dobrze, wywiązałem się z niej bardzo źle; pośpiech popsuł wszystko. Mimo to pan Rolichon do samego końca obchodził się ze mną bardzo łaskawie i jeszcze na rozstanie dodał jakiegoś talara, który mi się z pewnością nie należał, ale który zupełnie mnie postawił na nogi. W kilka dni później, otrzymałem wiadomość od mamusi (która znalazła się w Chambéry) wraz z małą sumką i wezwaniem, abym tam pospieszył, co uczyniłem z zapałem. Od tego czasu często bywało u mnie krucho z pieniędzmi, ale nigdy do tego stopnia, abym był zmuszony pościć. Podkreślam tę epokę z sercem pełnym wdzięczności dla Opatrzności. Ostatni to raz zaznałem nędzy i głodu.

Zostałem w Lyonie jeszcze jakiś tydzień, czekając na załatwienie poleceń, którymi mamusia obarczyła pannę du Châtelet. W tym czasie odwiedzałem ją częściej niż poprzednio, zawsze gotów z rozkoszą rozmawiać o jej przyjaciółce, a nie będąc już zmuszony ukrywać się z mą rozpaczliwą sytuacją. Panna du Châtelet nie była ani młoda, ani ładna, ale miała pewien urok; była serdeczna i łatwa, a zalety jej umysłu podnosiły wartość tej prostoty. Lubiła obserwować ludzi i zastanawiać się nad ich charakterem; od niej to głównie nabrałem tego upodobania. Lubiła powieści Le Sage'a[272], a zwłaszcza *Gil Blasa*[273], mówiła mi o tej książce, pożyczyła mi ją, przeczytałem z przyjemnością; ale nie byłem jeszcze dojrzały do tego rodzaju lektury, trzeba mi było romansów z wielkimi namiętnościami. W ten sposób spędzałem czas w towarzystwie panny du Châtelet, z równym pożytkiem jak przyjemnością. To pewna, iż żywa i światła rozmowa rozumnej kobiety bardziej zdolna jest ukształtować duszę młodego człowieka niż cała pedantyczna książkowa filozofia. W klasztorze, gdzie mieszkała, poznałem i inne pensjonariuszki oraz ich przyjaciółki, między innymi czternastoletnią osóbkę, pannę Serre, na którą wówczas nie zwróciłem uwagi, ale którą zaprószyłem sobie serce w osiem czy dziewięć lat potem; i słusznie — była to urocza dziewczyna.

Upojony nadzieją oglądania niebawem najlepszej mamusi, dałem nieco wytchnienia mym chimerom. Prawdziwe szczęście, które mnie oczekiwało, tłumiło potrzebę szukania go w złudach wyobraźni. Nie tylko odnalazłem moją mamusię, ale miałem znaleźć przy niej i przez nią przyjemne zatrudnienie; donosiła mi, iż wyszukała zajęcie, co do którego ma nadzieję, że mi się nada, i które nie oddali mnie od niej. Łamałem sobie głowę, co by to mogło być za zajęcie, i w istocie musiałbym chyba zgadnąć, aby trafić w sedno. Miałem dość pieniędzy, aby wygodnie odbyć drogę. Panna du Châtelet radziła mi nająć konia; nie mogłem się na to zdobyć, i słusznie: byłbym stracił przyjemność ostatniej podróży

[270] *ordynaria* — część wynagrodzenia służby dworskiej wypłacana w naturze. [przypis edytorski]

[271] *kolacjonować* — porównywać odpis lub tłumaczenie z oryginałem. [przypis edytorski]

[272] *Le Sage* [a. *Lesage, Alain-René* (1668–1747)] — słynny pisarz francuski na przełomie XVII i XVIII w., autor *Gil Blasa* i *Diabła kulawego*. [przypis tłumacza]

[273] *Gil Blas* — powieść łotrzykowska Lesage'a, przedstawiająca przygody młodego łazika poznającego różne środowiska społeczne; jej polski tytuł to *Przypadki Idziego Blasa*. [przypis edytorski]

pieszej, którą odbyłem w życiu; bo nie mogę dać tej nazwy wycieczkom, jakie czyniłem często, mieszkając w Motiers.

Jest to rzecz bardzo osobliwa, że wyobraźnia moja nastraja się zawsze tym przyjemniej, im mniej przyjemne jest położenie, w którym się znajduję; a przeciwnie, najmniej jest uśmiechnięta, kiedy wszystko śmieje się dokoła mnie. Moja niesforna głowa nie umie być niewolnicą przedmiotów i zdarzeń. Nie umie upiększać — chce tworzyć. Przedmioty realne malują się w niej zaledwie tak, jak są; umie stroić w czary jedynie przedmioty zrodzone z wyobraźni. Kiedy chcę malować wiosnę, muszę mieć dokoła zimę; kiedy chcę opisać piękny krajobraz, muszę być zamknięty w murach. Mówiłem po sto razy, że gdyby mnie kiedy zamknięto w Bastylii, tworzyłbym tam obraz swobody. Wyruszając z Lyonu, widziałem przyszłość w samych przyjemnych barwach: tyleż miałem przyczyn do otuchy i radości, ile powodów do smutku i niepokoju wędrując do Paryża. Mimo to nie snułem w ciągu tej podróży owych rozkosznych marzeń, których zaznałem w poprzedniej drodze. Zbliżałem się z rozczuleniem do najlepszej przyjaciółki, którą miałem zobaczyć niebawem. Napawałem się zawczasu, ale bez upojenia, słodyczą życia w jej pobliżu. Zawsze spodziewałem się tego; było to dla mnie tak, jak gdyby nie zaszło nic nowego. Troszczyłem się o me przyszłe zatrudnienie, tak jakby to była rzecz warta troski. Myśli moje były łagodne i spokojne, a nie anielskie i upojone. Oczy moje widziały otaczające przedmioty; zwracałem uwagę na krajobrazy; uważałem drzewa, domy, strumienie; zastanawiałem się na skrzyżowaniu dróg, bałem się zabłądzić i umiałem się tego chronić. Słowem, nie pływałem już w empirejskim niebie[274]; byłem to tam, gdzie byłem, to tam, dokąd szedłem, nigdy dalej.

W opowiadaniu moich podróży trafia mi się to samo, co w nich samych: nie umiem przybyć na miejsce. Serce biło mi z radości, kiedym się zbliżał do drogiej mamusi, a mimo to nie przyspieszałem kroku. Lubię wędrować sobie wedle upodobania i zatrzymywać się, kiedy mi przyjdzie ochota. Życie włóczęgi to najmilsza dla mnie forma życia. Wędrować pieszo w piękną pogodę, piękną okolicą, nie spiesząc się, mając wszelako, jako kres drogi, przedmiot pełen uroku — oto ze wszystkich sposobów życia ten, który najbardziej przypada mi do smaku. Wiadomo już czytelnikowi, co rozumiem pod piękną okolicą. Nigdy krajobraz równy, choćby najpiękniejszy, nie wydaje się piękny w mych oczach. Trzeba mi strumieni, skał, świerków, czarnych lasów, gór, stromych dróg, po których się to wchodzi, to zstępuje, przepaści przyprawiających o drżenie. Miałem tę przyjemność i zakosztowałem jej w całym uroku zbliżając się do Chambéry. Niedaleko góry przeciętej wąwozem, nazwanej Pas-de-l'Echelle, nad gościńcem wykutym w skale, w okolicy zwanej Chailles, biegnie i pieni się w straszliwych czeluściach rzeczka, która chyba tysiące wieków musiała żłobić swoje koryto. Ogrodzono jej brzeg parapetem, aby zapobiec wypadkom; dzięki temu mogłem patrzeć w dno i nabawiać się zawrotu głowy do syta. W zamiłowaniu moim do stromych urwisk szczególne jest to, iż przyprawiają mnie o zawrót; lubię to uczucie, byle w bezpiecznym miejscu. Silnie oparty o parapet, nachylałem się nad przepaścią i trwałem tak godziny całe, oglądając od czasu do czasu tę pianę i tę niebieską wodę, której ryk słyszałem poprzez krzyk kruków i drapieżnych ptaków latających od skały do skały i od gęstwiny do gęstwiny sto sążni nade mną. W okolicach, gdzie spadek był dość równy i zarośla dość rzadkie, by przepuścić kamienie, wyszukiwałem głazy tak wielkie, jak tylko mogłem udźwignąć, znosiłem je na kupę koło parapetu; następnie, ciskając jeden po drugim, rozkoszowałem się, patrząc, jak się toczą, skaczą i fruwają w tysiącznych odłamkach, nim dosięgną dna.

Koło Chambéry miałem podobne zjawisko w odwrotnym sensie. Droga przechodzi u stóp najpiękniejszego wodospadu, jaki widziałem w życiu. Góra jest tak podcięta, że woda spada swobodnie, tworząc łuk o takim wygięciu, iż można przejść między kaskadą a skałą, niekiedy bez zmoczenia. Ale jeśli się dobrze nie obliczy, można się zawieść na tym, jak też mnie się stało; spadając bowiem z ogromnej wysokości, woda rozpryskuje się i opada jakby pyłem, i kiedy się nadto zbliżyć do tej chmury, po chwili, ani wiedząc kiedy, nasiąka się wilgocią.

[274] *empirejskie niebo* — w dawnej kosmologii: znajdująca się za sferą gwiazd najdalsza, najbardziej zewnętrzna sfera wszechświata, będąca siedzibą Boga, miejscem pobytu aniołów i świętych. [przypis edytorski]

Przybywam wreszcie — widzę ją znowu! Nie była sama. Generalny intendent był u niej właśnie, gdy wszedłem do salonu. Bez słowa mamusia bierze mnie za rękę i przedstawia z wdziękiem, który zdobywał jej wszystkie serca: „Oto właśnie on, ów biedny młodzieniec, o którym mówiłam. Jeśli pan raczy użyczyć mu poparcia tak długo, jak długo na nie zasłuży, spokojna o niego jestem do końca życia". Następnie, zwracając się do mnie, rzekła: „Moje dziecko, oto wchodzisz w służby króla. Podziękuj panu intendentowi za chleb, który ci daje w rękę". Otwarłem wielkie oczy, nic nie mówiąc, już płynąc na falach wyobraźni. Niewiele brakło, bym, odurzony narkotykiem budzącej się ambicji, nie zaczął z miejsca odgrywać małego intendenta. Los okazał się mniej świetny, niż sobie po tym wstępie roiłem; ale jak na teraz było to dosyć, aby żyć, a to było dla mnie dużo. Oto o co chodziło:

Król Wiktor Amadeusz, sądząc z poprzednich wojen i z położenia dawnej dziedziny ojców, zdając sobie sprawę, że prędzej czy później ten kraj wymknie się spod jego berła, myślał jedynie o tym, aby go wycisnąć. Postanowiwszy przed kilku laty obłożyć szlachtę podatkiem, nakazał sporządzenie powszechnego katastru[275] całego kraju, aby gdy przyjdzie do nałożenia kontrybucji[276], móc ją sprawiedliwie rozdzielić. Pracę tę, zaczętą za panowania ojca, dokończono za syna. Dwustu lub trzystu ludzi, tak mierników, których nazywano geometrami, jak skrybów, którzy nosili tytuł sekretarzy, użyto do tej pracy; mnie, dzięki poparciu mamusi, wpisano w liczbę tych ostatnich. Pozycja nie była zbyt intratna, zapewniała jednak w tym kraju dostatnie życie. Ujemną stroną było, że zajęcie było tylko czasowe. Bądź co bądź, pozwalało czekać i rozglądać się za czym innym; toteż przewidująca mamusia starała się pozyskać mi względy intendenta, bym mógł z czasem przejść na jakie trwalsze stanowisko.

Objąłem funkcje w niewiele dni po przybyciu. Praca nie była trudna, niebawem włożyłem się do niej. W ten sposób, po kilku latach włóczęgi, szaleństw i niedoli, pierwszy raz od ucieczki z Genewy, zacząłem uczciwie zarabiać na chleb.

Te obszerne szczegóły mej młodości wydadzą się zapewne błahe. Bardzo mi przykro, że tak jest; mimo że pod niektórymi względami wcześnie stałem się człowiekiem, pod innymi znowuż długo byłem i jestem jeszcze dzieckiem. Nie przyrzekłem przedstawić czytelnikowi jakichś wielkich kolei; przyrzekłem odmalować się takim, jak jestem. Aby mnie poznać w późniejszym wieku, trzeba mnie dobrze znać w mej młodości. Ponieważ w ogóle przedmioty słabiej odciskają się w mych wrażeniach niż ich wspomnienia, a wszystkie myśli kształtują mi się w obrazach, pierwsze rysy, które wyryły się w mej głowie, pozostały w niej trwale, te zaś, które w dalszym ciągu się w niej wycisnęły, raczej skombinowały się z pierwszymi, niż je zatarły. Istnieje pewne dziedziczenie uczuć i myśli, które wpływa na ich kolejne następstwo i z którego trzeba dobrze sobie zdawać sprawę. Dlatego staraniem mym jest dobrze rozwinąć wszędzie *pierwsze przyczyny*, aby tym wyraźniej uwydatnić zahaczanie się następstw o siebie. Chciałbym w jakiś sposób uczynić duszę moją przezroczystą dla oczu czytelnika. Dlatego staram mu się ją pokazać ze wszystkich punktów, oświetlić wszelakim światłem, sprawić, by nie było najmniejszego drgnienia, które by dlań zostało niewidzialne, iżby mógł sobie wyrobić własny sąd o pierwiastku będącym ich źródłem.

Gdybym wziął gotowy rezultat i powiedział: „Taki jest mój charakter", czytelnik byłby zdolny mniemać, że mogę łudzić, jeśli nie jego, to samego siebie. Ale gdy mu opowiem po prostu wszystko, co mi się zdarzyło, com działał, myślał, czuł, nie mogę go wprowadzić w błąd, chyba żebym chciał; a nawet mając ten zamiar, niełatwo go urzeczywistnić przy tej metodzie. Rzeczą czytelnika jest zestawić te składniki i określić istotę, na którą się składają. Rezultat winien być jego dziełem; jeśli się omyli, sam będzie odpowiedzialny. Otóż, do tego celu nie wystarczy, by opowiadanie było wierne; trzeba także, aby było dokładne. Nie do mnie należy sądzić o wadze faktów; winienem wymienić wszystkie, innym zostawić troskę o wybór. Oto staranie, do którego przykładałem się dotąd najusilniej i nadal w tym z pewnością nie osłabnę. Ale wspomnienia wieku średniego są zawsze mniej żywe niż pierwszej młodości. W początku mej pracy wyzyskałem je najlepiej, jak mogłem. Jeżeli późniejsze przychodzić mi będą na pamięć z tą samą siłą, mniej

[275] *kataster* — urzędowy spis gruntów i budynków z informacją o ich właścicielach, służący m.in. do ustalania wielkości podatków. [przypis edytorski]

[276] *kontrybucja* — daw.: danina na rzecz władcy lub państwa; dziś: okup wojenny, który pokonane państwo musi zapłacić państwu zwycięskiemu. [przypis edytorski]

cierpliwy czytelnik znudzi się może trochę, ale ja nie będę nierad z mej pracy. Jednej rzeczy tylko się obawiam: nie tego, że mogę powiedzieć za wiele i powiedzieć kłamstwa, ale że mogę powiedzieć nie wszystko i przemilczeć coś z prawdy.

Księga V

(1732–1736). Było to, zdaje się, w r. 1733, kiedy przybyłem do Chambéry i zacząłem urzędować w katastrze, w służbie królewskiej. Liczyłem lat przeszło dwadzieścia, blisko dwadzieścia jeden. Umysł miałem, na swój wiek, dość ukształcony, ale rozsądek i znajomość życia nie szły z nim w parze; toteż bardzo potrzebowałem ręki, która by mną pokierowała. Kilka lat doświadczeń nie mogło mnie doszczętnie uleczyć z romantycznych chimer i mimo wszystkich niedoli, jakie wycierpiałem, miałem o świecie i o ludziach tak słabe wyobrażenie, jak gdybym nie opłacił drogo tej nauki.

Mieszkałem w domu, to znaczy u mamusi, ale nie odnalazłem dawnego pokoju z Annecy. Przepadły ogrody, strumienie, krajobrazy! Dom, który zajmowała, był smutny i ponury, a mój pokój najbardziej z całego domu. Mur zamiast horyzontu, zaułek miast ulicy, mało powietrza, mało światła, mało przestrzeni, świerszcze, szczury, zgniłe deski — wszystko to nie składało się na zbyt powabne mieszkanie. Ale byłem u niej, przy niej; bez ustanku przy moim biurku albo w jej pokoju, niewiele zwracałem uwagi na szpetotę mieszkania; nie miałem czasu zajmować się tym w swych marzeniach. Wyda się dziwne, że mamusia przeniosła się do Chambéry umyślnie, aby zamieszkać w tym brzydkim domu; to właśnie był z jej strony rys zręczności, którego nie powinienem zamilczeć. Jechała do Turynu z niechęcią, czując, że po tak świeżych przewrotach, wśród zamętu na dworze, chwila nie jest zbyt sposobna, aby się pokazywać. Interesy wszelako wymagały tego: lękała się, iż może cię stać ofiarą zapomnienia lub intrygi. Wiedziała zwłaszcza, że hrabia de Saint-Laurent, generalny intendent finansów, nie jest jej przychylny. Miał on w Chambéry stary dom, licho zbudowany i w tak niełądnym położeniu, że zawsze stał pustką; najęła go i zamieszkała. To poskutkowało lepiej niż cała podróż; nie skasowano pensji, a hrabia de Saint-Laurent był odtąd zawsze jej życzliwy.

Zastałem skład gospodarstwa mniej więcej ten sam co poprzednio i wiernego Klaudiusza Anet zawsze przy jej boku. Był to — zdaje mi się, już wspominałem — wieśniak z Moutru, który w dzieciństwie zbierał zioła w górach Jura, aby z nich sporządzać szwajcarską herbatę. Pani de Warens przyjęła go właśnie z przyczyny tych ziół, uważając, iż wygodnie będzie mieć pod ręką lokaja herborystę[277]. Stopniowo on tak się zapalił do studiowania roślin, ona zaś tak skutecznie podsycała to zamiłowanie, że stał się prawdziwym botanikiem i gdyby nie umarł młodo, zdobyłby zaszczytne imię w tej nauce, tak jak zasłużył sobie na nie wśród uczciwych ludzi. Ponieważ był to człowiek poważny, nawet surowy, a ja byłem od niego młodszy, stał się dla mnie jak gdyby opiekunem, co mnie uchroniło od wielu szaleństw; miałem przed nim respekt i nie byłbym śmiał mu uchybić. Imponował nawet swojej pani, która znała jego wielki rozsądek, jego prawość, niezłomne przywiązanie, odpłacane szczerą wzajemnością. Klaudiusz Anet był to niecodzienny człowiek; jedyny nawet, jakiego znałem tego typu. Powolny, stateczny, rozważny, oględny w postępowaniu, chłodny w obejściu, małomówny i zwięzły w odezwaniach, odznaczał się w uczuciach swoich gwałtownością, która nigdy nie wydobywała się na wierzch, ale trawiła go wewnątrz. Gwałtowność ta przyprawiła go w życiu o szaleństwo jedno, ale straszliwe, mianowicie popchnęła go do zażycia trucizny. Tragiczna scena zaszła niedługo po mym przybyciu. Trzeba było aż tego, aby mnie uświadomić co do rodzaju stosunków, jakie łączyły Klaudiusza z jego panią; gdyby mi sama tego nie powiedziała, nigdy bym się nie domyślił. Z pewnością jeżeli przywiązanie, gorliwość i wierność mogą wysłużyć sobie podobną nagrodę, należała mu się, a że był jej godny, dowiódł tym, że nigdy nie nadużył tego faworu. Rzadko zachodziły między nimi sprzeczki i zawsze kończyły się dobrze. Zdarzyła się wszakże jedna, która obróciła się źle; pani de Warens rzuciła mu w gniewie zelżywe słowo, którego nie mógł strawić. Usłuchał jedynie głosu rozpaczy i, znalazłszy pod ręką flaszeczkę laudanum[278], połknął jej zawartość, po czym ułożył się spokojnie do

[277] *herborysta* (z łac. *herba*: trawa, ziele) — znawca ziół. [przypis edytorski]

[278] *laudanum* — nalewka z opium, w XVIII–XIX w. używana w niewielkich dawkach jako specyfik na różne dolegliwości. [przypis edytorski]

spoczynku, jak mniemał, wiecznego. Szczęściem, pani de Warens, niespokojna i sama wzburzona, błądząc po domu, spostrzegła pusty flakon i domyśliła się reszty. Spiesząc na pomoc, wydała krzyk, który mnie ściągnął na miejsce wypadku. Wyznała mi wszystko, wezwała mej pomocy i doprowadziła Aneta z wielkim trudem do tego, że zwymiotował opium. Będąc świadkiem tej sceny, podziwiałem mą głupotę, iż nigdy nie powziąłem najmniejszego podejrzenia co do tego stosunku. Ale Klaudiusz był tak dyskretny, że i ktoś przenikliwszy ode mnie mógłby się nie spostrzec. Pojednanie było takie, iż sam uczułem się wzruszony; od tego czasu, pomnażając w dwójnasób mój szacunek, stałem się jakby wychowankiem Klaudiusza, co mi wyszło jedynie na dobre.

Nie bez przykrości wszelako było dla mnie dowiedzieć się, że istnieje ktoś, kto żyje z mamusią bliżej ode mnie. Nie przeszło mi nigdy nawet przez myśl pożądać dla siebie tego miejsca, ale ciężko mi było wiedzieć, że zajmuje je kto inny; to bardzo naturalne. Mimo to miast nienawiści do tego, kto mi ją zabrał, uczułem, zupełnie szczerze, że przywiązanie, które miałem dla mamusi, rozciąga się na niego. Pragnąłem przede wszystkim, by ona była szczęśliwą; a skoro do jej szczęścia potrzebny był jego współudział, cieszyłem się że i on jest szczęśliwy. On ze swej strony wszedł najzupełniej w intencje swej pani i pokochał serdeczną przyjaźnią przyjaciela, którego ona wybrała. Nie przybierając ze mną tonu, na który pozwalałoby mu stanowisko, nie szukał w naszym stosunku innych przewag, prócz tych, jakie rozsądek jego dawał mu nad moim. Nie śmiałem uczynić nic, co on by potępiał, on zaś potępiał jedynie to, co było w istocie złe. Żyliśmy w ten sposób w najserdeczniejszej spójni, która dawała szczęście wszystkim trojgu i którą chyba śmierć mogła zniweczyć. Jednym z dowodów zalet charakteru tej uroczej kobiety jest to, iż wszyscy, którzy ją kochali, kochali się między sobą. Zazdrość, współzawodnictwo nawet ustępowało przeważającemu uczuciu, które ona budziła, i nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek z tych, co ją otaczali, odnosił się z nieprzyjaźnią do drugiego. Niechaj czytelnik przerwie na chwilę czytanie przy tej pochwale i jeśli, zastanowiwszy się, znajdzie w myśli drugą kobietę, o której mógłby powiedzieć to samo, niech złoży w jej ręce spokój swego życia, choćby to była zresztą[279] najostatniejsza z ladacznic.

Tutaj, od mego przybycia do Chambéry aż do wyjazdu do Paryża w r. 1741, następuje okres ośmiu lub dziewięciu lat, w ciągu których mało mam do opowiedzenia. Życie moje płynęło równie spokojnie, jak słodko; i ta właśnie jednostajność była bardzo potrzebna, aby dokończyć kształtowania charakteru, który wśród ustawicznego rozproszenia nie miał sposobności się ustalić. Podczas tego błogosławionego czasu wykształcenie moje, dotąd bezładne i nieporządne, nabrawszy większej konsystencji, uczyniło mnie tym, czym nie przestałem już być wśród burz, które mnie czekały. Postęp ten, odbywający się powoli i nieznacznie, nie obfitował w jakieś pamiętne wypadki; zasługuje wszelako, by go tu nakreślić i rozwinąć.

Z początku zajęty byłem jedynie pracą; przymus biurowy nie pozwalał myśleć o czym innym. Trochę swobodnych chwil, które mi pozostawały, spędzałem przy drogiej mamusi. Nie miałem czasu nawet na czytanie; zresztą nie było mi to w głowie. Ale kiedy później, otrzaskawszy się z zajęciem, mniej byłem nim pochłonięty, dawne niepokoje ogarnęły mnie na nowo; czytanie stało mi się konieczne; że zaś upodobanie to zawsze podniecała trudność jego zaspokojenia, byłoby się pewnie stało namiętnością, jak niegdyś za czasów terminu, gdyby nie odciągnęły mnie inne, nowe zamiłowania.

Jakkolwiek prace nasze nie wymagały zbyt wysokiej matematyki, i to wystarczało, aby mnie nieraz wprawić w kłopot. Chcąc zwyciężyć te trudności, zakupiłem książki z zakresu arytmetyki i nauczyłem się jej dobrze, ile że uczyłem się sam. Arytmetyka praktyczna, jeśli się chce ją stosować z drobiazgową ścisłością, sięga dalej, niżby się zdawało. Istnieją długie i zawiłe operacje, w których, jak sam widziałem, tęgiemu geometrze nieraz się zdarzy zgubić. Refleksja połączona z wprawą rozjaśnia pojęcia; wówczas wynajduje się metody skrócone, których pomysłowość głaszcze miłość własną, trafność zadowala umysł i które pozwalają znaleźć przyjemność w niewdzięcznej samej przez się pracy. Zagłębiłem się w tym tak skutecznie, iż niebawem nie było kwestii dającej się rozwiązać przez same cyfry, która by mnie sprawiała trudność; i teraz, kiedy wszystko, co niegdyś umiałem, zaciera się z każdym dniem w mej pamięci, ta zdobycz przechowała się w niej, po trzy-

[279] *zresztą* (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

dziestoletniej przerwie, bodaj w części. Właśnie przed kilku dniami, w czasie wycieczki do Davenport[280], będąc obecny przy lekcji dzieci mego gospodarza, rozwiązałem bez błędu, z niewypowiedzianą przyjemnością, jakieś bardzo skomplikowane zadanie. Kreśląc cyfry na papierze, miałem uczucie, że jestem w Chambéry za mych szczęśliwych dni.

Praca nad kolorowaniem map wróciła mi pasję do rysunku. Kupiłem farby i zacząłem malować kwiaty i krajobrazy. Szkoda w istocie, iż tak mało objawiłem talentu do tej sztuki, bo zamiłowania mi nie brakło. Wśród pędzli i ołówków byłbym zdolny przepędzić całe miesiące, nie ruszając się z domu. Zajęcie to zaczęło mnie pochłaniać do tego stopnia, że w końcu trzeba mnie było od niego oderwać. Tak się dzieje z każdym upodobaniem, które mnie ogarnie: potęguje się, staje się namiętnością; niebawem, przestaję widzieć cokolwiek na świecie poza zabawą, która mnie w danej chwili zaprząta. Wiek nie uleczył mnie z tego narowu, nie złagodził go nawet. W chwili gdy to piszę, zacietrzewiłem się oto, jak stary maniak, w innej bezużytecznej nauce, o której nie mam żadnego pojęcia[281] i którą nawet ci, co ją uprawiali w młodości, zmuszeni są rzucić w wieku, gdy ja ją chcę zaczynać.

Wówczas byłaby ona na swoim miejscu. Sposobność była dobra i miałem nawet pokusę z niej skorzystać. Zadowolenie, jakie widziałem w oczach Aneta, gdy wracał obładowany pękami świeżych roślin, skłoniło mnie, iż parę razy miałem się z nim wybrać na zioła. Jestem prawie pewny, że gdybym poszedł choć raz, byłoby mnie to wciągnęło. Byłbym dziś może wielkim botanikiem; nie znam bowiem studium, które by się lepiej łączyło z mymi wrodzonymi upodobaniami. Życie, jakie pędzę od dziesięciu lat na wsi, jest jedynie nieustanną herboryzacją, co prawda bez celu i planu. Ale nie mając wówczas pojęcia o botanice, czułem dla niej niejaką wzgardę, nawet wstręt; uważałem ją jedynie za studium aptekarskie. Mamusia, lubiąc tę naukę, nie posuwała jej istotnie poza ten cel; chodziło jej o zioła, które by mogła zużytkować dla swoich kordiałów[282]. Tak tedy botanika, chemia i anatomia, zespolone w mym umyśle pod nazwą medycyny, służyły mi jedynie jako temat do uciesznych sarkazmów, które, powtarzane przez cały dzień, ściągały na mnie od czasu do czasu policzki wymierzone kochaną rączką. Zresztą, nowe zamiłowanie, nazbyt przeciwne temu, wzrastało we mnie stopniowo i niebawem pochłonęło wszystkie inne. Mówię o muzyce. Muszę być chyba stanowczo zrodzony do tej sztuki, skoro zacząłem ją kochać od dzieciństwa i ją jedną kochałem jednako w każdej epoce życia. Zadziwiające jest, iż sztuka, do której byłem zrodzony, kosztowała mnie tyle trudu, i to przy postępie tak powolnym, że, po ćwiczeniu całego życia, nigdy nie mogłem dojść do tego, aby wszystko pewnie wyśpiewać *a vista*. Ale największego wdzięku przydawało wówczas tej nauce to, iż mogłem uprawiać ją z mamusią. Przy zupełnej rozbieżności innych upodobań muzyka była dla nas punktem stycznym, z którego lubiłem korzystać. Mamusia chętnie poddawała się mym życzeniom; byliśmy oboje wówczas mniej więcej równie biegli; odcyfrowywaliśmy razem melodię na dwa lub trzy zawody. Czasem, widząc ją krzątającą się z zapałem koło jakiegoś tygla, mówiłem: „Mamusiu, oto cudowny duecik, który z pewnością doda smaku twym kordiałom". — „Poczekaj — odpowiadała — jeśli spalę przez ciebie, będziesz musiał wszystko zjeść". Tak przekomarzając się, pociągałem ją do klawikordu; zasiadywaliśmy się przy nim; ekstrakt jałowca albo piołunu wysuszał się na popiół, mamusia mazała mi nim twarz. Wszystko to było bardzo rozkoszne.

Widać z tego, że przy niewielkiej ilości wolnego czasu, miałem mnóstwo sposobów zapełnienia go. Niebawem przybyła mi jeszcze jedna rozrywka, która dodała uroku wszystkim innym.

Mieszkaliśmy w tak ponurej i zacieśnionej norze, że czasem odczuwało się potrzebę świeżego powietrza. Anet namówił mamusię, aby wynająć na przedmieściu ogród i uprawiać go. Do tego ogrodu należał domek, który mamusia kazała umeblować po trosze: wstawiono doń łóżko. Często wybieraliśmy się tam z obiadem, czasem nawet sypiałem tam. Nieznacznie[283] rozkochałem się w mym schronieniu; przeniosłem tam sobie nie-

[280] *w czasie wycieczki do Davenport* — podczas pobytu w Anglii w 1766 Rousseau na zaproszenie majętnego dżentelmena Richarda Davenporta zamieszkał w posiadłości Wootton Hall, w hrabstwie Staffordshire, oddalonej o ok. 30 km od rodzinnej rezydencji gospodarza w Davenport Park. [przypis edytorski]

[281] *w innej bezużytecznej nauce, o której nie mam żadnego pojęcia* — botanika. [przypis tłumacza]

[282] *kordiał* (daw.) — lek wzmacniający (szczególnie serce; łac. *cor, cordis*: serce, *cordialis*: serdeczny); szlachetny trunek. [przypis edytorski]

[283] *nieznacznie* — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

co książek, dużo sztychów; spędzałem godziny całe zdobiąc domek i gotując jakąś miłą niespodziankę dla mamusi, gdy się tu wybierze spacerem. Rozstawałem się z nią, aby się jej tam poświęcić, aby myśleć o niej bardzo rozkosznie — dziwactwo, którego nie tłumaczę ani nie objaśniam, ale przyznaję się do niego, bo tak było. Przypominam sobie, iż raz księżna de Luxembourg opowiadała z przekąsem o człowieku, który rozstawał się z kochanką, aby móc do niej pisać. Odparłem, że łatwo mógłbym być tym człowiekiem; mogłem dodać, że bywałem nim niekiedy. Nigdy wszelako nie uczuwałem przy mamusi owej potrzeby oddalenia się od niej, aby ją lepiej kochać. We dwoje z nią czułem się tak samo swobodny, jak gdybym był sam, co mi się nigdy nie zdarzyło z żadną inną osobą, mężczyzną ani kobietą, choćbym najbardziej był do niej przywiązany. Ale często mamusia była otoczona, i to ludźmi, którzy mnie tak niecierpliwili, że złość i nuda wypędzały mnie do mego schronienia, gdzie miałem ją tak, jak pragnąłem, bez obawy, iż jaki natręt może nas zaskoczyć.

Gdy tak, pochłonięty na przemian pracą, zabawą i nauką, zażywałem błogiego wywczasu, Europa nie cieszyła się równym spokojem. Francja i cesarz wypowiedzieli sobie wojnę[284]. Król Sardynii wmieszał się do zwady i armia francuska pomykała przez Piemont, aby wkroczyć do Mediolanu. Jeden korpus przeciągał przez Chambéry; między innymi pułk szampański, którego pułkownikiem był książę de la Trimouille. Zostałem mu przedstawiony, przyrzekł mi wiele pięknych rzeczy, po czym z pewnością w życiu więcej nie pomyślał o mnie. Nasz ogródek był właśnie na skraju przedmieścia, przez które wchodziły wojska, mogłem tedy do syta napatrzeć się ich przemarszowi. Przejmowałem się wynikiem wojny tak, jak gdyby istotnie miał dla mnie jakieś znaczenie. Dotąd nigdy nie przyszło mi na myśl zastanawiać się nad sprawami publicznymi. Pierwszy raz zacząłem czytać gazety, ale tak stronniczo na korzyść Francji, że serce biło mi z radości na jej najmniejsze przewagi, a klęski jej martwiły mnie tak, jakby dotykały mnie osobiście. Gdyby szaleństwo to było jedynie przelotne, nie warto by o nim wspominać, ale wkorzeniło się ono w moje serce bez najmniejszej przyczyny tak głęboko, że kiedy później w Paryżu występowałem jako wróg despotów i hardy republikanin, czułem na przekór sobie tajemną predylekcję[285] dla tegoż samego narodu, którego służalczość potępiałem, i dla tego rządu, przeciw któremu niby to walczyłem. Zabawne jest, iż wstydząc się skłonności tak przeciwnej mym maksymom, nie śmiałem przyznać się do niej przed nikim i szydziłem z Francuzów w dni ich klęsk, gdy serce krwawiło mi się bardziej niż im samym. Jestem pewno jedynym człowiekiem, który żyjąc wśród narodu okazującego mu przychylność i ubóstwiając go w duchu, przybierał względem tegoż narodu fałszywe pozory wzgardy. Słowem, skłonność ta okazała się we mnie tak bezinteresowną, tak silną, tak stałą, tak niezwyciężoną, że nawet kiedy opuściłem Francję, odkąd rząd, urzędnicy, pisarze jęli się prześcigać w znęcaniu się nade mną, odkąd zaczęło należeć do dobrego tonu ściganie mnie zniewagami i potwarzą, nie mogłem się wyleczyć z mego szaleństwa. Kocham Francję na przekór samemu sobie, mimo że tak licho mi to odpłaca.

Długo szukałem przyczyny tej skłonności; nie mogłem znaleźć wytłumaczenia gdzie indziej, jak tylko w okolicznościach, które ją zrodziły. Wzmagające się zamiłowania literackie przywiązywały mnie do francuskich książek, do autorów i do ich ojczyzny. W chwili gdy przed mymi oczami przeciągała armia francuska, czytałem *Wielkich rycerzy* Brantôme'a[286]. Miałem głowę pełną Clissonów, Bayardów, Lautreców, Colignych, Montmorencych, Trimouillów i lgnąłem do ich potomków jako do spadkobierców ich zasług i męstwa. Za każdym pułkiem, który ciągnął przez miasto, zdawało mi się, że widzę owe

[284] *Francja i cesarz wypowiedzieli sobie wojnę…* — wojna o sukcesję polską (1733–1735): w sprawie następstwa tronu polskiego Francja opowiedziała się po stronie wybranego przez większość szlachty Stanisława Leszczyńskiego i wypowiedziała wojną Austrii, wspierającej zbrojną interwencję sasko-rosyjską na rzecz Augusta III Wettina. Korzystając z sytuacji Karol Emanuel III, książę Sabaudii i król Sardynii, 26 września 1733 zawarł z Francją i Hiszpanią sojusz w celu wyparcia Austrii z Mediolanu i południa Italii. W wyniku wojny Francja zyskała Lotaryngię, którą przekazała w dożywotnie władanie Leszczyńskiemu, zięciowi Ludwika XV, Sabaudia przejęła zachodnią część księstwa Mediolanu, zaś Hiszpania Królestwo Neapolu i Sycylię. [przypis edytorski]

[285] *predylekcja* — skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

[286] *Brantôme*, właśc. *Pierre de Bourdeille* (1535–1614) — pisarz francuski, autor opublikowanych jego po śmierci obszernych *Pamiętników* (fr. *Memoirs*), dających obraz obyczajów epoki; pierwsze tomy, opublikowane w latach 1665–1666, zawierały głównie *Żywoty znakomitych ludzi i wielkich rycerzy francuskich* (4 t.) oraz *Żywoty znakomitych ludzi i wielkich rycerzy obcych krajów* (2 t.). [przypis edytorski]

sławne „czarne bandy”[287], które niegdyś tyle dokonały w Piemoncie. Słowem, do tego, co widziałem, przykładałem pojęcia znalezione w książkach; nieustanne lektury, wciąż czerpane z tego samego narodu, podsycały moje dlań przywiązanie, zmieniając je wreszcie w ślepą namiętność, której nic nie mogło zwyciężyć. W podróżach swoich miałem sposobność zauważyć, że nie ja jeden ulegam tego rodzaju wpływom i że, działając mniej albo więcej we wszystkich krajach na część narodu najoświeceńszą, zamiłowaną w książkach i oddającą się naukom, Francja równoważyła tym niejako powszechną niechęć, jaką budzą aroganckie pozory Francuzów. Romanse ich bardziej niż mężczyźni podbijają dla nich serca kobiet wszystkich krajów; arcydzieła dramatyczne rozpalają umysły młodzieży. Sława teatrów paryskich ściąga tłumy cudzoziemców, którzy wracają przejęci zachwytem. Wreszcie doskonały smak ich literatury jedna im wszystkie wykwintniejsze umysły; sam patrzałem na to, jak w czasie nieszczęśliwej wojny, którą świeżo przebyli, autorowie ich i filozofowie podtrzymywali nadwątloną przez najezdników chwałę francuskiego imienia.

Byłem tedy zażartym Francuzem i to zrobiło mnie chciwym nowin. Chodziłem z tłumem gapiów oczekiwać na placu przybycia gońców. Głupszy niż osioł w bajce[288], niepokoiłem się bardzo tym, jakiego pana będę miał zaszczyt dźwigać; twierdzono wówczas bowiem, że będziemy należeć do Francji i wymieniano Piemont za Mediolan. Trzeba przyznać, iż miałem niejakie przyczyny obawy; gdyby ta wojna źle się obróciła dla sprzymierzonych, pensji mamusi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Ale byłem pełen ufności w mych dobrych przyjaciół; jak na ten raz, mimo niespodzianki ze strony pana de Broglie[289], zaufanie to nie zawiodło mnie, a to dzięki królowi Sardynii, na którego wcale nie liczyłem.

Gdy toczono boje we Włoszech, śpiewano we Francji. Opery Rameau[290] zaczęły robić hałas i dobyły z ukrycia jego teoretyczne dzieła, dostępne wskutek swej zawiłości jedynie niewielu. Przypadkiem zasłyszałem coś o jego *Wykładzie harmonii*[291] i nie miałem spokoju, póki nie nabyłem tej książki. Zrządzeniem nowego trafu rozchorowałem się. Choroba była natury zapalnej, gwałtowna i krótka; ale rekonwalescencja trwała długo, miesiąc nie wolno mi było wychodzić. Przez ten czas obrobiłem z grubsza, połknąłem *Wykład harmonii*; ale był on tak rozwlekły, niejasny, źle ułożony, że czułem, iż trzeba by długiego czasu, by go przestudiować i rozwikłać. Dla wytchnienia zabrałem się do żywej muzyki. Kantaty Berniera[292], na których się ćwiczyłem, nie wychodziły mi z głowy. Nauczyłem się kilku z nich na pamięć, między innymi jednej, *Śpiące amorki*, którą mimo iż nie miałem jej w rękach od tego czasu, umiem dotąd prawie całą, tak samo jak *Amorka ukąszonego przez pszczołę*, bardzo ładną kantatę Clérambaulta, której nauczyłem się mniej więcej w tym samym czasie.

Aby mi do reszty zawrócić głowę, przybył wówczas z Val d'Aoste[293] młody organista, ksiądz Palais, dobry muzyk, dobry człowiek i bardzo biegle akompaniujący na klawikordzie. Zaznajomiłem się z nim; staliśmy się nierozłączną parą. Był uczniem pewnego włoskiego mnicha, wielkiego organisty. Zapoznał mnie z jego zasadami, porównywałem je z książką Rameau; ładowałem sobie głowę akompaniamentem, akordami, harmonią. Trzeba było kształcić ucho, aby strawić to wszystko. Podsunąłem mamusi myśl małego koncertu raz na miesiąc; przystała. I oto już głowę mam tak nabitą tym koncertem, że

---

[287] *„czarne bandy", które niegdyś tyle dokonały w Piemoncie* — tzw. *bandes noires*, 10 kompanii piechoty francuskiej, pozostawionych w 1559 w płn.-zach. Italii, w garnizonach w Turynie i kilku okolicznych miastach, walczących pod czarnym sztandarem z białym krzyżem; w 1569 utworzono z nich niezależny Regiment Piemoncki. [przypis edytorski]

[288] *osioł w bajce* — mowa o bajce La Fontaine'a *Starzec i osioł*. [przypis edytorski]

[289] *mimo niespodzianki ze strony pana de Broglie…* — we wrześniu 1734 obóz francuskiego dowódcy François-Marie de Broglie został zaskoczony nocnym wypadem oddziałów austriackich, które pochwyciły licznych jeńców i zdobyły skarbiec wojenny; sam dowódca zdążył uratować się ucieczką; kilka dni później podczas ataku austriackiego w bitwie pod Guastallą przybycie króla Sardynii z dodatkowymi siłami odmieniło losy bitwy. [przypis edytorski]

[290] *Rameau*, [*Jean-Philippe* (1683–1764)] — słynny muzyk francuski w XVIII w. [teoretyk muzyki i kompozytor, jego pierwsza opera, *Hippolyte et Aricie*, wystawiona 1 października 1733, odniosła wielki sukces, a swoim nowatorstwem formy zapoczątkowała ożywiony spór krytyków; red. WL]. [przypis tłumacza]

[291] *Wykład harmonii* — *Traité de l'harmonie réduite à ses principes naturels* (Traktat o harmonii zredukowanej do jej naturalnych zasad, 1722). [przypis edytorski]

[292] *Bernier, Nicolas* (1664–1734) — kompozytor francuski. [przypis edytorski]

[293] *Val d'Aoste* (fr.) — Dolina Aosty, kraina hist. w płn.-zach. Włoszech. [przypis edytorski]

w dzień ni w noc nie zajmuję się niczym innym. W istocie, dawało mi to niemało zajęcia: zgromadzić nuty, koncertantów, instrumenty, rozpisać partie itd. Mamusia śpiewała; ojciec Caton, o którym wspominałem i wspomnę jeszcze, śpiewał także; nauczyciel tańca nazwiskiem Roche i jego syn grali na skrzypcach; Canavas, Piemontczyk, który pracował w katastrze i później ożenił się w Paryżu, grał na wiolonczeli; ksiądz Palais towarzyszył na klawikordzie; ja miałem zaszczyt dyrygować tą orkiestrą. Można sobie wyobrazić, jakie to wszystko było piękne! Nie całkiem tak jak u pana de Treytorens, ale mało do tego brakowało.

Koncercik pani de Warens, świeżo nawróconej i żyjącej, jak mówiono, z jałmużny królewskiej, budził szemranie w klice dewotów; ale zarazem stał się miłą rozrywką dla wielu godnych ludzi. Nie zgadłby nikt, kogo przy tej sposobności postawię na ich czele: otóż mnicha, ale zarazem bardzo tęgiego i miłego człowieka, którego pamięć, złączona ze wspomnieniem owych pięknych dni, jest mi dziś jeszcze drogą. Mam tu na myśli ojca Caton, franciszkanina, który na spółkę z hrabią Dortan pomógł przejąć nuty biednego Mistrza w Lyonie; nie był to z pewnością najpiękniejszy uczynek w jego życiu. Był to ukończony bakałarz Sorbony, żył długo w Paryżu w największym świecie, a zwłaszcza bardzo serdecznie z margrabią d'Antremont, wówczas ambasadorem Sardynii. Ojciec Caton był to duży mężczyzna, dobrze zbudowany, o pełnej twarzy, wydatnych oczach, czarnych włosach kręcących się w pukle na skroniach; o szlachetnym, otwartym i skromnym zarazem wejrzeniu. Czuło się w nim od razu coś prostego i dobrego; ani nie miał typu obłudnego lub bezczelnego mnicha, ani też zbytniej pewności siebie wziętego bywalca (mimo że miał do tego prawo). Był w nim spokój godnego człowieka, który nie wstydząc się sukni mniszej, świadom jest swej wartości i zna miejsce należne mu w każdym towarzystwie. Ojciec Caton, nie mając może dość nauki na uczonego doktora, miał jej wszelako dużo na światowego człowieka; nie roztaczając zbyt skwapliwie swego dobytku, umieszczał go tak trafnie i w porę, że pomnażało to jego wartość. Spędziwszy wiele lat w paryskich salonach, większą przywiązywał wagę do miłych talentów niż do poważnej wiedzy. Był dowcipny, składał wiersze, dobrze mówił, jeszcze lepiej śpiewał, miał ładny głos, grał na organach i na klawikordzie. To wystarczało aż nadto, aby go rozrywano w towarzystwach; jakoż i tak było. Mimo to tak pilnie przestrzegał obowiązków swego stanu, iż z czasem na przekór zawistnym wybrano go definitorem[294], co stanowi jedno z najwyższych odznaczeń zakonu.

Ów ojciec Caton poznał mamusię u margrabiego d'Antremont. Słyszał o naszych koncertach, zapragnął brać w nich udział. Tak się też stało, a jego obecność znacznie przyczyniła się do ich blasku. Wkrótce zbliżyliśmy się przez wspólne upodobania muzyczne, które u obu było istną namiętnością; z tą różnicą, że on był naprawdę muzykiem, a ja tylko partaczem. Schodziliśmy się z Canavasem i z księdzem Palais, aby muzykować w jego pokoju, a niekiedy, w dnie świąteczne, przy organach. Często zatrzymywał nas na obiedzie, jako iż — rzecz dość osobliwa jak na mnicha — był gościnny, hojny i lubiący dobre życie, ale z pewnym wykwintem. W dnie koncertów wszyscy wieczerzali u mamusi. Wieczerze te były bardzo wesołe, bardzo przyjemne. Rozmowa toczyła się najswobodniej, śpiewało się duety; czułem się jak wniebowzięty, ożywiałem się, sypałem dowcipy; ojciec Caton był przemiły, mamusia czarująca, ksiądz Palais ze swym baranim głosem był uciechą całego zebrania. O słodkie chwile igraszek młodości, ileż to czasu, odkąd uleciałyście bezpowrotnie!

Ponieważ nie będę miał już sposobności mówić o biednym ojcu Caton, niech mi będzie wolno uzupełnić w dwóch słowach jego smutną historię. Inne mnichy, zawistne, a raczej wściekłe o jego talenty, o jego światowe obycie, tak dalekie od mniszego niechlujstwa, znienawidziły go serdecznie. Wpływowe figury sprzysięgły się przeciw niemu, podburzyły czerń klasztorną zazdroszczącą mu po cichu. Zaczęto mu robić tysiące afrontów, złożono go z urzędu, odebrano mu własny pokoik, umeblowany przezeń z prostotą, ale z gustem, przeniesiono go nie wiem już gdzie. Słowem, nędznicy zwalili nań brzemię takiego prześladowania, że dusza jego, uczciwa i dumna, nie mogła tego udźwignąć. Człowiek, który stanowił ozdobę najwytworniejszych towarzystw, umarł z boleści na nędznym barłogu w głębi jakiejś celi czy więzienia, żałowany, opłakiwany przez wszyst-

[294] *definitor* — urzędowy doradca przełożonego zakonu. [przypis edytorski]

kich godnych ludzi, którzy go znali i którzy nie widzieli w nim żadnej wady, chyba tę, że był mnichem.

Wśród tych miłych igraszek, zwydrzyłem się[295] niebawem do tego stopnia, iż, cały pochłonięty muzyką, niezdolny byłem w ogóle myśleć o czym innym. Do biura uczęszczałem ze wstrętem; przymus i jednostajność pracy czyniły mi z niej torturę nie do zniesienia. W końcu przyszło do tego, iż umyśliłem rzucić miejsce, aby się poświęcić wyłącznie muzyce.

Można sobie wyobrazić, iż szalony ten projekt nie przeszedł bez oporu. Rzucać uczciwą i dającą stały dochód pozycję, aby uganiać za niepewnymi lekcjami — był to pomysł zbyt mało roztropny, aby się mógł podobać mamusi. Nawet w przypuszczeniu, iż postępy moje w przyszłości będą tak wielkie, jak sobie wyobrażałem, było to bardzo skromnym ograniczeniem ambicji, skazywać się na całe życie na rzemiosło muzyka. Mamusia, która tworzyła projekty tylko na wielką skalę i która nie brała już dosłownie wyroczni pana d'Aubonne, z przykrością patrzała na to, że zajmuję się tak poważnie sztuką, którą uważała za dość błahą. Powtarzała mi nieraz prowincjonalne przysłowie, może nieco mniej trafne w Paryżu, że „kto dobrze tańczy i dobrze śpiewa, niech się wielkiego losu nie spodziewa". Widziała, z drugiej strony, iż popęd mój jest nie do przezwyciężenia. Namiętność moja do muzyki graniczyła z szałem. Można się było słusznie obawiać, iż praca do tego stopnia cierpieć będzie od tej dystrakcji, że ściągnie na mnie wreszcie dymisję, którą lepiej było w takim razie uprzedzić samemu. Przedkładałem jej wreszcie, że obecne me zatrudnienie nie będzie trwało, że trzeba mi jakiejś umiejętności, z której bym mógł żyć, i że pewniejszą jest rzeczą wykształcić w sobie ćwiczeniem sztukę, do której mam powołanie i którą sama mi wybrała, niż puszczać się na niepewne wody protekcji albo podejmować nowe próby, mogące się nie powieść, aby wreszcie, zmarnowawszy czas najsposobniejszy do nauki, zostać bez środków. W końcu wymusiłem zezwolenie, więcej naprzykrzaniem się i pieszczotą niż argumentami, które by były zdolne ją zaspokoić. Natychmiast pobiegłem podziękować panu Coccelli, generalnemu dyrektorowi katastru, z taką dumą, jak gdybym dokonał aktu najbardziej heroicznego w świecie. Tak opuściłem dobrowolnie posadę, bez przyczyny, bez racji, bez pozoru, z takąż lub większą radością, z jaką obejmowałem ją przed niespełna dwoma laty.

Krok ten, mimo swego szaleństwa, zyskał mi w okolicy niejaki mir, co mi bardzo wyszło na pożytek. Jedni przypuszczali, że muszę posiadać jakieś środki; drudzy, widząc, że rzucam wszystko jedynie dla muzyki, oceniali talent z rozmiarów poświęcenia i uwierzyli, iż przy takiej namiętności do tej sztuki muszę nią władać mistrzowsko. W królestwie ślepych jednooki jest królem[296]; uchodziłem za dobrego nauczyciela, ile że nie było lepszych. Niepozbawiony pewnego gustu w śpiewie, mając zresztą za atuty wiek i powierzchowność, zyskałem wkrótce uczennic więcej, niźli było trzeba, aby zastąpić straconą płacę sekretarza.

To pewna, iż, co się tyczy przyjemności życia, nie można było gwałtowniej przejść z jednej ostateczności w drugą. W katastrze, przykuty przez osiem godzin dziennie do niezajmującej pracy, obok ludzi jeszcze mniej zajmujących, zamknięty w biurze ponurym, zapowietrzonym wyziewami tych gryzipiórków, przeważnie źle wyczesanych i bardzo niechlujnych, omdlewałem niekiedy z wytężenia uwagi, złego powietrza, przymusu i nudy. W miejsce tego wszystkiego nagle znalazłem się w eleganckim świecie, goszczony, rozrywany w najlepszych domach; wszędzie uprzejme, radosne przyjęcie, wszędzie wrażenie święta. Miłe, pięknie wystrojone panienki czekają na mnie, witają mnie z zapałem; widzę jeno same urocze przedmioty, czuję sam zapach róż i pomarańczowego kwiatu; śpiew, rozmowa, śmiechy, zabawy; opuszczam jedno miejsce, by spieszyć na te same gody w drugim. Każdy przyzna, że, zwłaszcza przy równych korzyściach materialnych, nie można wahać się w wyborze. Toteż byłem tak rad z decyzji, że nigdy mi nie przyszło na myśl jej żałować i nie żałuję jej nawet dziś, kiedy ważę postępki mego życia na szali rozsądku i kiedy dalekie mi są płoche pobudki, które mnie do nich popchnęły.

Oto prawie jedyny raz, iż słuchając wyłącznie swych skłonności, nie zawiodłem się. Swoboda, serdeczność, łatwość, kordialna wesołość mieszkańców tych stron sprawiły, iż

[295] *zwydrzyć się* (daw.) — rozwydrzyć się, znarowić się. [przypis edytorski]

[296] *W królestwie ślepych jednooki jest królem* — Erazm z Rotterdamu, *Adagia*, III, IV, 96. [przypis edytorski]

z przyjemnością obracałem się w świecie. Ten okres przekonał mnie, że jeśli nie lubię żyć z ludźmi, to więcej z ich winy niż z własnej.

Szkoda, iż Sabaudczycy nie są bogaci, a może szkoda byłoby, gdyby byli bogaci, tacy bowiem, jak są, jest to najlepszy i najmilszy naród, jaki znam. Jeżeli istnieje na świecie miasteczko, gdzie można smakować słodyczy życia w przyjemnym i pewnym towarzystwie, to Chambéry. Prowincjonalna szlachta, która się tam zbiera, posiada majątku tylko tyle, ile trzeba, aby żyć, nie dość, aby się nadymać; nie mogąc tedy rozwinąć w sobie ambicji, idzie z konieczności za radą Cyneasza[297]. Spędziwszy zazwyczaj młodość na służbie wojskowej, wraca spokojnie starzeć się u siebie w domu.

Kobiety są ładne, a mogłyby nawet obejść się i bez urody, mając wszystko, co trzeba, by dodać ceny wdziękom, a nawet, by je zastąpić. Godne jest uwagi, że ja, który z powołania widywałem mnóstwo dziewcząt, nie przypominam sobie, bym widział w Chambéry bodaj jedną, która by nie była czarująca. Powie ktoś, że to zasługa oczu, jakimi na nie patrzałem, i może ma słuszność; ale nie potrzebowałem wkładać aż tyle dobrej woli. Nie mogę wspomnieć bez miłego wzruszenia mych młodych uczennic. Czemuż nie mogę, wymieniając najbardziej urocze, wskrzesić ich i siebie w szczęśliwym wieku, w którym byłem wówczas, gdyśmy spędzali razem owe słodkie i niewinne chwile! Pierwsza nazywała się panna de Mellarède, moja sąsiadka, siostra wychowanka księdza Gaime. Była to bardzo żywa brunetka, ale żywość jej, pełna uroku, a wolna od roztrzepania, miała w sobie coś dziwnie przymilnego. Była nieco szczupła, jak większość dziewcząt w tym wieku, ale jej błyszczące oczy, gibka kibić, powabna minka nie potrzebowały okrągłości kształtów, aby się podobać. Chodziłem tam rano; przyjmowała mnie zazwyczaj w negliżu, z włosami zaplecionymi niedbale, zdobnymi jakimś kwiatem, który wpinało się na moje przyjęcie, a zdejmowało po lekcji, aby się uczesać. Nie ma dla mnie nic niebezpieczniejszego niż ładna osoba w negliżu; sto razy mniej obawiałbym się jej w pełnym stroju. Panna de Menthon, u której bywałem po południu, była zawsze wystrojona i robiła na mnie wrażenie równie miłe, jakkolwiek odmienne. Włosy miała jasnopopielate, była bardzo drobna, bardzo płochliwa i bardzo biała; głos miała wdzięczny, czysty i miły, ale ledwie ważyła się go dobywać. Miała na piersi bliznę po oparzeniu wrzącą wodą. Znamię to, wychylające się spod niebieskiej jedwabnej chusteczki, ściągało niekiedy w tę stronę mą uwagę, a niebawem przedmiotem jej stawała się nie sama blizna. Panna de Challes, też moja uczennica, była to dziewczyna dobrze już dorosła; duża, okazała, pulchna, niegdyś bardzo powabna. W owym czasie piękność jej minęła po trosze, ale został wdzięk, pogoda, luba wesołość. Siostra jej, pani de Charly, najpiękniejsza kobieta w Chambéry, nie uczyła się już sama muzyki, ale kształciła w niej córkę, osobę młodziutką jeszcze, której rozwijająca się piękność byłaby z pewnością dorównała kiedyś matce, gdyby na nieszczęście nie była trochę ruda. Miałem też u wizytek młodą panienkę, Francuzkę, której nazwiska zapomniałem, ale która zasługuje na osobne miejsce na liście mych uczennic. Miała jakby ospały i rozwlekły sposobik mówienia i tym apatycznym tonem wygłaszała rzeczy bardzo śmiałe, zupełnie niegodzące się z wyglądem. Zresztą była bardzo leniwa i nie lubiła wysilać dowcipu; była to łaska, której nie każdego uznawała godnym. Dopiero po jakich dwóch miesiącach nauki, wśród częstych zaniedbywań z mej strony, wpadła na pomysł tej przynęty, by mnie uczynić bardziej punktualnym; nigdy bowiem nie umiałem się nałamać do tej cnoty. Bawiły mnie lekcje, kiedym już siedział przy pulpicie, ale z trudem znosiłem przymus punktualności i niewolę godzin. W każdej rzeczy niewola i przymus są mi tak nieznośne, iż przyprawiłyby mnie o znienawidzenie samej rozkoszy. Powiadają, że u mahometan strażnik obchodzi o świcie ulice, nawoływaniem przypominając mężom, aby oddali powinność żonom. Sądzę, iż byłbym bardzo złym Turkiem o tej godzinie.

Miałem także kilka uczennic w mieszczańskiej sferze, między innymi jedną, która stała się pośrednią przyczyną ważnej odmiany w mym życiu; odmiany, o której chcę mówić, skoro już postanowiłem wszystko powiedzieć. Była to córka korzennika, nazywała

[297] *Cyneasz* (III w. p.n.e.) — główny doradca króla Epiru Pyrrusa. Próbował odwieść tego władcę od wojny przeciwko Rzymowi, zadając mu kolejne pytania, co będzie robił po podboju Italii, a skoro ma zamiar potem podbić Sycylię, to co zrobi następnie. Pyrrus wymieniał kolejne krainy jako cele podbojów, a kiedy na koniec odpowiedział, że po pokonaniu wszystkich będzie się cieszył jadłem, napojem i przyjemnościami życia, Cyneasz wskazał mu, że to samo może robić już teraz, bez trudów, ryzyka i przelewu krwi (Plutarch, *Żywoty równoległe. Pyrrus*, 14, 2–7). [przypis edytorski]

się panna Lard. Był to istny model greckiej statuy; rzekłbym, najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem, gdyby mogła istnieć prawdziwa piękność bez życia i duszy. Jej obojętność, chłód, niewrażliwość dochodziły niebywałych granic. Było równym niepodobieństwem zyskać jej sympatię jak pogniewać ją. Jestem przekonany, iż gdyby ktoś przypuścił do niej dość energiczny szturm, uległaby, nie z ochoty, ale głupoty. Matka, nie chcąc widocznie narażać jej na tę próbę, nie odstępowała córki na krok. Każąc ją uczyć śpiewu i to pod kierunkiem młodego nauczyciela, czyniła, co mogła, by ją obudzić; ale na nic. Podczas gdy nauczyciel krzątał się koło córki, matka krzątała się koło nauczyciela, nie z lepszym powodzeniem. Pani Lard miała za to życia za siebie i za córkę. Była to nieduża kobietka ze sprytną, ruchliwą, nieco ospowatą twarzyczką. Oczy miała małe, bardzo wymowne i nieco czerwone, ponieważ prawie zawsze ją bolały. Co rano, kiedy się zjawiałem, czekała już na mnie kawa ze śmietanką. Matka witała mnie stale całusem, sumiennie wyciśniętym na mej twarzy, który to całus przez ciekawość byłbym rad oddał córce, aby się przekonać jakby go przyjęła. Zresztą, wszystko to działo się tak po prostu i tak nie miało znaczenia, że nieraz, kiedy pan Lard był obecny, całusy i przekomarzania odchodziły tak samo swoim trybem. Było to poczciwe człeczysko, prawdziwy ojciec swojej córki; nie można powiedzieć, aby go żona oszukiwała, ponieważ nie było tego trzeba. Poddawałem się tym karesom z mym zwykłym niezdarstwem, biorąc je po prostu za objawy czystej przyjaźni. Mimo to dawały mi się one we znaki, bo pani Lard bywała wymagająca: jeśli w ciągu dnia zdarzyło mi się minąć jej sklep bez zatrzymania, zaraz był powód do obrazy. Gdy mi się spieszyło, musiałem nakładać drogi i okrążać inną ulicą, wiedząc dobrze, iż łatwiej wejść do tego domu, niż się zeń wydostać.

Pani Lard nadto zajmowała się mną, abym mógł się jej poniekąd nie odwzajemniać. Uprzejmość jej rozczulała mnie. Mówiłem o tym mamusi jako o rzeczy nie wymagającej tajemnicy; a gdyby nawet była to tajemnica, i tak byłbym jej powiedział, niepodobna mi było cokolwiek przed nią ukrywać; serce moje otwarte było przed nią jak przed Bogiem. Rzecz nie wydała się jej równie niewinna i prosta jak mnie. Gdzie ja widziałem jedynie przyjaźń, mamusia dostrzegła inne, wyraźniejsze intencje. Osądziła, iż pani Lard, czyniąc sobie punkt honoru z tego, aby ze mnie zrobić pełnego mężczyznę, w ten albo inny sposób postawi wreszcie na swoim. Pomijając, iż nie było sprawiedliwe, aby inna kobieta miała dopełnić ukształcenia jej wychowanka, mamusia miała inne, godniejsze siebie motywy, by mnie ustrzec od zasadzek, które mi groziły z racji mego wieku i zawodu. W tym samym czasie zastawiono mi inną pułapkę, niebezpieczniejszą. Uniknąłem jej wprawdzie, ale przekonała ona mamusię, że, wobec niebezpieczeństw grożących mi co chwilę, należy zastosować wszystkie środki ochronne, jakie miała do rozporządzenia.

Hrabina de Menthon, matka jednej z uczennic, była to osoba dowcipna i sprytna, a, jak mówiono, nie mniej złośliwa. Jak fama głosiła, była ona przyczyną wielu nieporozumień, między innymi jednego, które miało fatalne następstwa dla domu d'Antremont. Mamusia żyła z nią w swoim czasie dość blisko, ale wzbudziwszy, bardzo mimo woli, żywsze uczucia w kimś, na kogo pani de Menthon miała widoki, stała się w jej oczach winną tej zbrodni, mimo że ani zabiegała o te hołdy, ani ich nie przyjęła. Od tego czasu pani de Menthon starała się wypłatać swej rywalce wiele dokuczliwości, z których żadna się nie udała. Przytoczę na próbkę jedną z komiczniejszych. Obie panie bawiły na wsi z kilku młodymi panami z sąsiedztwa, między którymi był i ów nieszczęsny aspirant. Pani de Menthon powiedziała kiedyś jednemu z tych panów, że pani de Warens jest świętoszka, że nie ma smaku, że się źle ubiera i że zasłania sobie piersi jak mieszczka. „To — rzekł ów, który był facecjonistą[298] — ma swoje przyczyny. Wiem, że ma na piersi znamię w kształcie szczura: po prostu jak żywy, można by powiedzieć, że biegnie". Nienawiść, równie jak miłość, czyni łatwowiernym. Pani de Menthon postanowiła skorzystać z odkrycia: pewnego dnia, kiedy mamusia zabawiała się z niewdzięcznym oblubieńcem owej damy, ta zachodzi zręcznie z tyłu swą rywalkę, następnie, przechylając krzesło, odsłania nagłym ruchem chusteczkę; ale w miejsce dużego szczura wielbiciel ujrzał jedynie bardzo odmienny przedmiot, który równie mu trudno było zapomnieć jak ujrzeć — rezultat wcale nie po myśli pani de Menthon.

[298] *facecjonista* (daw.) — dowcipniś. [przypis edytorski]

Nie byłem zgoła osobistością zdolną zainteresować panią de Menthon, która lubiła koło siebie jedynie świetne towarzystwo. Mimo to zwróciła na mnie uwagę, nie dla powierzchowności (tą z pewnością nie przyszło jej na myśl się interesować!), ale dla dowcipu, którego się we mnie dopatrywano, a który pragnęła zużytkować wedle swych celów i skłonności. Pani ta miała dość żywe upodobanie do satyry. Lubiła układać piosenki i wiersze na osoby, które jej były niemiłe. Gdyby była znalazła we mnie dość talentu na to, abym jej służył za pomocnika w tej zabawie, bylibyśmy do spółki z pewnością przewrócili całe Chambéry do góry nogami. Opinia dotarłaby w końcu do źródła tych utworów, pani de Menthon wykręciłaby się, wystawiając mnie na sztych, i byłbym może spędził w więzieniu resztę dni, pokutując za zbytnią usłużność dla dam.

Szczęściem, nie przyszło do tego wszystkiego. Pani de Menthon zatrzymała mnie parę razy na obiedzie, aby mnie rozgadać i pociągnąć za język, przy czym stwierdziła, że jestem prostaczek i głuptas. Czułem to sam doskonale i bolałem nad tym, zazdroszcząc talentów przyjacielowi Venture'owi, gdy powinien bym błogosławić mą głupotę, dzięki której uratowałem się od takich niebezpieczeństw. Zostałem dla pani de Menthon nauczycielem śpiewu i niczym więcej; ale w zamian żyłem spokojny i lubiany w całym Chambéry. To warte było więcej, niż być dowcipnisiem w jej oczach, a żmiją w oczach całej okolicy.

Jak bądź się rzeczy miały, mamusia spostrzegła, iż, aby mnie wyrwać niebezpieczeństwom młodości, czas był pasować mnie na mężczyznę; co też uczyniła, ale w sposób chyba najosobliwszy, w jaki kiedykolwiek kobieta postąpiła sobie w danych okolicznościach. Jednego dnia zauważyłem, że jest bardzo poważna i że przemawia do mnie uroczyściej niż zwykle. Miejsce wesołej pustoty, którą przeplatała zazwyczaj swe nauki, zajął ton poważny i skupiony; nie surowy wprawdzie, ale jak gdyby wróżący jakieś wyjaśnienie. Siląc się długi czas odgadnąć przyczynę zmiany, spytałem wreszcie o nią; na to właśnie czekała. Zaproponowała mi na następny dzień wycieczkę do naszego ogródka; wybraliśmy się od rana. Nakierowała okoliczności w ten sposób, abyśmy mogli zostać sami przez cały dzień. Dzień ten obróciła na to, aby mnie przygotować do względów, którymi mnie chciała obdarzyć; ale nie, jak inne kobiety, za pomocą zalotności, ale za pomocą rozmów pełnych statku[299] i uczucia, mających na celu raczej pouczenie mnie niż uwiedzenie, i bardziej trafiających do serca niż do zmysłów. Wszelako, mimo iż nauki jej były wyborne i użyteczne i zgoła nie trąciły pedanterią lub chłodem, nie słuchałem ich z taką uwagą, na jaką zasługiwały, i nie wyryłem ich w pamięci tak, jakbym to uczynił w innych okolicznościach. Sam początek, jego ton, obudziły we mnie jakiś niepokój. Gdy ona mówiła, ja, roztargniony i pomieszany, mniej słuchałem tego, co mówiła, niż dociekałem, dokąd zmierza. Skoro wreszcie zrozumiałem (co mi nie przyszło łatwo), niespodzianość tej myśli, która od czasu jak żyłem obok mamusi, nie postała mi ani razu w głowie, pochłonęła mnie całego, nie pozwalając prawie ogarnąć sensu słów. Myślałem tylko o niej i nie słuchałem jej.

Starać się skupić uwagę młodych ludzi na to, co im się ma do powiedzenia, ukazując im na końcu bardzo dla nich interesujący przedmiot — to nonsens częsty u pedagogów, którego ja sam nawet nie uniknąłem w *Emilu*. Młody człowiek, uderzony celem, który mu ktoś pokazuje, zajmuje się jedynie nim i skacze równymi nogami przez wstępne wywody, aby pędzić tam, gdzieście go chcieli zawieść zbyt wolno w stosunku do jego pragnień. Pani de Warens z właściwą jej systematycznością umyśliła przez ostrożność (bardzo czczą zresztą), postawić mi warunki; ale skoro tylko ujrzałem ich cenę, nie słuchałem nawet, zgodziłem się na wszystko. Wątpię, aby w podobnym wypadku znalazł się mężczyzna dość szczery albo dość odważny, aby się targować w takiej chwili, jak również czyby się znalazła kobieta, która by mu to przebaczyła. Ciągnąc dalej te dziwaczne pertraktacje, mamusia obciążyła nasz układ niezmiernie poważnymi formalnościami i dała mi do namysłu cały tydzień, jakkolwiek zapewniałem ją obłudnie, że mi go nie trzeba. Faktem jest, na domiar tych wszystkich osobliwości, iż wielce byłem rad z odwłoki[300], tak mnie oszołomiła nowość tej myśli i tak bardzo potrzebowałem czasu, aby uporządkować nagły przewrót dotychczasowych uczuć i pojęć.

[299] *statek* (daw.) — stateczność, stałość, niezmienność (uczuć itp.). [przypis edytorski]
[300] *odwłoka* (daw.) — zwłoka, odłożenie sprawy. [przypis edytorski]

Pomyśli ktoś, że ten tydzień musiał mi się wydać wiekiem. Wręcz przeciwnie: pragnąłem, aby nim w istocie był. Nie wiem, jak opisać stan, w którym się znajdowałem, pełen dziwnego przerażenia skojarzonego z niecierpliwością, pełen obawy i pragnienia razem. Dochodziło do tego, iż chwilami całkiem na dobre szukałem w głowie jakiegoś przyzwoitego sposobu uniknięcia szczęścia, które mnie czekało. Proszę sobie wyobrazić mój gorący i zmysłowy temperament, mą kipiącą krew, serce pijane miłością, moje siły, zdrowie, młodość. Proszę pomyśleć, że w tym stanie, dręczony nieustannie pragnieniem kobiety, nie poznałem jeszcze żadnej; że wyobraźnia, potrzeba, ambicja, ciekawość, jednoczyły się, pożerając mnie żądzą osiągnięcia pełnej męskości i złożenia jej dowodów. Proszę dodać zwłaszcza (tego przede wszystkim nie trzeba zapominać), że moje przywiązanie do mamusi nie tylko nie ostygło, ale zwiększało się z każdym dniem; że czułem się dobrze tylko przy niej, a jeśli się od niej oddalałem, to tylko po to, aby myśleć o niej; że miałem serce pełne nie tylko jej dobroci, jej miłego charakteru, ale jej kobiecości, postaci, osoby, słowem *jej*, na każdy sposób, w jaki kobieta może być komuś droga. I proszę sobie nie wyobrażać, iż tych dziesięć czy dwanaście lat różnicy między nami odgrywało jakąś rolę i postarzało ją w mych oczach. Od pięciu czy sześciu lat, gdy na jej pierwszy widok doznałem tak słodkich wzruszeń, zmieniła się w istocie bardzo mało, a w moich oczach wcale. Była zawsze urocza dla mnie, a była nią jeszcze dla wszystkich. Kibić jedynie zaokrągliła się nieco. Poza tym te same oczy, ta sama płeć, ten sam biust, rysy, te same piękne włosy blond, ta sama wesołość, wszystko, aż do głosu, tego srebrnego młodzieńczego głosu, który zawsze na mnie wywierał takie wrażenie, że dziś jeszcze nie mogę bez wzruszenia usłyszeć świeżego głosu dziewczęcia.

Naturalną tedy obawą w pewności posiadania osoby tak mi drogiej byłby lęk, iż nie zdołam doczekać tej chwili i nie zdołam zawładnąć zmysłami i wyobraźnią tak, aby zostać panem samego siebie. Ujrzy czytelnik, jak w swoim czasie, w późnych latach, sama myśl o nieznacznych łaskach, które mnie czekały od ukochanej osoby, rozpalała mi krew do tego stopnia, iż niepodobna mi było przebyć bezkarnie kawałka drogi, który dzielił mnie od niej. Jakim sposobem, jakim cudem teraz, w kwiecie młodości, tak mało kwapiłem się do tej pierwszej słodyczy? Jak to się działo, iż zbliżającej się godziny oczekiwałem raczej z uczuciem przykrości niż szczęścia? W jaki sposób miast przedsmaku rozkoszy, który powinien był mnie upajać, czułem niemal obawę i niechęć? Nie ma wątpliwości, iż gdybym mógł się umknąć, bez jej obrazy, swemu szczęściu, byłbym to uczynił z całego serca. Przygotowałem czytelnika na niezwykłości w dziejach mego przywiązania do niej; oto jedna, której najmniej by się pewnie spodziewano.

Czytelnik, już zgorszony zapewne, osądzi, iż należąc do innego mężczyzny, poniżała się w mych oczach tym podziałem, że uczucie pewnej wzgardy studziło inne uczucia; myli się. Podział ten, to prawda, sprawiał mi okrutny ból, tak przez zupełnie naturalną wrażliwość, jak i dlatego, że w istocie uważałem go za dość niegodny i jej, i mnie; ale co się tyczy uczuć, nie wpływał na nie zgoła. Mogę przysiąc, że nigdy nie kochałem mamusi tkliwiej niż wówczas, gdy tak mało pragnąłem ją posiadać. Nadto znałem jej czyste serce i lodowaty temperament, aby przypuszczać na chwilę, iż zmysły mogą odgrywać u niej jakąś rolę w tym oddaniu. Byłem pewny, że jedynie chęć ocalenia mnie od niebezpieczeństw, inaczej prawie nieuchronnych, a zachowania mnie całego dla mnie i dla mych obowiązków, była przyczyną, że sama się godziła naruszyć obowiązek, na który zresztą, jak później będę miał sposobność wykazać, patrzyła odmiennie niż inne kobiety. Litowałem się nad nią i litowałem się nad sobą. Byłbym chciał jej rzec: „Nie, mamusiu, nie trzeba, i bez tego ręczę ci za siebie". Ale nie śmiałem. Po pierwsze, rzecz nie jest z tych, które się mówi; a po wtóre, w głębi czułem, że to nieprawda i że w istocie tylko kobieta może mnie uchronić od innych kobiet i ustrzec od pokus. Nie pragnąc jej, rad byłem, że mnie uwolni od pragnienia innych; do tego stopnia wydawało mi się nieszczęściem wszystko, co by mnie mogło od niej odciągnąć.

Długi nawyk życia razem, a jednak niewinnie, miast osłabić moje uczucia, przeciwnie, wzmocnił je, ale równocześnie nadał im jakiś inny charakter, który wlewał w nie więcej tkliwości, czułości może, ale mniej pożądań. Nazywając ją „mamusią", przestając z nią na stopie synowskiej poufałości, przywykłem niejako uważać się za syna. Myślę, że to jest prawdziwa przyczyna, iż tak mało pragnąłem ją posiadać, mimo że była mi tak drogą. Przypominam sobie doskonale, że pierwsze me uczucia dla niej, mimo iż nie żywsze,

bardziej były zmysłowe. W Annecy byłem upojony, w Chambéry już nie. Kochałem ją zawsze z całym przywiązaniem, ale więcej dla niej, a mniej dla siebie, lub przynajmniej więcej szukałem przy niej szczęścia niż rozkoszy. Była mi więcej niż siostrą, więcej niż matką, więcej niż przyjaciółką, więcej niż kochanką nawet, a to dlatego właśnie, że nie była kochanką. Słowem, kochałem ją nadto, aby jej pożądać — oto może najjaśniejsze ujęcie mych uczuć.

Ów dzień, którego więcej lękałem się, niż oczekiwałem, nadszedł wreszcie. Przyrzekłem wszystko i nie skłamałem. Serce zatwierdzało me zobowiązania, nie pożądając ich nagrody. Otrzymałem ją wszakże. Znalazłem się pierwszy raz w ramionach kobiety, i kobiety, którą ubóstwiałem. Czy byłem szczęśliwy? Nie; poznałem rozkosz. Jakiś niezwyciężony smutek zatruwał mi jej urok. Miałem uczucie, jak gdybym spełnił kazirodztwo. Tuląc ją z uniesieniem w ramionach, skrapiałem równocześnie jej łono łzami. Co do niej, nie była ani smutna, ani upojona; była serdeczna i spokojna. Będąc z natury mało zmysłowa i nie szukając rozkoszy, nie odczuła ani jej szału, ani po niej nie cierpiała wyrzutów.

Powtarzam: wszystkie jej zbłąkania wynikały z mylnych zasad, a nie z namiętności. Była szlachetna z natury, serce jej było czyste, lubiła to, co uczciwe, skłonności miała cnotliwe i zacne, smak delikatny; słowem, była stworzona do wykwintu moralnego, za którym zawsze tęskniła, a którego nigdy nie zaznała, zamiast bowiem słuchać serca, które ją prowadziło dobrze, słuchała rozumu, który ją prowadził źle. Kiedy fałszywe zasady zagnały ją na manowce, dobre instynkty zawsze stawały im wbrew; ale na nieszczęście miała w głowie ćwieka filozofii, i zasady moralne, które sobie zbudowała, zniszczyły te, które dyktowało jej serce.

Pan de Tavel, pierwszy jej kochanek, był jej mistrzem filozofii i wszczepił jej te właśnie poglądy, które mu były potrzebne przy dziele uwodzenia. Widząc ją przywiązaną do męża, do obowiązków, zawsze chłodną, rozumującą i niedostępną zmysłom, przypuścił szturm drogą sofizmatów[301]. Zdołał jej przedstawić obowiązki, do których była przywiązana, jako katechizmowe bajeczki, dobre do tumanienia dzieci; obcowanie płci — jako akt najzupełniej w sobie obojętny; wierność małżeńską — jako konwenans, którego cała moralność ogranicza się do poszanowania opinii; spokój męża — jako jedyne prawidło powinności żony; tak iż (wedle niego) dobrze zatajona niewierność, nie istniejąc dla tego, kogo dotyka, nie istnieje i dla sumienia. Słowem, wytłumaczył jej, że rzecz sama w sobie jest niczym, że nabiera istnienia dopiero przez wyjście na jaw i że każda kobieta z pozoru cnotliwa tym samym jest nią w istocie. W ten sposób nędznik doszedł do celu, pacząc umysł dziecka, którego serca zepsuć nie był w stanie. Został za to ukarany męką najokrutniejszej zazdrości, jaką podsycało w nim podejrzenie, iż ona postępuje względem niego tak samo, jak ją nauczył, aby postępowała względem męża. Nie wiem, czy się mylił. Pastor Perret uchodził za jego następcę. Tyle wiem, iż chłodny temperament tej młodej kobiety, który, zdawałoby się, winien ją był ubezpieczyć od tych przewrotnych teorii, przeciwnie, utrwalił ją w nich jeszcze. Nie mogła zrozumieć, aby można było przywiązywać tyle wagi do tego, co dla niej nie miało prawie żadnej. Nigdy nie uczciła mianem cnoty wstrzemięźliwości, która kosztowała ją tak niewiele.

Nie byłaby więc wcale nadużywała tej fałszywej zasady dla siebie samej; ale nadużywała jej dla drugich, a to znów dla innej zasady, prawie tak samo fałszywej, ale zgodniejszej z dobrocią jej serca. Zawsze mniemała, iż nic tak nie przywiązuje mężczyzny do kobiety jak posiadanie. Mimo że nie kochała swych przyjaciół inaczej niż przyjaźnią, przyjaźń ta była tak tkliwa, że używała wszelkich środków, jakie miała w swej mocy, aby ich mocniej przywiązać. Co szczególne, to iż prawie zawsze się jej to powiodło. Była naprawdę tak urocza, że im bliżej się z nią żyło, tym więcej znajdowało się nowych przyczyn do kochania. Druga rzecz godna uwagi, to że, od pierwszego błędu, przygarniała zawsze jedynie biedaków. Ludzie uposażeni od losu daremnie zabiegaliby się o nią; ale człowiek, dla którego uczuła zrazu litość, musiałby być bardzo odpychający, aby go w końcu nie pokochała. To zatem, iż nieraz umieszczała swe łaski w sposób tak mało jej godny, nie tylko nie działo się wskutek niskich skłonności, którym nigdy szlachetne jej serce nie

[301] *sofizmat* — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

było dostępne, ale zawsze jedyną przyczyną był jej charakter zbyt wielkoduszny, ludzki, współczujący, wrażliwy, nad którym nie panowała z dostateczną rozwagą.

Jeśli niektóre fałszywe zasady sprowadziły ją na bezdroża, ileż w zamian zdobiło ją cudownych przymiotów, którym się nigdy nie sprzeniewierzyła! Przez ile rzadkich cnót okupywała swoje słabości, jeśli można tym mianem nazwać błędy, w których zmysły tak mało brały udziału! Ten sam człowiek, który ją tak szpetnie wprowadził w błąd na jednym punkcie, oświecił znamienicie i ozdobił jej umysł co do tysiąca innych. Nie podlegając burzliwym namiętnościom i mogąc tym samym iść za wskazówkami rozumu, szła zawsze drogą dobrą, o ile sofizmaty nie sprowadzały jej na manowce. Nawet błędy jej płynęły z chwalebnych pobudek: mogła źle czynić przez zbłąkanie, ale nie mogła chcieć niczego, co by było złem. Nie znała fałszu, kłamstwa, była sprawiedliwa, wyrozumiała, ludzka, bezinteresowna, wierna swemu słowu, przyjaciołom, obowiązkom, o ile je uznała za takie, niezdolna do zemsty i nienawiści, nie pojmując nawet, aby w przebaczeniu mogła tkwić jaka zasługa. Wreszcie (aby wrócić do tego, co najtrudniejsze do usprawiedliwienia), nie ceniąc swoich łask wedle ich wartości, nigdy nie czyniła ich przedmiotem szpetnego handlu; rozdawała je, ale ich nie sprzedawała, mimo że niejednokrotnie cierpiała wprost niedostatek. Śmiem powiedzieć, iż jeżeli Sokrates mógł cenić Aspazję[302], byłby z pewnością poważał panią de Warens.

Wiem z góry, że malując ją jako charakter tkliwy, a temperament chłodny, spotkam się z zarzutami sprzeczności, jak zazwyczaj i równie mało słusznie. Być może, iż natura popełniła błąd i że to skojarzenie nie powinno było istnieć; wiem tylko, że istniało. Wszyscy ci, którzy znali panią de Warens i których sporo żyje jeszcze, mogli wiedzieć, że tak było. Śmiem nawet dodać, że znała ona jedną tylko prawdziwą rozkosz, mianowicie dawać ją tym, których kochała. Wolno każdemu rozprawiać i argumentować do woli i dowodzić uczenie, że to nieprawda; moim zadaniem jest mówić prawdę, ale nie zmuszać do wiary.

Wszystkiego, co powiedziałem w tej chwili, dowiedziałem się z rozmów, które mieliśmy ze sobą po naszym zbliżeniu; one to jedynie uczyniły je rozkosznym. Słusznie spodziewała się pani de Warens, że dobroć jej wyjdzie mi na pożytek; skorzystałem z niej w istocie bardzo wiele dla swego rozwoju. Dotąd mówiła ze mną zawsze tylko o mnie, jak z dzieckiem. Teraz dopiero zaczęła się odnosić do mnie jak do mężczyzny, otwierać mi swoje serce. Wszystko, co mówiła, było dla mnie tak interesujące, poruszało mnie tak głęboko, iż zwierzenia jej o wiele żywiej trafiły mi do duszy niż poprzednie nauki. Kiedy się czuje w istocie, że serce mówi, nasze serce otwiera się, aby przyjąć jego wylewy; i nigdy żadne moralne nauki pedagoga nie będą warte poufnej i tkliwej gawędy z rozumną i kochaną kobietą.

Bliskość, w jakiej żyliśmy teraz, pozwoliła mamusi wyrobić sobie o mnie korzystniejsze mniemanie. Osądziła, że mimo mej niezaradności zasługuję na to, aby mnie kształcić i że skoro się kiedyś ukażę na teatrze świata w odpowiednim rynsztunku, będę umiał sobie dać radę. Przejęta tą myślą, dokładała starań nie tylko, aby ukształtować wnętrze, ale także i zewnętrzną formę i uczynić mnie, przez moje zalety, równie godnym sympatii co szacunku. Jeśli prawdą jest, iż można połączyć powodzenie w świecie z cnotą (w co nie wierzę), pewien jestem, że istnieje do tego jedna jedyna droga, to jest ta, którą obrała i na którą chciała mnie skierować. Pani de Warens znała ludzi i posiadała znakomicie sztukę obcowania z nimi bez kłamstwa i bez zbędnej szczerości, nie oszukując ich i nie drażniąc. Ale ta umiejętność tkwiła raczej w charakterze niż w zasadach; umiała lepiej ją stosować niż jej nauczyć, a ja byłem człowiekiem najmniej w świecie zdolnym do skorzystania z tych nauk. Toteż wszystkie starania w tej mierze poszły niemal na marne, tak samo jak troskliwość, z jaką zaopatrzyła mnie w nauczycieli tańca i fechtunku[303]. Mimo że byłem lekki i zgrabnej postawy, nie byłem w stanie nauczyć się kroku menu-

[302] *Aspazja z Miletu* (ok. 470–ok. 400 p.n.e.) — wpływowa kochanka (później zapewne żona) ateńskiego przywódcy Peryklesa; słynęła z urody, wykształcenia i inteligencji; wg Plutarcha była heterą, czyli kurtyzaną, zaś jej dom stanowił intelektualne centrum Aten, gdzie spotykali się najznakomitsi pisarze i myśliciele, m.in. znany filozof Sokrates. [przypis edytorski]

[303] *fechtunek* (z niem.) — szermierka, sztuka władania bronią białą. [przypis edytorski]

eta[304]. Cierpiałem na odciski, wskutek czego tak nawykłem chodzić na obcasach, że mój pedagog nie mógł mnie od tego oduczyć, i nigdy, mimo dość zwinnego wyglądu, nie byłem zdolny przeskoczyć najmniejszego rowu. Jeszcze gorzej z fechtunkiem. Po trzech miesiącach machałem floretem[305] jak cepami, nie umiejąc wykonać prawidłowego ataku, i nigdy nie osiągnąłem takiej giętkości przegubu ani siły ramienia, aby utrzymać floret, kiedy mistrzowi memu spodobało się wyważyć mi go z ręki. Dodajcie jeszcze, że miałem śmiertelną odrazę do tego ćwiczenia i do nauczyciela, który usiłował mnie z nim obznajmić. Nigdy bym nie uwierzył, że można tak się czuć dumnym ze sztuki zabicia człowieka. Aby swój geniusz zastosować do mego poziomu, wyrażał się tylko porównaniami czerpanymi z muzyki, o której nie miał pojęcia. Znajdował uderzające analogie między tercją i kwartą[306] w fechtunku, a interwałami muzycznymi tej samej nazwy. Kiedy chciał zrobić fintę[307], ostrzegał mnie, abym uważał na „krzyżyk", dawniej bowiem krzyżyki nazywały się „fintami"; kiedy mi wytrącał floret, mówił, śmiejąc się rubasznie, że to „pauza". Słowem, w życia nie widziałem nieznośniejszego pedanta niż ten człeczyna, dumny ze swej kitki i plastronu[308].

Czyniłem tak małe postępy w tych ćwiczeniach, że niebawem porzuciłem je z czystego wstrętu; większe natomiast zdobycze uczyniłem w bardziej użytecznej sztuce, mianowicie tej, aby być zadowolonym ze swej doli, nie pragnąc świetniejszego losu, do którego nie czułem się stworzony. Pochłonięty chęcią umilania życia mamusi, podobałem sobie[309] coraz więcej przy jej boku; a kiedy mi trzeba było oddalić się od niej, aby uganiać po mieście, mimo całej namiętności do muzyki zaczynałem odczuwać ciężar mych lekcji.

Nie wiem, czy Klaudiusz Anet spostrzegł zmianę naszego stosunku. Mam powody przypuszczać, że tak. Był to człowiek bardzo przenikliwy, ale dyskretny, który nie mówił nigdy wbrew swej myśli, ale nie zawsze ją objawiał. Mimo iż nigdy nie zdradził wobec mnie, aby wiedział o czym, postępowanie jego przemawiało za tym; a postępowanie to nie wynikało z pewnością z niskich pobudek, ale z tego, iż przejąwszy się poglądami swej pani, nie mógł potępiać jej za to, że działa w ich duchu. Mimo iż nie starszy od niej, był on tak dojrzały i poważny, że patrzał na nas prawie jako na dwoje dzieci godnych pobłażania, a my patrzyliśmy nań oboje jako na statecznego mężczyznę, na którego szacunku nam zależało. Dopiero wówczas kiedy mu się stała niewierną, poznałem, jak bardzo mamusia była do niego przywiązana. Ponieważ wiedziała, że myślę, czuję, oddycham jedynie przez nią, okazywała mi jawnie, jak go kocha, abym i ja go kochał tak samo; a więcej jeszcze niż na przyjaźń dla niego kładła nacisk na swój szacunek, ponieważ było to uczucie, które w najszerszej mierze mogłem podzielać. Ileż razy wzruszyła nasze serca i ściskała nas obu ze łzami, powiadając, iż obaj jesteśmy potrzebni dla szczęścia jej życia! I niechaj kobiety, czytając te słowa, nie uśmiechają się złośliwie. Przy jej temperamencie, a raczej jego braku, potrzeba ta nie była dwuznaczną; była jedynie potrzebą serca.

Tak wytworzyła się między nami trojgiem spójnia, jakiej przykładu nie było może na ziemi. Wszystkie nasze chęci, troski, wprost nasze serca, były wspólne; nic nie istniało poza granicami tego małego kółka. Przyzwyczajenie życia razem i życia wyłącznie z sobą stało się tak silne, że kiedy w godzinie posiłku brakło jednego z trojga albo też przybył ktoś czwarty, wszystko było popsute. Mimo naszych poszczególnych związków, sam na sam były nam mniej słodkie niż wspólne zebrania. Bezgraniczne zaufanie usuwało z nich wszelki przymus, nudę zaś wykluczało to, iż byliśmy bardzo zajęci. Mamusia, zawsze snująca plany i zawsze czynna, nie pozwalała żadnemu z nas próżnować; prócz tego każdy miał dość sposobów wypełnienia czasu. Według mnie bezczynność nie w mniejszym stopniu jest plagą życia społecznego jak samotności. Nic bardziej nie zacieśnia umysłu, nie płodzi więcej małostek, plotek, obmowy, sprzeczek, kłamstw, niż kiedy ludzie siedzą wspólnie zamknięci w pokoju, skazani, za całe zatrudnienie, na konieczność ustawnego[310] paplania. Kiedy wszyscy są zajęci, każdy mówi tylko wówczas, kiedy ma coś do powiedzenia; ale

[304] *menuet* — dawny taniec francuski z figurami, wprowadzony w połowie XVII w. na dwór Ludwika XVI, nadal modny w w. XVIII. [przypis edytorski]

[305] *floret* — broń szermiercza. [przypis edytorski]

[306] *tercja i kwarta w fechtunku* — nazwy pozycji obronnych w szermierce. [przypis edytorski]

[307] *finta* — w szermierce: zwód, ruch wykonany dla zmylenia przeciwnika. [przypis edytorski]

[308] *plastron* — tu: skórzany napierśnik używany podczas ćwiczeń szermierki. [przypis edytorski]

[309] *podobać sobie* (daw.) — upodobać sobie; mieć upodobanie; lubić. [przypis edytorski]

[310] *ustawny* (daw.) — ustawiczny, nieustanny, stały. [przypis edytorski]

kiedy się nic nie robi, trzeba mówić ciągle. Oto ze wszystkich rodzajów przymusu najuciążliwszy i najniebezpieczniejszy. Śmiem iść dalej i twierdzę, że aby zebranie mogło być naprawdę przyjemne, trzeba nie tylko, aby każdy był zajęty, ale do tego zajęty czymś, co wymaga nieco uwagi. Robić szydełkiem, to znaczy nic nie robić; tyleż wymaga trudu zabawić kobietę robiącą szydełkiem, jak wówczas gdy siedzi z założonymi rękami. Ale kiedy haftuje, to co innego; zajęcie to wystarcza, aby wypełnić przerwy w rozmowie. Śmieszne i drażniące jest patrzeć na pół tuzina wałkoniów, jak wstają, osiadają, idą, wracają, okręcają się na pięcie, obracają dwieście razy figurkę na kominku i dręczą mózgownice, aby podtrzymywać nieustający potok słów. W istocie, ładne zajęcie! Tacy ludzie, cokolwiek by czynili, zawsze będą ciężarem sobie i drugim. Kiedy byłem w Motier, chodziłem robić siatki do moich sąsiadek; gdybym znów zaczął żyć w świecie, miałbym zawsze w kieszeni swój bilbokiecik[311] i bawiłbym się nim cały dzień, aby się uwolnić od potrzeby mówienia, kiedy bym nie miał nic do powiedzenia. Gdyby każdy czynił tak samo, ludzie staliby się mniej źli, stosunki między nimi bezpieczniejsze, a myślę że i przyjemniejsze. Słowem, niech żartownisie śmieją się, jeśli mają ochotę, ale ja twierdzę, że jedyna moralność dostępna naszej epoce, to moralność bilbokietu.

Zresztą, nie zostawiano nam nadto sposobności bronienia się od nudów; zbyt wiele nam ich zadawali natręci swymi uprzykrzonymi wizytami, abyśmy mieli czas nudzić się, zostawszy w swoim kółku. Niecierpliwość, o którą przyprawiali mnie niegdyś wieczni goście, nie zmniejszyła się, jedyną różnicą było to, iż miałem mniej czasu na wyrażenie jej. Biedna mamusia nie wyzbyła się wcale dawnej namiętności do przedsiębiorstw[312] i projektów; przeciwnie, im bardziej domowe potrzeby stawały się naglące, tym bardziej, chcąc im wydołać, ścigała swoje chimery. Im mniej miała środków obecnie, tym więcej dawała folgę fantazji na przyszłość. Postęp lat jedynie powiększał w niej tę manię; w miarę jak traciła zamiłowanie do uciech świata, zastępowała je rozkoszami tajemnic i projektów. Z domu nie wychodzili szarlatani, fabrykanci, alchemicy, awanturnicy, którzy, rozdając fortuny milionami, zawsze w końcu potrzebowali jakiegoś talara. Żaden nie wyszedł od niej z próżnymi rękami, i tylko dziwię się, że tak długo mogła nastarczyć tej rozrzutności bez wyczerpania jej źródła, a zarazem cierpliwości wierzycieli.

Projekt, który najbardziej pochłaniał ją wówczas, a który nie był najbardziej niedorzeczny ze wszystkich, jakie tworzyła, to było założenie w Chambéry królewskiego ogrodu botanicznego z posadą płatnego demonstratora; można odgadnąć, dla kogo miejsce to było przeznaczone. Położenie miasta w samym wnętrzu Alp było bardzo pomyślne dla studiów botanicznych; a mamusia, która zawsze na poparcie jednego projektu stwarzała drugi, dołączyła do owego ogrodu instytut farmaceutyczny, który w istocie mógł być użyteczny w tym kraju tak biednym, gdzie aptekarze są prawie jedynymi lekarzami.

Okolicznością, która sprzyjała temu projektowi i może nasunęła go nawet, był fakt, iż protomedyk[313] Grossi po śmierci króla Wiktora osiedlił się w Chambéry. Na wszelki wypadek, mamusia zaczęła sidłać swymi uprzejmościami Grossiego, który nie bardzo był uprzejmościom dostępny; był to najbardziej cierpki i brutalny człowiek, jakiego znałem. Można osądzić z paru rysów, które przytoczę.

Jednego dnia znajdował się on na konsylium z paru lekarzami, między innymi jednym, sprowadzonym z Annecy, domowym lekarzem chorego. Ów młody człowiek snadź jeszcze nie dość zaprawiony w zawodzie lekarza, ośmielił się nie podzielać zdania pana protomedyka. Ten za całą odpowiedź spytał go, którędy będzie wracał do domu i jakiej lokomocji ma zamiar użyć. Lekarz, zaspokoiwszy jego ciekawość, pyta z kolei, czy może mu w czym usłużyć. „Nic, nic — rzecze Grossi — chciałem tylko wyjrzeć z okna, gdy pan będzie przejeżdżał, aby mieć przyjemność oglądania osła jadącego na mule". Był równie skąpy, jak bogaty i nieużyty. Jeden z przyjaciół chciał raz pożyczyć od niego pieniędzy na dobrą hipotekę. „Mój przyjacielu — rzekł, ściskając mu ramię i zgrzytając zębami —

[311] *bilbokiet* (z fr. *bilboquet*) — zabawka powstała z XVI w., składająca się z kijka z uchwytem połączonego sznurkiem z kulką; podstawą zabawy bilbokietem jest podrzucenie kulki ruchem uchwytu i złapanie jej na kijek. [przypis edytorski]

[312] *przedsiębiorstwo* — tu: przedsięwzięcie. [przypis edytorski]

[313] *protomedyk* (daw.) — pierwszy lekarz, główny lekarz monarchy a. miasta. [przypis edytorski]

gdyby święty Piotr zstąpił z nieba, aby pożyczyć ode mnie dziesięć pistolów[314] i dawał mi w zastaw Trójcę Świętą, nie pożyczyłbym". Jednego dnia, zaproszony na obiad do hrabiego Picon, gubernatora Sabaudii, wielkiego dewota, przybył za wcześnie; Jego Ekscelencja, zajęty odmawianiem różańca, proponuje mu tę zabawę. Nie wiedząc, co powiedzieć, wykrzywia się straszliwie i klęka; ale zaledwie odmówił dwa *Ave*, nagle, nie mogąc dłużej wytrzymać, zrywa się, chwyta laskę i odchodzi bez słowa. Hrabia Picon biegnie za nim i krzyczy: „Panie Grossi, panie Grossi! Zostań pan, mamy świetną kuropatwę". — „Panie hrabio — odparł tamten, odwracając się — choćbyś mi pan dawał pieczonego anioła, nie zostanę". Oto co za człowiek był protomedyk Grossi, którego mamusia zdołała wreszcie obłaskawić. Mimo iż bardzo zajęty, przyzwyczaił się zachodzić do niej często, polubił Aneta, zaznaczał, iż ceni jego wiedzę, mówił o nim z uznaniem i, czego by się nikt nie spodziewał po takim niedźwiedziu, traktował go z wyszukanymi względami, aby zatrzeć drażliwość jego początków. Mimo bowiem iż Anet od dawna nie pozostawał na stopie służącego, wiedziano, że był nim dawniej; trzeba było dopiero przykładu i powagi pana protomedyka, aby poddać w stosunku do niego ton, którego by z pewnością komu innemu nie udało się narzucić. Klaudiusz Anet, w swym czarnym ubraniu, starannie uczesanej peruce, z przystojną i poważną fizjonomią, statecznym i roztropnym obejściem, dość rozległymi wiadomościami w zakresie medycyny i botaniki oraz poparciem głowy fakultetu, mógł słusznie mieć nadzieję chlubnego wywiązania się z obowiązków królewskiego demonstratora roślin, w razie gdyby zamierzony instytut doszedł do skutku. W istocie, Grossi zasmakował w tym planie, pochwalił go i aby go przedłożyć u dworu, oczekiwał jedynie chwili, gdy zawarcie pokoju pozwoli myśleć o użytecznych rzeczach i rozporządzać jakąś sumką potrzebną na ich wykonanie.

Ale ten projekt, którego spełnienie byłoby mnie pewnie pchnęło w kierunku botaniki, do czego zdaje się byłem stworzony, chybił wskutek jednego z owych ciosów, które burzą najlepiej pomyślane plany. Było mi przeznaczone stać się, spadając ze szczebla na szczebel, przykładem ludzkich niedoli. Rzekłby ktoś, że to Opatrzność, która powołała mnie do tych wielkich prób, usuwała rękę od wszystkiego, co by mnie mogło wstrzymać na drodze mej golgoty. W czasie wycieczki, którą Anet podjął w wysokie góry po *genipi*, rzadką roślinę znajdującą się tylko w Alpach, a potrzebną panu Grossi, biedny chłopak zmęczył się tak, iż dostał pleurezji[315], z której owo *genipi* nie mogło go uleczyć, jakkolwiek jest, powiadają, specyfikiem na tę chorobę. Mimo całej sztuki Grossiego, który z pewnością był bardzo biegłym lekarzem, mimo najpieczołowitszych starań, jakimiśmy go otoczyli, umarł piątego dnia w naszych rękach po okrutnej agonii, w czasie której ja tylko krzepiłem go swymi ekshortacjami[316]. Udzielałem mu ich w wybuchach boleści i przywiązania, które, jeśli był w stanie mnie zrozumieć, musiały mu być pewną pociechą. Oto jak straciłem najpewniejszego przyjaciela, jakiego miałem w życiu; szacownego i rzadkiego człowieka, w którym szlachetność natury zastąpiła wychowanie, który w stanie służebnym pielęgnował wszystkie cnoty niepospolitych ludzi i który może zabłysnąłby nimi przed światem, gdyby okoliczności powołały go na szerszą arenę.

Choroba, Śmierć

Żałoba

Nazajutrz rozmawiałem o nim z mamusią z najżywszym i najszczerszym zmartwieniem, kiedy nagle wśród rozmowy przemknęła mi przez głowę niska i szpetna myśl, że z kolei rzeczy mnie przypadnie dziedziczyć po Anecie jego odzież, a zwłaszcza piękne czarne ubranie, które mi wpadło w oko. Pomyślałem to, tym samym powiedziałem; w stosunku do mamusi było to dla mnie jedno i to samo. Nic tak dotkliwie nie dało jej odczuć straty, którą poniosła, jak to wstrętne i nikczemne oderwanie: bezinteresowność bowiem i szlachetność duszy, były to przymioty, które zmarły posiadał w najwyższym stopniu. Biedna kobieta nic nie odpowiedziała, odwróciła się i zaczęła płakać. Drogie i szacowne łzy! Zrozumiałem je, spłynęły do mego serca; spłukały w nim, do ostatnich śladów, wszelkie niskie i pospolite uczucie. Nigdy od tego czasu już się doń nie wślizgnęło.

[314] *pistol* — francuska nazwa dublona, złotej monety hiszpańskiej, lub wzorowanego na nim francuskiego luidora (ludwika). [przypis edytorski]

[315] *pleurezja* (daw.) — zapalenie opłucnej. [przypis edytorski]

[316] *ekshortacje* (z łac. *exhortatio*: napomnienie) — tu: egzorty, modlitwy za konających a. za zmarłych. [przypis edytorski]

Ta strata stała się dla mamusi nie tylko wielką boleścią, ale i wielką szkodą. Od tego czasu interesy jej coraz bardziej zaczęły podupadać. Anet był to człowiek ścisły i rządny i on jeden utrzymywał jaki taki ład w domu. Obawiano się jego czujności; stąd i marnotrawstwo było mniejsze. Ona sama lękała się jego nagany i powściągała się w rozrzutności. Nie dość jej było posiadać jego przywiązanie, dbała i o jego szacunek i lękała się słusznych wymówek, które ośmielał się jej niekiedy czynić, gdy trwoniła cudze dobro na równi z własnym. Myślałem jak on, przemawiałem nawet, ale nie miałem jego powagi i przestrogi moje nie czyniły wrażenia. Kiedy Aneta nie stało, musiałem objąć jego rolę, do czego miałem równie mało zdolności, jak powołania; wypełniałem ją też bardzo licho. Byłem nie dość staranny, a przy tym bardzo nieśmiały; gderając coś pod nosem, cierpiałem, iż wszystko się rozłazi. Zresztą, zażywałem wprawdzie u mamusi tego samego zaufania, ale nie tej samej powagi. Widziałem nierząd[317], biadałem nad nim, łajałem — nie zyskiwałem posłuchu. Byłem zbyt młody i zbyt żywy, aby mieć prawo być rozsądnym; kiedy chciałem bawić się w cenzora, mamusia dawała mi pieszczotliwe klapsy po twarzy, nazywała mnie swoim mentorem i zmuszała do roli, która mi lepiej przystała.

Pieniądz, Tajemnica

Zdawałem sobie sprawę, iż nieumiarkowane wydatki muszą prędzej czy później wtrącić ją w nędzę. Czułem to tym wyraźniej, odkąd, objąwszy niejako zarząd domu, własnymi oczami mogłem osądzić nierówność dochodów i wydatków. Od tej epoki datuje skłonność do skąpstwa, która się we mnie rozwinęła. Nigdy, poza jakimś chwilowym wybrykiem, nie byłem szalenie rozrzutny; ale dotąd nie troszczyłem się zbytnio o to, czy mam mało czy dużo. Obecnie zacząłem się nad tym zastanawiać i troszczyć o stan mej sakiewki. Stawałem się brudasem z bardzo szlachetnego motywu: jedynym mym celem było zabezpieczyć mamusi jakiś fundusik na wypadek katastrofy, którą przewidywałem. Lękałem się, aby wierzyciele nie zajęli pensji lub aby pensji tej zupełnie nie zniesiono. Wyobrażałem sobie, wedle mych ciasnych horyzontów finansowych, iż mój skarbczyk może się wtedy stać wielką pomocą. Ale aby go uskładać, a zwłaszcza uchować, musiałem się kryć; nie wypadało bowiem, aby mamusia, szamocąc się sama z kłopotami, wiedziała, że ja tymczasem duszę pieniądze. Wyszukiwałem tedy kryjówki, w które wsuwałem ukradkiem jakieś parę ludwików, z nadzieją powiększania tego skarbu aż do chwili, w której będę go mógł złożyć u jej stóp. Ale byłem tak niezręczny w wyborze kryjówek, że mamusia zawsze je wypatrzyła; po czym, aby mi dać znać, że znalazła, zabierała moje złoto, kładąc sumkę zazwyczaj większą jeszcze, ale w innej monecie. Szedłem, zawstydzony, złożyć do wspólnej kasy mój mały skarb, który mamusia zwykle obracała dla mnie, na jakieś fatałaszki, jak np. srebrna szpada, zegarek, albo coś w tym rodzaju.

Przekonawszy się dowodnie, iż oszczędzanie nie powiedzie mi się nigdy i nie na wiele przyda się mej opiekunce, zdałem sobie sprawę, iż jedyną dla mnie drogą jest starać się, abym we własnych talentach mógł kiedyś znaleźć środki do życia dla nas obojga, wówczas gdy jej samej zabraknie chleba. Nieszczęściem, dostrajając projekty do moich upodobań, upierałem się w szalonej myśli szukania losu w muzyce. Czując w głowie pomysły i melodie, uwierzyłem, że skoro tylko będę mógł je wyzyskać, stanę się zaraz sławnym człowiekiem, nowożytnym Orfeuszem[318], którego dźwięki sprowadzą na mnie deszcz złota. Doszedłem do tego, iż nauczyłem się czytać jako tako nuty; obecnie najważniejszym było nauczyć się kompozycji. Trudność była w tym, aby znaleźć kogoś, kto by mnie jej nauczył; sam bowiem, tylko przy pomocy mego Rameau, nie spodziewałem się tego osiągnąć, a od wyjazdu Mistrza nie było w Sabaudii nikogo, kto by bodaj trochę rozumiał się na harmonii.

Tu okaże się jeszcze jedna z owych niekonsekwencji, od których roi się w mym życiu i które tak często kazały mi iść na wspak celowi wówczas właśnie, gdy na pozór zmierzałem prosto do niego. Venture mówił mi wiele o księdzu Blanchard, swoim mistrzu, człowieku wielkiej nauki i talentu, który wówczas był kapelmistrzem przy katedrze w Besançon, później zaś zajmował takież stanowisko w Wersalu. Uroiłem sobie jechać do Besançon uczyć się u księdza Blanchard. Myśl wydała mi się tak rozsądna, że zdołałem do niej przekonać i mamusię. Natychmiast zabrała się do przygotowania małej wyprawki, i to z zapałem, jaki wkładała we wszystko. Tak oto, wciąż z zamiarem zapobieżenia

[317] *nierząd* (daw.) — brak rządu, sprawnego zarządzania; anarchia, zamęt. [przypis edytorski]

[318] *Orfeusz* (mit. gr.) — niezrównany poeta i pieśniarz, jego muzyka miała wzruszać nawet zwierzęta i uspokajać wzburzone morze. [przypis edytorski]

bankructwu mamusi, zacząłem na razie od tego, iż przysporzyłem jej wydatku ośmiuset franków; przyspieszyłem ruinę, aby zdobyć środki dla złagodzenia jej następstw. Mimo całego szaleństwa tego postępku, działaliśmy, ja i ona nawet, w najlepszej wierze. Ja byłem przekonany, iż w ten sposób pracuję z pożytkiem dla niej, ona, że pracuję z pożytkiem dla siebie samego.

Spodziewałem się, iż zastanę jeszcze Venture'a w Annecy i poproszę o list do księdza Blanchard. Już go nie było. Za całą informację trzeba mi się było zadowolić mszą na cztery głosy, jego kompozycji i pióra, którą mi zostawił. Z tym listem polecającym puszczam się do Besançon, przejeżdżając przez Genewę, gdzie odwiedziłem krewnych, i przez Nyon, gdzie wstąpiłem do ojca. Przyjął mnie jak zwykle i podjął się wyprawić za mną tobołek, który miał przyjść dopiero po mnie, ile że podróż odbywałem konno. Przybywam do Besançon. Ksiądz Blanchard przyjął mnie dobrze, obiecał wskazówki i ofiarował usługi. Już mieliśmy zaczynać, kiedy dowiaduję się z listu ojca, że tobołek mój przytrzymano i skonfiskowano w Rousses, komorze[319] francuskiej na granicy Szwajcarii. Przerażony tą nowiną, poruszam wszystkie stosunki, jakie już miałem w Besançon, aby się dowiedzieć o motywach konfiskaty. Pewny, że nie miałem żadnej kontrabandy, nie mogłem pojąć, na jakim pozorze mogli się oprzeć. Dowiaduję się wreszcie; trzeba opowiedzieć rzecz całą, bo wypadek jest w istocie ciekawy.

Widywałem w Chambéry starego lyończyka, poczciwego człowieka, nazwiskiem Duvivier, który urzędował niegdyś „w wizach" za Regencji[320], i który w braku innego zajęcia zgodził się pracować w katastrze. Niegdyś był to światowy człowiek. Posiadał talenty, nieco wykształcenia, miłe obejście; znał się na muzyce; że zaś pracowałem z nim w jednej kwaterze, wśród niedźwiadków, którzy nas otaczali, zbliżyliśmy się z sobą naturalną siłą atrakcyjną. Zachował on pewne stosunki w Paryżu; z nich czerpał owe przyjemne fraszki, owe ulotne nowości, które rodzą się nie wiadomo skąd, umierają nie wiadomo jak, i o których nikt nie pomyśli, skoro się przestanie o nich mówić. Ponieważ od czasu do czasu brałem go na obiad do mamusi, zabiegał się po trosze o moje względy i aby się wypłacić niejako, starał się obudzić we mnie smak do tych ramot[321], do których zawsze miałem taką odrazę, że nigdy nie zdarzyło mi się w życiu przeczytać samemu bodaj jednej. Nieszczęściem, jeden z tych przeklętych świstków został w kieszeni od kamizelki nowego ubrania, które włożyłem na siebie parę razy, aby być w porządku z celnikami[322]. Ten świstek była to dość płaska jansenistyczna[323] parodia pięknej sceny z *Mitrydata* Racine'a[324]. Nie przeczytałem ani dziesięciu wierszy i zostawiłem papier przez zapomnienie w kieszeni. Oto co spowodowało konfiskatę. Urzędnicy, spisując inwentarz walizki, pomieścili na czele wspaniały protokół, w którym, w przypuszczeniu, iż pismo to przemyca ktoś z Genewy po to, aby je wydrukować i rozszerzać we Francji, rozwodzili się w świętem oburzeniu przeciw nieprzyjaciołom Boga i Kościoła i w pochwałach nad swą pobożną czujnością, która wstrzymała wykonanie piekielnego zamysłu. Uważali widocznie, że i moje koszule trącą herezją, gdyż na rachunek tego straszliwego papieru wszystko uległo konfiskacie i nigdy nie otrzymałem żadnego wyjaśnienia ani wiadomości o mym biednym tobołku. Urzędy, do których się zwracano, wymagały tylu szczegółów, informacji, certyfikatów, dokumentów, iż zgubiwszy się sto razy w tym labiryncie, musiałem wszystkiego poniechać. Żałuję szczerze, że nie zachowałem protokołu z komory w Rousses: był to dokument godny zająć chlubne miejsce wśród tych, których zbiór mam dołączyć do niniejszego rękopisu.

Ta strata sprowadziła mnie z powrotem do Chambéry, nim zdążyłem cośkolwiek zacząć z księdzem Blanchard. Widząc, iż nieszczęście jakieś ściga mnie we wszystkich

[319] *komora* — tu: komora celna, graniczny urząd celny. [przypis edytorski]

[320] *za Regencji* — w latach 1715–1723, kiedy władzę we Francji w imieniu małoletniego króla Ludwika XV sprawował książę Filip Orleański. [przypis edytorski]

[321] *ramota* — pisanina bez większej wartości literackiej. [przypis edytorski]

[322] *nowego ubrania, które włożyłem na siebie parę razy, aby być w porządku z celnikami* — zupełnie nowe, nienoszone ubranie celnicy mogliby uznać za wwożone w celu sprzedaży. [przypis edytorski]

[323] *jansenistyczny* — przym. od rzecz. *jansenizm*: katolicki ruch teologiczny funkcjonujący we Francji w XVII–XVIII w., inspirowany pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej i koncentrujący się na znaczeniu Bożej łaski, potępiony przez Kościół katolicki. [przypis edytorski]

[324] *Racine, Jean Baptiste* (1639–1699) — fr. poeta i dramaturg, autor m.in. *Andromachy* i *Fedry*. [przypis edytorski]

przedsięwzięciach, postanowiłem wreszcie trzymać się jedynie mamusi, dzielić jej dolę i nie troskać się o przyszłość, której nie mogłem zaradzić. Przyjęła mnie, jak gdybym wrócił obładowany skarbami, odnowiła powoli mą skromną garderobę i całe to nieszczęście, dość znaczne dla nas obojga, poszło prawie natychmiast w niepamięć.

Mimo że ta katastrofa ostudziła mnie w projektach muzycznych, nie przestałem dalej studiować mego Rameau. Dzięki wysiłkom doszedłem wreszcie do tego, iż zacząłem go rozumieć. Skleiłem parę kompozycji, których powodzenie zachęcało mnie. Hrabia de Bellegarde, syn margrabiego d'Antremont, wrócił z Drezna po śmierci króla Augusta[325]. Długo mieszkał w Paryżu, lubił namiętnie muzykę, zwłaszcza Rameau. Brat jego, hrabia de Nangis, grywał na skrzypcach; hrabina de la Tour, ich siostra, śpiewała trochę. Wszystko to wprowadziło w Chambéry muzykę w modę. Stworzono rodzaj publicznego koncertu, którego zrazu ja miałem objąć dyrekcję, ale spostrzeżono niebawem, iż przechodzi to moje siły i ułożono rzecz inaczej. Bądź co bądź, udało mi się wykonać parę drobnych utworów swojej kompozycji, między innymi kantatę, która się bardzo podobała. Nie był to utwór dobrze zbudowany, ale pełno w nim było nowych melodii i efektów, jakich nie spodziewano się po mnie. Obaj panowie nie mogli uwierzyć, abym czytając tak licho nuty, mógł mimo to komponować wcale nieźle, i ani wątpili, iż ustroiłem się w cudze piórka. Aby sprawdzić rzecz, jednego ranka przyszedł do mnie pan de Nangis z kantatą Clérambaulta, którą przetransponował, jak mówił, dla siebie. Chodziło o to, aby dorobić akompaniament, ponieważ oryginalny nie da się jakoby zgodzić z transpozycją. Odpowiedziałem, że to jest nie lada praca i że się jej nie da wykonać od ręki. Myślał, że się chcę wykręcić, i prosił, bym ułożył akompaniament bodaj do jednej melodii. Ułożyłem go tedy, licho zapewne, bo aby coś zrobić dobrze, trzeba mi w każdej rzeczy czasu i swobody; ale ułożyłem w każdym razie podług reguł; że zaś pan de Nangis był przy tym obecny, nie mógł dłużej wątpić o mej znajomości prawideł kompozycji. Dzięki temu nie straciłem lekcji, ale ostygłem nieco do muzyki, widząc, że złożył się koncert i że się obszedł bez mego współudziału.

W tym mniej więcej czasie po zawarciu pokoju armia francuska wracała przez góry. Wielu oficerów odwiedziło mamusię, między innymi hrabia de Lautrec, pułkownik pułku orleańskiego, później ambasador w Genewie i wreszcie marszałek Francji. Zostałem mu przedstawiony. Z tego, co mu mamusia o mnie powiedziała, zdawał się bardzo mną przejęty; poczynił mi różne nadzieje, o czym przypomniał sobie dopiero w ostatnim roku swego życia, wówczas kiedy już nie potrzebowałem jego usług. Młody margrabia de Sennecterre, którego ojciec był wówczas ambasadorem w Turynie, przejeżdżał w tym samym czasie przez Chambéry. Był na obiedzie u pani de Menthon; ja również. Po obiedzie rozmowa zeszła na muzykę, w której był kuty na cztery nogi. Opera *Jephte*[326] była wówczas nowością; wspomniał o niej, przyniesiono nuty. Zadrżałem, kiedy mi zaproponował, abyśmy we dwóch wykonali tę operę. Otwierając, natrafił na ten sławny ustęp na dwa chóry:

Ziemia, niebo, piekło samo,
Wszystko korzy się przed Panem.

Rzekł do mnie: „Ile pan chcesz objąć partii? Ja podejmuję się tych sześciu". Nie byłem jeszcze przyzwyczajony do tej francuskiej werwy; mimo iż niekiedy zdarzyło mi się odstękać jaką partycję, nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób jeden człowiek może wykonać sześć partii, a choćby dwie. Nie było dla mnie uciążliwszej rzeczy w muzyce niż takie lekkie przeskakiwanie z jednej partii do drugiej i równoczesne ogarnianie okiem całej partytury. Ze sposobu, w jaki wywiązałem się z zadania, pan de Sennecterre musiał nabrać podejrzenia, że nie mam pojęcia o muzyce. Może dla sprawdzenia tej wątpliwości zaproponował mi spisanie melodii, którą chciał ofiarować pannie de Menthon. Nie mogłem się wymówić. Zaśpiewał piosenkę, ja notowałem, nie żądając zbyt wielu powtó-

[325] *August II Mocny* (1670–1733) — elektor Saksonii (jako Fryderyk August I) z dynastii Wettynów, elekcyjny król Polski. [przypis edytorski]

[326] *Jephté* — opera fr. kompozytora Michela Pignolet de Montéclaira z librettem Simon-Josepha Pellegrina, opartym na biblijnej historii wodza Jeftego i jego córki, wystawiona po raz pierwszy 28 lutego 1732. [przypis edytorski]

rzeń. Odczytał ją i znalazł, że jest bardzo poprawnie zanotowana, bo też tak było. Widząc poprzednio me zakłopotanie, podkreślał teraz z przyjemnością ten mój drobny tryumf. Była to wszelako rzecz nader prosta. W gruncie posiadałem muzykę bardzo dobrze; brakło mi jedynie owego błyskawicznego rzutu oka, którego nie miałem nigdy w niczym, a który w muzyce można nabyć jedynie długą praktyką. Bądź co bądź, wdzięczny mu byłem za tę miłą gorliwość, z jaką starał się zatrzeć w oczach drugich i moich własnych mały wstyd, którego doznałem poprzednio. W dwanaście czy piętnaście lat później, spotykając się z nim w salonach paryskich, miałem wiele razy pokusę przypomnieć mu to zdarzenie i okazać, iż zachowałem pamięć o nim. Ale od tego czasu stracił oczy; lękałem się odnowić jego ranę, przypominając mu ich dawniejszą sprawność, zmilczałem przeto.

Dotykam tu momentu, który stanowi poniekąd łącznik mej minionej egzystencji z obecną. Niektóre przyjazne stosunki z tamtej epoki, przeciągając się w późniejszą, stały mi się bardzo cenne. Często przyszło mi żałować owego szczęśliwego czasu skromnej mierności, kiedy ci, którzy oświadczali mi się z przyjaźnią, kochali mnie dla mnie samego, przez prostą życzliwość, a nie przez próżność utrzymywania stosunków z głośnym człowiekiem lub przez ukrytą chęć szkodzenia mi. Od owego to czasu datuje pierwsza znajomość z moim starym przyjacielem Gauffecourt, który pozostał nim zawsze, mimo wszelkich starań, jakie czyniono, aby go ode mnie odwrócić. Zawsze pozostał! Nie. Niestety! Straciłem go niedawno. Ale nie przestał mnie kochać, póki żył, i przyjaźń nasza zgasła dopiero z nim samym. Pan de Gauffecourt był to jeden z najmilszych ludzi jacy istnieli. Niepodobna go było poznać, aby go nie polubić, a żyć z nim bliżej, aby się doń nie przywiązać na zawsze. W życiu nie widziałem fizjonomii bardziej otwartej, serdecznej, pogodnej, bardziej tryskającej uczuciem i rozumem, bardziej budzącej zaufanie. Choćby się było nie wiem jak powściągliwym, mimo woli od pierwszego zetknięcia było się z nim tak poufale, jakby się go znało od lat dwudziestu. Ja, który się tak trudno oswajam z widokiem nowych twarzy, z nim czułem się swobodny natychmiast. Jego ton, akcent, rozmowa były w zupełnej zgodzie z fizjonomią. Dźwięk głosu miał jasny, pełny; dźwięczny, piękny bas, jędrny i wnikliwy, który radował ucho i wibrował w sercu. Niepodobna, by mogła istnieć równiejsza i bardziej luba wesołość, prostszy i naturalniejszy wdzięk, milsze i pielęgnowane z większym smakiem talenty. Dołączcie do tego serce kochające, ale kochające nieco nadto cały świat, charakter uczynny bez wyboru, z zapałem gotowy oddać się na usługi przyjaciół lub raczej widzący przyjaciół w ludziach, którym mógł usłużyć; przy tym umiejący zręcznie załatwiać własne sprawy, załatwiając bardzo gorąco sprawy drugich. Gauffecourt był synem prostego zegarmistrza i sam też był zegarmistrzem. Ale talenty jego, jak i jego warunki, przeznaczały go do innej sfery, gdzie też niebawem znalazł poczesne miejsce. Zapoznał się z panem de la Closure, posłem francuskim w Genewie, który nabrał doń sympatii. Polecił go w Paryżu przyjaciołom; dzięki stosunkom zyskał sobie dostawę soli w Valais, co równało się dwudziestu tysiącom funtów rocznie. Ale o ile mężczyźni darzyli go sympatią, kobiety po prostu cisnęły się do niego; kłopot miał tylko z wyborem. Rzeczą rzadką i najzaszczytniej o nim świadczącą było to, iż mając stosunki we wszystkich sferach, wszędzie był lubiany, rozrywany w każdym towarzystwie, a nigdy nie ściągnął na siebie niczyjej zazdrości ani nienawiści; sądzę, że umarł, nie uczyniwszy sobie w życiu ani jednego wroga. Szczęśliwy człowiek! Odwiedzał co roku kąpiele w Aix, gdzie się zbiera wykwintny świat okoliczny. Zażyły z całą szlachtą sabaudzką, przybył z Aix do Chambéry odwiedzić hrabiego de Bellegarde i ojca jego, margrabiego d'Antremont, w którego domu mamusia mnie z nim zapoznała. Znajomość ta, która zdawała się nie mieć żadnych widoków i na szereg lat się przerwała, odnowiła się przy sposobności, o której powiem i zmieniła się w prawdziwą przyjaźń. Ale gdyby nawet wspomnienie jego nie tyczyło mnie tak blisko osobiście, był to człowiek tak uroczy i tak obdarzony przez naturę, iż dla samej czci rodzaju ludzkiego uważałbym, iż godzi się przechować jego pamięć. Ten tak czarujący człowiek miał zapewne, jak się okaże, swoje wady, ale gdyby ich nie miał, nie byłby może tak uroczy.

Druga przyjaźń z owego czasu jeszcze nie wygasła i mami mnie dotąd tą nadzieją doczesnego szczęścia, która tak trudno zamiera w sercach ludzi. Pan de Conzié, szlachcic sabaudzki, wówczas młody i ujmującej postaci, powziął kaprys uczenia się muzyki lub raczej zbliżenia się z tym, który jej uczył. Z bystrością i smakiem w rzeczach sztuki pan de Conzié łączył słodycz charakteru, która czyniła go bardzo miłym i serdecznym

w pożyciu — cnoty, które i ja posiadam w wysokim stopniu, o ile je czuję w drugich. Niebawem zaprzyjaźniliśmy się[327]. Zarodek literatury i filozofii, który zaczynał fermentować w mej głowie i potrzebował jedynie nieco uprawy i podniet współzawodnictwa, aby się rozwinąć, znalazł je w tym zbliżeniu. Pan de Conzié mało miał zdolności do muzyki; to było dla mnie wielkie szczęście; lekcje schodziły nam na czym innym niż na solfedżjowaniu. Śniadaliśmy razem, rozmawiali, czytali to i owo z nowości, o muzyce ani słowa. Korespondencja Woltera[328] z księciem pruskim[329] napełniała wówczas świat rozgłosem. Rozmawialiśmy często o tych dwóch sławnych ludziach, z których jeden, od niedawna na tronie, zapowiadał się takim, jakim się miał niebawem okazać, drugi zaś, równie mieszany z błotem jak dziś jest otoczony podziwem, budził w nas szczere współczucie z powodu nieszczęść, które tak często są klątwą wielkich talentów. Książę pruski nie zaznał szczęścia w miłości; Wolter nie miał — zdawało się — pokosztować go nigdy. Zainteresowanie, które budzili w nas obaj, rozciągało się na wszystko, co ich tyczyło. Wszystko, co Wolter napisał, wertowaliśmy natychmiast. Przyjemność, jaką znajdowałem w tej lekturze, obudziła we mnie chęć wykwintnego władania piórem; starałem się naśladować piękny styl autora, którym byłem oczarowany. W jakiś czas potem pojawiły się jego *Listy filozoficzne*[330]. Mimo iż nie są z pewnością najlepszym dziełem Woltera, one to zwłaszcza pchnęły mnie ku studiom literackim i to zamiłowanie, raz zrodzone, nigdy od tego czasu nie wygasło.

Nie nadeszła wszelako chwila, aby się mu na serio poświęcić. Tkwiła we mnie jeszcze jakaś zmienność usposobienia, jakiś koczowniczy pęd, raczej hamowany niż uśpiony, podsycony zresztą trybem domu pani de Warens, zbyt hałaśliwym dla mego samotnictwa. Ta zgraja nieznajomych, którzy napływali tam co dzień ze wszystkich stron; do tego przekonanie, iż wszyscy ci ludzie starają się ją jedynie wyzyskać i wywieść w pole, każdy na swój sposób — wszystko to czyniło mi dom miejscem tortury. Od czasu jak, objąwszy miejsce po Klaudiuszu w ufności jego pani, patrzałem z bliska na stan jej interesów, widziałem, iż zło postępuje w sposób dla mnie przerażający. Sto razy przedkładałem, prosiłem, nalegałem, zaklinałem; zawsze na próżno. Rzucałem się do jej stóp, przedstawiając w energicznych słowach wiszącą katastrofę; upominałem, aby ograniczyła wydatki, zacząwszy ode mnie samego, aby raczej przecierpiała trochę, póki jeszcze jest młoda, niżby miała, mnożąc długi i wierzycieli, narażać schyłek lat na nędzę i utrapienie. Wzruszona szczerością mego zapału, roztkliwiała się wraz ze mną i przyrzekała cuda. Ale zjawił się jakiś wydrwigrosz i już zapomniała o wszystkim. Po tysiącznych daremnych próbach cóż mi zostawało, jak odwracać oczy od złego, któremu nie mogłem zapobiec? Wydalałem się z domu, którego drzwi nie byłem mocen ustrzec. Robiłem wycieczki do Nyonu, Genewy, Lyonu; podróże, które odrywając mnie od mej tajemnej zgryzoty, pomnażały zarazem jej przyczynę przez wydatki z nimi połączone. Mogę przysiąc, byłbym z radością ścierpiał wszelkie ograniczenia, gdyby mamusia miała jakąś korzyść z tej oszczędności; ale pewny, iż to, czego ja sobie odmawiam, przechodzi w ręce hultajów, korzystałem z jej rozrzutności, cisnąc się niejako z nimi do podziału. Podobny owemu psu wracającemu z rzeźni, unosiłem swój ochłap z kawałka mięsa, którego nie mogłem ocalić.

Nie brakowało zresztą pozorów do wszystkich tych podróży. Mamusia sama mogła mi ich dostarczyć pod dostatkiem, tyle wszędzie miała stosunków, spraw, negocjacji, poleceń wymagających kogoś pewnego. Chętnie korzystała z mych usług, ja skwapliwie chwytałem sposobność; co wszystko razem składało się na życie dość wędrowne. Tym podróżom zawdzięczam parę znajomości, które w przyszłości okazały mi się użyteczne lub przyjemne; między innymi w Lyonie znajomość z panem Perrichon; żałuję, iż nie

[327] *Niebawem zaprzyjaźniliśmy się* — spotkałem go później i znalazłem zupełnie przeobrażonym. O, jakim wielkim czarodziejem jest pan de Choiseul! Żadna z moich dawnych znajomości nie umknęła się jego metamorfozom. [przypis autorski]

[328] *Wolter* a. *Voltaire*, właśc. *François-Marie Arouet* (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

[329] *Korespondencja Woltera z księciem pruskim* — późniejszym królem Prus, Fryderykiem II Wielkim (1712–1786); korespondencja ta, zapoczątkowana listem Fryderyka do Woltera w sierpniu 1736, trwała z przerwami ponad 40 lat. [przypis edytorski]

[330] *Listy filozoficzne* a. *Listy o Anglikach* — zbiór tekstów Woltera wydany we Francji w 1734, przedstawiający różne aspekty angielskiej filozofii, literatury, społeczeństwa i systemu rządów, często w korzystnym dla nich porównaniu z odpowiednikami francuskimi. [przypis edytorski]

dość ją pielęgnowałem, zważywszy, iż okazywał mi wiele łaskawości; znajomość z dobrym Parisot, o którym wspomnę jeszcze; w Grenoble z panią Deybens i z prezydentową de Bardonanche, kobietą wielkiego rozumu, która byłaby mnie polubiła, gdybym miał sposobność częściej ją widywać. W Genewie poznałem się z panem de la Closure, który opowiadał mi o mojej matce, ile że mimo śmierć i upływ lat serce jego nie mogło jej zapomnieć. Takoż z dwoma panami Barillot, synem i ojcem; ojciec, który nazywał mnie wnukiem, był to człowiek niezmiernie miły, jeden z najzacniejszych, jakich znałem. Podczas zamieszek Rzeczypospolitej ci dwaj obywatele wmieszali się w dwie przeciwne partie: syn w partię mieszczańską, ojciec w urzędniczą. Kiedy chwycono za broń w roku 1737, widziałem, będąc w Genewie, jak ojciec i syn wychodzili uzbrojeni z tego samego domu, jeden udając się na ratusz, drugi na swą kwaterę, w tym poczuciu, iż za dwie godziny znajdą się naprzeciw siebie, aby się mordować wzajem. Ten okropny widok wywarł na mnie takie wrażenie, że przysiągłem sobie nie przykładać nigdy ręki do żadnej wojny domowej i nie obstawać nigdy wewnątrz państwa za wolnością z bronią w ręku, ani moją osobą, ani moim zdaniem, jeślibym kiedykolwiek wrócił do praw obywatela. Oddaję sobie świadectwo, iż dotrzymałem tej przysięgi w dość drażliwej sytuacji i sądzę, iż powściągliwość tę powinno mi się liczyć za pewną zasługę.

Ale wówczas daleko byłem od owej pierwszej fermentacji patriotyzmu, jaką widok Genewy pod bronią wzniecił w mym sercu. Jak bardzo byłem od tego odległy, można osądzić z obciążającego dla mnie faktu, którego zapomniałem umieścić w swoim miejscu, a którego nie powinienem był opuścić.

Wuj Bernard wyjechał przed kilku laty do Karoliny, aby tam budować miasto Charlestown[331], wedle stworzonego przez siebie planu: wkrótce potem umarł tam. Mój biedny krewniak również zginął w służbie króla pruskiego; w ten sposób ciotka prawie równocześnie straciła męża i syna. Straty te odgrzały nieco w jej sercu czułość dla mnie, najbliższego krewnego, jaki jej pozostał.

Kiedy bawiłem w Genewie, mieszkałem u niej i bawiłem się szperaniem i przeglądaniem książek i papierów po wuju. Znalazłem tam wiele dokumentów i listy, jakich z pewnością nikt by się nie domyślał. Ciotka, która niewiele dbała o te szpargały, pozwoliłaby mi wszystko zabrać, gdybym zechciał. Zadowoliłem się paru dziełami komentowanymi ręką dziadka, pastora Bernard. Między innymi były tam pisma pośmiertne Rohaulta[332] *in 4°*[333], a margines ich pełen był doskonałych przypisków, które obudziły we mnie smak do matematyki. Księga ta została między książkami pani de Warens; zawszem żałował, że jej sobie nie zachowałem. Do tych dzieł dołączyłem kilka pamiętników w rękopisie i jeden drukowany; był pióra słynnego Micheliego Ducret[334], człowieka wielkiego talentu, głębokiej wiedzy, ale niespokojnego umysłu. Ścigany nader okrutnie przez rząd genewski, umarł niedawno w fortecy Arberg, gdzie go więziono od wielu lat za udział, jak mówiono, w spisku berneńskim.

Pamiętnik ten była to dość bystra krytyka owego wielkiego i śmiesznego planu fortyfikacji, które częściowo przeprowadzono w Genewie ku wielkiemu pośmiewisku ludzi fachowych, nieznających tajemnego celu, jaki Rada miała w wykonaniu tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Pan Micheli, wykluczony z komisji fortyfikacyjnej za to, iż zganił ten plan, mniemał, jako członek Rady Dwustu, a nawet jako obywatel, iż ma prawo wyrazić swe zdanie. Uczynił to w owym memoriale[335], który miał nieostrożność wydrukować, jakkolwiek go nie wydał, kazał bowiem wybić tylko pewną ilość egzemplarzy, które rozesłał Radzie Dwustu i które wszystkie przejęto na poczcie na rozkaz Rady Mniejszej. Znalazłem ten memoriał w papierach wuja wraz z odpowiedzią, jaką polecono mu sporządzić, i zabrałem jedno i drugie. Owa podróż wypadła niedługo po moim wystąpieniu

[331] *Wuj Bernard wyjechał przed kilku laty do Karoliny, aby tam budować miasto Charlestown* — Charlestown, najstarsze miasto kolonii Karolina Południowa w Ameryce Płn. zostało założone w 1670; w 1736 Gabrielowi Bernardowi Rousseau powierzono zaplanowanie i nadzór nad budową fortyfikacji miejskich. [przypis edytorski]

[332] *Rohault, Jacques* (1618–1672) — francuski filozof, fizyk i matematyk. [przypis edytorski]

[333] *in 4°* — skrót od: *in quarto*, określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

[334] *Micheli Ducret* — popr.: *du Crest, Jacques-Barthélemy Micheli* (1690-1766), genewski inżynier wojskowy, fizyk i kartograf. [przypis edytorski]

[335] *memoriał* — oficjalne pismo do władz zawierające uzasadnienie projektu lub prośby albo wyjaśnienie sprawy. [przypis edytorski]

z klasztoru; utrzymywałem jeszcze pewne stosunki z adwokatem Coccelli, który stał na jego czele. W jakiś czas potem dyrektor komory wpadł na pomysł zaproszenia mnie, abym mu trzymał dziecko do chrztu; kumą miała być pani Coccelli. Te honory zawróciły mi w głowie; dumny z zażyłości z panem adwokatem, starałem się nadrabiać ważnością, aby się stać godnym tej chwały.

W tym celu uważałem, że nie mogę zrobić nic lepszego niż pokazać mu drukowany memoriał pana Micheli, egzemplarz w istocie rzadki. Chciałem go tym przekonać, że należę do sfery dygnitarzy genewskich, znających sekrety stanu. Przez jakąś wstrzemięźliwość, której motywy trudno by mi wytłumaczyć, nie pokazałem mu odpowiedzi wuja na memoriał; może dlatego, że była w rękopisie, jedynie zaś czcionki zdawały mi się godne pana adwokata. Zrozumiał wszelako tak dobrze wartość tego pisma, które w głupocie swej mu powierzyłem, że nigdy już nie zdołałem ujrzeć go na oczy, ani tym mniej odzyskać. Wreszcie, przekonany o bezużyteczności swych wysiłków, uczyniłem sobie zasługę z musu i zmieniłem kradzież w darowiznę. Nie wątpię ani chwili, że dobrze wyzyskał wobec dworu w Turynie ten okaz, bardziej ciekawy niż użyteczny, i że postarał się, aby mu w ten lub inny sposób z nawiązką zwrócono to, co rzekomo musiał go kosztować ten nabytek. Na szczęście ze wszystkich przyszłych koniunktur[336] najmniej prawdopodobną jest, aby kiedy król Sardynii miał oblegać Genewę; że jednak nie ma w tym niemożliwości, całe życie będę sobie wyrzucał głupią próżność, przez którą odsłoniłem najsłabsze strony miasta jego odwiecznemu wrogowi.

Przebyłem w ten sposób dwa czy trzy lata pośród muzyki, lekarstw, projektów, podróży, bujając z jednej rzeczy na drugą, próbując się ustalić, ale nie wiedząc na czym, stopniowo wszelako wciągając się w nauki, odwiedzając literatów, słysząc rozmowy o literaturze, niekiedy samemu odważając się głos zabierać i przyswajając sobie raczej gwarę książek niż ich zawartość. W wycieczkach do Genewy odwiedzałem od czasu do czasu po drodze mego dawnego dobrego przyjaciela pana Simon, który bardzo podsycał mą rodzącą się emulację świeżutkimi nowinami z rzeczypospolitej literackiej, zaczerpniętymi ze starych kalendarzy. Widywałem też w Chambéry pewnego jakobina[337], profesora fizyki, poczciwego mnicha, którego nazwiska zapomniałem. Pokazywał mi często małe doświadczenia fizyczne, które mnie szalenie bawiły. Postanowiłem za jego przykładem sporządzić sympatyczny atrament[338]. W tym celu, napełniwszy butelkę więcej niż do połowy niegaszonym wapnem, aurypigmentem[339] i wodą, zatkałem ją dobrze. Natychmiast zawartość flaszki zaczęła się burzyć gwałtownie. Rzuciłem się ku flaszce, aby ją otworzyć, ale już było późno; wybuchła mi przed nosem jak bomba. Nałykałem się aurypigmentu, wapna; o mało nie przypłaciłem tego życiem. Zaniewidziałem przeszło na sześć tygodni; to mnie nauczyło, aby się nie brać do fizyki doświadczalnej, nie znając pierwszych jej zasad.

Przygoda ta wypadła bardzo nie w porę ze względu na moje zdrowie, które od jakiegoś czasu wybitnie się psuło. Nie wiem skąd pochodziło, że będąc z natury silnej kompleksji[340] i nie dopuszczając się żadnych ekscesów, nikłem w oczach. Jestem dość dobrej budowy, pierś mam szeroką, płuca mają gdzie oddychać. Mimo to cierpiałem na krótki oddech, czułem jakiś ucisk, wzdychałem mimo woli, miewałem bicie serca, plułem krwią; do tego przyłączyła się trawiąca gorączka, której się nigdy całkowicie nie wyzbyłem. Jak można popaść w ten stan w kwiecie wieku, bez uszkodzenia żadnego organu, nic nie uczyniwszy dla zniszczenia zdrowia?

„Miecz zużywa pochwę" — powiada przysłowie. To i moje dzieje. Namiętności dawały mi życie, namiętności też mnie zabiły. Jakie namiętności? powie ktoś. Nic, błahostki, rzeczy najbardziej nikłe pod słońcem, ale którymi przejmowałem się, jak gdyby chodziło o zdobycie Heleny albo tronu wszechświata. Przede wszystkim kobiety. Odkąd posiadałem jedną, zmysły moje uspokoiły się, serce nigdy. Potrzeba miłości pożerała mnie na samym łonie rozkoszy. Miałem tkliwą matkę, ukochaną przyjaciółkę, ale trzeba mi było

[336] *koniunktura* — splot okoliczności, szczególnie tych istotnych. [przypis edytorski]
[337] *jakobin* — tu: francuski dominikanin. [przypis edytorski]
[338] *atrament sympatyczny* — substancja używana do ukrywania napisanej wiadomości: bezbarwna po zaschnięciu, widoczna po podgrzaniu lub użyciu odpowiedniego środka chemicznego. [przypis edytorski]
[339] *aurypigment* — żółty lub złocisty minerał, siarczek arsenu. [przypis edytorski]
[340] *kompleksja* (daw.) — budowa ciała. [przypis edytorski]

kochanki. Wyobrażałem ją sobie w mych objęciach na miejscu mamusi; kształtowałem ją w tysiączne sposoby, aby się nasycać tą odmianą. Gdybym obejmując mamusię, miał świadomość, że ją właśnie trzymam w ramionach, uściski moje nie byłyby z pewnością mniej żywe, ale wszystkie żądze moje zgasłyby; szlochałem z czułości, ale nie czułem się szczęśliwy. Szczęście! Czyż ono jest kiedy udziałem człowieka? Ach! gdybym jeden jedyny raz w życiu zakosztował w całej pełni rozkoszy miłości, nie wyobrażam sobie, aby moje istnienie mogło jej nastarczyć; wyzionąłbym ducha na miejscu.

Trawiłem się tedy miłością bez przedmiotu, a w ten właśnie sposób wyczerpuje ona najwięcej. Byłem niespokojny, dręczyłem się złym stanem interesów mamusi, jej nierozwagą, która nieuchronnie musiała w krótkim czasie sprowadzić na dom ruinę. Moja okrutna wyobraźnia, która zawsze uprzedza nieszczęście, wciąż ukazywała mi tę ostateczność w całej okropności i wszystkich jej następstwach. Widziałem z góry siebie rozdzielonego wskutek nędzy z tą, której poświęciłem życie i bez której nie miało ono powabu. Oto jakie wzruszenia miotały mą duszą. Pragnienia i obawy pożerały mnie.

Muzyka stanowiła inną namiętność, mniej gwałtowną, ale nie mniej wyczerpującą, przez zapał, z jakim się jej oddawałem; przez zaciekanie się w zawiłych książkach Rameau; przez mój niezłomny upór w tym, aby ogarnąć je pamięcią, która wzdragała się nie mniej uparcie; przez moje nieustanne wędrówki i olbrzymie kompilacje, jakie gromadziłem, trawiąc noce na kopiowaniu. Czy ja wiem zresztą, co jeszcze? Lada szaleństwo, które przemknęło przez niesforną głowę, lada przelotne zachcenie, podróż, koncert, kolacja, zamierzona przechadzka, przeczytana powieść, komedia — wszystko stawało się natychmiast namiętnością, która w śmiesznym zacietrzewieniu rzucała mnie na pastwę najprawdziwszych cierpień! Lektura urojonych nieszczęść Clevelanda[341], podjęta z furią i często przerywana, więcej, przypuszczam, zepsuła mi krwi niż wszystkie własne niedole.

Bawił w miasteczku pewien genewczyk, nazwiskiem Bagueret, który dawniej, za Piotra Wielkiego, był urzędnikiem przy dworze w Rosji; licha figura, przy tym jeden z największych szaleńców, jakich zdarzyło mi się oglądać, zawsze pełen projektów równie wariackich jak on sam, u którego miliony leciały z nieba jak deszcz, ile że zera nic go nie kosztowały. Ten człowiek, przybywszy do Chambéry dla jakiegoś procesu, opętał, jak łatwo sobie wyobrazić, mamusię, i za bogactwa swoich zer, którymi raczył ją hojnie, wyciągał z niej, sztuka po sztuce, jej biedne talary. Nie lubiłem go; widział to; ze mną nie było to trudno. Otóż, nie było służalstwa, którego by nie próbował, by mnie ugłaskać. Wpadł na pomysł nauczenia mnie szachów, w które grywał nieco. Spróbowałem prawie wbrew woli, ale skoro tylko nauczyłem się jako tako poruszeń, czyniłem tak szybkie postępy, że pod koniec pierwszego seansu dawałem mu wieżę for[342], którą on mi dawał na początku. Nie trzeba było więcej: zwariowałem na punkcie szachów. Kupuję sobie szachownicę, podręcznik, zamykam się w pokoju, trawię dnie i noce, usiłując się wyuczyć na pamięć wszystkich partii, wpakować je sobie w głowę dobrowolnie lub przemocą, grywając sam ze sobą bez wytchnienia. Po dwóch czy trzech miesiącach tej pięknej pracy i niepojętych wysiłków idę do kawiarni, wychudły, żółty, niemal ogłupiały. Próbuję się z Bagueretem, ponawiam próbę — bije mnie raz, dwa razy, dwadzieścia razy. Tyle kombinacji pomieszało mi się w głowie; mózg miałem tak osłabiony, że ciemno mi się po prostu robiło przed oczami. Za każdym razem, kiedy z książką Philidora[343] albo Stammy[344] chciałem ćwiczyć się w rozgrywaniu partii, przytrafiło mi się to samo: wyczerpawszy się wysiłkiem, zamiast grać lepiej, grałem gorzej niż wprzódy. Zresztą, czy zaniedbywałem szachy, czy też, grywając więcej, znów przypominałem je sobie, nigdy o włos nie postąpiłem poza ten pierwszy sukces i zawsze odnalazłem się w tym samym punkcie. Gdybym się ćwiczył ty-

[341] *Cleveland* — tytułowy bohater powieści A. Prévosta *Le Philosophe anglais ou Histoire de M. Cleveland, fils naturel de Cromwell* (Filozof angielski, czyli historia Clevelanda, naturalnego syna Cromwella, t.1–4: 1731–1732, t.5-7: 1738–1739). [przypis edytorski]

[342] *fory* — ułatwienie dla słabszego gracza; *dawać wieżę for*: rozpoczynać grę w szachy bez jednej wieży, aby wyrównać słabszemu przeciwnikowi swoją przewagę. [przypis edytorski]

[343] *Philidor, François-André Danican* (1726–1795) — francuski szachista; jako praktyk znany z pokonania mistrzów angielskich i brawurowego meczu przeciwko Philippowi Stammie; jego przełomowa książka *Analyse du jeu des Échecs* (Analiza gry w szachy) ukazała się w r. 1749 i przez ponad sto lat była podstawowym podręcznikiem szachowym. Rousseau nie mógł jej studiować w opisywanym okresie. [przypis edytorski]

[344] *Stamma, Philipp* (ok. 1705–ok. 1755) — syryjski szachista mieszkający we Francji i Anglii; autor książki *Essai sur le jeu des echecs* (Szkic o grze w szachy, 1737). [przypis edytorski]

siąc wieków, wszystko, co mógłbym osiągnąć, byłaby wieża for Bagueretowi i nic więcej. To mi piękne użycie czasu! powiecie. A wierzajcie mi, zużyłem go niemało. Przerwałem tę pierwszą próbę dopiero wówczas, kiedy mi już zupełnie sił nie stało. Kiedy wyszedłem wreszcie z pokoju, wyglądałem jak nieboszczyk i z pewnością przy tym trybie byłbym nim został niedługo. Przyznacie, że z taką głową trudno, zwłaszcza w zapalnej młodości, cieszyć się jednostajnie dobrym zdrowiem.

Zaburzenia zdrowia oddziałały wybitnie na mój humor i ostudziły zapał fantazji. Czując się słabszy, stałem się spokojniejszy i wyzbyłem się nieco podróżomanii. Siedzący tryb życia sprowadził na mnie nie nudę, ale melancholię. Miejsce dawnych wybuchów zajęły wapory; omdlałość przeszła w smutek; płakałem i wzdychałem bez powodu; miałem uczucie, że życie mi ucieka, nim go pokosztowałem; wzdychałem nad losem, w jakim zostawiam biedną mamusię, nad niedolą, która niebawem ją czeka; mogę powiedzieć, że opuścić ją i wydać na łup nieszczęścia było jedynym mym żalem. Wreszcie rozchorowałem się zupełnie. Pielęgnowała mnie tak, jak żadna matka nie pielęgnowała dziecka; co i jej wyszło na pożytek, odrywając ją od projektów i usuwając z domu wyzyskiwaczy. Jakie słodką byłaby mi śmierć, gdyby przyszła w tej chwili! Jeśli mało zakosztowałem słodyczy życia, niewiele też zaznałem jego nieszczęść. Dusza moja mogła spokojnie odejść, bez okrutnego poczucia ludzkiej niesprawiedliwości; poczucia, które zatruwa zarówno życie, jak śmierć. Miałem tę pociechę, iż przetrwam, w lepszej mej połowie, samego siebie: czyż to można nawet nazwać śmiercią? Gdyby nie niepokój o los mamusi, byłbym umarł tak jak się zasypia; a i ten niepokój nawet miał za przedmiot istotę serdeczną i czułą, która czyniła, co mogła, aby złagodzić jego gorycz. Mówiłem jej: „Oto w twe ręce składam całe me istnienie; spraw, aby było szczęśliwe". Kilka razy, kiedy czułem się najgorzej, zdarzało mi się wstać w nocy i powlec do pokoju mamusi, aby udzielać jej rad pełnych słuszności i rozsądku, ale w których troska o jej los brała prym przed wszystkim innym. Łzy były jak gdyby mym pożywieniem i lekarstwem; skrzepiałem się, wylewając je obficie przy niej, z nią, siedząc na jej łóżku i tuląc jej ręce w moich. Godziny upływały na tych nocnych rozmowach, a wracałem z nich zdrowszy niż przedtem. Uspokojony i rad z przyrzeczeń, które mi uczyniła, z nadziei, jakie mi dała, zasypiałem z błogością w sercu i ufnością w Opatrzność. Dałby Bóg, aby przy tylu przyczynach nienawidzenia życia, po tylu burzach, jakie wstrząsnęły mym istnieniem, czyniąc mi je okrutnym ciężarem, śmierć, która ma je zakończyć, zamknęła mi oczy równie łagodnie, jak to mogła uczynić wówczas!

Przy pomocy starań, czuwania i wysiłków wprost nie do pojęcia ocaliła mnie. To pewna, że ona jedna mogła mnie ocalić. Niewiele mam wiary w medycynę lekarzy, ale wiele w medycynę prawdziwych przyjaciół; nad tym, od czego zależy nasze szczęście, czuwamy zawsze z troskliwością, której nic nie zastąpi. Jakież rozkoszne uczucie ogarnęło nas, skorośmy się uczuli wróceni sobie wzajem! Wzajemne przywiązanie nie wzmogło się od tej chwili, to niemożliwe; ale nabrało czegoś bliższego jeszcze, wzruszającego w swej prostocie. Stałem się całkowicie jej dziełem, jej dzieckiem, więcej, niż gdyby była mą prawdziwą matką. Zaczęliśmy bezwiednie unikać wszelkiej rozłąki, stapiać niejako nasze sympatie w jedną wspólną; czując, że nie tylko jesteśmy sobie potrzebni, ale i wystarczamy sobie, przyzwyczailiśmy się nie myśleć o niczym poza sobą, ograniczać zupełnie nasze szczęście i nasze pragnienia do tego wzajemnego posiadania, jedynego może w dziejach ludzkości, które nie było, jak rzekłem, pożądaniem miłości, ale jakimś innym, głębszym; które, nie wspierając się na zmysłach, na płci, wieku, powierzchowności, płynęło z głębi tego wszystkiego, przez co się jest sobą i czego nie można stracić, chyba przestając istnieć.

Jak to się stało, iż to szacowne przesilenie nie zdobyło nam szczęścia na resztę dni? Nie przeze mnie, mogę sobie oddać to pocieszające świadectwo. Nie przez nią, przynajmniej nie z jej woli. Było snadź napisane, iż niebawem wszechmocna natura odzyska swą władzę. Ale fatalny ten powrót nie przyszedł od razu. Był, dzięki niebu, czas przerwy. Krótkie i cenne chwile; skończyły się nie z mojej winy i nie wyrzucam sobie, abym z nich źle skorzystał!

Mimo iż uleczony z ciężkiej choroby, nie odzyskałem dawnych sił. Piersi nie wygoiły się jeszcze, resztka gorączki utrzymywała się ciągle i była źródłem długiej niemocy. Nie miałem chęci do niczego; jedynym mym marzeniem było dokończyć dni przy tej, która mi była drogą, utrwalić ją w dobrych postanowieniach, wskazać jej, na czym polega

prawdziwy urok szczęśliwego życia, i sprawić, o ile to zależało ode mnie, aby jej życie było właśnie takim. Ale widziałem, czułem wprost, że w smutnym i ponurym domu owo nieustanne nasze sam na sam stanie się w końcu również smutne. Lekarstwo nastręczyło się samo z siebie. Mamusia przepisała mi mleko i chciała, bym odbył tę kurację na wsi. Przystałem pod warunkiem, że ona zamieszka ze mną. Nie trzeba jej było długo namawiać; jedyną kwestię stanowił wybór miejsca. Nasz podmiejski ogródek to nie była właściwie wieś; otoczony domami i innymi ogrodami, nie miał uroków wiejskiego ustronia. Zresztą po śmierci Aneta pozbyliśmy się tego ogrodu, nie mając już interesu w hodowli roślin i zaprzątnięci innymi projektami.

Korzystając teraz z odrazy, jaką mamusia miała do miasta, podsunąłem jej myśl, aby je zupełnie opuścić i osiedlić się w jakiej miłej ustroni, w małym domku dość odległym, aby odstraszyć natrętów. Byłaby się zgodziła; to postanowienie, którym nasz dobry anioł mnie natchnął, byłoby nam prawdopodobnie zapewniło szczęśliwe i spokojne dni aż do chwili, w której śmierć miała nas rozdzielić. Ale snadź inne losy były nam przeznaczone! Mamusia miała poznać wszystkie zgryzoty nędzy i niedoli po życiu spędzonym w dostatku, aby je opuścić z mniejszym żalem; ja zaś, przez nagromadzenie nieszczęść wszelakiego rodzaju miałem kiedyś być przykładem dla każdego, kto, ożywiony jeno miłością dobra publicznego i sprawiedliwości, ośmiela się, dufny w swą niewinność, mówić otwarcie prawdę, nie licząc się z intrygą i nie zabiegając się o stworzenie partii dla własnej obrony.

Nieszczęśliwa obawa wstrzymała ją. Nie śmiała porzucić swego szpetnego domostwa z obawy gniewu właściciela. „Twój projekt jest uroczy — rzekła — i bardzo mi trafia do serca; ale i w owej ustroni trzeba żyć. Opuszczając moje więzienie, lękam się utracić chleb; a kiedy zbraknie go nam w lasach, i tak będziemy musieli wracać po niego do miasta. Aby uprzedzić tę potrzebę, lepiej nie opuszczajmy go całkowicie. Płaćmy tę małą pensyjkę hrabiemu, aby wzajem zostawił mi moją. Poszukajmy jakiegoś ochronienia, dość daleko od miasta, aby tam żyć spokojnie, a dość blisko, aby wrócić za każdym razem, gdy będzie trzeba". Tak się stało. Po niedługich poszukiwaniach osiedliliśmy się w Charmettes, majątku pana de Conzié, położonym tuż u bram Chambéry, ale tak cichym i samotnym, jakby się było o sto mil. Między dwoma dość wysokimi wzgórzami leży dolinka, którą, wśród drzew i kamieni, płynie rzeczka. Wzdłuż tej doliny, w połowie wzgórza, jest parę rozrzuconych domków, bardzo mile położonych dla kogoś, kto lubi dzikie nieco i ustronne mieszkanie. Przepatrzywszy parę z tych domostw, wybraliśmy wreszcie najładniejsze, własność pewnego szlachcica służącego w wojsku, nazwiskiem Noiret. Dom był bardzo wygodny. Na froncie ogród i terasa, wyżej winnica, niżej sad; naprzeciw mały lasek kasztanowy, źródło opodal; powyżej, na wzgórzu, łąki dla bydła; słowem, wszystko, co trzeba dla małego wiejskiego gospodarstwa, które chcieliśmy założyć. O ile mogę sobie przypomnieć czas i daty, objęliśmy je w posiadanie pod koniec lata roku 1736. Byłem upojony pierwszego dnia, gdy sprowadziliśmy się tam na nocleg. „O mamusiu! — rzekłem drogiej przyjaciółce, ściskając ją i oblewając łzami rozczulenia i radości. — Oto miejsce niewinności i słodyczy. Jeśli tu nie znajdziemy ich we dwoje, nie mamy co szukać ich więcej".

Księga VI

Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus,
Hortus ubi et tecto vicinus jugis aquae fons,
Et paulum sylvae super his foret[345].

(1736). Nie mogę dodać:

Auctius atque
Di melius fecere[346];

[345] *Hoc erat in votis…* (łac.) — Oto wszystko czego pragnąłem: niewielki kawał ziemi, ogród, źródło koło domu, a opodal mały lasek. [Horacy, *Satyry*, ks. II, VI, w. 1–3]. [przypis tłumacza]

[346] *Auctius atque Di melius fecere* (łac.) — Bogowie przewyższyli moje życzenia! [następne słowa z zacytowanej satyry Horacego; red. WL]. [przypis tłumacza]

ale to mniejsza, nie trzeba mi było więcej, nie trzeba mi było nawet własności, wystarczało mi prawo używania. Od dawna już wiedziałem i miałem świadomość, że posiadanie a korzystanie bywa często udziałem dwóch różnych osób, nawet jeśli zostawimy na stronie mężów i kochanków.

Tu zaczyna się krótkie szczęście mego życia; spokojne, ale szybko mknące chwile, które dały mi prawo powiedzenia, że żyłem. Chwile szacowne i tak opłakiwane! Ach, powtórzcie dla mnie swój luby bieg, płyńcie, jeśli możebna, wolniej w mym wspomnieniu, niż się to działo w istocie w waszym zbyt rączym pomykaniu! Jak uczynić, aby przedłużyć do woli to tak wzruszające a proste opowiadanie, aby powtarzać wciąż te same rzeczy i tak samo nie znudzić czytelników, powtarzając je, jak ja się nie nudziłem, przeżywając je? Gdybyż choć wszystko rozgrywało się w faktach, w czynach, w słowach, mógłbym opisać je i oddać poniekąd: ale jak powiedzieć to, co nie było ani powiedziane, ani wykonane, ani pomyślane nawet, ale odczute, ale kosztowane, bez możności przytoczenia innego dokumentu mego szczęścia, jak samo to uczucie? Wstawałem ze słońcem i byłem szczęśliwy; przechadzałem się i byłem szczęśliwy; widziałem mamusię i byłem szczęśliwy; rozstawałem się z nią i byłem szczęśliwy; przebiegałem lasy, pagórki, błądziłem po dolinach, czytałem, siedziałem bezczynny; pracowałem w ogrodzie, zrywałem owoce, pomagałem w gospodarstwie i szczęście szło za mną wszędzie; nie było ono w żadnej rzeczy możebnej do nazwania, było całe we mnie, nie opuszczało mnie ani na chwilę.

Nic z tego, co mi się zdarzyło w owej kochanej epoce, z tego, com czynił, mówił i myślał przez cały czas jej trwania, nie uciekło z mej pamięci. To, co było przedtem i co nastąpiło, odbija się w niej jedynie z przerwami; wspomnienia moje są nierówne i mętne; ale ten czas przypominam sobie tak doskonale i żywo, jak gdyby trwał jeszcze. Wyobraźnia, która w młodości mej wyprzedzała mnie zawsze, a teraz ciągnie się za mną leniwo, opłaca swymi słodkimi przypomnieniami utracone na wieki nadzieje. Nie widzę już nic, co by mnie kusiło na przyszłość; jedynie wspominki przeszłości mogą mnie rozgrzać jeszcze, i te tak żywe i szczere nawroty do epoki, o której mówię, pozwalają mi niekiedy kosztować szczęścia mimo mych niedoli.

Ze wspomnień tych przytoczę jeden jedyny przykład, który pozwoli ocenić siłę ich i prawdę. Pierwszego dnia, kiedy udaliśmy się na nocleg do Charmettes, mamusia odbywała drogę w lektyce, ja towarzyszyłem jej piechotą. Droga wznosiła się pod górę. Mamusia była dosyć ciężka, toteż bojąc się zmęczyć ludzi, wysiadła mniej więcej w połowie drogi, aby resztę przebyć pieszo. Wysiadając, zobaczyła coś niebieskiego w żywopłocie i rzekła: „O, patrz, barwinek jeszcze kwitnie". Nigdy nie widziałem barwinka, nie schyliłem się, by mu się przyjrzeć, a mam wzrok zbyt krótki, aby stojąc, rozpoznać zioła rosnące na ziemi. Mimochodem rzuciłem jedynie okiem. Upłynęło lat prawie trzydzieści; od tego czasu ani nie widziałem barwinka, ani nie zwróciłem na niego uwagi. W r. 1764, będąc w Cressier z moim przyjacielem, panem du Peyrou, drapaliśmy cię na górkę, na której szczycie mieści się mała altanka słusznie nazwana „Belle-Vue"[347]. Zaczynałem już wówczas herboryzować po trochu. Wchodząc i rozglądając się po zaroślach, wydaję nagle krzyk radości: „Och, barwinek!" i był to w istocie barwinek. Du Peyrou zauważył moje wzruszenie, ale nie wiedział przyczyny; zrozumie ją, mam nadzieję, skoro kiedyś przeczyta te karty. Z wrażenia wywołanego tak drobnym przedmiotem czytelnik może osądzić, jakie musiało na mnie wywrzeć wszystko, co się odnosi do owej epoki.

Choroba

Mimo to powietrze wiejskie nie wróciło mi dawnego zdrowia. Wprzód czułem osłabienie, omdlałość; stan ten pogorszył się jeszcze. Nie mogłem znosić mleka, trzeba go było zaniechać. Wówczas była w modzie woda jako uniwersalne lekarstwo. Zabrałem się do wody, ale z taką przesadą, że omal nie wyleczyła mnie nie z cierpień, ale z życia. Co rano, wstawszy, szedłem do źródła z wielkim kubkiem i przechadzając się, wysączałem w krótkim czasie zawartość dwóch butelek. Zaniechałem całkowicie wina przy stole. Woda, którą piłem, była nieco twarda i ciężka do strawienia, jak przeważnie wody górskie. Krótko mówiąc, dokazałem tyle, że w niespełna dwa miesiące zniszczyłem sobie doszczętnie żołądek, dotąd najzdrowszy. Nie mogąc prawie zupełnie trawić, zrozumiałem, że trzeba się wyrzec nadziei wyleczenia. W tym samym czasie zdarzył mi się wypadek równie szczególny sam w sobie, jak dla swych następstw, które skończą się aż ze mną.

[347] *Belle Vue* (fr.) — piękny widok. [przypis edytorski]

Choroba

Jednego rana (miałem się tego dnia nie gorzej niż zwykle) uczułem, podnosząc z ziemi mały stolik, gwałtowne i prawie niepojęte wstrząśnienie w całym ciele. Mógłbym je porównać chyba do jakiejś burzy, która wszczęła się we krwi i ogarnęła w jednej chwili wszystkie członki. Arterie zaczęły mi bić z taką siłą, że nie tylko czułem ich pulsowanie, ale słyszałem je nawet, zwłaszcza w tętnicach na szyi. Do tego dołączył się szum w uszach; szum ten był trojakiego, a nawet czworakiego rodzaju, a mianowicie: głuche i rozlane huczenie, ostrzejszy szmer, jak gdyby bieżącej wody, bardzo ostry świst, i bicie, o którym wspomniałem, a którego uderzenia mogłem łatwo policzyć, nie macając pulsu ani dotykając ciała rękami. Ten wewnętrzny szmer był tak silny, że odjął mi dawniejszą bystrość słuchu i uczynił nie całkowicie głuchym, ale tępo słyszącym; i to zostało mi od tego czasu na trwałe.

Można sobie wyobrazić moje zdumienie i przestrach. Myślałem, że umieram; położyłem się do łóżka; wezwano lekarza; opowiedziałem wszystko, drżąc i nie mając nadziei ratunku. Zdaje mi się, że on podzielał tę obawę, ale zrobił, co do niego należało. Zaaplikował mi długie wywody, z których nie zrozumiałem ni słowa, następnie, wprowadzając w praktykę swe wzniosłe teorie, rozpoczął *in anima vili*[348] kurację eksperymentalną, którą spodobało mu się na mnie zastosować. Była tak przykra, tak odrażająca, a skutkowała tak mało, że znużyłem się nią niebawem. Po kilku tygodniach, widząc, że nie jest mi ani lepiej, ani gorzej, opuściłem łóżko i wróciłem do zwykłych zajęć z ciągłym biciem tętnic i szumem w uszach, które odtąd, to jest od trzydziestu lat, nie opuściły mnie ani na minutę.

Byłem do owego czasu wielkim śpiochem. Zupełna bezsenność, która dołączyła się do tych objawów i która dotąd nieustannie im towarzyszy, przekonała mnie do reszty, że niewiele zostało mi życia. To przekonanie ostudziło mnie na jakiś czas w gorliwości leczenia się. Nie mogąc przedłużyć życia, postanowiłem wyzyskać ową resztkę, która mi została; a było to możliwe, dzięki szczególnej łaskawości natury, która, w stanie tak opłakanym, oszczędziła mi bodaj wszelkich cierpień. Szum w głowie dokuczał mi, ale nie sprawiał bólu; nie towarzyszyła mu żadna trwała dolegliwość prócz bezsenności i krótkiego oddechu, który nie dochodził wszelako aż do duszności i dawał się uczuć tylko wtedy, kiedy próbowałem biec albo podjąć jaki wysiłek.

Ten wypadek, który miał zabić moje ciało, zabił jedynie moje namiętności; i codziennie błogosławię niebo za szczęśliwe skutki, jakie wywarł na mą duszę. Mogę powiedzieć, iż rozpocząłem żyć dopiero od tego czasu, kiedy się zacząłem uważać za umarłego. Oceniając wedle prawdziwej wartości rzeczy, które miałem porzucić, zwróciłem umysł ku szlachetniejszym troskom, jakoby w przygotowaniu do tych, których mi będzie trzeba rychło dopełnić, a które dotąd zaniedbywałem. Często przekształcałem religię wedle własnych poglądów, ale nigdy nie byłem zupełnie bez religii; o tyle mniej przeto kosztowało mnie wrócić do tego przedmiotu, tak smutnego dla tylu ludzi, ale tak słodkiego dla kogoś, kto sobie zeń uczyni przedmiot pociechy i nadziei. Mamusia była mi w tej okoliczności pomocną bardziej niż wszyscy możebni teologowie.

Ona, która wszystko na świecie układała w system, nie omieszkała również ująć weń religii. Na system ten składały się idee bardzo różnorakie, jedne bardzo zdrowe, drugie dziwaczne, uczucia płynące z jej charakteru i przesądy związane z wychowaniem. Na ogół ludzie wierzący tworzą sobie Boga na swoje podobieństwo: dobrzy czynią go dobrym, źli złym; bigoci, pełni nienawiści i żółci, widzą jedynie piekło, bo chcieliby skazać na nie świat cały; dusze kochające i łagodne nie wierzą w nie wcale. Nie mogę się nadziwić, że dobry Fénelon[349] mówi o nim w swoim *Telemaku* tak, jakby w nie wierzył w istocie, ale mam nadzieję, że wówczas kłamał. Choćby się było nie wiem jak prawdomównym, trzebaż przykłamać czasem, kiedy się jest biskupem. Mamusia nie kłamała ze mną. Ta dusza bez żółci, która nie mogła sobie wyobrazić Boga mściwego i wiecznie zagniewanego, widziała łagodność i miłosierdzie tam, gdzie dewoci widzą jedynie sprawiedliwość i karę. Mówiła często, że nie byłoby ze strony Boga sprawiedliwością być sprawiedliwym względem nas; skoro nie dał nam sił, nie może od nas żądać więcej, niż sam udzielił. Szczególne jest, iż

Prawda, Kłamstwo

[348] *in anima vili* (łac.: na duszy lichej) — na lichej istocie; tradycyjne określenie doświadczeń wykonywanych na zwierzętach. [przypis edytorski]

[349] *Fénelon*, [*François*, właśc. *François de Salignac de la Mothe* (1651–1715)] — biskup i słynny pisarz francuski, autor pedagogicznego romansu *Przygody Telemaka* [1699]. [przypis tłumacza]

nie wierząc w piekło, wierzyła mimo to w czyściec. To pochodziło stąd, iż nie wiedziała, co począć z duszami złych, nie mogąc ani ich potępić, ani pomieścić z dobrymi, póki ich nie doścignę; trzeba przyznać, że tak na tym świecie, jak na tamtym, źli przyczyniają zawsze niemało kłopotu.

Inny ciekawy rys. Łatwo dostrzec, iż system ten niszczy całą naukę o grzechu pierworodnym i o odkupieniu, że podkopuje całe urzędowe chrześcijaństwo i że co najmniej katolicyzm nie może się przy nim utrzymać. Mimo to mamusia była dobrą katoliczką lub głosiła się taką, a jestem pewny, że czyniła to w najlepszej wierze. Uważała tylko, że księża wykładają *Pismo święte* zbyt dosłownie i zbyt twardo. Twierdziła, iż wszystko, co tam czytamy o mękach wiecznych, trzeba pojmować jedynie jako przenośnię. Śmierć Chrystusa uważała za przykład iście boskiego miłosierdzia, mającego nauczyć ludzi, aby kochali Boga i kochali się między sobą. Słowem, wierna religii, którą obrała, przyjmowała szczerze jej wyznanie wiary; ale kiedy przychodziło do dyskusji poszczególnych artykułów, okazywało się, iż wierzy zupełnie inaczej niż Kościół, wciąż poddając się jego powadze. Miała w tym prostotę serca, szczerość, wymowniejsze niż wszystkie komedie bigotów[350]. Często wprawiała w zakłopotanie nawet spowiednika, nic bowiem przed nim nie taiła. „Jestem dobrą katoliczką — mówiła — chcę nią być zawsze. Uznaję całą potęgą duszy postanowienia Świętej Matki Kościoła. Nie jestem panią mej wiary, ale jestem panią mej woli. Poddaję ją bez zastrzeżeń i pragnę we wszystko wierzyć. Czego chcecie więcej?"

Gdyby nie istniała moralność chrześcijańska, sądzę, że byłaby i tak postępowała wedle niej, tak dobrze zgadzała się ona z jej charakterem. Robiła wszystko, co nakazane, ale robiłaby tak samo, gdyby nie było nakazane. W rzeczach obojętnych lubiła być posłuszną; gdyby jej nie było dozwolone, przepisane nawet, jadanie z mięsem, byłaby pościła dla siebie, bez świadków, z ochoty, nie z ostrożności. Ale cała ta moralność podlegała zasadom pana de Tavel lub raczej mamusia siliła się nie widzieć w tym żadnej sprzeczności. Mogłaby oddawać się dwudziestu mężczyznom z najczystszym sumieniem, równie mało doznając wyrzutu, co pragnienia. Wiem, że sporo dewotek niewiele więcej czyni sobie skrupułu; różnica jest ta, że tamte działają z namiętności, ona zaś jedynie z sofizmatu. Wśród najbardziej wzruszających, śmiem powiedzieć budujących rozmów była zdolna skierować rozmowę na te śliskie tory, nie zmieniając miny ani tonu, nie czując wcale sprzeczności. Byłaby wręcz przerwała w potrzebie swe budujące wykłady dla samego uczynku, aby je podjąć później z tym samym spokojem — tak głęboko była przekonana, że wszystko to jest jedynie zasadą społecznego konwenansu, którą każda rozumna osoba może wykładać, stosować, kierować wedle ducha rzeczy, bez najmniejszej obawy obrażenia Boga. Jakkolwiek co do tego punktu stanowczo byłem odmiennego zdania, przyznaję, że nie śmiałem jej zwalczać, wstydząc się mało rycerskiej roli, która by mi przypadła. Byłbym bodaj chętnie próbował utrzymać surowszą regułę w odniesieniu do drugich, starając się wyłączyć z niej samego siebie; ale prócz tego, iż chłodny temperament dostatecznie chronił mamusię od nadużywania tych zasad, wiedziałem, iż nie jest kobietą dającą się omamić półśrodkami i że żądać wyjątku dla siebie, znaczyło uprawnić go dla wszystkich, wedle jej ochoty. Zresztą, zaznaczam mimochodem ten rys zasad i charakteru, mimo iż w ogóle mało się odbijał w jej postępowaniu, a wówczas nawet wcale; ale ponieważ przyrzekłem wiernie przedstawić jej zasady, chcę dotrzymać. Wracam do siebie.

Znajdując w sercu mamusi wszystkie maksymy, których mi było trzeba, aby ubezpieczyć mą duszę od grozy śmierci i jej następstw, czerpałem spokojnie z tego źródła. Przywiązywałem się do niej więcej jeszcze niż wprzódy; byłbym chciał przenieść na nią całe życie, czując, iż opuszcza mnie ono z każdą chwilą. Z tego zdwojonego przywiązania, z przekonania, że niewiele czasu zostało mi do życia, z głębokiego spokoju co do przyszłego losu wynikał stan ducha przepełniony jakąś błogością, a nawet rozkoszą. Stan ten, stępiając wszystkie namiętności, które przenoszą w dalekie strefy nasze obawy i nadzieje, pozwalał mi używać bez niepokoju i zmęczenia niewielu dni, które mi pozostały. Jedna rzecz przyczyniła się jeszcze do ich uprzyjemnienia. Starając się w mamusi obudzić zamiłowanie do wsi, do ogrodu, dziedzińca, gołębi, krów, przywiązywałem się sam do tego

[350]*bigot* — dewot; człowiek przywiązujący przesadną wagę do zewnętrznych form pobożności, zaniedbujący przy tym duchowość wewnętrzną i moralność. [przypis edytorski]

wszystkiego. Te drobne zatrudnienia, które wypełniały mi dzień, nie mącąc spokoju, lepiej niż mleko i niż wszelkie lekarstwa pomogły mi podtrzymać mój biedny organizm, a nawet odrestaurować go o tyle, o ile to było możliwe.

Winobranie, owoce zabawiły nas przez resztę roku i przywiązały nas tym bardziej do sielskiego życia wśród poczciwych ludzi, którzy nas otaczali. Z żalem patrzyliśmy na zbliżającą się zimę. Wróciliśmy do miasta tak, jak gdybyśmy szli na wygnanie; ja zwłaszcza, który, wątpiąc, bym doczekał wiosny, mniemałem, iż na zawsze żegnam nasze Charmettes. Opuściłem je, ucałowawszy wprzód drzewa i ziemię i kilkakrotnie odwracając głowę. Rozstawszy się od dawna z mymi uczennicami, straciwszy smak do miejskich uciech i towarzystw, nie wychodziłem wcale z domu, nie widywałem nikogo, wyjąwszy mamusię i pana Salomon, który od niedawna stał się naszym lekarzem; zacny, rozumny człowiek, wielki kartezjanin, który dość dobrze rozprawiał o systemie świata i którego przyjemne i pouczające gawędy więcej mi się zdały niż jego recepty. Nigdy nie mogłem znosić głupiego i pustego balastu zwyczajnych rozmówek; ale kształcące i poważne rozmowy zawsze sprawiały mi wielką przyjemność. Bardzo zasmakowałem w konwersacji pana Salomon. Zdawało mi się, że w jego towarzystwie zawczasu już kosztuję czegoś z owej wysokiej wiedzy, jaką dusza moja miała posiąść wyzwoliwszy się ze swych więzów. Sympatia moja do niego rozciągała się i na przedmioty, które poruszał. Zacząłem szperać za książkami, które by mi mogły pomóc do lepszego zrozumienia go. Najbardziej odpowiadały mi te, w których traktowano problematy wiary i wiedzy zarazem, zwłaszcza dzieła Oratorium[351] i z *Port-Royal*[352]. Zacząłem się rozczytywać w nich, a raczej je pożerać. Wpadło mi w rękę dzieło ojca Lamy[353] *Rozmowy o umiejętnościach*. Był to niby wstęp do poznania książek, które o nich traktują. Przeczytałem to dzieło mało sto razy, umyśliłem zrobić sobie zeń przewodnika. Słowem, mimo, a raczej może wskutek mego stanu czułem, że coś mnie wciąga w wiedzę z nieodpartą siłą. Wciąż patrząc na każdy dzień jako na ostatni dzień życia, kształciłem się z takim zapałem, jak gdybym miał żyć wiecznie. Mówiono, że mi to szkodzi; ja sądzę, że raczej mi to szło na dobre, nie tylko duszy, ale i ciału. Zajęcie to bowiem, opanowawszy mnie całego, stało się tak rozkoszne, że przestawszy myśleć o swych cierpieniach, o wiele mniej je odczuwałem. Po prawdzie w niczym nie podobna mi było znaleźć realnej ulgi; ale nie doświadczając dotkliwych boleści, przyzwyczaiłem się cherlać, nie sypiać, myśleć miast działać, słowem patrzeć na powolny i stopniowy zanik swego organizmu jako na nieunikniony proces, który śmierć jedynie może powstrzymać.

Przeświadczenie to nie tylko oderwało mnie od próżnych trosk życiowych, ale uwolniło także od całej mitręgi lekarstw, które dotąd narzucono mi wbrew woli. Salomon, zwątpiwszy, aby jego specyfiki mogły mnie ocalić, oszczędził mi tej męki i zadowalał się jedynie tym, aby oszukiwać boleść biednej mamusi przy pomocy owych obojętnych przepisów, które mamią nadzieję chorego i podtrzymują wiarę w lekarza. Zaniechałem ścisłej diety, zacząłem kosztować wina i wróciłem stopniowo do trybu człowieka zdrowego, używając wedle sił wszystkiego z umiarkowaniem. Zacząłem nawet wychodzić i odwiedzać po trosze znajomych, zwłaszcza pana de Conzié, w którego towarzystwie znajdowałem wielką przyjemność. Przy tym, czy że wydawało mi się pięknym kształcić się do ostatniej godziny, czy że resztka nadziei kryła się w mym sercu, owo oczekiwanie śmierci nie tylko nie osłabiło mego zamiłowania do studiów, ale spotęgowało je jeszcze. Starałem się nagromadzić jak najwięcej zapasów na tamten świat, jak gdybym mniemał, iż tyle tylko będę posiadał tam wiedzy, ile jej stąd ze sobą wyniosę. Upodobałem sobie sklep pewnego księgarza nazwiskiem Bouchard, gdzie się schodziło paru literatów. Zarazem, wobec zbliżającej się wiosny, której nie miałem jakoby doczekać, zaopatrzyłem się w parę książek przeznaczonych do Charmettes, na wypadek gdybym miał szczęście je oglądać.

Posiadłem to szczęście i korzystałem zeń w całej pełni. Nie da się opisać radości, jaką uczułem na widok pierwszych pączków. Oglądać znów wiosnę znaczyło dla mnie zmar-

[351] *Oratorium* — tu: francuski zakon oratorian, Kongregacja Oratorium Naszego Pana Jezusa Chrystusa, założona w 1611 przez kardynała Pierre'a de Bérulle, inicjatora tzw. francuskiej szkoły duchowości, katolickiego ruchu duchowego, misyjnego i reformatorskiego. [przypis edytorski]

[352] *Port-Royal* — żeński klasztor założony w XII w., koło którego w XVII w. skupili się janseniści, rozsławiając imię klasztoru zaciętymi walkami religijnymi. [przypis tłumacza]

[353] *Lamy, Bernard* (1640–1715) — francuski zakonnik (oratorianin), teolog i matematyk, kartezjanin, przyjaciel Malebranche'a; autor licznych pism, m.in. *Entretiens sur les Sciences* (Rozmowy o umiejętnościach, 1684). [przypis edytorski]

twychwstać w raju. Ledwie śniegi zaczęły topnieć, opuściliśmy nasze więzienie i znaleźliśmy się w Charmettes, dość wcześnie, by posłyszeć pierwsze pienia słowika. Z tą chwilą uwierzyłem, że nie umrę. W istocie, szczególna rzecz, nigdy nie przechodziłem ciężkich chorób na wsi. Cierpiałem nieraz dużo, ale nigdy nie byłem skazany na łóżko. Często mawiałem, czując się gorzej niż zwykle: „Kiedy ujrzycie, że jestem bliski śmierci, zanieście mnie w cień dębu, a przyrzekam, że ozdrowieję".

Mimo że osłabiony, wróciłem do wiejskich zatrudnień, ale w sposób dostrojony do sił. Wielkim zmartwieniem było dla mnie, że nie mogłem sam uprawiać ogrodu; ale wystarczyło mi parę razy machnąć łopatą, a już traciłem oddech, zlewałem się potem i musiałem ustać. Kiedy się schylałem, pulsowanie wzmagało się, krew uderzała do głowy z taką siłą, że trzeba mi było co rychlej się prostować. Zmuszony ograniczyć się do mniej męczących prac, zająłem się między innymi gołębnikiem i nabrałem takiego zamiłowania, że często spędzałem w jego pobliżu kilka godzin, nie nudząc się ani chwili. Gołąb jest bardzo lękliwy i trudny do oswojenia; mimo to tak zdołałem pozyskać zaufanie mego stadka, że chodziły za mną wszędzie i pozwalały się brać w rękę. Nie mogłem zjawić się w ogrodzie ani na dziedzińcu, aby nie mieć natychmiast dwóch albo trzech na ramieniu, na głowie. Wreszcie mimo przyjemności, jaką w tym znajdowałem, świta ta stała mi się tak uciążliwa, że musiałem oduczyć je od tej poufałości. Zawsze znajdowałem szczególną przyjemność w obłaskawianiu zwierząt, zwłaszcza tych, które są lękliwe i dzikie. Wielki urok miało dla mnie zyskiwać ich zaufanie, którego nigdy nie zawiodłem. Pragnąłem, aby mnie kochały na swobodzie.

Książka

Wspomniałem, że miałem z sobą książki. Korzystałem z nich, ale w sposób zmierzający raczej do tego, aby zagwoździć głowę niż aby ją rozjaśnić. Wskutek fałszywych pojęć o rzeczach nabrałem przekonania, że aby czytać z korzyścią jakąś książkę, trzeba posiadać wiadomości o wszystkim, co w niej jest wspomniane, nieświadom jeszcze, że często sam autor ich nie posiadał i że je czerpał z innych książek, w miarę jak mu były potrzebne. Wiedziony tą niedorzeczną myślą, zatrzymywałem się co chwilę, zmuszony biec nieustannie od jednej książki do drugiej; niekiedy, nim doszedłem do dziesiątej stronicy, byłbym musiał wyczerpać całe biblioteki. Mimo to upierałem się tak wytrwale przy tej obłędnej metodzie, że traciłem przy niej nieskończoną ilość czasu i omal sobie nie zmąciłem głowy do zupełnego zatumanienia. Szczęściem spostrzegłem, że idę fałszywą drogą, która mnie wciąga w olbrzymi labirynt, i wycofałem się zeń, nim jeszcze zdążyłem się zbłąkać całkowicie.

Nauka

O ile ktoś ma choć trochę prawdziwego zamiłowania do nauk, pierwsza rzecz, jaką czuje, zagłębiając się w nich, to ich związek, który sprawia, iż się przyciągają, wspomagają, objaśniają wzajem i że jedna nie może się obejść bez drugiej. Mimo iż umysł ludzki nie może wystarczyć na wszystkie i zawsze trzeba wybrać sobie jedną jako główną, to o ile nie ma się jakiegoś pojęcia o innych, i w swojej nawet natrafi się nieraz na ciemność. Czułem, że moje poprzednie dążenia były dobre i użyteczne same w sobie i że tylko metodę trzeba było zmienić. Wziąwszy zrazu *Encyklopedię*, posuwałem się, dzieląc ją na gałęzie. Spostrzegłem, iż trzeba robić wręcz przeciwnie, brać każdą gałąź z osobna i posuwać się w każdej oddzielnie aż do punktu, w którym się jednoczą. W ten sposób wróciłem do pospolitej syntezy, ale wróciłem jak człowiek, który wie, co robi. Rozmyślanie zastępowało mi w tym wiadomości, a proste zastanowienie pomagało znaleźć dobry kierunek. Czy mi była pisana śmierć, czy życie, w obu wypadkach nie miałem czasu do stracenia. Nie umieć nic w dwudziestym piątym niemal roku i chcieć się wszystkiego nauczyć — to wymagało tęgiego pośpiechu. Nie wiedząc, w jakim punkcie los albo zgon mogą zatrzymać mój zapał, chciałem na wszelki wypadek nabyć pojęcia o każdej rzeczy, zarówno aby się rozeznać w mych przyrodzonych zdolnościach, co aby osądzić samemu, która z nich najbardziej zasługuje na to, by ją uprawiać.

Nauka

W wykonaniu tego planu znalazłem inną korzyść, o której nie myślałem, mianowicie iż pozwala on dużo lepiej wyzyskać czas. Muszę widocznie nie być stworzony do nauki, długie bowiem przykładanie się do niej nuży mnie niezmiernie. Niepodobna mi przez pół godziny zajmować się z natężeniem jedną rzeczą, zwłaszcza gdy trzeba iść przy tym za myślą cudzą; własnymi bowiem myślami zdarzyło mi się niekiedy zaprzątać i dłużej, nawet z dość pomyślnym rezultatem. Kiedy przez parę stron zagłębiam się w autorze, którego trzeba czytać z wielką ścisłością, uwaga opuszcza mnie i gubi się w chmurach. Jeśli

się upieram, dochodzę do zupełnego wyczerpania, wszystko zaczyna mi tańczyć przed oczami, nie widzę nic. Ale jeśli rozmaite przedmioty następują kolejno po sobie, nawet bez przerwy, jeden daje mi wypoczynek po drugim i łatwiej mogę zdążyć za nimi myślą, nawet bez wypoczynku. Zastosowałem to spostrzeżenie w swoim planie nauk i przeplatałem je w taki sposób, że byłem zajęty cały dzień, a nie nużyłem się nigdy. Prawda, iż wiejskie i domowe zajęcia stanowiły zbawienne wytchnienie; ale w mym rosnącym zapale znalazłem wkrótce sposoby zdobycia jeszcze nieco czasu dla nauki i zajmowania się dwiema rzeczami naraz, nie myśląc o tym, iż każdej z osobna wychodzi to na szkodę.

Wszystkie te drobne szczegóły, które dla mnie mają tyle uroku, muszą zapewne często nużyć czytelnika; ale i tak postępuję w tym z powściągliwością, której by nikt nie ocenił, gdybym sam nie pokwapił się zwrócić na nią uwagi. W tym miejscu na przykład przypominam sobie z rozkoszą najrozmaitsze próby, które czyniłem, aby rozdzielić czas w sposób pozwalający go wyzyskać z pożytkiem i przyjemnością. Mogę powiedzieć, że ten okres, który przeżyłem w odosobnieniu i wciąż chory, stanowił epokę, w której byłem najmniej bezczynny i najmniej się nudziłem. Parę miesięcy upłynęło w ten sposób na wymacywaniu skłonności mego umysłu i na rozkoszowaniu się, w najpiękniejszej porze roku i w najmilszej miejscowości, czarem życia, którego tak dobrze uczułem wartość, powabem towarzystwa równie lubego, jak niekrępującego, jeśli można nazwać towarzystwem związek tak doskonały; dalej urokiem wiadomości, które zamierzyłem sobie przyswoić; było to bowiem dla mnie tak, jakbym je już posiadał, a raczej lepiej jeszcze, ile że przyjemność uczenia się dużą odgrywała rolę w mym szczęściu.

Szczęście

Trzeba mi pominąć te próby, które wszystkie były dla mnie źródłem rozkoszy, ale rozkoszy zbyt prostych, aby je można wytłumaczyć. Prawdziwego szczęścia, jeszcze raz muszę stwierdzić, nie da się opisać: czuje się je, i czuje tym lepiej, im mniej się je da wyrazić, znaczy to bowiem, że nie wynika ono ze zbiegu wydarzeń, ale że jest stanem stałym. Powtarzam się często, ale powtarzałbym się o wiele częściej jeszcze, gdybym mówił tę samą rzecz tyle razy, ile razy przychodzi mi na myśl. Kiedy wreszcie mój tryb życia, wielekroć odmieniany, ujednostajnił się, oto mniej więcej jego podział:

Modlitwa

Wstawałem co rano przed wschodem słońca. Wychodziłem przez sąsiedni sad na bardzo ładną drogę, ciągnącą się ponad winnicą i prowadzącą wzdłuż zbocza, aż do Chambéry. Tam, przechadzając się, odmawiałem poranną modlitwę, która nie polegała na pustym poruszaniu wargami, ale na szczerym podniesieniu serca ku Stworzycielowi tej uroczej natury, której piękności miałem przed oczami. Nigdy nie lubiłem modlić się w pokoju; mam uczucie, że mury i wszystkie drobne sprzęty ludzkie wciskają się między Boga a mnie. Lubię podziwiać go w jego dziełach, gdy serce wznosi się ku niemu. Modły moje, mogę powiedzieć, były czyste i przez to godne, aby je wysłuchano. Nie żądałem dla siebie i dla tej, z którą chęci moje nie rozłączały się nigdy, niczego innego, jak tylko życia płynącego w niewinności i spokoju, wolnego od występku, boleści, niedostatku; następnie zaś śmierci sprawiedliwych i losu ich w życiu przyszłym. Zresztą, akt tej modlitwy wyrażał się raczej w podziwie i kontemplacji niż w prośbach; wiedziałem, że u rozdawcy prawdziwych dóbr najlepszym sposobem otrzymania tego, czego nam trzeba, jest nie tyle prosić, co zasłużyć. Wracałem następnie, czyniąc duże koło, rozglądając się z ciekawością i rozkoszą w sielskich obrazach, które mnie otaczały, jedynych, którymi oko i serce nigdy się nie nuży. Wypatrywałem z daleka, czy u mamusi już jasno: kiedy widziałem, że żaluzje odsłonięto, z drżeniem radości spieszyłem do niej. Gdy okna były jeszcze zasłonięte, wstępowałem do ogrodu, czekając na jej przebudzenie. Tymczasem zabawiałem się powtarzaniem tego, czego nauczyłem się poprzedniego dnia, albo grzebaniem się w ogrodzie. Żaluzja otwierała się, szedłem uściskać mamusię w łóżku, często jeszcze wpółuśpioną. Uścisk ten, równie czysty jak tkliwy, czerpał w niewinności urok, którego nigdy nie da upojenie zmysłów.

Na śniadanie pijaliśmy kawę z mlekiem. Była to pora, w której byliśmy najspokojniejsi i najswobodniej mogliśmy gawędzić. Te posiedzenia, ciągnące się zazwyczaj dość długo, zostawiły mi żywy gust do śniadań. O wiele milszy mi jest obyczaj Anglii i Szwajcarii, gdzie śniadanie jest prawdziwym posiłkiem, do którego się wszyscy zgromadzają, niż moda francuska, wedle której każdy śniada sam w swoim pokoju, a najczęściej nie śniada wcale. Pogwarzywszy tak godzinkę lub dwie, szedłem do książek aż do obiadu. Zaczynałem od jakiegoś dzieła filozoficznego, jak *Logika Port-Royal*[354], *Zarysy* Locke'a[355],

Wiedza

Malebranche[356], Leibniz[357], Kartezjusz[358] etc. Spostrzegłem niebawem, że wszyscy ci autorowie są ze sobą w nieustannych sprzecznościach i powziąłem chimeryczny projekt pogodzenia ich, które to próby bardzo mnie zmęczyły i kosztowały dużo czasu. Miałem chaos w głowie, a nie posuwałem się naprzód. Wreszcie, dając jeszcze raz pokój tej metodzie, obrałem inną, o wiele lepszą, i jej to przyjmuję postępy, jakie zdołałem uczynić mimo braku pojętności, nie ulega bowiem kwestii, że miałem jej do nauk bardzo mało. Otóż, postanowiłem sobie, czytając każdego autora, przyjmować wszystkie jego idee i iść za nimi, nie mieszając do nich swoich własnych ani też niczyich i nigdy nie dysputując. Powiedziałem sobie: zacznijmy od tego, aby nagromadzić zapas idei, prawdziwych czy fałszywych, ale jasnych, w oczekiwaniu aż posiędę ich tyle, aby je móc porównywać z sobą i wybierać. Ta metoda ma swoje ujemne strony, wiem o tym, ale okazała się dobra dla moich celów. Po kilku latach, w ciągu których myślałem ściśle według myśli cudzej, nie zastanawiając się i prawie nie rozumując, przyswoiłem sobie zapas pojęć dość znaczny, aby wystarczać samemu sobie i myśleć bez pomocy drugich. Kiedy podróże i zatrudnienia pozbawiły mnie możności zaglądania do książek, zabawiałem się często przechodzeniem w myśli i zestawianiem tego, com niegdyś czytał, ważeniem każdej rzeczy na szali rozumu, a niekiedy sądzeniem swoich mistrzów. To, że tak późno zacząłem się posługiwać własnym sądem, nie przypuszczam, by wpłynęło ujemnie na jego sprawność; kiedy ogłosiłem swoje myśli, nie zarzucono mi, że jestem powolnym uczniem i że przysięgam jeno *in verba magistri*[359].

Przechodziłem z kolei do geometrii elementarnej; nigdy nie posunąłem się dalej. Upierając się zwyciężyć swój brak pamięci, wracałem sto razy do tego samego i podejmowałem nieustannie tę samą drogę. Nie smakowałem w geometrii Euklida, która daje raczej łańcuch dowodów niżeli łączność myśli; wolałem geometrię ojca Lamy, który od tego czasu stał się jednym z mych ulubionych autorów i którego dzieła dziś jeszcze odczytuję z przyjemnością. Potem następowała algebra, przy czym wciąż ojciec Lamy służył mi za przewodnika. Kiedym już nieco postąpił, wziąłem *Naukę rachunku* ojca Reynaud[360], następnie jego *Analizę*, której dotknąłem tylko po wierzchu. Nigdy nie zaszedłem dość daleko, aby zrozumieć zastosowanie algebry do geometrii. Nie lubiłem tego sposobu operowania bez widzenia tego, co się robi; zdawało mi się, że rozwiązywać problemat[361] geometryczny za pomocą zrównań[362] to jest grać melodię, kręcąc korbką. Pierwszy raz kiedy doszedłem za pomocą rachunku, że kwadrat dwumianu składa się z kwadratu każdej jego części i podwójnego ich ilorazu, mimo iż rachunek mój wykonany był zupełnie ściśle, uwierzyłem dopiero wówczas, kiedy wykreśliłem sobie figurę. To nie przeszkadza, że bardzo lubiłem algebrę, o ile przedmiotem jej były ilości oderwane; ale gdy chodziło o zastosowanie do wymiarów, chciałem widzieć operację wykreśloną liniami, inaczej nie rozumiałem nic zgoła.

Potem następowała łacina. Była to nauka dla mnie najuciążliwsza i nigdy nie zrobiłem w niej wielkich postępów. Zrazu wziąłem się do metody łacińskiej z Port-Royal[363],

---

[354]*Logika Port-Royal* — zwyczajowa nazwa podręcznika *La logique, ou l'art de penser* (Logika, czyli sztuka myślenia), będącego wykładem dedukcji, teorii poznania i metodologii nauk, napisanego przez głównych przedstawicieli jansenizmu: Antoine'a Arnaulda i Pierre'a Nicole'a, wydanego anonimowo w 1662, popularnego aż do XX w. [przypis edytorski]

[355]*Locke*, [*John*] (1632–1704) — słynny filozof angielski, który miał duży wpływ na encyklopedystów, zwłaszcza na Woltera. [przypis tłumacza]

[356]*Malebranche*, [*Nicolas*] (1638–1715) — filozof francuski, ksiądz z kongregacji oratorianów. [przypis tłumacza]

[357]*Leibniz*, [*Gottfried Wilhelm*] (1646–1716) — słynny filozof i matematyk niemiecki. [przypis tłumacza]

[358]*Kartezjusz*, właśc. *René Descartes* [(1596–1650)] — filozof francuski z XVII w., twórca nowoczesnej filozofii, autor głośnej *Rozprawy o metodzie*. [przypis tłumacza]

[359]*in verba magistri* (łac.: na słowa nauczyciela) *przysięgać* — ślepo powtarzać za kimś (Horacy, *Listy*, ks. I, I, 14). [przypis edytorski]

[360]*Reynaud, Charles-René* (1656–1728) — francuski matematyk, duchowny z zakonu oratorianów, autor m.in. pełnego kursu algebry i analizy matematycznej: *Analyse démontrée* (2 t., 1708), oraz podstawowego podręcznika matematyki: *Science du calcul* (t. 1: 1714, t.2: 1735). [przypis edytorski]

[361]*problemat* (daw.) — problem, zagadnienie do rozwiązania. [przypis edytorski]

[362]*zrównanie* (daw.) — równanie (matematyczne). [przypis edytorski]

[363]*metoda łacińska z Port-Royal* — według podręcznika dla dzieci *Nouvelle méthode pour apprendre la langue latine* (Nowa metoda nauki łaciny, 1644), napisanego przez związanego z Port-Royal gramatyka Claude'a

ale bezowocnie. Te ostrogockie[364] wiersze budziły odrazę w mym sercu i nie chciały mi wchodzić do ucha. Gubiłem się w tym mnóstwie reguł; ucząc się ostatniej, zapominałem wszystkiego, co ją poprzedzało. Nauka słów to nie jest rzecz wygodna dla człowieka pozbawionego pamięci; otóż właśnie dlatego, chcąc przemocą wygimnastykować pamięć, upierałem się przy tej nauce. Trzeba mi było poniechać jej w końcu. Poznałem na tyle składnię, aby czytać łatwego autora przy pomocy słownika. Trzymałem się tej drogi i dobrze na niej wyszedłem. Ćwiczyłem się w tłumaczeniu, nie piśmiennym, ale w myśli, i poprzestałem na tym. Z dużym nakładem czasu i pracy doszedłem do tego, iż mogłem dość płynnie czytać łacińskich autorów, ale nigdy nie nauczyłem się mówić ani pisać. Wprawiało mnie to często w zakłopotanie później, kiedy, sam nie wiem jak, ujrzałem się pisarzem. Drugą niedogodnością, na którą się natknąłem przy tej metodzie, było to, że nigdy nie nauczyłem się prozodii[365], a jeszcze mniej prawideł wierszowania. Pragnąc mimo to odczuć harmonię wiersza i prozy, czyniłem niemałe wysiłki, aby to osiągnąć; doszedłem w końcu do przekonania, iż bez nauczyciela jest to prawie niemożliwe. Nauczywszy się budowy najłatwiejszego ze wszystkich wierszy, to jest heksametru[366], miałem cierpliwość przeskandować prawie całego Wergilego, znacząc stopy[367] i iloczas[368]. Następnie, kiedy miałem wątpliwość, czy jakaś sylaba jest długa czy krótka, radziłem się mego Wergilego. Łatwo pojąć, iż musiałem przy tym popełniać wiele błędów z przyczyny dopuszczalnych wyjątków. Jeśli uczenie się samemu daje wiele korzyści, ma ono także i wiele braków, a zwłaszcza połączone jest ze straszliwymi trudnościami. Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek.

Przed południem wstawałem od książek. Jeżeli obiad nie był gotów, odwiedzałem moich przyjaciół z gołębnika albo szedłem pracować w ogrodzie, czekając godziny posiłku. Usłyszawszy, że mnie wołają, przybiegałem pełen dobrego humoru i jeszcze lepszego apetytu; jest to okoliczność godna zanotowania, iż choćbym był jak najbardziej chory, na apetycie nie zbywa mi nigdy. Obiadowaliśmy bardzo przyjemnie, rozmawiając o domowych sprawach w oczekiwaniu, aż mamusia będzie się mogła zabrać do jedzenia. Parę razy na tydzień, kiedy było ładnie, piliśmy kawę w ogrodzie, w cienistej i chłodnej altanie, którą obsadziłem chmielem i która była nam wielką pociechą w czas upałów. Tam spędzaliśmy jaką godzinkę, oglądając jarzyny, kwiaty, rozmawiając o rzeczach tyczących naszego życia i w ten sposób jeszcze lepiej karmiąc się jego słodyczą. Miałem drugą małą rodzinkę w końcu ogrodu, mianowicie pszczoły. Nie omieszkałem nigdy — a często mamusia ze mną — złożyć im wizyty; interesowałem się ich pracą; bawiłem się niezmiernie, widząc jak wracają z wyprawy, przy czym małe udka miały niekiedy tak obładowane, że ledwie mogły się posuwać. Przez pierwsze dni, ciekawość moja posunęła się aż do niedyskrecji, jakoż ukłuły mnie raz i drugi; ale później zawarliśmy tak ścisłą znajomość, że mogłem podchodzić choćby najdalej zupełnie bezkarnie, żadna mnie nie ukłuła. Wszystkie zwierzęta mają nieufność do człowieka, i słusznie; ale gdy raz obudzi w nich pewność, iż nie chce im szkodzić, nabierają takiego zaufania, że trzeba by być więcej niż barbarzyńcą, aby go nadużyć.

Zwierzęta

Wracałem do książek, ale owe popołudniowe zatrudnienia nie tyle już zasługują na nazwę pracy i nauki, ile raczej zabawy i wytchnienia. Nigdy nie znosiłem ślęczenia w pokoju po obiedzie, w ogóle wszelki wysiłek w upał jest mi uciążliwy. Oddawałem się tedy, bez przymusu i prawie bez reguły, lekturze. Umiejętnością, w którą zapuszczałem się najgłębiej, była historia i geografia; że zaś nie wymagały wytężenia umysłu, zrobiłem w nich

Lancelota (ok. 1615–1695); zasady gramatyczne autor podawał w postaci rymowanek, niezbyt udanych i trudno zrozumiałych. [przypis edytorski]

[364]*ostrogocki* — przym. od rzecz. *Ostrogoci*, nazwy barbarzyńskiego plemienia germańskiego, którego władcy po upadku zach. części Imperium Rzymskiego władali Italią od V do VI wieku. [przypis edytorski]

[365]*prozodia* — nauka o brzmieniowych właściwościach mowy lub wiersza: akcencie, iloczasie, intonacji. [przypis edytorski]

[366]*heksametr* — kanoniczna miara wierszowa antycznych eposów, którą napisano *Iliadę*, *Odyseję* i *Eneidę*. [przypis edytorski]

[367]*stopa* — najmniejsza jednostka miary rytmicznej wiersza, w wersyfikacji antycznej: określony układ sylab długich i krótkich. [przypis edytorski]

[368]*iloczas* — różnicowanie czasu wymowy głosek i wyróżnianie w języku samogłosek długich i krótkich; iloczas występował w starож. grece i łacinie, stanowił postawę poezji antycznej. [przypis edytorski]

postępy, o ile pozwalał mi mój brak pamięci. Chciałem przerobić ojca Petau[369] i zapuściłem się w odmęt chronologii, ale zniechęciłem się bezładną i płytką częścią krytyczną i chętniej zajmowałem się studiowaniem dokładnych miar czasu i biegiem ciał niebieskich. Byłbym nabrał zamiłowania do astronomii, gdybym miał instrumenty; ale trzeba mi było zadowolić się podstawowymi wiadomościami z książek i paroma prymitywnymi obserwacjami, dokonanymi za pomocą lichej lunety jedynie dla rozeznania się w ogólnej sytuacji nieba, ile że krótki wzrok nie pozwala mi gołym okiem rozróżniać gwiazd. Przypominam tu sobie przygodę, której wspomnienie nieraz wprawiło mnie w wesołość. Kupiłem planisferę[370] niebieską, aby studiować konstelacje. Umocowałem tę planisferę na ramie; kiedy niebo było pogodne, szedłem w nocy do ogrodu, umieszczałem ramę na czterech kijach mniej więcej mego wzrostu, obracając planisferę ku dołowi. Aby ją móc oświetlić mimo wiatru, wstawiłem świecę w gliniany garnek ustawiony między słupkami, następnie zaś, patrząc na planisferę gołymi oczyma, a na niebo przez lunetę, ćwiczyłem się w poznawaniu gwiazd i rozróżnianiu konstelacji. Wspomniałem, zdaje mi się, że ogród pana Noiret opuszczał się terasowato, za czym[371] widać było z drogi, co się w nim dzieje. Jednego wieczora chłopi, przechodząc dość późno, ujrzeli mnie, w dziwnym stroju, oddanego memu zatrudnieniu. Blask padający na planisferę (źródła światła nie widzieli, zakrywały je ich oczom ściany garnka), cztery słupki, papier pokreślony figurami, rama, luneta, która to wysuwała się, to kurczyła — wszystko to przestraszyło ich. Strój mój również nie mógł się przyczynić do ich uspokojenia: kapelusz z wielkim rondem, nasadzony na szlafmycę, watowany kaftanik mamusi (nałożyła mi go przemocą), wszystko to dawało mi postać prawdziwego czarownika; że zaś było blisko północy, nie wątpili, że to początek sabatu. Nieciekawi dalszego ciągu, uciekli w popłochu, pobudzili sąsiadów, aby im opowiedzieć swoje zwidzenie, i historia poszła z ust do ust tak szybko, iż nazajutrz każdy w sąsiedztwie wiedział, że w ogrodzie pana Noiret odbywają się sabaty. Nie wiem, co by wynikło z tych pogłosek, gdyby nie to, że jeden z chłopów, świadek moich czarnoksięskich misteriów, pobiegł tego samego dnia na skargę do dwóch jezuitów, którzy nas odwiedzali niekiedy i którzy nie wiedząc, o co chodzi, z góry rozproszyli ich obawy. Opowiedzieli nam całą historię, wyjaśniłem przyczynę i uśmialiśmy się szczerze. Ale z obawy przed powtórzeniem się takiego wypadku uchwalono, że na przyszłość będę badał niebo bez światła, do planisfery zaś będę zaglądał w domu.

Taki był mój tryb życia w Charmettes, kiedy nie byłem zajęty pracą w polu; do tej miałem szczególne zamiłowanie. W zakresie, który nie przechodził moich sił, pracowałem jak prosty wieśniak. Co prawda, byłem wówczas tak osłabiony, iż mogłem dawać jedynie dobre chęci. Przy tym chciałem naraz spełniać dwie roboty, dlatego żadnej nie spełniałem dobrze. Ułożyłem sobie, iż choćby gwałtem, muszę wyrobić pamięć; upierałem się jak najwięcej uczyć się pamięciowo. W tym celu miałem zawsze przy sobie jakąś książkę, z której z okropnym trudem czytałem i powtarzałem głośno całe ustępy, wciąż przy tym zajęty pracą ręczną. Dziwię się sam, iż uporczywość owych czczych wysiłków nie doprowadziła mnie do ogłupienia. *Eklog* Wirgiliusza, z których nie umiem ani słowa, uczyłem się, zapominając i na nowo ucząc się, chyba ze dwadzieścia razy. Pogubiłem i zbrakowałem mnóstwo książek, nabrawszy zwyczaju noszenia ich wszędzie z sobą, do gołębnika, do ogrodu, do sadu, do winnicy. Zajęty czym innym, kładłem książkę pod drzewem albo na żywopłocie; zapominałem jej i często po dwóch tygodniach znajdowałem ją zgniłą albo zjedzoną przez mrówki i ślimaki. Ten szał kształcenia się stał się manią, która doprowadzała mnie wręcz do ogłupienia: bez przerwy mamrotałem coś przez zęby.

Ponieważ najczęstszą mą kulturę stanowiły pisma Port-Royal i Oratorium, stałem się przez nie wpółjansenistą. Mimo mej pogody ducha, ta twarda teologia przerażała mnie

[369] *Pétau*, [*Denis*] (1583–1652) — jezuita, słynny chronologista francuski [płodny autor, erudyta, zajmujący się patrystyką, historią, filozofią, historią dogmatyki, stworzył m.in. cenione *Tabulae chronologicae* (Tablice chronologiczne, 1628), których skrócona wersja *Rationarium temporum*, została przetłumaczona na francuski; red. WL]. [przypis tłumacza]

[370] *planisfera* (astr.) — mapa nieba, pomocniczy przyrząd do rozpoznawania gwiazd i konstelacji, złożony z dwu ruchomych elementów osadzonych na wspólnej osi: koła z obrazem całej półkuli nieba oraz nakrywającej go tarczy z owalnym otworem, służącej do pokazywania części nieba widocznej dla obserwatora. [przypis edytorski]

[371] *za czym* (daw.) — po czym; więc, zatem, wobec tego. [przypis edytorski]

niekiedy[372]. Groza piekła, którego dotąd obawiałem się bardzo niewiele, mąciła mój spokój. Gdyby mamusia nie wpływała uspakajająco, ta przerażająca nauka byłaby mnie do cna opętała. Spowiednik mój, który był i jej spowiednikiem, dokładał starań, aby mi wrócić równowagę. Był to ojciec Hemet, jezuita, dobry i mądry staruszek, którego pamięć zawsze mi będzie szacowną. Mimo iż jezuita, miał on prostotę dziecka[373], a moralność jego, nie tyle wolnomyślna, ile nacechowana łagodnością, stanowiła dla mnie najlepszą przeciwwagę jansenizmu. Ten poczciwiec i towarzysz jego, ojciec Copier, zachodzili często do Charmettes, mimo iż droga była ciężka i jak na ich wiek dość daleka. Odwiedziny ich były mi bardzo zbawienne. Niech Bóg odpłaci ich duszom! Zbyt bowiem sędziwi byli wówczas, abym mógł przypuszczać, że jeszcze żyją. Zachodziłem także do nich w Chambéry; oswajałem się po trosze w klasztorze; biblioteka ich stała mi otworem. Wspomnienie tych szczęśliwych chwil łączy się z jezuitami tak blisko, iż każe mi ich kochać dla tego wspomnienia; i mimo że ich nauka wydawała mi się zawsze bardzo niebezpieczną, nie mogłem się nigdy zdobyć na to, aby ich szczerze nienawidzić.

Chciałbym wiedzieć, czy przez dusze innych ludzi przemykają niekiedy dzieciństwa[374] podobne moim. Wśród ciągłych studiów i życia tak niewinnego, jak tylko być może, mimo wszystkich zapewnień i perswazji, obawa piekła dręczyła mnie ciągle. Często stawiałem sobie pytanie: w jakim stanie znajduję się w tej chwili? Gdybym umarł teraz nagle, czy byłbym potępiony? Wedle jansenistów rzecz nie ulegała wątpliwości, ale wedle mego sumienia zdawało mi się, że nie. Wciąż niespokojny i miotany okrutną niepewnością, szukając ratunku, uciekałem się do najpocieszniejszych środków, za które, gdybym te objawy widział u kogoś drugiego, byłbym skłonny zamknąć człowieka do wariatów. Jednego dnia, dumając nad tym smutnym przedmiotem, ćwiczyłem się machinalnie w ciskaniu kamieniami o pnie i to z mą zwykłą zręcznością, to znaczy chybiając prawie za każdym razem. W pełni tego ćwiczenia, przychodzi mi nagle myśl, aby uczynić zeń prognostyk[375] dla uśmierzenia obaw. Powiadam sobie: „Rzucę kamieniem o to drzewo; jeśli trafię — to znak, iż będę zbawiony; jeśli chybię — potępiony". Tak sobie mówiąc, rzucam kamień drżącą ręką i ze straszliwym biciem serca, ale tak szczęśliwie, że ugodził w sam środek pnia. Po prawdzie, nie było to trudno, ponieważ byłem na tyle ostrożny, aby wybrać pień gruby i bardzo blisko. Od tego czasu nie wątpiłem już o mym zbawieniu. Przypominając sobie ten czyn, nie wiem czy śmiać się, czy ubolewać nad tobą. Wy, wielcy ludzie, którzy z pewnością śmiejecie się, możecie być dumni ze swej wyższości; ale nie urągajcie mej głupocie: przysięgam, że sam czuję ją dostatecznie.

Zresztą, te niepokoje, te strachy, nieodłączne może od pobożności, nie były stanem ciągłym. Zwykle byłem dość spokojny. Wrażenie, jakie myśl o bliskiej śmierci czyniła na mej duszy, było nie tyle smutkiem, ile jakąś spokojną omdlałością, nie wolną nawet od słodyczy. Odnalazłem niedawno między starymi papierami rodzaj nauki, jaką aplikowałem sobie samemu: chwaliłem w niej sobie, że umieram w wieku, w którym ma się dość odwagi, aby patrzeć w oczy śmierci, i że schodzę ze świata, nie doświadczywszy w mym życiu żadnych większych mąk ciała i ducha. Jakże miałem słuszność! Przeczucie jakieś kazało mi się obawiać życia i jego cierpień. Zdawałoby się, iż przewidywałem los, który mnie czekał na stare lata. Nigdy nie byłem tak blisko mądrości, jak w tej szczęśliwej epoce. Bez wielkich wyrzutów z powodu przeszłości, wolny od trosk na przyszłość, trwałem w dominującym w mej duszy uczuciu cieszenia się teraźniejszością. Dewoci mają zazwyczaj coś z drobnej, ale bardzo żywej zmysłowości, dającej im z lubością wysysać niewinne a dozwolone rozkosze. Ludzie światowi czynią im z tego zbrodnię, nie wiem czemu, albo raczej wiem: dlatego, że zazdroszczą drugim słodyczy czerpanej w prostych przyjemnościach, których smak sami zatracili. Ja miałem ten smak i znajdowałem wielki

[372] *ta twarda teologia przerażała mnie niekiedy* — teologia jansenistów była oparta na doktrynie zepsucia natury ludzkiej oraz niezbędności łaski Bożej do przezwyciężenia pokus i osiągnięcia zbawiania, przy czym łaską Bóg obdarowuje tylko wybranych przez siebie, pozostałych potępia. Zwalczający jansenizm jezuici posługiwali się odmienną doktryną o łasce (molinizm): Bóg oferuje swoją łaskę każdemu, zaś aktem wolnej woli można ją przyjąć lub odrzucić. [przypis edytorski]

[373] *Mimo iż jezuita, miał on prostotę dziecka* — jezuitom, których głównym celem miało być zwalczanie reformacji, przypisywano zakłamanie, przewrotność i bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

[374] *dzieciństwo* (daw.) — dziecinada. [przypis edytorski]

[375] *prognostyk* — znak, zapowiedź; przepowiednia. [przypis edytorski]

urok w zaspakajaniu go z czystym sumieniem. Serce moje, jeszcze świeże, oddawało się wszystkiemu ze szczęściem dziecka albo jeśli śmiem się tak wyrazić, z rozkoszą anioła, w istocie bowiem te spokojne słodycze podobne są z niewinności swojej rajskim. Obiady na trawie, wieczerze w altance, zrywanie owoców, żniwa, winobranie, darcie konopi wespół z naszymi ludźmi — wszystko to było jednym szeregiem zabaw, w których mamusia znajdowała tyleż radości, co ja. Samotne przechadzki miały jeszcze większy urok, gdyż serce wywnętrzało się z większą swobodą. Między innymi zrobiliśmy jeden spacer stanowiący epokę w mych wspomnieniach; było to w dzień świętego Ludwika[376], którego imię nosiła mamusia. Wybraliśmy się rano, sami, wczesnym rankiem, po mszy, którą karmelita odprawił o świcie w kaplicy koło domu. Poddałem myśl, aby się puścić na przeciwległe zbocze, którego nie zwiedziliśmy jeszcze. Wysłaliśmy naprzód prowianty, bo wycieczka miała trwać cały dzień.

Mamusia, choć nieco okrągła i tłuściutka, była niezłą piechurką. Wędrowaliśmy z pagórka na pagórek, z lasku do lasku, czasem słońcem, często cieniem, odpoczywając po trosze i zapamiętując się na całe godziny; rozmawiając o sobie, o naszym związku, o słodyczach naszej doli, wyrażając życzenia, aby mogła trwać całe życie, życzenia, które niestety nie zostały wysłuchane! Wszystko składało się na to, aby ten dzień upłynął jak najszczęśliwiej. Niedawno padał deszcz, nie było pyłu, strumienie toczyły obficie wodę, chłodny wietrzyk poruszał liśćmi, powietrze było czyste, widnokrąg bez chmur, pogoda panowała na niebie jak w naszych sercach. Obiad sporządziliśmy w chałupie jakiegoś kmiotka i podzieliliśmy go z jego rodziną, błogosławiącą nas z całego serca. Ci poczciwi Sabaudczycy to tacy dobrzy ludzie! Po obiedzie schroniliśmy się w cień, pod wielkie drzewa. Gdy ja gromadziłem chrust, aby przyrządzić kawę, mamusia zbierała zioła po zaroślach. Po drodze nazrywałem mamusi cały pęk kwiatów. Pokazywała mi w ich budowie wiele ciekawych rzeczy, które mnie bawiły i które powinny były obudzić we mnie zamiłowanie do botaniki. Ale pora jeszcze nie nadeszła, byłem zbyt pochłonięty tyloma innymi studiami! W tej chwili przyszła mi myśl, która mnie oderwała od ziół i kwiatów. Stan duszy, w którym się znajdowałem, wszystko, cośmy mówili i robili tego dnia, przedmioty, które zwróciły moją uwagę, wszystko to przypomniało mi rodzaj snu, jaki marzyłem na jawie w Annecy przed siedmiu czy ośmiu laty, a o którym wspominałem w swoim miejscu. Związek był tak uderzający, że myśląc o tym, wzruszyłem się do łez. W wybuchu czułości uściskałem drogą przyjaciółkę: „Mamusiu, mamusiu — rzekłem z uniesieniem — ten dzień był mi przyrzeczony od dawna. Oto ziściło się wszystko, o czym mogłem marzyć. Szczęście moje, dzięki tobie, jest u szczytu. Oby nigdy nie doczekało się zachodu! Oby trwało tak długo, jak długo mi będzie drogim, nie skończyłoby się aż z mym życiem".

Tak płynęły mi szczęśliwe dni, tym szczęśliwsze, że nie widząc nic, co by je mogło zmącić, w istocie koniec ich widziałem jedynie z końcem życia. To nie znaczy, aby źródło trosk zupełnie wyschło, ale skierowało się w odmienne koryto i starałem się zwrócić je, o ile mogłem, w stronę rzeczy użytecznych, tak aby przyniosło z sobą i lekarstwo. Mamusia z natury lubiła wieś, a moje towarzystwo mogło ją tylko w tym utrwalić. Stopniowo nabrała zamiłowania do gospodarstwa; lubiła wydobywać z ziemi ile się da, znała się na tym i zajęcie to robiło jej przyjemność. Nie wystarczał jej nawet kawałek gruntu przy domu; dzierżawiła, najmowała to pólko jakieś, to kawałek łąki. Słowem, przenosząc swą przedsiębiorczość w sferę rolnictwa, zamiast próżnować i wypoczywać, krzątała się tak, jakby miała zostać niebawem obywatelką ziemską. Nie podobał mi się zbytni jej zapał; powściągałem ją, ile mogłem, pewien, iż zawsze w końcu padnie ofiarą złudzeń i że usposobienie jej, szerokie i hojne, zawsze podniesie sumę wydatków ponad wysokość dochodu. Bądź co bądź, pocieszałem się tym, że przynajmniej dochód ten nie będzie zupełnie znikomy i pomoże jej do życia. Ze wszystkich przedsięwzięć, jakie mamusia mogła podjąć, to wydało mi się najmniej rujnujące; nie dopatrując się w nim zysków, widziałem wszelako nieustanne zatrudnienie, zdolne ocalić ją od awanturniczych pomysłów i wyzysku hultajów. W tej myśli pragnąłem gorąco odzyskać tyle sił i zdrowia, ile było trzeba, aby czuwać nad jej interesami, być dozorcą robotników, rodzajem plenipotenta[377]. Siłą

[376] *dzień świętego Ludwika* — 25 sierpnia. [przypis edytorski]

[377] *plenipotent* — osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]

rzeczy zajęcia, do których się wkładałem w tym celu, odrywając mnie od książek i każąc mi zapominać o moim stanie zdrowia, wpływały na nie tym samym korzystnie.

(1737–1741). Następnej zimy Barillot, wracając z Włoch, przywiózł mi kilka książek, między innymi Bontempiego[378] i *Cartella per musica* ojca Banchieri[379], które obudziły we mnie ciekawość do historii muzyki i do teoretycznych badań nad tą piękną sztuką. Barillot zabawił jakiś czas z nami; że zaś byłem od kilku miesięcy pełnoletni, postanowiliśmy, że najbliższej wiosny udam się do Genewy upomnieć się o mająteczek po matce, a przynajmniej o część, która na mnie przypada w oczekiwaniu wiadomości o losie brata. Stało się, jakeśmy postanowili. Udałem się do Genewy, ojciec stawił się tam również. Od dłuższego czasu bywał w tym mieście bez przeszkód, mimo że sprawy jego nie umorzono; ale ponieważ ceniono jego odwagę i szanowano charakter, patrzano przez palce na te dawne dzieje; przy tym władze, zajęte wielkim projektem, który wystrzelił niedługo później, nie chciały przed czasem drażnić mieszczaństwa, przypominając im nie w porę dawną stronniczość.

Lękałem się, aby mi nie czyniono trudności z powodu zmiany religii; nie doświadczyłem żadnych. Ustawy w Genewie są pod tym względem mniej surowe niż w Bernie, gdzie ktokolwiek zmieni wyznanie, traci nie tylko prawa obywatelskie, ale i majątek. Nie kwestionowano tedy mej należności, ale okazało się, nie wiem, jakim sposobem, iż stopniała ona do nieznacznej kwoty. Mimo iż było prawie pewne, że brat nie żyje, nie było prawnego dowodu. Nie posiadając wystarczających tytułów, aby się domagać jego części, zostawiłem ją bez żalu ojcu; jakoż korzystał z niej, póki żył. Skoro tylko załatwiono formalności i dostałem do rąk pieniądze, obróciłem część na książki, a resztę pospieszyłem zanieść do stóp mamusi. Serce biło mi w drodze z radości, a chwila, w której złożyłem te pieniądze w jej ręce, była mi tysiąc razy słodsza niż ta, w której dostały się one do moich. Przyjęła je z całą prostotą szlachetnych dusz, które spełniając co dzień te rzeczy bez wysiłku, patrzą na nie bez podziwu. Pieniądze obróciła prawie całkowicie na moje potrzeby i to z tą samą prostotą. Na ten sam użytek byłyby poszły, gdyby były spadły skądinąd.

Choroba

Mimo to zdrowie moje nie polepszało się, przeciwnie, gasłem w oczach. Byłem blady i chudy jak szkielet, pulsowanie tętnic nękało mnie straszliwie, palpitacje były coraz częstsze, czułem nieustanny ucisk, a osłabienie doszło w końcu do tego, iż z trudnością zdołałem się poruszać. Nie mogłem przyspieszyć kroku, by zaraz nie dostać duszności; nie mogłem się schylić bez zawrotu głowy; nie mogłem podnieść najmniejszego ciężaru, byłem skazany na bezczynność, jakże nieznośną dla tak ruchliwego człowieka! To pewna, że w tym wszystkim było dużo waporów[380]. Wapory są chorobą ludzi szczęśliwych, i mnie tedy nie oszczędziły. Łzy wylewane bez przyczyny, napady przestrachu za szelestem liścia albo ptaszka, zmienność humoru wśród najmilszego życia, wszystko to zwiastowało jakby przesycenie słodyczą, objawiające się ową zbyt wybujałą wrażliwością. Jesteśmy tak niestworzeni, aby tu na ziemi kosztować szczęścia, że trzeba koniecznie, aby dusza lub ciało, o ile nie oba razem, spłaciły okup cierpieniu, a pomyślny stan jednego oddziaływa prawie zawsze ujemnie na drugie. Kiedy byłbym mógł cieszyć się rozkoszą życia, organizm mój, wyniszczony i osłabły, nie dopuszczał tego, a co najgorsza, niepodobna było odnaleźć siedziby choroby. W późniejszym życiu, mimo lat i mimo bardzo prawdziwych i poważnych cierpień, ciało moje jak gdyby odzyskało siły, aby lepiej odczuwać me niedole. Teraz, kiedy piszę te słowa, chory, blisko sześćdziesięcioletni, przygnieciony wszelkimi nieszczęściami, czuję w sobie więcej siły do dźwigania cierpień, niż ich miałem w kwiecie wieku dla słodyczy najprawdziwszego szczęścia.

Choroba

Na dobitkę, liznąwszy w swoich lekturach nieco fizjologii, zabrałem się do anatomii. Otóż, uświadamiając sobie mnogość różnorodnych i złożonych części organizmu, dwadzieścia razy na dzień doznawałem uczucia, że to wszystko się we mnie rozprzęga. Mniej dziwiłem się temu, iż czuję się umierającym, niż temu, że jeszcze żyć mogę. Nie zdarzyło mi się przeczytać opisu choroby, abym natychmiast nie doszukał się jej w sobie. Jestem pewny, że gdybym nawet nie był chory, rozchorowałbym się wskutek tej nieszczęsnej nauki. Znajdując w każdej chorobie własne symptomaty, gromadziłem je w sobie wszyst-

[378] *Bontempi*, [*Giovanni Andrea* (1624–1705)] — włoski teoretyk muzyki. [przypis tłumacza]

[379] *Banchieri, Tommaso Adriano* (1568–1634) — włoski kompozytor, organista i teoretyk muzyki, benedyktyn. [przypis edytorski]

[380] *wapory* (daw.) — ataki histerii, spazmy. [przypis edytorski]

kie. Ponadto przybyła mi nowa, niebezpieczniejsza jeszcze, z której zdawało się, że już się wyzwoliłem, a mianowicie zapał do leczenia się. Jest to choroba nieunikniona prawie dla kogoś, kto zabrnie w dzieła lekarskie. Po długich dociekaniach, namysłach, porównaniach uroiłem sobie, że podstawą mego cierpienia jest polip w sercu; sam Salomon zdawał się uderzony tą ideą. Biorąc rzecz racjonalnie, powinno to było tylko utwierdzić mnie w dawniejszej determinacji. Stało się przeciwnie. Wytężyłem wszystkie siły na dociekanie, jak można by uleczyć polipa w sercu, z mocnym postanowieniem podjęcia tej cudownej kuracji. W czasie podróży, jaką Anet odbył niegdyś do Montpellier, aby poznać tamtejszy ogród botaniczny, powiedziano mu, że doktor Fizes[381] uleczył kogoś z takiego polipa. To wystarczyło, aby mnie natchnąć żądzą szukania porady u doktora Fizes. Nadzieja wyleczenia dodała mi sił i energii do podróży. Pieniądze przywiezione z Genewy dostarczyły środków. Mamusia nie tylko nie odradzała mi, ale utwierdzała mnie w zamiarze. Puściłem się tedy do Montpellier.

Nie potrzebowałem wędrować tak daleko, aby znaleźć lekarza, jakiego mi było trzeba. Zbyt utrudzony podróżą konną, nająłem w Grenoble wehikuł. W Moirans spotkałem kilka innych, które nadjechały sznurkiem tuż za moim. Gwar, zamęt. Większość tych pojazdów należała do orszaku świeżo zamężnej damy nazwiskiem du Colombier[382]. Między innymi gośćmi towarzyszyła pannie młodej niejaka pani de Larnage[383], nie tak młoda i piękna jak pani du Colombier, ale nie mniej urocza. Tamta zatrzymywała się w Romans, ta zaś miała jechać dalej, do Saint-Andiol, niedaleko Pont-Saint-Esprit. Może sobie czytelnik wyobrazić, że przy mym znanym niezdarstwie niełatwo przyszło do znajomości z tak świetnymi damami i otaczającą je świtą. Ale wreszcie, jadąc tą samą drogą, stając w tych samych oberżach i zmuszony, o ile nie chciałem uchodzić za dzikusa, siadać u tego samego stołu, nie mogłem uniknąć prezentacji. Przyszło zatem do tego, i to wcześniej, niżbym pragnął, cały bowiem ten zamęt nie bardzo odpowiedni był dla chorego z moim usposobieniem. Ale ciekawość tak przypiekła te szelmy kobietki, że aby doprowadzić do znajomości z mężczyzną, zaczynają od tego, iż zawracają mu głowę. Tak stało się ze mną. Pani du Colombier, otoczona zgrają fircyków, nie miała czasu na kokietowanie mnie; ale pani de Larnage, mniej oblegana i troskliwsza o zapewnienie sobie rozrywki w drodze, zabrała się do mnie z miejsca. Bywaj zdrów, biedny Janie Jakubie, a raczej bywajcie zdrowe febro, wapory, polipy. Wszystko gdzieś podziało się przy niej, z wyjątkiem pewnych palpitacji, które mi zostały i z których nie chciała mnie uleczyć.

Smutny stan mego zdrowia był pierwszą kanwą znajomości. Widziano, że jestem chory, wiedziano, że udaję się do Montpellier; widocznie z miny i z obejścia nie wyglądałem na rozpustnika, z dalszego ciągu bowiem okazało się jasno, iż nie czyniono co do mnie żadnych hańbiących przypuszczeń. Mimo że na ogół choroba nie jest dla mężczyzny zbyt dobrą rekomendacją u dam, w tym wypadku uczyniła mnie interesującym. Rano przysyłały dowiadywać się o moje zdrowie i zapraszały na czekoladę, wypytując się jak spędziłem noc. Jednego dnia, zgodnie z chwalebnym zwyczajem odpowiadania bez myśli, odrzekłem, że nie wiem. Sądziły, że mam źle w głowie; zaczęły mi się bliżej przyglądać i przegląd nie wypadł na moją niekorzyść. Usłyszałem raz, jak pani du Colombier mówiła do przyjaciółki: „Nieobyty jest trochę, ale miły". To słówko dodało mi odwagi, uczyniło mnie miłym naprawdę.

W miarę jak postępowała zażyłość, trzeba było mówić coś o sobie: kto zacz, skąd jedzie, dokąd śpieszy. To wprawiało mnie w zakłopotanie, czułem dobrze, że w tym świetnym towarzystwie, wobec wykwintnych dam, epitet „nowo nawrócony" będzie dla mnie zabójczy. Nie wiem, jak mi ten koncept wpadł do głowy, dość że, ni stąd ni zowąd, postanowiłem udawać Anglika, nazwiskiem Dudding[384]; co osobliwsze, uwierzono w to.

[381] *Fizes, Antoine* (1690–1765) — ceniony lekarz i profesor na wydziale medycyny w Montpellier. [przypis edytorski]

[382] *świeżo zamężnej damy nazwiskiem du Colombier* — była to Justine de Chabrière de la Roche, która w lutym 1736 wyszła za mąż za André du Colombier, radcę królewskiego w parlamencie Grenoble; spotkanie z Rousseau miało miejsce we wrześniu 1737. [przypis edytorski]

[383] *niejaka pani de Larnage — Suzanne-Francoise du Larnage* (1693–ok. 1755); w chwili spotkania z Rousseau miała 44 lata. [przypis edytorski]

[384] *udawać Anglika, nazwiskiem Dudding* — tj. jednego z przebywających na wygnaniu angielskich jakobitów, zwolenników przywrócenia władzy obalonej dynastii Stuartów. [przypis edytorski]

Był w towarzystwie niejaki markiz de Torignan, chory jak i ja, do tego stary i dość zrzędny. Otóż, ten przeklęty nudziarz uparł się zawiązać rozmowę z panem Dudding. Zagaił o królu Jakubie, o pretendencie, o dawnym dworze w Saint-Germain[385]. Siedziałem jak na szpilkach; wiedziałem o tym ledwie tyle, co przeczytałem w Hamiltonie[386] i w gazetach; mimo to spożytkowałem te wiadomości tak dobrze, że wykręciłem się ze sprawy; szczęściem, nikomu nie przyszło na myśl brać mnie na egzamin z języka angielskiego, którego nie znałem ani słowa.

Cała kompania dobrze czuła się z sobą i z żalem patrzyła na zbliżające się rozstanie. Wlekliśmy się ślimaczym krokiem. Pewnej niedzieli znaleźliśmy się w Saint-Marcellin. Pani de Larnage chciała iść na mszę; towarzyszyłem jej, co omal nie popsuło mej sprawy. W kościele zachowywałem się tak, jak było moim zwyczajem. Z postawy mej, poważnej i skupionej, mniemała, iż ma do czynienia z bigotem, i powzięła o mnie najgorszą opinię, jak mi to wyznała w dwa dni potem. Trzeba mi było później dużo galanterii, aby zatrzeć to złe wrażenie; lub raczej pani de Larnage, jako kobieta doświadczona i niełatwo dająca się zrazić, zechciała zaryzykować pewne awanse, aby się przekonać, jak się wywiążę ze sprawy. Istotnie, nie szczędziła mi ich, i to takich, iż ja, o sto mil od męskiej próżności, myślałem, że sobie żartuje ze mnie. Pod wpływem tego dzieciństwa, sadziłem głupstwo na głupstwo, gorzej niż margrabia w *Zapisie*[387]. Pani de Larnage nie dawała za wygraną, zachowywała się tak wyzywająco i mówiła mi rzeczy tak czułe, że człowiekowi o wiele mniej niewinnemu trudno by było wszystko wziąć za dobrą monetę. Im dalej się posuwała, tym bardziej utwierdzała mnie w mojej idei, co mnie dręczyło tym więcej, ile że tymczasem sam zawróciłem sobie porządnie głowę. Mówiłem w duchu i jej powtarzałam, wzdychając: „Ach, czemuż to wszystko nie jest prawda! Byłbym najszczęśliwszy z ludzi!". Sądzę, iż naiwność nowicjusza podrażniła tylko jej kaprys; to fakt, iż zdecydowana była nie dać za wygraną.

Zostawiliśmy w Romans panią du Colombier z jej orszakiem. Ciągnęliśmy dalej naszą drogę najwolniej i najrozkoszniej w świecie: pani de Larnage, margrabia de Torignan i ja. Margrabia, mimo iż chory i zrzędny, był w gruncie niezły człowiek, ale niezbyt lubiący rolę biernego świadka cudzych przyjemności. Pani de Larnage tak mało ukrywała skłonność do mojej osoby, iż margrabia spostrzegł się na tym wcześniej ode mnie. Jeśli nie co innego, to same jego sarkazmy powinny były wlać we mnie ową pewność siebie, której nie śmiałem nabrać z przymilności mej damy. Ba, cóż, kiedy wpadłem na koncept, do jakiego jedynie ja byłem zdolny, że oni się porozumieli, aby mnie brać na fundusz. Ten głupi pomysł do reszty zmącił mi w głowie i kazał mi odgrywać najgłupszą w świecie rolę w sytuacji, w której serce moje, szczerze rozkochane, umiałoby podyktować mi o wiele wdzięczniejszą. Nie pojmuję, w jaki sposób pani de Larnage nie zraziła się mymi komediami i nie odpędziła mnie ze wzgardą. Ale to była wytrawna osoba, która rozumiała się na ludziach i widziała, że źródłem mego umiarkowania jest bardziej głupota niż co innego.

Doprowadziła wreszcie do tego, żeśmy się porozumieli; ale nie przyszło to jej bez trudu. Przybyliśmy do Valence, aby tam spożyć obiad, i wedle naszego chwalebnego zwyczaju zostaliśmy tam już resztę dnia. Mieszkaliśmy w oberży za miastem; nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ta oberża i pokój, który pani de Larnage w niej zajmowała. Po obiedzie zapragnęła przejść się nieco. Wiedziała, że z margrabiego niewielki piechur; był to sposób zapewnienia nam dwojgu sam na sam, którego postanowiła sobie nie zmarnować; zważywszy bliski kres podróży, niewiele mieliśmy zaiste czasu do stracenia. Przechadzaliśmy się koło miasta wzdłuż wałów. Tam rozpocząłem na nowo swoje wzdychania, na które, przyciskając od czasu do czasu do piersi me ramię, odpowiadała tak tkliwie, że trzeba było iście mojej głupoty, aby nie spróbować doświadczalnie sprawdzić szczerości jej słów. Najlepsze jest, iż ja sam byłem przy tym w najwyższym stopniu wzruszony. Powiedzia-

[385] *Zagaił o królu Jakubie, o pretendencie, o dawnym dworze w Saint-Germain* — Jakub II (1633–1701), ostatni katolicki król Anglii (oraz Szkocji, jako Jakub VII), został w 1688 zdetronizowany przez parlament i uciekł do Francji; na wygnaniu przebywał w podarowanym mu przez Ludwika XIV pałacu w Saint-Germain-en-Laye pod Paryżem; po jego śmierci pretendentem do tronu został jego jedyny syn. [przypis edytorski]

[386] *Hamilton, Antoine* a. *Anthony* (1646–1720) — szkocki autor piszący po francusku, wychowany we Francji, później zwolennik zdetronizowanych Stuartów, towarzyszący im na wygnaniu. [przypis edytorski]

[387] *Zapis* — komedia Marivaux. [przypis tłumacza]

łem, że pani de Larnage była powabna: miłość uczyniła ją czarującą; dzięki niej odzyskała cały blask młodości i rozwijała swą zalotność z takim kunsztem, że byłaby uwiodła najwytrawniejszego gracza. Czułem się tedy bardzo nieswój i wciąż o krok od ostatecznych granic; ale obawa obrażenia jej lub zrażenia, jeszcze większy strach, że może mnie wyszydzić, wydrwić, wystrychnąć na dudka, ba, uczynić przedmiotem zabawy przy stole i ściągnąć na mnie drwiny nielitościwego margrabiego, wszystko to paraliżowało mnie do tego stopnia, iż sam byłem wściekły na mą niewczesną wstydliwość, ale nie umiałem jej pokonać. Byłem na torturach; zaniechałem westchnień Celadona[388], których śmieszność w podobnej sytuacji, na ustronnej dróżce leśnej, sam rozumiałem; nie wiedząc już, jak się zachować ani co rzec, milczałem; byłem chmurny, nadąsany; słowem, robiłem, co w mej mocy, aby ściągnąć na siebie niełaskę, której się tak obawiałem. Szczęściem, pani de Larnage powzięła bardziej ludzkie postanowienie. Przerwała nagle to milczenie, oplatając mi rękę koło szyi, a zarazem usta jej przemówiły do moich zbyt wymownie, abym mógł dłużej trwać w błędzie. Przesilenie to nie mogło wypaść bardziej w porę. W mgnieniu oka przeszedłem do właściwej roli, a był czas. Obudziła we mnie to zaufanie, którego brak niemal zawsze przeszkadzał mi być sobą. Nigdy oczy moje, zmysły, serce i usta nie były tak wymowne; nigdy tak wspaniale nie okupiłem swych błędów. Jeśli to małe zwycięstwo kosztowało panią de Larnage nieco trudów, mogę sobie pochlebić, że nie miała powodu ich żałować.

Choćbym żył sto lat, zawsze wspomnienie tej uroczej kobiety będzie mi szczerą rozkoszą. Powiadam „uroczej", mimo że nie była ani młoda, ani ładna; bądź co bądź, nie była stara i brzydka, i nie było w jej postaci nic, co by przeszkadzało błyszczeć w całej pełni reszcie jej zalet. W przeciwieństwie do innych kobiet twarz jej, zniszczona, jak sądzę, od różu, była najmniej świeżym jej szczegółem. Pani de Larnage miała przyczyny, aby być łatwą: w ten jedynie sposób mogła dać poznać to, co w niej było najbardziej urocze. Można ją było ujrzeć, a nie pokochać, ale nie można było posiadać jej, a nie ubóstwiać; co dowodzi, o ile mi się zdaje, że nie zawsze była tak hojna swymi łaskami jak ze mną. Kaprys, który ją pchnął w moje ramiona, był zbyt nagły i żywy, aby go można było usprawiedliwić, ale serce miało w nim co najmniej tyleż udziału co zmysły. Przez ten krótki i rozkoszny czas, który przy niej spędziłem, mam prawo przypuszczać — a to ze starań, jakich dokładała, aby mnie oszczędzać — iż mimo że zmysłowa i łakoma rozkoszy, wyżej jeszcze stawiała względy mego zdrowia niż swoją przyjemność.

Nasze porozumienie nie ukryło się przed margrabią. Mimo to nie zaprzestał docinków; przeciwnie, bardziej niż wprzódy prześladował mnie jako biednego wzdychacza, męczennika kobiecej srogości. Nigdy nie wymknęło mu się najmniejsze słowo, uśmiech, spojrzenie, które by pozwoliło się domyślać, że nas odgadł. Byłbym mniemał, żeśmy go wywiedli w pole, gdyby pani de Larnage, bystrzejsza ode mnie, nie powiedziała mi, że tak nie jest, tylko że margrabia jest człowiek rycerski; w istocie, nie można by się zachowywać dworniej ani roztaczać więcej uprzejmości, nawet dla mnie (pomijając niewinne przycinki), zwłaszcza od czasu mego tryumfu. Może przypasywał mi jego zasługę i uważał mnie za mniejszego dudka, niż na to wyglądałem. Mylił się, jak wiadomo czytelnikom; ale mniejsza, omyłka jego wychodziła mi na dobre. Pewien, że aplauz słuchaczy będzie po mojej stronie, dość wdzięcznie i chętnie znosiłem jego przycinki, odgryzając się niekiedy wcale szczęśliwie. Dumny byłem, iż mogę w obecności pani de Larnage popisywać się dowcipem, który ona we mnie tchnęła. Stałem się innym człowiekiem.

Byliśmy w okolicy sławnej z dobrej kuchni, zwłaszcza o tej porze; wszędzie też biesiadowaliśmy znakomicie dzięki umiejętnym staraniom margrabiego. Byłbym go w zamian chętnie uwolnił od troskliwości o wybór pokojów, ale posyłał zawsze naprzód lokaja dla zatrzymania kwatery: ten hultaj, czy to z własnego konceptu, czy na rozkaz pana, umieszczał zawsze margrabiego obok pani de Larnage, a mnie pchał na drugi koniec gospody. Ale to nie kłopotało nas wcale i schadzki miały przez to tym więcej pieprzyku. To rozkoszne życie trwało cztery czy pięć dni, podczas których pływałem w najsłodszych upojeniach. Piłem tę chwilę czystej i żywej słodyczy, bez żadnej domieszki zgryzot. Były

Rozkosz

[388] *Celadon* — bohater popularnej sielankowej powieści d'Urfégo *Astrea*, wiernie wielbiący tytułową ukochaną. [przypis edytorski]

to pierwsze i jedyne chwile, których kosztowałem w ten sposób i mogę rzec, iż pani de Larnage zawdzięczam, że nie umrę, nie poznawszy rozkoszy.

Jeżeli to, co czułem dla niej, nie było, ściśle biorąc, miłością było to w każdym razie tak czułe odbicie miłości, którą ona mi okazywała, upojenie zmysłów tak palące w swej rozkoszy i poufałość tak słodka, że posiadała urok namiętności, będąc zarazem wolna od jej szału, który mąci głowę i nie dość pozwala cieszyć się użyciem. Raz tylko w życiu czułem prawdziwą miłość i nie ona była jej przedmiotem. Nie kochałem jej również tak, jak pokochałem i kochałem jeszcze panią de Warens, ale dlatego właśnie posiadałem ją sto razy lepiej. W ramionach mamusi rozkosz moją mąciło zawsze uczucie smutku, jakieś tajemne ściśnienie serca, które nie bez trudności przychodziło mi zwyciężyć: miast cieszyć się, że ją posiadam, wyrzucałem sobie, że ją kalam. Przy pani de Larnage, przeciwnie, dumny z własnej męskości i szczęścia, oddawałem się porywom zmysłów z radością, z ufnością w siebie; podzielałem upojenia, które dawałem mej kochance; miałem dość świadomości, aby spoglądać z dumą i rozkoszą na swój tryumf i czerpać w nim siły do mnożenia jego symbolów.

Nie przypominam sobie, w jakiej miejscowości opuścił nas margrabia, którego dobra leżały w tych stronach. To wiem, iż znaleźliśmy się sami, nim dotarliśmy do Montélimart; z tą chwilą, pani de Larnage przeniosła pannę służącą do mego wehikułu, a mnie zabrała do swego. Mogę zapewnić, że droga odbywana w ten sposób nie wydała się nam nudną; trudno by mi było zdać sprawę z wyglądu okolic, któreśmy przebiegali. W Montélimart towarzyszka moja miała jakieś sprawy, które zatrzymały ją trzy dni. Przez cały ten czas wszelako opuściła mnie ledwie na kwadrans, dla jakiejś wizyty, która ściągnęła na nią nudne towarzyskie konsekwencje i zaproszenia, zresztą daremne. Zasłoniła się niedomaganiem; co nam nie przeszkodziło przechadzać się codziennie sam na sam w najcudniejszej okolicy i pod najcudniejszym niebem w świecie. Och, te trzy dni! Nieraz przyszło mi ich żałować; nigdy odtąd nie przeżyłem podobnych!

Miłostki podróżne kończą się tak, jak się zaczęły. Trzeba się było rozstać, a wyznaję, że był czas. Nie, iżbym był przesycony lub bliski przesytu, owszem, przywiązywałem się z każdym dniem więcej; ale mimo całej oględności mej damy, już niewiele mogłem dożyć u jej stóp poza dobrą wolą. Staraliśmy się rozproszyć żale projektami spotkania. Zapadło postanowienie, że skoro ta kuracja idzie mi na zdrowie, mam się jej jeszcze poddać i że przyjadę spędzić zimę w Saint-Andiol pod opieką pani de Larnage. Miałem pobyć w Montpellier pięć lub sześć tygodni, aby jej zostawić czas przygotowania tego spotkania w sposób zapobiegający plotkom. Dała mi obszerne informacje co do wszystkiego, co powinienem był wiedzieć, co mówić, w jaki sposób się zachować. Tymczasem mieliśmy do siebie pisywać. Zachęcała mnie obszernie i poważnie do pielęgnowania zdrowia; upominała, abym się udał do najlepszych lekarzy i troskliwie wypełniał wszystko, co mi zalecą. Zobowiązała się przypilnować mnie, kiedy będę bawił u niej, abym wypełniał ich przepisy, choćby najsurowsze. Sądzę, że mówiła szczerze, kochała mnie w istocie; dała mi tego tysiąc dowodów bardziej przekonywających niż sam dar jej osoby. Osądziła z mego wyekwipowania, że nie muszę opływać w zbytki; mimo iż sama nie bogata, chciała mnie przy rozstaniu zmusić, abym z nią podzielił zawartość jej sakiewki, wcale dobrze zaopatrzonej na drogę; z wielkim trudem przyszło mi się obronić. Wreszcie rozstałem się z nią, z sercem pełnym mej towarzyszki, i zostawiając w niej, o ile mi się zdaje, szczere przywiązanie.

Wlokłem się dalej mą drogą, przeżywając ją na nowo we wspomnieniu, na razie bardzo rad, iż spoczywam w wygodnym wehikule, aby tym swobodniej dumać o rozkoszach, jakich zakosztowałem, i tych, które mi przyrzeczono. Rozmyślałem wciąż o zamku w Saint-Andiol i o uroczym życiu, które mnie tam czeka; widziałem jedynie panią de Larnage i jej otoczenie: reszta świata była niczym dla mnie; o mamusi nawet zapomniałem. Zabawiałem się kombinowaniem wszystkich szczegółów natrąconych przez panią de Larnage, starając się z góry stworzyć sobie pojęcie o jej mieszkaniu, sąsiedztwie, towarzystwie, o całym sposobie życia. Miała córkę, o której mówiła często z bałwochwalstwem matki. Ta córka miała skończonych piętnaście lat, miała być śliczna, żywa i miła. Pani upewniała mnie, że będę u niej w łaskach; nie zapomniałem tej obietnicy i z wielką ciekawością

roiłem sobie, w jaki sposób panna de Larnage zachowa się wobec beniaminka[389] swej mamy. Taką była treść moich marzeń od Pont-Saint-Esprit aż do Remoulin.

Polecono mi, abym zwiedził most gardyjski[390]; nie omieszkałem uczynić tego. Było to pierwsze dzieło Rzymian, jakie oglądałem. Spodziewałem się ujrzeć pomnik godny rąk, które go wzniosły. Tym razem przedmiot przeszedł moje oczekiwania; było to jedyny raz w życiu. Tylko Rzymianom dane było sprawić ten skutek. Widok tej prostej i szlachetnej budowli uderzył mnie tym więcej, ile że położona jest w pustkowiu, gdzie milczenie i samotność czynią sam przedmiot bardziej uderzającym, a podziw tym żywszym, ów rzekomy most był w istocie tylko wodociągiem. Zadawałem sobie pytanie, jaka siła przeniosła kamienie tak olbrzymie z tak daleka od wszelkiego łomu i zgromadziła ręce tylu tysięcy ludzi w miejscu zupełnie bezludnym? Przebiegłem trzy piętra tej wspaniałej budowli, którą przez szacunek ledwie śmiałem deptać nogami. Odgłos moich kroków pod tymi olbrzymimi sklepieniami budził we mnie wrażenie, iż słyszę silny głos tych, którzy je wznieśli. Gubiłem się jak robak w tym ogromie. Czułem, czyniąc się tak małym, coś nieokreślonego, co mi wzbierało w duszy; mówiłem sobie, wzdychając: „Czemuż nie urodziłem się Rzymianinem!". Trwałem tam kilka godzin w zachwyceniu. Wróciłem roztargniony i zadumany, a zaduma ta nie była korzystna dla pani de Larnage. Pamiętała o tym, aby mnie ubezpieczyć przeciw dziewczętom w Montpellier, ale nie przeciw gardyjskiemu mostowi. Niepodobna pamiętać o wszystkim.

W Nimes poszedłem zobaczyć arenę: jest to dzieło o wiele wspanialsze niż most gardyjski, ale uczyniło na mnie o wiele mniejsze wrażenie, czy że podziw mój wyczerpał się na pierwszym przedmiocie, czy że położenie areny w środku miasta mniej było sposobne, aby go obudzić. Ta rozległa a wspaniała arena otoczona jest małymi domkami; inne domki, jeszcze mniejsze i szpetniejsze, zapełniają ją, tak iż całość sprawia niejednolite i zmącone wrażenie, w którym żal i oburzenie dławią przyjemność i podziw. Widziałem, od tego czasu, arenę w Weronie, nieskończenie mniejszą i mniej piękną niż w Nimes, ale utrzymaną i zachowaną z możliwą schludnością i przystojnością, i która przez to samo sprawiła na mnie silniejsze i milsze wrażenie. Francuzi nie dbają o nic i nie szanują żadnego pomnika. Są pełni zapału, gdy chodzi o podjęcie czego, ale nie umieją niczego skończyć ani zachować.

Zmieniłem się do tego stopnia i zmysłowość moja, raz obudzona, rozwinęła się tak pięknie, iż zatrzymałem się jednego dnia w „Pont de Lunel", aby dać folgę memu apetytowi w gospodzie. Gospoda ta, najwyżej szacowna ze wszystkich w Europie, zasługiwała na to wyróżnienie. Gospodarze umieli skorzystać z jej szczęśliwego położenia, aby prowadzić kuchnię zaopatrzoną obficie i doborowo. Było to, w istocie, ciekawe, znaleźć w samotnym domostwie we wsi stół zaopatrzony w rybę morską i rzeczną, w doskonałą dziczyznę, przednie wina, obsłużony z owym wyszukaniem i pamięcią, jakie znajduje się jedynie u możnych i bogaczy, a wszystko za marnych trzydzieści pięć su. Ale „Pont de Lunel" niedługo wytrwało na tej stopie, i tak długo żyło swą reputacją, aż straciło ją w końcu zupełnie.

Zapomniałem w ciągu drogi, że jestem chory; przypomniałem sobie o tym, przybywając do Montpellier. Wapory opuściły mnie, ale wszystkie inne cierpienia zostały; i chociaż przyzwyczajenie stępiło mą wrażliwość, było tego dosyć, aby przyprawić o śmierć z samego przestrachu kogoś, na kogo tyle chorób spadłoby od razu. W rzeczywistości były one mniej bolesne niż niepokojące i więcej dręczyły umysł niż ciało, któremu zdawały się grozić zniszczeniem. Stąd pochodziło, że, ogarnięty żywą namiętnością, przestałem myśleć o mym stanie; ale ponieważ nie był on urojony, odczułem go natychmiast, skoro nieco ochłonąłem. Myślałem tedy poważnie nad radami pani de Larnage i nad celem mej podróży.

Udałem się szukać porady u najznamienitszych praktyków, a zwłaszcza u doktora Fizes. Na domiar ostrożności umieściłem się u lekarza. Był to Irlandczyk nazwiskiem Fitz-

[389] *beniaminek* — ulubione, najmłodsze dziecko; ulubieniec. [przypis edytorski]

[390] *most gardyjski* — Pont du Gard, zachowany w dolinie rzeki Gard odcinek zbudowanego przez Rzymian akweduktu. [przypis edytorski]

-Moris[391]. Stołował u siebie wielu studentów medycyny; dla chorego przedstawiało to tę dogodność, że pan Fitz-Moris zadowalał się przyzwoitą pensyjką za życie, a nic nie żądał już od chorych za opiekę lekarską. Podjął się wykonania przepisów pana Fizes i czuwania nad mym zdrowiem. Wywiązał się z tego bardzo dobrze, przynajmniej co się tyczy diety; nie było na jego pensji obawy o przeładowanie żołądka. Mimo że nie jestem zbyt wrażliwy na takie braki, porównanie z niedawną przeszłością było tak rażące, że nieraz nie mogłem się wstrzymać w duchu od uwagi, że pan de Torignan był lepszym prowiantmistrzem od pana Fitz-Moris. Mimo to, ponieważ ostatecznie nie cierpiało się głodu, a cała ta młoda kompania była wesoła, życie, jakie tam pędziłem, bardzo mi w istocie posłużyło i nie dało mi popaść w dawne omdlenia. Ranek trawiłem na zażywaniu lekarstw, a zwłaszcza jakichś wód, zdaje mi się Vals, i na pisaniu do pani de Larnage; korespondencja bowiem szła swoim trybem, a pan Rousseau podejmował trud odbierania listów dla swego przyjaciela Duddinga. W południe spacer z którymś z młodych stołowników, poczciwych i chętnych chłopców. Następnie obiadowało się wesoło. Po obiedzie zaprzątaliśmy się do wieczora bardzo ważną sprawą; mianowicie, udawaliśmy się za miasto, gdzie po kilku partiach krykieta czekał nas podwieczorek. Ja nie grywałem; nie miałem do tego dość siły ani zręczności, ale zakładałem się i przejęty swoim zakładem, uganiając za graczami, zażywałem miłego i zbawiennego ruchu, który na mnie znakomicie oddziaływał. Podwieczorek spożywało się w karczemce za miastem. Nie potrzebuję nadmieniać, że podwieczorki te były wesołe; ale dodam, iż były niewinne, mimo że dziewczęta w karczmie były wcale niczego. Pan Fitz-Moris, wielki amator krykieta, był naszym przewodniczącym. Na przekór reputacji, jakiej zażywają studenci, mogę powiedzieć, iż wśród całej tej młodzieży znalazłem więcej obyczajności i przyzwoitości, niżby można było znaleźć w równie licznej kompanii dorosłych. Byli więcej hałaśliwi niż wyuzdani, bardziej weseli niż rozpustni. Co do mnie, tak łatwo dostrajam się do każdego trybu, o ile jest oparty na swobodzie, że nic bym nie miał przeciw temu, aby ten pobyt trwał wiecznie. Było pomiędzy tymi studentami paru Irlandczyków, od których starałem się nauczyć kilku słów po angielsku, przez wzgląd na pobyt w Saint-Andiol, zbliżał się bowiem czas, że miałem się tam udać. Pani de Larnage nalegała w każdym liście; nie postało mi w myśli być nieposłusznym. Jasnym jest, iż lekarze, którzy nic nie rozumieli z mej choroby, patrzyli na mnie jako na chorego z urojenia i odpowiednio do tego traktowali mnie swoją chininą, wodami i serwatką. Wręcz przeciwnie do teologów, lekarze i filozofowie przyjmują za prawdziwe tylko to, co mogą wytłumaczyć, a własną zdolność rozumienia czynią miarą możebności. Ci panowie nic nie pojmowali z mojej choroby; *ergo*[392] nie byłem chory, bo jak przypuścić, aby doktorzy nie wiedzieli wszystkiego? Spostrzegałem, iż starają się jeno zabawić mnie i uwolnić od ciężaru zbytniej ilości ludwików; sądząc tedy, że ich zastępca w Saint-Andiol wywiąże się z tego równie dobrze jak oni, a o wiele przyjemniej, postanowiłem dać mu pierwszeństwo i opuściłem Montpellier z tym roztropnym postanowieniem.

Wyjechałem z końcem listopada, po sześciu lub ośmiu tygodniach pobytu w tym mieście, gdzie zostawiłem ze dwanaście ludwików bez żadnego pożytku dla zdrowia ani dla nauki, chyba że jako taki policzę kurs anatomii, który zacząłem pod kierunkiem pana Fitz-Moris i który musiałem przerwać z przyczyny ohydnego zaduchu trupów, dla mnie nie do zniesienia.

Nie będąc w zupełnej zgodzie z samym sobą co do powziętego postanowienia, biłem się z myślami, posuwając się wciąż ku Pont-Saint-Esprit, które leżało po drodze zarówno do Saint-Andiol, jak do Chambéry. Wspomnienia mamusi i listy jej, mimo że mniej częste niż listy pani de Larnage, obudziły na nowo w mym sercu wyrzuty, które stłumiłem w czasie mej podróży. W tej powrotnej drodze stały się one tak żywe, że przeważając instynkt rozkoszy, pozwoliły mi dać ucho głosowi rozsądku. Przede wszystkim, rola awanturnika, na którą się puszczałem, mogła obecnie powieść się mniej szczęśliwie niż za pierwszym razem. Wystarczało, by w całym Saint-Andiol znalazła się jedna osoba, która była w Anglii, znała Anglików lub umiała po angielsku, aby mnie zdemaskowano. Rodzina pani de Larnage mogłaby patrzeć na mnie krzywym okiem i czynić mi afronty.

[391] *Irlandczyk nazwiskiem Fitz-Moris* — prawdopodobnie Thomas Fitzmaurice (ur. ok. 1699), Irlandczyk, który w 1734 ukończył studia medyczne w Montpellier, rok później został doktorem i pozostał tam na stałe. [przypis edytorski]

[392] *ergo* (łac.) — więc, a zatem. [przypis edytorski]

Córka, o której mimo woli myślałem więcej niżby należało, również była dla mnie przedmiotem niepokoju: drżałem, że mogę się w niej zakochać, a sama ta obawa popychała mnie już ku niebezpieczeństwu. Miałżem tedy, w nagrodę względów matki, uwodzić jej córkę, wchodzić w najbardziej naganne i występne stosunki, wprowadzać waśń, niesławę, zgorszenie i piekło do domu! Ta myśl przejęła mnie grozą; powziąłem niezłomne postanowienie zwyciężenia się i zduszenia tej nieszczęsnej miłości, w razie gdyby się miała obudzić. Ale po co narażać się na taką walkę! Cóż za nędzne istnienie: żyć z matką, którą byłbym przesycony, a pałać uczuciem do córki, nie śmiejąc go jej okazać! Po cóż gonić za tym szaleństwem, po co się wystawiać na nieszczęścia, afronty, wyrzuty, dla rozkoszy, których największy urok wyczerpałem z góry? To pewna bowiem, iż skłonność moja nie zachowała już pierwszej żywości; chętka rozkoszy przetrwała jeszcze, ale namiętność uleciała. Do tego mieszały się refleksje przypominające mi moje położenie, obowiązki, mamusię, tak dobrą, tak bezinteresowną, która mimo iż przygnieciona długami, rujnowała się jeszcze dla mych wydatków, krwi sobie utaczała dla mnie, a ja ją zdradzałem tak niegodnie! Wyrzut ten stał się tak żywy, iż wreszcie odniósł zwycięstwo. Zbliżając się do Saint-Esprit, postanowiłem minąć Saint-Andiol i ruszyć prosto. Wypełniłem to mężnie, nie bez paru westchnień, przyznaję, ale zarazem z tym wewnętrznym zadowoleniem, odczuwanym po raz pierwszy w życiu, iż mogłem sobie powiedzieć: zasłużyłem na własny szacunek, umiałem obowiązkowi dać pierwszeństwo przed rozkoszą. Oto pierwsza prawdziwa zdobycz, którą zawdzięczam nauce: ona to nauczyła mnie zastanawiać się, porównywać. W obliczu zasad tak czystych, które przyswoiłem sobie świeżo, w obliczu prawideł roztropności i cnoty, które sobie postawiłem i z których czułem się tak dumny, wstyd zdradzenia samego siebie, sprzeniewierzenia się tak jaskrawo własnym zasadom przeważył pokusę. Może ambicja odgrywała w mym postanowieniu takąż rolę co cnota; ale jeśli ta ambicja nie jest samą cnotą, skutki jej są tak podobne, że omyłka jest do wybaczenia.

Jedną z korzyści dobrych uczynków jest to, iż podnoszą one duszę i zachęcają ją do wspinania się na szczeble dalszej doskonałości. Tak wielką jest słabość ludzka, iż samo wstrzymanie się od złego mamy prawo liczyć do dobrych uczynków. Skoro tylko powziąłem owo zbawienne postanowienie, stałem się innym człowiekiem albo raczej stałem się znowu tym, którym byłem wprzódy, a który zatracił się przez chwilę odurzenia. Pełen dobrych uczuć i postanowień, wędrowałem dalej mą drogą w najlepszych intencjach okupienia błędu, pragnąc odtąd budować życie jedynie na cnocie, poświęcić się bez zastrzeżeń w służbach najlepszej z matek, zachować jej tyleż wierności, ile miałem dla niej przywiązania i głuchym być na głos miłości innej niż miłość obowiązku. Niestety! Ten tak szczery powrót do dobrego zdawał się znaczyć mi inną dolę: ale snadź była ona zapisana już i rozpoczęta; i kiedy serce moje, pełne uczucia dla rzeczy dobrych i zacnych, chciało widzieć w życiu samą jeno niewinność i szczęście, właśnie zbliżałem się do złowrogiego momentu, którego następstwem miał być długi łańcuch mych niedoli.

Chęć rychłego przybycia na miejsce sprawiła, iż wędrowałem większymi etapami, niż zrazu myślałem. Z Valence oznajmiłem mamusi dzień i godzinę. Zyskawszy pół dnia na mym rachunku, przeczekałem ten czas w Chaparillan, aby przybyć ściśle tak, jak zapowiedziałem. Chciałem skosztować w całej słodyczy uroku powitania. Wolałem raczej opóźnić tę chwilę, aby w zamian spotęgować jej rozkosz świadomością, iż jestem oczekiwany. Zwykle wychodziło mi to tylko na korzyść. Zawsze dotąd każdy mój powrót był prawdziwym świętem: i tym razem spodziewałem się tego; a wylewy radości drogiej mamusi, na które byłem tak czuły, warte były, aby na nie trochę poczekać.

Przybyłem tedy dokładnie w oznaczonej godzinie. Z daleka wyglądałem, czy nie ujrzę jej na drodze; serce biło mi coraz mocniej, w miarę jak się zbliżałem. Przybiegam zdyszany, pojazd bowiem zostawiłem w mieście; nie widzę nikogo na dziedzińcu, w bramie, w oknie; zaczynam się mieszać, lękam się jakiegoś wypadku. Wchodzę, wszędzie spokój: czeladź siedzi przy podwieczorku w kuchni; zresztą[393] żadnych przygotowań. Służąca wydaje się zdziwiona moim widokiem; nie wiedziała, że mam wrócić. Wchodzę na górę, widzę wreszcie tę drogą mamusię, tak czule, tak żywo, tak czysto ukochaną; przybiegam, rzucam się do jej stóp. „Ach, jesteś, mały — rzekła, ściskając mnie. — Dobrą miałeś

[393] *zresztą* (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

drogę? Jak się miewasz?" To przyjęcie zmieszało mnie trochę. Spytałem, czy otrzymała list. Odpowiedziała twierdząco. „Byłbym mniemał, że nie" — odparłem; i na tym kończyły się wyjaśnienia. W pokoju jej znajdował się młody człowiek. Znałem go, przed wyjazdem widywałem go czasem w domu; ale tym razem wydawał się zakwaterowany na dobre; jakoż i tak było. Krótko mówiąc, zastałem miejsce zajęte.

Ten młody człowiek pochodził z Vaud, ojciec jego, nazwiskiem Vintzenried, był odźwiernym lub jak się sam nazywał, kapitanem zamku Chillon. Syn pana kapitana był czeladnikiem fryzjerskim i w tym charakterze wędrował po świecie, gdy się przedstawił pani de Warens, która przyjęła go życzliwie jak wszystkich podróżnych, zwłaszcza z jej stron. Był to rosły blondyn o mdłej powierzchowności, dość dobrze zbudowany, o płaskiej twarzy i równie płaskiej duszy. Wysławiał się pretensjonalnie, mieszając w rozmowie wszystkie tony, wszystkie nawyczki swego rzemiosła z długiem wyliczaniem sercowych podbojów. Z chwalebną dyskrecją wymieniał jedynie połowę margrabin, z którymi dzielił łóżko, twierdząc wszelako, iż nie zdarzyło mu się trefić głowy pięknej kobiecie, aby nie utrefił również i głowy męża parą rogów; słowem próżny, głupi, ignorant, bezczelnik; „poza tym najlepszy chłopak w świecie!"[394] Taki był zastępca, którego znaleziono w czasie mej nieobecności, a współpracownik, jakiego mi ofiarowano za powrotem.

Och! Jeśli dusze uwolnione od ziemskiej powłoki widzą jeszcze z łona wiekuistej światłości, to co się dzieje wśród nas śmiertelnych, przebacz mi, drogi i czcigodny cieniu, że nie więcej oszczędzam twoje błędy niż swoje własne; że zarówno jedne, jak i drugie odsłaniam oczom czytelnika. Powinienem, chcę być szczerym za ciebie, jak za siebie samego: stracisz na tym z pewnością o wiele mniej ode mnie. Ach, ileż razy twój miły i słodki charakter, niewyczerpana dobroć serca, twoja szczerość i wszystkie twe wyborne cnoty, ileż razy okupują one twe słabości, jeśli można tak nazwać zbłąkania płynące wyłącznie z omyłki rozumu! Byłaś podległa błędom, ale nie przywarom; postępowanie twoje było naganne, ale serce zostało zawsze czyste.

Nowy przybysz okazał się gorliwy, pilny, dokładny w drobnych zleceniach, których było zawsze mnóstwo; stał się energicznym naganiaczem czeladzi. Był równie hałaśliwy, jak ja byłem cichy; widać go było, a zwłaszcza słychać wszędzie naraz: przy orce, przy sianie, w lesie, w stajni, na dziedzińcu. Ogród jedynie zaniedbywał, była to praca zbyt spokojna i nie dawała sposobności do hałasu. Jego największa przyjemność to było orać, ładować, piłować lub rąbać drzewo; wciąż się go widziało z siekierą lub motyką w dłoni. Słychać go było, jak biega, rąbie, krzyczy na całe gardło. Nie wiem, za ilu ludzi odwalał robotę, ale wrzasku robił za dziesięciu. Cały ten rozgardiasz imponował biednej mamusi; zdawało się jej, że ten młokos będzie opatrznością dla interesów. Chcąc go przywiązać do domu, użyła wszelkich środków, które się jej wydały sposobne, i nie pominęła tego, na który zawsze liczyła najbardziej.

Sądzę, iż czytelnik poznał moje serce, jego najstalsze, najszczersze uczucia, te zwłaszcza, które mnie w tej chwili sprowadzały do niej. Cóż za nagły i zupełny przewrót w całej mej istocie! Trzeba się postawić na mym miejscu, aby to ocenić. W jednej chwili, uczułem, jak na zawsze rozwiewa się szczęśliwa przyszłość, którą roiłem. Słodkie myśli, które pieściłem tak tkliwie, pierzchły. Ja, który od dzieciństwa nie byłem zdolny wyobrazić sobie egzystencji inaczej jak tylko z nią, ujrzałem się sam po raz pierwszy w życiu. Ta chwila była straszna; te, które nastąpiły, jeszcze posępniejsze. Byłem jeszcze latami młody, ale te słodkie uczucia radości i nadziei, które ożywiają młodość, na zawsze mnie opuściły. Od tej chwili istota czująca na wpół obumarła we mnie. Widziałem przed sobą jedynie smutne resztki życia bez wartości i celu; jeśli niekiedy jeszcze obraz szczęścia poigrał z mymi pragnieniami, szczęście to nie było tym, które dla mnie było stworzone; czułem, iż, zdobywszy je nawet, nie byłbym naprawdę szczęśliwy.

Byłem tak głupi i pełen ufności, że mimo bezceremonialnego tonu przybysza (ton ten uważałem jedynie za wynik swobody mamusi, która całe swe otoczenie stawiała na bliskiej stopie), nie przyszłoby mi na myśl domyślać się prawdziwych tego podstaw, gdyby ona sama nie objaśniła mnie w tej mierze. Uczyniła to bardzo skwapliwie, ze szczerością

[394] *poza tym najlepszy chłopak w świecie!* (fr.: *au demeurant le meilleur fils du monde*) — cytat z wiersza *List do króla o kradzieży* (1538), francuskiego poety Clémenta Marota (ok. 1496–1544), który pisze o swym słudze, który go okradł: „Miałem kiedyś pachołka z Gaskonii: / łakomiec, pijak i wierutny kłamca, / oszust, złodziej, przeklętnik, bluźnierca [...] poza tym najlepszy chłopak w świecie". [przypis edytorski]

zdolną, zaiste, podsycić mą wściekłość, gdyby me uczucia zwróciły się w tym kierunku. Co do niej, przedstawiła to jako rzecz całkiem prostą, wyrzucając mi niedbanie o dom i wymawiając częste wyjazdy, jak gdyby temperament jej w istocie zdolny był odczuć te zaniedbania!

„Ach! mamusiu — rzekłem z sercem ściśniętym boleścią — jakiejż wiadomości ważysz się mi udzielić! Cóż za nagroda mego przywiązania! Czyż po to tyle razy ocaliłaś mi życie, aby mi odjąć wszystko, co mi je czyniło drogim? Umrę z tego, ale będziesz mnie żałować". Odpowiedziała tonem, którego spokój mógł mnie doprowadzić do szaleństwa, że jestem dziecko, że nie umiera się z takich rzeczy; że nic na tym nie tracę; że mimo wszystko pozostaniemy tak samo dobrymi przyjaciółmi i tak samo blisko w każdym rozumieniu; że jej tkliwość dla mnie nie może się zmniejszyć ani skończyć, chyba z nią samą. Słowem, dała mi do zrozumienia, że wszystkie me prawa zostaną te same, i że, jakkolwiek dzieląc je z drugim, nie będę w nich pokrzywdzony.

Nigdy czystość, szczerość, siła mych uczuć dla niej, nigdy prostota, uczciwość mej duszy nie objawiły mi się lepiej niż w tej chwili. Rzuciłem się jej do stóp, obejmowałem kolana, wylewając potoki łez. „Nie, mamusiu — rzekłem z uniesieniem — nadto cię kocham, aby cię pokalać. Posiadanie ciebie jest mi zbyt drogie, bym się mógł nim dzielić. Zbyt wiele wycierpiałem wówczas, gdy je zdobyłem, a drażliwość moja wzrosła wraz z miłością; nie, nie chcę, nie mogę zachować tego szczęścia za tę samą cenę. Zawsze będziesz przedmiotem mego ubóstwienia; zostań go zawsze godną; bardziej jeszcze potrzebuję czcić ciebie niż posiadać. Tobie samej, mamusiu, ustępuję cię; dla związku naszych serc poświęcam wszystkie rozkosze. Obym raczej zginął tysiąc razy, niżbym miał ich kosztować, poniżając tę, którą kocham!"

Dotrzymałem tego postanowienia ze stałością godną, śmiem powiedzieć, uczucia, które je natchnęło. Od tej chwili miałem dla ukochanej mamusi jedynie oczy prawdziwego syna. Pośpieszam dodać, że mimo iż moje postanowienie nie zyskało jej uznania, jak się o tym aż nadto przekonałem, nigdy dla odwrócenia mnie od niego nie uciekła się ani do zalotnych słówek, ani pieszczot, ani do żadnej z owych sztuczek, które kobiety, bez narażania swej godności, zawsze mają na zawołanie i które rzadko chybiają celu. Zmuszony szukać doli niezależnej od niej, a nie mogąc jej sobie nawet wyobrazić, popadłem niebawem w przeciwną ostateczność i szukałem wszystkiego w niej! Szukałem tak doskonale, że niemal zupełnie zapomniałem siebie. Gorące pragnienie oglądania jej szczęśliwą za jaką bądź cenę, pochłaniało wszystkie me uczucia: próżno odłączyła swoje szczęście od mego, ja na przekór jej uważałem jej szczęście za własne.

Tak zaczęły kiełkować, wraz z nieszczęściami, cnoty, których siew spoczywał z dawna w mej duszy, które nauka wyhodowała i które, aby zakwitnąć, czekały jedynie zaczynu przeciwności.

Pierwszym owocem tego tak bezinteresownego zwycięstwa nad sobą było usunięcie z serca wszelkiej nienawiści i zazdrości względem intruza. Chciałem przeciwnie i szczerze chciałem pokochać tego młodzieńca, kształcić go, pracować nad jego wychowaniem, dać mu zrozumieć jego szczęście, sprawić, jeśli możebna, aby się go stał godnym: słowem, stać się dlań tym, czym był Anet dla mnie w podobnych okolicznościach. Ale po obu stronach natury były zbyt różne. Posiadając więcej łagodności i wykształcenia, nie miałem powagi i stanowczości Aneta ani tej siły charakteru, która imponowała i która byłaby tu potrzebna. Jeszcze więcej brakło temu młodemu człowiekowi przymiotów, które Anet znalazł we mnie: posłuszeństwa, przywiązania, wdzięczności, a zwłaszcza dobrej woli i gorącej chęci, aby te starania wyszły na pożytek. Wszystkiego tego nie stało tutaj. Ten, którego chciałem kształcić, widział we mnie jedynie natrętnego nudziarza, a w słowach mych puste brzęczenie. Przeciwnie, przejęty podziwem dla samego siebie, miał się za ważną figurę w domu i mierząc swe rzekome usługi hałasem, jaki przy nich robił, uważał swe motyki i łopaty jako coś nieskończenie użyteczniejszego od moich szpargałów. Pod pewnym względem mógł mieć słuszność; ale wychodząc z tego założenia, przybierał tony takie, że można było umrzeć ze śmiechu. Wobec chłopów odgrywał rolę pana, niebawem zaczął toż samo ze mną, w końcu z mamusią. Ponieważ nazwisko Vintzenried wydawało mu się nie dość szlachetne, porzucił je, przybierając miano „pana de Courtilles"; pod tym nazwiskiem znany był później w Chambéry i w Maurienne, gdzie się ożenił.

Wreszcie tyle dokazała ta znamienita osoba, że on stał się w domu wszystkim, a ja niczym. Co gorsze, kiedy miałem nieszczęście w czymś mu nie przypaść do smaku, nie mnie łajał, ale mamusię. Z obawy tedy narażenia jej na tę brutalność byłem powolny wszystkiemu, czego żądał. Za każdym razem, kiedy rąbał drzewo — czynność, którą spełniał z nieopisaną dumą — musiałem znajdować się przy tym jako bezczynny widz i admirator[395] jego dzielności. Nie był to zresztą zły chłopak: był przywiązany do mamusi, bo niepodobna było nie przywiązać się do niej; i do mnie nie miał niechęci. Kiedy pauza w przejawach jego żywotności pozwoliła doń mówić, słuchał nas niekiedy dość potulnie, przyznając szczerze, że jest tylko cymbałem; co mu nie przeszkadzało popadać wnet w nowe ekstrawagancje. Zresztą inteligencja jego była tak ograniczona, a skłonności tak poziome[396], że trudno było przemówić mu do rozsądku, a prawie niepodobna znajdować przyjemność w jego towarzystwie. Do posiadania kobiety pełnej uroku dodał jako zaprawę miłostki ze starą, rudą i bezzębną służącą, której wstrętne usługi mamusia znosiła nadal cierpliwie, mimo że ją to przyprawiało o mdłości. Spostrzegłem ten nowy wybryk i nie posiadałem się z oburzenia; ale spostrzegłem i inną rzecz, równie nieoczekiwaną, która przejęła mnie o wiele żywiej i wtrąciła w daleko większe zniechęcenie niż wszystko: mianowicie ochłodzenie mamusi dla mnie.

Wyrzeczenie, które sobie nakazałem i które, zdawać by się mogło, zyskało jej uznanie, jest jedną z rzeczy, których kobiety w głębi serca nie przebaczają nigdy; nie tyle dla własnego uszczerbku, ile stąd, że widzą w tym obojętność na ich wdzięki. Weźcie kobietę najrozsądniejszą, najbardziej zdolną do filozoficznego myślenia, najmniej zmysłową z natury; otóż, najtrudniejszą do odpuszczenia zbrodnią, jakiej mężczyzna, choćby najobojętniejszy, może się względem niej dopuścić, jest móc ją posiąść, a nie skorzystać z tego. Musi widocznie to prawo nie dopuszczać wyjątków, skoro tak naturalna i mocna sympatia mogła osłabnąć wskutek powściągliwości, czerpiącej pobudki w cnocie, przywiązaniu i szacunku. Odtąd przestałem znajdować w mamusi owe lube powinowactwo, które stanowiło zawsze najsłodszą radość mego serca. Wynurzała się przede mną jedynie wtedy, kiedy chciała się użalić na nowego kochanka; gdy byli dobrze z sobą, niewiele zostawało dla mnie miejsca. Słowem, przybrała stopniowo tryb życia, w którym ja nie miałem udziału. Obecność moja robiła jej jeszcze przyjemność, ale nie była potrzebna; mógłbym nie pokazywać się dnie całe, ledwie by to zauważyła.

Nieznacznie uczułem się odosobniony i samotny w tym domu, którego wprzód byłem duszą i w którym żyłem niejako zdwojonym życiem. Przyzwyczaiłem się powoli oddzielać od wszystkiego, co się tam działo, od tych nawet, którzy go zamieszkiwali. Aby sobie oszczędzić ciągłego bólu, zamykałem się z książkami albo szedłem swobodnie wzdychać i płakać w leśnym ustroniu. Życie to stało mi się niebawem nie do zniesienia. Uczułem, iż obecność realna a oddalenie uczuciowe kobiety, która mi była tak drogą, zbyt drażni mą boleść i że straciwszy ją z oczu, mniej będę czuł okrucieństwo rozdziału. Postanowiłem opuścić dom. Zwierzyłem się z tym mamusi; nie tylko się nie sprzeciwiła, ale pochwaliła zamiar. Miała w Grenoble przyjaciółkę, panią Deybens, której mąż był przyjacielem pana de Mably, wielkiego profosa[397] Lyonu. Pan Deybens zaproponował mi zajęcie się wychowaniem dzieci pana de Mably; przyjąłem i pojechałem do Lyonu, nie zostawiając za sobą, ani prawie nie odczuwając najmniejszego żalu z powodu rozłąki, o której wprzódy sama myśl byłaby dla nas śmiertelną męczarnią.

Posiadałem w przybliżeniu wiadomości potrzebne do funkcji preceptora[398], a sądziłem, że mam i talent po temu. W ciągu roku, który przebyłem u pana de Mably, miałem czas pozbyć się złudzeń. Łagodność mego charakteru dobrze godziłaby się z tym zawodem, gdyby nie przerywały jej burzliwe wybuchy. Póki wszystko szło dobrze i póki widziałem owoce starań i trudów, których wówczas nie szczędziłem, byłem aniołem; ale stawałem się diabłem, skoro rzeczy szły na opak. Kiedy uczniowie nie pojmowali mnie, szalałem; kiedy płatali mi figle, byłbym ich zabił — nie był to sposób napojenia ich umysłów rozsądkiem i wiedzą. Uczniów miałem dwóch, a usposobienia ich były bardzo różne. Jeden, ośmio- czy dziesięcioletni, nazwiskiem Sainte-Marie, był to ładny chło-

[395] *admirator* (łac.) — wielbiciel, entuzjasta. [przypis edytorski]
[396] *poziomy* (daw.) — przyziemny, pospolity. [przypis edytorski]
[397] *profos* — dowódca żandarmerii. [przypis edytorski]
[398] *preceptor* (z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

piec, dość bystry, żywy, roztrzepany, psotny, złośliwy, ale złośliwością wesołą. Młodszy, Condillac[399], zdawał się prawie tępy, roztargniony, uparty jak muł i niezdolny cośkolwiek pojąć. Można sobie wyobrazić, że przy takich dwóch uczniach życie nie było łatwe. Przy cierpliwości i zimnej krwi, byłbym może sobie dał radę; ale, nie posiadając tych cnót, nie umiałem dojść do niczego i postępy mych uczniów przedstawiały się bardzo smutno. Nie brakło mi cierpliwości, ale brakło równowagi, a zwłaszcza taktu. Pedagogia moja zażywała jedynie trzech instrumentów, zawsze nieużytecznych, a często zgubnych wobec dzieci: uczucia, rozumowania i gniewu. To roztkliwiałem się ze starszym aż do łez, pragnąc i jego rozczulić, tak jakby dziecko było zdolne do prawdziwego wzruszenia, to siliłem się przemówić mu do rozsądku, tak jakby mnie mógł zrozumieć; a ponieważ nieraz przeciwstawiał mi argumenty bardzo subtelne, brałem tę zdolność rezonowania za objaw rozumu. Drugi malec sprawiał mi jeszcze więcej kłopotu, ponieważ, nic nie rozumiejąc, nie odpowiadając, nie przejmując się niczym i okazując bezgraniczny upór, święcił nade mną prawdziwe tryumfy, skoro mu się udało doprowadzić mnie do wściekłości; wówczas on był rozumną istotą, a ja dzieckiem. Widziałem swoje błędy, czułem je; studiowałem charakter mych uczniów, przejrzałem go bardzo dobrze i sądzę, że nigdy nie dałem się oszukać ich sztuczkom. Ale na co mi się zdało widzieć złe, skorom nie umiał znaleźć lekarstwa? Przenikając wszystko, nie zapobiegałem niczemu, nie dochodziłem do niczego i postępowałem właśnie tak, jak nie było trzeba.

Równie licho jak osobami uczniów pokierowałem i własną osobą. Pani Deybens poleciła mnie osobliwie względom pani de Mably. Prosiła ją, aby się zechciała zająć ukształtowaniem mych manier i nadaniem mi światowego poloru. Pani de Mably próbowała mnie nieco w tym kierunku i chciała, bym się nauczył robić honory domu; ale zabrałem się do tego tak niezręcznie, byłem tak nieśmiały, tak niezdarny, że zraziła się i przestała się mną zajmować. To nie przeszkodziło mi, moim zwyczajem, zakochać się w niej. Robiłem, co mogłem, aby to spostrzegła, ale nie chciałem się puścić na jawne wyznanie. Nie okazała żadnej ochoty dopomożenia mi; musiałem się ograniczyć do zerkań i westchnień, które sprzykrzyłem sobie zresztą rychło, widząc, że do niczego nie prowadzą.

Straciłem zupełnie u mamusi dawny nawyk do łasowania; ponieważ wszystko było moje, nie potrzebowałem niczego ściągać. Zresztą, podniosłe zasady, jakie sobie wyrobiłem, winny były mnie odtąd uczynić wyższym nad takie podłostki. W istocie, zazwyczaj tak bywało: ale nie tyle dlatego, bym się nauczył zwyciężać pokusy, jeno że podciąłem w sobie ich korzeń; i bardzo bym się lękał, czybym nie zaczął znów kraść jak w młodości, gdybym podlegał tym samym pragnieniom. Miałem tego dowód u pana de Mably. Otoczony mnóstwem rzeczy „ściągalnych", na które nawet nie zwracałem uwagi, zapałałem skłonnością do pewnego gatunku białego wina, nader smakowitego, którego parę kieliszków, pokosztowanych przy stole, obudziły we mnie wielką ochotę dalszej z nim znajomości. Było trochę mętne; miałem ambicję, że umiem dobrze klarować wino: pochwaliłem się mą sztuką i powierzono mi to zadanie. Sposobność skusiła mnie, iż od czasu do czasu zatajałem parę buteleczek, aby je rozkosznie sączyć w spokojnym zaciszu. Na nieszczęście nigdy nie umiałem pić bez jedzenia. Skąd tu wydostać chleba? Niepodobna było postarać się o to w domu. Kupować przez lokaja to znaczyło zdradzić się i niemal wyrządzić zniewagę gospodarzom. Kupić samemu nie odważyłbym się nigdy. Czyż można sobie wyobrazić, aby piękny pan, ze szpadą przy boku, wchodził do piekarza po kawałek chleba? Wreszcie przypomniałem sobie sposób pewnej księżniczki, która usłyszawszy skargi, iż chłopi nie mają chleba, odpowiedziała: „Czemuż nie jedzą biszkoptów?"[400]. A i ta zdobycz ileż kosztowała mnie trudu! Wybierałem się sam z domu, przebiegałem całe miasto, mijałem trzydziestu cukierników, nim wstąpiłem wreszcie do jednego. Jedynie wówczas, gdy sprawdziłem, iż w sklepie znajduje się nie więcej niż jedna osoba, i to o fizjonomii budzącej szczególne zaufanie, odważałem się przestąpić próg. Ale

[399] *wychowaniem dzieci pana de Mably (…) Uczniów miałem dwóch (…) Jeden (…) nazwiskiem Sainte-Marie (…) Młodszy, Condillac* — w czasach autora członkowie szlachty przybierali często nazwiska od posiadłości ziemskich, dlatego członkowie rodziny mają różne nazwiska. [przypis edytorski]

[400] *przypomniałem sobie sposób pewnej księżniczki, która usłyszawszy skargi, iż chłopi nie mają chleba, odpowiedziała: „Czemuż nie jedzą biszkoptów?"* — w oryg. *„Qu'ils mangent de la brioche"* (Niech jedzą ciastka), odpowiedź często przypisywana Marii Antoninie (1755–1793), żonie Ludwika XVI, ostatniej królowej Francji przed Wielką Rewolucją Francuską. Rousseau przytacza je, gdy Maria Antonina miała zaledwie 10 lat i będąc arcyksiężniczką austriacką, nie przebywała jeszcze nawet we Francji. [przypis edytorski]

za to kiedy już miałem szacowne biszkopty i kiedy, zamknąwszy się w pokoju, wydobyłem butelkę ukrytą w szafie, z jakąż rozkoszą popijałem w samotności, czytając przy tym parę stronic jakiego romansu! Czytać przy jedzeniu to była zawsze moja namiętność w braku miłego sam na sam: to surogat towarzystwa, którego mi brakuje. Pochłaniam kolejno stronicę i kąsek: to tak, jak gdyby książka dzieliła ze mną posiłek. Książka

Nigdy nie byłem rozpustnikiem ani opojem, nie upiłem się ani razu w życiu; dlatego kradzieże moje nie dochodziły znaczniejszych rozmiarów. Mimo to wyszły na jaw; butelki zdradziły mnie. Nie okazano mi tego, ale pod jakimś pozorem odebrano mi opiekę nad piwnicą. W całej tej sprawie pan de Mably postąpił sobie bardzo rozumnie i taktownie. Był to bardzo godny człowiek, który pod wyglądem równie twardym jak jego urząd posiadał prawdziwą słodycz charakteru i rzadką dobroć serca. Był sprawiedliwy, wyrozumiały, czego by się nie oczekiwało po urzędniku żandarmerii, nawet wyjątkowo ludzkim. Odczuwając jego pobłażliwość, przywiązałem się doń tym więcej i to sprawiło, że przeciągnąłem pobyt w jego domu dłużej, niżbym to zdołał uczynić w innym wypadku. Ale w końcu, zmierżony zawodem, w którym czułem się nie na swoim miejscu, oraz sytuacją bardzo dla mnie kłopotliwą i nieprzyjemną, po roku próby, w ciągu której nie oszczędzałem bynajmniej starań, postanowiłem rzucić swych uczniów, przekonany, iż nigdy nie potrafiłbym dobrze ich wychować. Sam pan de Mably widział to równie dobrze jak ja. Mimo to sądzę, iż nigdy nie zdobyłby się na to, aby mnie odprawić, gdybym mu nie oszczędził tej przykrości: słabość posunięta, mym zdaniem, w tym wypadku o wiele za daleko.

Sytuację moją czyniło tym przykrzejszą nieustanne porównywanie jej z życiem, które porzuciłem niedawno: wspomnienie drogich Charmettes, mego ogrodu, moich drzew, źródła, sadu, a zwłaszcza tej, dla której byłem zrodzony, która ożywiała duszą to wszystko! Ilekroć wspomniałem o niej, o naszych uciechach, o naszym niewinnym życiu, uczuwałem ściskanie serca, duszność, która odejmowała mi siły do pracy. Sto razy doznawałem pokusy, aby rzucić wszystko i natychmiast, bodaj pieszo, pobiec do niej. Byle ją ujrzeć jeszcze raz, zgodziłbym się z radością umrzeć w tej chwili. W końcu nie mogłem się oprzeć tkliwym wspomnieniom, które wołały mnie do niej wbrew wszystkiemu. Mówiłem sobie, że nie byłem dość cierpliwy, dość miły, serdeczny, że dokładając więcej starań, mogłem jeszcze żyć szczęśliwie przy niej w słodyczach przyjaźni. Słowem, układam sobie najpiękniejsze projekty, płonę niecierpliwością, aby je wykonać. Rzucam wszystko, zrzekam się wszystkiego, jadę, pędzę, przybywam w pełni wskrzeszonych uniesień młodości i znajduję się u jej stóp. Ach! Byłbym umarł z radości, gdybym w jej przyjęciu, pieszczotach, słowem, w jej sercu, odnalazł bodaj ćwierć tego, co znajdowałem dawniej i co sam przynosiłem jeszcze!

Straszliwe złudzenia rzeczy ludzkich! Przyjęła mnie zawsze ze swoim złotym sercem, które mogło umrzeć aż z nią razem; ale ja przybiegłem szukać przeszłości, której już nie było i która nie mogła wskrzesnąć. Ledwie pobyłem z mamusią pół godziny, uczułem, że dawne szczęście umarło na zawsze. Znalazłem się w tej samej opłakanej sytuacji, przed którą trzeba mi było uciekać, i to bez możności przypisania komukolwiek winy; w gruncie bowiem Courtilles był niezły chłopak i zdawał się raczej ucieszony niż zmartwiony mym przybyciem. Ale jak znieść uczucie, że jestem czymś nadliczbowym u tej, dla której byłem wszystkim i na którą nie umiałem patrzeć inaczej niż na moje wszystko? Jak żyć jako obcy w tym domu, którego byłem dzieckiem? Widok przedmiotów będących świadkami minionego szczęścia czynił mi porównanie tym okrutniejszym. Byłbym mniej cierpiał w innym mieszkaniu. Ale musieć sobie nieustannie przywodzić na pamięć tyle wspomnień — znaczyło wciąż na nowo jątrzyć poczucie straty. Trawiony próżnym żalem, wydany najczarniejszej melancholii, znów jak wprzódy pędziłem dni w samotności, poza godzinami posiłku. Zamknięty z mymi książkami, szukałem w nich użytecznej rozrywki; czując bliżej niebezpieczeństwo, którego tyle się dawniej obawiałem, dokładałem wysiłków, aby w sobie znaleźć środki zaradzenia mu, wówczas gdy mamusi ich już zbraknie. Postawiłem tryb domu na tej stopie, iż mógł iść tą koleją ze względnym bezpieczeństwem; ale od tego czasu wszystko się zmieniło. Nowy rządca był to człowiek bardzo nierządny[401]. Chciał przede wszystkim błyszczeć; dobry konik, wykwintne ubranko — to były dla nie-

[401] *nierządny* (daw.) — nie potrafiący się rządzić, niegospodarny. [przypis edytorski]

go rzeczy główne; lubił olśniewać sąsiadów; wciąż rzucał się w nowe przedsiębiorstwa, w zakresie, o którym nie miał pojęcia. Pensję zjadało się z góry; parę kwartałów było zastawionych, czynsz nieopłacony, a długi rosły. Przewidywałem, iż pensję prędzej czy później mogą zająć, a nawet skasować. Słowem, widziałem samą ruinę i klęski, a chwila zdawała mi się tak bliska, że odczuwałem już naprzód wszystkie jej okropności.

Mój drogi gabinet był mi jedyną pociechą. Dotąd szukałem w nim lekarstwa na zamęt duszy, obecnie postanowiłem go szukać na nieszczęścia, które przewidywałem. I oto, wracając do dawnych pomysłów, zacząłem budować zamki na lodzie, aby wydobyć biedną mamusię z okrutnych nieszczęść, których widziałem ją tak bliską. Nie czułem się dość uczony i nie przypisywałem sobie dość talentu, aby zabłysnąć w rzeczpospolitej literatury i zrobić karierę na tej drodze. Ale przyszła mi nowa myśl i natchnęła mnie tą ufnością w siebie, której średnia miara mych talentów nie mogła we mnie obudzić. Mimo iż zaprzestałem uczyć muzyki, nie zaniedbałem jej sam; przeciwnie, posunąłem się w nauce teorii dość daleko, aby się móc uważać za majstra w tym dziale. Odczuwając nieraz dotkliwie mozół, z jakim mi przychodziło czytać nuty i jaki sprawia mi jeszcze dziś czytanie ich *a vista*, wpadłem na myśl, że trudności te mogą wynikać nie tylko z mej niezdatności, ale i z samego przedmiotu; zwłaszcza, że wiedziałem, iż nauka teorii muzyki nikomu nie przychodzi z łatwością. Zastanawiając się nad rodzajami znaków, nieraz znajdowałem, iż są źle skombinowane. Od dawna już nosiłem się z zamiarem notowania skali nutowej za pomocą cyfr, a to aby sobie oszczędzić kreślenia linii i taktów dla zanotowania lada melodii. Natrafiałem w tym na trudności wynikające z oktaw, jak również z miary i wartości. Ta dawna idea odżyła mi w mózgu. Zagłębiwszy się w tym na nowo, doszedłem, że trudności są do przezwyciężenia. Zacząłem sobie łamać głowę, i z dobrym skutkiem; doszedłem do tego, iż za pomocą swoich znaków mogłem zanotować z łatwością każdą melodię. Od tej chwili uwierzyłem święcie, że fortuna moja jest pewna, i w niecierpliwości podzielenia jej z tą, której winien byłem wszystko, myślałem tylko o tym, aby jechać do Paryża. Nie wątpiłem, iż przedłożywszy Akademii[402] mój projekt, uczynię tam rewolucję. Przywiozłem z Lyonu nieco pieniędzy, sprzedałem książki. W dwa tygodnie powziąłem i wykonałem postanowienie. Wreszcie, pełen wspaniałych pomysłów, zawsze taki sam we wszystkich czasach i okolicznościach, wyruszyłem z Sabaudii ze swoim systemem muzycznym, jak niegdyś z Turynu z ową sławną fontanną Herona.

Takie były błędy i przewiny mej młodości. Opowiedziałem ich dzieje z wiernością dającą pełne zadowolenie memu sercu. Jeśli, w dalszym ciągu, wiek mój dojrzały błysnął niejakimi cnotami, zamiarem moim było skreślić je równie szczerze. Ale trzeba mi zatrzymać się tutaj. Czas może zdjąć wiele zasłon. Jeśli pamięć moja przejdzie do potomności, może potomność dowie się kiedyś tego, co miałem do powiedzenia. Wówczas stanie się zrozumiałe, czemu milczę.

Księga VII

(1741) Po dwóch latach milczenia i cierpliwości, mimo postanowień, podejmuję na nowo pióro. Czytelniku, wstrzymaj sąd o przyczynach, które zmuszają mnie do tego: będziesz mógł sądzić, dopiero przeczytawszy.

Widzieliście moją młodość, jak płynęła spokojnie, wśród życia równego, dość miłego, bez wielkich nieszczęść i pomyślności. Mierność ta była w znacznej części dziełem mej natury, żarliwej, lecz słabej, mało przedsiębiorczej a łatwej do zniechęcenia, wychodzącej z trybów pod wpływem doraźnej podniety, ale wracającej do bezwładu, tak przez znużenie, jak z upodobania. Natura ta, daleka od wielkich cnót, a jeszcze dalsza od wielkich występków, sprowadzając mnie zawsze do życia bezczynnego, spokojnego, do jakiego byłem zrodzony, nie pozwoliła mi nigdy dojść do niczego wielkiego, bądź w złym, bądź w dobrym.

Jakiż odmienny obraz trzeba mi będzie niebawem roztoczyć! Los, który w ciągu trzydziestu lat sprzyjał mym upodobaniom, stawał im w poprzek przez trzydzieści następnych; a z tej ustawnej[403] sprzeczności między moim położeniem a skłonnościami zrodziły

[402] *Akademia* — tu: Królewska Akademia Nauk, założona w roku 1666 przez Ludwika XIV w celu wspierania rozwoju badań naukowych; ob. Francuska Akademia Nauk. [przypis edytorski]

[403] *ustawny* (daw.) — ustawiczny, nieustanny, stały. [przypis edytorski]

się, jak się to okaże, olbrzymie błędy, niesłychane niedole i — wyjąwszy siłę — wszystkie cnoty zdolne zaszczyt przynosić nieszczęściu.

Pierwszą część wspomnień spisałem zupełnie z pamięci, musiałem przeto popełnić w niej wiele omyłek. Zmuszony kreślić część drugą również z pamięci, popełnię ich zapewne o wiele więcej jeszcze. Słodkie wspomnienia moich pięknych lat, spędzonych równie spokojnie, jak niewinnie, zostawiły mi mnóstwo uroczych wrażeń, które lubię bez ustanku przywodzić na pamięć. Okaże się niebawem, jak odmienne są wrażenia reszty mego życia. Przywoływać je znaczy pomnażać ich ciężar. Daleki od chęci przydawania goryczy memu położeniu za pomocą tych smutnych wspominków, oddalam je, ile mogę; często udaje mi się to do tego stopnia, iż nie sposób mi odnaleźć je w potrzebie. Ta zdolność zapominania zła jest pociechą zesłaną przez niebo wśród niedoli, jakie los miał kiedyś na mnie skupić. Pamięć moja, odtwarzająca wyłącznie lube przedmioty, jest szczęśliwą przeciwwagą obolałej wyobraźni, która każe mi przewidywać jedynie okrutną przyszłość.

Wszystkie papiery, które zgromadziłem, aby dopomóc pamięci i wspomagać się nimi w tym przedsięwzięciu, przeszły w inne ręce i nigdy nie wrócą do mnie.

Mam tylko jednego wiernego przewodnika, na którego mogę liczyć: to łańcuch uczuć, które znaczyły kolejność mej istoty, a przez nie łańcuch wypadków, które były ich przyczyną lub następstwem. Łatwo zapominam swoich nieszczęść, ale nie mogę zapomnieć błędów, a jeszcze trudniej dobrych uczuć. Wspomnienie ich jest mi zbyt drogie, aby się mogło kiedy zatrzeć w sercu. Mogę popełnić omyłki w faktach, nieścisłości, błędy w datach; ale nie mogę się mylić co do tego, co czułem ani co moje uczucia kazały mi czynić; a o to przede wszystkim chodzi. Właściwy przedmiot tych wyznań to dać wiernie poznać me wnętrze we wszystkich okolicznościach życia. Przyrzekłem historię mej duszy: aby ją nakreślić wiernie, nie trzeba mi innych zapisków; wystarczy mi, jak czyniłem dotąd, wejść w samego siebie.

Istnieje wszelako, i bardzo szczęśliwie, przeciąg kilku lat, co do których posiadam niezawodne wiadomości w zbiorze przepisanym z listów, znajdujących się, w oryginale, w rękach pana du Peyrou[404]. Zbiór ten, urywający się w 1760, obejmuje cały czas mego pobytu w Pustelni i wielkiej zwady z mymi rzekomymi przyjaciółmi — pamiętny okres życia, który stał się źródłem wszystkich innych nieszczęść. Co się tyczy oryginalnych listów świeższej daty, które mógłbym posiadać — a jest ich bardzo niewiele — to zamiast przepisywać je na końcu zbiorku, zbyt obszernego, abym go mógł umknąć czujności moich Argusów[405], przepiszę je w samym tekście, o ile będzie mi się zdawało, iż przynoszą jakieś światło, bądź to na moją korzyść, bądź na me potępienie. Nie obawiam się, aby czytelnik mógł kiedy zapomnieć, iż piszę tu swoje wyznania, a nie apologię[406]; ale nie powinien się również spodziewać, że zmilczę prawdę, kiedy przemawia na mą korzyść.

Poza tym, ta druga część ma za całą wspólność z pierwszą tylko tę samą *prawdę*, a za całą przewagę nad nią jedynie doniosłość wypadków. Poza tym może być jedynie niższą od niej we wszystkim. Pierwszą część pisałem z rozkoszą, z upodobaniem, swobodnie w Wooton[407] lub też w zamku Trye; wspomnienia, które przychodziło mi odnawiać w pamięci, stawały się źródłem świeżych rozkoszy. Wracałem do nich wciąż z nową przyjemnością; mogłem do woli opracowywać swoje opisy, pókim nie był z nich zadowolony. Dziś pamięć moja i głowa, osłabione, czynią mnie prawie niezdolnym do wszelkiej pracy; biorę pióro do ręki jedynie z przymusem i z sercem ściśnionym od rozpaczy. Pamięć ta przywodzi mi jeno nieszczęścia, zdrady, niegodziwości, jeno smutne i rozdzierające wspomnienia. Chciałbym, za wszystko w świecie, zagrzebać w nocy czasu to, co mam do powiedzenia; a zmuszony wbrew woli zabierać głos, jestem w dodatku zniewolony kryć się, kluczyć, starać się zmylić trop, poniżać się do rzeczy, do których najmniej byłem stworzony. Sklepienia, wznoszące się nad mą głową, mają oczy; mury, które mnie otaczają, mają uszy. Osaczony czujnymi i nieżyczliwymi szpiegami i dozorcami, niespo-

[404] *Du Peyrou*, [*Pierre-Alexandre* (1729–1794)] — przyjaciel Russa z epoki pobytu pisarza na wygnaniu w Szwajcarii. Będzie o nim mowa w ks. XII. [przypis tłumacza]

[405] *Argus* (mit. gr.) — stuoki, zawsze czuwający olbrzym. [przypis edytorski]

[406] *apologia* — obrona (a zazwyczaj jednocześnie pochwała) jakiejś osoby lub poglądu. [przypis edytorski]

[407] *Wooton* — zameczek hr. Davenport, przyjaciela Hume'a, gdzie Rousseau znalazł schronienie w czasie pobytu w Anglii. *Trye*: zamek ks. Conti, który również służył pisarzowi za schronienie. [przypis tłumacza]

kojny, pozbawiony skupienia, rzucam pośpiesznie na papier po kilka luźnych słów, które zaledwie mam czas odczytać, a jeszcze mniej poprawić. Wiem, że mimo olbrzymich zapór, które pewne osoby gromadzą dokoła mnie, obawiają się one ciągle, aby prawda nie wymknęła się jakąś szczeliną. Jak wziąć się do dzieła, aby dać się jej przebić? Pokuszę się o to, mimo iż z małą nadzieją. Osądźcie, czy pod ciężarem tego brzemienia mogę mieć swobodę, aby malować lube obrazy i troszczyć się o ich powabny koloryt! Ostrzegam tedy tych, którzy zechcą rozpocząć tę lekturę, iż jeżeli co w ciągu tej drogi zdoła ich uchronić od nudy, to chyba tylko pragnienie poznania do końca danego człowieka i szczera miłość sprawiedliwości i prawdy.

Rozstałem się, z końcem pierwszej części, z czytelnikiem w chwili, gdy zostawiając serce w Charmettes, puściłem się z żalem do Paryża, wznosząc na tej podróży ostatni zamek na lodzie. Roiłem sobie, iż kiedyś przyniosę do stóp mamusi, wyswobodzonej z obcych wpływów, skarby, które tam zdobędę, licząc na mój system muzyczny jako na pewną fortunę.

Zatrzymałem się jakiś czas w Lyonie, aby odwiedzić znajomych, postarać się o polecenia do Paryża i sprzedać książki matematyczne, które zabrałem z sobą. Przyjęto mnie nader serdecznie. Państwo de Mably okazali radość z mego przybycia i zaprosili mnie kilkakrotnie na obiad. Poznałem u nich księdza de Mably[408], jak wprzódy już księdza de Condillac[409]: obaj przybyli odwiedzić brata[410]. Ksiądz de Mably dał mi listy do Paryża, między innymi do pana de Fontenelle[411] i do hrabiego de Caylus[412]. Z oboma nawiązałem stosunki nader miłe; zwłaszcza z pierwszym. Pan de Fontenelle do śmierci nie przestał mi okazywać przyjaźni i nieraz w poufnych rozmowach dawał mi rady, z których powinienem był lepiej korzystać.

Odszukałem pana Bordes[413], którego znałem już z dawniejszych czasów i który często oddawał mi usługi ze szczerego serca i z wyraźną przyjemnością. I teraz doznałem jego uczynności. Ułatwił mi sprzedaż książek i wystarał się o kilka dobrych poleceń do Paryża. Spotkałem też pana intendenta, z którym znajomość zawdzięczałem panu Bordes, a dzięki któremu znów poznałem księcia de Richelieu[414], przejeżdżającego w tym czasie przez Lyon. Książę przyjął mnie łaskawie i wspomniał, bym go odwiedził w Paryżu; com też nieraz uczynił. Poza tym ta dostojna znajomość, o której w przyszłości często będę miał sposobność mówić, nie zdała mi się nigdy na nic.

Odwiedziłem też muzyka Dawida, który pomógł mi w opałach w czasie jednej z poprzednich podróży. Pożyczył mi czy darował czapkę i pończochy, których mu nigdy nie oddałem i których zwrotu nie żądał, mimo że nieraz spotkaliśmy się od tego czasu. Zamiast tego uczyniłem mu wszelako podarek mniej więcej równowartościowy; powiedziałbym cenniejszy, gdyby chodziło o to, com był powinien; ale chodzi o to, co zrobiłem, a na nieszczęście to nie jest to samo.

Ujrzałem znów szlachetnego i zacnego Perrichona, przy czym nie obyło się bez tego, bym nie doświadczył oznak zwykłej jego hojności: pokrył mianowicie koszt mego miejsca w dyliżansie. Odwiedziłem chirurga Parisot, najlepszego i najdobroczynniejszego z ludzi; zastałem jego drogą Godfrydę, z którą żył wspólnie od dziesięciu lat. Słodycz, charakter i dobroć serca stanowiły niemal całą wartość tej osoby; mimo to nie podobna było

[408] *de Mably, Gabriel Bonnot* (1709–1785) — pisarz polityczny i socjolog, autor *Prawa publicznego w Europie* i *Uwag nad historią Francji*. Podobnie jak Rousseau uważa on nauki i sztuki jako czynniki upadku i skażenia obyczajów. [przypis tłumacza]

[409] *de Condillac, Étienne Bonnot* (1715–1780) — młodszy brat księdza de Mably, jeden z najwybitniejszych filozofów XVIII w., głowa „szkoły sensualistycznej". [przypis tłumacza]

[410] *przybyli odwiedzić brata* — tj. pana domu, profosa Jeana Bonnot de Mably (1696–1729), którego synów uczył Rousseau (ks. VI). [przypis edytorski]

[411] *Fontenelle*, [*Bernard le Bovier de*] (1657–1757) — wówczas nestor piśmiennictwa francuskiego, sekretarz Akademii, opierający swą wziętość głównie na dziełach z zakresu popularyzacji naukowej (*Rozmowy o mnogości światów*, etc.). [przypis tłumacza]

[412] *de Caylus, Anne Claude de* (1692–1765) — francuski historyk sztuki, archeolog i literat. [przypis edytorski]

[413] *Bordes, Charles* (1711–1781) — o którym w dalszym ciągu Rousseau wyraża się dość lekko, był to pisarz o błyskotliwych zaletach pióra, które sprawiały, iż niejednokrotnie utwory jego przypisywano Wolterowi. [przypis tłumacza]

[414] *książę de Richelieu, marszałek Francji*, [właśc. *Louis François Armand du Plessis*] (1696–1788) — jedna z najświetniejszych postaci dawnego dworu, głośny zarówno z tryumfów wojennych, jak z intryg dworskich i miłosnych podbojów. [przypis tłumacza]

oglądać jej bez zainteresowania ani pożegnać bez rozrzewnienia; znajdowała się w ostatnim stadium suchot, których ofiarą padła też niedługo. Nic tak nie objawia prawdziwych skłonności człowieka, jak rodzaj jego przywiązań[415]. Kiedy się widziało słodką Godfrydę, znało się dobrego Parisota.

Miałem zobowiązania wobec wszystkich tych godnych ludzi. Z czasem zaniedbałem ich wszystkich; z pewnością nie przez niewdzięczność, ale przez to niezwyciężone lenistwo, które często dawało mi pozór niewdzięcznika. Nigdy świadomość ich usług nie wygasła w mym sercu; ale mniej byłoby mnie kosztowało dowieść mej wdzięczności, niż objawiać ją nieustannie. Regularna korespondencja zawsze była ponad moje siły; skoro raz zdarzy mi się zaniedbać, wstyd i zakłopotanie wynikłe z potrzeby naprawienia błędu sprawiają, iż grzęznę coraz bardziej i przestaję pisać zupełnie. Zamilkłem tedy, dając wszelki powód do przypuszczeń, iż zapomniałem o dawnych znajomych. Parisot i Perrichon nie zwrócili nawet na to uwagi i zawsze byli dla mnie jednacy; ale co do pana Bordes, pokaże się w dwadzieścia lat później, dokąd może się posunąć zemsta ambitnego pisarka, kiedy sądzi, iż go zlekceważono.

Nim rozstanę się z Lyonem, nie godzi mi się przepomnieć[416] miłej osoby, którą ujrzałem tam znowu z większą niż kiedykolwiek przyjemnością i która zostawiła w mym sercu bardzo tkliwe wspomnienia; mam na myśli pannę Serre, o której mówiłem w pierwszej części, a z którą odnowiłem znajomość podczas pobytu u państwa de Mably. Tym razem, mając więcej swobody, widywałem ją częściej; serce moje zajęło się i to bardzo żywo. Miałem niejakie przyczyny mniemać, iż i jej serce nie było mi nierade; ale odnosiła się do mnie z ufnością, która odjęła mi pokusę nadużycia jej. Nie miała nic, ja również; położenie nasze było zbyt podobne, abyśmy się mogli połączyć; zresztą, cały zaprzątnięty nadziejami, bardzo byłem daleki od myśli o małżeństwie. Panna Serre zwierzyła mi, że młody kupiec, nazwiskiem Geneve, zdaje się żywić zamiary względem jej osoby. Spotkałem go raz czy dwa; wydał mi się godnym człowiekiem, za jakiego też uchodził. Przekonany, iż byłaby z nim szczęśliwa, pragnąłem, by ją zaślubił, co się też stało z czasem; aby zaś nie mącić ich niewinnej skłonności, przyspieszyłem wyjazd, życząc z całego serca szczęścia tej uroczej osobie. Życzenia te ziściły się tu na ziemi; niestety, na czas bardzo krótki. Dowiedziałem się, iż zmarła po dwóch czy trzech latach małżeństwa. Pochłonięty w ciągu całej drogi tkliwymi żalami, uczułem wówczas, jak i często później, iż jeżeli ofiary na rzecz obowiązku i cnoty nie przychodzą bez trudu, wypłacają się w zamian sowicie przez słodkie wspomnienia, które zostawiają na dnie serca.

O ile w czasie poprzedniej podróży oglądałem Paryż z niekorzystnej strony, o tyle tym razem ujrzałem go ze strony świetnej. Bądź co bądź, nie odnosi się to do mego pomieszczenia; trzymając się bowiem adresu udzielonego mi przez pana Bordes, ulokowałem się w hotelu Saint-Quentin, przy ulicy des Cordies, blisko Sorbony, na szpetnej ulicy, w szpetnym hotelu, szpetnym pokoju, gdzie wszelako mieszkiwali ludzie nie lada jacy, jak Gresset[417], Bordes, ksiądz de Mably, de Condillac i wielu innych, z których, na nieszczęście, nie zastałem już żadnego. Zastałem natomiast pana de Bonnefond, szlagona[418] kuternogę, pieniacza, bawiącego się w purystę, któremu zawdzięczam znajomość z panem Roguin, obecnie nestorem mych przyjaciół, a przez tego znów znajomość z filozofem Diderot[419], o którym wiele będę miał do mówienia w dalszym ciągu.

Przybyłem do Paryża w jesieni 1741, z piętnastoma ludwikami gotówki, komedią *Narcyz* i projektem muzycznym za wszystkie zasoby: tym samym, nie wiele miałem czasu do stracenia. Pilno mi było spożytkować rekomendacje. Młody człowiek, który przybywa do

[415] *Nic tak nie objawia prawdziwych skłonności człowieka, jak rodzaj jego przywiązań* — Chyba że zrazu omyli się w wyborze lub też ta, do której się przywiązał, odmieni później charakter wskutek zbiegu osobliwych przyczyn; co nie jest bezwarunkowo niemożliwe. Gdyby się chciało przyjąć bez zastrzeżeń ten wniosek, trzeba by sądzić Sokratesa z żony Ksantypy, Diona zaś z przyjaciela jego Kalippa, co byłoby sądem najniesprawiedliwszym i najfałszywszym w świecie. Zresztą, niech czytelnik uchyli tu wszelkie zelżywe zastosowanie do mojej żony. Jest ona, to prawda, bardziej ograniczona i łatwiejsza do oszukania, niż mniemałem; ale charakter jej, czysty, wyborny, bez złości, godzien jest mego pełnego szacunku i będzie go miał póki życia. [przypis autorski]

[416] *przepomnieć* (daw.) — zapomnieć, pominąć. [przypis edytorski]

[417] *Gresset*, [*Jean-Baptiste-Louis*] (1709–1777) — wybitny komediopisarz, autor doskonałej sztuki pt. *Złośliwy* (*le Méchant*). [przypis tłumacza]

[418] *szlagon* — prowincjonalny, zasiedziały na wsi, niewykształcony szlachcic. [przypis edytorski]

[419] *Diderot*, [*Denis*] (1713–1784) — jeden z najwybitniejszych pisarzy XVIII w., filozof, twórca *Encyklopedii*, dramaturg, zażywający ogromnego wpływu i rozgłosu w całej współczesnej Europie. [przypis tłumacza]

Paryża z jaką taką powierzchownością i zapowiadający się jakimiś talentami, może być zawsze pewny dobrego przyjęcia. Znalazłem je i ja; dostarczyło mi to paru przyjemnych chwil, nie prowadząc do wielkich korzyści. Ze wszystkich osób, do których miałem polecenia, trzy jedynie okazały mi się użyteczne: pan Damesin, szlachcic sabaudzki, wówczas koniuszy, i jak sądzę, faworyt księżnej de Carignan; pan de Boze, sekretarz Akademii Napisów i kustosz królewskiego gabinetu medalów; wreszcie ojciec Castel[420], jezuita, twórca ocznego klawikordu. Wszystkie te rekomendacje, z wyjątkiem pana Damesin, zawdzięczałem księdzu de Mably.

Pan Damesin zaradził moim najpilniejszym potrzebom, nastręczając mi dwie znajomości: jedną, z panem de Gasc, prezydentem trybunału w Bordeaux, grającym bardzo dobrze na skrzypcach; drugą z księdzem de Léon, mieszkającym wówczas w Sorbonie, młodym panem bardzo lubym w obcowaniu, który umarł w kwiecie wieku, zasłynąwszy na jakiś czas w świecie pod nazwiskiem kawalera de Rohan. Jeden i drugi objawili ochotę pobierania nauki kompozycji. Udzielałem im przez kilka miesięcy lekcji, które skrzepiły nieco mą wychudłą sakiewkę. Ksiądz de Léon powziął do mnie sympatię i chciał mnie zatrzymać jako sekretarza; ale nie był bogaty i mógł mi ofiarować wszystkiego osiemset franków. Odmówiłem z żalem, ale suma ta nie mogła mi starczyć na mieszkanie, życie i inne wydatki.

Pan de Boze przyjął mnie bardzo dobrze. Lubił wiedzę, sam posiadał jej niemało, ale był nieco pedant. Pani de Boze mogłaby być jego córką; była to świetna i strojna modnisia. Proszono mnie tam niekiedy na obiad. Niepodobna zachować się bardziej głupio i niezręcznie niż ja w stosunku do pani de Boze. Swoboda jej onieśmielała mnie i tym bardziej uwydatniała moje niezdarstwo. Kiedy mi podsuwała talerz, wysuwałem widelec, aby dziobnąć skromnie odrobinę potrawy, którą mnie częstowano; tak iż gospodyni domu oddawała lokajowi talerz przeznaczony dla mnie, odwracając się, abym nie widział, jak się śmieje. Nie przypuszczała ani na chwilę, że w głowie tego prostaczka mogło się gnieździć mimo wszystko nieco dowcipu. Pan de Boze przedstawił mnie panu de Réaumur[421], swemu przyjacielowi, który obiadował u niego co piątek, w dnie posiedzeń Akademii Nauk. Wspomniał mu o moim projekcie i chęci przedłożenia go sądowi Akademii. Pan de Réaumur podjął się wnieść propozycję, którą przyjęto. W oznaczony dzień pan de Réaumur wprowadził mnie i przedstawił; tegoż samego dnia, 22 sierpnia 1742, miałem zaszczyt odczytać w Akademii przygotowany memoriał. Mimo że to dostojne zgromadzenie było niewątpliwie bardzo imponujące, czułem się mniej onieśmielony niż wobec pani de Boze i wywiązałem się wcale znośnie z czytania i z odpowiedzi. Memoriał podobał się i zyskał powinszowania, które zarówno zdziwiły mnie, jak mi pochlebiły: trudno mi było pojąć, aby w mniemaniu jakiejś Akademii ktoś, kto nie należy do niej, mógł mieć cośkolwiek oleju w głowie. W komisji, którą mi wyznaczono, zasiadali panowie Mairan, Hellot i de Fouchy, wszyscy trzej z pewnością godni ludzie, ale z których żaden nie rozumiał się na muzyce, na tyle przynajmniej, aby móc sądzić o moim projekcie.

(1742) Podczas konferencji z tymi panami przekonałem się, z równą pewnością jak zdziwieniem, że jeżeli niekiedy uczeni mają mniej przesądów niż inni ludzie, to w zamian tych, które mają, trzymają się o wiele silniej. Mimo że zarzuty były przeważnie nader słabe i fałszywe, mimo że odpowiadałem na nie lękliwie, przyznaję, i niezręcznie, ale za pomocą niezbitych argumentów, ni razu nie zdołałem osiągnąć tego, aby mnie zrozumiano i abym zdołał zadowolić tych panów. Zdumiony byłem łatwością, z jaką za pomocą kilku dźwięcznych frazesów odpierali mnie, nie zrozumiawszy. Wygrzebali, nie wiem gdzie, iż pewien mnich mianem ojciec Souhaitti[422] wpadł niegdyś na pomysł znaczenia gamy cyframi; to wystarczyło, aby twierdzić, iż system mój nie jest nowy. Mniejsza zresztą o to; mimo iż nigdy w życiu nie słyszałem o ojcu Souhaitti i mimo że jego sposób znaczenia siedmiu nut śpiewu, bez myśli nawet o oktawach, niewart był w żadnej mierze wchodzić

[420] *Castel*, [*Louis Bertrand*] (1688–1757) — głośny matematyk i fizyk, pełen śmiałych i oryginalnych myśli. Spędził część życia na próbach skonstruowania tzw. „ocznego klawikordu", tj. instrumentu, który za pomocą harmonijnego następstwa kolorów mógłby działać na oko tak, jak klawikord działa na słuch. [przypis tłumacza]

[421] *Réaumur*, [*René Antoine Ferchault de*] (1683–1757) — słynny fizyk i naturalista. [przypis tłumacza]

[422] *Souhaitti* a. *Souhaitty, Jean-Jacques* (1632–1697) — autor eseju *Nouveaux élémens de chant ou l'essay d'une nouvelle découverte qu'on a faite dans l'art de chanter* (1677), w którym proponował notowanie śpiewu cyframi arabskimi. [przypis edytorski]

w porównanie z moim prostym i dogodnym wynalazkiem, pozwalającym z łatwością notować cyframi wszelką możliwą melodię, klucze, pauzy, oktawy, takty, tempo i wartość nut — rzeczy, o których Souhaittiemu nawet się nie śniło — było wszelako niewątpliwą prawdą, iż co się tyczy elementarnego wyrażania siedmiu nut, był on pierwszym wynalazcą. Ale pomijając, iż nadali temu pierwotnemu pomysłowi więcej wagi, niż jej posiadał, nie ograniczyli się na tym; skoro zaś tylko zapuścili się w roztrząsanie samej istoty systemu, gadali już same głupstwa. Największą korzyścią mojej metody było to, iż usuwała transpozycje[423] i klucze, tak iż ten sam utwór można było do woli notować i transponować, w jakiej bądź tonacji, za pomocą prostej zmiany początkowej litery na czele melodii. Ci panowie słyszeli od dławidudów[424] paryskich, że metoda wykonywania w transpozycji nie jest nic warta; otóż, wzięli to za punkt wyjścia, aby obrócić w niezwalczony zarzut przeciw memu systemowi jego najwybitniejszą przewagę. Rozstrzygnęli, iż moja metoda dobra jest dla partii wokalnych, a zła dla instrumentalnych; zamiast orzec, jak byli powinni, że dobra jest dla wokalnych, a jeszcze lepsza dla instrumentalnych. W następstwie ich sprawozdania Akademia wystawiła mi certyfikat pełen bardzo pięknych komplementów, poprzez które można było odgadnąć, iż w gruncie nie uważa mego systemu ani za nowy, ani za użyteczny. Nie uznałem za właściwe ozdobić podobnym aktem dzieła zatytułowanego *Rozprawa o nowoczesnej muzyce*, za pomocą którego apelowałem do publiczności od wyroku uczonego ciała.

Miałem możność zauważyć przy tej sposobności, jak bardzo, nawet przy ograniczonym umyśle, znajomość wyłączna, ale głęboka danej rzeczy lepsza jest dla sądzenia o niej od wszelkich horyzontów, które daje wykształcenie, o ile nie łączy się z nim poszczególne znawstwo gałęzi, o którą chodzi. Jedyny słuszny zarzut, który można było uczynić memu systemowi, uczynił Rameau[425]. Ledwie mu rzecz przedstawiłem, natychmiast ujrzał słabą stronę. „Pańskie znaki — rzekł — są bardzo dobre w tym, iż określają prosto i jasno wartości, jako też ściśle oznaczają interwały, czego wszystkiego nie dają zwykłe znaki nutowe; ale mają tę wadę, iż wymagają pracy umysłu, która nie zawsze może nadążyć szybkości wykonania. Zwyczajne nuty — dodał — ustosunkowaniem swym narzucają się oku jako obraz, bez pomocy tej pracy. Jeżeli dwie nuty, jedna bardzo wysoka, druga bardzo niska, połączone są szeregiem nut pośrednich, widzę od pierwszego rzutu oka postęp od jednej do drugiej, stopień po stopniu; u pana zaś, chcąc upewnić się o tym postępie, trzeba nieodzownie sylabizować wszystkie cyfry; rzut oka nie może dopomóc tu w niczym". Zarzut zdawał mi się nieodparty, co też natychmiast przyznałem. Mimo że jest prosty i uderzający, jedynie wielkie obycie z tą sztuką mogło go nasunąć; nic też dziwnego, że nie przyszedł na myśl żadnemu z panów akademików; dziwne natomiast jest, iż wszyscy ci wielcy uczeni, którzy wiedzą tyle rzeczy, tak mało wiedzą o tym, iż każdy powinien by sądzić tylko o swoim rzemiośle.

Częste wizyty u moich sędziów oraz u innych panów akademików, pozwoliły mi wejść w styczność z najwybitniejszymi osobistościami literackiego Paryża; dzięki temu, kiedy później nagle znalazłem się w tym cechu, miałem już poniekąd wyrobione stosunki. Na razie, skupiony w swoim systemie muzycznym, upierałem się na tej drodze dokonać rewolucji i dojść do sławy, która w zakresie sztuk pięknych zawsze się łączy w Paryżu z majątkiem. Zamknąłem się w pokoju i przez parę miesięcy z zapałem nie do opisania pracowałem nad tym, aby w dziele przeznaczonym dla publiczności przetworzyć na nowo memoriał przedstawiony w Akademii. Trudność była w tym, aby znaleźć księgarza, który by się podjął wydrukowania mego rękopisu. Trzeba było ponieść pewne wydatki na nowe czcionki; przy tym księgarze nie rwą się do obsypywania złotem początkujących autorów, mnie zaś wydawało się bardzo sprawiedliwe, aby moje dzieło wróciło mi chleb, jaki zjadłem, pracując nad nim.

Bonnefond wyszukał mi starego Quillau, który zawarł ze mną układ na połowę zysku, nie licząc kosztów przywileju[426], które poniosłem sam. Tyle zdziałał ów pan Quillau, iż

[423] *transpozycja* (muz.) — opracowanie utworu muzycznego w innej tonacji niż ta, w której został pierwotnie napisany. [przypis edytorski]

[424] *dławiduda* (żart.) — organista. [przypis edytorski]

[425] *Rameau*, [*Jean-Philippe*] (1683–1768) — najwybitniejszy muzyk francuski XVIII wieku. [przypis tłumacza]

[426] *przywilej* — tu: królewski przywilej, będący zezwoleniem na publikację książki oraz gwarantujący wydawcy monopol na jej drukowanie przez określony okres. [przypis edytorski]

zostałem się ze swoim przywilejem i nigdy nie uzyskałem ani szeląga z tego wydawnictwa. Prawdopodobnie zresztą miało ono popyt dość mierny, mimo że ksiądz Desfontaines[427] obiecał mi je popierać, inni zaś dziennikarze wyrazili się o nim dość pochlebnie.

Największą przeszkodą do wypróbowania mego systemu była obawa, aby — w razie gdyby się nie przyjął — nie stracić czasu, który trzeba by wyłożyć na jego naukę. Odpowiadałem na to, że zapoznanie się z moim sposobem notowania daje taką jasność poglądu, iż nawet dla nauki muzyki zwyczajnymi nutami jeszcze zyskałoby się na czasie, zaczynając od moich. Aby dać tego doświadczalny dowód, podjąłem się uczyć bezpłatnie pewną młodą Amerykankę, pannę des Roulins, z którą znajomość zawdzięczałem panu Roguin. W ciągu trzech miesięcy umiała odcyfrować na moich nutach jakąkolwiek melodię, a nawet śpiewać *prima vista* lepiej ode mnie samego, o ile utwór nie był najeżony szczególnymi trudnościami. Sukces był uderzający, ale mało komu znany. Kto inny napełniłby nim dzienniki; ale ja przy pewnym talencie znajdywania rzeczy pożytecznych nigdy nie miałem talentu ciągnięcia z nich korzyści.

Oto jak moja bania Herona jeszcze raz się stłukła: ale tym razem miałem trzydzieści lat i znalazłem się na bruku Paryża, gdzie nie da się żyć o niczym. Postanowienie, jakie powziąłem w tej ostateczności, zdziwi jedynie tych, którzy nie czytali dobrze pierwszej części tych *Pamiętników*. Naszamotałem się gorączkowo, a bez skutku; trzeba mi było nabrać tchu. Miast oddać się rozpaczy, oddałem się spokojnie swemu lenistwu i staraniom Opatrzności; aby zaś dać jej czas na spełnienie dzieła, zacząłem przejadać, bez pośpiechu, tych kilka ludwików, które mi jeszcze zostawały. Ograniczyłem wydatki swoich niefrasobliwych wywczasów, nie zwijając ich wszelako zupełnie, uczęszczając do kawiarni jedynie co drugi dzień, do teatru zaś tylko dwa razy tygodniowo. Co się tyczy wydatków na dziewczęta, nie miałem czego reformować, nie wyłożyłem bowiem w życiu ani szeląga na ten użytek, wyjąwszy jednego razu, o którym wspomnę niebawem.

Spokój, rozkosz, ufność, z jaką oddałem się temu leniwemu i samotniczemu życiu, którego nie miałem czym opędzić ani przez trzy miesiące, stanowią jedną z osobliwości mego życia i dziwactw charakteru. To, iż gwałtownie było mi trzeba, aby ktoś pomyślał o mnie, to właśnie odejmowało mi odwagę pokazywania się ludziom. Konieczność składania wizyt uczyniła mi obowiązek ten tak nieznośnym, iż przestałem odwiedzać nawet akademików i innych ludzi pióra, z którymi już zbliżyłem się nieco. Marivaux[428], ksiadz de Mably, Fontenelle byli prawie jedyni, u których pojawiałem się niekiedy. Pierwszemu pokazałem nawet moją komedię *Narcyz*. Spodobała mu się i był na tyle łaskaw, aby ją nieco poprawić. Diderot, młodszy od nich, był niemal w moim wieku. Lubił muzykę i posiadał pewne wykształcenie w tej sztuce; rozmawialiśmy o niej często; mówił mi też o planach swoich dzieł. To stworzyło niebawem ściślejsze stosunki, które trwały piętnaście lat i trwałyby prawdopodobnie jeszcze, gdybym, nieszczęściem, i to z jego winy, nie zaciągnął się w szeregi uprawiających jego własne rzemiosło.

Nikt by sobie nie wyobraził, na czym trawiłem ów krótki i szacowny przeciąg czasu, który mnie dzielił jeszcze od konieczności żebrania na chleb: na obkuwaniu na pamięć poetów, których uczyłem się po sto razy i tyleż razy zapominałem. Co rano, około dziesiątej, szedłem na przechadzkę do Luxemburgu[429], z Wergilim lub Russem[430] w kieszeni; tam aż do obiadu wbijałem sobie w pamięć to jakąś wzniosłą odę, to bukolikę, nie zrażając się tym, iż powtarzając dzisiejszą, nieodmiennie zapominałem tej, której wyuczyłem się wczoraj. Przypomniałem sobie, iż po klęsce Nikiasza[431] pod Syrakuzami jeńcy ateńscy zarabiali na życie wygłaszaniem poematów Homera. Korzyścią, jaką wydobyłem z tego

[427] *Desfontaines* [*Pierre*] (1685–1745), krytyk francuski, głośny przez swoje spory z Wolterem. [przypis tłumacza]

[428] *Marivaux*, [*Pierre de*] (1688–1763) — wybitny komediopisarz, którego styl, oparty na wyszukanym wysłowieniu i subtelnej obserwacji, utrwalił się w słownictwie francuskim pod mianem *marivaudage'u*. [przypis tłumacza]

[429] *Luxemburg* — tu: Ogród Luksemburski w Paryżu, park miejski przy pałacu księcia de Luxemburg. [przypis edytorski]

[430] *Rousseau, Jan Baptysta* (1671–1741) — poeta francuski, cieszący się w owym czasie znacznym rozgłosem. [przypis tłumacza]

[431] *Nikiasz* (ok. 470–413 p.n.e.) — polityk i wódz ateński, podczas wojny peloponeskiej był jednym z trzech dowódców nieudanej wyprawy na Sycylię w celu opanowania Syrakuz; armię ateńską okrążono i rozbito (413 p.n.e.), a tych, którzy przeżyli, sprzedano w niewolę. [przypis edytorski]

dążenia do erudycji, mającej mnie ubezpieczyć przeciw nędzy, było to, iż wyćwiczyłem swą żałosną pamięć tak dalece, aż wreszcie zdołała sobie przyswoić wszystkich poetów.

Inny sposób zabijania czasu, nie mniej praktyczny, miałem w szachach. Poświęcałem im regularnie, u Maugisa, popołudnia tych dni, w które nie szedłem do teatru. Zapoznałem się z panem de Légal, z niejakim Husson, z Filidorem, ze wszystkimi wielkimi graczami owego czasu, bez większej zresztą korzyści. Nie wątpiłem wszelako, iż w końcu zapędzę w kozi róg ich wszystkich i że to wystarczy, jak mniemałem, aby mi zapewnić środki do życia. Ilekroć brnąłem w jakieś szaleństwo, bez względu na to jakie, zawsze rozumowałem w jednaki sposób. Powiadałem sobie: „Ktokolwiek celuje w jakiejś rzeczy, może być zawsze pewny, iż znajdzie sobie miejsce na świecie. Celujmy tedy, mniejsza w czym; zwrócę na siebie uwagę, sposobności się nastręczą, moje zaś przymioty dokonają reszty". Dzieciństwo[432] to nie było sofizmatem rozumu, ale indolencji[433]. Przerażony wielkimi i gwałtownymi wysiłkami, jakie trzeba było robić, aby wydobyć coś z siebie, starałem się schlebiać lenistwu i zasłaniałem przed sobą wstyd swego położenia godnymi jego argumentami.

Czekałem tedy spokojnie końca pieniędzy; sądzę, że byłbym doszedł do ostatniego szeląga, nie wzruszając się zbytnio, gdyby ojciec Castel, którego spotykałem niekiedy w kawiarni, nie wyrwał mnie z letargu. Ojciec Castel był trochę wariat, ale zresztą[434] dobry człowiek: żal mu było patrzeć, jak się zużywam w tej bezczynności. „Skoro muzycy — rzekł — ani też uczeni nie chcą śpiewać z panem *unisono*[435], spróbuj z innego tonu: chwyć się kobiet. Być może powiedzie ci się lepiej na tej drodze. Wspominałem o tobie pani de Beuzenval[436]; idź ją odwiedzić, powołaj się na mnie. To dobra kobieta; z przyjemnością ujrzy krajana swego syna i męża. Spotkasz u niej panią de Broglie[437], jej córkę, osobę nader światłą. Pani Dupin również wspominałem o panu; zanieś jej swoje dzieło; ma ochotę poznać pana, z pewnością przyjmie cię dobrze. W Paryżu wszystko dzieje się tylko przez kobiety: są to jak gdyby krzywizny, których mędrcy są asymptotami; zbliżają się do nich bez ustanku, nigdy nie dotykając zupełnie".

Odwlekając z dnia na dzień te straszliwe próby, zdobyłem się wreszcie na odwagę i wybrałem się do pani de Beuzenval. Przyjęła mnie nader łaskawie. Niebawem weszła do pokoju pani de Broglie; matka rzekła: „Oto, córko, pan Rousseau, o którym wspominał ojciec Castel". Pani de Broglie powinszowała mi mego dzieła i prowadząc mnie do klawikordu, pokazała, że właśnie jest nim zajęta. Widząc na zegarze, iż jest blisko pierwszej, chciałem odejść. Pani de Beuzenval rzekła: „Jest pan daleko od swojej dzielnicy, zostań na obiedzie". Nie dałem się prosić. W kwadrans później zrozumiałem z kilku wyrzeczonych słów, że zaproszono mnie na obiad, ale w kredensie[438], ze służbą. Pani de Beuzenval była to osoba bardzo dobra, ale ograniczona i nazbyt przepełniona znamienitością swego polskiego szlachectwa: mało miała pojęcia o względach dłużnych talentowi. W tym wypadku osądziła mnie nawet raczej z mego wzięcia niż ze stroju, który mimo że bardzo skromny, był nader schludny i nie zwiastował bynajmniej człowieka godnego, aby go sadzano w kredensie. Zapomniałem doń drogi od zbyt dawna, aby chcieć na nią wracać. Nie zdradzając urazy, oświadczyłem pani de Beuzenval, iż drobna sprawa, którą sobie przypomniałem, wzywa mnie do domu; to mówiąc, zacząłem się żegnać. Pani de Broglie zbliżyła się do matki i rzekła z cicha kilka słów, które wywarły skutek. Pani de Beuzenval podniosła się, aby mnie zatrzymać i rzekła: „Mam nadzieję, że uczyni nam pan ten zaszczyt i zostanie z nami na obiedzie". Sądziłem, że bawić się jeszcze w dumę, byłoby z mej strony głupotą; zostałem. Zresztą, dobroć pani de Broglie wzruszyła mnie i obudziła we mnie sympatię. Rad byłem, iż mam obiadować z nią razem, i spodziewałem się,

[432] *dzieciństwo* (daw.) — dziecinada. [przypis edytorski]

[433] *indolencja* — nieudolność, niezdarność, bezradność; bezczynność. [przypis edytorski]

[434] *zresztą* (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

[435] *unisono* (muz., z wł.) — jednym głosem. [przypis edytorski]

[436] *pani de Beuzenval*, właśc. *Besenval*, z domu *Katarzyna Bielińska* (1684–1761) — córka marszałka wielkiego koronnego Rzeczpospolitej, żona pochodzącego ze Szwajcarii Jeana Victora de Besenval (1671–1736), oficera i dyplomaty w służbie Francji. [przypis edytorski]

[437] *pani de Broglie* — Théodore Elisabeth Catherine de Besenval (1718–1777), żona markiza Charlesa Guillaume'a Louisa de Broglie. [przypis edytorski]

[438] *kredens* (daw.) — pomieszczenie przeznaczone do przechowywania zastawy stołowej oraz dla służby podającej do stołu. [przypis edytorski]

iż skoro pozna mnie bliżej, nie będzie miała powodu żałować wstawiennictwa, którego ten zaszczyt był owocem.

Prezydent de Lamoignon, wielki przyjaciel domu, również był tego dnia na obiedzie. Zarówno on, jak pani de Broglie, posługiwali się w rozmowie ową ulotną gwarą Paryża, całą w półsłówkach, w lekkich, dowcipnych aluzjach. Nie było tam okazji do błyszczenia dla biednego Jana Jakuba. Miałem na tyle rozsądku, iż nie chciałem gwałtem bawić się w salonowca, i milczałem. Ach, gdybymż zawsze zachował ten rozsądek! Nie byłbym oto w otchłani, w której się dziś znajduję.

Byłem zrozpaczony swym niezdarstwem, oraz tym że nie mogę usprawiedliwić w oczach pani de Broglie łaski, którą mi wyświadczyła. Po obiedzie uciekłem się do swego zwykłego ratunku. Miałem w kieszeni epistołę wierszem, pisaną do Parisota w czasie pobytu w Lyonie. Utwór ten nie był pozbawiony ciepła; spotęgowałem je jeszcze sposobem wygłoszenia i rozrzewniłem wszystkich troje do łez. Czy to wpływ mej próżności, czy też w istocie tak było, ale zdawało mi się, że spojrzenia pani de Broglie mówią do matki: „I cóż, mamo, nie miałam słuszności, że ten człowiek bardziej jest na miejscu tu, przy stole z nami, niż w garderobie?" Aż do tej chwili było mi nieco markotno, ale zemściwszy się w ten sposób, uczułem się zadowolony. Pani de Broglie, posuwając nieco zbyt daleko pochlebny sąd o mnie, orzekła, iż zrobię wrażenie w Paryżu i że stanę się faworytem kobiet. Aby wesprzeć moje niedoświadczenie, dała mi *Wyznania Hrabiego de ****[439]. „Ta książka — rzekła — to mentor, którego będziesz pan potrzebował w świecie; dobrze uczynisz, zasięgając czasem jego rady". Przechowałem więcej niż dwadzieścia lat ten egzemplarz, przez wdzięczność dla ręki, której go zawdzięczałem, ale śmiejąc się często z opinii, jaką ta pani zdawała się żywić o mych zaletach jako galanta. Od pierwszej chwili, gdy przeczytałem to dzieło, zapragnąłem pozyskać przyjaźń autora. Pociąg mój wiódł mnie bardzo dobrze: to jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego miałem pośród ludzi pióra[440].

Od tego czasu ośmieliłem się liczyć na to, iż baronowa de Beuzenval i margrabina de Broglie, zainteresowawszy się mną, nie zostawią mnie długo bez środków. Nie omyliłem się. Pomówmy teraz o mym wejściu w dom pani Dupin, które miało trwalsze następstwa.

Pani Dupin była, jak wiadomo, córką Samuela Bernard i pani Fontaine. Było ich trzy siostry, którym można było dać miano trzech Gracji. Pani de La Touche, głośna swoją eskapadą do Anglii z księciem de Kingston; pani d'Arty, kochanka i co więcej, przyjaciółka, jedyna i szczera przyjaciółka księcia Conti, kobieta urocza zarówno słodyczą, dobrocią przemiłego charakteru, jak powabami umysłu i niezmąconą wesołością; wreszcie pani Dupin, najładniejsza z trzech i jedyna, której nie można było nic zarzucić pod względem obyczajów. Stała się ona nagrodą gościnności pana Dupin: matka oddała mu ją, wraz z miejscem generalnego dzierżawcy i olbrzymią fortuną, przez wdzięczność za dobre przyjęcie, jakiego użyczył jej w swojej prowincji. Wówczas kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, była to jeszcze jedna z najpiękniejszych kobiet w Paryżu. Przyjęła mnie w gotowalni[441]. Miała nagie ramiona, rozsypane włosy, niedbale zapiętą narzutkę. Tego rodzaju przyjęcie było dla mnie czymś zupełnie nowym; biedna moja głowa nie zdołała go wytrzymać; zmieszałem się, zgłupiałem; i oto, na gładkiej drodze, zadurzyłem się w pani Dupin.

Zdaje się, iż pomieszanie moje nie zaszkodziło mi w jej oczach: nie dała niczym poznać, aby je spostrzegła. Przyjęła życzliwie książkę i autora, wdała się w rozmowę o mym projekcie jak osoba wykształcona, zaczęła śpiewać, towarzysząc sobie sama na klawikordzie, zatrzymała mnie na obiedzie, wskazała miejsce obok siebie. Wszystko to wystarczyło najzupełniej, aby mnie doprowadzić do szaleństwa. Pozwoliła mi odwiedzać się: korzystałem z pozwolenia, nadużywałem go. Bywałem tam prawie codziennie, obiadowałem parę razy na tydzień. Umierałem z ochoty wyznania swych uczuć; nie mogłem się ośmielić. Wiele racji wzmagało mą wrodzoną nieśmiałość. Wstęp do możnego domu — były

[439] *Wyznania Hrabiego de **** — utwór dość lekkiej treści, pióra Duclosa, późniejszego akademika i „historiografa Francji". [przypis tłumacza]

[440] *to jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego miałem pośród ludzi pióra* — wierzyłem w to tak długo i tak zupełnie, iż jemu to po powrocie do Paryża powierzyłem rękopis *Wyznań*. „Nieufny" Jan Jakub nigdy nie mógł uwierzyć w przewrotność i fałsz, aż dopiero stawszy się ich ofiarą. [przypis autorski]

[441] *gotowalnia* (daw.) — pokój do ubierania się, stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka), bądź sama czynność ubierania się, strojenia. [przypis edytorski]

to otwarte drzwi do fortuny; nie chciałem, w moim położeniu, narażać się na ich zamknięcie. Pani Dupin, mimo swej uprzejmości, była poważna i chłodna; w obejściu jej nie znajdowałem żadnej wyraźnej zachęty, która by mi dodała odwagi. Dom jej, wówczas jeden z najświetniejszych w Paryżu, gromadził towarzystwo, które, gdyby tylko było mniej liczne, mogłoby się stać elitą we wszelakim względzie. Pani Dupin lubiła się otaczać ludźmi, którzy promieniowali jakimś blaskiem: pełno tam było możnych panów, pisarzy, pięknych kobiet. Widywało się samych jeno książąt, ambasadorów, dygnitarzy. Księżna de Rohan, hrabina de Forcalquier, pani de Mirepoix, pani de Brignolé, mylady Hervey mogły uchodzić za jej przyjaciółki. Pan de Fontenelle, ksiądz de Saint-Pierre[442], ksiądz Sallier, pan de Fourmont, pan de Bernis[443], pan de Buffon[444], pan de Voltaire należeli do jej salonu i obiadów. O ile wstrzemięźliwe zachowanie się pani domu nie ściągało zbyt wiele młodzieży, w zamian za to towarzystwo, tym staranniej dobrane, o tyleż bardziej było imponujące; toteż biedny Jan Jakub nie mógł sobie pochlebiać, aby mógł bardzo błyszczeć w tym gronie. Nie śmiałem tedy przemówić, ale nie mogąc zmilczeć, ośmieliłem się napisać. Pani Dupin zachowała dwa dni mój list, nie wspominając o nim. Trzeciego dnia oddała mi go, udzielając ustnie paru słów upomnienia, których zimny ton mnie zmroził. Chciałem mówić, słowa zamarły mi na ustach: nagła namiętność zgasła wraz z nadzieją; i po tych formalnych oświadczynach, bywałem w domu pani Dupin jak wprzódy, nie siląc się już na żadne wyznania, nawet oczami.

Sądziłem, że głupstwo moje poszło w niepamięć; myliłem się. Pan de Francueil, syn pana Dupin a pasierb pani, był mniej więcej w jej i moim wieku. Był to człowiek rozumny, przystojny, mógł mieć pretensje do powodzenia; powiadano, że miał je wobec macochy, jedynie może na tej podstawie, iż dała mu za żonę osobę bardzo brzydką, bardzo łagodną i że żyła bardzo dobrze z obojgiem. Pan de Francueil lubił i pielęgnował sztuki. Muzyka, na której znał się bardzo dobrze, posłużyła za łącznik między nami. Odwiedzałem go często i przywiązałem się doń. Nagle dał mi do zrozumienia, że wizyty moje wydają się pani Dupin zbyt częste i że prosi, abym ich zaniechał. Taka prośba mogła być na miejscu wówczas, kiedy zwracała mi list, ale w osiem lub dziesięć dni później, bez żadnej nowej przyczyny, wydała mi się nieuzasadniona. To stwarzało pozycję tym osobliwszą, iż państwo de Francueil nadal przyjmowali mnie życzliwie. Uczęszczałem tam wszelako rzadziej i byłbym zupełnie zaprzestał odwiedzin, gdyby, nowym nieprzewidzianym kaprysem, pani Dupin nie poprosiła mnie, abym na osiem lub dziesięć dni zaopiekował się jej synem, który zmieniając nauczyciela, zostawał sam na ten przeciąg czasu. Spędziłem ten tydzień wśród męczarni, którą jedynie przyjemność, iż jestem posłuszny pani Dupin, mogła uczynić znośną; biedny bowiem chłopiec zdradzał już wówczas ów niemożliwy charakter, który omal nie okrył hańbą całej rodziny i który przyprawił go o śmierć na wyspie Bourbon. Przez czas mej opieki zdołałem zapobiec, aby nie zrobił nic złego sobie ani drugim, oto wszystko; a i to nie był trud bynajmniej mały i nie byłbym się go podjął na dalszy tydzień, gdyby nawet pani Dupin ofiarowała mi samą siebie jako nagrodę.

Pan de Francueil nabierał do mnie coraz więcej przyjaźni, pracowaliśmy razem: zaczęliśmy wspólnie kurs chemii u Rouelle'a[445]. Aby być bliżej, opuściłem swój hotelik i umieściłem się przy ulicy Verdelet, wychodzącej na ulicę Plâtrière, gdzie mieszkał pan Dupin. Tam, w następstwie zaniedbanego przeziębienia, nabawiłem się zapalenia płuc, z którego omal nie umarłem. Często miewałem w młodości takie choroby zapalne, pleurezje, a zwłaszcza anginy, którym byłem bardzo podległy; w czasie tych chorób spojrzałem w oczy śmierci dość blisko, aby oswoić się z jej obrazem. W ciągu rekonwalescencji miałem czas zastanowić się nad mym stanem i ubolewać nad nieśmiałością, słabością, niedołęstwem, które mimo ognia trawiącego mnie wewnątrz, kazały mi gnuśnieć w bezczynności ducha i wciąż u wrót nędzy. W wilię[446] dnia, w którym zasłabłem, byłem w te-

[442]*ksiądz de Saint-Pierre*, [właśc. *Charles-Irénée Castel*] (1658–1743) — pisarz z zakresu ekonomii politycznej i filozofii. [przypis tłumacza]

[443]*Bernis*, [*François-Joachim de Pierre de*] (1715–1794) — zawdzięczał swoją karierę kościelną, w której doszedł do najwyższych godności, głównie lekkim wierszykom i poparciu pani de Pompadour. [przypis tłumacza]

[444]*Buffon*, [*Georges-Louis Leclerc de*] (1707–1788) — słynny naturalista i jeden z najświetniejszych pisarzy francuskich. [przypis tłumacza]

[445]*Rouelle, Guillaume François* (1703–1770) — francuski chemik i aptekarz; w 1738 rozpoczął nauczanie publiczne w swoim laboratorium, jego uczniami byli m.in. Diderot i Lavoisier. [przypis edytorski]

[446]*wilia* (daw.) a. *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; *w wilię*: w przeddzień. [przypis edytorski]

atrze na operze Royera[447], którą dawano wówczas: tytułu zapomniałem. Mimo mego uprzedzenia na korzyść cudzych talentów, które zawsze budziło we mnie nieufność do własnych, muzyka ta wydała mi się słaba, bez zapału, bez inwencji. Ośmielałem się niekiedy mówić sobie: „Zdaje mi się, że umiałbym zrobić coś lepszego". Ale straszliwe pojęcie, jakie miałem o napisaniu opery, oraz waga, jaką słyszałem, iż ludzie fachowi przykładają do tego przedsięwzięcia, odstręczały mnie w tej samej chwili i kazały rumienić się, iż śmiałem o tym pomyśleć. Zresztą, gdzie znaleźć kogoś, kto by mi dostarczył libretta i zadał sobie trud przykrojenia go wedle mej potrzeby? Te myśli o muzyce i o operze opadły mnie znowu w czasie choroby: w gorączce tworzyłem melodie, duety, chóry. Jestem pewien, że ułożyłem jakieś parę ustępów *di prima intenzione*[448], godnych może podziwu mistrzów, gdyby mogli je usłyszeć. O, gdyby można notować marzenia gorączkującego, jakież wielkie i wspaniałe rzeczy wyłoniłyby się niekiedy z jego majaczeń!

To opętanie muzyką i operą zaprzątało mnie jeszcze podczas rekonwalescencji, ale spokojniej. Wreszcie, siłą wmyślenia się w przedmiot, prawie mimo woli, zapragnąłem mieć wobec siebie czyste sumienie i postanowiłem sam jeden skomponować operę: słowa i muzykę. Nie była to ze wszystkim moja pierwsza próba. Jeszcze w Chambéry ułożyłem był opero-tragedię, zatytułowaną *Iphis i Anaxareta*, byłem jednak na tyle rozsądny, iż rzuciłem ją w ogień. W Lyonie napisałem znowuż operę, zatytułowaną *Odkrycie nowego świata*; odczytawszy ją panu Bordes, księdzu de Mably, księdzu Trublet i innym, zrobiłem z niej w końcu taki sam użytek, mimo że miałem już muzykę do prologu i pierwszego aktu i że Dawid, słysząc tę muzykę, powiedział mi, iż są tam ustępy godne Buononciniego[449].

Tym razem, nim wziąłem się do pracy, zostawiłem sobie czas na gruntowne przemyślenie planu. Projektowałem, w ramach heroicznego baletu, trzy odrębne tematy w trzech oderwanych aktach, każdy w odmiennym charakterze; biorąc za przedmiot każdego aktu miłość jakiegoś poety, zatytułowałem tę operę *Tkliwe Muzy*[450]. Pierwszy akt, w tonie poważnej muzyki, miał za przedmiot Tassa[451]; drugi, w rodzaju lirycznym, Owidiusza[452]; trzeci, zatytułowany *Anakreon*[453], miał oddychać wesołością dytyrambu[454]. Wziąłem się najpierw do pierwszego aktu; oddałem się mu z zapałem, który pierwszy raz dał mi odczuć rozkosze gorączki tworzenia. Jednego wieczora, wchodząc już niemal do Opery, uczułem się nagle opętany, ogarnięty swymi pomysłami. Wkładam z powrotem pieniądze do kieszeni, spieszę zamknąć się w domu, kładę się do łóżka, zasunąwszy szczelnie firanki, aby światło dziennie nie dochodziło; i tam, oddając się cały dziełu poetyckiemu i muzycznemu zarazem, ułożyłem szybko, w siedem czy osiem godzin, najlepszą część aktu. Mogę powiedzieć, iż miłość moja dla księżnej Ferrary[455] (na tę chwilę bowiem byłem Tassem) oraz szlachetne i dumne uczucia wobec jej niesprawiedliwego brata dały mi noc sto razy rozkoszniejszą, niż gdybym ją spędził w istocie w ramionach samej księżniczki. Rano została mi w głowie jedynie drobna cząstka tego, co stworzyłem; ale i ta resztka, niemal zatarta znużeniem i snem, zdradzała jeszcze siłę utworu, którego stanowiła szczątki.

Na ten raz niedaleko posunąłem tę pracę, jako iż oderwały mnie od niej niebawem inne sprawy. Podczas gdy ja zasiadywałem się w domu państwa Dupin, pani de Beuze-

[447] *Royer, Joseph-Nicolas-Pancrace* (1705–1755) — francuski kompozytor i klawesynista. [przypis edytorski]

[448] *di prima intenzione* (wł.) — od razu, na gorąco (zrobione). [przypis edytorski]

[449] *Buononcini*, popr. *Bononcini, Giovanni Battista* (1670–1747) — włoski kompozytor epoki baroku; kapelmistrz w Bolonii, następnie Mediolanie, Rzymie, Wiedniu, Berlinie i Londynie, gdzie konkurował z Händlem. [przypis edytorski]

[450] *Tkliwe Muzy* — fr. *Les Muses galantes*, co przypomina tytuł opery baletowej Ramenau *Les Indes galantes* (1735), opowiadającej o Amorze, bogu miłości, który z Europy, gdzie młodych wzywa pod swe sztandary bogini wojny Bellona, udaje się na inne lądy, odwiedzając m.in. Amerykę (tj. Indie Zachodnie). [przypis edytorski]

[451] *Tasso, Torquato* (1544–1595) — włoski poeta renesansowy, autor sławnego eposu rycerskiego *Jerozolima wyzwolona*. [przypis edytorski]

[452] *Owidiusz*, właśc. *Publius Ovidius Naso* (43 p.n.e. – 17 lub 18 n.e.) — jeden z największych poetów rzymskich, znany głownie z utworów o tematyce miłosnej, np. *Ars amatoria* (Sztuka kochania) i poematu epickiego *Metamorfozy* (Przemiany). [przypis edytorski]

[453] *Anakreon* — Anakreont z Teos (ok. 570 – ok. 485 p.n.e.), grecki poeta, autor sławiących uroki życia pieśni biesiadnych i miłosnych. [przypis edytorski]

[454] *dytyramb* (lit.) — w staroż. Grecji pieśń pochwalna ku czci boga wina Dionizosa, śpiewana przez chór przy akompaniamencie fletu, w połączeniu z tańcami; współcześnie: podniosły, patetyczny utwór pochwalny. [przypis edytorski]

[455] *księżna Ferrary* — *Eleonora* a. *Leonora d'Este* (1537–1581), znana jako ukochana poety Torquata Tassa. [przypis edytorski]

nval i pani de Broglie, którą odwiedzałem niekiedy, nie zapomniały o mnie. Hrabiego de Montaigu, kapitana gwardii, zamianowano świeżo ambasadorem w Wenecji. Był to ambasador z ramienia Barjaca[456], któremu nadskakiwał bardzo pilnie. Brat jego, kawaler de Montaigu, szatny jego wysokości następcy tronu, żył dość blisko z tymi paniami, jak również z księdzem Alary[457], członkiem Akademii, którego też spotykałem niekiedy. Pani de Broglie, wiedząc, że ambasador szuka sekretarza, podsunęła mnie. Weszliśmy w pertraktacje. Żądałem pięćdziesiąt ludwików pensji, co jest bardzo niewiele na stanowisku wymagającym reprezentacji. On chciał mi dać tylko sto pistolów, żądając jeszcze, abym podróż odbył swoim kosztem. Propozycja była wprost śmieszna. Nie mogliśmy dojść do porozumienia. Pan de Francueil, który robił, co mógł, aby mnie zatrzymać, przeważył szalę. Zostałem; pan de Montaigu odjechał, zabierając innego sekretarza nazwiskiem Follau, którego mu polecono w ministerstwie spraw zagranicznych. Ledwie znaleźli się w Wenecji, pokłócili się. Follau, widząc, że ma do czynienia z pomyleńcem, opuścił go; za czym pan de Montaigu, mając przy sobie jedynie młodego księżyka nazwiskiem de Binis, piszącego za dyktandem sekretarza, ale niezdolnego zająć jego miejsca, zwrócił się znowuż do mnie. Brat jego kawaler, bystry człowiek, zażył mnie tak skutecznie, dając do zrozumienia, iż z miejscem sekretarza wiążą się niejakie uboczne dochody, iż skłonił mnie do przyjęcia tysiąca franków. Otrzymałem dwadzieścia ludwików na podróż i wyjechałem.

(1743–1744). Ruszając z Lyonu, chciałem skierować się przez Mont-Cenis, aby odwiedzić w przejeździe biedną mamusię; ale ostatecznie puściłem się Rodanem i wsiadłem na statek w Tulonie, tak z powodu wojny[458] i z przyczyn oszczędności, jak dlatego, aby wziąść paszport od pana de Mirepoix, rządzącego wówczas w Prowancji, do którego miałem polecenie. Pan de Montaigu, nie mogąc się obejść beze mnie, słał list za listem, aby przyspieszyć podróż. Pewien wypadek opóźnił ją.

Był to czas zarazy w Messynie. Flota angielska wylądowała tam i zrewidowała statek, na którym się znajdowałem. To sprowadziło na nas, skorośmy po długiej i uciążliwej przeprawie przybyli do Genui, trzytygodniową kwarantannę. Zostawiono do wyboru podróżnym, czy chcą ją odbyć na statku, czy w lazarecie[459]; uprzedzono nas, iż znajdziemy tam tylko cztery gołe ściany, ponieważ nie było jeszcze czasu na umeblowanie. Wszyscy wybrali statek. Nieznośne gorąco, ciasność przestrzeni, brak ruchu, robactwo, wszystko to sprawiło, że na wszelkie ryzyko wybrałem lazaret. Zaprowadzono mnie do wielkiego dwupiętrowego budynku, zupełnie pustego; nie znalazłem tam ani okna, ani stołu, ani łóżka, ani krzesła, ani nawet zydla, aby usiąść, ani wiązki słomy, aby się położyć. Przyniesiono mi płaszcz, worek podróżny, dwie walizki; zamknięto za mną duże drzwi o potężnych zamkach. Zostałem sam, ze swobodą przechadzania się z pokoju do pokoju i z piętra na piętro, wszędzie zastając tę samą samotność i to samo ogołocenie.

Mimo to nie żałowałem, iż wybrałem raczej lazaret niż statek; jak nowy Robinson zacząłem się urządzać na swoje trzy tygodnie niby na całe życie. Najpierw miałem rozrywkę polowania na pchły, których nabawiłem się na statku. Kiedy dzięki gruntownej zmianie bielizny i odzieży zdołałem się wreszcie oczyścić, wziąłem się do meblowania pokoju, który obrałem za kwaterę. Sporządziłem wygodny materac z kubraków i koszul, prześcieradło z kilku serwet, które zeszyłem razem, kołdrę ze szlafroka, poduszkę ze zwiniętego płaszcza. Zrobiłem siedzisko z walizki ułożonej na płask, stół z drugiej, ustawionej na wysokość. Wydobyłem papier, przybory do pisania, ułożyłem w formie biblioteki kilkanaście książek, które miałem ze sobą. Słowem, urządziłem się tak dobrze, że poza brakiem firanek i okien, było mi w tym zupełnie nagim lazarecie niemal tak wygodnie jak w mieszkaniu przy ulicy Verdelet. Posiłek podawano mi z wielkim ceremoniałem; dwóch grenadierów z najeżonymi bagnetami eskortowało go za każdym razem; schody były mą jadalnią, podłoga służyła za stół, stopień poniżej za siedzenie. Kiedy przyniesiono

[456] *Barjac* — lokaj kardynała de Fleury, ministra. [przypis tłumacza]

[457] *Alary, Pierre-Joseph* (1689–1770) — francuski duchowny i pisarz, członek Akademii Francuskiej (1723), jeden z nauczycieli małoletniego Ludwika XV. [przypis edytorski]

[458] *z powodu wojny* — toczonej wówczas wojny o sukcesję austriacką (1740–1748), wywołanej objęciem tronu Austrii po śmierci Karola VI przez kobietę, Marię Teresę, i nieuznawaniem tego następstwa przez Prusy; w konflikt zaangażowała się większość mocarstw; Francja i Hiszpania walczyły po stronie Prus, zaś Wielka Brytania i królestwo Sardynii, obejmujące Sabaudię, po stronie Austrii. [przypis edytorski]

[459] *lazaret* (daw.) — miejsce kwarantanny lub odosobnienia chorych zakaźnie, zwłaszcza dla trędowatych; później także: szpital polowy. [przypis edytorski]

obiad, wzywano mnie dzwonkiem, bym zasiadał do stołu. Między posiłkami, kiedy nie czytałem ani nie pisałem lub też nie pracowałem koło umeblowania, przechadzałem się po cmentarzu protestanckim, który mi służył za dziedziniec, lub też wchodziłem na latarnię wznoszącą się nad portem, skąd mogłem widzieć wpływające i odpływające statki. Przebyłem w ten sposób dwa tygodnie i byłbym przebył całe trzy, nie nudząc się ani chwili, gdyby pan de Jonville, poseł francuski, któremu przesłałem list obmyty w occie, okadzony i wpół spalony, nie skrócił o tydzień mego pobytu. Spędziłem ten tydzień u niego i wyznaję, łóżko w jego domu lepiej mi smakowało niż legowisko w lazarecie. Przyjął mnie bardzo serdecznie. Dupont, sekretarz jego, bardzo poczciwy chłopiec, wprowadził mnie, tak w Genui jak w okolicy, do kilku domów, gdzie można się było rozerwać; nawiązałem z nim znajomość i korespondencję, którą podtrzymywaliśmy bardzo długo. Ciągnąłem dalej przyjemnie mą drogę przez równinę Lombardii. Ujrzałem Mediolan, Weronę, Brescję, Padwę i dotarłem w końcu do Wenecji, niecierpliwie oczekiwany przez pana ambasadora.

Zastałem stertę depesz, tak ze dworu, jak z innych ambasad; pan de Montaigu nie umiał ich odczytać, o ile były szyfrowane, mimo iż posiadał kompletny klucz po temu. Nie pracowałem nigdy w żadnej kancelarii ani też nie widziałem nigdy szyfrowanej depeszy; lękałem się zrazu, że napotkam trudności; ale przekonałem się, iż nie ma nic prostszego pod słońcem: w niespełna tydzień odcyfrowałem wszystko. Rzecz zaiste nie była warta i tego trudu, pominąwszy bowiem, iż ambasada wenecka zazwyczaj jest dość bezczynna, z pewnością nie takiemu człowiekowi powierzono by bodaj najmniejszą negocjację. Aż do mego przybycia ambasador był w wielkim kłopocie, nie umiejąc ani dyktować, ani pisać czytelnie. Byłem mu bardzo użyteczny; czuł to i obchodził się ze mną nader względnie. Inna jeszcze pobudka skłaniała go do tego. Od czasu pana de Froulay, jego poprzednika, który uległ pomieszaniu zmysłów, konsul francuski nazwiskiem Blond objął agendy ambasady i po przybyciu pana Montaigu prowadził je dalej, póki ambasador nie obznajmi się z ich tokiem. Pan de Montaigu, zazdrosny o to, iż kto inny pełni jego funkcje, mimo iż sam był do nich niezdolny, powziął ansę[460] do konsula; jakoż natychmiast po mym przybyciu odjął mu funkcje sekretarza ambasady, aby poruczyć je mnie. Były one nieodłączne od tytułu; polecił mi go używać. Jak długo byłem w ambasadzie, zawsze posyłał jedynie mnie w tym charakterze do senatu i do referentów. W gruncie rzeczy było rzeczą bardzo naturalną, iż woli mieć za sekretarza ambasady człowieka ze swego ramienia niż konsula albo też urzędnika ministerstwa z ramienia dworu.

Okoliczność ta uczyniła mą pozycję dość przyjemną i nie pozwoliła dworzanom ambasadora, wyłącznie Włochom, jak również paziom i reszcie domowników zaprzeczać mi pierwszych praw w domu. Posłużyłem się z powodzeniem powagą, jaka była do nich przywiązana, aby podtrzymać przywilej „listy", to znaczy niepodległość kwatery ambasadora, wbrew usiłowaniom, jakie czyniono nieraz, aby prawo to naruszyć, przeciw czemu weneccy funkcjonariusze ambasady nie umieli walczyć. Ale nie ścierpiałem też nigdy, aby kwatera ta służyła za schronienie bandytom, mimo że mogły stąd spłynąć na mnie korzyści, których cząstką jego ekscelencja nie byłby z pewnością pogardził.

Ambasador ośmielił się nawet domagać udziału w dochodach sekretariatu, tzw. „kancelaryjnym". Był to czas wojny; mimo to ekspediowało się sporo paszportów. Od każdego paszportu opłacało się cekina[461] sekretarzowi, który ekspediował je i podpisywał. Wszyscy moi poprzednicy kazali sobie płacić tego cekina bez różnicy, tak Francuzom jak cudzoziemcom. Zwyczaj ten wydał mi się niesłuszny; toteż mimo że nie byłem Francuzem, poniechałem go na korzyść Francuzów; ale strzegłem tak ściśle swoich praw we wszystkich innych okolicznościach, iż, kiedy margrabia de Scotti, brat faworyta królowej Hiszpanii, zażądał paszportu, nie posławszy cekina, upomniałem się o należność; mściwy Włoch nie zapomniał mi nigdy tej śmiałości. Z chwilą gdy rozeszła się wieść o reformie, jaką uczyniłem w opłacie paszportowej, zaczęła się po nie zgłaszać ciżba samych rzekomych Francuzów, którzy, w ohydnych żargonach, głosili się jeden Prowansalczykiem, drugi mieszkańcem Pikardii, inny Burgundii. Ponieważ ucho mam dosyć bystre, nie dałem się omamić i wątpię, aby bodaj jeden Włoch uszczknął mego cekina, a bodaj jeden

[460] *ansa* — uraza. [przypis edytorski]

[461] *cekin* — tu: dawna złota moneta włoska, bita od XIII w. w Wenecji, nazywana później dukatem. [przypis edytorski]

Francuz go zapłacił. Byłem na tyle niemądry, że powiedziałem panu de Montaigu, który nie wiedział o niczym, o mym zarządzeniu. To słowo „cekin" sprawiło, że otworzył uszy; nie wyrażając swego zdania co do skasowania cekina Francuzów, zażądał, abym się z nim porozumiał co do podziału opłat, które ściągałem, przyrzekając ze swej strony równoznaczne korzyści. Więcej oburzony podłością ambasadora niż zamachem na me dochody, odrzuciłem wręcz propozycję. Ambasador nalegał, wzburzyłem się: „Nie, panie hrabio — odparłem — niech Wasza Ekscelencja zachowa to, co jest jej, a zostawi mnie, co moje; nie ustąpię ani szeląga". Widząc, że nie zyska nic na tej drodze, obrał inną: nie wstydził się oświadczyć mi, iż skoro czerpię zyski z kancelarii, słuszne jest, abym ponosił jej koszta. Nie chciałem wszczynać sprzeczki na tym punkcie; od tego czasu dostarczałem z moich pieniędzy inkaustu[462], papieru, wosku, świec, pieczęci nawet, którą kazałem przerobić, nie otrzymawszy nigdy ani grosza zwrotu. Nie przeszkodziło mi to dopuścić do mego udziału w dochodach z paszportów księdza de Binis, dobrego chłopaka; ani mu w głowie było spodziewać się podobnej gratki. O ile on był mi życzliwy, ja, nawzajem, wychodziłem z nim nie mniej przyzwoicie i zawsze żyliśmy z sobą jak najlepiej.

Zapoznawszy się z robotą, znalazłem[463] ją mniej uciążliwą niż obawiałem się, że będzie dla człowieka bez doświadczenia, przy boku ambasadora, który nie miał go również i którego ignorancja i upór pętały na domiar, jakby z umysłu[464], wszystko, co zdrowy rozsądek i nieco wiedzy kazały mi podjąć dla służby jego i króla. Najrozsądniejszym, co uczynił, było, iż zbliżył się z margrabią de Mari, ambasadorem hiszpańskim, zręcznym i bystrym człowiekiem, który byłby go poprowadził za nos, gdyby chciał, ale który, zważywszy wspólność interesów obu rządów, radził mu zazwyczaj dość dobrze. Niestety pan de Montaigu unicestwiał jego rady, wkładając zawsze coś własnego w wykonanie. Jedyną rzeczą, która była ich wspólnym zadaniem, było zachęcić Wenecjan do zachowania neutralności. Ci nie szczędzili zapewnień wiary, dostarczając równocześnie publicznie wojskom austriackim zapasów, a nawet rekruta pod pozorem dezercji. Pan de Montaigu, który, jak sądzę, pragnął sobie pozyskać łaski Republiki[465], nakazywał mi również, mimo mych przedstawień, zapewniać we wszystkich depeszach rząd francuski, że Wenecja nigdy nie naruszy neutralności. Upór i tępota biednego człowieka sprawiały, iż przychodziło mi co chwilę pisać i robić szaleństwa, których zmuszony byłem być narzędziem, skoro przełożony tego żądał, ale które czyniły mi nieraz stanowisko moje nieznośnym, a nawet niewykonalnym. Żądał na przykład, aby przeważna[466] część depesz do króla i do ministra była szyfrowana, mimo że nie zawierały bezwarunkowo nic, co by wymagało tej ostrożności. Przedstawiałem, że od piątku, dnia, w którym przybywały depesze ze dworu, do soboty, w którą odchodziły nasze, nie było dość czasu, aby wyszyfrować tyle materiału, wobec rozleglej korespondencji, którą musiałem oddać temuż kurierowi. Ambasador znalazł znakomitą radę: a mianowicie, aby już od czwartku gotować odpowiedź na depesze, które miały przyjść nazajutrz, w piątek. Myśl ta wydała mu się nawet tak szczęśliwa, mimo że wszelkimi sposobami starałem się wykazać niemożliwość, niedorzeczność jej wykonania, iż trzeba mi było się poddać. Przez cały czas, który pozostawałem w służbie pana de Montaigu, na podstawie zanotowanych kilku słów, jakie mi rzucał mimochodem w ciągu tygodnia i kilku pospolitych nowin zebranych tu i ówdzie, uzbrojony wyłącznie w te materiały, musiałem stale we czwartek rano przynosić mu brulion depesz, które miały odejść w sobotę. Czyniłem jedynie parę dodatków i poprawek wedle depesz, które przychodziły w piątek, a którym nasze miały służyć za odpowiedź. Ambasador miał jeszcze jeden narów[467] bardzo pocieszny, który czynił jego korespondencję śmieszną nad wszelki wyraz: mianowicie odsyłał każdą nowinę do jej źródła, zamiast puszczać ją w obieg w odpowiednim kierunku. Udzielał panu Amelot[468] nowin ze dworu, panu de Maurepas[469] z Paryża, panu d'Havrincourt ze Szwecji, panu de La Chetardie z Petersburga, niekie-

Urzędnik

Urzędnik

[462] *inkaust* (daw.) — atrament. [przypis edytorski]
[463] *znaleźć coś jakimś* (daw.) — uznać coś za jakieś; ocenić jako. [przypis edytorski]
[464] *z umysłu* (daw.) — rozmyślnie, specjalnie. [przypis edytorski]
[465] *łaski Republiki* — chodzi o Republikę Wenecką. [przypis edytorski]
[466] *przeważny* — dziś: przeważający; stanowiący większość. [przypis edytorski]
[467] *narów* (tu daw.) — zły nawyk. [przypis edytorski]
[468] *Amelot de Chaillon* (1689–1749) — wówczas minister spraw zagranicznych. [przypis tłumacza]
[469] *de Maurepas hrabia*, [właśc. *Jean-Frédéric Phélypeaux*] (1701–1781) — minister za Ludwika XV i XVI. [przypis tłumacza]

dy wręcz każdemu tych samych, które otrzymał od niego, przystrojonych przeze mnie w nieco odmienne zwroty. Ponieważ z aktów, które przynosiłem do podpisu, przeglądał jedynie depesze do dworu, inne zaś podpisywał bez czytania, dawało mi to możność redagowania tych innych wedle mego pojęcia, przy czym starałem się bodaj wymieniać wiadomości. Niepodobna mi było natomiast nadać jakiś dorzeczniejszy charakter depeszom głównym. Szczęście jeszcze, kiedy ekscelencji nie przyszła ochota naszpikować je na poczekaniu dodatkami swego chowu; wówczas zmuszony byłem przepisywać na gwałt depeszę ozdobioną nowym bzdurstwem, które na wyraźne żądanie ambasadora musiało być bezwarunkowo zamieszczone w szyfrach, inaczej nie chciałby podpisać. Po dwadzieścia razy dla dobra jego reputacji miałem pokusę wyszyfrować co innego, niż mi polecił; ale czując, że nic nie może usprawiedliwić podobnej niewierności, pozwalałem mu bredzić na swoje ryzyko, zadowalając się tym, iż wyrażałem szczerze moje zdanie o tym i wypełniałem jak mogłem najlepiej resztę obowiązków.

Czyniłem to zawsze z uczciwością, zapałem i odwagą, które zasługiwały na inną nagrodę niż ta, którą otrzymałem w końcu. Był czas, abym raz stał się tym, czym uczyniły mnie: niebo, obdarzywszy mnie szczęśliwymi darami natury, wychowanie otrzymane od najlepszej z kobiet, jak również to, które zdobyłem własnym wysiłkiem. Tak się też stało. Zdany samemu sobie, bez przyjaciela, bez rady, bez doświadczenia, w obcym kraju, w służbach obcego narodu, wśród zgrai łotrzyków, którzy dla własnej korzyści i chcąc usunąć niebezpieczeństwo dobrego przykładu, zachęcali mnie, bym ich naśladował, daleki od dania im ucha, służyłem dobrze, o ile było w mej mocy, Francji, której nie byłem powinien nic, i lepiej jeszcze ambasadorowi, jak było mym obowiązkiem. Wytrwawszy nieskazitelnie na dość odpowiedzialnym posterunku, zasłużyłem i zdobyłem sobie szacunek Rzeczypospolitej, wszystkich ambasadorów, z którymi byliśmy w styczności, i sympatię Francuzów zamieszkałych w Wenecji, nie wyjmując samego nawet konsula, którego z żalem wyrugowałem z funkcji należnych jemu z prawa, a mnie przynoszących więcej kłopotu niż przyjemności.

Pan de Montaigu, oddany bez zastrzeżeń margrabiemu de Mari, który nie wchodził w szczegóły jego obowiązków, zaniedbywał się do tego stopnia, iż gdyby nie ja, zamieszkali w Wenecji Francuzi nie spostrzegliby, że istnieje tam w ogóle jakiś ich ambasador. Zawsze wystrychnięci na dudków, nie wysłuchani nawet jak należy, ilekroć potrzebowali poparcia ambasady, zrazili się; nie widywało się nikogo ani w orszaku ambasadora, ni przy jego stole, do którego nie zapraszał nigdy. Często z własnej inicjatywy czyniłem to, co on powinien był czynić; oddawałem Francuzom, którzy zwrócili się do ambasadora lub do mnie, wszelkie usługi, jakie były w mej mocy. W każdym innym kraju byłbym robił więcej, ale tu, nie mogąc widywać żadnych wpływowych figur z przyczyny mego stanowiska, zniewolony byłem uciekać się często do konsula; konsul zaś, zżyty z tym krajem, z którego pochodziła jego rodzina, musiał przestrzegać wielu względów, bronących mu czynić to, co by pragnął. Niekiedy wszelako, widząc, że konsul mięknie i nie śmie wystąpić, ważyłem się na ryzykowne kroki, które nieraz mi się powiodły. Przypominam sobie jedną przygodę, której wspomnienie pobudza mnie jeszcze do śmiechu. Nikt by nie przypuszczał, że mnie to miłośnicy teatru w Paryżu mieli do zawdzięczenia Koralinę i siostrę jej Kamillę[470]; jest to wszelako najszczersza prawda. Veronese, ich ojciec, zgodził się wraz z córkami do trupy włoskiej; otrzymawszy dwa tysiące franków na podróż, zamiast odjechać wstąpił najspokojniej w Wenecji do teatru św. Łukasza, gdzie Koralina, mimo że jeszcze prawie dziecko, ściągała liczną publiczność. Książę de Gesvres jako pierwszy ochmistrz dworu napisał do ambasady, domagając się ojca i córki. Pan de Montaigu, oddając mi list, rzekł za całą wskazówkę: „Rozpatrz pan to". Udałem się do pana Le Blond, prosząc, aby pomówił z przedsiębiorcą i właścicielem teatru św. Łukasza (zwał się, o ile się nie mylę, Zustiniani) i zażądał odesłania Veronese, który zgodził się w służby króla. Le Blond, któremu ta sprawa nie bardzo przypadła do smaku, załatwił ją niedbale. Zustiniani zaczął kręcić i ostatecznie nie odesłał Veronese. To mnie oburzyło.

[470] *Koralina i siostra jej Kamilla (Veronese)* — Maria Anna oraz Giacoma Antonia Veronese, córki włoskiego aktora Carlo Veronese, które zdobyły rozgłos w Paryżu (od 1744), doskonale grając sprytne pokojówki w wystawianych przez teatr Comédie-Italienne komediach *dell'arte*; od swych typowych ról znane jako Koralina i Kamilla. [przypis edytorski]

Był to czas karnawału; wziąwszy domino[471] i maskę, kazałem się zaprowadzić do pałacu Zustinianich. Obecni, widząc zajeżdżającą gondolę o barwach ambasadora, zdumieli się[472]; Wenecja nie oglądała jeszcze podobnej rzeczy. Wchodzę, każę się oznajmić pod mianem *una siora maschera*[473]. Skoro mnie wprowadzono, natychmiast zdejmuję maskę i mówię, kim jestem. Senator zbladł i stał jak wryty. „Panie — rzekłem w narzeczu weneckim — z przykrością przychodzi mi niepokoić Waszą Ekscelencję swoją wizytą, ale posiadasz pan w teatrze człowieka imieniem Veronese, zgodzonego w służby mego króla; dotąd na próżno domagano się jego wydania. Otóż przychodzę go żądać w imieniu Jego Królewskiej Mości". Moje krótkie przemówienie wywarło skutek. Ledwie wyszedłem, senator pobiegł opowiedzieć całą przygodę inkwizytorom stanu[474], którzy zmyli mu głowę. Veronese zwolniono tego samego dnia. Poleciłem mu powiedzieć, iż jeżeli nie wyjedzie do tygodnia, każę go uwięzić, jakoż pojechał.

W innych okolicznościach wybawiłem z kłopotu kapitana kupieckiego okrętu, sam z siebie i prawie bez niczyjej pomocy. Nazywał się Olivet, był z Marsylii; zapomniałem nazwy statku. Załoga jego weszła w zatarg ze Sklawończykami[475] będącymi w służbach Republiki: doszło do czynnych gwałtów i okręt wzięto w areszt tak surowy, iż nikt z wyjątkiem samego kapitana nie mógł wstępować na statek ani wysiadać zeń bez pozwolenia. Kapitan odwołał się do ambasadora, który zbył go niczym; do konsula, który odpowiedział, że to nie jest sprawa handlowa i że nie może się mieszać. Nie wiedząc już, co począć, kapitan zwrócił się do mnie. Przedstawiłem panu de Montaigu, że powinien zezwolić, bym przedłożył senatowi memoriał w tej sprawie. Nie pamiętam już, czy się zgodził i czy przedłożyłem memoriał, ale przypominam sobie dobrze, że kroki moje nie doprowadziły do niczego i że wobec ciągle trwającego aresztu zdobyłem się na postanowienie uwieńczone pomyślnym skutkiem. Zamieściłem sprawozdanie z tego wydarzenia w depeszy do pana de Maurepas; miałem nawet dość trudu z tym, aby pan de Montaigu zgodził się przepuścić ten ustęp. Wiedziałem, iż depesze nasze, mimo że nie były warte tego trudu, otwierano w Wenecji. Miałem dowód tego w artykułach, które dosłownie powtarzały ich treść w gazecie; usiłowałem nawet na próżno skłonić ambasadora do wniesienia skargi o to nadużycie. Wspominając w depeszy o całym zajściu, miałem na celu wyzyskać tę ciekawość władz weneckich, aby im napędzić strachu i skłonić je do uwolnienia statku; gdyby bowiem trzeba było czekać odpowiedzi dworu, kapitan byłby zrujnowany, zanimby nadeszła. Uczyniłem więcej: udałem się na statek, aby przesłuchać załogę. Wziąłem ze sobą księdza Patizel, sekretarza konsulatu, który przybył bardzo niechętnie; tak wszyscy ci nieboracy obawiali się narazić senatowi. Nie mogąc wstąpić na pokład z przyczyny zakazu, zostałem w gondoli i spisałem tam protokół, wypytując głośno, po kolei, całą załogę i kierując pytania w taki sposób, aby wydobyć możliwie najkorzystniejsze odpowiedzi. Chciałem skłonić Patizela, aby sam prowadził śledztwo i spisał protokół, co w istocie bardziej należało do jego kompetencji niż do mojej. Nie chciał bezwarunkowo się zgodzić, nie odezwał się ani słowa i ledwie zechciał podpisać protokół po mnie. Ten krok, nieco zuchwały, miał wszelako szczęśliwy wynik: okręt uwolniono na długo przed odpowiedzią ministra. Kapitan chciał mi się odwdzięczyć podarkiem. Nie obrażając się, odpowiedziałem, klepiąc go po ramieniu: „Kapitanie Olivet, czy sądzisz, że ten, który nie pobiera od Francuzów należności za paszport, mimo iż zastał ten obyczaj, byłby zdolny sprzedawać im opiekę Króla?". Prosił, aby mógł przynajmniej wydać dla mnie na pokładzie obiad; przyjąłem, i przyprowadziłem z sobą sekretarza hiszpańskiej ambasady nazwiskiem Carrio, człowieka bystrego dowcipu i bardzo miłego towarzysza; był później sekretarzem ambasady w Paryżu. Za przykładem naszych ambasadorów żyliśmy z sobą bardzo blisko.

[471] *domino* — płaszcz maskaradowy z kapturem. [przypis edytorski]

[472] *Obecni, widząc zajeżdżającą gondolę o barwach ambasadora, zdumieli się* — obywatelom weneckim nie wolno było utrzymywać żadnych stosunków z cudzoziemskimi ambasadorami i ich dworem. [przypis tłumacza]

[473] *una siora maschera* (wł.) — zamaskowana pani (*siora* to skrócenie od *signora*); formułą „*buongiorno, siora maschera*" (dzień dobry, pani w masce) podczas karnawału tradycyjnie witano zamaskowaną osobę: przebranie z maską ukrywało tożsamość, płeć i klasę społeczną. [przypis edytorski]

[474] *stanu* (daw.) — państwo. [przypis edytorski]

[475] *Sklawończyk*, wł. *Schiavoni* (hist.) — zapożyczone z włoskiego określenie Słowianina z terenów nad płn. Adriatykiem, używane w okresie Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

Szczęśliwy byłbym, gdybym czyniąc najzupełniej bezinteresownie tyle dobrego, ile mogłem, umiał równocześnie baczyć tak pilnie na wszystkie drobiazgi, aby nie stać się nieraz ofiarą swej nieuwagi i nie służyć innym swoim kosztem! Ale na stanowisku, które zajmowałem, gdzie najmniejszy błąd nie jest bez znaczenia, wysilałem całą uwagę na to, aby w niczym nie zgrzeszyć przeciw służbowym przepisom. Wytrwałem aż do końca w największym porządku i dokładności we wszystkim, co tyczyło mych zasadniczych obowiązków. Pominąwszy parę omyłek, jakie wskutek nadmiernego pośpiechu popełniłem w szyfrowaniu depesz, na co uskarżyli się raz urzędnicy pana Amelot, ani ambasador, ani nikt nie mógł mi zarzucić najlżejszego zaniedbania: okoliczność godna uwagi dla człowieka tak niedbałego i roztrzepanego jak ja. Natomiast grzeszyłem często brakiem pamięci i starania w prywatnych sprawach, których się podejmowałem; miłość zaś sprawiedliwości kazała mi zawsze brać na siebie szkodę własnego zaniedbania, nim ktokolwiek zdążył się na nie użalić. Przytoczę tylko jeden rys, będący w związku z moim wyjazdem z Wenecji, a którego skutki odczułem następnie w Paryżu.

Kucharz nasz, nazwiskiem Rousselot, przywiózł z Francji stary oblig[476] na dwieście franków, który to oblig przyjaciel jego, z zawodu perukarz, otrzymał od szlachcica weneckiego, Zanetto Nani, jako pokrycie należności za dostawę peruk. Rousselot przyniósł mi ten papier, prosząc, abym starał się coś uzyskać w drodze ugody. Wiedziałem, i on wiedział także, że stałym zwyczajem szlachty weneckiej jest nie płacić nigdy, za powrotem do ojczyzny, długów, które zaciągnęli w cudzoziemskim kraju; jeśli kto chce zmusić ich do tego, póty nękają nieszczęśliwego wierzyciela zwłoką i kosztami, aż wreszcie zniechęci się i da wszystkiemu pokój lub ugodzi się niemal darmo. Prosiłem pana Le Blond, aby pomówił z Zanettem. Uznał oblig, ale nie objawił chęci zapłacenia. Po długiej walce przyrzekł wreszcie trzy cekiny. Kiedy Le Blond przyniósł mu oblig, trzech cekinów nie było pod ręką; trzeba było czekać. Podczas tej odwłoki zaszła moja sprzeczka i rozstanie z ambasadorem. Zostawiłem papiery w ambasadzie w największym porządku, ale obligu Rousselota nie było. Pan Le Blond upewniał, że mi go oddał. Nadto znałem jego uczciwość, aby wątpić o tym; ale niepodobna mi było przypomnieć sobie, co się stało z tym papierem. Ponieważ Zanetto uznał dług, prosiłem pana Le Blond, aby starał się zeń wydobyć trzy cekiny za pokwitowaniem lub też skłonił go do wystawienia duplikatu. Zanetto, wiedząc, iż oblig zaginął, nie chciał słyszeć o niczym. Ofiarowałem Rousselotowi trzy cekiny z własnej sakiewki jako umorzenie obligu. Odmówił i rzekł, iż trzeba mi się ułożyć w Paryżu z wierzycielem, którego podał mi adres. Perukarz, dowiedziawszy się, co się stało, żądał obligu lub całkowitej sumy. Czegóż nie byłbym dał w mym oburzeniu, aby znaleźć nieszczęsny papier! Zapłaciłem dwieście franków, i to w czasie największej nędzy. Oto w jaki sposób zagubienie obligu przyniosło wierzycielowi pokrycie całej sumy, podczas gdy o ile by nieszczęściem dla niego ów papier się odnalazł, z trudnością wydobyłby dziesięć talarów, przyrzeczonych przez jego ekscelencję Zanetto Nani.

Czując w sobie talent do sprawowania mego urzędu, wypełniałem go z przyjemnością; poza towarzystwem mego przyjaciela Carrio oraz zacnego Altuny, o którym pomówię niebawem, poza chwilami bardzo niewinnej rozrywki na placu św. Marka, w teatrze, i paru wizyt, które prawie zawsze składaliśmy razem, jedyną mą przyjemnością były moje obowiązki. Mimo iż praca nie była zbyt mozolna, zwłaszcza przy pomocy księdza de Binis, był to czas wojenny, korespondencja była nader rozległa i zajmowała sporo czasu. Pracowałem co dzień dobrą część ranka, a w dnie kurierów nieraz aż do północy. Resztę czasu poświęcałem studiom nad zawodem, który rozpoczynałem i w którym, na podstawie tak pomyślnych początków, spodziewałem się znaleźć korzystniejsze widoki w przyszłości. W istocie, był co do mej osoby jeden tylko głos, począwszy od ambasadora, który głośno wychwalał moje zasługi, nie żalił się na nie nigdy i którego cała późniejsza wściekłość wynikła jedynie z tego, iż nie otrzymawszy zadośćuczynienia na mą skargę, zażądałem wreszcie zwolnienia z obowiązków. Ambasadorowie i ministrowie, z którymi byliśmy w korespondencji, winszowali panu de Montaigu jego sekretarza w sposób, który powinien mu był pochlebiać, a który w tej pomylonej głowie wywarł wręcz przeciwny skutek. Objawiło się to zwłaszcza w pewnej zasadniczej okoliczności, której mi nigdy nie przebaczył. Okoliczność ta zasługuje, aby ją przytoczyć.

[476] *oblig* — pisemne uznanie długu. [przypis edytorski]

Pan de Montaigu tak mało zdolny był nakładać sobie jakieś więzy, iż nawet w sobotę, w dzień głównej ekspedycji kurierów, nie umiał doczekać z opuszczeniem kancelarii, aż praca będzie ukończona. Nękając mnie ciągle, abym co rychlej wyprawiał depesze do króla i ministrów, podpisywał je w pośpiechu, po czym biegł nie wiem gdzie, zostawiając większość innych listów bez podpisu. O ile chodziło jedynie o nowiny, mogłem ostatecznie przesyłać je w formie biuletynu, ale kiedy chodziło o sprawy tyczące urzędu, trzebaż było, aby ktoś podpisał, podpisywałem tedy. Tak uczyniłem z pewnym ważnym ostrzeżeniem, jakie otrzymaliśmy świeżo od pana Vincent, pełnomocnika królewskiego w Wiedniu. Było to w czasie, kiedy książę Lobkowitz ciągnął na Neapol, hrabia zaś de Gages dokonał owego pamiętnego odwrotu[477], który był najpiękniejszym manewrem wojennym całego wieku, a któremu Europa zbyt mało poświęciła uwagi. Wiadomość opiewała, iż pewien człowiek, którego pan Vincent przesyłał nam rysopis, opuścił Wiedeń i miał przejeżdżać przez Wenecję, spiesząc tajemnie do Abruzzów, aby za zbliżeniem się Austriaków wywołać tam powstanie. W nieobecności hrabiego de Montaigu, który nie interesował się niczym, przesłałem margrabiemu de l'Hôpital ostrzeżenie to tak w porę, iż może temu zohydzonemu Janowi Jakubowi zawdzięcza dom Burbonów zachowanie królestwa Neapolu.

Margrabia de l'Hôpital, dziękując jak należało swemu koledze, wspomniał o sekretarzu i o usłudze, jaką ten wyświadczył sprawie publicznej. Hrabia de Montaigu, który miał sobie do wyrzucenia zaniedbanie w tej mierze, dopatrzył się w tym powinszowaniu przytyku i dał mi to odczuć wyraźnym niezadowoleniem. Niedługo później zmuszony byłem postąpić wobec hrabiego de Castellane, ambasadora w Konstantynopolu, tak samo jak wobec pana de l'Hôpital, mimo iż w sprawie mniej ważnej. Ponieważ nie było do Konstantynopola innej poczty jak tylko kurierzy, których senat wysyłał od czasu do czasu do swego pełnomocnika, uwiadamiano o odjeździe tych kurierów ambasadora Francji, aby mógł napisać tą drogą do swego kolegi, o ile uważał za potrzebne. Uwiadomienie to przychodziło zazwyczaj dzień albo dwa wprzódy; ale tak mało liczono się z panem de Montaigu, iż zadowalano się posłaniem doń, dla formy, na godzinę lub dwie przed odejściem kuriera; co zmusiło mnie kilka razy do sporządzenia depeszy w nieobecności ambasadora. Pan de Castellane, odpowiadając, wspomniał o mnie w pochlebnych wyrazach; toż samo pan de Jonville w Genui; stąd nowe pretensje.

Wyznaję, iż nie uchylałem się, gdy nastręczyła się sposobność, aby dać się poznać, ale nie szukałem jej również zbyt skwapliwie. Zdawało mi się bardzo słuszne, abym służąc dobrze, dążył do naturalnej nagrody dobrej służby, to znaczy szacunku tych, którzy mogą ją ocenić i odpłacić. Nie wydaję sądu, czy moja gorliwość w wypełnianiu obowiązków była ze strony ambasadora usprawiedliwionym powodem do skargi, ale mogę śmiało powiedzieć, iż był to powód jedyny, jaki sformułował aż do dnia naszego rozstania.

Dom jego, którego nigdy nie umiał postawić na przyzwoitej stopie, napełniał się szumowinami. Dla Francuzów nie było tam miejsca. Włosi wodzili rej; a nawet spomiędzy nich dobrzy słudzy, przywiązani od dawna do ambasady, spotkali się wszyscy z niegodną odprawą; w ich liczbie pierwszy szambelan ambasady, który piastował tę godność jeszcze przy hrabi de Froulay, a zwał się, o ile pamiętam, hr. Peati lub podobnie. Drugim szambelanem, z wyboru pana de Montaigu, był bandyta z Mantui, Dominico Vitali, któremu ambasador powierzył pieczę o dom. Ten, za pomocą pochlebstwa i brudnego skąpstwa, uzyskał jego zaufanie i stał się faworytem, z wielką ujmą dla niewielu uczciwych ludzi pozostałych jeszcze w domu oraz sekretarza będącego na ich czele. Nieskazitelne oko uczciwego człowieka zawsze jest niepokojące dla hultajów. Była to wystarczająca racja, aby ten człowiek powziął do mnie nienawiść; ale nienawiść ta miała jeszcze inną przyczynę, która uczyniła go tym zajadlejszym. Godzi mi się zdradzić tę przyczynę, iżby mnie potępiono, jeśli zawiniłem.

Ambasador miał wedle zwyczaju lożę w każdym z pięciu teatrów. Codzienne przy obiedzie wymieniał teatr, do którego zamierza się udać; ja wybierałem po nim, szambe-

[477] *ważnym ostrzeżeniem, jakie otrzymaliśmy świeżo od pana Vincent (…) Było to w czasie, kiedy książę Lobkowitz ciągnął na Neapol, hrabia zaś de Gages dokonał owego pamiętnego odwrotu* — w zachowanej korespondencji dyplomatycznej list z Wenecji do Neapolu powołujący się na informacje od Vincenta z 26 października 1743 nosi datę 2 listopada 1743, natomiast ofensywa austriacka i strategiczny odwrót armii hiszpańsko-neapolitańskiej pod Velletri miały miejsce dopiero wiosną 1744. [przypis edytorski]

lani zaś rozrządzali resztą lóż. Wychodząc, brałem klucz od loży, którą wybrałem. Jednego dnia (Vitali był wówczas nieobecny), poleciłem lokajowi przydanemu do mej usługi, aby przyniósł klucz do znajomego domu, dokąd wybierałem się w odwiedziny. Vitali zamiast posłać klucz kazał powiedzieć po prostu, że nim rozporządził. Byłem tym bardziej oburzony, iż lokaj zdał sprawę ze zlecenia w obecności wszystkich. Wieczorem Vitali chciał mnie zbyć paru słowami usprawiedliwienia, którego nie przyjąłem: „Jutro — rzekłem — przyjdzie mi je pan przedłożyć o tej a o tej godzinie w domu, gdzie spotkał mnie afront, i wobec ludzi, którzy byli jego świadkami; lub też pojutrze, jak bądź się rzecz obróci, oświadczam, iż jeden z nas opuści ambasadę". Ten stanowczy ton zaimponował mu. Stawił się w oznaczonym czasie i miejscu, aby mnie publicznie przeprosić, z uniżonością godną siebie; ale poprzysiągł mi w duchu zemstę i składając mi niskie pokłony, pracował włoskim systemem tak skutecznie, iż, nie mogąc skłonić ambasadora do udzielenia mi dymisji, postawił mnie w konieczności zażądania jej samemu.

Nędznik tego pokroju nie należał z pewnością do ludzi zdolnych mnie poznać; ale znał mnie tyle, ile było trzeba dla jego zamysłów. Wiedział, że jestem dobry i do przesady łagodny w znoszeniu mimowolnej przewiny, dumny zaś i mało cierpliwy na obrazę wyrządzoną z rozmysłu. Wiedział, że lubię przyzwoitość i godność w rzeczach tyczących formy i że jestem nie mniej wymagający co do względów, które mi się należą, jak uważny w oddawaniu tych, które jestem winien innym. Postanowił mnie tedy zażyć z tej strony i w istocie zdołał mnie wyprowadzić z cierpliwości. Wprowadził w dom bezład nie do opisania; zniweczył wszelką regułę, subordynację, schludność, porządek, który siliłem się utrzymać. Dom bez kobiety wymaga dość surowej dyscypliny, jeśli się chce, aby w nim panowała skromność nieodłączna od godności. Vitali uczynił niebawem z ambasady miejsce swywoli i wyuzdania, schronienie dla opryszków i rozpustników. Jako drugiego szambelana, w miejsce tego, którego wysadził z posady, nastręczył jego ekscelencji rufiana[478] jak on sam, utrzymującego dom publiczny w Croix de Malte. Ci dwaj hultaje, zgadzający się doskonale z sobą, wnieśli w dom wyuzdanie równe ich bezczelności. Poza jedynym pokojem ambasadora (też dalekim od nieskazitelności), nie było w całym domu ani jednego kąta, w którym by pobyt znośny był dla przyzwoitego człowieka.

Ponieważ jego ekscelencja nie jadał wieczerzy w domu, urzędnicy ambasady wraz ze mną posiadali osobny stół, gdzie jadał również ksiądz de Binis i paziowie. W ostatniej garkuchni jest się przyzwoiciej, czyściej obsłużonym, na mniej brudnej bieliźnie[479], i lepiej dostaje się jeść. Dawano jedną jedyną świeczkę łojową, talerze cynowe, widelce żelazne. Mniejsza jeszcze o to, co się działo poufnie; ale odjęto mi gondolę; jedyny ze wszystkich sekretarzy ambasad musiałem najmować ją lub iść piechotą; również nie dawano mi asystencji o barwach ambasadora, kiedy udawałem się do senatu. Zresztą, nic z tego, co się działo wewnątrz, nie było tajemnicą dla miasta. Wszyscy urzędnicy ambasady podnosili głośny krzyk. Dominik, prawdziwa przyczyna tego wszystkiego, krzyczał najgłośniej, wiedząc dobrze, że obrzydliwy sposób, w jaki nas traktowano, jest mi dotkliwszy niżeli wszystkim innym. Jedyny z całego domu nie rozpowiadałem nic na zewnątrz, ale gorzko użalałem się ambasadorowi i na wszystko inne, i na niego samego, który sekretnie podjudzany przez swego złego ducha każdego dnia czynił mi jakiś nowy afront. Zmuszony wiele wydawać, aby żyć na równej stopie z kolegami i przyzwoicie podtrzymywać swoje stanowisko, nie mogłem wydrzeć ani szeląga z mych zasług; kiedy wspomniałem o pieniądzach, ambasador upewniał mnie o szacunku i zaufaniu, jak gdyby one mogły napełnić mą sakiewkę i starczyć za wszystko.

Dwaj bandyci opętali w końcu zupełnie głowę swego pana, z natury już nie nazbyt tęgą, i zrujnowali go w ustawicznych szacherkach, w których odgrywał rolę dudka, mniemając, iż to on wywodzi w pole innych. Kazali mu wynająć na Brenta pałac, za cenę dwa razy wyższą od wartości, sami dzieląc się nadwyżką z właścicielem. Apartamenty były inkrustowane mozaiką i ozdobione kolumnami i pilastrami z bardzo pięknego marmuru wedle tamecznej mody. Pan de Montaigu kazał wspaniale pokryć to wszystko obramieniem z sosnowego drzewa, dla tej jedynej racji, iż w Paryżu apartamenty bywają zazwyczaj wykładane drzewem. Dla podobnej przyczyny, sam jeden ze wszystkich ambasadorów

[478] *rufian* (daw.) — stręczyciel. [przypis edytorski]
[479] *bielizna* — tu daw.: nakrycie stołu, obrus. [przypis edytorski]

w Wenecji, odebrał szpady paziom, a laski lokajom. Oto jakim był człowiek, który, ciągle snadź z tych samych pobudek, powziął do mnie niechęć, jedynie dla tego, iż służyłem mu sumiennie. Znosiłem cierpliwie wzgardę, brutalność, złe obchodzenie, póki widziałem w tym kaprys a nie zdecydowaną nienawiść; ale z chwilą kiedym ujrzał wyraźny zamiar pozbawienia mnie względów, na jakie zasłużyłem moją dobrą służbą, postanowiłem wyrzec się wszystkiego.

Pierwsza oznaka złej woli ambasadora ujawniła się z okazji obiadu, jaki miał wydać dla księcia Modeny i jego rodziny, bawiących w Wenecji. Dano mi do zrozumienia, iż nie będzie dla mnie miejsca przy stole. Odparłem, dotknięty, bez gniewu wszelako, iż mam zaszczyt zasiadać u stołu codziennie; otóż, jeśli książę Modeny żąda, abym się nie pojawił w czasie jego obecności, jest rzeczą godności jego ekscelencji i mego obowiązku nie zgodzić się na to. „Jak to! — rzekł porywczo. — Mój sekretarz, który nawet nie jest szlachcicem, ma pretensję siadać do stołu z osobą panującą, podczas gdy szambelanowie ambasady wyłączeni są od tego?" — „Tak, panie — odparłem. — Stanowisko, jakim zaszczyciła mnie Jego Ekscelencja, wznosi mnie tak wysoko, iż póki je zajmuję, mam pierwszy krok nawet nad jego przyboczną szlachtą, prawdziwą lub rzekomą, i mam prawo być tam, gdzie oni tego prawa nie mają. Wiadomo Waszej Ekscelencji, iż w dniu, gdy ambasador występuje publicznie w charakterze urzędowym, powołany jestem przez etykietę i obyczaj sięgający niepamiętnych czasów, aby iść za nim w uroczystym stroju i obiadować wraz z nim w pałacu św. Marka. Otóż nie widzę, dlaczego człowiek, który może i powinien siadać publicznie do stołu z dożą i senatem weneckim, nie mógłby zasiąść prywatnie z księciem Modeny". Mimo że argument był nieodparty, ambasador nie poddał się; nie mieliśmy zresztą sposobności wznowienia dyskusji, ponieważ książę Modeny odwołał przybycie.

Od tego czasu pan de Montaigu nie ustawał w dokuczliwościach, szykanach, wysilaniu się, aby mi odjąć drobne przywileje związane z mym stanowiskiem i oddać je ukochanemu Vitali; jestem pewien, iż gdyby śmiał posłać go do senatu w moje miejsce, byłby to uczynił. Zazwyczaj listy prywatne dyktował w swoim gabinecie księdzu de Binis; otóż, użył jego ręki, aby zdać panu de Maurepas sprawę z zajścia z kapitanem Olivet. W relacji tej, nie czyniąc najmniejszej wzmianki o mnie, który jedyny się tą sprawą zająłem, odjął mi nawet zasługę sporządzenia protokółu i przypisał ją Patizelowi, mimo iż ten nie odezwał się ani słowa. Chciał mnie upokorzyć i sprawić przyjemność swemu faworytowi, ale nie miał zamiaru pozbywać się mnie. Czuł, że nie byłoby mu już tak łatwo znaleźć następcę dla mnie, jak dla pana Follau, który wyrobił mu już opinię. Trzeba mu było bezwarunkowo sekretarza, który by umiał po włosku, dla korespondencji z senatem; który by załatwiał wszystkie depesze, wszystkie sprawy, nie zaprzątając go niczym; który by z przymiotami dobrego urzędnika łączył tę nikczemność, aby się płaszczyć przed jego przybocznymi opryszkami. Chciał mnie tedy zatrzymać, a zarazem unicestwić mnie, trzymając z daleka od kraju, bez środków do powrotu. Byłoby mu się to może udało, gdyby się wziął do rzeczy umiarkowanie. Ale Vitali, który miał inne widoki, chciał mnie przywieść do ostateczności i osiągnął to. Z chwilą gdy spostrzegłem, że wszystkie moje trudy są stracone; że ambasador krzywo patrzy na moje usługi, zamiast wdzięczny być za nie; że nie mogę się już przy nim spodziewać niczego, oprócz przykrości w domu, niesprawiedliwości na zewnątrz, i że wobec jego fatalnej reputacji nieżyczliwość jego może mi szkodzić, życzliwość zaś nic mi nie pomoże, zdobyłem się na krok stanowczy. Zażądałem zwolnienia, zostawiając ambasadorowi czas na postaranie się o sekretarza. Nie mówiąc ani tak, ani nie, pan de Montaigu dalej trwał w swoim odnoszeniu się do mnie. Widząc, że nic się nie zmienia na lepsze i że ambasador nie troszczy się o szukanie następcy, napisałem do jego brata. Wyszczególniając pobudki, prosiłem, aby mi uzyskał u jego ekscelencji zwolnienie, dodając, iż tak czy owak, niepodobieństwem jest mi pozostać. Nie doczekałem się odpowiedzi. Położenie zaczynało być nader kłopotliwe; wreszcie ambasador otrzymał list od brata. Musiał być bardzo ostry; mimo bowiem, iż nieraz podlegał nader gwałtownym uniesieniom, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Wylawszy potoki ohydnych obelg, nie wiedząc, co wymyślić, oskarżył mnie, iż sprzedałem jego szyfrowany klucz. Zacząłem się śmiać i spytałem drwiącym tonem, czy sądzi, iż znalazłby się w Wenecji człowiek dość głupi, aby zapłacić za to bodaj talara. Ta odpowiedź przepełniła miarę jego wściekłości. Zrobił gest, jakby chciał wołać na ludzi, aby mnie, jak powiadał, wyrzucić przez okno. Aż

Kłótnia

dotąd byłem bardzo spokojny, ale po tej groźbie gniew i oburzenie przejęły mnie z kolei. Rzuciłem się ku drzwiom i zasunąwszy rygiel zamykający je od wewnątrz: „Nie, panie hrabio — rzekłem, idąc ku niemu poważnym krokiem — nie będziemy służby mieszali w tę sprawę. Pozwól pan, że ją załatwimy między nami". Głos mój, postawa, uspokoiły go w tejże chwili: zachowanie jego zdradzało zdziwienie i niepokój. Skoro ujrzałem, iż się opamiętał, pożegnałem go w krótkich słowach; następnie, nie czekając odpowiedzi, odryglowałem drzwi i wyszedłem. Minąłem spokojnie przedpokój, wśród ludzi ambasadora, którzy wstali na mój widok jak zwykle i którzy, jak sądzę, raczej udzieliliby mnie czynnej pomocy przeciw niemu niż jemu przeciw mnie. Nie wracając do siebie, zeszedłem natychmiast i opuściłem bezzwłocznie pałac, aby już doń nie wrócić.

Udałem się prosto do pana Le Blond, aby mu opowiedzieć zdarzenie. Nie był zbyt zdziwiony; znał człowieka. Zatrzymał mnie na obiedzie. Obiad, mimo że improwizowany, wypadł świetnie: wszyscy wybitniejsi Francuzi bawiący w Wenecji stawili się; u ambasadora nie było i psa. Konsul opowiedział całemu towarzystwu mą przygodę. Opowiadanie to wywołało jeden krzyk, a nie był on z pewnością na korzyść jego ekscelencji. Ambasador nie uregulował mego rachunku, nie dał mi ani szeląga; posiadając jako cały zasób parę ludwików, które miałem przy sobie, byłem w kłopocie o środki na powrót do Francji. Wszyscy ofiarowali mi z gotowością swoje sakiewki. Wziąłem dwadzieścia cekinów od pana Le Blond, tyleż od pana de Saint-Cyr, z którym po konsulu byłem najbliżej. Podziękowałem wszystkim innym i w oczekiwaniu wyjazdu zamieszkałem tymczasem u sekretarza konsula, aby dowieść publiczności, że naród francuski nie ma nic wspólnego z niesprawiedliwością ambasadora. Ten, wściekły, iż mnie spotykają owacje w mym nieszczęściu, podczas gdy jego, mimo wszystkich splendorów ambasadorskich, wszyscy opuścili, stracił zupełnie głowę i poczynał sobie jak szaleniec. Zapomniał się do tego stopnia, iż przedłożył senatowi memoriał z żądaniem uwięzienia mnie. Dowiedziawszy się o tym za pośrednictwem księdza de Benis, postanowiłem zamiast odjechać nazajutrz, jak miałem zamiar, zostać jeszcze dwa tygodnie. Widziano i pochwalono moje postępowanie; cieszyłem się powszechnym szacunkiem. Senat nie raczył nawet odpowiedzieć na niedorzeczny memoriał ambasadora i kazał mi oznajmić przez konsula, że mogę zostać w Wenecji jak długo mi się spodoba, nie troszcząc się o postępki szaleńca. Odwiedzałem nadal przyjaciół, poszedłem się pożegnać z ambasadorem hiszpańskim, który przyjął mnie bardzo łaskawie, jak również z hrabią Finochiettim, ministrem Neapolu, którego nie zastawszy, napisałem doń, i który odpisał mi najuprzejmiej w świecie. Wyjechałem wreszcie, nie zostawiając mimo mych kłopotów innych długów jak tylko pożyczki, o których wspomniałem, i jakieś pięćdziesiąt talarów u kupca nazwiskiem Morandi. Carrio podjął się zapłacić tę sumę, której nie zwróciłem mu nigdy, mimo iż często widzieliśmy się od tego czasu; ale co do dwóch pożyczek, o których mówiłem, wypłaciłem się z nich bardzo ściśle przy pierwszej możności.

Nie godzi mi się rozstać z Wenecją nie rzekłszy słowa o słynnych zabawach tego miasta lub przynajmniej o bardzo skromnym udziale, jaki w nich brałem podczas swego pobytu. Czytelnik mógł widzieć w epoce mej młodości, jak mało uganiałem się za uciechami lub przynajmniej tym, co nosi ich nazwę. Nie zmieniłem usposobienia w Wenecji; ale zatrudnienia moje, które zresztą nie pozwalały na żadne wybryki, dodawały zaprawy skromnym rozrywkom, na jakie sobie pozwalałem. Pierwszą i najmilszą było towarzystwo godnych ludzi; stanowili je panowie Le Blond, de Saint-Cyr, Carrio, Altuna i pewien szlachcic friulski[480], którego nazwiska niestety zapomniałem, a którego nie mogę wspomnieć bez miłego wzruszenia. Ze wszystkich ludzi, jakich spotkałem w życiu, było to serce najbardziej podobne do mego. Żyliśmy również blisko z paroma Anglikami, pełnymi dowcipu i wiadomości, zapalonymi do muzyki podobnie jak my. Wszyscy ci panowie mieli żony albo przyjaciółki czy kochanki: wśród tych ostatnich prawie wszystko dziewczęta pełne talentów, tak iż raz w raz wyprawialiśmy u nich koncerty lub bale. Grywało się także w karty, ale bardzo mało: żywość upodobań, talenty, widowiska czyniły nam tę zabawę nazbyt mdłą. Gra jest jedynie ucieczką ludzi znudzonych. Przywiozłem z Paryża panujące w owym kraju uprzedzenie do muzyki włoskiej; ale zarazem otrzymałem od natury wrażliwość, wobec której przesądy nie zdołają się ostać. Powziąłem niebawem do tej mu-

Muzyka

[480] *friulski* — pochodzący z Friuli, regionu w płn.-wsch. Włoszech, na wsch. od Wenecji. [przypis edytorski]

zyki namiętność, jaką budzi ona w ludziach zdolnych ją ocenić. Słuchając barkaroli[481], zrozumiałem, że dotąd nie słyszałem śpiewu, a niebawem tak się zapaliłem do opery, iż, zniecierpliwiony zwyczajem paplania, jedzenia i grania w lożach, gdy ja chciałbym tylko słuchać, wymykałem się często towarzystwu, szukając miejsca w innej stronie teatru. Tam, sam jeden, zamknięty w loży, poddawałem się mimo długości widowiska rozkoszy sycenia się nim swobodnie i aż do końca. Jednego dnia, w teatrze św. Chryzostoma, usnąłem, i to o wiele głębiej, niż gdybym był we własnym łóżku. Hałaśliwe i świetne arie nie obudziły mnie; ale kto zdołałby wyrazić rozkoszne wrażenie zrodzone pod wpływem słodkiej harmonii i anielskiego śpiewu? Co za przebudzenie, co za czar, co za ekstaza, kiedy w tejże samej chwili otworzyłem i oczy, i uszy! Pierwszą mą myślą było, że jestem w raju! Ten czarujący ustęp, który przypominam sobie jeszcze i którego nie zapomnę póki życia, zaczynał się tak:

Conservami la bella
Che si m'accende il cor… [482]

Chciałem dostać ten ustęp; dostałem i zachowałem go długo, ale nie był on na papierze tym samym, czym był w mej pamięci. Nuty te same, ale rzecz nie ta sama. Tę boską melodię zdolny jestem odtworzyć jedynie w głowie, tak jak ją słyszałem w dniu, w którym mnie przebudziła.

Muzyka, Piękno, Dusza

Muzyką wedle mego smaku o wiele wyższą niż operowa i niemającą równej sobie we Włoszech ani nigdzie — to *scuole*. *Scuole* to są zakłady dobroczynne, przeznaczone na to, aby dać wychowanie dziewczętom bez majątku, które Republika wyposaża potem, bądź do małżeństwa, bądź do klasztoru. W rzędzie talentów, które hoduje się w tych młodych dziewczętach, muzyka zajmuje pierwsze miejsce. Co niedzielę w kościele jednej z tych czterech *scuole* słyszy się podczas nieszporów motety[483] na wielki chór i orkiestrę, ułożone i prowadzone przez największych mistrzów włoskich, wykonane na zakratowanych trybunach wyłącznie przez dziewczęta, z których najstarsza nie ma dwudziestu lat. Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej rozkosznego, wzruszającego niż ta muzyka: wysoki artyzm, wyborny smak melodii, piękność głosów, doskonałość wykonania, wszystko składa się w tych uroczych koncertach na wrażenie, które z pewnością nie rodzi się wyłącznie z religijnych uczuć, ale któremu wątpię, aby jakie serce zdołało się obronić. Nigdy Carrio ani ja nie chybiliśmy[484] tych nieszporów w Mendicanti[485], i nie tylko my jedni. Kościół był zawsze pełen amatorów, nawet aktorzy z Opery przychodzili, aby wyrobić sobie prawdziwy smak w śpiewie wedle tych wybornych wzorów. Co mnie przyprawiało o rozpacz, to przeklęte kraty, które pozwalały przenikać jedynie dźwiękom, zakrywały zaś moim oczom anioły piękności, godne z pewnością tej muzyki. Byłem tak pod wrażeniem, że mówiłem tylko o tym. Jednego dnia, kiedy wyraziłem się w tym duchu u pana Le Blond, ów rzekł: „Jeśliś pan ciekawy widzieć te dziewczątka, łatwo mogę pana zaspokoić. Jestem jednym z przełożonych tego domu; wyprawię dla pana podwieczorek z ich udziałem". Wchodząc do salonu, który zgromadził te upragnione piękności, uczułem dreszcz miłosny, jakiego nigdy nie doświadczyłem. Pan Le Blond przedstawił mi, jedną po drugiej, owe słynne śpiewaczki, których znałem dotąd jedynie głos i imiona. „Chodź, Zosiu..." Była ohydna. „Chodź, Kasiu..." Ślepa na jedno oko. „Chodź, Bettinko..." Zeszpecona przez ospę. Niemal ani jedna nie była wolna od jakiejś dotkliwej skazy. Mój kat śmiał się z okrutnego rozczarowania. Parę ledwie było znośnych: te śpiewały jedynie w chórach! Byłem w rozpaczy. Przy podwieczorku Le Blond zaczął się przekomarzać z dziewczętami; rozbawiły się. Brzydota nie wyklucza wdzięku; zyskały go w mych oczach. Powiadałem sobie: „Nie śpiewa się tak bez duszy; muszą ją mieć". Stopniowo mój sposób patrzenia zmienił się tak dalece, iż wyszedłem niemal rozkochany w tych brzydulach. Z prawdziwym lękiem oczekiwałem nieszporów. Uspokoiłem się niebawem: w dalszym ciągu śpiew wydał mi

[481] *barkarola* — tradycyjna pieśń weneckich gondolierów. [przypis edytorski]
[482] *Conservami la bella…* (wł.) — Zachowaj mnie, piękna, do której me serce tak płonie. [przypis edytorski]
[483] *motet* (muz.) — rodzaj kompozycji wokalnej na wiele głosów, przeważnie z tekstem o tematyce religijnej. [przypis edytorski]
[484] *chybić* — tu przen.: zawieść, nie dopisać; pominąć. [przypis edytorski]
[485] *Mendicanti*, właśc. *San Lazzaro dei Mendicanti* — barokowy kościół w Wenecji. [przypis edytorski]

się rozkoszny; dźwięk głosów barwił tak dobrze twarze dziewcząt, że póki śpiewały, upierałem się, na przekór oczom, wierzyć w ich urodę.

Muzyka jest we Włoszech tak tania, że nie ma przyczyny pozbawiać się jej, skoro ktoś czuje zamiłowanie w tej mierze. Nająłem klawikord i za niecałego talara ściągałem do siebie kilku symfonistów; w ten sposób ćwiczyłem się raz na tydzień, wykonując ustępy, które mi się najbardziej spodobały w operze. Przepróbowałem także z nimi kilka symfonii z moich *Tkliwych Muz*. Czy spodobały się w istocie, czy chcieli mi zrobić przyjemność, dość iż baletmistrz św. Jana Chryzostoma poprosił mnie o dwa ustępy. Niezmierną przyjemność sprawiło mi słyszeć je w wykonaniu tej cudownej orkiestry, tańczone przez małą Bettinę, ładną a zwłaszcza milutką dzieweczkę. Utrzymywał ją pewien Hiszpan, z grona naszych przyjaciół, nazwiskiem Fagoaga; często też zdarzało nam się spędzić u niej wieczór.

Ale gdy mowa o dziewczętach, wiadomo, iż Wenecja nie odznacza się zbytnią surowością obyczajów; czy nie masz nic, mógłby mi kto powiedzieć, do zwierzenia w tym przedmiocie? Owszem, w istocie, mam coś do opowiedzenia i przystąpię do tego wyznania z tą samą szczerością, jaką włożyłem we wszystko inne.

Żywiłem zawsze odrazę do dziewcząt publicznych, nie miałem zaś w Wenecji nic innego do rozporządzenia, ile że wstęp do większości miejscowych domów był mi zamknięty z przyczyny mego oficjalnego stanowiska. Córki pana Le Blond były bardzo powabne, ale dość nieprzystępne; zresztą, zanadto szanowałem ojca ich i matkę, aby nawet pomyśleć o nich z nieczystą intencją.

Raczej byłbym czuł skłonność dla młodej osoby nazwiskiem de Cataneo, córki pełnomocnika króla pruskiego; ale Carrio był w niej zakochany, była nawet mowa o małżeństwie. Był to człowiek zasobny, ja nie miałem nic; miał sto ludwików rocznej płacy, ja tylko sto pistoli; poza tym, że nie chciałem wchodzić w drogę przyjacielowi, wiedziałem, iż wszędzie, a zwłaszcza w Wenecji, z licho zaopatrzoną sakiewką nie ma co bawić się w galanta. Nie straciłem nieszczęsnego nałogu zaspokajania na innej drodze swych popędów; zresztą, będąc zbyt zajęty, aby odczuwać bardzo żywo działanie podniecającego klimatu, żyłem w Wenecji blisko rok równie cnotliwie, jak przedtem w Paryżu, i opuściłem ją po osiemnastu miesiącach, zbliżywszy się do płci odmiennej zaledwie dwa razy, i to w osobliwszych okolicznościach, które przytoczę.

Pierwszej dostarczył mi godny szlachcic pan Vitali, w pewien czas po przeprosinach, jakich na moje żądanie musiał dopełnić najformalniej w świecie. Rozmowa przy stole zeszła na rozrywki w Wenecji. Stołownicy zarzucali mi obojętność dla najponętniejszej z uciech tego miasta, wychwalali wdzięki weneckich kurtyzan, mówiąc, iż równych im nie ma na świecie. Dominik wymienił zwłaszcza jedną, rzekomo najmilszą ze wszystkich; ofiarował się zaprowadzić mnie i upewniał, że będę zadowolony. Zacząłem się śmiać z tej ofiarności; hrabia Peati zaś, człowiek już stary i czcigodny, rzekł ze szczerością większą, niżbym się jej spodziewał po Włochu, że uważa mnie za nadto rozsądnego, abym się pozwolił prowadzić do dziewcząt swemu wrogowi. Nie miałem w istocie ani zamiaru, ani pokusy po temu; mimo to, pod wpływem jednej z tych niekonsekwencji, które zaledwie sam mogę zrozumieć, dałem się w końcu pociągnąć, wbrew upodobaniu, wbrew sercu, rozsądkowi, woli nawet, jedynie przez słabość, przez wstyd okazania nieufności i jak powiadają w tym kraju, *per non parer troppo coglione*[486]. *Padoana*[487], do której jśmy się udali, była to dziewczyna przystojna, piękna nawet, ale nie w typie, który by do mnie przemawiał. Dominik zostawił mnie u niej. Posłałem po sorbety, kazałem jej śpiewać i po pół godzinie chciałem odejść, zostawiając na stole dukata. Objawiła osobliwy skrupuł: nie chciała mianowicie przyjąć zapłaty, o ile nie zarobi na nią; ja zaś okazałem osobliwą głupotę w tym, iż uległem jej skrupułom. Wróciłem do pałacu, tak pewny, że jestem „urządzony", iż pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem za powrotem, było posłać po chirurga i poprosić go o ziółka. Nic nie może opisać przykrego stanu, w jakim zostawałem przez trzy tygodnie, bez najmniejszego rzeczywistego dolegania, bez żadnego objawu, który by mógł usprawiedliwić obawę. Nie mogłem pojąć, aby można było wyjść bezkarnie z ob-

[486] *per non parer troppo coglione* (wł.) — drastyczne wyrażenie, którego sens jest: „aby nie uchodzić za dudka". [przypis tłumacza]

[487] *Padoana* — najpewniej Giustina Padoana (dosł.: padewska, z miasta Padwa), kurtyzana zamieszana w skandal w Wenecji w 1742. [przypis edytorski]

jęć *Padoany*. Sam chirurg napocił się niemało nad tym, aby mnie upewnić. Zdołał to osiągnąć dopiero w ten sposób, iż wytłumaczył mi, jako jestem ukształtowany w osobliwy sposób, nie łatwo dopuszczający zarażenia. Mimo że mniej może niż ktokolwiek wystawiałem się na ten eksperyment, fakt, iż zdrowie moje nigdy nie ucierpiało w tej mierze, stanowi dla mnie dowód, że chirurg miał słuszność. Przekonanie to nie uczyniło mnie wszelako lekkomyślnym; jeśli w istocie posiadam od natury ten przywilej, mogę powiedzieć, iż go nie nadużyłem.

Druga przygoda, mimo iż również z dziewczyną, była zgoła odmiennego rodzaju, i co do źródła, i co do następstw. Wspomniałem, iż kapitan Olivet wydał dla mnie obiad na pokładzie, na który to obiad przyprowadziłem z sobą sekretarza hiszpańskiej ambasady. Spodziewałem się uczczenia wystrzałem z armat. Załoga przyjęła nas ustawiona w szpaler, ale bez śladu wystrzału, co mnie bardzo dotknęło z przyczyny Carria, który, jak uważałem, był nieco markotny. Faktem jest, iż na kupieckich statkach czczono nieraz salwami z armat osoby z pewnością nie więcej warte od nas; a przy tym sądziłem, iż zasłużyłem sobie na pewne względy u kapitana. Nie mogłem ukryć swych uczuć, ponieważ jest mi to zawsze niepodobieństwem; mimo że obiad był smaczny, Olivet zaś bardzo dwornie czynił honory statku, zaczynałem być w złym humorze, jedząc mało i mówiąc jeszcze mniej.

Przy pierwszym zdrowiu przynajmniej oczekiwałem salwy: nic! Carrio, który czytał w mej duszy, śmiał się, widząc, iż dąsam się jak dziecko. W połowie obiadu ujrzałem zbliżającą się gondolę. „Na honor, drogi panie — rzekł kapitan — miej się pan na baczności, oto nieprzyjaciel". Pytam, co chce przez to powiedzieć; odpowiada żarcikami. Gondola przybija; wychodzi z niej młoda osoba olśniewającej piękności, zalotnie odziana i bardzo żwawa; w trzech skokach znalazła się w pokoju: ujrzałem ją siedzącą tuż przy mnie, nim spostrzegłem, iż położono jej nakrycie. Była równie urocza, jak żywa, brunetka co najwyżej dwudziestoletnia. Mówiła tylko po włosku; sam akcent wystarczyłby, aby mi zawrócić w głowie. Tak jedząc, rozmawiając, patrzy na mnie, przygląda się przez chwilę, po czym z okrzykiem: „Panno najświętsza! Och, drogi Brémondzie, jakże dawno już cię nie widziałam!" rzuca mi się w ramiona, tuli usta do moich i dusi mnie w uściskach. Jej wielkie, czarne oczy o wschodnim połysku rzucały w moje serce ogniste pociski; mimo iż zdumienie wprowadziło na chwilę zamęt w me uczucia, rozkoszna żądza udzieliła mi się bardzo szybko, tak dalece, iż mimo obecności widzów, piękna dziewczyna musiała wreszcie sama mnie wstrzymywać, byłem bowiem jak pijany, lub raczej jak oszalały. Skoro ujrzała, iż dopięła zamierzonego celu, okazała więcej umiarkowania w pieszczotach, co jednak w niczym nie ostudziło wrodzonej jej żywości. Wreszcie raczyła nam wytłumaczyć prawdziwą lub fałszywą przyczynę tych uniesień. Rzekła, iż jestem do złudzenia podobny do pana de Brémond, naczelnika ceł w Toskanii; że szalała swego czasu za tym Brémondem, szaleje za nim dziś jeszcze, a rzuciła go, ponieważ była głupia. Oświadczyła, iż bierze mnie na jego miejsce; chce mnie kochać, ponieważ taką ma ochotę; nakazuje mi kochać ją, póki ona zechce; skoro mnie zaś puści w trąbę, wówczas winienem to znieść równie cierpliwie, jak niegdyś drogi jej Brémond. Jak rzekła, tak się stało. Objęła mnie w posiadanie jak swoją własność, dała do pilnowania rękawiczki, wachlarz, *cinda*[488], stroik na głowę, kazała mi iść tu, tam, robić to, tamto; usłuchałem. Powiedziała, abym odprawił jej gondolę, ponieważ chce wracać moją: tak się stało; kazała mi ustąpić miejsca i poprosić Carria, aby je zajął, ponieważ ma z nim do pomówienia; ustąpiłem. Rozmawiali bardzo długo, po cichu; nie przeszkadzałem im. Zawołała mnie, przyszedłem. „Słuchaj, Zanetto — rzekła — ja nie chcę, żebyś mnie kochał na sposób francuski, a nawet to by nie było bezpiecznie: za pierwszym momentem nudy, idź precz. Ale póki jesteś ze mną, to cały, ostrzegam cię". Pojechaliśmy po obiedzie odwiedzić fabryki szkła w Murano. Kupiła mnóstwo breloczków, za które kazała nam zapłacić bez ceremonii; ale dawała wszędzie napiwki o wiele większe niż to, co myśmy wydali. Z obojętności, z jaką sama wyrzucała pieniądze i nam kazała je wyrzucać, widać było, że nie mają dla niej żadnej wartości. Kiedy kazała się opłacać, sądzę, że czyniła to bardziej przez próżność niż przez chciwość: pokładała dumę w cenie, jaką szacowano jej łaski.

Wieczorem odwieźliśmy ją do domu. Wśród rozmowy ujrzałem na stole dwa pistolety. „Ha, ha! — rzekłem, biorąc jeden do ręki. — Oto mi cacka nowego systemu. Wolno

[488]*cinda* (jęz. wenecki) — pas, pasek. [przypis edytorski]

wiedzieć, jakie ich przeznaczenie? Ej, moja śliczna, toć umiesz strzelać oczkami o wiele celniej i pewniej". Po paru żarcikach z tego samego tonu rzekła z naiwną dumą, która czyniła ją jeszcze bardziej uroczą: „Kiedy obdarzam względami kogoś, kogo nie kocham, każę sobie opłacać przykrość, jaką mi to sprawia; nic sprawiedliwszego; ale cierpiąc pieszczoty, nie mam zamiaru cierpieć zniewag i nie chybię pierwszego, który mi uchybi".

Żegnając ją, umówiłem się na jutro. Nie dałem na siebie czekać. Zastałem ją *in vestito di confidenza*[489], w negliżu więcej niż swobodnym, jaki znają jedynie kraje południowe i którego opisem nie będę się zabawiał, mimo że pamiętam go aż nazbyt dobrze. Powiem jedynie, że mankietki i szalik na szyi były obdziergane jedwabną nitką, przybraną różowymi pomponikami. Taki strój bardzo korzystnie uwydatnia piękność cery. Zauważyłem później, że to jest moda w Wenecji; jest tak urocza, że dziwię się, że ta moda nie przeszła nigdy do Francji. Nie miałem pojęcia o rozkoszach, jakie mnie czekały. Mówiłem o pani de Larnage, pod wpływem uniesień, w jakie wspomnienie jej wprawia mnie jeszcze niekiedy; ale jakże była ona stara, brzydka i zimna wobec Zulietty! Nie próbujcie sobie wyobrazić powabów i uroków tej czarodziejskiej dziewczyny, zostalibyście daleko w tyle za rzeczywistością; młode dziewice w klasztorze mniej są świeże, piękności seraju[490] mniej żywe, hurysy[491] rajskie mniej kuszące. Nigdy równie słodka rozkosz nie zastawiła stołu sercu i zmysłom śmiertelnika. Ach! Gdybym bodaj przez chwilę umiał kosztować jej w całej pełni i doskonałości! Kosztowałem, ale bez uroku; ścierałem wszystkie jej słodycze; zabijałem je jak gdyby z umysłu. Nie, natura nie stworzyła mnie do używania. Wszczepiła w mą nieszczęsną głowę truciznę, zabójczynię tego niewymownego szczęścia, którego pragnienie wraziła w moje serce.

Jeżeli jaka okoliczność w mym życiu dobrze maluje mą naturę, to ta, którą tu opowiem. Siła, z jaką ogarniam w tej chwili pamięcią przedmiot mej książki, każe mi wzgardzić względami fałszywej przystojności, które przeszkodziłyby mi dopełnić zadania. Kto bądź jesteście, jeśli chcecie poznać człowieka, odważcie się przeczytać parę następnych stronic — poznacie w całej pełni Jana Jakuba Rousseau.

Wszedłem do alkowy kurtyzany jak do sanktuarium miłości i wdzięku, zdawało mi się, że ich bóstwo widzę w jej osobie. Nigdy nie byłbym uwierzył, iż bez szacunku i czci można doznawać czegoś podobnego jak to, co ona budziła we mnie. Ledwie w momencie pierwszych zbliżeń poznałem siłę jej uroków i pieszczot, natychmiast, z obawy, iż zawczasu stracę ich owoc, chciałem najspieszniej je uszczknąć. Nagle w miejsce płomieni, które mnie pożerały, uczułem śmiertelny chłód w żyłach; nogi ugięły się pode mną i bliski omdlenia siadłem, tonąc we łzach jak dziecko.

Kto mógłby odgadnąć przyczynę łez i myśli, które przebiegały mi przez głowę w tej chwili? Mówiłem sobie: „Ta istota, którą mam w swej mocy, jest arcydziełem natury i miłości; duch, ciało, wszystko jest doskonałe; jest równie dobra i szlachetna, jak powabna i miła; magnaci, książęta warci są być jej niewolnikami; berła powinny by chylić się do jej stóp. I oto jako nędzna ulicznica wydana jest na żer pospólstwu; kapitan kupieckiego okrętu rozporządza nią do woli; rzuca mi się na szyję, mnie, o którym wie, że nie mam nic, mnie, którego wartość, niedostępna jej ocenie, musi być w jej oczach żadna. Jest w tym coś niepojętego. Albo serce mnie zwodzi, oszałamia me zmysły i czyni mnie łatwowierną ofiarą niegodnej ladacznicy, albo też jakaś nieznana mi tajemna wada musi niweczyć działanie jej powabów i czynić ją odrażającą tym, którzy powinni by walczyć o jej łaski". Zacząłem szukać tej ułomności z niezwykłym napięciem uwagi: nie postało mi nawet w myśli, iż złowieszcza choroba mogłaby w tym mieć udział. Świeżość jej ciała, śliczna cera, białość zębów, słodycz oddechu, pozór czystości rozlany w całej osobie oddalały ode mnie tę myśl tak zupełnie, iż niepewny jeszcze swego stanu od czasu *Padoany*, ja sam czyniłem sobie raczej skrupuł, iż nie jestem dosyć zdrów dla niej. Jestem najzupełniej pewny, iż pod tym względem zaufanie nie myliło mnie.

Te tak w porę nawiedzające mnie refleksje wzruszały mnie aż do łez. Zulietta, dla której to wszystko było widowiskiem, w danych okolicznościach wcale nowym, stała jakiś

[489] *in vestito di confidenza* (wł.) — w intymnym odzieniu. [przypis edytorski]

[490] *seraj* — pałac władcy muzułmańskiego, mieszczący harem, czyli mieszkanie żon i nałożnic władcy. [przypis edytorski]

[491] *hurysy* — w islamie: wiecznie piękne i młode dziewice, czekające wiernych w raju muzułmańskim. [przypis edytorski]

czas zdumiona; ale okrążywszy dokoła pokój i przeszedłszy koło zwierciadła, zrozumiała — a oczy moje potwierdziły to — iż odraza nie gra w tym roli. Nie trudno przyszło jej wyleczyć mnie z mego stanu i zatrzeć tę lekką porażkę: ale w chwili, gdy już, już, miałem się oddać ekstazie na piersi, która zdawała się pierwszy raz cierpieć dotknięcie ust i dłoni mężczyzny, spostrzegłem, iż jedna pierś nie miała brodawki. Przyglądam się, zastanawiam, zdaje mi się, że ta pierś ma inny kształt niż druga. I oto zaczynam sobie łamać głowę, jakim cudem można mieć pierś bez brodawki; stopniowo dochodzę do przekonania, iż musi to mieć związek z jakąś znaczną przyrodzoną ułomnością. Tak długo obracam i wałkuję tę myśl, iż widzę jasno jak słońce, że w miejsce najbardziej uroczej osoby, jaką mógłbym wymarzyć, trzymam w objęciach jakieś monstrum, zakałę natury, płci i miłości. Posunąłem niezgrabstwo tak daleko, iż zwróciłem jej uwagę na ten brak brodawki. Wzięła zrazu rzecz na wesoło i w swojej pustocie zaczęła mówić i robić rzeczy zdolne przywieść do szaleństwa. Ale widząc, iż zachowuję w głębi niepokój, którego nie umiałem ukryć, zaczerwieniła się widocznie, okryła się staranniej, wyprostowała i nie mówiąc słowa, siadła przy oknie. Chciałem się zbliżyć; usunęła się i przysiadła na sofie. W chwilę później wstała i przechadzając się po pokoju i wachlując, rzekła zimno i wzgardliwie: *„Zanetto, lascia le donne, e studia la matematica"*[492].

Nim ją opuściłem, poprosiłem na drugi dzień o nową schadzkę. Odłożyła ją na pozajutrze, dodając z ironicznym uśmiechem, iż muszę potrzebować spokoju. Spędziłem ten czas nierad ze siebie, z sercem pełnym jej uroków i powabów, czując własną niedorzeczność, wyrzucając ją sobie, żałując chwil tak źle spędzonych, podczas gdy ode mnie jeno zależało, aby je uczynić najsłodszymi w mym życiu. Z najżywszą niecierpliwością oczekiwałem sposobności wynagrodzenia tej straty, mimo wszystko trawiony równocześnie niepokojem i niemożnością pogodzenia doskonałości tej czarodziejskiej dziewczyny z nikczemnością jej stanu. Pobiegłem, pomknąłem do niej o oznaczonej godzinie. Nie wiem, czy jej gorący temperament bardziej byłby zadowolony z tej wizyty; ale przynajmniej duma jej miałaby prawo tryumfować. Z nieporównaną rozkoszą układałem sobie zawczasu, jak na wszystkie sposoby okażę jej, do jakiego stopnia zdolny jestem naprawić me winy. Oszczędziła mi tej próby. Gondolier, którego posłałem z oznajmieniem, wrócił z wiadomością, iż poprzedniego dnia wyjechała do Florencji. Jeśli nie zdawałem sobie sprawy z całej mej miłości w chwili, gdym miał Zuliettę w mej mocy, uczułem ją bardzo okrutnie po stracie. Szalony żal długo mnie nie opuścił. Mimo wszystkich uroków i powabów, jakie miała w mych oczach, byłbym mógł pocieszyć się, że ją tracę; ale po czym, wyznaję, nie mogłem się pocieszyć, to iż uniosła po mnie wspomnienie jedynie pełne wzgardy.

Oto moje dwie przygody. Osiemnaście miesięcy, które spędziłem w Wenecji, nie dostarczyły mi poza tym nic do opowiedzenia, chyba że wspomnę jedynie prosty zamiar. Carrio był wielki kobieciarz. Zniecierpliwiony tym, iż ciągle kręcił się w kole dziewcząt żyjących z innymi, zapałał chęcią posiadania własnej kochanki; że zaś stanowiliśmy nierozłączną parę, poddał mi układ, nierzadki w Wenecji, aby wziąć sobie dziewczynę na współkę[493]. Zgodziłem się. Chodziło o to, aby znaleźć pewną. Szukał póty, aż znalazł dziewczynkę jedenasto- lub dwunastoletnią, którą niegodna matka starała się sprzedać. Poszliśmy obejrzeć ją razem. Serce mi się ścisnęło, gdym ujrzał to dziecko. Była to blondynka, łagodna jak jagniątko: nikt by nie przypuścił, że to Włoszka. W Wenecji życie jest bardzo tanie. Daliśmy nieco pieniędzy matce i podjęliśmy się utrzymywać córkę. Miała głos; chcąc jej dać w rękę talent, który by jej był pomocą, najęliśmy szpinet[494] i zgodzili nauczyciela śpiewu. Wszystko to kosztowało nas zaledwie po dwa cekiny na miesiąc, a oszczędzało znacznie więcej na innych wydatkach; ale ponieważ trzeba było czekać aż dziewczynka podrośnie, znaczyło to siać na daleką przyszłość. Mimo to, radzi, iż mamy gdzie spędzać wieczory, że możemy rozmawiać i żartować niewinnie z tym dzieckiem, bawiliśmy się przyjemniej może, niż gdybyśmy ją posiadali. Faktem jest niewątpliwym, iż głównym smakiem towarzystwa kobiet jest nie rozpusta, ale ów szczególny urok życia w ich pobliżu! Nieznacznie serce moje przywiązało się do małej Anzolety, ale przywiąza-

[492] *Zanetto, lascia le donne, e studia la matematica* (wł.) — Jasiu, zostaw kobiety, a weź się do matematyki. [przypis tłumacza]

[493] *na współkę* — dziś popr. wspólnie bądź na spółkę. [przypis edytorski]

[494] *szpinet* — dawny instrument muzyczny, odmiana klawesynu. [przypis edytorski]

niem ojcowskim, w którym zmysły miały tak mały udział, iż w miarę jak sympatia rosła, tym trudniej byłoby mi skierować ją na drogę pospolitego stosunku. Czułem, iż zbliżyć się do tej dziewczyny, z chwilą gdy stanie się dojrzałą, budziłoby we mnie grozę niby ohydne kazirodztwo. Widziałem, iż uczucia poczciwego Carria przybierają bezwiednie ten sam charakter. Zabezpieczaliśmy sobie, nie myśląc o tym, rozkosze nie mniej słodkie, ale bardzo odmienne od tych, które mieliśmy zrazu na myśli; jestem pewien, że choćby to dziecko osiągnęło w przyszłości najświetniejszą urodę, nie tylko nie skalalibyśmy nigdy jej niewinności, ale bylibyśmy dla niej tkliwymi opiekunami. Katastrofa moja, która wypadła niedługo później, nie zostawiła mi możności wzięcia udziału w tym dobrym dziele; w całej tej sprawie mogę się tylko poszczycić popędem serca. Wróćmy do mej podróży.

Pierwszym mym zamiarem po opuszczeniu pana de Montaigu było schronić się do Genewy, w oczekiwaniu aż lepszy los, usunąwszy przeszkody, połączy mnie z dobrą mamusią. Ale rozgłos, jakiego nabrało nasze nieporozumienie, oraz głupota ambasadora, który napisał o nim do dworu, zrodziły we mnie zamiar, aby samemu udać się do Francji, zdać sprawę ze swego postępowania i użalić się na wybryki niepoczytalnego człowieka. Objawiłem z Wenecji swoje postanowienie panu du Theil, piastującemu tymczasowo tekę spraw zagranicznych po śmierci pana Amelot. Wyruszyłem, równocześnie z listem, przez Bergamo, Como i Domo d'Ossola; przebyłem Simplon. W Sion pan de Chaigono, reprezentant Francji, przyjął mnie wielce serdecznie; w Genewie pan de la Closure toż samo. Odnowiłem znajomość z panem de Gauffecourt, u którego miałem do podjęcia jakieś pieniądze. Przebyłem Nyon, nie zatrzymując się dla zobaczenia z ojcem. Uczyniłem to nie bez przykrości, ale nie mogłem przemóc na sobie, aby się pokazać macosze po mym niepowodzeniu, pewny, iż potępiłaby mnie bez wysłuchania. Księgarz Duvillard, dawny przyjaciel ojca, wyrzucał mi żywo ten błąd. Wyjawiłem mu przyczynę; aby zaś naprawić moje zaniedbanie, nie narażając się na spotkanie macochy, nająłem pojazd i zajechaliśmy obaj w Nyon do gospody. Duvillard uprzedził ojca, który pędem przybiegł, aby mnie uściskać. Zjedliśmy razem wieczerzę, po czym, spędziwszy wieczór bardzo luby dla mego serca, wróciłem nazajutrz rano do Genewy, wraz z Duvillardem, dla którego zachowałem zawsze szczerą wdzięczność za życzliwość okazaną mi w tej sprawie.

Najkrótsza droga nie wiodła przez Lyon, ale chciałem wstąpić do tego miasta, aby sprawdzić pewną bardzo niskiego rodzaju podłostkę pana de Montaigu. Zamówiłem swego czasu z Paryża szkatułkę zawierającą kubrak wyszywany złotem, kilka par mankietów i sześć par białych jedwabnych pończoch; nic więcej. Na propozycję, jaką mi sam uczynił, dołączyłem tę skrzynkę, lub raczej szkatułkę, do jego pakunków. W rachunku, wysolonym iście po aptekarsku, jaki wystawił mi w miejsce należnych zasług (rachunku spisanym jego własną ręką), pomieścił tę szkatułkę, którą nazwał skrzynią, jako ważącą jedenaście kwintalów[495], i policzył mi przewóz po niesłychanej cenie. Za staraniem pana Boy de La Tour, do którego miałem polecenie od wuja jego, pana Roguin, sprawdzono w rejestrach celnych Lyonu i Marsylii, iż rzeczona skrzynia ważyła jeno czterdzieści pięć funtów[496] i opłaciła przewóz w stosunku do tego ciężaru. Dołączyłem ten autentyczny wyciąg do rachunku pana de Montaigu; po czym, zbrojny w ten dokument i kilka innych równie przekonywujących, udałem się do Paryża, pragnąc co rychlej zrobić z nich użytek. Miałem w ciągu tej długiej drogi drobne przygody w Como i gdzie indziej. Widziałem wiele rzeczy, między innymi Wyspy Boromejskie[497], które zasługiwałyby, aby je opisać. Ale czas ucieka, otaczają mnie szpiegowie, trzeba mi spełnić w pośpiechu i byle jak pracę, która wymagałaby swobody i spokoju, dla mnie niedostępnych. Jeżeli kiedy Opatrzność, wejrzawszy na mnie, ześle mi spokojniejsze dni, przeznaczam je na przetworzenie, jeśli zdołam, tego dzieła lub też sporządzenie bodaj uzupełnienia, którego pono bardzo potrzebuje[498].

[495] *kwintal* — tu: *quintal*, daw. francuska jednostka wagi, równa 100 funtów (*livres*), tj. ok. 49 kg. [przypis edytorski]

[496] *funt* — daw. jednostka wagi, tu funt paryski równy ok. 0,49 kg. [przypis edytorski]

[497] *Wyspy Boromejskie* — grupa trzech niewielkich wysp i dwóch malutkich wysepek położonych na polodowcowym jeziorze Maggiore w Alpach, na granicy Włoch i Szwajcarii. [przypis edytorski]

[498] *…lub też sporządzenie bodaj uzupełnienia, którego pono bardzo potrzebuje* — poniechałem tego zamiaru. [przypis autorski]

Rozgłos mej przygody wyprzedził mnie. Przybywszy do Paryża, przekonałem się, iż w ministerium oraz wśród publiczności wszyscy zgorszeni są szaleństwami ambasadora. Mimo to, mimo publicznego krzyku w Wenecji, mimo nieodpartych dowodów, jakie przedkładałem, nie mogłem uzyskać sprawiedliwości. Nie tylko nie otrzymałem zadośćuczynienia ani odszkodowania, ale nawet zostawiono dobrej woli ambasadora sprawę zaległej płacy, a to dla tej jedynej przyczyny, iż nie będąc Francuzem, nie mam prawa do opieki państwa i że to jest zatarg prywatny. Wszyscy zgodzili się, iż spotkała mnie krzywda, obraza, nieszczęście, że ambasador był okrutnym i niesprawiedliwym szaleńcem i że całe to zajście okrywa go hańbą na zawsze. Ale cóż! Był ambasadorem; ja jedynie sekretarzem. Porządek społeczny, lub to, co się tak nazywa, wymagał, abym nie uzyskał sprawiedliwości, jakoż nie uzyskałem jej. Wyobrażałem sobie, iż skoro będę krzyczeć i traktować publicznie tego szaleńca tak, jak na to zasługuje, każą mi w końcu zmilczeć, i na to też czekałem, zdecydowany nie usłuchać, aż po rozsądzeniu sprawy. Ale nie było wówczas ministra spraw zagranicznych. Pozwolono mi gardłować, zagrzewano mnie nawet, wtórowano; ale na tym się skończyło. Wreszcie, zmęczony tym, iż ciągle przyznawano mi słuszność, a nigdy sprawiedliwości, straciłem energię i poniechałem wszystkiego.

Jedyną osobą, która mnie przyjęła źle, a po której najmniej bym się spodziewał tej niesprawiedliwości, była pani de Beuzenval. Cała przesiąknięta przesądami rangi i szlachectwa, nie mogła sobie wyobrazić, aby ambasador mógł nie mieć racji wobec sekretarza. Sposób, w jaki mnie przyjęła, zgodny był z tym przesądem. Czułem się tak urażony, iż opuściwszy jej dom, skreśliłem jeden może z najsilniejszych i najżywszych listów, jakie kiedykolwiek napisałem w życiu; nigdy też noga moja tam nie postała. Ojciec Castel przyjął mnie lepiej; ale poprzez słodkie jezuickie słówka przekonałem się, iż trzymał się dość wiernie jednej z wielkich zasad zakonu, to jest, aby zawsze poświęcać słabszego potężniejszemu. Żywe poczucie słuszności i wrodzona duma nie pozwoliły mi cierpliwie znosić tej stronniczości. Przestałem bywać u ojca Castel, a tym samym u jezuitów, gdzie znałem tylko jego jednego. Zresztą, tyrański i intrygancki duch jego współbraci, jakże różny od dobroduszności zacnego ojca Hemeta, tak bardzo odstręczał mnie od ich towarzystwa, że od tego czasu nie zetknąłem się z nimi nigdy, wyjąwszy z jednym ojcem Bertier, którego spotkałem parę razy u pani Dupin: pracowali żarliwie razem nad odparciem Monteskiusza[499].

Skończmy, aby już wyczerpać przedmiot, to, co mi zostało do powiedzenia o panu de Montaigu. Oświadczyłem mu raz, w czasie jakiejś sprzeczki, że jemu trzeba nie sekretarza, ale dependenta[500]. Posłuchał tej rady i przyjął w istocie jako mego następcę jakiegoś kauzyperdę, który w niespełna rok okradł go blisko na trzydzieści tysięcy funtów. Wygnał go, kazał uwięzić, rozpędził cały dwór z wielkim rozgłosem i skandalem; narobił sobie wszędzie nieprzyjaciół, zniósł afronty, których służący by nie ścierpiał, i wreszcie, szaleństwami swymi doprowadził do tego, iż go odwołano i posłano na zieloną paszę. Widocznie wśród „nosów", jakich udzielono mu na dworze, nie zapomniano i zajścia jego ze mną: tyle wiem, iż w niedługi czas po powrocie przysłał mi swego marszałka, który uregulował rachunek i wręczył mi pieniądze. Bardzo ich potrzebowałem w tej chwili; moje długi weneckie, honorowe w całym tego słowa znaczeniu, leżały mi na sercu. Skorzystałem z tej niespodzianki, aby je wyrównać, jak również ów oblig Zanetta Nani. Przyjąłem, co mi dawano; zapłaciłem wszystkie długi i zostałem bez grosza jak przedtem, ale i wolny od ciężaru, który mi był nie do zniesienia. Od tego czasu nie słyszałem już o panu de Montaigu, aż z okazji jego śmierci, o której dowiedziałem się z publicznego głosu. Niech Bóg odpuści nieborakowi! Był tak zdatny na ambasadora jak ja na linoskoczka. Mimo to od niego tylko zależało trzymać się zaszczytnie na stanowisku dzięki moim służbom, oraz posuwać mnie szybko naprzód w karierze, do której hrabia de Gouvon przeznaczył mnie był za młodu i do której sam z siebie stałem się zdatny w dojrzalszym wieku.

Słuszność i bezskuteczność mych skarg zostawiły mi w duszy ziarno oburzenia na nasze głupie urządzenia społeczne, w których prawdziwe dobro publiczne i istotna sprawiedliwość zawsze są poddane licho wie jakiemu zewnętrznemu porządkowi, zgubnemu

[499] *Montesquieu* (1689–1755) — znakomity pisarz polityczno-filozoficzny, autor *Listów perskich* i *Ducha Praw*. [przypis tłumacza]

[500] *dependent* (daw., z łac. *dependens, dependentis*: zależny) — praktykant lub pomocnik pracujący u adwokata, notariusza itp. [przypis edytorski]

w istocie dla wszelkiego porządku i dającemu jedynie sankcję publicznej powagi uciskowi słabego i niesprawiedliwości silnych. Dwie rzeczy nie pozwoliły temu ziarnu rozrosnąć tak, jak się to stało później. Jedna, iż w sprawie tej chodziło o mnie. Interes prywatny, który nigdy nie wydał nic wielkiego i szlachetnego, nie umiałby wydobyć z mego serca owych boskich rzutów, które stworzyć zdolne jest jedynie najczystsze umiłowanie sprawiedliwości i piękna. Drugą był urok przyjaźni, który łagodził i uspokajał mój gniew harmonią bardziej lubego uczucia. Zawarłem w Wenecji znajomość z pewnym Biskajczykiem, przyjacielem mego druha Carria, a godnym przyjaźni wszelkiego zacnego człowieka. Ten miły młodzieniec, zrodzony dla wszystkich talentów i cnót, objeżdżał całe Włochy, aby nabrać smaku do sztuk pięknych; przyswoiwszy sobie wszystko, co można zdobyć w tej mierze, miał zamiar wracać prosto do ojczyzny. Wykazałem mu, że sztuka jest jedynie wytchnieniem dla umysłu tej miary co jego, stworzonego do pielęgnowania nauk; dla zasmakowania w nich, poradziłem mu półroczny pobyt w Paryżu. Usłuchał mnie i udał się do Paryża. Był już tam i oczekiwał mnie, kiedy przybyłem. Mieszkanie, które zajmował, było mu zbyt obszerne; ofiarował mi połowę; przyjąłem. Zastałem go utopionego z zapałem w wysokiej nauce. Nic nie było zbyt trudnym dla jego objęcia[501]; pochłaniał i trawił wszystko ze zdumiewającą szybkością. Jakże mi dziękował, iż dostarczyłem tego pokarmu jego umysłowi nękanemu potrzebą wiedzy nawet bez świadomości! Jakież skarby światła i cnoty znajdowałem w tej silnej duszy! Czułem, iż to jest przyjaciel, jakiego mi trzeba; staliśmy się prawie nierozłączni. Upodobania nasze nie były jednakie; spieraliśmy się często. Ponieważ obaj byliśmy uparci, nie godziliśmy się w niczym. Mimo to nie mogliśmy się obejść bez siebie; sprzeciwiając się sobie bez przerwy, nie życzylibyśmy za nic, aby który z nas miał być inny.

Ignatio Emanuel de Altuna był z liczby tych rzadkich ludzi, których wydaje jedna Hiszpania i których wydaje zbyt mało dla swej chluby. Wolny był od owej gwałtownej zaciekłości narodowej, tak pospolitej w jego kraju; myśl zemsty nie była zdolna zagościć w jego umyśle, tak samo jak w sercu. Był zbyt dumny, aby być mściwy; często powiadał z głębokim spokojem, iż śmiertelna istota nie może obrazić jego duszy. Był miłośnikiem kobiet, nie będąc z natury czułym. Bawił się z kobietami niby z ładnymi dziećmi. Chętnie przebywał z kochankami przyjaciół, ale nie widziałem, aby on sam wdawał się w miłostki lub też objawiał jaką chęć w tej mierze. Płomienie cnoty pożerające jego serce nie pozwoliły nigdy rozpalić się ogniom zmysłów.

Po latach podróży ożenił się; umarł młodo, zostawiając dzieci. Jestem przekonany, jak o tym, że istnieję, że żona była pierwszą i jedyną kobietą, która dała mu zakosztować rozkoszy miłości. Na zewnątrz był dewotem jak każdy Hiszpan, ale pod tym pozorem kryła się pobożność anioła. Prócz mnie samego był to jedyny człowiek o prawdziwej tolerancji, jakiego znałem w życiu. Obojętne mu było, czy jego przyjaciel jest żydem, protestantem, Turkiem, bigotem, ateuszem, byle był uczciwym człowiekiem. Uparty, zajadły nawet w kwestiach obojętnych, z chwilą gdy chodziło o religię, nawet o moralność, skupiał się w sobie, milkł lub powiadał po prostu: „Jestem odpowiedzialny jedynie za siebie". Niepojęte jest, aby taką podniosłość duszy można było łączyć z poczuciem szczegółów, doprowadzonym aż do drobiazgowości. Dzielił i ustanawiał z góry użytek dnia na godziny, kwadranse i minuty i trzymał się tego tak skrupulatnie, że gdyby godzina wybiła, podczas gdy czytał jakieś zdanie, zamknąłby książkę, nie dokończywszy. Dzień, podzielony w ten sposób, obracał kolejno na różnorodne studia; był czas na rozmyślanie, rozmowę, nabożeństwo, na Locke'a[502], na różaniec, wizyty, muzykę, malarstwo. Nie było rozrywki, pokusy ani uprzejmości, które by mogły zburzyć ten porządek; jedynie jakiś obowiązek zdołałby tego dokonać. Kiedy mi przedkładał swój podział czasu, iżbym się doń zastosował, zaczynałem się śmiać, a w końcu płakałem z podziwu. Nigdy nie krępował nikogo i nie znosił skrępowania; szorstki był względem ludzi, którzy przez grzeczność tamowali jego swobodę. Był porywczy, nie będąc obraźliwy. Często widziałem go rozgniewanym, nigdy urażonym. Nic nie da się porównać z wesołością jego usposobienia; rozumiał się na

Tolerancja

[501] *objęcie* (daw.) — pojętność. [przypis edytorski]

[502] *Locke*, [*John*] (1632–1704) — filozof angielski, bardzo popularny we Francji w XVIII w., patron Woltera i encyklopedystów. Filozofia jego, odrzucając tzw. „idee wrodzone", przyjmowała wrażenia zmysłowe jako podstawę poznania ludzkiego; skłaniała się przy tym do liberalizmu i tolerancji. [przypis tłumacza]

żartach i lubił żartować; celował w tym nawet i posiadał szczególny dar epigramu[503]. Kiedy go kto podrażnił, stawał się hałaśliwy i krzykliwy w słowach, słyszało się go z daleka; ale wśród owej burzy widać było, jak się uśmiecha, i poprzez całe uniesienie wyrywało mu się jakieś ucieszne słówko, które wszystkich pobudzało do śmiechu. Cera jego nie była hiszpańska, tak samo jak żywość. Miał skórę białą, rumiane policzki, włosy kasztanowate, niemal blond. Był słuszny i dobrze zbudowany; ciało godne było mieścić taką duszę.

Ten człowiek, mędrzec tak sercem, jak i głową, znał się na ludziach i był moim przyjacielem. To cała moja odpowiedź tym, którzy nimi nie są. Związaliśmy się tak, że powzięliśmy zamiar spędzenia życia razem. Ułożyliśmy, iż za kilka lat udam się do Ascoytia[504], aby osiąść z nim w jego majątku. W wilię wyjazdu Altuny omówiliśmy wraz wszystkie szczegóły planu. Udaremniły go losy, które stają ludziom w poprzek w najlepiej ukartowanych zamysłach. Późniejsze wypadki, moje niedole, jego małżeństwo, śmierć wreszcie rozdzieliły nas na zawsze. Można by rzec, że jedynie ciemne knowania niegodziwców uwieńczone są na tym świecie powodzeniem; niewinne projekty dobrych ludzi prawie nigdy się nie spełniają.

Poczuwszy przykre strony zależności, przyrzekłem sobie nigdy się na nią nie narażać. Ujrzałem, jak w samym zaczątku upadły ambitne zamiary, które zrodziły się we mnie z przypadku. Nie mając chęci wracania do kariery, którą zacząłem tak dobrze, a z której mimo to mnie wygnano, postanowiłem nie wiązać się z nikim, ale trzymać się nadal swej niezależności, fruktyfikując[505] talenty, których miarę zaczynałem wreszcie pojmować, a o których aż dotąd sądziłem nazbyt skromnie. Podjąłem pracę nad operą, przerwaną wyjazdem do Wenecji; aby się zaś oddać temu z większym spokojem, wróciłem po wyjeździe Altuny do dawnego hoteliku Saint-Quentin, który, położony w ustronnej dzielnicy, niedaleko Luxemburgu, sposobniejszy był dla swobodnej pracy niż hałaśliwa ulica św. Honoriusza. Tam czekała mnie jedyna prawdziwa pociecha, jakiej niebo pozwoliło mi zakosztować w mej nędzy i która jedna czyni mi tę nędzę znośną. Tym razem nie chodzi o znajomość przelotną; trzeba mi tedy wejść nieco bliżej w okoliczności, w jakich ją zawarłem.

Hotelik nasz objęła nowa gospodyni, rodem z Orleanu. Przyjęła do białego szycia dziewczynę ze swoich stron, dwudziestodwu- lub trzechletnią, która jadała z nami, zarówno jak gospodyni. Dziewczyna ta, nazwiskiem Teresa Le Vasseur, pochodziła z dobrej rodziny; ojciec był urzędnikiem mennicy w Orleanie, matka prowadziła sklep. Mieli dużo dzieci. Skoro moneta orleańska straciła prawo obiegu, ojciec znalazł się na bruku; matka, poniósłszy straty w handlu, musiała zwinąć interes, poniechała tego przemysłu i przybyła do Paryża z mężem oraz córką, która żywiła wszystkich troje swą pracą.

Pierwszy raz kiedy ujrzałem przy stole tę dziewczynę, uderzył mnie jej skromny wygląd, a jeszcze bardziej spojrzenie jej, żywe a łagodne, takie, jakiego w życiu nie spotkałem. Stół nasz składał się, prócz pana de Bonnefond, z kilku klechów irlandzkich, gaskońskich i innych ludzi tego pokroju. Sama gospodyni była osobą wątpliwych obyczajów; w ogóle z całego stołu ja jeden odzywałem się tam i zachowywałem przyzwoicie. Zaczęto zaczepiać małą; wziąłem ją w obronę. Natychmiast docinki posypały się na mnie. Gdybym nawet z natury nie miał żadnej sympatii do tej biednej dziewczyny, współczucie, prześladowania byłyby ją obudziły we mnie. Zawsze lubiłem przystojność w obejściu i w mowie, zwłaszcza wobec kobiet. Głośno wystąpiłem jako jej obrońca. Spostrzegłem, iż życzliwość moja ujęła ją za serce; spojrzenia jej, ożywione wdzięcznością, której usta nie śmiały wyrazić, stały się tym wymowniejsze.

Teresa była bardzo nieśmiała, ja również. Mimo iż, zdawałoby się, ten obopólny charakter utrudniał porozumienie, nawiązało się ono wszelako bardzo szybko. Gospodyni, która rychło odgadła, co się święci, wpadła we wściekłość; brutalność jej przyspieszyła jeszcze decyzję młodej dziewczyny, która, mając we mnie jedyne oparcie w całym domu, z przykrością patrzała na chwilę, w której się oddalam i wzdychała do powrotu swego protektora. Zbliżenie serc, wzajemność naszych skłonności spowodowały niebawem zwyczajne skutki. Teresa czuła, iż trafiła we mnie na uczciwego człowieka; nie omyliła

[503] *epigram* a. *epigramat* (z gr. *epigramma*: inskrypcja) — bardzo krótki utwór poetycki, zwykle dowcipny, z wyrazistą puentą. [przypis edytorski]

[504] *Ascoytia* — ob. Azkoitia, miasto i gmina w płn. Hiszpanii, w Kraju Basków. [przypis edytorski]

[505] *fruktyfikować* (daw., z łac. *fructificare*: owocować) — tu: czerpać korzyści. [przypis edytorski]

się. Ja widziałem w niej dziewczynę tkliwą, prostą i wolną od zalotności; nie omyliłem się również. Oświadczyłem jej z góry, iż nie opuszczę jej ani nie zaślubię jej nigdy. Miłość, szacunek, naiwna prostota stały się rzecznikami mego tryumfu; i dlatego właśnie, iż serce jej było uczciwe i czułe, skłoniłem ją ku sobie, nie występując w roli zdobywcy.

Obawa Teresy, iż zrażę się, nie znajdując w niej tego, czego mniemała, że szukam, opóźniła, więcej niż cokolwiek innego, moje szczęście. Nim się poddała, długo wzdragała się w niepewności i pomieszaniu: chciała, abym ją zrozumiał, a nie śmiała się wypowiedzieć. Co do mnie, tłumaczyłem sobie przyczyny jej zakłopotania zupełnie odmiennie: wyobraziłem sobie powód fałszywy i nader obrażający dla jej obyczajów. Mniemając, iż Teresa wzdraganiem swoim ostrzega mnie, że zdrowiu memu groziłoby niebezpieczeństwo, popadłem w zamęt, który nie wstrzymał mnie, ale który przez kilka dni zatruwał moje szczęście. Ponieważ nie mogliśmy znaleźć drogi do porozumienia, rozmowy nasze w tym przedmiocie aż do śmieszności najeżone były zagadkami i omówieniami. Teresa mogła mnie w istocie uważać za zupełnego szaleńca; ja nie wiedziałem wręcz, co mam myśleć o niej. Wreszcie lody pękły; wyznała mi z płaczem jedyny błąd, jaki popełniła zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa, owoc jej nieświadomości i zręczności uwodziciela. Ledwie zrozumiałem ją, wydałem okrzyk radości: „Dziewictwo — wykrzyknąłem — Ba! właśnie to w Paryżu, i w dwudziestym roku, szuka się tego skarbu! Ach, moja Tereso, zbyt szczęśliwy jestem, iż mam cię oto poczciwą i zdrową i że nie znajduję tego, czego zgoła nie szukałem".

Zrazu chodziło mi jedynie o rozrywkę; ujrzałem niebawem, iż znalazłem więcej i że zyskałem towarzyszkę. Nieco zżycia się z tą nieocenioną dziewczyną, nieco zastanowienia nad mym położeniem dało mi uczuć, iż myśląc jedynie o zaspokojeniu zmysłów, uczyniłem cenny nabytek dla mego szczęścia. Trzeba mi było, w miejsce wygasłej ambicji, żywego uczucia, które by wypełniło me serce. Trzeba było, mówiąc po prostu, następczyni dla mamusi. Skoro nie miałem już żyć z nią, trzeba mi było kogoś, kto by żył z jej wychowankiem; w kim bym znalazł prostotę, powolność serca, jakie mamusia znalazła we mnie. Trzeba mi było, aby słodycze domowego i osobistego życia wynagrodziły stratę świetnego losu, którego się wyrzekłem. Kiedy byłem zupełnie sam, w sercu moim była próżnia; ale wystarczyło jednego serca, aby je wypełnić. Los odstrychnął ode mnie, przynajmniej w części, to, które natura dla mnie stworzyła. Od tego czasu byłem sam; nie istniała bowiem dla mnie nigdy pośrednia skala pomiędzy *wszystkim a niczym*. Znalazłem w Teresie dopełnienie, którego potrzebowałem; dzięki niej żyłem szczęśliwy, o ile mogłem nim być w danych okolicznościach.

Chciałem zrazu kształtować umysł swej towarzyszki — daremna praca. Dusza jej jest tym, czym uczyniła ją natura; hodowla i starania nie imają się jej. Nie wstydzę się wyznać, że nigdy nie nauczyła się dobrze czytać, mimo że pisze dość znośnie. Kiedy zamieszkałem przy ulicy Neuve-des-Petits-Champs, naprzeciw moich okien, w pałacu Pontchartrain, znajdował się zegar. Przez więcej niż miesiąc siliłem się nauczyć Teresę odczytywać godziny. Zaledwie zna je teraz. Nigdy nie mogła zapamiętać porządku dwunastu miesięcy w roku; nie zna ani jednej cyfry, mimo całego mozołu, z jakim starałem się ją z nimi zapoznać. Nie umie ani liczyć pieniędzy, ani nie zna ceny jakiejkolwiek rzeczy. W rozmowie używa często słów wręcz przeciwnych temu, co chce wyrazić. Swojego czasu, aby zabawić księżnę de Luxembourg, ułożyłem mały słowniczek jej powiedzeń: jej *qui pro quo*[506] stały się sławne. Ale ta osoba tak ograniczona, lub jeśli kto chce, tak głupia, potrafi być doskonałym doradcą w trudnych sytuacjach. Często w Szwajcarii, w Anglii, we Francji, w katastrofach, w jakich się znalazłem, ona spostrzegała to, czego ja sam nie umiałem spostrzec; dawała mi najzbawienniejsze rady; wyciągała mnie z niebezpieczeństw, w które rzucałem się ślepo; wobec najświetniejszych dam, wobec magnatów i książąt — uczucia jej, zdrowy rozsądek, odpowiedzi, postępowanie zjednały jej powszechny szacunek, mnie zaś powinszowania, co do których czułem, że są szczere.

W pobliżu osób, które się kocha, uczucie karmi umysł, zarówno jak serce; nie doświadczamy zbytniej potrzeby, aby gdzie indziej czerpać myśli. Żyłem ze swoją Teresą równie miło, co gdybym żył z najświetniejszym geniuszem świata. Matka jej, dumna, iż niegdyś chowała się z margrabiną de Monpipeau, stroiła się w piórka dowcipu i polo-

[506] *qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka; dosł.: kto zamiast którego. [przypis edytorski]

ru, chciała kierować Teresą i przez swą przemądrzałość psuła prostotę naszego życia. To uprzykrzone towarzystwo sprawiło, iż zwyciężyłem nieco głupi skrupuł nie pokazywania się z Teresą publicznie; urządzaliśmy sobie we dwójkę wyprawy na wieś i podwieczorki wprost rozkoszne. Widziałem, że ona kocha mnie szczerze, i to zdwajało mą czułość. Ta słodka zażyłość zastępowała mi miejsce wszystkiego; przyszłość nie obchodziła mnie lub raczej obchodziła jako przedłużenie teraźniejszości: nie pragnąłem niczego, jak tylko upewnić jej trwanie.

Przywiązanie to uczyniło mi wszelką inną rozrywkę zbyteczną i mdłą. Wychodziłem z domu jedynie po to, aby udać się do Teresy; jej dom był niemal moim. To odludne życie stało się tak zbawienne dla mej pracy, iż w niespełna trzy miesiące opera była gotowa: słowa i muzyka. Zostawało jedynie uzupełnić akompaniament i wykończyć niektóre łączniki. Ta rzemieślnicza robota była mi nad wyraz nudna. Prosiłem Philidora, aby się jej podjął, dając mu udział w korzyściach. Przyszedł dwa razy i wypełnił kilka scen w akcie Owidiusza, ale nie mógł się nałamać do tej wytężonej pracy dla oddalonego i zgoła niepewnego zysku. Nie wrócił więcej, musiałem dokończyć roboty sam.

Skoro opera była gotowa, trzeba mi było coś z nią zrobić: nowe, o wiele trudniejsze przedsięwzięcie. Nie ma sposobu uzyskać czegoś w Paryżu, jeśli się żyje z daleka od ludzi. Przyszło mi na myśl utorować sobie drogę przez pana de la Popliniere[507], do którego wprowadził mnie Gauffecourt po powrocie z Genewy. Pan de la Popliniere był mecenasem muzyka Rameau: pani de la Popliniere jego bardzo powolną uczennicą. Rameau, jak to powiadają, był w tym domu wyrocznią. Sądząc, że miło mu będzie poprzeć dzieło swego ucznia, zapragnąłem pokazać mu utwór. Odmówił, powiadając, że nie może czytać partycji, że go to zanadto męczy. La Popliniere rzekł na to, iż można mu ją przegrać; ofiarował się zebrać grajków dla wykonania niektórych ustępów. Można zrozumieć, jak bardzo zamiar ten był mi po myśli! Rameau zgodził się, mamrocząc i powtarzając bez ustanku, że ładna to musi być rzecz utwór człowieka niefachowego i samouka. Czym prędzej rozpisałem partie kilku wybranych ustępów. Dano mi z jakich dziesięciu grajków, jako śpiewaków zaś Alberta, Bérarda i pannę Bourbonnais. Od samej uwertury Rameau przesadnymi swymi pochwałami zaczął dawać do zrozumienia, iż utwór nie może być mój. Raz po razu okazywał wyraźne zniecierpliwienie; ale kiedy przyszła aria na *contralto*[508], o męskiej i dźwięcznej melodii i nader świetnym akompaniamencie, nie mógł się już wstrzymać; napadł na mnie z brutalnością, która zgorszyła całe towarzystwo, iż to, co słyszał przed chwilą, jest dziełem skończonego mistrza, reszta zaś płodem nieuka, który nawet nie ma pojęcia o muzyce. I prawdą jest, iż praca moja, nierówna i bez reguł, była na przemian to wzniosła, to bardzo płaska, jak musi być praca każdego, kto wzbija się jedynie wzlotami natchnienia, nie podtrzymywany znajomością sztuki. Rameau upierał się widzieć we mnie mizernego rabusia bez talentu i smaku. Inni słuchacze, zwłaszcza pan domu, byli odmiennego zdania. Pan de Richelieu, który w owym czasie żył blisko z bratem królewskim, a także, jak wszystkim wiadomo, z panią de la Popliniere, posłyszał o mym dziele i zapragnął usłyszeć je w całości, z zamiarem przedstawienia go na dworze, jeśli uzna, że jest tego warte. Wykonano je na wielki chór i orkiestrę, na koszt króla, u pana de Bonneval, intendenta uciech królewskich. Francoeur kierował wykonaniem. Skutek był zadziwiający; książę nie przestawał wykrzykiwać i klaskać w ręce; z końcem zaś jednego chóru w akcie Tassa wstał, podszedł do mnie i ścisnął mi rękę: „Panie Rousseau — rzekł — oto melodia wprost porywająca, nie słyszałem w życiu nic piękniejszego: każę wystawić to dzieło w Wersalu". Pani de la Popliniere, obecna przy tej scenie, nie rzekła ni słowa. Rameau, mimo iż zaproszony, nie przyszedł. Nazajutrz pani de la Popliniere przyjęła mnie przy toalecie bardzo cierpko. Starała się obniżyć mój utwór i rzekła, iż mimo że hałas i błyskotliwość oszołomiły na chwilę pana de Richelieu, oprzytomniał już znacznie; co do niej, nie radzi mi liczyć na moją operę. W chwilę potem przybył książę: odniósł się do mnie zupełnie inaczej; oświadczył wiele pochlebnych rzeczy co do mych talentów i zdawał się ciągle trwać w zamiarze wystawienia sztuki wobec króla. Jedynie (rzekł) akt z Tassem nie może ujść na dworze: trzeba napisać inny. Na to oświadczenie poszedłem zamknąć się w domu. Za trzy miesiące sporządziłem w miejsce *Tassa* inny akt,

[507] *La Poplinière, Alexandre Jean Joseph Le Riche de* (1693–1762) — bogaty poborca podatkowy, mecenas muzyki i literatury. [przypis edytorski]

[508] *contralto* (wł., muz.) — kontralt, najniższy głos żeński. [przypis edytorski]

którego przedmiot stanowił Hezjod[509] natchniony przez muzę. Znalazłem sposób, aby w tym akcie zamknąć coś z historii mego talentu oraz zazdrości, jaką Rameau raczył go zaszczycać. Ten nowy akt był podniosły, ale mniej gigantyczny i lepiej przeprowadzony niż *Tasso*; muzyka równie szlachetna, a o wiele lepiej napisana. Gdyby dwa następne akty stały na tej wysokości, sztuka byłaby chlubnie wytrzymała przedstawienie. Ale podczas gdy pracowałem nad ostatecznym wykończeniem, odciągnęło mnie znowuż inne przedsięwzięcie.

(1745–1747). W ciągu zimy, która nastąpiła po bitwie pod Fontenoi[510], było wiele zabaw w Wersalu, między innymi wystawiano kilka oper. W ich liczbie był dramat Woltera[511] pod tytułem *Księżniczka Nawarry*; Rameau dorobił doń muzykę, całość zaś zmieniono i przerobiono pod godłem *Festynów Ramiry*. Ten nowy przedmiot wymagał wielu zmian w dawnym scenariuszu, tak w wierszach, jak w muzyce. Chodziło o znalezienie kogoś, kto by mógł wypełnić to podwójne zadanie. Ponieważ Wolter, wówczas bawiący w Lotaryngii, i Rameau, obydwaj zajęci na tę chwilę operą pt. *Świątynia Chwały*, nie mogli poświęcić swego czasu tej pracy, książę de Richelieu pomyślał o mnie i zapytał, czybym się tego nie podjął. Abym się lepiej rozpatrzył w zadaniu, które mnie czekało, posłał mi oddzielnie poemat i muzykę. Pierwszym mym krokiem było oświadczyć, iż nie chcę tykać słów inaczej jak za zezwoleniem autora; jakoż napisałem doń w tej materii list nader uprzejmy, a nawet pełen szacunku, jak się godziło. Oto odpowiedź, której oryginał mieści się w pliku A, nr 1.

15 grudnia 1745

Łączy pan, drogi Panie, dwa talenty, które dotąd chadzały oddzielnymi drogami. Oto już dostateczne dwie przyczyny, aby obudzić we mnie szacunek i sympatię dla Jego osoby. Przykro mi za Pana, iż masz użyć tych dwóch talentów dla dzieła, które niezbyt jest ich godne. Kilka miesięcy temu książę Richelieu kazał mi, bez apelacji, sporządzić w mgnieniu oka krótki i byle jaki szkic z kilku mdłych i okrojonych scen, które to sceny miały być dostosowane do podkładu muzycznego, nie robionego umyślnie dla nich. Usłuchałem z największą ścisłością: napisałem bardzo prędko i bardzo licho. Posłałem tę nędzną ramotę księciu w nadziei, iż nie zrobi z niej użytku lub że ją przedtem będę mógł poprawić. Na szczęście szkic ów jest w Pańskich rękach; jesteś jego absolutnym panem; co do mnie, cała ta błahostka wyszła mi zupełnie z pamięci. Nie wątpię, iż poprawi Pan z pewnością wszystkie błędy, jakie musiały się nieodzownie wymknąć w pospiesznym kreśleniu prostego zarysu, i że uzupełnisz w pożądany sposób wszystkie braki.

Przypominam sobie, między innymi niezdarstwami, iż w partiach łączących sceny baletowe nie jest powiedziane, w jaki sposób księżniczka Grenadyny dostaje się nagle z więzienia do ogrodu czy pałacu. Ponieważ to nie czarodziej wyprawia festyn, ale wielki pan hiszpański, zdaje mi się, że nic nie powinno się dziać za pomocą czarnoksięstwa. Proszę Pana bardzo, abyś zechciał przepatrzeć ten ustęp, o którym mam jedynie mgliste pojęcie. Zbadaj, czy potrzebne jest, aby otwarto więzienie i przeprowadzono księżniczkę z tego więzienia do pięknego złoconego i lśniącego pałacu przygotowanego dla niej. Wiem dobrze, że to wszystko to wielkie głupstwo i że przywiązywać jakąś wagę do tych błahostek jest rzeczą poniżej godności myślącej istoty; ale ostatecznie, ponieważ chodzi o to, aby widowisko robiło najmniej nieudałe[512] wrażenie, trzeba nawet w głupim balecie starać się sklecić rzecz z możliwym sensem.

[509] *Hezjod* (VIII–VII p.n.e.) — epik grecki porównywany z Homerem, autor m.in. dydaktycznego poematu o rolnictwie pt. *Prace i dni*. [przypis edytorski]

[510] *bitwa pod Fontenoi* — wspaniałe zwycięstwo Maurycego Saskiego nad Anglikami i Austriakami (1745). [przypis tłumacza]

[511] *dramat Woltera* — Wolter liczył wówczas lat 51 i znajdował się od dawna na szczycie chwały. [przypis tłumacza]

[512] *nieudały* (daw.) — nieudany. [przypis edytorski]

Zdaję się ze wszystkim na Pana i na pana Ballod i mam nadzieję, iż niebawem będę miał zaszczyt podziękować Panu osobiście oraz zapewnić, do jakiego stopnia jestem, etc.

Niechaj czytelnika nie dziwi nadzwyczajna uprzejmość tego listu w porównaniu do innych, wpółlekceważących, jakie ten sam człowiek pisywał do mnie później. Myślał, iż jestem w łaskach u księcia Richelieu; otóż, znana dworacka giętkość pana de Voltaire kazała mu zachować wszystkie względy dla nowego przybysza, póki nie pozna lepiej miary jego faworów.

Upoważniony przez pana de Voltaire, a wolny od wszystkich względów wobec Rameau, który starał mi się tylko szkodzić, zabrałem się do dzieła i w dwa miesiące uporałem się z robotą. Co się tyczy wierszy, niewiele zadałem sobie trudu. Starałem się jedynie o to, aby nie było czuć różnicy stylów; i jestem na tyle zarozumiały, iż sądzę, że mi się powiodło. Co się tyczy muzyki, praca była dłuższa i mozolniejsza. Poza tym, iż musiałem dopisać wiele wstawek, między innymi uwerturę, cały recytatyw[513], którego się podjąłem, okazał się nadzwyczaj trudny. Trzeba było łączyć, często w niewielu wierszach i w bardzo szybkich modulacjach, symfonie i chóry o bardzo oddalonych tonacjach; nie chcąc bowiem, aby Rameau mógł mnie winić, że przekształciłem jego melodie, nie chciałem nic zmieniać ani transportować. Recytatyw ten udał mi się. Był dobry w akcentach, pełen energii, zwłaszcza wybornie modulowany. Myśl o dwóch niepospolitych ludziach, którym raczono przydać mnie za współpracownika, dodała mi skrzydeł; mogę powiedzieć, że w pracy tej, niewdzięcznej i bezsławnej, o której publiczność nie miała nawet wiedzieć, dotrzymywałem prawie zawsze kroku swym modelom.

Sztukę, w tej postaci, jaką jej nadałem, przepróbowano w wielkim teatrze Opery. Z trzech autorów, ja jeden byłem obecny. Woltera nie było, Rameau nie przyszedł albo też został w ukryciu.

Słowa pierwszego monologu były nader posępne. Oto początek:

O śmierci, przyjdź położyć kres mojej niedoli!

Trzebaż było i muzykę dobrać odpowiednią. Mimo to pani de la Poplinière oparła na tym punkcie swą krytykę, obwiniając mnie nader cierpko, że zrobiłem muzykę pogrzebową. Pan de Richelieu zaczął, bardzo słusznie, od pytania, czyjego pióra są wiersze monologu. Przedłożyłem rękopis, świadcząc się nim, iż wiersze są Woltera. „W takim razie — rzekł — jedynie Wolter zawinił". Podczas próby wszystko, co było mojej roboty, ściągnęło na siebie konsekwentną przyganę pani de la Poplinière, a obronę pana de Richelieu. Ale, ostatecznie, miałem do czynienia z nazbyt możnym przeciwnikiem; oznajmiono mi, iż trzeba w mojej pracy przerobić wiele rzeczy, co do których należy się poradzić pana Rameau. Zgnębiony podobną konkluzją w miejsce pochwał, których się spodziewałem i które z pewnością mi się należały, wróciłem do domu śmiertelnie zgnębiony. Wyczerpany znużeniem, żarty zgryzotą, rozchorowałem się i przez sześć tygodni nie mogłem się ruszyć z domu.

Rameau, któremu polecono dokonanie zmian poleconych przez panią de la Poplinière, posłał do mnie z prośbą o uwerturę mojej wielkiej opery, w miejsce tej, którą ułożyłem umyślnie dla niego. Na szczęście spostrzegłem pułapkę i odmówiłem. Ponieważ przedstawienie miało się odbyć za kilka dni, nie miał już czasu napisać sam nowej i trzeba mu było zostawić moją. Była zrobiona na sposób włoski, w stylu bardzo nowym wówczas we Francji. Mimo to spodobała się; dowiedziałem się przez pana de Valmalette, marszałka dworu królewskiego, a zięcia pana Musard, mego krewnego i przyjaciela, iż miłośnicy byli bardzo radzi z mej pracy i że publiczność nie odróżniła jej od dzieła Rameau. Ale ten, w porozumieniu z panią de la Poplinière, poczynił starania, aby nie wiedziano nawet o mym współpracownictwie. Na książeczkach z tekstem, które rozdaje się widzom i gdzie zawsze wymienieni są autorowie, figurowało jedynie nazwisko Woltera; Rameau wolał, aby usunięto jego nazwisko, niż aby miało być połączone z moim.

Ledwie wstawszy z łóżka, próbowałem udać się do pana de Richelieu. Trafiłem za późno: wyjechał właśnie do Dunkierki, gdzie miał kierować odjazdem floty przeznaczonej

[513] *recytatyw* — melodeklamacja na tle muzycznym, element opery. [przypis edytorski]

do Szkocji[514]. Skoro wrócił, powiedziałem sobie, dla usprawiedliwienia swego lenistwa, że już za późno. Od tego czasu nie spotkałem księcia; straciłem tedy chwałę, jaką przynosiło mi moje dzieło, i honorarium, które miałem zań osiągnąć; czas, praca, zgryzota, choroba i pieniądze, jakie wyłożyłem, wszystko poszło na marne, nie przyniósłszy mi ani szeląga zysku, lub raczej odszkodowania. Zdawało mi się wszelako zawsze, iż pan de Bichelieu miał pierwotnie sympatię dla mnie i dobre wyobrażenie o mych talentach; ale nieszczęśliwa moja gwiazda oraz pani de la Poplinière udaremnili jego dobrą wolę.

Nie mogłem zrozumieć uprzedzenia tej kobiety, której zawsze siliłem się podobać i której dość regularnie przedkładałem swoje służby. Gauffecourt wytłumaczył mi przyczyny. „Przede wszystkim — rzekł — przyjaźń jej dla Rameau, którego jest niejako urzędową protektorką, a który nie może ścierpieć współzawodnika; po wtóre, grzech pierworodny, który gubi pana w jej oczach i którego nie przebaczy ci nigdy, mianowicie, że jesteś genewczykiem". Za czym wytłumaczył mi, że ksiądz Hubert, który pochodził z Genewy, a zarazem był szczerym przyjacielem pana de la Poplinière, dołożył wszelkich starań, aby go wstrzymać od zaślubienia tej kobiety, którą znał dobrze; gdy małżeństwo doszło do skutku, przysięgła nieubłaganą nienawiść jemu, a wraz z nim wszystkim genewczykom. „Mimo że la Poplinière — dodał — z pewnością jest panu życzliwy, nie licz na jego poparcie. Jest zakochany w żonie: nie uzyskasz nic w tym domu". Zastosowałem się do przestrogi.

Tenże Gauffecourt oddał mi mniej więcej w tym samym czasie przysługę, której bardzo mi było trzeba. Straciłem mego zacnego ojca, w wieku blisko sześćdziesięciu lat. Stratę tę odczułem mniej, niżbym ją odczuł w innej epoce, kiedy kłopoty własnej sytuacji mniej mnie zaprzątały. Nie chciałem za jego życia upominać się o majątek, który mi został po matce i z którego niewielki dochód ojciec obracał na własne potrzeby. Po jego śmierci skrupuł ten przestał istnieć. Ale brak prawnego dowodu śmierci brata nastręczał trudności, które Gauffecourt podjął się usunąć i które usunął rzeczywiście przy pomocy adwokata Lolme. Ponieważ niezmiernie było mi trzeba tego małego zasiłku, wynik zaś był wątpliwy, oczekiwałem z najżywszym wzruszeniem ostatecznej wiadomości. Jednego wieczora, wracając do domu, zastałem list, który miał zawierać tę wiadomość; wziąłem go w ręce z drżeniem, którego zawstydziłem się przed samym sobą. „Jak to! — rzekłem w duchu ze wzgardą. — Jan Jakub miałby się do tego stopnia poddać wyrachowaniu i ciekawości?" Rzuciłem natychmiast list z powrotem na kominek; rozebrałem się, położyłem spokojnie, spałem lepiej niż zazwyczaj i wstałem nazajutrz dość późno, nie myśląc już o liście. Ubierając się, spostrzegłem go; otworzyłem bez pośpiechu; znalazłem przekaz bankowy. Doświadczyłem w tej chwili wielu przyjemności naraz, ale mogę przysiąc, iż najżywszą było to, że potrafiłem się zwyciężyć. Mógłbym przytoczyć dwadzieścia podobnych rysów z mego życia, ale zbyt mi spieszno, abym zdołał wszystko powiedzieć. Cząstkę pieniędzy przesłałem biednej mamusi, żałując ze łzami szczęśliwego czasu, w którym byłbym wszystko złożył u jej stóp. Listy jej świadczyły o rozpaczliwym położeniu. Posyłała mi stosy recept i sekretów, mających, jak twierdziła, zapewnić fortunę jej i mnie. Poczucie własnej nędzy ściskało jej serce i zacieśniało umysł. I ten drobiazg, który jej posłałem, stał się pastwą oblegających ją hultajów; nie przyszło jej z tego nic. To zniechęciło mnie na przyszłość, bym miał dzielić moje skromne mienie z tymi nędznikami, zwłaszcza po bezużytecznej próbie, jaką podjąłem, aby biedaczkę wyrwać z ich rąk, jak to opowiem w dalszym ciągu.

Czas uciekał, pieniądze wraz z nim. Było nas dwoje, nawet czworo, lub, aby lepiej rzec, siedmioro lub ośmioro. Jakkolwiek bowiem Teresa odznaczała się niemal bezprzykładną bezinteresownością, matka jej nie była bynajmniej w tym do niej podobna. Skoro tylko skrzepiła się trochę dzięki mej pomocy, sprowadziła całą rodzinę, iżby dzieliła z nią dobrobyt. Siostry, synowie, córki, wnuczki, wszystko, z wyjątkiem starszej córki, będącej za poczmistrzem[515] w Angers, ściągnęło do Paryża. Wszystko, com czynił dla Teresy, matka odciągała na korzyść tych głodomorów. Ponieważ nie miałem do czynienia z osobą chciwą i nie byłem opanowany szaloną namiętnością, nie robiłem szaleństw. Zadowolony,

[514] *do Dunkierki, gdzie miał kierować odjazdem floty przeznaczonej do Szkocji* — pod koniec 1745, w celu wsparcia powstania jakobitów na mocy układu Ludwika XV z pretendentem do tronu Anglii i Szkocji Karolem Edwardem Stuartem; ekspedycję odwołano w grudniu. [przypis edytorski]

[515] *być za poczmistrzem* (daw.) — być żoną poczmistrza. [przypis edytorski]

iż mogę uczciwie, lecz bez zbytku zabezpieczyć Teresie najpilniejsze potrzeby, godziłem się, aby to, co zarabia własną pracą, szło w całości na rzecz matki i nawet nie ograniczałem się do tego; ale przez jakąś fatalność, która mnie ścigała, tak samo jak mamusia była pastwą obieżyświatów, tak Teresa była znów łupem swej rodziny. Tak więc w żadnej mierze nie byłem w możności uczynić nic, co by wyszło na korzyść tej, dla której było przeznaczone. Osobliwe było, iż najmłodsza z córek pani Le Vasseur, jedyna, która nie otrzymała posagu, była zarazem jedyną, która żywiła ojca i matkę. Długo prześladowana, bita nawet przez braci, siostry, nawet siostrzenice, biedna dziewczyna wystawiona była obecnie na pastwę ich chciwości, tak samo nie umiejąc się obronić ich łupiestwu jak ich razom. Jedna jedyna z jej siostrzenic nazwiskiem Goton Leduc była dość sympatyczna i dość ujmującego charakteru, mimo iż zepsuta przykładem i naukami innych. Ponieważ widywałem je często razem, dawałem im imiona, które one same sobie dawały: mówiłem do siostrzenicy „siostrzeniczko", do ciotki zaś „ciociu". Obie nazywały mnie wujaszkiem. Stąd miano „ciotki", jakim i nadal nazywałem Teresę i które przyjaciele moi powtarzali niekiedy żartobliwie.

Jasne jest, iż w podobnym położeniu nie miałem ani chwili do stracenia. Sądząc, iż pan de Richelieu zapomniał o mnie i nie spodziewając się niczego ze strony dworu, uczyniłem niejakie starania o wystawienie mej opery w Paryżu. Trafiłem na trudności, których zwyciężenie wymagało czasu, potrzeby zaś z każdym dniem były bardziej naglące. Spróbowałem przedłożyć komedyjkę *Narcyz* aktorom włoskiej trupy. Przyjęto ją, ofiarowano wstęp do teatru, co dostarczyło mi wielu przyjemnych chwil; ale to i wszystko. Nie mogłem nigdy doprosić się, aby wreszcie wystawiono sztukę; zmierziwszy sobie te nadskakiwania aktorom, dałem wszystkiemu pokój. Wróciłem wreszcie do ostatniego środka, jaki pozostawał i od którego powinienem był zacząć. Uczęszczając do pana de la Popliniere, oddaliłem się od państwa Dupin. Obie panie, mimo iż krewne, nieszczególnie żyły z sobą i nie bywały u siebie. Między domami ich nie było żadnej styczności, jedyny Thieriot bywał u obu. Polecono mu, aby się postarał ściągnąć mnie z powrotem do państwa Dupin. Pan de Francueil zajmował się wówczas historią naturalną i chemią, tworzył gabinet przyrodniczy. Sądzę, iż miał widoki na Akademię; w tym celu zamierzał napisać książkę i mniemał, że mógłbym mu być w tym użyteczny. Pani Dupin, która ze swej strony planowała inną książkę, miała na mnie niemal podobne zamiary. Byliby chcieli posiadać mnie wspólnie jako sekretarza i w tym też duchu zaczął wpływać na mnie Thieriot. Zażądałem przede wszystkim, aby pan de Francueil wspólnie ze śpiewakiem Jélyotte[516] użyli swego wpływu i uzyskali dla mego utworu próbę w Operze. W istocie, przepróbowano *Tkliwe Muzy*, najpierw kilka razy przy zamkniętych drzwiach, później w pełnej sali. Było mnóstwo ludzi na pełnej próbie i wiele ustępów spotkało się z żywym poklaskiem. Mimo to czułem sam podczas wykonania (bardzo źle prowadzonego przez Rebela), że sztuka nie przejdzie, a nawet nie nadaje się do wystawienia bez wielkich poprawek. Toteż wycofałem ją, nie mówiąc ani słowa i nie narażając się na odmowę; ale widziałem jasno z wielu oznak, iż gdyby nawet dzieło było doskonałe, nie byłoby przeszło. Pan de Francueil przyrzekł, że uzyska próbę, ale nie przyjęcie. Dotrzymał wiernie słowa. Zawsze zdawało mi się, w tej okoliczności i w wielu innych, iż ani on, ani pani Dupin nie mieli zbytniej ochoty, abym doszedł do pewnego uważania w świecie, z obawy aby skoro pojawią się ich dzieła, nie przypuszczano, iż wspomagali się moją głową. Mimo to, ponieważ pani Dupin rozumiała zawsze bardzo niewiele o moich talentach i używała mnie jedynie do pisania pod dyktandem lub też do robót czysto erudycyjnych, posądzenie to, zwłaszcza co się jej tyczy, byłoby bardzo niesprawiedliwe.

(1747–1749). Ten ostatni zawód zniechęcił mnie do reszty. Poniechałem wszelkich zamiarów wybicia się i zdobycia sławy; nie myśląc już o prawdziwych lub urojonych talentach, które przynosiły mi tak niewiele, obróciłem czas i starania na zdobywanie środków egzystencji dla siebie i Teresy w sposób, jaki spodoba się tym, którzy podejmą się opatrzyć moje potrzeby. Poświęciłem się tedy zupełnie pani Dupin i panu de Francueil. Nie przyniosło mi to wielkich dostatków; z ośmioma- lub dziewięciomaset franków rocznie, jakie miałem przez pierwsze dwa lata, ledwie że miałem czym nastarczyć pierwszym po-

[516] *Jélyotte, Pierre* (1713–1797) — śpiewak opery paryskiej (tenor), uważany za najświetniejszego w swoich czasach. [przypis edytorski]

trzebom, zmuszony mieszkać w ich pobliżu, w umeblowanym pokoju, w dzielnicy dość drogiej i płacąc drugie mieszkanie na krańcu Paryża, na samym końcu ulicy św. Jakuba, dokąd, bez względu na pogodę, udawałem się na wieczerzę niemal co dzień. Niebawem włożyłem się do nowych zajęć, a nawet zasmakowałem w nich. Zapaliłem się do chemii; przeszedłem kurs wraz z panem de Francueil u pana Rouelle; i oto zabraliśmy się do psucia papieru rozprawami o tej wiedzy, której ledwie posiadaliśmy pierwsze zasady. W r. 1747 wybraliśmy się spędzić zimę w Turenii, w zamku Chenonceaux zbudowanym przez Henryka II dla Diany de Poitiers, której monogramy widzi się tam jeszcze, obecnie w posiadaniu pana Dupin, generalnego dzierżawcy króla imci. Bawiono się w tej uroczej miejscowości doskonale; karmiono też niezgorzej, upasłem się tam na kształt mnicha. Uprawiano wiele muzyki. Ułożyłem kilka tercetów[517] odznaczających się nader pełną harmonią; pomówię o nich jeszcze w uzupełnieniu tej książki, jeżeli kiedy zdobędę się na nie. Grywano teatr. Napisałem w ciągu dwóch tygodni sztuczkę w trzech aktach pod tytułem *Lekkomyślne zobowiązanie*[518], która znajduje się w moich papierach; poza szczerą wesołością nie ma ona innych zalet. Ułożyłem też parę innych utworów, między innymi sztukę wierszem pod tytułem *Aleja Sylwii*, od alei parku okolonego rzeką Cher. Wszystko to bez uszczerbku w pracach nad chemią i służbach przy pani Dupin.

Podczas gdy ja tyłem w Chenonceaux, biedna Teresa tyła w Paryżu w inny sposób; kiedym wrócił, zastałem robotę wziętą przeze mnie na warsztat posuniętą dalej, niżbym przypuszczał. Zważywszy mą sytuację, byłoby mnie to wtrąciło w niezmierny kłopot, gdyby towarzysze stołu nie podsunęli mi jedynego środka zaradczego, który mnie mógł zeń wydobyć. Jest to jedna z tych zasadniczych kwestii, co do których trzeba mi w opowiadaniu ograniczyć się do najprostszego przytoczenia faktów, ponieważ komentując je, trzeba by mi albo usprawiedliwiać się, albo obciążać; nie jest zaś moim zadaniem czynić tu jedno lub drugie.

Podczas pobytu Altuny w Paryżu, zamiast jadać w traktierni[519], jadaliśmy obaj zwyczajnie w sąsiedztwie, prawie naprzeciw ślepej uliczki Opery, u niejakiej pani La Selle, żony krawca. Dama ta dawała jeść dość licho, mimo to stół jej był bardzo poszukiwany z przyczyny dobrego i pewnego towarzystwa, które gromadził. Nie przyjmowano tam nikogo nieznajomego; nowego przybysza musiał wprowadzić ktoś ze stałych gości. Komandor de Graville, stary hulaka, pełen dworności i dowcipu, ale zaprawionego wyuzdaniem, mieszkał tam i ściągał lekką i świetną młodzież, przeważnie oficerów gwardii i muszkieterów. Komandor de Nonant, rycerz wszystkich dziewcząt z Opery, przynosił co dzień nowiny z tego zamtuza[520]. Pan du Plessis, pensjonowany podpułkownik, dobry i zacny starzec, i Ancelet[521], oficer muszkieterów, utrzymywali niejaki statek wśród młodych biesiadników. Przychodzili także kupcy, finansiści, dostawcy, ale wyłącznie ludzie grzeczni, przyzwoici, zaszczytnie wyróżniający się w swoim zawodzie: de Besse, de Forcade i inni, których nazwisk zapomniałem. Słowem, spotykało się przyzwoitych ludzi wszystkich stanów, z wyjątkiem klechów i urzędników, których nie widziałem tam nigdy; istniała jak gdyby cicha umowa, aby ich nie wprowadzać. Stół ten, dość liczny, był bardzo wesoły bez hałaśliwości; lubiono pożartować sobie, lecz bez grubiaństwa. Stary komandor, ze swymi opowiastkami, tłustymi z treści, nie wyzbywał się nigdy dworności dawnego światowca: ilekroć jakieś plugawe słowo wyszło z jego ust, to zawsze zaprawione tak uciesznym smakiem, iż nawet kobiety byłyby mu je przebaczyły. Ton jego służył za prawidło całemu stołowi; młodzi ludzie opowiadali swoje miłostki z równą swobodą jak wdziękiem. Na temacie nie zbywało, zwłaszcza że magazyn był wprost naprzeciwko. Korytarz prowadzący do pani La Selle wiódł również do sklepu jejmości Duchapt, słynnej

[517] *tercet* (muz.) — tu: utwór muzyczny dla trójki wykonawców. [przypis edytorski]

[518] Lekkomyślne zobowiązanie — wszystkie te sceniczne utwory Russa są bardzo słabe. [przypis tłumacza]

[519] *traktiernia* (daw.) — jadłodajnia. [przypis edytorski]

[520] *zamtuz* (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

[521] *Ancelet* — temu to panu Ancelet ofiarowałem komedyjkę mego pióra, pt. *Jeńcy wojenni*, napisaną po klęskach Francuzów w Bawarii i w Czechach, której nigdy nie odważyłem się pokazać ani przyznać się do niej, a to dla tej osobliwej przyczyny, iż nigdy król ani Francja, ani Francuzi nie spotkali się z gorętszą i szczerszą pochwałą niż w tej sztuce i że ja, republikanin i opozycjonista, nie śmiałem się pokazać chwalcą narodu, którego wszystkie zasady były przeciwne moim. Bardziej zgnębiony nieszczęściami Francji niż sami Francuzi, lękałem się, aby nie uznano za pochlebstwo i tchórzliwość tych oznak szczerego przywiązania, którego epokę i przyczyny podałem w pierwszej części *Wyznań*, a którego wstydziłem się okazywać. [przypis autorski]

modniarki; miała ona podówczas bardzo ładne dziewczęta, do których nasi panicze zachodzili na słówko przed obiadem albo po obiedzie. Byłbym i ja dzielił te zabawy, gdyby nie moja nieśmiałość. Trzeba było po prostu wejść jak oni; nigdy nie mogłem się na to zdobyć. Co do pani La Selle, po wyjeździe Altuny zachodziłem tam nadal często na obiad. Nasłuchałem się mnóstwa anegdotek, bardzo zabawnych, i przejąłem się pomału nie, Bogu dzięki, obyczajami, ale zasadami, jakie tam panowały. Uczciwe osoby wyprowadzone w pole, oszukani mężowie, uwiedzione żony, tajemne porody — to była zwyczajna treść tych rozmów; ten, kto najhojniej zaopatrywał dom podrzutków, był najbardziej oklaskiwanym bohaterem. To mi się udzieliło; ukształtowałem swój sposób myślenia wedle tego, jaki widziałem u ludzi bardzo miłych i w gruncie bardzo zacnych; rzekłem sobie: „Taki jest obyczaj tego kraju, można się go trzymać skoro nam tu żyć wypadło. Oto ratunek, którego szukałem". Zdecydowałem się nań śmiało, bez cienia skrupułu; jedyną przeszkodą do zwyciężenia był skrupuł Teresy. Miałem największe w świecie trudności, aby nakłonić ją do tego jedynego środka zdolnego ocalić mój honor. Matka jej, która lękała się kłopotu z nowym przychówkiem, przyszła mi z pomocą: wreszcie, zdołaliśmy ją namówić. Wybrano doświadczoną i pewną położną, niejaką pannę Gouin, zamieszkałą na końcu ul. św. Eustachego, aby jej powierzyć ten ciężar; za czym kiedy czas nadszedł, matka zaprowadziła Teresę do jejmości Gouin na odbycie połogu. Odwiedziłem ją tam kilka razy i zaniosłem znak, który kazałem wykonać podwójnie, na dwóch kartach: jedną z nich przyczepiono do powijaków dziecka, po czym położna złożyła je w kancelarii domu podrzutków, wedle zwyczajnej formy. Następnego roku ten sam kłopot i ten sam ratunek, z wyjątkiem znaku, którego poniechano. Ten sam brak skrupułu z mojej strony, ta sama niechęć ze strony matki: usłuchała z ciężkim sercem. Czytelnik ujrzy w dalszym ciągu smutne następstwa, jakie to nieszczęsne postępowanie spowodowało w moim sposobie myślenia, jak również w moich losach. Na razie zostańmy przy tej pierwszej epoce. Następstwa jej, równie okrutne jak nieprzewidziane, aż nadto często każą mi do niej wracać.

Ojciec, Opieka

Znaczę tu okres pierwszego poznania z panią d'Epinay[522], której imię często pojawi się w tych pamiętnikach. Była to z domu panna d'Esclavelles; zaślubiła niedawno pana d'Epinay, syna pana de Lalive de Bellegarde, generalnego dzierżawcy. Mąż jej przepadał za muzyką, podobnie jak Francueil. Ona również była zapaloną muzyczką; zamiłowanie do tej sztuki spowodowało wielką zażyłość między nimi trojgiem. Francueil wprowadził mnie do pani d'Epinay; zachodziłem tam z nim czasem na wieczerzę. Była to osoba miła, utalentowana; pod każdym względem znajomość niewątpliwie cenna. Ale miała przyjaciółkę, niejaką pannę d'Ette; ta uchodziła za osobę złą, a żyła z kawalerem Valory, który również miał nie najlepszą opinię. Sądzę, iż obcowanie z dwojgiem tych osób nie wyszło na dobre pani d'Epinay, której natura dała wraz z bardzo wymagającym temperamentem znakomite przymioty ku miarkowaniu lub też okupieniu jego porywów. Przyjaźń pana de Francueil dla mnie udzieliła się do pewnego stopnia i jego przyjaciółce. Francueil zwierzył mi się z łączących ich stosunków, o których, dla tej przyczyny, nie mówiłbym tutaj, gdyby nie to, że stały się tak publiczne, iż nie ukrywano ich nawet przed panem d'Epinay. Uczynił mi nawet co do tej damy bardzo osobliwe zwierzenia[523], których ona sama nie udzieliła mi nigdy i nie sądziła nigdy, abym je posiadał; nie pisnąłem bowiem ani nie pisnę o tym słowa, ani przed nią, ani przed kimkolwiek. Całe to zaufanie jednej i drugiej strony czyniło moje położenie dość kłopotliwym, zwłaszcza wobec pani de Francueil, która znała mnie na tyle, aby mieć do mnie pełne zaufanie, mimo stosunków moich z jej rywalką. Pocieszałem, jak umiałem tę biedną kobietę, której mąż ani w cząstce nie odpłacał miłości, jaką żywiła dla niego. Przyjmowałem oddzielnie zwierzenia tych trojga osób; strzegłem ich tajemnic z największą sumiennością, tak iż żadna z nich

[522]*pani d'Epinay*, [właśc. *Louise Florence Pétronille Tardieu d'Esclavelles d'Épinay*] (1726–1783) — była to żona generalnego dzierżawcy, poza tym płaskiego utracjusza i hulaki. Od r. 1749 była z przyczyny wybryków męża separowana majątkowo. Po rozstaniu się z panem de Francueil zawiązała stosunek miłosny z Grimmem; związek ten trwał od r. 1755 do końca jej życia. Obdarzona wybitnym talentem literackim, współpracowała często w *Correspondance littéraire* Grimma; pedagogiczny jej romans *Rozmowy między matką a córką* odznaczyła Akademia „nagrodą cnoty" Monthyona. Głośne są *Pamiętniki pani d'Epinay*, długo uważane za wiarogodny dokument (por. *Od tłumacza*); ukazały się w r. 1818. [przypis tłumacza]

[523]*osobliwe zwierzenia* — tyczyły, zdaje się, choroby, której udzielił pani d'Epinay jej mąż, a którą ona znowuż obdarzyła pana de Francueil. [przypis tłumacza]

nie zdołała mi wydrzeć tajemnicy innych; nie ukrywałem zarazem przed żadną z pań sympatii dla jej rywalki. Pani de Francueil, która chciała się mną posłużyć w niejednym wypadku, spotkała się z formalną odmową; panią zaś d'Epinay, gdy raz próbowała mnie obarczyć listem do Francueila, potraktowałem tak samo, z dodatkiem bardzo stanowczego oświadczenia, iż jeżeli chce mnie wypędzić na zawsze, wystarczy, aby mi uczyniła drugi raz podobną propozycję. Trzeba oddać sprawiedliwość pani d'Epinay: nie tylko nie czuła się urażona moim postępkiem, ale opowiedziała o nim Francueilowi z niejakim uznaniem i przyjmowała mnie nadal równie życzliwie jak wprzódy. W ten więc sposób w burzliwych stosunkach między trojgiem osób, z którymi musiałem się liczyć, zależny od nich do pewnego stopnia i szczerze do nich przywiązany, zachowałem aż do końca ich przyjaźń, szacunek, zaufanie, postępując ze słodyczą i uprzejmością, ale zawsze po prostu i stanowczo. Mimo mej niezdarności i braku obycia pani d'Epinay zechciała mnie wciągnąć do zabaw w Chevrette, zamku blisko Saint-Denis, należącego do pana de Bellegarde. Był tam teatr, na którym często grywano komedie. Powierzono mi rolę, nad którą pracowałem pół roku bez przerwy i którą w rezultacie trzeba mi było suflować na przedstawieniu od początku do końca. Po tej próbie nie ofiarowano mi już roli.

Równocześnie z panią d'Epinay poznałem również bratową jej, pannę de Bellegarde[524], która została niebawem hrabiną d'Houdetot. Pierwszy raz kiedy ją ujrzałem, rozmawiała ze mną długo, z tą uroczą poufałością stanowiącą cechę jej charakteru. Wydała mi się bardzo miła; ale daleki byłem od przewidywania, iż ta młoda osoba stanie się kiedyś losem mego życia i wciągnie mnie, mimo iż bardzo niewinnie, w przepaść, w której znajduję się dzisiaj.

Jakkolwiek od czasu powrotu z Wenecji nie wspominałem o Diderocie, tak samo jak o panu Roguin, nie zaniedbałem wszelako ani jednego, ani drugiego; z pierwszym zwłaszcza węzły zacieśniały się z każdym dniem. Miał on swoją Nanetę, jak ja Teresę: było to jedno powinowactwo więcej. Ale różnica w tym, iż moja Teresa, co najmniej równa urodą Nanecie, posiadała zgodne usposobienie i miły charakter, zdolny przywiązać godnego człowieka; podczas gdy jego dama, wyszczekana sklepikarka, nie jawiła oczom bezstronnych świadków żadnych przymiotów, które by mogły okupić jej brak wychowania. Ożenił się z nią wszelako. Uczynił dobrze, jeżeli to przyrzekł. Co do mnie, który nie przyrzekałem nic podobnego, nie kwapiłem się iść za jego przykładem.

Żyłem też blisko z księdzem de Condillac, który, równie jak ja wówczas, nie był w literaturze niczym, ale miał wszelkie dane, aby stać się tym, czym jest dzisiaj. Jestem może pierwszym, który ocenił jego talenty i osądził go wedle wartości. On zdawał się również smakować w moim towarzystwie i podczas gdy ja, zamknięty w pokoiku przy ulicy Jean-Saint-Denis, w pobliżu Opery, pracowałem nad moim *Hezjodem*, on zachodził często do mnie niespodzianie, przynosząc zapasy do improwizowanego wspólnym przemysłem obiadu. Pracował wówczas nad *Zarysem początku ludzkich wiadomości*, swoim pierwszym dziełem. Skoro je ukończył, miał wielki kłopot ze znalezieniem wydawcy. Księgarze paryscy są wyniośli i twardzi dla każdego, kto stawia pierwsze kroki; metafizyka zaś, wówczas bardzo niepopularna, nie przedstawiała zbyt wabnego[525] przedmiotu. Mówiłem Diderotowi o Condillacu i jego dziele; zapoznałem ich. Byli to ludzie stworzeni, aby się z sobą zrozumieć i zbliżyć. Diderot namówił księgarza Duranda, aby wziął rękopis księdza; w ten sposób ten wielki metafizyk otrzymał za swą pierwszą książkę, prawie z łaski, sto talarów, których nie byłby uzyskał beze mnie. Ponieważ mieszkaliśmy wszyscy w bardzo od siebie odległych dzielnicach, zbieraliśmy się raz na tydzień w Palais-Royal i szliśmy razem na obiad do jednej z traktierni. Musiały widać te tygodniowe obiady bardzo przypaść do smaku Diderotowi, skoro on, który chybiał[526] zazwyczaj wszystkich spotkań, tu nie chybił ani razu. Poddałem tam projekt periodycznego pisemka pod tytułem „Kpiarz", które Diderot i ja mieliśmy wypełniać kolejno. Naszkicowałem pierwszy numer; to dało mi sposobność do znajomości z d'Alembertem[527], któremu Diderot wspomniał o tym pomyśle. Niespodziane wydarzenia stanęły mi w drodze i projekt nie przyszedł do skutku.

[524] *de Bellegarde, Élisabeth Sophie Françoise Lalive* (1730–1813) została 28 lutego 1748 żoną Claude'a Constanta César, hrabiego d'Houdetot. [przypis edytorski]

[525] *wabny* (daw.) — dziś: powabny, pociągający. [przypis edytorski]

[526] *chybiać* — tu: zaniedbywać, pomijać, zawodzić. [przypis edytorski]

[527] *d'Alembert*, [*Jean Le Rond*] (1717–1783) — znakomity geometra i filozof, współtwórca *Encyklopedii* i obok Diderota najwybitniejsza osobistość grupy tzw. encyklopedystów. [przypis tłumacza]

Ci dwaj pisarze podjęli właśnie wydawnictwo *Słownika encyklopedycznego*[528], który zrazu miał być tylko rodzajem przekładu z Chambersa[529], podobnego mniej więcej do *Słownika medycznego* Jamesa, który Diderot właśnie ukończył[530]. Diderot chciał mnie wciągnąć w pewnej mierze do tego drugiego przedsięwzięcia i zaproponował część muzyczną, którą przyjąłem i z której wywiązałem się bardzo pospiesznie i licho w ciągu trzech miesięcy, jakie mi naznaczył, podobnie jak wszystkim autorom mającym pracować w tym przedsięwzięciu. W zamian byłem jedynym, który zdążył na przepisany termin. Oddałem rękopis, kazawszy go przepisać na czysto służącemu pana de Francueil, niejakiemu Dupont, który pisał bardzo pięknie. Zapłaciłem mu za to z własnej kieszeni dziesięć talarów, których mi nigdy nie zwrócono. Diderot przyrzekł, ze strony księgarzy, odszkodowanie, o którym nigdy mi później nie wspomniał ani ja jemu.

To przedsięwzięcie *Encyklopedii* uległo przerwie, wskutek uwięzienia Diderota. *Myśli filozoficzne* ściągnęły nań nieco przykrości[531], zresztą bez poważniejszych następstw. Inaczej stało się z jego *Listem o ślepcach*, który nie zawierał nic nagannego[532], prócz paru rysów osobistych, którymi pani Dupré de Saint-Maur i pan de Réaumur uczuli się dotknięci i za które wtrącono autora do turmy[533] w Vincennes. Nic nie zdoła odmalować wzruszenia, w jakie wprawiło mnie nieszczęście przyjaciela. Moja opłakana wyobraźnia, która zawsze widzi wszystko w najczarniejszych barwach, zaczęła szaleć. Myślałem, że wtrącono go tam już na resztę życia. Omal głowy nie straciłem. Napisałem do pani de Pompadour[534], zaklinając, by go kazała wypuścić, lub też uzyskała, by mnie zamknięto z nim razem. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na mój list: nadto był nierozsądny, aby mógł być skuteczny; nie pochlebiam też sobie, iżby mógł się przyczynić do ulg, jakie wprowadzono później w więzienie biednego Diderota. Ale gdyby potrwało ono jakiś czas jeszcze w pierwotnej surowości, sądzę, iż umarłbym z rozpaczy u stóp tej nieszczęsnej turmy. Zresztą, jeżeli list mój mało osiągnął skutku, nie starałem się też czerpać zeń zbytniej chluby; mało komu wspomniałem o nim, a nigdy samemu Diderotowi.

Księga VIII

(1749) Musiałem uczynić pauzę z końcem poprzedniej księgi. Z tą rozpoczyna się, od pierwszego ogniwa, długi łańcuch mych nieszczęść.

Bywając na poufałej stopie w dwóch domach należących do najświetniejszych w Paryżu, nie mogłem, mimo braku talentów towarzyskich, nie uczynić tam pewnych znajomości. Poznałem między innymi u pani Dupin młodego następcę tronu Saxe-Gotha[535] oraz

[528] *Encyklopedia* — pomnikowe wydawnictwo dokonane pod redakcją Diderota i d'Alemberta, które miało olbrzymi wpływ na rozwój myśli w XVIII w., skupiając pod swoim sztandarem całą szkołę filozoficzną szermierzy światła i postępu. Prześladowane przez rząd i przez jezuitów, drukowane przeważnie ukradkiem, walcząc z lękliwością księgarzy i olbrzymimi trudnościami technicznymi, dzieło to ukończone wreszcie zostało w r. 1772. Grupująca się koło niego szkoła tzw. encyklopedystów stanowiła niby zwarty kościółek, niezmiernie solidarny i zazdrośnie strzegący swych wpływów; to — obok innych przyczyn — stanowi tło nieporozumień między grupą „filozofów" a Russem, który nigdy nie dał się podciągnąć pod posłuch dla sztandaru, a później wręcz wystąpił przeciw niemu. [przypis tłumacza]

[529] *rodzajem przekładu z Chambersa* — angielskiej encyklopedii Ephraima Chambersa pt. *Cyclopaedia: or, An Universal Dictionary of Arts and Sciences* wydanej w Londynie w 1728. [przypis edytorski]

[530] *podobnego mniej więcej do „Słownika medycznego" Jamesa, który Diderot właśnie ukończył* — trzytomowy *Medical Dictionary* (1743–1745) Roberta Jamesa został przetłumaczony wspólnie przez Diderota, Toussainta i Eidousa z angielskiego na francuski i wydany w latach 1746–1748. Diderot początkowo zajmował się tłumaczeniami z jęz. angielskiego. [przypis edytorski]

[531] *„Myśli filozoficzne" ściągnęły nań nieco przykrości* — były pierwszym tekstem Diderota, wydanym anonimowo w 1746; opowiadał się w nich przeciw religii zinstytucjonalizowanej, dogmatom i Biblii, stając po stronie deizmu; w lipcu zostały potępione przez parlament Paryża i na jego rozkaz publicznie spalone. [przypis edytorski]

[532] *Inaczej stało się z jego „Listem o ślepcach", który nie zawierał nic nagannego…* — wydany przez Diderota anonimowo w czerwcu 1747 *List o ślepcach* zawierał jawną deklarację materializmu i ateizmu. W lipcu Diderot, od 1747 obserwowany przez policję, został zidentyfikowany jako autor, aresztowany i uwięziony pod zarzutem publikowania treści antyreligijnych. [przypis edytorski]

[533] *turma* (daw.) — więzienie. [przypis edytorski]

[534] *Margrabina de Pompadour* (1721–1764) — wszechwładna faworyta Ludwika XV, która wywierając przemożny a opłakany wpływ na politykę Francji, starała się wzmocnić swoje stanowisko kokietując z nauką i literaturą. [przypis tłumacza]

[535] *następcę tronu Saxe-Gotha* — księcia Saksonii-Gotha-Altenburg Fryderyka Ludwika (1735–1756), syna Fryderyka III. [przypis edytorski]

ochmistrza jego, barona Thun. W domu pana de la Poplinière poznałem pana Séguy, przyjaciela barona Thun, znanego w świecie literackim przez swą piękną edycję Jana Baptysty Rousseau. Baron zaprosił nas obu, pana Séguy i mnie, abyśmy spędzili dzień lub dwa w Fontenai-sous-Bois, gdzie książę miał pałacyk. Przyjęliśmy. Przejeżdżając koło Vincennes, uczułem na widok turmy skurcz serca, którego oznaki baron odczytał na mej twarzy. Przy wieczerzy książę wspomniał o uwięzieniu Diderota. Baron, chcąc mnie pociągnąć za język, obwinił więźnia o nieostrożność; zacząłem bronić go z zapałem również graniczącym z nieostrożnością. Wybaczono tę zbytnią gorliwość uczuciom zbolałej przyjaźni i zwrócono rozmowę na inne tory. Było tam dwóch Niemców należących do orszaku księcia: jeden, nazwiskiem Klupffell[536], człowiek światły i bystry, był jego kapelanem, później zaś został ochmistrzem wysadziwszy barona; drugim był młody człowiek nazwiskiem Grimm[537], który służył księciu za lektora, w oczekiwaniu aż znajdzie się dlań jakie miejsce; skromny wygląd młodzieńca świadczył, iż pilno mu go było potrzeba. Od tego wieczoru zadzierzgnęła się między Klupffellem a mną znajomość, która niebawem przeobraziła się w przyjaźń. Znajomość z imć Grimmem nie poszła bynajmniej tak szybko; nie wysuwał się na pierwszy plan, bardzo daleki od tej pewności siebie, jaką później dało mu powodzenie. Nazajutrz, przy obiedzie, rozmowa skierowała się na muzykę; Grimm zabrał głos z wielką znajomością przedmiotu. Ucieszyłem się niezmiernie, dowiadując się, iż umie akompaniować na klawikordzie. Po obiedzie przyniesiono nuty i muzykowaliśmy przez cały dzień na klawikordzie księcia. W ten sposób zaczęła się przyjaźń, która zrazu była mi tak słodka, później tak złowroga i o której tyle będę miał w dalszym ciągu do mówienia.

Wróciwszy do Paryża, dowiedziałem się miłej nowiny, iż Diderot wyszedł z turmy i że dano mu za więzienie zamek i park w Vincennes, na słowo, z pozwoleniem widywania się z przyjaciółmi. Jakże ciężko mi było, iż nie mogłem popędzić tam w tejże samej chwili! Uwięziony na dwa lub trzy dni u pani Dupin dla jakichś nieodzownych usług, po wiekach całych niecierpliwości pomknąłem w ramiona przyjaciela. Chwila niepodobna do opisania! Nie był sam: d'Alembert i kapelan Sainte-Chapelle byli u niego. Wchodząc, widziałem tylko jego; skoczyłem, przykleiłem twarz do jego twarzy i tuliłem go do siebie, niezdolny przemówić inaczej jak tylko szlochem i płaczem; dławiłem go z rozczulenia i radości. Pierwszym gestem Diderota, skoro uwolnił się z mych ramion, było obrócić się do duchownego i rzec: „Widzisz, drogi ojcze, jak mnie kochają moi przyjaciele". Pochłonięty mą radością, nie zastanawiałem się wówczas na tym postąpieniem; ale od tego czasu nieraz przyszło mi ono na pamięć i nieraz myślałem, iż gdybym był na miejscu Diderota, nie byłoby to pierwszym moim uczuciem.

Znalazłem Diderota bardzo przygnębionym. Turma wywarła na nim straszliwe wrażenie. Mimo że w zamku było wcale przyjemnie i że miał swobodę przechadzania się po parku nawet nie zamkniętym murami, potrzebował towarzystwa przyjaciół, aby nie popaść w melancholię. Ponieważ byłem z pewnością człowiekiem, który najbardziej współczuł jego nieszczęściu, sądziłem też, iż widok mój będzie mu największą pociechą; jakoż najmniej co dwa dni, mimo bardzo naglących zatrudnień, szedłem albo sam, albo z jego żoną spędzić popołudnie w więzieniu.

Ów rok 1749 był nadzwyczaj upalny. Z Paryża do Vincennes można liczyć dwie mile. Nie bardzo mając czym opłacać koszt dorożek, wyruszałem, kiedy szedłem sam, o drugiej po południu pieszo i dobrze wyciągałem nogi, aby zajść tym rychlej. Drzewa przydrożne, obyczajem tutejszym sadzone rzadko, nie dawały prawie żadnego cienia; często też, zmożony gorącem i znużeniem, kładłem się na ziemi, niezdolny iść dłużej. Aby miarkować krok, brałem zwykle jakąś lekturę. Jednego dnia, wziąłem *Francuskiego Merkurego* i, równocześnie idąc i przebiegając oczyma książkę, natrafiłem na owo zagadnienie, po-

[536] *Klupffell* — popr. *Klüpfel, Emanuel Christoph* (1712–1776), teolog niemiecki. [przypis edytorski]

[537] *Grimm, Fryderyk Melchior* (1723–1807) — syn pastora luterańskiego, zaaklimatyzował się w Paryżu, gdzie zabłysnąwszy ciętym piórem w *Małym proroku*, objął po księdzu Raynal wydawnictwo czasopisma „Correspondance littéraire" (por. *Od tłumacza*), które prowadził blisko 30 lat. Umysł krytyczny, wytrawny, lecz chłodny. Grimm załatwiał też różnorodne sprawy dyplomatyczne powierzane mu przez dwory Europy. Był fanatycznym wielbicielem i chwalcą Katarzyny II. [przypis tłumacza]

dane przez Akademię w Dijon jako konkurs na rok następny: „Czy rozwój sztuk i nauk przyczynił się do skażenia czy oczyszczenia obyczajów?"[538]

W chwili gdym czytał te słowa, ujrzałem przed oczyma inny świat, stałem się innym człowiekiem. Mimo iż została mi żywa pamięć wrażenia, jakiego doznałem, szczegóły uleciały mi z głowy od czasu gdy złożyłem je w jednym z listów do pana de Malesherbes[539]. Jest to osobliwość mej pamięci, godna, aby ją zaznaczyć. Kiedy mi służy, to tylko o tyle, o ile polegam na niej; skoro tylko depozyt jej zawierzę papierowi, opuszcza mnie natychmiast. Z chwilą gdy raz napisałem jakąś rzecz, nie przypominam jej już sobie zupełnie. Właściwość ta prześladuje mnie nawet w muzyce. Nim posiadłem tę sztukę, umiałem na pamięć mnóstwo piosenek; z chwilą gdy nauczyłem się śpiewać z nut, stałem się niezdolny zapamiętać najmniejszej aryjki; wątpię, abym mógł powtórzyć dzisiaj bodaj jedną w całości nawet spomiędzy najulubieńszych.

Co się tyczy okoliczności, o której mówię, to przypominam sobie bardzo wyraźnie, iż przybywając do Vincennes znajdowałem się w stanie podniecenia graniczącego z szaleństwem. Diderot zauważył to; powiedziałem mu przyczynę, i odczytałem prozopopeję[540] Fabrycjusza[541], skreśloną ołówkiem pod dębem. Zachęcił mnie, abym rozwinął moją myśl i stanął do konkursu. Uczyniłem to; z tą chwilą byłem zgubiony. Reszta mego życia i nieszczęść była nieuniknionym następstwem tej chwili zbłąkania.

Uczucia moje wzbiły się z niepojętą wprost chyżością do tonu moich myśli. Wszystkie małe namiętności ucichły, zdławione entuzjazmem prawdy, wolności, cnoty. Co zaś najbardziej zdumiewające, to iż owo wrzenie utrzymało się w mym sercu przez całych kilka lat w tak wysokim napięciu, jakie nigdy może nie istniało w sercu żadnego człowieka.

Pracowałem nad tą rozprawą w sposób nader osobliwy, którego trzymałem się niemal we wszystkich mych dziełach. Poświęcałem jej bezsenne noce. Zatapiałem się w myślach, leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami, i z niesłychanym mozołem obracałem na wszystkie sposoby w głowie okresy i zdania. Skoro doszedłem do tego, iż byłem z nich zadowolony, odkładałem je w pamięci, aż do pory, w której będę mógł przenieść myśli na papier; ale przez czas potrzebny na wstanie i ubieranie się traciłem wszystko, tak iż skoro siadłem do biurka, nie mogłem pochwycić niemal nic z tego, co ułożyłem. Przyszło mi do głowy, aby wziąć za sekretarza panią Le Vasseur. Pomieściłem ją, wraz z córką i mężem, w bliskim sąsiedztwie; aby mi oszczędzić kosztu służącego, przychodziła co rano rozpalać ogień i sprzątać. Skoro tylko się zjawiła, natychmiast dyktowałem jej z łóżka rezultat nocnej pracy; system ten, którego trzymałem się długo, uchronił mnie od wielu chyb[542] mej pamięci.

Ukończywszy rozprawę, pokazałem ją Diderotowi; był z niej zadowolony, wskazał jedynie kilka szczegółów do poprawienia. Mimo to dziełu temu, pełnemu ognia i siły, zbywa absolutnie logiki i porządku; ze wszystkich, które wyszły spod mego pióra, jest ono najsłabsze pod względem rozumowania i najuboższe co do miary i harmonii. Faktem jest, iż nawet przy największym wrodzonym talencie sztuka pisania nie da się posiąść od jednego zamachu.

Wysłałem tę pracę, nie wspominając o niej nikomu więcej, chyba tylko, o ile mi się zdaje, Grimmowi, z którym, od czasu jak wszedł do domu hrabiego de Friès̀e, wszedłem w zażyłe stosunki. Miał klawikord, który służył nam za punkt zborny i przy którym spędzałem wszystkie wolne chwile, śpiewając bez wytchnienia od rana do wieczora, lub raczej od wieczora do rana, włoskie arie i barkarole. Skoro tylko mnie ktoś nie zastał u pani Dupin, mógł być pewny, że zastanie mnie u Grimma lub przynajmniej w jego towa-

[538] *Czy rozwój sztuk i nauk przyczynił się do skażenia czy oczyszczenia obyczajów?* — w rozprawie tej występuje Rousseau przeciw cywilizacji, jako źródłu skażenia obyczajów i szczęścia ludzkości. [przypis tłumacza]

[539] *Malesherbes*, [*Guillaume-Chrétien de Lamoignon de*] (1721–1794) — jedna z najczystszych i najpiękniejszych postaci XVIII w. Nieskazitelny urzędnik, na stanowisku cenzora sprzyjający wolnej myśli i światłu, później w czasie procesu Ludwika XVI, zakończonego straceniem króla, nieustraszony jego obrońca; sam w czasie terroru znalazł w końcu śmierć na szafocie. [przypis tłumacza]

[540] *prozopopeja* — zabieg retoryczny polegający na wprowadzeniu w obręb wypowiedzi pozornych cytatów słów tych, którzy nie mogą rzeczywiście wypowiedzieć się, np. zmarłych, nieobecnych, a nawet (poprzez personifikację) przedmiotów, zwierząt, zjawisk i pojęć. [przypis edytorski]

[541] *Fabrycjusz*, *Caius Fabricius Luscinus* (IV/III w. p.n.e.) — wódz rzymski przez autorów staroż. uważany za wzór prawości i surowości obyczajów; wzmiankowany także w *Boskiej komedii* Dantego (*Czyściec*, XX). [przypis edytorski]

[542] *chyba* (daw.) — uchybienie, niedoskonałość. [przypis edytorski]

rzystwie, bądź na przechadzce, bądź w teatrze. Przestałem wówczas chodzić do Komedii Włoskiej[543], gdzie miałem wstęp wolny, ale której on nie lubił, woląc uczęszczać z nim za pieniądze do Komedii Francuskiej[544], w której był rozkochany. Słowem, tak przemożna sympatia wiązała mnie do tego młodego człowieka i stałem się z nim tak nierozłączny, iż nawet biedną „ciotkę" zaniedbywałem z tego powodu; to znaczy, mniej poświęcałem jej czasu; nigdy bowiem, ani na chwilę w życiu, przywiązanie moje do niej nie osłabło.

Ta niemożność obdzielenia swoich sympatii niewielką ilością wolnego czasu, jakim rozrządzałem, żywiej jeszcze niż kiedy odnowiła dawne pragnienie zamieszkania wspólnie z Teresą; ale obawa jej licznej rodziny, a zwłaszcza brak funduszów na meble wstrzymywały mnie aż dotąd. Sposobność podjęcia tego wysiłku nastręczyła się obecnie: skorzystałem z niej. Francueil i pani Dupin, czując dobrze, że osiemset do dziewięciuset franków rocznie nie mogą mi wystarczyć, podnieśli z własnego popędu moją pensję do pięćdziesięciu ludwików; co więcej, pani Dupin, dowiedziawszy się, że chcę założyć dom i gospodarstwo, pomogła mi nieco w tej mierze. Wraz z meblami, jakie miała już Teresa, obróciliśmy wszystko na wspólne gospodarstwo i wynająwszy mieszkanko w hotelu de Languedoc, przy ulicy Grenelle-Saint-Honoré, u bardzo zacnych ludzi, urządziliśmy się jakeśmy mogli; jakoż żyliśmy tam spokojnie i przyjemnie przez siedem lat, aż do mego przeniesienia do Pustelni.

Ojciec Teresy był to stary poczciwina, bardzo łagodny, obawiający się niezmiernie żony, której z tej przyczyny dał przezwisko „sędziego śledczego"; Grimm przez żart przeniósł przydomek ten i na córkę. Pani Le Vasseur nie zbywało na rozumie, to znaczy na sprycie; miała nawet pretensje do dworności i form wielkiego świata; ale miała zwyczaj tajemniczych omawiań i domyślników, który mi był nieznośny; przy tym dawała dość nieszczególne rady córce, siliła się ją skłonić do nieszczerości ze mną; wreszcie, starała się pozyskiwać sobie oddzielnie moich przyjaciół, jednych kosztem drugich, a wszystkich moim kosztem. Poza tym była niezłą matką, ponieważ zgadzało się to z jej rachubą; pokrywała błędy córki, ponieważ czerpała z nich korzyść. Kobieta ta, którą obsypywałem względami, staraniami, drobnymi podarkami i na której przychylności niezmiernie mi zależało, była, przez niemożność osiągnięcia tego celu, jedyną przyczyną zgryzot, jakich zaznałem w moim małym gospodarstwie. Poza tym mogę powiedzieć, iż przez tych kilka lat kosztowałem najdoskonalszego szczęścia domowego, jakie danym jest stworzyć ułomnym ludziom. Teresa miała anielskie serce; przywiązanie nasze rosło w miarę zażyłości: czuliśmy z każdym dniem więcej, jak bardzo jesteśmy dla siebie stworzeni. Gdyby uciechy nasze możebne były do opisania, pobudziłyby do śmiechu swą prostotą; przechadzki sam na sam za miasto, gdzie wydawałem wielkodusznie osiem lub dziesięć su w jakiej oberży; kolacyjki przy oknie, gdzie zasiadaliśmy naprzeciw siebie na dwóch krzesełkach, ustawionych na walizie zajmującej szerokość framugi. W tym położeniu okno służyło nam za stół, oddychaliśmy powietrzem, mogliśmy widzieć okolicę, przechodniów i mimo że na czwartym piętrze, jedząc, brać udział w ruchu ulicznym. Któż opisze, któż odczuje uroki tych posiłków, złożonych, za całą paradę, z bułki prostego chleba, z kilku wisien, kawałka sera i półkwarty wina, które wypijaliśmy we dwoje? Przyjaźń, ufność, wzajemne zżycie, słodycz duszy — jakież to rozkoszne zaprawy! Niekiedy trwaliśmy tak aż do północy, nie wiedząc o tym i nie troszcząc się o godzinę, gdyby stara matka nie przypomniała nam pory spoczynku. Ale zostawmy te szczegóły, które wydadzą się mdłe lub śmieszne; zawsze mówiłem to i czułem, iż prawdziwej rozkoszy nie da się opisać.

Zaznałem też, mniej więcej w tym samym czasie, i innej, bardziej grubej, ostatniej, jaką mam sobie do wyrzucenia w tym rodzaju. Wspomniałem, iż pastor Klupffell był to miły człowiek: stosunki, jakie mnie z nim łączyły, były nie mniej bliskie niż z Grimmem i stały się równie zażyłe; obaj bywali niekiedy u mnie na obiedzie. Okrasę tych uczt, nieco więcej niż skromnych, stanowiły dowcipne i pełne werwy błazeństwa Klupffella, jak również ucieszne germanizmy Grimma, który nie stał się jeszcze wówczas purystą. Zmysłowość nie święciła tryumfów wśród tych niewinnych orgii, ale wesołość zastępowała jej miejsce; czuliśmy się tak dobrze razem, że nie mogliśmy obejść się bez siebie.

[543] *Komedia Włoska* (fr. *Comédie-Italienne*) — paryski teatr, gdzie grywano sztuki i opery włoskie. [przypis edytorski]

[544] *Komedia Francuska* (fr. *Comédie-Française*) — francuski teatr narodowy znajdujący się w Paryżu. [przypis edytorski]

Klupffell umeblował mieszkanko pewnej młodej dziewczynie, która mimo to udzielała się całemu światu, ponieważ nie mógł jej utrzymać sam jeden. Jednego wieczora, wchodząc do kawiarni, spotkaliśmy go, jak wychodził właśnie, aby się z nią udać na kolację. Zaczęliśmy zeń żartować: zemścił się nader rycersko, zapraszając nas razem na wieczerzę i następnie dworując[545] sobie z nas z kolei. Ta biedna istota wydała mi się z natury wcale poczciwa, bardzo łagodna i mało stworzona do swego rzemiosła, do którego stara czarownica, mieszkająca przy niej, wkładała ją, jak mogła. Rozmowa i wino rozweseliły nas do tego stopnia, iż straciliśmy głowę. Poczciwy Klupffell nie chciał być gościnny jedynie w połowie; przeszliśmy wszyscy trzej kolejno do sąsiedniego pokoju z biedną małą, która nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Grimm twierdził zawsze, iż jej nie dotknął: jedynie tedy dla przyjemności bawienia się naszą niecierpliwością został z nią tak długo; jeśli zaś w istocie zachował tę wstrzemięźliwość, mało prawdopodobnym jest, aby to uczynił przez skrupuł delikatności, skoro przed wstąpieniem do hrabiego de Friese mieszkał wręcz u dziewcząt, w tejże samej dzielnicy św. Rocha.

Wyszedłem z ulicy des Moineaux, gdzie mieszkała ta dziewczyna, równie zawstydzony jak Saint-Preux[546], gdy wyszedł z domu, gdzie go upojono: kiedym opisywał jego historię, pamiętałem o własnej. Teresa spostrzegła po jakimś szczególe, a zwłaszcza po mojej zawstydzonej minie, że mam sobie coś do wyrzucenia; ulżyłem swemu sercu szczerym i rychłym wyznaniem. Dobrzem uczynił, zaraz bowiem nazajutrz Grimm pospieszył opowiedzieć z tryumfem mój błąd, obciążając go jeszcze, ile mógł. Od tego czasu nigdy nie omieszkał przypominać jej złośliwie tego wspomnienia; w czym postępował wobec mnie nad wyraz nieszlachetnie, ile że uczyniwszy go dobrowolnie i z ufnością swoim powiernikiem, miałem prawo spodziewać się, iż nie da mi tego żałować. Nigdy lepiej niż w tej okoliczności nie poznałem dobroci Teresy. Więcej zraziło ją postępowanie Grimma niż moja niewierność: mnie spotkały z jej strony jedynie wzruszające i tkliwe wyrzuty, w których nigdy nie dostrzegłem najmniejszego śladu urazy.

Ograniczenie umysłu tej wybornej dziewczyny równe było dobroci serca; to dość powiedzieć; ale przykład, który mi się tu nastręcza, wart jest, aby go przytoczyć. Powiedziałem jej, że Klupffell jest ministrem[547] i kapelanem księcia Saxe-Gotha. „Minister" był dla niej czymś tak osobliwym, iż mieszając komicznie najodleglejsze pojęcia, wpadła na koncept, by uważać Klupffella za papieża. Myślałem, że oszalała, skoro pewnego razu, gdym wrócił do domu, oznajmiła, że papież był u mnie. Ubawiłem się, zrozumiawszy, o co chodzi, i nie miałem nic pilniejszego, jak opowiedzieć tę historię Grimmowi i Klupffellowi, któremu przydomek papieża zachował się między nami. Dziewczynie z ulicy des Moineaux daliśmy miano papieżycy Joanny[548]. Był to przedmiot do nieskończonych śmiechów, dusiliśmy się po prostu. Ci, którzy w liście rzekomo mojego pióra kazali mi mówić, iż śmiałem się tylko dwa razy w życiu, nie znali mnie snadź ani w tym czasie, ani w mej młodości, z pewnością bowiem ten pomysł nie przyszedłby im do głowy.

(1750–1752). W roku następnym, 1750, kiedy zapomniałem już o mej rozprawie, dowiedziałem się, iż otrzymała nagrodę Akademii w Dijon. Wiadomość ta rozbudziła wszystkie idee, które mi ją dyktowały, ożywiła je nową siłą i doprowadziła do szczytu fermentacji w mym sercu ów pierwszy zaczyn heroizmu i cnoty, które ojciec, ojczyzna moja i Plutarch wszczepili w nią w dzieciństwie. Nie widziałem nic większego i piękniejszego ponad to, aby być wolnym i cnotliwym, wyższym nad los i mniemanie ludzi, aby wystarczać samemu sobie. Mimo że fałszywy wstyd i obawa szyderstwa nie pozwoliły mi zrazu dostosować życia do tych zasad i wręcz rzucić rękawicy obyczajom epoki, miałem wszelako od tego czasu zdecydowaną chęć po temu. Zwłoka w wykonaniu trwała tylko tyle, ile było potrzeba, aby przeciwności podrażniły mą wolę i zgotowały jej tryumf nad wszystkimi innymi względami.

Podczas gdy filozofowałem nad obowiązkami człowieka, wypadki kazały mi się lepiej zastanowić nad własnym. Teresa zaszła w ciążę po raz trzeci. Zbyt szczery z samym sobą, zbyt dumny w duszy, aby chcieć przeczyć swoim zasadom uczynkami, jąłem się zasta-

[545] *dworować* (daw.) — żartować. [przypis edytorski]

[546] *Saint-Preux* — bohater najgłośniejszego romansu Russa, *Nowej Heloizy*. [przypis tłumacza]

[547] *minister* — pastor protestancki. [przypis tłumacza]

[548] *papieżyca Joanna* — legendarna kobieta, żyjąca rzekomo w IX w., która ukrywając swoją płeć, zdobyła wysoką pozycję kościelną i ostatecznie została papieżem. [przypis edytorski]

nawiać nad przeznaczeniem mych dzieci, nad stosunkami łączącymi mnie z ich matką, nad prawami natury, sprawiedliwości i rozumu, jak również nad prawidłami tej religii czystej, świętej, wiecznej jak jej twórca, którą ludzie skazili, udając, iż chcą ją oczyścić, i z której za pomocą swoich formułek zrobili jedynie religię słów, zważywszy, iż mało kosztuje zalecać niepodobieństwo, skoro się zwalnia samego siebie od jego wypełniania.

Jeżeli omyliłem się w swoich wnioskach, zdumiewający zaiste jest spokój duszy, z jakim się im poddałem. Gdybym był z rzędu owych ludzi upośledzonych od Stwórcy, głuchych na słodki głos natury, w których sercu nigdy nie zakiełkowało prawdziwe poczucie sprawiedliwości i ludzkości, zatwardziałość ta byłaby zupełnie prosta; ale ta płomienność serca, ta żywa wrażliwość, łatwość poddawania się przywiązaniu, siła, z jaką mnie ono ogarnia całego, to okrutne rozdarcie, kiedy je trzeba zrywać, ta wrodzona przychylność dla bliźnich, żarliwa miłość wszystkiego, co wielkie, prawdziwe, piękne, sprawiedliwe, ten wstręt do złego we wszelakim rodzaju, ta niemożność nienawidzenia, szkodzenia, a nawet odczucia takiej chęci; to roztkliwienie, to żywe i słodkie wzruszenie, jakiego doznaję na widok wszystkiego, co cnotliwe, szlachetne, godne kochania — czy to wszystko może się kiedy zgodzić w jednej duszy ze skażeniem, które każe deptać bez skrupułu nogami najsłodszy z obowiązków? Nie, czuję to i powiadam głośno: to nie możliwe. Nigdy, na jedną chwilę, Jan Jakub nie mógł być człowiekiem bez serca, bez uczucia, wynaturzonym ojcem. Mogłem mylić się, ale nie zakamienić się w złym. Gdybym powiedział swoje racje, powiedziałbym za wiele. Skoro mogły mnie uwieść, uwiodłyby łacno i innych: nie chcę narażać młodych ludzi, którzy by mogli czytać te karty, na to, aby się dali pociągnąć do tego samego błędu. Zadowolę się ogólnym stwierdzeniem, na czym się on zasadzał. Powierzając dzieci publicznemu wychowaniu, w niemożności wychowania ich samemu, i przeznaczając je na to, aby zostały wieśniakami i robotnikami raczej niż awanturnikami i łowcami fortuny, sądziłem, iż spełniam czyn dobrego obywatela i ojca; działałem, we własnych oczach, niby członek republiki Platona[549]. Niejeden raz od tego czasu żale mego serca pouczyły mnie, iż się myliłem; ale wówczas nie tylko nie doznawałem wątpliwości w tej mierze, ale często wręcz błogosławiłem niebo, ocaliłem w ten sposób swoje dzieci od losu ich ojca i od tego losu, jaki im zagrażał, w razie gdybym zmuszony był je opuścić. Gdybym je ustąpił pani d'Epinay lub księżnej Luxembourg, które bądź przez przyjaźń, bądź przez wspaniałomyślność lub z innej jakiej pobudki chciały się nimi później zająć, czy byłyby przez to szczęśliwsze, czy wyrosłyby bodaj na uczciwych ludzi? Nie wiem; ale jestem pewien, że nauczono by je nienawidzić, może zaprzeć się swych rodziców: lepiej, po stokroć lepiej, iż nie znały ich zupełnie.

Ojciec, Opieka

Trzecie dziecko oddano tedy do podrzutków, jak i dwoje poprzednich; tak samo stało się z dwojgiem następnych; miałem ich bowiem ogółem pięcioro. Sposób ten wydawał się tak dobry, tak rozsądny, tak uprawniony, że jeśli nie chlubiłem się nim otwarcie, to jedynie przez wzgląd na matkę; ale mówiłem o tym wszystkim, których wtajemniczyłem w swoje związki; mówiłem Diderotowi, Grimmowi; powiedziałem, w następstwie, pani d'Epinay, i szczerze, bez wszelkiego przymusu, mogąc łatwo ukryć to całemu światu; pani Gouin bowiem była to uczciwa kobieta, bardzo dyskretna, na którą mogłem liczyć zupełnie. Jedyny z przyjaciół, któremu miałem niejaką rację się zwierzyć, był to lekarz Thierry; pielęgnował biedną „ciotkę" w jednej ze słabości, którą przebyła osobliwie ciężko. Jednym słowem, nie czyniłem żadnej tajemnicy ze swego postępowania, nie tylko dlatego, iż nigdy nie umiałem niczego ukrywać przed przyjaciółmi, ale ponieważ, w istocie, nie widziałem w tym nic złego. Wszystko zważywszy, wybrałem dla swoich dzieci to, co najlepsze, lub bodaj to, co uważałem za najlepsze. Byłbym pragnął, dziś jeszcze to mówię, wychować się i wzróść tak jak one.

Równocześnie i pani Le Vasseur poczyniła pewne zwierzenia, ale w widokach mniej bezinteresownych. Przeze mnie weszła ona, podobnie jak i córka, w stosunki z panią Dupin, która przez przyjaźń dla mnie odnosiła się do nich z niezmierną dobrocią. Stara Le Vasseur wtajemniczyła ją w sekret córki. Pani Dupin, osoba dobra i szlachetna, której stara Le Vasseur nie wspominała, jak skrupulatnie, mimo skromnych zasobów, starałem się opatrzyć wszystkie ich potrzeby, przyczyniała się ze swej strony do ciężarów domowych.

[549] *republika Platona* — idealne państwo przedstawione przez gr. filozofa Platona w dialogu *Państwo*, znanym też jako *Republika*; dzieci klas wyższych, rządzących państwem filozofów i strażników, miały być przekazywane na wychowanie instytucjom państwowym. [przypis edytorski]

Na rozkaz matki Teresa kryła to przede mną przez cały czas pobytu w Paryżu; wyznała rzecz całą dopiero w Pustelni, w następstwie innych wynurzeń. Nie wiedziałem, że pani Dupin, która nigdy niczym nie zdradziła się przede mną, miała tak dobre informacje; nie wiem jeszcze dotąd, czy pani de Chenonceaux, jej synowa, miała je również; ale co się tyczy pani de Francueil, pasierbicy, wiedziała na pewno o wszystkim i nie umiała zmilczeć. Dała mi to poznać następnego roku, skoro już opuściłem ich dom. To skłoniło mnie, iż napisałem do niej w tym przedmiocie list, który znajduje się w mych zbiorach. W liście tym przedstawiłem swoje pobudki, tj. te, które mogłem odsłonić, nie narażając pani Le Vasseur i jej rodziny; najważniejsze bowiem tkwiły tutaj i te zmilczałem.

Przyjaźń, Zdrada

Jestem pewien dyskrecji pani Dupin i przyjaźni pani de Chenonceaux, byłem pewien pani de Francueil, która zresztą umarła na długi czas przed rozgłoszeniem mej tajemnicy. Mogła ona wyjść jedynie od ludzi, którym ją powierzyłem, i w istocie wyszła na jaw dopiero po zerwaniu z nimi. Przez ten sam fakt wydali na siebie wyrok. Nie chcąc rozgrzeszać się z nagany, na którą zasługuję, wolę wszelako stać pod tym zarzutem niż pod owym, jaki oni ściągnęli na siebie swą niegodziwością. Wina moja jest wielka, ale źródłem jej był błąd; zaniedbałem swoje obowiązki, ale chęć szkodzenia komuś nie postała w mym sercu, uczucia zaś ojca nie mogły przemawiać zbyt potężnie na rzecz dzieci, których nigdy nie oglądałem na oczy. Ale zdradzić zaufanie przyjaźni, pogwałcić najświętszy ze wszystkich paktów, rozgłaszać tajemnice przelane w nasze łono, znajdować rozkosz w bezczeszczeniu przyjaciela, którego się oszukało i który, nawet rozstając się z nami, zachował względy szacunku — to już nie są błędy, to nikczemność duszy i podłość.

Przyrzekłem mą spowiedź, a nie usprawiedliwienie; toteż kończę na tym. Moją rzeczą jest być szczerym, rzeczą czytelnika być sprawiedliwym. Nie zażądam odeń nigdy niczego więcej.

Małżeństwo pana de Chenonceaux uczyniło mi dom jego matki tym milszym jeszcze, dzięki przymiotom i talentom młodej pani, osoby ze wszech miar uroczej i która zdawała się mnie wyróżniać spośród skrybów pana Dupin. Była to jedyna córka wicehrabiny de Rochechouart, wielkiej przyjaciółki hrabiego de Friès, a tym samym i Grimma, który był jego zaufanym. Mimo to, ja to wprowadziłem go do córki; ale usposobienia ich nie zgadzały się i znajomość nie doprowadziła do zbliżenia. Grimm, który już wówczas zdradzał skłonności praktyczne, przełożył matkę, osobę wielkiego świata, nad córkę, która szukała jedynie przyjaciół pewnych i miłych jej sercu, nie mieszając się do żadnych intryg i nie starając się o wpływy u możnych. Pani Dupin, nie znajdując w pani de Chenonceaux uległości, jakiej się w niej spodziewała, była dla niej w życiu domowym dość przykra; pani zaś de Chenonceaux, świadoma swej wartości, może i dumna ze swego urodzenia, wolała raczej wyrzec się powabów towarzystwa i przebywać prawie sama w swych pokojach niż znosić jarzmo, do którego nie czuła się stworzona. To pewnego rodzaju wygnanie pomnożyło moją sympatię, przez tę wrodzoną skłonność, która pociąga mnie ku nieszczęśliwym. Znalazłem w niej umysł filozoficzny i myślący, mimo iż trochę skłonny do sofistyki. Rozmowy nasze, bynajmniej nie takie, jakich by się można spodziewać po młodej kobiecie wychodzącej wprost z klasztoru, miały dla mnie wiele powabu. Nie miała wówczas ani dwudziestu lat; cera olśniewającej białości, kibić wysmukła i zgrabna, gdyby się była lepiej trzymała; włosy popielatoblond, niezwykle piękne, przypominały mi włosy biednej mamusi w kwiecie jej wieku i poruszały żywo me serce. Ale surowe zasady, które sobie świeżo zbudowałem i których postanowiłem trzymać się za wszelką cenę, ubezpieczały mnie od młodej pani i jej uroków. Spędzałem z nią całe lato po parę godzin dziennie sam na sam, objaśniając jej poważnie arytmetykę i nudząc ją mymi wiekuistymi cyframi, bez jednego tkliwszego słowa ani spojrzenia. W kilka lat później nie byłbym tak rozsądny albo tak szalony; ale napisane było, iż miałem kochać prawdziwą miłością tylko jeden raz w życiu i że inna niż ona ma otrzymać pierwsze i ostatnie westchnienia mego serca.

Od czasu jak zadomowiłem się u pani Dupin, zadowalałem się zawsze losem, nie objawiając żadnej chęci poprawienia go. Podwyżka, jaką ta pani łącznie z panem de Francueil pomnożyła moje wynagrodzenie, pochodziła wyłącznie z ich własnego popędu. Tego roku Francueil, którego przyjaźń dla mnie wzrastała z każdym dniem, pomyślał nad tym, aby mi zapewnić byt nieco dostatniejszy i trwalszy. Jak wspomniałem, był on generalnym dzierżawcą finansów. Dudoyer, jego kasjer, był to człowiek stary, bogaty, i chciał wyco-

fać się ze swego stanowiska. Francueil ofiarował mi to miejsce. Aby posiąść wiadomości potrzebne do tej funkcji, miałem uczęszczać przez kilka tygodni do pana Dudoyer i obeznać się z czynnością. Ale czy brakło mi talentu po temu, czy Dudoyer, który, o ile mi się zdało, życzył sobie innego następcy, nie okazywał dobrych chęci w pouczaniu, dość że nauka szła licho i pomału. Cały ten system rachunków, z umysłu powikłanych, nie mógł mi nigdy dobrze wejść do głowy. Mimo to, nie posiadłszy wszystkich arkanów rzemiosła, obznajmiłem się z ogólnym tokiem na tyle, aby je móc gładko wykonywać. Zacząłem nawet swoje funkcje. Prowadziłem rejestra i kasę; wypłacałem i odbierałem pieniądze, kwity; i mimo że mam równie mało upodobania co talentu do tego zawodu, utemperowany doświadczeniem lat, byłem skłonny zwyciężyć swą niechęć, aby w zupełności poświęcić się nowej karierze. Na nieszczęście, kiedy już zaczynałem wchodzić w tę kolej, Francueil wybrał się w małą podróż, podczas której zlecono mi opiekę nad jego kasą, zawierającą zresztą nie więcej niż dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy franków. Troski, niepokoje, o jakie mnie przyprawił ten depozyt, dały mi uczuć, że nie jestem stworzony na kasjera; i nie wątpię, iż zgryzoty przebyte przez czas tej nieobecności przyczyniły się do choroby, w jaką popadłem za jego powrotem.

Powiedziałem w pierwszej części, że przyszedłem na świat umierającym. Wrodzona wada pęcherza przyprawiała mnie w pierwszych latach o ustawiczne niemal zatrzymanie moczu; ciotka Zuzia, która opiekowała się mną w tym czasie, ledwie z niesłychanym mozołem zdołała mnie utrzymać przy życiu. Powiodło się jej wszelako; silna natura wzięła wreszcie górę. W epoce młodości zdrowie moje skrzepiło się tak dalece, iż wyjąwszy zagadkową chorobę, której historię opowiedziałem, oraz przymus częstego oddawania moczu, który przy najmniejszym podnieceniu stawał się bardzo dolegliwy, doszedłem trzydziestu lat prawie bez śladu pierwotnego niedomagania. Ponowne objawy wystąpiły po raz pierwszy po przybyciu do Wenecji. Trudy podróży i straszliwe gorąca, jakie przecierpiałem, przyprawiły mnie o spiekotę moczu i bóle w nerkach, gnębiące mnie aż do zimy. Po sprawie z Padoaną uważałem się już za nieboszczyka, mimo iż, bezwarunkowo, nie doznałem najmniejszego uszczerbku. Wyekspensowawszy[550] się więcej wyobraźnią niż ciałem dla pięknej Zulietty, czułem się lepiej niż kiedykolwiek. Dopiero po uwięzieniu Diderota wysiłek połączony z wędrówkami do Vincennes, podczas straszliwego ówczesnego upału, sprowadziły gwałtowny atak nerkowy, od którego nigdy już nie odzyskałem pierwotnego zdrowia.

Choroba

W porze, o której mówię, zmęczywszy się może nieco uprzykrzoną pracą przy tej przeklętej kasie, zapadłem gorzej niż kiedykolwiek i przebyłem kilka tygodni w łóżku w stanie najsmutniejszym, jaki sobie można wyobrazić. Pani Dupin przysłała mi słynnego Moranda[551], który mimo całej zręczności i delikatności ręki, sprawił mi niesłychane cierpienia i nie zdołał mimo to wprowadzić sondy. Poradził mi spróbować pomocy Darana[552], którego sondy, bardziej giętkie, zdołały w istocie przebyć cewkę. Zdając pani Dupin sprawę z mego stanu, Morand oświadczył, iż mam przed sobą najwyżej pół roku. Wyrok ten, który doszedł mych uszu, pobudził mnie do poważnych refleksji nad moim stanem. Pomyślałem, jaką głupotą jest poświęcać spokój i przyjemność niewielu dni, które mi zostały, poddając się jarzmu rzemiosła, do którego czułem jedynie odrazę. Zresztą, jak pogodzić surowe zasady, które właśnie przyjąłem, z zawodem tak mało z nimi zgodnym? Jaką będę miał minę jako kasjer generalnego dzierżawcy, ja, który głoszę ubóstwo i bezinteresowność? Idee te tak żywo zaczęły kipieć w mej głowie podczas gorączki i kombinowały się z taką siłą, że nic mnie już nie mogło od nich oderwać. Podczas rekonwalescencji utwierdziłem się, na chłodno, w postanowieniach powziętych w stanie maligny[553]. Wyrzekłem się na zawsze wszelkiej myśli o majątku i karierze. Umyśliwszy spędzić w niezależności i ubóstwie resztkę dni, które mi zostały, wytężyłem wszystkie siły, aby skruszyć kajdany opinii i aby nieustraszenie czynić to, co mi się wyda dobrym, nie troszcząc się zgoła o sąd ludzi. Przeszkody, które trzeba mi było zwalczyć i wysiłki,

[550] *ekspensować się* (daw., z łac.) — robić znaczne wydatki. [przypis edytorski]

[551] *Morand, Sauveur François* (1697–1773) — wybitny chirurg francuski, członek Królewskiej Akademii Nauk (1725). [przypis edytorski]

[552] *Daran, Jacques* (1701–1784) — francuski chirurg znany z leczenia chorób dróg moczowych, później lekarz nadworny Ludwika XV. [przypis edytorski]

[553] *maligna* — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

które poniosłem, aby odnieść nad nimi tryumf, są wprost nie do wiary. Powiodło mi się o tyle, o ile to było możliwe, a więcej niż sam się spodziewałem. Gdybym równie skutecznie strząsnął jarzmo przyjaźni co jarzmo opinii, byłbym osiągnął w pełni swój cel, największy może lub przynajmniej najużyteczniejszy dla cnoty, jaki kiedykolwiek powzięto na ziemi. Ale podczas gdy deptałem nogami niedorzeczne sądy pospolitej ciżby ludzi rzekomo możnych i mądrych, dałem się opanować i prowadzić jak dziecko mniemanym przyjaciołom, którzy, zazdrośni, iż widzą mnie kroczącym samotnie po nowej drodze, niby to troszcząc się silnie o moje szczęście, zajmowali się w istocie jedynie tym, aby mnie okryć śmiesznością. Zaczęli pracę od tego, aby się starać mnie poniżyć, później zaś wytężyli wszystkie siły, aby mnie zniesławić. Nie tyle moja sława literacka, co reforma osobistego życia, której epokę tu zaznaczam, ściągnęła na mnie ich zazdrość. Byliby mi może przebaczyli, iż zabłysnąłem w sztuce pisania; ale nie mogli mi przebaczyć, iż postępowaniem swoim daję przykład, który się im zdawał niewygodny. Byłem zrodzony do przyjaźni; łatwe i pojednawcze moje usposobienie poddawało się jej bez trudu. Póki żyłem bez szerokiego rozgłosu, posiadałem miłość wszystkich, którzy mnie znali, i nie miałem ani jednego wroga; ale skoro tylko zyskałem imię, natychmiast straciłem przyjaciół. To było bardzo wielkie nieszczęście; większym jeszcze było to, iż otaczali mnie ludzie, którzy stroili się w miano przyjaciół i używali praw, jakie im ono dawało, jedynie po to, aby mnie ciągnąć do zguby. Dalszy ciąg tych pamiętników ujawni ten wstrętny spisek; wskazuję tu tylko jego pochodzenie; niebawem ujrzycie pierwszy zawiązek.

W niezależności, jaką pragnąłem zachować, trzeba było wszelako żyć. Wymyśliłem sposób bardzo prosty, mianowicie przepisywać nuty, po tyle a tyle za stronę. Gdyby jakieś poważniejsze zatrudnienie mogło osiągnąć ten sam cel, byłbym się go chwycił; ale ponieważ talent ten przypadał do mego usposobienia, a zarazem był jedynym, który bez osobistej zależności mógł mi, z dnia na dzień, dostarczyć chleba, postanowiłem się go trzymać. Mając się za skazanego na śmierć, uważałem się za wyzwolonego zarówno z przezorności na przyszłość, jak z próżności; z lekkim sercem tedy z kasjera przedzierzgnąłem się w kopistę. Przekonałem się, iż wiele zyskałem na tym wyborze, i tak dalece nie żałowałem go, iż rzuciłem swoje rzemiosło jedynie z musu, aby je podjąć z powrotem, skoro tylko będę mógł.

Rozgłos mej pierwszej rozprawy ułatwił mi wprowadzenie w życie tego zamysłu. Kiedy otrzymałem za nią nagrodę, Diderot podjął się zająć drukiem. Podczas gdy leżałem w łóżku, przesłał mi bilecik, oznajmiając o wydaniu i powodzeniu utworu. „Efekt niebotyczny, porywający — pisał — nie było przykładu podobnego tryumfu". Ta przychylność publiczności, bynajmniej nie wypracowana, i to dla zgoła nieznanego autora, dała mi pierwszą prawdziwą pewność mego talentu, o którym mimo wewnętrznego poczucia aż dotąd zawsze wątpiłem. Zrozumiałem całą korzyść, jaką mogę stąd wyciągnąć dla swego postanowienia; spodziewałem się, iż kopiście o pewnym literackim rozgłosie nie będzie prawdopodobnie zbywało na robocie.

Skoro tylko powziąłem postanowienie i dobrze się w nim umocniłem, napisałem bilecik do pana de Francueil, zawiadamiając go o tym oraz dziękując mu, równie jak pani Dupin, za życzliwość. Równocześnie prosiłem ich, aby zechcieli w potrzebie uważać się za moich klientów. Francueil, nie rozumiejąc mego listu i sądząc, że to jeszcze paroksyzm gorączki, przybiegł do mnie; ale zastał mnie tak niewzruszonym w postanowieniu, iż nie zdołał go zachwiać. Pożegnał się ze mną i pobiegł opowiedzieć pani Dupin i całemu światu, żem oszalał. Pozwoliłem ludziom mówić i robiłem swoje. Zacząłem przeobrażenie od stroju; porzuciłem złote wyszycia i białe pończochy, wdziałem gładką perukę, odpasałem szpadę; sprzedałem zegarek, powiadając sobie z nieopisaną radością: „Dzięki Bogu, nie będę już potrzebował wiedzieć, która godzina". Pan de Francueil był na tyle względny, iż czekał dość długo, nim rozrządził posadą kasjera. Wreszcie, widząc, iż nic ze mną nie wskóra, oddał ją panu d'Alibard, niegdyś wychowawcy młodego Chenonceaux, znanemu w świecie botaników przez swą *Flora parisiensis*[554].

[554] *Wreszcie, widząc, iż nic ze mną nie wskóra, oddał ją panu d'Alibard, niegdyś wychowawcy młodego Chenonceaux, znanemu w świecie botaników przez swą Flora parisiensis* — Nie wątpię, iż fakta te przedstawiają się obecnie bardzo odmiennie w ustach pana de Francueil i towarzyszy; ale odwołuję się do tego, co wówczas, i długo później jeszcze, mówił wobec całego świata o tym zajściu, aż do czasu utworzenia spisku. Ludzie rozsądni i uczciwi zechcą to sobie niewątpliwie przypomnieć. [przypis autorski]

Mimo tej surowej reformy w zakresie odzieży, nie rozciągałem jej zrazu na bieliznę, którą miałem ładną i obfitą (pozostałość mojej wyprawki weneckiej) i do której bardzo byłem przywiązany. Kładąc ambicję w wyszukanej czystości, uczyniłem z bielizny przedmiot zbytku, którego koszt nie był rzeczą obojętną. Ktoś oddał mi tę przysługę, iż uwolnił mnie od tej niewoli. W wilię Bożego Narodzenia, podczas gdy moje „gosposie" były na nieszporach, ja zaś na jakimś koncercie religijnym, wyważono drzwi od strychu, gdzie wisiała cała nasza bielizna po świeżym praniu. Skradziono wszystko, między innymi czterdzieści dwie koszule z bardzo pięknego płótna, które stanowiły podstawę moich zasobów. Sąsiedzi opisali dość dokładnie człowieka, którego widziano, jak wychodził z domu, unosząc zawiniątka: z opisu tego równie Teresa, jak ja domyśliliśmy się jej brata, który znany był jako wielkie nicdobrego. Matka odparła żywo to podejrzenie; ale potwierdziło je tyle oznak, iż przetrwało w nas ono mimo wszystko. Nie śmiałem czynić ściślejszych dochodzeń, z obawy bym się nie dowiedział więcej, niżbym pragnął. Ów brat nie pokazał się już u mnie i znikł w końcu zupełnie. Ubolewałem nad losem Teresy i swoim, iż związani jesteśmy z rodziną tak wątpliwej wartości; upomniałem ją, żywiej niż kiedykolwiek, aby strząsnęła z siebie to niebezpieczne jarzmo. Przygoda ta wyleczyła mnie z namiętności do pięknej bielizny; od tego czasu noszę jedynie bardzo pospolitą, bardziej zgodną z resztą stroju.

Dopełniwszy w ten sposób przeobrażenia, myślałem już tylko o tym, aby je uczynić pewnym i trwałym, starając się wydrzeć z serca wszystko, co w nim wiązało się jeszcze z sądem ludzi, wszystko, co mogło, przez obawę ich przygany, odwrócić mnie od tego, co jest samo w sobie dobre i rozsądne. Dzięki rozgłosowi, jaki zyskało moje dzieło, postanowienie moje narobiło również hałasu i ściągnęło mi klientów, tak iż rozpocząłem rzemiosło dość pomyślnie. Wiele przyczyn nie pozwoliło mi wszelako uprawiać go z takim powodzeniem, jakby to było możliwe w innych okolicznościach. Najpierw, moje liche zdrowie. Atak, jaki przeszedłem, pociągnął następstwa, które nigdy nie dały mi wrócić do dawnego stanu; a sądzę, że lekarze, którym się oddałem w opiekę, sprawili mi tyleż złego co choroba. Odwiedzałem kolejno Moranda, Darana, Helwecjusza, Malouina, Thierry'ego: wszystko ludzie bardzo uczeni, wszystko moi przyjaciele, kurowali mnie każdy na swój sposób, czym nie pomogli mi zgoła, a osłabili mnie znacznie. Im więcej poddawałem się ich wskazówkom, tym bardziej żółkłem, chudłem, słabłem. Wyobraźnia moja, nastraszona ich aluzjami, oceniając mój stan wedle skutku ich kordiałów, ukazywała mi przed śmiercią jedynie szereg cierpień, zatrzymanie moczu, piasek, kamień. Wszystko, co pomaga innym, odwary, kąpiele, puszczanie krwi, pogarszało me cierpienia. Spostrzegłszy, że sondy Darana, które jedyne osiągały jakiś skutek i bez których nie sądziłem, abym mógł żyć, sprawiają mi ledwie chwilową ulgę, zacząłem, z wielkim kosztem, gromadzić olbrzymie zapasy tych sond, aby móc nosić je przez całe życie, nawet wówczas, gdyby mi Darana zbrakło. Przez jaki dziesiątek lat posługiwałem się nimi tak często, iż wraz z tym, co mi zostało, musiałem nakupić ich za jakie pięćdziesiąt ludwików. Można się domyślić, iż kuracja tak kosztowna, tak bolesna, tak uciążliwa nie pozwalała mi pracować z należytym wytężeniem. Trudno żądać od umierającego, aby wkładał zbyt wiele zapału w pracę na chleb.

Zatrudnienia literackie stanowiły nowe rozproszenie, nie mniej szkodliwe dla pracy codziennej. Ledwie pojawiła się moja rozprawa, kiedy obrońcy nauk rzucili się na mnie jak zmówieni. Oburzony tym, iż widzę tylu panów Josse[555], którzy, nie rozumiejąc nawet kwestii, chcą o niej wyrokować i rozstrzygać, wziąłem za pióro i potraktowałem niektórych tak jak należało. Niejaki Gautier z Nancy, pierwszy, który popadł pod moje pióro, otrzymał srogie cięgi w liście do Grimma. Drugim był sam król Stanisław[556], który nie pogardził skruszeniem kopii w szrankach ze mną. Zaszczyt, jakim było dla mnie jego wystąpienie, kazał mi wziąć odpowiedź z innego tonu; ująłem rzecz poważniej, ale nie mniej silnie i nie chybiając szacunku autorowi, odparłem w całej pełni jego pismo. Wie-

[555] *pan Josse* — przysłowiowa figura niepowołanego doradcy z komedii *Miłość lekarzem* Moliera. [przypis tłumacza]

[556] *Stanisław Leszczyński* (1677–1766) — teść Ludwika XV, od którego po utracie korony polskiej otrzymał dożywotnio księstwo Lotaryngii i Baru. Był to człowiek miękkiego charakteru, ale światły i dobroczynny, który zjednał sobie miłość i szacunek poddanych. Liczne pisma jego, zebrane w 4 tomach, wydano w r. 1765 pt. *Dzieła dobroczynnego filozofa*. [przypis tłumacza]

działem, iż jezuita nazwiskiem ojciec Menou[557], przykładał do niego rękę. Zdałem się na moje czucie, aby odróżnić, co pochodzi od monarchy, a co od mnicha; i rzucając się bez żadnych oszczędzań na wszystkie jezuickie zdania, podniosłem mimochodem pewien anachronizm, który jak sądzę, mógł pochodzić tylko z ręki klechy. Pismo to, które nie wiem dlaczego zyskało mniejszy rozgłos niż inne moje utwory, jest, aż dotąd, dziełem jedynym w swoim rodzaju. Chwyciłem w nim nadarzającą się sposobność, aby pokazać publiczności, w jaki sposób skromny człowiek może bronić prawdy nawet przeciw monarsze. Trudno przybrać ton zarazem bardziej dumny a pełen uszanowania niż ten, który przybrałem w mej odpowiedzi. Szczęściem, miałem sprawę z przeciwnikiem, dla którego serce moje było przejęte szacunkiem i mogło, bez pochlebstwa, mu go objawić; co też uczyniłem, z dość szczęśliwym rezultatem, ale zawsze z godnością. Przyjaciele, przestraszeni za mnie, już niemal widzieli mnie w Bastylii. Nie żywiłem ani na chwilę tej obawy i miałem słuszność. Dobry król, przeczytawszy mą odpowiedź, rzekł: „Dostałem po palcach; już ich drugi raz nie wystawię". Od tego czasu otrzymałem od niego wiele oznak szacunku i życzliwości, z tych niektóre będę miał sposobność przytoczyć; pismo zaś moje obiegło spokojnie Francję i Europę, bez zarzutu z niczyjej strony.

W niedługi czas później zyskałem nowego przeciwnika, którego się nie spodziewałem; tegoż samego pana Bordes z Lyonu, który dziesięć lat przedtem okazywał mi wiele przyjaźni i oddał różne usługi. Nie zapomniałem o nim, ale zaniedbałem go przez lenistwo; nie posłałem mu swoich utworów dla braku okazji. Zawiniłem tedy wobec niego; zaatakował mnie, przyzwoicie wszelako i w takim samym tonie go odparłem. Odpowiedział już nieco ostrzej. To dało przyczynę do mej ostatniej repliki, po której nie rzekł już nic, ale stał się moim zagorzałym nieprzyjacielem. Skorzystał z epoki moich nieszczęść, aby puszczać przeciw mnie ohydne broszury, i podjął podróż do Londynu umyślnie, aby mi szkodzić.

Cała ta polemika zaprzątnęła mnie bardzo, z wielką stratą czasu dla moich kopii, niewielkim postępem dla prawdy, a małą korzyścią dla sakiewki: ile że Pissot, wówczas mój wydawca, dawał mi za moje broszury bardzo mało, a często wcale nic. Tak na przykład nie dostałem ani szeląga za pierwszą rozprawę: Diderot oddał mu ją darmo. Trzeba było długo czekać i wyciągać grosz po groszu tę odrobinę, jaką mogłem od niego uzyskać. Tymczasem kopie leżały odłogiem. Uprawiałem dwa rzemiosła naraz, na czym zwyczajnie cierpi i jedno, i drugie.

Sprzeciwiały się sobie jeszcze i w inny sposób, a to przez różnorodny tryb życia, do jakiego mnie niewoliły. Powodzenie mych pierwszych pism wprowadziło mnie w modę. Sposób życia, który obrałem, obudził zaciekawienie; chciano poznać tego dziwnego człowieka, który nie zabiega się o nikogo i nie troszczy o nic, jak tylko aby żyć swobodnie i szczęśliwie, wedle swego rozumienia — to wystarczało, aby nie mógł tego osiągnąć. Pokój mój zaroił się ludźmi, którzy pod najrozmaitszymi pozorami zagarniali mój czas. Kobiety używały tysiącznych podstępów, aby mnie mieć na obiedzie. Im bardziej byłem szorstki z ludźmi, tym więcej się upierali. Nie mogłem odprawiać wszystkich. Robiąc sobie mnóstwo nieprzyjaciół tym, iż odrzucałem ich zabiegi, byłem mimo to w nieustannej niewoli; w jaki bądź sposób próbowałem brać się do rzeczy, nie miałem przez dzień ani godziny dla siebie.

Uczułem wówczas, że nie zawsze jest równie łatwo być biednym i niezależnym, jak to sobie człowiek wyobraża. Chciałem żyć ze swego rzemiosła, publiczność nie chciała mi pozwolić. Wymyślano tysiące sposobów, aby mnie odszkodować za czas, który mi rabowano. Niebawem trzeba by mi było się pokazywać jak pajac po tyle a tyle od głowy. Nie znam bardziej upadlającej i okrutnej niewoli. Nie widziałem innego lekarstwa, jak tylko odrzucać wszystkie podarki, wielkie i małe, i nie robić wyjątku bezwarunkowo dla nikogo. Wszystko to podrażniło jedynie zapał dobrodziejów, którzy chcieli mieć tę chlubę, iż zwalczyli mój opór i zmusili mnie, abym, wbrew woli, stał się im zobowiązany. Niejeden, który nie dałby mi talara, gdybym o to prosił, nie przestawał mnie nękać swymi ofiarami i aby się zemścić za to, iż je odrzucam, ogłaszał mą odmowę za arogancję i chęć popisu.

[557] *ojciec Menou* — popr.: *Menoux, Joseph de* (1695–1766), francuski jezuita, kapelan Stanisława Leszczyńskiego. [przypis edytorski]

Można się domyślić, iż postanowienie, które powziąłem, i system, którego chciałem się trzymać, nie były do smaku pani Le Vasseur. Mimo całej bezinteresowności córka nie umiała się oprzeć matce; toteż moje „gosposie", jak je nazywał Gauffecourt, nie zawsze były tak niezłomne jak ja. Mimo iż ukrywano mi wiele, widziałem dosyć, aby osądzić, że nie widzę wszystkiego. To mnie dręczyło, nie tyle przez obawę łatwego do przewidzenia zarzutu wspólnictwa, ile przez okrutną myśl, iż nigdy nie mogę być panem u siebie ani siebie. Prosiłem, zaklinałem, gniewałem się, wszystko bez skutku; matka przedstawiała mnie jako wiekuistego zrzędę, domowego tyrana; nie było końca tajemnym szeptom z mymi przyjaciółmi. Wszystko w domu było dla mnie sekretem i tajemnicą; aby się nie narażać bez ustanku na burze, nie śmiałem już w końcu pytać, co się dzieje. Aby się wydobyć z tego piekła, trzeba by stanowczości, do której nie byłem zdolny. Umiałem krzyczeć, ale nie działać: pozwalano mi gadać, a robiono swoje.

Te ustawne szarpaniny i codzienne przykrości, na które byłem wystawiony, zmierziły mi w końcu własne mieszkanie i pobyt w Paryżu. Skoro niedomaganie moje pozwoliło mi wyjść, a nie dałem się pociągnąć znajomym, szedłem na samotną przechadzkę; dumałem nad swoim wielkim systemem, rzucałem zeń to lub owo na papier przy pomocy czystego notatnika i ołówka, które zawsze miałem w kieszeni. Oto w jaki sposób nieprzewidziane utrapienia obranego przeze mnie stanu popchnęły mnie, niejako przez ucieczkę, do reszty w literaturę; i oto w jaki sposób we wszystkie moje pierwsze dzieła przelałem żółć i irytację będące źródłem ich powstania.

Inna rzecz przyczyniała się jeszcze do tego. Rzucony mimo woli w świat, nie posiadając jego form, niezdolny przyswoić ich sobie i poddać się im, postanowiłem przybrać ton własny, który by mnie od nich uwolnił. Ponieważ moja głupia i niezręczna nieśmiałość, której nie mogłem przezwyciężyć, miała za źródło obawę uchybienia formom, obrałem dla dodania sobie odwagi postanowienie deptania ich nogami. Stałem się cynikiem i zgryźliwcem przez wstyd; udawałem, że gardzę dwornością, której nie byłem zdolny posiąść. Prawda, iż szorstkość ta, zgodna z mymi nowymi zasadami, uszlachetniała się w mej duszy i nabierała w niej charakteru nieustraszonej cnoty; śmiem powiedzieć, iż dzięki tej to wzniosłej podstawie, utrzymałem się w roli lepiej i dłużej, niżby się można spodziewać po wysiłku tak sprzecznym z mą naturą. Wszelako mimo reputacji mizantropa[558], jaką zewnętrzny wygląd i parę szczęśliwych odezwań stworzyły mi w świecie, faktem jest, iż w życiu prywatnym licho utrzymywałem się w swoim charakterze; że przyjaciele i znajomi prowadzili tego srogiego niedźwiedzia jak jagniątko, i że, ograniczając sarkazmy do prawd surowych, ale ogólnych, nigdy nikomu w świecie nie umiałem powiedzieć przykrego słowa.

Wróżek wiejski[559] do reszty wprowadził mnie w modę; niebawem nie było w Paryżu bardziej poszukiwanego człowieka. Historia tej sztuki, stanowiącej poniekąd epokę, stoi w związku z dziejami mych ówczesnych stosunków. Trzeba mi bliżej omówić ten szczegół dla zrozumienia tego, co następuje.

Miałem wiele znajomości, ale tylko dwóch przyjaciół z wyboru, Diderota i Grimma. Mam wrodzoną potrzebę, aby skupiać tych, których kocham; nadto byłem przyjacielem ich obu, aby i oni nie mieli stać się niebawem przyjaciółmi. Zapoznałem ich, przypadli sobie do smaku i niebawem zżyli się z sobą bliżej niż ze mną. Diderot miał znajomości bez liku; ale Grimm, cudzoziemiec i świeży przybysz, potrzebował ich dopiero. Pomagałem mu z tym z całego serca. Zapoznałem go z Diderotem, z Gauffecourtem. Wprowadziłem go do pani de Chenonceaux, do pani d'Epinay, do barona d'Holbach[560], z którym znalazłem się w stosunkach niemal mimo woli. Wszyscy moi bliscy stali się jego przyjaciółmi, to było całkiem proste; ale żaden z jego przyjaciół nie stał się nigdy moim; to było mniej proste. Kiedy Grimm mieszkał u hrabiego de Friès̀e, zapraszał nas często do siebie na obiad; ale nigdy nie otrzymałem żadnego dowodu przyjaźni ani życzliwości ze strony hrabiego de Friès̀e ani hrabiego de Schomberg, jego krewnego, bardzo zażyłego z Grim-

[558] *mizantrop* — osoba czująca niechęć do ludzi, unikająca towarzystwa innych. [przypis edytorski]

[559] *Wróżek wiejski* (fr. *Le devindu village*) — jednoaktowa opera komiczna autorstwa Rousseau, wystawiona w 1742. [przypis edytorski]

[560] *d'Holbach*, [*Paul Henri Thiry*] (1723–1789) — z pochodzenia Niemiec, zrazu zawdzięczał swój mir w paryskim świecie obiadom, jakimi ugaszczał encyklopedystów; stopniowo przejął się ich filozofią, doprowadzając ją do krańcowego i ciężkiego ateizmu. Ogłosił liczne pisma. [przypis tłumacza]

mem, ani od żadnej z osób, z którymi Grimm przez nich szedł w stosunki. Wyłączam jedynego księdza Raynal[561], który mimo iż jego przyjaciel, okazał się i moim, i ofiarował mi w potrzebie sakiewkę z niezwykłą w istocie szlachetnością. Ale księdza Raynal znałem na długi czas, zanim Grimm go poznał i zawsze byłem doń przywiązany, od czasu jak mi okazał niezmiernie wiele delikatności i serca w okoliczności błahej, ale której nie zapomnę nigdy.

Ów ksiądz Raynal umie być niewątpliwie gorącym przyjacielem. Dał dowód tego, mniej więcej w tym właśnie czasie, wobec samego Grimma, z którym żył nader blisko. Grimm, który bywał przez jakiś czas u panny Fel na stopie prostej przyjaźni, wpadł nagle na pomysł, aby się w niej śmiertelnie zakochać i chcieć wyparować Cahusaca[562]. Aktorka, która uparła się zostać wierną, odprawiła z kwitkiem nowego wielbiciela. Grimm wziął rzecz tragicznie i postanowił ni mniej ni więcej jak umrzeć. Jakoż popadł z miejsca w chorobę najbardziej osobliwą, o jakiej kiedykolwiek słyszano. Spędzał dnie i noce w nieprzerwanym letargu, z otwartymi oczyma, z pulsem należycie bijącym, ale nie mówiąc, nie jedząc, nie ruszając się, zdając się niekiedy słyszeć, ale nie odpowiadając nigdy, nawet znakiem; zresztą bez niepokojów, bez bólu, gorączki, w takiej martwocie jak gdyby był umarły. Ksiądz Raynal i ja czuwaliśmy przy nim na zmianę; ksiądz, silniejszy i zdrowszy, spędzał przy chorym noce, ja dnie, tak że nigdy nie zostawialiśmy go samego; jeden nie oddalał się, nim drugi przybył. Hrabia de Friese, zaniepokojony, sprowadził Senaca, który zbadawszy dobrze pacjenta, powiedział, że to nic, i nic też nie przepisał. Obawa o przyjaciela sprawiła, iż bacznie śledziłem zachowanie lekarza; ujrzałem, iż wychodząc, uśmiechnął się. Mimo to chory został tak szereg dni bez ruchu, nie biorąc do ust ani łyżki rosołu, ani czego bądź innego, prócz trochy[563] smażonych wisien, które od czasu do czasu kładłem mu na język i które łykał bardzo dobrze. Jednego pięknego ranka wstał, ubrał się i podjął zwykły tryb życia; po czym, o ile mi wiadomo, nigdy nie wspomniał ani mnie, ani księdzu Raynal, ani nikomu o tym osobliwym letargu ani też o opiece, jakąśmy nad nim roztoczyli.

Mimo to zdarzenie narobiło hałasu; i byłoby to zaiste cudowne wydarzenie, gdyby okrucieństwo baletniczki z Opery miało przyprawić człowieka o śmierć z rozpaczy. Ta bohaterska namiętność wprowadziła Grimma w modę; ogłaszano go za cudo miłości, przyjaźni, przywiązania wszelkiego rodzaju. Opinia ta sprawiła, iż zaczęto go rozrywać i fetować w wielkim świecie, a tym samym oddaliła go ode mnie, który zawsze istniałem dlań jedynie w braku czego lepszego. Niebawem ujrzałem, iż bliski jestem postradania go zupełnie; na przekór bowiem wielkim uczuciom, którymi się popisywał, to ja raczej, z mniejszą ostentacją, żywiłem je dla niego. Byłem bardzo rad z jego powodzenia w świecie, ale żal mi było, iż dzieje się to kosztem zapomnienia o przyjacielu. Rzekłem mu jednego dnia: „Grimm, zaniedbujesz mnie; przebaczam ci. Skoro pierwsze odurzenie hałaśliwymi tryumfami przeminie i kiedy odczujesz ich pustkę, mam nadzieję, że wrócisz do mnie: odnajdziesz mnie zawsze. Co się tyczy obecnej chwili, nie krępuj się; zostawiam ci swobodę i czekam twego powrotu". Odparł, iż mam słuszność, urządził się w tym duchu i poprowadził rzecz tak gładko, iż odtąd widywałem go już tylko razem z innymi wspólnymi przyjaciółmi.

Głównym naszym punktem zbornym (zanim Grimm związał się z panią d'Epinay tak blisko, jak to miało nastąpić w przyszłości) był dom barona d'Holbach. Ów baron był to syn dorobkiewicza; cieszył się dość ładną fortuną, której używał w szlachetny sposób, przyjmując u siebie ludzi talentu i zasług, sam, dzięki swej wiedzy i wykształceniu, zajmując godne między nimi miejsce. Od dawna zażyły z Diderotem, poszukiwał za jego pośrednictwem zbliżenia ze mną, nim jeszcze moje imię nabrało rozgłosu. Jakaś naturalna odraza długo nie pozwalała mi odpowiedzieć jego zabiegom. Jednego dnia, kiedy mnie pytał o przyczynę mego uprzedzenia, rzekłem: „Jesteś pan zbyt bogaty". Uparł się i zwyciężył wreszcie. Moim największym nieszczęściem było to, iż nigdy nie umiałem się oprzeć serdecznym naleganiom. Nigdy nie wyszło mi na dobre, ilekroć ustąpiłem.

[561] *Raynal*, [*Guillaume*] (1713–1796) — historyk i filozof; umysł nie pierwszorzędny, ale zręczny i cieszący się wziętością. [przypis tłumacza]

[562] *Cahusac*, [*Louis de*] (1706–1756) — wzięty głównie jako librecista oper. [przypis tłumacza]

[563] *trocha* (daw.) — odrobina, niewielka ilość czegoś. [przypis edytorski]

Wspomnę o innej jeszcze znajomości, która stała się przyjaźnią natychmiast, skoro zyskałem prawo do zabiegania się o nią: była to znajomość z Duclosem[564]. Minęło wówczas już kilka lat, jak spotkałem go po raz pierwszy w Chevrette, u pani d'Epinay, z którą był bardzo zażyle. Widzieliśmy się tylko przy stole; wyjechał tegoż samego dnia; ale rozmawialiśmy przez chwilę po obiedzie. Pani d'Epinay mówiła mu o mnie i o mojej operze *Tkliwe muzy*. Duclos, sam nadto utalentowany, aby miał nie cenić talentu, zapalił się do mnie i prosił, bym go odwiedził. Mimo dawnej już sympatii, wzmocnionej jeszcze osobistą znajomością, nieśmiałość moja, lenistwo, wstrzymywały mnie póty, póki poza jego uprzejmością nie miałem wobec niego innego tytułu. Dopiero zachęcony pierwszym powodzeniem i pochwałami Duclosa, o których mi doniesiono, poszedłem doń, on odwiedził mnie wzajem i tak zaczęły się stosunki, które mi go zawsze będą czyniły drogim i którym, poza świadectwem własnego serca, zawdzięczam to przekonanie, iż uczciwość i prostota mogą kojarzyć się niekiedy z zawodem pisarskim.

Wiele innych związków mniej trwałych, o których nie wspominam tutaj, było następstwem mych pierwszych sukcesów. Trwały one póty, póki nie nasyciła się ciekawość. Byłem osobliwością na krótką metę: skoro ktoś raz mnie widział, nie było nazajutrz nic nowego do oglądania. Jedna kobieta wszelako, która zabiegała się w tym czasie o moją znajomość, wytrwała dłużej niż inne: margrabina de Créqui[565], siostrzenica posła de Froulay, ambasadora maltańskiego. Brat posła był poprzednikiem pana de Montaigu w ambasadzie weneckiej; toteż po powrocie stamtąd przedłożyłem mu swoje służby. Pani de Créqui napisała do mnie; poszedłem ją odwiedzić; powzięła dla mnie sympatię. Bywałem u niej niekiedy na obiedzie; spotykałem wielu ludzi pióra, między innymi pana Saurin[566], autora *Spartaka*, *Barnevelta* etc., który później stał się mym zaciętym wrogiem. Nie znam żadnej przyczyny po temu, chyba tę, że noszę nazwisko człowieka, którego ojciec pana Saurin prześladował w sposób nader szpetny[567].

Można z tego widzieć, iż jak na kopistę, który powinien być zajęty swym rzemiosłem od rana do wieczora, prowadziłem życie dość rozproszone. To wszystko sprawiało, iż dzienny mój zarobek nie bywał zbyt wydatny, jak również nie pozwalało mi dostatecznie zwracać uwagi na mą pracę; toteż więcej niż połowę czasu, który mi zostawiano, traciłem na mazaniu lub wyskrobywaniu błędów, lub zaczynaniu na nowo całego arkusza. Utrapienia te czyniły mi pobyt w Paryżu z każdym dniem bardziej nieznośnym i kazały z upragnieniem szukać schronienia na wsi. Niejednokrotnie puszczałem się, aby spędzić kilka dni w Marcoussis; pani Le Vasseur znała tam wikarego, u którego kwaterowaliśmy się wszyscy, w sposób nie przyczyniający mu zbytniego kłopotu. Grimm wybrał się tam raz z nami[568]. Wikary miał ładny głos, śpiewał wcale dobrze i mimo że nie czytał nut, uczył się swojej partii bardzo łatwo i wiernie. Spędzaliśmy czas śpiewając moje tercety z Chenonceaux. Ułożyłem i kilka nowych, do słów skleconych na poczekaniu przez Grimma i wikarego. Nie mogę odżałować tych tercetów, ułożonych i śpiewanych w chwilach bardzo czystej radości; zostawiłem je w Wooton wraz ze wszystkimi nutami. Panna Davenport zużyła je już może na papiloty; ale warte były, aby je zachować; zwłaszcza pod względem kontrapunktu są bardzo udatne. Po jednej z tych wycieczek, w czasie których byłem tak rad, iż widzę ciotkę zadowoloną i wesołą, i w czasie których sam czułem się

[564] *Duclos*, [*Charles Pinot*] (1704–1772) — zrazu autor utworów dość lekkich i drastycznych, później „historiograf Francji", członek Akademii, znany z charakteru prawego, ale szorstkiego i weredycznego. [przypis tłumacza]

[565] *de Créqui, margrabina* — Renée Caroline de Froullay, markiza (margrabina) de Créqui (1714–1803). [przypis edytorski]

[566] *Saurin, Bernard-Joseph* (1706–1781) — francuski prawnik, dramatopisarz i poeta; był autorem m.in. tragedii *Béverlei* (1768), zbliżonej do angielskiej sztuki *The Gamester* Edwarda Moore'a, kilkakrotnie adaptowanej w tym samym czasie przez autorów francuskich z użyciem nazwiska głównego bohatera w formie „Barnevelt". [przypis edytorski]

[567] *noszę nazwisko człowieka, którego ojciec pana Saurin prześladował w sposób nader szpetny* — Jan Baptysta Rousseau, oskarżony o autorstwo bezecnych epigramów krążących w Paryżu, zrzucił z siebie podejrzenie na wroga swego Saurina; jednakże dzięki zabiegom tegoż został w r. 1712 skazany wyrokiem parlamentu na dożywotnie wygnanie. [przypis tłumacza]

[568] *Grimm wybrał się tam raz z nami* — Skoro poniechałem opowiedzenia tutaj drobnej, ale pamiętnej przygody, jaką miałem z tymże panem Grimmem jednego ranka, kiedy wybraliśmy się na obiad do Saint-Vandrille, nie będę do niej wracał; ale kiedy później zastanawiałem się nad tym, doszedłem, iż wówczas już planował w głębi serca spisek, urzeczywistniony później z tak przedziwnym skutkiem. [przypis autorski]

tak dobrze, skreśliłem do wikarego, bardzo pospiesznie i lada jako, list wierszem, który znajdzie się w mych papierach.

Miałem w pobliżu Paryża jeszcze inne schronienie, bardzo miłe, u pana Mussard, mego krajana, krewnego i przyjaciela, który stworzył sobie w Passy rozkoszne ustronie. Spędziłem tam wiele lubych i spokojnych chwil. Mussard był to jubiler, człowiek nader do rzeczy, który zdobywszy w swym zawodzie uczciwą fortunkę i wydawszy jedyną córkę za pana de Valmalette, syna bankiera i burgrabiego królewskiego, powziął roztropne postanowienie, aby na stare lata opuścić handel oraz inne sprawy i uszczknąć parę chwil spoczynku i wywczasu pomiędzy kłopotami życia a melancholią zgonu. Poczciwy Mussard, prawdziwy filozof w praktyce, żył sobie bez troski w domku, który sam zbudował, i w bardzo ładnym ogrodzie zasadzonym własnymi rękami. Przekopując przy tej okazji ziemię, znalazł jakieś kopalne muszle, i to w takiej obfitości, iż rozgrzana jego wyobraźnia widziała odtąd w naturze jeno same muszle i że w końcu uwierzył na dobre, iż wszechświat składa się wyłącznie z muszli, szczątków muszli i że cała ziemia jest jedynie ich produktem. Wciąż zajęty tym przedmiotem i swymi osobliwymi odkryciami, zapalił się do tych idei tak, że byłyby się wreszcie zmieniły w jego głowie w system, to znaczy w szaleństwo, gdyby, bardzo szczęśliwie dla jego rozsądku, ale bardzo nieszczęśliwie dla przyjaciół, którzy go kochali, śmierć nie była go im wydarła, po bardzo osobliwej i okrutnej chorobie. Był to guz w żołądku, ciągle powiększający się, który nie pozwolił mu jeść i w końcu po paru latach cierpień doprowadził do głodowej śmierci. Nie mogę sobie, bez ściśnięcia serca, wspomnieć ostatnich chwil tego biednego i godnego człowieka. Przyjmując jeszcze z żywą przyjemnością Leniepsa[569] i mnie, dwóch jedynych przyjaciół, których widok jego cierpień nie odstręczył aż do ostatniej godziny, pożerał oczyma posiłek, którym nas ugaszczał, sam ledwie mogąc połknąć kilka kropel leciutkiej herbaty, a i tę musiał zwracać za chwilę. Ale przed ową epoką cierpienia ileż spędziłem u niego przyjemnych chwil, wraz z wybranym kołem przyjaciół, których gromadził w swym domu! Na ich czele stawiam księdza Prévost[570], człowieka wielkiego uroku i prostoty, który własnym sercem ożywiał swoje godne nieśmiertelności utwory i który w rozmowie ani w obcowaniu nie miał nic z owego posępnego zabarwienia, które dawał swoim dziełom; lekarza Prokopa[571], małego Ezopka nie wolnego od ciekawości do kobiet; Boulangera[572], słynnego pośmiertnego autora *Wschodniego despotyzmu*; on to, zdaje mi się, podsycał systemy Mussarda co do trwania świata. Z kobiet pani Denis, siostrzenica Woltera, która będąc wówczas jedynie poczciwą kobieciną, nie wzbijała się w górnolotne strefy; pani Vanloo, niepiękna, to pewna, ale urocza i śpiewająca jak anioł; sama pani de Valmalette wreszcie, śpiewająca również i która, mimo iż bardzo chuda, byłaby nader powabna, gdyby mniej się siliła w tym względzie. Takie było mniej więcej towarzystwo pana Mussard, które byłoby mi dosyć przypadło do smaku, gdyby sam na sam z nim, wraz z jego muszlomanią, nie było mi jeszcze milsze; mogę powiedzieć, iż przez więcej niż pół roku pracowałem nad jego zbiorem z takąż przyjemnością co on sam.

Pan Mussard utrzymywał od długiego już czasu, że wody w Passy będą bardzo zbawienne na moje cierpienia, i zachęcał mnie, abym rozgościł się na jakiś czas u niego. Aby się nieco wydrzeć z miejskiego zgiełku, poddałem się wreszcie i spędziłem w Passy tydzień czy dziesięć dni, które zrobiły mi więcej dobrego tym, że byłem na wsi, niż że piłem wody. Mussard grywał na wiolonczeli i namiętnie lubił włoską muzykę. Jednego wieczora, przed pójściem na spoczynek, mówiliśmy wiele o tym przedmiocie, a zwłaszcza

[569] *Lenieps, Toussaint-Pierre* (1697–1774) — radykalny oponent rządów patrycjatu genewskiego; wygnany z Genewy (1731) za popieranie Micheliego du Crest, zamieszkał w Paryżu, gdzie prosperował jako bankier. [przypis edytorski]

[570] *Prévost*, [*Antoine* (1697–1763)] — autor *Manon Lescaut* i licznych powieści. [przypis tłumacza]

[571] *Procope-Couteaux*, właśc. *Michel Coltelli* (1684–1753) — francuski lekarz, pisarz, dramaturg; był brzydki i garbaty, podobnie jak starożytny bajkopisarz Ezop, ale z powodu dowcipu i pogodnego usposobienia cieszył się powodzeniem u kobiet. [przypis edytorski]

[572] *Boulanger, Nicolas Antoine* (1722–1759) — francuski inżynier i filozof, autor rozpraw na temat naturalnego pochodzenia wierzeń i praktyk religijnych, opublikowanych po jego śmierci, głównie *Recherches sur l'origine du despotisme oriental* (Badania nad pochodzeniem wschodniego despotyzmu, 1761) oraz *L'Antiquité dévoilée par ses usages, ou Examen critique des principales opinions, cérémonies et institutions religieuses et politiques des différents peuples de la terre* (Starożytność odkryta przez swe zwyczaje, czyli badanie krytyczne głównych poglądów, obrządków i instytucji religijnych i politycznych różnych ludów ziemi, 1766). [przypis edytorski]

o operach *buffa*[573], które obaj widywaliśmy we Włoszech i obaj byliśmy nimi zachwyceni. W nocy, nie mogąc spać, zacząłem dumać, w jaki sposób można by się wziąć do rzeczy, aby dać publiczności francuskiej pojęcie o tego rodzaju dramacie; *Miłostki Ragondy*[574] bowiem zgoła nie były doń podobne. Rano, przechadzając się i pijąc wody, skleciłem bardzo naprędce kilkanaście wierszy i podłożyłem pod nie melodię, która urodziła mi się w głowie w czasie ich pisania. Gryzmoliłem to wszystko w dzikiej altanie, położonej w górnej części ogrodu; przy herbacie nie mogłem się wstrzymać, aby nie pokazać tych aryjek Mussardowi i pannie Duvernois, jego gospodyni, zacnej i miłej osobie. Trzy ustępy, które naszkicowałem, to pierwszy monolog, *Straciłam swego miłego*; aria wróżka: *Miłość wzrasta, gdy się trwoży*; i ostatni duet: *Colinie, błagam cię, na wieki* etc. Tak dalece nie wyobrażałem sobie, aby to było warte dalszego trudu, iż gdyby nie oklaski i zachęty obojga słuchaczy, miałem już wrzucić do ognia swoje świstki i zapomnieć o nich, jak już tyle razy zrobiłem z utworami co najmniej równej wartości: ale tak gorąco zaczęli mnie zagrzewać, iż w niespełna tydzień dramacik był niemal gotowy, a cała muzyka naszkicowana, tak iż w Paryżu zostało mi jedynie dorobić trochę recytatywów i akompaniamentu. Wykończyłem wszystko tak szybko, iż w trzy tygodnie partie były przepisane na czysto i gotowe do wystawienia. Brakło jedynie baletu, który napisałem dopiero znacznie później.

(1752) Podniecony pisaniem tego utworu, pałałem wielką ochotą usłyszenia go. Byłbym dał wszystko w świecie, aby go móc oglądać wedle mojej myśli, przy zamkniętych drzwiach, jak podobno Lulli[575] kazał raz odegrać *Armidę* dla samego siebie. Ponieważ mogłem posiąść tę przyjemność jedynie dzieląc ją z publicznością, trzeba było koniecznie, chcąc uzyskać wystawienie mej sztuki, przedstawić ją w Operze. Na nieszczęście była ona w rodzaju zupełnie nowym, do którego uszy jeszcze nie nawykły; zresztą, niepowodzenie *Tkliwych Muz* pozwalało mi przewidywać odrzucenie *Wróżka*, gdybym go przedstawił pod swoim nazwiskiem. Duclos wydobył mnie z kłopotu: podjął się uzyskać próbę bez wyjawienia autora. Aby się nie zdradzić, nie pokazałem się na próbie, tak iż nawet kierujący orkiestrą nie wiedział, kto jest autorem, póki powszechny poklask nie potwierdził wartości dzieła. Wszyscy, którzy je słyszeli, wyszli zachwyceni, tak iż nazajutrz w całym Paryżu sukces mój był na wszystkich ustach. Pan de Cury, intendent zabaw królewskich, obecny na próbie, oświadczył się z chęcią wystawienia opery na dworze. Duclos, który znał moje intencje, sądząc, iż będę jeszcze mniej panem swej sztuki na dworze niż w Paryżu, odmówił. Cury zażądał jej z urzędu, Duclos nie ustępował; spór stał się tak żywy, iż jednego dnia już mieli wyjść z Opery dla skrzyżowania broni, gdyby ich nie rozdzielono. Chciano odwołać się do mnie; odesłałem rzecz z powrotem do Duclosa. Trzeba było wrócić do niego. Książę d'Aumont wdał się w sprawę. Wreszcie Duclos uznał za właściwe ustąpić powadze władzy i oddał sztukę celem wystawienia jej w Fontainebleau[576].

Częścią utworu, do której najwięcej byłem przywiązany i w której najbardziej oddaliłem się od pospolitej drogi, był recytatyw. Był on akcentowany w sposób zupełnie nowy i szedł zgodnie z tokiem słów. Nie ośmielono się zostawić tej straszliwej innowacji, lękano się, iż może obrazić owczy pęd przyjętych narowów. Zgodziłem się, aby Francueil i Jélyotte napisali inny recytatyw, ale nie chciałem mieszać się do tego.

Kiedy wszystko było gotowe i dzień przedstawienia naznaczony, namówiono mnie na podróż do Fontainebleau dla usłyszenia choć ostatniej próby. Wybrałem się z panną Fel, Grimmem, i, zdaje mi się, księdzem Raynal, w karocy dworskiej. Próba szła nieźle; bardziej byłem z niej rad, niż się spodziewałem. Orkiestra była liczna, złożona z muzykantów Opery oraz kapeli królewskiej. Jélyotte grał Colina, panna Fel Colettę, Cuvillier wróżka; chóry wzięto z Opery. Nie wtrącałem się wiele: Jélyotte kierował wszystkim, nie

[573] *opera buffa* (z wł. *buffo*: komiczny, śmieszny) — włoska opera komiczna; gatunek opery powstały w XVIII w. we Włoszech. [przypis edytorski]

[574] *Miłostki Ragondy* — *Les amours de Ragonde*, trójaktowa opera Jean-Josepha Moureta z librettem Philippe'a Néricault Destouchesa, wystawiona w Paryżu 1714, jedna z pierwszych francuskich oper komediowych. [przypis edytorski]

[575] *Lulli*, [*Giovanni Battista* a. Lully, *Jean-Baptiste*] (1633–1687) — słynny nadworny muzyk Ludwika XIV, stały współpracownik Moliera [urodzony we Włoszech wielki kompozytor fr. epoki baroku; stworzył francuską operę narodową, nadając jej swoisty, odmienny od włoskiego styl; red. WL]. [przypis tłumacza]

[576] *Fontainebleau* — miejscowość ok. 60 km na płd-wsch. od Paryża, znana z rezydencji królów Francji: reprezentacyjnego pałacu z rozległym ogrodem i parkiem. [przypis edytorski]

chciałem kontrolować tego, co uczynił; zresztą, mimo swoich rzymskich tonów czułem się nieśmiały jak student wśród tego zebrania.

Nazajutrz, w dzień przedstawienia, udałem się na śniadanie do kawiarni. Było pełno ludzi. Mówiono o wczorajszej próbie i o trudnościach uzyskania wstępu. Oficer pewien, który rzekomo był na niej, rzekł, iż dostał się bez trudu, opowiedział obszernie, co się tam działo, odmalował autora, zdał sprawę, co czynił, co mówił; ale co mnie zdumiewało w tym opowiadaniu, dość długim, wygłoszonym z równą pewnością siebie jak prostotą, to iż nie było w nim ani jednego słowa prawdy. Było mi bardzo jasne, że ten człowiek, który tak płynnie mówi o całej próbie, nie był na niej, skoro, nie wiedząc o tym, miał przed oczyma tego autora, którego jakoby widział był tak dobrze. Najosobliwsze w tej scenie było wrażenie, jakie na mnie uczyniła. Osobnik ten był już dość poważny wiekiem, nie wyglądał ani na trutnia, ani na samochwała; fizjonomia zwiastowała człowieka nie pierwszego z brzegu, Krzyż zaś św. Ludwika[577] zdradzał dawnego oficera. Zainteresował mnie, mimo swej bezczelności i wbrew mej woli. Podczas gdy rozpowiadał swoje kłamstwa, czerwieniłem się, spuszczałem oczy; byłem jak na rozżarzonych węglach; to znowuż zachodziłem w głowę, czy nie byłoby sposobu uważać go za człowieka mylącego się, ale w dobrej wierze. Wreszcie, drżąc, aby mnie kto nie poznał i nie uczynił mu afrontu, dopiłem spiesznie czekolady, nie mówiąc słowa i, przechodząc koło niego ze spuszczoną głową, wyszedłem jak mogłem najszybciej, podczas gdy zgromadzenie rozprawiało na temat jego relacji. Na ulicy spostrzegłem, że jestem cały w pocie; jestem pewien, iż gdyby mnie ktoś poznał i zawołał po imieniu, nim zdążyłem wyjść, przeszedłbym wszystkie męczarnie wstydu i zakłopotania winowajcy, jedynie przez poczucie przykrości, jaką cierpiałby ten nieborak, widząc, iż kłamstwo jego wyszło na jaw.

Oto wchodzę w jeden z owych zagadkowych okresów mego życia, o których trudno mi po prostu opowiadać, ponieważ prawie niemożliwe jest, aby samo opowiadanie nie nosiło cech krytyki lub obrony. Spróbuję wszelako zdać sprawę, jak i z jakich pobudek postępowałem, nie dodając od siebie pochwał ani przygany.

Miałem tego dnia ten sam prostacki strój, jaki przybrałem za mój zwyczajny ubiór; do tego duża broda i peruka dość niedbale uczesana. Biorąc ten brak przyzwoitości za akt odwagi, wszedłem w ten sposób do sali, gdzie za chwilę mieli wejść król, królowa, rodzina królewska i cały dwór. Usadowiłem się w loży, do której wprowadził mnie pan de Cury, jak się okazało, jego własnej. Była to wielka loża wychodząca na samą scenę, naprzeciw małej lóżki położonej wyżej, gdzie umieścił się król z panią de Pompadour. Siedziałem otoczony damami, jedyny mężczyzna, na samym przedzie loży; nie mogłem wątpić, iż pomieszczono mnie tam umyślnie, abym był na widoku. Skoro zapalono światła, widząc się w tej postaci wśród ludzi wszystkich nadzwyczaj postrojonych, zacząłem się czuć nieswojo. Zapytałem sam siebie, czy jestem na swoim miejscu i czy ubrałem się odpowiednio, i po kilku minutach niepokoju odpowiedziałem: „Tak", ze stanowczością, która więcej może pochodziła z niemożności zaparcia się siebie niż z siły argumentów. Powiedziałem sobie: „Jestem na swoim miejscu, skoro patrzę na wystawienie swojej sztuki, będąc na nie zaproszony, napisawszy ją w tym celu i skoro, ostatecznie, nikt nie ma więcej ode mnie praw cieszyć się owocem mej pracy i talentów. Ubrałem się jak zwyczajnie, ani lepiej, ani gorzej; jeśli zacznę na nowo poddawać się w czymkolwiek opinii, niebawem stanę się znowuż we wszystkim jej niewolnikiem. Jeśli chcę być zawsze samym sobą, nie powinienem, nigdzie i nigdy, rumienić się, iż ubrałem się wedle stanu, który sobie obrałem. Wygląd mój jest prosty i zaniedbany, ale nie brudny ani niechlujny: broda nie jest sama przez się czymś plugawym, skoro natura sama nam ją dała i skoro, wedle czasu i obyczaju, bywa uważana za ozdobę. Będą mnie znajdować śmiesznym, gburem? Więc co? Cóż mi o to? Trzeba umieć ścierpieć śmieszność i potępienie, byleby nie były zasłużone". Po tym monologu umocniłem się w duchu tak skutecznie, iż umiałbym być nieustraszony, gdyby zachodziła tego potrzeba. Ale czy to wskutek obecności monarchy, czy też szczerego usposobienia serc, dość że w zaciekawieniu, którego byłem przedmiotem, spostrzegłem same jeno oznaki uznania i przychylności. Wzruszyło mnie to do tego

[577] *Krzyż św. Ludwika* — Królewski Order Wojskowy Świętego Ludwika, francuski order za zasługi wojenne, nazwany na cześć króla Ludwika IX Świętego, funkcjonujący w latach 1693–1792 oraz 1814–1830. [przypis edytorski]

stopnia, iż zacząłem być niespokojny o siebie i o los sztuki, lękając się zniweczyć tak przychylne uprzedzenia, zdające się czekać jeno sposobności do zachwytu. Byłem opancerzony przeciw szyderstwu; ale życzliwe przyjęcie, którego nie oczekiwałem, uczyniło na mnie tak silne wrażenie, iż kiedy zaczynano, drżałem wręcz jak dziecko.

Niebawem nabrałem otuchy. Sztuka była bardzo źle grana pod względem aktorskim, ale dobrze śpiewana i dobrze wykonana co do muzyki. Od pierwszej sceny, która w istocie jest wzruszająca swą naiwnością, usłyszałem jak w lożach podnosi się szmer zdziwienia i zachwytu, niesłyszany dotąd przy tego rodzaju utworach. Rosnące podniecenie obiegło niebawem całą widownię, i, mówiąc językiem Monteskiusza, spotęgowało swe działanie siłą samegoż działania. Przy scenie dwojga poczciwych prostaczków wrażenie doszło szczytu. Nie jest przyjęte oklaskiwać w obecności króla; dzięki temu słyszano wszystko — sztuka i autor zyskali na tym. Słyszałem dokoła szepty kobiet, które zdawały mi się piękne jak anioły, a które mówiły między sobą: „To cudowne, urocze! Nie ma jednego tonu, który by nie mówił do serca". Rozkosz dania wzruszenia tylu powabnym osobom wzruszyła mnie samego do łez i nie mogłem też ich wstrzymać przy pierwszym duecie, spostrzegłszy, że nie ja jeden płaczę. Na chwilę cofnąłem się duchem wstecz; przypomniałem sobie koncert u pana de Treytorens. Przypomnienie to wywarło na mnie wrażenie niewolnika trzymającego wieniec nad głową tryumfatorów, ale trwało ono krótko; niebawem oddałem się, pełno i bez innych myśli, przyjemności napawania się mą chwałą. Jestem wszelako pewny, iż w tej chwili rozkosz zmysłowa odgrywała większą rolę niż próżność autorska; z pewnością, gdyby w sali byli tylko mężczyźni, nie czułbym, jak czułem bez przerwy, palącej chęci zbierania wargami rozkosznych łez, które wyciskałem z oczu. Widziałem sztuki budzące żywszy podziw, ale nigdy nie widziałem, aby w całej widowni, zwłaszcza na dworze, w dzień pierwszego przedstawienia, panowało tak pełne, słodkie, wzruszające upojenie. Ci, którzy byli obecni, muszą pamiętać ten wieczór, wrażenie bowiem było jedyne w swoim rodzaju.

Tego samego wieczora książę d'Aumont kazał mi powiedzieć, abym się zjawił w zamku nazajutrz koło jedenastej, że mnie przedstawi królowi. Pan de Cury, który udzielił mi tego zlecenia, dodał, iż sądzi, że chodzi tu o nadanie pensji i że król sam pragnie mi to oznajmić.

Czy uwierzyłby ktoś, że noc, która nastąpiła po tak świetnym dniu, była dla mnie nocą męczarni i rozterki? Pierwsza moja myśl po otrzymaniu wiadomości o zamierzonej prezentacji stawiła mi przed oczy częstą potrzebę wychodzenia na stronę, która przysporzyła mi wiele mąk już w sam wieczór widowiska i która mogła mnie przycisnąć jutro, kiedy znajdę się w galerii lub w apartamentach króla, wśród wszystkich dygnitarzy, czekając na zjawienie się majestatu. Niedomaganie to było główną przyczyną, która mnie trzymała z dala od większych zebrań i nie pozwalała bawić dłużej w towarzystwie kobiet. Sama myśl o położeniu, w które potrzeba ta mogła mnie wtrącić, zdolna była obudzić ją we mnie i przywieść mnie do omdlenia, chyba że odważyłbym się na skandal, od którego wolałbym śmierć. Jedynie ludzie, którzy znają ten stan, mogą ocenić, jaką grozą zdolna jest przejąć obawa podobnej sytuacji.

Wyobrażałem sobie potem siebie przed obliczem króla, w chwili przedstawienia J. K. Mości, która raczy może zatrzymać się i przemówić do mnie. Jakiej bystrości i przytomności umysłu trzeba, aby coś odpowiedzieć! Moja przeklęta nieśmiałość, która paraliżuje mnie wobec lada obcego, czyż opuściłaby mnie wobec króla Francji? czy pozwoliłaby mi znaleźć w tejże chwili trafne słowo odpowiedzi? Chciałem, nie porzucając zwykłego surowego wejrzenia i tonu, okazać się tkliwy na zaszczyt, który mnie spotyka ze strony tak wielkiego monarchy. Trzeba było jakąś wielką i użyteczną prawdę spowić w piękną i zasłużoną pochwałę. Aby przygotować zawczasu szczęśliwą odpowiedź, trzeba by przewidzieć dokładnie, co może mi król powiedzieć; a i tak pewien jestem, że w jego obecności nie odnalazłbym w pamięci ani słowa z obmyślonej przemowy. Co by się stało ze mną w owej chwili, na oczach całego dworu, gdyby w moim pomieszaniu wymknęło mi się jakieś zwyczajne niezgrabstwo? To niebezpieczeństwo przeraziło mnie, przejęło grozą, przyprawiło o drżenie do tego stopnia, iż postanowiłem za wszelką cenę nie narażać się na nie.

Traciłem, to prawda, pensję, którą mi poniekąd ofiarowano; ale wyzwalałem się zarazem z jarzma, które byłaby mi nałożyła. Bywaj zdrowa, prawdo, swobodo, odwago. Jak śmieć od tej chwili mówić o niezależności i bezinteresowności? Nie wolno by mi było

nic innego, jak tylko pochlebiać lub milczeć, skorobym przyjął tę pensję; a któż mi do tego ręczy, że będzie wypłacana? Ile starań trzeba by podjąć, ile figur obchodzić! Więcej i o wiele przykrzejszych trudów kosztowałoby mnie zachować ją niż obejść się bez niej. Uznałem tedy, iż wyrzekając się tej pensji, uczynię bardzo zgodnie ze swymi zasadami i że poświęcę pozór dla rzeczywistości. Objawiłem mój zamiar Grimmowi, który nie rzekł nic. Wobec innych wytłumaczyłem się zdrowiem i wyjechałem tegoż samego ranka.

Wyjazd mój narobił hałasu i na ogół spotkał się z potępieniem. Nie wszyscy mogli zrozumieć moje pobudki; oskarżać mnie o głupią pychę było prostsze i lepiej zadowalało zazdrość tych, którzy czuli, że w podobnej sytuacji nie zdobyliby się na krok podobny. Nazajutrz Jélyotte przesłał mi bilecik, w którym opisał mi szczegółowo powodzenie sztuki i zachwyt, jaki obudziła w samym królu. Cały dzień, donosił mi, J. K. Mość nie przestaje śpiewać głosem najfałszywszym w całym królestwie: „Straciłam mego miłego, straciłam szczęście moje". Dodawał, że za tydzień ma się odbyć drugie przedstawienie *Wróżka*, które, w oczach całej publiczności, stwierdzi pełne powodzenie.

W dwa dni później, wchodząc około dziewiątej wieczór do pani d'Epinay, gdzie miałem wieczerzać, skrzyżowałem się w bramie z dorożką. Ktoś z wewnątrz daje mi znak, abym wsiadł; wsiadam: był to Diderot. Zaczął mówić o owej pensji, z zapałem, którego nie byłbym się spodziewał po filozofie. Nie poczytywał mi za zbrodnię, że nie chciałem być przedstawiony królowi; ale miał mi w najwyższym stopniu za złe moją obojętność wobec pensji. Rzekł, iż jeżeli jestem bezinteresowny na mój rachunek, nie mam prawa nim być na rachunek pani Le Vasseur i jej córki i że im winien jestem nie pominąć żadnego możebnego i uczciwego sposobu dostarczania im chleba. Dotąd, mówił Diderot, nikt ostatecznie nie ma prawa powiedzieć, że odrzuciłem pensję; skoro zatem dwór życzy sobie mi ją przyznać, powinienem ubiegać się o nią i uzyskać za jaką bądź cenę. Mimo że rozczulony życzliwością Diderota, nie mogłem zgodzić się z jego poglądem; stoczyliśmy na ten temat nader żywą sprzeczkę, pierwszą, jaka zaszła między nami. Wszystkie nasze zwady były zawsze jedynie tego rodzaju: on narzucał mi to, co jego zdaniem powinienem uczynić, ja broniłem się, ponieważ sądziłem, że nie powinienem.

Późno było, kiedyśmy się rozstali. Chciałem go wziąć ze sobą na wieczerzę do pani d'Epinay; nie chciał. Wspomniałem, jak żywe jest we mnie pragnienie kojarzenia wszystkich, których kocham: w chęci zbliżenia z sobą tych dwojga moich przyjaciół posunąłem się tak daleko, iż swego czasu zaprowadziłem panią d'Epinay do mieszkania filozofa, który nas nie przyjął. Zawsze uchylał się od tej znajomości i wyrażał się o pani d'Epinay bardzo ujemnie. Dopiero po moim poróżnieniu z obojgiem zbliżyli się z sobą i Diderot zaczął mówić o niej w pochlebnych wyrazach.

Od tego czasu, można by mniemać, iż Diderot i Grimm jakby się zmówili, aby podburzać przeciw mnie moje „gospodynie", dając im do zrozumienia, że jeśli nie żyją w dobrobycie, to jedynie z przyczyny mej złej woli, i że nigdy ze mną nie dojdą do niczego. Starali się skłonić je, aby mnie opuściły, przyrzekając im dystrybucję soli, trafikę[578] i nie wiem, co jeszcze, wszystko za pomocą wpływów pani d'Epinay. Chcieli nawet wciągnąć Duclosa, zarówno jak Holbacha, do swej ligi; ale Duclos stale odmawiał. Już wtedy miałem niejaką świadomość tych knowań, ale poznałem je dokładnie dopiero znacznie później. Jakże często trzeba mi było biadać nad ślepą i nieopatrzną gorliwością mych przyjaciół, którzy, starając się mnie, znękanego mym niedomaganiem, doprowadzić do najsmutniejszego osamotnienia, sądzili, iż pracują dla mojego szczęścia! Środki, których imali się w tym celu, były w istocie najsposobniejsze, aby mnie uczynić najnieszczęśliwszym w świecie.

(1753) W ciągu następnego karnawału wystawiono *Wróżka* w Paryżu; miałem możność przez ten czas wykończyć uwerturę i balet. Balet ten, tak jak figuruje w wydaniu nutowym, miał się zasadzać cały na akcji i oparty był na jednolitym przedmiocie, który, wedle mnie, dostarczał bardzo powabnych obrazów. Ale kiedy przedstawiłem tę myśl w Operze, nie zrozumiano nawet, o czym mówię; trzeba było pozszywać śpiewy i tańce zwykłą modą: to sprawiło, że balet, mimo iż pełen ślicznych pomysłów, miał bardzo średnie powodzenie. Usunąłem recytatyw Jélyotta i przywróciłem mój, taki jak napisałem zrazu i jak figuruje w wydaniu nutowym. Ten recytatyw, mimo iż „sfrancuziony"

[578] *trafika* — sklep z wyrobami tytoniowymi; *przyrzekając im dystrybucję soli, trafikę*: handel solą i tytoniem wymagał uzyskania koncesji. [przypis edytorski]

nieco, przyznaję, to znaczy rozwleczony przez aktorów, nie tylko nie raził nikogo, ale podobał się nie mniej od arii i wydał się nawet publiczności co najmniej równie dobrze napisany. Poświęciłem swą sztukę Duclosowi, który jej patronował, i oświadczyłem, że będzie to jedyna moja dedykacja. Uczyniłem, za jego zgodą, jeden wyjątek w tej mierze, ale powinien się czuć tym wyjątkiem bardziej zaszczycony, niż gdybym nie uczynił żadnego.

Mógłbym z okazji tej sztuki przytoczyć wiele anegdotek, ale ważniejsze rzeczy, które mam do powiedzenia, nie pozwalają mi odbiegać od przedmiotu. Może wrócę jeszcze do tego w uzupełnieniu. Nie chciałbym wszelako opuścić jednego szczegółu, który może rzucić światło na dalsze opowiadanie. Oglądałem jednego dnia w gabinecie barona d'Holbach jego nuty; przerzuciwszy to i owo, odezwał się, pokazując zbiór utworów na klawikord: „Oto zbiór sztuczek ułożonych umyślnie dla mnie: są między nimi rzeczy pełne smaku, melodyjne. Nikt poza mną nie zna ich ani też nigdy nie zobaczy. Mógłbyś pan wybrać którą, aby ją wsunąć w swój balet". Mając w głowie pomysłów do arii i symfonii o wiele więcej, niż mogłem zużytkować, nie stałem bynajmniej o cudze melodie. Baron wszelako tak nalegał, iż przez grzeczność wybrałem jakąś pastorałkę, którą, skróciwszy znacznie, zużyłem jako tercet na wejście towarzyszek Coletty. W kilka miesięcy później w czasie przedstawień *Wróżka*, wchodząc jednego dnia do Grimma, zastałem gości zgromadzonych koło klawikordu. Na mój widok Grimm wstał nagle. Rzuciwszy machinalnie okiem na pulpit, ujrzałem ów zbiorek barona d'Holbach, otwarty właśnie na tej właśnie sztuczce, do której przyjęcia mnie zmusił, twierdząc, iż nigdy nie wyjdzie z jego rąk. W jakiś czas potem ujrzałem jeszcze ten sam zbiorek otwarty na klawikordzie pani d'Epinay, któregoś dnia, gdy muzykowano u niej. Grimm ani nikt nie wspomniał nigdy o tej arii; mówię o niej sam jedynie dlatego, iż w jakiś czas później rozeszły się pogłoski, że ja nie jestem autorem *Wiejskiego wróżka*. Przekonany jestem, iż gdyby nie mój *Dykcjonarz muzyczny*[579], powiedziano by w końcu, że nie znam nut[580]. Na jakiś czas przed wystawieniem *Wróżka* przybyli do Paryża włoscy śpiewacy *buffo*, którym pozwolono grać na scenie Opery, nie przewidując skutków, jakie to sprowadzi. Mimo że śpiewacy byli bardzo mierni i że orkiestra, wówczas bardzo niedouczona, kaleczyła do woli sztuki, które wystawiali, zadali wszelako operze francuskiej cios, spod którego nigdy nie zdołała się podnieść. Porównanie tych dwóch rodzajów muzyki, słyszanych tego samego dnia, w tym samym teatrze, otworzyło uszy Francuzom. Nie było jednego człowieka, który by mógł ścierpieć rozwlekłość francuskiej muzyki po żywym i energicznym akcencie włoskiej; skoro tylko *buffoni* skończyli, wszystko opuszczało teatr. Okazała się konieczność zmienienia porządku i dawania *buffonów* na koniec. Wystawiano *Eglé*, *Pygmaliona*, *Sylfa*[581] — nic nie mogło się utrzymać. Jeden *Wiejski wróżek* wytrzymał porównanie, a jeszcze więcej *Serva padrona*[582]. Kiedy układałem swoje intermedium, byłem wewnątrz przesiąknięty wpływem Włochów; oni zrodzili we mnie ten pomysł: nie przewidywałem zgoła, że oni sami pojawią się na scenie tuż obok mego utworu. Gdybym był rabusiem, ileż kradzieży ujawniłoby się wówczas i jak pilnie starano by się je podnieść! Ale nie: próżno by się ktoś silił, nie znaleziono w mojej muzyce najmniejszej reminiscencji; wszystkie moje melodie w zestawieniu z rzekomym oryginałem okazały się tak samo nowe, jak charakter muzyki, którą stworzyłem. Gdyby Mondonvilla[583] lub Rameau poddano podobnej próbie, wyszliby z niej w strzępach.

Buffoni zyskali muzyce włoskiej bardzo żarliwych wyznawców. Cały Paryż podzielił się na dwa stronnictwa, bardziej zagorzałe niż gdyby chodziło o sprawę państwa lub religii.

[579]Dykcjonarz muzyczny — co do tego szczegółu, podejrzliwość pisarza niezupełnie była urojeniem; istnieją dokumenta, świadczące, iż autorstwo muzyczne R. podawane było złośliwie w wątpliwość. (*J. J. Rousseau raconté par les gazettes de ton temps*). [przypis tłumacza]

[580]*Przekonany jestem, iż, gdyby nie mój* Dykcjonarz muzyczny*, powiedziano by w końcu, że nie znam nut* — Nie przewidywałem wówczas, iż powiedzą to w końcu mimo *Dykcjonarza*. [przypis autorski]

[581]*Eglé, Pygmalion, Sylf* — opery francuskie: *Aeglé* (1748) Pierre'a de La Garde, *Pygmalion* (1748) Rameau; „Sylf" to zapewne *Zelindor Roi des Sylphes* (Zelindor król Sylfów, 1745) Rebela i Francoeura. [przypis edytorski]

[582]*Serva padrona* — opera buffa Giovanniego Battisty Pergolesi, pierwotnie wstawka komediowa w operze poważnej *Il prigionier superbo*, z premierą w Neapolu w 1733, później wystawiana w Europie jako samodzielny utwór; jej wystawienie 1 sierpnia 1752 w Paryżu w Królewskiej Akademii Muzycznej (późniejszej Operze Paryskiej) stało się przyczyną „sporu o buffonów". [przypis edytorski]

[583]*Mondonville, Jean-Joseph Cassanéa de* (1711–1772) — francuski skrzypek i kompozytor, autor oper i motetów. [przypis edytorski]

Jedno, potężniejsze, liczniejsze, złożone z możnych, bogaczy i kobiet, popierało muzykę francuską; drugie, bardziej świadome siebie, dumne, pełne entuzjazmu, składało się z prawdziwych znawców, z ludzi talentu, wybitnych artystów. Ta mała garstka zbierała się w Operze, pod lożą królowej. Drugie stronnictwo wypełniało resztę parteru i sali; ale główne jego ognisko było pod lożą króla. Oto skąd pochodzą nazwy stronnictw słynne w owym czasie: „kącik króla" i „kącik królowej". Dysputa, rozgrzewając się stopniowo, wydała szereg broszur. „Kącik króla" chciał rzecz obrócić w żart — oblały go zimną wodą drwiny *Małego proroka*[584]; próbował rozumować — zbił go na głowę *List o muzyce francuskiej*[585]. Te dwa ulotne pisemka, jedno Grimma, drugie moje, oto jedyne, które przeżyły tę kłótnię; wszystkie inne są już martwe.

Ale *Mały prorok*, którego mimo zaprzeczeń upierano się przypisywać mnie, uszedł jako żart i nie ściągnął żadnej przykrości na autora; podczas gdy *List o muzyce*, wzięty przez wszystkich poważnie, poruszył przeciw mnie cały naród, obrażony rzekomo w swej muzyce. Opis nieprawdopodobnego wrażenia tej broszury godny byłby pióra Tacyta[586]. Był to czas wielkiej zwady między parlamentem a klerem[587]. Parlament właśnie wygnano, wrzenie dochodziło do szczytu, wszystko groziło bliskim buntem. Pojawiła się moja broszura[588]: w jednej chwili zapomniano o wszystkich innych kłótniach, myślano jedynie o niebezpieczeństwie muzyki francuskiej i całe wrzenie obróciło się przeciw mnie. Powstałe stąd podrażnienie zostawiło ślady, które nigdy nie załagodziły się zupełnie.

Na dworze wahano się wręcz między Bastylią a wygnaniem; dekret uwięzienia już miał być wydany, gdyby pan de Voyer nie był zwrócił uwagi na śmieszność tej represji. Kiedy powiem, iż ta broszura zapobiegła może przewrotowi w państwie, może to ktoś uważać za szaleństwo. Jest to wszelako bardzo rzeczywista prawda, którą cały Paryż może jeszcze potwierdzić, wobec tego iż upłynęło nie więcej niż piętnaście lat od czasu tego osobliwego zdarzenia.

Jeżeli nie targnięto się na mą wolność, nie oszczędzono mi przynajmniej zniewag, życie moje było nawet zagrożone. Orkiestra Opery uczyniła szlachetny spisek, aby mnie zamordować, gdy będę wychodził z gmachu. Ostrzeżono mnie o tym; tym pilniej uczęszczałem do Opery. Dowiedziałem się dopiero znacznie później, że pan Ancelet, oficer muszkieterów, człowiek bardzo mi życzliwy, udaremnił zamach, każąc mnie bez mej wiedzy eskortować, gdy wychodziłem z gmachu. W tym czasie miasto objęło zarząd Opery. Pierwszym czynem prefekta było odebrać mi prawo wolnego wstępu i to w sposób możliwie najnieprzyzwoitszy, mianowicie odmawiając publicznie wpuszczenia mnie, tak iż byłem zmuszony kupić bilet na galerię, aby nie mieć wstydu wracania od drzwi. Była to niesprawiedliwość tym bardziej krzycząca, iż jedyna cena, jaką naznaczyłem, oddając Operze swoją sztukę, zasadzała się na wiekuistym prawie wstępu. Było to prawo wszystkich autorów; miałem je tedy, tym samym, z podwójnego tytułu; mimo to żądałem stwierdzenia go w obecności Duclosa. Prawda, iż posłano mi przez kasjera Opery, bez żądania z mej strony, pięćdziesiąt ludwików jako honorarium, ale poza tym, iż te pięćdziesiąt ludwików nie były nawet kwotą, która z reguły byłaby mi przypadła, zapłata ta nie miała nic wspólnego z prawem wstępu, formalnie ustalonym i zupełnie od niej niezależnym. Postępowanie to było połączeniem takiej niesprawiedliwości i brutalstwa, iż publiczność, wówczas w fazie największego podniecenia przeciw mnie, mimo to jednomyślnie była

[584] *Mały prorok — Le petit prophète de Boehmischbroda* (styczeń 1753), satyra Friedricha Melchiora Grimma na tradycyjną operę francuską, stylizowana na proroctwo biblijne, opublikowana anonimowo. [przypis edytorski]

[585] *List o muzyce francuskiej — Lettre sur la musique française* (listopad 1753), w którym Rousseau głosi wyższość muzyki włoskiej, twierdząc, że muzyka francuska nie ma racji bytu, gdyż nie ma w niej miary ani melodyjności, pod względem brzmienia i ekspresywności język francuski nie nadaje się do śpiewania, zaś śpiew po francusku jest „ciągłym ujadaniem", nieznośnym dla nieuprzedzonego ucha. [przypis edytorski]

[586] *Tacyt*, właśc. *Publius Cornelius Tacitus* (ok. 55–120) — wybitny historyk rzymski. [przypis edytorski]

[587] *Był to czas wielkiej zwady między parlamentem a klerem. Parlament właśnie wygnano…* — nowy arcybiskup Paryża w celu wyplenienia jansenizmu wprowadził świadectwa spowiedzi, które miały być wystawiane przez księży uznających papieską bullę *Unigenitus* i niezbędne do otrzymania ostatniego namaszczenia, bez którego zmarły nie mógł być pochowany na cmentarzu. Parlament był temu przeciwny i nakładał grzywny na proboszczów stosujących się do tego zarządzenia. W zaostrzającym się sporze król wziął stronę arcybiskupa, ignorując przedkładane mu przez parlament uzasadnienia. Ostatecznie w maju 1753 nakazał aresztowania członków dwóch izb, a następnie zesłanie solidaryzującego się z nimi parlamentu do Pontoise. Na wiadomość o tym parlamenty prowincjonalne ogłosiły strajk. [przypis edytorski]

[588] *Pojawiła się moja broszura…* — polemika około tej broszury wydała przeszło 60 rozmaitych pism ulotnych i artykułów. [przypis tłumacza]

nim zgorszona; niejeden, który poprzedniego dnia miotał na mnie obelgi, krzyczał nazajutrz głośno na sali, że wstyd jest odbierać prawo wstępu autorowi, który tak dobrze na nie zasłużył i który mógł go żądać nawet w podwójnej mierze. Tak dalece trafne jest włoskie przysłowie, iż „każdy lubi sprawiedliwość w cudzej sprawie".

W tych okolicznościach mogłem obrać tylko jedną drogę: żądać zwrotu swego dzieła, skoro odbierano mi umówioną cenę. Napisałem w tym duchu do pana d'Argenson, który miał wydział Opery; dołączyłem do listu memoriał o nieprzepartej argumentacji. Pozostał bez odpowiedzi i bez skutku, zarówno jak i list. Milczenie tego niesprawiedliwego człowieka zabolało mnie wielce i nie przyczyniło się do pomnożenia bardzo średniego sądu, jaki miałem zawsze o jego charakterze i talentach. W ten sposób zatrzymano mą sztukę w Operze, pozbawiając mnie ceny, za jaką ją ustąpiłem. Gdy słabszy postąpi tak wobec silniejszego, nazywa się to kradzieżą; jeśli silniejszy — jest to jedynie przywłaszczenie cudzego dobra.

Co się tyczy pieniężnej korzyści tego dzieła, to mimo że nie przyniosło mi ono ani czwartej części tego, co byłoby przyniosło w innych rękach, była ona mimo wszystko i tak dość znaczna, aby mi pozwolić istnieć przez kilka lat i uzupełniać dochody z kopiowania, które szło zawsze dość kulawo. Dostałem sto ludwików od króla, pięćdziesiąt od pani de Pompadour za przedstawienie w Bellevue[589], gdzie ona sama odegrała rolę Colina, pięćdziesiąt z Opery, a pięćset franków od Pissota za prawo wydania; tak iż ten drobiazg, który kosztował mnie ze wszystkim najwyżej pięć lub sześć tygodni pracy, przyniósł mi, mimo mej złej gwiazdy i niezgrabstwa, prawie tyle dochodu, ile później *Emil*, owoc dwudziestu pięciu lat myśli i trzech lat pracy. Ale dobrobyt pieniężny, jaki mi dała ta sztuka, opłaciłem sowicie nieskończonymi przykrościami. Była ona zaczynem tajemnych zazdrości, które wybuchły aż w długi czas później. Od czasu tego tryumfu nie zauważyłem już ani w Grimmie, ani w Diderocie, ani prawie w żadnym z bliskich mi ludzi pióra tej serdeczności, szczerości, tej radości widzenia mnie, jaką zdawało mi się, że spostrzegałem w nich dotąd. Z chwilą gdy pojawiałem się u barona, ogólna rozmowa rwała się. Zbierano się grupkami, szeptano sobie do ucha, tak iż zostawałem sam, nie wiedząc, do kogo się odezwać. Długo cierpiałem to ubliżające opuszczenie; widząc, że pani d'Holbach, dobra i miła osoba, przyjmuje mnie zawsze dobrze, znosiłem grubiaństwa jej męża, póki były do zniesienia. Ale jednego dnia napadł na mnie bez powodu, i z taką brutalnością, wobec Diderota, który nie pisnął słowa, i wobec Margency'ego[590], który powtarzał mi często potem, iż podziwiał łagodność i umiarkowanie moich odpowiedzi, iż wreszcie, wypędzony z jego domu tym niegodnym obchodzeniem, wyszedłem z postanowieniem niewracania nigdy. To nie przeszkodziło mi wyrażać się zawsze przyzwoicie o nim i o jego domu; podczas gdy on odzywał się o mnie jedynie w sposób obelżywy, pełen wzgardy, nie nazywając mnie inaczej jak tylko „chłystkiem", a nie mogąc wszelako sformułować żadnej mej rzekomej winy wobec niego ani wobec kogokolwiek z jego bliskich. Oto jak sprawdziły się moje przewidywania i obawy. Co do mnie, sądzę, iż moi tak zwani przyjaciele przebaczyli mi pisanie książek, nawet doskonałych, ponieważ ten rodzaj sławy nie był im obcy; ale nie mogli mi wybaczyć napisania opery ani świetnych tryumfów, które mi przyniosło to dzieło, ponieważ żaden z nich nie był zdolny próbować się na tej drodze ani zabiegać się o te zaszczyty. Jeden Duclos pośród tych zawiści okazywał mi coraz więcej przyjaźni, i wprowadził mnie do panny Quinault[591], gdzie znalazłem tyleż względów, uprzejmości, serdeczności, ile mi ich skąpiono u barona.

Podczas gdy dawano *Wróżka* w Operze, autor jego zabłąkał się i do Komedii Francuskiej, ale nieco mniej szczęśliwie. Od siedmiu czy ośmiu lat nie mogłem się doczekać wystawienia *Narcyza* u Włochów. Zresztą, zraziłem się do tego teatru i byłbym raczej wolał oglądać swą sztukę w Komedii Francuskiej. Wspomniałem o tym pragnieniu aktorowi La Noue[592], którego znałem bliżej, a który, jak wiadomo, był człowiekiem wykształco-

[589] *Bellevue* — ob. część Meudon, ok. 10 km na płd.-zach. od centrum Paryża; pani de Pompadour mieszkała w pałacyku Bellevue zbudowanym dla niej w 1750 przez Ludwika XV. [przypis edytorski]

[590] *Margency, Adrien Quiret (Cuyret) de* (1727 – ok.1802) — francuski oficer dworu królewskiego, poeta. [przypis edytorski]

[591] *Quinault*, [*Jeanne* (1699–1783)] — głośna aktorka, która w salonie swoim gromadziła kółko wybitnych ludzi pióra. Zebrania te odznaczały się wielką swobodą myśli i języka. [przypis tłumacza]

[592] *La Noue, Jean-Baptiste Sauvé de* (1701–1760) — aktor i dramaturg francuski, autor ok. 10 komedii. [przypis edytorski]

nym i również autorem. *Narcyz* spodobał mu się, podjął się wprowadzić go na scenę bezimiennie, tymczasem zaś wyrobił mi prawo wolnego wstępu, co mi sprawiło wielką przyjemność, zawsze bowiem przekładałem Komedię nad oba inne teatry. Sztukę przyjęto z aplauzem i wystawiono bez wymienienia nazwiska autora; ale mam prawo przypuszczać, iż aktorom i wielu innym osobom nie było ono tajne. Panny Gaussin i Grandval grały role amantek. Mimo iż brakło, moim zdaniem, zrozumienia całości, nie można powiedzieć, aby sztukę odegrano zupełnie źle. Mimo to zdumiony i wzruszony byłem pobłażaniem publiczności, która miała cierpliwość wysłuchać jej spokojnie, a nawet ścierpieć drugie przedstawienie, nie dając najmniejszego znaku niezadowolenia. Co do mnie, tak nudziłem się na pierwszym, iż nie mogłem wytrzymać do końca; wyszedłszy z teatru, wstąpiłem do „Prokopa"[593], gdzie zastałem Boissy'ego[594] i kilku innych, prawdopodobnie tak samo jak ja wypędzonych nudą. Tam wyrzekłem głośno swoje *peccavi*[595], wyznając z pokorą i dumą, iż jestem autorem sztuki i mówiąc o niej głośno tak, jak wszyscy myśleli. To publiczne uderzenie się w piersi autora lichej sztuki, która pada, wywołało wielki podziw, a mnie kosztowało bardzo niewiele. Powiem nawet, iż moja miłość własna znalazła odszkodowanie w odwadze, z jaką uczyniłem to wyznanie, i sądzę, iż w tym wypadku więcej mieściło się w nim dumy, niż kryłoby się głupiego wstydu pod przymuszonym milczeniem. Mimo to, ponieważ było pewne, iż sztuka, martwa na scenie, wytrzymywała czytanie, dałem ją wydrukować; i w przedmowie, należącej do moich lepszych pism, dałem wyraz, nieco wyraźniej, niż to uczyniłem dotychczas, mym poglądom.

Niebawem miałem sposobność rozwinąć je zupełnie w dziele większej wagi; w tym bowiem właśnie roku 1753, o ile mi się zdaje, ogłoszono temat Akademii w Dijon o „Początku nierówności między ludźmi". Uderzony tym wielkim zagadnieniem, zdziwiony byłem, iż Akademia ośmieliła się je przedłożyć; ale skoro miała tę odwagę, ja również mogłem mieć odwagę podjęcia go, co też uczyniłem.

Aby wmyślić się swobodnie w ten wielki przedmiot, wybrałem się na jakiś tydzień do Saint-Germain, wraz z Teresą, naszą gospodynią, dobrą w gruncie kobiecinką, i jedną z jej przyjaciółek. Liczę tę wycieczkę za jedną z najprzyjemniejszych w życiu. Pogoda była śliczna; poczciwe kobiety wzięły na siebie sprawy gospodarskie i pieniężne; Teresa miała towarzystwo; ja zaś, wolny od wszelkiej troski, przychodziłem bawić się z nimi swobodnie w godzinach posiłku. Resztę dnia, zagłębiony w lesie, szukałem w nim i znajdowałem obraz pierwszych czasów ludzkości, i kreśliłem wspaniale ich historię. Ściągałem rękę na drobne kłamstwa ludzi; ważyłem się odsłonić w całej nagości ich naturę, iść za postępem czasów i rzeczy, które ją zniekształciły, i porównując człowieka społecznego z człowiekiem natury, wskazać w jego rzekomym udoskonaleniu prawdziwe źródło jego nędzy. Dusza moja, rozgrzana tymi wzniosłymi kontemplacjami, wznosiła się ku Bóstwu; widząc stamtąd swoich bliźnich, jak wchodzą po ślepej drodze przesądów na drogę błędów, nieszczęść, zbrodni, krzyczałem im słabym głosem, którego nie mogli słyszeć: „Szaleńcy, którzy skarżycie się bez przerwy na naturę, wiedzcie, iż wszystkie wasze niedole pochodzą z was samych!".

Z tych medytacji wynikła *Rozprawa o nierówności*[596], dzieło, które bardziej było w smaku Diderota niż inne moje pisma i w którego tworzeniu rady jego były mi najużyteczniejsze[597], ale które w całej Europie znalazło jedynie niewielu czytelników zdolnych je zrozu-

[593] *Prokop* — głośna współczesna kawiarnia literacka. [przypis tłumacza]

[594] *Boissy, Louis* (1694–1758) — poeta i dramaturg francuski, członek Akademii Francuskiej (1754), redaktor gazety „Mercure de France". [przypis edytorski]

[595] *peccavi* (łac.) — zgrzeszyłem. [przypis edytorski]

[596] Rozprawa o nierówności — jest jeszcze dalej posuniętą diatrybą przeciw wszelkiej w ogóle cywilizacji. Dzisiejsza krytyka skłonna jest uważać niekiedy tę rozprawę za stek niedorzeczności, ale w owym czasie, jako wyraz reakcji przeciw wynaturzeniu społecznemu i towarzyskiemu panującej klasy, zrobiła ona potężne wrażenie i zyskała pełny oddźwięk. Podkopując w niej uświęcony dogmat „własności", R. pozyskał dla swej nauki masy wydziedziczonych i stał się prekursorem socjalizmu. [przypis tłumacza]

[597] *Z tych medytacji wynikła* Rozprawa o nierówności, *dzieło, które bardziej było w smaku Diderota niż inne moje pisma i w którego tworzeniu rady jego były mi najużyteczniejsze* — W czasie kiedy pisałem te słowa, nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia o wielkim spisku Diderota i Grimma; inaczej byłbym z łatwością poznał, jak bardzo pierwszy z nich nadużywał mej ufności, aby nadać pismom moim ów twardy ton i to posępne wejrzenie, którego pozbyły się później, skoro przestał mną kierować. Ustęp o filozofie, który argumentując, zatyka sobie uszy, aby nie dać się wzruszyć skargom nieszczęśliwego, jest jego pomysłu; dostarczył mi jeszcze innych w tym rodzaju, bardziej jeszcze jaskrawych, ale nie zdobyłem się na to, aby zrobić z nich użytek. Przy-

mieć, żadnego zaś, który by zechciał o nim mówić. Napisałem to dzieło celem ubiegania się o nagrodę: posłałem je tedy, pewien zresztą z góry, że jej nie otrzymam, i wiedząc dobrze, że nie dla takich prawd jak moja ustanowiono nagrody Akademii.

Ta wycieczka i to zatrudnienie dobrze posłużyły memu humorowi i zdrowiu. Mijało już wiele lat, jak, dręczony zatrzymaniem uryny, wydałem się zupełnie w ręce lekarzy, którzy nie przynosząc ulgi cierpieniu, wyczerpali me siły i zniszczyli we mnie soki żywotne. Za powrotem z Saint-Germain uczułem przypływ sił i zacząłem się mieć o wiele lepiej. Poszedłem za tą wskazówką i, postanowiwszy uleczyć się lub umrzeć bez lekarzy i lekarstw, pożegnałem się z nimi na zawsze. Zacząłem po prostu żyć z dnia na dzień, przylegając, skoro nie mogłem chodzić, a podnosząc się, skoro tylko uczułem siły po temu. Paryski tryb życia, w gorączce świata, był mi bardzo nie do smaku; intrygi pismaków, ich wstrętne kłótnie, brak dobrej wiary w książkach, ich górne miny w świecie były mi tak wstrętne, tak antypatyczne; znajdowałem tak mało dobroci, wylania, szczerości, w towarzystwie nawet mych przyjaciół, że, zmierżony tym hałaśliwym życiem, zacząłem wzdychać gorąco do pobytu na wsi. Nie widząc możliwości osiedlenia się tam przy mym rzemiośle, spieszyłem bodaj spędzać na wsi godziny, które zostawały mi wolne. Przez wiele miesięcy, zaledwie zjadłem obiad, szedłem przechadzać się sam po Lasku Bulońskim, dumając nad przedmiotami swych prac, i wracałem aż w nocy.

(1754–1756) Gauffecourt, z którym żyłem wówczas bardzo serdecznie, zmuszony udać się do Genewy w osobistych sprawach, zaproponował mi tę podróż; zgodziłem się. Nie czułem się dość dobrze, aby się obejść bez opieki swej „gosposi": postanowiono, że pojedzie z nami, matka zaś będzie miała pieczę o dom. Jakoż, uładziwszy wszystko, wyruszyliśmy wszyscy troje, pierwszego czerwca 1754.

Należy mi zanotować tę podróż jako epokę bolesnego doświadczenia, które po raz pierwszy aż do wieku czterdziestu dwóch lat, jakie miałem wówczas, zadało cios naturze na wskroś ufnej, z którą się urodziłem, i której oddawałem się zawsze bez ograniczeń i troski. Jechaliśmy w poczciwej mieszczańskiej landarze[598], nie zmieniając koni, bardzo małymi postojami. Często wśród drogi wysiadałem i szedłem piechotą. Ledwie byliśmy w połowie drogi, Teresa zaczęła okazywać najżywszą niechęć do pozostania samej z Gauffecourtem w powozie. Ilekroć mimo jej próśb chciałem wysiąść, ona wysiadała i szła także. Łajałem ją długo za ten kaprys, a nawet sprzeciwiałem się wręcz, aż w końcu musiała mi wyjawić przyczynę. Zdawało mi się, że śnię, że spadam z obłoków, kiedy dowiedziałem się, iż mój przyjaciel, pan de Gauffecourt, liczący przeszło sześćdziesiąt lat, podagryczny, niedołężny, zużyty uciechami i miłostkami, pracował od chwili wyjazdu nad tym, aby uwieść osobę niemłodą już ani ładną i należącą do jego przyjaciela! Co więcej, uciekał się w tym celu do najbardziej niskich, haniebnych środków; aż do tego stopnia, iż ofiarował jej swą sakiewkę i starał się ją wzruszyć lekturą ohydnej książki i widokiem bezecnych obrazków! Teresa, oburzona, wyrzuciła raz wreszcie plugawą książkę przez okno landary. Dowiedziałem się też, iż pierwszego dnia, gdy gwałtowna migrena kazała mi się udać na spoczynek bez wieczerzy, Gauffecourt użył tego sam na sam z Teresą na usiłowania i zabiegi bardziej godne sprośnego satyra i kozła niż przyzwoitego człowieka, któremu zawierzyłem swą towarzyszkę i samego siebie. Cóż za niespodzianka! Cóż za ściśnienie serca zupełnie dla mnie nowe! Ja, który aż dotąd nie wyobrażałem sobie przyjaźni inaczej, jak tylko nieodłączną od wszystkich miłych i szlachetnych uczuć, z których czerpie cały swój wdzięk, pierwszy raz w życiu uczułem się zmuszony jednoczyć ją ze wzgardą i odjąć zaufanie i szacunek człowiekowi, którego kochałem i o którym sądziłem, iż kocha mnie wzajem! Nieszczęśnik ukrywał mi swą ohydę. Aby nie narażać Teresy, trzeba mi było zdławić oburzenie i taić w głębi serca uczucia, którym nie mogłem dać upustu. Słodkie i święte złudzenie przyjaźni! Gauffecourt pierwszy uchylił twej zasłony mym oczom. Ileż okrutnych rąk nie pozwoliło później opaść jej z powrotem!

W Lyonie rozstałem się z Gauffecourtem. Skierowałem się przez Sabaudię, nie mogąc zdobyć się na to, aby przejechać znów tak blisko mamusi, nie widząc jej. Ujrzałem ją... W jakim stanie, mój Boże! W jakim upodleniu! Cóż jej zostało z dawnego uroku? Czyż to była ta sama pani de Warens, niegdyś tak świetna, do której skierował mnie

pisywałem to czarne usposobienie wrażeniu, jakie wywarła nań turma w Vincennes i nigdy nie przyszło mi na myśl podejrzewać najlżejszej złośliwości. [przypis autorski]

[598] *landara* — ciężka kareta podróżna bądź ogólnie: niezgrabny pojazd. [przypis edytorski]

proboszcz z Pontverre? Jakże okrutnie widok ten zabolał me serce! Nie widziałem już dla niej innego ratunku, jak tylko w zmianie siedziby. Powtarzałem jej, żywo, lecz na próżno, nalegania, które czyniłem nieraz listownie, aby przybyła osiąść spokojnie obok mnie; pragnąłem dni swoje i Teresy poświęcić na to, aby jej życie uczynić szczęśliwym. Przywiązana do swej pensji, z której wszelako, mimo że wypłacano ją regularnie, nie otrzymywała już od dawna nic, nie chciała o tym słyszeć. Oddałem jej drobną cząstkę swych funduszów, mniejszą o wiele, niżbym powinien, mniejszą, niżbym to uczynił, gdybym nie był najzupełniej pewny, że biedna istota nie uzyska stąd ani szeląga. Podczas mego pobytu w Genewie mamusia wybrała się do Chablais i odwiedziła mnie w Grange-Canal. Brakło jej pieniędzy; nie miałem przy sobie tyle, ile było trzeba; posłałem w godzinę później przez Teresę. Biedna mamusia! Niechże opowiem jeszcze ten rys jej serca. Został jej, jako ostatni klejnot, jedynie mały pierścionek; zdjęła go, aby włożyć na palec Teresie, która oddała go jej natychmiast z powrotem, całując tę szlachetną rękę i zraszając ją łzami. Ach! to była chwila do uiszczenia mego długu. Trzeba było wszystko opuścić, aby iść za nią, towarzyszyć jej do ostatniej godziny, podzielić jej los, bez względu na to jaki. Nie uczyniłem tego. Pochłonięty innym uczuciem, czułem, iż przywiązanie moje do mamusi osłabło, zmrożone brakiem nadziei, abym mógł jej być użyteczny. Płakałem nad jej losem, ale nie poszedłem za nią. Ze wszystkich wyrzutów, jakich doznałem w życiu, oto najbardziej bolesny i uporczywy. Zasłużyłem przez ten postępek, na straszliwe kary, które odtąd ścigały mnie bez przerwy. Oby mogły okupić mą niewdzięczność! Byłem niewdzięczny w czynie; ale czyn ten nadto rozdarł me serce, aby można je było nazwać sercem niewdzięcznika.

Przed wyjazdem z Paryża naszkicowałem był dedykację *Rozprawy o nierówności*. Dokończyłem jej w Chambéry i opatrzyłem datą tego miejsca, sądząc, że dla uniknięcia zaczepek lepiej będzie nie datować ani z Francji, ani z Genewy. Przybywszy do ojczystego miasta, oddałem się entuzjazmowi republikańskiemu, który mnie tu sprowadził. Entuzjazm ten wzmógł się przez przyjęcie, którego doznałem. Podejmowany, witany we wszystkich kołach, poddałem się cały memu uniesieniu patriotycznemu. Wstydząc się, że jestem wyzuty z praw obywatela tym, iż wyznaję inny obrządek niż ten, który przekazali mi ojcowie, postanowiłem wrócić otwarcie na łono mej pierwotnej wiary. Sądziłem, iż, skoro *Ewangelia* jest ta sama u wszystkich chrześcijan, dogmat zaś w gruncie różny jest jedynie dzięki temu, iż ludzie siłą się wytłumaczyć to, czego nie mogą zrozumieć, jedynie rzeczą panującego jest ustalić w każdym kraju i obrządek, i ten dogmat niepodobny do pojęcia; a tym samym obowiązkiem obywatela jest przyjąć i dogmat, i obrządek przepisany prawem. Obcowanie z encyklopedystami nie tylko nie osłabiło mej wiary, ale umocniło ją, dzięki wrodzonej niechęci do dysput i stronnictw. Zastanawianie się nad człowiekiem i wszechświatem ukazało mi wszędzie ostateczne przyczyny i inteligencję, która nimi kieruje. Wgłębianie się w *Biblię*, a zwłaszcza w *Ewangelię*, któremu poświęcałem się od szeregu lat, zrodziło we mnie wzgardę dla niskich i głupich sposobów interpretacji, pod które chcieli podciągnąć Chrystusa ludzie najmniej powołani, aby go zrozumieć. Słowem, filozofia, wiążąc mnie do zasadniczych stron religii, odstręczała mnie od całego kramu formułek, jakimi ludzie ją nastroszyli. Uważając, iż nie ma dla rozsądnego człowieka dwóch sposobów stania się chrześcijaninem, uważałem zarazem, iż wszystko, co jest formą i dyscypliną, należy w każdym kraju do zakresu praw. Z tej tak rozsądnej, społecznej, pojednawczej zasady, która wszelako ściągnęła na mnie tak okrutne prześladowania, wynikało, iż chcąc być obywatelem, winienem być protestantem i wrócić do obrządku obowiązującego w moim kraju. Zdecydowałem się na to; poddałem się nawet naukom pastora parafii, w której mieszkałem, leżącej poza miastem. Pragnąłem jedynie, aby mnie nie zmuszano do stawiennictwa w konsystorzu[599]. Rozkaz kościelny w tej mierze był obowiązujący; zgodzono się jednak odstąpić od niego przez wzgląd na mnie i naznaczono komisję złożoną z kilku członków, iżby przyjęła oddzielnie moje wyznanie wiary. Nieszczęściem pastor Perdriau, zacny i miły człowiek, z którym żyłem w przyjaznych stosunkach, zwierzył mi, iż członkowie komisji cieszą się, że usłyszą mnie przemawiającego w tym małym zgromadzeniu. Oczekiwanie to przeraziło mnie;

[599] *konsystorz* (z łac. *consistorium*: zgromadzenie) — w Kościołach protestanckich: rada diecezji lub Kościoła, stanowiąca najwyższą władzę administracyjno-sądową. [przypis edytorski]

trzy tygodnie uczyłem się, dniem i nocą, krótkiego przemówienia; kiedy zaś trzeba było je wygłosić, zmieszałem się tak dalece, iż nie mogłem nic wyjąkać; słowem, odegrałem na tej konferencji rolę najgłupszego uczniaka. Komisarze mówili za mnie; ja odpowiadałem niezdarnie „tak" i „nie"; w końcu dopuszczono mnie do komunii i wrócono do praw obywatela. Wpisano mnie, w tym charakterze, na listę podatków, jakie uiszczają jedynie obywatele i mieszczanie; wziąłem również udział w nadzwyczajnej radzie generalnej zwołanej dla przyjęcia ślubów syndyka[600] Mussard. Byłem tak wzruszony względami, jakie mi okazała w tej okoliczności Rada, konsystorz, oraz uprzejmym i życzliwym postępowaniem wszystkich urzędników, duchownych i obywateli, iż, naglony przez poczciwego Deluc[601], który oblegał mnie bez ustanku, a jeszcze bardziej własną skłonnością, myślałem jeno o tym, aby wróciwszy do Paryża, zwinąć gospodarstwo, uregulować sprawy, umieścić gdzie panią La Vasseur i jej męża, ubezpieczywszy ich przyszłość, a następnie wrócić z Teresą, aby się osiedlić w Genewie na resztę życia.

Powziąwszy to postanowienie, uczyniłem pauzę w poważnych sprawach, aby się zabawiać z przyjaciółmi aż do odjazdu. Ze wszystkich tych zabaw najbardziej przypadła mi do smaku przejażdżka dokoła jeziora, jaką odbyłem statkiem wraz ze starym Deluc, jego synową, dwoma synami i Teresą. Tydzień zajęła nam ta wyprawa, wśród najpiękniejszej pogody pod słońcem. Zachowałem żywe wspomnienie widoków, które uderzyły mnie na przeciwległym krańcu jeziora; opisałem je w kilka lat później w *Nowej Heloizie*.

Główne stosunki, jakie zawiązałem w Genewie, poza Delucami, o których mówiłem, to młody pastor Verne, którego znałem już z Paryża i o którym sądziłem lepiej, niż się okazało w przyszłości; Perdriau, wówczas pastor wiejski, dziś profesor literatury, którego towarzystwa pełnego uroku i słodyczy zawsze będę żałował, mimo że on uważał za przystojniejsze dla siebie odstrychnąć się ode mnie; Jalabert, wówczas profesor fizyki, później radca i syndyk, któremu odczytałem mą *Rozprawę o nierówności* (bez dedykacji wszelako) i który wydał się nią zachwycony; profesor Lullin, z którym aż do jego śmierci pozostawałem w korespondencji i który nawet obarczył mnie zakupnem książek dla biblioteki; profesor Vernet, który odwrócił się do mnie plecami jak wszyscy, mimo iż otrzymał z mej strony dowody przywiązania i ufności, które powinny go były wzruszyć, gdyby teolog mógł się wzruszyć czymkolwiek w świecie; Chappuis, pomocnik i następca Gauffecourta, którego silił się wysadzić, a sam niebawem doznał tegoż losu. Marcet de Mezières był to dawny przyjaciel mego ojca i okazał się też moim; człowiek dobrze niegdyś zasłużony ojczyźnie, ale później, stawszy się autorem dramatycznym i pretendentem do Rady Dwustu[602], zmienił zasady i ośmieszył się po śmierci. Ale człowiekiem, po którym spodziewałem się najwięcej, był Moultou, młodzieniec o talentach rokujących największe nadzieje i z umysłem pełnym ognia; kochałem go zawsze, mimo że postępowanie jego w stosunku do mnie było często dwuznaczne i mimo że utrzymywał związki z mymi najokrutniejszymi wrogami. Mimo to wszystko, dziś jeszcze uważam go za powołanego, aby kiedyś stał się obrońcą mej pamięci i mścicielem swego przyjaciela.

Pośród tych rozrywek nie straciłem ani zamiłowania, ani zwyczaju samotnych przechadzek. Odbywałem często nad brzegiem jeziora dość duże spacery, w czasie których głowa moja, nawykła do pracy, nie zostawała bezczynna. Przetrawiałem już ukształtowany plan *Instytucji politycznych*, o których niebawem pomówię; obmyślałem *Historię Valais*, pomysł tragedii prozą. Jakkolwiek tematem jej była ni mniej ni więcej jak tylko historia Lukrecji[603], nie wyrzekałem się nadziei, iż zdołam pognębić żartownisiów, mimo że ośmielę się pokazać jeszcze tę nieszczęśliwą, która nie może się już pojawić na żadnej scenie francuskiej. Próbowałem się w tym samym czasie na Tacycie; przełożyłem pierwszą księgę jego *Historii*: można ją będzie znaleźć w mych papierach.

Po czterech miesiącach pobytu w Genewie wróciłem w październiku do Paryża, przy czym unikałem powrotu przez Lyon, aby się nie spotkać w drodze z Gauffecourtem. Pla-

[600] *syndyk* — tu: jeden z czterech urzędników zarządzających Republiką Genewską. [przypis edytorski]

[601] *Deluc* a. *De Luc, Jacques-François* (1698–1708) — zegarmistrz genewski, członek Rady Dwustu. [przypis edytorski]

[602] *Rada Dwustu* — jeden z organów rządzących Republiką Genewską. [przypis edytorski]

[603] *Lukrecja* (VI w. p.n.e.) — legendarna córka rzym. patrycjusza, zgwałcona przez syna etruskiego króla popełniła samobójstwo, co doprowadziło do wybuchu powstania, obalenia monarchii i powołania republiki rzymskiej. [przypis edytorski]

nem moim było wrócić do Genewy dopiero z przyszłą wiosną, podjąłem tedy w ciągu zimy dawne zwyczaje i zatrudnienia; głównym z nich było przeglądanie korekt *Rozprawy o nierówności*, którą oddałem do druku w Holandii za pośrednictwem księgarza Reya, zawarłszy z nim znajomość w Genewie. Ponieważ dzieło było poświęcone republice, dedykacja zaś mogła nie spodobać się Radzie, wolałem zaczekać na wrażenie, jakie zrobi w Genewie. Nie było przychylne; dedykacja ta, którą podyktował mi jedynie najczystszy patriotyzm, narobiła mi wyłącznie nieprzyjaciół w Radzie, a zawistnych w mieszczaństwie. Chouet, wówczas pierwszy syndyk, napisał do mnie list uprzejmy, lecz chłodny, który znajdzie się w moich zbiorach, plik A, nr 3. Otrzymałem od postronnych osób, między innymi od Deluca i Jalaberta, nieco komplementów; to wszystko; nie widziałem, aby którykolwiek z Genewczyków ocenił wedle jego wartości zapał serca, jaki czuć było w tym dziele. Obojętność ta oburzyła wszystkich, którzy ją spostrzegli. Przypominam sobie, iż pewnego dnia w Clichy, gdy byłem na obiedzie u pani Dupin z Crommelinem, prezydentem republiki, oraz panem de Mairan, ten rzekł w głos przy stole, iż Rada winna mi jest dary i zaszczyty publiczne za to dzieło i że ubliża sobie, jeśli chybia temu obowiązkowi. Crommelin, mały, czarniawy człowieczek, zły i zawistny, nie śmiał nic odpowiedzieć w mojej obecności, ale zrobił straszliwą minę, która pobudziła do uśmiechu panią Dupin. Jedyną korzyścią, jaką przyniosło mi to dzieło, poza tym, iż dało zadowolenie memu sercu, był tytuł „obywatela", który mi dali moi przyjaciele, później i ogół za ich przykładem, a który w następstwie straciłem przez to, iż za dobrze nań zasłużyłem.

Niepowodzenie to nie byłoby mnie wszelako odstręczyło od osiedlenia się w Genewie, gdyby nie zbiegły się tu okoliczności mające silny wpływ na moje serce. Pan d'Epinay, pragnąc zbudować skrzydło brakujące w zamku w Chevrette, poczynił olbrzymie wydatki dla wykonania tego planu. Wybrawszy się jednego dnia z panią d'Epinay dla obejrzenia robót, przedłużyliśmy przechadzkę o ćwierć mili dalej, aż do rezerwuaru wód parkowych, który przylegał do lasu Montmorency. Był tam bardzo ładny warzywny ogród, z małym nader zrujnowanym budynkiem, który nazywano Pustelnią. To ustronne i bardzo powabne miejsce uderzyło mnie już wówczas kiedy widziałem je pierwszy raz, przed podróżą do Genewy. W zachwycie, wyrwało mi się z ust: „Ach, pani! Cóż za rozkoszne mieszkanie! Oto schronienie jakby stworzone dla mnie". Pani d'Epinay nie podniosła mego wykrzyknika; ale za drugą wycieczką zdumiałem się, ujrzawszy w miejsce starej rudery mały domek, prawie zupełnie nowy, bardzo składnie pomyślany i doskonale nadający się dla małego gospodarstwa z trojga osób. Pani d'Epinay kazała dokonać tego dzieła po cichu i bardzo małym kosztem, biorąc nieco materiału i kilku robotników z robót prowadzonych w zamku. Za drugą podróżą, widząc moje zdumienie, rzekła: „Mój odludku, oto twoje *asylum*[604]; ty sam je wybrałeś, przyjaźń ci je ofiaruje; mam nadzieję, że wypędzi ci z głowy okrutny zamiar oddalania się ode mnie". Nie sądzę, abym w życiu był żywiej i rozkoszniej wzruszony; zwilżyłem łzami dobroczynną rękę przyjaciółki; jeśli nie czułem się zwyciężony w tej chwili, zachwiało mnie to silnie w mych planach. Pani d'Epinay, która nie chciała dopuścić niepowodzenia swego pomysłu, nalegała tak bardzo, użyła tylu sposobów, tylu ludzi, by mnie urobić, pozyskawszy nawet współdziałanie starej Le Vasseur i jej córki, iż wreszcie zwyciężyła. Wyrzekając się pobytu w ojczyźnie, postanowiłem, przyrzekłem zamieszkać w Pustelni. W oczekiwaniu, aż budowla będzie sucha, pani d'Epinay zajęła się przygotowywaniem mebli, tak aby wszystko było gotowe na wiosnę.

Okolicznością, która znacznie pomogła do skłonienia mnie, było osiedlenie się Woltera w pobliżu Genewy[605]. Odgadłem, iż ten człowiek sprawi tam rewolucję, iż odnajdę w mojej ojczyźnie ton, polor, obyczaje, które wypędzały mnie z Paryża; że trzeba mi będzie wojować bez ustanku i że nie będę miał innego wyboru, jak tylko być albo nieznośnym pedantem, albo mdłym i lichym obywatelem. List, który Wolter napisał do mnie po mym ostatnim dziele[606], dał mi możność zaznaczenia mych obaw w odpowiedzi; skutek, jaki odpowiedź ta wywarła, potwierdził je. Z tą chwilą uważałem Genewę za straconą

[604]*asylum* (łac.) — azyl, schronienie. [przypis edytorski]

[605]*osiedlenie się Woltera w pobliżu Genewy* — Wolter, opuściwszy dwór Fryderyka II, z którym rozstał się bardzo źle, zakupił posiadłość pod Genewą i nadał jej miano Délices. [przypis tłumacza]

[606]*List, który Wolter napisał do mnie po mym ostatnim dziele* — list Woltera z 30 sierpnia 1755 na temat *Rozprawy o nierówności*. [przypis edytorski]

i nie myliłem się. Byłbym może winien stawić czoło burzy, gdybym czuł w sobie talent po temu. Ale i cóż bym zdziałał, sam, nieśmiały, bez wymowy, przeciw człowiekowi zuchwałemu, bogatemu, otoczonemu poparciem możnych, pełnemu swady i już będącemu bożyszczem kobiet i młodzieży? Lękałem się, iż bezużytecznie wystawię męstwo swoje na niebezpieczeństwo; słuchałem jedynie swego pojednawczego usposobienia, miłości spokoju, która jeśli mnie złudziła, i dziś jeszcze łudzi mnie w tej mierze. Osiedlając się w Genewie, mogłem oszczędzić wielkich nieszczęść samemu sobie; ale wątpię, czy przy całym mym żarliwym i patriotycznym zapale byłbym zdziałał coś wielkiego i użytecznego dla kraju.

Tronchin[607], który mniej więcej w tej samej epoce osiedlił się w Genewie, przybył w jakiś czas potem do Paryża wyczyniać swoje kuglarstwa i wywiózł stamtąd istne skarby. Za przybyciem odwiedził mnie, wraz z kawalerem de Jaucourt[608]. Pani d'Epinay bardzo pragnęła poradzić się go oddzielnie, ale niełatwo było dostać się przez ciżbę. Uciekła się do mnie. Nakłoniłem Tronchina, aby ją odwiedził. Weszli w ten sposób, za mym pośrednictwem, w stosunki, które zacieśnili później moim kosztem. Taki był zawsze mój los; skoro tylko zbliżyłem z sobą dwóch ludzi, z którymi żyłem, z każdym oddzielnie, w przyjaźni, nie omieszkali rychło zjednoczyć się przeciw mnie. Mimo iż wobec spisku, jaki od owego czasu uknuła rodzina Tronchinów dla opanowania ojczyzny, musieli mnie wszyscy oni nienawidzić śmiertelnie, doktor przez długi czas nie przestawał mi okazywać życzliwości. Za powrotem do Genewy napisał do mnie, ofiarując miejsce honorowego bibliotekarza. Ale powziąłem już postanowienie i ta propozycja nie zachwiała go.

W tym czasie zacząłem na nowo uczęszczać do Holbacha. Okazją do tego stała się śmierć jego żony, która, zarówno jak śmierć pani de Francueil, wypadła w czasie mego pobytu w Genewie. Diderot, uwiadamiając mnie o tym zgonie, wspomniał o głębokim strapieniu męża. Boleść ta wzruszyła moje serce. Ja sam żałowałem nader żywo tej miłej osoby. Napisałem do pana d'Holbach. Smutny ów wypadek sprawił, iż zapomniałem wszystkich jego uchybień i wróciwszy z Genewy, skoro on sam wrócił z wycieczki po Francji, jaką dla rozerwania się podjął z Grimmem i innymi przyjaciółmi, poszedłem go odwiedzić; bywałem tam aż do wyjazdu do Pustelni. Kiedy rozeszło się w koterii „filozofów", że pani d'Epinay, której baron nie znał jeszcze bliżej, gotuje mi mieszkanie, sarkazmy posypały się na mnie jak grad. Oparte były na tym, iż, potrzebując nieodzownie miejskich kadzideł i rozrywek, nie zniosę samotności ani przez dwa tygodnie. Czując w duchu, jak jest naprawdę, pozwoliłem gadać i robiłem swoje. Pan d'Holbach pomógł mi[609] wszelako umieścić starego nieboraka Le Vasseur, który miał przeszło osiemdziesiąt lat i którego żona, nie mogąc udźwignąć tego ciężaru, błagała mnie bez przerwy, abym ją odeń zwolnił. Umieszczono go w przytułku, gdzie wiek i tęsknota za rodziną wpędziły go rychło do grobu. Żona i reszta dzieci niezbyt go opłakiwały; ale Teresa, która kochała go tkliwie, nie mogła się nigdy pocieszyć po stracie ojca, wyrzucając sobie, iż ścierpiała, aby, tak blisko kresu, z dala od niej dokończył swych dni.

Niemal w tym samym czasie spadły na mnie odwiedziny, których nie spodziewałem się wcale, mimo że była to co się zowie dawna znajomość. Mówię o przyjacielu Venture, który zaskoczył mnie pewnego ranka, w chwili gdy najmniej o nim myślałem. Przyszedł z jakąś drugą figurą. Jakże mi się wydał zmieniony! W miejsce dawnych powabów widziałem w nim jedynie niechlujną i podejrzaną postać, tak iż niepodobna mi było zdobyć się na wylewy przyjaźni. Albo moje oczy się zmieniły, albo rozpusta stępiła jego lotność, albo też tajemnica pierwotnego uroku tkwiła całkowicie w młodości, której mu już nie stało. Przywitałem go niemal obojętnie i rozstaliśmy się dość chłodno. Ale kiedy odszedł,

[607] *Tronchin*, [*Théodore* (1709–1781)] — słynny lekarz, później osiadły w Paryżu, gdzie się cieszył niezmiernym wzięciem, był jednym z pierwszych pionierów szczepienia ospy oraz wielu zasad nowożytnej higieny, ruchu, powietrza etc. [przypis tłumacza]

[608] *de Jaucourt, Louis*, zwany *kawalerem (chevalier) de Jaucourt* (1704–1779) — francuski erudyta, najpłodniejszy ze współautorów *Encyklopedii*: napisał do niej ok. 18.000 artykułów, tj. 25% wszystkich haseł. [przypis edytorski]

[609] *Pan d'Holbach pomógł mi wszelako umieścić starego nieboraka Le Vasseur…* — Oto przykład figlów, jakie płata mi pamięć. W długi czas po nakreśleniu tego ustępu dowiedziałem się, rozmawiając raz z żoną o jej starym poczciwinie ojcu, że to nie d'Holbach, ale pan de Chenonceaus, wówczas jeden z dyrektorów Szpitala Bożego, ulokował go tam. Tak zupełnie uleciało mi to z pamięci, tak byłem przeświadczony, że to d'Holbach, że byłbym na to przysiągł. [przypis autorski]

wspomnienie dawnych związków przywiodło mi tak żywo na pamięć moje młode lata, tak lubo, tak statecznie poświęcone tej anielskiej kobiecie, która obecnie zmieniła się nie mniej od niego, drobne wydarzenia tego szczęśliwego czasu, romantyczny dzień w Toune, spędzony tak niewinnie a rozkosznie między dwoma uroczymi dziewczętami, gdzie pocałunek w rękę był jedynym uzyskanym faworem, a który mimo to zostawił mi żal tak żywy, tak wzruszający, tak trwały! Stanęły mi przed oczyma wszystkie te urocze szaleństwa młodego serca, których czas, jak sądziłem, minął na zawsze; tkliwe te wspomnienia wycisnęły mi łzy żalu nad minioną młodością i nad jej straconymi już dla mnie wzruszeniami. Ach, ileż byłbym wylał łez nad ich spóźnionym i nieszczęśliwym powrotem, gdybym przewidywał niedole, jakie mnie miał kosztować!

Nim opuściłem Paryż, doznałem w ciągu zimy, która poprzedziła wyjazd, przyjemności bardzo lubej memu sercu: jakoż, kosztowałem jej w całej czystości. Palissot[610], akademik z Nancy, znany z kilku dramatów, wystawił właśnie jeden z nich w Lunéville przed królem polskim. Sądził prawdopodobnie, iż przymili się królowi, wyszydzając w tym dramacie człowieka, który ośmiela się z piórem w ręku mierzyć z monarchą. Stanisław, który miał szlachetny charakter i nie lubił satyry, uczuł się oburzony, iż ktoś pozwala sobie w jego obecności na takie osobiste wycieczki. Hrabia de Tressan[611] napisał z rozkazu tego monarchy do d'Alemberta i do mnie, powiadamiając nas, że zamiarem J. K. Mości jest, aby imć Palissota wygnano z jego Akademii. Odpowiedź moja zawierała żywą prośbę do pana de Tressan, aby wstawił się u króla polskiego celem uzyskania łaski dla imć Palissot. Tak się też stało; zaś hrabia de Tressan, zawiadamiając mnie o tym w imieniu króla, dodał, iż fakt ten będzie wpisany w regestra[612] Akademii. Odparłem, iż byłoby to nie tyle użyczeniem łaski, ile utrwaleniem kary. Wreszcie na me usilne prośby przyrzeczono mi nie wspominać o niczym w rejestrach i nie utrwalać żadnym publicznym śladem tego zajścia. Tej wymianie zdań towarzyszyły, tak ze strony króla, jak pana de Tressan, oznaki szacunku i poważania, niezmiernie dla mnie pochlebne. Uczułem w tej okazji, iż szacunek ludzi, którzy sami nań tak bardzo zasługują, rodzi w duszy uczucie o wiele słodsze i szlachetniejsze od uczuć próżności. Przepisałem do swego zbioru listy pana de Tressan wraz z mymi odpowiedziami: oryginały można będzie znaleźć w pliku A, nr 9, 10 i 11.

Czuję dobrze, iż, jeśli kiedy pamiętniki te ujrzą światło dzienne, ja sam uwieczniam tu wspomnienie faktu, którego ślad chciałem wymazać; ale tak samo przekazuję tu i wiele innych, mimo chęci. Wielki cel tego przedsięwzięcia, zawsze obecny mym oczom, nieodzowny obowiązek wypełnienia go w całej rozciągłości, nie pozwalają mi zboczyć z drogi dla mniej ważnych względów, które by mnie odeń oddaliły. W osobliwym, jedynym położeniu, w jakim się znajduję, nadto winien jestem siebie prawdzie, aby być winien cokolwiek jeszcze drugim. Aby mnie znać dobrze, trzeba mnie znać we wszystkich mych postępkach, dobrych i złych. Wyznania moje z konieczności związane są z wyznaniami innych osób: czynię jedne i drugie, we wszystkim, co się odnosi do mnie, z równą szczerością. Nie sądzę, abym komukolwiek w świecie był winien więcej względów niż samemu sobie: pragnę wszelako zachować ich o wiele więcej. Chcę być zawsze sprawiedliwym i prawdomównym; mówić o drugich tyle dobrego, ile mi będzie możebne, mówić tylko to złe, które mnie dotyczy, i o tyle, o ile jestem zmuszony. W stanie, do którego mnie doprowadzono, któż ma prawo żądać ode mnie więcej? Nie piszę swoich wyznań po to, aby ukazały się za mego życia, ani też za życia interesowanych osób. Gdybym był panem swego losu i losu tego pisma, ujrzałoby ono światło dopiero w długi czas po mojej i ich śmierci. Ale wysiłki, jakie strach przed prawdą każe czynić mym potężnym ciemiężycielom dla wymazania jej śladów, zmuszają mnie, abym dla zachowania ich uczynił znów wszystko, na co mi pozwala najściślejsze prawo i najsurowsza sprawiedliwość. Gdyby pamięć moja miała zagasnąć wraz ze mną, wówczas, raczej niżbym miał narazić kogo, ścierpiałbym bez szemrania niesprawiedliwą, lecz przemijającą hańbę; ale ponieważ, ostatecznie, imię

[610] *Palissot*, [*Charles Palissot de Montenoy*] (1730–1814) — pisarz drugorzędny, głośny głównie swymi atakami na grupę Encyklopedystów. Najwięcej hałasu uczyniła komedia pt. *Filozof* (1760), o której Rousseau mówi w dalszym ciągu. [przypis tłumacza]

[611] *hrabia de Tressan*, [*Louis-Élisabeth de la Vergne, comte de Tressan*] (1705–1783) — wielki marszałek miniaturowego dworu króla Stanisława Leszczyńskiego w Luneville, sam po trochu pisarz, organizator akademii w Nancy. [przypis tłumacza]

[612] *regestra* (daw.) — dziś: rejestry. [przypis edytorski]

moje ma żyć, trzeba mi dołożyć starań, aby przekazać wraz z nim wspomnienie nieszczęsnego człowieka, który je nosił, takiego, jakim był w istocie, a nie jakim niesprawiedliwi wrogowie starają się go bez ustanku malować.

Wyznania

TOM DRUGI
Księga IX

(1756) Niecierpliwe pragnienie zamieszkania w Pustelni nie pozwoliło mi czekać ciepłej pory. Skoro tylko mieszkanko było gotowe, pospieszyłem objąć je w posiadanie, wśród wrzasków Holbachowskiej kompanii, która przepowiadała głośno, iż nie zniosę ani trzech miesięcy samotności i że niebawem, połknąwszy trochę wstydu, wrócę, aby żyć jak oni w Paryżu. Co do mnie, który, spędziwszy piętnaście lat poza swym żywiołem, czułem, że doń powracam, nie zwracałem nawet uwagi na te przycinki. Od czasu jak mimo mej woli losy pomieściły mnie wśród świata, nie przestałem żałować drogich Charmettes i lubego życia, jakie tam pędziłem. Czułem się stworzony dla odludzia i wsi; niepodobna mi było żyć szczęśliwie gdzie indziej. W Wenecji, w toku spraw publicznych, w splendorach oficjalnego stanowiska, wśród ambitnych projektów przyszłości; w Paryżu, w wirze świetnego towarzystwa, wśród uciech, biesiad i wieczerzy, w blasku widowisk, dymie czczej chwały — wciąż moje gaje, strumienie, samotne przechadzki, oblegały mnie wspomnieniem, osmucały, wydzierały westchnienia żalu i tęsknoty. Wszystkie prace, do których zdołałem się nałamać, projekty ambicji, jakie nagłymi rzutami podsycały mój zapał, nie miały innego celu, jak tylko ten, aby pewnego dnia dobić do owych błogosławionych wiejskich wywczasów, które w tym oto momencie zdawało mi się, że osiągam. Nie zdobyłem sobie przyzwoitego dobrobytu, który jedynie, jak sądziłem zrazu, mógł mnie do tego doprowadzić; ale, w osobliwej mojej sytuacji, sądziłem, iż zdołam się bez niego obyć i dojść do tegoż celu wręcz przeciwną drogą. Nie miałem ani szeląga renty, ale miałem nazwisko, talent; byłem człowiekiem o małych potrzebach, wyzbyłem się bowiem najbardziej kosztownych, tj. tych, które wspierają się na ludzkim mniemaniu. Poza tym, mimo iż leniwy z natury, umiałem wszelako być pracowity, gdy chciałem; lenistwo moje było nie tyle lenistwem człowieka gnuśnego, ile niezależnego, który lubi pracować jedynie wedle ochoty. Rzemiosło moje, jako kopisty, nie było świetne ani zyskowne, ale było pewne. Odwaga, z jaką je wybrałem, zyskała mi w świecie niejakie uznanie. Mogłem liczyć na to, iż roboty mi nie zbraknie i że przy pilnej pracy starczy mi, aby wyżyć. Dwa tysiące franków, które zostały mi z *Wiejskiego wróżka* i innych pism, stanowiły zapasik na czarną godzinę, różne zaś dzieła, które miałem na warsztacie, zapowiadały mi, bez krzywdy księgarzy, dostateczne zasiłki, abym mógł pracować swobodnie, bez zamęczania się: ot, wyzyskując chwile wywczasów i przechadzek. Mój mały dwór składający się z trzech osób, z których wszystkie były pożytecznie zajęte, nie był zbyt kosztowny. Słowem, zasoby moje, w proporcji do potrzeb i pragnień, mogły racjonalnie pozwolić mi na szczęśliwe i trwałe życie, wedle trybu, jaki skłonność moja kazała mi obrać.

Twórczość

Byłbym mógł rzucić się zupełnie w bardziej zyskownym kierunku i miast niewolić pióro do kopii poświęcić je całkowicie karierze pisarskiej. Sądząc z lotu, który wziąłem od początku i w którym czułem się na siłach utrzymać, pozwoliłaby mi ona z pewnością żyć w dostatku, a nawet w zbytku, bylebym tylko, pisząc dobre książki, zechciał połączyć z tą pracą nieco autorskich zabiegów. Ale czułem, iż pisanie dla zarobku zdusiłoby niebawem we mnie ducha i zabiło talent, który spoczywał nie tyle w piórze, ile w sercu; zrodził się on wyłącznie z podniosłego, dumnego sposobu myślenia, w którym też jedynie mógł czerpać pokarm. Nic krzepkiego, wielkiego nie może wyjść spod pióra oddającego się na sprzedaż. Potrzeba, chciwość sprawiłyby może, iż pracowałbym szybciej, ale gorzej. O ile by żądza sukcesu nie zanurzyła mnie w intrygach, kazałaby mi w każdym razie mówić nie tyle rzeczy użyteczne i prawdziwe, ile takie, które by się spodobały tłumom; z wybitnego pisarza, jakim mogłem być, stałbym się jedynie bazgraczem. Nie, nie, zawsze czułem, że stan pisarza jest i może być dostojnym i świetnym tylko o tyle, o ile nie jest rzemiosłem. Zbyt trudno jest myśleć podniośle, o ile się myśli tylko po to, aby żyć. Aby móc, aby śmieć mówić wielkie prawdy, nie trzeba być zależnym od własnego powodzenia. Rzucałem swoje książki ogółowi z tą pewnością, iż mówię dla powszechnego dobra, bez troski o resztę. Jeśli dzieło moje odtrącono, tym gorzej dla tych, którzy nie chcą zeń korzystać; co do mnie, nie potrzebowałem ich uznania, aby żyć. Rzemiosło moje mogło mnie wyżywić, w razie gdyby książki nie były pokupne; to właśnie stanowiło tajemnicę ich pokupu.

Zatem 9 kwietnia 1756 opuściłem miasto, aby już doń nie wrócić; nie liczę bowiem za mieszkanie w mieście kilku krótkich postojów, jakimi od tego czasu zatrzymałem się bądź w Paryżu lub Londynie, bądź w innych miastach, zawsze przelotnie i zawsze wbrew woli. Pani d'Epinay przyjechała, aby nas wszystkich troje odwieźć w swej karocy; człowiek jej zabrał na wózek mój niewielki tobołek i jeszcze tego samego dnia rozgościłem się w nowej siedzibie. Zastałem małe ustronie, urządzone i umeblowane po prostu, ale schludnie i nawet ze smakiem. Ręka, która trudziła się około tego urządzenia, dawała mu w moich oczach nieoszacowaną cenę; doznawałem rozkosznego uczucia na myśl, iż mam być gościem mej przyjaciółki, w domku wedle mego wyboru, wybudowanym umyślnie dla mnie.

Mimo iż było zimno i jeszcze leżał nawet śnieg, ziemia zaczynała się pokrywać roślinnością; widać było fiołki i pierwiosnki; pączki zaczynały nabrzmiewać, a nawet w noc mego przybycia zabrzmiał pierwszy śpiew słowika, tuż niemal pod oknem, w lesie, który przytykał do domu. Budząc się z lekkiego snu, zapominając przy ocknieniu o swej przeprowadzce, mniemałem, że jestem jeszcze przy ulicy de Grenelle, kiedy nagle świegot ten przejął mnie dreszczem. Wykrzyknąłem w uniesieniu: „Wreszcie wszystkie pragnienia moje się ziściły!". Pierwszą mą czynnością było zanurzyć się w sielskiej atmosferze, która mnie otaczała. Zamiast zacząć od rozgoszczenia się w domku, jąłem przebiegać najbliższe okolice: niebawem, nie było ścieżki, gaiku, zarośli, rozpadliny koło mieszkania, których bym nie zwędrował zaraz w pierwszych dniach. Im więcej rozpatrywałem się w tym uroczym odludziu, tym bardziej czułem, że jest stworzone dla mnie. To miejsce, raczej ustronne niż dzikie, przenosiło mnie myślą gdzieś het, na kraniec świata. Posiadało ono ów przejmujący czar przyrody, jakiego nie znajduje się zazwyczaj w pobliżu dużego miasta; gdyby kogoś znienacka, nagle przenieść w tę miejscowość, nie uwierzyłby nigdy, iż jest ledwie o cztery mile od Paryża.

Po kilku dniach poświęconych temu lubemu odurzeniu, pomyślałem o uporządkowaniu papierów i ustaleniu zatrudnień. Przeznaczyłem — jak zawsze — ranki na kopiowanie, popołudnia na przechadzki, na które wyruszałem zbrojny notatnikiem i ołówkiem: nie umiejąc bowiem nigdy pisać i myśleć swobodnie inaczej, jak tylko *sub dio*[613], nie czułem chęci odmieniania metody. Liczyłem na to, iż las Montmorency, dochodzący niemal do mych wrót, będzie mi odtąd gabinetem do pracy. Miałem wiele pism rozpoczętych, odbyłem ich przegląd. Byłem dość bogaty w projekty, ale wśród zgiełku i utrapień miasta wykonanie, aż dotąd, posuwało się wolno. Spodziewałem się rozwinąć bardziej wytrwałą pilność, skoro będę miał większą możność skupienia. Sądzę, iż dość wiernie spełniłem te nadzieje jak na człowieka często chorego, często zmuszonego bawić w Chevrette, w Epinay, w Eaubonne, w zamku Montmorency, często niepokojonego we własnym domu przez ciekawych próżniaków, a stale zatrudnionego pół dnia kopiowaniem. Gdy się policzy i zważy dzieła, które napisałem w ciągu sześciu lat, tak w Pustelni, jak w Montmorency, okaże się, jestem pewien, iż jeśli straciłem czas, to w każdym razie nie na bezczynności.

Z różnych prac na warsztacie dziełem, które obmyślałem najdawniej, którym zajmowałem się z największym upodobaniem, nad którym byłbym chętnie pracował całe życie i które miało wedle mnie uwieńczyć mą reputację, były *Instytucje polityczne*. Pierwszą myśl tego dzieła powziąłem jakieś trzynaście lat wprzódy, kiedy, będąc w Wenecji, miałem sposobność zauważyć wady tego tak bardzo wysławianego rządu. Od tego czasu horyzont mój rozszerzył się znacznie przez historyczne studia nad moralnym rozwojem ludzkości. Ujrzałem, iż wszystko wiąże się zasadniczo z polityką i że w jaki bądź sposób patrzeć na rzeczy, żaden naród nie będzie nigdy czym innym, jak tylko tym, czym uczyni go charakter jego rządu. Tak więc owo wielkie zagadnienie najlepszego możliwego rządu zdawało mi się sprowadzać do tego problemu: jaki typ rządu najsposobniejszy jest, aby ukształtować naród najbardziej cnotliwy, oświecony, roztropny, słowem *najlepszy*, biorąc słowo w jego najwyższym znaczeniu? Zdawało mi się, że to zagadnienie styka się znowuż blisko (o ile w ogóle się od niego różni) z tym następnym: jaki jest rząd, który z natury swojej trzyma się zawsze najbliżej prawa? Stąd: co to jest prawo? i cały łańcuch zagadnień tej doniosłości. Widziałem, że to wszystko prowadzi mnie do wielkich prawd, użytecz-

[613] *sub dio* (łac.) — pod gołym niebem. [przypis edytorski]

nych dla szczęścia rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza dla szczęścia mej ojczyzny, gdzie w czasie mych odwiedzin nie znalazłem pojęć o prawach i wolności tak sprawiedliwych ani tak jasnych, jakbym pragnął. Uważałem ten pośredni sposób udzielenia ich za najwłaściwszy, aby oszczędzić miłość własną członków republiki i zjednać ich przebaczenie, iż odważam się widzieć w tej kwestii nieco dalej niż oni.

Mimo iż pracowałem nad tym dziełem od kilku lat, nie posunęło się daleko. Książki tego rodzaju wymagają medytacji, czasu, spokoju. Co więcej, pisałem tę rzecz, można powiedzieć, ukradkiem i nie chciałem udzielić swego projektu nikomu, nawet Diderotowi. Bałem się, aby się nie wydał zbyt śmiały dla wieku i kraju, w którym pisałem, i aby popłoch mych przyjaciół[614] nie krępował mnie w wykonaniu. Nie wiedziałem zresztą, czy zdołam je ukończyć na czas w tym stopniu, aby mogło się ukazać za mego życia. Pragnąłem z całą swobodą, bez przymusu, użyczyć swemu tematowi wszystkiego, czego wymagał. Nie mając zmysłu satyrycznego i nie siląc się nań nigdy z umysłu, pewien byłem, iż zdołam zachować nieposzlakowaną sprawiedliwość. Chciałem, to pewna, korzystać w całej pełni z *prawa myśli*, jakie miałem z urodzenia; ale zawsze szanując rząd, pod którym wypadło mi żyć, i nigdy nie wchodząc w konflikt z jego ustawami. Pilnie bacząc na to, aby nie pogwałcić prawa narodów, nie chciałem wszelako wyrzekać się przez tchórzostwo jego przywilejów.

Wyznaję nawet, że, jako cudzoziemiec, a żyjący we Francji, uważałem, iż znajduję się w położeniu nader korzystnym dla głoszenia prawdy. Rozumiałem, iż przestrzegając (jak miałem zamiar) tej zasady, aby nic nie drukować w państwie bez pozwolenia, nie jestem nikomu winien rachunku ze swych zasad i z ogłaszania ich gdziekolwiek indziej. O wiele mniej byłbym swobodny w samej Genewie, gdzie bez względu na to, gdzieby drukowano moje książki, naczelna władza miała prawo deliberować nad ich treścią. Ów wzgląd wiele przyczynił się do tego, iż dałem się skłonić naleganiom pani d'Epinay i wyrzekłem się zamiaru mieszkania w Genewie. Czułem, jak to wyraziłem w *Emilu*, iż o ile ktoś nie jest człowiekiem krzywych ścieżek, kiedy chce poświęcać swe książki prawdziwemu dobru ojczyzny, nie powinien pisać ich na jej łonie.

Pozycja ta dawała mi w moich oczach i inne przewagi. Byłem przekonany, iż rząd francuski, jakkolwiek nie widzi mnie może zbyt dobrym okiem, uczyniłby sobie w danym razie chlubę z tego, aby jeżeli nie popierać mnie, to przynajmniej zostawić w spokoju. Byłoby to, jak mi się zdawało, bardzo prostą, a jednak bardzo zręczną polityką, uczynić sobie, w ten sposób, zasługę z tolerowania tego, czemu nie można przeszkodzić. Gdyby mnie wygnano z Francji (a to było wszystko, co by mi mogli uczynić), i tak napisałbym to, co chciałem i może z mniejszymi względami; podczas gdy przymykając po prostu oczy, rząd zachowywał autora jako kaucję jego dzieł i co więcej, wymazywał uprzedzenia bardzo zakorzenione w reszcie Europy, zyskując sobie reputację oświecenia i szacunku dla prawa narodów.

Ci, którzy osądzą z faktów, iż omyliłem się w swej ufności, mogliby łatwo sami mylić się w tej mierze. W nawałnicy, która mnie zatopiła, książki moje posłużyły za pozór, ale chodziło tu o osobę. Bardzo mało troszczono się o autora, ale chciano zgubić Jana Jakuba. Największym złem, jakie widziano w mych pismach, była chwała, którą mogły mi przynieść. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Nie wiem, czy ta tajemnica, która jest dla mnie jeszcze pełna mroków, wyjaśni się w dalszym ciągu w oczach czytelników. Wiem tylko, że gdyby zasady, które głosiłem, powinny były ściągnąć na mnie prześladowania, byłbym o wiele wcześniej stał się ich ofiarą. Wszak utwór mój, w którym te zasady objawiły się z największą śmiałością, aby nie powiedzieć zuchwalstwem, ukazał się — i nie przeszedł niepostrzeżony — jeszcze przed mym osiedleniem w Pustelni, a nikt nie myślał, nie mówię już zaczepiać mnie o me poglądy, ale po prostu nawet przeszkodzić swobodnemu krążeniu książki we Francji, gdzie ją sprzedawano równie publicznie jak w Holandii. Od tego czasu ukazała się *Nowa Heloiza*. Spotkała się z tym samym wyrozumieniem, śmiem

[614] *Bałem się, aby się nie wydał zbyt śmiały dla wieku i kraju, w którym pisałem, i aby popłoch mych przyjaciół* — obawę tę nasuwała mi zwłaszcza surowa roztropność Duclosa; co do Diderota bowiem, nie wiem, jakim sposobem, posiedzenia nasze czyniły mnie zawsze satyrycznym i gryzącym, bardziej niż byłem nim z natury. To nawet odwróciło mnie od chęci radzenia się go w tym przedsięwzięciu, w które chciałem włożyć całą siłę rozumowania, bez najlżejszego śladu zgryźliwości i stronniczości. O tonie, który obrałem w tym dziele, można sądzić z *Umowy społecznej*, która jest z niego wyciągiem. [przypis autorski]

powiedzieć, z tym samym poklaskiem; co zaś wydałoby się niemal nieprawdopodobne, wyznanie wiary tejże Heloizy na łożu śmierci jest dosłownie toż samo co wikarego sabaudzkiego. Wszystko, co mogłoby się wydać zbyt śmiałe w *Umowie społecznej*, mieściło się już poprzednio w *Rozprawie o nierówności*; wszystko, co jest śmiałego w *Emilu*[615], było poprzednio w *Julii*[616]. Otóż, te śmiałości nie wywołały żadnego poruszenia przeciw dwom pierwszym dziełom; nie one zatem pobudziły opinię przeciw ostatnim.

Inne jeszcze przedsięwzięcie, mniej więcej tegoż samego rodzaju, ale świeższej daty, zajmowało mnie w tej chwili: mianowicie wyciąg z dzieł księdza de Saint-Pierre[617], o którym, poniesiony tokiem opowiadania, nie miałem sposobności wspomnieć dotąd. Myśl tę podsunął mi po powrocie z Genewy ksiądz de Mably, nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem pani Dupin, która była poniekąd interesowana w wykonaniu projektu. Należała ona do owych paru ładnych kobiet w Paryżu, których staruszek de Saint-Pierre był pieszczonym dzieckiem; jeżeli nie była jego zdecydowaną ulubienicą, dzieliła przynajmniej pierwszeństwo z panią d'Aiguillon[618]. Zachowała dla pamięci tego zacnego człowieka szacunek i przywiązanie, przynoszące zaszczyt im obojgu; stąd jej miłość własna byłaby chętnie widziała, by pióro jej ekssekretarza wskrzesiło martwo porodzone dzieła jej przyjaciela. Dzieła te zawierały mimo wszystko doskonałe rzeczy, ale tak źle wyrażone, że były przez to prawie nieczytelne. Zdumiewające jest, iż ksiądz de Saint-Pierre, który patrzał na swoich czytelników jak na wielkie dzieci, mówił do nich wszelako jak do dorosłych: mianowicie o tyle, iż tak mało się starał przykuć ich uwagę. Dlatego to poddano mi tę pracę jako użyteczną samą w sobie i bardzo odpowiednią dla człowieka pracowitego jako rzemieślnika, ale leniwego jako autora, który, znajdując trud myślenia bardzo nużącym, wolał raczej, skoro rzecz przypadła mu do smaku, objaśniać i wspomagać myśli drugiego niż je tworzyć. Zresztą, nie ograniczając się do czynności tłumacza, nie było mi zabronione myśleć niekiedy samemu; mogłem dać taką formę swej robocie, iż wiele ważnych prawd przeszłoby pod płaszczem księdza de Saint-Pierre jeszcze szczęśliwiej niż pod moim. Przedsięwzięcie zresztą nie było łatwe. Chodziło, ni mniej ni więcej, o przeczytanie, przemyślenie, sporządzenie wyciągu z dwudziestu tomów, gadatliwych, mętnych, pełnych rozwlekłości, powtarzań, krótkowzrocznych lub fałszywych sądów, z których trzeba było wyławiać pojedyncze myśli wielkie, piękne i dające siłę zniesienia tej uciążliwej pracy. Nieraz byłem zresztą bliski poniechania jej, gdybym mógł w przyzwoity sposób się wymówić; ale przyjąwszy rękopisy księdza, oddane mi, za pośrednictwem Saint-Lamberta[619], przez siostrzeńca jego, hrabiego de Saint-Pierre, zobowiązałem się, do pewnego stopnia, je spożytkować; trzeba było albo wszystko zwrócić, albo zrobić z nich użytek. W tym też zamiarze zabrałem rękopisy do Pustelni; było to pierwsze dzieło, któremu zamierzałem poświęcić swoje wywczasy.

Medytowałem i nad trzecim, którego pomysł zawdzięczałem spostrzeżeniom dokonanym na samym sobie. Czułem w sobie tym więcej siły do podjęcia tej pracy, ile że mogłem mieć nadzieję napisania książki naprawdę użytecznej ludziom, a nawet wręcz jednej z najużyteczniejszych, gdyby wykonanie godnie odpowiedziało planowi. Łatwo zauważyć, że po największej części ludzie stają się w ciągu swego życia dość niepodobni do samych siebie, jak gdyby się przeobrażali w istoty zupełnie odmienne. Nie dla stwierdzenia wszelako rzeczy tak znanej chciałem napisać książkę; miałem temat bardziej nowy, a nawet bardziej doniosły: mianowicie poszukać przyczyn tych przeobrażeń i zająć się tymi, które zależne są od nas, aby wskazać, w jaki sposób my sami możemy nimi kierować,

[615] *wszystko, co jest śmiałego w* Emilu — „Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego", ustęp z *Emila*, stanowiący rodzaj wykładu chrystianizmu oderwanego od wszelkiego określonego wyznania, był główną przyczyną potępienia tego utworu. [przypis tłumacza]

[616] *Julia* — pełny tytuł *Nowej Heloizy* brzmi: *Julia, czyli Nowa Heloiza*. [przypis edytorski]

[617] *ksiądz de Saint-Pierre*, [właśc. *Charles-Irénée Castel*] (1658–1743) — pisarz polityczny i filantrop, członek Akademii, z której go wygnano w r. 1718 za to, iż Ludwika XIV chciał odsądzić od tytułu „Wielkiego". Pomysły jego, wyprzedzające pojęcia epoki, zdawały się współczesnym utopiami, wiele z nich jednak doczekało się z czasem urzeczywistnienia. Najgłośniejszym dziełem był *Projekt wiecznego pokoju*, o którym wspomina Rousseau. [przypis tłumacza]

[618] *d'Aiguillon*, właśc. *Anne-Charlotte de Crussol de Florensac, księżna d'Aiguillon* (1700–1772) — dama dworu Ludwika XV, tłumaczka, prowadziła salon literacki w Paryżu, przyjmując filozofów i encyklopedystów. [przypis edytorski]

[619] *Saint-Lambert, Jean François de* (1716–1803) — francuski poeta, filozof i oficer, członek Akademii Francuskiej (1770). [przypis edytorski]

a tym samym stać się lepszymi i bardziej pewnymi samych siebie. Bezsprzecznie bowiem ciężej jest uczciwemu człowiekowi opierać się pragnieniom już ukształtowanym i zwalczać je niż uprzedzać, zmieniać lub kierować te same pragnienia w ich źródle, gdyby był zdolny doń dotrzeć. Człowiek wystawiony na pokusy opiera się raz, ponieważ jest silny, ulega drugi raz, ponieważ jest słaby; gdyby był taki jak wprzódy, nie uległby.

Zapuszczając się w samego siebie, jak również szukając w innych, na czym zasadzają się te rozmaite odmiany, doszedłem, iż zależne są w znacznej części od dawniejszych odcisków zewnętrznych wrażeń i że ulegając nieustannie wpływom naszych zmysłów i narządów, nosimy, bez świadomości tego, w myślach, uczuciach, czynach nawet ich skutki. Uderzające i liczne spostrzeżenia, które zgromadziłem w tej mierze, usuwają wszelką wątpliwość; dzięki zaś fizycznej istocie swych pierwiastków, mogą one, moim zdaniem, wskazać zewnętrzny tryb życia, który, odmieniany wedle okoliczności, może poprowadzić lub utrzymać duszę w stanie najbardziej sprzyjającym cnocie. Od iluż zbłąkań można by uchronić rozum, iluż przywarom można by nie dać się urodzić, gdyby się umiało zmusić ekonomię animalną[620] do tego, by szła na rękę porządkowi moralnemu, zamiast mącić go tak często! Klimat, pora roku, dźwięki, barwy, cień, światło, żywioły, pokarmy, hałas, cisza, ruch, spoczynek — wszystko oddziaływa na organizm, a co za tym idzie, na duszę; wszystko nastręcza tysiące niezawodnych niemal pułapek, aby opanować w samym ich źródle uczucia, których władzy ulegamy. Taka była zasadnicza myśl, której szkic rzuciłem na papier. Spodziewałem się po niej tym pewniejszego skutku dla ludzi o szlachetnej naturze, którzy miłując szczerą cnotę, lękają się własnej słabości, ile że wydało mi się łatwym ująć ten przedmiot w książkę miłą do czytania, tak jak miło było ją tworzyć. Mimo to, bardzo mało pracowałem nad tym dziełem, które miało nosić tytuł *Moralność wrażeniowa, czyli Materializm mędrca*[621]. Okoliczności, o których niebawem obszerniej wspomnę, nie pozwoliły mi się nim zająć; opowiem również, jaki był los tego szkicu, związany z moim losem węzłami bliższymi, niżby się zdawało.

Poza tym dumałem od jakiegoś czasu nad systemem wychowania. Pani de Chenonceaux, która, sądząc z przykładu ojca, drżała o los swego syna, prosiła mnie, abym się zajął tym tematem. Święty obowiązek przyjaźni sprawił, iż przedmiot ten, mimo iż sam z siebie mniej mi przypadał do smaku, leżał mi na sercu bardziej niż jakikolwiek inny. Toteż ze wszystkich tematów, o których tu mówiłem, był to jedyny, który doprowadziłem do końca. Cel, jaki zamierzyłem swej pracy, wart był, o ile mi się zdaje, innego losu dla autora. Ale nie uprzedzajmy wypadków w tym smutnym przedmiocie; aż nadto zmuszony będę mówić w dalszym ciągu o tym dziele.

Wszystkie te różnorodne zamysły dostarczyły tematów do rozmyślań w czasie przechadzek: zdaje mi się bowiem, wspomniałem już, że myśleć mogę, tylko chodząc. Skoro tylko się zatrzymam, myśl zatrzymuje się również: głowa idzie naprzód jedynie wraz z nogami. Miałem wszelako tę przezorność, aby się zaopatrzyć również w pracę pokojową na czas deszczu. Był to mój *Słownik muzyczny*, którego materiały, rozproszone, okaleczałe, bezkształtne, czyniły koniecznym wzięcie dzieła na warsztat niemal na nowo. Zabrałem kilka książek potrzebnych w tym celu; strawiłem dwa miesiące na sporządzaniu wyciągów z wielu innych, które pożyczano mi w Bibliotece Królewskiej; kilka z nich pozwolono mi nawet wziąć do Pustelni. Oto były moje zapasy na pracę w pokoju, o ile czas nie pozwalał mi wyjść, a kopiowanie mnie znudziło. Ten tryb życia odpowiadał mi tak dobrze, że trzymałem się go tak w Pustelni, jak w Montmorency, a nawet później w Motiers, gdzie dokończyłem tej pracy, prowadząc równocześnie wiele innych. Zawsze znajdowałem, iż odmiana zatrudnienia jest prawdziwym wypoczynkiem. Praca

Trzymałem się jakiś czas dość ściśle rozkładu dnia, który sobie przepisałem, i czułem się z tym bardzo dobrze: ale kiedy piękna pogoda sprowadzała częściej panią d'Epinay do Epinay lub Chevrette, spostrzegłem, iż obowiązki towarzyskie, które zrazu nic mnie nie kosztowały, ale których nie wziąłem w rachubę, zakłócają dotkliwie inne moje projekty. Wspomniałem, iż pani d'Epinay miała bardzo cenne przymioty: kochała serdecznie przyjaciół, służyła im z zapałem, nie oszczędzając czasu ani trudu; zasługiwała tedy niewątpli-

[620] *animalny* — zwierzęcy, właściwy zwierzętom. [przypis edytorski]

[621] Moralność wrażeniowa, czyli Materializm mędrca — dzieła tego nigdy R. nie doprowadził do końca. [przypis tłumacza]

wie, aby i oni mieli dla niej też same względy. Aż dotąd dopełniałem tego obowiązku, nie myśląc, iż jest on *obowiązkiem*; ale w końcu zrozumiałem, że obarczyłem się łańcuchem, którego ciężaru jedynie przyjaźń pozwalała mi nie odczuwać. Powiększyłem jeszcze sam ten ciężar przez mą odrazę do licznych zebrań. Pani d'Epinay skorzystała z tej niechęci, aby mi uczynić propozycję, która zdawała się dogodna dla mnie, a była dogodniejsza dla niej: to jest, iż da mi znać za każdym razem, gdy będzie sama lub prawie sama. Zgodziłem się, nie czując, do czego się zobowiązuję. Wynikło stąd, iż odtąd trzeba mi było odwiedzać panią d'Epinay nie wówczas, kiedy odpowiadało to mnie, ale kiedy odpowiadało jej, i że nie byłem nigdy pewny, czy bodaj jednym dniem mogę rozrządzać dla siebie. Przymus ten zmącił wielce przyjemność, jaką sprawiało mi dotąd jej towarzystwo. Przekonałem się, iż tę swobodę, którą mi tak przyrzekała, dano mi jedynie pod warunkiem, iż nie zechcę nigdy brać jej na serio. Parę razy, kiedy chciałem tego próbować, było tyle posyłek, tyle bilecików, tyle niepokojów o me zdrowie, że ujrzałem jasno, iż jedynie obłożna choroba może mnie zwolnić od pędzenia na pierwsze słowo pani domu. Trzeba się było poddać jarzmu; uczyniłem to, nawet dość chętnie jak na takiego wroga zależności. Szczere moje przywiązanie do pani d'Epinay w znacznej mierze nie pozwalało mi czuć kajdanów[622], jakie się z nim łączyły. W ten sposób dama ta wypełniała mną od biedy puste chwile, które nieobecność zwykłego dworu zostawiała w jej zabawach. Była to kompensata z pewnością bardzo chuda, ale zawsze warta więcej niż zupełna samotność, której pani d'Epinay nie mogła znosić. Miała wszelako łatwiejsze sposoby wypełnienia samotnych chwil, od czasu gdy wpadła na pomysł, aby się bawić literaturą i klecić, po woli i niewoli[623], romanse, listy, komedie, powiastki i inne tego rodzaju figielki. Ale ją głównie bawiło nie *pisać*, ale odczytywać swoje utwory; kiedy się jej trafiło zaczernić jednym ciągiem parę stronic, musiała po tej olbrzymiej pracy mieć pod ręką co najmniej dwóch lub trzech cierpliwych słuchaczy. Nie miałem zaszczytu należeć do liczby tych wybranych, chyba dzięki obecności kogoś drugiego. Sam nie liczyłem się prawie nigdy za nic; i to nie tylko w towarzystwie pani d'Epinay, ale i u barona Holbacha i wszędzie, gdzie imć pan Grimm nadawał ton. Ta nicość dogadzała mi wszędzie indziej, z wyjątkiem sam na sam: wówczas nie wiedziałem, jak się zachować. Nie śmiałem mówić o literaturze, o której nie miałem prawa sądzić; ani bawić się w komplementy, jako iż byłem zbyt nieśmiały i obawiałem się więcej niż śmierci śmieszności starego galanta. Zresztą nie przyszło mi to nigdy do głowy wobec pani d'Epinay i nie byłoby mi może przyszło ani razu w życiu, choćbym je nawet całe spędził przy jej boku. Nie znaczy to, bym miał do jej osoby jaką bądź odrazę; przeciwnie, zanadto może kochałem ją *przyjaźnią*, aby móc kochać pożądaniem. Znajdowałem przyjemność w tym, aby ją widzieć, rozmawiać z nią. Konwersacja jej, mimo iż dość miła w większym gronie, sam na sam była cokolwiek jałowa; moja, też niezbyt kwiecista, nie była dla niej wielką pociechą. Wstydząc się długich momentów milczenia, wysilałem się, aby podtrzymać rozmowę; mimo iż nużyła mnie często, nie nudziła mnie nigdy. Przyjemność sprawiało mi nadskakiwać jej po przyjacielsku, obsypywać ją na wskroś braterskimi pocałunkami, które, o ile sądzę, i dla niej nie miały ani cienia zmysłowego charakteru: to wszystko. Pani d'Epinay była bardzo chuda, bardzo biała, z piersiami jak u chłopca. Ta jedna wada wystarczyłaby, aby mnie zmrozić: nigdy serce moje ani zmysły nie umiały widzieć kobiety w osobie pozbawionej piersi[624]. Zresztą i inne przyczyny, których nie ma potrzeby tu wymieniać, kazały mi zawsze zapominać o mej płci w jej pobliżu.

Pogodziwszy się tedy w duchu z nieuchronną niewolą, poddałem się jej bez oporu. Zresztą, wydała mi się, przynajmniej w pierwszym roku, mniej uciążliwa, niżbym się spodziewał. Pani d'Epinay, która zazwyczaj spędzała prawie całe lato na wsi, tym razem bawiła tam znacznie krócej, czy to że interesy zatrzymywały ją w Paryżu, czy że nieobecność Grimma uczyniła pobyt w Chevrette mniej pociągającym. Korzystałem z okresów, kiedy jej nie było lub kiedy miała licznych gości, aby używać samotności z poczciwą Teresą i jej matką, w sposób dający mi smakować w całej pełni mą swobodę. Mimo że od kilku lat dość często bywałem na wsi, nie *użyłem* jej prawie; wycieczki te, zawsze w towarzystwie światowych lalusiów, zawsze zepsute przez przymus, jedynie zaostrzały we mnie

[622]*kajdanów* — dziś popr. forma D. lm: kajdan. [przypis edytorski]

[623]*po woli czy po niewoli* (daw.) — zgodnie z czyjąś wolą lub wbrew woli. [przypis edytorski]

[624]*nie umiały widzieć kobiety w osobie pozbawionej piersi* — Rousseau ma tu na myśli wspomniane już „osobliwe" zwierzenia pani de Francueil. [przypis tłumacza]

pociąg do wiejskich rozkoszy, których obraz, widziany bardziej z bliska, budził we mnie tym żywsze poczucie ich braku. Byłem tak znudzony salonami, wodotryskami, strzyżonymi trawnikami, klombami, i jeszcze bardziej nudnymi gospodarzami tego wszystkiego; tak przesycony broszurami, klawikordem, tryktrakiem[625], „węzełkami", mizernymi dowcipkami, mdłym mizdrzeniem się, lekkimi opowiastkami i ciężkimi kolacjami, że kiedy zerknąłem przelotnie na prosty krzak głogu, na chaszcze, spichlerz, łąkę; kiedy przejeżdżając przez jakieś sioło[626], zaciągnąłem się parą dobrego omletu z trybulką[627]; kiedy słyszałem z daleka prostą nutę piosenki pasterskiej — słałem do diabła i róż, i falbanki i ambrę[628]. Wzdychając wówczas za obiadem na drewnianym stole i winem swojego chowu, byłbym z całego serca wyprał po gębie pana nadkuchmistrza i pana marszałka dworu, którzy każą mi obiadować o godzinie, o której wieczerzam, wieczerzać o tej, o której śpię; a zwłaszcza panów lokai, pożerających oczyma moje kąski i sprzedających mi, pod grozą śmierci z pragnienia, apteczne wino swoich panów dziesięć razy drożej, niżby mnie kosztowała butelka najlepszego w oberży.

Oto więc nareszcie znalazłem się u siebie, w przyjemnym i samotnym schronieniu, panem pędzenia swoich dni w niezależnym, równym i spokojnym trybie, do którego czułem się zrodzony. Nim opowiem, w jaki sposób ten stan, tak nowy dla mnie, odcisnął się na mym sercu, trzeba mi zrekapitulować tajemne tegoż serca skłonności, aby lepiej można było śledzić, u samych źródeł, postępy tych przeobrażeń.

Dzień, który połączył mnie z Teresą, uważałem zawsze za datę, która ustaliła mą istotę moralną. Potrzebowałem przywiązania; to zaś, które powinno i mogło mi wystarczyć, uległo okrutnemu rozdarciu. Pragnienie szczęścia nie umiera w sercu człowieka. Mamusia starzała się i spadała wciąż niżej! Widziałem jasno, iż nie ma już dla niej szczęścia tu na ziemi. Skoro tedy straciłem nadzieję znalezienia go kiedykolwiek przy jej boku, zostawało mi szukać go na własną rękę. Błądziłem jakiś czas wśród rozmaitych myśli i zamiarów. Podróż do Wenecji byłaby mnie rzuciła w sprawy publiczne, gdyby człowiek, z którym losy mnie związały, miał trochę zdrowego sensu w głowie. Jestem w ogóle łatwy do zniechęcenia, zwłaszcza w przedsięwzięciach uciążliwych i na długą metę. Niepowodzenia doznane w ambasadzie zraziły mnie do wszystkich innych planów; za czym patrząc, wedle swej dawnej maksymy, na odległe przedmioty jako na mamidła szaleńców, postanowiłem odtąd żyć jeno z dnia na dzień, ile że nie widziałem już nic w życiu, dla czego miałbym ochotę się wysilać.

Wówczas to przypadło nasze poznanie. Łagodny charakter tej poczciwej dziewczyny zdawał się tak dobrze odpowiadać memu, iż nabrałem do niej przywiązania wytrzymującego próbę czasu i zobopólnych win. Wszystko, co powinno było je zerwać, pomnażało je tylko. Czytelnik pozna siłę tego przywiązania w dalszym ciągu, skoro odsłonię rany, rozdarcia, jakimi ta istota udręczyła me serce w dobie najcięższych niedoli; przy czym trzeba mi dodać, iż nigdy, aż do chwili, w której piszę te słowa, nigdy i wobec nikogo nie wydarło mi się bodaj jedno słowo skargi.

Małżeństwo, Przyjaźń

Kiedy świat dowie się, iż uczyniwszy wszystko, naraziwszy się na wszystko, byle się z nią nie rozdzielać, spędziwszy z nią dwadzieścia pięć lat na przekór losowi i ludziom, w końcu na stare lata zaślubiłem ją[629], bez nadziei i prośby z jej strony, bez zobowiązań i obietnic z mojej, będzie mógł myśleć, iż jakaś obłędna miłość, zawróciwszy mi od pierwszego dnia głowę, prowadziła mnie stopniowo aż do ostatecznego szaleństwa. Będzie sądził tak tym bardziej, skoro pozna osobliwe a silne przyczyny, które powinny mnie były na zawsze wstrzymać od tego kroku. Cóż tedy pomyśli czytelnik, skoro mu powiem z całą szczerością, jaką musiał już poznać we mnie, iż od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem Teresę, aż do dzisiejszego dnia, nie czułem nigdy dla niej najmniejszej iskierki miłości; iż nie pragnąłem jej posiadać tak samo jak pani de Warens i że potrzeby zmysłów, które zaspakajałem przy jej boku, były dla mnie jedynie potrzebami płci, nie mającymi nic

[625] *tryktrak* — gra planszowa dla dwóch osób. [przypis edytorski]

[626] *sioło* (daw.) — wieś, osada. [przypis edytorski]

[627] *trybula* — roślina z rodziny selerowatych o pierzastych liściach, używana jako przyprawa kuchenna. [przypis edytorski]

[628] *ambra* — wydzielina przewodu pokarmowego kaszalota o balsamicznym zapachu, używana do wyrobu perfum. [przypis edytorski]

[629] *w końcu na stare lata zaślubiłem ją* — 30 sierpnia 1768 w obecności mera Bourgoin; była to cywilna ceremonia, która nie miała mocy prawnej. [przypis edytorski]

wspólnego z osobą? Pomyśli, iż, odmiennie snadź ukształtowany od ogółu ludzi, niezdolny byłem w ogóle do miłości, skoro nie wchodziła ona w uczucia wiążące mnie do najbardziej mi drogich kobiet. Cierpliwości, o czytelniku! Zbliża się złowrogi moment, w którym aż nazbyt jasno otworzę ci oczy w tej mierze.

Powtarzam się, jak czytelnik widzi; ale to nieuniknione. Pierwsza z moich potrzeb, największa, najsilniejsza, najbardziej nieugaszona tkwiła całkowicie w sercu. Była to potrzeba bliskiego obcowania, i to tak bliskiego, jak tylko możebne; dlatego głównie trzeba mi było raczej kobiety niż mężczyzny, przyjaciółki raczej niż przyjaciela. Ta osobliwa dążność była taka, iż najściślejsze zjednoczenie ciał nie mogło jej jeszcze starczyć: trzeba by mi było dwóch dusz w jednym ciele, inaczej czułem ciągle pustkę. Sądziłem, iż od tej chwili nie będę czuł jej więcej. Ta młoda osoba, godna miłości dla wielu szacownych przymiotów, a nawet wówczas dla swej powierzchowności, bez cienia sztuki i kokieterii, byłaby zamknęła w sobie jednej me istnienie, gdybym ja wzajem mógł zamknąć jej istnienie w sobie, jak się spodziewałem. Nie groziło mi niebezpieczeństwo ze strony mężczyzn; jestem pewien, iż byłem jedynym, którego naprawdę kochała, spokojne zaś jej zmysły nie domagały się postronnych zadowoleń, nawet gdy przestałem być dla niej pod tym względem mężczyzną. Nie miałem rodziny; ona miała: ale ta rodzina, nadto różniąca się charakterami od jej charakteru, nie okazała się taką, abym mógł z niej uczynić własną. Tu tkwiła pierwsza przyczyna nieszczęścia. Czegóż nie byłbym oddał, aby móc być synem jej matki! Uczyniłem wszystko, aby to osiągnąć, i nie doszedłem do celu. Próżno chciałem zespolić wszystkie sprawy naszego życia, było to niemożliwe. Matka Teresy miała zawsze na oku cele różne od moich, sprzeczne z moimi, a nawet z dobrem własnej córki, które już było nieodłączne od mego. Ona i reszta dzieci i wnuków to była zgraja pijawek; najmniejszym zaś złem, które czyniły Teresie było to, że ją okradały. Biedna dziewczyna, przyzwyczajona ustępować nawet swoim siostrzenicom, pozwalała się rabować i rządzić sobą bez słowa protestu; widziałem z boleścią, iż wyczerpując do dna swą sakiewkę i swoje przestrogi, nie mogę uczynić dla niej nic, z czego by miała jakąś korzyść. Próbowałem odciągnąć ją od matki: opierała się zawsze. Szanowałem jej opór i poważałem ją za to tym więcej; niemniej jednak odmowa jej obróciła się na jej i moją szkodę. Wydana na łup matce i rodzinie, należała do nich więcej niż do mnie, więcej niż do samej siebie. Chciwość bliskich była dla niej mniejszą jeszcze ruiną niżeli zgubne ich rady. Słowem, jeżeli dzięki miłości dla mnie, dzięki wrodzonej zacności, nie dała się zupełne opanować, i to wystarczyło wszelako, aby unicestwić w znacznej części wpływ dobrych zasad, którymi siliłem się ją natchnąć; wystarczało, abyśmy, w jaki bądź sposób brałem się do rzeczy, zawsze pozostali *dwojgiem*.

Oto dlaczego w szczerym i wzajemnym przywiązaniu, w które włożyłem całą tkliwość serca, nie zdołałem wszelako nigdy doszczętnie zapełnić pustki tego serca. Przyszły dzieci, przez które mogłoby się to ziścić: to pogorszyło jeszcze sprawę. Drżałem na myśl powierzenia ich tej rodzinie źle wychowanej po to, aby je wychowała gorzej jeszcze. Wychowanie w domu podrzutków było o wiele mniej niebezpieczne. Ta przyczyna mego postanowienia, silniejsza niż wszystkie te, które wyłuszczyłem w liście do pani de Francueil, była wszelako jedyną, której nie śmiałem jej wyznać. Wolałem raczej mniej doskonale oczyścić się z tak ciężkiego zarzutu, byle oszczędzić rodzinę osoby, którą kochałem. Ale można osądzić z obyczajów nieszczęsnego brata Teresy, czy miałem prawo, co bądź by ktoś o tym mógł powiedzieć, narażać swoje dzieci na niebezpieczeństwa podobnego wychowania.

Nie mogąc kosztować w całej pełni tej poufnej serdeczności, której czułem potrzebę, szukałem innych ujść: nie wypełniały one pustki, ale mniej dawały mi ją uczuć. W braku jednego ducha, który byłby mi oddany całkowicie, trzeba mi było przyjaciół, których ożywczy wpływ zwyciężałby mą inercję. W tym celu zacieśniłem stosunki z Diderotem, z księdzem Condillac; dlatego zawiązałem jeszcze ściślejsze może z Grimmem; tak iż wreszcie, dzięki nieszczęsnej *Rozprawie*, której historię opowiedziałem poprzednio, wpadłem bez myśli i zamiaru w literaturę, z której, jak sądzę, wyszedłem już na zawsze.

Początek ten zaprowadził mnie nową drogą w inny świat duchowy, którego prosta i wspaniała ekonomia napełniała mnie entuzjazmem. Niebawem mocą patrzenia i rozmyślania ujrzałem jeno błąd i szaleństwo w nauce naszych mędrców, ucisk zaś jeno i nędzę w naszym porządku społecznym. Oszołomiony głupią pychą, uważałem, iż powołany je-

Przemiana

stem, aby rozproszyć wszystkie te omamy. W przeświadczeniu, iż aby nakazać sobie posłuch, winienem zestroić postępowanie swoje z zasadami, przyjąłem osobliwy tryb życia, którego nie pozwolono mi się trzymać, którego przykładu rzekomi przyjaciele nie mogli mi przebaczyć i który zrazu uczynił mnie śmiesznym, a w końcu byłby mnie uczynił godnym szacunku, gdyby mi było podobna w nim wytrwać.

Aż dotąd byłem dobry — odtąd stałem się cnotliwy lub przynajmniej pijany cnotą. Pijaństwo to zaczęło się w głowie, ale z kolei przeszło do serca. Najszlachetniejsza duma wykiełkowała na szczątkach wyplenionej próżności. Nie grałem nic, stałem się w istocie takim, jakim mnie widziano. W ciągu czterech przynajmniej lat, przez które trwało to wrzenie w całej sile, nic tak wielkiego i pięknego nie może zagościć w sercu człowieka, do czego bym nie był się czuł zdolny w obliczu nieba. Oto skąd zrodziła się moja nagła wymowa; oto skąd rozlał się w moich pierwszych książkach ten naprawdę niebiański ogień, który mnie rozgrzewał, a z którego przez czterdzieści lat nie objawiła się najmniejsza iskierka, ponieważ jeszcze nie płonął.

Przemiana

Byłem, w istocie, przeobrażony; przyjaciele, znajomi nie poznawali mnie. Nie byłem już tym nieśmiałym, raczej wstydliwym niż skromnym człowiekiem, który nie umiał się ani pokazać, ani odezwać; którego zbijało z tropu żartobliwe słówko, spojrzenie kobiety przyprawiało o rumieniec. Śmiały, dumny, nieustraszony, wnosiłem wszędzie pewność siebie tym bardziej nieugiętą, iż była prosta i zamieszkała raczej w mej duszy niż w postawie. Wzgarda, którą głębokie rozmyślania obudziły we mnie dla obyczajów, zasad i przesądów epoki, czyniła mnie nieczułym na szyderstwa tych, którzy je wyznawali: dławiłem ich mizerne koncepty mymi sentencjami, tak jak się gniecie owada w palcach. Co za odmiana! Cały Paryż powtarzał ostre i gryzące sarkazmy tegoż samego człowieka, który dwa lata przedtem i dziesięć lat potem niezdolny był znaleźć myśli, którą chciał wyrazić, słowa, którego chciał użyć. Niech kto poszuka stanu bardziej sprzecznego z mą naturą, a znajdzie ten właśnie. Niech sobie przypomni jeden z tych krótkich momentów mego życia, gdy stawałem się kim innym, a przestawałem być sobą; chwile takie zdarzały się jeszcze w czasie, o którym mówię; ale ów stan, zamiast trwać sześć dni, sześć tygodni, trwał blisko sześć lat, i trwałby może jeszcze, gdyby nie szczególne okoliczności, które przerwały go i wróciły mnie naturze, nad którą chciałem się wznieść.

Przemiana

Zmiana ta nastąpiła natychmiast, skoro opuściłem Paryż i skoro widowisko błędów tego wielkiego miasta przestało podsycać oburzenie, którym mnie natchnęło. Przestawszy spotykać ludzi, przestałem nimi gardzić; straciwszy z oczu złych, przestałem ich nienawidzić. Serce moje, tak nie stworzone do nienawiści, współczuło już tylko z nędzą ludzi, a złość ich także uważało za cząstkę tej nędzy. Ten stan, słodszy, ale o wiele mniej podniosły, stłumił niebawem ów płomienny zapał, który przenikał mnie tak długo; nieznacznie, bezświadomie niemal, stałem się z powrotem bojaźliwym, ustępującym, nieśmiałym: jednym słowem tym samym Janem Jakubem, jakim byłem wprzódy.

Gdyby ów przewrót wrócił mnie jeno samemu sobie i zatrzymał się na tym, wszystko byłoby dobrze; ale na nieszczęście posunął się on dalej i pociągnął mnie szybko do przeciwnego krańca. Od tego czasu dusza moja, wyważona z zawiasów, mijała się już tylko z linią bezwładności, a wciąż ponawiane jej wahania nie pozwoliły jej nigdy utrzymać się w spokoju. Wejdźmy w szczegóły tego drugiego przewrotu: straszliwa i nieszczęsna epoka losu, którego przykładu nie znaleźć wśród śmiertelnych!

Ponieważ było nas tylko troje w naszym ustroniu, swoboda i samotność musiały z konieczności zacieśnić naszą zażyłość. Tak też się stało, przynajmniej między Teresą a mną. Spędzaliśmy, sam na sam, w cieniu drzew, godziny pełne uroku, godziny, których słodyczy nigdy nie odczuwałem równie żywo. Zdawało mi się, iż i ona smakuje w nich więcej niż kiedykolwiek wprzódy. Otworzyła mi serce bez zastrzeżeń: zwierzyła mi o swojej matce i rodzinie rzeczy, które miała siłę zamilczeć aż dotąd. Obie otrzymały od pani Dupin mnóstwo podarków na moją intencję; ale stara wiedźma, lękając się mnie pogniewać, zagarnęła wszystko dla siebie i dla dzieci, nie zostawiając nic Teresie, z bardzo surowym zakazem wspominania mi o tym, którego to zakazu biedna dziewczyna usłuchała z nieprawdopodobnym posłuszeństwem.

Ale rzeczą, która zdumiała mnie o wiele więcej, była wiadomość, że poza pokątnymi rozmowami, w jakie Diderot i Grimm wdawali się często z obiema kobietami, aby je

odciągnąć ode mnie, co im się nie powiodło jedynie wskutek oporu Teresy, obaj prócz tego miewali częste i tajemne konszachty z matką, przy czym Teresa nigdy nie mogła przeniknąć, co się tam knuje. Wiedziała tylko tyle, że były i drobne podarki, że odbywały się różne wyprawy wędrówki, które starano się przed nią utrzymać w tajemnicy, których celu bezwarunkowo nie znała. W porze kiedy opuściliśmy Paryż, od dawna już pani Le Vasseur miała obyczaj odwiedzać Grimma parę razy na miesiąc i spędzać z nim po kilka godzin na rozmowach tak poufnych, iż oddalali na ten czas nawet służącego.

Sądziłem, iż pobudki nie mogą być inne, jak tylko ten sam projekt, do którego starano się wciągnąć Teresę, obiecując wystarać się przez panią d'Epinay o dystrybucję soli, trafikę, jednym słowem kusząc je widokami zysku. Przedstawiano obu kobietom, iż nie tylko nie jestem zdolny zapewnić im bytu, ale nawet z ich powodu nie mogę dojść do niczego dla samego siebie. Ponieważ widziałem w tym wszystkim jedynie dobre intencje, nie miałem im tego bezwarunkowo za złe. Oburzała mnie jedynie tajemnica, zwłaszcza ze strony starej, która co więcej, stawała się ze mną z każdym dniem bardziej przychlebna i obleśna; co jej nie przeszkadzało wyrzucać potajemnie córce, że mnie zanadto kocha, że mi wszystko mówi, że postępuje jak głupia i będzie za to pokutować.

Ta kobieta posiadała w najwyższym stopniu sztukę wydobywania z jednego worka dziesięciu rodzajów mlewa[630], ukrywania przed jednym, co dostała od drugiego, przede mną zaś, co dostawała od wszystkich. Byłbym jej przebaczył chciwość, ale nie mogłem przebaczyć obłudy. Co ona mogła ukrywać przede mną, wiedząc tak dobrze, że moim niemal jedynym szczęściem jest szczęście jej córki i jej własne? To, co zrobiłem dla córki, zrobiłem dla siebie; ale to, co zrobiłem dla niej samej, zasługiwało z jej strony na niejaką wdzięczność. Powinna była pamiętać to, bodaj swojej córce, i kochać mnie przez miłość Teresy, która mnie kochała. Wyciągnąłem ją z najzupełniejszej nędzy; z mej ręki posiadała środki utrzymania; mnie zawdzięczała wszystkie stosunki, z których tak umiała korzystać. Teresa żywiła ją długi czas swoją pracą, a teraz moim chlebem. Zawdzięczała wszystko tej dziewczynie, dla której nie uczyniła nic; inne zaś dzieci, które wyposażyła, dla których doprowadziła się do ruiny, nie tylko nie pomagały jej do egzystencji, ale jeszcze pożerały jej i moje środki. Znajdowałem, iż w podobnej sytuacji winna była uważać mnie za jedynego przyjaciela, najpewniejszego opiekuna i miast czynić przede mną tajemnicę z własnych moich spraw, miast spiskować przeciw mnie w moim własnym domu, winna była uprzedzać mnie wiernie o wszystkim, co mnie mogło interesować, o ile dowiedziała się wcześniej ode mnie. Jakimż tedy okiem mogłem patrzeć na jej fałszywe i tajemnicze postępowanie? Co musiałem zwłaszcza myśleć o uczuciach, które siliła się zaszczepić córce? Jakąż potworną niewdzięczność okazywała sama, kiedy starała się Teresę pobudzić do niewdzięczności!

Wszystkie te refleksje odwróciły w końcu moje serce od tej kobiety, tak iż nie mogłem już na nią patrzeć bez wzgardy. Mimo to nie przestałem nigdy odnosić się z szacunkiem do matki mej towarzyszki i objawiać jej we wszystkim niemal synowskie względy i uważanie; ale prawdą jest, iż nie lubiłem przebywać długo w jej towarzystwie, nie jest zaś w mej mocy zadawać sobie przymus.

Oto znów jeden z tych krótkich momentów mego życia, gdy widziałem szczęście z bardzo bliska, nie mogąc go dosięgnąć i nie ponosząc winy w tym, iż je chybiłem. Gdyby los zrządził, aby ta kobieta była osobą dobrego charakteru, bylibyśmy szczęśliwi wszyscy troje, aż do końca naszych dni; jedynie to z trojga, które by przeżyło dwoje innych, zasługiwałoby na współczucie. W miejsce tego ujrzycie istotny bieg rzeczy i osądźcie, czy mogłem go zmienić.

Pani Le Vasseur, która spostrzegła, iż zyskuję grunt w sercu córki, w miarę jak ona traci, starała się go odzyskać. Zamiast przywiązać się do mnie przez nią, starała się odstrychnąć ją ode mnie w zupełności. Jednym z środków, do których się uciekła, było przywołać na pomoc rodzinę. Prosiłem Teresę, aby nie sprowadzała nikogo do Pustelni; przyrzekła. Sprowadzono familijkę w czasie mej nieobecności, nie pytając Teresy; po czym kazano jej przyrzec, że nie wspomni o tym. Skoro zrobiono pierwszy krok, reszta była łatwa; gdy ktoś raz uczyni z czegoś tajemnicę przed kochaną osobą, wkrótce nie robi sobie skrupułów, aby czynić tajemnicę ze wszystkiego. Ilekroć udałem się do Chevrette,

[630] *mlewo* (daw.) — zmielone ziarno. [przypis edytorski]

Pustelnia zapełniała się gośćmi, którzy zabawiali się wcale dobrze. Matka posiada zawsze wpływ na córkę z natury dobrą; mimo to, w jakikolwiek sposób stara Le Vasseur brała się do rzeczy, nigdy nie zdołała nagiąć Teresy do swoich planów i wciągnąć do ligi przeciw mnie. Co do siebie, rozstrzygnęła rzecz bardzo zasadniczo: widząc z jednej strony córkę i mnie, u których można było po prostu żyć, i tylko tyle, z drugiej Diderota, Grimma, Holbacha, panią d'Epinay, którzy przyrzekali wiele i dawali coś niecoś, nie sądziła, aby kiedykolwiek można było pobłądzić przystając do obozu generalnej dzierżawczyni i barona. Gdybym miał lepsze oczy, widziałbym już wówczas, że karmię na łonie węża; ale moje ślepe zaufanie, którego nic jeszcze nie skaziło, było takie, iż nie wyobrażałem sobie nawet, aby można było chcieć szkodzić komuś, kogo się powinno kochać. Widząc wkoło siebie tysiączne knowania, umiałem jedynie skarżyć się na tyranię tych, których nazywałem swymi przyjaciółmi i którzy, jak sądziłem, chcieli mnie zmusić, abym był szczęśliwy raczej na ich sposób niż na mój własny.

Mimo iż Teresa odmówiła przystąpienia do ligi, dochowała wszelako matce sekretu. Pobudki były chwalebne, nie chcę wyrokować, czy zrobiła źle czy dobrze. Dwie kobiety posiadające wspólną tajemnicę zawsze mają coś do paplania z sobą: to je zbliżało. Dzieląc się w ten sposób, Teresa pozwalała mi niekiedy uczuć, że jestem sam, nie mogłem bowiem liczyć za towarzystwo chwil, w których byliśmy razem wszyscy troje. Wówczas to uczułem żywo błąd, iż w pierwszym okresie naszego związku, z powolności, jaką rodziła w Teresie miłość, nie skorzystałem w tym celu, aby ją ozdobić talentami i wiadomościami, które, bardziej zbliżając nas do siebie w naszym ustroniu, byłyby przyjemnie wypełniły czas obojgu, nie pozwalając dłużyć się chwilom sam na sam. Nie znaczyło to, aby nam brakło chęci do rozmowy i aby Teresa objawiała znudzenie w czasie naszych przechadzek; ale ostatecznie nie posiadaliśmy dosyć wspólnych myśli, aby nam starczyło przedmiotu. Nie mogliśmy już bez przerwy snuć planów na przyszłość, skoro rzeczywistość ograniczyła nas obecnie do radości z ich spełnienia. Przedmioty, które się nastręczały, pobudzały mnie do zastanowień i uwag przechodzących jej horyzont. Przywiązanie trwające dwanaście lat nie potrzebowało słów; znaliśmy się nadto dobrze, aby móc sobie czegokolwiek udzielić. Pozostawały, jako jedyna ucieczka, plotki, obmowa i tanie żarciki. Zwłaszcza w osamotnieniu czuje się urok życia z kimś, kto umie myśleć. Nie potrzebowałem tego zasobu, aby znajdować przyjemność w towarzystwie Teresy; ale ona byłaby go potrzebowała, aby zawsze czuć się rada w moim. Najgorsze było to, iż trzeba było niejako okradać chwile naszego sam na sam; matka, której towarzystwo stało mi się przykre, zmuszała mnie do upatrywania momentów jej nieobecności. Byłem skrępowany we własnym domu, to dość powiedzieć; pozory miłości nie pozwalały zakwitnąć spokojnej przyjaźni. Niby to żyjąc z sobą najbliżej jak można, nie kosztowaliśmy słodyczy poufnego zbliżenia.

Samotność

Z chwilą gdy mi się zdało, że Teresa szuka niekiedy wymówek, aby uchylić się od przechadzek, do których ją zapraszam, przestałem ją namawiać, nie biorąc zresztą za złe, iż nie mają one dla niej takiego powabu jak dla mnie. Przyjemność nie jest rzeczą zależną od woli. Byłem pewny jej serca, to mi wystarczało. Póki moje przyjemności były przyjemnością i dla niej, kosztowałem ich z nią razem; skoro to się zmieniło, przekładałem jej zadowolenie nad własne.

Oto jak, wpół zawiedziony w nadziejach, prowadząc życie zgodne ze swymi upodobaniami, w miejscu wedle mego wyboru, z osobą, która mi była droga, doszedłem do tego, iż czułem się niemal samotny. To, czego mi nie dostawało, nie pozwalało mi cieszyć się tym, co miałem. W rzeczach szczęścia i przyjemności istniało dla mnie jedynie wszystko lub nic. Czytelnik zobaczy, dlaczego szczegół ten wydał mi się potrzebny. Podejmuję obecnie nitkę opowiadania.

Sądziłem, iż posiadam skarby w rękopisach, które mi powierzył hrabia de Saint-Pierre. Rozpatrując się w nich, ujrzałem, iż jest to prawie wyłącznie zbiór drukowanych już dzieł jego wuja[631], opatrzonych notami i poprawkami jego ręki, prócz kilku drobnych utworów, które nie były dotąd ogłoszone. Pisma z zakresu roztrząsań moralnych utwierdziły mnie w pojęciu, które obudziło we mnie kilka listów pokazanych mi przez panią

[631] *jego wuja* — był nim Charles-Irénée Castel de Saint-Pierre (1658–1743), pisarz i dyplomata, który w pracy *Projet pour rendre la paix perpétuelle en Europe* (Projekt wiecznego pokoju w Europie; t.1–2: 1713, t.3: 1717) jako pierwszy zaproponował utworzenie federacji państw europejskich, w której spory rozstrzygano by metodami pokojowymi zamiast militarnymi. [przypis edytorski]

du Créqui: mianowicie, że był to człowiek bystrzejszego umysłu, niż sądziłem; natomiast gruntowne zbadanie jego dzieł politycznych ukazało mi prawie wyłącznie powierzchowne horyzonty, projekty użyteczne, ale niewykonalne, a to wskutek pojęcia, z którego autor nigdy nie umiał się wyzwolić, iż ludzie kierują się raczej rozumem niż namiętnościami. Wysokie mniemanie, jakie miał o nowoczesnej wiedzy, kazało mu przyjąć tę fałszywą zasadę udoskonalonego rozumu, podstawę wszystkich urządzeń, jakie projektował i źródło wszystkich jego politycznych sofizmatów. Ten rzadki człowiek, chluba swego wieku i rodzaju, jedyny może od czasu istnienia rasy ludzkiej, który nie miał innej namiętności jak tylko namiętność rozumu, brnął wszelako, we wszystkich swych systemach, tylko z omyłki w omyłkę, przez to, iż chciał ludzi uczynić podobnymi do siebie, zamiast brać ich takimi, jak są i jakimi będą zawsze. Pracował jedynie dla istot urojonych, mniemając, iż pracuje dla swoich bliźnich.

Rozum, Idealista

Idealista

Wszystko to zważywszy, znalazłem się w kłopocie co do formy, w jaką należało ująć moją pracę. Przepuścić autorowi jego majaki, znaczyłoby nie dokonać nic pożytecznego; odeprzeć je wręcz byłoby nieprzyzwoitością. Fakt powierzenia mi rękopisów, które przyjąłem, a nawet prosiłem o nie, nakładał mi obowiązek zaszczytnego obejścia się z autorem. Obrałem wreszcie drogę, która mi się wydała najbardziej właściwą, słuszną i użyteczną: mianowicie podać oddzielnie myśli autora, a oddzielnie własne; wejść w jego horyzonty, rozjaśnić je, rozprowadzić i niczego nie oszczędzać, aby je ukazać w całej ich wartości.

Dzieło moje miało się tedy składać z dwóch zupełnie oddzielnych części: jedną przeznaczyłem na wyłożenie w powyżej wspomniany sposób rozmaitych fantazji autora; w drugiej, która miała się pojawić dopiero wówczas, gdy pierwsza stanie się powszechną własnością, byłbym zamknął swój sąd o tych fantazjach, co, przyznaję, mogło je wydać niekiedy na los sonetu z *Mizantropa*[632]. Na czele całego dzieła miał się znaleźć życiorys autora, do którego zebrałem dość dobre materiały, a pochlebiałem sobie, iż nie zepsuję ich w robocie. Widywałem niekiedy księdza de Saint-Pierre w podeszłych latach, a cześć, jaką miałem dla jego pamięci, była mi rękojmią, iż wszystko razem wziąwszy, pan hrabia nie będzie nierad ze sposobu, w jaki obszedłem się z jego krewniakiem.

Wypróbowałem swój system na *Powszechnym pokoju*, najznaczniejszym i najbardziej opracowanym ze wszystkich utworów składających ten zbiorek. Zanim oddałem się swoim refleksjom, miałem wytrwałość przeczytać absolutnie wszystko, co ksiądz napisał na ten piękny temat, nie zrażając się rozwlekłością i powtarzaniem. Publiczność miała w ręku ten wyciąg, nie mam zatem o nim nic do powiedzenia. Co do sądu, który skreśliłem, nie był drukowany i nie wiem, czy będzie kiedykolwiek; ale sporządziłem go równocześnie z wyciągiem. Przeszedłem następnie do *Polysynodii*, dzieła napisanego za rządów regenta dla pochwalenia systemu administracji, którą wprowadził w życie. Dzieło to przyprawiło księdza de Saint-Pierre o wygnanie z Akademii francuskiej za kilka wycieczek przeciw administracji poprzedniej, którymi księżna de Maine i kardynał de Polignac uczuli się dotknięci. Dokończyłem tej pracy równie jak poprzedniej: tak wyciągu, jak i oceny; ale poprzestałem na tym, nie chcąc prowadzić dalej tego przedsięwzięcia, którego nie powinienem był rozpoczynać.

Refleksja, która kazała mi go poniechać, nastręcza się sama z siebie, a zdumiewającym jest, iż nie przyszła mi wcześniej do głowy. Większość pism księdza de Saint-Pierre zawierała spostrzeżenia krytyczne nad różnymi szczegółami rządu we Francji; wśród tych uwag były nawet niektóre tak swobodne, iż szczęściem było dla autora, że mógł je robić tak bezkarnie. Ale w biurokracji ministerialnej uważano księdza de Saint-Pierre raczej za kaznodzieję niż za prawdziwego polityka i pozwalano mu prawić, co mu się podoba, ponieważ wiedziano dobrze, że go nikt nie słucha. Gdybym zdołał uzyskać dlań posłuch, sprawa przedstawiałaby się zgoła odmiennie. On był Francuzem, ja nie; gdybym sobie pozwolił powtarzać jego krytyki, mimo że pod jego imieniem, naraziłbym się na pytanie, szorstkie, ale usprawiedliwione, dlaczego mieszam się w nie swoje sprawy. Na szczęście, nim posunąłem się dalej, spostrzegłem, jaką broń daję przeciw sobie, i cofnąłem się szybko. Wiedziałem, iż żyjąc sam wśród ludzi, i to ludzi bez wyjątku potężniejszych ode mnie, nie zdołam nigdy, w jaki bądź sposób wziąłbym się do rzeczy, zabezpieczyć się

[632]*sonet z* Mizantropa — słynna scena lektury sonetu Oronta z *Mizantropa* Moliera [akt II, scena 2, w której poproszony o zdanie Alcest z bezwzględną szczerością krytykuje wiersz; red. WL]. [przypis tłumacza]

od złego, które by mi chcieli wyrządzić. Jedna rzecz tylko była w mojej mocy, w razie gdyby chcieli przyczepić się do mnie, mianowicie poczynać sobie tak, aby mogli to uczynić jedynie niesprawiedliwie. Ta zasada, która zmusiła mnie do porzucenia pism księdza de Saint-Pierre, kazała mi często poniechać projektów o wiele bardziej mi drogich. Owi ludzie, co to zawsze gotowi są czynić zbrodnię z nieszczęścia, byliby bardzo zdumieni, gdyby znali wszystkie ostrożności, które rozwinąłem w życiu, iżby nikt nie mógł mi ze słusznością powiedzieć w nieszczęściu: „*Sam je na siebie ściągnąłeś*".

Zaniechawszy tego dzieła, pozostałem jakiś czas w niepewności co do pracy mającej po nim nastąpić. Ten okres bezczynności stał się mą zgubą przez to, iż w braku obcego przedmiotu, który by mnie zaprzątał, pozwolił się moim myślom zwrócić ku samemu sobie. Nie miałem już na przyszłość projektów, które by mogły zabawić mą wyobraźnię; nie miałem nawet możności tworzenia ich, ponieważ obecne moje położenie spełniało cel, w którym skupiały się wszystkie me pragnienia. Nie wiedziałem, czego mógłbym pragnąć, a mimo to, w sercu czułem jeszcze próżnię. Ten stan był tym okrutniejszy, ile że nie widziałem, w jakim kierunku życzyć sobie jego odmiany. Skupiłem wszystkie najtkliwsze uczucia w osobie wedle mego serca, która mi była wzajemna. Żyłem obok niej i z nią, swobodnie i, można powiedzieć, do sytości. Mimo to tajemne ściśnienie serca nie opuszczało mnie ani przy niej, ani z dala od niej. Posiadając ją, czułem, że mi brak jej jeszcze; sama ta myśl, że nie jestem wszystkim dla niej, czyniła, iż ona stawała się prawie niczym dla mnie.

Miałem przyjaciół obojej płci[633], do których byłem przywiązany najbardziej tkliwą przyjaźnią, najdoskonalszym szacunkiem. Liczyłem na najszczerszą wzajemność z ich strony i nie przyszło mi nawet na myśl wątpić o ich szczerości. Mimo to ta przyjaźń była dla mnie więcej udręką niż słodyczą przez ich upór, wręcz zaciekłość w tym, aby się sprzeciwiać wszystkim mym upodobaniom, skłonnościom, całemu sposobowi życia. Wystarczało, bym pragnął jakiejś rzeczy, która obchodziła tylko mnie i nie zależała od nich, aby widzieć, jak wszyscy jednoczą się natychmiast, zmuszając mnie do wyrzeczenia się jej. Ta zaciekłość w tym, aby kontrolować mnie we wszystkich fantazjach, zaciekłość tym bardziej niesprawiedliwa, iż ja nie tylko nie kontrolowałem ich chęci, ale nie pytałem o nie nawet, stała mi się okrutnie uciążliwa. W końcu nie zdarzyło mi się otrzymać listu od którego z nich, abym otwierając, nie doświadczył jakiegoś lęku, aż nadto usprawiedliwionego treścią. Znajdowałem, iż ze strony ludzi młodszych ode mnie i bardzo potrzebujących dla siebie nauk, którymi mnie raczyli, za wiele było tego traktowania mnie jak dziecko. „Kochajcie mnie — powtarzałem — jak ja was kocham; poza tym nie mieszajcie się do mych spraw, jak ja do waszych: oto wszystko, czego żądam". Jeżeli z tych dwóch rzeczy spełnili moją prośbę w jednej, to z pewnością nie w tej ostatniej.

Miałem mieszkanie ustronne, w uroczej samotni; będąc panem u siebie, mogłem, zdawałoby się, żyć wedle ochoty, bez niczyjego prawa do wścibiania nosa. Ale to mieszkanie nakładało mi obowiązki, miłe, lecz nieuchronne. Cała wolność była jedynie złudą; bardziej niż jakiekolwiek rozkazy własna wola musiała trzymać mnie w jarzmie. Nie miałem ani jednego dnia, w którym, wstając rano, mógłbym sobie powiedzieć: „Użyję tego dnia, jak mi się spodoba". Więcej jeszcze: poza mą zależnością od planów pani d'Epinay, odczuwałem drugą, bardziej jeszcze dokuczliwą — zależność od publiczności i odwiedzających. Dość znaczne oddalenie od Paryża nie przeszkadzało, iż codziennie nawiedzały mnie zgraje próżniaków, którzy nie wiedząc, co począć ze swoim czasem, marnotrawili mój bez cienia skrupułu. Wówczas, kiedym się tego najmniej spodziewał, spadały mi na głowę takie zaszczytne odwiedziny i rzadko zdarzyło mi się uczynić ładny projekt na cały dzień, aby go jakiś przybysz nie zamącił.

Krótko mówiąc: pośród dóbr, których najbardziej pożądałem, nie znajdując czystego szczęścia, wracałem rzutami myśli ku szczęśliwym dniom młodości i wykrzykiwałem niekiedy z westchnieniem: „Ach, to już nie to, co moje Charmettes!".

Wspomnienia rozmaitych epok życia doprowadziły mnie do zastanowienia się nad punktem, do którego doszedłem. Znalazłem się już na schyłku lat, wydany na łup bolesnej choroby i jak mniemałem, przy końcu drogi życia, nie zakosztowawszy w całej pełni niemal żadnej z rozkoszy, których serce moje było tak spragnione, nie dawszy ujścia żywym

[633] *obojej płci* (daw.) — dziś: obojga płci. [przypis edytorski]

uczuciom, których czułem w sobie zapasy, nie wysączywszy, nie uszczknąwszy bodaj tej upajającej rozkoszy, do której czułem się w duszy zdolny i która z braku przedmiotu tkwiła w niej ciągle zdławiona, nie mogąc wydzielić się inaczej jak tylko westchnieniem.

W jaki sposób było możliwe, abym z duszą z natury tak wylaną[634], dla której żyć to było kochać, nie znalazł dotąd przyjaciela wyłącznie dla siebie, prawdziwego przyjaciela, ja, który czułem się tak stworzony do tych związków? W jaki sposób było możebne, abym przy zmysłach tak zapalnych, z sercem przesiąkniętym miłością, nie mógł bodaj raz zapłonąć tym ogniem dla określonego przedmiotu? Pożerany potrzebą kochania, nie mogąc jej nigdy w pełni zaspokoić, patrzałem, jak zbliżam się do bram starości i mam umrzeć, nie poznawszy życia!

Te smutne, ale rozczulające myśli pogrążyły mnie w zadumie pełnej żalu, a zarazem nie pozbawionej słodyczy. Zdawało mi się, że los jest mi winien coś, czego mi nie dał. Na co dał mi się urodzić z cudownymi zdatnościami, aby je zostawić do końca bez użytku? Poczucie wewnętrznej wartości, rodząc we mnie świadomość krzywdy, wynagradzało mi ją do pewnego stopnia i wyciskało z oczu łzy, którym z lubością pozwalałem płynąć.

Oddawałem się tym dumaniom w najpiękniejszej porze roku, w czerwcu, w cieniu świeżej zieloności, przy śpiewie słowika, szmerze strumienia. Wszystko spiknęło się, aby mnie pogrążyć w tej zbyt upajającej miękkości, dla której byłem stworzony, ale od której powinien mnie był na zawsze oswobodzić twardy i surowy ton, na jaki nastroiło mnie długie wewnętrzne wrzenie. Na nieszczęście przypomniał mi się obiad w Toune i spotkanie z dwiema uroczymi dziewczynami, o tej samej porze, w miejscowości niemal podobnej do tej, w jakiej znajdowałem się w tej chwili. Wspomnienie to, jeszcze słodsze przez łączącą się z nim pamięć ówczesnej niewinności, przyniosło mi inne, tegoż samego rodzaju. Niebawem ujrzałem w myślach koło siebie wszystkie istoty, które napawały wzruszeniem mą młodość: pannę Galley, de Graffenried, de Breil, panią Bazile, de Larnage, moje młode uczennice, aż do powabnej Zulietty, której serce moje nie mogło zapomnieć. Ujrzałem się otoczony serajem[635] hurys[636], dawnych znajomych; najżywszy pociąg, jaki odczuwałem dla nich, nie był u mnie nowym uczuciem. Krew rozpala się i kipi, głowa mi się zawraca mimo szpakowatych już włosów i oto poważny obywatel Genewy, oto surowy Jan Jakub, bliski czterdziestu pięciu lat, staje się nagle z powrotem romansowym pasterzem. Odurzenie, które mnie ogarnęło, mimo iż nagłe i szalone, było tak uporczywe i silne, iż aby mnie zeń wyleczyć, trzeba było dopiero szeregu nieprzewidzianych i straszliwych nieszczęść, w które mnie wtrąciło.

Wspomnienia

Odurzenie to, mimo iż tak głębokie, nie doszło wszelako do tego, aby mi dało zapomnieć o mym wieku i położeniu, abym się miał łudzić, iż mogę jeszcze wzbudzić miłość, abym się skusił podzielić z kimś wreszcie tym ogniem pożerającym, lecz jałowym, jaki od dzieciństwa daremnie trawił me serce. Nie spodziewałem się, nie pragnąłem nawet tego. Wiedziałem, że czas miłości przeszedł; nadto czułem śmieszność postarzałych miłośników, abym miał w nią popaść. Nie ja, z pewnością, miałem się stać zarozumiałym i pewnym siebie na schyłku, skoro nim byłem tak mało w kwiecie swojego wieku. Zresztą, zamiłowany w spokoju, lękałbym się burz domowych; nadto szczerze przy tym kochałem Teresę, aby ją narażać na tę zgryzotę, iżby miała mnie widzieć niosącego w dani innej kobiecie uczucia żywsze niż te, które we mnie budziła.

Cóż uczyniłem w tej okoliczności? Czytelnik już odgadł, jeżeli dotąd towarzyszył mi z uwagą. Niepodobieństwo dosięgnięcia rzeczywistych istot wtrąciło mnie w krainę urojeń. Nie widząc na świecie nic istniejącego, co by godnym było mego szału, syciłem go w świecie idealnym, który twórcza wyobraźnia zaludniła niebawem istotami wedle mego serca. Nigdy ta ucieczka nie zjawiła się bardziej w porę i nigdy nie okazała się tak płodna. Pogrążony w nieustannej ekstazie, upajałem się bez miary najrozkoszniejszymi uczuciami, jakie kiedykolwiek gościły w sercu człowieka. Zapominając zupełnie o rodzaju ludzkim, tworzyłem sobie społeczeństwa doskonałych istot, równie niebiańskich przez swoje cnoty, co przez swą piękność, pewnych, tkliwych, wiernych przyjaciół, takich, jakich nie znałem nigdy tu na ziemi. Zasmakowałem do tego stopnia w tym bujaniu w obłokach,

Marzenie

[634] *wylany* — dziś: wylewny. [przypis edytorski]

[635] *seraj* — tu: kobieca część domu muzułmańskiego, harem. [przypis edytorski]

[636] *hurysa* — w islamie: jedna z wiecznie pięknych i młodych dziewic, czekających wiernych w raju muzułmańskim; przen.: piękna dziewczyna o orientalnej urodzie. [przypis edytorski]

pośród uroczych przedmiotów, którymi się otoczyłem, iż spędzałem tak godziny, dnie całe, bez rachuby; tracąc pamięć wszelkiej innej rzeczy, ledwie zjadłem coś naprędce, już rwałem się szukać schronienia w mych gajach. Kiedy, gotów ulecieć w zaczarowane kraje, widziałem, jak zjawiają się nieszczęśni śmiertelnicy, którzy przychodzili zatrzymywać mnie na ziemi, nie mogłem ani pomiarkować, ani ukryć swej niechęci; nie będąc już panem siebie, przyjmowałem ich w sposób tak szorstki, że słusznie można by go nazwać brutalstwem. To pomnażało jedynie mą reputację mizantropa, z przyczyn, które zjednałyby mi wręcz przeciwne mniemanie, gdyby ludzie lepiej umieli czytać w mym sercu.

W pełni największej egzaltacji, uczułem się ściągnięty nagle na ziemię, niby latawiec uwięziony sznurkiem. Natura przywołała mnie na miejsce, zsyłając mi dość żywy napad zwykłego cierpienia. Uciekłem się do jedynego lekarstwa, jakie było zdolne nieść mi ulgę — do sondy. To spowodowało pauzę w mych anielskich amorach: poza tym bowiem, iż człowiek nie jest zdolny do miłości, kiedy cierpi, wyobraźnia moja, która ożywia się na wsi, wśród zieloności, usycha i obumiera w pokoju, pod deskami powały. Często żałowałem, że nie istnieją driady[637]; im to niechybnie byłbym oddał swoje serce.

Inne przykrości domowe pomnożyły w tym samym czasie moje utrapienia. Pani Le Vasseur, obsypując mnie równocześnie miodowymi słówkami, odstręczała ode mnie córkę ile mogła. Otrzymałem z mego dawnego sąsiedztwa listy, które pouczyły mnie, że zacna stara zaciągnęła bez mej wiedzy liczne długi na imię Teresy, która wiedziała o tym i nic mi nie mówiła. Długi, które musiałem płacić, gniewały mnie o wiele mniej niż tajemnica, jaką z nich czyniono. Ha! W jaki sposób ta, dla której ja nie miałem nigdy żadnej tajemnicy, mogła ją mieć dla mnie? Czy można coś ukrywać przed kimś, kogo się kocha? Holbachowska koteria, nie widząc, bym objawiał tęsknotę za Paryżem, zaczynała na dobre się obawiać, iż mogę szczerze podobać sobie na wsi i być dość szalonym, aby tam zostać. Stąd zaczęły się dokuczliwości, za pomocą których starano się mnie pośrednio sprowadzić do miasta. Diderot, nie chcąc zrazu odsłonić przyłbicy, wyprawił do mnie na początek Deleyre'a[638], którego z nim sam zapoznałem, a który, nie pojmując właściwego celu intrygi, przejmował i przynosił mi wrażenia, jakich Diderot zechciał mu udzielić.

Wszystko jakby się zmawiało, aby mnie wyrwać z mego słodkiego i szalonego marzenia. Nie minął jeszcze mój atak, kiedy otrzymałem egzemplarz poematu *Na ruinę Lizbony*[639]. Przypuszczałem, iż przysłano mi go na zlecenie autora. To nałożyło na mnie obowiązek napisania doń i wyrażenia zdania o utworze. Uczyniłem to w liście, który ogłoszono drukiem znacznie później, bez mego pozwolenia, jak o tym wspomnę w dalszym ciągu.

Bóg, Dobro, Zło

Uderzony, iż widzę tego biednego człowieka, przywalonego, aby tak rzec, pomyślnością i sławą, jak gorzko wciąż deklamuje przeciw nędzom życia i znajduje ustawicznie, iż wszystko jest złe, powziąłem szalony pomysł, aby mu przemówić do duszy i udowodnić mu, że wszystko jest dobre. Wolter, udając wciąż, iż wierzy w Boga, wierzył w istocie zawsze jedynie w diabła, skoro jego rzekomy bóg jest złośliwą istotą, która wedle niego znajduje rozkosz jedynie w wyrządzaniu szkody. Bijąca w oczy niedorzeczność tej nauki oburzająca jest zwłaszcza u człowieka, który, spoczywając w puchach szczęścia, stara się doprowadzić do rozpaczy swych bliźnich za pomocą strasznego i okrutnego obrazu wszystkich klęsk, od których on jest wolny. Bardziej niż on będąc powołany, aby policzyć i zważyć niedole ludzkiego życia, uczyniłem ich sprawiedliwy bilans i udowodniłem mu, że ze wszystkich tych niedoli nie masz ani jednej, za które Opatrzność byłaby odpowiedzialna i która by nie miała źródła raczej w nadużyciu, jakie człowiek czyni ze swych zdolności, niż w samej naturze. Potraktowałem go w tym liście z wszelkimi możebnymi względami, uważaniem, oględnością, mogę nawet powiedzieć szacunkiem. Mimo to, znając jego miłość własną w najwyższym stopniu wrażliwą, nie posłałem tego listu samemu Wolterowi, ale doktorowi Tronchin, jego lekarzowi i przyjacielowi z zupełną swobodą doręczenia lub zniszczenia, wedle tego, co mu się wyda właściwsze. Tronchin doręczył list. Wolter odpisał mi w kilku słowach, iż będąc równocześnie i sam chory,

[637] *driady* (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]

[638] *Deleyre*, [*Alexandre*] (1726–1797) — pisarz z grupy encyklopedystów, później sekretarz ambasady Choiseula w Wiedniu, wreszcie członek konwentu, gdzie głosował za śmiercią Ludwika XVI. [przypis edytorski]

[639] Na ruinę Lizbony — poemat Woltera, napisany pod wrażeniem trzęsienia ziemi w Lizbonie, którego ofiarą padło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. [przypis tłumacza]

i mając w domu chorobę, odkłada na inny czas odpowiedź; po czym nigdy nie odezwał się już w tej kwestii. Tronchin, przysyłając mi pismo Woltera, dołączył od siebie kilka uwag niezdradzających zbyt wiele szacunku dla osoby piszącego.

Nigdy nie ogłosiłem ani nie pokazałem tych dwóch listów, nie lubiąc czynić popisu z tego rodzaju drobnych tryumfów; ale znajdują się one w oryginale w mych zbiorach (plik A, nr 20 i 21). Później Wolter ogłosił odpowiedź, którą mi przyrzekł, ale mi jej nie przesłał. Jest nią mianowicie powieść pt. *Kandyd*[640], o której nie mogę mówić, ponieważ jej nie czytałem.

Wszystkie te wydarzenia powinny były radykalnie mnie wyleczyć z moich fantastycznych miłości. Był to może sposób, jaki nastręczało mi niebo, aby uprzedzić ich zgubne następstwa; ale zła gwiazda okazała się silniejsza. Ledwie zacząłem znów wychodzić z domu, serce, głowa i nogi wróciły na te same ścieżki. Powiadam: te same, pod pewnym względem przynajmniej; myśli moje bowiem, nieco mniej wybujałe, zostały tym razem na ziemi, ale wziąwszy sobie za towarzystwo tak niezrównany wybór wszystkiego, co mogłoby się znaleźć na niej uroczego i godnego miłości, iż doskonałość ta była zgoła nie mniej chimeryczna niż urojony świat, który opuściłem.

Wyobraziłem sobie miłość, przyjaźń, dwa bóstwa mego serca, pod najbardziej czarującymi postaciami. Uczyniłem sobie tę rozkosz, aby je stroić we wszystkie uroki płci, którą zawsze ubóstwiałem. Wymarzyłem dwie przyjaciółki raczej niż dwóch przyjaciół, ponieważ przykład ten, jeżeli jest rzadszy, jest zarazem i bardziej powabny. Obdarzyłem je charakterami pokrewnymi, ale różnymi; powierzchownością nie bezwzględnie doskonałą, ale wedle mego smaku, ożywioną dobrocią i tkliwością. Jedną uczyniłem brunetką, drugą blondynką; jedną żywą, drugą łagodną; jedną stateczną, drugą słabą, ale słabością tak chwytającą za serce, iż cnota zdawała się jedynie zyskiwać na tym. Dałem jednej kochanka, któremu druga była tkliwą przyjaciółką, a nawet czymś więcej; ale nie dopuściłem do współzawodnictwa, sprzeczek, zazdrości, ponieważ wszelkie przykre uczucie z trudnością rodzi się w mej wyobraźni i ponieważ nie chciałem przyćmić tego lubego obrazka niczym, co by miało poniżać naturę. Rozmarzony dwoma uroczymi modelami, utożsamiałem się, ile w mej mocy, z kochankiem i przyjacielem; ale uczyniłem go młodym i pełnym powabu, dając mu poza tym zalety i wady, które czułem w sobie.

Aby pomieścić osoby mego romansu w ramie, która by im odpowiadała, przeszedłem kolejno w myśli najpiękniejsze miejsca, jakie oglądałem w swych podróżach. Ale nie mogłem znaleźć dość lubego sioła, dość mówiącego do serca krajobrazu. Doliny Tesalii byłyby mnie może zadowoliły, gdybym je widział; ale wyobraźnia moja, znużona rojeniem, pragnęła jakiegoś rzeczywistego miejsca, które by jej mogło służyć za punkt oparcia i dać mi złudzenie co do rzeczywistości mieszkańców, których tam chciałem osiedlić. Długo myślałem o Wyspach Boromejskich, których urok zachwycił mnie; ale widziałem w nich zbyt wiele ozdoby i sztuki jak dla moich bohaterów. Trzeba mi było wszelako jeziora; wybrałem wreszcie to, koło którego serce moje nigdy nie przestało błądzić. Zatrzymałem się przy tej okolicy, w której od dawna pragnienia me pomieściły mą rezydencję w urojonym szczęściu, do którego mnie los ograniczył. Miejsce rodzinne biednej mamusi miało dla mnie urok silniejszy nad inne. Kontrasty położenia, bogactwo i różnorodność widoków, wspaniałość, majestat całości, która czaruje zmysły, przenika serce, podnosi duszę, skłoniły mnie do reszty: pomieściłem w Vevai swoje młode pupilki. Oto wszystko, co wymyśliłem od pierwszego rzutu; reszta narosła dopiero stopniowo.

Długo ograniczałem się do ogólnikowego planu, ponieważ wystarczał, aby napełnić mą wyobraźnię lubymi przedmiotami, serce zaś uczuciami, którymi lubi się karmić. Fikcje te, nawiedzając mnie raz po razu, nabrały wreszcie silniejszego istnienia i ustaliły się w mózgu pod określoną postacią. Wówczas przyszła mi ochota wyrazić na papierze kilka scen, które mi się nastręczały, i przypominając sobie wszystko, co czułem w młodości, dać w ten sposób niejako upust potrzebie kochania, której nie mogłem zaspokoić, a która mnie pożerała.

Rzuciłem zrazu na papier kilka luźnych listów, bez ciągu, bez związku; kiedy przychodziło mi zeszyć je z sobą, byłem często w wielkim kłopocie. Co może się zdawać trudne

[640]Kandyd — najgłośniejsza z powiastek filozoficznych Woltera, wymierzona przeciw Leibnizowskiemu „optymizmowi" i filozofii spekulatywnej. [przypis tłumacza]

do wiary, a jest wszelako bardzo prawdziwe, to iż dwie pierwsze części romansu powstały prawie całkowicie w ten sposób, bez obmyślonego planu, a nawet bez przewidywania, iż kiedyś przyjdzie mi pokusa uczynić zeń prawidłowy utwór. Toteż czytelnik widzi, iż te dwie części, powstałe z nieobrobionych w tym celu materiałów, pełne są rozwlekłości i gadulstwa, których nie znajduje się w dalszym ciągu.

W porze najwyższego nasilenia marzeń spadły na mnie odwiedziny pani d'Houdetot, pierwsze, jakimi zaszczyciła mnie w życiu, ale, na nieszczęście, jak się okaże później, nie ostatnie. Hrabina d'Houdetot[641] była córką nieboszczyka de Bellegarde, generalnego dzierżawcy, siostrą pana d'Epinay i panów de Lalive i de la Briche, którzy obaj później zajmowali stanowisko szambelanów przy ambasadach. Wspominałem o naszej znajomości datującej z jej panieńskich czasów. Od chwili zamążpójścia widywałem panią d'Houdetot jedynie na większych zebraniach w Chevrette, u pani d'Epinay, jej bratowej. Spędziwszy nieraz szereg dni w jej towarzystwie, tak w Chevrette, jak w Epinay, nie tylko uważałem ją za osobę nader miłą, ale także zdawało mi się, iż widzę w niej życzliwość dla siebie. Lubiła przechadzać się ze mną; oboje byliśmy tęgie piechury, rozmowa zaś nie słabła między nami ani na chwilę. Mimo to nie odwiedziłem pani d'Houdetot nigdy w Paryżu, chociaż prosiła mnie o to, a nawet nalegała wiele razy. Stosunki jej z panem de Saint-Lambert, z którym i ja zaprzyjaźniłem się w tej epoce, uczyniły mi ją tym bardziej zajmującą; i właśnie aby mi przywieźć nowiny od wspólnego przyjaciela, który bawił wówczas, o ile mi się zdaje, w Mahon[642], przybyła mnie odwiedzić w Pustelni.

Wizyta ta wypadła coś niby początek powieści. Pani d'Houdetot zbłądziła w drodze. Woźnica, opuściwszy gościniec, który zakreślał koło, chciał przeciąć wprost od młyna w Clairvaux do Pustelni. Karoca uwięzła w błocie; pani d'Houdetot wysiadła i chciała iść piechotą. Leciutkie trzewiczki zdarły się w jednej chwili, ugrzęzła w błocie; ledwie z największym wysiłkiem służba zdołała ją wydobyć; wreszcie, dotarła do Pustelni w butach, napełniając atmosferę wybuchami śmiechu, którym zawtórowałem, patrząc na stan, w jakim przybyła. Trzeba ją było przebrać od stóp do głowy; Teresa zajęła się tym. Zaprosiłem hrabinę, aby zapomniała o swej godności i przyjęła wiejski podwieczorek, który bardzo jej przypadł do smaku. Było późno, bawiła tylko chwilę; ale czas ten spłynął tak wesoło, że zasmakowała w mej Pustelni i zdawała się skłonna wrócić. Wykonała ten zamiar dopiero w następnym roku; ale, niestety! odwłoka ta nie ocaliła mnie.

Spędziłem jesień na zajęciu, którego by się nikt nie domyślił: na strzeżeniu owoców pana d'Epinay. Pustelnia była zbiornikiem wód dla parku w Chevrette. Był tam ogród otoczony murem, obsadzony szpalerem i innymi drzewami, które dawały panu d'Epinay więcej owoców niż sad w Chevrette, mimo że kradziono z nich trzy czwarte. Aby nie być zupełnie bezużytecznym gościem, podjąłem się opieki nad ogrodem i nadzoru nad ogrodnikiem. Wszystko szło dobrze aż do pory owoców; ale w miarę jak dojrzewały, widziałem jak znikają; co się z nimi działo, nie wiadomo. Ogrodnik upewniał, że to koszatki[643] zjadają wszystko. Wydałem wojnę koszatkom, wytępiłem ich sporo: mimo to owoce znikały tak samo. Śledziłem póty, aż wreszcie doszedłem, że sam ogrodnik był wielką koszatką. Mieszkał w Montmorency, skąd przybywał nocami wraz z żoną i dziećmi, aby wynosić składy owoców, które nagromadził w ciągu dnia i które sprzedawał w halach w Paryżu tak publicznie, jak gdyby posiadał własny ogród. Nędznik ten, którego obsypywałem

Kradzież

[641] *hrabina d'Houdetot*, [*Elisabeth Françoise Sophie Lalive de Bellegarde*] (1730–1813) — która dożyła sędziwego wieku, opromieniona w latach porewolucyjnych nimbem ubóstwianej Russa, była zdaniem współczesnych osobą dużych zalet umysłu i charakteru. Obdarowana miłym talentem wierszowania, z którego korzystała jedynie dla towarzyskiej igraszki, pozostawiła kilkadziesiąt drobnych utworów, z których najbardziej znany jest zgrabny ośmiowiersz, ułożony z przyczyny odjazdu kochanka (Saint-Lamberta): *L'amant que j'adore,/ Prêt à me quitter,/ D'un instant encore/ Voulait profiter./ Félicité vaine,/ Qu'on ne peut saisir,/ Trop près de la peine/ Pour être un plaisir!* Związek jej z Saint-Lambertem trwałością swą tak odbijał od obyczajów epoki, iż zjednał pani d'Houdetot ogólny szacunek. Zamącił go nieco w ostatnich latach mąż, pan d'Houdetot, który po śmierci długoletniej kochanki bez ceremonii zakwaterował się do domu mieszkającej z Saint-Lambertem żony, z którą nie żył od lat kilkudziesięciu. Co więcej, pan d'Houdetot uroczyście odprawił przypadające wkrótce potem „złote wesele"! Opis tej uroczystości, doprowadzonej do skutku ku wielkiemu niezadowoleniu Saint-Lamberta, zepchniętego siłą rzeczy do drugorzędnej roli, stanowi ciekawy przyczynek do historii obyczajów XVIII w. [przypis tłumacza]

[642] *bawił wówczas (…) w Mahon* — służąc w armii francuskiej oblegającej w maju i czerwcu 1756 brytyjskiego garnizonu w Mahon (ob. Maó) na Minorce podczas wojny siedmioletniej. [przypis edytorski]

[643] *koszatka* — drobny gryzoń z rodziny popielicowatych. [przypis edytorski]

dobrodziejstwami, którego dzieci ubierała Teresa, a którego ojca, zawodowego żebraka, niemal żywiłem, ograbiał nas równie łatwo jak bezczelnie, ile że nikt z nas trojga nie był dość czujny, aby dopilnować porządku: tak w ciągu jednej nocy zdołał obrabować doszczętnie mą piwnicę, którą nazajutrz zastałem próżną. Póki sądziłem, iż łupi jedynie mnie, znosiłem wszystko; ale kiedy mi przyszło zdać sprawę ze stanu owoców, byłem zmuszony wymienić złodzieja. Pani d'Epinay prosiła, abym go zapłacił, wyrzucił z domu i poszukał innego; co też uczyniłem. Ponieważ ten drab krążył co noc koło Pustelni, uzbrojony okutym drągiem wyglądającym jak maczuga, w towarzystwie innych hultajów tegoż samego kalibru, tedy pragnąc upewnić moje „gospodynie", lękające się niezmiernie tego człowieka, kazałem jego następcy sypiać co noc w Pustelni; gdy zaś i to jeszcze ich nie uspokoiło, poprosiłem panią d'Epinay o fuzję, którą umieściłem w pokoju ogrodnika. Poleciłem mu zresztą, aby się nią posłużył jedynie w potrzebie, w razie gdyby ktoś próbował wyłamać drzwi lub wdrapać się do ogrodu, i aby strzelał wyłącznie prochem, jedynie dla przestraszenia złodziei. Była to z pewnością najlżejsza ostrożność, jakiej dla wspólnego bezpieczeństwa mógł się chwycić człowiek niepokojony przez złoczyńców, mając spędzić zimę wśród lasu, sam z dwiema bojaźliwymi kobietami.

Nabyłem też i małego pieska, aby służył za stróża. W owym czasie wybrał się do mnie w odwiedziny Deleyre; opowiedziałem mu całą przygodę i śmiałem się wraz z nim ze swego bojowego rynsztunku. Za powrotem do Paryża on z kolei chciał zabawić Diderota tym opowiadaniem, i oto jak Holbachowska koteria dowiedziała się, że na dobre zamierzam spędzić zimę w Pustelni. Ta wytrwałość, której nie mogli sobie wyobrazić, zbiła ich z tropu; w oczekiwaniu, aż wymyślą jakąś inną dokuczliwość, aby mi zatruć pobyt, nasłali na mnie za pośrednictwem Diderota tegoż samego Deleyre, który znalazłszy zrazu ostrożność moją zupełnie naturalną, doszedł w końcu do wniosku, iż jest ona niezgodna z mymi zasadami i więcej niż śmieszna. Objawiło się to w listach, w których obsypywał mnie żarcikami gorzkimi i dość dotkliwymi, abym się mógł obrazić, gdybym był nastrojony w tym kierunku. Ale wówczas, przepojony serdecznymi i tkliwymi uczuciami, niezdolny do żadnych innych, widziałem w jego cierpkich sarkazmach jedynie niewinne koncepty i uważałem za prostą pustotę to, co każdy byłby osądził jako zuchwałe błazeństwo.

Przy pomocy czujności i starań zdołałem dopilnować ogrodu tak dobrze, iż mimo że urodzaj na owoce był tego roku prawie żaden, zbiór dał trzy razy tyle co w poprzedzających latach. Trzeba przyznać, że nie oszczędzałem starań, aby go ubezpieczyć, do tego stopnia, iż sam eskortowałem przesyłki, które wyprawiałem do Epinay i do Chevrette, i sam ładowałem koszyki. Przypominam sobie, jak nieśliśmy wraz z „ciotką" jeden tak ciężki, iż omal upadając pod ciężarem, musieliśmy spoczywać co dziesięć kroków i przybyliśmy cali w pocie.

(1757) Skoro początek słotnej pory zaczął mnie więzić w mieszkaniu, chciałem podjąć swoje domowe zatrudnienia; nie było sposobu. Wszędzie widziałem jeno dwie urocze przyjaciółki, ich przyjaciela, ich otoczenie, okolicę, którą zamieszkiwały, przedmioty stworzone lub upiększone dla nich moją wyobraźnią. Nie należałem już ani chwili do siebie; szaleństwo nie opuszczało mnie. Po daremnych wysiłkach, aby oddalić od siebie te urojenia, poddałem się wreszcie w zupełności ich czarowi i zajmowałem się już jedynie tym, aby wprowadzić w nie pewien ciąg i związek i stworzyć rodzaj powieści.

Jedna rzecz nękała mnie w całej sprawie, mianowicie wstyd zadania kłamu samemu sobie tak jawnie i głośno. Po surowych zasadach, które obwieściłem z takim hałasem, po nieubłaganych poglądach, które z taką siłą głosiłem, po tylu gryzących wycieczkach przeciw zniewieściałym książkom oddychającym miłością i rozkoszą, czy można sobie wyobrazić coś bardziej niespodzianego, rażącego niż widok mnie samego wpisującego się naraz własną ręką w poczet autorów, których osądziłem tak surowo? Czułem tę niekonsekwencję w całej sile, wyrzucałem ją sobie, rumieniłem się, złościłem; ale wszystko to nie wystarczało, aby mnie przywieźć do rozumu. Opanowany zupełnie, musiałem się zdać na łaskę i niełaskę wyobraźni i wydać się na pastwę ludzkich gadań, zostawiając zresztą na potem rozważanie, czy namyślę się pokazać swój utwór czy nie: nie przypuszczałem bowiem jeszcze, abym go miał ogłosić.

Tak rozstrzygnąwszy sprawę, rzuciłem się na łeb na szyję w marzenia; tak długo obracałem je w głowie na wszystkie strony, aż wreszcie utworzyłem plan, którego wykonanie

znane jest publiczności. Było to z pewnością najlepsze, co mogłem wydobyć z mych szaleństw: miłość dobrego, która nigdy nie opuściła mego serca, zwróciła je ku przedmiotom użytecznym, na których moralność mogła tylko zyskać. Obrazy rozkoszy straciłyby cały powab, gdyby im zbrakło słodkiego kolorytu niewinności. Dziewczyna, która uległa swej słabości, może być dla nas przedmiotem pożałowania, zajmującym przez swoje uczucie i często tym więcej godnym miłości. Ale kto zdoła znieść bez oburzenia widowisko obyczajów dzisiejszego świata? Co może być ohydniejsze niż gadulstwo niewiernej żony, która depcąc jawnie nogami wszystkie obowiązki, żąda, aby mąż wdzięczny jej był, jak za łaskę, za to, iż raczyła nie dać się schwytać na gorącym uczynku? Istoty doskonałe nie są zgodne z naturą i nauki ich nie przemawiają do nas. Ale że młoda osoba, zrodzona z sercem równie uczciwym jak czułym, daje się, będąc dziewczyną, zwyciężyć miłości, później zaś, wyszedłszy za mąż, znajduje siłę, aby zwyciężyć z kolei swą miłość i stać się z powrotem cnotliwą — ktokolwiek wam powie, że ten obraz, w całości swej, jest gorszący i nieużyteczny, ten jest kłamcą i obłudnikiem; nie słuchajcie go.

Poza tym celem, tyczącym obyczajów i uczciwości małżeńskiej, a tym samym zespolonym zasadniczo z całym porządkiem społecznym, miałem na oku i drugi, bardziej sekretny, odnoszący się do zgody i pokoju publicznego; przedmiot większy, ważniejszy może sam w sobie, a co najmniej na tę chwilę, w której go obmyślałem. Burza wszczęta przez *Encyklopedię*[644] nie tylko nie uspokajała się, ale doszła wówczas szczytu. Oba stronnictwa, rozpętane przeciw sobie z największą zaciekłością, podobniejsze były raczej do rozjuszonych wilków szarpiących się zajadle niż do chrześcijan i filozofów, którzy chcą wzajem oświecić się, przekonać i sprowadzić na drogę prawdy. Aby zatarg wyrodził się w wojnę domową, brakło może obu stronnictwom jedynie dość ruchliwych i wpływowych wodzów; Bóg zaś wie, co byłaby wydała wojna domowa na tle religijnym, wojna, w której najokrutniejsza nietolerancja równa była zaiste po obu stronach. Będąc urodzonym nieprzyjacielem wszelkiego ducha stronniczości, powiedziałem szczerze jednym i drugim twarde prawdy, których żadna ze stron nie chciała słuchać. Wpadłem na inny sposób, który w mej naiwności wydał mi się cudowny: mianowicie złagodzić wzajemną nienawiść, niwecząc obustronne przesądy, i pokazać każdemu stronnictwu zasługi i cnoty drugiego, godne powszechnej czci oraz poszanowania u wszystkich śmiertelnych. Ten projekt, niezbyt rozsądny (przypuszczał bowiem istnienie dobrej wiary u ludzi, wtrącał mnie zatem w ten sam błąd, jaki zarzucałem księdzu de Saint-Pierre), wywołał skutek, jaki musiał wywołać: nie pojednał stronnictw, a złączył je tylko w napaści na mnie. Nim doświadczenie pouczyło mnie o mym szaleństwie, oddawałem się swemu dziełu z zapałem, śmiem powiedzieć, godnym ożywiającej mnie pobudki. Nakreśliłem dwa charaktery, Wolmara i Julii[645], w zachwyceniu, które dawało mi nadzieję, iż uczynię je oba godnymi sympatii, a co więcej, iż wrażenie to wzmoże się dzięki kontrastom.

Zadowolony, iż z grubsza naszkicowałem plan, wróciłem do poszczególnych scen, które skreśliłem poprzednio; ze sposobu, w jaki je ująłem, powstały dwie pierwsze części *Julii*. Stworzyłem je i przepisałem na czysto w ciągu zimy z niewymowną przyjemnością, używając najpiękniejszego złoconego papieru, lazurowego i srebrnego proszku do suszenia pisma[646], a niebieskiej wstążeczki do zeszycia kajetów, słowem nie znajdując nic dość wykwintnego, dość ładnego dla tych uroczych dziewczyn, za którymi szalałem jak drugi Pigmalion[647]. Co wieczór przy kominku odczytywałem po kilka razy te dwie części „gosposiom". Córka, nic nie mówiąc, płakała wraz ze mną z rozczulenia; matka, która

[644] *Burza wszczęta przez Encyklopedię…* — kolejne tomy *Encyklopedii* wydawano bez przeszkód od czerwca 1751 do listopada 1757; z powodu haseł podkreślających prawo do wolności religijnej, prezentujących krytyczne podejście do Biblii, Kościoła katolickiego, rządów absolutystycznych i feudalnej organizacji społeczeństwa, *Encyklopedia* została wpisana do kościelnego indeksu ksiąg zakazanych (1758) zaś rząd francuski cofnął zezwolenie na jej druk (marzec 1759); przygotowywane potajemnie kolejne tomy (8–17) wydano w 1765 formalnie w Neuchâtel, poza granicami Francji. [przypis edytorski]

[645] *Wolmar i Julia* — postacie słynnego romansu *Nowa Heloiza* (pierwotnie *Julia*). [pełny tytuł romansu to *Julia, czyli Nowa Heloiza*, zaś tytuł pierwszego wydania brzmiał: *Listy dwojga kochanków, mieszkańców małego miasteczka u stóp Alp*; red. WL]. [przypis tłumacza]

[646] *proszku do suszenia pisma* — dawniej świeżo zapisane strony posypywano drobnym piaskiem, żeby przyspieszyć schnięcie atramentu. [przypis edytorski]

[647] *Pigmalion* (mit. gr.) — król Cypru i rzeźbiarz, który zakochał się we własnym dziele, wyrzeźbionej z kości słoniowej kobiecie. Nadał jej imię Galatea, a bogini Afrodyta na jego usilne prośby ożywiła posąg. [przypis edytorski]

nie znajdując swoich ulubionych zakrętasów, nie rozumiała ani słowa, słuchała dość obojętnie i poprzestawała, w chwilach milczenia, na tym, iż powtarzała ciągle: „To bardzo piękne, proszę pana".

Pani d'Epinay, niespokojna o mnie, iż znalazłem się tak sam w zimie wśród lasu, w odosobnionym domku, przysyłała bardzo często zasięgać wiadomości. Nigdy nie doświadczyłem równie szczerych objawów jej przyjaźni i nigdy też moja przyjaźń nie odwzajemniała ich bardziej żywo. Zawiniłbym, gdybym, wśród tych objawów, nie zaznaczył, iż przesłała mi swój portret, prosząc mnie, abym jej ułatwił zdobycie wzajem mojego, pędzla La Tour[648], wystawionego swego czasu w Salonie[649]. Nie godzi mi się ominąć również innego dowodu jej pamięci; szczegół ten wyda się śmieszny, ale przez wrażenie, jakie na mnie uczynił, stanowi on rys do historii mego charakteru. Jednego dnia, w czasie silnego mrozu, otwierając paczkę, w której pani d'Epinay przesyłała mi różne sprawunki, jakimi ją obarczyłem, znalazłem obok nich spódniczkę z angielskiej flaneli; pani d'Epinay, jak mi pisała, nosiła ją sama, a obecnie życzyła sobie, abym kazał z niej uszyć ciepłą kamizelkę. Sposób, w jaki skreślony był bilecik, był uroczy, pełen serdeczności i prostoty. Troskliwość ta, więcej niż przyjacielska, rozrzewniła mnie; miałem uczucie, jak gdyby pani d'Epinay sama się odarła, aby mnie przyodziać; wzruszony do głębi, ucałowałem, po dwadzieścia razy, płacząc, list i spódniczkę. Teresa myślała, że oszalałem. Osobliwym jest, iż ze wszystkich oznak przyjaźni, jakimi pani d'Epinay mnie obsypała, żadna tak mnie nie wzruszyła jak ta; nawet już po naszym zerwaniu nie mogłem pomyśleć o tym bez wzruszenia. Długo zachowałem ten bilecik i miałbym go jeszcze, gdyby nie był podzielił losu innych moich listów z owego czasu.

Dar

Mimo iż cierpienie pęcherza mało dawało mi folgi tej zimy, tak iż przez szereg tygodni skazany byłem na użytek sondy, była to jednak, razem wziąwszy, pora, która od czasu osiedlenia we Francji spłynęła mi w największej słodyczy i spokoju. Przez kilka miesięcy, w ciągu których ostrość pory roku ubezpieczała mnie od natrętów, napawałem się, więcej niż kiedykolwiek, niezależnym, równym i prostym życiem, którego urok wzrastał dla mnie, w miarę jak go kosztowałem, bez innego towarzystwa jak dwóch moich „gospodyń" w rzeczywistości, a dwóch uroczych kuzynek w wyobraźni. Wówczas to zwłaszcza winszowałem sobie, z każdym dniem więcej, roztropnego postanowienia, na które się zdobyłem bez względu na krzyki przyjaciół, pogniewanych, iż wyzwalam się od ich tyranii; kiedy zaś dowiedziałem się o zamachu szaleńca[650], kiedy Deleyre i pani d'Epinay donosili mi w listach o niepokoju i zamęcie, jaki panuje w Paryżu, jakże dziękowałem niebu, iż oddaliło mnie od tych widowisk ohydy i zbrodni, które byłyby jeno podsyciły, zaogniły żółć, jaką poruszał we mnie widok publicznych nieporządków; podczas gdy tu, widząc dokoła swego schronienia same jeno pogodne i lube przedmioty, serce moje poddawało się słodkim uczuciom. Zapisuję z upodobaniem bieg ostatnich spokojnych chwil, jakich mi użyczono. Wiosna, która nastąpiła po tej tak spokojnej zimie, patrzała na kiełkowanie ziarna nieszczęść, jakie pozostają mi do opisania. W gąszczu tych nieszczęść nie spotkamy już podobnej pauzy, która by mi dała bodaj chwilę swobody dla zaczerpnięcia oddechu.

Jednakże, o ile sobie przypominam, w czasie tego wytchnienia i na łonie mej samotności, klika holbachistów nie zostawiła mnie w zupełnym spokoju. Diderot zwłaszcza szukał jakiejś zaczepki: albo się bardzo mylę, albo też w ciągu tej właśnie zimy pojawił się *Syn naturalny*[651], o którym przyjdzie mi niebawem mówić. Poza tym, iż dla przyczyn, które odsłonię w dalszym ciągu, mało zostało dokumentów z tej epoki, i te nawet, które mi zostawiono, nie są zbyt ścisłe co do daty. Diderot nie datował nigdy listów. Pani d'Epinay, pani d'Houdetot datowały jedynie dniem tygodnia; Deleyre najczęściej tak samo. Kiedy chciałem uporządkować te listy wedle kolei, trzeba było uzupełniać po omacku niepewne daty, tak iż nie ze wszystkim mogę na nich polegać. Tak, nie mogąc

[648] *La Tour, Maurice Quentin de* (1704–1788) — francuski malarz portrecista, tworzący przede wszystkim dzieła pastelowe; sportretował m.in. Ludwika XV, Woltera, Rousseau, d'Alemberta, Madame Pompadour. [przypis edytorski]

[649] *Salon Paryski* — organizowana cyklicznie oficjalna wystawa sztuki, na której prezentowano publicznie prace artystów Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby; pierwszą wystawę zorganizowano po raz pierwszy w 1667 w Salon Carré w Luwrze (stąd nazwa). [przypis edytorski]

[650] *zamach szaleńca* — zamach Damiensa na króla Ludwika XV, 4 stycznia 1757. [przypis tłumacza]

[651] *Syn naturalny* — dramat Diderota [*Le Fils naturel*, wyd. 1757; red. WL]. [przypis tłumacza]

oznaczyć z pewnością początku tych niesnasek, wolę raczej przedstawić w jednym ustępie wszystko, co mogę sobie przypomnieć.

Powrót wiosny podwoił me tkliwe szaleństwo; porwany miłosnym uniesieniem, ułożyłem do ostatnich części *Julii* szereg listów odbijających wiernie zachwycenie, w jakim je kreśliłem. Mogę przytoczyć między innymi list elizejski[652] i przejażdżkę po jeziorze, które, jeśli się nie mylę, znajdują się na końcu czwartej części. Ktokolwiek, czytając te dwa listy, nie czuje jak mu serce topnieje i mięknie w rozczuleniu, które mi je podyktowało, winien zamknąć książkę: nie jest mu dane sądzić o rzeczach uczucia.

W tym właśnie czasie zaskoczyły mnie niespodzianie drugie odwiedziny pani d'Houdetot. W nieobecności męża, który był kapitanem jazdy, oraz kochanka, również służącego wojskowo, osiedliła się w Eaubonne, w dolinie Montmorency, gdzie najęła dość ładny domek. Stamtąd zrobiła nową wycieczkę do Pustelni. Podróż tę odbyła na koniu i po męsku. Mimo że nie lubię takich maskarad, uległem romantycznemu wrażeniu tego spotkania: tym razem, to była miłość. Ponieważ była to pierwsza i jedyna w mym życiu, następstwa jej zaś uczynią ją na zawsze pamiętną i straszliwą memu wspomnieniu, niech mi będzie wolno zapuścić się nieco w szczegóły.

Hrabina d'Houdetot zbliżała się do trzydziestki. Nie była ładna; twarz naznaczona śladami ospy; płeć nie odznaczała się delikatnością; miała krótki wzrok i oczy trochę okrągłe; ale na ogół wyglądała młodo; fizjonomia jej, zarazem żywa i słodka, tchnęła pieszczotą. Miała las bujnych, czarnych, kręcących się włosów, które spadały po kostki. Kibić wiotka; we wszystkich ruchach było coś nieśmiałego i wdzięcznego zarazem. Usposobienie bardzo naturalne i miłe: wesołość, roztrzepanie i prostota kojarzyły się w nim szczęśliwie; obfitowała w czarujące koncepty, których nie szukała, a które tryskały niekiedy mimo jej woli. Posiadała wiele przyjemnych talentów, grała na klawikordzie, tańczyła, układała dość ładne wierszyki. Charakter miała wprost anielski; słodycz duszy stanowiła jego podłoże; ale jeżeli wyłączymy rozwagę i siłę, można powiedzieć, iż kojarzyły się w nim wszystkie cnoty. Była zwłaszcza osobą tak pewną w obcowaniu, tak rzetelną w stosunkach, iż nawet nieprzyjaciele nie potrzebowali się przed nią ukrywać. Rozumiem przez nieprzyjaciół tych, a raczej te, które ją nienawidziły; co do niej samej bowiem, serce jej nie było zdolne do nienawiści i sądzę, że ta właściwość znacznie przyczyniła się do zbudzenia we mnie uczuć dla niej. W najbardziej poufnych i przyjaznych zwierzeniach nigdy nie słyszałem, aby mówiła źle o nieobecnych, nawet o bratowej. Nie umiała przed nikim ani ukryć swych myśli, ani nawet powściągnąć żadnego uczucia: jestem przekonany, że mówiła o swoim kochanku nawet mężowi, tak jak mówiła o nim przyjaciołom, znajomym, całemu światu. Czystości i uczciwości jej wybornej natury dowodzi wreszcie nieodparcie to, iż straszliwie roztrzepana, strzelając najpociesznijsze bąki, nieraz pozwalała wymknąć się z ust rzeczom bardzo nierozważnym dla niej samej, ale nigdy zelżywym dla innych.

Wydano ją za mąż bardzo wcześnie i bez jej woli, za hrabiego d'Houdetot, przyzwoitego człowieka, dobrego żołnierza, ale gracza, procesowicza, dość przykrego w pożyciu i którego nigdy nie kochała. Znalazła w panu de Saint-Lambert[653] wszystkie walory, jakie posiadał jej mąż, obok bardziej ujmujących przymiotów: dowcipu, charakteru, talentów. Jeśli coś w ogóle zdolne jest zyskać pobłażliwość obyczajom naszej epoki, to z pewnością przywiązanie oczyszczone swą trwałością, uszlachetnione formą i ugruntowane jedynie na wzajemnym szacunku.

Pani d'Houdetot odwiedzała mnie, jak mogłem mniemać, trochę z upodobania, ale głównie przez wzgląd na Saint-Lamberta. Zachęcał ją do tego, rozumiejąc słusznie, iż przyjaźń, rozwijająca się między nami, wytworzy stosunki przyjemne dla wszystkich trojga. Pani d'Houdetot wiedziała, iż związek jej nie jest dla mnie tajemnicą; za czym, mogąc mówić swobodnie, tym bardziej czuła się dobrze w mym towarzystwie. Przybyła; ujrzałem ją; byłem pijany miłością bez przedmiotu; pijaństwo to urzekło moje oczy, przedmiot ten

Miłość

[652] *list elizejski* — list XI części IV *Nowej Heloizy*, z opisem przechadzki po ogrodzie nazwanym Elizjum, od miejsca pośmiertnej szczęśliwości i wiecznej wiosny w krainie zmarłych w mit. greckiej. [przypis edytorski]

[653] *Saint-Lambert*, [*Jean François de*] (1716–1803) — w chwili wydarzeń w Pustelni liczył lat 41. Z rodziny szlacheckiej ale ubogiej, poświęcił się karierze wojskowej, uprawiając przy tym poezję. Pierwszym jego tytułem literackim była głośna przygoda miłosna z przyjaciółką Woltera, margrabiną du Châtelet, w której następstwie margrabina zmarła w połogu. Jako poeta zimny i suchy, jako człowiek więcej szanowany niż lubiany. Należał do grupy encyklopedystów; napisał rodzaj świeckiego katechizmu odbijającego poglądy „sensualistyczne" Helwecjusza i Holbacha. Związek jego z panią d'Houdetot trwał do końca jego życia. [przypis tłumacza]

ucieleśnił się w niej. Ujrzałem mą Julię w pani d'Houdetot, a niebawem widziałem już tylko panią d'Houdetot, ale przybraną we wszystkie doskonałości, którymi ozdobiłem bóstwo swego serca. Aby mnie dobić, zaczęła mówić ze mną o Saint-Lambercie, i to z całym zapałem namiętności. Zaraźliwa siło miłości! Słuchając jej, będąc w jej pobliżu, czułem przebiegające mnie rozkoszne drżenie, jakiego nie doświadczyłem jeszcze. W miarę jak mówiła, ogarniało mnie wzruszenie; sądziłem, iż biorę udział jedynie w jej uczuciach, podczas gdy to ja sam zaczynałem doświadczać podobnych; pochłaniałem wielkimi łykami zatrutą czarę, czując wówczas jedynie jej słodycz. W końcu, bez swojej i mojej wiedzy, obudziła we mnie wszystko to, co starała się odmalować, mówiąc o swym kochanku. Niestety! Jakże to było niewczesne, jak okrutne zapłonąć równie gorącą jak nieszczęśliwą namiętnością do kobiety, której serce przepełnione było innym!

Mimo nadzwyczajnych wzruszeń, jakich doświadczałem w jej pobliżu, nie miałem zrazu świadomości tego, co się stało; dopiero po jej odjeździe, chcąc myśleć o Julii, spostrzegłem, iż mogę myśleć jedynie o pani d'Houdetot. Wówczas spadła mi łuska z oczu: uczułem swoje nieszczęście, jęknąłem pod nim, ale nie przewidywałem jego skutków.

Długi czas wahałem się co do sposobu, w jaki mam się zachować: jak gdyby prawdziwa miłość była zdolna trzymać się jakichkolwiek postanowień i rozważań! Nie uporałem się jeszcze z tym problemem, kiedy pani d'Houdetot znów zaskoczyła mnie znienacka. Wówczas wiedziałem już wszystko. Wstyd, towarzysz występku, uczynił mnie wobec niej niemym i drżącym; nie śmiałem otworzyć ust ani podnieść oczu; trwałem cały czas w nieopisanym pomieszaniu, tak iż niepodobna było, aby nie spostrzegła się na tym. Obrałem tę drogę, iż przyznałem się do swego stanu, pozwalając domyślić się przyczyny: to znaczyło nazwać ją dość jasno!

Gdybym był młody i powabny i gdyby, w następstwie, pani d'Houdetot okazała się słabą, potępiłbym tutaj jej zachowanie; ale to wszystko nie miało miejsca, mogę tedy jedynie przyklasnąć jej i podziwiać ją. Postanowienie, które obrała, było zarazem szlachetne i roztropne. Nie mogła nagle odsunąć się ode mnie bez wyjawienia przyczyny Saint-Lambertowi, który sam nakłonił ją do tych odwiedzin; to by znaczyło narażać dwóch przyjaciół na zerwanie, może na zatarg, którego chciała uniknąć. Miała dla mnie szacunek i życzliwość. Szaleństwo moje obudziło w niej współczucie; nie schlebiając mu, użaliła się nad nim i starała się mnie zeń uleczyć. Pragnęła szczerze zachować swemu kochankowi i sobie przyjaciela, którego ceniła; o niczym nie mówiła mi z takim zapałem, jak o miłym i serdecznym stosunku, który mógłby się wytworzyć między nami trojgiem, skoro przyjdę do rozsądku. Nie zawsze zresztą ograniczała się do tych przyjacielskich napomnień; w potrzebie nie szczędziła mi i surowszych wymówek, na które bardzo zasłużyłem.

Nie szczędziłem ich również sam sobie. Skoro tylko zostałem sam, opamiętałem się; uczułem się spokojniejszy po wyznaniu: miłość wiadoma osobie, która ją budzi, staje się tym samym znośniejszą. Siła, z jaką wyrzucałem sobie me szaleństwo, winna mnie była zeń uleczyć, gdyby to było możliwe. Jakichż potężnych pobudek nie wzywałem na pomoc, aby je zdławić! Moje obyczaje, uczucia, zasady, wstyd, zdrada, zbrodnia, nadużycie skarbu powierzonego przez przyjaźń, śmieszność wreszcie, jaką było płonąć, w moim wieku, najszaleńszą namiętnością dla osoby, której serce, zajęte kim innym, nie mogło mi w niczym odpłacić ani też zostawić żadnej nadziei; co więcej, namiętnością, która nie tylko nie mogła nic zyskać przez wytrwanie, ale stawała się z każdym dniem trudniejszą do ścierpienia!

Kto by uwierzył, że ten ostatni wzgląd, który powinien był dodać wagi wszystkim innym, raczej przyczynił się właśnie do usunięcia ich na bok? Cóż za skrupuł, pomyślałem, może mi bronić szaleństwa najszkodliwszego jedynie mnie samemu? Czyż jestem młodym rycerzem, tak bardzo niebezpiecznym dla pani d'Houdetot? Nie powiedziałby kto, słysząc moje pretensjonalne lamenty, że moje zaloty, powierzchowność, elegancja mogą jej zawrócić w głowie? Ech, biedny Janie Jakubie, kochajże się ze spokojnym sumieniem, ile masz ochotę, i nie lękaj się, aby twe westchnienia miały w czym grozić Saint-Lambertowi!

Czytelnik widział, że nigdy, nawet za młodu, nie byłem skłonny do zarozumiałości. Ten sposób myślenia leżał więc w mojej naturze, a zarazem sprzyjał mej namiętności; to było dosyć, abym mu się poddał bez zastrzeżeń. Zacząłem się wręcz śmiać z niedorzecznych skrupułów, które sobie czyniłem, więcej z próżności (powiedziałem sobie) niż z rozsądku.

Wielka nauka dla uczciwych dusz, do których występek nie szturmuje nigdy wprost, ale znajduje sposób, aby je podejść, maskując się zawsze sofizmatem, a nieraz jakąś cnotą.

Pozbywszy się wyrzutów, niebawem straciłem świadomość wszelkiej miary. Proszę, niech czytelnik zechce zwrócić uwagę, w jaki sposób namiętność moja szła po linii mej natury, aby mnie wreszcie wciągnąć w przepaść. Zrazu przybrała wygląd pokorny, aby mnie uspokoić; aby zaś popchnąć mnie do śmielszych zakusów, spotęgowała tę pokorę aż do nieufności. Pani d'Houdetot, nie przestając mnie przywoływać do obowiązku, do rozsądku, nie schlebiając ani na chwilę memu szaleństwu, obchodziła się ze mną poza tym bardzo łaskawie i przybrała ton najtkliwszej przyjaźni. Uczucie to byłoby mi starczyło, ręczę, gdybym wierzył w jego szczerość; ale znajdując przyjaźń tę zbyt czułą, aby miała być prawdziwą, wpakowałem sobie w głowę, że miłość moja, tak mało odpowiednia memu wiekowi, memu sposobowi życia, zohydziła mnie w oczach pani d'Houdetot; że ta młoda swawolnica pragnie jedynie natrząsać się ze mnie i z mych spóźnionych roztkliwień; że opowiedziała wszystko Saint-Lambertowi i że wraz z kochankiem, oburzonym mym wiarołomstwem, porozumieli się, aby mi do reszty zawrócić głowę, a potem mnie wyszydzić. To głupstwo, które w dwudziestu sześciu latach kazało mi się zachować najniedorzeczniej w świecie wobec pani de Larnage, osoby prawie nieznajomej, byłoby do wybaczenia w czterdziestym piątym wobec pani d'Houdetot, gdybym nie wiedział, że i ona, i jej kochanek byli oboje zbyt godnymi ludźmi, aby sobie pozwolić na tak barbarzyńską zabawę.

Pani d'Houdetot nadal wpadała do mnie z odwiedzinami, które niebawem zacząłem odwzajemniać. Lubiła chodzić, zarówno jak ja: odbywaliśmy długie przechadzki w zaczarowane krainy. Szczęśliwy, że kocham i że śmiem mówić o tym, byłbym całą duszą oddawał się słodyczom mego stanu, gdyby szaleństwo moje nie niweczyło jego uroku. Pani d'Houdetot nie rozumiała zrazu dzikich humorów, z jakimi przyjmowałem jej serdeczności: ale moje serce, niezdolne nigdy ukryć tego, co się w nim dzieje, niedługo zostawiło ją w nieświadomości mych podejrzeń. Zrazu chciała obrócić je w żart — na próżno: wywołała tym, co najwyżej, nowe wybuchy wściekłości. Zmieniła ton. Nieznużona w swej współczującej słodyczy, obsypywała mnie wymówkami, które przejęły mnie do głębi. Urojone moje obawy obudziły w niej niepokój, którego rychło zdołałem nadużyć. Domagałem się dowodów, że nie drwi sobie ze mnie. Spostrzegła, iż nie ma innego sposobu, aby mnie upewnić. Stałem się natarczywszy; położenie zaczęło być trudne. Zdumiewające, wyjątkowe może jest, iż kobieta, która raz dopuściła tego rodzaju targów, wywinęła się z nich tak tanim kosztem. Nie odmówiła mi niczego, czego może udzielić najtkliwsza przyjaźń. Nie użyczyła niczego, co by mogło stanowić niewierność z jej strony; musiałem ku swemu upokorzeniu patrzeć, jak płomień, którym lekkie jej fawory rozpalały moje zmysły, w niej samej nie rozniecił nigdy najlżejszej iskierki.

Rzekłem gdzieś, iż nie trzeba niczego udzielać zmysłom, skoro się zamierza odmówić im czegokolwiek. Aby dać poznać, jak bardzo ta zasada okazała się fałszywą z panią d'Houdetot i jak bardzo miała ona słuszność, polegając na samej sobie, trzeba by wejść w szczegóły naszych długich i częstych sam na sam; trzeba by je odtworzyć w całej ich żywości, przez czas tych czterech miesięcy, które spędziliśmy razem w zbliżeniu niemal bez przykładu! Ach, jeżeli tak długo zapóźniłem się z poznaniem prawdziwej miłości, jakże drogo serce me i zmysły spłaciły tę zwłokę! Jakichż upojeń, uniesień musi się doświadczyć obok przedmiotu kochanego z wzajemnością, jeżeli nawet niepodzielana miłość może obudzić to wszystko, co ja wówczas przechodziłem!

Ale niesłusznie mówię „miłość niepodzielana"; ukochana moja podzielała ją; miłość była równa z obu stron, mimo iż nie wzajemna. Byliśmy oboje pijani miłością: ona dla swego kochanka, ja dla niej; nasze westchnienia, rozkoszne łzy zlewały się razem. Byliśmy wzajem dla siebie parą tkliwych powierników, uczucia nasze były tak pokrewne, iż niepodobna było, aby się nie schodziły poniekąd. Wszelako w samej pełni tego niebezpiecznego odurzenia ona nie zapomniała się ani na chwilę; ja zaś zaklinam się, przysięgam, iż jeżeli, oszaleniony[654] niekiedy zmysłami, kusiłem się, aby ją uczynić niewierną, nigdy tego naprawdę nie pragnąłem. Gwałtowność mej namiętności powściągała ją własną swą mocą. Obowiązek wyrzeczenia się nastroił mą duszę na wysoki ton. Blask wszystkich cnót

Miłość, Pożądanie

[654]*oszaleniony* — doprowadzony do szaleństwa. [przypis edytorski]

zdobił w mych oczach bóstwo mego serca; skalać jego boski obraz znaczyło unicestwić je. Byłbym mógł popełnić zbrodnię; popełniłem ją po sto razy w sercu; ale pokalać mą Zofię! Ach, czyż to było możliwe? Nie, nie; powiedziałem jej to sam sto razy, że gdyby nawet własna jej wola uczyniła mnie panem jej losu, wówczas nawet, poza jakimś krótkim momentem szaleństwa, odmówiłbym szczęścia za tę cenę. Zbyt ją kochałem, aby ją chcieć posiadać.

Z Pustelni do Eaubonne jest blisko mila; w czasie mych częstych bytności nieraz zdarzyło mi się tam nocować. Jednego razu, spożywszy sam na sam wieczerzę, poszliśmy się przejść po ogrodzie w bardzo piękną noc księżycową. W głębi ogrodu znajdowała się dość długa aleja: dochodziło się nią do ładnego gaiku ozdobionego kaskadą, której myśl ja poddałem, a którą pani d'Houdetot kazała wykonać. Nieśmiertelne wspomnienie niewinności i rozkoszy! W tym to gaiku, siedząc z nią na darniowej ławce pod akacją osypaną kwieciem, znalazłem dla oddania wzruszeń mego serca w istocie godny język. Było to pierwszy i ostatni raz w życiu; ale byłem wzniosły, jeżeli można tak nazwać wszystko, co najtkliwsza i najgorętsza miłość może zrodzić lubego i porywającego w sercu człowieka. Ileż upajających łez wylałem na jej kolana! Ileż wycisnąłem ich z jej oczu, mimo jej woli! Wreszcie, nie panując już nad sobą, wykrzyknęła: „Nie, nigdy żaden człowiek nie był godniejszy miłości i nigdy kochanek nie kochał tkliwiej od ciebie! Ale przyjaciel twój, Saint-Lambert, słucha nas, a moje serce nie umiałoby pokochać dwa razy". Umilkłem, wzdychając; uścisnąłem ją... Cóż za uścisk! Ale to było wszystko. Mijało pół roku, jak żyła sama, to jest z dala od kochanka i od męża; upływały trzy miesiące, jak widywałem ją co dzień, a zawsze dech miłości unosił się pośród nas. Wieczerzaliśmy we dwoje, byliśmy sami w gaiku przy świetle księżyca i po dwóch godzinach rozmowy pełnej najżywszych i najczulszych uniesień wyszła o północy z tego gaju i z ramion przyjaciela równie nietknięta, równie czysta sercem i ciałem, jak weszła. Czytelnicy, zważcie wszystkie te okoliczności; nie dodam nic więcej.

I niech nikt sobie nie wyobraża, że zmysły zostawiały mnie przy niej w spokoju, jak przy Teresie, mamusi. Powiedziałem już, tym razem była to miłość, i to miłość w całym jej napięciu i szaleństwie. Nie będę opisywał wzruszeń, drżenia, palpitacji, konwulsyjnych skurczów ani omdleń serca, jakich doświadczałem nieustannie: można sądzić o mym stanie z wrażenia, jakie sam jej obraz czynił na mnie. Wspomniałem, iż z Pustelni do Eaubonne był spory kawałek drogi; szedłem zazwyczaj przez wzgórza Andilly, które są urocze. Idąc, marzyłem o tej, którą miałem ujrzeć, o serdecznym powitaniu, które mi zgotuje, o pocałunku, który mnie czeka za przybyciem. Sam ten pocałunek, ten złowrogi pocałunek, nim go nawet otrzymałem, rozpalał mi krew do tego stopnia, iż w głowie mi się mąciło, ćmiło w oczach, drżące kolana nie mogły mnie utrzymać; trzeba mi było zatrzymać się, usiąść; cały organizm znajdował się w niepojętym zamęcie; bliski byłem omdlenia. Świadom już niebezpieczeństwa, starałem się, ruszając w drogę, oderwać się, myśleć o czym innym. Jeszcze nie uszedłem dwudziestu kroków, kiedy też same obrazy i wszystkie objawy, które były ich następstwem, oblegały mnie na nowo, bez możności obrony; co bądź siliłem się począć, nie sądzę, aby bodaj raz zdarzyło mi się odbyć tę drogę bezkarnie. Przybywałem do Eaubonne słaby, wyczerpany, złamany, ledwie wlokąc się na nogach. Z chwilą gdy ją ujrzałem, natychmiast odzyskiwałem siły, czułem już przy niej jedynie utrapienie niewyczerpanej, a zawsze bezużytecznej żywotności. Po drodze, niezbyt daleko od Eaubonne, znajdowało się powabne wzgórze zwane Olimpem; czasem, wyszedłszy każde ze swej strony, spotykaliśmy się w tym punkcie. Przybywałem pierwszy; moją rzeczą było oczekiwać jej: ale jakże to oczekiwanie kosztowało mnie drogo! Aby się rozerwać, próbowałem kreślić ołówkiem listy, które mógłbym pisać najczystszą krwią; nigdy nie zdołałem dokończyć paru stronic, które by się dało odczytać. Kiedy znajdowała je w dziupli, którąśmy obrali w tym celu, mogła jedynie wyczytać z nich stan, istotnie opłakany, w jakim znajdowałem się, pisząc. Stan ten, a zwłaszcza jego trwanie w ciągu trzech miesięcy nieustannego podrażnienia i wyrzeczeń, doprowadził mnie do wyczerpania, z którego nie zdołałem się podnieść przez lata całe. On to sprowadził mi w końcu przepuklinę, którą uniosę albo która mnie uniesie do grobu. Takim było jedynie nasycenie miłosne człowieka o najbardziej płomiennym, ale zarazem najbardziej nieśmiałym temperamencie, jaki kiedykolwiek stworzyła natura. Takie były ostatnie piękne dni,

jakich użyczono mi na ziemi: tu zaczyna się długie pasmo nieszczęść, w których niewiele zdarzy się chwil wytchnienia.

Czytelnik widział w całym biegu mego życia, że moje serce, przejrzyste jak kryształ, nie umiało nigdy, ani na minutę, ukryć żywszego uczucia, które w nim zagościło. Można osądzić, czy było mi długo możebne ukrywać miłość do pani d'Houdetot. Zażyłość nasza biła w oczy; nie kryliśmy się z nią ani nie czynili tajemnicy. Nie była tej natury, aby wymagała takich ostrożności. Pani d'Houdetot miała dla mnie najtkliwszą przyjaźń, której nie poczytywała sobie za występek; ja miałem dla niej szacunek, o którym lepiej niż ktokolwiek wiedziałem, jak bardzo jest usprawiedliwiony. Ona była żywa, roztrzepana, nieuważna; ja — szczery, niezręczny, dumny, niecierpliwy, porywczy; dawaliśmy tedy, w naszym niebezpiecznym spokoju sumienia, więcej pozorów przeciw sobie, niż gdybyśmy byli w istocie winni. Bywaliśmy często w Chevrette, spotykaliśmy się tam nieraz, niekiedy nawet z umowy. Spędzaliśmy tam czas jak zazwyczaj, przechadzając się całe dni sam na sam, mówiąc o naszej zobopólnej miłości, o naszych obowiązkach, o nieobecnym przyjacielu, o naszych niewinnych projektach; wszystko to w parku, naprzeciw apartamentów pani d'Epinay, pod jej oknami, skąd, nie przestając nas śledzić i sądząc, iż czynimy sobie z niej urągowisko, napawała serce swoje wściekłością i oburzeniem.

Kobiety posiadają wszystkie sztukę skrywania swej wściekłości, zwłaszcza jeśli jest bardzo żywa; pani d'Epinay zwłaszcza, gwałtowna, ale panująca nad sobą, ma tę umiejętność w wysokim stopniu. Udała, iż nic nie widzi, niczego nie podejrzewa; tym bardziej rozwijała dla mnie względy, uprzejmość, niemal zalotność; równocześnie zaś jawnie przygniatała swą szwagierkę obejściem wprost niegrzecznym i nacechowanym wzgardą, której, zdawałoby się, pragnęła i mnie udzielić. Można odgadnąć, że się jej to nie udawało; ale przechodziłem męki. Rozdzierany sprzecznymi uczuciami, równocześnie niemal to czułem się ujęty serdecznością pani d'Epinay, to znów ledwie mogłem wstrzymać gniew, kiedy widziałem, jak uchybia pani d'Houdetot. Anielska słodycz tej ostatniej pozwalała jej wszystko ścierpieć bez skargi, a nawet bez zbytniego żalu. Była zresztą często tak roztargniona, a zawsze tak mało wrażliwa na te rzeczy, że po największej części nie zwracała uwagi na postępowanie bratowej.

Byłem tak pochłonięty swą namiętnością, iż nie widząc nic poza Zofią (było to imię pani d'Houdetot), nie zauważyłem nawet, że stałem się bajką wszystkich domowych i gości. Baron d'Holbach, który nigdy, o ile mi wiadomo, nie bywał w Chevrette, był z liczby tych ostatnich. Gdybym był równie nieufny, jak stałem się później, byłbym silnie podejrzewał panią d'Epinay, iż ułożyła tę podróż, aby dostarczyć baronowi uciesznej rozrywki, pokazując mu „obywatela" zakochanym. Ale byłem wówczas tak głupi, iż nie widziałem nawet tego, co biło wszystkich w oczy. Cała moja naiwność nie przeszkodziła mi wszelako zauważyć, iż baron wydawał się bardziej zadowolony, bardziej jowialny niż zazwyczaj. Zamiast patrzyć na mnie spode łba jak zwykle, zasypywał mnie mnóstwem uszczypków i konceptów, których nie rozumiałem. Otwierałem szeroko oczy, nie odpowiadając; pani d'Epinay trzymała się za boki od śmiechu; nie rozumiałem, co ich ukąsiło. Ponieważ wszystko to nie przekraczało jeszcze granic żartu, jedyną drogą dla mnie, nawet gdybym się spostrzegł, byłoby wziąć go, na wesoło, za dobrą monetę. Ale faktem jest, iż poprzez drwiącą wesołość barona widać było błyszczącą w jego oczach złośliwą radość, która byłaby mnie może zaniepokoiła, gdybym ją zauważył wówczas równie wyraźnie, jak sobie przypomniałem później.

Jednego dnia, kiedy szedłem odwiedzić panią d'Houdetot do Eaubonne (wróciła właśnie z wycieczki do Paryża), zastałem ją smutną, widziałem, że płakała. Byłem zmuszony powściągać się, ponieważ pani de Blainville, siostra jej męża, była z nami, ale skoro tylko znalazłem sposobną chwilę, wyraziłem swój niepokój. „Ach! — rzekła z westchnieniem. — Obawiam się, że pańskie szaleństwa przyjdzie mi zapłacić spokojem życia. Powiadomiono Saint-Lamberta o wszystkim, i to w złośliwy sposób. Uznaje mą niewinność w tej sprawie, ale jest nierad i co gorsza nie wszystko mi mówi. Szczęściem nie ukrywałam mu naszej zażyłości, która zadzierzgnęła się z jego poręki. Listy moje były pełne pana, równie jak serce; nie taiłam mu pańskiej szaleńczej miłości, z której spodziewałam się pana uleczyć, a którą, nie mówiąc tego wprost, widzę, iż ma mi za złe. Obmówiono nas przed nim, oczerniono mnie; ale mniejsza. Albo zerwijmy zupełnie, albo bądź pan takim, jak należy. Nie chcę już mieć nic do skrywania przed człowiekiem, którego kocham".

Oto chwila, w której po raz pierwszy boleśnie odczułem wstyd swego upokorzenia, poczucie własnej winy wobec młodej kobiety, której słuszne wymówki znosiłem, a której winienem był być mentorem. Oburzenie moje na samego siebie byłoby może starczyło, aby zwyciężyć mą słabość, gdyby tkliwe współczucie, jakie budziła we mnie niewinna jej ofiara, nie zmiękczyło tym bardziej jeszcze mego serca. Ach! Zali[655] mogłem zatwardzić je w tej chwili, kiedy zraszały je łzy, wnikające w nie do głębi? Roztkliwienie zmieniło się niebawem w gniew przeciw podłym donosicielom, którzy widzieli jedynie winę występnego, lecz mimowolnego uczucia, nie przypuszczając, nie wyobrażając sobie nawet szczerej uczciwości serca, będącej jej odkupieniem. Niedługo pozostaliśmy w wątpliwości co do ręki, z której pochodził cios.

Wiedzieliśmy oboje, że pani d'Epinay koresponduje z Saint-Lambertem. Nie była to pierwsza burza, jaką ściągnęła na panią d'Houdetot; od dawna już wszelkimi sposobami próbowała oderwać od niej Saint-Lamberta, a powodzenie niektórych jej usiłowań pozwalało drżeć o przyszłość. Zresztą, Grimm, który, o ile mi się zdaje, podążył za panem de Castries do armii, bawił, podobnie jak Saint-Lambert, w Westfalii; widywali się niekiedy. Grimm pozwolił sobie swego czasu wobec pani d'Houdetot na pewne zakusy, które się nie powiodły; urażony, przestał zupełnie u niej bywać. Można osądzić, jakim uczuciem, przy znanej jego skromności, napełniło go przypuszczenie, iż osoba ta przełożyła nadeń człowieka starszego, o którym on, od czasu jak żył w wielkim świecie, odzywał się jedynie tonem protektora.

Podejrzenia moje co do pani d'Epinay zmieniły się w pewność, skoro dowiedziałem się, co zaszło u mnie w domu. Ilekroć bawiłem w Chevrette, Teresa zachodziła tam często, bądź celem oddania mi listów, bądź też dla starań, jakich wymagał lichy stan mego zdrowia. Pani d'Epinay spytała jej, czy nie koresponduję z panią d'Houdetot. Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, pani d'Epinay zaczęła nalegać na Teresę, aby w danym razie oddała jej do rąk listy pani d'Houdetot, ręcząc, iż zapieczętuje je z powrotem bez śladu. Teresa, nie okazując, jak bardzo ją oburzyła ta propozycja i nie ostrzegając mnie nawet, poprzestała na tym, iż staranniej ukrywała listy, które mi przynosiła. Ostrożność ta była nader szczęśliwa, ponieważ pani d'Epinay kazała śledzić chwilę jej przybycia i, czekając na drodze, posunęła niejednokrotnie śmiałość aż do tego, iż przetrząsała fartuszek Teresy. Uczyniła więcej: zapowiedziawszy się jednego dnia z panem de Margency do Pustelni na obiad (pierwszy raz od czasu, jak tam mieszkałem), skorzystała z czasu, kiedy przechadzałem się z Margencym, aby wejść wraz z Teresą i jej matką do mego gabinetu i nalegać, aby jej pokazały listy pani d'Houdetot. Gdyby matka wiedziała, gdzie są listy, wydałaby je z pewnością; ale na szczęście wiedziała o tym jedynie córka i zaprzeczyła, abym je w ogóle przechowywał. W tym wypadku, kłamstwo było niewątpliwie czynem pełnym uczciwości, szlachetności i wiary, podczas gdy prawda byłaby prostą zdradą. Pani d'Epinay, widząc, iż nie zdoła Teresy skusić, siliła się podrażnić ją zazdrością, wymawiając jej słabość i zaślepienie. „W jaki sposób — rzekła — możesz nie widzieć, iż mają z sobą występne stosunki? Jeżeli mimo bijących w oczy faktów potrzebujesz jeszcze innych dowodów, zgódź się na to, co ci mówię. Powiadasz, że on drze listy pani d'Houdetot natychmiast po przeczytaniu. Dobrze więc! Zbierz starannie kawałki i daj mi. Podejmuję się je złożyć". Oto nauki, jakie moja przyjaciółka dawała mojej towarzyszce życia.

Teresa była na tyle delikatna, iż dość długo ukrywała przede mną wszystkie te usiłowania; ale widząc moją zgryzotę, czuła się w obowiązku powiedzieć mi wszystko, iżbym, wiedząc z kim mam do czynienia, uczynił, co należy dla zabezpieczenia się od zdrad, jakie mi gotowano. Nie da się opisać mego oburzenia i wściekłości. Zamiast maskować się wobec pani d'Epinay, jej wzorem, i walczyć z nią na podstępy, poddałem się bez hamulca wrodzonej porywczości; ze zwykłą nieopatrznością, wybuchnąłem jawnie. Można sądzić o mej nierozwadze z następujących listów, które wykazują jasno sposób postępowania obu stron w całej sprawie. List

Bilecik pani d'Epinay (plik A, nr 44)

Czemu nie pokazujesz się, drogi przyjacielu? Jestem niespokojna o Pana. Tak mnie zapewniałeś, iż tylko zajrzysz do Pustelni i wrócisz natychmiast! Na to zapewnienie zwolniłam Pana; i oto, po wszystkich zaklęciach, tydzień

[655] *zali* (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

nie dajesz znaku życia. Gdybym nie miała wiadomości, że jesteś w dobrym zdrowiu, myślałabym, że Pan chory. Spodziewałam się Pana przedwczoraj i wczoraj; dotąd Cię nie ma. Mój Boże! Co się z Panem dzieje? Nie masz Pan pilnych spraw; nie masz również i zmartwień, pochlebiam sobie bowiem, iż przybyłbyś natychmiast mi je zwierzyć. Jesteś więc chory! Wyrwij mnie Pan, proszę, z niepokoju, wierzaj mi, bardzo żywego. Bądź zdrów, drogi przyjacielu; niech to pozdrowienie ściągnie mi w zamian rychłą wiadomość o Tobie.

Odpowiedź List

Środa rano

Nie mogę dać jeszcze żadnej odpowiedzi. Czekam, aż rzecz się rozjaśni, co musi przyjść prędzej lub później. Nim to nastąpi, bądź Pani pewna, że oczerniona niewinność znajdzie obrońcę dość żarliwego, aby potwarz, skądkolwiek by pochodziła, musiała pożałować swego uczynku.

Drugi list pani d'Epinay (plik A, nr 45) List

Wie Pan, że Pański list mnie przeraża? Co to wszystko znaczy? Odczytałam go więcej niż dwadzieścia pięć razy. Doprawdy, nic nie rozumiem. Widzę tylko, że jest Pan niespokojny i udręczony i że czekasz, aż to minie, aby pomówić ze mną. Mój drogi przyjacielu, czy taka była nasza umowa? Cóż się stało z przyjaźnią, zaufaniem? W jakiż sposób je straciłam? Czy na mnie, czy o mnie jesteś zagniewany? Jak bądź się rzeczy mają, przyjdź Pan jeszcze dziś wieczór, zaklinam. Pamiętaj, że przyrzekłeś mi, nie ma tygodnia jeszcze, nic nie chować na sercu i zwierzać mi się ze wszystkim. Mój drogi przyjacielu, ja żyję w tej ufności... Ot, jeszcze raz odczytałam Twój list: nie pojmuję go, jak i wprzódy, ale o dreszcz mnie przyprawia. Zdaje mi się, że jesteś w okrutnym podnieceniu. Chciałabym Cię uspokoić; ale ponieważ nie znam przedmiotu, nie wiem, co powiedzieć, chyba tylko, że czuję się równie nieszczęśliwa jak Pan, aż do chwili, w której Cię ujrzę. Jeżeli nie pokaże się Pan do szóstej wieczór, jadę jutro do Pustelni bez względu na pogodę i na stan mego zdrowia; nie umiałabym wyżyć w tym niepokoju. Do widzenia, drogi, dobry przyjacielu. Na wszelki wypadek ważę się Panu powiedzieć, nie wiedząc, czy tego potrzebujesz czy nie, abyś starał się uważać na siebie i panować nad podnieceniem, które wyobraźnia sprowadza pod wpływem samotności. Mucha staje się potworem; często tego doświadczyłam.

Odpowiedź List

Środa wieczór

Nie mogę Pani odwiedzić ani przyjąć odwiedzin, póki będzie trwał stan mego niepokoju. Zaufanie, o którym Pani mówi, uleciało i niełatwo je będzie odzyskać. W naleganiu Pani widzę obecnie jedynie chęć wydobycia z cudzych wyznań jakiejś korzyści odpowiadającej Pani widokom; serce zaś moje, tak skłonne do wylania wobec serca otwartego na jego przyjęcie, zamyka się przed podstępem i chytrością. Poznaję Pani zwykły spryt w rzekomej trudności, z jaką przychodzi Ci zrozumieć mój bilecik. Czy ma mnie Pani za tak naiwnego, abym uwierzył, że go nie zrozumiałaś? Nie; ale potrafię pokonać Pani wykręty siłą mej szczerości. Wytłumaczę się jaśniej, aby się stać dla Pani jeszcze trudniejszym do zrozumienia.

Dwoje kochanków, związanych tkliwym węzłem i godnych kochać się wzajem, posiada moje serce. Domyślam się, iż nie będzie Pani wiedziała, o kim mówię, chyba że nazwę ich po imieniu. Mam powody mniemać, iż próbowano zasiać między nimi niezgodę i że posłużono się mą osobą, aby obudzić zazdrość w sercu jednego z nich. Wybór nie jest dość zręczny, ale

zdawał się wygodny osobie na tyle złośliwej, a o tę złośliwość posądzam Panią. Mam nadzieję, że to już bardziej jasne.

Tak więc kobieta, którą najwyżej na świecie poważam, miałaby świadomie popełnić to bezeceństwo, aby dzielić swoje serce i osobę między dwóch kochanków, a ja miałbym być jednym z tych nikczemników? Gdybym wiedział, że przez jedną chwilę mogłaś tak myśleć o niej i o mnie, znienawidziłbym Panią do śmierci. Ale uważam Panią za zdolną mówić tak, nie myśleć. Nie rozumiem w takim wypadku, któremu z trojga chciałaś Pani zaszkodzić; ale jeżeli cenisz Pani spokój, drżyj przed tym, czym Ci grozi powodzenie tego zamiaru. Nie ukrywałem ani przed Panią, ani przed tamtą osobą, jak bardzo pewne związki naganne są w mych oczach; ale godzę się wreszcie, aby się kończyły uczuciem równie szlachetnym jak jego źródło i aby nieprawa miłość mieniła się w wiekuistą przyjaźń. Ja, który nigdy nie wyrządziłem nic złego nikomu, miałżebym niewinnie służyć za narzędzie przeciw tym, którzy mi są drodzy? Nie, nie przebaczyłbym Pani tego nigdy, stałbym się twym najnieubłagańszym wrogiem. Jedynie Pani tajemnice mogą być pewne poszanowania, nie będę bowiem nigdy człowiekiem bez wiary.

Nie wyobrażam sobie, aby wątpliwości moje mogły trwać zbyt długo. Niebawem dowiem się, czym[656] się omylił. Wówczas trzeba mi będzie może naprawić wielką krzywdę i uczynię to z taką radością, jak jeszcze nic w życiu. Ale czy wie Pani, w jaki sposób okupię swoje błędy przez ten krótki przeciąg czasu, jaki mam jeszcze pozostać w pobliżu Pani? Czyniąc to, czego nie uczyni nikt inny prócz mnie: mówiąc Pani szczerze, co o Tobie myślą w świecie i jakie szczerby trzeba Ci naprawić w swojej reputacji. Mimo wszystkich mniemanych przyjaciół, którzy Cię otaczają, skoro mnie stracisz, możesz pożegnać się z prawdą; nie znajdziesz już nikogo, kto by Ci ją powiedział.

List

Trzeci list pani d'Epinay (plik A, nr 46)

Nie zrozumiałam dzisiejszego rannego listu: tak mówiłam, ponieważ tak było. Rozumiem wieczorny; niech się Pan nie obawia, abym kiedy odpowiedziała nań; zbyt spieszno mi go zapomnieć. Mimo iż budzisz Pan we mnie litość, nie mogłam się obronić goryczy, jaką napełnił mi duszę. Ja! posługiwać się z Panem podstępem, chytrością; ja! oskarżona o najczarniejsze bezeceństwo! Żegnaj mi; żałuję, że mogłeś mnie... Żegnaj: nie wiem sama, co mówię... Żegnaj: pilno mi będzie przebaczyć Panu. Przyjdziesz Pan, kiedy zechcesz! Znajdziesz przyjęcie lepsze, niżby na to zasługiwały Pańskie podejrzenia. Przestań się Pan jedynie kłopotać o moją reputację. Mało dbam, co świat o mnie myśli. Postępowanie moje jest dobre, to mi wystarcza. Poza tym nie miałam najmniejszego pojęcia, co się zdarzyło dwojgu osób, które mi są równie drogie jak Panu.

List, Kłótnia

Ten ostatni list wydobył mnie z okrutnego kłopotu, wtrącił natomiast w inny, bynajmniej nie lżejszy. Mimo że wszystkie te listy i odpowiedzi odbyły drogę tam i z powrotem w ciągu jednego dnia, z nadzwyczajną szybkością, czas ten wystarczył, aby ostudzić nieco me szaleństwo i dać mi się zastanowić nad ogromem nieopatrzności. Pani d'Houdetot na wszystko zaklinała mnie, abym zachował się spokojnie, abym jej zostawił troskę o załatwienie sprawy oraz abym unikał, zwłaszcza w danym momencie, wszelkich zrywań i rozgłosu; ja zaś za pomocą otwartych i okrutnych obelg do reszty dopełniłem miary wściekłości w sercu kobiety aż nadto już podrażnionej. Przyjmując naturalny bieg rzeczy, winienem był oczekiwać z jej strony odpowiedzi tak dumnej, tak wzgardliwej i lekceważącej, iż otrzymawszy ją, nie mógłbym, pod grozą skończonej nikczemności, uchylić się od natychmiastowego opuszczenia jej domu. Szczęściem pani d'Epinay, bardziej jeszcze zręczna, niż ja byłem porywczy, oszczędziła mi dzięki formie swego listu tej ostateczności. Ale trzeba było albo opuścić dom, albo pospieszyć do niej w tejże chwili; innego wyboru

[656] *czym się omylił* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; znaczenie: czy się omyliłem. [przypis edytorski]

nie było. Obrałem to ostatnie, bardzo zakłopotany mą rolą w wyjaśnieniu, które przewidywałem. W jaki sposób bowiem wywinąć się, nie narażając ani pani d'Houdetot, ani Teresy? A biada tej, którą bym wymienił! Zemsta przebiegłej i nieubłaganej kobiety nie cofnęłaby się z pewnością przed niczym wobec tej, która by się stała jej pastwą. Dlatego to, pragnąc uprzedzić to nieszczęście, wspomniałem w listach swoich jedynie o podejrzeniach, aby nie być zmuszonym przytaczać dowodów. Prawda, iż to czyniło wybuch mój jeszcze trudniejszym do usprawiedliwienia, ponieważ w żadnym wypadku proste podejrzenia nie uprawniały mnie do potraktowania kobiety, zwłaszcza przyjaciółki, tak, jak ja uczyniłem z panią d'Epinay. Ale tu zaczyna się wielkie i szlachetne zadanie, które godnie wypełniłem; błędy swoje oraz ukryte słabości odpokutowałem w ten sposób, iż wziąłem na siebie winy o wiele cięższe, do których byłem niezdolny i których nie popełniłem nigdy.

Wbrew spodziewaniu nie przyszło do sceny, której się obawiałem; skończyło się na strachu. Ujrzawszy mnie, pani d'Epinay rzuciła mi się na szyję, rozpływając się we łzach. To tak niespodziane przyjęcie, i to ze strony dawnej przyjaciółki, wzruszyło mnie niezmiernie; rozpłakałem się również. Rzekłem kilka słów, nie mających wiele związku, ona również kilka, mających go jeszcze mniej, i wszystko skończyło się na tym. Dano wieczerzę: siedliśmy do stołu. W oczekiwaniu wyjaśnienia, odłożonego, jak sądziłem, na po wieczerzy, czułem się bardzo nieswój; tak bowiem poddaję się najlżejszemu wrażeniu, które mnie zaprząta, iż nie umiałbym go ukryć nawet najmniej przenikliwym oczom. Wygląd mój, pełen zakłopotania, musiał dodać pani d'Epinay odwagi; mimo to wolała nie kusić licha: zarówno potem, jak przedtem nie przyszło do żadnych wyjaśnień. Tak samo minął dzień następny; nasze milczące sam na sam wypełniała jedynie obojętna rozmowa lub też serdeczne wylewy z mej strony, w których, oświadczając, iż nie mogę jeszcze nic stanowczego powiedzieć na uzasadnienie podejrzeń, zaklinałem się najzupełniej szczerze, że jeśli okażą się nieuzasadnione, życie całe obrócę na naprawianie tej krzywdy. Pani d'Epinay nie objawiła najmniejszej ciekawości, aby dowiedzieć się bliżej, co to za podejrzenia ani jak mi przyszły do głowy. Całe zatem pojednanie, tak z jej strony, jak z mojej, ograniczyło się do uścisku przy pierwszym widzeniu. Ponieważ ona jedna była obrażona, przynajmniej formalnie, sądziłem, że nie do mnie należy starać się o wyjaśnienie, którego nie szukała ona sama; toteż wróciłem tak, jak przyszedłem. Żyjąc zresztą z panią d'Epinay nadal tak jak wprzódy, zapomniałem niebawem prawie zupełnie tej sprzeczki i wierzyłem głupio, że ona zapomniała również, ponieważ nie zdradzała niczym, aby było inaczej.

Nie była to, jak się niebawem pokaże, jedyna zgryzota, jaką na mnie sprowadziła moja słabość; miałem i inne, nie mniej dotkliwe, do których nie dałem powodu. Źródłem ich była jedynie chęć wyrwania mnie z mej samotni[657], drogą zaś do tego celu dręczenie mnie. Te utrapienia pochodziły ze strony Diderota i holbachistów. Od czasu mego osiedlenia w Pustelni Diderot nie przestał mnie tam nękać, czy to sam, czy przez Deleyra; przekonałem się niebawem, z żarcików tego ostatniego na temat mych sielankowych wycieczek, z jaką przyjemnością przedzierzgnęli pustelnika w czułego pasterza. Ale nie to stało się źródłem zatargów z Diderotem; miały one ważniejsze przyczyny. Po ogłoszeniu *Syna naturalnego* przysłał mi egzemplarz; przeczytałem go z zaciekawieniem i uwagą, jakich użycza się dziełu przyjaciela. Odczytując rodzaj dialogowanej poetyki, jaką doń dołączył, zdziwiłem się, a nawet zasmuciłem, znajdując między wieloma nieprzyjemnymi, ale dającymi się strawić wycieczkami przeciw samotnikom tę twardą i gorzką sentencję, podaną bez żadnych restrykcji: „Jedynie człowiek zły żyje samotnie"[658]. Sentencja ta jest dwuznaczna i nastręcza, o ile mi się zdaje, dwa wykłady[659], jeden bardzo prawdziwy, drugi bardzo fałszywy: niepodobieństwem jest, aby człowiek, który jest i chce być sam, mógł i chciał szkodzić komukolwiek, a tym samym, aby był zły.

Samotnik

Sentencja tedy sama przez się domagała się objaśnienia; wymagała go bardziej jeszcze ze strony autora, który, wówczas gdy ją drukował, miał przyjaciela żyjącego w samotności. Zdawało mi się rażącym i nieprzyzwoitym, iż Diderot przy ogłaszaniu książki mógł albo

[657] *Źródłem ich była jedynie chęć wyrwania mnie z mej samotni* — to znaczy, wyrwania z niej starej, która była im potrzebna do zorganizowania spisku. Zdumiewającym jest, iż przez cały czas tej długiej burzy głupia moja łatwowierność nie pozwoliła mi zrozumieć, że to nie mnie, ale ją życzyli sobie mieć w Paryżu. [przypis autorski]

[658] *Jedynie człowiek zły żyje samotnie* — *Syn naturalny*, akt IV, scena 3. [przypis edytorski]

[659] *wykład* (daw.) — wykładnia, interpretacja. [przypis edytorski]

zapomnieć o tym samotnym przyjacielu, albo też, o ile pamiętał, nie uczynił, przynajmniej ogólnikowo, chlubnego i sprawiedliwego wyjątku. Był go zresztą winien, moim zdaniem, nie tylko temu przyjacielowi, ale tylu szanownym mędrcom, którzy we wszelkich czasach szukali spokoju i ciszy w samotności i z których po raz pierwszy, odkąd świat istnieje, ośmielił się ktoś jednym pociągnięciem pióra uczynić bez różnicy samych zbrodniarzy.

Kochałem tkliwie Diderota, ceniłem go szczerze i liczyłem z pełną ufnością na też same uczucia z jego strony. Ale, znękany jego zaciekłością w wiecznym sprzeciwianiu się mym upodobaniom, skłonnościom, sposobowi życia, zwłaszcza w rzeczach, które obchodzą tylko mnie samego; zniecierpliwiony tym, iż człowiek młodszy ode mnie koniecznie sili się wodzić mnie na pasku jak dziecko; zrażony jego łatwością w przyrzekaniu a niedbałością w dotrzymywaniu; znudzony tyloma schadzkami, które naznaczył, a na które się nie stawił, i lekkością, z jaką naznaczał znów nowe, aby znów im chybić; zmęczony tym, iż czekałem go bezużytecznie po kilka razy na miesiąc w dnie naznaczone przez niego samego i jadłem samotnie obiad wieczór, wyszedłszy naprzeciw niego aż do Saint-Denis i naczekawszy się go przez cały dzień, miałem już serce obolałe od jego wciąż ponawianych uchybień.

To ostatnie wydało mi się cięższe i dotknęło mnie tym więcej. Napisałem doń, użalając się, ale ze słodyczą i rozczuleniem, które sprawiły, iż pisząc, oblałem papier łzami; list mój był dość wzruszający, aby i jemu wzajem łzy wycisnąć. Nikt nie zgadłby odpowiedzi, którą otrzymałem: oto dosłowne jej brzmienie (plik A, nr 33):

> Bardzom rad, iż utwór mój podobał Ci się, że Cię wzruszył. Nie dzielisz mego zdania co do pustelników; mów o nich, co Ci się spodoba, będziesz jedynym na świecie, co do którego w to uwierzę; a i tak jeszcze dużo by o tym mówić, gdyby można mówić szczerze bez urazy. Kobieta osiemdziesięcioletnia! etc. Przytoczono mi zdanie z listu syna pani d'Epinay, które musiało Cię bardzo zaboleć, jeżeli dobrze znam grunt twego charakteru.

Trzeba objaśnić dwa ostatnie zdania.

W początkach mego pobytu w Pustelni, stara Le Vasseur niezbyt podobała sobie[660] w tym mieszkaniu, znajdując je zbyt samotnym. Utyskiwania jej doszły do mej wiadomości: ofiarowałem się odesłać ją do Paryża, jeżeli tam się czuje lepiej; opłacać jej mieszkanie i mieć o nią pieczę zupełnie tak samo, jak gdyby była jeszcze w mym domu. Odrzuciła mą ofiarę, zaręczyła, że czuje się bardzo dobrze w Pustelni, że wiejskie powietrze bardzo jej służy; a widać było, że to prawda, ponieważ młodniała tu, można rzec, z każdym dniem i miała się o wiele lepiej niż w Paryżu. Teresa upewniła mnie, iż matka byłaby w gruncie bardzo zmartwiona, gdybyśmy opuścili Pustelnię, która w istocie była uroczym miejscem pobytu, zwłaszcza iż stara bardzo lubiła krzątać się koło ogrodu i owoców stanowiących jej wydział; ale że mówi to, co jej kazano, aby mnie skłonić do powrotu do Paryża.

Skoro to zawiodło, „przyjaciele" moi starali się uzyskać na drodze skrupułów to, czego nie osiągnęli, odwołując się do prostej względności. Zaczęli mi wyrzucać, iż trzymam starą kobietę z dala od pomocy, jakiej mogłaby potrzebować w swoim wieku; zapomnieli o tym, że i ona i wiele innych wiekowych osób, których dni przedłuża tameczne doskonałe powietrze, mogą w razie potrzeby mieć tę pomoc z Montmorency odległego o dwa kroki; jak gdyby starcy byli tylko w Paryżu i jakby nigdzie indziej niepodobna im było istnieć! Pani Le Vasseur, która jadła dużo i nadzwyczaj żarłocznie, podlegała wylewom żółci i silnym biegunkom; trwały niekiedy po kilka dni i służyły jej za naturalne lekarstwo. W Paryżu nie szukała żadnej pomocy i pozwalała działać naturze. Tak samo postępowała i w Pustelni, wiedząc dobrze, że to jest najlepsze, co może uczynić. To nic: dlatego że na wsi nie ma lekarzy i aptekarzy, trzymać ją tam, znaczyło chcieć jej śmierci, mimo iż miewała się jak najlepiej! Diderot winien był określić, w jakim wieku nie godzi się, pod grozą morderstwa, pozwolić żyć starym ludziom poza rogatkami Paryża. Starość

Było to jedno z dwóch okrutnych oskarżeń, na podstawie, których nie wyłączał mnie ze swego wyroku, iż „jedynie zły człowiek żyje samotnie"; to oznaczał jego patetyczny wykrzyknik, i owo *et caetera*[661], które dodał tak łaskawie: „Kobieta osiemdziesięcioletnia! etc."

[660] *podobać sobie w czymś* (daw.) — mieć w czymś upodobanie; gustować w czymś. [przypis edytorski]
[661] *et caetera* (łac.) — i tak dalej. [przypis edytorski]

Sądziłem, iż nie mogę lepiej odpowiedzieć na ten zarzut, niż odwołując się do samej Le Vasseur. Poprosiłem ją, aby po prostu wyraziła swe uczucia w liście do pani d'Epinay. Aby jej dać większą swobodę, nie chciałem widzieć listu, a pokazałem jej własny, który dołączam poniżej, napisany do pani d'Epinay. Chodzi w nim o odpowiedź, jaką chciałem dać Diderotowi na inny jego list, jeszcze dotkliwszy, której to odpowiedzi pani d'Epinay nie pozwoliła mi wysłać. List

Czwartek

Pani Le Vasseur ma pisać do Ciebie, droga przyjaciółko; prosiłem ją, aby oświadczyła szczerze, co myśli. Aby jej dać zupełną swobodę, powiedziałem, że nie chcę widzieć jej listu; proszę też nie mówić mi, co zawiera.

Nie wyślę mego listu, skoro Pani jest przeciwna; ale ponieważ czuję się nader ciężko obrażony, uznając tedy, iż słuszność jest po jego stronie, popełniłbym podłość i fałsz, na które nie mogę sobie pozwolić. Ewangelia każe wprawdzie temu, kto otrzyma policzek, nadstawić drugi, ale nie prosić o przebaczenie. Przypomina Pani sobie tego człowieka z komedii, który krzyczy gwałtu, okładając kijem? Oto rola filozofa[662].

Niech się Pani nie łudzi, iż zdołasz go powstrzymać od przybycia wobec tej niepogody. Gniew użyczy mu czasu i sił, których nie stało przyjaźni; pierwszy to raz w życiu przybędzie w dniu, w którym się oznajmił. Zniesie wszelkie trudy, aby mi powtórzyć ustnie obelgi, jakimi mnie obrzuca; ale niech nie liczy na to, abym je zniósł cierpliwie. Wróci do Paryża odchorować to widzenie; ja zaś stanę się, jak zwykle, człowiekiem bardzo niegodziwym. Cóż robić? Trzeba cierpieć.

Ale czy nie podziwia Pani konsekwencji tego człowieka, który chciał po mnie przyjechać dorożką do Saint-Denis, zjeść tam obiad, odwieźć mnie dorożką, a któremu w tydzień później (plik A, nr 34), „położenie majątkowe nie pozwala przybyć do »Pustelni« inaczej niż pieszo"? Nie jest absolutnie niemożliwe (aby użyć jego języka), że w obu wypadkach przemawiał w dobrej wierze; ale w takim razie w ciągu tego tygodnia musiały zajść osobliwe zmiany w stanie jego majątku.

Biorę żywy udział w zmartwieniu, o jakie Panią przyprawia choroba Jej matki; ale widzi Pani, iż przykrość Jej nie może się równać z moją. Mniej człowiek cierpi, widząc osoby, które kocha, dotknięte chorobą, niż doznając ich niesprawiedliwości i okrucieństwa.

Żegnaj mi, dobra przyjaciółko: ostatni to już raz mówię Pani o tej nieszczęsnej sprawie. Wspomina mi Pani o wycieczce do Paryża z zimną krwią, która ucieszyłaby mnie w każdej innej porze.

Napisałem Diderotowi, co uczyniłem w kwestii starej Le Vasseur, na życzenie samej pani d'Epinay. Pani Le Vasseur wybrała, jak można się domyślać, pobyt w Pustelni, gdzie czuła się bardzo dobrze, gdzie miała zawsze towarzystwo i żyła sobie nader przyjemnie. Diderot, nie wiedząc już sam, co mi zarzucić, obrócił przeciw mnie tę moją względność, a zarazem nie przestawał poczytywać mi za zbrodnię pobytu pani Le Vasseur w Pustelni, mimo że sama życzyła sobie tam zostać i mimo że i wprzód, i teraz, jedynie od niej zależało wrócić do Paryża, zachowując wszelkie tytuły do pomocy z mej strony.

Oto wytłumaczenie pierwszego zarzutu listu Diderota, nr 33. Wytłumaczenie drugiego mieści się w jego liście nr 34. „Literat (było to żartobliwe miano nadane przez Grimma synowi pani d'Epinay), Literat musiał Ci napisać, że znajduje się na wałach z jakich dwudziestu biedaków, którzy umierają z zimna i głodu, i czekają szeląga, którego im dawałeś. Oto próbka naszych rozmówek...; gdybyś słyszał resztę, tak samo by Cię zabawiła". List

Oto moja odpowiedź na ten straszliwy argument, z którego Diderot wydawał się tak dumny: List

[662] *Oto rola filozofa* — „filozof" było przydomkiem Diderota. [przypis edytorski]

> Zdaje mi się, iż odpisałem Literatowi, to znaczy synowi generalnego dzierżawcy, iż nie żałuję biedaków, których widział na wałach czekających rzekomo na mego szeląga; przypuszczam, że ich prawdopodobnie hojnie obdarował; mianuję go swoim zastępcą, przy czym żebracy paryscy nie powinni stracić na zamianie. Nie tak łatwo przyszłoby mi znaleźć zastępstwo dla biednych z Montmorency, jeszcze bardziej potrzebujących. Jest tu czcigodny starzec, który spędziwszy życie całe w pracy, niezdolny już pracować dłużej, umiera z głodu na stare lata. Sumienie moje bardziej jest rade z dwóch su, które mu daję co poniedziałek, niż ze stu funtów rozdanych wszystkim podmiejskim włóczęgom. Pocieszni doprawdy jesteście, panowie filozofowie, w tym, iż wszyscy uważacie mieszkańców miast za jedynych ludzi, wobec których ma się obowiązki. Na wsi to uczy się człowiek kochać ludzkość i służyć jej, w mieście uczy się tylko nią gardzić.

Miasto, Wieś, Pogarda

Oto osobliwe skrupuły, na podstawie których rozumny człowiek mógł być na tyle niedorzeczny, aby mi, z całą powagą, czynić zbrodnię z tego, żem się usunął z Paryża i starać się własnym mym przykładem dowodzić, że nie można żyć poza stolicą, nie stając się tym samym niegodziwym człowiekiem. Nie pojmuję dziś, jak mogłem być na tyle niemądry, aby mu odpowiadać i złościć się, zamiast rozśmiać mu się w nos za całą odpowiedź. Mimo to wyroki pani d'Epinay i wrzaski Holbachowskiej kliki tak dalece narzuciły wszystkim jego sposób widzenia, iż powszechnie uważano mnie w tej sprawie za winowajcę, i nawet pani d'Houdetot, żarliwa wielbicielka Diderota, żądała, abym pojechał doń do Paryża i abym poniósł moralne koszta pojednania, które, mimo iż z mej strony bardzo szczere i zupełne, okazało się wszelako mało trwałym. Zwycięskim argumentem, którym pokonała me serce, było to, że w tej chwili Diderot był nieszczęśliwy. Poza burzą rozpętaną przeciw *Encyklopedii*, cierpiał on również wiele przykrości z przyczyny swej sztuki, co do której, mimo krótkiej przedmowy umieszczonej na wstępie, obwiniano go, iż wziął ją całkowicie z Goldoniego[663]. Diderot, jeszcze bardziej tkliwy na krytykę od Woltera, szarpany był wówczas ze wszystkich stron. Pani de Grafigny[664] miała nawet tę złośliwość, aby rozpuszczać wieść, że ja zerwałem z nim z tej przyczyny. Uważałem, iż obowiązkiem słuszności i szlachetności będzie dowieść publicznie, że tak nie jest: pospieszyłem spędzić dwa dni nie tylko z nim, ale u niego. Była to, od czasu osiedlenia w Pustelni, moja druga podróż do Paryża. Pierwszą podjąłem, aby pospieszyć do biednego Gauffecourta powalonego atakiem apopleksji[665], z której nie podniósł się nigdy zupełnie; nie opuściłem jego łoża, aż niebezpieczeństwo minęło.

Diderot przyjął mnie serdecznie. Ileż win może wymazać uścisk przyjaciela! Jakaż uraza zdoła po nim wytrwać w sercu? Wyjaśnienia były krótkie. Nie trzeba ich wiele tam, gdzie obraza była zobopólna. Wówczas pozostaje tylko jedna rzecz, mianowicie zapomnieć. Nie było tutaj żadnych podziemnych min, przynajmniej ja nie wiedziałem o żadnych; to nie to, co z panią d'Epinay. Pokazał mi plan *Ojca rodziny*[666]. „Oto — rzekłem — najlepsza obrona *Syna naturalnego*. Nie odpowiadaj nic, pracuj pilnie nad tą sztuką, a potem rzuć ją w twarz wrogom za całą odpowiedź". Uczynił tak, i na dobre mu to wyszło. Mijało już blisko pół roku, jak posłałem Diderotowi pierwsze dwie części *Julii*, aby mi powiedział swoje zdanie. Nie przeczytał ich jeszcze. Przeczytaliśmy jeden zeszyt razem. Znalazł, iż jest w nim dużo *gadania*: to jego wyrażenie; to znaczy: dużo słów i brzęku. Ja sam czułem już wprzódy to samo; ale była to gadatliwość gorączki, nigdy nie zdołałem tego wyczyścić. Ostatnie części nie mają już tej wady. Czwarta zwłaszcza i szósta to arcydzieła stylu.

Literat, Pycha

Na drugi dzień po mym przybyciu Diderot chciał mnie koniecznie zaprowadzić na wieczerzę do pana d'Holbach. Stosunki moje z baronem były nieszczególne; pragnąłem

[663] *Goldoni*, [*Carlo*] (1707–1793) — najwybitniejszy komediopisarz włoski. Sztuki jego były bardzo wzięte w Paryżu, niektóre nawet były napisane wprost po francusku (*Le bourru bienfaisant*). [przypis tłumacza]

[664] *Grafigny, Françoise de* (1695–1758) — powieściopisarka francuska, autorka dramatów, prowadziła salon literacki; stała się słynna dzięki powieści *Lettres d'une Péruvienne* (Listy Peruwianki, 1747). [przypis edytorski]

[665] *apopleksja* — wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

[666] *Ojciec rodziny* — *Le Père de famille* (1758), pięcioaktowy dramat mieszczański prozą napisany przez Diderota, druga po *Synu naturalnym* sztuka tego gatunku w teatrze francuskim. [przypis edytorski]

nawet zerwać umowę co do rękopisu chemii[667], tak mnie drażniło jakiekolwiek zobowiązanie wobec tego człowieka. Diderot pokonał wszystko. Przysiągł mi, że d'Holbach kocha mnie z całego serca; że trzeba mu przebaczyć ton, który ma wobec wszystkich i który przyjaciołom jego bardziej niż komukolwiek daje się we znaki. Przedstawił mi, iż odrzucić dochód z tego rękopisu, przyjąwszy go dwa lata wprzódy, jest dla ofiarodawcy zniewagą, na którą nie zasłużył, i że ta odmowa może być nawet źle tłumaczona, jako ukryta wymówka za tak długą zwłokę w dopełnieniu umowy. „Widuję Holbacha co dzień — dodał — znam lepiej niż ktokolwiek stan jego duszy. Gdybym nie wiedział, iż w gruncie jest ci życzliwy, czy sądzisz, że przyjaciel byłby zdolny radzić ci nikczemność?" Słowem, wobec mej zwykłej słabości, dałem się przekonać; poszliśmy wieczerzać u barona, który mnie przywitał jak zwykle. Natomiast żona jego przyjęła mnie zimno i prawie niegrzecznie. Nie poznałem już tej miłej Karoliny, która niegdyś jako panna okazywała mi tyle życzliwości. Od dawna miałem to uczucie, że odkąd Grimm zaczął bywać w domu państwa d'Aine, skończyła się bezpowrotnie sympatia, którą okazywano mi tam dawniej.

Podczas gdy bawiłem w Paryżu, Saint-Lambert przybył z armii. Ponieważ nie wiedziałem o tym, ujrzałem go aż po swoim powrocie na wieś, najpierw w Chevrette, później w Pustelni, gdzie zaprosił się do mnie z panią d'Houdetot na obiad. Można sobie wyobrazić uciechę, z jaką ich przyjąłem! Ale jeszcze większą radość odczułem, patrząc na doskonałą harmonię między nimi. Rad, iż nie zmąciłem ich szczęścia, sam czułem się tym szczęśliwy. Mogę przysiąc, iż przez cały czas mej szalonej namiętności, ale zwłaszcza w tym momencie, gdybym mógł odebrać Saint-Lambertowi panią d'Houdetot, nie chciałbym i nie miałbym nawet pokusy uczynić tego. Wydała mi się tak urocza ze swą miłością dla niego, że trudno mi było wyobrazić sobie, aby kochając mnie, mogła nią być w równym stopniu. Nie pragnąc zgoła zamącić ich związku, wszystko, czego najistotniej pragnąłem w mym szaleństwie, to, aby się pozwoliła kochać. Wreszcie, mimo całej namiętności, którą pałałem dla niej, równie lube zdało mi się być powiernikiem, co przedmiotem jej miłości i ani przez chwilę nie patrzałem na jej kochanka jako na rywala, ale zawsze jako na przyjaciela. Powie mi kto, że w takim razie to nie była miłość: dobrze więc, w takim razie było to coś więcej.

Co się tyczy Saint-Lamberta, to zachował się jak człowiek rozsądny i sprawiedliwy: ponieważ ja sam byłem winny, ja sam zostałem ukarany i to nawet pobłażliwie. Obszedł się ze mną surowo, ale życzliwie; przekonałem się, iż straciłem nieco w jego szacunku, ale nic w przyjaźni. Pocieszyłem się, świadom, iż tę stratę przyjdzie mi łatwiej odzyskać niż tamtą i że Saint-Lambert zbyt jest rozumny, aby mimowolną i przelotną słabość utożsamiać z wadą charakteru. Jeżeli było coś mej winy we wszystkim, co się stało, to bardzo niewiele. Czy ja szukałem towarzystwa jego kochanki? Czy nie on sam skierował ją do mnie? Czy nie ona mnie odwiedziła? Czy mogłem uchylić się od przyjęcia jej? Co mogłem uczynić? Oni jedni byli sprawcami złego, a ja ucierpiałem. Na moim miejscu, on byłby zrobił to samo co ja, może gorzej: ostatecznie bowiem, mimo całej wierności, szlachetności charakteru, pani d'Houdetot była kobietą; Saint-Lambert był daleko; sposobność była częsta, pokusy żywe i trudno by jej było zawsze się bronić równie skutecznie wobec bardziej przedsiębiorczego mężczyzny. Było to z pewnością wiele dla nas obojga, iż w podobnej sytuacji zdołaliśmy zakreślić granice, których nigdy nie pozwoliliśmy sobie przekroczyć. Pokusa

Mimo iż w głębi serca oddawałem sobie dość zaszczytne świadectwo, pozory były przeciw mnie. Niezwyciężony wstyd, któremu zawsze byłem podległy, dawał mi wobec Saint-Lamberta wygląd winowajcy, on zaś niejednokrotnie nadużywał tego, aby mnie upokorzyć. Czytałem mu po obiedzie list, który w zeszłym roku napisałem do Woltera, a o którym Saint-Lambert słyszał. Usnął podczas czytania; i ja, niegdyś tak dumny, dziś tak ogłupiały, nie śmiałem przerwać lektury; czytałem dalej, podczas gdy on chrapał na cały głos! Takie były moje nieprawości i takie jego sposoby zemsty; ale wspaniałomyślność nie pozwalała mu używać ich kiedy indziej, jak tylko wówczas gdy byliśmy we troje.

Po jego wyjeździe zastałem panią d'Houdetot bardzo odmienioną. Zdziwiło mnie to, tak jak gdybym nie powinien był spodziewać się tego; uczułem się dotknięty więcej,

[667] *umowę co do rękopisu chemii* — d'Holbach tłumaczył i streszczał prace niemieckie z zakresu chemii i geologii, podsumowując postępy naukowe w tych dziedzinach w artykułach w *Encyklopedii*. Zapewne umowa dotyczyła publikacji jednego z tłumaczeń za pośrednictwem Rousseau. [przypis edytorski]

niż należało, i przeszedłem to bardzo boleśnie. Wszystko, po czym spodziewałem się uleczenia, tym głębiej jedynie zatapiało w serce moje grot, który w końcu raczej złamałem, niż wyrwałem.

Byłem ze wszech miar gotowy przezwyciężyć się do reszty i nie szczędzić niczego, aby zmienić mą szaloną namiętność w przyjaźń czystą i trwałą. Miałem w tym względzie najpiękniejsze w świecie zamysły, dla których wykonania trzeba mi było pomocy pani d'Houdetot. Kiedy próbowałem mówić jej o tym, znalazłem ją roztargnioną i zakłopotaną; uczułem, iż przestała sobie podobać[668] w moim towarzystwie; ujrzałem jasno, że zaszło coś, czego nie chce mi powiedzieć i czego nie dowiedziałem się nigdy. Zmiana ta, której wyjaśnienia niepodobna mi było uzyskać, zgnębiła mnie. Pani d'Houdetot zażądała zwrotu listów, oddałem wszystkie; przy czym nie oszczędziła mi tej zniewagi, aby wątpić przez chwilę w mą sumienność w tej mierze. Wątpienie to było jeszcze jednym nieoczekiwanym rozdarciem mego serca, które powinna była znać tak dobrze! Oddała mi sprawiedliwość, ale nie natychmiast; zrozumiałem, że dopiero przejrzawszy pakiet, który jej zwróciłem, uczuła całą niesłuszność posądzenia; widziałem nawet, że je sobie wyrzuca i błąd ten obrócił się na mą korzyść. Nie godziło się żądać zwrotu listów bez zwrócenia mi moich. Powiedziała, że je spaliła; ośmieliłem się ja znów wątpić o tym i wyznaję, że wątpię dziś jeszcze. Nie, nie rzuca się w ogień podobnych listów. Publiczności wydały się płomienne listy z *Julii*. Boże ty mój! Cóż by powiedziano o tych! Nie, nie, nigdy osoba, która zdoła wzbudzić podobną namiętność, nie będzie miała siły spalić jej dowodów. Ale nie obawiam się również, aby ich nadużyła; nie sądzę, aby była do tego zdolna; co więcej, postarałem się temu zapobiec. Głupia, ale nieprzeparta obawa, aby się nie stać przedmiotem drwin, kazała mi wziąć korespondencję z tonu, który by mnie ubezpieczył przed wszelką niedyskrecją. Posunąłem aż do tykania[669] poufałość, na którą ważyłem się w moim szale: ale co za tykanie! Z pewnością nie odczuła go jako obrazę. Mimo to pani d'Houdetot wymawiała mi kilkakrotnie ten ton, ale bez skutku, wymówki jej podsycały jedynie moje obawy; zresztą, nie mogłem zdobyć się na to, aby się cofać wstecz. Jeżeli te listy istnieją jeszcze i jeśli kiedy ujrzą światło dzienne, świat dowie się jak kochałem.

Boleść, jaką sprawiło mi oziębienie pani d'Houdetot i pewność, iż na nie nie zasłużyłem, zrodziła we mnie osobliwą myśl użalenia się samemu Saint-Lambertowi na tę zmianę. W oczekiwaniu odpowiedzi na list, który napisałem doń w tym przedmiocie, szukałem uspokojenia w rozrywkach, do których powinienem był uciec się wcześniej. Zapowiadały się uroczyste przyjęcia w Chevrette: przygotowałem muzykę. Przyjemność popisania się wobec pani d'Houdetot talentem, który lubiła, pobudził mą werwę; do ożywienia jej przyczyniał się jeszcze inny powód, a mianowicie chęć pokazania, że autor *Wiejskiego wróżka* posiada znajomość muzyki, od dawna bowiem spostrzegałem, iż ktoś pracuje nad tym, aby to podać w wątpliwość, przynajmniej co się tyczy kompozycji. Początki moje w Paryżu, próby, jakim mnie poddano wiele razy, tak u pana Dupin, jak u pana de la Poplinière, szereg utworów, które ułożyłem w ciągu czternastu lat w otoczeniu najsławniejszych artystów i pod ich oczyma, wreszcie opera *Tkliwe Muzy* i nawet *Wróżek*, motet napisany dla panny Fel i odśpiewany przez nią na koncercie religijnym, tyle konferencji, jakie odbyłem w kwestii tej pięknej sztuki z największymi mistrzami, wszystko to, zdawałoby się, powinno by uchylić lub rozproszyć podobną wątpliwość. Istniała ona wszelako, nawet w Chevrette, i widziałem, że sam pan d'Epinay nie jest od niej wolny. Nie okazując, iż cośkolwiek zauważyłem, podjąłem się ułożyć dlań motet na poświęcenie kaplicy w Chevrette i prosiłem, aby mi dostarczył słów wedle swego wyboru. Polecił sporządzenie ich panu de Linant, preceptorowi[670] swego syna. De Linant napisał słowa odpowiednie do przedmiotu; w tydzień motet był gotowy. Tym razem wściekłość i rozżalenie były mą muzą, nigdy tęższa muzyka nie wyszła z moich rąk. Tekst zaczyna się od słów: *Ecce sedes hic Tonantis*[671][672]. Początek uroczystością swoją odpowiada słowom, cały zaś dalszy ciąg motetu odznacza się pięknością melodii, która uderzyła wszystkich.

Muzyka

[668] *podobać sobie w czymś* (daw.) — mieć w czymś upodobanie; gustować w czymś. [przypis edytorski]
[669] *tykanie* — tu: zwracanie się do kogoś przez „ty". [przypis edytorski]
[670] *preceptor* (z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]
[671] *Ecce sedes hic Tonantis* (łac.) — Oto siedziba Gromowładnego. [przypis edytorski]
[672] *Tekst zaczyna się od słów: Ecce sedes hic Tonantis* — dowiedziałem się później, że słowa te były pomysłu Santeuila i że pan de Linant przywłaszczył je sobie po cichu. [przypis autorski]

Opracowałem rzecz na wielką orkiestrę. D'Epinay zgromadził najlepszych symfonistów. Pani Bruna, śpiewaczka włoska, odśpiewała motet; towarzyszono jej bardzo składnie. Motet miał tak wielkie powodzenie, że dano go później na koncercie religijnym, gdzie mimo pokątnych intryg i haniebnego wykonania zyskał dwa razy ten sam poklask. Poddałem na imieniny pana d'Epinay pomysł jakiejś sztuki, pół dramatu pół pantominy; tekst ułożyła pani d'Epinay, a ja również sporządziłem muzykę. Grimm, przybywszy do Chevrette, usłyszał o moich harmonicznych sukcesach. W godzinę później już nie było o nich mowy: ale przynajmniej, o ile wiem, nie podawano już w wątpliwość mojej znajomości kompozycji.

Ledwie Grimm zjawił się w Chevrette, gdzie już i wprzódy nie czułem się zbyt dobrze, uczynił mi pobyt zupełnie nie do zniesienia, a to przez swoje tony, jakich nie widziałem nigdy u nikogo i o których nawet nie miałem pojęcia. W wilię[673] jego przybycia wyrugowano mnie z uprzywilejowanego pokoju, który zajmowałem, przylegającego do pokoju pani d'Epinay; przygotowano go dla Grimma, mnie zaś dano inny, bardziej odległy. „Oto — rzekłem, śmiejąc się, do pani d'Epinay — jak nowi przybysze rugują dawnych". Zdawała się zakłopotana. Zrozumiałem, tegoż samego wieczora, lepiej przyczynę owego przemieszczenia, dowiadując się, iż między oboma pokojami istnieją ukryte drzwiczki, o których pani d'Epinay uważała za zbyteczne mnie objaśniać. Stosunki jej z Grimmem nie były tajne nikomu, ani w domu, ani w świecie, ani nawet mężowi; mimo to, miast przyznać się do nich przede mną, powiernikiem na wskroś pewnym i świadomym o wiele dla niej ważniejszych tajemnic, zapierała się zawsze bardzo stanowczo. Zrozumiałem, że ostrożność ta wychodzi od Grimma, który, posiadając sam wszystkie moje tajemnice, nie chciał, abym ja wzajem znał jego sekrety.

Mimo że dawne me uczucia, dotąd niewygasłe, jak również istotne zalety tego człowieka siliły się przemawiać, jak długo się dało, na jego korzyść, wszystko to nie mogło się jednak ostać wobec starań, jakich dokładał, aby zniweczyć mą przyjaźń. Poczynał sobie ze mną w sposób iście książęcy; ledwie że raczył oddać ukłon; nie zwracał się do mnie nigdy ani słowem, a niebawem oduczył i mnie odzywania się doń, jako że nie odpowiadał mi wcale. Wchodził wszędzie pierwszy, zajmował wszędzie pierwsze miejsce, nie zwracając na mnie najlżejszej uwagi. Mniejsza by zresztą, gdyby nie czynił tego z ubliżającą ostentacją: można osądzić z jednego rysu wśród tysiąca. Jednego wieczora pani d'Epinay, czując się nieco niezdrowa, prosiła, aby jej zaniesiono jaki kąsek do pokoju, i udała się do siebie, aby wieczerzać spokojnie przy kominku. Zaproponowała mi, abym się udał wraz z nią: poszedłem. Grimm przyszedł później. Zastawiono już dla nas mały stoliczek, a przy nim tylko dwa nakrycia. Podają; pani d'Epinay zajmuje miejsce w jednym rogu kominka; pan Grimm bierze fotel, rozsiada się w drugim rogu, przesuwa stolik między nich dwoje, rozwija serwetę i zabiera się do jedzenia, nie odzywając się do mnie słowa. Pani d'Epinay czerwieni się i aby zwrócić mu uwagę na jego grubiaństwo, ustępuje mi swego miejsca. Grimm nie mówi nic, nie patrzy na mnie. Nie mając sposobu zbliżyć się do ognia, wolałem przechadzać się po pokoju, czekając aż mi przyniosą nakrycie. Pan Grimm pozwolił mi wieczerzać na brzeżku stołu, z dala od ognia, nie ruszywszy się nawet z miejsca, dla mnie, schorowanego, starszego wiekiem, dawniej zażyłego w domu, mnie, który go tam wprowadziłem i wobec którego nawet, jako faworyt gospodyni, obowiązany był poniekąd do robienia honorów. Całe jego postępowanie ze mną odpowiadało zupełnie tej próbie. Nie odnosił się do mnie właściwie nawet jak do kogoś niższego, ale jak do nieistniejącego. Trudno mi było, zaiste, poznać dawnego chmyza[674], który u księcia de Saxe-Gotha czuł się zaszczycony mym spojrzeniem. Jeszcze trudniej mi było połączyć to wzgardliwe milczenie i obrażającą nadętość z rzekomo tkliwą przyjaźnią dla mnie, jaką chełpił się wobec wszystkich, o których wiedział, że mi są życzliwi. Prawda, że objawiał ją jedynie tym, iż żalił się nad mą dolą, na którą ja nie skarżyłem się nigdy; iż współczuł z mym smutnym losem, z którego czułem się zadowolony, i biadał nad tym, że tak uparcie odrzucam życzliwe starania, jakimi niby to pragnął mnie otoczyć. Dzięki tej sztuce kazał podziwiać swą tkliwą szlachetność, potępiać mą niewdzięczną mizantropię[675], i przyzwyczajał nieznacznie cały świat do myśli, iż między protektorem takim jak on a nędzarzem takim

[673] *wilia* (daw.) a. *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; *w wilię*: w przeddzień. [przypis edytorski]
[674] *chmyz* (przestarz., pot.) — smarkacz. [przypis edytorski]
[675] *mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

jak ja może istnieć jedynie stosunek oparty na dobrodziejstwach i zobowiązaniach, bez przypuszczenia, nawet jako możliwości, przyjaźni na równej stopie. Co do mnie, próżno szukałem, w czym mógłbym być zobowiązany temu nowemu opiekunowi. Pożyczałem mu pieniędzy, on mnie nigdy; doglądałem go w chorobie, on ledwie że zaglądał do mnie, gdym był chory; dałem mu wszystkich mych przyjaciół, on mnie żadnego; wspierałem go ze wszystkich sił, on zaś jeżeli mnie się przysługiwał, to mniej publicznie i na inny sposób. Nigdy nie wyświadczył mi, ani nie ofiarował nawet przysługi żadnego rodzaju. W jaki sposób stał się moim Mecenasem[676]? W jaki sposób ja jego protegowanym? Nie mogłem tego nigdy pojąć i nie pojmuję dziś jeszcze.

Prawda, iż mniej albo więcej był on arogantem ze wszystkimi, ale z nikim tak brutalnie jak ze mną. Przypominam sobie, że jednego dnia Saint-Lambert omal nie rzucił mu talerza na głowę, kiedy mi zadał łgarstwo wobec całego stołu, mówiąc grubiańsko: „To nieprawda". Do swego tonu z natury zarozumiałego dodał jeszcze nadętość parweniusza[677]; stał się wręcz śmieszny przez swoje fumy[678]. Obcowanie z możnymi zawróciło mu w głowie do tego stopnia, iż zaczął sam przybierać maniery spotykane u najmniej dorzecznych paniczów z tego światka. Nie wołał służącego inaczej jak przez: „Hej tam", jak gdyby pośród mnogości swych ludzi Jego Dostojność nie wiedziała, który jest na służbie. Kiedy dawał mu jakieś zlecenia, rzucał pieniądze na ziemię, zamiast dać do ręki. Wreszcie, zapominając zupełnie, że to człowiek, obchodził się z nim z tak nieprzyzwoitą wzgardą, z tak dotkliwym lekceważeniem, że ten biedny chłopiec, bardzo poczciwy z natury, opuścił służbę jedynie dlatego, iż nie mógł dłużej ścierpieć podobnego obchodzenia.

Próżność

Równie zarozumiały jak próżny, ze swymi wielkimi mętnymi oczami i postawą tyczki od chmielu, miał pretensję do powodzenia u kobiet; od czasu zaś swego błazeństwa z panną Fel, uchodził u wielu za człowieka wielce uczuciowego. To wprowadziło go w modę i zaszczepiło mu smak do kobiecych przekwintów[679]: zaczął się bawić w pięknisia. Gotowalnia stała się dlań wielką sprawą życia; cały świat wiedział, że używa blanszu[680], ja sam nawet, który długo nie chciałem uwierzyć, zacząłem w końcu to przypuszczać, nie tylko stąd, iż cera jego istotnie wypiękniała i że znajdowałem nieraz filiżankę z blanszem na gotowalni[681], ale dlatego, iż wszedłszy raz rano do jego pokoju, zastałem go czyszczącego paznokcie małą umyślnie sporządzoną szczoteczką, którą to czynność prowadził dalej dumnie wobec mnie. Poczciwy Gauffecourt, który miał język dość cięty, nazywał go wcale zabawnie „Tyran Biały"[682].

Wszystko to były jeno śmiesznostki, ale bardzo antypatyczne dla mej natury. Zaczęły one wreszcie budzić we mnie podejrzenie co do jego charakteru. Trudno mi było uwierzyć, aby człowiek, który zdolny jest zawrócić sobie w głowie w ten sposób, mógł zachować mimo to serce nieskażone. Grimm niczym się tak nie szczycił jak tkliwością duszy i siłą uczucia. W jaki sposób mogłoby się to zgodzić z przywarami właściwymi jedynie małym duszom? W jaki sposób żywe i ustawiczne wybuchy, w których wrażliwe serce wyrywa się poza siebie, mogłyby mu pozwolić na tyle nieustannych starań około swej małej osoby? Ech! Boże! Ten, kto czuje, iż serce jego płonie tym niebiańskim ogniem, sili się wylać je na zewnątrz i pragnie odsłonić swe wnętrze; chciałby serce pomieścić na twarzy; nie przyjdzie mu na myśl szukać innej barwiczki.

Przypominam sobie streszczenie jego zasad moralnych, które przedstawiła mi pani d'Epinay i które przyjęła za swoje. Streszczenie to zasadzało się na jednym prawidle: a to, że jedynym obowiązkiem człowieka jest iść we wszystkim za skłonnościami serca. Zasada ta, kiedy ją usłyszałem, dała mi straszliwie do myślenia, mimo iż brałem ją wówczas jedynie

[676] *Mecenas*, właśc. *Gaius Cilnius Maecenas* (70–8 p.n.e.) — rzym. polityk i pisarz, doradca i przyjaciel cesarza Augusta, opiekun i protektor najsławniejszych poetów rzymskich: Horacego, Owidiusza, Wergiliusza; jego nazwisko stało się synonimem patrona sztuki, literatury lub nauki. [przypis edytorski]

[677] *parweniusz* — dorobkiewicz, który dostał się do wyższej klasy i nieumiejętnie naśladuje osoby z tej klasy. [przypis edytorski]

[678] *fuma* — próżność, nadętość, zarozumiałość, fochy; dziś tylko w lm: fumy. [przypis edytorski]

[679] *przekwint* (daw.) — przesadny wykwint, nadmierna wytworność. [przypis edytorski]

[680] *blansz* (daw., z fr.) — biały puder do cery, bielidło. [przypis edytorski]

[681] *gotowalnia* (daw.) — stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

[682] *Tyran Biały* — żartobliwe nawiązanie do Tyranta Białego, bohatera jednego z romansów rycerskich, którymi zachwycał się Don Kichot (Miguel de Cervantes, *Don Kichot z La Manchy*, ks. II, rozdz. V; ks. V, rozdz. I). [przypis edytorski]

za igraszkę mózgu. Ale niebawem spostrzegłem, iż zasada ta jest w istocie programem jego postępowania; w dalszym ciągu zaś aż nadto przekonałem się o tym swoim kosztem. Jest to owa „doktryna wewnętrzna", której mi nigdy nie wyjaśnił.

Przypomniałem sobie, iż już przed kilku laty ostrzegano mnie często, że to jest człowiek fałszywy, że tylko udaje sercowego, a zwłaszcza, że mnie nie lubi. Przypomniałem sobie anegdoty, jakie opowiadali mi w tym duchu Francueil i pani de Chenonceaux. Żadne z obojga nie szacowało go wysoko, a musieli go znać, skoro pani de Chenonceaux była córką pani de Rochechouart, bliskiej przyjaciółki nieboszczyka hrabiego de Friès̀e, Francueil zaś, bardzo wówczas zażyły z wicehrabią de Polignac, wiele przebywał w Palais-Royal w epoce, gdy Grimm zaczynał się tam wciskać[683]. Cały Paryż pełen był opowiadań o jego rozpaczy po śmierci hrabiego de Friès̀e. Chodziło o podtrzymanie reputacji, którą sobie stworzył po srogościach panny Fel. Lepiej niż ktokolwiek inny mogłem widzieć całe błazeństwo jego ówczesnego postępowania, gdybym był mniej zaślepiony. Trzeba go było gwałtem wlec do pałacu de Castries, gdzie godnie odegrał swą rolę, zatopiony w śmiertelnej zgryzocie. Tam co rano szedł do ogrodu wypłakać się do woli, trzymając przy oczach chustkę zwilżoną łzami, póki go ktoś mógł widzieć z pałacu; ale na skręcie alei ludzie, którzy przyglądali mu się niepostrzeżenie, zauważyli, że natychmiast chował chustkę do kieszeni i wyjmował książkę. Spostrzeżenie to obiegło rychło Paryż, ale równie szybko poszło w niepamięć. Ja sam zapomniałem o nim; pewien fakt, odnoszący się do mnie, przypomniał mi je. Leżałem ciężko chory w łóżku, przy ulicy de Grenelle; Grimm był na wsi. Jednego rana przybiegł, zdyszany, odwiedzić mnie, powiadając, iż wrócił w tej chwili do miasta; wkrótce potem dowiedziałem się, że wrócił poprzedniego dnia i że tegoż samego wieczora widziano go w teatrze.

Przypominam sobie tysiąc faktów tego rodzaju; ale spostrzeżenie, które ku memu zdziwieniu uczyniłem dopiero tak późno, uderzyło mnie bardziej niż wszystko inne. Zapoznałem go z wszystkimi mymi bliskimi bez wyjątku; wszyscy stali się jego przyjaciółmi. Tak ciężko mi było rozłączać się z nim, że z trudnością zgodziłbym się bywać w domu, do którego on nie miałby wstępu. Jedynie pani de Créqui wzdragała się go dopuścić, jakoż od tego czasu przestałem bywać u niej prawie zupełnie. Grimm ze swej strony nawiązał inne stosunki, tak własnym przemysłem, jak z poręki hrabiego de Friès̀e. Z wszystkich tych jego przyjaciół żaden nie stał się moim; nigdy Grimm nie odezwał się ani słowem, aby mnie zachęcić bodaj do poznania ich; a jeśli przypadkiem zdybałem kogoś u niego, nigdy nie spotkałem się z najlżejszym objawem przychylności z czyjejkolwiek strony. Nawet hrabia de Friès̀e, u którego Grimm mieszkał i z którym tym samym bardzo byłoby mi miło nawiązać stosunki, ani krewny jego hrabia de Schomberg, z którym Grimm był jeszcze poufalej, nie okazali mi najmniejszej zachęty w tej mierze.

Więcej jeszcze: moi właśni przyjaciele, z którymi go zapoznałem i którzy wszyscy przed tą znajomością serdecznie byli do mnie przywiązani, zmienili się wybitnie dla mnie od tej pory. On nie zbliżył mnie nigdy z żadnym ze swych przyjaciół; ja jego ze wszystkimi; i w końcu on wszystkich ich odstręczył ode mnie. Jeżeli to są objawy przyjaźni, jakże się będzie objawiała nienawiść?

Diderot sam w początkach ostrzegł mnie kilka razy, że Grimm, którego obdarzam takim zaufaniem, nie jest mi życzliwy. Później co prawda odmienił sposób mówienia, wówczas kiedy sam przestał mi być przyjacielem.

Sposób, w jaki rozporządziłem dziećmi, nie wymagał niczyjej pomocy. Powiadomiłem wszelako o nim mych przyjaciół, jedynie aby być szczerym wobec nich i aby nie wydawać się w ich oczach lepszym niż jestem. Przyjaciół tych było troje: Diderot, Grimm, pani d'Epinay; Duclos, najbardziej godny mego zaufania, był jedynym, któremu się nie zwierzyłem. Dowiedział się wszelako; przez kogo, nie wiem. Nie jest prawdopodobne, aby ta niedyskrecja wyszła od pani d'Epinay, która wiedziała, iż idąc za jej przykładem, gdybym był do tego zdolny, miałem w ręku środki, aby się okrutnie zemścić. Zostają Grimm i Diderot, wówczas tak zespoleni w tylu rzeczach, zwłaszcza przeciw mnie, iż więcej niż prawdopodobnym jest, że zbrodnia ta była im wspólna. Założyłbym się, że

[683] *przebywał w Palais-Royal w epoce, gdy Grimm zaczynał się tam wciskać* — po śmierci swojego pracodawcy, hrabiego de Friès̀e, Grimm został sekretarzem księcia Ludwika Filipa Orleańskiego, który mieszkał w Palais-Royal, rodowej siedzibie orleańskiej linii Burbonów. [przypis edytorski]

Duclos, któremu nie zwierzyłem mego sekretu i który tym samym miał wobec mnie wolną rękę, jest jedynym, który mi go dochował.

Grimm i Diderot, pracując nad tym, aby oddalić ode mnie moje „gospodynie", czynili, co mogli, aby Duclosa wciągnąć do swych planów: odsuwał zawsze ze wzgardą te próby. Dopiero później dowiedziałem się od niego o wszystkim, co zaszło między nimi w tym względzie; ale wówczas wiedziałem już dosyć od Teresy, aby poznać, że kryje się w tym jakiś tajemny zamiar i że chciano rozrządzić mną, jeżeli nie wbrew mej woli, to w każdym razie bez mej wiedzy lub też chciano się posłużyć tymi dwiema osobami jako narzędziem dla jakichś ukrytych zamiarów. Całego tego postępowania nie można z pewnością nazwać szczerym. Odmowa Duclosa dowodzi tego nieodparcie. Niech kto chce wierzy, że to była przyjaźń.

Tajemnica

Ta rzekoma przyjaźń była mi równie zgubną na wewnątrz jak i na zewnątrz. Długie i częste rozmowy z panią Le Vasseur, prowadzone od wielu lat, zmieniły wyraźnie tę kobietę w stosunku do mnie, a zmiana z pewnością nie była na mą korzyść. Co oni knuli w czasie tych osobliwych sam na sam? Dlaczego ta głęboka tajemnica? Czy pogawędka z tą starą kobietą miała tyle uroku, aby się tak o nią zabiegać? Czy była tak ważna, by czynić z niej taką tajemnicę? Przez kilka lat, od których trwały te konszachty, wydawały mi się one tylko śmieszne; skoro później objąłem je myślą wstecz, zacząłem się im dziwić. Zdumienie to byłoby się posunęło aż do niepokoju, gdybym wiedział już wówczas, co ta kobieta mi gotuje.

Mimo rzekomego oddania mi, jakim Grimm popisywał się wobec ludzi, a które trudno było pogodzić z tonem, który przybierał wobec mnie, nie doświadczyłem z jego strony niczego, co by mi wyszło na korzyść; a współczucie, jakim się chlubił, nie tyle zmierzało ku temu, aby mi pomóc, co aby mnie poniżyć. Odbierał mi nawet, o ile to było w jego mocy, rzemiosło, które sobie obrałem, okrzykując mnie wszędzie jako złego kopistę; przyznaję zresztą, że mówił prawdę, ale nie jemu przystało ją głosić. Dawał dowody, że to nie żart, posługując się sam innym kopistą i nie zostawiając mi żadnego z klientów, których mógł odstręczyć. Można by myśleć, iż zamiarem jego było uczynić mnie, wprost co do środków egzystencji, zależnym od niego i od jego wpływów oraz zatamować mi jej źródło, póki nie dojdę do tej ostateczności.

Zebrawszy to wszystko, rozsądek kazał zmilczeć wreszcie głosowi dawnej sympatii, który odzywał się jeszcze. Osądziłem charakter tego człowieka jako co najmniej bardzo podejrzany, przyjaźń zaś jako fałszywą. Postanowiwszy ostatecznie z nim zerwać, uprzedziłem o tym panią d'Epinay, popierając swą decyzję licznymi faktami nie znoszącymi repliki, ale które uleciały mi już z pamięci.

Pani d'Epinay zwalczała silnie to postanowienie, nie bardzo wiedząc, co przeciwstawić racjom, na których było oparte. Nie porozumiała się jeszcze z Grimmem; ale nazajutrz, zamiast rozmówić się ustnie, oddała mi list bardzo zręczny, który wypracowali razem, a w którym, nie wchodząc w szczegóły żadnego faktu, usprawiedliwiała Grimma właściwościami jego charakteru; wreszcie, wyrzucając mi, iż mogłem go posądzić o nieszczerość, napominała, abym się z nim pojednał. List ten zachwiał mnie. W rozmowie, którą mieliśmy później, a w której zastałem panią d'Epinay lepiej przygotowaną niż za pierwszym razem, do reszty dałem się zwyciężyć. Zacząłem przypuszczać, że mogłem go źle osądzić i że w takim razie dopuściłem się istotnie wobec przyjaciela ciężkiej winy, którą winienem naprawić. Słowem — tak jak już kilka razy zrobiłem z Diderotem, z baronem d'Holbach — wpół dobrowolnie, wpół ze słabości, poczyniłem wszystkie pojednawcze kroki, których ja sam miałbym prawo wymagać; poszedłem do Grimma, jak drugi Grzegorz Dandin[684], przeprosić go za zniewagi, które on mi wyrządził. Działałem w tym fałszywym przekonaniu, które kazało mi w życiu ścierpieć tyle upodleń wobec mych rzekomych przyjaciół, iż nie ma nienawiści, której by się nie rozbroiło siłą łagodności i dobrego postępowania, podczas gdy, przeciwnie, nienawiść złych rośnie jeszcze w poczuciu niemożności znalezienia dla niej słusznych przyczyn, a świadomość własnej niesprawiedliwości staje się jedynie jednym zarzutem więcej przeciw temu, kto jest jej przedmiotem. Mam we własnych mych dziejach bardzo silny dowód tego pewnika

[684] *Grzegorz Dandin* — tytułowy bohater komedii Moliera *George Dandin* (w przekładzie polskim *Grzegorz Dyndała*), który, naciskany przez teściów, przepraszał kochanka swojej żony. [przypis edytorski]

w Grimmie i w panu Tronchin, którzy stali się obaj mymi nieubłaganymi nieprzyjaciółmi z dobrej woli, z upodobania, z kaprysu, bez jakiejkolwiek przewiny z mej strony wobec którego z nich[685]; wściekłość zaś tej nienawiści wzmaga się z każdym dniem, jak u tygrysów, przez łatwość, z jaką przychodzi im ją sycić.

Spodziewałem się, iż, zawstydzony mą pojednawczością i pierwszym krokiem z mej strony, Grimm przyjmie mnie z otwartymi ramionami i z najtkliwszym wylaniem. Przyjął mnie jak cesarz rzymski, z wyniosłością, jakiej nigdy nie widziałem u nikogo. Nie byłem zgoła przygotowany na takie powitanie. Kiedy, zakłopotany tak mało dla mnie odpowiednią rolą, objaśniłem w niewielu słowach i nieśmiało przedmiot, który mnie sprowadza, Grimm, zanim mnie przypuścił z powrotem do łaski, wygłosił z wielkim majestatem długą, zawczasu obmyśloną mowę, która zawierała bogaty prospekt jego rzadkich cnót, zwłaszcza w przyjaźni. Położył nacisk na rzecz, która uderzyła mnie zaraz w pierwszej chwili: mianowicie że — jak wszyscy widzą — zachowuje niezmiennie tych samych przyjaciół. Słysząc to, uczyniłem sobie po cichu uwagę, że byłoby bardzo bolesnym dla mnie, gdybym ja miał stanowić w tej regule jedyny wyjątek. Powracał do tego punktu tak często i z taką lubością, że pomyślałem sobie, iż gdyby zasada ta płynęła jedynie ze skłonności serca, nie zwracałby na nią tyle uwagi; sądzę, iż raczej czynił z niej sobie metodę użyteczną dla widoków pięcia się w górę. Aż do tej pory ja byłem w tym samym położeniu: zachowałem wszystkich przyjaciół; od najwcześniejszego dziecięctwa nie straciłem ani jednego, chyba przez śmierć. Mimo to aż dotąd nawet nie zwróciłem uwagi na tę okoliczność; nie była to zasada, którą bym sobie przepisał. Skoro więc było to zaletą wspólną nam obu, dlaczegóż on chełpił się nią z takim natręctwem, jeśli nie dlatego, że już z góry pragnął mi ją odjąć? Starał się następnie upokorzyć mnie dowodami pierwszeństwa, jakie wspólni przyjaciele dawali mu nade mną. Wiedziałem o tym równie dobrze jak on; chodziło jedynie o to, w jaki sposób uzyskał to pierwszeństwo: czy siłą swych cnót, czy zręcznością, wywyższając samego siebie lub starając się mnie poniżyć? Wreszcie, kiedy do syta zaznaczył całą przepaść między nami, dodając w ten sposób ceny łasce, którą mi miał wyświadczyć, użyczył mi pocałunku pokoju w formie lekkiego uścisku, podobnego do gestu, jakim król obejmuje świeżo pasowanych rycerzy. Miałem uczucie, że spadam z chmur, byłem oszołomiony, nie wiedziałem, co mówić, nie znajdowałem słowa. Cała ta scena robiła wrażenie reprymendy, jaką preceptor daje uczniowi, oszczędzając mu batoga. Ilekroć o tym myślę, zawsze na nowo czuję, jak mylne są sądy oparte na pozorach, do których pospolity ogół tyle przywiązuje wagi, i jak często pewność siebie i duma mieszczą się po stronie winowajcy, wstyd zaś i zakłopotanie po stronie niewinnego.

Pojednaliśmy się; była to zawsze ulga dla mego serca, które wszelkie nieporozumienia wtrącają w śmiertelny zamęt. Można się domyślić, że takie pojednanie nie zmieniło jego obejścia; odjęło mi jedynie prawo uskarżania się. Toteż postanowiłem cierpieć wszystko i nie mówić już nic.

Tyle utrapień, spadających cios po ciosie, wtrąciło mnie w przygnębienie, które nie zostawiło mi sił do odzyskania władzy nad samym sobą. Nie mając odpowiedzi od Saint-Lamberta, opuszczony przez panią d'Houdetot, nie śmiejąc już otworzyć serca nikomu, zaczynałem się obawiać, zali uczyniwszy z przyjaźni bóstwo mego serca, nie strawiłem życia na składaniu ofiar chimerom. Po tych doświadczeniach zostało mi ze wszystkich stosunków jedynie dwu ludzi, którzy zachowali cały mój szacunek i których serce moje darzyło pełną ufnością: Duclos, którego od osiedlenia się w Pustelni straciłem z oczu, i Saint-Lambert. Sądziłem, iż nie mogę lepiej naprawić win wobec tego ostatniego, niż otwierając mu serce w całej pełni: postanowiłem uczynić przed nim szczerą spowiedź wszystkiego, co nie narażało jego kochanki. Nie wątpię, iż pomysł ten był jeszcze pułapką mej namiętności, która w ten sposób siliła się zadzierzgnąć nowy węzeł zbliżenia z ubóstwianą kobietą; ale to pewna, iż byłbym się rzucił w ramiona jej kochanka bez zastrzeżeń, że byłbym się zupełnie powierzył jego wskazówkom i posunął szczerość tak

[685] *w Grimmie i w panu Tronchin […] bez jakiejkolwiek przewiny z mej strony wobec którego z nich* — dałem temu ostatniemu przydomek „kuglarza" dopiero w długi czas po wybuchu jego jawnej nieprzyjaźni i po krwawych prześladowaniach, jakie wzniecił przeciwko mnie w Genewie i gdzie indziej. Usunąłem nawet ten przydomek, kiedy stałem się w zupełności ofiarą jego zabiegów. Niskie sposoby zemsty niegodne są mego serca, a nienawiść nigdy nie zdołała się w nim zagnieździć. [przypis autorski]

daleko, jak tylko możliwe. Byłem gotów napisać drugi list i jestem pewien, iż tym razem byłby mi odpowiedział, kiedy dowiedziałem się o smutnym powodzie jego milczenia. Pani d'Epinay powiadomiła mnie, że uległ atakowi paraliżu; pani d'Houdetot zaś, która sama rozchorowała się ze zmartwienia i nie była w stanie napisać do mnie natychmiast, doniosła mi w parę dni później z Paryża, gdzie bawiła wówczas, iż Saint-Lambert kazał się zawieźć do Aix-la-Chapelle[686], aby tam brać kąpiele. Nie mówię, że smutna ta wiadomość zmartwiła mnie w tym stopniu co ją; ale wątpię, aby ściśnięcie serca, o jakie mnie przyprawiła, było mniej dotkliwe niż jej boleść i łzy. Zmartwienie stanem przyjaciela, wzmożone obawą, czy jego niepokój nie przyczynił się do tego stanu, wzruszyło mnie więcej niż wszystko, czego dotąd doznałem; uczułem boleśnie, iż nie stało[687] mi już w szacunku dla siebie samego siły, której potrzebowałem, aby znieść tyle udręczeń. Na szczęście szlachetny przyjaciel nie zostawił mnie długo w tym przygnębieniu; nie zapomniał o mnie mimo swego ataku. Niebawem dowiedziałem się od niego samego, że uczucia jego, jak również stan zdrowia, osądziłem gorzej, niż były w istocie. Ale czas już przyjść do wielkiego przewrotu w mej doli; do katastrofy, która podzieliła moje życie na dwie tak odmienne części i która bardzo błahej przyczynie dała tak straszliwe skutki.

Jednego dnia, kiedy się tego najmniej spodziewałem, pani d'Epinay wezwała mnie nagle. Wchodząc, ujrzałem w jej oczach i odczułem w obejściu pomieszanie, które uderzyło mnie tym żywiej, ile że wejrzenie to nie było jej zwyczajne, nikt bowiem lepiej niż ona nie umiał panować nad fizjonomią i gestem. „Mój drogi przyjacielu — rzekła — jadę do Genewy; płuca moje są w niedobrym stanie, zdrowie moje podupadło do tego stopnia, iż nie zwlekając ani chwili trzeba mi odwiedzić i poradzić się Tronchina". Postanowienie to, powzięte tak nagle i właśnie z początkiem najniekorzystniejszej pory roku, zdumiało mnie tym więcej, iż kiedy dwa dni temu rozstawałem się z panią d'Epinay, nie było jeszcze mowy o niczym. Spytałem, kogo weźmie z sobą. Rzekła, iż bierze syna wraz z panem de Linant; po czym dodała od niechcenia: „A ty, mój odludku, nie wybrałbyś się także?". Ponieważ nie przypuszczałem, aby mówiła serio, świadoma, iż w porze roku, która nadchodziła, ledwie zdolny jestem wychodzić z pokoju, zacząłem żartować na temat użyteczności towarzystwa chorego dla eskorty drugiego chorego. Zdawało się, że pani d'Epinay też nie uważa swoich słów za formalną propozycję, tak iż niebawem nie było o tym mowy. Mówiliśmy jedynie o przygotowaniach do podróży, którymi zajęła się nader gorliwie, mając zamiar ruszyć najdalej do dwu tygodni.

Tajemnica, Plotka

Nie potrzebowałem rozwinąć zbyt wielkiej przenikliwości, aby zrozumieć, że podróż ta miała tajemną przyczynę, którą mi skrywano. Tajemnicę tę, która była w całym domu tajemnicą tylko dla mnie, zdradziła mi na drugi dzień Teresa, której udzielił wiadomości tej Teissier, marszałek dworu, który znowuż dowiedział się od panny służącej[688]. Mimo iż nie mam co do tego sekretu zobowiązań wobec pani d'Epinay, ponieważ nie posiadam go od niej, jest on zanadto związany z tymi, które wiem od niej wprost, abym go mógł od nich odłączyć; dlatego zamilczę o tym. Ale te tajemnice, które nigdy nie wyszły i nie wyjdą z moich ust ani spod mego pióra, były wiadome zbyt wielu osobom, aby mogły zostać nieznane w całym otoczeniu pani d'Epinay.

Powiadomiony o prawdziwej pobudce podróży, poznałem sekretny manewr nieprzyjacielskiej ręki w tym usiłowaniu zrobienia mnie opiekunem pani d'Epinay w podobnych okolicznościach; ale ona sama nalegała tak miękko, iż nadal nie przypisywałem wagi temu projektowi co do mej osoby. Śmiałem się jedynie w duchu z ładnej roli, jaką bym odegrał, gdybym popełnił to głupstwo, aby się jej podjąć. Zresztą, pani d'Epinay zyskała tylko na mej odmowie, zdołała bowiem wreszcie nakłonić męża, aby jej towarzyszył.

---

[686]*Aix-la-Chapelle* (fr.) — Akwizgran, Aachen, miasto uzdrowiskowe w Niemczech, przy granicy z Belgią i Holandią. [przypis edytorski]

[687]*stać* (daw.) — wystarczyć. [przypis edytorski]

[688]*podróż ta miała tajemną przyczynę (…) zdradziła mi na drugi dzień Teresa* — „tajemną przyczyną", jaką na wiarę insynuacji Teresy podejrzewa Rousseau, była rzekoma ciąża pani d'Epinay, której sprawcą miał być Grimm, a której za płaszczyk chciano jakoby użyć Russa. Pomijając, iż ta kombinacja wydaje się już na pierwszy rzut oka dość niedorzeczna, sama kwestia owej ciąży bynajmniej nie jest rozstrzygnięta; Faguet w świeżej swej monografii oświadcza się przeciwko niej, dokumentując obszernie swoje stanowisko; natomiast przypuszcza, iż chodziło tu o wspomnianą już chorobę pani d'Epinay, udzieloną jej przez męża. Faguet podkreśla z naciskiem, iż cały gmach podejrzeń, który tak bardzo boleśnie miał się zawalić na dalsze życie pisarza, zbudowany był na lokajskiej gadaninie, znoszonej skwapliwie do uszu pisarza przez Teresę. [przypis tłumacza]

W kilka dni później, otrzymałem od Diderota list, który przytoczę. List ten, złożony tylko we dwoje, tak że całe wnętrze można było bez trudu odczytać, przesłał mi pod adresem pani d'Epinay. Doręczenie powierzono panu de Linant, preceptorowi syna i konfidentowi matki. List

List Diderota (plik A, nr 52)

Przeznaczeniem moim jest kochać Cię i sprawiać Ci przykrość. Dowiaduję się, że pani d'Epinay jedzie do Genewy, nie słyszę zaś nic o tym, abyś się wybierał jej towarzyszyć. Mój przyjacielu, jeżeli jesteś rad z pani d'Epinay, trzeba z nią jechać; jeżeli nierad, tym bardziej trzeba jechać. Gniecie Cię ciężar zobowiązań, jakie masz wobec niej? Oto sposobność, aby się z nich wypłacić bodaj w części i sprawić sobie ulgę. Czy znajdziesz drugą sposobność w życiu, aby jej okazać swą wdzięczność? Jedzie do kraju, gdzie będzie zupełnie obca. Jest chora: będzie potrzebowała rozrywki i towarzystwa. Zima! Zapewne, mój przyjacielu. Skrupuły Twego zdrowia są może znacznie silniejsze, niż przypuszczam. Ale czy miewasz się gorzej dziś niż przed trzema miesiącami i niż będziesz się miał z początkiem wiosny? Czy za trzy miesiące odbyłbyś tę podróż wygodniej niż teraz? Co do mnie, wyznaję, iż gdybym nie mógł znieść jazdy powozem, wziąłbym kij w rękę i towarzyszyłbym jej piechotą. A przy tym czy nie lękasz się, że Twoje postąpienie będzie tłumaczone w ujemny sposób? Będą Cię posądzać o niewdzięczność lub o inną tajemną pobudkę. Wiem dobrze, że cokolwiek byś uczynił, będziesz miał zawsze za sobą świadectwo swego sumienia, ale czy samo to świadectwo wystarcza i czy wolno jest lekceważyć poza pewne granice sąd innych? Zresztą, mój przyjacielu, piszę ten list, aby mieć czyste sumienie wobec Ciebie i siebie. Jeżeli ci się nie podoba, rzuć go w ogień i niech nie będzie o tym mowy, tak jakbym w ogóle nie pisał. Pozdrawiam Cię, kocham i ściskam.

W miarę jak czytałem list, opanowała mnie furia gniewu, ćmienie w oczach, które ledwie pozwoliło mi go dokończyć. Mimo to niepodobna mi było nie zauważyć zręczności, z jaką Diderot przybiera tu na pozór ton bardziej łagodny, serdeczny, uprzejmiejszy niż w innych listach, w których tytułował mnie co najwyżej „drogim", nie racząc dawać mi miana przyjaciela. Łatwo poznałem rykoszet, jakim dostał mi się ten list, w którym nadpis[689], forma i droga dość niezręcznie ujawniały źródło natchnienia; zazwyczaj bowiem pisywaliśmy do siebie pocztą lub dyliżansem z Montmorency, i to był pierwszy i ostatni raz, że Diderot posłużył się tą drogą.

Kiedy pierwszy napad oburzenia pozwolił mi wziąć pióro w rękę, nakreśliłem spiesznie następującą odpowiedź. Zaniosłem ją natychmiast do Chevrette celem pokazania jej pani d'Epinay, której w mym ślepym gniewie chciałem ją przeczytać, zarówno jak list Diderota. List

Drogi przyjacielu, nie możesz znać ani siły zobowiązań, jakie mogę mieć wobec pani d'Epinay, ani stopnia, do jakiego mnie wiążą, ani czy ona istotnie potrzebuje mnie w tej podróży, ani czy pragnie, abym jej towarzyszył, ani czy możliwe jest mi to uczynić, ani racji, jakie mogę mieć, aby tego poniechać. Nie uchylam się od przedyskutowania z Tobą wszystkich tych punktów; ale nim to nastąpi, przyznaj, iż przepisywać mi tak stanowczo to, co powinienem uczynić, nie postarawszy się o dane do sądzenia o tym, przyznaj, drogi filozofie, znaczy wyrokować jak prosty świszczypała[690]. Gorsze w całej sprawie wydaje mi się to, że rada Twoja nie pochodzi od Ciebie. Pomijając, że wcale nie mam ochoty dać sobą powodować, pod Twoją firmą[691], osobom trzecim i czwartym, rykoszety tego rodzaju ujawniają, moim zdaniem, drogę niezbyt godną Twej szczerości; otóż, dobrze uczyniłbyś, i dla siebie, i dla mnie, wstrzymując się od takich dróg na zawsze.

Obawiasz się, aby źle nie tłumaczono mego postępowania; ale wyzywam serce takie jak Twoje, czy ośmieli się myśleć źle o moim sercu. Inni być może

[689] *nadpis* — to, co jest napisane nad tekstem, nagłówek. [przypis edytorski]

[690] *świszczypała* — człowiek lekkomyślny, nieodpowiedzialny. [przypis edytorski]

[691] *firma* — przen.: nazwisko osoby mającej ustaloną reputację, dobrą sławę w jakiejś sprawie. [przypis edytorski]

mówiliby o mnie lepiej, gdybym był do nich podobniejszy. Niech mnie Bóg chroni od ich uznania! Niechaj źli szpiegują i tłumaczą moje kroki, Rousseau nie jest stworzony na to, aby się ich obawiać, a Diderot, aby im dawać ucho.

Jeżeli twój bilecik nie spodoba mi się, piszesz, abym go wrzucił w ogień i aby nie było już o nim mowy. Czy myślisz, że zapomina się w ten sposób coś, co pochodzi od Ciebie? Mój drogi, równie tanio załatwiasz się w przykrościach, które mi sprawiasz, z mymi łzami, jak z życiem moim i zdrowiem w trudach, które zalecasz mi podjąć. Gdybyś mógł poprawić się z tego, przyjaźń Twoja byłaby mi słodsza, a ja sam mniej byłbym godzien pożałowania.

Wchodząc do pokoju pani d'Epinay, zastałem tam i Grimma, z czego byłem bardzo rad. Przeczytałem im głośno i wyraźnie, z męstwem, jakiego bym w sobie nie przypuszczał, oba listy; skończywszy zaś, dorzuciłem kilka słów, ujawniających tym dobitniej moją opinię. Po tym akcie odwagi, nieoczekiwanej ze strony tak lękliwego człowieka, ujrzałem, że oboje stoją przygnieceni do ziemi, ogłuszeni, niezdolni wymówić słowa. Ujrzałem zwłaszcza tego wyniosłego człowieka, jak spuszcza oczy w dół i nie śmie wytrzymać iskier mego spojrzenia: ale w tejże samej chwili w głębi serca poprzysiągł mą zgubę i jestem pewien, że uradzili ją, nim się rozstali.

W tym samym mniej więcej czasie otrzymałem wreszcie przez panią d'Houdetot odpowiedź Saint-Lamberta (plik A, nr 57), datowaną jeszcze z Wolfenbutel, w niewiele dni po jego wypadku; była to odpowiedź na mój list, który znacznie zapóźnił się w drodze. Przyniosła mi pociechę, której bardzo potrzebowałem w tej chwili, a to dzięki dowodom szacunku i przyjaźni, których list był pełny, a które dały mi siłę i odwagę, aby na nie zasłużyć. Od tej chwili nie zboczyłem ani na moment z drogi obowiązku; ale to pewna, iż gdyby Saint-Lambert okazał się mniej rozsądnym, mniej szlachetnym, mniej zacnym człowiekiem, byłbym zgubiony bez ratunku.

Czas stawał się przykry; wszyscy zaczęli się wynosić ze wsi. Pani d'Houdetot uwiadomiła mnie o dniu, w którym miała przybyć pożegnać się z doliną, i naznaczyła spotkanie w Eaubonne. Dzień ten zeszedł się przypadkowo z dniem, w którym pani d'Epinay opuszczała Chevrette, aby się udać do Paryża dla ostatecznych przygotowań podróży. Szczęściem, pojechała rano: miałem czas jeszcze, pożegnawszy ją, pospieszyć na obiad do jej bratowej. Miałem list Saint-Lamberta w kieszeni; idąc, odczytałem go wiele razy. List ten posłużył mi za tarczę przeciw mej słabości. Postanowiłem widzieć odtąd w pani d'Houdetot jedynie przyjaciółkę i kochankę mego przyjaciela, i dotrzymałem tego. Spędziłem z nią kilka godzin sam na sam w rozkosznym spokoju, o wiele przewyższającym, nawet co do stopnia upojenia, owe napady gorączkowego szału, jakich doznawałem aż dotąd obok niej. Ponieważ wiedziała aż nadto, iż serce moje się nie zmieniło, umiała ocenić wysiłki, jakich dołożyłem, aby się zwyciężyć; to podwoiło jej szacunek, z przyjemnością spostrzegłem, że przyjaźń jej nie wygasła. Oznajmiła mi bliski powrót Saint-Lamberta, który mimo iż dość dobrze wyleczony ze swego napadu, nie był już zdolny ponosić trudów wojennych i rzucał służbę, aby żyć spokojnie obok niej. Snuliśmy urocze projekty bliskiego pożycia we troje i mogliśmy żywić nadzieję, że wykonanie tego zamiaru będzie trwałe, zważywszy, że wszystkie uczucia zdolne kojarzyć tkliwe i zacne serca stanowiły jego podstawę i że łączyliśmy we troje dosyć talentów i wiadomości, aby wystarczyć samym sobie i nie czuć potrzeby nikogo obcego. Niestety! Oddając się nadziei tak lubego życia, nie myślałem o tym, jakie czeka mnie w istocie.

Rozmawialiśmy następnie o mym obecnym położeniu wobec pani d'Epinay. Pokazałem list Diderota i moją odpowiedź; opowiedziałem wszystko, co zaszło, i oznajmiłem zamiar opuszczenia Pustelni. Pani d'Houdetot sprzeciwiała się temu żywo i wytoczyła racje wszechpotężne dla mego serca. Wyznała mi, jak bardzo by pragnęła, abym odbył tę podróż do Genewy, przewidując, iż nie omieszkano by wplątać jej samej w przyczyny mej odmowy: co w istocie list Diderota zdawał się z góry zapowiadać. Mimo to, ponieważ znała moje pobudki równie dobrze jak ja sam, nie nalegała co do tego punktu; ale zaklinała, aby za wszelką cenę unikać wszelkiego rozgłosu. Zaleciła mi, abym się starał złagodzić mą odmowę za pomocą racji dość prawdopodobnych, aby oddalić niesłuszne przypuszczenia co do jej udziału w tej sprawie. Oświadczyłem, iż nakłada mi nielekkie zadanie; ale że w gotowości odpokutowania win, bodaj za cenę własnej reputacji, nie

Honor

zawaham się poświęcić jej dla dobra opinii pani d'Houdetot, we wszystkim, co honor pozwoli mi ścierpieć. Niebawem okaże się, czy umiałem dopełnić zobowiązania.

Mogę przysiąc, iż nie tylko moja nieszczęsna namiętność nie straciła nic ze swej siły, ale że, przeciwnie, nigdy nie kochałem mojej Zofii tak żywo, tak czule jak właśnie tego dnia. Ale tak silne było wrażenie, jakie sprawił na mnie list Saint-Lamberta, poczucie obowiązku i wstręt do przewrotności, iż przez cały czas tego widzenia zmysły zostawiły mnie w zupełnym spokoju; nawet nie miałem pokusy pocałowania jej w rękę. Kiedym odchodził, uściskała mnie wobec służby. Pocałunek ów, tak różny od tych, które wydarłem jej niekiedy w gaiku, był mi rękojmią, iż odzyskałem panowanie nad sobą. Jestem prawie pewny, iż, gdyby serce moje miało czas umocnić się w spokoju, nie byłoby mi trzeba ani trzech miesięcy, aby się wyleczyć doszczętnie.

Tu kończą się moje osobiste stosunki z panią d'Houdetot. Każdy może oceniać je z pozorów, wedle natury własnego serca; ale namiętność, którą tchnęła we mnie ta urocza kobieta, namiętność najżywsza może, jaka kiedykolwiek gościła w sercu człowieka, będzie się zawsze szczyciła, wobec nieba i samej siebie, rzadkimi i uciążliwymi poświęceniami, jakie ponieśliśmy oboje dla obowiązku, honoru, miłości i przyjaźni. Staliśmy nadto wysoko wzajem w swoich oczach, aby się łatwo móc poniżyć. Trzeba być niegodnym wszelkiego szacunku, aby się zgodzić na utratę szacunku tak wysokiej ceny; sama potęga uczuć, które mogły nas przywieść do grzechu, nie pozwoliła, abyśmy go popełnili.

W ten sposób, po tak długiej przyjaźni dla jednej, a tak żywej miłości do drugiej z tych kobiet, pożegnałem się z nimi oddzielnie tegoż samego dnia: z jedną, aby jej już nie ujrzeć w życiu, z drugą, aby ją ujrzeć już tylko dwa razy, w okolicznościach, które opowiem później.

Po ich wyjeździe znalazłem się w wielkim kłopocie: jak spełnić tyle zobowiązań naglących a sprzecznych, wynikłych z mej nieopatrzności? Gdybym się znajdował w naturalnym stanie, wystarczyłoby mi po propozycji i odmowie podróży do Genewy nie mieszać się nadal do tego i wszystkiemu byłby koniec. Ale ja, przez głupotę, uczyniłem z tego sprawę, która nie mogła zostać bez jakiegoś rozwiązania. Niepodobna było uchylić się od wszelkich wyjaśnień inaczej, jak tylko opuszczając Pustelnię: otóż, przyrzekłem właśnie pani d'Houdetot, że tego nie uczynię, przynajmniej nie w tej chwili. Co więcej, żądała, abym usprawiedliwił wobec mych rzekomych przyjaciół odmowę tej podróży, iżby nie przypuszczano, że ona jest tej odmowy pobudką. Nie mogłem wszelako zarazem przytoczyć prawdziwej przyczyny bez ubliżenia pani d'Epinay, wobec której po wszystkim, co dla mnie uczyniła, miałem niewątpliwie obowiązki wdzięczności. Wszystko zważywszy, znalazłem się w twardej, ale nieuchronnej konieczności uchybienia pani d'Epinay, pani d'Houdetot albo sobie. Obrałem to ostatnie. Obrałem śmiało, stanowczo, bez wykrętów, z wielkodusznością godną niewątpliwie zmyć błędy, które doprowadziły mnie do tej ostateczności. Poświęcenie to, z którego nieprzyjaciele moi umieli wyciągnąć korzyść, którego czekali może, sprowadziło zgubę mej reputacji i odjęło mi, dzięki ich staraniom, publiczny szacunek; ale wróciło mi własny i pocieszyło mnie w nieszczęściach. Nie pierwszy to raz, jak się okaże, uczyniłem podobne poświęcenie ani też nie ostatni raz skorzystano zeń, aby mnie pognębić. Grimm był jedynym, który zdawał się nie mieć żadnego udziału w tej sprawie; do niego tedy postanowiłem się zwrócić. Napisałem długi List list, w którym przedstawiłem całą śmieszność czynienia mi rzekomego obowiązku z tej podróży do Genewy, bezużyteczność, kłopotliwość nawet mego towarzystwa dla pani d'Epinay, a równocześnie ciężary, jakie wynikłyby stąd dla mnie samego. Nie oparłem się w tym liście pokusie, aby Grimmowi dać do zrozumienia, że wiem o wszystkim i że wydaje mi się co najmniej osobliwe, abym ja musiał podjąć tę podróż, podczas gdy on sam uchyla się od niej i nikt nawet nie czyni o nim wzmianki. Ten list, w którym, nie mogąc jasno powiedzieć swoich racji, byłem zmuszony uciekać się często do kołowań, ściągnąłby na mnie w oczach publiczności pozory raczej ujemne; ale dla ludzi, którzy jak Grimm byli świadomi faktów, które przemilczałem, a które usprawiedliwiały w całej pełni moje postępowanie, mógł być wzorem powściągliwości i dyskrecji. Nie lękałem się nawet wprowadzić jeszcze jednego motywu na swoją niekorzyść, przypisując zdanie Diderota innym mym przyjaciołom i dając do zrozumienia, że pani d'Houdetot zapatrywała się tak samo, co było prawdą, ale zamilczając, iż wysłuchawszy mych racji, zmieniła zda-

nie. Nie mogłem lepiej oczyścić jej z podejrzenia zmowy, niż okazując się na tym punkcie niezadowolony z jej stanowiska.

List kończył się aktem ufności, którą każdy inny uczułby się wzruszony; wzywając Grimma, aby rozważył moje racje i aby mi potem objawił swe zdanie, oznajmiałem mu, iż zdanie to, bez względu jak wypadnie, będzie dla mnie rozstrzygające. Taką w istocie była moja intencja, nawet gdyby oświadczył się za podróżą; albowiem wobec tego, iż pan d'Epinay podjął się towarzyszyć żonie, rola moja stawała się zupełnie odmienna: podczas gdy zrazu mnie chciano uczynić kozłem ofiarnym i pomyślano o nim dopiero po mej odmowie.

Odpowiedź Grimma przyszła dość nierychło, a brzmiała nader osobliwie. Przytoczę ją tutaj (plik A, nr 59). List

Wyjazd pani d'Epinay odłożony; syn jej zachorował i trzeba czekać aż wydobrzeje. Zastanowię się nad Twym listem; na razie siedź spokojnie w Pustelni. Zawiadomię Cię w swoim czasie o mym zdaniu. Ponieważ pani d'Epinay stanowczo nie wyjedzie przed upływem kilku dni, nic nie nagli. Na razie, jeżeli uważasz za stosowne, możesz jej przedstawić swoją gotowość, jakkolwiek wydaje mi się to dosyć obojętne; znając bowiem Twoje położenie równie dobrze jak Ty sam, nie wątpię, że odpowie na Twą ofiarę tak, jak powinna. Jedyny zysk z tego obrotu, to iż będziesz mógł powiedzieć tym, co Cię przyciskają do muru, że jeżeli nie pojechałeś, to nie z braku gotowości. Zresztą, nie widzę dlaczego chcesz bezwarunkowo, aby filozof był tu rzecznikiem całego świata, i ponieważ, jego zdaniem, powinieneś jechać, dlaczego przypuszczasz, że wszyscy przyjaciele rozumieją o tym tak samo? Jeżeli napiszesz do pani d'Epinay, odpowiedź jej może ci posłużyć za replikę wszystkim tym przyjaciołom, skoro tak Ci leży na sercu to, aby im zamknąć usta. Bądź zdrów, pozdrowienia pani Le Vasseur i Śledczemu[692].

Tknięty zdumieniem przy czytaniu tego listu, dociekałem z niepokojem, co by mógł oznaczać i nie mogłem odgadnąć. Jak to! Zamiast z całą prostotą odpowiedzieć na moje pismo, on żąda czasu do „zastanowienia" się nad nim, jak gdyby już ta zwłoka, która poprzedziła jego odpowiedź, nie była wystarczająca! Uprzedza mnie nawet, że decyzja jego odwlecze się jakiś czas, jak gdyby chodziło o głęboki problem do rozwiązania lub też jak gdyby ważnym było dla jego widoków odjąć mi wszelki sposób przeniknięcia jego zapatrywań aż do chwili, w której zechce mi je objawić. Co znaczą, ostatecznie, te ostrożności, odwłoki, tajemnice? Czy w ten sposób odpowiada się zaufaniu? Czy tak postępuje człowiek prosty i szczery? Szukałem na próżno jakiegoś usprawiedliwienia dla tego postępku i nie mogłem znaleźć. Jakikolwiek krył się pod nim zamiar, jeśli był przeciwny moim, położenie Grimma ułatwiało jego wykonanie, ja zaś nie miałem żadnego sposobu przeciwdziałania. Zażywający łask w domu możnego księcia, mile widziany w świecie, nadający ton towarzystwom, w których obracaliśmy się obaj, a których był wyrocznią, mógł ze zwykłą zręcznością kierować wedle upodobania całą akcją; podczas gdy ja, samotny w swej Pustelni, z dala od wszystkiego, bez niczyjej porady, bez styczności z nikim, nie miałem innej drogi, jak tylko czekać i siedzieć cicho. Napisałem jedynie do pani d'Epinay, z powodu choroby jej syna, list możliwie najbardziej przyjacielski, w którym wszelako strzegłem się wpaść w pułapkę i ani słowem nie ofiarowałem się z gotowością podróży.

Po wiekach oczekiwania w okrutnej niepewności, w jaką wtrącił mnie ten barbarzyński człowiek, dowiedziałem się, po upływie ośmiu czy dziesięciu dni, że pani d'Epinay wyjechała. Równocześnie otrzymałem od Grimma drugi list. Zawierał jedynie kilka wierszy, których nie zdołałem doczytać... Było to zerwanie, ale w słowach takich, które może podyktować jedynie najbardziej piekielna nienawiść i które nawet stawały się głupie przez to, iż chciały być dotkliwie obrażające. Bronił mi swego widoku, tak jakby mi bronił przystępu do swego państwa. List ten, gdybym był zdolny odczytać go z zimniejszą krwią, byłby mnie pobudził do serdecznego śmiechu. Nie przepisawszy go, nie dokończywszy nawet czytać, odesłałem go, dołączając tę odpowiedź:

[692] *pozdrowienia [...] Śledczemu* — stary Le Vasseur, którego żona trzymała dość krótko, nazywał ją „sędzią śledczym". Grimm dawał niekiedy żartem miano to córce, dla skrócenia zaś opuszczał pierwszy wyraz. [przypis tłumacza]

Opierałem się mej słusznej nieufności; obecnie, zbyt późno, poznaję Pana.

Oto więc list, na którego obmyślenie potrzebowałeś tyle czasu: zwracam go Panu; nie jest pisany do mnie. Co do mego listu, możesz go Pan pokazać całemu światu i nienawidzić mnie otwarcie; będzie to z Pańskiej strony jednym fałszem mniej.

Wzmianka, iż może pokazać moje poprzednie pismo, odnosiła się do jednego punktu jego listu, z którego będzie można osądzić głęboką przebiegłość, z jaką pokierował tą sprawą.

Wspomniałem, iż wobec ludzi nie obznajmionych z całą kwestią list mój mógł dostarczyć wiele argumentów przeciw mnie. Grimm spostrzegł to z radością; ale jak wyzyskać tę przewagę, nie narażając siebie? Pokazując list, ściągał na siebie zarzut, iż nadużył ufności przyjaciela. Aby wyjść z tego kłopotu, postanowił zerwać ze mną w sposób najbardziej dotkliwy i zaznaczyć w swoim liście łaskę, jaką mi czyni, iż nie pokazuje mego listu. Był zupełnie pewien, że w pierwszym porywie wzgardzę tą udaną dyskrecją i pozwolę mu pokazać mój list całemu światu. Tego właśnie pragnął i wszystko spełniło się tak, jak przygotował. Puścił w obieg mój list po całym Paryżu, z komentarzami swego wymysłu, które wszelako nie zyskały takiego sukcesu, jak sobie obiecywał. Uważano, iż pozwolenie pokazania listu, które ze mnie wycisnął, nie obmywa go z zarzutu, iż tak lekko wziął mnie za słowo, aby mi szkodzić. Pytano uporczywie, jakie są moje osobiste przewiny wobec niego, zdolne usprawiedliwić podobną nienawiść. Wreszcie uważano, że gdybym nawet ponosił winy, które kazałyby mu zerwać, przyjaźń, nawet wygasła, posiada jeszcze pewne prawa, i te prawa powinien był uszanować. Ale na nieszczęście Paryż jest lekki; doraźne refleksje rychło zacierają się w pamięci. Nieszczęsny nieobecny idzie w kąt, tryumfator narzuca się swą obecnością; intryga i złośliwość podają sobie ręce, ponawiają ataki i niebawem działanie ich, wciąż podejmowane na nowo, zaciera poprzednie wrażenia.

Oto jak, omamiwszy mnie na tak długo, człowiek ten zrzucił wreszcie maskę, przekonany, iż w stanie rzeczy, do którego doprowadził, już jej nie potrzebuje. Zwolniony od obawy skrzywdzenia we własnym sercu tego nędznika, zdałem go jego własnemu losowi i przestałem o nim myśleć. W tydzień po otrzymaniu tego listu nadeszła również od pani d'Epinay odpowiedź, datowana z Genewy, na mój poprzedni list (plik B, nr 10). Z tonu, jaki przybrała po raz pierwszy w życiu, zrozumiałem, iż oboje, licząc na powodzenie swego planu, działają w porozumieniu i że uważając mnie za człowieka zgubionego bez ratunku, oddają się już bez ryzyka przyjemności zdławienia mnie do reszty.

Stan mój, w istocie, był w najwyższym stopniu opłakany. Widziałem, iż wszyscy oddalają się ode mnie, nie mogłem zaś zrozumieć jak i dlaczego. Diderot, który chełpił się, że ostał się przy mnie, i to sam jeden, od trzech miesięcy przyrzekał mi swoje odwiedziny, ale nie przybywał. Nadchodziła zima, wraz z nią dawały mi się uczuć napady zwykłych cierpień. Natura moja, mimo iż silna, nie mogła wytrzymać starcia tylu sprzecznych namiętności: znajdowałem się w stanie wyczerpania, które nie zostawiało mi sił ani odwagi do jakiegokolwiek odporu. Gdyby moje zobowiązania, gdyby ustawiczne przedstawienia Diderota i pani d'Houdetot pozwoliły mi nawet w tej chwili opuścić Pustelnię, nie wiedziałem ani gdzie iść, ani jak się dowlec. Tkwiłem nieruchomy i ogłupiały, nie zdolny działać ani myśleć. Sama myśl o zrobieniu kroku, napisaniu listu, wyrzeczeniu słowa przyprawiała mnie o drżenie. Nie mogłem wszelako zostawić listu pani d'Epinay bez odpowiedzi; znaczyłoby to uznać się godnym obejścia, jakim ona i jej przyjaciel mnie sponiewierali. Postanowiłem zaznaczyć swoje uczucia i zamiary, nie wątpiąc ani na chwilę, iż ludzkość, wspaniałomyślność, przyzwoitość, dobre skłonności, jakich mimo wszystko dopatrywałem się w niej, każą pani d'Epinay bez wahania przychylić się do nich. Oto mój list.

Z Pustelni, 23 listopada 1757

Gdyby się umierało z boleści, już bym nie żył. Ale, ostatecznie, pogodziłem się z losem. Przyjaźń między nami wygasła; ale nawet przyjaźń umarła zachowuje jeszcze prawa, które umiem szanować. Nie zapomniałem dobroci

Pani dla mnie; może Pani liczyć z mej strony na całą wdzięczność, jaką można mieć dla kogoś, kogo nie wolno już kochać. Wszelkie inne wyjaśnienia byłyby zbyteczne: niech Panią sądzi sumienie; ja w moim jestem czysty.

Chciałem opuścić Pustelnię, i tak byłem powinien. Ale ludzie życzliwi mi twierdzą, iż trzeba zostać tu do wiosny; skoro przyjaciele moi tak sobie życzą, zostanę do wiosny, jeżeli Pani się zgodzi.

Napisawszy i wysławszy ten list, myślałem już tylko o tym, aby odzyskać spokój w Pustelni, pielęgnując swoje zdrowie, starając się odzyskać siły i przygotowując wszystko, aby ją opuścić na wiosnę, bez rozgłosu i bez pozorów zerwania. Ale taki obrót rzeczy nie był na rękę Grimmowi i pani d'Epinay, jak się pokaże za chwilę.

W kilka dni później spotkała mnie radość: odwiedziny Diderota tyle razy zapowiadane i znowuż odkładane, przyszły wreszcie do skutku. Nie mogły przyjść bardziej w porę. Był to mój najdawniejszy przyjaciel, jedyny prawie, który mi został; można osądzić, z jaką radością ujrzałem go w tych okolicznościach. Serce moje było pełne; wylałem je na jego sercu. Objaśniłem go co do wielu faktów, które mu zamilczano, przekręcano lub zmyślano. Powiadomiłem go o wszystkim, co się stało, o tyle, o ile mi wolno było mówić. Nie siliłem się zamilczeć tego, o czym wiedział aż nadto dobrze, iż miłość, równie nieszczęśliwa jak szalona, stała się narzędziem mej zguby; ale nie zdradziłem ni słowem, aby pani d'Houdetot wiedziała o niej lub przynajmniej, abym ja jej ją wyznał. Powiedziałem mu o niegodnych podstępach pani d'Epinay dla pochwycenia niewinnych listów, jakie pisała do mnie jej bratowa. Chciałem, aby dowiedział się tych szczegółów z własnych ust osób, które ta pani siliła się pozyskać dla swych planów. Teresa zeznała wszystko wiernie; ale któż wystawi sobie moje oburzenie, kiedy przyszła kolej na matkę i kiedy, w żywe oczy, oświadczyła i stwierdziła stanowczo, że o niczym podobnym nie wie! Tak rzekła i nie było sposobu wydobyć z niej czegokolwiek. Nie minęły jeszcze cztery dni, jak mnie samemu opowiedziała całą przygodę; i oto zadaje mi łgarstwo wobec przyjaciela! Ten rys dopełnił już miary; uczułem żywo, jak byłem nieostrożny, aby tak długo trzymać przy sobie taką kobietę. Nie zadałem sobie trudu potraktowania jej tak, jakby zasługiwała; ledwie raczyłem jej rzucić kilka słów wzgardy. Uczułem, ile winien jestem córce, której niezachwiana prawość odbijała tym silniej od niegodnej nikczemności matki. Ale od tej chwili postanowienie moje co do starej zapadło; czekałem już tylko chwili, aby je wykonać.

Chwila ta nadeszła wcześniej, niż się spodziewałem. 10 grudnia otrzymałem od pani d'Epinay odpowiedź na poprzedni list. Oto jej zawartość (plik B, nr 11).

Genewa, 1 grudnia 1757

Szereg lat dawałam Panu wszelkie dowody przyjaźni i życzliwości; obecnie zostaje mi jedynie ubolewać nad Panem. Jest Pan bardzo nieszczęśliwy. Pragnę, aby sumienie Pańskie było równie spokojne jak moje. Inaczej trzeba by mi się lękać o spokój Pańskiego życia.

Skoro chce pan opuścić Pustelnię, i skoro *powinieneś* to uczynić, dziwię się, iż przyjaciele Pańscy Go zatrzymują. Co do mnie, nie zwykłam radzić się nikogo w rzeczach tyczących się moich obowiązków, nie mam też Panu już nic do powiedzenia w kwestii Pańskich.

Wypowiedzenie domu tak niespodziane, ale wyrażone tak dobitnie, nie pozwoliło mi się wahać ani chwili. Trzeba było wynosić się natychmiast, bez względu na pogodę, na stan zdrowia, choćbym miał nocować w lesie i na śniegu, który wówczas pokrywał ziemię, i bez względu na to, co mogłaby myśleć i uczynić pani d'Houdetot. Byłem gotów poddać się jej woli we wszystkim, ale nie aż do upodlenia.

Nigdy w życiu nie znalazłem się w straszliwszym kłopocie; ale postanowienie moje było niezłomne; przysiągłem, iż cokolwiek się stanie, do tygodnia nie będzie mnie w Pustelni. Zabrałem się tedy do pakowania rzeczy, gotów zostawić je raczej w szczerym polu, niżbym miał nie zwrócić kluczy w ciągu tygodnia. Chciałem zwłaszcza, aby wszystko było dokonane, nim poczta zdąży zanieść jakikolwiek list do Genewy i przynieść stamtąd odpowiedź. Byłem pełen energii, jakiej w życiu nie odczuwałem; wróciła mi pełnia sił.

Godność moja i oburzenie dały mi hart, na który pani d'Epinay nie liczyła. Przypadek przyszedł z pomocą mej determinacji. Pan Mathas, fiskalny pełnomocnik księcia de Condé, usłyszał o mym kłopocie. Ofiarował mi domek, który posiadał w ogrodzie swoim w Mont-Louis, w Montmorency. Przyjąłem skwapliwie i z wdzięcznością. Niebawem załatwiłem potrzebne sprawunki; kupiłem naprędce kilka sprzętów, które, dołączone do naszych dawnych, pozwoliły mi, wraz z Teresą, rozpocząć nowe gospodarstwo. Kazałem przewieźć rzeczy z wielkim trudem i kosztem; mimo śniegu i gołoledzi przenosiny odbyły się w ciągu dwóch dni. Piętnastego grudnia oddałem klucze od Pustelni, pokrywszy zasługi ogrodnika, skoro nie mogłem zapłacić komornego.

Co do pani Le Vasseur, oświadczyłem jej, że trzeba nam się rozstać. Córka chciała mnie uprosić; byłem nieugięty. Wyprawiłem ją do Paryża dyliżansem pocztowym, wraz z wszystkimi rzeczami i sprzętami, które posiadała wspólnie z córką. Dałem jej nieco pieniędzy, zobowiązałem się płacić za nią komorne u jej dzieci lub gdzie indziej, jak również pomagać do egzystencji w granicach możności i nigdy nie dać jej cierpieć braku chleba, póki ja sam go będę miał.

Wreszcie na trzeci dzień po przybyciu do Mont-Louis, napisałem do pani d'Epinay następujący list:

Montmorency, 17 grudnia 1757

> Prostą i jasną rzeczą jest, łaskawa Pani, iż trzeba mi bezzwłocznie opuścić jej dom, skoro nie życzysz sobie, abym w nim został. Otrzymawszy wiadomość, iż nie godzi się Pani, bym spędził w Pustelni resztę zimy, opuściłem ją tedy 15 grudnia. Przeznaczeniem moim było zamieszkać tam wbrew mej woli i wyprowadzić się tak samo. Dziękuję pani za gościnę, jaką mi ofiarowałaś; dziękowałbym jeszcze bardziej, gdybym mniej drogo ją opłacił. Zresztą ma Pani rację, uważając mnie za nieszczęśliwego; nikt w świecie nie wie lepiej od Pani, jak bardzo w istocie nim jestem. Jeżeli nieszczęściem jest omylić się w wyborze przyjaciół, drugim, nie mniej okrutnym, jest ocknąć się z tak słodkiej omyłki.

Taką jest wierna opowieść mego pobytu w Pustelni i przyczyny, które kazały mi ją opuścić. Nie mogłem skrócić tego opowiadania; ważnym było przedstawić jego bieg z największą dokładnością, ile że ten okres mego życia miał na dalszy jego przebieg wpływ, który będzie sięgał aż do ostatniego mego dnia.

Księga X

(1758). Nadzwyczajne siły, które w chwili rozstania się z Pustelnią, czerpałem z przemijającego podniecenia, opuściły mnie natychmiast, skoro raz znalazłem się poza progiem. Ledwie rozgościłem się w nowym mieszkaniu, kiedy gwałtowne i częste ataki zatrzymania moczu powikłały się nowym niedomaganiem, mianowicie przepukliną, która dręczyła mnie od pewnego czasu, mimo że nie zdawałem sobie sprawy z jej istoty. Niebawem nawiedziły mnie najokrutniejsze przypadłości. Lekarz Thierry, dawny przyjaciel, odwiedził mnie i oświecił co do mego stanu. Sondy, katetery[693], bandaże, cały arsenał niedomagań wieku, dały mi twardo uczuć, że nie wolno mieć bezkarnie młodego serca, kiedy ciało przestało być młode. Nadejście pięknej pory nie wróciło mi sił; spędziłem cały ten rok 1758 w stanie osłabienia, które budziło we mnie myśl, iż dochodzę kresu mej drogi. Patrzałem na zbliżający się koniec prawie z upragnieniem. Otrzeźwiony z majaków przyjaźni, oderwany od wszystkiego, co mi czyniło życie drogim, nie widziałem przed sobą nic, co by mi je mogło uczynić przyjemnym; widziałem już same tylko nędze i niedole, które nie pozwalały mi cieszyć się sobą. Wzdychałem do chwili, w której stanę się wolny i umknę się swoim wrogom. Ale powróćmy do toku wydarzeń.

Zdaje się, że moje przeniesienie do Montmorency zaskoczyło panią d'Epinay: prawdopodobnie nie spodziewała się tego. Mój smutny stan, ostrość pory roku, powszechne

[693] *kateter* — cewnik, rurka wprowadzana do pęcherza w celu sztucznego odprowadzania moczu. [przypis edytorski]

opuszczenie, w jakim się znalazłem, wszystko to pozwalało jej przypuszczać, wraz z Grimmem, iż przywodząc mnie do ostateczności, zniewolą mnie do proszenia o łaskę i zniżenia się do najgorszych upodleń, byle mnie zostawiono w schronieniu, które honor nakazywał opuścić. Wyprowadziłem się tak nagle, iż nie mieli czasu uprzedzić tego ciosu. Z tą chwilą nie zostało im nic, jak tylko grać o podwójną stawkę: zgubić mnie do reszty, albo też starać się ściągnąć mnie z powrotem. Grimm obrał pierwszą drogę; ale sądzę, że pani d'Epinay byłaby wolała drugą; wnoszę to z jej odpowiedzi na mój ostatni list, w której złagodziła znacznie ton przybrany poprzednio i zdawała się otwierać furtkę dla pojednania. Długa odwłoka[694] tej ostatniej odpowiedzi, na którą kazała mi czekać cały miesiąc, dostatecznie wskazuje, w jakim kłopocie musiała się znaleźć, aby nadać zakończeniu sprawy przyzwoitą formę; sądzę też, że odpowiedź tę poprzedziła gruntowna narada. Nie mogła posunąć się dalej, nie narażając się: ale po poprzednich listach pani d'Epinay i po moim nagłym opuszczeniu domu uderzyć musi troskliwość, z jaką czuwa w całym liście, aby nie wtrącić ani jednego przykrego słowa. Przepiszę go w całości, aby czytelnik mógł osądzić (plik B, nr 23).

Genewa, 17 stycznia 1758

> List Pański z 17 grudnia otrzymałam dopiero wczoraj. Przesłano mi go w skrzynce pełnej rozmaitych rzeczy, która wędrowała cały ten czas. Odpowiem jedynie na przypisek; co do listu, nie rozumiem go dobrze; gdybyśmy znaleźli sposobność do wyjaśnień, rada byłabym wszystko, co zaszło, położyć na karb nieporozumienia. Wracam do przypisku. Przypomina Pan sobie zapewne, iż ułożyliśmy się, że zasługi ogrodnika Pustelni będą przechodzić przez Pańskie ręce, aby mu tym wyraźniej dać uczuć, że zależny jest od Pana, i aby Panu oszczędzić niedorzecznych i nieprzyzwoitych scen, na jakie sobie pozwalał jego poprzednik. Dowodem tego jest, iż pierwsze kwartały jego zasług oddano Panu do rąk i że ugodziliśmy się na krótki czas przed moim wyjazdem, iż odbierze Pan to, co Pan wyłożył. Wiem, że Pan czynił zrazu trudności w tej mierze; ale wszakże tych zaliczek udzielił Pan na moją prośbę, prostym było tedy, iż ja je pokryję; porozumieliśmy się zresztą co do tego punktu. Otóż Cahouet[695] donosi mi, że Pan nie chciał przyjąć pieniędzy. Jest w tym niewątpliwie jakieś nieporozumienie. Wysyłam równocześnie rozkaz, aby Panu wręczono tę kwotę, i nie rozumiem, dlaczego Pan chce płacić mego ogrodnika, wbrew umowie i nawet poza termin, do którego mieszkałeś w Pustelni. Spodziewam się tedy, iż przypomniawszy sobie wszystkie okoliczności, które miałam zaszczyt przytoczyć, nie odmówisz przyjęcia zwrotu sumy, jaką zechciałeś uprzejmie zaliczyć na mój rachunek.

Po wszystkim, co zaszło, nie mogąc już mieć zaufania do pani d'Epinay, nie chciałem wchodzić z nią w żadne stosunki; nie odpowiedziałem na list i korespondencja urwała się. Widząc, że decyzja moja jest niezłomna, i ona również zajęła zdecydowane stanowisko; wchodząc od tej chwili we wszystkie intencje Grimma i Holbachowskiej koterii, dołączyła swoje wysiłki do ich starań, aby mnie zepchnąć na dno. Podczas gdy oni pracowali w Paryżu, działała w Genewie. Grimm, który później pospieszył tam za panią d'Epinay, dokończył tego, co ona zaczęła. Tronchin, którego bez trudu przyszło im pozyskać, wspierał ich potężnie i stał się najzajadlejszym z moich prześladowców, mimo iż, podobnie jak Grimm, nie miał nigdy żadnego powodu do uskarżania się na mnie. Wszyscy troje jednomyślnie zasiali w Genewie ziarno, które, jak się pokaże, wzeszło w cztery lata później.

Trudniej przyszło im to w Paryżu, gdzie byłem więcej znany i gdzie serca, mniej skłonne do nienawiści, nie tak łatwo przyjęły zatrute podszepty. Aby tym zręczniej zadać cios, zaczęli od rozgłaszania, że to ja z nimi zerwałem (patrz list Deleyre'a, plik B, nr 30). Następnie, udając wciąż moich przyjaciół, rozsiewali zręcznie złośliwe oskarżenia, niby to skargi na niesprawiedliwość przyjaciela. Dzięki tej postawie łatwiej zdołali znaleźć posłuch

[694] *odwłoka* (daw.) — zwłoka, odłożenie sprawy. [przypis edytorski]
[695] *Cahouet* — główny nadzorca posiadłości pani d'Epinay. [przypis edytorski]

świata i skierować na mnie całe jego potępienie. Głuche oskarżenia o przewrotność i niewdzięczność, rzucane z wszelkimi pozorami dobroduszności, działały tym skuteczniej. Dowiedziałem się, iż obwiniają mnie o potworne niegodziwości, ale nigdy nie mogłem się dowiedzieć, na czym one polegają. Wszystko, co mogłem wyciągnąć z tych pogłosek, sprowadzało się do czterech kapitalnych zbrodni: 1° moje usunięcie się na wieś; 2° miłość do pani d'Houdetot; 3° odmowa towarzyszenia pani d'Epinay do Genewy; 4° opuszczenie Pustelni. Jeżeli dołączyli do tego inne zarzuty, wzięli się do tego tak zręcznie, iż wprost niepodobna mi było dowiedzieć się kiedykolwiek, co było ich przedmiotem.

Pod tą datą tedy mogę, jak sądzę, ustalić fundamenty systemu, przyjętego później przez tych, którzy rozrządzają mym losem. Postępy tej metody okazały się tak szybkie i skuteczne, iż wydawałyby się cudem dla kogoś, kto by nie wiedział, z jaką łatwością znachodzi[696] grunt to, co sprzyja złośliwości ludzkiej. Postaram się w krótkich słowach przedstawić wszystko, co zdołałem poznać z tego tajemnego i głębokiego systemu.

Posiadając nazwisko sławne już i znane w całej Europie, zachowałem prostotę pierwszych swych upodobań. Śmiertelna niechęć do wszystkiego, co nazywa się stronnictwem, koterią, kliką, zachowała mnie wolnym, niezależnym, bez żadnego łańcucha prócz węzłów serca. Sam, obcy, odosobniony, bez oparcia, rodziny, dzierżący się jeno zasad swych i obowiązków, szedłem nieustraszenie drogą cnoty, nie schlebiając, nie oszczędzając nigdy nikogo z ujmą dla sprawiedliwości i prawdy. Co więcej, usunąwszy się od dwóch lat w samotnię, bez styczności z nowinkami, bez stosunków ze sprawami świata, niczego nie świadom i nie ciekawy żyłem o cztery mile od Paryża, równie odcięty od tej stolicy przez swą obojętność, co gdybym znajdował się za oceanem, gdzieś na wyspie Tinian[697].

Nienawiść, Fałsz

Grimm, Diderot, d'Holbach, przeciwnie, w samym centrum ruchu, żyli i bywali w najszerszym świecie, i dzielili poniekąd między siebie wszystkie jego sfery. Wielcy panowie, pięknoduchy, literaci, dygnitarze, kobiety — wszyscy mieli dla nich ucho. Można ocenić przewagę, jaką to położenie daje trzem ludziom doskonale zjednoczonym przeciw czwartemu, w położeniu, w jakim ja się znalazłem. To prawda, że Diderot i d'Holbach nie byli (przynajmniej trudno mi w to uwierzyć) ludźmi zdolnymi do zbyt czarnych knowań; jeden nie miał po temu dość złośliwości, drugi sprytu; ale to właśnie czyniło skład tej kliki tym doskonalszym. Grimm sam jeden budował w głowie plan i odsłaniał zeń tamtym obu jedynie tyle, ile było trzeba dla współdziałania. Wpływ, jaki miał na nich, czynił udział ten nader łatwym, a skutek odpowiadał w zupełności uzdolnieniom jego w tej mierze.

Z tym to niepospolitym talentem, czując przewagę swej pozycji, powziął projekt obalenia mej reputacji od fundamentów do stropu i nie narażając się samemu, stworzenia mi wręcz przeciwnej opinii. Zaczął od tego, iż wzniósł dokoła mnie gmach ciemności; a uczynił to tak zręcznie, iż niepodobna mi było przeniknąć jego machinacji, aby je oświecić i zdemaskować.

Przedsięwzięcie to było o tyle trudne, iż trzeba było złagodzić jego niegodziwość w oczach tych, którzy mieli w nim współdziałać. Trzeba było oszukać uczciwych ludzi, trzeba było odsunąć ode mnie cały świat, nie zostawić mi ani jednego przyjaciela, bądź wśród wielkich, bądź wśród małych. Co mówię! Trzeba było zapobiec, aby bodaj słowo prawdy nie przedostało się do mnie. Gdyby jeden szlachetny człowiek przyszedł mi powiedzieć: „Udajesz cnotliwego, a oto jak cię traktują i wedle czego cię sądzą: co możesz na to powiedzieć?", wówczas prawda odniosłaby tryumf, a Grimm byłby zgubiony. Wiedział o tym, ale zgłębił własne serce i szacował ludzi tylko tyle, ile są warci. Przykro mi dla honoru ludzkości, iż obliczenia jego okazały się tak trafne.

Posuwając się w tych podziemiach, pragnąc iść pewnie, musiał iść wolno. Mija dwanaście lat, jak dąży za swoim planem, a najtrudniejsze zostaje jeszcze do zrobienia: to jest oszukać całą publiczność. Istnieją wśród niej oczy, które śledziły go pilniej, niż mnie-

[696] *znachodzić* (daw.) — znajdować. [przypis edytorski]

[697] *Tinian* — jedna z trzech głównych wysp północnej części archipelagu Marianów, w płd.-zach. części Oceanu Spokojnego; od końca XVII w. stanowiła port zawinięcia dla europejskich statków uzupełniających tam zapasy wody i żywności. W *Nowej Heloizie* Saint-Preux odwiedza tę wyspę w podróży dookoła świata. [przypis edytorski]

ma. Lęka się tego i nie śmie jeszcze wydobyć swych knowań na światło dzienne[698]. Ale znalazł niezbyt trudny sposób wciągnięcia w to władzy, władzy, która ma mnie w ręku. Wsparty tą pomocą, posuwa się naprzód z mniejszym ryzykiem. Ponieważ satelici władzy mało zazwyczaj troszczą się o uczciwość, a jeszcze mniej o szczerość, nie zachodzi obawa niedyskrecji jakiegoś uczciwego człowieka. Rzeczą pierwszorzędnej wagi dla mego prześladowcy jest to, aby rozsnuć dokoła mnie nieprzeniknione ciemności i aby nici spisku były mi wciąż zakryte; wie dobrze, że mimo całej sztuki, z jaką usnuł swoje sieci, nie wytrzymałyby one mego spojrzenia. Jego wielka zręczność polega na tym, aby mnie pozornie oszczędzać wówczas, gdy mnie spotwarza, i aby nawet swojej perfidii nadać pozory wspaniałomyślności.

Pierwsze skutki tego systemu odczułem w głuchych oskarżeniach koterii Holbachowskiej, przy czym niepodobna mi było dowiedzieć się ani nawet domyślić, na czym polegają te oskarżenia. Deleyre donosił mi w listach, iż przypisują mi jakieś niegodziwości; Diderot, bardziej tajemniczo, powiadał toż samo; ilekroć zaś z jednym i drugim wdałem się w wyjaśnienia, wszystko sprowadzało się do kilku przytoczonych poprzednio punktów. Czułem stopniowe oziębienie w listach pani d'Houdetot. Nie mogłem tego oziębienia przypisać Saint-Lambertowi, który wciąż utrzymywał ze mną korespondencję niezmiennie przyjazną, a nawet odwiedził mnie za powrotem. Nie mogłem również poczuwać się sam do winy w tym względzie, ponieważ rozstaliśmy się bardzo serdecznie, nic zaś od tego czasu nie zaszło z mej strony poza wyjazdem z Pustelni, którego pani d'Houdetot sama odczuła konieczność. Nie wiedząc tedy, do czego odnieść to oziębienie, którego ona nie przyznawała, ale co do którego serce moje nie mogło się mylić, byłem niespokojny o wszystko. Wiedziałem, że liczy się niezmiernie z bratową i z Grimmem, z przyczyny ich zażyłości z Saint-Lambertem; lękałem się tego wpływu. Niepokój ten odnowił moje rany i wprowadził w mą korespondencję ton burzliwy, tak iż wreszcie pani d'Houdetot zmierziła ją sobie zupełnie. Domyślałem się mnóstwa drażniących i okrutnych rzeczy, nie widząc nic wyraźnie. Dla człowieka o łatwo zapalnej imaginacji trudno sobie wyobrazić nieznośniejsze położenie. Gdybym był zupełnie odosobniony, gdybym w ogóle o niczym nie wiedział, uspokoiłbym się może; ale serce moje tkwiło jeszcze w więzach, przez które nieprzyjaciele moi wiedzieli, iż mogą mnie dosięgnąć na tysiąc sposobów, a słabe promyki przenikające do mego schronienia służyły jedynie na to, aby mi dać odczuć mroki tajemnic, które mi ukrywano.

Byłbym załamał się, nie wątpię o tym, pod tym cierpieniem zbyt okrutnym, zbyt nieznośnym dla mej otwartej i szczerej natury, która, niezdolna do ukrywania własnych uczuć, odczuwa lęk przed wszelką tajemnicą. Szczęściem, nastręczyły mi się inne przedmioty i owładnęły mym sercem tak dalece, iż uczyniły bardzo zbawczą dywersję w myślach, zaprzątających mnie mimo chęci. W czasie ostatnich odwiedzin w Pustelni Diderot wspomniał mi o artykule *Genewa*, który d'Alembert zamieścił w *Encyklopedii*[699]; objaśnił mnie, że ten artykuł, napisany w porozumieniu z wpływowymi obywatelami tego miasta, ma za cel stworzenie teatru w Genewie; że poczyniono już kroki w tej sprawie i powołanie do życia tej instytucji nastąpi niebawem. Ponieważ Diderot zdawał się pochwalać ten zamiar, nie wątpiąc o powodzeniu, ja zaś miałem z nim zbyt wiele innych spraw do wyjaśnienia, nie miałem chęci rozpoczynać dyskusji w tym przedmiocie i nie rzekłem nic; ale, oburzony tą robotą, mającą na celu opętanie mej ojczyzny, czekałem z niecierpliwością tomu *Encyklopedii* zawierającego artykuł, aby zobaczyć, czy nie znajdzie się sposób napisania jakiej odpowiedzi, która by mogła odwrócić ten nieszczęsny zamach. Otrzymałem tom niebawem po osiedleniu w Mont-Louis; artykuł wydał mi się napisany z wielką zręcznością i sztuką, godny pióra, z którego wyszedł. To nie ostudziło mnie wszelako w chęci odpowiedzi; mimo przygnębienia, w jakim się znajdowałem, mimo swoich utrapień i cierpień, mimo dokuczliwej pory roku i niewygód nowego mieszkania, gdzie nie miałem jeszcze czasu się urządzić, zabrałem się do dzieła z zapałem, który zwyciężył wszystko.

[698] *nie śmie jeszcze wydobyć swych knowań na światło dzienne* — od czasu jak pisałem te słowa, uczynił ten krok z najpełniejszym i najbardziej niepojętym powodzeniem. Sądzę, iż to Tronchin udzielił mu odwagi i środków. [przypis autorski]

[699] *o artykule „Genewa", który d'Alembert zamieścił w Encyklopedii* — w siódmym tomie *Encyklopedii*, wydanym w październiku 1757. [przypis edytorski]

Podczas dość ostrej zimy, w lutym, i w stanie, który opisałem poprzednio, szedłem co dnia spędzić dwie godziny rano i tyleż po południu w baszcie otwartej ze wszystkich stron, znajdującej się opodal mego mieszkania. Baszta ta, stanowiąca zakończenie terasowatej alei, wychodziła na dolinę i jezioro Montmorency; na skraju widnokręgu widać było prosty ale czcigodny zamek Saint-Gratien, schronienie cnotliwego Catinata[700]. W tym to miejscu, wówczas lodowato mroźnym, bez ochrony od śniegu i wiatru, bez innego ognia jak tylko płomień mego serca, ułożyłem, w ciągu trzech tygodni, mój *List do d'Alemberta o widowiskach*[701]. Był to (*Julia* bowiem była zaledwie w połowie roboty) pierwszy mój utwór, nad którym praca połączona była z przyjemnością. Aż dotąd cnotliwe oburzenie służyło mi za muzę; tym razem miejsce jego zajęła tkliwość i słodycz duszy. Niesprawiedliwości, których byłem tylko świadkiem, podrażniły mnie; te, których sam stałem się przedmiotem, przejęły mnie smutkiem. Smutek ten, wolny od żółci, był jedynie wypływem zbyt kochającego, zbyt czułego serca: zawiedzione przez tych, których sądziło wedle własnej miary, zmuszone było cofnąć się w głąb siebie. Przepełnione ostatnimi zdarzeniami, jeszcze wzruszone od tylu gwałtownych wstrząśnień, serce moje mieszało poczucie swych cierpień z ideami zrodzonymi z medytacji nad przedmiotem; skojarzenie to odbiło się na mej pracy. Sam nie wiedząc o tym, opisałem swoje obecne położenie: odmalowałem Grimma, panią d'Epinay, panią d'Houdetot, Saint-Lamberta, samego siebie. Ileż rozkosznych łez wylałem wśród pisania! Niestety! Nadto czuć w tym utworze, że miłość, ta nieszczęsna miłość, z której siliłem się wyleczyć, nie opuściła jeszcze mego serca. Do tego wszystkiego mieszało się niejakie rozczulenie nad samym sobą; miałem uczucie, że umieram i że po raz ostatni żegnam się z publicznością. Daleki od obawy śmierci, patrzałem na jej zbliżanie się z radością; ale żal mi było, iż mam opuszczać bliźnich, nim zdołałem im objawić całą swą wartość; nim uzyskali świadomość jak bardzo zasługiwałbym na miłość z ich strony, gdyby mnie znali lepiej. Oto tajemne przyczyny osobliwego tonu, który panuje w tym dziele i który odbija tak zadziwiająco od poprzedniego utworu[702].

Wykończałem i przepisywałem na czysto ten utwór, gotując się go oddać do druku, kiedy po długim milczeniu otrzymałem list od pani d'Houdetot. List ten pogrążył mnie w nowym zmartwieniu, najwyższym, jakie kiedykolwiek odczułem. Donosiła mi w tym piśmie (plik B, nr 34), że miłość moja dla niej stanowi bajkę całego Paryża; że zwierzyłem się z niej ludziom, którzy rozgłosili publicznie moje rzekome wyznania; że te pogłoski, doszedłszy do jej kochanka, omal nie kosztowały go życia. Wreszcie (pisała) oddał jej sprawiedliwość i nastąpiło pojednanie; ale przez wzgląd na niego, jak również na samą siebie i własną dobrą sławę, winna jest zerwać wszelkie stosunki ze mną; poza tym upewnia mnie, iż oboje nie przestaną pamiętać o mnie, będą mnie bronić wobec świata i od czasu do czasu ona sama będzie zasięgać o mnie wiadomości.

List

„I ty także, Diderot! — wykrzyknąłem. — Niegodny przyjacielu!..." Nie mogłem wszelako zdobyć się jeszcze na to, aby nań wydać wyrok. Słabość moją znali i inni ludzie, którzy mogli nadużyć jego nazwiska. Chciałem wątpić... ale niebawem nie mogłem. Saint-Lambert dopełnił niebawem postępku godnego jego szlachetnego serca. Znając dostatecznie mą duszę, osądził, w jakim stanie muszę się znajdować, zdradzony przez jednych, opuszczony przez drugich. Odwiedził mnie. Za pierwszym razem niewiele mógł mi czasu poświęcić. Wrócił raz jeszcze. Na nieszczęście, nie spodziewałem się go: nie zastał mnie w domu. Teresa, która go przyjęła, miała z nim więcej niż dwugodzinną rozmowę; udzielili sobie wzajem wielu faktów, których znajomość była bardzo ważna dla nas obu. Któż opisze zdumienie, z jakim dowiedziałem się za jego pośrednictwem, iż nikt w świecie nie wątpi, że ja żyłem poprzednio z panią d'Epinay tak, jak Grimm obecnie! Zdumienie moje można porównać jedynie z tym, które objawił sam Saint-Lambert, dowiadując się, iż pogłoska ta jest fałszem. Saint-Lambert, ku wielkiemu niezadowole-

Przyjaźń, Plotka

[700] *Catinat, Nicolas* (1637–1712) — marszałek Francji za czasów Ludwika XIV; wśród dowódców wyróżniał się tym, że nie szafował życiem żołnierzy, nie miał wysokich ambicji, zaś po porażce w wojnie o sukcesję hiszpańską osiadł na wsi i zajął się uprawianiem ogrodu. [przypis edytorski]

[701] *List do d'Alemberta o widowiskach* — list ten miał olbrzymi rozgłos i wywołał około 400 broszur i pism polemicznych. [Tekst Rousseau stanowił krytyczną analizę wpływu teatru na społeczeństwo i ostrzegał przed złym wpływem, jaki może mieć teatr w Genewie na moralność i patriotyzm mieszkańców; red. WL]. [przypis tłumacza]

[702] *od poprzedniego utworu* — tj. *Rozprawy o nierówności*. [przypis edytorski]

niu tej damy, był w tym samym położeniu co ja; wszystkie zaś wyjaśnienia wynikłe z tej rozmowy do reszty zgasiły we mnie wszelki żal, iż zerwałem z nią bez powrotu. Odnośnie do pani d'Houdetot, Saint-Lambert wyjaśnił Teresie wiele okoliczności nieznanych ani jej, ani pani d'Houdetot; znałem je jedynie ja sam, wyznałem je jednemu tylko Diderotowi, pod pieczęcią tajemnicy; i właśnie Saint-Lamberta wybrał sobie, aby mu je zwierzyć! Ten ostatni rys dopełnił miary; powziąwszy niezłomny zamiar zerwania z Diderotem na zawsze, zastanawiałem się już tylko nad sposobem; spostrzegłem bowiem, że zerwania sekretne obracają się na mą niekorzyść, przez to, iż zostawiają maskę przyjaźni mym najokrutniejszym wrogom.

Reguły przystojności, obowiązujące pod tym względem w świecie, wypływają, można powiedzieć, z ducha kłamstwa i zdrady. Uchodzić jeszcze za czyjegoś przyjaciela, wówczas gdy w istocie już się nim nie jest, znaczy zachowywać sobie środki szkodzenia mu, wprowadzając w błąd uczciwych ludzi. Przypomniałem sobie, iż kiedy wielki Montesquieu zerwał z księdzem Tournemine, pospieszył ogłosić to publicznie, mówiąc całemu światu: „Nie słuchajcie ani ojca de Tournemine ani mnie, kiedy będziemy o sobie mówić wzajem; przestaliśmy bowiem być przyjaciółmi". To postąpienie znalazło ogólny poklask; wszyscy chwalili jego szczerość i szlachetność. Postanowiłem wobec Diderota iść za tym samym przykładem; ale w jaki sposób z mojego ustronia ogłosić to zerwanie w sposób niewątpliwy, a jednak wolny od skandalu? Przyszło mi na myśl umieścić w moim dziele, w formie przypisu, ustęp z *Księgi Eklezjastyka*[703], który by oznajmiał zerwanie, a nawet powód jego, dość jasno dla wtajemniczonych, nie znaczył zaś nic dla ludzi obcych. Poza tym, w samym dziele, starałem się, do przyjaciela, którego się wyrzekłem, odnosić z wszelkimi honorami, jakie powinno się zawsze oddawać przyjaźni nawet wygasłej. Można stwierdzić to wszystko w samym dziele.

Istnieje w świecie jedynie szczęście lub nieszczęście; zdaje się, że w niepowodzeniu wszelki akt odwagi jest zbrodnią. Ten sam rys, który podziwiano u Montesquieugo, na mnie ściągnął wyłącznie naganę i wyrzuty. Ledwie dzieło moje wyszło spod prasy, otrzymawszy pierwsze egzemplarze, posłałem jeden Saint-Lambertowi, który poprzedniego dnia przesłał mi, w imieniu pani d'Houdetot i swoim, bilecik pełen najczulszej przyjaźni (plik B, nr 37). Oto list, który napisał, odsyłając mi egzemplarz (plik B, nr 38). List

Eaubonne, 10 październik 1758

> Doprawdy, nie mogę przyjąć podarku, który mi Pan uczynił. W ustępie przedmowy, gdzie pod adresem Diderota cytuje Pan ustęp z *Eklezjasty* (myli się: z *Eklezjastyka*)[704], książka wypadła mi z rąk. Po rozmowach naszych tego lata zdawałeś się Pan przekonany, iż Diderot nie jest winien rzekomych niedyskrecji, które mu przypisujesz. Być może ma jakieś winy w stosunku do Pana: nie wiem; ale to wiem dobrze, iż nie dawały Panu prawa czynić mu publicznej zniewagi. Nie są Panu tajne prześladowania, które znosi w tej chwili; i oto głos dawnego przyjaciela miesza się do krzyków zawiści! Nie umiem ukryć, jak bardzo mnie oburza to okrucieństwo. Nie żyję blisko z Diderotem, ale szanuję go i odczuwam szczerze przykrość, jaką Pan czynisz człowiekowi, któremu (przynajmniej o ile mi wiadomo) zarzucałeś zawsze jedynie nieco słabości. Nadto różnię się z Panem co do zasad, abyśmy się mogli porozumieć. Zapomnij Pan o mym istnieniu; przyjdzie to Panu bez trudności. Nie wyświadczyłem nikomu ani dobrego, ani złego, o którym trzeba by długo pamiętać. Co do mnie, przyrzekam Panu zapomnieć o twej osobie i zachować pamięć jedynie o pańskich talentach.

Czułem się nie mniej rozdarty jak oburzony tym listem; pod wpływem nadmiaru nieszczęść, odnajdując wreszcie swą dumę, odpowiedziałem co następuje: List

[703] *Księga Eklezjastyka* — jedna z dydaktycznych ksiąg biblijnych, znana też pt. *Księga Mądrości Syracha*; w Syr 22:21–22 mowa o tym, że kto wyciąga miecz na przyjaciela lub źle się do niego odzywa, ma jeszcze drogę powrotu, ale wyjawienie tajemnicy i zdrada zawsze zrywają przyjaźń. [przypis edytorski]

[704] *ustęp z Eklezjasty (myli się: z Eklezjastyka)* — łatwe do pomylenia określenia nazwy biblijnych ksiąg dydaktycznych: Eklezjasty, inaczej *Księga Kohelet*a, oraz Eklezjastyka, inaczej *Księga Mądrości Syracha*. [przypis edytorski]

Montmorency, 11 października 1758

Czytając Pański list, uczyniłem Panu ten zaszczyt, iż zdumiałem się nim, a zarazem byłem na tyle głupi, iż mnie zabolał; ale nie uważam, aby był godny odpowiedzi.

Nie życzę sobie nadal kopiować nut pani d'Houdetot. Jeżeli nie jest po jej myśli zachować to, co już ma, może mi odesłać, zwrócę pieniądze. Jeżeli zatrzyma, w każdym razie proszę, aby przysłała po resztę swego papieru i pieniędzy. Proszę, aby mi równocześnie zwróciła prospekt, który u niej złożyłem. Żegnam Pana.

Cnota
List

Stałość w niedoli drażni serca nikczemne, ale podoba się szlachetnym. Zdaje się, że ten bilet sprawił, iż Saint-Lambert wszedł w siebie i pożałował tego, co uczynił; ale, zbyt dumny on znowuż, aby przyznać się otwarcie do błędu, pochwycił, przygotował może sposób złagodzenia ciosu, który mi zadał. W dwa tygodnie później otrzymałem od pana d'Epinay następujący list (plik B, nr 10).

Czwartek 26

Otrzymałem książkę, którą był Pan łaskaw mi przysłać; przeczytałem ją z największą przyjemnością. Jest to uczucie, którego doświadczałem zawsze przy lekturze wszystkich dzieł Pańskiego pióra. Chciej Pan przyjąć wyrazy szczerego podziękowania. Byłbym pospieszył złożyć je Panu osobiście, gdyby interesy pozwoliły mi zamieszkać jakiś czas w Pańskim sąsiedztwie, ale bardzo rzadko odwiedzałem Chevrette w tym roku. Państwo Dupin zapowiedzieli się tam do mnie na obiad w przyszły czwartek. Mam nadzieję, że panowie de Saint-Lambert, de Francueil i pani d'Houdetot wybiorą się również; zrobi mi Pan prawdziwą przyjemność, jeżeli zechcesz powiększyć nasze grono. Wszystkie osoby, które będę miał u siebie, pragną Pana oglądać i z radością podzielą ze mną przyjemność spędzenia kilku godzin w jego towarzystwie. Mam zaszczyt polecić się, z prawdziwym poważaniem, etc.

List ten przyprawił mnie o straszliwe bicie serca. Od roku byłem przedmiotem bajek całego Paryża; otóż na myśl, iż mam wystawić się na widowisko w oczach pani d'Houdetot, doznawałem drżenia; trudno mi było znaleźć dość odwagi, aby przebyć tę próbę. Mimo to, skoro ona i Saint-Lambert życzyli sobie tego, skoro d'Epinay mówił w imieniu wszystkich zaproszonych, wymieniał zaś same tylko osoby, które bardzo rad byłem widzieć, nie sądziłem, ostatecznie, abym dopuszczał się niewłaściwości przyjmując obiad, na który do pewnego stopnia zaproszony byłem przez całe towarzystwo. Przyrzekłem tedy. W niedzielę była niepogoda; pan d'Epinay przysłał po mnie karocę i pojechałem.

Przybycie moje wywarło wrażenie. Nigdy nie byłem przedmiotem bardziej uprzedzającego przyjęcia. Można by rzec, iż całe towarzystwo czuło, jak bardzo potrzebuję takiego umocnienia. Jedynie we Francji serca zdolne są do tego rodzaju delikatności. Zastałem wszelako więcej osób, niż się spodziewałem; między innymi hrabiego d'Houdetot, którego wcale nie znałem, i jego siostrę, panią de Blainville, bez której byłbym się chętnie obszedł. Zjawiała się w przeszłym roku często w Eaubonne; pani d'Houdetot w czasie naszych samotnych przechadzek nieraz uciekała się do różnych sposobów, aby się pozbyć jej towarzystwa. Osoba ta powzięła stąd do mnie niechęć, którą zaspokoiła do syta w czasie tego obiadu; łatwo bowiem zgadnąć, iż obecność hrabiego d'Houdetot i Saint-Lamberta nie usposabiała galerii[705] na mą korzyść i że człowiek nieśmiały zazwyczaj już w czasie najłatwiejszej rozmowy nie błyszczał nadto dowcipem w tych okolicznościach. Nigdy nie wycierpiałem tyle, nigdy nie byłem bardziej onieśmielony ani też kłuty szpileczkami bardziej niespodziewanie. Wreszcie, kiedy ruszono od stołu, wymknąłem się

[705]*galeria* — publiczność z najwyższych miejsc w teatrze; tu przen.: widzowie, obecni. [przypis edytorski]

megierze[706]. Doznałem tej przyjemności, iż Saint-Lambert i pani d'Houdetot podeszli do mnie: przegadaliśmy wspólnie parę godzin o rzeczach obojętnych, to prawda, ale tak samo poufale jak niegdyś, przed mym szaleństwem. Serce moje umiało ocenić ten postępek i gdyby Saint-Lambert mógł w nim czytać, byłby z pewnością zadowolony. Mogę przysiąc, iż mimo że w pierwszej chwili widok pani d'Houdetot przyprawił mnie o palpitacje graniczące z omdleniem, wracając, prawie nie myślałem o niej: zajęty byłem jedynie Saint-Lambertem.

Mimo złośliwych sarkazmów pani de Blainville, obiad ten zrobił mi wiele dobrego; zadowolony byłem z siebie, że się od niego nie wymówiłem. Przekonałem się nie tylko, że intrygi Grimma i holbachistów nie odstrychnęły ode mnie dawnych znajomych, ale jeszcze milej odczułem to, że uczucia pani d'Houdetot i Saint-Lamberta mniej się zmieniły, niż przypuszczałem. Zrozumiałem, iż więcej było zazdrości niż lekceważenia w tym, iż trzyma ją w takim oddaleniu ode mnie. To mnie pocieszyło i uspokoiło. Pewien, iż nie jestem przedmiotem wzgardy dla tych, których poważam, starałem się z większą odwagą i powodzeniem pracować nad własnym sercem. Jeżeli nie zdołałem zdławić w nim całkowicie występnej i nieszczęśliwej namiętności, umiarkowałem bodaj tak dobrze jej resztki, iż od tego czasu nie dopuściłem się ani jednego błędu. Pod wpływem nalegań pani d'Houdetot przyjąłem z powrotem nuty do kopiowania; posyłałem jej nadal moje utwory, w miarę jak się ukazywały; co wszystko sprowadzało mi z jej strony od czasu do czasu przesyłki i bileciki, obojętne, lecz życzliwe. Uczyniła nawet więcej, jak się pokaże w dalszym ciągu; słowem, wzajemne postępowanie wszystkich trojga, od chwili gdy stosunki nasze rozluźniły się, może posłużyć za przykład, w jaki sposób przyzwoici ludzie się rozchodzą, kiedy im tak wypadnie.

Druga korzyść, którą przyniósł mi ten obiad, było to, iż mówiono o nim w Paryżu; tym samym posłużył jako nieodparte zaprzeczenie pogłosek, jakie rozsiewali moi przyjaciele, że jestem śmiertelnie poróżniony ze wszystkimi, którzy byli tam obecni, a zwłaszcza z panem d'Epinay. Opuszczając Pustelnię, napisałem doń nader uprzejmy list z podziękowaniem, na który odpowiedział nie mniej dwornie; odtąd uprzejme stosunki między nami nie uległy zmąceniu, tak z nim, jak z panem de Lalive, jego bratem, który nawet odwiedził mnie w Montmorency i posyłał mi swoje sztychy. Poza dwiema szwagierkami pani d'Houdetot nie byłem nigdy na złej stopie z nikim z tej rodziny.

List do d'Alemberta miał wielkie powodzenie. Wszystkie moje utwory miały je; ale sukces tego właśnie był mi szczególnie pożądany. Nauczył publiczność mieć się na baczności przed podszeptami Holbachowskiej koterii. Kiedy osiedliłem się w Pustelni, klika ta przepowiedziała ze zwykłą zarozumiałością, że nie wytrzymam tam ani trzech miesięcy. Kiedy ujrzeli, że wytrzymałem dwadzieścia i że, zmuszony opuścić swą siedzibę, znowuż obrałem mieszkanie na wsi, utrzymywali, że czynię to przez czysty upór; że nudzę się śmiertelnie w swoim odludziu, ale że, trawiony pychą, raczej wolałbym zginąć jako ofiara swego uporu, niż zaprzeć się siebie i wrócić do Paryża. Otóż *List do d'Alemberta* oddychał niekłamaną pogodą duszy, której niepodobna było nie odczuć. Gdybym w swoim ustroniu był trawiony goryczą, odbiłoby się to w tonie. Gorycz panowała we wszystkich mych utworach pisanych w Paryżu; nie było jej w tym pierwszym, który ułożyłem na wsi. Dla tych, którzy umieją patrzeć, spostrzeżenie to było rozstrzygające. Widać było, że wróciłem do swego żywiołu.

Mimo to samo dzieło, choć tak pełne słodyczy, uczyniło mi, przez moje zwyczajne niezgrabstwo i nieszczęście, nowego wroga w świecie literackim. Poznałem u pana de la Poplinière, Marmontela, i spotykałem go później w domu barona. Marmontel[707] wydawał wówczas „Francuskiego Merkurego". Zazwyczaj miałem tę dumę, iż nie posyłałem swoich utworów dziennikarzom; otóż, chciałem posłać Marmontelowi mój *List*, ale tak, aby nie sądził, iż czynię to, aby osiągnąć wzmiankę w „Merkurym". Napisałem tedy na egzemplarzu, iż przesyłam go nie redaktorowi „Merkurego", ale panu Marmontel. Sądziłem, iż czynię mu piękny komplement; on dopatrzył się w tym okrutnej zniewagi i stał się mym nieubłaganym wrogiem. Napisał o moim utworze w sposób grzeczny, ale z żółcią,

[706] *megiera* (pot.) — kobieta kłótliwa i złośliwa; od imienia jednej z erynii, bogiń zemsty w mit. gr. [przypis edytorski]

[707] *Marmontel*, [*Jean-François*] (1723–1799) — głośny pisarz ówczesny, którego *Powiastki moralne* cieszyły się wzięciem w całej Europie. [przypis tłumacza]

którą się łatwo czuje; odtąd nie pominął żadnej sposobności szkodzenia mi w towarzystwie, a znęcania się nade mną pośrednio w swoich pismach. Tak trudno jest ugłaskać arcydrażliwą miłość własną literatów i tak bardzo należy pamiętać, aby w uprzejmościach, które się im świadczy, nie zostawić nic, co by mogło mieć bodaj najlżejszy pozór dwuznacznika!

(1759) Spokojniejszy ze wszystkich stron, skorzystałem ze swobody i niezależności, aby regularniej prowadzić swoje prace. Dokończyłem w ciągu zimy *Julię* i posłałem ją Reyowi, który dał ją wydrukować w następnym roku. Praca ta doznała jednak, mimo wszystko, przerwy, wskutek małej dywersji, dosyć nawet nieprzyjemnej. Dowiedziałem się, że przygotowują w Operze wznowienie *Wiejskiego wróżka*. Oburzony tym bezwstydnym rozporządzaniem mą własnością, wyszukałem memoriał, jaki swego czasu posłałem panu d'Argenson, a który został bez odpowiedzi, i przerobiwszy go trochę, doręczyłem go za pośrednictwem pana Sellon[708], rezydenta Genewy, hrabiemu de Saint-Florentin, który zajął miejsce pana d'Argenson w wydziale Opery. Saint-Florentin przyrzekł odpowiedź, ale nie dał żadnej. Duclos, którego powiadomiłem o swoim kroku, pomówił z zarządem, który ofiarował się zwrócić mi nie operę, ale wolny bilet wstępu, teraz, kiedy nie mogłem zeń korzystać! Widząc, że z żadnej strony nie mogę się spodziewać sprawiedliwości, poniechałem całej sprawy; dyrekcja zaś Opery, nie odpowiadając na moje racje ani nie słuchając ich nawet, nadal pozwalała sobie rozporządzać *Wiejskim wróżkiem* jak swoją własnością i czerpać zeń zyski, które, bez żadnego zaprzeczenia, należą się jedynie mnie.

Od czasu jak strząsnąłem jarzmo tyranów, wiodłem dość przyjemne i spokojne życie. Pozbawiony uroku zbyt żywych przywiązań, byłem równocześnie wolny od ich kajdanów[709]. Zmierżony przyjaciółmi-protektorami, którzy chcieli bezwarunkowo rozrządzać mym losem i poddawać mnie, mimo mej chęci, niewoli swych rzekomych dobrodziejstw, postanowiłem na przyszłość trzymać się jedynie stosunków wspartych na prostej życzliwości, które nie krępując swobody, stanowią urok życia, a których podstawą jest obustronna równość. Tego rodzaju stosunków miałem tyle, ile było trzeba, aby kosztować słodyczy towarzystwa bez jego przymusu; skoro zaś spróbowałem tego rodzaju życia, uczułem, iż taki właśnie tryb odpowiada memu wiekowi i pozwala mi dokończyć dni w spokoju, z dala od burzy, swarów i udręczeń, które dopiero co na wpół mnie pogrążyły.

Podczas pobytu w Pustelni i od czasu osiedlenia się w Montmorency, poczyniłem w sąsiedztwie parę znajomości, miłych, a nie obowiązujących do niczego. Na ich czele był młody Loiseau de Mauléon[710], który stawiając wówczas pierwsze kroki w palestrze[711], nie wiedział, jakie go w niej czeka miejsce. Nie miałem, jak on, wątpliwości w tej mierze. Wywróżyłem mu rychło znakomitą przyszłość, którą też urzeczywistnił. Przepowiedziałem mu, że jeżeli okaże się surowym w wyborze spraw i zawsze będzie tylko obrońcą sprawiedliwości i cnoty, talent jego, podniesiony tym szczytnym poczuciem, dosięgnie wyżyn największych mówców. Poszedł za mą radą i odczuł jej słuszność. Obrona jego w sprawie pana de Portes godna jest Demostenesa[712]. Zjeżdżał, co roku, spędzić wakacje o ćwierć mili od Pustelni w Saint-Brice, w dobrach Mauléon, należących do jego matki, gdzie niegdyś mieszkał wielki Bossuet[713]. Oto dobra, których szlachectwo, po takich dziedzicach, niełatwe stało się do podtrzymania.

Miałem w tejże samej wiosce Saint-Brice księgarza Guérin, człowieka rozumnego, wykształconego, miłego i bardzo niepospolitego w swoim zawodzie. Zapoznał mnie rów-

[708] *Sellon, Jean-François* (1707–1790) — dyplomata z Genewy, ambasador we Francji w latach 1749-1764. [przypis edytorski]

[709] *kajdanów* — dziś popr. forma D. lm: kajdan. [przypis edytorski]

[710] *Mauléon, Alexandre-Jérôme Loiseau de* (1728–1771) — sławny prawnik francuski; w 1762 był obrońcą Jeana Calasa, protestanta oskarżonego o zamordowanie syna, który rzekomo chciał przejść na katolicyzm; sprawa stała się głośna dzięki zaangażowaniu Woltera, m.in. opublikowaniu przez niego pierwszej części *Traktatu o tolerancji*. [przypis edytorski]

[711] *palestra* — ogół adwokatów; adwokatura. [przypis edytorski]

[712] *Demostenes* (384–322 p.n.e.) — słynny mówca gr., głośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi (tzw. filipiki). [przypis edytorski]

[713] *Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — kaznodzieja i biskup francuski, wychowawca Ludwika XIV. [przypis edytorski]

nież z Janem Néaulme, księgarzem z Amsterdamu, swoim wspólnikiem i przyjacielem, który później wydał *Emila*.

Miałem, bliżej jeszcze niż Saint-Brice, księdza Maltora, proboszcza z Grosley, bardziej stworzonego na męża stanu i na ministra niż na wioskowego proboszcza; gdyby talenty rozstrzygały o stanowiskach, powierzono by mu co najmniej rządy diecezji. Był on swego czasu sekretarzem hrabiego de Luc i znał bardzo blisko Jana-Baptystę Rousseau. Równie pełen szacunku dla pamięci tego znakomitego banity, co wstrętu do nikczemnego Saurina, który go zgubił, znał on z życia obu tych ludzi wiele ciekawych anegdotek, których Séguy nie pomieścił w życiorysie Russa, jeszcze rękopiśmiennym. Upewniał mnie, iż hrabia de Luc nie tylko nie miał powodu uskarżać się na Russa, ale zachował dlań do końca najgorętszą przyjaźń. Ksiądz Maltor, któremu pan de Vintimille[714] dał był, po śmierci jego chlebodawcy, to dość przyzwoite stanowisko, współdziałał niegdyś w wielu sprawach, które mimo podeszłego wieku, miał jeszcze w pamięci i o których opowiadał bardzo dobrze. Rozmowa jego, nie mniej pouczająca jak ciekawa, nie trąciła bynajmniej wiejskim księżyną: łączył ton doskonałego światowca z wiadomościami dyplomaty. Był to ze wszystkich stałych sąsiadów człowiek, którego towarzystwo było mi najmilsze i którego najbardziej żal mi było porzucić.

Miałem w Montmorency znajomych oratorian, między innymi ojca Berthier[715], profesora fizyki, który mimo lekkiej powłoki bakalarstwa[716] pociągnął mnie przez swój szczery i dobroduszny charakter. Trudno mi było wszelako pogodzić tę wielką prostotę z ochotą i sztuką, jakie rozwijał, aby się wcisnąć wszędzie: między wielkich panów, kobiety, bigotów, filozofów. Umiał dostroić się do wszystkich. Bardzo lubiłem jego towarzystwo. Mówiłem o nim z tym i owym; widocznie to, co mówiłem, doszło do jego uszu. Jednego dnia, podśmiechując się, podziękował mi, iż uważam go za tak „poczciwą duszę". Zauważyłem w śmiechu jego coś sardonicznego[717], co zmieniło jego fizjonomię w moich oczach i co od tego czasu nieraz przychodziło mi na pamięć. Nie mogę lepiej porównać tego uśmiechu niż z uśmiechem Panurga, kupującego barany od Jendorka[718]. Znajomość nasza zaczęła się niedługo po mym przybyciu do Pustelni, gdzie ojciec Berthier odwiedzał mnie bardzo często. Osiadłem już na stałe w Montmorency, kiedy on opuścił je, aby zamieszkać w Paryżu. Widywał tam panią Le Vasseur. Jednego dnia, kiedy najmniej o tym myślałem, napisał do mnie w imieniu tej kobiety, zawiadamiając, iż pan Grimm ofiaruje się zapewnić jej utrzymanie, i prosząc o pozwolenie przyjęcia tej ofiary. Dowiedziałem się, iż chodzi o pensję trzystu funtów i że pani Le Vasseur ma zamieszkać w Deuil, między Chevrette a Montmorency. Nie umiem opisać wrażenia, jakie uczyniła na mnie ta wiadomość, która byłaby mniej zdumiewająca, gdyby Grimm miał dziesięć tysięcy funtów renty albo też gdyby jakieś łatwiejsze do zrozumienia stosunki wiązały go z tą kobietą. Swego czasu czyniono mi niepojętą zbrodnię z tego, iż ściągnąłem ją na wieś; otóż teraz pan Grimm zamierzał na nowo osadzić ją na wsi, jak gdyby ta osoba odmłodniała od owego czasu. Zrozumiałem, że dobra stara prosi mnie o pozwolenie, bez którego mogłaby się obejść, jedynie, aby się nie narazić na utratę zasiłku, jaki ma ode mnie. Mimo że to miłosierdzie wydało mi się bardzo niezwyczajne, nie uderzyło mnie jeszcze tyle wówczas, co w dalszym ciągu. Ale gdybym nawet wiedział wszystko to, co przeniknąłem później, i tak byłbym dał zezwolenie, tak jak to uczyniłem i jak byłem zmuszony uczynić, chyba żebym sam przelicytował ofiary pana Grimma. Od tego czasu ojciec Berthier wyleczył mnie nieco od pomawiania go o dobroduszność, która to reputacja jemu samemu wydała się tak ucieszna i w którą go tak nieopatrznie ustroiłem.

Ten ojciec Berthier miał dwóch znajomych, zabiegających się[719] znowuż o mą znajomość. Czemu, nie wiem; niewiele bowiem było wspólności między naszymi upodoba-

[714] *Vintimille, Charles Gaspard Guillaume de* (1655–1746) — fr. duchowny, biskup Marsylii (1692–1708), arcybiskup Aix (1708–1729), następnie arcybiskup Paryża (1729–1746). [przypis edytorski]

[715] *Berthier, Joseph-Étienne* (1702–1783) — fr. profesor fizyki. [przypis edytorski]

[716] *bakalarstwo* (daw.) — tu lekcew.: nawyki nauczycielskie, na wzór bakałarzy, średniowiecznych uczonych niższego stopnia. [przypis edytorski]

[717] *sardoniczny* — o uśmiechu, wyrazie twarzy itp.: szyderczy. [przypis edytorski]

[718] *Panurga, kupującego barany od Jendorka* — słynna scena z *Pantagruela* Rabelaise'go. [przypis tłumacza]

[719] *zabiegających się* — dziś popr.: ubiegających się a. zabiegających. [przypis edytorski]

niami. Były to dzieci Melchizedecha[720]: nikt nie znał ich ojczyzny, rodziny, ani prawdopodobnie istotnego nazwiska. Byli jansenistami, a uchodzili za przebranych księży, może dla śmiesznego sposobu noszenia rapierów, bez których się nie ruszali. Zadziwiająca tajemniczość, jaką otaczali każdy postępek, dawała im wygląd przywódców stronnictwa; nigdy też nie wątpiłem, że muszą pracować w jakieś duchownej gazetce. Jeden, wysoki, dobrotliwy, namaszczony, nazywał się Ferrand; drugi, mały, krępy, drwiący, obraźliwy — Minard. Byli rzekomo skuzynowani. Mieszkali w Paryżu, wraz z d'Alembertem[721] u jego mamki, pani Rousseau; wynajęli zaś w Montmorency mały domek na lato. Prowadzili gospodarstwo sami, bez służącego, nawet bez chłopca do posyłek. Kolejno każdy z nich miał swój tydzień, w ciągu którego chodził na zakupy, gotował i sprzątał. Zresztą utrzymywali dom na stopie wcale przyzwoitej; jadaliśmy niekiedy wzajem u siebie. Nie wiem, dlaczego im zależało na mnie; co do mnie, zależało mi na nich jedynie dlatego, że grywali w szachy: aby uzyskać jedną lichą partyjkę, cierpiałem cztery godziny nudów. Ponieważ wciskali nos wszędzie i do wszystkiego chcieli się mieszać, Teresa nazywała ich „kumoszkami" i ta nazwa została im w Montmorency.

Takie były, obok mego gospodarza, pana Mathas, poczciwego człowieka, główne moje wiejskie znajomości. Zostało mi ich dosyć w Paryżu; mógłbym tam żyć, gdybym zechciał, przyjemnie, poza kołem pisarzy, w którym jednego tylko Duclosa liczyłem za przyjaciela, Deleyre bowiem był jeszcze zbyt młody. Mimo że, przyjrzawszy się z bliska machinacjom filozoficznej kliki odnośnie do mnie, odstrychnął się od niej zupełnie (lub przynajmniej tak mniemałem), nie mogłem jeszcze zapomnieć łatwości, z jaką zgodził się być wobec mnie rzecznikiem tych figur.

Przede wszystkim, miałem mego starego i szanownego przyjaciela, pana Roguin. Był to przyjaciel z dawnych dobrych czasów; zawdzięczałem go nie swoim pismom, ale samemu sobie i dla tej przyczyny zawsze został mi wierny. Miałem dobrego Leniepsa, mego krajana, oraz córkę jego, wówczas żyjącą jeszcze, panią Lambert. Miałem młodego Genewczyka, nazwiskiem Coindet; był to, o ile mi się zdawało, dobry chłopiec, dbały, uczynny, gorliwy, ale prostaczek, łatwowierny, łakomy, samochwał; ten zaczął mnie nawiedzać od początku mego osiedlenia w Pustelni i bez niczyjej poręki, jedynie siłą własnej wytrwałości, zadomowił się niebawem u mnie wbrew mej woli. Miał nieco zamiłowania do rysunku i kręcił się w kołach artystów. Przydał mi się, kiedy chodziło o sztychy do *Julii*; podjął się dozoru nad rysunkami i wykonaniem płyt i dobrze wywiązał się z zadania.

Miałem dom państwa Dupin, który, mniej świetny niż za najlepszych dni pani Dupin, był jeszcze mimo to, dzięki zaletom gospodarzy i wyborowi towarzystwa, jednym z najznamienitszych w Paryżu. Ponieważ opuściłem ich nie dlatego, aby komu innemu dać pierwszeństwo, ale tylko aby żyć niezależnie, nie przestali się do mnie odnosić z przyjaźnią; jakoż byłem pewny, iż o każdej porze znajdę u pani Dupin dobre przyjęcie. Mogłem ją nawet liczyć do swoich sąsiadek, od czasu jak sobie urządziła letnie mieszkanie w Clichy, gdzie zachodziłem czasem na dzień lub dwa i gdzie bywałbym częściej, gdyby panie Dupin i de Chenonceaux żyły z sobą w lepszym porozumieniu. Ale trudność podzielenia się w jednym domu między dwie kobiety, które nie sympatyzowały ze sobą, czyniła mi gościnę w Clichy zbyt uciążliwą. Przywiązany do pani de Chenonceaux przyjaźnią bardziej równą i poufałą, wolałem ją widywać swobodniej w Deuil, niemal o dwa kroki, gdzie najęła mały domek; wreszcie także u siebie, gdzie odwiedzała mnie dość często.

Miałem panią de Créqui, która utonąwszy po uszy w dewocji, przestała widywać d'Alembertów, Marmontelów i w ogóle panów pisarzy, z wyjątkiem, jak się zdaje, księdza Trublet[722], świętoszka, który ją samą nawet dosyć nudził. Co do mnie, szukała nadal chętnie mego towarzystwa; nie straciłem nic z jej życzliwości i serdeczności naszych sto-

[720] *Melchizedech* a. *Melchizedek* — tajemniczy kapłan Boga i król z biblijnej *Księgi Rodzaju* (Rdz 14,18-20), którego pochodzenia nie podano. [przypis edytorski]

[721] *z d'Alembertem u jego mamki* — d'Alembert był naturalnym synem słynnej pani de Tencin. Wychowany przez prostą, ale zacną kobietę, panią Rousseau, zachował dla niej zawsze serdeczną wdzięczność i nigdy nie chciał szukać zbliżenia z matką, która się go zaparła dzieckiem. [przypis tłumacza]

[722] *Trublet*, [*Nicolas Charles Joseph* (1697–1770)] — mierny ówczesny pisarz, zresztą figura znana z niechlujstwa i natręctwa [duchowny i moralista, najbardziej znany ze starcia z Wolterem, któremu skrytykował *Henriadę*; red. WL]. [przypis tłumacza]

sunków. Przysłała mi pulardy[723] z Mans na święta; wybierała się odwiedzić mnie na rok przyszły, już było wszystko ułożone, kiedy podróż pani de Luxembourg pokrzyżowała jej plany. Należy się jej tu osobne miejsce; będzie je zawsze miała, i to bardzo poczesne, w mym wspomnieniu.

Miałem człowieka, którego, wyjąwszy Roguina, winienem był pomieścić w pierwszym rzędzie: mego dawnego kolegę i przyjaciela Carria, niegdyś tytularnego sekretarza ambasady hiszpańskiej w Wenecji, później w Szwecji, gdzie został z ramienia dworu substytutem[724], a wreszcie prawdziwym sekretarzem ambasady w Paryżu. Wpadł do mnie do Montmorency wówczas, gdy się go najmniej spodziewałem. Miał na piersi order hiszpański, którego nazwy zapomniałem, oraz piękny krzyż wysadzany kamieniami. Wywodząc swoje szlachectwo, zmuszony był dorzucić jedną głoskę do nazwiska: nosił obecnie miano kawalera de Carrion. Znalazłem[725] go zawsze tym samym: to samo nieocenione serce, umysł z każdym dniem bogatszy w uroki. Byłbym wrócił z nim do dawnej zażyłości, gdyby Coindet, wciskając się między nas swoim zwyczajem, nie skorzystał z mego oddalenia, aby się wślizgnąć na moje miejsce w jego przyjaźń i zaufanie, ciągle występując jako mój przyjaciel i rzekomo działając dla mego dobra.

Wspomnienie Carriona przywodzi mi na pamięć jednego z moich wiejskich sąsiadów: tym bardziej trzeba mi o nim wspomnieć, ile że muszę się przyznać do błędu nie do darowania, któregom się wobec niego dopuścił. Był to zacny Le Blond, który okazał się dla mnie tak usłużny w Wenecji, a który wybrawszy się w podróż do Francji wraz z rodziną, wynajął domek w Briche, niedaleko Montmorency[726]. Skoro tylko dowiedziałem się o tym sąsiedztwie, ucieszyłem się z całego serca; poczytywałem sobie za przyjemność raczej niż za obowiązek złożyć mu wizytę. Wyruszyłem w tym celu nazajutrz. Spotkałem w drodze osoby, które właśnie wybrały się do mnie; trzeba było wrócić z nimi. W dwa dni później ruszam znowu: pojechał na obiad do Paryża wraz z całą rodziną. Trzeci raz, Le Blond był w domu; usłyszałem głosy kobiece, ujrzałem u bramy karocę: wystraszyłem się. Chciałem bodaj za pierwszym razem widzieć go swobodnie i porozmawiać o dawnych znajomych. Ostatecznie odkładałem tak długo z dnia na dzień odwiedziny, aż wstyd dopełnienia tak późno podobnego obowiązku sprawił, iż wcale go nie dopełniłem. Zaniedbanie to, którym pan Le Blond musiał być słusznie oburzony, dało lenistwu memu pozory niewdzięczności; mimo to czułem się w sercu tak mało winny, iż gdybym mógł sprawić panu Le Blond jakąś prawdziwą przyjemność, nawet bez jego wiedzy, jestem zupełnie pewien, iż nie okazałbym się w tym leniwy. Ale indolencja, niedbalstwo i niezaradność w dopełnianiu drobnych obowiązków wyrządziły mi więcej szkody niż wielkie przywary. Moje najgorsze błędy pochodziły z zaniedbania: rzadko zrobiłem to, czego nie było trzeba, ale na nieszczęście jeszcze rzadziej to, co było trzeba.

Lenistwo

Skoro oto wróciłem do moich weneckich znajomości, nie powinienem zapomnieć o jednej, która sięga tamtych czasów, a którą zaniedbałem, jak i inne, dopiero od niedawna. Mam na myśli pana de Joinville, który od swego powrotu z Genui, okazywał mi wiele uprzejmości. Lubił bardzo zachodzić do mnie i rozmawiać o Włoszech i o szaleństwach pana de Montaigu, którego wiele rysów znał przez ministerium spraw zagranicznych, gdzie miał liczne znajomości. Pan de Joinville stał się stopniowo tak gorliwy w szukaniu mego towarzystwa, iż było mi to nawet nieraz uciążliwe; mimo że mieszkaliśmy w bardzo oddalonych dzielnicach, przychodziło do burz między nami, skoro minęło kilka dni, a ja nie byłem u niego na obiedzie. Kiedy jechał do Joinville, chciał mnie zawsze zabierać z sobą; ale raz wybrawszy się tam na tydzień, który wydał mi się bardzo długi, nie chciałem już ponawiać tego doświadczenia. Był to niewątpliwie dobrze wychowany i godny człowiek, miły nawet pod wielu względami; ale skąpo obdarzony pod względem inteligencji: był piękny, rozmiłowany w sobie jak Narcyz[727] i dosyć nudny. Miał osobliwy

[723] *pularda* — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

[724] *substytut* (praw.) — zastępca; w oryginale: *chargé des affaires*. [przypis edytorski]

[725] *znaleźć kogoś jakimś* (daw.) — uznać, że ktoś jest jakiś; ocenić jako. [przypis edytorski]

[726] *zacny Le Blond, który, który okazał się dla mnie tak usłużny w Wenecji, a który wybrawszy się w podróż do Francji…* — kiedy pisałem te słowa, pełen dawnej i ślepej ufności, daleki byłem od podejrzewania prawdziwej pobudki i następstw tej wycieczki do Paryża. [przypis autorski]

[727] *Narcyz* (mit. gr.) — urodziwy syn boga rzecznego Kefissosa, który wzgardził miłością nimfy Echo, za co rozgniewana Afrodyta wzbudziła w nim miłość do własnego obrazu odbitego w wodzie. Bez ustanku wpatrzony

zbiór, jedyny może na świecie, którym zajmował się dużo i zajmował nim swoich gości, mimo że nieraz mniej ich to bawiło od niego. Był to bardzo kompletny zbiór wszystkich piosenek ze dworu i z Paryża, sięgający pięćdziesięciu lat; znajdowało się tam wiele anegdot, których próżno szukałoby się gdzie indziej. Oto pamiętniki do historii Francji, jakich nie spotkałoby się w innym narodzie.

Jednego dnia, w samej pełni zażyłości, pan de Joinville przyjął mnie w sposób tak zimny, tak mrożący lodem, tak odległy od zwykłego tonu, iż dawszy mu sposobność do wytłumaczenia tej zmiany, a nawet poprosiwszy o to, wyszedłem z postanowieniem niewrócenia więcej i dotrzymałem tego; nie ujrzy mnie bowiem nikt tam, gdzie raz mnie źle przyjęto, a nie było tutaj Diderota, który by przemawiał za panem de Joinville. Próżno łamałem sobie głowę, czym mogłem zawinić wobec niego: nie umiałem zgadnąć. Byłem pewien, iż nigdy ani o nim, ani o jego bliskich nie odezwałem się inaczej jak tylko w sposób najbardziej zaszczytny, byłem doń bowiem szczerze przywiązany. Poza tym, iż w tym wypadku miałbym jeno samo dobre do powiedzenia, trzymałem się tej niezłomnej zasady, aby zawsze mówić dobrze o domach, w których bywałem.

Wreszcie, po długim przetrawianiu, oto na jaki domysł wpadłem. Ostatni raz kiedyśmy się widzieli, pan de Joinville zaprosił mnie na kolację do znajomych sobie dziewcząt. Oprócz nas było paru urzędników z ministerium spraw zagranicznych, ludzi bardzo na miejscu, zarówno w tonie, jak w zachowaniu dalekich od popisywania się rozpustą; co do mnie zaś, mogę przysiąc, iż spędziłem ów wieczór na dość smutnych rozmyślaniach nad nieszczęśliwym losem tych istot. Nie zapłaciłem swego udziału w wieczerzy, ponieważ pan de Joinville nas zaprosił; nie ofiarowałem też nic jego dziewczętom, ponieważ nie dałem im — jak niegdyś *Padoanie* — sposobności zarobienia. Wyszliśmy wszyscy dość weseli i w doskonałej harmonii. Nie widziałem od tego czasu owych dziewcząt; w kilka dni potem wybrałem się na obiad do pana de Joinville, którego również od tej pory nie widziałem i który przyjął mnie tak, jak mówię. Nie mogłem sobie wyobrazić innej przyczyny prócz jakiegoś nieporozumienia w związku z tą wieczerzą. Widząc, iż pan de Joinville nie chce się wdawać w wyjaśnienia, zaciąłem się i ja i przestałem go odwiedzać; ale posyłałem mu nadal swoje utwory: często kazał mi wyrażać swoje zachwyty i spotkawszy mnie jednego dnia w przedsionku Komedii, obsypał mnie z powodu mej abstynencji nader uprzejmymi wymówkami, co mnie wszelako nie sprowadziło z powrotem. Cała ta sprawa bardziej miała charakter jakichś dąsów niż zerwania. Jednakże ponieważ ani nie widziałem pana de Joinville od tego czasu, ani nie słyszałem o nim od bardzo dawna, zbyt późno byłoby nawiązywać te stosunki po przerwie kilku lat. Oto czemu pan de Joinville nie wchodzi tu w moją listę, mimo że dość długo bywałem w jego domu.

Nie będę nawet pomnażał tej listy wieloma innymi mniej bliskimi znajomościami. Stosunek z niektórymi osobami rozluźnił się z powodu mej nieobecności; widywałem je wszelako niekiedy na wsi, u siebie i w sąsiedztwie, jak na przykład księży de Condillac, de Mably; panów de Mairan, de Lalive, de Boisgelou, Watelet, Ancelet i innych, których za długo byłoby wyliczać. Przejdę również lekko nad stosunkiem z panem de Margency, podkomorzym królewskim, ekscłonkiem koterii Holbachowskiej, którą opuścił tak samo jak ja, i eksprzyjacielem pani d'Epinay, od której odsunął się tak samo jak ja; również nad znajomością z jego przyjacielem, Desmahis[728], głośnym, mimo iż nie na długo, autorem komedii *Impertynent*. Pierwszy był moim sąsiadem, ile że majątek noszący jego nazwisko leżał blisko Montmorency. Znaliśmy się od dawna, ale sąsiedztwo i pewna wspólność doświadczeń zbliżyły nas bardziej. Desmahis umarł wkrótce potem. Był to człowiek utalentowany i bystry, ale był po trosze oryginałem swej komedii, zwłaszcza co do pretensji wobec kobiet; nie zostawił też po sobie zbytniego żalu.

Ale nie sposób mi pominąć nowego stosunku z owego czasu; stosunku, który zbyt wpłynął na resztę mego życia, abym mógł nie skreślić tu jego początków. Chodzi o pana de Lamoignon de Malesherbes[729], pierwszego prezydenta trybunału podatkowego. Miał on wówczas wydział księgarni, a sprawował to stanowisko w sposób równie światły jak

w swój wizerunek, Narcyz przestał dbać o wszystko inne i zmarł, a na jego grobie wyrósł biały kwiat, noszący jego imię. [przypis edytorski]

[728] *Desmahis*, [właśc. *Joseph-François-Édouard de Corsembleu*] (1722–1761) — znany głównie przez swą komedię *Bilet perdu ou l'Impertinent*. [przypis tłumacza]

[729] *Malesherbes* — zob. przypis w księdze VIII. [przypis edytorski]

ludzki, ku wielkiemu zadowoleniu piśmienniczego świata. Nie przedłożyłem mu w Paryżu ani razu swoich służb; ale co się tyczy cenzury, zawsze doświadczyłem z jego strony najuprzejmiejszych względów; wiedziałem też, iż w niejednej okoliczności bardzo ostro obszedł się z tymi, którzy pisali przeciw mnie. Otrzymałem nowy dowód jego życzliwości z okazji *Julii*; ponieważ przesyłanie pocztą z Amsterdamu korekty tak wielkiego dzieła było bardzo kosztowne, pan de Malesherbes, sam zwolniony od opłaty pocztowej, zaproponował, aby arkusze nadsyłano pod jego adresem[730], i przesyłał je z kolei mnie, również wolne od porta[731], pod pieczęcią kanclerza, swego ojca. Skoro ukończono druk dzieła, nie pozwolił na jego sprzedaż we Francji, aż dopiero po wyczerpaniu wydania, które kazał sporządzić na moją korzyść wbrew mej woli. Ponieważ ten zysk byłby z mej strony kradzieżą na szkodę Reya, któremu sprzedałem rękopis, nie chciałem bez jego zezwolenia przyjąć honorarium, które mi przypadło. Rey zgodził się bardzo wspaniałomyślnie; chciałem podzielić z nim sto pistolów, jakie wyniosło to honorarium: nie przyjął. Za te sto pistolów miałem tę przykrość (o której pan de Malesherbes mnie nie uprzedził), iż ujrzałem swoje dzieło haniebnie okaleczone: tamowało też ono sprzedaż dobrego wydania, dopóki złe nie zostało wyczerpane.

Zawsze uważałem pana de Malesherbes za człowieka nieskazitelnej prawości. Cokolwiek mi się wydarzyło, nie pozwoliłem sobie ani na chwilę wątpić o jego uczciwości; ale, będąc równie słabym jak uczciwym, szkodzi on niekiedy ludziom, którymi się interesuje, przez to samo, że jest za nich zanadto ostrożny. Nie tylko usunął więcej niż sto stron w wydaniu paryskim, ale w egzemplarzu dobrego wydania, który posłał pani de Pompadour, dokonał operacji, która mogłaby nosić nazwę sfałszowania tekstu. Jest gdzieś powiedziane w tym dziele, że żona węglarza bardziej jest godna szacunku niż kochanka książęcia. Zdanie to nasunęło mi się w gorączce pisania, bez żadnej aluzji, przysięgam. Odczytując książkę, spostrzegłem, iż będzie się w tym można dopatrywać ukrytej intencji. Wszelako w myśl nieostrożnej zasady, aby nic nie usuwać przez wzgląd na aluzje, jakich mógłby się ktoś dopatrzeć, o ile w sumieniu mam pewność, że pisząc, nie miałem ich na myśli, nie wykreśliłem tego zdania i zadowoliłem się podstawieniem słowa „księcia", zamiast „króla", którego użyłem zrazu. To złagodzenie nie wydało się panu de Malesherbes dostatecznym: usunął całe zdanie, kazawszy umyślnie wydrukować kartkę i wkleić ją najzręczniej, jak się dało, w egzemplarz pani de Pompadour. Ta sztuczka nie uszła wiadomości faworyty; znalazły się dobre dusze, które ją objaśniły. Co do mnie, dowiedziałem się o tym aż znacznie później, kiedy zacząłem odczuwać skutki.

Czyż nie tu należy szukać pierwszego źródła tajonej, ale nieubłaganej nienawiści innej damy[732], która była w podobnym położeniu, o czym ja nic nie wiedziałem, ani nie znałem jej nawet, pisząc ten ustęp? Kiedy książka ukazała się w druku, znałem już tę panią i czułem się bardzo niespokojny. Zwierzyłem się kawalerowi de Lorenzy, który wyśmiał mnie i upewnił, iż osoba, o którą chodzi, tak dalece nie jest obrażona, iż nawet nie zwróciła uwagi na ten ustęp. Uwierzyłem, zbyt lekko może; i wyzbyłem się obaw bardzo nie w porę.

Z początkiem zimy otrzymałem nowy objaw życzliwości pana de Malesherbes, który mnie bardzo mile wzruszył, mimo że nie uznałem za właściwe zeń korzystać. Zawakowało miejsce w „Dzienniku uczonych"[733]. Margency napisał do mnie, ofiarując mi je, rzekomo z własnego popędu. Ale łatwo mi było zrozumieć z formy jego listu (plik C, nr 33), że ma po temu instrukcje i upoważnienia; on sam oświadczył w dalszym ciągu (plik C, nr 47), że polecono mu zwrócić się do mnie z tą propozycją. Praca, której wymagało to miejsce, była niewielka; chodziło o jakieś dwa wyciągi na miesiąc, do których dostarczono by mi książek, tak iż nigdy nie byłbym w konieczności podejmowania jazdy do Paryża, nawet dla złożenia wizyt dziękczynnych. Wchodziłem przez to w towarzystwo uczonych pierwszorzędnej wartości; nie licząc, iż z pracą tak mało uciążliwą i której mogłem do-

Literat

[730] *sam zwolniony od opłaty pocztowej, zaproponował, aby arkusze nadsyłano pod jego adresem* — opłatę pocztową ponosił odbiorca listu, a nie nadawca. [przypis edytorski]

[731] *porto* (z wł.) — opłata za przesyłkę. [przypis edytorski]

[732] *innej damy* — pani de Boufflers, przyjaciółka księcia Conti [Marie-Charlotte de Campet de Saujon (1725–1800) była żoną księcia Edouarda de Boufflers-Rouverel, a kochanką Ludwika Franciszka Burbona, księcia de Conti; red. WL]. [przypis tłumacza]

[733] *„Dziennik uczonych"*, fr. „Journal des Savants" — pierwsze w Europie czasopismo naukowe zajmujące się literaturą, powstałe w 1665, objęte patronatem króla Francji. [przypis edytorski]

konać tak wygodnie, łączyło się wynagrodzenie ośmiuset franków, przywiązane do tego miejsca. Zastanawiałem się kilka godzin, nim powziąłem decyzję, ale, mogę przysiąc, czyniłem to jedynie z obawy sprawienia przykrości Margency'emu i obrażenia pana de Malesherbes. Lęk przed nieznośnym przymusem, który by mi nie pozwolił pracować wedle chęci i zmuszał do trzymania się terminów, a bardziej jeszcze pewność, iż powierzone mi czynności wypełniałbym bardzo nieszczególnie, przeważyły wszystko i skłoniły do odrzucenia stanowiska, do którego nie czułem się stworzony. Wiedziałem, że cały mój talent wypływa z pewnego rozżarzenia duszy przedmiotem zaprzątającym mnie w danej chwili i że jedynie miłość tego, co wielkie, prawdziwe i piękne, zdolna jest pobudzić mego ducha. I cóż by mnie obchodziły tematy większości książek, z których miałbym robić wyciągi, ba, i same książki? Obojętność dla przedmiotu zmroziłaby mi pióro i stępiła umysł. Wyobrażano sobie, że ja mogę pisać z rzemiosła jak wszyscy, podczas gdy zawsze byłem zdolny pisać jedynie namiętnością. Nie tego z pewnością potrzeba było „Dziennikowi Uczonych". Napisałem tedy do Margency'ego list z podziękowaniem, możliwie najuprzejmiejszy. Wyszczególniłem tak dobrze swoje racje, iż niepodobna, aby bądź on, bądź pan de Malesherbes mogli uwierzyć, że jakiś kaprys albo duma są przyczyną mej odmowy. Toteż przyklasnęli jej obaj, nie zmieniając w niczym dawnej życzliwości dla mnie; zresztą, dochowano tak dobrze tajemnicy w całej sprawie, że ogół nie miał o niczym najmniejszego pojęcia.

Propozycja ta zjawiła się bardzo nie w porę; od jakiegoś czasu bowiem tworzyłem projekt porzucenia zupełnie literatury, a zwłaszcza zawodu autorskiego. Ostatnie moje przygody zbrzydziły mi bezwarunkowo panów literatów; rozumiałem zaś, iż niepodobna jest uprawiać wspólny zawód bez zachowania bodaj jakich wzajemnych stosunków. Nie mniej zrażony byłem do wielkiego świata i w ogóle do tego dwoistego życia, jakie prowadziłem, przez pół należąc do siebie samego, a przez pół do towarzystw, do których nie byłem stworzony. Czułem bardziej niż kiedykolwiek, na podstawie bolesnych doświadczeń, że wszelkie nierówne związki są zawsze niekorzystne dla strony słabszej. Żyjąc z ludźmi zamożnymi i innego stanu niż mój, mimo iż nie prowadziłem domu na ich sposób, byłem wszelako zmuszony naśladować ich w wielu rzeczach; a drobne wydatki, które były niczym dla nich, okazały się dla mnie nie mniej rujnujące, jak nieodzowne. Niech ktoś z nich wybierze się w gościnę na wieś: ma do obsługi własnego lokaja, tak przy stole, jak w pokoju; posyła go po wszystko, czego mu trzeba; nie mając nic osobiście do czynienia z miejscową służbą, nie widząc jej nawet, daje napiwki, kiedy i jak mu się podoba; ale ja, sam, bez służącego, byłem na łasce domowników, których względy trzeba było sobie nieodzownie kaptować[734] w obawie, aby mi się nadto nie dali we znaki. Traktowany na równi z państwem, musiałem i ja postępować z nimi po pańsku, a nawet być hojniejszy niż kto inny, ponieważ w istocie znacznie więcej ich potrzebowałem. Mniejsza jeszcze, kiedy jest mało służby; ale w domach, gdzie ja bywałem, było jej mnóstwo: wszyscy bardzo hardzi, wielcy franci[735], bardzo zapobiegliwi, rozumie się koło własnego interesu, przy tym hultaje umieli się urządzać w taki sposób, że potrzebowałem kolejno usług wszystkich. Damy paryskie, mimo iż tak sprytne, nie mają żadnego pojęcia o tych rzeczach: starając się niby oszczędzać mą sakiewkę, rujnowały mnie po prostu. Kiedy wieczerzałem u kogoś nieco dalej od domu, zamiast pozwolić, abym posłał po dorożkę, pani domu kazała zaprzęgać i odsyłała mnie własnym powozem. Bardzo była rada, iż oszczędzi mi dwadzieścia cztery su na fiakra[736]; o talarze, którego dawałem lokajowi i woźnicy, nie myślała. Kiedy dama jakaś pisała do mnie z Paryża do Pustelni lub do Montmorency, żałując czterech su porta, które jej list byłby mnie kosztował, posyłała mi go przez kogoś ze swych ludzi, który przybywał piechotą cały spocony i któremu dawałem obiad oraz talara, z pewnością bardzo sumiennie zasłużonego. Kiedy mnie zapraszała, abym spędził tydzień lub dwa na wsi, mówiła sobie w duchu: „Zawsze to będzie oszczędność dla tego biedaka; przez ten czas życie nie będzie go kosztować". Nie zastanawiała się, że w zamian przez ten czas nie będę pracował; że moje gospodarstwo i komorne, i bielizna, i ubrania idą mimo to swoim trybem; że muszę podwójnie płacić balwierza[737] i że razem wziąwszy

Pieniądz, Bogactwo, Bieda

[734] *kaptować* (z łac.) — zdobywać, pozyskiwać. [przypis edytorski]
[735] *frant* (daw.) — człowiek z pozoru sympatyczny, ale przebiegły, chytry. [przypis edytorski]
[736] *fiakier* — dorożka; dorożkarz. [przypis edytorski]
[737] *balwierz* (daw.) — fryzjer wykonujący również zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

pobyt kosztuje mnie o wiele drożej u niej niż u siebie. Mimo że ograniczałem moje drobne napiwki jedynie do domów, gdzie bywałem częściej, i tak były one dla mnie prawdziwą ruiną. Mogę upewnić, że u pani d'Houdetot w Eaubonne, gdzie nocowałem ledwie kilka razy, wyłożyłem co najmniej dwadzieścia pięć talarów; a więcej niż sto pistolów tak w Epinay, jak w Chevrette, przez te pięć czy sześć lat, które bywałem tam częściej. Wydatki te nieuniknione są dla człowieka z moją naturą, który nie umie postarać się o nic ani pamiętać o sobie, ani znieść widoku mruczącego i usługującego z niechęcią lokaja. U pani Dupin nawet, gdzie byłem domowy i gdzie świadczyłem służącym tysiąc grzeczności, usługi ich mogłem zdobyć jedynie brzękiem pieniądza. Z czasem trzeba mi było wyrzec się zupełnie tych drobnych datków, które w położeniu moim przerastały możność; wówczas o wiele ciężej jeszcze dano mi uczuć odwrotne strony bywania u ludzi nierównych mi stanem. Gdyby jeszcze to życie było mi miłe, przebolałbym wreszcie wydatki uciążliwe, ale połączone z przyjemnością; ale rujnować się, aby się nudzić, to już za wiele. Tak dotkliwie odczułem ciężar tego życia, iż korzystając ze swobody, jakiej kosztowałem w tej chwili, pragnąłem z całej duszy utrwalić tę swobodę, wyrzec się zupełnie wielkiego świata, pisania książek, wszelkiej styczności z literaturą i zamknąć się na resztę dni w ciasnej i spokojnej sferze, do której czułem się zrodzony.

Zysk z *Listu do d'Alemberta* i *Nowej Heloizy* skrzepił nieco me zasoby, które w Pustelni bardzo się wyczerpały. Miałem w ręku około tysiąca talarów. *Emil*, do którego zabrałem się na dobre po ukończeniu *Heloizy*, posuwał się bardzo szybko; liczyłem, iż dochód z niego co najmniej podwoi tę sumę. Powziąłem projekt ulokowania swego kapitału tak, aby stworzyć projekt dożywotniej renty, która, wraz z mym zarobkiem kopisty, pozwoliłaby mi się utrzymać bez pisania. Miałem jeszcze dwa dzieła na warsztacie. Pierwszym były *Instytucje polityczne*. Zbadałem stan tej książki i uznałem, że wymaga jeszcze kilku lat pracy. Nie miałem odwagi pracować nad nią dalej i odwlekać swego projektu aż do jej ukończenia. Toteż, wyrzekając się tego dzieła, postanowiłem zużyć zeń to, co się da wydzielić, następnie zaś spalić resztę. Podjąwszy z zapałem tę pracę, bez uszczerbku dla *Emila*, dopełniłem w ciągu niespełna dwu lat ostatnich rysów *Umowy społecznej*.

Pozostawał *Dykcjonarz muzyczny*. Była to praca rzemieślnicza, którą można było prowadzić w każdej porze i która miała za cel jedynie zysk pieniężny. Zostawiałem sobie do woli swobodę rzucenia jej lub dokończenia wedle tego jak inne zasoby, zgromadzone razem, uczynią mi to źródło koniecznym lub zbędnym. Co do *Moralności wrażeń*, której zamysł pozostał w formie szkicu, poniechałem jej zupełnie.

Ponieważ, gdybym mógł obejść się zupełnie bez kopiowania, ostatecznym moim zamiarem było oddalić się z okolic Paryża, gdzie napływ odwiedzających przyczyniał mi zbyt wiele wydatków, kradnąc równocześnie czas potrzebny na ich zaopatrzenie, zastanawiałem się nad sposobem ubezpieczenia się w moim ustroniu od nudy, w jaką powiadają, iż popada pisarz, z chwilą gdy rzuci pióro. Otóż zapewniłem sobie zajęcie, zdolne wypełnić pustkę samotności, a wolne od pokusy drukowania czegokolwiek jeszcze za życia. Nie wiem przez jaki kaprys Rey nalegał na mnie od dawna, abym napisał pamiętniki. Mimo iż do tego czasu nie były one zbyt zajmujące co do faktów, czułem, że mogłyby nabrać wagi przez szczerość, jaką byłbym zdolny w nie włożyć. Postanowiłem stworzyć z nich dzieło jedyne przez swą bezprzykładną prawdomówność, iżby przynajmniej raz można było widzieć człowieka takim, jakim jest wewnątrz. Zawsze śmiałem się z fałszywej szczerości Montaigne'a, który udając, iż przyznaje się do błędów, troszczy się bardzo pilnie, aby te rzekome błędy przedstawić w jak najpowabniejszym świetle; podczas gdy ja, który uważałem się zawsze i uważam dotąd jeszcze, ogółem wziąwszy, za najlepszego z ludzi, czułem, że nie ma ludzkiego wnętrza, choćby było nawet najczystsze, aby nie kryło w sobie jakiej szpetnej przywary. Wiedziałem, że malują mnie wobec publiczności rysami tak mało podobnymi do moich, a niekiedy tak poczwarnymi, iż mimo błędów, których nie chciałem ukrywać, mogę jedynie zyskać, ukazując się takim, jakim jestem. Nie dało się tego dokonać, nie pokazując także innych ludzi w ich prawdziwej postaci, tym samym dzieło nie mogło się ukazać wcześniej aż po śmierci mojej i wielu innych osób. To ośmielało mnie tym bardziej do spisania *Wyznań*, za które nigdy nie będę się musiał przed nikim rumienić. Postanowiwszy tedy poświęcić swoje wczasy sumiennemu wykonaniu tego przedsięwzięcia, zabrałem się do gromadzenia listów i papierów, któ-

re mogły prowadzić albo pobudzać mą pamięć, żałując bardzo wszystkiego, co aż dotąd podarłem, spaliłem, zgubiłem.

Ten zamiar zupełnego usunięcia się, jeden z najrozsądniejszych, jakie kiedykolwiek powziąłem, wycisnął się bardzo silnie w mym umyśle i już pracowałem nad jego wykonaniem, kiedy niebo, które gotowało mi inne losy, wtrąciło mnie w nowy wir.

Montmorency, dawne i piękne dziedzictwo znakomitego domu tego imienia, nie należy już doń od czasu konfiskaty. Przeszło, za pośrednictwem siostry księcia Henryka, do domu Kondeuszów[738], który zmienił dawną nazwę Montmorency na Enghien. Księstwo to nie ma innego zamku, jak tylko starą wieżę, gdzie przechowuje się archiwa i przyjmuje hołdy wasali. Istnieje wszelako w Montmorency, czyli w Enghien, osobny dom, zbudowany przez Croisata, który, kryjąc w sobie wspaniałości najpyszniejszych zamków, zasługuje na to miano i nosi je też w istocie. Imponujący wygląd tej pięknej budowli, terasa, na której się wznosi, widok jedyny może na świecie, obszerny salon malowany ręką mistrzów, ogród sadzony przez sławnego Le Nôtre[739], wszystko to tworzy całość, której uderzający majestat ma wszelako coś dziwnie prostego. Pan marszałek książę de Luxembourg[740], który zajmował wówczas ów dom, zjeżdżał co roku do tego majątku, gdzie przodkowie jego byli niegdyś panami, aby dwa razy w roku spędzić tam pięć do sześciu tygodni. Bawił w charakterze prywatnej osoby, ale przepych jego trybu życia w niczym nie sprzeniewierzał się dawnej świetności domu. Za pierwszym razem kiedy przybył od czasu mego osiedlenia w Montmorency, oboje marszałkostwo posłali pokojowca, aby wyraził mi pozdrowienie z ich strony i zaprosił w imieniu państwa na wieczerzę, ilekroć będę miał ochotę. Za każdym nowym pobytem na wsi, księstwo ponawiali to samo pozdrowienie i zaprosiny. Przypominało mi to panią de Beuzenval, częstującą mnie obiadem w kredensie. Czasy zmieniły się; ale ja zostałem ten sam. Nie miałem ochoty obiadować w kredensie, a mało dbałem o stół pański. Byłbym raczej wolał, aby mnie zostawili tym, czym byłem, nie podejmując mnie i nie poniżając. Odpowiedziałem grzecznie i z szacunkiem na uprzejmości księstwa de Luxembourg, ale nie przyjąłem zaprosin; tak moje niedomagania, jak wrodzona nieśmiałość i trudność wymowy przyprawiały mnie o drżenie na samą myśl, abym się miał pokazać w zgromadzeniu dworskich dygnitarzy. Nie poszedłem nawet do zamku złożyć podziękowania, mimo że rozumiałem doskonale, że o to właśnie chodzi i że cała ta gorliwość raczej wynika z ciekawości niż z życzliwości.

Mimo to awanse ponawiały się ciągle, a nawet posunęły się dalej. Hrabina de Boufflers[741], bardzo zażyła z panią marszałkową, przybywszy do Montmorency, posłała dowiedzieć się o moje zdrowie i ofiarowała się z chęcią odwiedzenia mnie. Odpowiedziałem jak należało, ale sam nie ruszyłem się z miejsca. W czasie świąt Wielkanocy 1759 kawaler de Lorenzy, należący do dworu księcia Conti i częsty gość u pani de Luxembourg, odwiedził mnie kilkakrotnie; zawarliśmy znajomość; namawiał mnie, abym się wybrał do zamku — nie usłuchałem. Wreszcie jednego popołudnia, kiedy najmniej się tego spodziewałem, ujrzałem nadchodzącego marszałka de Luxembourg w towarzystwie kilku osób. Wówczas nie było już sposobu się wywinąć; nie mogłem, pod grozą ściągnięcia na się opinii zuchwalca i prostaka, nie oddać wizyty, i nie przedłożyć służb pani marszałkowej, w której imieniu książę obsypał mnie najpochlebniejszymi oświadczeniami. Tak zaczęły się, pod złowrogą wróżbą, te stosunki. Nie mogłem dłużej się bronić, ale zbyt dobrze uzasadnione przeczucie kazało mi lękać się ich, póki się w nie nie wplątałem.

---

[738] *Przeszło, za pośrednictwem siostry księcia Henryka, do domu Kondeuszów* — książę Henryk II de Montmorency, ceniony dowódca wojskowy, przyłączył się do przeciwników kardynała Richelieu, głównego ministra Ludwika XIII, został jednak pokonany, ujęty i stracony (1632); tytuł przeszedł na jego siostrę, Charlotte Marguerite, która wyszła za mąż za Henryka II Burbona, księcia de Condé (Kondeusza). [przypis edytorski]

[739] *Le Nôtre, André* (1613–1700) — francuski architekt krajobrazu, nadworny ogrodnik króla Ludwika XIV, zaprojektował ogrody Wersalu. [przypis edytorski]

[740] *książę de Luxembourg* — tu: Charles François II de Montmorency, książę Luxembourg (1702–1764), gubernator Normandii (od 1726) i marszałek Francji (od 1757). [przypis edytorski]

[741] *hrabina de Boufflers* [(1725–1800)] — rychło rozwiedziona z mężem, nawiązała stosunek z ks. de Conti, którego nawet usiłowała poślubić. Mania prześladowcza Russa każe mu widzieć w pani de Boufflers główną sprężynę intryg przeciw niemu; jednakże wszystkie jego podejrzenia w tej mierze zdają się być urojone. [przypis tłumacza]

Obawiałem się niezmiernie pani de Luxembourg[742]. Wiedziałem, że jest to osoba miła i powabna. Widywałem ją wielokrotnie w teatrze i u pani Dupin przed jakimi dziesięciu czy dwunastu laty, kiedy była księżną de Boufflers i jaśniała jeszcze blaskiem całej piękności. Ale uchodziła za kobietę złą; reputacja ta — zważywszy stanowisko osoby — przyprawiała mnie o drżenie. Ledwie ją ujrzałem, uczułem się pobity. Wydała mi się czarująca, tym czarem urągającym czasowi, najbardziej stworzonym, aby działać na me serce. Spodziewałem się, iż rozmowa jej będzie kąśliwa i najeżona dowcipem. Nic podobnego; raczej o wiele lepiej. Konwersacja pani de Luxembourg nie błyszczy na pozór. To nie rakiety dowcipu, nawet nie to, co się nazywa spryt; raczej najwyborniejsza delikatność, która nie uderza nigdy, a miła jest zawsze. Uprzejmość jej jest tym bardziej odurzająca, że jest bardzo prosta; można by rzec, iż pochlebne słowa wyrywają się jej bez myśli i że to serce jej wylewa się dlatego jedynie, że jest nazbyt pełne. Zdawało mi się od pierwszej wizyty, iż mimo lękliwego obejścia i ciężkich frazesów nie zrobiłem złego wrażenia. Każda z tych wielkich pań umie, jeżeli zechce, wzbudzić to przekonanie, bez względu, czy jest ono prawdą czy nie; ale nie każda umie jak pani de Luxembourg uczynić to przeświadczenie tak słodkim, iż nie przychodzi już na myśl wątpić o nim. Już od pierwszego dnia byłaby marszałkowa zdobyła mą całkowitą ufność, jak to nastąpiło rychło później, gdyby księżna de Montmorency, jej synowa, nieco postrzelona i dość złośliwa, nie wpadła na myśl wzięcia mnie w podwójny ogień zalotności. Zjednoczone komplementy mamy i udane kokieterie córki obudziły we mnie niejakie wątpliwości, czy nie wzięto mnie za ofiarę żartu.

Niełatwo by mi może było uwolnić się od tej obawy, gdyby nadzwyczajna życzliwość pana marszałka nie upewniła mnie, że i tamte objawy sympatii mogę brać poważnie. Zadziwiające jest, zważywszy mój nieśmiały charakter, jak łatwo przyszło mi wziąć go za słowo, kiedy mnie zapewniał, iż stosunek nasz pragnie postawić na stopie absolutnej równości; nawzajem znów marszałek wziął mnie za słowo co do absolutnej niezależności, jaką chciałem zachować. Oboje księstwo, przeświadczeni, że mam słuszne powody czuć się zadowolony ze swego stanu i nie chcieć go odmieniać, ani przez chwilę nie zdawali się zaprzątać sakiewką mą ni losem. Mimo iż nie mogłem wątpić o ich serdecznym zainteresowaniu, nigdy nie częstowali mnie żadnym stanowiskiem ani nie nastręczali się ze swym poparciem, wyjąwszy jedyny raz, kiedy pani de Luxembourg okazywała chęć wprowadzenia mnie do Akademii Francuskiej. Zwróciłem uwagę na mą religię: oświadczyła, że to nie jest przeszkoda, w każdym zaś razie podejmowała się ją usunąć. Odpowiedziałem, iż mimo zaszczytu, jakim byłoby dla mnie być członkiem tak znamienitego ciała, wszelako skoro odmówiłem panu de Tressan i, do pewnego stopnia, królowi polskiemu, gdy mnie chciał powołać do Akademii w Nancy, nie wypada mi już wstępować do żadnej innej. Pani de Luxembourg nie nalegała i nie było już o tym mowy. Ta prostota stosunków z tak wielkim państwem, które mogło wszystko uczynić dla mnie, ile że pan de Luxembourg był, i wart był być, osobistym przyjacielem króla, stanowi osobliwy kontrast z nieustanną, równie natrętną, jak niewczesną opieką przyjaciół-protektorów, z którymi świeżo się rozstałem i których dążeniem było nie tyle usłużyć mi, ile mnie poniżyć.

Kiedy pan marszałek przybył mnie odwiedzić w Mont-Louis, przyjąłem go, wraz z jego świtą, w swoim jedynym pokoju, wielce zafrasowany: nie dlatego, że musiałem go posadzić wśród brudnych talerzy i potłuczonych garnków, ale dlatego, iż podłoga, wpółzgniła, rozsypywała się w próchno; obawiałem się, aby pod ciężarem tak licznego grona nie zapadła się zupełnie. Mniej zaprzątnięty własnym niebezpieczeństwem, ile tym, na które ów dobry pan wystawia się przez swą uprzejmość, co prędzej pokwapiłem się wyprowadzić go z domu, wiodąc mimo zimna, jakie jeszcze panowało, do mej baszty, otwartej na przestrzał i bez kominka. Kiedyśmy się tam znaleźli, wyjaśniłem powód swej niegościnności. Książę opowiedział wizytę pani marszałkowej i oboje nalegali na mnie, abym w oczekiwaniu aż naprawią mi podłogę, przyjął mieszkanie w zamku lub też, jeśli

Gość

[742] *pani de Luxembourg* (1707–1787) — głośna z piękności, zaślubiła najpierw księcia de Boufflers. Młodość jej, nawet w oczach tej epoki skandaliczna, znalazła odbicie w satyrycznych piosenkach współczesnych. Oto urywek z jednej z nich, pióra pana de Tressan: *Quand Boufflers parut à la cour,/ On crut voir la mère d'amour…/ Et chacun l'avait à son tour*. Zaślubiwszy marszałka de Luxembourg, z którym wiązał ją dawny stosunek miłosny, w dojrzałych latach stała się w Paryżu wyrocznią tonu i reputacji. Machiawelizm, jaki insynuuje jej Rousseau w stosunku do niego, jest, jak się zdaje, jego urojeniem. [przypis tłumacza]

wolę, w ustronnym budynku położonym wśród parku a noszącym miano „zameczku". Ta czarowna siedziba zasługuje, aby o niej wspomnieć.

Park lub ogród w Montmorency nie jest położony na równinie jak park w Chevrette. Jest nierówny, górzysty, sfalowany wzgórzami i dolinami, które zręczny artysta wyzyskał, tworząc z nich malownicze gaje, kaskady, perspektywy i w ten sposób siłą sztuki i talentu niejako pomnożył przestrzeń, samą z siebie dość szczupłą. Park ten uwieńczony jest u szczytu terasą i zamkiem; w dole tworzy on jakby gardziel, która otwiera się i rozszerza ku dolinie, a której zagłębienie wypełnione jest wielką płaszczyzną wodną. Między oranżerią, która zajmuje szerszy wylot kotliny, a jeziorem, otoczonym zboczami strojnymi w krzewy i drzewa, znajduje się ów zameczek. Budowla ta, z otaczającym kawałem ziemi, należała niegdyś do sławnego Le Brun[743], który wzniósł ją i przystroił z owym wytwornym smakiem zdobnictwa i architektury, jakim odznaczał się ten wielki malarz. Zameczek ten od tego czasu przebudowano, ale zawsze wedle pierwotnego rysunku. Jest mały, skromny, ale wykwintny. Ponieważ mieści się w kotlinie, między basenem oranżerii a wielką sadzawką, a tym samym narażony jest na wilgoć, przebito go w środku przejrzystym perystylem[744], wspartym na dwóch rzędach kolumn. Przewiew powietrza rozprowadzony po całym budynku sprawia, iż jest suchy mimo swego położenia. Kiedy się patrzy na tę budowlę z przeciwległej wyżyny, wydaje się ona ze wszystkich stron otoczona wodą; mamy wrażenie, że widzimy zaczarowaną wyspę, albo też najpiękniejszą z trzech Wysp Boromejskich, zwaną Isola bella na Lago maggiore.

W tym to samotnym budynku dano mi do wyboru jedno z czterech kompletnych mieszkań, które zawiera, poza parterem, złożonym z sali balowej, bilardowej i kuchni. Wybrałem najmniejsze i najskromniejsze mieszkanko nad kuchnią, którą również objąłem w posiadanie. Pokoje były uroczo schludne; umeblowanie białe z niebieskim. W tej to głębokiej i rozkosznej samotni, w otoczeniu wód i lasów, wśród koncertu ptasząt, zapachu kwiatu pomarańczowego, ułożyłem, w nieustającej ekstazie, piątą księgę *Emila*, której dość świeży koloryt zawdzięczam w znacznej mierze ożywczym wpływom miejsca, w którym ją pisałem. Z jakąż skwapliwością biegłem co rano, o wschodzie słońca, wdychać balsamiczne powietrze! Jakąż smaczną kawę z mlekiem pijałem sam na sam z Teresą! Kotka moja i pies dotrzymywały nam towarzystwa. Ten dwór wystarczyłby mi na całe życie, nie dając zaznać ani chwili nudów. Czułem się tam jak w raju; żyłem w iście rajskiej niewinności i kosztowałem takiegoż szczęścia.

W czasie pobytu swego w lipcu oboje księstwo de Luxembourg okazali mi tyle względów, świadczyli tyle serdeczności, iż, mieszkając u nich i obsypywany świadectwami dobroci, nie mogłem odwdzięczyć się inaczej jak tylko dotrzymując im pilnie towarzystwa. Nie opuszczałem ich prawie wcale. Rano szedłem przedłożyć służby pani marszałkowej; zatrzymywano mnie na obiedzie; po południu towarzyszyłem na przechadzkę panu marszałkowi; ale nie wieczerzałem w zamku, z przyczyny zbyt licznych gości i ponieważ wieczerzano, jak dla mnie, zbyt późno. Aż dotąd wszystko było na miejscu i nie byłoby w tym jeszcze nic złego, gdybym umiał się na tym ograniczyć. Ale nigdy nie potrafiłem zachować miary w przywiązaniu i dopełnić po prostu powinności towarzyskich. Dawałem zawsze wszystko albo nic; niebawem dałem wszystko. Widząc się podejmowanym, psutym przez osoby takiego stanowiska, przekroczyłem granice i powziąłem dla nich przyjaźń, jaką wolno jest mieć tylko dla równych sobie. Wlałem w stosunek do nich całą serdeczną poufałość, podczas gdy oni w swoim zachowaniu nigdy nie wyszli z granic grzeczności, do której mnie przyzwyczaili. Mimo to nigdy nie czułem się bardzo swobodny z panią marszałkową. Jakkolwiek nie byłem zupełnie pewien jej charakteru, mniej obawiałem się go jeszcze niż jej dowcipu. To była rzecz, która mi w niej najbardziej imponowała. Wiedziałem, że jest wybredna w towarzystwie i że ma prawo po temu. Wiedziałem, że kobiety, a zwłaszcza wielkie panie, chcą bezwarunkowo, aby je bawić, i że lepiej jest obrazić je niż znudzić. Z komentarzy jej o ludziach, którzy dopiero co opuścili salon, zgadywałem, co musi myśleć o moich niezgrabstwach. Wpadłem na sposób, aby się ocalić od kłopotu rozmowy: mianowicie czytać. Słyszała o *Julii*; wiedziała, że jest w druku; objawiła chęć poznania tego utworu. Ofiarowałem się przeczytać; przystała. Co rano udawałem się do

[743] *Le Brun, Charles* (1619–1690) — francuski malarz królewski, architekt, dekorator Wersalu i Luwru, współtwórca stylu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

[744] *perystyl* — wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami. [przypis edytorski]

niej o dziesiątej: pan de Luxembourg zjawiał się również; zamykano drzwi. Czytałem, siedząc przy łóżku księżnej, i miarkowałem takie dawki lektury, iż byłoby jej starczyło na cały pobyt, gdyby nawet nie uległ przerwie. Powodzenie tego środka przeszło moje oczekiwanie. Pani de Luxembourg oszalała na punkcie Julii i jej autora; mówiła tylko o mnie, zajmowała się jedynie mną, prawiła mi komplementa od rana do wieczora, ściskała mnie po dziesięć razy dziennie. Życzyła sobie, abym przy stole siedział zawsze obok niej; kiedy kto z panów chciał zająć to miejsce, powiadała, że jest moje i sadzała go gdzie indziej. Można osądzić, jakie wrażenie czyniło na mnie to czarujące obejście, na mnie, którego tak ujmują najmniejsze objawy życzliwości. Przywiązałem się prawdziwie do marszałkowej, w proporcji do przywiązania, które ona mi objawiała. Patrząc na te zachwyty i czując w sobie tak mało uroków zdolnych je podtrzymać, jedyną mą obawą było to, aby nie zmieniły się one w przesyt; nieszczęściem dla mnie, obawa aż nazbyt uzasadniona!

Musiała snadź istnieć jakaś przyrodzona sprzeczność między jej a moim krojem umysłu, skoro, niezależnie od mnóstwa niezręczności, które mi się raz po raz wyrywały w rozmowie, w listach nawet (i to wówczas, kiedy byliśmy najlepiej), trafiały się rzeczy, które się nie podobały księżnej, ja zaś nie mogłem odgadnąć dlaczego. Dam jeden przykład, a mógłbym dać ich dwadzieścia. Marszałkowa wiedziała, że sporządzałem dla pani d'Houdetot kopię *Heloizy*, po tyle a tyle od strony. Chciała również mieć kopię na tych samych warunkach. Przyrzekłem. Pomieszczając ją tym samym w liczbie swoich klientek, chciałem jej napisać coś ujmującego i grzecznego w tym przedmiocie; taki był przynajmniej mój zamiar. Oto odpowiedź, która ściągnęła mnie z chmur (plik C, nr 43). List

Wersal, wtorek

> Jestem szczęśliwa, jestem zachwycona; list Pański sprawił mi niezmierną przyjemność: spieszę, aby Panu donieść o tym i podziękować.
>
> Oto co mi Pan pisze: „Mimo że jest Pani niewątpliwie bardzo szacowną klientką, mam niejakie skrupuły, aby przyjmować od Niej pieniądze: mnie by to raczej przystało opłacać przyjemność, którą jest dla mnie móc pracować dla Pani". To dla mnie dosyć. Przykro mi, że nie wspomina Pan nigdy o swym zdrowiu, które obchodzi mnie nad wszystko. Jestem Panu oddana z całego serca; upewniam, iż z wielkim żalem przychodzi mi to pisać i że byłoby mi bardzo miło móc to Panu wyrazić osobiście. Pan de Luxembourg również kocha Pana bardzo i ściska go z całego serca.

Otrzymawszy ten list, czym prędzej pospieszyłem odpowiedzieć, aby, nim zdołam ściślej rozpatrzyć rzecz całą, zaprotestować bodaj przeciw wszelkiemu ujemnemu rozumieniu mego listu. Straciwszy kilka dni na dociekaniach, z niepokojem łatwym do pojęcia, a ciągle nie mogąc nic zrozumieć, oto jaką wreszcie przesłałem ostatnią odpowiedź w tej materii.

Montmorency, 8 grudnia 1759

> Od chwili wysłania ostatniego listu rozpatrywałem po sto razy ustęp, o którym mowa. Brałem go w znaczeniu zwykłym i prostym; brałem we wszelakim sensie, jaki mu można nadać i wyznaję Pani, księżno marszałkowo, że nie wiem już, czy to Pani należą się przeprosiny ode mnie, czy też mnie od Pani.

Minęło dziesięć lat od wymiany tych listów. Często myślałem nad tym od tego czasu; i taka jest dziś jeszcze tępość moja w tej materii, że nie zdołałem pojąć, co ona mogła znaleźć w tym ustępie, nie mówię już obrażającego, ale co mogłoby się jej nie podobać.[745]

Gdy mowa o rękopiśmiennym egzemplarzu *Heloizy*, który życzyła sobie mieć pani de Luxembourg, trzeba mi opowiedzieć, co wymyśliłem, aby mu nadać jakąś osobliwą

[745] *nie zdołałem pojąć, […] co mogłoby się jej nie podobać* — powyższe zdarzenie jest charakterystyczne dla chorobliwej wręcz podejrzliwości Russa: jasne bowiem jest, iż pani de Luxembourg zupełnie szczerze była zachwycona jego listem i nie czuła się w żadnej mierze urażona. [przypis tłumacza]

cechę, różniącą go od wszystkich innych. Nakreśliłem swego czasu oddzielnie przygody milorda Edwarda i długo wahałem się z włączeniem ich, bądź w całości bądź częściowo, do tego dzieła, gdzie zdawało mi się, że ich brakuje. Wreszcie namyśliłem się usunąć je zupełnie, ponieważ odbijając tonem od reszty, zepsułyby wzruszającą prostotę utworu. Później, kiedy poznałem panią de Luxembourg, zyskałem inną, ważniejszą przyczynę: mianowicie w przygodach tych gra rolę margrabina rzymska, o bardzo odrażającym charakterze, której pewne rysy, mimo iż nie ściągały się do marszałkowej, mogłyby się do niej odnosić w oczach tych, którzy ją znali jedynie z reputacji. Bardzo byłem tedy rad z postanowienia, które powziąłem, i umocniłem się w nim tym bardziej. Ale w gorącym pragnieniu wzbogacenia egzemplarza księżnej czymś, czego by nie było w żadnym innym, sięgnąłem myślą po te nieszczęsne przygody i powziąłem zamiar dołączenia ich! Projekt szalony, którego niedorzeczność można wytłumaczyć jedynie ślepą fatalnością, wlokącą mnie do zguby! *Quos vult perdere, Jupiter dementat*[746]. Głupota

Byłem tak głupi, iż sporządziłem odpis bardzo starannie, bardzo pracowicie i posłałem księżnej ten ustęp, jako rzecz najpiękniejszą w świecie, uprzedzając wszelako (co było prawdą), iż spaliłem oryginał, że odpis jest tylko dla niej samej, że nigdy nikt nie ujrzy go na oczy, chyba że ona sama go pokaże. Wszystko to, zamiast, jak to rozumiałem, dowodzić w oczach marszałkowej mojej oględności i dyskrecji, było jedynie podkreśleniem aluzji, której się mogła dopatrzeć w obrażających ją rysach bohaterki tego ustępu. Posunąłem głupotę do tego stopnia, iż byłem pewny, że księżna będzie oczarowana mym postąpieniem. Nie spotkałem się z komplementami, których oczekiwałem, i nigdy ku swemu wielkiemu zdumieniu nie wspomniała mi o tym poszycie[747]. Co do mnie, wciąż zachwycony zachowaniem swoim w tej sprawie, dopiero po czasie, z innych objawów, osądziłem jego skutki.

Pominąłem również, odnośnie do rękopisu marszałkowej, inną myśl, mniej niedorzeczną, ale która w odleglejszych następstwach okazała się równie zgubna. Tak wszystko sprzymierza się z dziełem losu, skoro podoba mu się wieść człowieka ku klęsce! Miałem zamiar ozdobić ten rękopis rysunkami sztychów, jako iż okazały się tego samego formatu. Zażądałem od Coindeta rysunków: były one, z wszelkich tytułów, moją własnością, tym bardziej, że odstąpiłem mu dochód ze sztychów, które miały wielki pokup[748]. Coindet był równie przebiegły, jak ja naiwny. Z mego uporczywego żądania rysunków domyślił się wreszcie, co zamierzam z nimi uczynić. Wówczas pod pozorem dodania jakichś ozdób wyjednał to, że mu je zostawiłem, i w końcu ofiarował je księstwu sam. *Ego versiculos feci, tulit alter honores*[749].

To pomogło mu postawić się w pałacu na niejakiej stopie. Od czasu mego osiedlenia w zameczku odwiedzał mnie tam często, a zawsze rano, zwłaszcza kiedy księstwo byli w Montmorency. To sprawiało, iż aby mu dotrzymać towarzystwa, nie szedłem do zamku. Wymawiano mi te zaniedbania; zdradziłem przyczynę. Polecono mi przyprowadzić z sobą pana Coindet, co też uczyniłem. Oto jedynie chodziło filutowi[750]. Tak, dzięki osobliwym względom, których tam zażywałem, totumfacki[751] pana Thélusson, którego ten raczył niekiedy dopuszczać do stołu, kiedy nie miał nikogo u siebie, znalazł się nagle u stołu marszałka Francji, wraz z książętami, księżnymi i wszystkim, co było najświetniejszego na dworze. Nie zapomnę nigdy, jak jednego dnia, kiedy zmuszony był wcześniej wrócić do Paryża, książę marszałek rzekł po obiedzie do towarzystwa: „Chodźmy się przejść w stronę Saint-Denis; odprowadzimy pana Coindet". To było za wiele na tego nieboraka: w głowie mu się zawróciło zupełnie. Co do mnie, czułem się tak wzruszony, że nie mogłem wymówić ani słowa. Szedłem z tyłu, płacząc jak dziecko i ginąc z ochoty ucałowania śladów stóp dobrego marszałka. Ale widzę, że historia mego rękopisu skłoniła mnie do uprzedzenia wypadków. Podejmijmy je po porządku, o ile pamięć mi pozwoli.

[746] *Quos vult perdere, Jupiter dementat* (łac.) — Kogo Jowisz chce zgubić, temu odbiera rozum. [przypis tłumacza]
[747] *poszyt* (daw.) — zszyta grupa kart w oprawie; dziś: zeszyt. [przypis edytorski]
[748] *pokup* (daw.) — popyt na jakiś towar; *mieć pokup*: być poszukiwanym przez nabywców. [przypis edytorski]
[749] *Ego versiculos feci, tulit alter honores* (łac.) — Ja ułożyłem wiersze, a inny zgarnął zaszczyty. [przypis tłumacza]
[750] *filut* — ktoś przebiegły, spryciarz. [przypis edytorski]
[751] *totumfacki* — osoba zaufana i wypełniająca bez sprzeciwu wszelkie polecenia. [przypis edytorski]

Skoro tylko domek w Mont-Louis był gotów, kazałem go umeblować schludnie, po prostu i wróciłem tam na kwaterę. Nie chciałem odstąpić od tego, co sobie ślubowałem opuszczając Pustelnię, aby mieć zawsze swoje własne, oddzielne mieszkanie; ale nie mogłem zarazem zdobyć się na to, aby opuścić mieszkanko w zameczku. Zatrzymałem klucz. Przywiązany wielce do rozkosznych śniadań w krużganku, często zachodziłem tam na noc, niekiedy spędzałem tam parę dni z rządu, niby na letnim mieszkaniu. Ze wszystkich obywateli Europy byłem wówczas może człowiekiem najlepiej i najprzyjemniej pomieszczonym. Pan Mathas, najzacniejszy człowiek pod słońcem, zostawił mi zupełną swobodę kierowania naprawkami w Mont-Louis; prosił, abym rozrządzał jego ludźmi, on sam nie mieszał się do niczego. Zyskałem tedy możność, aby z jedynego pokoju na pierwszym piętrze sporządzić sobie kompletny apartament, złożony z pokoju, przedpokoju i gotowalni. Na dole była kuchnia i pokój Teresy. Baszta, dzięki dobremu oszkleniu i kominkowi, jaki w niej urządzono, służyła mi za gabinet. Osiedliwszy się, zacząłem się bawić zdobieniem terasy, którą już ocieniały dwa rządy lip; dodałem jeszcze dwa, aby uczynić rodzaj altany, kazałem wznieść stół i ławkę z kamienia; otoczyłem ją bzem, groszkiem, przewiercieniem[752], zasadziłem grządki kwiatów równolegle do szpaleru drzew. Terasa ta, wyższa niż terasa zamkowa, a z widokiem co najmniej równie ładnym i gdzie oswoiłem całe mnóstwo ptaków, służyła mi za uroczysty salon, w którym przyjmowałem oboje księstwo de Luxembourg, książąt de Villeroy i de Tingry, margrabiego d'Armentières, księżne de Montmorency, de Boufflers i inne osoby tej rangi, które nie dając się odstraszyć bardzo stromej i uciążliwej drodze, odbywały pielgrzymkę z zamku do Mont-Louis. Wszystkie te wizyty zawdzięczałem łasce państwa de Luxembourg; czułem to i serce moje umiało im być wdzięczne. W jednym z takich wylewów rozczulenia rzekłem raz do pana de Luxembourg, ściskając go: „Ach, panie marszałku, nienawidziłem możnych, nim poznałem pana; nienawidzę ich więcej jeszcze, od czasu gdy mi pan tak dobrze dałeś uczuć, jak łatwo byłoby im kazać się ubóstwiać".

Zresztą, wzywam na świadków wszystkich, którzy mnie widywali w tej epoce, czy spostrzegli kiedy, aby ten blask oślepił mnie bodaj na chwilę, aby dym tego kadzidła uderzył mi do głowy; czy mnie widzieli mniej równym w zachowaniu, mniej skromnym w obejściu, mniej serdecznym z prostym ludem, mniej poufałym z sąsiadami, mniej skwapliwym do oddania przysługi każdemu wedle możności, przy czym nie dałem się nigdy zrazić niezliczonym, nieraz bardzo niedorzecznym dokuczliwościom, które mnie oblegały bez ustanku. Jeżeli serce ciągnęło mnie do zamku Montmorency przez szczere przywiązanie do jego państwa, wracało tak samo w moje sąsiedztwo, aby tam kosztować słodyczy tego równego i prostego życia, bez którego nie ma dla mnie szczęścia. Teresa zaprzyjaźniła się z córką murarza, mego sąsiada, nazwiskiem Pilleu; ja, toż samo, wszedłem w zażyłość z ojcem. Spożywszy rano obiad w zamku, nie bez przymusu i jedynie, aby być posłusznym pani marszałkowej, z jakąż skwapliwością wracałem wieczerzać z poczciwym Pilleu i jego rodziną, to u niego, to u mnie!

Oprócz tych dwóch mieszkań miałem trzecie w pałacu de Luxembourg. Księstwo tak bardzo nalegali na mnie, aby ich odwiedzić od czasu do czasu, iż uległem, mimo całego wstrętu do Paryża, gdzie od osiedlenia się w Pustelni byłem jedynie dwa razy. I u księstwa bywałem wyłącznie w umówione dnie, jedynie na wieczerzę, i wracałem nazajutrz rano. Wchodziłem i wychodziłem przez ogród dotykający bulwaru, tak iż mogłem powiedzieć, z najściślejszą prawdą, iż nie dotknąłem stopą bruku Paryża.

Na łonie tej przelotnej pomyślności gotowała się już katastrofa, która miała zakreślić jej koniec. W niedługi czas po powrocie do Mont-Louis zawiązałem tam, wbrew woli, jak zwykle, nową znajomość, która znowuż stanowi epokę w mych dziejach. Czytelnik osądzi w dalszym ciągu, czy na złe czy na dobre. Była to margrabina de Verdelin, moja sąsiadka; mąż jej kupił domek w Soisy, koło Montmorency. Panna d'Ars, córka hrabiego d'Ars, z dobrej, ale zubożałej rodziny, zaślubiła pana de Verdelin. Był to człowiek stary, szpetny, głuchy, szorstki, brutal, zazdrosny, z pokiereszowaną twarzą, jednooki, poza tym niezły człeczyna, kiedy go kto umiał zażyć; miał piętnaście czy dwadzieścia tysięcy funtów renty, za które pannę wydano. Ten dudek, klnący, krzyczący, łający, grzmiący i pobudzający żonę

[752] *przewiercień*, *wiciokrzew przewiercień* (bot.) — ozdobne pnącze o różowawych kwiatach i pomarańczowych owocach. [przypis edytorski]

do łez przez cały dzień, robił w końcu stale to, co ona chciała, a to, aby ją doprowadzić do wściekłości: umiała bowiem zawsze wmówić, że to on chce tego, a ona nie. Pan de Margency, o którym wspominałem, był przyjacielem pani, a stał się przyjacielem i pana. Było już kilka lat, jak im wynajął swój zamek de Margency, blisko Eaubonne i Andilly, i mieszkali tam właśnie w czasie moich zapałów dla pani d'Houdetot. Pani d'Houdetot i pani de Verdelin znały się przez panią d'Aubeterre, wspólną przyjaciółkę; że zaś ogród w Margency był na drodze pani d'Houdetot, gdy szła na Wzgórze Olimpu, swą ulubioną przechadzkę, pani de Verdelin dała jej klucz dla swobodnego przejścia. Przy pomocy tego klucza ja przechodziłem często tamtędy wraz z nią; ale nie lubiłem tych niespodzianych spotkań. Kiedy pani de Verdelin znalazła się przypadkiem na naszej drodze, zostawiałem obie panie, nie odzywając się słowem, i szedłem naprzód. Ten mało dworny obyczaj nie musiał mnie u niej zapisać w zbyt dobrej pamięci. Mimo to, kiedy przybyła do Soisy, nie omieszkała szukać mego towarzystwa. Zachodziła kilka razy do Mont-Louis, nie mogąc jednak nigdy zastać mnie w domu. Widząc, że nie oddaję wizyty, wpadła na pomysł, aby mnie zmusić do tego, posyłając mi kilka doniczek kwiatów na terasę. Trzeba było iść podziękować: to wystarczyło; i oto znajomość zawarta.

Stosunek ten zaczął się od burz, jak wszystkie te, w które wchodziłem wbrew chęci. Nie było w nim nawet nigdy prawdziwej harmonii. Krój umysłu pani de Verdelin był nazbyt przeciwny memu. Złośliwe uszczypki[753] i koncepty wymykają się jej z ust z taką prostotą, że trzeba nieustannej uwagi, dla mnie bardzo męczącej, aby mieć świadomość kiedy się jest przedmiotem jej żartu. Rzadko słyszałem, aby mówiła dobrze o którymś z nieobecnych przyjaciół, nie wtrącając jakiegoś słówka dla ośmieszenia go. Czego nie widziała w złym świetle, widziała w śmiesznym, a przyjaciel jej Margency nie stanowił wyjątku w tej mierze. Co było mi w niej jeszcze nieznośne to nieustanna plaga posyłek, upominków, biletów. Trzeba mi było bez ustanku wysilać dowcip, aby odpowiadać, dziękować lub odmawiać. Mimo to, w miarę jak widywaliśmy się dłużej, przywiązałem się do niej. Miała swoje zgryzoty, jak i ja. Obustronne zwierzenia dały naszym sam na sam sporo uroku. Nic tak nie zespala serc jak słodycz płakania wspólnie. Szukaliśmy się, aby się pocieszać wzajem; ta potrzeba kazała mi często zamknąć oczy na wiele rzeczy. Byłem w stosunku do niej tak twardy w mej szczerości, okazałem niekiedy tak mało szacunku dla jej charakteru, że trzeba by w istocie szacować go bardzo wysoko, aby mniemać, iż może mi to szczerze przebaczyć. Oto próbka listów, jakie pisałem niekiedy do pani de Verdelin; a trzeba zaznaczyć, iż nigdy, w żadnej z odpowiedzi, nie wydawała się urażona:

List

Montmorency, 5 listopada 1759

> Pisze mi Pani, iż „nie umiałaś się dobrze wyrazić": pragnie mi Pani dać tym do zrozumienia, że ja się źle wyrażam. Mówi mi Pani o swoim rzekomym niezgrabstwie, aby dać mi uczuć moje. Chwalisz się, że jesteś jedynie prostą kobieciną, jak gdybyś się Pani obawiała, iż Cię ktoś weźmie za słowo; w końcu zasyłasz mi przeproszenia, aby mi dać do poznania, że ja Ci je jestem winien. Tak, Pani, wiem dobrze, to ja jestem głupiec, prostak i gorzej jeszcze, jeśli możebna; to ja źle dobieram wyrażeń w obliczu pięknej damy paryskiej, która zwraca tyle uwagi na słówka i sama wyraża się tak dobrze jak Pani. Ale zważ, Pani, że ja biorę słowa w pospolitym sensie języka, nie troszcząc się o piękne znaczenie, jakie im daje świątobliwe towarzystwo paryskie. Jeżeli niekiedy wyrażenia moje są dwuznaczne, staram się, aby postępowanie moje określało ich intencje, etc.

Reszta listu mniej więcej z tego samego tonu. Zobaczcież odpowiedź (plik D, nr 41) i osądźcie, jak niewiarygodnie powściągliwym musiałoby być serce kobiety, które za podobny list zdolne byłoby odczuć jedynie tyle urazy, ile jej zdradza ta odpowiedź i ile mi jej ona sama kiedykolwiek okazała. Coindet, przedsiębiorczy, śmiały aż do bezczelności i który uprawiał nagonkę na wszystkich mych przyjaciół, wślizgnął się niebawem pod mą firmą do pani de Verdelin; wkrótce też stał się u niej, bez mojej wiedzy, o wiele zażylszy ode

[753] *uszczypka* (daw.) — uszczypliwa uwaga pod czyimś adresem, przymówka. [przypis edytorski]

mnie. Była to osobliwa figura ten Coindet. Przedstawiał się w mym imieniu u wszystkich moich znajomych, wciskał się w dom, zapraszał się na obiady bez ceremonii. Przejęty zapałem swej przyjaźni dla mnie, mówił o mnie stale ze łzami w oczach; ale kiedy się ze mną spotkał, zachowywał głębokie milczenie o tych wszystkich stosunkach i o wszystkim, co wiedział, że może mnie interesować. Zamiast mi powiedzieć, co usłyszał lub rzekł, lub widział z rzeczy mogących mnie obchodzić, on słuchał moich zwierzeń, wyciągał je nawet. Z całego Paryża wiedział zawsze jedynie tyle, ile dowiadywał się ode mnie. Mimo iż wszyscy mówili mi o nim, on nie mówił mi o nikim: był skryty i tajemniczy jedynie ze swoim przyjacielem. Ale zostawmy na teraz Coindeta i panią de Verdelin. Wrócimy do nich w dalszym ciągu.

W jakiś czas po moim powrocie do Mont-Louis La Tour, malarz, zaszedł mnie odwiedzić i przyniósł mi mój portret pastelami, który wystawił był w Salonie przed kilku laty. Chciał mi swego czasu dać ten portret, ale nie przyjąłem. Tymczasem pani d'Epinay, która mi dała swój kontrefekt[754] i pragnęła mieć ten w zamian, wpłynęła na mnie, abym o niego poprosił. Zatrzymał go jeszcze dla wykończenia. Wśród tego przyszło zerwanie z panią d'Epinay; zwróciłem jej portret, nie było też mowy o daniu mego. Umieściłem go w swoim gabinecie w zameczku. Pan de Luxembourg zobaczył go i pochwalił; ofiarowałem mu go, przyjął; posłałem tedy portret do pałacu. Oboje marszałkostwo zrozumieli, że byłbym rad posiadać ich portrety. Kazali sporządzić miniatury, bardzo dobrego pędzla, dali je oprawić w puzderko na cukierki, ze szklanego kryształu, okładane złotem, i ofiarowali je w sposób najmilszy w świecie. Byłem oczarowany. Pani de Luxembourg nie chciała w żaden sposób się zgodzić, aby jej portret umieszczono na wierzchu pudełka. Wymawiała mi kilka razy, że więcej kocham pana de Luxembourg niż ją; nie broniłem się, ponieważ była to prawda. Przez ten sposób umieszczenia portretu dała mi poznać, bardzo delikatnie, ale jasno, że nie zapomniała tej różnicy.

Uczyniłem, mniej więcej w tym czasie, głupstwo, które nie dopomogło mi do zachowania łask tej pani. Mimo że nie znałem wcale pana de Silhouette[755] i mało byłem skłonny z nim sympatyzować, miałem wysokie mniemanie o jego administracji. Skoro położył ciężką rękę na finansistach, widziałem, iż chwila, którą obrał, nie jest pomyślna dla tej operacji; mimo to zasyłałem serdeczne życzenia za jego powodzenie i kiedy dowiedziałem się, że go usunięto, napisałem doń w moim gapiostwie następujący list, którego z pewnością nie mam zamiaru usprawiedliwiać. List

Montmorency, 2 grudnia 1759

> Racz, Panie, przyjąć hołd samotnika, który jest Panu nieznany, ale który ceni Pana za Jego talenty, szanuje za Jego administrację i który zaszczycił Pana przypuszczeniem, iż nie zostanie ona długo w Pańskich rękach. Nie mogąc ratować państwa inaczej niż kosztem stolicy, która go zgubiła, stawiłeś Pan czoło wrzaskom wyzyskiwaczy i lichwiarzy. Widząc, jak miażdżysz tych nędzników, zazdrościłem Panu Jego stanowiska; widząc jak je opuszczasz, nie sprzeniewierzywszy się samemu sobie, podziwiam Pana. Bądź Pan zadowolony z siebie, zostawia ono Panu zaszczyt, którym będziesz się cieszył długo bez współzawodnika. Przekleństwa hultajów stanowią chlubę sprawiedliwego.

(1760) Pani de Luxembourg, która wiedziała o mym liście, wspomniała mi o nim w czasie bytności wielkanocnej: pokazałem go; życzyła sobie mieć odpis, dałem go jej. Ale dając kopię listu, nie wiedziałem, że ona była jednym z owych „wyzyskiwaczy", zainteresowanych w sprawie poddzierżawy, którzy wysadzili pana de Silhouette z jego miejsca. Powiedziałby ktoś, czytając listę moich niezgrabstw, że jakby umyślnie siliłem się obudzić nienawiść powabnej i wszechmocnej kobiety; podczas gdy w istocie przywiązywałem się do niej z każdym dniem więcej. Bardzo byłem daleki od chęci ściągnięcia na

[754] *kontrefekt* (daw.) — portret, podobizna. [przypis edytorski]

[755] *Silhouette* [*Étienne de* (1709–1767)] — kontroler finansów (1759), ośmieszany za pomocą rysunków, które od jego nazwiska zachowały nazwę „sylwetek". [Silhouette po kosztownej wojnie siedmioletniej narzucił surowe rygory ekonomiczne, więc tanie obrazki z samym tylko konturem twarzy lub postaci nazywano sylwetkami; red. WL]. [przypis tłumacza]

siebie jej niełaski, mimo że niezręcznością swoją czyniłem wszystko w tej mierze. Sądzę, że zbytecznym jest objaśniać, iż do niej to odnosi się historia opiatu pana Tronchin, o której wspomniałem w pierwszej części; drugą damą była pani de Mirepoix. Nigdy żadna z nich nie wspomniała mi o tym ani nie zdradziła najlżejszym śladem, iż pamięta; ale przypuszczać, iż pani de Luxembourg mogła istotnie zapomnieć, wydaje mi się bardzo nieprawdopodobne, nawet gdyby się nie znało dalszego ciągu wydarzeń. Co do mnie, zamykałem oczy na skutki swoich osielstw[756], w tym głębokim przeświadczeniu, iż żadnego nie popełniłem z zamiarem obrazy: jak gdyby kiedykolwiek kobieta mogła przebaczyć coś podobnego, nawet przy zupełnej pewności braku złej intencji!

Wszelako, mimo iż księżna zdawała się nic nie widzieć, nic nie czuć, i mimo że nie zauważyłem jeszcze ani ostudzenia jej serdeczności ani zmiany w obejściu, jakieś nieustanne, rosnące nawet, dobrze ugruntowane przeczucie kazało mi drżeć bez ustanku, iż niebawem przykrości zajmą miejsce tych zapałów. Czyż mogłem się spodziewać u tak wielkiej damy stałości zdolnej wytrzymać próbę mojej niezręczności w nadskakiwaniu? Nie umiałem nawet ukryć wobec marszałkowej głuchego przeczucia, które mnie dręczyło i czyniło tym bardziej markotnym. Za dowód niech posłuży następujący list, który zawiera bardzo osobliwą przepowiednię. List

N. B.[757] Ten list, bez daty w moim notatniku, pochodzi najpóźniej z października 1760.

> Jakaż Pani jest okrutna w swojej dobroci! Po co mącić spokój samotnika, który chciał się wyrzec uciech życia, byle nie czuć już jego utrapień? Trawię dni na daremnym szukaniu trwałego przywiązania. Nie mogłem go znaleźć w sferach, w których mnie los pomieścił: mamż[758] go szukać w tej, do której Pani należy? Ambicja ani interes nie kuszą mnie; równie mało podlegam próżności jak obawie; umiem oprzeć się wszystkiemu, wyjąwszy dobroci. Dlaczego atakujecie oboje księstwo tę moją słabą stronę? Trzebaż ją zwalczać, skoro wobec oddalenia, jakie nas dzieli, wylewy tkliwych uczuć nie mogą zbliżyć waszych serc do mego! Czy wdzięczność starczy sercu, które nie umie oddać się w połowie i czuje się zdolne jedynie do przyjaźni? Przyjaźni, Pani marszałkowo! Ach! Oto me nieszczęście! Dobrze Panu, Panie marszałku, używać tego określenia: ale ja szalony jestem, iż biorę Cię za słowo. Wy się bawicie, ja się przywiązuję; a koniec tej zabawy gotuje mi nowe żale. Jak ja nienawidzę wszystkich waszych tytułów i jak mi Was żal, że je dźwigacie! Zdajecie mi się tak godni, aby kosztować uroków prywatnego życia! Czemuż nie mieszkacie w Clarens! Poszedłbym szukać u Was szczęścia moich dni — ale zamek Montmorency, ale pałac Luxembourg! Czyż to są miejsca, w których powinno się widzieć Jana Jakuba? Czyż tam przyjaciel równości winien nieść przywiązanie tkliwego serca, które płacąc w ten sposób zaszczyt, jaki je spotyka, mniema, iż daje tyle, ile otrzymuje? Jesteś Pani także dobra i tkliwa; wiem o tym, przekonałem się; żal mi, iż wcześniej nie mogłem w to uwierzyć; ale na stanowisku, które zajmujesz, przy Twoim sposobie życia, nic nie może czynić trwałego wrażenia. Wciąż nowe przedmioty zacierają kolejno pamięć dawnych, tak że żaden się temu nie oprze. Zapomnisz o mnie, Pani, doprowadziwszy mnie do stanu, w którym niepodobna mi będzie iść za Twoim przykładem. Czynisz Pani wszystko, aby sprawić nieszczęście mego życia: czy znajdziesz dla siebie usprawiedliwienie?

Wtrąciłem tam pana de Luxembourg, aby uczynić wyrzut zwrócony do niej mniej twardym; przyjaźni marszałka bowiem czułem się tak pewny, że nawet mi w myśli nie postała obawa co do jej trwania. To, co mnie zastraszało ze strony marszałkowej, nie rozciągało się ani przez chwilę na niego. Nie miałem najmniejszej wątpliwości co do jego charakteru, który znałem jako słaby, lecz pewny. Tak samo nie lękałem się z jego strony

[756] *osielstwo* — głupota. [przypis edytorski]

[757] *N. B.* — skrót od łac. *nota bene*: dosł. zauważ dobrze; właśc. nawiasem mówiąc, à propos. [przypis edytorski]

[758] *mamż* — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż, o funkcji pytajnej; znaczenie: czy mam. [przypis edytorski]

oziębienia, jak nie spodziewałem się heroicznego przywiązania. Prostota, poufałość naszego stosunku świadczyła, jak bardzo liczyliśmy wzajem na siebie. Mieliśmy obaj słuszność: będę czcił, kochał, póki mego życia, pamięć tego godnego pana. Co bądź ludzie mogli uczynić, aby go oddalić ode mnie, jestem tak samo pewien, iż umarł moim przyjacielem, co gdybym przyjął jego ostatnie tchnienie.

Za drugim pobytem księstwa w Montmorency, w r. 1760, skoro ukończyliśmy lekturę *Julii*, uciekłem się do *Emila*, znowuż szukając w nim ratunku. Tym razem nie poszło tak dobrze; czy to że temat mniej przypadł księżnej do smaku, czy że tyle czytania sprzykrzyło się jej w końcu. Mimo to, ponieważ wyrzucała mi nieraz, że daję się oszukiwać księgarzom, zażądała, abym jej zostawił staranie o druk dla wyciągnięcia większego dochodu. Zgodziłem się, ale pod wyraźnym warunkiem, że nie będziemy drukować we Francji. Na tym punkcie mieliśmy długą dysputę: ja twierdziłem, że nie tylko niemożliwe jest uzyskać milczące zezwolenie, ale nawet niebezpiecznie byłoby ubiegać się o nie, nie chciałem zaś inaczej zgodzić się na druk w granicach Francji; marszałkowa twierdziła, iż, wedle systemu obecnego rządu, dzieło to nie spotkałoby się z trudnościami nawet w cenzurze. Znalazła sposób, aby pozyskać dla swych poglądów pana de Malesherbes, który przesłał mi w tym przedmiocie długi list, cały pisany własną ręką. W liście tym dowodził mi, że *Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego* to utwór, który wszędzie winien i musi uzyskać aprobatę rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza, w danych okolicznościach, francuskiego dworu. Zdumiony byłem, widząc, jak ten dygnitarz, zazwyczaj tak lękliwy, różowo patrzy na rzeczy w tej sprawie. Ponieważ druk książki, którą on zatwierdzał, stawał się tym samym legalny, nie miałem nic do przeciwstawienia zamiarowi oddania dzieła pod prasę. Mimo to przez nadzwyczajny skrupuł, żądałem ciągle, aby dzieło drukowało się w Holandii, i to u drukarza Néaulme, którego nie tylko wskazałem, ale uprzedziłem go o tym. Godziłem się zresztą, aby wydania dokonano na rachunek francuskiego księgarza i aby kiedy książka będzie ukończona, sprzedawał ją bądź w Paryżu, bądź gdzie się spodoba wydawcy, zważywszy, iż rozprzedaż mnie już nie dotyczy. Oto prawdziwa historia układu, który stanął między panią de Luxembourg a mną; po czym oddałem jej rękopis.

Pocałunek, Dziecko

Księżna wzięła w podróż swoją wnuczkę, pannę de Boufflers, dziś księżnę de Lauzun. Nazywała się Amelia. Była to urocza osoba. Wejrzenie jej, słodycz, lękliwość były iście dziewicze. Nic milszego i bardziej pełnego słodyczy jak jej oblicze, nic tkliwszego i czystszego razem niż uczucia, jakie budziła. Zresztą, było to dziecko; nie miała jeszcze jedenastu lat. Marszałkowa, która znajdowała wnuczkę zbyt nieśmiałą, dokładała starań, aby ją rozbudzić. Pozwoliła mi niejednokrotnie ucałować ją, co też czyniłem ze zwykłym niezgrabstwem. Zamiast miłych słówek, jakie kto inny rzekłby na mym miejscu, stałem niemy, zakłopotany; nie wiem, kto z dwojga bardziej był zawstydzony, biedna mała czy ja. Jednego dnia spotkałem ją samą na schodach zameczku; przyszła odwiedzić Teresę, z którą ochmistrzyni jej rozmawiała jeszcze. Nie wiedząc, co powiedzieć panience, ofiarowałem się z pocałunkiem, którego w niewinności serca nie odmówiła, ile że otrzymała już jednego tegoż samego rana, na rozkaz babci i w jej obecności. Nazajutrz, czytając *Emila* przy wezgłowiu marszałkowej, trafiłem właśnie na miejsce, w którym potępiam, i słusznie, to, com uczynił wczoraj. Księżnej wydało się spostrzeżenie moje słusznym; zrobiła w tej materii jakąś bardzo rozsądną uwagę, która mnie przyprawiła o rumieniec. Jakże przeklinam moje niewiarygodne niezgrabstwo, które tak często dawało mi pozory podłe i występne, podczas gdy byłem tylko ciężki i nieśmiały! Niezgrabstwo, które świat bierze wręcz za fałszywą wymówkę u człowieka, o którym wie, iż poza tym nie jest bez talentów i dowcipu. Mogę przysiąc, iż przy tym tak nagannym pocałunku, tak samo jak przy wszystkich innych, serce i zmysły panny Amelii nie bardziej były czyste niż moje; mogę przysiąc nawet, że gdybym w tejże chwili mógł uniknąć jej spotkania, byłbym to uczynił; mimo iż widok jej sprawiał mi szczerą przyjemność, przeważało zakłopotanie płynące z przymusu znalezienia na poczekaniu jakiegoś miłego słówka. W jaki sposób możebne jest, aby nawet dziecko onieśmielało człowieka, którego nie przestraszyła potęga królów? Jaką drogę obrać? Jak postępować, będąc pozbawionym wszelkiej doraźnej rzutkości dowcipu? Jeżeli zmuszam się, aby zagadać coś, gdy kogo spotkam, niechybnie powiem jakieś głupstwo; jeżeli nie powiem nic, jestem mizantropem, dzikim zwierzęciem, niedźwiedziem. Zupełna tępota byłaby mi mniej niekorzystna: ale brak talentów w pożyciu z ludźmi zmienił w narzędzie mej zguby te, które miałem na własny użytek.

Z końcem tego pobytu pani de Luxembourg spełniła piękny uczynek, do którego i ja przyczyniłem się w części. Diderot, bardzo nieopatrznie, obraził księżnę de Robeck, córkę pana de Luxembourg[759]; Palissot, jej protegowany, pomścił ją za pomocą komedii *Filozofy*, w której mnie wystawił na pośmiewisko, a z Diderotem obszedł się bardzo zjadliwie. Jeżeli autor oszczędził mnie poniekąd, uczynił to, jak sądzę, nie tyle przez pamięć na zobowiązania swoje wobec mnie, ile z obawy narażenia się ojcu swej protektorki, o którym wiedział, że mi jest życzliwy. Księgarz Duchesne, którego wówczas nie znałem, przysłał mi egzemplarz; podejrzewam, iż stało się to na zlecenie Palissota; myślał może, iż sprawi mi przyjemność to pognębienie przyjaciela, z którym zerwałem. Bardzo się omylił. Zrywając z Diderotem, którego uważałem nie tyle za złego, ile za nieopatrznego i słabego, zachowałem zawsze dlań w duszy przywiązanie, nawet szacunek, a przede wszystkim poszanowanie dla dawnej przyjaźni, o której wiem, iż długi czas była równie szczera z jego strony jak z mojej. Zupełnie inna rzecz z Grimmem, człowiekiem fałszywym z natury, który mnie nigdy nie kochał, który nawet nie jest zdolny kochać i który z lekkim sercem, bez przyczyny, jedynie, aby zadowolić swą czarną zawiść, stał się pod maską obłudy mym najokrutniejszym potwarcą. Ten nie jest już dla mnie niczym; tamten zawsze będzie dawnym przyjacielem. Serce mi się wzdrygało na widok tej wstrętnej sztuki; nie mogłem po prostu jej doczytać. Nie kończąc, odesłałem ją księgarzowi z następującym listem: List

Montmorency, 21 maja 1760

> Przeglądając sztukę, którą mi Pan przysłał, zadrżałem, widząc, iż jestem w niej przedmiotem pochwały. Nie przyjmuję tego ohydnego podarku. Jestem przekonany, iż posyłając mi ją, nie chciałeś mi Pan wyrządzić zniewagi; ale nie wiesz Pan albo zapomniałeś, że miałem zaszczyt być przyjacielem człowieka godnego szacunku, a niecnie oczernionego i spotwarzonego w tej książce.

Duchesne nie robił tajemnicy z mego listu. Diderot, którego powinien był wzruszyć, uraził się nim. Jego miłość własna nie mogła mi darować wyższości szlachetnego postępku. Dowiedziałem się, że żona jego wymyśla na mnie, gdzie może; niewiele mnie to obeszło, ile że osoba ta znana jest wszystkim jako przekupka i jędza.

Diderot znalazł z kolei mściciela w osobie księdza Morellet[760], który wymierzył w Palissota broszurkę naśladowaną z *Małego proroka*, zatytułowaną *Widzenie*. W piśmie tym obraził bardzo niebacznie panią de Robeck, której przyjaciele wpakowali go do Bastylii; ona sama bowiem, z natury mało mściwa, a wówczas umierająca, z pewnością nie miała w tym udziału.

D'Alembert, który żył blisko z księdzem Morellet, napisał do mnie, z prośbą bym zechciał się wstawić u pani de Luxembourg o uwolnienie księdza w dowód wdzięczności przyrzekał jej pochwałę w *Encyklopedii*. Oto moja odpowiedź. List

> Nie czekałem Pańskiego listu, aby wyrazić marszałkowej de Luxembourg przykrość, jaką mi sprawiło uwięzienie księdza Morellet. Wie o moim zainteresowaniu tą sprawą, dowie się o Pańskim; wystarczyłoby jej zaś wiedzieć po prostu, że chodzi o godnego człowieka. Poza tym, mimo iż księżna i pan marszałek zaszczycają mnie przychylnością, która jest pociechą mego życia, i mimo iż fakt Pańskiej przyjaźni stanowi w ich oczach wysoką rekomendację dla księdza Morellet, nie wiem, do jakiego stopnia przystoi im użyć w tej potrzebie wpływów związanych z ich stanowiskiem i czcią należną ich osobom. Nie jestem nawet przekonany, czy cała ta sprawa istotnie ma

[759] *Diderot, bardzo nieopatrznie, obraził księżnę de Robeck, córkę pana de Luxembourg* — Anna-Maria Robecq (1725–1760) była córką księcia de Luxembourg z pierwszego małżeństwa. Palissot zaatakował encyklopedystów swoją komedią *Les Originaux* (*Oryginały*, 1755), następnie Diderota pomówiono o splagiatowanie Goldoniego. Wówczas Deleyre w celu odparcia zarzutów przetłumaczył sztuki Goldoniego na francuski i opublikował je anonimowo. Dedykacja tłumaczenia była skierowana do „księżnej X", co spowodowało domysły, że chodzi o panią Robecq, przeciwniczkę encyklopedystów. [przypis edytorski]

[760] *Morellet*, [*André*] (1727–1819) — literat i ekonomista, jeden z wybitniejszych encyklopedystów. [przypis tłumacza]

tak bliski związek z księżną de Robeck, jak Pan zdajesz się mniemać. Gdyby i tak było, nie trzeba się łudzić, aby przywilej zemsty należał wyłącznie do filozofów i aby kiedy im się podoba zejść do poziomu kobiet, kobiety tym samym miały się wznieść do wyżyn filozofii.

Zdam Panu sprawę z tego, co powie księżna de Luxembourg, skoro jej pokażę Pański list. Sądzę, iż znam ją dość dobrze, aby na razie móc Pana upewnić, że gdyby miała przyjemność dopomóc do uwolnienia księdza Morellet, nie przyjęłaby daniny wdzięczności, jaką pan przyrzekasz jej w *Encyklopedii*, mimo że uważałaby to za zaszczyt. Osoby jej pokroju świadczą dobro nie dla pochwały, ale dla uczynienia zadość dobroci serca.

Nie oszczędziłem niczego, aby pobudzić zapał i współczucie pani de Luxembourg na rzecz biednego więźnia, i powiodło mi się. Udała się do Wersalu umyślnie, aby pomówić z hrabią de Saint-Florentin; wyprawa ta skróciła jej pobyt w Montmorency. Marszałek zmuszony był opuścić je w tym samym czasie, spiesząc do Rouen, gdzie król posyłał go jako wielkorządcę Normandii, celem powściągnięcia niepokojów w tamtejszym parlamencie. Oto list, jaki na trzeci dzień po wyjeździe napisała do mnie pani de Luxembourg (plik D, nr 28). List

Wersal, środa

Pan de Luxembourg wyjechał wczoraj o szóstej rano. Nie wiem jeszcze, czy udam się za nim. Czekam wiadomości, ponieważ on sam nie wie nawet, jak długo zabawi. Widziałam pana de Saint-Florentin, który jest najlepiej usposobiony dla księdza Morellet; są przeszkody, ale spodziewa się je zwyciężyć na pierwszej sesji z królem, która odbędzie się w najbliższą sobotę. Prosiłam również jako o łaskę, aby nie skazywano księdza Morellet na wygnanie, była bowiem o tym mowa: chciano go wysłać do Nancy. Oto, drogi Panie, co mogłam uzyskać; ale przyrzekam, że nie zostawię pana de Saint-Florentin w spokoju, póki sprawa nie skończy się tak, jak Pan tego pragnie. Korzystam ze sposobności, aby Panu wyrazić przykrość, jaką było dla mnie opuścić Go tak rychło; ale mam nadzieję, że Pan nie wątpi o tym. Jestem Pańską przyjaciółką z całego serca i na życie.

W kilka dni potem otrzymałem od d'Alemberta bilecik, który mi sprawił prawdziwą radość (plik D, nr 26). List

1 sierpnia

Dzięki twoim staraniom, drogi filozofie, wypuszczono księdza z Bastylii i sprawa nie będzie miała następstw. Jedzie na wieś i przesyła Ci, zarówno jak ja, tysiąc podziękowań i serdeczności. *Vale et me ama*.[761]

Ksiądz napisał do mnie również, w kilka dni później, list z podziękowaniem (plik D, nr 29). Nie okazywał w nim, co prawda, zbyt serdecznego wylania i raczej do pewnego stopnia zdawał się pomniejszać usługę, którą mu oddałem. W jakiś czas potem spostrzegłem, iż d'Alembert i on, nie powiem: wyrugowali mnie, ale objęli następstwo po mnie w łaskach pani de Luxembourg i że straciłem u niej tyleż, ile oni zyskali. Mimo to bardzo daleki jestem od posądzenia księdza Morellet, aby przyczynił się do mej niełaski; zbyt go na to szanuję. Co do pana d'Alembert, nie powiem o nim nic tutaj: powrócę doń w dalszym ciągu.

Miałem w tym samym czasie inną sprawę, która spowodowała ostatni list, jaki napisałem do pana de Voltaire; list, który pobudził go do wielkich krzyków, jakoby o straszliwą zniewagę, ale którego nigdy nikomu nie pokazał. Uzupełnię zatem to, czego on nie chciał uczynić.

Ksiądz Trublet, którego znałem trochę, ale którego widywałem bardzo rzadko, napi- List

[761] *Vale et me ama* (łac.) — Bądź zdrów i kochaj mnie. [przypis edytorski]

sał do mnie 13 czerwca 1760 (plik D, nr 11), uprzedzając, iż pan Formey, przyjaciel jego i korespondent, wydrukował w swoim dzienniku mój list do pana de Voltaire z przyczyny klęski lizbońskiej[762]. Ksiądz Trublet chciał wymiarkować, jaką drogą list ów ukazał się w druku; otóż, jako człowiek nawykły chadzać jezuickimi dróżkami, zapytał mnie o zdanie co do *przedruku* tego listu, nie zdradzając się ze swoim. Ponieważ nienawidzę tego rodzaju filutów, podziękowałem mu za grzeczność, ale oschle i surowo. Odczuł mój ton, co nie przeszkodziło mu kluczyć ze mną jeszcze w paru dalszych listach, aż się dowiedział wszystkiego, co chciał wiedzieć.

Zrozumiałem dobrze, mimo wszystko, co powiadał Trublet[763], iż Formey nie spotkał tego listu już w druku i że to on pierwszy oddał go pod prasę. Znałem go jako bezczelnego rabusia, który bez ceremonii przywłaszcza sobie dochód z dzieła drugich, mimo iż nie okazał wówczas jeszcze tej nieprawdopodobnej bezczelności, aby zedrzeć z książki już opublikowanej nazwisko autora, położyć swoje i sprzedawać ją na swój dochód[764]. Ale w jaki sposób rękopis dostał się do jego rąk? Było to pytanie nietrudne, zaiste, do rozwiązania, ale ja, w mej naiwności, czułem się nim zakłopotany. Mimo iż w liście swoim odnosiłem się do Woltera w sposób bardzo dlań zaszczytny, mógłby on ostatecznie, mimo swego niezbyt poprawnego postępowania, mieć do mnie słuszne pretensje, gdybym wydrukował ten list bez jego zezwolenia. Postanowiłem tedy napisać doń w tym przedmiocie. Oto ów drugi list, na który Wolter nie dał żadnej odpowiedzi, a którym, aby swobodniej dać folgę swojej wobec mnie brutalności, udał, iż szalenie jest obrażony.

List

Montmorency, 17 czerwca 1760

Nie myślałem, iżbym miał jeszcze kiedy nawiązać z Panem korespondencję. Ale dowiedziawszy się, iż list, który napisałem do Pana w r. 1756, wydrukowano w Berlinie, czuję się w obowiązku zdać sprawę z postępowania mego w tym względzie i dopełnię tej powinności ze szczerością i prostotą.

List ten, istotnie skierowany do Pana, nie był przeznaczony do druku. Udzieliłem go pod dyskrecją trzem osobom, którym prawa przyjaźni nie pozwalały mi tego odmówić i którym też same prawa jeszcze mniej pozwalały na nadużycie depozytu przez pogwałcenie tajemnicy. Te trzy osoby to pani de Chenonceaux, synowa pani Dupin, dalej hrabina d'Houdetot i pewien Niemiec nazwiskiem Grimm. Pani de Chenonceaux życzyła sobie ujrzeć list ten w druku i prosiła o pozwolenie w tej mierze. Rzekłem, iż zależy to od Pana. Proszono Pana o upoważnienie, Pan odmówił i nie było o tym więcej mowy.

Tymczasem ksiądz Trublet, z którym zresztą nie łączą mnie żadne stosunki, donosi mi, powodowany nadzwyczajną uprzejmością, iż otrzymawszy numery dziennika pana Formey, znalazł list, o który chodzi. W przedmowie, datowanej 23 grudnia 1759, wydawca powiada, iż list ów wpadł mu w ręce przed kilku tygodniami u księgarzy berlińskich[765] i że wiedząc, iż tego rodzaju ulotne pisemka znikają niebawem bez powrotu, uważał za właściwe dać mu miejsce w swoim dzienniku.

Oto wszystko, co mi wiadomo. Faktem jest, iż dotąd w Paryżu nie słyszano nawet o tym liście. Faktem jest, że egzemplarz, rękopiśmienny czy drukowany, który wpadł w ręce pana Formey, mógł wyjść jedynie od Pana, co nie jest prawdopodobne, lub od jednej z trzech osób, które przed

[762]*klęska lizbońska* — trzęsienie ziemi w Lizbonie 1 listopada 1755, bezpośrednio po którym wystąpiło tsunami; jeden z najtragiczniejszych tego rodzaju kataklizmów w historii: zginęło ok. 90 tysięcy osób, Lizbona została całkowicie zrujnowana. Poemat Woltera na ten temat spowodował polemikę Rousseau. [przypis edytorski]

[763]*mimo wszystko, co powiadał Trublet* — mimo wszystkiego, co powiadał Trublet. [przypis edytorski]

[764]*zedrzeć z książki już opublikowanej nazwisko autora, położyć swoje i sprzedawać ją na swój dochód* — w ten sposób później przywłaszczył sobie *Emila* [przyp. z wyd. fr., którego nie ma w rękopisie; Johann Heinrich Samuel Formey (1711–1797) wydał pod własnym nazwiskiem zmienioną przez siebie wersję *Emila*, opatrując tytułem *L'Emile chrétien consacré à l'utilité publique* (Emil chrześcijański poświęcony użyteczności publicznej, 1764); red. WL]. [przypis redakcyjny]

[765]*wydawca powiada, iż list ów wpadł mu w ręce przed kilku tygodniami u księgarzy berlińskich* — Formey wziął go z broszury braci Cramer z Genewy, oficjalnych wydawców Woltera. [przypis edytorski]

chwilą wymieniłem. Wreszcie, faktem jest, że te obie panie niezdolne są do takiego nadużycia zaufania. Niepodobna mi więcej dowiedzieć się z mego odludzia. Pan masz stosunki, przy pomocy których łatwo by Panu było — przypuściwszy, że rzecz jest tego warta — dojść do źródła i sprawdzić fakty.

W tym samym liście ksiądz Trublet donosi mi, że zachował numer dziennika w dyskrecji i nie pożyczy go nikomu bez mego pozwolenia, którego z pewnością nie udzielę. Ale być może egzemplarz ten nie jest jedyny w Paryżu. Pragnę, niech mi Pan wierzy, aby listu nie oddano do druku w tym mieście, i zrobię, co będę mógł w tej mierze; ale gdybym nie mógł tego uniknąć i gdybym uwiadomiony na czas mógł zyskać przywilej pierwszeństwa, wówczas nie wahałbym się wydrukować go sam. To mi się wydaje sprawiedliwe i naturalne.

Co do Pańskiej odpowiedzi na ten list, nie udzieliłem jej nikomu i może Pan być spokojny, że nie wyjdzie w druku bez Pańskiego zezwolenia; to pewna zaś, iż nie popełnię tej niewłaściwości, aby Pana o nie prosić. Wiem dobrze, że co jeden człowiek pisze do drugiego, tego nie pisze dla publiczności. Ale gdybyś Pan zechciał skreślić odpowiedź przeznaczoną do druku i przesłać mi ją, przyrzekam, iż wiernie dołączę ją do swego listu i nie odeprę jej ani jednym słowem. Nie jestem Panu życzliwy: uczyniłeś mi Pan najdotkliwsze zło, jakie tylko mogłeś, mnie, swemu uczniowi i entuzjaście. Zgubiłeś pan Genewę w odpłatę schronienia, które tam otrzymałeś; odwróciłeś ode mnie serca moich współobywateli w nagrodę hołdów, jakie wśród nich Panu zdobyłem. Pan to uczyniłeś mi pobyt w mej ojczyźnie nieznośnym; Pan zmusisz mnie, bym umarł na obcej ziemi, pozbawiony wszelkiej pociechy umierających, rzucony, za cały honor, do kloacznego dołu, podczas gdy wszystkie zaszczyty, których człowiek może dostąpić, będą Panu towarzyszyły w moim kraju. Słowem, nienawidzę Pana, ponieważ tak chciałeś; ale nienawidzę Pana jak człowiek raczej godny kochać Pana, gdybyś był zechciał. Ze wszystkich uczuć, jakimi serce moje było przejęte dla Pana, został jedynie podziw, którego nie można odmówić Pańskiemu geniuszowi, i miłość Pańskich dzieł. Jeżeli mogę szanować w Panu tylko Pańskie talenty, to nie moja wina. Nigdy nie uchybię szacunkowi, który im przynależy, ani względom, które ten szacunek nakłada. Żegnam Pana[766].

Pośród tych drobnych utrapień literackich, które umacniały mnie coraz więcej w mym postanowieniu, spotkał mnie zaszczyt, ze wszystkich, jakie literatura na mnie ściągnęła, największy i najmilszy memu sercu: mianowicie odwiedziny, jakimi książę de Conti[767] zaszczycił mnie po dwakroć, raz w zameczku, drugi raz w Mont-Louis. Wybrał nawet oba razy czas, kiedy pani de Luxembourg nie było w Montmorency, aby zaznaczyć tym wyraźniej, że przybywa tylko dla mnie. Nigdy nie wątpiłem, iż pierwsze dowody względów tego księcia zawdzięczam paniom de Luxembourg i de Boufflers; ale nie wątpię również, iż jedynie własnym jego uczuciom i sobie winien jestem te, którymi nie przestał mnie zaszczycać od owego czasu[768].

Gra, Pochlebstwo

Ponieważ mieszkanko moje w Mont-Louis było bardzo szczupłe, położenie zaś baszty urocze, zaprowadziłem tam księcia, który na domiar łaski zechciał, abym miał zaszczyt zagrać z nim partię szachów. Wiedziałem, że bije kawalera de Lorenzy, który był mocniejszy ode mnie. Wszelako mimo znaków i min kawalera i obecnych, min, których uda-

[766]*…Żegnam Pana* — Czytelnik zechce zauważyć, że od siedmiu lat, przed którymi list ten został napisany, nie wspomniałem o nim ani nie pokazałem go żywej duszy. Tak samo było z dwoma listami, do których napisania zmusił mnie pan Hume w lecie ostatniego roku; dopiero on wszczął o nie gwałt, wszystkim wiadomy. To, co mam złego powiedzieć o swoich nieprzyjaciołach, mówię im samym w cztery oczy; jeżeli jest do powiedzenia coś dobrego, mówię to publicznie i z całego serca. [przypis autorski]

[767]*książę de Conti* — Ludwik Franciszek de Bourbon, książę de Conti (1717–1776), jeden z najświetniejszych wodzów swego czasu, zdawał się przeznaczony do wielkiej przyszłości, ale usunięty w cień przez Maurycego Saskiego nie chciał zajmować przy nim drugorzędnego stanowiska i wycofał się ze służby wojskowej w r. 1747. [przypis tłumacza]

[768]*Nigdy nie wątpiłem, iż pierwsze dowody względów…* — zważcie wytrwałość tego ślepego i głupiego zaufania, wśród wszystkich wydarzeń, które powinny były najbardziej mnie z niego ocucić. Ustało ono dopiero od mego powrotu do Paryża w r. 1770. [przypis autorski]

łem, że nie widzę, wygrałem dwie partie z rzędu. Kończąc, rzekłem pełnym szacunku, lecz poważnym tonem: „Zanadto poważam Waszą Królewską Wysokość, aby nie pobić jej zawsze w szachy". Ten wielki książę, pełen bystrości i rozumu, godny, aby mu oszczędzono pochlebstwa, uczuł w istocie, przynajmniej tak myślę, że ja jeden odnoszę się doń jak do człowieka, i mam wszelkie powody przypuszczać, iż poczytał mi to za dobre.

Gdyby mi nawet wziął za złe, nie wyrzucałbym sobie, iż nie chciałem go w niczym oszukać; nie mam też z pewnością przyczyny wyrzucać sobie, bym źle odpowiedział w sercu na jego łaskawość. Zbłądziłem chyba w tym, iż niekiedy odpowiedziałem niezręcznie, podczas gdy sam książę wkładał nieskończony urok w sposób, w jaki mi ją okazywał.

Dar, Grzeczność

W krótki czas potem kazał mi posłać kosz dziczyzny, który przyjąłem, jak byłem powinien. Za jakiś czas posłał mi znowuż taki kosz; jeden z łowczych napisał z rozkazu księcia, iż jest to łup polowania jego wysokości, część zwierzyny zabitej jego własną ręką. Przyjąłem jeszcze; ale napisałem do pani de Boufflers, że następny raz już nie przyjmę. Ten list spotkał się z ogólną naganą, i słusznie. Odrzucać podarek kilku sztuk zwierzyny od księcia krwi, który co więcej, okrasza swą przesyłkę tylą łaskawości, to już nie tyle delikatność człowieka dumnego pragnącego zachować niezależność, ile brak wychowania prostaka nieznającego własnej roli. Nigdy nie mogłem odczytać tego listu w swoim zbiorze, iżbym się nie rumienił i nie wyrzucał sobie, że go napisałem. Ale, ostatecznie, jeśli podjąłem te *Wyznania*, to nie po to, aby pokrywać milczeniem swoje głupstwa, a to, o którym mowa, nadto oburza mnie samego, aby mi wolno było je zataić.

Starość, Miłość

Jeśli na domiar nie popełniłem tego szaleństwa, aby się stać rywalem księcia, mało do tego brakowało: wówczas bowiem pani de Boufflers była jego kochanką, a ja nic o tym nie wiedziałem. Zachodziła dość często do mnie w towarzystwie kawalera de Lorenzy. Była jeszcze młoda i piękna, przybierała rzymskie tony, ja byłem zawsze nastrojony romantycznie: to dosyć harmonizowało z sobą. Omalże nie poszedłem na lep; zdaje mi się, że hrabina to spostrzegła, kawaler również; przynajmniej odzywał się w tym duchu, i to bynajmniej nie w sposób zdolny mnie zniechęcić. Ale tym razem byłem rozsądny; był wielki czas, w pięćdziesiątym roku! Pamiętny lekcji, jaką dałem siwoszom[769] w swoim *Liście do d'Alemberta*, uczułem wstyd, iż sam korzystam z niej tak licho; zresztą, dowiedziawszy się o tym, o czym nie wiedziałem, byłbym musiał chyba zupełnie stracić głowę, aby tak wysoko skierować współzawodnictwo. Wreszcie, niezupełnie może jeszcze wyleczony z namiętności dla pani d'Houdetot, czułem, że nic nie mogłoby jej zastąpić w mym sercu, i pożegnałem się z miłością na resztę życia. W chwili gdy to piszę, spotkały mnie świeżo ze strony młodej kobiety, która miała swoje widoki, bardzo niebezpieczne awanse; ale jeżeli ona udała, że zapomina o mej sześćdziesiątce, ja nie zapomniałem o tym ani na chwilę. Wydostawszy się z tej matni, nie lękam się już upadków i ręczę za siebie na resztę swoich dni.

Pani de Boufflers, spostrzegłszy wzruszenie, w jakie mnie wprawiła, mogła również spostrzec, iż zapanowałem nad nim. Nie jestem ani dość szalony, ani dość próżny, aby mniemać, iż ja, w swoim wieku, mogłem spodobać się jej bodaj na chwilę; ale z pewnych odezwań się jej do Teresy sądzę, iż obudziłem w niej ciekawość. Jeżeli tak było i jeżeli w istocie hrabina nie przebaczyła mi zawodu, trzeba przyznać, iż byłem w istocie stworzony, aby się stać ofiarą mych słabości, skoro miłość zwycięska była mi tak opłakana, miłość zaś zwyciężona stała mi się jeszcze hardziej złowrogą.

Tu kończy się zbiór listów, które służyły mi za przewodnika w tych dwu księgach. Dalej już będę szedł jedynie śladem wspomnień; w tej okrutnej epoce wyryły się one we mnie tak głęboko, wrażenie zaś, które mi po nich zostało, jest tak silne, iż, zgubiony w niezmierzonym morzu niedoli, nie mogę zapomnieć szczegółów pierwszego rozbicia, mimo iż następstwa jego nastręczają mi jedynie mętny obraz. Tak więc w następnej księdze mogę się jeszcze posuwać dość pewną stopą. Jeżeli pójdę dalej, to już tylko po omacku.

[769] *Pamiętny lekcji, jaką dałem siwoszom…* — Rousseau zwracał uwagę, że w sztukach teatralnych starsi mężczyźni angażujący się w związki i miłostki z młodymi kobietami są ośmieszani jako zazdrośnicy. [przypis edytorski]

Księga XI

(1761) Mimo że *Julia*, która od dawna była pod prasą, nie pojawiła się jeszcze z końcem roku 1760, zaczynała już być przedmiotem wielkiego hałasu. Pani de Luxembourg opowiadała o niej na dworze, pani d'Houdetot w Paryżu. Ta ostatnia uzyskała nawet ode mnie dla Saint-Lamberta pozwolenie odczytania jej z rękopisu królowi polskiemu, który był zachwycony. Duclos, któremu też dałem utwór swój do przeczytania, wspomniał o nim w Akademii. Cały Paryż oczekiwał z niecierpliwością tego romansu: księgarnie oblężone były przez ludzi, którzy pytali o termin ukazania się książki. Ukazała się wreszcie, a powodzenie, wbrew zwykłej kolei rzeczy, odpowiedziało niecierpliwości oczekiwania. Następczyni tronu[770], która przeczytała *Julię* jedna z pierwszych, nazwała ją w rozmowie z panem de Luxembourg czarującą książką. W świecie pismaków, mniemania były podzielone; ale w towarzystwie było tylko jedno zdanie; kobiety zwłaszcza upoiły się książką i autorem tak dalece, iż mało znalazłoby się dam, nawet w najwyższych sferach, których podboju nie byłbym dokonał, gdybym objawił ochotę. Miałem na to dowody, których nie chcę przytaczać na piśmie, a które, nawet nie poparte doświadczeniem, uprawniają mnie do tego mniemania. Osobliwe jest, że ta książka zyskała większe powodzenie we Francji niż w innych krajach Europy, mimo iż Francuzi, tak mężczyźni, jak kobiety, nie grają w niej zbyt pięknej roli. Zgoła przeciwnie memu spodziewaniu, najmniejsze powodzenie miała książka w Szwajcarii, największe w Paryżu. Czyżby przyjaźń, miłość, cnota bardziej królowały w Paryżu niż gdzie indziej? Nie, z pewnością; ale króluje tam jeszcze ów przedziwny zmysł, który przejmuje serce wzruszeniem na ich widok; ten zmysł każe nam cenić w drugich czyste, czułe, uczciwe uczucia, których sami już nie posiadamy. Zepsucie jest obecnie wszędzie to samo; nie ma już ani obyczajów, ani cnoty w Europie, ale jeżeli gdzie istnieje jakiś kult dla nich, w Paryżu należy go szukać[771].

Trzeba, w gąszczu tylu przesądów i sztucznych namiętności, umieć dobrze analizować serce ludzkie, aby rozpoznać w nim prawdziwy głos natury. Trzeba delikatności smaku, której nabywa się jedynie w szkole wielkiego świata, aby czuć, jeśli wolno się tak wyrazić, wszystkie subtelności serca, jakich to dzieło jest pełne. Kładę bez obawy czwartą jego część obok *Księżnej de Cleves*[772] i twierdzę, że gdyby oba te utwory znane były jedynie na prowincji, nigdy by nie oceniono całej ich wartości. Nie trzeba się tedy dziwić, że największe powodzenie zyskała książka na dworze. Obfituje ona w rysy żywe, ale dyskretne, które muszą się tam podobać, ponieważ wzrok bardziej jest wyćwiczony w przenikaniu ich. I tu wszelako jeszcze trzeba rozróżniać. Lektura ta z pewnością nie jest odpowiednia dla owych ludzi, których całym rozumem jest spryt, którzy bystrzy są jedynie w dostrzeganiu złego i którzy nie widzą nic zgoła tam, gdzie jest samo jeno dobre do widzenia. Gdyby na przykład wydano *Julię* w pewnym kraju, który mam na myśli, jestem pewien, że nikt nie dokończyłby czytania i że pochowano by ją zaraz przy narodzinach.

Większą część listów, które napisano do mnie z przyczyny tego dzieła, zgromadziłem w pakiecie, znajdującym się w rękach pani de Nadaillac. Jeżeli kiedy ten zbiorek ujrzy światło dzienne, pokażą się tam rzeczy bardzo osobliwe oraz sprzeczności sądów, ujawniające, co znaczy mieć do czynienia z publicznością. Rzecz, na którą najmniej zwrócono uwagę, a która zawsze będzie czynić z tej książki dzieło jedyne w swoim rodzaju, to prostota przedmiotu i rozwój akcji, która, skupiona w trojgu osób, utrzymuje się przez całe sześć tomów, bez epizodów, bez romantycznych przygód, bez jakichkolwiek satyrycznych wycieczek ani w osobach, ani w wydarzeniach. Diderot oddawał wielkie pochwały Richardsonowi[773] z powodu zadziwiającej rozmaitości jego obrazów i obfitości figur. Richardson ma w istocie zasługę, iż wszystkie jego postacie są dobrze scharakteryzowane; ale co się tyczy ich ilości, to zbliża go ona do najbardziej mdłych romansistów, którzy jałowość myśli ratują obfitością działających osób i przygód. Łatwo jest pobudzić uwagę,

[770] *Następczyni tronu* — chodzi o delfinę Francji, żonę następcy tronu, najstarszego syna Ludwika XV, Ludwika Ferdynanda; była nią Maria Józefa Saska (1731–1767), córka Augusta III, elektora Saksonii i króla Polski. [przypis edytorski]

[771] *…nie ma już ani obyczajów, ani cnoty w Europie, ale jeżeli gdzie istnieje jakiś kult dla nich, w Paryżu należy go szukać* — pisałem te słowa w r. 1769. [przypis autorski]

[772] *Księżna de Cleves* — głośna powieść pani de la Fayette z końca XVII w. [przypis tłumacza]

[773] *Richardson* [*Samuel*] (1689–1761) — twórca nowożytnej powieści angielskiej, autor *Klarysy Harlowe*, *Pameli*, *Grandissona* etc. [przypis tłumacza]

przedstawiając nowe twarze i niesłychane wydarzenia, które przesuwają się niby obrazy latarni magicznej[774]; ale utrzymać ciągle to zainteresowanie przy tych samych przedmiotach i bez cudownych wypadków — to z pewnością jest trudniejsze. Jeżeli, przy równości innych warunków, prostota tematu przydaje piękności dziełu, romanse Richardsona, wyższe w tylu innych rzeczach, nie mogłyby na tym punkcie równać się z moim. Dziś jest on mimo to martwy, wiem o tym i wiem przyczynę[775]; ale zmartwychwstanie.

Całą mą obawą było, aby, właśnie przez swą prostotę, bieg akcji nie stał się nudny. Lękałem się, czy zdołam wzniecić zainteresowanie dość żywe, aby w tym stanie utrzymało się do końca. Upewnił mnie fakt, który sam jeden bardziej mi pochlebił niż wszystkie komplementy, jakie zyskał mi ten utwór.

Książka ukazała się z końcem karnawału. Kolporter zaniósł ją do księżnej de Talmont[776] w dzień balu Opery. Po wieczerzy księżna kazała się ubrać, aby iść na bal, i czekając pory odjazdu, wzięła do czytania nowy romans. O północy kazała, aby zaprzężono i czytała dalej. Oznajmiono, że pojazd czeka; nie odpowiedziała nic. Służba, widząc, iż księżna zapomina o wszystkim, zwróciła jej uwagę, że jest druga po północy. „Nic nie nagli" — rzekła, czytając ciągle. W jakiś czas później, ponieważ zegarek stanął, zadzwoniła, aby dowiedzieć się, która godzina. Powiedziano, że czwarta. „Kiedy tak — rzekła — to już za późno, aby jechać, niech wyprzęgną". Kazała się rozebrać i spędziła resztę nocy na czytaniu.

Od czasu jak mi opowiedziano ten rys, pragnąłem zawsze poznać panią de Talmont, nie tylko, aby dowiedzieć się od niej samej, czy to jest ścisła prawda, ale także ponieważ zawsze byłem przeświadczony, że nie można się przejąć *Heloizą* tak żywo, o ile się nie posiada tego szóstego zmysłu, tego zmysłu moralnego, którym obdarzonych jest tak mało serc, a bez którego żadne nie zdoła zrozumieć mego serca.

Jedno jeszcze zyskało mi sympatię kobiet: mianowicie przekonanie, że pisałem w mej książce własną historię i że ja sam jestem bohaterem tego romansu. Przeświadczenie to było tak ustalone, iż pani de Polignac napisała do pani de Verdelin z prośbą o uzyskanie u mnie, abym pozwolił jej zobaczyć portret Julii. Cały świat był przekonany, iż niepodobna wyrazić tak żywo uczuć, których się nie doświadczyło, ani odmalować w ten sposób uniesień miłości inaczej niż na modłę własnego serca. Co do tego, mieli słuszność; to pewna, iż pisałem ten romans w najbardziej płomiennych ekstazach; ale mylili się, mniemając, iż trzeba było rzeczywistych przedmiotów, aby je wywołać. Nikt nie mógł mieć pojęcia, do jakiego stopnia umiem się zapalić dla istot urojonych. Gdyby nie pewne reminiscencje młodości i gdyby nie zjawienie pani d'Houdetot, miłość, którą czułem i opisałem, miałaby za przedmiot jedynie sylfidy[777]. Nie chciałem ani potwierdzać, ani rozpraszać błędu, który wychodził mi na korzyść. W dialogowanej przedmowie, którą dałem wydrukować oddzielnie, można zobaczyć, w jaki sposób umiałem zostawić publiczność w zawieszeniu. Rygoryści twierdzą, że powinienem był wręcz oświadczyć prawdę. Co do mnie, nie widzę, co miałoby mnie do tego zmuszać; mniemam, że takie wyznanie, uczynione bez potrzeby, bardziej byłoby głupotą niż szczerością.

Mniej więcej w tym samym czasie ukazał się *Wieczny pokój*, którego rękopis odstąpiłem w poprzednim roku niejakiemu Bastide, wydawcy dziennika zatytułowanego „Świat"[778], w który chciał, po woli czy niewoli, wpakować wszystkie moje rękopisy. Należał on do znajomych Duclosa i przyszedł w jego imieniu nalegać, abym mu pomógł wypełnić „Świat". Słyszał o *Julii* i pragnął, abym ją dał do jego pisma: chciał, abym dał *Emila*: byłby chciał, abym dał *Umowę społeczną*, gdyby podejrzewał jej istnienie. Wreszcie, zmęczony tą natarczywością, zgodziłem się oddać za dwanaście ludwików wyciąg z *Wiecznego pokoju*. Z układu wynikało, że pan Bastide ma go zamieścić w swoim dzienniku, ale skoro tylko stał się właścicielem rękopisu, uznał za właściwe wydrukować go oddzielnie, z pewnymi skreśleniami żądanymi przez cenzora. Cóż by się stało, gdybym

[774] *latarnia magiczna* — prosty projektor, rzucający na ścianę obraz namalowany na szkle. Uważany za wynalazek siedemnastowiecznego jezuity Athanasiusa Kirchera. [przypis edytorski]

[775] *wiem przyczynę* — dziś: znam przyczynę. [przypis edytorski]

[776] *Kolporter zaniósł ją do księżnej de Talmont* — to nie była księżna de Talmont, ale inna dama, której nazwiska nie znam; niemniej sam fakt nie ulega wątpliwości. [przypis autorski]

[777] *sylfida* — żeńska postać sylfa, tj. ducha uosabiającego żywioł powietrza; przen. kobieta smukła, delikatna, pełna wdzięku. [przypis edytorski]

[778] *„Świat"* — tu: „Le Monde", francuski przegląd literacki wydawany jako dwutygodnik od grudnia 1760 do lutego 1761 przez Jean-François de Bastide'a. [przypis edytorski]

dołączył mój komentarz do tego dzieła, o którym na szczęście nie wspomniałem i który nie był objęty układem? Komentarz ten znajduje się do dziś dnia w rękopisie, w moich papierach. Gdyby kiedy ujrzał światło dzienne, okazałoby się, jak pocieszne musiały mi się wydać koncepta i zarozumiałe tony Woltera w tym przedmiocie, mnie, co widziałem w tak prawdziwym świetle kompetencję tego nieboraka w sprawach politycznych, w których silił się głos zabierać.

W pełni powodzenia u publiczności i łaski u dam czułem, iż stanowisko moje w pałacu Luxembourg podupada. Nie u marszałka, który podwajał raczej z każdym dniem swą przyjaźń i dobroć, ale u marszałkowej. Od czasu, gdy nie miałem już co czytać, apartamenty jej stały mi się mniej dostępne. W czasie pobytu księżnej w Montmorency, mimo iż przedkładałem jej służby dość regularnie, widywałem ją już tylko przy stole. Również miejsce moje koło księżnej poszło w zaniedbanie. Ponieważ nie ofiarowywała mi go i w ogóle odzywała się do mnie mało, a ja również niewiele miałem jej do powiedzenia, chętniej siadałem na innym miejscu, gdzie czułem się swobodniej, zwłaszcza wieczorem; bezwiednie przywykłem pomału sadowić się bliżej pana marszałka.

Gdy mowa o wieczorze, przypominam sobie, iż rzekłem, że nie wieczerzałem w zamku. Tak było, w istocie, z początkiem znajomości; ale ponieważ pan de Luxembourg nie jadał obiadu i nie siadał nawet do stołu, wynikło stąd, iż po upływie wielu miesięcy i będąc bardzo już zażyły w domu, nie jadłem jeszcze ani razu w jego towarzystwie. Był na tyle łaskaw, iż zauważył to. To stało się przyczyną, iż niekiedy, zwłaszcza gdy było mniej osób, zostawałem w pałacu na wieczerzę. Bardzo mi to przypadło do smaku, ile że obiad jadło się tam naprędce i jak to mówią, prawie że stojący; wieczerza natomiast była bardzo długa, ponieważ zażywano przy niej spoczynku po powrocie z dalekiej przechadzki; bardzo dobra, ponieważ pan de Luxembourg był smakoszem; i bardzo przyjemna, ponieważ księżna marszałkowa robiła honory w sposób czarujący. Bez tego wytłumaczenia trudno byłoby zrozumieć koniec pewnego listu pana de Luxembourg (plik C, nr 36), gdzie powiada, iż przypomina sobie z rozkoszą nasze przechadzki, zwłaszcza, dodaje, kiedy wchodząc z powrotem w dziedziniec, nie spostrzegaliśmy śladów pojazdów. Ponieważ co rano gracowano piasek na podwórzu, aby zatrzeć wyżłobione koleje, oceniałem z łatwością, z ilości śladów, jak liczne towarzystwo przybyło w ciągu popołudnia.

Rok 1761 dopełnił miary ustawicznych strat, których doświadczył ten dobry pan, od czasu gdy miałem zaszczyt go poznać; jak gdyby niedole, które los gotował, miały się zacząć od człowieka, do którego najbardziej byłem przywiązany i który najbardziej na to zasługiwał. W pierwszym roku stracił siostrę, księżnę de Villeroy; w drugim córkę, księżnę de Robeck; w trzecim postradał w księciu de Montmorency jedynego syna, a w hrabi de Luxembourg wnuka, jedyne i ostatnie podpory rodu i mienia. Zniósł wszystkie te straty z pozornym męstwem; ale serce jego nie przestało broczyć przez resztę życia i od tego czasu zdrowie marszałka zaczęło podupadać. Nieprzewidziana i tragiczna śmierć syna musiała mu być tym boleśniejsza, ile że przyszła właśnie w chwili, w której król przyznał mu dla tego syna, a przyrzekł dla wnuka, dziedziczność jego szarży kapitana przybocznej gwardii. Dożył tej boleści, iż musiał patrzeć, jak gaśnie pomału to ostatnie dziecko rokujące najpiękniejsze nadzieje, i to przez ślepe zaufanie matki do lekarza, który dał zginąć biednemu dziecku z wycieńczenia, karmiąc je, za całe pożywienie, lekarstwami. Niestety! Gdyby mi chciano wierzyć, dziadek i wnuk byliby jeszcze obaj przy życiu. Czegóż nie mówiłem, czegóż nie pisałem marszałkowi, ileż przedstawień[779] czyniłem pani de Montmorency, przestrzegając przed tym trybem życia, więcej niż surowym, jaki na wiarę lekarza nałożyła synowi! Pani de Luxembourg, która myślała tak jak ja, nie chciała sobie uzurpować powagi matki; pan de Luxembourg, człowiek łagodny i słaby, nie lubił się sprzeciwiać. Pani de Montmorency pokładała w doktorze Bordeu wiarę, którą syn jej przypłacił w końcu życiem. Jakże to biedne dziecko było rade, kiedy mogło uzyskać pozwolenie, aby się wyrwać z panią de Boufflers do Mont-Louis, zaprosić się na podwieczorek do Teresy i wprowadzić jakiś kęs pożywienia do wygłodzonego żołądka! Jak bardzo współczułem w duchu z nędzą wielkości, widząc, jak ten jedyny dziedzic tak wielkiego majątku, tak wielkiego imienia, pożera z chciwością żebraka liche kawałt-

Choroba, Lekarz

[779] *przedstawienia* — tu: przedstawiane argumenty, tłumaczenia. [przypis edytorski]

ko chleba! Słowem, daremne mi było mówić i robić, lekarz zwyciężył i dziecko umarło z głodu.

Choroba

Ta sama ufność w szarlatanów, która przyprawiła o śmierć wnuka, wykopała grób dziadkowi, a co więcej dołączyła się do niej i nieopatrzność płynąca z chęci ukrywania niedomagań wieku. Pan de Luxembourg podlegał okresami bólom w wielkim palcu u nogi; podczas pobytu w Montmorency nawiedził go taki atak, połączony z bezsennością i lekką gorączką. Ośmieliłem się wymówić słowo „pedogra[780]"; pani de Luxembourg ofuknęła mnie. Pokojowiec, a zarazem przyboczny chirurg pana marszałka twierdził, że to nie pedogra, i zabrał się do opatrywania palca kojącą maścią. Nieszczęściem ból uśmierzył się; kiedy wrócił, nie omieszkano użyć tego samego środka. Ogólny stan zaczął cierpieć od tego leczenia, bóle zdwoiły się, a w tym samym stosunku i lekarstwa. Pani de Luxembourg, która przejrzała wreszcie, iż to jest pedogra, sprzeciwiła się tej niedorzecznej kuracji. Zaczęto się przed nią kryć i po upływie kilku lat pan Luxembourg zginął z własnej winy, przez ten upór, iż chciał się uleczyć. Ale nie uprzedzajmy nieszczęść: ileż ich przed tym jeszcze mam do opowiedzenia!

Osobliwe jest, z jaką fatalnością każde moje słowo, każdy postępek zdawały się pomnażać niezadowolenie marszałkowej, wówczas właśnie kiedy najbardziej zależało mi na tym, aby zachować jej życzliwość. Zgryzoty, których pan de Luxembourg doświadczał raz po razu, tym silniej przywiązywały mnie do niego, a tym samym do księżnej: wydawali mi się bowiem zawsze tak szczerze zespoleni, iż uczucia, jakie się miało dla jednego z dwojga, rozciągały się z konieczności na drugie. Pan marszałek starzał się. Jego gorliwość w służbie dworu, starania, jakich wymagała ta służba, nieustanne polowania i inne obowiązki, wymagałyby sił młodego człowieka; nie widziałem zaś dla niego żadnych pobudek zdolnych podtrzymać zapał do tego trybu życia. Skoro godności jego miały się rozproszyć, a imię wygasnąć, bezprzedmiotowym stało się prowadzić mozolne życie, którego głównym celem było zachować łaskę monarchy dla dzieci. Jednego dnia, kiedy byliśmy tylko we troje i kiedy marszałek uskarżał się na ciężar dworskich obowiązków, mówiąc jak człowiek, którego poniesione straty zniechęciły do wszystkiego, ośmieliłem się wspomnieć o wycofaniu się i udzielić mu rady, którą Cyneasz dał Pyrrusowi. Westchnął i nie odpowiedział stanowczo. Ale za pierwszym razem, kiedy pani de Luxembourg spotkała mnie na osobności, wymówiła mi żywo tę radę, która jak mi się zdało, zaniepokoiła ją. Dodała uwagę, która uderzyła mnie swą słusznością i sprawiła, iż nigdy już nie poruszyłem tej struny: mianowicie, że długie przyzwyczajenie do życia na dworze staje się prawdziwą potrzebą i że nawet, w danych okolicznościach, może ono stanowić dla pana de Luxembourg zbawienną rozrywkę. Spoczynek, który mu radzę (dodała), byłby dlań nie tyle wytchnieniem, ile wygnaniem, w którym bezczynność, nuda, smutek strawiłyby go niebawem do reszty. Mimo iż uznałem bez wahania słuszność argumentów księżnej, mimo że powinna była liczyć na przyrzeczenie, które uczyniłem i którego dotrzymałem, nie wydała mi się nigdy zupełnie uspokojona na tym punkcie. Przypominam sobie, że od tego czasu rozmowy moje sam na sam z panem marszałkiem stały się rzadsze i prawie zawsze przerywane.

Podczas gdy niezręczność moja i nieszczęście podały sobie ręce, aby mi szkodzić w oczach marszałkowej, ludzie, których widywała i których najbardziej lubiła, też mi nie pomagali. Kawaler de Boufflers[781] zwłaszcza, młody człowiek o niezrównanej błyskotliwości dowcipu, nie wydawał mi się nigdy dobrze dla mnie usposobiony. Nie tylko on jeden z towarzystwa pani marszałkowej nie okazał mi nigdy żadnych względów, ale zdawało mi się wręcz, że za każdym jego pobytem w Montmorency tracę coś w jej oczach. Prawda, iż gdyby nawet nie miał tego zamiaru, wystarczyła sama jego obecność; tak dalece wdzięk i sposób jego rozmowy uwydatniały dotkliwie ciężkość moich *spropositi*[782]. Przez dwa

[780] *pedogra* (daw.) — dziś: podagra, choroba zniekształcająca i powiększająca staw dużego palca u nogi, której towarzyszą okresowe napadowe bóle. [przypis edytorski]

[781] *kawaler de Boufflers*, [właśc. *Stanislas de Boufflers*] (1738–1815) — jedna z bardzo ciekawych i charakterystycznych figur XVIII w. Przeznaczony zrazu do stanu duchownego porzucił go niebawem dla służby wojskowej; w r. 1771 puścił się do Polski, aby walczyć w szeregach konfederatów, ale zatrzymano go w Wiedniu. Błyskotliwy swój umysł i talent literacki wydawał głównie w listach do przyjaciół i w drobnych utworach o treści zwykle dość swobodnej. W r. 1778 mimo nikłego dobytku pisarskiego został członkiem Akademii Francuskiej. [przypis tłumacza]

[782] *sproposiți* (wł.) — głupstwa, niewłaściwości, niedorzeczności. [przypis edytorski]

pierwsze lata kawaler niemal nie pokazywał się w Montmorency; wówczas, dzięki pobłażliwości pani marszałkowej, pozycja moja była tam wcale niezła; ale skoro tylko zaczął bywać nieco częściej, byłem zmiażdżony bez ratunku. Byłbym szczerze pragnął schronić się pod jego skrzydło i znaleźć sposób zyskania jego sympatii; ale toż samo niezgrabstwo, które czyniło mi potrzebnymi jego względy, nie pozwoliło mi ich pozyskać. Niezręczne wysiłki w tej mierze zgubiły mnie do reszty w oczach marszałkowej, a nic zgoła mi nie pomogły wobec kawalera. Przy takim bogactwie dowcipu człowiek ten mógłby dojść do wszystkiego; ale niezdolność przyłożenia się do czegokolwiek i skłonność do ciągłych rozrywek pozwoliły mu osiągnąć jedynie półtalenty we wszelkim rodzaju. W zamian za to posiada ich wiele, a to wszystko, czego trzeba w wielkim świecie, to jest tam, gdzie pragnie błyszczeć. Układa bardzo zręcznie wierszyki, pisze bardzo ładne listy, brzdąka nieco na cytrze[783] i bawi się po trochu pastelami. Zabrał się do robienia portretu pani de Luxembourg: portret był ohydny. Księżna twierdziła, że zupełnie niepodobny, i tak było w istocie. Zdrajca kawaler spytał mnie o zdanie; a ja jak głupiec i kłamca powiedziałem, że jest podobny. Chciałem pochlebić jemu, ale nie pochlebiłem marszałkowej, która zanotowała to w swoich rejestrach; kawaler zaś, przywiódłszy mnie na hak, wyśmiał się ze mnie. Smutny rezultat tych spóźnionych wysiłków nauczył mnie, aby się nie silić na pochlebstwa i prawienie komplementów wbrew przekonaniu.

Mój talent polegał na mówieniu ludziom prawd użytecznych, ale twardych, z energią i odwagą; trzeba było się tego trzymać. Nie byłem stworzony, nie mówię już, aby schlebiać, ale aby chwalić. Niezręczność pochwał, gdy nimi chciałem kogoś obdarzyć, sprawiła mi więcej złego, niż ostrość krytyki. Mam tu do zacytowania jeden przykład tak straszliwy, iż następstwa jego nie tylko rozstrzygnęły o moim losie na resztę życia, ale rozstrzygną może na wieczne czasy o mej reputacji.

W czasie pobytu księstwa w Montmorency pan de Choiseul[784] zajeżdżał niekiedy do zamku na wieczerzę. Przybył jednego dnia właśnie po mym odejściu. Zaczęto mówić o mnie: pan de Luxembourg opowiedział moje weneckie przygody z panem de Montaigu. Pan de Choiseul rzekł, iż szkoda, żem rzucił tę drogę, i że gdybym chciał na nią wrócić, najchętniej by mi to ułatwił. Pan de Luxembourg powtórzył mi te słowa; pochlebiły mi one tym więcej, ile że nie przywykłem być psuty przez ministrów; i nie ręczę, czy mimo postanowień, gdyby zdrowie pozwoliło mi o tym myśleć, nie dałbym się skusić do popełnienia nowego głupstwa. Ambicja władała mną jedynie przez te krótkie przerwy, w których wszelka inna namiętność zostawiała mnie swobodnym; ale jedna z tych pauz wystarczyłaby, aby mnie zagarnąć. Te dobre chęci pana de Choiseul, zyskując mu mą sympatię, pomnożyły szacunek, jaki z niektórych czynności jego ministerium powziąłem był dla jego talentów; w szczególności Pakt Rodzinny[785] zwiastował mi w nim męża stanu pierwszego rzędu. Stawiałem pana de Choiseul tym wyżej, im mniej miałem szacunku dla jego poprzedników, nie wyłączając pani de Pompadour, którą uważałem za rodzaj pierwszego ministra; i kiedy obiegały pogłoski, iż rzecz waży się między dwojgiem i że jedno z nich wysadzi drugie, życzyłem szczerze zwycięstwa panu de Choiseul, w mniemaniu, iż równocześnie zasyłam życzenia za chwałę Francji. Zawsze czułem antypatię do pani de Pompadour, nawet wówczas, kiedy, przed jej dworską karierą, jeszcze pod nazwiskiem pani d'Etioles, widywałem ją u pani de la Poplinière. Od tego czasu miałem do niej urazę za milczenie jej w sprawie Diderota i za całe postępowanie w stosunku do mnie, tak z okazji *Festynów Ramiry* i *Tkliwych Muz* jak z racji *Wiejskiego wróżka*, który nie przyniósł mi, w żadnej walucie, korzyści proporcjonalnych do powodzenia. W ogóle we wszelkich okolicznościach pani ta okazała się bardzo mało skłonna do wyświadczenia mi jakiej usługi: co nie przeszkodziło, iż kawaler de Lorenzy starał się mnie skłonić, abym napisał coś na jej pochwałę, dając do zrozumienia, że może to być dla mnie z korzyścią. Propozycja ta oburzyła mnie tym więcej, ile że rozumiałem, że kawaler nie czyni jej z własnego wy-

[783] *cytra* (z gr. kitara) — instrument muzyczny strunowy szarpany. [przypis edytorski]

[784] *Choiseul*, [*Etienne François de*] (1719–1789) — minister [spraw zagranicznych] Ludwika XV, dzięki osobistym talentom i dobrym stosunkom z panią de Pompadour rządził wszechwładnie Francją. Po śmierci pani de Pompadour, nie mogąc pojednać się ze wschodzącą gwiazdą pani du Barry, uległ w tej nierównej walce i otrzymał dymisję. [przypis tłumacza]

[785] *Pakt Rodzinny* a. *Pakt Familijny* (1761) — sojusz zawarty podczas wojny siedmioletniej pomiędzy państwami rządzonymi przez Burbonów: Francją, Hiszpanią, Neapolem i Parmą, mający na celu powstrzymanie ekspansji brytyjskiej. [przypis edytorski]

mysłu: człowiek ten, sam zupełne zero, myślał i działał jedynie z ramienia drugich. Zbyt mało umiem panować nad sobą, aby ukryć swą wzgardę dla takiego handlu; nie kryłem się też przed nikim z brakiem sympatii dla faworyty. Wiedziała o tym, jestem pewny; toteż kiedy zasyłałem w duchu życzenia za panem de Choiseul, własny interes kojarzył się z naturalną skłonnością. Przejęty szacunkiem dla jego talentów, pełen wdzięczności za dobre chęci, nie znając go poza tym z innej strony, nie znając w swoim odludziu zupełnie jego upodobań i sposobu życia, patrzałem nań zawczasu jak na mściciela publicznego i mojego razem. Wykończając wówczas ostatnie szczegóły *Umowy społecznej*, zaznaczyłem w niej, jednym rysem, co myślałem o poprzednich ministeriach i o tym, które zaczynało je zaćmiewać. Chybiłem w tej okoliczności swojej najstalszej maksymie; a co więcej nie zastanowiłem się, iż kiedy się chce mocno pochwalić i mocno zganić w jednym i tym samym ustępie, nie wymieniając osób, trzeba tak dostosować pochwałę do tych, których dotyczy, aby najbardziej nawet drażliwa miłość własna nie mogła znaleźć miejsca na *qui pro quo*. Czułem się w tej mierze tak obłędnie spokojny, iż nawet na myśl mi nie przyszło, aby ktoś mógł się omylić. Pokaże się niebawem, czy miałem słuszność.

Jednym z moich przywilejów było to, iż zawsze w gronie mych znajomych były kobiety autorki. Sądziłem, iż bodaj w najwyższym świecie uniknę tej doli. Zgoła nie: poszła i tam za mną. Pani de Luxembourg nie była nigdy, o ile wiem, dotknięta tą manią; za to hrabina de Boufflers. Napisała tragedię prozą, którą najpierw czytano, obnoszono i wychwalano w towarzystwie księcia de Conti; niesyta jeszcze pochwał, zapragnęła i mnie spytać o zdanie, aby i mój głos dołączył się do chóru. Pochwaliłem, ale umiarkowanie, jak utwór zasługiwał. Równocześnie, czułem się w obowiązku ostrzec hrabinę, iż sztuka jej, zatytułowana *Szlachetny niewolnik*, ma wielkie pokrewieństwo ze sztuką angielską, dość mało znaną, tłumaczoną wszelako, pod tytułem *Oroonoko*. Pani de Boufflers podziękowała za ostrzeżenie, zapewniając jednak, iż sztuka jej zupełnie nie przypomina tamtej. Nigdy nie wspomniałem o tym plagiacie nikomu w świecie, prócz niej samej, i to aby dopełnić obowiązku, który mi nałożyła; co nie przeszkodziło, iż często później wspominałem sobie los Gil Blasa[786], który dopełnił tegoż samego zadania wobec arcybiskupa kaznodziei. Prócz kawalera de Boufflers, który mnie nie lubił; prócz pani de Boufflers, wobec której popełniłem winy, jakich nigdy kobiety ani autorzy nie przebaczają, i inni przyjaciele pani marszałkowej wydawali mi się zawsze niezbyt życzliwie dla mnie usposobieni. Był w ich liczbie prezydent Hénault[787], który, zaciągnąwszy się pod sztandar autorów, nie był wolny od ich przywar; była też, między innymi, pani du Deffand[788] i panna de Lespinasse[789], obie w wielkiej zażyłości z Wolterem i serdeczne przyjaciółki d'Alemberta, z którym ta ostatnia zamieszkała w końcu, rozumie się w najlepszych intencjach, i nie można nawet rozumieć inaczej. Zrazu zainteresowałem się bardzo panią du Deffand, której utrata wzroku przejęła mnie serdecznym współczuciem; ale jej tryb życia, wręcz przeciwny memu, tak iż jej godzina wstawania była niemal godziną mego spoczynku, jej namiętność bez granic dla salonowego dowcipu, waga, jaką przykładała, czy to na złe, czy na dobre, do najlichszych pojawiających się świstków, despotyzm i stronniczość jej wyroków, przesadne zacietrzewienie *za* albo *przeciw* w każdej rzeczy, które nie pozwoliło jej o niczym mówić inaczej jak w konwulsjach, jej nieprawdopodobne uprzedzenia, jej niezwyciężony upór, obłędny entuzjazm, do którego doprowadzała ją zaciekłość namiętnych sądów, wszystko to ostudziło niebawem mą sympatię. Odsunąłem się; spostrzegła to rychło: to wystarczyło, aby ją rozjuszyć przeciw mnie. Ale mimo że doskonale czułem, jak niebez-

Nienawiść

[786] *Gil Blas* — główna postać powieści Lesage'a (1668–1747) pod takimże tytułem. [przypis tłumacza]

[787] *Hénault*, [*Charles-Jean*] (1685–1770) — dygnitarz sądowy, poeta i historyk, który w ówczesnym życiu towarzyskim odgrywał wybitną rolę. Ściśle węzły łączyły go aż do późnej starości z panią du Deffand. [w latach 1710–31 prezydent parlamentu; red WL]. [przypis tłumacza]

[788] *du Deffand*, [*Marie de Vichy-Chamrond*, margrabina (markiza)] (1697–1780) — jedna z najciekawszych postaci kobiecych XVIII w. Po młodości dość burzliwej, a głośnej przelotnym stosunkiem, jaki ją związał z Regentem, margrabina, dotknięta nieszczęściem stopniowej utraty wzroku, zwróciła się, jak to nazywano wówczas, ku „filozofii". Salon jej był jednym z kilku w Paryżu, w których urabiała się opinia; filarem jego był długi czas d'Alembert, póki nie przeszedł do obozu panny de Lespinasse. Po pani du Deffand została rozległa i ciekawa korespondencja z wybitnymi osobistościami epoki. [przypis tłumacza]

[789] *Lespinasse*, [*Julie Jeanne de*] (1731–1776) przyjaciółka i towarzyszka pani du Deffand, poróżniwszy się z nią, stworzyła odrębny salon literacki, skupiający najwybitniejsze umysły współczesne zwłaszcza z grupy encyklopedystów. Za życia głośna z rozumu i dowcipu, utrwaliła swą sławę po śmierci dzięki listom miłosnym do pana de Guibert, ogłoszonych po raz pierwszy w r. 1809. [przypis tłumacza]

pieczną może się stać kobieta tego charakteru, wolałem raczej wystawić się na plagę jej nienawiści niż przyjaźni.

To by jeszcze nie było nic, iż tak mało miałem przyjaciół w towarzystwie marszałkowej, gdybym nie miał wrogów w jej rodzinie. Miałem tylko jednego, ale sądząc z położenia, w jakim znajduję się dzisiaj, wart był stu. Nie był to z pewnością książę de Villeroy, brat marszałkowej; ten bowiem nie tylko zachodził do mnie w odwiedziny, ale niejednokrotnie zapraszał mnie do siebie, do Villeroy. Odpowiedziałem na zaproszenie z całym szacunkiem i dwornością, na jakie umiałem się zdobyć; za czym, biorąc tę nieokreśloną odpowiedź jako zgodę, ułożył z księstwem de Luxembourg wycieczkę na dwa tygodnie, do której miałem należeć. Ponieważ względy zdrowia nie pozwalały mi wówczas ruszać się z miejsca bez niebezpieczeństwa, prosiłem pana de Luxembourg, aby zechciał mnie uwolnić. Można poznać z jego odpowiedzi (plik D, nr 3), że odbyło się to w sposób najprzyjaźniejszy w świecie, przy czym książę de Villeroy okazywał mi nadal tyleż sympatii co wprzódy. Natomiast jego siostrzeniec i spadkobierca, młody margrabia de Villeroy, nie dzielił życzliwości, jaką zaszczycał mnie jego wuj; wyznaję również, iż nie dzielił i szacunku, jaki żywiłem dla tegoż. Jego trzpiotowate wzięcie było mi wręcz nie do zniesienia, wzajem zaś mój chłód obudził jego niechęć. Jednego nawet wieczora przy stole młodzik ten dopuścił się wybryku, z którego wybrnąłem licho, ponieważ jestem niezdara bez cienia przytomności umysłu i ponieważ gniew, miast zaostrzyć mój dowcip, odejmuje mi go jeszcze. Miałem psa, którego darowano mi szczenięciem[790] prawie zaraz po mym przybyciu do Pustelni i którego nazwałem Księciem[791]. Ten pies, nie piękny, ale rzadki w swoim rodzaju, był moim towarzyszem, przyjacielem i z pewnością zasługiwał na ten tytuł lepiej niż wielu z tych, którzy go odziedziczyli. Stał się sławny w zamku de Montmorency przez swą kochającą i tkliwą naturę oraz przywiązanie, jakie czuliśmy wzajem do siebie; ale przez bardzo głupie tchórzostwo zmieniłem jego imię na Turek, jak gdyby nie było mnóstwa psów, które wołają się Margrabia bez obrazy dla żadnego margrabiego. Margrabia de Villeroy, który dowiedział się o tej zmianie, zaczął mnie tak przypierać do muru, że byłem zmuszony opowiedzieć przy stole, co uczyniłem. Jeśli co w tej całej historii było obrażające dla tytułu *księcia*, to nie to, że dałem psu to imię, ale że je odjąłem. Najgorsze, że było przy stole kilku książąt; pan de Luxembourg miał ten tytuł, syn jego również. Margrabia de Villeroy, przeznaczony do tego tytułu i posiadający go dzisiaj, cieszył się z okrutną radością zakłopotaniem, w jakie mnie wtrącił, i wrażeniem, jakie uczyniło to zakłopotanie. Upewniano mnie, iż nazajutrz ciotka wyłajała go bardzo żywo; można ocenić, czy ta reprymenda, przypuściwszy prawdziwość wersji, mogła mnie uczynić sympatyczniejszym w jego oczach.

Przeciwko tym wszystkim wrogom miałem, tak w pałacu Luxembourg, jak w Temple, jedynego kawalera de Lorenzy, który głosił się moim przyjacielem; ale jeszcze więcej był przyjacielem d'Alemberta, w cieniu którego uchodził u kobiet za wielkiego geometrę. Był on zresztą *cicisbeem*[792] lub raczej zausznikiem hrabiny de Boufflers, również wielkiej przyjaciółki d'Alemberta; kawaler zaś de Lorenzy istniał i myślał jedynie przez nią. Tak więc nie tylko nie znajdywałem w otoczeniu żadnej przeciwwagi dla swego niezgrabstwa, która by mnie mogła wspierać wobec pani de Luxembourg, ale wszystko, co było jej blisko, zdawało się jakby w zmowie, aby mi szkodzić w jej umyśle. Mimo to poza *Emilem*, którym zechciała się zająć, dała mi w tym samym czasie inny dowód zainteresowania i życzliwości, dowód, który pozwolił mniemać, iż, nawet nudząc się w mym towarzystwie, zachowała dla mnie i zachowa zawsze przyjaźń, którą tylekroć przyrzekała mi na całe życie.

W początkach stosunków, skoro tylko zdawało mi się, że mogę liczyć na to uczucie z jej strony, zacząłem od tego, iż starałem się ulżyć wobec niej memu sercu wyznaniem wszystkich błędów. Czyniąc to, postępowałem w myśl niezłomnej zasady w stosunku do przyjaciół, aby pokazywać się ich oczom takim, jakim jestem, ani lepszym, ani gorszym. Wyznałem jej stosunki swoje z Teresą i to, co z nich wynikło, nie tając, w jaki sposób rozrządziłem dziećmi. Przyjęła moje zwierzenia bardzo łaskawie, zbyt łaskawie nawet,

[790] *psa, którego darowano mi szczenięciem* (daw.) — psa, którego darowano mi, kiedy był szczenięciem. [przypis edytorski]

[791] *nazwałem Księciem* — w oryg. *Duc*. [przypis tłumacza]

[792] *cicisbeo* (wł.) — kawaler usługujący i towarzyszący pani domu z pozwoleniem jej męża. [przypis edytorski]

oszczędzając mi nagany, na którą zasłużyłem; a co mnie wzruszyło najżywiej, to widok dobroci, jaką okazywała Teresie, obsypując ją drobnymi podarkami, posyłając po nią, zachęcając do odwiedzin, przyjmując najuprzejmiej w świecie, a bardzo często ściskając ją wobec wszystkich. Biedna dziewczyna rozpływała się w uniesieniach i wdzięczności, które z pewnością dzieliłem w całej pełni; przyjaźń, którą oboje księstwo zaszczycali mnie w jej osobie, wzruszała mnie jeszcze żywiej niż ta, którą świadczyli mi wprost.

Przez dość długi czas rzeczy pozostawały na tym punkcie; ale w końcu pani marszałkowa posunęła dobroć tak daleko, iż zapragnęła odszukać jedno z moich dzieci. Wiedziała, że kazałem wyszyć znak na pieluszkach najstarszego; zażądała ode mnie podobizny tego znaku. Użyła do tego celu La Roche'a, zaufanego pokojowca, który podjął daremne poszukiwania i nie znalazł nic, mimo że po upływie dwunastu ledwie lub czternastu lat, gdyby regestry domu podrzutków znajdowały się w porządku lub gdyby należycie przeprowadzono dochodzenie, znak ten powinien by się tam znajdować. Jak bądź się rzeczy miały, mniej uczułem się zmartwiony tym niepowodzeniem, niż byłoby to zapewne miało miejsce, gdybym nie stracił z oczu tego dziecka od urodzenia. Przypuśćmy, że przy pomocy tego śladu przedstawiono by mi jakieś dziecko jako moje; otóż, wątpliwość, czy to jest w istocie to samo, czy nie podstawiono za nie innego, byłaby mi ścisnęła serce niepewnością i nie byłbym kosztował prawdziwych uczuć ojcostwa w całym uroku: aby się umocnić, potrzebują one, przynajmniej w czasie dzieciństwa, ugruntować się na przyzwyczajeniu. Długie rozłączenie z dzieckiem, którego się jeszcze nie zna, osłabia, unicestwia wreszcie ojcowskie i macierzyńskie uczucia; tego, które oddało się na mamki, nigdy się nie będzie kochać tak, jak tego, które wychowało się samemu. Refleksja ta złagodzi może moje winy w dalszym postępowaniu, ale czyni je tym cięższymi w samym źródle.

Nie jest może bezużytecznym zauważyć, iż za pośrednictwem Teresy tenże La Roche zapoznał się z panią Le Vasseur, którą Grimm wciąż trzymał w Deuil, u bram Chevrette i tuż obok Montmorency. Kiedy opuściłem te strony, przesyłałem, na ręce Roche'a, tej kobiecie pieniądze, których nie przestałem jej wypłacać; sądzę, że również nosił jej często podarki od pani marszałkowej; tak iż z pewnością nie była ona godną politowania, mimo że żaliła się ciągle. Co się tyczy Grimma, ponieważ nie lubię mówić o ludziach, których mi trzeba nienawidzić, jeśli wspominałem o nim pani de Luxembourg, to jedynie zmuszony; ona natomiast kilkakrotnie sprowadzała mnie na jego temat, nie mówiąc, co o nim myśli, i nie dając mi nigdy nawet przeniknąć, czy zna tego człowieka. Ponieważ oględność z ludźmi, których się kocha i którzy nie przestrzegają jej z nami, nie leży w mej naturze, zwłaszcza w tym, co się tyczy ich samych, zastanawiałem się niekiedy później nad tym postępowaniem, ale dopiero wówczas, kiedy inne wydarzenia uczyniły tę refleksję aż nazbyt naturalną.

Od czasu jak oddałem pani de Luxembourg *Emila*, długo nie miałem o nim żadnej wiadomości. Dowiedziałem się wreszcie, iż zawarto w tej mierze umowę w Paryżu z księgarzem Duchesne, a przez tego z księgarzem Néaulme z Amsterdamu. Pani de Luxembourg posłała mi dwa egzemplarze umowy z Duchesnem, abym je podpisał. Zauważyłem, iż pismo było tej samej ręki co listy pana de Malesherbes, kiedy nie pisał do mnie własnoręcznie. Ta pewność, iż umowa sporządzona była ze świadomością tego dygnitarza i pod jego oczyma, kazała mi ją podpisać z ufnością. Duchesne dawał za rękopis sześć tysięcy franków, połowę w gotówce, i, o ile mi się zdaje, sto czy dwieście egzemplarzy. Podpisawszy dwie kopie umowy, odesłałem obie pani de Luxembourg, jak sobie życzyła; dała jedną Duchesne'owi, drugą zatrzymała sama, zamiast mi ją odesłać, i nigdy jej nie ujrzałem.

Znajomość z księstwem de Luxembourg uczyniła niejaką dywersję w zamiarach moich usunięcia się od świata; mimo to nie wyrzekłem się bynajmniej tych zamiarów. Nawet w czasie największych łask u marszałkowej czułem zawsze, że jedynie szczere przywiązanie do pana marszałka i do niej mogło mi uczynić znośnym pobyt w ich otoczeniu. Cały kłopot był w tym, aby pogodzić to przywiązanie z rodzajem życia bardziej odpowiadającym mym upodobaniom i mniej przeciwnym zdrowiu. Cały ten przymus i te wieczorne biesiady bardzo nieszczególnie wpływały na mój stan, mimo starań, jakich dokładano, aby mnie oszczędzać. Na tym punkcie, jak zresztą na wszystkich innych, posuwano względy tak daleko, jak tylko możebne; tak na przykład co wieczór po kolacji pan marszałek, który kładł się wcześnie, zawsze zabierał mnie, po woli czy po niewoli, abym udał się na

spoczynek. Dopiero na jakiś czas przed mą katastrofą zaniechał, nie wiem dlaczego, tej uprzejmości.

Zanim jeszcze spostrzegłem oziębienie pani marszałkowej, pragnąłem, aby nie narażać się na nie, wykonać swój dawny zamiar; ale ponieważ brakło mi środków, zmuszony byłem czekać na zawarcie umowy o *Emila*. W oczekiwaniu wykończyłem ostatecznie *Umowę społeczną* i posłałem Reyowi, oznaczając cenę rękopisu na tysiąc franków, które mi też dał. Nie powinienem może pomijać drobnego faktu dotyczącego tego rękopisu. Oddałem go, dobrze zapieczętowany, Duvoisinowi, posłowi z Vaud, który odwiedzał mnie niekiedy; podjął się przesłać go Reyowi, będąc z nim w zażyłości. Rękopis ten, pisany drobnym pismem, był bardzo mały, tak że nie wypełniał nawet kieszeni. Mimo to na rogatce pakiet ten wpadł, nie wiem, w jaki sposób, w ręce strażników, którzy otworzyli go w imieniu ambasadora. Wydarzenie to dało jemu samemu możność przeczytania utworu, jak mi to naiwnie wyznał wraz z mnóstwem pochwał dla dzieła i bez słowa krytyki lub cenzury. Widocznie zachowywał sobie rolę mściciela chrześcijaństwa na porę, kiedy książka wyjdzie z druku. Zapieczętował z powrotem rękopis i posłał Reyowi. Taki był przebieg faktów, jak mi je opowiedział, zdając sprawę z tej przygody.

Poza tymi dwiema książkami i *Dykcjonarzem muzycznym*, nad którym wciąż pracowałem od czasu do czasu, miałem kilka innych pism mniejszej wagi; wszystkie były gotowe do druku i zamierzałem wydać je jeszcze, bądź oddzielnie, bądź w ogólnym zbiorze dzieł, gdybym go podjął kiedy. Głównym z tych pism, których większość znajduje się jeszcze w rękopisie w rękach du Peyrou, był *Zarys nad początkiem języków*. Dałem go do czytania panu de Malesherbes i kawalerowi de Lorenzy, który mi go pochwalił. Liczyłem, iż wszystkie te utwory razem wziąwszy przyniosą po potrąceniu kosztów kapitał co najmniej ośmiu do dziesięciu franków, które chciałem umieścić w rencie dożywotniej na imię swoje i Teresy; po czym, jak rzekłem, osiadłbym gdzieś na prowincji, nie zajmując już publiczności sobą, ani nie zajmując się samemu czym innym, jak tylko spokojnym dokończeniem życia, czyniąc nadal dokoła siebie tyle dobrego, ile zdołam, i pisząc swobodnie zamierzone pamiętniki.

Taki był mój projekt; wspaniałomyślność Reya, której nie godzi się przemilczeć, ułatwiła jeszcze jego wykonanie. Księgarz ten, o którym mówiono mi tyle złego w Paryżu, jest wszelako ze wszystkich, z którymi miałem do czynienia, jedynym, z którym zawsze wychodziłem dobrze[793]. Zachodziły, co prawda, często między nami sprzeczki co do szczegółów wykonania; on był roztrzepany, ja porywczy. Ale w kwestiach interesów z nimi związanych i sposobów postępowania, mimo iż nigdy nie zawieraliśmy formalnych traktatów, zawsze okazał się skończenie dokładny i uczciwy. Jest to nawet jedyny księgarz, który mi przyznał szczerze, że dobrze wychodzi na moich utworach; często powiadał, iż mnie zawdzięcza swój majątek, ofiarując gotowość podzielenia go ze mną. Nie mogąc okazać wprost swej wdzięczności, chciał ją objawić bodaj w osobie mej „gospodyni", której ufundował dożywotnią pensję trzystu franków, wyrażając w akcie, iż czyni to w uznaniu zysków, które mi zawdzięcza. Zrobił to zupełnie poufnie, bez pokazu, pretensji i rozgłosu; i gdybym sam nie był o tym pierwszy rozpowiadał całemu światu, nikt nie wiedziałby o niczym. Byłem tak wzruszony tym postąpieniem, iż od tego czasu powziąłem do Reya prawdziwą przyjaźń. W jakiś czas później zapragnął, abym był ojcem chrzestnym jego dziecka; przystałem; a jednym z moich żalów, w położeniu, do jakiego mnie doprowadzono, jest to, iż odjęto mi wszelki sposób okazania się w czymkolwiek użytecznym chrzestnej córce i jej rodzicom. Dlaczego jestem tak tkliwy na skromną wspaniałomyślność tego księgarza, a mało mnie wzrusza zgiełkliwa gorliwość tylu bogaczy pompatycznie napełniających wszechświat dobrodziejstwami, które rzekomo chcieli mi wyświadczyć, a których nigdy nie poczułem? Czy to ich wina, czy moja? Czy oni są tylko próżni, czy ja niewdzięczny? Roztropny czytelniku, zważ, rozstrzygnij; co do mnie, zachowuję milczenie.

Pensja ta była wielką pomocą dla utrzymania Teresy i wielką ulgą dla mnie. Zresztą, bardzo daleki byłem od ciągnięcia bezpośredniej korzyści z tego daru, podobnie jak z innych podarków, które czyniono Teresie. Zawsze rozrządzała wszystkim sama. Kiedy Pieniądz

[793] *Księgarz ten, o którym mówiono mi tyle złego w Paryżu, jest wszelako [...] jedynym, z którym zawsze wychodziłem dobrze* — kiedy pisałem te słowa, daleki byłem jeszcze od wyobrażania sobie, domyślania się, przypuszczania szalbierstw, jakie odkryłem później w druku swoich pism i które zmuszony był przyznać. [przypis autorski]

przechowywałem jej pieniądze, zdawałem z nich ścisły rachunek, nie przelewając nigdy ani szeląga do wspólnych wydatków, nawet kiedy Teresa była bogatsza ode mnie. „To, co moje, jest nasze — mawiałem — a to, co twoje, jest twoje". Nigdy nie przestałem postępować z nią wedle tej zasady. Ci, którzy byli na tyle podli, aby mnie oskarżać, iż przyjmuję przez jej ręce to, co odtrącam własnymi, sądzili zapewne moje serce wedle swego i znali mnie bardzo licho. Chętnie pożywałbym z nią chleb, który by zapracowała, nigdy tego, który by otrzymała od kogoś. Odwołuję się na tym punkcie do jej świadectwa, i dziś, i wówczas, kiedy zgodnie z porządkiem natury przeżyje mnie. Na nieszczęście Teresa mało jest zdolna do oszczędności pod wszelakim względem, mało rządna i mocno rozrzutna, nie przez próżność ani przez łakomstwo, ale jedynie przez niedbałość. Nikt na świecie nie jest doskonały; skoro trzeba, aby czymś okupiła swe nieoszacowane przymioty, wolę raczej, iż ma błędy niż przywary, mimo że te błędy czynią może więcej złego nam obojgu. Nie da się opisać starań, za pomocą których siliłem się, jak niegdyś mamusi, zgromadzić jej jakiś zapasik, który by mógł stać się kiedyś jej oparciem; zawsze okazało się to straconym trudem. Nigdy ani jedna, ani druga nie nauczyły się rachować; mimo moich wysiłków wszystko odpływało zawsze w miarę jak przypłynęło. Mimo że Teresa odziewa się nad wyraz skromnie, nigdy pensja Reya nie starczyłaby jej na fatałaszki: nie było roku, bym nie musiał dołożyć ze swego. Ani ona, ani ja nie jesteśmy stworzeni, aby dojść kiedy do bogactwa i nie liczę tego z pewnością między nieszczęścia.

Umowa społeczna drukowała się dość szybko. Nie tak z *Emilem*, którego wydania czekałem, aby wykonać zamiar ostatecznego usunięcia się od świata. Duchesne przysyłał mi od czasu do czasu wzory druków do wyboru; kiedy wybrałem, zamiast zaczynać, przysyłał znowuż inne. Kiedy wreszcie ułożyliśmy wszystko co do formatu, czcionek i kiedy wydrukowano już kilka arkuszy, naraz z przyczyny lekkiej zmiany, jaką uczyniłem w korekcie, zaczęto wszystko od nowa i po upływie pół roku sprawa druku przedstawiała się gorzej niż pierwszego dnia. W czasie tych prób spostrzegłem, iż dzieło drukuje się nie tylko w Holandii, ale i we Francji, i że gotują się równocześnie dwa wydania. Co mogłem uczynić? Nie byłem już panem rękopisu. Bynajmniej nie rad z pomysłu wydania dzieła we Francji, zawsze mu się sprzeciwiałem; ale ostatecznie, skoro, z moją wolą czy bez, wydanie to było w toku i skoro służyło za wzór tamtemu, trzebaż było rzucić na nie okiem i przejrzeć korekty, aby nie dać okaleczyć i zniekształcić książki. Zresztą, dzieło drukowało się tak dalece z wiedzą powołanego urzędnika, iż on to poniekąd kierował przedsięwzięciem, pisywał do mnie bardzo często, a nawet odwiedził mnie raz w tej sprawie, w okolicznościach, które zaraz przytoczę.

Podczas gdy Duchesne posuwał się żółwim krokiem, Néaulme, hamowany przezeń, postępował jeszcze wolniej. Nie posyłano mu regularnie arkuszy, w miarę jak dzieło się drukowało. Odniósł wrażenie, iż postępowanie Duchesne'a, to znaczy Guy'ego, który działał w jego imieniu, nie jest zupełnie poprawne i rzetelne; widząc, że księgarz nie dotrzymuje umowy, pisał do mnie listy pełne utyskiwań i zarzutów. Nie mogłem nic na to poradzić, a jeszcze mniej na te zarzuty, które sam miałem do przytoczenia. Przyjaciel jego Guérin, który widywał mnie wówczas bardzo często, wspominał mi nieustannie o tej książce, ale zawsze z największą oględnością. Wiedział i nie wiedział, że drukuje się we Francji; wiedział i nie wiedział, że powołany urzędnik zajmuje się tym; ubolewając nade mną w przewidywaniu kłopotów, które mi ściągnie ta książka, obwiniał mnie jak gdyby o nieostrożność, nie chcąc nigdy powiedzieć, na czym ona polega. Kluczył i kołował bez końca; zdawałoby się, że mówi jedynie, aby mnie ciągnąć za język. Czułem się wówczas tak zupełnie bezpieczny, iż śmiałem się z oględnego i tajemniczego tonu, jakim mówił o tej sprawie, niby z narowu nabytego u ministrów i biuralistów, których kancelarie odwiedzał dość pilnie. Pewien, iż jestem co do tego dzieła pod każdym względem w porządku, silnie przeświadczony, iż posiada ono przyzwolenie i poparcie nie tylko cenzury, ale i ministerium, dumny się czułem z mej odwagi w uczciwej sprawie i śmiałem się z nazbyt trwożliwych przyjaciół, którzy zdawali się o mnie niepokoić. Duclos był z ich liczby i przyznaję, że wiara moja w jego prawość i rozum mogła mnie była zaniepokoić za jego przykładem, gdybym nie tyle wierzył w użyteczność swego dzieła i zacność jego opiekunów. Duclos zaszedł do mnie raz wprost od pana Baille, w czasie gdy *Emil* był pod prasą; wszczął ze mną rozmowę o tej książce. Przeczytałem mu *Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego*; wysłuchał bardzo spokojnie, i, zdaje mi się, z wielką przyjemnością. Kiedy

skończyłem, rzekł: „Jak to, obywatelu, to ustęp z książki, która drukuje się w Paryżu?" — „Tak — odparłem — a powinna się drukować w Luwrze, na zlecenie króla". — „Zgadzam się — rzekł — ale zrób mi tę przyjemność i nie powiadaj nikomu, żeś mi czytał ten ustęp". Ten uderzający sposób wyrażania się zdumiał mnie, ale nie przeraził. Wiedziałem, że Duclos żyje blisko z panem de Malesherbes. Trudno mi było pojąć, w jaki sposób może w tym samym przedmiocie mieć tak odmienne zapatrywania.

Przez cztery lata, które spędziłem w Montmorency, ani jeden dzień nie minął mi w dobrym zdrowiu. Mimo że klimat jest tam wyborny, woda jest nieszczególna i to może być łatwo jednym z powodów, które przyczyniły się do pogorszenia zwykłych dolegliwości. Pod koniec jesieni 1761 zaniemogłem zupełnie i spędziłem całą zimę w nieustających prawie cierpieniach. Cierpienia fizyczne, pomnażane tysiącznymi niepokojami, czyniły mnie zarazem na nie tym wrażliwszym. Od jakiegoś czasu prześladowały mnie tajemne i smutne przeczucia, których przedmiotu nie umiałbym określić. Otrzymywałem dość szczególne listy anonimowe, a nawet podpisane, zgoła nie mniej osobliwe. Otrzymałem list od pewnego rajcy parlamentu w Paryżu, który, niezadowolony z obecnego układu rzeczy i nie wróżąc dobrze o przyszłości, radził się mnie co do wyboru schronienia, w Genewie lub Szwajcarii, dokąd się chciał udać z całą rodziną. Otrzymałem list od pana de ***, prezydenta parlamentu w ***: poddawał mi, abym ułożył dla tegoż parlamentu, który był wówczas źle ze dworem, memoriały i przedstawienia, ofiarując się dostarczyć mi wszelkich dokumentów i materiałów, jakich będę potrzebował w tym celu. Kiedy jestem cierpiący, łatwo podlegam irytacji. Listy te podrażniły mnie; ukazałem to w odpowiedziach odmawiając wręcz żądaniom. Nie odmowę sobie dziś wyrzucam, to pewna (skoro listy mogły być łatwo pułapką moich nieprzyjaciół, to zaś, czego ode mnie żądano, było sprzeczne z zasadami, od których mniej niż kiedykolwiek skłonny byłem odstąpić); ale, mogąc odmówić uprzejmie, odmawiałem szorstko; i oto w czym zbłądziłem.

Pomiędzy mymi papierami znajdą się dwa z owych listów. List rajcy nie zdziwił mnie nadto, ponieważ sądziłem jak on, i jak wielu, iż chylący się do upadku ustrój grozi Francji bliskim wstrząśnieniem. Klęski nieszczęśliwej wojny[794], wszystkie z winy rządu, niewiarygodny bezład finansów, ustawiczne szarpaniny administracji, podzielonej dotąd między dwóch lub trzech ministrów, w otwartej z sobą wojnie, gotowych, aby sobie szkodzić wzajem, zaprzepaścić państwo; powszechne niezadowolenie ludu i wszystkich stanów; zacietrzewienie upartej kobiety, która, stale rządząc się raczej kaprysem niż rozumem (o ile prawdą jest, że go miała), usuwała prawie zawsze z urzędów ludzi najzdolniejszych, aby je powierzać tym, którzy jej byli najbardziej na rękę — wszystko to kojarzyło się, aby usprawiedliwić przewidywania rajcy, ogółu i moje. Przewidywania te przyprawiły mnie nawet nieraz o wahanie, czy by mnie samemu nie trzeba szukać schronienia poza granicami królestwa; ale, uspokojony swą małością i cichym usposobieniem, mniemałem, iż w samotności, w której chcę spędzić życie, żadna burza nie może mnie dosięgnąć. Martwiło mnie jedynie to, iż w tym stanie rzeczy pan de Luxembourg dał się użyć do zadań, które musiały nadwerężyć jego popularność. Byłbym dlań pragnął, aby na wszelki wypadek zabezpieczył sobie schronienie, gdyby przypadkiem wielka machina miała się zawalić, jak to zdawało się grozić w obecnym stanie rzeczy. Dziś jeszcze wydaje mi się niewątpliwe, iż gdyby ster rządu nie dostał się wreszcie w jedną rękę[795], monarchia francuska goniłaby teraz ostatnim tchem.

Podczas gdy mój stan pogarszał się ciągle, druk *Emila* opóźniał się, w końcu ustał zupełnie. Nie mogłem dowiedzieć się przyczyny: Guy nie raczył pisać ani odpowiadać, nie mogłem uzyskać nowin od nikogo ani odgadnąć, co się stało, ile że pan de Malesherbes bawił na wsi. Nigdy nieszczęście, chociażby największe, nie przeraża mnie i nie łamie, bylebym wiedział, na czym polega; ale naturalną mą skłonnością jest, iż obawiam się ciemności; lękam się i nienawidzę ich czarnej czeluści. Tajemnica niepokoi mnie zawsze; jest nazbyt przeciwna mej naturze, otwartej aż do nieopatrzności. Widok najwstrętniejszego potwora niezbyt by mnie przeraził, jak sądzę; ale gdybym ujrzał w nocy postać odzianą

[794] *Klęski nieszczęśliwej wojny* — wojna siedmioletnia [w której w latach 1756-63 Francja, Austria, Rosja, Szwecja i Saksonia walczyły przeciwko Wielkiej Brytanii, Prusom i Hanowerowi; zakończona druzgocącym zwycięstwem Wielkiej Brytanii i utratą przez Francję niemal wszystkich posiadłości kolonialnych w Ameryce Płn.; red. WL]. [przypis tłumacza]

[795] *gdyby ster rządu nie dostał się wreszcie w jedną rękę* — księcia de Choiseul. [przypis tłumacza]

w białe płótno, uląkłbym się. Oto więc wyobraźnia, rozpalona tym długim milczeniem, zaczęła mi kreślić widziadła. Im więcej leżało mi na sercu ogłoszenie mego ostatniego i najlepszego dzieła, tym bardziej dręczyłem się dociekaniem, co mogło mu przeszkodzić. Ciągle biorąc wszystko najbardziej krańcowo, w zatrzymaniu druku dopatrywałem się już zawieszenia książki. Mimo to, nie mogąc sobie wyobrazić ani przyczyny, ani sposobu, trwałem w najokrutniejszej w świecie niepewności. Pisałem list po liście do Guy'ego, do pana de Malesherbes, do pani de Luxembourg; gdy zaś odpowiedzi nie przychodziły lub też nie przychodziły wtedy, gdy ich czekałem, traciłem zupełnie zmysły, szalałem. Na szczęście dowiedziałem się w tym samym czasie, że ojciec Griffet, jezuita, mówi o *Emilu*, a nawet przytacza zeń ustępy. Natychmiast wyobraźnia moja pomyka jak błyskawica i odkrywa mi całą tajemnicę niegodziwości; widzę jej bieg równie jasno, równie pewnie, co gdyby mi ją ktoś wręcz odsłonił. Wyobraziłem sobie, że jezuici, wściekli o wzgardliwy ton, jakim mówię o kolegiach, zakrzątnęli się koło mego dzieła: to oni wstrzymali wydanie; powiadomieni przez Guérina, swego przyjaciela, o mym obecnym stanie, i przewidując mą bliską śmierć, o której sam nie wątpiłem, chcą opóźnić druk aż do tego czasu w zamiarze sfałszowania, skażenia mego dzieła i użyczenia mi, dla osiągnięcia swoich celów, poglądów, które mi są obce. Zdumiewające jest, jakie mnóstwo faktów i okoliczności osnuło się w mym umyśle około tej niedorzeczności, aby jej nadać pozór prawdopodobieństwa; co mówię! aby mi wykazać jego oczywistość i niezbitość. Guérin był zupełnie oddany jezuitom, to wiedziałem. Przypisywałem im wszystkie przyjazne kroki, z którymi się do mnie zwracał; wmówiłem sobie, iż to z ich pobudki nakłonił mnie do traktowania z Néaulme'em; że przez tego Néaulme'a dostali pierwsze arkusze mego dzieła; że znaleźli potem sposób wstrzymania druku u Duchesne'a, może i zagarnięcia rękopisu dla przerobienia go wedle ochoty, aż wreszcie śmierć moja zostawi im swobodę ogłoszenia książki przekształconej na ich sposób. Czułem zawsze, mimo obleśnej słodyczy ojca Berthier, że jezuici nie lubią mnie, nie tylko jako encyklopedysty, ale ponieważ wszystkie moje zasady są jeszcze bardziej przeciwne ich zasadom i wpływowi niż niedowiarstwo moich kolegów. Fanatyzm ateistów i fanatyzm dewotów, stykając się przez wspólną nietolerancję, mogą się nawet zjednoczyć, jak to uczyniły w Chinach i jak uczyniły przeciw mnie; podczas gdy rozumna i moralna religia, znosząc wszelką władzę ludzką nad sumieniami, nie zostawia żadnego środka posiadaczom tej władzy. Wiedziałem, iż kanclerz[796] jest również wielkim przyjacielem jezuitów: obawiałem się, aby syn, zastraszony przez ojca, nie był zmuszony wreszcie wydać im na pastwę dzieła, które zrazu popierał. Zdawało mi się nawet, iż widzę już skutki jego dezercji, w szykanach, jakie zaczynano mi robić co do dwóch pierwszych tomów, gdzie dla błahostek domagano się skreśleń; podczas gdy dwa następne tomy były, jak wszyscy wiedzieli, pełne rzeczy tak śmiałych, iż trzeba by je przerobić całkowicie, gdyby je ocenzurowano w tym duchu co pierwsze. Wiedziałem, co więcej, i pan de Malesherbes sam mi powiedział, iż ksiądz Grave, któremu poruczył nadzór nad tym wydaniem, jest również stronnikiem jezuitów. Widziałem wszędzie tylko jezuitów, nie myśląc o tym, iż w wilię skasowania zakonu[797], zajęci własną obroną, mieli co innego do roboty niż kopać dołki pod drukiem książki, w której, ostatecznie, nie chodziło o nich. Błędnie wyrażam się „nie myśląc", myślałem bowiem o tym; jest to nawet zarzut, którego pan de Malesherbes nie omieszkał mi uczynić, skoro tylko dowiedział się o mych urojeniach; ale jak człowiek, który z głębi swego odludzia chce sądzić o wielkich sprawach, nie mając o nich pojęcia, nie chciałem nigdy uwierzyć, aby jezuici byli w niebezpieczeństwie, i uważałem krążące pogłoski jako mistyfikację z ich strony, mającą na celu uśpienie przeciwników. Ich dawniejsze tryumfy, którym dzieje nigdy nie zadały kłamu, dały mi tak straszliwe pojęcie o ich potędze, że już z góry ubolewałem nad spodleniem parlamentu. Wiedziałem, że pan de Choiseul jest wychowankiem jezuitów,

Strach

[796]*kanclerz* — kanclerzem w latach 1750–1768 był ojciec pana de Malesherbes, Guillaume de Lamoignonde de Malesherbes (1688–1772). [przypis edytorski]

[797]*w wilię skasowania zakonu* — ogromne długi zaciągnięte przez przełożonego misji jezuitów na Martynice i odmowa spłaty należności przez zakon spowodowały w 1760 wyrok sądowy nakazujący zwrot sumy pod rygorem zajęcia mienia. Jezuici odwołali się do parlamentu paryskiego, który w maju 1761 wydał orzeczenie na ich niekorzyść; zbadano nauczanie zakonu począwszy od XVI wieku i oceniono jako szkodliwe. W kwietniu 1763 zamknięto kolegia jezuickie, w listopadzie 1764 król podpisał edykt o wygnaniu zakonników z kraju. Wcześniej, w 1759, wygnała jezuitów ze swego kraju i wszystkich kolonii Portugalia, w 1767 Hiszpania, w 1768 Parma, w 1773 papież Klemens XIV rozwiązał zakon. [przypis edytorski]

że pani de Pompadour jest z nimi w niezłych stosunkach i że sojusz ich z faworytami i ministrami przeciw wspólnym wrogom okazał się zawsze korzystny dla obu stron. Dwór zdawał się nie mieszać do niczego; otóż, przekonany, że jeżeli społeczeństwo dozna kiedyś wstrząśnienia, to nie ze strony słabego parlamentu, patrzałem na tę bezczynność dworu jako na podstawę ich otuchy i wróżbę ich tryumfu. Słowem, widząc we wszystkich tych doraźnych hałasach jedynie fintę[798] i pułapkę i mniemając, że oni, sami bezpieczni, mają czas uporać się ze wszystkim, nie wątpiłem, iż niebawem zgniotą i jansenizm, i parlament, i encyklopedystów, i wszystko, co nie przyjmie ich jarzma; że wreszcie, jeżeli pozwolą się ukazać mej książce, to jedynie przekształciwszy ją na tyle, aby uczynić z niej broń dla siebie i nadużyć mego imienia celem zwabienia na lep moich czytelników.

Czułem się bliski śmierci; trudno mi zrozumieć, w jaki sposób to szaleństwo nie dobiło mnie, tak straszliwą była mi myśl, że pamięć moja przetrwa zbezczeszczona, i to w mej najgodniejszej i najlepszej książce. Nigdy tyle nie lękałem się śmierci; sądzę, że gdybym umarł w tych okolicznościach, umarłbym z rozpaczą w sercu. Dziś nawet, gdy widzę, jak najstraszliwszy spisek, jaki kiedykolwiek uknuto przeciw pamięci człowieka, zmierza bez przeszkód do urzeczywistnienia, umrę o wiele spokojniejszy, pewien, iż zostawię w swych pismach świadectwo o sobie, które wcześniej czy później odniesie tryumf nad knowaniami świata.

(1762). Pan de Malesherbes, świadek i powiernik mych wzruszeń, zadał sobie dla uspokojenia mnie trudy, które świadczą o niewyczerpanej dobroci jego serca. Pani de Luxembourg przyłożyła rękę do tego dobrego dzieła i była kilka razy u Duchesne'a, aby się dowiedzieć o stanie wydawnictwa. Wreszcie druk, podjęty na nowo, zaczął iść raźniej. Czemu go wprzód przerwano, tego nigdy nie mogłem się dowiedzieć. Pan de Malesherbes sam potrudził się do Montmorency, aby mnie uspokoić. Osiągnął to; bezwzględne zaufanie do jego prawości przeważyło urojenia mej biednej głowy. Widząc własnymi oczyma mój niepokój i szaleństwa, naturalne jest, iż znalazł mnie godnym współczucia; jakoż użalił się nade mną. Nieustannie powtarzane gadki filozoficznej kliki, którą się otaczał, przyszły mu na pamięć. Kiedy osiedlałem się w Pustelni, ogłosili, jak już wspomniałem, że nie wytrzymam tam długo. Kiedy ujrzeli, iż trwam w zamiarze, rzekli, że to przez upór, przez pychę, przez wstyd zadania sobie kłamu, ale że nudzę się tam śmiertelnie i czuję się bardzo nieszczęśliwy. Pan de Malesherbes uwierzył w to i napisał do mnie; tkliwy na tę omyłkę ze strony człowieka, którego poważam, napisałem doń cztery listy z rzędu, w których wyłuszczając prawdziwe pobudki, opisałem mu wiernie swoje upodobania, skłonności, charakter i wszystko, co się dzieje w mym sercu. Te cztery listy, skreślone bez brulionu, pospiesznie, nie odrywając pióra i nawet bez odczytania, są może jedyną rzeczą, jaką w swoim życiu napisałem z łatwością; fakt nader zadziwiający w danej chwili, w pełni cierpień i niezmiernego upadku sił, w jakim się znajdowałem. Czując jak życie mnie opuszcza, jęczałem na myśl, iż zostawiam w umyśle godnych ludzi tak niesprawiedliwe mniemanie; szkicem tym, nakreślonym w pośpiechu w czterech listach, starałem się zastąpić do pewnego stopnia pamiętniki, które planowałem. Listy te, które spodobały się panu de Malesherbes i które pokazywał w Paryżu, są poniekąd streszczeniem tego, co przedstawiam tutaj bardziej szczegółowo; zasługują też z tego tytułu, aby je zachowano. Znajdzie się w moich papierach kopia, którą pan de Malesherbes kazał sporządzić na mą prośbę i którą przesłał mi w kilka lat później.

Jedyną rzeczą, jaka trapiła mnie obecnie w przekonaniu mym o bliskiej śmierci, było to, iż nie posiadam w świecie literackim zaufanego człowieka, w którego ręce mógłbym złożyć swoje papiery, aby je spożytkował po mym zgonie. Od czasu podróży do Genewy zbliżyłem się serdecznie z młodym Moultou; miałem przyjaźń dla tego młodzieńca i byłbym pragnął, aby mi zamknął oczy. Wyraziłem mu to życzenie i sądzę, że byłby z przyjemnością dokonał tego aktu miłosierdzia, gdyby własne i rodzinne sprawy pozwoliły mu na to. Pozbawiony tej pociechy, chciałem mu bodaj objawić swoje zaufanie, posyłając przed wydrukowaniem *Wyznanie wiary wikarego*. Był z tego bardzo rad; ale w odpowiedzi swojej zdawał się nie podzielać uczucia bezpieczeństwa, z jakim oczekiwałem pojawienia się dzieła. Zapragnął mieć ode mnie coś, czego by nie miał nikt inny. Posłałem mu mowę pogrzebową na śmierć nieboszczyka księcia Orleanu, którą pisałem

[798] *finta* — w szermierce: zwód, ruch wykonany dla zmylenia przeciwnika. [przypis edytorski]

dla księdza Darty, a której nie wygłoszono, ponieważ wbrew spodziewaniu księdza komu innemu poruczono to zadanie.

Podjęty na nowo druk posuwał się dalej, a nawet dobiegł końca dość spokojnie. Osobliwym wydało mi się to, iż, po surowo wymaganych skreśleniach w dwóch pierwszych tomach, dwa następne przepuszczono bez zmian i zarzutów. Doznawałem wszelako pewnego niepokoju, którego nie godzi mi się przemilczeć. Nastraszywszy się wprzódy jezuitów, uląkłem się teraz jansenistów i „filozofów". Będąc wrogiem wszystkiego, co się nazywa stronnictwem, partią, kliką, nie oczekiwałem nigdy niczego dobrego od ludzi, którzy do nich należą. „Kumoszki"[799] od niejakiego czasu opuściły dawne mieszkanie i usadowiły się tuż obok mnie; z pokoju ich słychać było wszystko, co się mówiło u mnie i na tarasie, z ogrodu zaś można było bardzo łatwo wdrapać się na murek dzielący go od mej baszty. Zrobiłem sobie z tej baszty gabinet do pracy; był tam stół cały pokryty korektami i arkuszami *Emila* i *Umowy społecznej*; składając te arkusze, w miarę jak je nadsyłano, miałem tam wszystkie tomy na długi czas, nim je ogłoszono. Roztargnienie moje, niedbałość, zaufanie w panu Mathas, którego ogród otaczał me obejście, sprawiały, iż często, zapomniawszy zamknąć wieczór baszty, zastawałem ją rano zupełnie otwartą. Nie byłoby mnie to zgoła niepokoiło, gdybym nie zauważył nieładu w papierach. Uczyniwszy kilka razy to spostrzeżenie, stałem się uważniejszy w zamykaniu. Zamek był lichy, klucz zamykał tylko na jeden spust. Wytężywszy baczność[800] w tym kierunku, zauważyłem jeszcze większy nieład, niż kiedy zostawiałem basztę zupełnie otwartą. Wreszcie jeden tom znikł na jeden dzień i dwie noce, tak iż nie sposób było dojść, co się z nim stało; trzeciego dnia znów go znalazłem na stole. Nie podejrzewałem nigdy ani pana Mathas, ani jego siostrzeńca pana Dumoulin, wiedząc, iż obaj są mi życzliwi, i pokładając w nich pełne zaufanie. Mniejsze natomiast zacząłem mieć dla „kumoszek". Wiedziałem, że mimo iż janseniści, znajdują się w stosunkach z d'Alembertem i mieszkają w tym samym domu. To mnie przejęło pewnym niepokojem i uczyniło baczniejszym. Przeniosłem papiery do pokoju i poniechałem zupełnie stosunków z tymi ludźmi, wiedząc zresztą, iż popisują się w wielu domach pierwszym tomem *Emila*, którego im nieopatrznie pożyczyłem. Mimo iż nadal mieszkali w sąsiedztwie aż do mego wyjazdu, nie miałem już odtąd z nimi żadnej styczności.

Umowa społeczna ukazała się na miesiąc lub dwa przed *Emilem*. Rey, od którego zawsze wymagałem gwarancji, że żadnej z mych książek nie wprowadzi ukradkiem do Francji, zwrócił się do władz, aby uzyskać pozwolenie sprowadzenia dzieła przez Rouen, dokąd ściągnął morzem swą przesyłkę. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi: paki zostały w Rouen przez kilka miesięcy, po upływie których odesłano je Reyowi, pokusiwszy się o konfiskatę; ale narobił tyle krzyku, iż mu je oddano. Ciekawi wydostali w Amsterdamie kilka egzemplarzy, które krążyły z niewielkim rozgłosem, Mauléon słyszał o nich i nawet coś niecoś widział własnymi oczami; wspomniał mi też o tym tajemniczo. Ton ten zdumiał mnie i byłby mnie nawet zaniepokoił, gdyby nie pewność, że jestem pod każdym względem w porządku i nie mam sobie nic do wyrzucenia. Nie wątpiłem nawet, iż pan de Choiseul, już wprzódy dobrze dla mnie usposobiony, a pogłaskany pochwałą, którą, wiedziony szczerym dlań szacunkiem, zamieściłem w tym dziele, weźmie mnie w danym razie w obronę przeciw nieżyczliwości pani de Pompadour.

Miałem z pewnością prawo liczyć wówczas, więcej niż kiedy, na dobroć pana de Luxembourg i na jego poparcie w potrzebie; nigdy bowiem nie dawał mi tylu i tak wzruszających dowodów przyjaźni. W czasie wielkanocnego pobytu marszałkostwa, gdy smutny mój stan nie pozwolił mi stawić się w zamku, nie minął dzień, aby mnie nie odwiedził; w końcu, widząc, iż cierpienia moje nie ustają, naleganiem swoim skłonił mnie do zasięgnięcia rady brata Kosmy. Posłał po niego, sprowadził mi go sam i miał odwagę, rzadką niewątpliwie i godną uznania u wielkiego pana, zostać przy mnie przez czas operacji, która była długa i bolesna. Chodziło wprawdzie jedynie o wprowadzenie sondy, ale u mnie było to niepodobieństwem; nawet Morand, który brał się do tego kilka razy, musiał w końcu dać za wygraną. Brat Kosma, który miał lekkość i zręczność ręki wprost niezrównaną, wprowadził w końcu bardzo wąską sondę, wymęczywszy mnie przeszło

[799] *„Kumoszki"* — Ferrand i Minard, para jansenistów wspomnianych w księdze X. [przypis edytorski]
[800] *baczność* — uwaga, czujność. [przypis edytorski]

dwie godziny, przez które siliłem się wstrzymać skargi, aby nie rozdzierać tkliwego serca dobrego marszałka. Za pierwszym badaniem brat Kosma miał wrażenie, iż znalazł duży kamień, i tak mi oznajmił; za drugim już go nie znalazł. Ponowiwszy badanie jeszcze kilka razy ze staraniem i dokładnością, które uczyniły mi czas bardzo długim, oświadczył, iż nie ma kamienia, ale że gruczoł krokowy jest stwardniały i nienaturalnie powiększony; pęcherz znalazł duży i w dobrym stanie i oświadczył w końcu, że będę wiele cierpiał, ale długo żył. Jeżeli druga przepowiednia ziści się równie wiernie jak pierwsza, niedole moje nierychło mają się skończyć!

W ten sposób, leczony kolejno przez tyle lat na dwadzieścia chorób, których nie miałem, dowiedziałem się w końcu, że choroba moja, nieuleczalna, ale nie śmiertelna, trwać będzie równie długo jak ja. Wyobraźnia moja, uspokojona tą wiadomością, przestała mi już ukazywać w perspektywie okrutną śmierć w boleściach kamicy[801]. Przestałem się lękać, iż odłamek sondy, odkruszony w cewce dawno temu, stał się zarodkiem kamienia. Uwolniony od cierpień urojonych, okrutniejszych dla mnie niż prawdziwe, znosiłem spokojniej dolegliwości. To pewna, iż od tego czasu choroba stała mi się o wiele mniej dokuczliwą; ilekroć wspomnę, że tę ulgę winien jestem panu de Luxembourg, na nowo roztkliwiam się nad jego pamięcią.

Wrócony, że tak powiem, życiu, i bardziej niż kiedykolwiek zaprzątnięty planem, wedle którego miałem zamiar spędzić resztę dni, czekałem dla wykonania go jedynie wydania *Emila*. Myślałem o Turenii, gdzie już byłem swego czasu i która mi się bardzo podobała, tak dla łagodności klimatu, jak charakteru mieszkańców.

La terra molle e lieta e dilettosa
Simili a se gli abitator produce[802]

Mówiłem już o swoim zamiarze panu de Luxembourg, który mnie chciał od niego odwrócić; wspomniałem mu o tym znowu jak o rzeczy postanowionej. Wówczas poddał mi zamek w Merlou, położony o piętnaście mil od Paryża, jako schronienie, które mogłoby mi się nadać i w którym oboje księstwo z przyjemnością by mnie ugościli. Ofiara ta wzruszyła mnie i dość mi przypadła do smaku. Przede wszystkim trzeba było zobaczyć miejsce; umówiliśmy dzień, w którym pan marszałek przyśle pokojowca z powozem, aby mnie tam zawieźć. Tego dnia czułem się bardzo nieszczególnie, trzeba było odłożyć wyprawę, przeciwności zaś, które się wyłoniły, nie pozwalały mi jej wykonać. Dowiedziawszy się później, iż dobra Merlou nie są własnością marszałka, lecz jego żony, łatwiej pocieszyłem się, iż zamiar nie doszedł do skutku.

Wreszcie ukazał się *Emil*, bez żadnych dalszych skreśleń ani trudności. Przed puszczeniem w obieg książki pan marszałek zażądał ode mnie wszystkich listów pana de Malesherbes odnoszących się do mego dzieła. Bezwzględne zaufanie do tych obu panów, jak również uczucie zupełnego bezpieczeństwa, nie pozwoliły mi zastanowić się, iż podobne żądanie mogło się wydać niezwykłe, a nawet niepokojące. Oddałem listy, poza jednym czy dwoma, które przez nieuwagę zostały w książkach. Na jakiś czas przedtem pan de Malesherbes uwiadomił mnie, że wycofa listy, które pisałem do Duchesne'a w czasie mego niepokoju o intrygi jezuitów; trzeba przyznać, że te listy nie przynosiły zbytniego zaszczytu memu rozsądkowi. Odpowiedziałem wszelako, iż w żadnej rzeczy nie chcę uchodzić za lepszego, niż jestem, i że może zostawić te listy w rękach posiadacza. Nie wiem, co uczynił.

Ukazanie się książki nie wywołało w pierwszej chwili owej burzy oklasków, jaka towarzyszyła wszystkim mym pismom. Nigdy dzieło nie doznało tylu postronnych pochwał, a tak mało publicznego uznania. To, co mi o nim mówili lub pisali ludzie najbardziej powołani, aby je osądzić, utwierdziło mnie w tym, że jest to najlepszy z mych utworów, jak również najdonioślejszy. Ale to wszystko mówiono z ostrożnościami najosobliwszymi w świecie, jak gdyby zależało na tym, aby uznanie dla książki pozostało głęboką tajemnicą. Pani de Boufflers, która oświadczyła mi, że autor tej książki zasługuje na posągi

[801] *kamica nerkowa (moczowa)* — choroba polegająca na powstawaniu złogów (tzw. „kamieni") w nerkach lub drogach moczowych na skutek wytrącania się związków chemicznych obecnych w moczu. [przypis edytorski]

[802] *La terra molle e lieta e dilettosa…* (wł.) — Ziemia wesoła, luba, łatwa do uprawy, wydaje mieszkańców we wszystkim do niej podobnych (Tasso, [*Jerozolima wyzwolona*, ks. I, strofa LXII]). [przypis tłumacza]

i hołdy od całej ludzkości, prosiła bez ceremonii z końcem bileciku, aby go jej odesłać. D'Alembert, który orzekł, iż dzieło to rozstrzyga o mej wyższości i powinno mnie postawić na czele wszystkich pisarzy, nie podpisał swego listu, mimo że podpisywał wszystkie, jakie aż dotąd do mnie pisywał. Duclos, pewny przyjaciel, człowiek szczery, ale oględny, mimo wysokiego uznania dla książki unikał wzmianki o niej w liście; La Condamine[803] rzucił się na *Wyznanie wiary* i bajał trzy po trzy; Clairaut[804] ograniczył się w swoim liście do tegoż ustępu, ale nie lękał się dać upustu wzruszeniu, o jakie przyprawiło go czytanie, i wyraził się, dosłownie, iż ta lektura rozgrzała jego starą duszę. Ze wszystkich tych, którym posłałem książkę, on jeden wobec całego świata mówił głośno i swobodnie, iż jest jej bezwzględnym wielbicielem.

Mathas, któremu również dałem egzemplarz, nim się ukazał w handlu, pożyczył go panu de Blaire, rajcy parlamentu, ojcu intendenta Strasburga. Pan de Blaire miał domek w Saint-Gratien; Mathas, dawny jego znajomy, odwiedzał go tam niekiedy, o ile mógł wychodzić. Dał mu do czytania *Emila* przed opublikowaniem. Oddając książkę, pan de Blaire powiedział słowa, które mi powtórzono tego samego dnia: „Panie Mathas, oto bardzo piękna książka, ale narobi ona niebawem więcej hałasu, niżby to było pożądane dla autora". Usłyszawszy to odezwanie, śmiałem się tylko i widziałem w nim jedynie ważnoróbstwo urzędnika, który wszystko sili się otaczać nimbem tajemnicy. Wszystkie niepokojące uwagi, które mnie dochodziły, równie mało uczyniły na mnie wrażenia; daleki od przewidywania w jakiej bądź mierze katastrofy, do której się zbliżałem, pewien użyteczności, piękności swego dzieła, pewien, iż jestem pod każdym względem w porządku, pewien, jak wierzyłem niezłomnie, poparcia pani de Luxembourg, a nawet przychylności ministerium, upajałem się zadowoleniem ze swego postanowienia, które dawało mi możność wycofania się wśród tryumfów, zdeptawszy zawistnych.

Jedna jedyna rzecz niepokoiła mnie w mej książce, i to nie tyle z punktu widzenia własnego bezpieczeństwa, ile ze względów uczuciowych. W Pustelni, w Montmorency, widziałem z bliska i z oburzeniem prześladowania, jakich zazdrosna o uciechy księcia służba dopuszcza się na nieszczęśliwych wieśniakach. Biedni ci ludzie zmuszeni byli cierpieć szkody, które zwierzyna robi w ich polach, nie śmiejąc bronić się inaczej jak tylko samym zgiełkiem, i zniewoleni spędzać noc we własnym grochu lub bobie, z kotłami, bębnami, dzwonkami, dla odstraszenia dzików. Będąc świadkiem barbarzyńskiej srogości, z jaką hrabia de Charolais kazał się obchodzić z tymi biednymi ludźmi, pomieściłem pod koniec *Emila* wycieczkę przeciw temu okrucieństwu. Było to również naruszeniem mych zasad, które nie uszło bezkarnie. Dowiedziałem się, iż urzędnicy księcia Conti poczynają sobie nie mniej okrutnie na jego ziemiach; drżałem, aby ten książę, dla którego byłem przejęty czcią i wdzięcznością, nie wziął do siebie tego, co oburzone poczucie ludzkości kazało mi rzec pod adresem jego wuja, i aby się nie czuł obrażony. Mimo to, ponieważ sumienie moje było zupełnie spokojne w tej mierze, poprzestałem na tym świadectwie i dobrze zrobiłem: nigdy przynajmniej nie słyszałem, aby książę zwrócił najmniejszą uwagę na ten ustęp, napisany na długo przedtem, nim miałem zaszczyt być mu znany.

W niewiele dni przed lub po ogłoszeniu książki (nie przypominam sobie bowiem dokładnie czasu) ukazało się inne dzieło w tym samym przedmiocie, odbite dosłownie z pierwszego tomu *Emila*, poza kilkoma płaskimi wstawkami, jakimi urozmaicono ten wyciąg. Książkę tę podpisał jako autor Genewczyk nazwiskiem Balexert; tytuł głosił, iż otrzymała nagrodę Akademii Harlemskiej. Zrozumiałem łatwo, że ta akademia i nagroda to doraźny wymysł celem zamaskowania plagiatu w oczach publiczności[805]; ale spostrzegłem również, iż tkwi w tym wszystkim jakaś dawniejsza intryga, zupełnie dla mnie niezrozumiała: czy to zasadzająca się na udzieleniu mego rękopisu, bez którego szalbier-

[803] *La Condamine, Charles-Marie de* (1701–1774) — francuski geodeta, matematyk i podróżnik. [przypis edytorski]

[804] *Clairaut, Alexis Claude de* (1713–1765) — francuski matematyk, astronom i geofizyk, członek Królewskiej Akademii Nauk (1731), uczestnik ekspedycji do Laponii celem pomiarów długości stopnia południka. [przypis edytorski]

[805] *Zrozumiałem łatwo, że ta akademia i nagroda to doraźny wymysł celem zamaskowania plagiatu w oczach publiczności* — Rousseau myli się: Jacques Balexert a. Ballexserd (1726–1774) za swoją pracę *Dissertation sur l'éducation physique des enfans depuis leur naissance jusqu'à jusqu'à l'âge de puberté* (Dysertacja o wychowaniu fizycznym dzieci od urodzenia do wieku dojrzałości, 1762) rzeczywiście otrzymał nagrodę Holenderskiego Towarzystwa Nauk w Haarlem. [przypis edytorski]

stwo nie byłoby możebne; czy na skleceniu historii tej rzekomej nagrody, której trzeba było dać jakieś uzasadnienie. Dopiero w wiele lat później ze słówka, które się wymknęło z ust pana d'Ivernois, przeniknąłem tajemnicę i domyśliłem się osób, które ukrywały się poza imć Balexertem.

Głuche pomruki, jakie poprzedzają burzę, zaczynały się rozlegać. Wszyscy ludzie bodaj trochę przenikliwi widzieli, iż wylęga się, odnośnie do mej książki i do mnie, spisek, który nie omieszka wybuchnąć. Co do mnie, ufność moja, głupota były takie, iż, daleki od przewidywania nieszczęścia, nie podejrzewałem zgoła jego przyczyny wówczas nawet, gdy odczułem skutek. Zaczęto dość zręcznie rozsiewać mniemanie, iż występując przeciw jezuitom, rząd nie może okazywać stronniczej pobłażliwości dla książek i autorów zaczepiających religię. Wyrzucano mi, iż podpisałem *Emila* własnym nazwiskiem, jak gdybym nie był podpisał wszystkich innych książek bez niczyjego zarzutu. Zdawało się, jak gdyby władze lękały się, iż będą zmuszone do jakichś kroków, które uczyniłyby z żalem, ale które w danych okolicznościach są nieodzowne: nieostrożność moja dała do tego rzekomy powód. Te pogłoski doszły moich uszu i nie przestraszyły mnie. Nie przyszło mi nawet na myśl, aby w całej sprawie najmniejsza bodaj rzecz mogła mnie tyczyć osobiście. Czułem się tak doskonale nieskazitelny, tak dobrze osłonięty, tak zupełnie pod każdym względem w porządku; w głowie nie postał mi niepokój, aby pani de Luxembourg miała mnie zostawić w kłopocie dla winy, która jeżeli istniała, była jedynie jej winą. Ale wiedząc, jak w podobnych sprawach rzeczy się dzieją i że należy do zwyczaju srożyć się przeciw księgarzom, oszczędzając autorów, nie byłem wolny od obaw o biednego Duchesne, w razie gdyby pan de Malesherbes go opuścił.

Pozostałem spokojny. Hałas wzmagał się i niebawem odmienił ton. Publiczność, a zwłaszcza parlament zdawały się podrażnione mym spokojem. Po upływie kilku dni wrzenie stało się straszne, przy czym groźby, zmieniając kierunek, zwróciły się wprost ku mnie. Słyszano parlamentariuszów[806] odzywających się wręcz, że słabe to lekarstwo palić książki, że trzeba palić autorów. Co do księgarzy, nie było o nich mowy. Pierwszy raz, kiedy te odezwania, godniejsze inkwizytorów z Goa[807] niż senatorów, doszły do mnie, nie wątpiłem, iż to jest wymysł holbachistów celem przestraszenia mnie i pobudzenia do ucieczki. Uśmiałem się z tego dziecinnego podstępu i dworując z nich sobie, powiadałem w duchu, iż gdyby znali prawdziwy przebieg zdarzeń, poszukaliby innego straszaka; ale w końcu hałas zrobił się taki, iż jasnym było, że rzecz jest serio. Księstwo de Luxembourg przyspieszyli tego roku swój pobyt w Montmorency, tak iż byli tam z początkiem czerwca. W zamku bardzo niewiele słyszałem o swoich nowych książkach mimo zgiełku, jaki robiły w Paryżu, państwo domu zaś nie mówili mi o nich wcale. Jednego rana wszelako, kiedy znalazłem się sam na sam z marszałkiem, rzekł: „Czy to prawda, że pan wyraził się źle o panu de Choiseul w *Umowie społecznej*?" — „Ja? — odparłem, cofając się ze zdumienia. — Nie, przysięgam. Przeciwnie, oddałem mu, i to piórem, które nie jest do tego pochopne, najpiękniejszą pochwałę, jaką kiedykolwiek minister mógł otrzymać". I natychmiast przytoczyłem ten ustęp. „A w *Emilu*?" — zapytał. — „Ani słowa — odparłem. — Nie ma tam ani słowa, które by go tyczyło". — „A! — rzekł marszałek z niezwykłą u niego żywością. — Trzeba było trzymać się tego samego w tamtej książce lub tłumaczyć się bardziej jasno!" — „Mniemałem, że jestem dość jasny — rzekłem — dosyć ceniłem na to pana de Choiseul". Marszałek miał jeszcze coś dodać; widziałem, że chce się wywnętrzyć; powściągnął się i zamilkł. Nieszczęśliwa oględność dworaka, która nawet w najlepszych sercach przeważy samą przyjaźń!

Ta rozmowa, mimo iż krótka, oświeciła mnie, przynajmniej pod pewnym względem, co do mego położenia i pozwoliła zrozumieć, że chodzi tu w istocie o mą osobę. Ubolewałem nad fatalnością, która obraca na mą zgubę każdą mą dobrą myśl i uczynek. Mimo to, czując się w tej sprawie osłoniony tarczą pani de Luxembourg i pana de Malesherbes, nie pojmowałem, w jaki sposób dałoby się osiągnąć to, aby ich usunąć i dotrzeć aż do mnie; poza tym bowiem czułem dobrze od tej chwili, iż nie będzie już mowy o słuszności ani o sprawiedliwości i że nikt nie będzie sobie zadawał trudu badania, czy jestem winny

[806] *parlamentariusz* — tu: parlamentarzysta, członek parlamentu. [przypis edytorski]

[807] *Goa* — terytorium na zachodnim wybrzeżu Indii; od 1510 kolonia portugalska; w 1961 wcielone siłą do Indii, ob. stan Indii; *inkwizytorzy z Goa*: od 1560 działał w Goa trybunał inkwizycji portugalskiej, instytucji do ścigania heretyków i konwertytów wzorowanej na inkwizycji hiszpańskiej. [przypis edytorski]

czy nie. Tymczasem burza huczała coraz bliżej. Nawet Néaulme w gadatliwym swoim sposobie wyrażał ubolewanie, iż mieszał się do tego dzieła i zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości co do losu, jaki grozi książce i autorowi. Jedna rzecz wszelako dodawała mi ciągle otuchy: pani de Luxembourg była cały ten czas tak spokojna, zadowolona, wesoła nawet, iż musiała snadź być bardzo pewna swojej sprawy, aby nie odczuwać najmniejszego niepokoju za mnie, aby mi nie rzec ni słówka współczucia lub usprawiedliwienia, aby patrzeć na obrót, jaki przybiera sprawa z tak zimną krwią, jakby wcale nie była w nią wmieszana i jak gdyby w żadnej mierze nie była się mną interesowała. Najbardziej zdumiewało mnie, iż nie ma mi zgoła nic do powiedzenia. Miałem uczucie, że coś by mi się należało z jej strony. Pani de Boufflers zdawała się mniej spokojna. Krążyła tam i z powrotem z bardzo ważną miną, rozwijając wielką ruchliwość i upewniając mnie, że książę de Conti również gorliwie się krząta, aby odwrócić cios, który mi gotują. Obawy jej opierały się na okolicznościach danej chwili, w których parlamentowi zależało na tym, aby jezuici nie mogli mu zarzucać obojętności w sprawach religii. Zdawało się wszelako, iż niewiele ma wiary w starania księcia i swoje. Odezwania jej, raczej alarmujące niż uspokajające, zmierzały nieodmiennie do tego, aby mnie skłonić do usunięcia się. Hrabina radziła mi zawsze Anglię, gdzie przyrzekała mi wielu przyjaciół, między innymi słynnego Hume'a[808], który od dawna liczył się do jej bliskich. Widząc, iż nadal trwam w niewzruszonym spokoju, przeszła do środków snadniej[809] mogących mnie zachwiać. Dała do zrozumienia, że w razie mego uwięzienia i śledztwa będę zmuszony wymienić panią de Luxembourg i że jej przyjaźń dla mnie zasługuje, abym się nie wystawiał na niebezpieczeństwo narażenia jej. Odpowiedziałem, iż w podobnym wypadku księżna może być spokojna i że jej nie narażę. Na to hrabina odparła, iż postanowienie takie łatwiej powziąć niż wykonać; w czym miała słuszność, zwłaszcza gdy chodziło o mnie, wobec mego stanowczego zamiaru, aby nigdy nie zaprzeć się samego siebie i nie skłamać przed sędziami, bez względu na niebezpieczeństwo, jakim groziłoby powiedzenie prawdy.

Widząc, iż ta refleksja wywarła na mnie pewne wrażenie, niedostateczne wszelako, aby mnie skłonić do postanowienia ucieczki, hrabina natrąciła mi o Bastylii na przeciąg kilku tygodni jako o sposobie usunięcia się spod jurysdykcji parlamentu, który nie na mocy nad więźniami stanu. Nie nadmieniłem nic przeciw tej osobliwej łasce, byleby nie dopraszano się jej w moim imieniu. Ponieważ hrabina nie wspomniała mi już o tym, sądziłem później, iż poddała tę myśl jedynie, aby mnie wybadać, i że nie życzono sobie środka, który by położył kres wszystkiemu.

W niedługi czas później marszałek otrzymał od proboszcza z Deuil, przyjaciela Grimma i pani d'Epinay, list zawierający ustrzeżenie, jakoby z dobrego źródła, iż parlament zamierza postąpić ze mną z ostateczną surowością i że tego a tego dnia (który wymienił) ma być wydany rozkaz uwięzienia. Osądziłem, iż ostrzeżenie to pochodzi z fabryki holbachowskiej; wiedziałem, iż parlament jest bardzo czuły na formy i że zaczynać w tym wypadku od dekretu uwięzienia bez stwierdzenia prawnego, czy przyznaję się do tej książki i czy jestem w istocie jej autorem, byłoby jaskrawym tych form naruszeniem. „Jedynie — rzekłem do pani de Boufflers — pod zarzutem zbrodni godzących w bezpieczeństwo publiczne wydaje się rozkaz uwięzienia na proste poszlaki, z obawy, aby obwiniony nie umknął przed karą. Ale kiedy chodzi o ukaranie przestępstwa takiego jak moje, które zasługuje na cześć i nagrodę, wytacza się postępowanie przeciw książce, a unika się, o ile można, tykania autora". Na to hrabina uczyniła subtelne rozróżnienie, nie pomnę jakie, aby mi udowodnić, że to przez wzgląd na mnie samego uchwalono uwięzienie, miast wezwać mnie do przesłuchania. Nazajutrz otrzymałem list od Guyego, który mi donosił, iż będąc tego dnia u generalnego prokuratora, ujrzał u niego na biurku brulion aktu oskarżenia przeciw *Emilowi* i jego twórcy. Zważcie, iż Guy był to wspólnik Duchesne'a, który wydrukował dzieło, i że to on, zupełnie spokojny o siebie, udzielał przez współczucie tego ostrzeżenia autorowi! Można ocenić, jak bardzo mi się to wszystko wydawało prawdopodobne. To było tak proste, tak naturalne, aby księgarz, dopuszczony na audiencję do generalnego prokuratora, czytał spokojnie akta i bruliony rozrzucone na biurku dygni-

[808] *Hume, Dawid* (1711–1776) — filozof i historyk angielski. Istotnie, Rousseau przyjął później gościnę ofiarowaną mu w Anglii, co jednak doprowadziło do gwałtownego zatargu z Humem i utrwaliło Russa w jego manii dopatrującej się powszechnego sprzysiężenia przeciw niemu. [przypis tłumacza]

[809] *snadnie* (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

tarza! Pani de Boufflers i inni potwierdzili mi to samo. Sądząc z niedorzeczności, jakimi kotłowano mi bez ustanku uszy, byłem skłonny przypuszczać, iż cały świat oszalał.

Czując dobrze, iż pod tym wszystkim tkwi jakaś tajemnica, której mi nie chcą powiedzieć, czekałem spokojnie wypadków, spuszczając się[810] na swoje prawo i niewinność w całej tej sprawie. Bez względu na to, jakie prześladowania mnie czekają, czułem się szczęśliwy, iż jestem powołany do zaszczytu cierpienia za prawdę. Daleki od lęku i ukrywania się, chodziłem co dnia do zamku i odbywałem po południu zwykłą przechadzkę. Ósmego czerwca, w wilię dekretu, odbyłem ją w towarzystwie dwóch profesorów Oratorium, ojca Alamanni i ojca Mandard. Zabraliśmy z sobą do Champeaux skromny podwieczorek, który spożyliśmy z wielkim apetytem. Zapomnieliśmy szklanek: zastąpiliśmy je słomkami zerwanymi w polu, którymi ciągnęliśmy wino z butelki, siląc się wyszukać rurki o ile możności szerokie, aby ciągnąć na wyprzódki[811]. W życiu nie byłem równie wesoły.

Opowiadałem, w jaki sposób postradałem w młodości sen. Od tego czasu przywykłem czytać co wieczora w łóżku, aż uczuję, że oczy zaczynają mi ciążyć. Wówczas gasiłem świecę i starałem się usnąć, co zwykle następowało niebawem. Zwykłą lekturą wieczorną była Biblia, którą przeczytałem w ten sposób co najmniej pięć lub sześć razy w całości. Tego wieczora, czując się bardziej rozbudzony niż zazwyczaj, odczytałem całą księgę, która się kończy lewitą efraimowym[812]. Jeżeli się nie mylę, jest to *Księga Sędziów*; nie miałem jej bowiem w rękach od tego czasu. Historia ta przejęła mnie wielce; dumając nad nią, popadłem w stan marzenia, kiedy nagle wyrwał mię zeń hałas i światło. Była to Teresa; świeciła panu La Roche, który widząc, że się zrywam, rzekł: „Niech się pan nie przestrasza, to od pani marszałkowej: pisze sama i przysyła list od księcia Conti". W istocie, w piśmie pani de Luxembourg znalazłem list, który umyślny księcia właśnie przyniósł, zawierający ostrzeżenie, iż mimo wszelkich starań zdecydowano wystąpić przeciw mnie z całą surowością. „Wzburzenie — pisał — nadzwyczajne; nic nie może odwrócić ciosu; dwór się go domaga, parlament życzy go sobie. O siódmej rano będzie podpisany dekret; równocześnie wyprawią ludzi, mających go wykonać. Uzyskałem tyle, iż nie będą go ścigać, jeżeli się usunie, ale jeżeli będzie się upierał, aby się dać schwytać, wezmą go". La Roche zaklął mnie, imieniem marszałkowej, abym wstał i udał się do zamku na naradę. Była druga; właśnie położyła się do łóżka. „Księżna oczekuje pana — dodał — i nie uśnie, póki go nie zobaczy". Ubrałem się spiesznie i pobiegłem.

Marszałkowa wydała mi się niespokojna. Pierwszy raz widziałem ją w tym stanie. Pomieszanie jej wzruszyło mnie. Zaskoczony tak niespodzianie, w nocy, sam nie byłem wolny od wzruszenia, ale widząc ją, zapomniałem o sobie samym. Myślałem jedynie o niej i o smutnej roli, jaką przyszłoby jej odegrać, w razie gdybym pozwolił się uwięzić. Czując w sobie dosyć odwagi, aby powiedzieć zawsze tylko prawdę, choćby mi miała zaszkodzić i zgubić mnie, nie czułem w sobie dość przytomności umysłu, dość zręczności, ani może dość stałości, aby uniknąć narażenia księżnej, gdyby zaczęto mnie przyciskać. To skłoniło mnie, aby poświęcić własną chwałę dla jej spokoju i aby w tej okoliczności zrobić dla niej to, czego za nic nie uczyniłbym dla siebie. Raz powziąwszy postanowienie, natychmiast oznajmiłem je księżnej, nie chcąc obniżać jego wartości żadnym targiem. Pewien jestem, że nie mogła się omylić co do mych pobudek; mimo to nie zdradziła ni słowem, że jest mi za nie wdzięczna. Obojętność ta dotknęła mnie przykro, tak że wahałem się już, czy się nie cofnąć; ale zjawił się pan marszałek, a w chwilę później przybyła pani de Boufflers z Paryża. Dopełnili tego, co powinna była uczynić pani de Luxembourg. Dałem się ugłaskać; wstyd mi było odwoływać słowo i odtąd była już mowa tylko o miejscu schronienia i porze wyjazdu. Pan de Luxembourg ofiarował się zatrzymać mnie kilka dni *incognito*[813], abym mógł swobodnie naradzić się i powziąć postanowienie; nie zgodziłem się na to, jak

[810] *spuszczać się na coś* (daw.) — polegać na czymś, zdawać się na coś. [przypis edytorski]

[811] *na wyprzódki* (daw.) — na wyścigi, jeden przez drugiego. [przypis edytorski]

[812] *lewita efraimowy* — drastyczna opowieść o lewicie z terenów Efraim, w biblijnej *Księdze Sędziów* (Sdz 19). [przypis edytorski]

[813] *incognito* — nie ujawniając tożsamości; zatajenie tożsamości. [przypis edytorski]

również na propozycję udania się tajemnie do Temple[814]. Upierałem się, aby odjechać tegoż samego dnia raczej niż musieć się ukrywać gdziekolwiek bądź.

Czując, że mam we Francji ukrytych a potężnych nieprzyjaciół, osądziłem, iż mimo przywiązania do tego kraju trzeba mi go opuścić, aby zapewnić sobie spokój. Pierwszą myślą było schronić się do Genewy: chwila zastanowienia wystarczyła, aby mnie odwrócić od tego głupstwa. Wiedziałem, że rząd francuski, jeszcze potężniejszy w Genewie niż w Paryżu, nie zostawiłby mnie w spokoju tak samo w tym mieście, jak i w tamtym, jeżeli postanowił mnie ścigać. Wiedziałem, że *Rozprawa o nierówności* obudziła przeciw mnie w Radzie nienawiść tym bardziej niebezpieczną, ile że nie ośmielono się jej objawić. Wiedziałem, iż świeżo, kiedy pojawiła się *Nowa Heloiza*, taż Rada czym prędzej pokwapiła się zabronić jej obiegu na wniosek doktora Tronchin; ale widząc, że nikt nie poszedł za jej przykładem nawet w Paryżu, zawstydziła się tego błazeństwa i cofnęła zakaz. Nie wątpiłem, iż znajdując tutaj bardziej sprzyjającą okoliczność, pospieszy z niej skorzystać. Wiedziałem, iż mimo pięknych pozorów panuje wobec mnie we wszystkich sercach genewskich tajemna zawiść, która czeka jeno sposobności. Mimo to miłość ojczyzny wołała mnie do mojej ziemi; gdybym mógł czynić sobie nadzieję, że będę tam żył w spokoju, nie wahałbym się, ale ponieważ honor ani rozsądek nie pozwalały mi chronić się tam jako zbiegowi, postanowiłem zbliżyć się tylko i udać się do Szwajcarii, aby tam czekać, co Genewa postanowi. Czytelnik ujrzy niebawem, że niepewność nie trwała długo.

Pani de Boufflers bardzo nierada była temu postanowieniu; podjęła nowe wysiłki, aby mnie skłonić do przeprawy do Anglii. Nie zdołała mnie zachwiać. Nigdy nie lubiłem Anglii ani Anglików; wymowa pani de Boufflers nie tylko nie zwyciężyła mej odrazy, ale, nie wiem czemu, pogłębiła ją raczej.

Zdecydowany byłem jechać tegoż samego dnia. Rano już oświadczono wszystkim, żem wyjechał; La Roche, którego posłałem po swoje papiery, nie chciał nawet Teresie powiedzieć, czy jestem jeszcze czy mnie już nie ma. Od czasu jak postanowiłem spisać kiedyś moje pamiętniki, nagromadziłem wiele listów i innych papierów, tak iż trzeba mu było kilka razy wracać. Część papierów, już przebranych, odłożyłem na stronę; przez resztę ranka zająłem się przebieraniem innych, aby wziąć z sobą tylko to, co mogłoby mi być użyteczne, a spalić resztę. Pan de Luxembourg zechciał pomóc mi w tej pracy, która okazała się tak długą, że nie mogliśmy jej skończyć w ciągu rana i nie miałem czasu nic spalić. Pan marszałek ofiarował się dokończyć tej pracy, spalić samemu odpadki, nie zdając się z tym na nikogo, i przesłać mi wszystko, co odłoży. Przyjąłem ofiarę, bardzo rad, iż wolny jestem od tego trudu i że resztę godzin, które mi pozostały, będę mógł spędzić z tak drogimi osobami, które miałem opuścić na zawsze. Książę wziął klucz od pokoju, w którym zostawiłem papiery; po czym na me gorące prośby posłał po biedną Teresę, która była w śmiertelnym niepokoju o to, co się ze mną stało, o to, jaki ją los czeka, i oczekiwała co chwilę strażników, nie wiedząc, jak się zachować ani co odpowiedzieć. La Roche przyprowadził ją do zamku, nic nie mówiąc; myślała, że już jestem daleko: widząc mnie, wydała przenikliwy krzyk i rzuciła mi się w ramiona. O przyjaźni, związku serc, przyzwyczajenie, zażyłości! Ileż wspólnych dni szczęścia, czułości i spokoju skupiło się w tym słodkim i okrutnym momencie, aby mi lepiej dać uczuć rozdarcie pierwszej rozłąki! Dotychczas straciliśmy się z oczu z Teresą ledwie na jeden dzień w ciągu siedemnastu lat. Marszałek, świadek tego uścisku, nie mógł wstrzymać łez. Zostawił nas. Teresa nie chciała mnie opuścić. Dałem jej uczuć całą trudność zabierania jej z sobą w podobnej chwili; ukazałem, jak koniecznym jest, aby została dla zlikwidowania moich spraw i podjęcia pieniędzy. Kiedy się ogłasza wyrok uwięzienia człowieka, jest zwyczaj zagarniać jego papiery, kłaść pieczęcie na rzeczach lub też sporządzać inwentarz i mianować strażnika. Trzebaż było, aby ktoś został, by czuwać nad tym, co się stanie, i wyzyskać możliwie najkorzystniej okoliczności. Przyrzekłem Teresie, iż niebawem połączy się ze mną; pan marszałek potwierdził moje przyrzeczenie; ale nie chciałem za nic powiedzieć jej, dokąd się udaję, aby, pytana przez ludzi, którzy przyjdą mnie pojmać, mogła szczerze zaprzysiąc nieświadomość w tej mierze. Ściskając ją w chwili rozstania, uczułem w sercu niezmierne

[814] *Temple* — dawny warowny monastyr templariuszów posiadał odwieczny przywilej nietykalności i służył za *asylum* wielu ściganym przestępcom, głównie niewypłacalnym dłużnikom. W owym czasie był własnością księcia de Conti. [przypis tłumacza]

wzruszenie i rzekłem w uniesieniu, niestety nazbyt proroczym: „Moje dziecko, trzeba się uzbroić w odwagę. Dzieliłaś pomyślność moich pięknych dni; zostaje ci, skoro chcesz tego, dzielić moje niedole. Spodziewaj się już jedynie hańby i klęski w moim towarzystwie. Dola, która w tym smutnym dniu zaczyna się dla mnie, będzie mnie prześladowała aż do ostatniej godziny".

Pozostawało mi już tylko myśleć o wyjeździe. Siepacze mieli przyjść o dziesiątej rano. Była czwarta po południu, kiedy odjeżdżałem, a oni się jeszcze nie zjawili. Postanowiono, że najmę pocztę. Nie miałem kolasy[815]; pan marszałek obdarował mnie kabrioletem[816] i pożyczył koni wraz z pocztylionem aż do pierwszej stacji, gdzie dzięki jego uprzednim staraniom nie czyniono mi żadnych trudności z dostarczeniem koni.

Ponieważ nie jadłem obiadu przy stole i nie pokazałem się w zamku, panie przyszły pożegnać się ze mną do pokojów na dole, gdzie spędziłem dzień. Pani marszałkowa uściskała mnie kilka razy z dość smutną miną; ale nie czułem już w tym uścisku serdeczności, jaką darzyła mnie przed paru laty. Pani de Boufflers uściskała mnie również, dodając wiele pochlebnych wyrazów. Co mnie zdziwiło więcej, to uścisk pani de Mirepoix, bo i ona była tam również. Marszałkowa de Mirepoix jest to osoba nadzwyczaj chłodna, uważająca, wstrzemięźliwa i jak sądzę, niezupełnie wolna od dumy wrodzonej domowi lotaryńskiemu. Nigdy nie zaszczycała mnie nadto swoimi względami. Czy to, że pogłaskany zaszczytem, którego się nie spodziewałem, byłem skłonny pomnożyć jego cenę, czy że w istocie wlała w ten uścisk nieco owego współczucia właściwego szlachetnym sercom, znalazłem w ruchu jej i spojrzeniu coś szczególnie wymownego, co mnie wzruszyło. Często, wracając myślami do tej okoliczności, przypuszczałem, iż pani ta, świadoma poniekąd losu, na jaki byłem skazany, nie mogła się obronić chwili rozczulenia nad mą dolą.

Pan marszałek nie otwierał ust; blady był jak trup. Chciał koniecznie towarzyszyć mi aż do kolaski, która czekała przy stajniach. Przeszliśmy cały ogród, nie mówiąc słowa. Miałem klucz od parku, otworzyłem furtkę; po czym, zamiast schować klucz z powrotem, oddałem go bez słowa panu marszałkowi. Wziął go z zadziwiającą żywością, która mimowiednie często nastręczała mi się na myśl od tego czasu. W życiu nie miałem chwili bardziej gorzkiej niż moment tego rozstania. Uścisk był długi i niemy; czuliśmy obaj, że ten uścisk jest ostatnim pożegnaniem.

Pomiędzy la Barre i Montmorency spotkałem w najętej karocy czterech czarno ubranych ludzi, którzy skłonili mi się z uśmiechem. Wedle tego, co mi Teresa doniosła później o wyglądzie woźnych, godzinie ich przybycia i sposobie, w jaki się zachowali, nie wątpiłem, że to oni; zwłaszcza kiedy się dowiedziałem, że zamiast, jak mi doniesiono, o siódmej, wyrok podpisano dopiero po południu. Trzeba było przebyć cały Paryż. Otwarty kabriolet nie jest zbyt szczelnym ukryciem. Spotkałem na ulicy wiele osób, które mi się kłaniały jak gdyby znajomi, ale nie poznawałem nikogo. Ruszyłem tegoż samego wieczora, aby dobić do Villeroy. W Lyonie jest przepis, iż każdy podróżujący pocztą ma stawić się przed komendantem. To mogło stworzyć sytuację kłopotliwą dla człowieka, który nie chciał ani kłamać, ani zmieniać nazwiska. Poszedłem z listem pani de Luxembourg prosić pana de Villeroy, aby postarał się o zwolnienie mnie od tej formalności. Pan de Villeroy dał mi list, z którego nie zrobiłem użytku, ponieważ nie przejeżdżałem przez Lyon. List ten znajduje się jeszcze, zapieczętowany, wśród moich papierów. Książę nalegał bardzo, abym zanocował w Villeroy; ale wolałem raczej puścić się w dalszą drogę i minąłem jeszcze dwie stacje pocztowe tegoż dnia.

Pojazd mój był niezbyt wygodny i czułem się zbyt nieszczególnie, aby jechać wielkimi etapami. Zresztą, nie wyglądałem dość imponująco, aby wywalczyć sobie dobrą obsługę, wiadomo zaś, iż we Francji konie pocztowe czują bicz jedynie na grzbiecie pocztyliona. Opłacając się suto, mniemałem, iż zastąpię niedostatek miny i głosu; wyszedłem na tym jeszcze gorzej. Wzięli mnie za chłystka, który gna z jakimś zleceniem i podróżuje pocztą pierwszy raz w życiu. Od tej chwili dawano mi już same chabety i stałem się igraszką pocztylionów. Skończyłem na tym, od czego powinienem był zacząć, to jest, aby znosić cierpliwie, nic nie mówić i jechać, jak im się spodoba.

[815] *kolasa* — powóz konny; kareta. [przypis edytorski]

[816] *kabriolet* (daw.) — lekki jednokonny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

Miałem zresztą czym zabawiać się w drodze, gdybym się chciał zastanawiać nad świeżymi wydarzeniami; ale nie leży to ani w moim usposobieniu, ani w skłonnościach. Zadziwiające jest, z jaką łatwością ulata mi z pamięci zło minione, chociażby najświeższe. O ile, póki widzę je w przyszłości, przewidywanie przeraża mnie i miesza, o tyle we wspomnieniu dotyka mnie ono słabo i gaśnie prawie natychmiast, skoro rzecz się stała. Moja okrutna wyobraźnia, która dręczy mnie bez ustanku, uprzedzając nieszczęścia, których jeszcze nie ma, rozprasza w zamian mą pamięć i nie pozwala rozpamiętywać tych, które minęły. Przeciw temu, co się stało, nie ma co przedsiębrać ostrożności, bezcelowe jest zatem zajmować się tym. Czy wyczerpuję z góry moje nieszczęście? Dość, że im więcej cierpiałem, przewidując, z tym większą łatwością zapominam o nim; podczas gdy, przeciwnie, bez przerwy zajęty minionym szczęściem, przypominam je sobie i przetrawiam tak, iż, można powiedzieć, zdolny jestem napawać się nim na nowo, kiedy zechcę. Tej to szczęśliwej naturze zawdzięczam, czuję to, iż nigdy nie znałem owego uczucia urazy, które przez ustawiczne wspomnienie doznanej krzywdy fermentuje w mściwym sercu i pod wpływem którego człowiek dręczy sam siebie całym złem, które chciałby wyrządzić swemu wrogowi. Z natury będąc porywczy, odczuwałem gniew, wściekłość nawet, za pierwszym popędem; ale nigdy pragnienie zemsty nie zapuściło korzeni w mym wnętrzu. Zbyt mało zajmuję się samą obrazą, aby się zanadto zajmować jej sprawcą. O złem, którego już doznałem, myślę jedynie w związku z tym, które mi grozi jeszcze; gdybym był pewny, że na tym koniec, krzywdy, która już mi się stała, zapomniałbym w tejże chwili. Wiele nam mówią o odpuszczeniu zniewag; piękna to cnota, bez wątpienia, ale co do mnie, nie mam do niej sposobności. Nie wiem, czy moje serce umiałoby zapanować nad nienawiścią, nigdy jej bowiem nie czuło: zbyt mało myślę o swoich wrogach, abym miał zasługę przebaczenia. Nie zdaję sobie sprawy, do jakiego stopnia, aby mnie dręczyć, dręczą oni samych siebie. Jestem na ich łasce, mają wszelką władzę, czynią z niej użytek. Jest tylko jedna rzecz powyżej ich mocy, co do której wyzywam ich śmiało: to jest, aby dręcząc się mną, zmusili mnie, bym ja się dręczył nimi.

Zaraz nazajutrz po wyjeździe wyszło mi tak doskonale z pamięci wszystko, co się stało, i parlament, i pani de Pompadour, i pan de Choiseul, i Grimm, i d'Alembert, ich spiski, ich wspólnicy, że nie pomyślałbym nawet o tym przez całą podróż, gdyby nie ostrożności, które musiałem zachowywać. Wrażeniem, które opanowało mnie w miejsce tego wszystkiego, było wspomnienie mej ostatniej lektury, w wilię wyjazdu. Przypomniałem też sobie *Idylle*[817] Gessnera, które tłumacz ich, Hubert, przysłał mi niedawno[818]. Te dwa wrażenia opanowały mnie tak zupełnie i zmieszały się w taki sposób w mym umyśle, że spróbowałem połączyć je, traktując na sposób Gessnera historię lewity z Efraim. Ten sielski i naiwny styl nie zdawał się bynajmniej odpowiedni dla tak strasznego tematu, a nie sposób było przypuszczać, aby obecne położenie dostarczyło mi dla rozjaśnienia go pogodniejszych myśli. Spróbowałem wszelako, jedynie aby się rozerwać w mej kolasce, bez żadnej nadziei powodzenia. Ledwie spróbowałem, uczułem się zdumiony pogodą swych myśli oraz łatwością, z jaką przychodzi mi je oddać. W trzy dni ułożyłem trzy pierwsze pieśni poemaciku, który dokończyłem później w Motiers. Jestem pewien, iż nic nie napisałem w życiu, w czym by panowała bardziej wzruszająca słodycz obyczajów, większa świeżość kolorytu, naiwność obrazów, bardziej starożytna prostota; wszystko to mimo okropności przedmiotu, który w gruncie jest straszliwy; tak iż poza wszystkim innym mam jeszcze i zasługę przezwyciężonej trudności. *Lewita z Efraim*, jeśli nie jest mym najlepszym dziełem, będzie mi zawsze najulubieńszym. Nigdy nie odczytałem go, nie odczytam nigdy, iżbym nie czuł wewnątrz zadowolenia serca bez żółci, które, dalekie od kwaszenia się swymi nieszczęściami, umie znaleźć w sobie samym pociechę i zadośćuczynienie. Niech kto zgromadzi wszystkich tych wielkich filozofów, tak wyższych w swoich księgach nad przeciwności, których nigdy nie doznali; niech ich postawi w położenie podobne mojemu i niechaj, w chwili pierwszego wzburzenia obrażonej dumy, da im podobne do spełnienia zadanie: — pokaże się, jak się zeń wywiążą.

[817]„Idylle" *Gessnera* — ukazujące proste i szczęśliwe życie pasterzy i pasterek, wydane w 1756 i 1772 przez szwajcarskiego pisarza Salomona Gessnera (1730–1788); zyskały dużą popularność, były tłumaczone na wiele języków. [przypis edytorski]

[818]*tłumacz ich, Hubert, przysłał mi niedawno* — tłumacz nazywał się Jean-Jacques Hubner; przesłał Rousseau swoje tłumaczenie *Idylli* pod koniec 1761. [przypis edytorski]

Jadąc z Montmorency do Szwajcarii, postanowiłem wstąpić do Yverdon, aby się zatrzymać u zacnego starego przyjaciela, pana Roguin. Osiadł tam przed kilku laty i zapraszał mnie nawet, abym go odwiedził. Dowiedziałem się w drodze, że jadąc na Lyon, trzeba by okrążać; to oszczędziło mi kłopotu zatrzymywania się w tym mieście. Ale w zamian trzeba było przejeżdżać przez Besançon, twierdzę warowną, a co za tym idzie, podległą tej samej niedogodności. Postanowiłem zboczyć i jechać przez Salins pod pozorem odwiedzenia pana de Mairan, siostrzeńca pana Dupin, który piastował jakiś urząd w salinach[819] i który niegdyś bardzo mnie zapraszał, abym go odwiedził. Pomysł udał się; nie zastałem pana de Mairan i bardzo rad, iż nie potrzebuję się zatrzymywać, puściłem się w dalszą drogę, nie niepokojony przez nikogo.

Wjeżdżając na berneńskie terytorium[820], kazałem zatrzymać: wysiadłem, padłem plackiem, ściskałem, całowałem ziemię, wykrzyknąłem w uniesieniu: „O niebo, opiekunie cnoty, sławię imię twoje, dotykam ziemi wolności!". Tak to, zaślepiony i ufny w swych nadziejach, zawsze zapalałem się do tego, co miało być mym nieszczęściem. Pocztylion myślał, żem oszalał: wsiadłem z powrotem do kolaski i w niewiele godzin potem zaznałem równie czystej jak żywej radości, znajdując się w ramionach i uścisku czcigodnego Roguina. Ach! odetchnijmy chwilę u zacnego gospodarza! Trzeba nabrać sił i odwagi: niebawem będę miał sposobność ich użyć.

Nie bez przyczyny rozwiodłem się w tym opowiadaniu nad wszystkimi okolicznościami, jakie mogłem sobie przypomnieć. Mimo że nie wydają się bardzo jasne, skoro raz ma się w ręku nić sprzysiężenia, mogą rzucić światło na jego bieg; nie dając zasadniczej idei problemu, który przedstawię, wiele pomagają wszelako do jego rozwiązania.

Przypuśćmy, że do wykonania spisku, którego byłem przedmiotem, oddalenie moje było koniecznie potrzebne. W takim razie, aby je osiągnąć, wszystko musiało się odbyć mniej więcej tak, jak się odbyło. Ale gdybym, nie dawszy się przestraszyć nocnym poselstwem pani de Luxembourg i wzruszyć jej niepokojem, gdybym w dalszym ciągu wytrwał i gdybym, miast pozostać w zamku, wrócił do łóżka i spał spokojnie do rana, czy również wydano by wyrok uwięzienia? Wielkie pytanie, od którego zależy rozwiązanie wielu innych: godzina zapowiedzenia a istotnego wydania dekretu może rzucić niejakie światło na tę sprawę. Gruby, ale namacalny przykład ważności najmniejszych szczegółów: szuka się tajemnych przyczyn, aby dojść do nich w drodze indukcji.

Księga XII

(1762) Tutaj zaczyna się dzieło ciemności, w którym czuję się zagrzebany od lat ośmiu. W jaki bądź sposób brałem się do rzeczy, nigdy nie udało mi się przebić ich przeraźliwego mroku. W otchłani nieszczęść, w której jestem pogrążony, czuję działanie ciosów, jakie mi zadają, widzę ich bezpośrednie narzędzia, ale nie mogę widzieć ani ręki, która nimi kieruje, ani sprężyn, jakie puszcza w ruch. Hańby i nieszczęścia spadają na mnie niby same z siebie, niespodzianie. Kiedy z mego rozdartego serca dobywają się jęki, wyglądam na człowieka, który żali się bez przedmiotu. Sprawcy mej zguby znaleźli niepojętą sztukę uczynienia publiczności wspólniczką ich spisku w ten sposób, iż sama o tym nie wie i nie spostrzega skutków. Opowiadając tedy wypadki, które mnie dotyczą, obchodzenie, jakiego doznałem, i wszystko, co mi się zdarzyło, nie mam możności dotarcia do kierującej ręki i wskazania przyczyn równocześnie z opowiadaniem faktów. Te pierwsze przyczyny zaznaczone są w poprzednich księgach; przedstawiłem w nich wszystkie odnoszące się do mnie interesy, wszystkie tajemne pobudki. Ale powiedzieć, jak te różnorodne przyczyny kombinują się w dziwnych wydarzeniach mego życia, tego nie sposób mi wyjaśnić nawet w przybliżeniu. Jeżeli między czytelnikami znajdą się na tyle szlachetni, aby chcieć zgłębić te tajemnice i odkryć prawdę, niech odczytają starannie trzy poprzedzające księgi; następnie przy każdym fakcie, który przeczytają w dalszych, niech zbiorą informacje, jakie im będą dostępne, niech idą, od intrygi do intrygi i od szczegółu do szczegółu, aż do pierwszych sprężyn wszystkiego. Wiem z pewnością, do jakiego kresu dojdą ich poszukiwania; ale gubię się w ciemnej i krętej drodze podziemi, które ich tam doprowadzą.

[819] *salina* — miejsce pozyskiwania soli. [przypis edytorski]

[820] *berneńskie terytorium* — Rousseau udawał się do Yverdon na terenie Vaud, które było wówczas częścią terytorium kantonu Berna (ob. Vaud stanowi odrębny kanton). [przypis edytorski]

Podczas pobytu w Yverdon zawarłem znajomość z całą rodziną pana Roguin, między innymi z siostrzenicą jego, panią Boy de la Tour i jej córkami, których ojca, jak wspomniałem może, znałem niegdyś w Lyonie. Pani de la Tour przybyła do Yverdon odwiedzić wuja i siostry; najstarsza jej córka, w wieku około piętnastu lat, zachwyciła mnie swym rozsądkiem i zaletami charakteru. Przywiązałem się najtkliwszą przyjaźnią do matki i córki. Pan Roguin przeznaczał tę ostatnią siostrzeńcowi swemu, pułkownikowi, już w pewnym wieku, który również objawiał mi najżywszą sympatię. Ale mimo że wuj bardzo zapalał się do tego małżeństwa, mimo iż siostrzeniec pragnął go również, mnie zaś bardzo leżało na sercu zadowolenie obu, mimo to wielka nierówność wieku i wyraźna niechęć młodej osoby kazały mi, wraz z matką, dążyć do uchylenia tego małżeństwa, które też w istocie nie doszło do skutku. Pułkownik zaślubił pannę Dillan, swoją kuzynkę, o charakterze i urodzie bardzo wedle mego smaku, która uczyniła go najszczęśliwszym mężem i ojcem. Mimo to pan Roguin nie mógł zapomnieć, iż w tej okoliczności sprzeciwiłem się jego życzeniom. Pocieszyłem się pewnością, iż tak wobec niego, jak wobec jego rodziny, spełniłem obowiązek najświętszej przyjaźni, której nie jest zadaniem zawsze być najprzyjemniejszą, ale radzić ku największemu dobru.

Niedługo zostawałem w wątpliwości co do przyjęcia, jakie mnie czeka w Genewie, w razie gdyby mi przyszła ochota tam wrócić. Książkę moją spalono, a na mnie wydano wyrok[821]. Stało się to osiemnastego czerwca, to znaczy w dziesięć dni po wyroku paryskim. Tyle niewiarygodnych niedorzeczności nagromadzono w tym wyroku i pogwałcono w nim edykt eklezjastyczny[822] tak formalnie, że nie chciałem dać wiary pierwszym wieściom, które mnie doszły. Skoro nie mogłem już wątpić o ich prawdzie, zadrżałem, aby tak jawne i krzyczące pogwałcenie wszystkich praw, zacząwszy od prawa zdrowego rozsądku, nie poruszyło całej Genewy. Mogłem się niebawem uspokoić; wszystko zostało, jak było. Jeżeli wszczął się jakiś ruch wśród ludności, to jedynie przeciw mnie; wszystkie plotkarki i wszystkie ciury[823] potraktowały mnie jak uczniaka, któremu grozi się chłostą za to, że nie nauczył się dobrze katechizmu.

Te dwa dekrety były sygnałem do chóru przekleństw, który podniósł się przeciw mnie w całej Europie, z wściekłością, jaka nigdy nie miała przykładu. Wszystkie gazety, dzienniki, broszury uderzyły w najstraszliwszy dzwon na trwogę. Francuzi zwłaszcza, ów naród tak łagodny, tak grzeczny, szlachetny, którzy tak bardzo się poczuwają do przystojności i względów dla nieszczęśliwych, zapominając nagle swych ulubionych cnót, odznaczyli się mnogością i gwałtownością zniewag, którymi smagali mnie na wyprzódki. Byłem bezbożnikiem, ateuszem, szaleńcem, opętańcem, dziką bestią, wilkołakiem. Spadkobierca „Dziennika Trévoux"[824] rzucił się na moją rzekomą likantropię[825], w sposób, który dostatecznie dowiódł jego własnej. Słowem, można by mniemać, iż każdy, kto, ogłaszając w Paryżu pismo w jakim bądź przedmiocie, zaniechałby je naszpikować jakąś obelgą przeciw mnie, byłby narażony na prześladowania policji. Szukając na próżno przyczyny tego powszechnego rozpętania, już byłem skłonny uwierzyć, że cały świat oszalał. Jak to! Komentator *Wiecznego pokoju* szczuje do niezgody; wydawca *Wikarego sabaudzkiego* jest bezbożnikiem; autor *Nowej Heloizy* jest dziką bestią; twórca *Emila* opętańcem! Ech, Boże, czymże byłbym tedy, gdybym ogłosił dzieło *O rozumie*[826] lub inną podobną książkę? A mimo to w burzy, która podniosła się przeciw autorowi książki, publiczność, dale-

[821] *Książkę moją spalono, a na mnie wydano wyrok* — 18 czerwca 1762 w Genewie potępiono, publicznie podarto i spalono przed ratuszem *Emila* oraz *Umowę społeczną*, zaś autora skazano na wygnanie. Jedynym rządem, który oficjalnie potępił *Umowę społeczną* były władze Genewy. [przypis edytorski]

[822] *pogwałcono w nim edykt eklezjastyczny* — trzy podstawowe teksty: rozporządzenia kościelne (eklezjastyczne) z 1541, regulujące m.in. relacje Kościoła Genewskiego z władzami cywilnymi, oraz znowelizowane w 1568 edykty polityczne i cywilne funkcjonowały jako konstytucja Genewy; przepisy nakazywały wezwanie autora poglądów sprzecznych z przyjętą doktryną do stawienia się przed konsystorzem. [przypis edytorski]

[823] *ciura* — sługa w obozie wojskowym, wojsk. pachołek. [przypis edytorski]

[824] *„Dziennik Trévoux"*, fr. *Journal de Trévoux* — wpływowy francuski miesięcznik wydawany w Trévoux w latach 1701–1782. Został założony przez jezuickiego teologa, większość autorów stanowili jezuici. Po wygnaniu zakonu z Francji w 1772 jego redaktor, jezuita Guillaume François Berthier, zrezygnował z prowadzenia pisma, wówczas miesięcznik próbowali prowadzić inni redaktorzy. [przypis edytorski]

[825] *likantropia* — wilkołactwo, zdolność przemiany człowieka w wilka; w psychiatrii: wyobrażanie sobie przez chorego, że zmienił się w zwierzę. [przypis edytorski]

[826] *O rozumie* — dzieło Helwecjusza [właśc. Claude Adrien Helvétius (1715–1771)], filozofa z grupy encyklopedystów. [*De l'esprit*, traktat materialistyczny obecnie znany pod polskim tytułem *O umyśle*, opublikowany przez Helwecjusza anonimowo w 1758, niemal natychmiast potępiony przez parlament Paryża, Kościół katolicki

ka od łączenia się z głosem prześladowców, pomściła go swymi pochwałami. Niech kto porówna jego książkę z moją, odmienne przyjęcie, z jakim się spotkały, sposób, w jaki potraktowano oba utwory w rozmaitych państwach Europy; niech kto znajdzie dla tych różnic przyczyny, które by mogły zadowolić rozsądnego człowieka — oto wszystko czego żądam; zresztą milczę.

Czułem się tak dobrze w gościnie w Yverdon, że na bardzo żywe nalegania pana Roguin i jego rodziny postanowiłem tam zostać. Pan de Moiry de Gingins, prefekt miasta, również uprzejmościami, jakie mi świadczył, zachęcał mnie, abym został w jego okręgu. Pułkownik tak na mnie nalegał, abym przyjął mieszkanie w oficynie, iż zgodziłem się; natychmiast postarał się umeblować je i opatrzyć we wszystko, co było potrzebne dla mego małego gospodarstwa. Młody baneret[827] Roguin, najwięcej ze wszystkich okazujący mi przyjaźni, nie opuszczał mnie cały dzień. Byłem wciąż bardzo wdzięczny za tyle serdeczności, ale niekiedy czułem się znużony. Oznaczono już dzień instalacji; napisałem do Teresy, aby się gotowała do drogi. Naraz dowiedziałem się, iż w Bernie wszczęła się przeciw mnie burza. Przypisywano ją dewotom, ale źródła jej nigdy nie mogłem przeniknąć. Senat, podburzony nie wiadomo przez kogo, nie zdawał się skłonny zostawić mnie spokojnie w mym schronieniu. Ledwie pan prefekt posłyszał o tym wrzeniu, napisał w mojej sprawie do kilku członków rządu, wymawiając im ślepą nietolerancję i zawstydzając ich, iż chcą zasłużonemu człowiekowi w nieszczęściu odmówić schronienia, jakie tylu bandytów znajduje w ich stanach[828]. Ludzie rozsądni przewidywali, iż gwałtowność tych wyrzutów raczej zaogni, niż uspokoi umysły. Jakkolwiek się rzeczy miały, ani wpływ prefekta, ani jego wymowa nie zdołały odwrócić ciosu. Uprzedzony o rozkazie, jaki miał mi doręczyć, ostrzegł mnie zawczasu; aby nie czekać rozkazu, postanowiłem wyjechać nazajutrz. Trudność była w tym, dokąd się udać, wobec tego, że Genewa i Francja były mi zamknięte, można zaś było przewidywać, iż w tej sprawie każdy będzie się kwapił naśladować sąsiada.

Pani Boy de la Tour poddała mi, abym się osiedlił w próżnym, ale umeblowanym domku należącym do jej syna, w wiosce Motiers, w Val-de-Travers, hrabstwie Neuchâtel. Aby się tam dostać, trzeba było przebyć tylko jedną górę. Propozycja była tym rozsądniejsza, ile że w stanach króla pruskiego nie mogło mi już grozić prześladowanie[829], a przynajmniej religia nie mogła tam służyć za pozór. Ale sekretny szkopuł, którego nie wypadało mi wyjawić, miał wszelkie prawo obudzić we mnie wahanie. Wrodzona miłość sprawiedliwości, która zawsze pożera me serce, połączona z tajemną skłonnością do Francji, obudziła we mnie niechęć do króla pruskiego, który przez swe zasady i postępowanie zdawał się deptać nogami wszelki szacunek dla naturalnych praw i obowiązków człowieka. Między oprawnymi sztychami, którymi ozdobiłem basztę swoją w Montmorency, znajdował się portret tego monarchy, pod nim zaś dystych[830] tak zakończony: „Filozof myślą, ale król — czynami".

Wiersz ten, który w każdych innych ustach byłby wcale piękną pochwałą, posiadał w moich sens bynajmniej nie dwuznaczny, wytłumaczony zresztą jasno wierszem poprzedzającym[831]. Dystych ten widzieli wszyscy, którzy mnie odwiedzali, a było ich niemało. Kawaler de Lorenzy odpisał go nawet, aby go dać d'Alembertowi; nie wątpiłem, iż d'Alembert przysłużył mi się nim u tego monarchy. Tę pierwszą przewinę obciążyłem jeszcze ustępem z *Emila*, gdzie pod imieniem Adrasta[832], króla Daunyjczyków, można było łatwo poznać, kogo miałem na myśli. Spostrzeżenie to nie uszło uwagi życzliwych

---

i czasopisma, spalony w styczniu 1759. Helwecjusz uniknął prześladowań formalnie wypierając się autorstwa; red. WL]. [przypis tłumacza]

[827] *baneret* (z fr. *banneret*) — daw. militarny tytuł feudalny przysługujący rycerzowi prowadzącemu wasali pod własną chorągwią (fr. *bannière*); później w Szwajcarii ranga urzędnika komunalnego. [przypis edytorski]

[828] *stan* (daw.) — państwo; tu lm: *stany*, ponieważ Szwajcaria stanowi federację autonomicznych kantonów (stanów), których rząd ma siedzibę w Bernie. [przypis edytorski]

[829] *w stanach króla pruskiego nie mogło mi już grozić prześladowanie* — hrabstwo Neuchâtel (ob. kanton szwajcarski) znajdowało się wówczas pod panowaniem Prus, których władca, Fryderyk II Wielki, był znany z tolerancji religijnej. [przypis edytorski]

[830] *dystych* — dwuwiersz, utwór składający się z dwóch wersów. [przypis edytorski]

[831] *wytłumaczony zresztą jasno wierszem poprzedzającym* — poprzedni wers brzmiał: „Chwała, interes — oto jego Bóg, jego prawo" i znajdował się podobno po przeciwnej stronie portretu. [przypis edytorski]

[832] *Adrast, król Daunyjczyków* — bezbożny i wojowniczy władca z powieści *Przygody Telemaka* (fr. *Les aventures de Télémaque*, 1699). W V księdze *Emila* wychowawca tytułowego bohatera czyta z nim tę powieść, omawiając

komentatorów, ponieważ pani de Boufflers kilkakrotnie zwracała mi na ten punkt uwagę. Tak więc miałem wszelkie powody mniemać, iż jestem zapisany czerwonym inkaustem w rejestrach króla pruskiego. Przypuszczając zresztą, iż wyznaje zasady takie, jakie odważyłem się mu przypisać, pisma moje i ich autor mogły mu się tym samym jedynie nie podobać: wiadomo bowiem, iż złośliwcy i tyrani zawsze czuli do mnie śmiertelną nienawiść, nie znając mnie nawet, jedynie z moich pism.

Ośmieliłem się wszelako zdać na łaskę tego monarchy i sądziłem, iż nie ponoszę wielkiego ryzyka. Wiedziałem, że niskie namiętności mają władzę jedynie nad słabymi ludźmi, niewiele zaś posiadają mocy nad duszami z silnego kruszcu, do których liczyłem zawsze jego duszę. Sądziłem, że zgodnym z jego sztuką panowania będzie okazać się wspaniałomyślnym w podobnej okoliczności, a że nie będzie nawet czymś przerastającym jego charakter okazać się nim szczerze. Byłem pewien, iż łatwa i niska zemsta nie przeważyłaby w nim ani na chwilę miłości chwały. Stawiając się na miejscu tego monarchy, nie uważałem za niemożliwe, iż zechce wyzyskać tę sposobność, aby przygnieść ciężarem szlachetności człowieka, który odważył się źle myśleć o nim. Udałem się tedy spokojnie do Motiers i zamieszkałem tam z całą ufnością, pewny, iż znajdzie ona oddźwięk. Rzekłem sobie: „Jeśli Jan Jakub wznosi się do wyżyn Koriolana[833], zali Fryderyk okaże się niżej generała Wolsków?"

Pułkownik Roguin chciał koniecznie towarzyszyć mi przez góry i zainstalować mnie w Motiers. Bratowa pani Boy de la Tour, nazwiskiem pani Girardier, czując się dotąd bardzo dobrze w domku, gdzie miałem zamieszkać, patrzała na mój przyjazd niezbyt chętnym okiem; wprowadziła mnie wszelako nader uprzejmie w posiadanie mej kwatery. Jadałem u niej, czekając, aż przybędzie Teresa i aż moje małe gospodarstwo wejdzie w życie.

Od wyjazdu z Montmorency, czując dobrze, że odtąd będę zbiegiem na ziemi, wzdragałem się pozwolić Teresie, aby przybyła do mnie dzielić życie tułacze, na które byłem skazany. Czułem, że przez tę katastrofę stosunki nasze ulegną zmianie i że to, co aż dotąd było z mej strony łaską i dobrodziejstwem, stanie się odtąd tym samym z jej strony. Gdyby przywiązanie jej wytrzymało próbę mych niedoli, oddziałałyby one na nią niezmiernie boleśnie, a boleść jej pomnożyłaby moje cierpienia. Gdyby nieszczęścia moje ostudziły jej serce, dałaby mi odczuć swą wierność jako poświęcenie; miast czuć przyjemność, jaką byłoby dla mnie dzielić z nią ostatni kawałek chleba, czułaby jedynie własną zasługę, iż godzi się iść za mną wszędzie w mojej smutnej doli.

Trzeba rzec wszystko: nie ukrywałem błędów biednej mamusi ani swoich, nie godzi mi się okazać pobłażliwym dla Teresy. Mimo całej przyjemności, jaką mi sprawia oddawać pochwały osobie, która mi jest tak droga, nie chcę również ukrywać jej win, jeżeli można rzec, iż mimowolna odmiana uczuć jest istotną winą. Od dawna spostrzegłem, iż serce jej ostygło. Czułem, że nie jest już dla mnie tym, czym była za naszych pięknych lat, a czułem to tym lepiej, że ja byłem dla niej zawsze jednaki. Popadłem w tę samą sytuację, której wpływ odczułem w stosunku do mamusi, a ten sam wpływ objawił się i u Teresy. Nie szukajmy nadnaturalnych doskonałości: toż samo zdarzyłoby się z każdą kobietą. Postanowienie, jakie powziąłem co do losu mych dzieci, mimo iż zdało mi się słuszne i godziwe, nie zawsze zostawiało me serce równie spokojnym. Obmyślając *Traktat o wychowaniu*, czułem, że zaniedbałem obowiązków, z których nic nie mogło mnie zwolnić. Wyrzut stał się wreszcie tak żywy, iż wyrwał mi niemal publiczne wyznanie winy na wstępie *Emila*, a wyrażony jest tak jasno, iż po takim ustępie zdumiewające jest, że jeszcze miał kto odwagę wyrzucać mi mą winę. Położenie moje było wciąż jednakie, a nawet gorsze jeszcze dzięki zajadłości wrogów, którzy czyhali jeno, aby mnie przychwycić na jakim błędzie. Obawiałem się nawrotu; nie chcąc narażać się na to niebezpieczeństwo, wolałem raczej skazać się na wstrzemięźliwość niż wystawić Teresę na znalezienie się w podobnym

stosunki międzynarodowe, i wspomina, że Adrasta można zidentyfikować we współczesnej Europie. [przypis edytorski]

[833] *Koriolan*, łac. *Gnaeus Marcius Coriolanus* (V w. p.n.e.) — na poły legendarny wódz rzymski; przyczynił się do zwycięstwa Rzymian nad plemieniem Wolsków w 493 p.n.e. i zdobycia miasta Corioli (stąd przydomek). Dwa lata później zażądał cofnięcia ustępstw senatu wobec plebejuszy, m.in. likwidacji instytucji trybunów. Wezwany przed sąd ludowy uciekł do Wolsków, gdzie schronienia udzielił mu ich przywódca Tullus Atiusz. Na czele Wolsków Koriolan najechał Lacjum i przystąpił do oblężenia Rzymu, do odstąpienia skłoniły go matka i żona. [przypis edytorski]

położeniu. Zauważyłem przy tym, że stosunki z kobietami dotkliwie pogarszały mój stan. Te podwójne racje kazały mi powziąć postanowienie, którego niekiedy dotrzymywałem dość licho, ale w którym od trzech czy czterech lat trwałem bardziej konsekwentnie. Od tej też epoki zauważyłem oziębienie w Teresie: zachowała dla mnie to samo przywiązanie z obowiązku, ale nie czułem w nim już miłości. To oziębienie zmniejszało, z konieczności, urok naszych stosunków; wyobrażałem też sobie, iż, pewna zresztą nieustającej opieki z mej strony, Teresa będzie raczej wolała zostać w Paryżu niż tułać się ze mną. Mimo to okazała tyle bólu przy rozstaniu, wymagała tak wyraźnego przyrzeczenia, iż się połączymy, po moim wyjeździe wyrażała tak żywo, zarówno księciu de Conti, jak panu de Luxembourg, pragnienie tego, iż nie tylko nie miałem odwagi mówić jej o rozłączeniu, ale zaledwie sam mogłem o nim myśleć. Przekonawszy się w sercu, jak dalece niepodobna mi obejść się bez Teresy, myślałem już tylko o tym, aby ją najrychlej ściągnąć. Napisałem tedy, aby się puściła w drogę; przybyła. Minęły ledwie dwa miesiące, jak ją pożegnałem; ale było to od tylu lat pierwsze rozłączenie. Odczuliśmy je oboje bardzo okrutnie. Jakież wzruszenie przy pierwszym uścisku! Jakże słodkie są łzy radości i roztkliwienia! Jak moje serce umie się nimi napawać! Dlaczego tak mało było mi dane wylać tych łez właśnie?

Przybywszy do Motiers, napisałem do milorda Keith, marszałka Szkocji, gubernatora Neuchâtel, aby go uprzedzić o mym schronieniu się na ziemie J. K. Mości i prosić o opiekę. Odpowiedział ze szlachetnością, którą wszyscy dobrze znają i której się spodziewałem. Zaprosił mnie, bym go odwiedził. Udałem się doń z panem Martinet, kasztelanem Val-de-Travers, który był w wielkich łaskach u jego ekscelencji. Czcigodny wygląd dostojnego i cnotliwego Szkota wzruszył potężnie me serce; od pierwszej chwili zadzierzgnęło się między nim a mną to żywe przywiązanie, które z mej strony zawsze zostało jednakie. Byłoby również pozostało niezmienionym i ze strony lorda marszałka, gdyby zdrajcy, którzy mi odjęli wszystkie pociechy życia, nie skorzystali z mego oddalenia, aby nadużyć jego sędziwego wieku i spotwarzyć mnie w jego oczach.

Jerzy Keith, dziedziczny marszałek Szkocji, a brat słynnego generała Keith[834], który po chlubnym żywocie zginął na polu chwały, opuścił kraj w młodości. Proskrybowano[835] go w ojczyźnie za to, iż przywiązał się do domu Stuartów, do którego zraził się niebawem z przyczyny ducha niesprawiedliwości i tyranii, który był zawsze dominującym charakterem tego domu. Przebywał długo w Hiszpanii, której klimat podobał mu się wielce; w końcu poświęcił swe służby, podobnie jak jego brat, królowi pruskiemu, który znał się na ludziach i przyjął ich tak, jak na to zasługiwali. Znalazł sowitą odpłatę w wielkich usługach, jakie mu oddał marszałek Keith, i — rzecz o wiele cenniejsza jeszcze — w szczerej przyjaźni milorda marszałka. Wielka dusza tego godnego człowieka, na wskroś republikańska i dumna, zdolna była ugiąć się jedynie pod jarzmem przyjaźni; ale nagięła się doń tak doskonale, iż mimo bardzo odmiennych zasad, od chwili gdy się przywiązał do Fryderyka, widział w świecie tylko jego. Król powierzył mu ważne zadania, wysłał go do Paryża, do Hiszpanii; wreszcie widząc, że, przygnieciony już latami, czuje potrzebę wypoczynku, dał mu jako wytchnienie gubernatorstwo Neuchâtel, aby pędził rozkosznie resztę życia, budując szczęście tego małego narodku.

Nefchatelczycy, którzy cenią tylko szych[836] i błyskotki i nie znają się na prawdziwej wartości, lubują się w kwiecistych i napuszonych frazesach; widząc człowieka chłodnego i naturalnego, wzięli jego prostotę za wyniosłość, szczerość za prostactwo, lakonizm[837] za ograniczenie i stawali okoniem dobroczynnym staraniom marszałka. Człowiek ten, który chciał im nieść rzetelne dobro, a nie piękne słówka, nie umiał pochlebiać ludziom, których nie cenił. W głupiej sprawie pastora Petitpierre, którego wygryźli koledzy za to, iż nie chciał, aby byli wiekuiście potępieni, milord, sprzeciwiwszy się uzurpacjom pastorów, ujrzał, iż cały kraj, w którego obronie stawał, podnosi się przeciw niemu. Kiedy przybyłem do Motiers, te niedorzeczne szemrania nie ucichły jeszcze. Milord uchodził za człowieka,

[834]*brat słynnego generała Keith* — generałem tym był James Francis Edward Keith (1696–1758), walczący o przywrócenie monarchii Stuartów, później w armii hiszpańskiej i rosyjskiej, następnie w służbie króla Prus, gdzie otrzymał stopnień marszałka polnego; zginął podczas wojny siedmioletniej w bitwie pod Hochkirch. [przypis edytorski]

[835]*proskrypcja* — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa z przyczyn politycznych. [przypis edytorski]

[836]*szych* — nitka owinięta złotym drucikiem, używana do haftu, przen.: pozorna świetność. [przypis edytorski]

[837]*lakonizm* (z gr.) — dziś: lakoniczność, zwięzłość. [przypis edytorski]

który łatwo daje się uprzedzić; ze wszystkich zarzutów, które przeciw niemu wytaczano, ten był może najmniej niesprawiedliwy. Pierwszym mym odruchem na widok tego czcigodnego starca było roztkliwienie nad chudością jego ciała, już wyniszczonego przez wiek; ale kiedym podniósł oczy na jego żywą, otwartą i szlachetną fizjonomię, uczułem przypływ szacunku połączonego z ufnością, która przeważyła wszystkie inne uczucia. Na bardzo zwięzłą czołobitność, jaką mu przedłożyłem na powitanie, zaczął swobodnie rozmawiać o innych rzeczach, tak jakbym bawił tam już od tygodnia. Nie prosił nawet, abyśmy usiedli. Sztywny kasztelan stał nieruchomo. Co do mnie, ujrzałem w bystrym i przenikliwym oku milorda coś tak życzliwego, iż czując się z nim od razu swobodnie, bez ceremonii podszedłem ku sofie i siadłem tuż koło niego. Z poufałego tonu, jaki od razu przybrał, uczułem, iż ta swoboda sprawiła mu przyjemność i że powiedział sobie w duchu: „Ten przynajmniej nie jest Nefchatelczykiem".

Osobliwe zjawisko zupełnego powinowactwa charakterów! Serce dobrego starca, w wieku, w którym zazwyczaj traci już ono swe przyrodzone ciepło, rozgrzało się dla mnie w sposób, który wszystkich przejmował zdumieniem. Odwiedził mnie w Motiers pod pozorem strzelania kaczek i został dwa dni, nie tknąwszy strzelby. Wytworzyła się między nami taka przyjaźń — niepodobna użyć innego słowa — iż nie mogliśmy się obejść bez siebie. Zamek w Colombier, który milord marszałek zamieszkiwał w lecie, leżał o sześć mil od Motiers; co najmniej raz na dwa tygodnie szedłem tam spędzić dobę, po czym wracałem tak samo pieszo, sposobem pielgrzyma, z sercem wciąż pełnym tego zacnego człowieka. Wzruszenie, którego doznawałem niegdyś w czasie wędrówek z Pustelni do Eaubonne było z pewnością bardzo odmienne; ale nie było słodsze niż to, z jakim zbliżałem się do Colombier. Ileż łez rozczulenia wylałem nieraz w drodze, myśląc o ojcowskiej dobroci, o miłych cnotach, o łagodnej filozofii tego czcigodnego starca! Nazywałem go ojcem, on mnie swoim dzieckiem. Te dwa imiona dają w części pojęcie o przywiązaniu, które nas łączyło, ale nie dają jeszcze pojęcia o tej potrzebie współżycia i nieustannym pragnieniu zbliżenia się, jakim byliśmy przejęci. Milord chciał mnie koniecznie pomieścić w zamku w Colombier i długo nalegał, abym przyjął na stałe apartament, który tam zajmowałem. Rzekłem w końcu, iż czuję się swobodniejszy u siebie i że wolę raczej pędzić życie na tym, aby go nieustannie odwiedzać. Podobała mu się moja szczerość, nie nalegał więcej. O dobry milordzie! O mój godny ojcze! Jakże serce moje czuje się jeszcze wzruszone na myśl o tobie! Ach, barbarzyńcy! Jakiż cios mi zadali, odwracając cię ode mnie! Ale nie, nie, wielki człowieku, jesteś i będziesz zawsze jednaki, jak i ja zawsze jestem jednaki dla ciebie. Oszukali cię, ale cię nie odmienili.

Milord marszałek nie jest bez wad; jest to mędrzec, ale jest też człowiekiem. Przy najbardziej przenikliwym umyśle, najsubtelniejszym takcie, jaki można sobie wyobrazić, przy głębokiej znajomości ludzi, daje się niekiedy wprowadzić w błąd i niełatwo odmienia zdanie. Charakter jego jest dość osobliwy: ma coś dziwnego i niesamowitego. Zdawałoby się, iż zapomina ludzi, których widuje co dzień, i nagle przypomina sobie o nich w chwili, gdy najmniej się tego spodziewają. Objawy jego sympatii wydają się nieraz nieumotywowane; podarki są raczej wyrazem kaprysu niż intencji. Daje lub posyła na poczekaniu, co mu przejdzie przez głowę, rzecz wielkiej ceny lub bezwartościową, bez różnicy. Młody Genewczyk, pragnąc wstąpić w służby króla pruskiego, przedstawia mu się; milord daje mu zamiast listu woreczek pełen grochu, który poleca oddać królowi. Otrzymawszy tę osobliwą rekomendację, król znajduje natychmiast dla oddawcy korzystne miejsce. Wysokie duchy mają między sobą język, którego pospolite umysły nie zrozumieją nigdy. Te drobne dziwactwa, podobne do kaprysów ładnej kobiety, czyniły mi milorda marszałka tym bardziej zajmującym. Byłem pewny (i przekonałem się później o tym), iż nie wpływają one ani na jego uczucia, ani na względy, jakie mu nakazuje przyjaźń w poważnych okolicznościach. Trzeba jednakże przyznać, iż sposób, w jaki oddaje przysługę, trąci niekiedy tym samym dziwactwem, co jego obejście. Przytoczę tylko jeden rys, drobnostkę. Ponieważ wędrówka z Motiers do Colombier była dla mnie za ciężka na jeden dzień, dzieliłem ją zazwyczaj, wychodząc po obiedzie i nocując w Brot, w pół drogi. Gospodarz, nazwiskiem Sandoz, mając starać się w Berlinie o łaskę, na której mu niezmiernie zależało, prosił mnie, abym wyjednał mu u jego ekscelencji wstawiennictwo. Chętnie. Prowadzę go z sobą, zostawiam w przedpokoju, wykładam sprawę milordowi, który nie odpowiada nic. Ranek mija; przechodząc przez salę, aby się udać na obiad, widzę biednego Sandoza,

który wciąż czeka jak na żarzących węglach. Mniemając, iż milord zapomniał, powtarzam rzecz, nim siedliśmy do stołu: milczenie jak wprzódy. Ten sposób dania mi uczuć mego natręctwa wydał mi się nieco twardy; zmilkłem tedy, żałując w duchu biednego Sandoza. Wracając nazajutrz, widzę go znowu. Ku memu zdumieniu obsypuje mnie podziękowaniami za dobre przyjęcie i dobry obiad, jakie znalazł u milorda marszałka, który co więcej, przyjął jego podanie. W trzy tygodnie później milord odesłał mu upragniony reskrypt[838], wystawiony przez ministra i podpisany przez króla; a wszystko to nie zamieniwszy ani z nim, ani ze mną jednego słowa w tej sprawie, której sądziłem, iż nie chce się podjąć.

Chciałbym bez końca mówić o Jerzym Keith: jemu to zawdzięczam ostatnie szczęśliwe wspomnienia; reszta życia to już same zgryzoty i nieprzerwany ucisk serca. Wspomnienie ich jest tak smutne i nawiedza mnie tak mętnie, iż niepodobna mi jest zachować jakiegokolwiek porządku w opowiadaniu. Odtąd będę zmuszony kreślić zdarzenia bez ładu, tak jak mi się nasuwają pod pióro.

Odpowiedź króla do milorda marszałka, w którym, jak można się domyślać, znalazłem dobrego adwokata, rozproszyła niebawem niepokój co do mego schronienia. Nie tylko J. K. Mość pochwalił to, co marszałek uczynił, ale polecił mu — trzebaż bowiem wszystko powiedzieć — wypłacić mi dwanaście luidorów. Dobry milord, zakłopotany podobnym zleceniem, nie wiedząc, w jaki sposób się zeń przyzwoicie wywiązać, starał się złagodzić upokarzający charakter podarku, przekształcając gotowiznę na zasoby naturalne. Oznajmił mi, iż ma rozkaz dostarczyć mi drzewa i węgla, aby wspomóc moje małe gospodarstwo; dodał nawet, może z własnego wymysłu, że król kazałby mi chętnie wybudować domek wedle mego smaku, gdybym zechciał wybrać miejsce. Ta ostatnia propozycja wzruszyła mnie wielce i kazała mi zapomnieć o tamtej niedelikatności. Nie przyjmując tych darów, patrzałem wszelako na Fryderyka jako na swego dobroczyńcę i opiekuna i przywiązałem się doń tak szczerze, iż od tej chwili interesowałem się jego chwałą w tym samym stopniu, w jakim wprzódy sukcesy jego zdawały mi się niesprawiedliwe. Z okazji pokoju[839], jaki zawarł niedługo potem, wyraziłem mą radość za pomocą iluminacji w bardzo dobrym smaku: był to sznur girland, którym ozdobiłem dom służący mi za mieszkanie. Ambicja moja pozwoliła sobie na tę zemstę, iż wydałem na ten cel prawie tyle pieniędzy, ile król chciał mi ofiarować. Po zawarciu pokoju sądziłem, iż wobec tego, że jego wojskowa i polityczna chwała była u szczytu, zechce sobie przysporzyć chwały odmiennego rodzaju, budząc życie w swoim państwie, tworząc w nim królestwo handlu, rolnictwa, stwarzając nową ziemię, zaludniając ją nowym ludem, utrzymując pokój u sąsiadów, czyniąc się arbitrem Europy, bywszy poprzednio jej postrachem. Mógł bez obawy odłożyć miecz, pewien, iż nie będzie zmuszony podjąć go na nowo. Widząc, iż nie składa oręża, lękałem się, aby nie skorzystał źle ze swej przewagi i nie okazał się wielkim tylko w połowie. Ośmieliłem się napisać doń w tym przedmiocie. Przybierając ton poufały, najłacniej zdolny przypaść do serca człowiekowi z tego kruszcu, próbowałem zanieść aż przed tron ów święty głos prawdy, dla którego królowie tak rzadko mają uszy. Pozwoliłem sobie na tę swobodę jedynie w ścisłej tajemnicy między nim a mną. Nie dopuściłem do udziału nawet milorda marszałka i przesłałem mu mój list do króla zapieczętowany. Milord wysłał list, nie dowiadując się o jego zawartość. Król nie dał żadnej odpowiedzi; w jakiś czas później, kiedy milord marszałek udał się do Berlina, powiedział mu, żem go porządnie wyłajał. Zrozumiałem z tego, iż list mój sprawił złe wrażenie i że szczerość mego zapału wzięto za grubiaństwo pedanta. W gruncie rzeczy mogło to być; może nie powiedziałem tego, co było trzeba, i nie umiałem trafić we właściwy ton. Mogę odpowiadać jedynie za uczucie, które włożyło mi pióro do ręki.

[838] *reskrypt* (daw.) — pisemne rozporządzenie panującego lub zarządzenie władz wyższych. [przypis edytorski]

[839] *Z okazji pokoju […] Ośmieliłem się napisać doń w tym przedmiocie* — w styczniu 1762, kiedy prowadzące wojnę Prusy były w trudnej sytuacji, walcząca przeciw nim Austria została nagle pozbawiona swojego głównego sojusznika: zmarła caryca Elżbieta Romanowa. Jej następca Piotr III, który uwielbiał Prusy i Fryderyka II Wielkiego, wstrzymał działania wojenne i wycofał rosyjskie wojska z zajętych terenów pruskich. Nowy car 5 maja 1762 zawarł w Sankt Petersburgu pokój z Prusami, pośredniczył w zawarciu 22 maja w Hamburgu pokoju pomiędzy Szwecją a Prusami, jako sojusznik przekazał część swoich oddziałów Fryderykowi. Fryderyk uroczyście świętował pokój z Rosją, zaś niespodziewane wydarzenia określił mianem „cudu domu brandenburskiego". Rousseau list do Fryderyka napisał w listopadzie 1762, ostatecznie kończący wojnę traktat pokojowy w Hubertusburgu między Prusami, Austrią i Saksonią zawarto dopiero 15 lutego 1763. [przypis edytorski]

W krótki czas po osiedleniu się w Motiers-Travers, mając wszelkie możliwe gwarancje, że mnie tam zostawią w spokoju, przybrałem strój armeński. Nie była to myśl nowa: przychodziła mi wiele razy do głowy w ciągu mego życia, zwłaszcza w Montmorency, gdzie obfity użytek sond, zmuszając mnie często do przebywania w pokoju, dał mi uczuć wygodę długiej szaty. Pewien krawiec armeński odwiedzał często swego krewnego osiadłego w Montmorency[840]; ten zbieg okoliczności skusił mnie, aby przybrać ten nowy strój, bez oglądania się na sądy ludzkie, o które troszczyłem się bardzo mało. Zanim wszelako przybrałem ten nowy kostium, zasięgnąłem zdania pani de Luxembourg, która bardzo mi go doradzała. Poleciłem tedy sporządzić sobie małą garderobę armeńską; ale burza, która podniosła się przeciw mnie, kazała mi odłożyć jej użytek aż do spokojniejszych czasów. Dopiero w kilka miesięcy później w Motiers, zmuszony wskutek napadów cierpienia powrócić do sondy, sądziłem, iż mogę bez obawy przywdziać ten strój. Zasięgnąłem zdania miejscowego pastora, który oświadczył, iż mogę go nosić nawet w świątyni bez zgorszenia. Przywdziałem tedy kamizelkę, suknię, watowaną czapkę, pas; skoro zaś wziąłem udział w tym odzieniu w służbie bożej, nie widziałem żadnej przeszkody, aby go nosić u milorda marszałka. Jego ekscelencja, widząc mnie tak ubranym, rzekł po prostu tylko: „Salamaleki[841]", po czym nie było już o tym mowy i odtąd nie nosiłem innego ubrania.

Opuściwszy zupełnie literaturę, myślałem już jedynie o tym, aby prowadzić życie spokojne i miłe, o ile to będzie zależało ode mnie. Gdy byłem sam, nie znałem nigdy, co nuda, nawet w zupełnej bezczynności: wyobraźnia moja, wypełniając wszelką próżnię, wystarcza najzupełniej, aby mnie zająć bez obcej pomocy. Jedynie bezczynnego paplania w pokoju, kiedy ludzie siedzą sobie nawzajem na głowach i ruszają tylko językiem, nie mogłem nigdy znosić. Kiedy człowiek jest w ruchu, kiedy się przechadza, ujdzie jeszcze; przynajmniej nogi i oczy są czymś zatrudnione; ale siedzieć tak z założonymi rękami i mówić o pogodzie i o muszkach, które latają w powietrzu, albo co jeszcze gorsze, świadczyć sobie nawzajem — to męka wprost nie do zniesienia. Postanowiłem, aby nie żyć jak dziki, nauczyć się robić siatkę. Idąc w odwiedziny, brałem swoją poduszeczkę lub też obyczajem kobiet siedziałem z robótką przed drzwiami i gwarzyłem z przechodzącymi. To mi pozwalało ścierpieć nicość tego szczebiotu i spędzać bez uczucia nudy czas u sąsiadek, z których niektóre były dość miłe i nie pozbawione dowcipu. Jedna między innymi, nazwiskiem Izabela d'Ivernois, córka generalnego prokuratora w Neuchâtel, wydała mi się godna, aby się z nią bliżej zaprzyjaźnić. Nie wyszła źle na tym: zawdzięcza mi wiele użytecznych rad oraz usług, które oddałem jej w ważnych okolicznościach; tak iż obecnie, stawszy się cnotliwą i zacną matką rodziny, mnie może winna jest swój rozsądek, męża, życie i szczęście. Ja ze swej strony zawdzięczam jej nader słodkie chwile, zwłaszcza podczas bardzo smutnej zimy, kiedy w czasie największych mych cierpień i niedoli przychodziła spędzać z Teresą i ze mną długie wieczory. Wydawały się nam one bardzo krótkie dzięki urokowi jej umysłu i słodyczy wzajemnych wynurzeń. Nazywała mnie „ojczulkiem", ja ją „córuchną", a imiona te, które dajemy sobie jeszcze, nie przestały, jak mniemam, być jej równie drogie jak mnie. Aby moje siatki zdały się na coś, robiłem z nich podarki swoim młodym przyjaciółkom, kiedy szły za mąż, pod warunkiem, że będą same karmić dzieci. Starsza siostra panny d'Ivernois dostała z tego tytułu jedną taką siatkę i zasłużyła na nią; Izabela dostała również i zasłużyła nie mniej przez intencję, ale nie miała tego szczęścia, aby móc uskutecznić swój zamiar. Posyłając im te siatki, napisałem do obu listy, z których pierwszy krążył po świecie w odpisach. Sercu Izabeli nie odpowiadało tyle rozgłosu: przyjaźń nierada się otacza takim hałasem.

Między stosunkami, które zawarłem w sąsiedztwie, a w których szczegóły nie będę wchodził, trzeba mi zanotować znajomość z pułkownikiem Pury[842]. Miał domek w górach, gdzie spędzał zazwyczaj lato. Nie było mi pilno do tej znajomości, ponieważ wie-

[840] *Pewien krawiec armeński odwiedzał często swego krewnego osiadłego w Montmorency* — tereny schrystianizowanej w starożytności Armenii od średniowiecza pozostawały pod panowaniem dwu muzułmańskich państw: Turcji i Persji; wielu Ormian emigrowało i osiedlało się w Europie. [przypis edytorski]

[841] *Salamaleki* — zniekszt. *Salam alejkum*, powitanie i pozdrowienie arabskie (dosł.: pokój z tobą), używane także przez muzułmanów różnych narodowości. [przypis edytorski]

[842] *Pury, Abraham de* (1724–1807) — oficer armii sardyńskiej; w czasach znajomości z Rousseau był w stanie spoczynku. [przypis edytorski]

działem, że jest bardzo źle notowany na dworze i u milorda marszałka, do którego nie miał wstępu. Mimo to, ponieważ mi złożył wizytę i okazał wiele uprzejmości, trzeba było i mnie odwiedzić go z kolei; stosunki zadzierzgnęły się i niekiedy nawet jadaliśmy u siebie wzajem. Poznałem u niego pana du Peyrou[843], z którym później łączyły mnie stosunki przyjaźni zbyt bliskiej, abym mógł poniechać wzmianki o nim.

Pan du Peyrou był to Amerykanin, syn gubernatora Surinamu, którego wdowę zaślubił następca jego, pan de Chambrier z Neuchâtel. Owdowiawszy po raz wtóry, pani de Chambrier osiedliła się wraz z synem w ojczyźnie drugiego męża. Du Peyrou, jedynak, bardzo bogaty i tkliwie kochany przez matkę, otrzymał dość staranne wychowanie, z którego umiał skorzystać. Nabył wiele półwiadomości, posiadł niejakie zamiłowanie do sztuk, zwłaszcza pochlebiał sobie, iż doprowadził *rozum* do wysokiej kultury. Holenderskie jego wzięcie, chłodne i filozoficzne, milczący i skryty charakter, wielce sprzyjały temu mniemaniu. Był głuchy i pedogryczny, mimo że jeszcze młody. Nadawało to wszystkim jego ruchom wiele umiarkowania, powagi; mimo że lubił dysputy, niekiedy nawet przydługie, na ogół mówił mało, ponieważ nie słyszał. Wszystkie te pozory zaimponowały mi. Mówiłem sobie: „Oto myśliciel, rozumny człowiek, jakiego pragnęłoby się mieć za przyjaciela". Aby mnie do reszty załapać, często zwracał się do mnie z rozmową, ale nigdy nie świadczył mi żadnych komplementów: mówił mało o mnie, mało o moich książkach, bardzo mało o sobie. Nie był pozbawiony sądu o rzeczach i wszystko, co mówił, było na ogół dość trafne. Ten takt i równość usposobienia pociągnęły mnie. Nie miał ani górności myśli, ani przenikliwości milorda marszałka, ale miał jego prostotę — to już znaczyło przypominać go bodaj w czymś. Nie zapaliłem się doń zbytnio, ale przywiązałem się uczuciem szacunku, a niebawem szacunek ten sprowadził przyjaźń. Zapomniałem wobec niego zupełnie o zarzucie, jaki uczyniłem baronowi d'Holbach, że jest za bogaty; zdaje mi się, żem źle uczynił. Nauczyłem się wątpić, aby człowiek cieszący się wielkim majątkiem, bez względu zresztą na inne przymioty, mógł szczerze kochać moje zasady i ich autora.

Przez dość długi czas rzadko widywałem pana du Peyrou, ponieważ ja nie bywałem w Neuchâtel, on zaś bywał tylko raz na rok w letnim mieszkaniu pułkownika Pury. Czemu nie bywałem w Neuchâtel? Było to dzieciństwo, którego nie należy mi zamilczeć.

Mimo iż otoczony opieką króla i milorda marszałka, jeżeli uniknąłem zrazu prześladowania w mym schronieniu, nie uniknąłem jednak szemrania publiczności, urzędników, pastorów. Po haśle danym przez Francję byłoby wręcz w złym tonie nie uczynić mi bodaj jakiej zniewagi: ten, kto by nie szedł za przykładem mych prześladowców, obawiałby się, iż mu to poczytają za ich krytykę. Klasa rządząca w Neuchâtel, to znaczy związek pastorów, dał pobudkę, starając się podburzyć przeciw mnie Radę Stanu. Skoro to usiłowanie spełzło na niczym, zwrócili się do burmistrza, który polecił natychmiast wstrzymać obieg mej książki. Co więcej, starał się we wszelkiej okoliczności okazać mi swą niechęć i dawał do zrozumienia, a nawet mówił głośno, że gdybym pragnął osiedlić się w samym mieście, nie ścierpiano by mego pobytu. Napełnili swego „Merkurego" bredniami pełnymi najbardziej płaskiego świętoszkostwa, które, pobudzając do śmiechu rozsądnych ludzi, roznamiętniły wszelako lud i podburzyły go przeciw mnie. Wszystko to nie przeszkadzało im głosić, iż powinienem być bardzo wdzięczny za łaskę, jaką mi czynią, pozwalając żyć spokojnie w Motiers, gdzie nie mieli żadnej władzy. Byliby mi chętnie odmierzali powietrze na łuty[844], pod warunkiem, żebym je drogo opłacił. Żądali, abym był wdzięczny za opiekę, której król użyczał mi wbrew nim, a którą bez ustanku silili się mi odjąć. Wreszcie, nie mogąc tego uzyskać, wyrządziwszy mi tyle złego, ile mogli, i osławiwszy[845] mnie na wszelkie sposoby, uczynili sobie zasługę ze swej niemocy, każąc mi wielbić dobroć, z jaką godzili się cierpieć mnie na swojej ziemi. Należałoby roześmiać się w nos za

[843]*du Peyrou, Pierre Alexandre* (1729–1794) — dziedzic wielkiej fortuny, urodzony w Gujanie w Ameryce Płd. syn francuskiego hugenota, który dorobił się majątku na plantacjach w holenderskim Surinamie; osiadły od 1747 w Neuchâtel; przyjaciel i wykonawca testamentu Jana Jakuba Rousseau: opublikował pierwsze wydanie dzieł zebranych Rousseau (1782), w 30 tomach, obejmujące pierwszą część *Wyznań*, a następnie trzy kolejne tomy, zawierające listy oraz drugą część *Wyznań* (1789), opracowaną we współpracy z Isabelle de Charriere. [przypis edytorski]

[844]*łut* — daw. jednostka wagi, licząca 1/32 funta, tj. w różnych miejscach i czasach od 10 g do 50 g. [przypis edytorski]

[845]*osławiać* (daw.) — zniesławiać, oczerniać. [przypis edytorski]

całą odpowiedź: byłem na tyle głupi, iż czułem się dotknięty, i na tyle niedorzeczny, iż wzdragałem się postawić nogę w Neuchâtel. Postanowienia tego dochowałem blisko dwa lata, jak gdyby to nie było zbyt wiele zaszczytu dla podobnych ciurów, aby zwracać uwagę na ich postępki, które, dobre czy złe, nie mogą iść na ich rachunek, ponieważ tego rodzaju ludzie zawsze działają jedynie z obcej pobudki. Zresztą, umysły bez kultury i światła, nie znające innego przedmiotu godnego szacunku jak wpływy, władza i pieniądze, bardzo dalekie są nawet od podejrzewania, iż mogą obowiązywać niejakie względy dla talentu i że hańbą jest znieważać go.

Pewien wójt małej mieściny, usunięty z posady za jakieś malwersacje, wyraził się do starosty z Val-de-Travers, męża Izabeli: „Powiadają, że ten Rousseau jest taki prześcipny[846], przyprowadźcie go do mnie, abym zobaczył, czy to prawda". Zaiste, wzgarda człowieka przemawiającego podobnym tonem nie powinna nazbyt dotykać tego, kto jest jej przedmiotem.

Wedle sposobu, w jaki mnie potraktowano w Paryżu, Genewie, Bernie, w Neuchâtel nawet, nie spodziewałem się więcej względów ze strony miejscowego pastora. Miałem doń wszelako polecenie od pani Boy de la Tour i przyjął mnie bardzo serdecznie; ale w tym kraju, gdzie karmią miodowymi słówkami każdego bez różnicy, nie można przywiązywać znaczenia do tych rzeczy. Mimo to po uroczystym przystąpieniu do reformowanego Kościoła, żyjąc w kraju reformowanym, nie mogłem bez uchybienia zobowiązaniom i powinnościom obywatela zaniedbać publicznego praktykowania obrządku, do którego wróciłem: uczęszczałem tedy na służbę bożą. Z drugiej strony obawiałem się, iż przystępując do świętego stołu, narażę się na wstyd odmowy; nie było zaś zgoła prawdopodobne, aby, po hałasie podniesionym w Genewie przez Radę i w Neuchâtel przez pastorów, pastor w Motiers zechciał mi spokojnie udzielić komunii w swoim kościele. Widząc tedy, iż zbliża się pora tego obrzędu, postanowiłem napisać do pana de Montmollin (było to nazwisko pastora), aby spełnić akt dobrej woli i oświadczyć, że zawsze należę sercem do Kościoła protestanckiego. Doniosłem równocześnie, aby uniknąć sprzeczek co do artykułów wiary, iż nie życzę sobie żadnych szczegółowych wyjaśnień w kwestii dogmatu. Dopełniwszy ze swej strony tego, co do mnie należało, czekałem spokojnie, nie wątpiąc, iż pan de Montmollin odmówi dopuszczenia mnie do sakramentów bez uprzedniej dyskusji, której nie chciałem, i że w ten sposób wszystko zakończy się bez winy z mej strony. Wcale nie: w chwili gdy najmniej się tego spodziewałem, pan de Montmollin przyszedł mi oznajmić, iż nie tylko dopuszcza mnie do komunii na warunkach, które postawiłem, ale co więcej, on i „starsi" gminy uważają sobie za wielki zaszczyt posiadanie mnie w swej parafii. W życiu nie miałem podobnego ani bardziej radosnego zdziwienia. Wiecznie żyć osamotnionym na ziemi zdawało mi się losem bardzo smutnym, zwłaszcza w nieszczęściu. Wśród tylu proskrypcji i prześladowań znajdowałem niezmierną słodycz w tym, iż mogę sobie powiedzieć: „Przynajmniej jestem wśród swoich braci"; toteż gotowałem się do komunii ze wzruszeniem serca i ze łzami rozczulenia, które były może dla Boga najmilszym przygotowaniem, jakie mu ktoś może ofiarować.

W jakiś czas później milord przesłał mi list pani de Boufflers, przybyły — przynajmniej tak przypuszczałem — za pośrednictwem d'Alemberta, który znał milorda marszałka. W liście tym, pierwszym, jaki ta dama napisała do mnie od wyjazdu z Montmorency, czyniła mi żywe wymówki za pismo moje do pana de Montmollin, a zwłaszcza za mą komunię. Tym mniej mogłem zrozumieć, o co jej chodzi, ile że od czasu bytności w Genewie zawsze jawnie głosiłem się protestantem i zupełnie publicznie uczęszczałem do Pałacu Holenderskiego, bez zarzutu z niczyjej strony. Wydało mi się zabawne, iż pani hrabina de Boufflers chce bawić się w kierowanie mym sumieniem w sprawach religii. Mimo to, ponieważ nie wątpiłem, iż intencje jej (jakkolwiek nie umiałem ich zrozumieć) są najlepsze, nie obraziłem się o ten osobliwy napad i odpowiedziałem bez gniewu, podając swoje racje.

Tymczasem drukowane obelgi szły swoim trybem, łaskawi zaś autorowie wyrzucali władzom, iż obchodzą się ze mną zbyt łagodnie. Ten koncert ujadania, którego kapelmistrze działali niestrudzenie pod osłoną, miał coś złowrogiego i przerażającego. Co do mnie, pozwalałem gadać, nie przejmując się. Upewniano mnie, że zapadła cenzura Sor-

[846] *prześcipny* (daw., gw.) — dowcipny, sprytny. [przypis edytorski]

bony. Nie uwierzyłem. Z jakiego tytułu miałaby się Sorbona mieszać w tę sprawę? Czy chciała stwierdzić, że nie jestem katolikiem? Wszyscy wiedzieli o tym. Czy chciała dowieść, że nie jestem dobrym kalwinem? Co jej do tego? To by znaczyło podjąć bardzo osobliwe zadanie; znaczyło to czynić się substytutem pastorów. Nim ujrzałem naocznie owo pismo, sądziłem, iż puszczono je w obieg pod godłem Sorbony, aby sobie z niej zadrwić; myślałem tak tym więcej, skoro je przeczytałem. Wreszcie, gdy już nie mogłem wątpić o jego autentyczności, cały mój pogląd na sprawę streszczał się w tym, iż trzeba by zamknąć Sorbonę do szpitala wariatów.

(1763) Inne pismo obeszło mnie bardziej, ponieważ pochodziło od człowieka, dla którego miałem zawsze szacunek i którego stałość podziwiałem, ubolewając nad jego zaślepieniem. Mówię o liście pasterskim arcybiskupa paryskiego[847] przeciw mnie. Sądziłem, iż winien jestem sobie, aby nań odpowiedzieć. Mogłem to uczynić bez poniżenia; to był wypadek mniej więcej podobny do tego, w jakim swego czasu skrzyżowałem broń z królem polskim. Nie lubiłem nigdy polemiki brutalnej, na sposób Wolterowski. Umiem walczyć jedynie z godnością; jeśli raczę się bronić, to tylko wówczas, gdy ten, kto mnie atakuje, nie przynosi hańby mej dłoni. Nie wątpiłem, iż to orędzie pochodzi z ręki jezuitów; mimo że wówczas sami byli w złej skórze, poznawałem w tym postępku ich dawną zasadę miażdżenia nieszczęśliwych. Mogłem tedy iść znowuż za swoją dawną maksymą, to jest oddać wszelką cześć tytularnemu autorowi, a zmiażdżyć dzieło; co też, sądzę, uczyniłem z niejakim sukcesem.

Pobyt w Motiers wydał mi się nader przyjemny; abym się zdecydował dokończyć tam swoich dni, brakło mi jedynie rękojmi środków utrzymania. Życie jest tam dość drogie, wszystkie zaś dawne projekty rozwiały się przez rozbicie mego gospodarstwa, założenie nowego, sprzedaż lub rozproszenie wszystkich sprzętów oraz wydatki, które mi trzeba było ponieść od wyjazdu z Montmorency. Patrzałem z każdym dniem na zmniejszanie się kapitaliku, który miałem w zapasie. Parę lat wystarczyłoby, aby pochłonąć resztę, nie widziałem zaś żadnego sposobu odnowienia zasobów, chyba że zacząłbym na nowo pisać książki: opłakane rzemiosło, którego się już wyrzekłem.

Przekonany, że opinia odmieni się niebawem i że publiczność, ochłonąwszy ze swego szaleństwa, każe i władzom rumienić się za nie, myślałem jedynie o tym, aby oszczędzając, dotrwać aż do szczęśliwej odmiany, która zostawi mi swobodniejszy wybór dalszej drogi. W tej myśli podjąłem *Dykcjonarz muzyczny*, znacznie już posunięty naprzód przez dziesięć lat pracy, tak iż brakło mu jedynie ostatniego wykończenia i przepisania na czysto. Książki moje, które przysłano mi niedawno, dostarczyły mi środków dla dokończenia tego dzieła; nadesłane równocześnie papiery umożliwiły podjęcie pracy koło pamiętników, którymi odtąd chciałem się wyłącznie zająć. Zacząłem od przepisania listów i sporządzenia z nich zbiorku, który by mógł kierować mą pamięć w porządku zdarzeń i czasu. Przebrałem już dawniej te, które chciałem zachować w tym celu: tworzyły nieprzerwany ciąg blisko dziesięciu lat. Tymczasem porządkując je dla przepisania, spostrzegłem lukę, która mnie zdziwiła. Luka ta obejmowała blisko sześć miesięcy, od października 1756 aż do marca następnego roku. Przypominałem sobie doskonale, iż między przebranymi już dokumentami znajdowało się sporo listów Diderota, Deleyre'a, pani d'Epinay, pani de Chenonceaux etc., które wypełniały tę lukę. Otóż tych listów nie było. Co się z nimi stało? Czy kto dobrał się do mych papierów w ciągu tych kilku miesięcy, przez które zostawały w pałacu Luxembourg? To było nie do pojęcia; widziałem, jak pan marszałek sam schował klucz od pokoju, w którym je złożyłem. Ponieważ wiele listów kobiecych, a wszystkie Diderota były bez daty, tak, iż aby ułożyć te listy po porządku, byłem zmuszony czynić to z pamięci i po omacku, sądziłem zrazu, iż popełniam omyłkę w datach. Przejrzałem po porządku wszystkie listy, które nie miały daty lub też przy których sam ją uzupełniłem, aby się przekonać, czy nie znajdę wśród nich zapełnienia tej luki. Próba nie powiodła się; ujrzałem, iż przerwa jest bardzo realna i że z wszelką pewnością listy usunięto. Kto i w jakim celu? Oto co przychodziło mi na myśl. Listy te, poprzedzające datą zajścia w Pustelni, pochodzące z czasu mego pierwszego upojenia *Julią*, nie mogły interesować nikogo. Zawierały co najwyżej jakieś świadectwa nachalności Diderota, ja-

[847] *Beaumont, Christophe de* [(1703–1781)] — arcybiskup Paryża, niezwykle żarliwy i nieubłagany w swoich przekonaniach. Rousseau odpowiedział mu *Listem do Krzysztofa de Beaumont*. [przypis tłumacza]

kieś przycinki Deleyre'a, wylewy przyjaźni pani de Chenonceaux, a nawet pani d'Epinay, z którą byłem wówczas najczulej w świecie. Komu mogło zależeć na tych listach? Co chciano z nimi począć? Dopiero w siedem lat później zacząłem podejrzewać ohydny cel tej kradzieży.

Brak ten, zupełnie nie zostawiający wątpliwości, sprawił, iż zacząłem szukać wśród brulionów, czy nie odkryję innych braków. Spostrzegłem, w istocie, to i owo; zważywszy zaś mą lichą pamięć, mogę przypuszczać, iż w mnóstwie moich papierów dokonano i innych grabieży. Te, które zauważyłem, to brak brulionu *Moralności wrażeniowej* i wyciągu *Przygód milorda Edwarda*. Ten ostatni, wyznaję, obudził we mnie podejrzenia co do pani de Luxembourg. Papiery te wysyłał pod moim adresem La Roche, jej zaufany pokojowiec, a dla jednej tylko marszałkowej mógł mieć ten szpargał jakąś wagę. Ale co mogło jej zależeć na tamtym drugim i na uprzątniętych listach, z których, nawet przypuściwszy złe intencje, nie można było uczynić żadnego użytku na mą szkodę, chyba puściwszy się[848] wręcz na fałszerstwo? Co do marszałka, którego niewzruszoną prawość i szczerą przyjaźń dla mnie znałem dostatecznie, nie mogłem go podejrzewać ani przez chwilę. Nie mogłem również nawet zatrzymać się myślą przy podejrzeniu co do marszałkowej. Namęczywszy długo mózgownicę nad autorstwem kradzieży, jedyne, co mogłem uczynić, to przypisać ją d'Alembertowi, który, już zadomowiony u pani de Luxembourg, mógł znaleźć sposób szperania w tych papierach i usunięcia z nich, co mu się podobało, bądź to w zamiarze posłużenia się nimi na mą szkodę, bądź dla przywłaszczenia sobie tego, co mu się mogło nadać. Sądziłem, iż, zmamiony tytułem *Moralność wrażeniowa*, przypuszczał, że znalazł plan istotnego traktatu materialistycznego; można sobie wyobrazić, jak by to przeciw mnie wykorzystał! Pewny, iż zbadanie brulionu wywiedzie go z błędu, sam zaś mając niezłomny zamiar poniechać literatury, mało troszczyłem się o te kradzieże; nie były one pierwszą sprawką tej ręki[849], którą ścierpiałem w milczeniu. Niebawem przestałem myśleć o tym nadużyciu, tak jakby nigdy nie miało miejsca, i zacząłem gromadzić materiały, które mi zostawiono, aby podjąć pracę nad *Wyznaniami*.

Długi czas myślałem, iż korporacja pastorów lub bodaj obywatele i mieszczaństwo Genewy upomną się o naruszenie edyktu w dekrecie wydanym przeciw mnie[850]. Nikt się nie ruszył, przynajmniej publicznie; istniało bowiem powszechne niezadowolenie, które czekało jedynie sposobności, aby się objawić. Moi przyjaciele, lub podający się za takich, pisali do mnie list po liście, zachęcając, abym stanął na ich czele i zaręczając publiczne zadośćuczynienie ze strony Rady. Obawa rozdwojenia i zamieszek, które moja obecność mogłaby spowodować, nie pozwoliła mi przychylić się do ich próśb. Wierny ślubowi, jaki uczyniłem sobie niegdyś, aby nigdy nie przyczyniać się do wewnętrznej niezgody w mym kraju, wolałem raczej pozwolić dalej trwać własnej krzywdzie i skazać się na wieczne wygnanie z ojczyzny niż wracać do niej przy pomocy gwałtownych i niebezpiecznych środków. To prawda, iż spodziewałem się ze strony mieszczaństwa, pokojowych i legalnych protestów przeciw nadużyciu, które powinno je było żywo obejść. Nic podobnego. Przywódcom chodziło nie tyle o istotne usunięcie nadużyć, ile o sposobność wysunięcia swoich osób. Spiskowano, ale zachowano milczenie. Pozwolono ujadać pyskaczom i faryzeuszom, których Rada używała, aby mnie zohydzić w oczach ludu i przypisać swój wybryk religijnej gorliwości.

Wyczekawszy na próżno przeszło rok, aby ktoś zaprotestował przeciw nielegalnemu wyrokowi, powziąłem wreszcie postanowienie. Widząc się opuszczonym przez współobywateli, zdecydowałem się wyrzec niewdzięcznej ojczyzny, w której nigdy nie żyłem, od

[848] *puścić się na coś* (daw.) — zdecydować się na coś, odważyć się na coś, zaryzykować. [przypis edytorski]

[849] *mało troszczyłem się o te kradzieże; nie były one pierwszą sprawką tej ręki* — znalazłem w jego *Elementach muzyki* wiele rzeczy zaczerpniętych z tego, co napisałem o tej sztuce dla *Encyklopedii* i co oddałem w jego ręce na wiele lat przed ogłoszeniem tych *Elementów*. Nie wiem, jaki miał udział w książce zatytułowanej *Słownik sztuk pięknych*, ale znalazłem tam artykuły przepisane dosłownie z moich i to na długi czas, zanim też same artykuły ukazały się w *Encyklopedii*. [przypis autorski]

[850] *myślałem, iż korporacja pastorów lub bodaj obywatele i mieszczaństwo Genewy upomną się o naruszenie edyktu w dekrecie wydanym przeciw mnie* — arystokratyczny ustrój Genewy oraz przywiązanie jej do kalwinizmu były przyczyną, iż warstwy posiadające przemożny wpływ w mieście nie mogły gustować ani w demokratycznych poglądach, ani w „religii naturalnej" Russa. Jedynie wśród niższych warstw mieszczaństwa i u ludu hasła jego mogły znachodzić oddźwięk; te warstwy jednak nie miały praw w rządzie, oprócz prawa do czynienia przedstawień, czyli reprezentacji (stąd nazwa: reprezentanci). [przypis tłumacza]

której nigdy nie doświadczyłem dobra ani usług i w której w nagrodę czci, jaką starałem się jej przysporzyć, doznałem tak niegodnego obejścia, i to za jednomyślną zgodą, skoro ci, którzy winni byli przemówić, zachowywali milczenie. Napisałem tedy do pierwszego syndyka (był nim wówczas, zdaje mi się, pan Favre) list, w którym zrzekłem się uroczyście obywatelstwa. W liście tym zachowałem zresztą godność i umiarkowanie, które zawsze wkładałem w akty dumy, skoro mnie do nich zmusiło okrucieństwo wrogów.

Krok ten otworzył wreszcie oczy obywatelom. Czując, iż zawinili przeciw samym sobie, niechając mej obrony, porwali się do niej wówczas, gdy już było za późno. Mieli oni inne zarzuty, które skojarzyli z tą sprawą, i uczynili z nich przedmiot bardzo dobrze umotywowanych protestów. Akcja ta zataczała coraz szersze kręgi, w miarę jak twarde i odpychające odmowy Rady, która czuła za sobą poparcie rządu francuskiego, lepiej dały pojąć obywatelom, iż zamiarem Rady jest wręcz ujarzmić ich. Spory te wydały mnogość broszur, które nie rozstrzygały niczego; aż nagle pojawił się utwór pt. *Listy ze wsi*. Dziełko to, napisane w obronie Rady niezmiernie zręcznie, sprawiło, iż stronnictwo reprezentacyjne[851], przywiedzione nim do milczenia, czuło się na czas jakiś wręcz zmiażdżone. Utwór ten, trwały pomnik rzadkich talentów swego autora, wyszedł spod pióra generała Tronchin, człowieka bystrego, światłego, bardzo biegłego w prawach i polityce republiki. *Siluit terra*[852].

(1764) Reprezentanci, ochłonąwszy z pierwszego przygnębienia, podjęli odpowiedź i z czasem wywiązali się z niej niezgorzej. Ale wszyscy zwrócili oczy na mnie, jako na jedynego, który zdolny był wejść z nadzieją zwycięstwa w szranki z takim przeciwnikiem. Wyznaję, iż rozumiałem tak samo; jakoż, popchnięty przez dawnych współobywateli, którzy nakładali wręcz na mnie obowiązek wsparcia ich piórem w kłopocie, którego byłem przyczyną, podjąłem odparcie *Listów ze wsi* i sparodiowałem ich tytuł nadpisem *Listy z gór*[853], jaki położyłem na moich. Powziąłem i wykonałem to postanowienie w takiej tajemnicy, iż w ciągu spotkania, jakie miałem w Thonon z przywódcą reprezentantów dla pomówienia o ich sprawach, podczas którego to spotkania pokazali mi szkic swej odpowiedzi, nie rzekłem ani słowa o mojej, która była już gotowa. Lękałem się, aby nie zaszła jaka przeszkoda w druku, w razie gdyby najmniejsze podejrzenie doszło bądź do władz, bądź do mych osobistych wrogów. Mimo wszystkich ostrożności dzieło moje dostało się do Francji przed jego ogłoszeniem; ale pewne czynniki wolały raczej pozwolić mu się ukazać niż zanadto dać się domyślać, w jaki sposób odkryto moją tajemnicę. Powiem w tym przedmiocie to, co wiem pewnie, to znaczy bardzo niewiele; zamilczę to, czego się tylko domyślam.

Miałem w Motiers niemal tyle wizyt, ile ich bywało w Pustelni i w Montmorency; ale były one bardzo odmiennego rodzaju. Ci, którzy odwiedzali mnie dotąd, to byli ludzie, którzy czując ze mną pokrewieństwo talentów, upodobań, poglądów, powoływali się na nie jako na pobudkę odwiedzin i wprowadzali mnie od razu w materię, w której mogłem się z nimi porozumieć. W Motiers to już nie to, zwłaszcza co się tyczy gości z Francji. Byli to oficerowie lub inni ludzie, którzy nie mieli żadnego upodobania w literaturze; po największej części nie czytali nawet nigdy moich pism, a mimo to, wedle tego, co mówili, nie wahali się zrobić trzydzieści, czterdzieści, sześćdziesiąt, sto mil, aby mnie zobaczyć i podziwiać znakomitego, sławnego, bardzo sławnego, wielkiego człowieka etc. Od tego czasu bowiem weszło w zwyczaj obrzucać mnie grubiańsko w twarz najbardziej bezwstydnymi pochlebstwami, od czego chronił mnie dotąd szacunek tych, którzy stanowili moje towarzystwo. Ponieważ większość tych przybyszów nie raczyła ani się nazwać, ani wymienić swego stanowiska, ponieważ nasz zobopólny zakres wiadomości nie obracał się w tych samych przedmiotach i ponieważ ani nie czytali, ani nie mieli nawet w ręku moich dzieł, nie wiedziałem, o czym z nimi mówić; czekałem, aż zaczną mówić sami, ich bowiem rzeczą było wiedzieć i powiedzieć mi, w jakim celu mnie nachodzą.

[851] *stronnictwo reprezentacyjne* — ok. roku 1750 członkowie stronnictwa opozycyjnego zaczęli nazywać siebie *représentants*, przedstawicielami, domagając się, by skład Rady Genewy należycie reprezentował społeczeństwo, w tym także niższe warstwy. [przypis edytorski]

[852] *siluit terra* (łac.) — zamilkła ziemia (z Wulgaty, łac. tłumaczenia Biblii (1 Mch 1,3), o Aleksandrze Macedońskim: *et siluit terra in conspectu eius*: i zamilkła przed nim ziemia). [przypis edytorski]

[853] *Listy [pisane] z gór — Lettres écrites de la montagne* (1764), w których Rousseau, odmiennie niż w *Umowie społecznej*, nie stawia już Genewy za wzór republiki, ale gwałtownie krytykuje zagarnięcie władzy przez „despotów", których nie ogranicza nic prócz własnej woli. [przypis edytorski]

Można zrozumieć, iż w tych warunkach rozmowa nie była dla mnie zbyt interesująca; mogła nią być wszelako dla nich, wedle tego, czego chcieli się dowiedzieć. Ponieważ nie miałem powodów do nieufności, wyrażałem się bez zastrzeżeń we wszystkich kwestiach, o które uważali za właściwe mnie zagadnąć; odchodzili tedy zwykle dobrze powiadomieni co do wszystkich szczegółów mego położenia.

Otrzymałem na przykład w ten sposób wizytę pana de Feins, koniuszego królowej i kapitana kawalerii w jej pułku. Miał on tę wytrwałość, aby spędzić kilka dni w Motiers, a nawet towarzyszyć mi pieszo aż do La Ferriere, prowadząc konia za uzdę, nie mając ze mną innego punktu styczności, jak ten, żeśmy znali obaj pannę Fel i że obaj grywaliśmy w bilbokieta. Przed i po panu de Feins spotkała mnie inna, o wiele jeszcze osobliwsza wizyta. Dwaj ludzie zjawiają się pieszo, prowadząc każdy muła obładowanego tobołkiem; stają w gospodzie, krzątają się sami koło swych mułów i żądają widzenia ze mną. Wnosząc z wejrzenia tych mulników, wzięto ich za kontrabandzistów; w lot obiegła wiadomość, iż przemytnicy przybyli do mnie w odwiedziny. Już sam sposób przywitania pouczył mnie, że to są ludzie innego pokroju; ale, nie będąc przemytnikami, mogli to być wszelako awanturnicy. Wątpliwość ta kazała mi się mieć na baczności; niebawem jednak uspokoili mnie w tej mierze. Jeden z nich był to pan de Montauban, zwany hrabią de la Tour-du-Pin, szlachcic z Delfinatu[854]; drugim pan Dastier, z Carpentras[855], ekswojskowy, który nie mogąc błysnąć swoim Krzyżem św. Ludwika, miał go przynajmniej w kieszeni. Ci panowie, bardzo zresztą mili, odznaczali się obaj bystrym dowcipem; rozmowa ich była gładka i zajmująca. Ich sposób podróżowania, tak bardzo w moim smaku, a tak mało zgodny z obyczajem francuskiej szlachty, obudził we mnie sympatię, którą bliższe obcowanie zdołało tylko umocnić. Znajomość nie skończyła się na tym, ba, trwa do dziś. Zachodzili do mnie w odwiedziny w rozmaitym czasie, już nie piechotą, to było dobre na początek; ale im dłużej przestawałem z tymi panami, tym mniej znalazłem wspólności w naszych upodobaniach, tym mniej czułem, aby ich zasady były moimi, aby znali moje pisma, słowem, aby istniała jakakolwiek prawdziwa sympatia między nami. Czego tedy chcieli ode mnie? Dlaczego odwiedzali mnie w tym dziwnym rynsztunku? Po co wracali kilkakrotnie? Czemu pragnęli tak gorąco być pod moim dachem? Nie przyszło mi wówczas na myśl zadawać sobie tych pytań. Nastręczały mi się one nieraz od tego czasu.

Wzruszony ich uprzejmością, otwierałem im serca bez ograniczeń, zwłaszcza panu Dastier, którego wzięcie, bardziej otwarte, większą natchnęło mnie ufnością. Nawiązałem z nim nawet korespondencję i kiedy miałem drukować *Listy z gór*, przyszło mi na myśl zwrócić się do niego, aby zmylić trop tych, którzy czekali mej przesyłki na drodze do Holandii. Mówił mi obszernie, może z umysłu, o swobodzie prasy w Awinionie; ofiarował usługi, gdybym miał kiedy zamiar coś tam drukować. Skorzystałem z ofiary i skierowałem doń kolejno, pocztą, moje pierwsze poszyty. Zatrzymawszy je dosyć długo, odesłał mi je z nadmienieniem, iż żaden księgarz nie śmie się ich podjąć. Byłem zmuszony wrócić do Reya, bacząc, aby wysyłać poszyty jedynie stopniowo i nie wypuszczać następnego, póki nie miałem w ręku potwierdzenia odbioru pierwszych. Przed wydaniem dzieła dowiedziałem się, iż ktoś je widział w biurach ministerstwa, zaś pan d'Escherny z Neuchâtel wspomniał mi o książce *Człowiek z gór*, o której d'Holbach powiadał mu, iż jest mego pióra. Zapewniłem (jak też było prawdą), że nigdy nie pisałem książki pod tym tytułem. Kiedy pojawiły się *Listy*, był wściekły, obwiniał mnie o kłamstwo, mimo że powiedziałem jedynie szczerą prawdę. Oto jak zyskałem pewność, że rękopis mój był znany. Pewien rzetelności Reya, zmuszony byłem gdzie indziej przenieść swoje przypuszczenia; najchętniej byłem skłonny mniemać, iż po prostu przesyłki moje otwierano na poczcie.

Druga znajomość mniej więcej z tego czasu, ale zrazu nawiązana tylko listownie, to niejaki pan Laliaud, z Nîmes. Napisał do mnie z Paryża, prosząc, abym mu przesłał w sylwetce swój profil, którego potrzebuje — jak powiadał — do biustu[856] w marmurze, jaki dał wykonać Le Moine'owi dla umieszczenia go w swej bibliotece. Jeżeli to było pochlebstwo, wymyślone, aby mnie ugłaskać, osiągnęło swój cel w zupełności. Osądziłem,

[854] *Delfinat* — region w południowo-wschodniej Francji. [przypis edytorski]

[855] *Carpentras* — miasto i gmina w płd.-wsch. Francji, ob. w regionie Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże. [przypis edytorski]

[856] *biust* — tu: popiersie; forma rzeźby. [przypis edytorski]

iż człowiek, który pragnie mieć mój biust z marmuru w bibliotece, musi być przejęty mymi pismami, tym samym mymi zasadami i że kocha mnie, ponieważ dusza jego harmonizuje z moją. Trudno sobie wyobrazić, aby ta myśl nie pociągnęła mnie. Poznałem później pana Laliaud. Znalazłem go bardzo skwapliwym w tym, aby mi ofiarować wiele drobnych usług, aby się mieszać pilnie w moje sprawy. Ale poza tym wątpię, aby które z moich pism wchodziło w szczupłą liczbę książek, jakie przeczytał w życiu. Nie wiem, czy ma bibliotekę i czy ten sprzęt może mu być na co przydatny; co zaś do biustu, ograniczył się do lichego szkicu z gliny, który ulepił Le Moine. Kazał zeń sporządzić ohydny portret, który mimo to obiega pod moim nazwiskiem, jak gdyby miał ze mną jakieś podobieństwo.

Jedynym Francuzem, który, zdawało się, odwiedza mnie przez sympatię dla mych uczuć i dzieł, był młody oficer z limuzyńskiego[857] pułku, nazwiskiem Séguier de Saint-Brisson. Błyszczał on i błyszczy może jeszcze w Paryżu i w świecie przez swoje talenty, dosyć w istocie miłe, i przez pretensje do znawstwa sztuki. Zaszedł odwiedzić mnie w Montmorency w ciągu zimy, która poprzedziła mą katastrofę. Zauważyłem w nim żywość uczuć, która mi się podobała. Pisywał do mnie w dalszym ciągu do Motiers i czy to chciał mi pochlebić, czy w istocie zawróciło mu się w głowie od *Emila*, doniósł mi, iż opuszcza służbę, aby żyć w stanie niezależnym, i że się uczy rzemiosła stolarza. Miał starszego brata, kapitana w tym samym pułku, ukochanego przez matkę. Matka ta, straszliwa dewotka i kierowana przez jakiegoś klechę świętoszka, bardzo licho obchodziła się z młodszym synem. Obwiniała go o brak religii, a nawet o zbrodnię nie do darowania, mianowicie, iż utrzymuje stosunki ze mną! Oto przyczyny, dla których chciał zerwać z matką i powziął postanowienie, o którym wspomniałem: wszystko, aby zabawić się w małego Emila.

Przerażony tą krewkością, czym prędzej napisałem doń, błagając, aby odmienił postanowienie. Włożyłem w swoje upomnienia całą siłę, do jakiej byłem zdolny. Usłuchał: postarał się naprawić stosunki z matką, cofnął z rąk pułkownika wręczoną dymisję, z której ten przezorny człowiek nie zrobił jeszcze użytku, pragnąc zostawić młodzieńcowi czas do dojrzalszego namysłu. Saint-Brisson, opamiętawszy się ze swych szaleństw, popełnił inne, mniej rażące, ale również nie w moim guście: został autorem. Wydał kolejno parę broszur, nie wyzutych zresztą z wszelkiego talentu; mimo to nie mogę sobie wyrzucać, abym go uraczył pochwałami nader zachęcającymi do postępowania na tej drodze.

W jakiś czas później odwiedził mnie znowu: odbyliśmy razem pielgrzymkę na Wyspę Saint-Pierre[858]. Wydał mi się w ciągu tej podróży odmiennym od tego, jakim znałem go w Montmorency. Miał w sobie coś wymuszonego, co zrazu nie uderzyło mnie zbytnio, ale później nieraz przychodziło mi na pamięć. Odwiedził mnie jeszcze raz, w hotelu Saint-Simon, wówczas gdy przejeżdżałem przez Paryż, udając się do Anglii. Dowiedziałem się wówczas (o czym mi sam nie mówił), że żyje w bardzo wielkim świecie i bywa dość często u pani de Luxembourg. Nie dał żadnego znaku życia wówczas, gdym mieszkał w Trye, i nie kazał mi nic powiedzieć przez swoją krewną, pannę Séguier, która była mą sąsiadką, a która nigdy nie wydała mi się zbyt życzliwie dla mnie usposobioną. Jednym słowem, zapał pana de Saint-Brisson ostygł nagle, podobnie jak przyjaźń pana de Feins: ale ten nie był mi nic winien, tamten zaś miał wobec mnie niejakie obowiązki, chyba że głupstwa, od których go uchroniłem, były jedynie komedią z jego strony; co w gruncie jest bardzo możliwe.

Miałem również gości z Genewy, nawet dużo. De Lucowie, ojciec i syn, kazali mi się kolejno pielęgnować w chorobie: ojciec zaniemógł w drodze; syn był chory, już opuszczając Genewę — obaj rozgościli się z tym u mnie. Pastorzy, krewni, świętoszki, ciemne figury wszelkiego rodzaju przybywali z Genewy i ze Szwajcarii, nie po to — jak owi przybysze z Francji — aby mnie podziwiać i dworować sobie ze mnie, ale aby mnie łajać i katechizować. Jedynym miłym gościem był mi Moultou, który przybył spędzić ze mną kilka dni, a chętnie byłbym go zatrzymał dłużej. Najstalszym ze wszystkich, najbardziej wytrwałym, był niejaki pan d'Ivernois, który ujarzmił mnie siłą swego natręctwa. Był to kupiec z Genewy, emigrant francuski, krewny generalnego prokuratora w Neuchâtel.

[857] *limuzyńskiego* — z Limousin, hist. krainy w środkowej Francji. [przypis edytorski]

[858] *Wyspa Saint-Pierre* — Wyspa Św. Piotra na jeziorze Biel (Bienne) w Szwajcarii. [przypis edytorski]

Ów pan d'Ivernois z Genewy przejeżdżał dwa razy do roku przez Motiers, umyślnie, aby mnie widzieć, siadywał u mnie od rana do wieczora przez szereg dni, towarzyszył mi na przechadzkach, znosił tysiące drobnych podarków, wciskał się mimo mej woli w moje zaufanie, mieszał do wszystkich spraw, mimo iż nie istniała między nami najmniejsza wspólność myśli, skłonności, uczuć, horyzontu. Wątpię, aby ten człowiek w życiu swoim przeczytał w całości książkę jakiego bądź rodzaju i aby wiedział bodaj, o czym traktują moje pisma. Kiedy zacząłem herboryzować, towarzyszył mi w wyprawach botanicznych, bez upodobania w tej zabawie i nie mając mi nic do powiedzenia, tak samo jak ja jemu. Miał nawet odwagę spędzić ze mną trzy całkowite dni sam na sam w oberży w Goumoins, skąd, sądzę, wypędziłem go wreszcie, pozwalając mu się nudzić śmiertelnie i dając mu uczuć, jak bardzo mnie nudzi. Mimo to wszystko równym niepodobieństwem było mi zrazić jego niewiarygodną stałość, jak i przeniknąć jej pobudki.

Wśród wszystkich tych stosunków, które zawarłem i utrzymywałem pod naporem przymusu, nie godzi mi się opuścić jedynego, który mi był miły i w który włożyłem prawdziwą skłonność serca. Był to młody Węgier, który osiedlił się w Neuchâtel, a stamtąd, w kilka miesięcy po mnie, w Motiers. Nazywano go tam baronem Sauttern, pod którym to nazwiskiem polecono mi go z Zürichu. Był to wysoki i kształtny mężczyzna, o miłej powierzchowności, łagodnym i serdecznym obejściu. Rozpowiadał całemu światu i mnie również dał do zrozumienia, iż przybył z Neuchâtel jedynie z mojej przyczyny, aby przez obcowanie ze mną zaprawić swą młodość do cnoty. Fizjonomia jego, ton, obejście zdały mi się zgodne z mową; miałbym uczucie, że chybiam jednemu z najważniejszych obowiązków, gdybym odprawił z niczym młodzieńca pełnego przymiotów, który szukał mego towarzystwa dla tak szanownej pobudki. Serce moje nie umie oddać się w połowie. Niebawem posiadł całą mą przyjaźń, zaufanie; staliśmy się nierozłączni. Towarzyszył mi w pieszych wycieczkach; nabrał do nich upodobania. Zaprowadziłem go do milorda marszałka, który przyjął go najczulej w świecie. Ponieważ baron nie umiał się jeszcze wysłowić po francusku, mówił ze mną i korespondował jedynie po łacinie: odpowiadałem po francusku, i to pomieszanie dwóch języków w niczym nie tamowało płynności ani żywości naszego stosunku. Mówił mi o swej rodzinie, swoich sprawach, przygodach, o dworze wiedeńskim, w którego szczegóły domowe zdawał się dobrze wtajemniczony. Przez blisko dwa lata, które spędziliśmy w największej zażyłości, znalazłem w nim jedynie słodycz charakteru we wszelakiej próbie, wzięcie[859] nie tylko przyzwoite, ale dworne, wielką schludność koło swej osoby, przystojność w rozmowie, słowem, wszystkie cechy człowieka o szlachetnej naturze, które uczyniły go w moich oczach zbyt godnym szacunku, abym go mógł równocześnie nie pokochać.

W pełnej naszej zażyłości d'Ivernois napisał do mnie z Genewy, abym się miał na baczności przed młodym Węgrem, który osiedlił się w pobliżu: upewniono go mianowicie, że to jest szpieg rządu francuskiego nasłany w moje sąsiedztwo. Ostrzeżenie to mogło się zdawać tym bardziej niepokojące, iż w całej okolicy wszyscy przestrzegali mnie, bym się miał na baczności, że mnie śledzą, że starają się mnie zwabić na terytorium francuskie, aby mi tam wypłatać szpetnego figla.

Aby raz na zawsze zamknąć usta nieproszonym ostrzegaczom, zaproponowałem Sauttern owi, nie uprzedzając go o niczym, pieszą przechadzkę do Pontarlier; zgodził się. Skoro znaleźliśmy się w Pontarlier, dałem mu do przeczytania list pana d'Ivernois; po czym, ściskając go gorąco, rzekłem: „Sauttern nie potrzebuje, abym mu dowodził mego zaufania, ale świat potrzebuje, abym mu dowiódł, że umiem dobrze umieszczać swą przyjaźń". Uścisk ten był mi nad wyraz słodki: była to jedna z tych rozkoszy serca, której prześladowcy nie są zdolni ani sami zaznać, ani też odebrać jej uciśnionym.

Nie uwierzę nigdy, aby Sauttern był szpiegiem ani aby mnie zdradził; ale oszukał mnie. Podczas gdy ja otwierałem serce bez zastrzeżeń, on miał tę siłę, aby zamykać się przede mną lub też mamić mnie kłamstwami. Opowiedział mi nie pamiętam już jaką historię, która kazała mi przypuszczać, iż obecność jego potrzebna jest w ojczyźnie. Zakląłem go, by jechał czym prędzej. Jakoż pojechał; i kiedy mniemałem, że już jest na Węgrzech, dowiedziałem się, że bawi w Strasburgu. Nie pierwszy to raz był w tym mieście. Wplątał się tam w jakąś miłostkę, która zburzyła spokój czyjegoś domowego ogniska: mąż,

[859] *wzięcie* (daw.) — postać i sposób poruszania się. [przypis edytorski]

wiedząc, że żyję z nim blisko, napisał do mnie. Nie ominąłem żadnej sposobności, aby starać się sprowadzić młodą kobietę do cnoty, Sautterna do obowiązku. Kiedy sądziłem, że już zupełnie zerwali, wszystko wróciło znowuż do dawnego, a mąż posunął ustępliwość do tego stopnia, iż przyjął młodego człowieka w dom; od tej chwili nie miałem nic do powiedzenia. Dowiedziałem się, że mniemany baron omamił mnie mnóstwem kłamstw. Nie nazywał się Sauttern, ale Sauttersheim. Co się tyczy tytułu barona, który mu dawano w Szwajcarii, nie mogę mu wyrzucać, iż sobie go przywłaszczył, ponieważ sam nigdy go nie przybierał. Nie wątpię zresztą, że był szlachcicem; milord marszałek, który się znał na ludziach i bywał w jego kraju, zawsze go też uważał i traktował jako takiego.

Skoro tylko wyjechał, służąca z traktierni, w której się stołował, oświadczyła, że jest w ciąży za sprawą pana barona. Była to szpetna plucha[860], Sauttern zaś, powszechnie poważany i szanowany w okolicy za uczciwe prowadzenie i obyczaje, tak wielką wagę przywiązywał do czystości, iż bezczelność sługi wywołała powszechny hałas. Najpowabniejsze osoby z okolicy, które próżno rozwijały swą zalotność dla tego młodego człowieka, były wściekłe; ja sam nie posiadałem się z oburzenia. Czyniłem wszelkie wysiłki, aby wstrzymać tę opętaną, ofiarując się pokryć wszystkie koszta i zaręczyć za Sauttersheima. Napisałem doń, w silnym przekonaniu nie tylko, iż ciąża ta nie jest z jego sprawy, ale że jest wręcz udana i że wszystko to jest jeno sztuczką ukartowaną przez wspólnych naszych wrogów. Żądałem, aby wrócił, dla zawstydzenia hultajki i tych, którzy ją nastroili. Byłem zdumiony miękkością jego odpowiedzi. Napisał do pastora, do którego parafii należała ta plucha, i starał się jak gdyby uciszyć sprawę; widząc to, przestałem się mieszać. Byłem tylko zdumiony, aby człowiek tak plugawy mógł do tego stopnia doprowadzić kunszt obłudy, iż zdołał mnie wprowadzić w błąd swą wstrzemięźliwością, i to w tak bliskich stosunkach.

Ze Strasburga udał się Sauttersheim szukać fortuny do Paryża, gdzie wszelako znalazł tylko nędzę. Napisał do mnie, wyznając swoje *peccavi*[861]. Serce mi się poruszyło na wspomnienie dawnej przyjaźni: posłałem mu nieco pieniędzy. Na przyszły rok, przejeżdżając przez Paryż, zastałem go mniej więcej w tym samym stanie, ale w wielkiej przyjaźni z panem Laliaud; przy czym niepodobna mi było dojść, skąd i od jak dawna była mu ta znajomość. W dwa lata później Sauttersheim powrócił do Strasburga, skąd napisał do mnie; wkrótce potem umarł w tym mieście. Oto w krótkości dzieje naszej znajomości i wszystko, co wiem o nim; ale bolejąc nad losem nieszczęśliwego młodego człowieka, nie przestanę nigdy wierzyć, iż była to natura szlachetna i że cały nierząd jego postępowania był następstwem sytuacji, w których się znalazł.

Takie były nabytki, jakie w zakresie stosunków i znajomości poczyniłem w Motiers. Ileż trzeba by podobnych, aby wynagrodzić okrutne straty, które poniosłem w tym samym czasie!

Pierwszą była śmierć pana de Luxembourg, który, długo dręczony przez lekarzy, stał się w końcu ich pastwą. Umarł na pedogrę, której nie chcieli uznać, siląc się go wyleczyć na przekór naturze.

Jeżeli mam w tej mierze polegać na sprawozdaniu, które mi przesłał La Roche, zaufany człowiek pani marszałkowej, jakże bardzo przykład ten, równie okrutny jak pamiętny, każe ubolewać nad nędzą wielkości!

Strata tego zacnego pana była mi nad wyraz dotkliwą. Był to jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego miałem we Francji; słodycz jego charakteru pozwalała mi zupełnie zapomnieć o jego stanowisku i przywiązać się doń jak do równego sobie. Stosunki nasze nie urwały się przez mój wyjazd; marszałek pisywał do mnie jak wprzódy. Miałem wszelako uczucie, iż nieobecność lub nieszczęście, w które popadłem, osłabiły jego przyjaźń. Bardzo to rzecz trudna, aby prawdziwy dworak zachował niezmienne przywiązanie do kogoś, o kim wie, że jest w niełasce u władz. Przekonałem się zresztą, iż wielki wpływ, jaki miała nań pani de Luxembourg, nie był dla mnie pomyślny i że skorzystała z mego oddalenia, aby mi zaszkodzić w oczach męża. Co do niej, mimo niejakich wymuszonych i coraz rzadszych objawów, z każdym dniem mniej ukrywała, w stosunku do mnie, swą odmianę. Napisała do mnie kilka razy, w znacznych odstępach czasu, do Szwajcarii, po czym przestała pi-

[860] *plucha* (daw.) — flejtuch, brudas. [przypis edytorski]
[861] *peccavi* (łac.) — zgrzeszyłem. [przypis edytorski]

sywać zupełnie. Trzeba było całego uprzedzenia, ufności, zaślepienia, w którym trwałem jeszcze, aby nie widzieć w tym czegoś więcej, prócz ochłodzenia z jej strony.

Księgarz Guy, wspólnik Duchesne'a, który od czasu znajomości ze mną bywał często w pałacu de Luxembourg, doniósł mi, iż nazwisko moje znalazło się w testamencie pana marszałka. Było to równie naturalne jak podobne do wiary, toteż nie wątpiłem o tym. To mi kazało zastanowić się w duchu, jak zachowałbym się wobec zapisu. Wszystko dobrze zważywszy, postanowiłem przyjąć legat bez względu na jego treść, oddać tym zaszczyt godnemu człowiekowi, który, na stanowisku zazwyczaj niedostępnym dla przyjaźni, żywił ją dla mnie tak szczerze. Nie miałem sposobności spełnić tego obowiązku, nie słyszałem już bowiem później nic o tym zapisie, prawdziwym czy rzekomym; i po prawdzie byłoby mi przykro naruszyć jedną ze swoich fundamentalnych zasad moralnych, czerpiąc jakąś korzyść ze śmierci kogoś, kto mi był drogi. W czasie ostatniej choroby wspólnego przyjaciela, Mussarda, Lenieps doradził mi, abym skorzystał z tkliwości, jaką budziła w nim nasza pieczołowitość, i podsunął mu jakieś rozporządzenie na naszą korzyść. „Ach, drogi Lenieps — rzekłem — nie kalajmy interesownymi myślami smutnych, lecz świętych powinności, jakie oddajemy umierającemu przyjacielowi. Mam nadzieję, iż nigdy nie znajdę się w niczyim testamencie, a zwłaszcza nigdy w testamencie żadnego z przyjaciół". Mniej więcej w tym samym czasie milord marszałek wspomniał mi o swoim testamencie, o tym, co miał zamiar uczynić dla mnie; dałem odpowiedź, którą wspomniałem w pierwszej części.

Śmierć, Niebo

Druga strata, bardziej dotkliwa jeszcze i niepowetowana, dotyczyła najlepszej z kobiet i matek, która, przygnieciona już nad miarę chorobami i nędzą, opuściła tę dolinę łez. Przeniosła się do raju cnotliwych, tam gdzie lube wspomnienie zacnych uczynków spełnionych na ziemi zyskuje wiekuistą nagrodę. Idź, duszo słodka i dobroczynna, zasiąść koło Fenelonów, Bernexów, Catinatów i tych, którzy mimo iż mniej wysoko postawieni przez los, otworzyli jak oni serce prawdziwemu miłosierdziu; idź kosztować owoców swej cnoty i przygotować wychowankowi miejsce, które spodziewa się kiedyś zająć wpodle[862] ciebie. Szczęśliwaś w swoich nieszczęściach, iż niebo, kładąc im kres, oszczędziło ci okrutnego widowiska moich! Lękając się zasmucić serce mamusi opowieścią mych pierwszych klęsk, nie pisałem do niej od czasu przybycia do Szwajcarii; ale pisałem do pana de Conzié, aby zasięgnąć wiadomości. On to powiadomił mnie[863], iż zacna dusza przestała nieść ulgę tym, co cierpieli, jak również przestała cierpieć sama. Niebawem i ja też przestanę cierpieć; ale gdybym mniemał, iż nie ujrzę jej w przyszłym życiu, moja słaba wyobraźnia nie umiałaby się pogodzić z pojęciem doskonałego szczęścia, które sobie w nim obiecuję.

Trzecią i ostatnią — odtąd bowiem nie posiadam już przyjaciół, których mógłbym stracić — była utrata milorda marszałka. Nie umarł; ale zbrzydziwszy sobie ponoszenie trudów dla niewdzięczników, opuścił Neuchâtel i od tego czasu już go nie ujrzałem. Żyje i przeżyje mnie, mam nadzieję. Żyje i dzięki niemu nie wszystkie moje przywiązania zerwane są na ziemi: istnieje jeszcze człowiek godny mej przyjaźni; prawdziwa bowiem jej wartość tkwi jeszcze bardziej w uczuciu, które się odczuwa, niż w tym, które się budzi; ale straciłem słodycze, które czerpałem w jego dobroci. Mogę go już tylko postawić w rzędzie tych, których kocham jeszcze, ale z którymi nie łączą mnie stosunki. Milord marszałek udał się do Anglii, aby uzyskać dla siebie łaskę królewską i odkupić niegdyś skonfiskowane dobra. Rozstaliśmy się nie bez projektów spotkania, które zdawały się niemal równie słodkie dla niego co dla mnie. Zamierzał osiąść w swoim zamku Keith Hall, koło Aberdeen, i ja miałem tam się udać; ale projekt ten zbyt mi był miły, abym mógł się spodziewać jego urzeczywistnienia. Milord niedługo zabawił w Szkocji. Tkliwe nalegania króla pruskiego powołały go do Berlina, a niebawem okaże się, czemu nie mogłem tam za nim podążyć.

Przed wyjazdem, przewidując burzę, jaką zaczynano podnosić przeciw mnie, przesłał mi z własnej pobudki dekret naturalizacji[864], który zdawał się bardzo pewną gwarancją,

[862] *wpodle* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

[863] *On to powiadomił mnie…* — w październiku 1762 Rousseau został zawiadomiony o śmierci pani Warens (zmarła 29 lipca). [przypis edytorski]

[864] *naturalizacja* — nadanie cudzoziemcowi obywatelstwa państwa, na terenie którego się osiedlił. [przypis edytorski]

iż nikt nie zdoła mnie wygnać z tego kraju. Gmina Couvet w Val-de-Travers poszła za przykładem gubernatora i dała mi dekret przynależności gminnej, bezpłatnie jak i tamten. Tak więc, stawszy się najformalniej obywatelem kraju, byłem bezpieczny od wszelkiego legalnego wydalenia, nawet ze strony monarchy; ale w prześladowaniu człowieka, który najściślej ze wszystkich przestrzegał szacunku dla praw, nie na legalnych drogach szukano najczęściej sposobów!

Nie sądzę, aby mi trzeba było liczyć między straty śmierć księdza de Mably, która nastąpiła w tym samym czasie. Mieszkając u jego brata, wszedłem z nim poniekąd w stosunki, ale nigdy zbyt bliskie, a mam niejakie powody przypuszczać, że uczucia jego dla mnie zmieniły charakter od tego czasu, odkąd sława moja zaczęła go przerastać. Ale dopiero po ogłoszeniu *Listów z gór* zauważyłem pierwszą oznakę jego złej woli. Obiegał w Genewie list do pani Saladin, który przypisywano księdzu de Mably, a w którym mówił o moim dziele jako o podżegającym wrzasku oszalałego demagoga. Szacunek, jaki miałem dla księdza de Mably, i wysokie pojęcie o jego rozumie nie pozwalały mi ani na chwilę przypuszczać, aby ten niedorzeczny list był jego pióra. Powziąłem w tej mierze postanowienie, zrodzone niemal odruchowo. Posłałem mu kopię listu, donosząc, iż obiegają pogłoski przypisujące go jemu. Nie dał żadnej odpowiedzi. Milczenie to zdziwiło mnie; ale można sobie wyobrazić me zdumienie, kiedy pani de Chenonceaux doniosła mi, że list jest w istocie pióra księdza Mably i że mój krok wprawił go w wielkie zakłopotanie. Bo, ostatecznie, gdyby nawet miał słuszność, w jaki sposób zdołałby usprawiedliwić głośne i publiczne wystąpienie, podjęte tak lekko, bez musu, bez obowiązku, bez innego celu, jak tylko aby w pełni jego nieszczęść pognębić człowieka, któremu zawsze okazywał życzliwość i który nigdy nie stał się jej niegodny? W jakiś czas potem pojawiły się jego *Dialogi Focjona*[865], w których ujrzałem jedynie kompilację moich pism, dokonaną bez wszelkich względów i bez wstydu. Uczułem, czytając tę książkę, iż autor rozstrzygnął już w swoim sercu mój los i że odtąd mogę się w nim spodziewać najzaciętszego wroga. Sądzę, iż nie przebaczył mi ani *Umowy społecznej*, zanadto przerastającej jego siły, ani *Wiekuistego pokoju*; i że jeżeli pragnął, abym sporządził wyciąg z księdza de Saint-Pierre, to dlatego, iż nie sądził, że wywiążę się tak dobrze z zadania.

Im dalej posuwam się w opowiadaniu, tym mniej mogę w nim zachować ciągłości i porządku. Niespokojny tok reszty mego życia nie zostawił wypadkom dość czasu, aby się mogły ułożyć w mej głowie. Były zbyt liczne, zbyt różnorodne, zbyt niemiłe, aby można je było opowiedzieć bez zmącenia. Jedynym silnym wrażeniem, które mi zostawiły, jest uczucie straszliwej tajemnicy pokrywającej ich źródło oraz fakt opłakanego stanu, do jakiego mnie doprowadziły. Opowiadanie moje może już tylko posuwać się po omacku, wedle tego, jak myśli będą mi napływały do głowy. Przypominam sobie, iż w owej epoce, cały pochłonięty swymi *Wyznaniami*, mówiłem o nich bardzo nieopatrznie wszystkim wkoło, nie wyobrażając sobie nawet, aby ktokolwiek miał przyczynę, chęć lub władzę stawiać zapory temu przedsięwzięciu. Gdybym nawet zresztą to przypuszczał, tak samo nie byłbym bardziej dyskretny, jako iż charakter mój niezdolny jest zachować w ukryciu cokolwiek z tego, co czuję i myślę. Świadomość tego zamiaru stała się, o ile mogę sądzić, prawdziwą przyczyną burzy, którą wszczęto, aby mnie wygnać ze Szwajcarii i wydać mnie w ręce zdolne przeszkodzić wykonaniu mego zamysłu.

Miałem jeszcze i inny plan, również nie lepszym okiem widziany przez tych, którzy się tak obawiali *Wyznań*, mianowicie zbiorowe wydanie moich pism. Wydanie to zdawało mi się potrzebne, aby ustalić, które z książek noszących moje imię są w istocie mego pióra, i dać publiczności możność odróżnienia ich od owych pseudonimowych pism, które przeciwnicy przypisywali mi skwapliwie, aby mnie zdyskredytować i zniesławić. Poza tym, wydanie to było prostą i uczciwą drogą zapewnienia sobie chleba, a droga ta była zarazem jedyną. Wyrzekłszy się pisania książek (*Wyznania* nie mogły się ukazać za mego życia), nie zarabiając w żadnym sposobie ani szeląga, a wydając ciągle, widziałem rychły koniec swoich zasobów wraz z wyczerpaniem zysków z ostatniego dzieła. Ta przyczyna kazała oddać do druku *Dykcjonarz muzyczny*, mimo iż jeszcze daleki od wykończenia. Przyniósł mi sto ludwików gotówką i sto talarów dożywotniej renty; ale i tak trzeba

[865] *W jakiś czas potem pojawiły się jego* „Dialogi Focjona" — *Entretiens de Phocion sur le rapport de la morale avec la politique* (*Rozmowy Focjona o związku obyczajności z polityką*) ukazały się w roku 1763. [przypis edytorski]

było przewidywać niebawem koniec stu ludwików, skoro się wydawało rocznie więcej niż sześćdziesiąt; sto zaś talarów renty było niczym dla człowieka, na którego obieżyświaty i wydrwigrosze waliły się bez ustanku jak z rogu obfitości.

Złożyło się stowarzyszenie kupców z Neuchâtel dla zbiorowego wydania mych dzieł; drukarz czy księgarz z Lyonu nazwiskiem Reguillat zdołał, nie wiem jakim sposobem, wcisnąć się, aby je poprowadzić. Umowa, która stanęła, była nie najgorsza dla mnie i wystarczająca, aby spełnić mój cel. Pisma moje, tak drukowane, jak i te, które były jeszcze w rękopisie, przedstawiały materiał mogący wypełnić sześć tomów *in quarto*[866]; zobowiązałem się prócz tego czuwać nad wydaniem; w zamian oni mieli mi wypłacać dożywotnią pensję tysiąca sześćset funtów francuskich oraz tysiąc talarów jednorazowo.

(1765) Umowa była zawarta, ale nie podpisana, kiedy pojawiły się *Listy z gór*. Straszliwy wrzask, który się podniósł przeciw memu piekielnemu dziełu i jego ohydnemu autorowi, przeraził kompanię i przedsięwzięcie spełzło na niczym. Skutek tego ostatniego dzieła porównałbym do wrażenia *Listu o muzyce francuskiej*, gdyby nie to, że ów list, ściągając na mnie nienawiść i wystawiając na niebezpieczeństwo, zostawił mi bodaj poważanie i szacunek ogółu. Ale po tym ostatnim dziele można by mniemać, iż Genewa i Wersal dziwią się, że potwór taki jak ja oddycha jeszcze swobodnie. Mała Rada, podjudzana przez rezydenta Francji i kierowana przez generalnego prokuratora, wydała oświadczenie o moim dziele, w którym, pośród najbardziej krwawych epitetów, uznaje je jako niegodne spalenia ręką kata i dodaje ze zręcznością graniczącą z humorem, iż nie można bez zbezczeszczenia się ani odpowiedzieć na nie, ani nawet poświęcić mu wzmianki. Chciałbym móc przepisać tutaj ten ciekawy dokument, ale na nieszczęście nie posiadam go i nie przypominam zeń sobie ani słowa. Pragnę gorąco, aby ktoś z moich czytelników, ożywiony zapałem prawdy i sprawiedliwości, zechciał odczytać w całości *Listy z gór*: odczuje, śmiem powiedzieć, stoiczne[867] umiarkowanie panujące w tym dziele, jeżeli zważy dotkliwe i okrutne zniewagi, którymi na wyprzódki walono w autora. Ale, nie mogąc odpowiedzieć na obelgi, ponieważ ich nie było, ani na rozumowania, ponieważ były bez repliki, panowie z Rady uciekli się do tego sposobu, aby udać oburzenie tak wielkie, iż nie pozwala im odpowiedzieć. Istotnie, jeżeli nieprzeparte argumenty panowie ci brali za obrazę, musieli się czuć silnie obrażeni.

Reprezentanci, dalecy od wniesienia skargi odnośnie do tej wstrętnej deklaracji, poszli drogą, którą im w niej wytyczono. Zamiast obnieść w tryumfie *Listy z gór*, z których po kryjomu uczynili sobie tarczę, okazali się na tyle tchórzami, iż nie oddali ani czci, ani sprawiedliwości temu pismu skreślonemu w ich obronie i na ich prośbę. Nie zacytowali go ani nie wymienili, mimo iż dobyli zeń po cichu wszystkie swoje argumenty i że ścisłość, z jaką poszli za radą zawartą w końcu tego dzieła, była jedyną racją ocalenia ich i zwycięstwa. Nałożyli mi ten obowiązek; spełniłem go; wytrwałem, aż do końca, w służbie ich ojczyzny i sprawy. Prosiłem ich, aby zapomnieli o mej egzystencji i aby w walkach swoich myśleli jedynie o sobie. Wzięli mnie za słowo; odtąd nie mieszałem się już do ich zwad, chyba po to, aby ich bez ustanku napominać do zgody, nie wątpiąc, iż jeżeli będą się upierać, zostaną zgnieceni przez Francję. Nie przyszło do tego; rozumiem przyczynę, ale nie tu miejsce ją wymieniać.

Wrażenie, jakie sprawiły *Listy z gór* w Neuchâtel, było zrazu bardzo umiarkowane. Posłałem egzemplarz panu de Montmollin; przyjął go dobrze i przeczytał, nie czyniąc zarzutów. Był chory, równie jak ja; wróciwszy do zdrowia, przyszedł odwiedzić mnie po przyjacielsku i nie wspomniał o niczym. Mimo to hałas robił się coraz większy; spalono książkę nie wiem już gdzie[868]. Z Genewy, z Berna, z Wersalu może — ognisko wrzenia dostało się niebawem do Neuchâtel, a zwłaszcza do Val-de-Travers, gdzie nim nawet kler zdradził czymkolwiek na zewnątrz swoje poruszenie, zaczęto judzić lud za pomocą podziemnych podżegań. Miałem prawo do tego, mogę to rzec śmiało, aby lud tego kraju kochał mnie, tak jak mnie kochał wszędzie, gdzie przebywałem. Rozdawałem jał-

[866]*in quarto* — określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

[867]*stoiczny* — dziś: stoicki; zalecany przez starож. filoz. szkołę stoików: charakteryzujący się umiarem, opanowaniem i spokojem wewnętrznym niezależnie od sytuacji życiowych. [przypis edytorski]

[868]*spalono książkę nie wiem już gdzie* — w Paryżu, równocześnie ze *Słownikiem filozoficznym* Woltera [oraz w Hadze; red. WL]. [przypis tłumacza]

mużny pełnymi dłońmi, nie zostawiałem bez pomocy żadnego biedaka, nie odmawiałem nikomu usługi, którą mogłem oddać i która by była zgodna ze sprawiedliwością. Nadto może spoufalałem się z całym światem, uchylałem się z całej mocy przed wszelkim wyróżnieniem, które mogłoby obudzić zazdrość. Wszystko to nie przeszkodziło, że ludność, podburzona tajemnie nie wiem przez kogo, rozpaliła się stopniowo przeciw mnie aż do wściekłości, lżyła mnie publicznie w biały dzień, nie tylko w polu i na drogach, ale wprost na ulicy. Ci, którym najwięcej wyświadczyłem dobrego, byli najzajadlejsi; ludzie, którzy w tej samej chwili korzystali z mej dobroci, nie śmiejąc wystąpić jawnie, podsycali innych. Można by rozumieć, iż chcą się zemścić w ten sposób za upokorzenie doznanych dobrodziejstw. Montmollin zdawał się nic nie widzieć i nie występował jawnie; ale ponieważ zbliżał się czas komunii, przyszedł do mnie, radząc, abym się wstrzymał od pojawienia się u Stołu Pańskiego[869]; poza tym upewniał, że nie ma do mnie pretensji i że zostawi mnie w spokoju. To ujęcie rzeczy zdało mi się dość osobliwe. Przypomniało mi ono list pani de Boufflers: nie mogłem pojąć, komu tak silnie zależy na tym, czy ja się będę komunikował[870] czy nie. Ponieważ uważałem tego rodzaju ustępstwo z mej strony jako akt tchórzostwa, ponieważ zresztą nie chciałem dawać ludowi nowego pretekstu do ogłoszenia mnie bezbożnikiem, odmówiłem wręcz pastorowi; odszedł niezadowolony, dając do zrozumienia, iż pożałuję swego kroku.

Pastor nie mógł mi wzbronić komunii własną powagą; trzeba było wyroku konsystorza, który mnie przyjął do gminy; póki konsystorz się nie wypowiedział, mogłem przystąpić śmiało do Stołu Pańskiego bez obawy wstrętów. Montmollin postarał się u „klasy", aby mu dała zlecenie wezwania mnie przed konsystorz, dla odebrania wyznania wiary i ekskomunikowania w razie odmowy. Ekskomuniki tej również mógł dokonać tylko konsystorz, większością głosów. Ale chłopi, którzy pod nazwą „starszych" składają[871] to zgromadzenie, pod przewodnictwem i jak można odgadnąć, pod przemożnym wpływem swego pastora, nie mogli być oczywiście innego zdania, zwłaszcza w materiach teologicznych, na których rozumieli się jeszcze mniej od niego. Wezwano mnie tedy i postanowiłem stanąć.

Jakaż szczęśliwa okoliczność i co za tryumf dla mnie, gdybym umiał mówić i gdybym miał, że się tak wyrażę, pióro swoje w ustach! Z jaką wyższością, z jaką łatwością zmiażdżyłbym biednego pastora wśród jego sześciu kmiotków! Żądza nagięcia mnie pod swoją władzę kazała zapomnieć duchowieństwu protestanckiemu wszystkich zasad Reformy[872]. Aby mu je przypomnieć i zmusić wrogów do milczenia, potrzebowałem jedynie rozwinąć pierwsze *Listy z gór*, o które mieli głupotę mnie zaczepić. Tekst był gotowy, wystarczyło go tylko wyzyskać, a byłbym zgnębił przeciwnika. Nie byłbym dość głupi, aby się trzymać jedynie w pozycji obronnej, łatwo mi było przejść do zaczepnej, tak że nawet nie byłby tego zauważył lub też nie zdołałby się obronić. Klechy z „klasy", z nieopatrznością równą ich ignorancji, postawili mnie sami w położenie najpomyślniejsze w świecie: mógłbym zmiażdżyć ich wedle upodobania. Ale cóż! Trzeba było mówić, i to mówić z miejsca; znaleźć na poczekaniu myśli, zwroty, słowa; zachować umysł wciąż przytomny, mieć ciągle zimną krew, nie zmieszać się ani na chwilę. Czegóż mogłem spodziewać się po sobie, ja, który czułem swą niezdolność do improwizowanych przemówień? Już raz byłem zmuszony, w Genewie, do najbardziej upokarzającego milczenia wobec zebrania najżyczliwiej usposobionego i z góry skłonnego przyjąć wszystko za dobrą monetę. Tu było wręcz przeciwnie; miałem do czynienia z mistrzem szykany, który stawiał chytrość w miejsce wiedzy, który by mi zastawił sto pułapek, nimbym spostrzegł jedną; z wrogiem zdecydowanym dowieść mi błędu za jaką bądź cenę. Im więcej rozpatrywałem położenie, tym bardziej zdało mi się niebezpieczne; czując niemożność wydobycia się zeń szczęśliwie, obrałem inny środek. Obmyśliłem przemówienie przeznaczone do wygłoszenia przed konsystorzem, aby uchylić jego kompetencję i uwolnić się od odpowiedzi. Rzecz była bardzo łatwa: napisałem przemówienie i zacząłem się go uczyć na pamięć z nieprawdopodobnym zapałem. Teresa dworowała sobie ze mnie, słysząc, jak mamroczę i powtarzam bez ustanku te same zdania, starając się je wbić sobie w głowę. Spodziewałem się, iż mam

[869] *Stół Pański* (rel.) — w protestantyzmie: komunia. [przypis edytorski]
[870] *komunikować się* — tu: przyjmować komunię. [przypis edytorski]
[871] *składać coś* (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]
[872] *Reforma* — tu: reformacja. [przypis edytorski]

wreszcie wszystko, czego mi trzeba; wiedziałem, że kasztelan, jako namiestnik monarchy, będzie obecny na zebraniu; że mimo machinacji i kubanów[873] Montmollina większość „starszych" dobrze jest dla mnie usposobiona; miałem po swojej stronie rozum, prawdę, sprawiedliwość, poparcie króla, powagę Rady Stanu, sympatię patriotów, patrzących z niepokojem na tego rodzaju inkwizycję; wszystko zmierzało ku temu, aby mi dodać otuchy.

W wilię oznaczonego dnia umiałem mowę na pamięć; wyrecytowałem ją bez błędu. Odświeżałem ją sobie w głowie całą noc. Rano wszystko się gdzieś ulotniło; waham się przy każdym słowie, mam uczucie, że już stoję przed dostojnym zgromadzeniem, mieszam się, bełkocę, tracę głowę. Wreszcie, prawie w chwili gdy miałem się udać przed konsystorz, odwaga opuszcza mnie zupełnie; zostaję w domu i postanawiam napisać do konsystorza, wyłuszczając pospiesznie swoje racje i powołując się na swe cierpienie, które w istocie w stanie, w którym znajdowałem się wówczas, z trudem byłoby mi pozwoliło wytrwać przez całe posiedzenie.

Pastor zakłopotany moim listem odłożył sprawę do następnego zebrania. W przerwie tej, i osobiście, i przez swoje kreatury, rozwijał tysiączne starania, aby skaptować tych starszych, którzy słuchając raczej głosu sumienia niż pastora, nie dzielili w tej sprawie przekonań „klasy" i jego. Mimo całej potęgi, jaką argumenty dobyte z piwniczki pastorskiej musiały mieć na ludzi tego rodzaju, nie zdołał pozyskać żadnego więcej, prócz dwóch czy trzech, którzy już byli mu oddani i których nazywano jego zaprzedańcami. Namiestnik królewski oraz pułkownik Pury, który okazał w tej sprawie wiele zapału, utrzymali tamtych na drodze uczciwości; kiedy Montmollin chciał przystąpić do ekskomuniki, konsystorz większością głosów odrzucił wniosek. Pastor, skazany wówczas na ostatni środek podburzenia ludności, zabrał się ze współkolegami i innymi ludźmi do otwartej pracy w tym kierunku i uczynił to z takim powodzeniem, iż mimo energicznych i częstych reskryptów króla, mimo wszystkich rozkazów Rady Stanu, byłem wreszcie zmuszony opuścić kraj, aby nie narażać namiestnika królewskiego na to, aby sam padł z ręki morderców, w razie gdyby się upierał mnie bronić. Mam tak mętne wspomnienie całej tej sprawy, iż niepodobna mi zachować w opowiadaniu żadnego porządku, żadnej ciągłości myśli. Mogę je oddać jedynie tak, jak mi przychodzą, odosobnione i rozproszone. Przypominam sobie, iż miały miejsce jakieś negocjacje z „klasą", przy czym Montmollin grał rolę pośrednika. Udał, że panuje obawa, abym pismami swoimi nie zakłócił spokoju tego kraju, który czyniono by może odpowiedzialnym za mą swobodę pisania. Dał mi do zrozumienia, iż gdybym się zobowiązał poniechać pióra, patrzono by przez palce na przeszłość. Przyjąłem już to zobowiązanie wobec samego siebie; nie wahałem się przyjąć go wobec „klasy", ale warunkowo i tylko co się tyczy materii religijnych. Pastor znalazł sposób, aby uzyskać deklarację w dwóch egzemplarzach, pod pozorem jakiejś zmiany, której się domagał. Ponieważ „klasa" odrzuciła warunek, zażądałem zwrotu swego oświadczenia: oddał mi jeden egzemplarz, zachował zaś drugi, twierdząc, iż go zagubił. Następnie lud, jawnie podburzany przez pastorów, zadrwił sobie wręcz z reskryptów króla, rozkazów Rady Stanu i nie znał już żadnego hamulca. Okrzyczano mnie z ambony, nazwano antychrystem, ścigano we wsi jak wilkołaka. Mój strój armeński służył ludności jako znak rozpoznawczy, dotkliwie odczułem jego niedogodne strony; ale poniechać go w tych okolicznościach wydałoby mi się tchórzostwem. Nie mogłem się na to zdobyć; przechadzałem się spokojnie po okolicy w swoim kaftanie i watowanej czapce, otoczony wyciem motłochu, niekiedy obrzucany kamieniami. Nieraz, przechodząc koło jakiegoś domu, słyszałem mieszkańców nawołujących się: „Dawajcie fuzję, niech strzelę do niego". Nie przyspieszałem kroku: tym bardziej wściekali się o to, ale ograniczyli się do pogróżek, przynajmniej co się tyczy broni palnej.

Podczas tego wrzenia spotkały mnie wszelako dwie wielkie przyjemności, na które byłem bardzo tkliwy. Pierwszą było to, iż mogłem dopełnić aktu wdzięczności za pośrednictwem milorda marszałka. Wszyscy uczciwi ludzie z Neuchâtel, oburzeni traktowaniem, które cierpiałem, i machinacjami, których byłem ofiarą, nie posiadali dość słów pogardy dla pastorów, czując, iż idą w tym za obcymi poduszczeniami i że są jedynie narzędziami innych, którzy się kryją, każąc im działać za siebie. Postępowanie to bu-

[873] *kuban* (daw.) — łapówka. [przypis edytorski]

dziło słuszne obawy, iż przykład ten może się obrócić w zaród[874] formalnej inkwizycji. Urzędnicy, zwłaszcza pan Meuron, który zajął po panu d'Ivernois stanowisko generalnego prokuratora, czynili wszelkie wysiłki, aby mnie obronić. Pułkownik Pury, mimo iż człowiek zupełnie prywatny, robił jeszcze więcej i z lepszym skutkiem. On to znalazł sposób, aby poskromić Montmollina we własnym konsystorzu, utrzymując „starszych" przy ich obowiązku. Ponieważ miał wpływy, używał ich, ile mógł, aby wstrzymać rozruchy. Ale cóż! Miał jedynie powagę praw, sprawiedliwości i rozumu naprzeciw powagi pieniędzy i wina. Partia była nierówna, toteż w końcu Montmollin odniósł tryumf. Mimo to, wzruszony zapałem i gorliwością pułkownika, pragnąłem oddać mu usługę za usługę i wypłacić się do pewnego stopnia. Wiedziałem, że bardzo pragnie godności radcy stanu, ale zająwszy stanowisko nie po myśli dworu w sprawie pastora Petitpierre[875], popadł w niełaskę u króla i u gubernatora. Ośmieliłem się wszelako napisać za nim do milorda marszałka: odważyłem się nawet wspomnieć o godności, której pragnie, i tak szczęśliwie, iż wbrew oczekiwaniu wszystkich król zamianował go niemal zaraz. Tak to los, który zawsze stawiał mnie równocześnie za wysoko i za nisko, i teraz miotał mną z jednej ostateczności w drugą: podczas gdy gmin obrzucał mnie błotem, ja kreowałem radcę stanu.

Drugą wielką przyjemnością była wizyta, którą zaskoczyła mnie pani de Verdelin, jadąca wraz z córką do kąpiel[876] w Bourbonne[877]; stamtąd wstąpiła do Motiers i zajechała do mnie na parę dni. Siłą względów i starań pokonała wreszcie mój długi opór; serce moje, zwyciężone jej czułością, odpłacało w pełni przyjaźń, którą mi okazywała tak długo. Wzruszyły mnie te odwiedziny, zwłaszcza w okolicznościach, w których się znajdowałem. Bardzo potrzebowałem pociech przyjaźni, aby się nie ugiąć pod brzemieniem. Lękałem się, aby jej nie wzruszyły zbytnio zniewagi, których doświadczałem ze strony ludności; byłbym chciał oszczędzić jej tego widoku, aby nie zasmucić jej serca. Jednakże okazało się to niepodobieństwem; mimo iż obecność pani de Verdelin powściągała nieco zuchwalców w czasie naszych przechadzek, i tak widziała ona dosyć, aby osądzić, co się musi dziać kiedy indziej. Podczas tych odwiedzin zaatakowano mnie pierwszy raz we własnym mieszkaniu. Pokojowa pani de Verdelin znalazła okno moje całe zasypane kamieniami, których narzucano w ciągu nocy. Bardzo ciężką ławkę, która, silnie przymocowana, stała na ulicy koło drzwi, wyrwano, podniesiono i ustawiono w ten sposób, iż gdybyśmy tego nie spostrzegli, zwaliłaby się na pierwszą osobę, która by otworzyła drzwi wchodowe[878]. Pani de Verdelin wiedziała o wszystkim, poza tym bowiem, co widziała sama, zaufany jej służący, wielce zażyły z całą wsią, gwarzył ze wszystkimi, widziano go nawet rajcującego z Montmollinem. Mimo to zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na to, co się dzieje, nie wspominała mi ani o Montmollinie, ani o nikim i zbywała milczeniem to, co jej czasem mówiłem w tej sprawie. Jedynie, zdając się przekonana, iż pobyt w Anglii bardziej byłby mi pomyślny niż jakiekolwiek inne schronienie, mówiła mi wiele o panu Hume, który był wówczas w Paryżu, o jego przyjaźni dla mnie, o pragnieniu, które żywi, aby mi być w czym użyteczny. Jest czas powiedzieć coś o panu Hume.

Zyskał on wielką reputację we Francji, zwłaszcza między encyklopedystami, przez swoje handlowe i polityczne traktaty, a świeżo przez swoją *Historię domu Stuartów*[879], jedyne z jego pism, z którego czytałem coś w przekładzie księdza Prévost[880]. Nie znając innych jego dzieł, przekonany byłem z tego, co mi o nim mówiono, że pan Hume łączy bardzo republikańską duszę z angielskimi paradoksami w obronie zbytku. Na podstawie tej opinii uważałem całą jego apologię Karola I za szczyt bezstronności i miałem rów-

[874] *zaród* — zalążek, zaczątek. [przypis edytorski]

[875] *w sprawie pastora Petitpierre* — Ferdinand Olivier Petitpierre, pastor w wiosce Ponts, został w 1758 oskarżony o wygłoszenie kazania, w którym zaprzeczał wieczności kar piekielnych; mimo pouczenia przez kolegium duchownych kalwińskich, obstawał przy swoich poglądach i w 1760 ponownie wygłosił je w kazaniu; decyzji władz duchownych o jego usunięciu sprzeciwili się parafianie, którzy zwrócili się do władz świeckich i poprosili o interwencję króla Fryderyka. [przypis edytorski]

[876] *do kąpiel* (daw.) — do uzdrowiska z gorącymi źródłami. [przypis edytorski]

[877] *Bourbonne-les-Bains* — miejscowość w płn.-wsch. Francji, uzdrowisko z gorącymi źródłami. [przypis edytorski]

[878] *wchodowy* (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

[879] *Historia domu Stuartów* — wydana przez Hume'a w 1754, stała się częścią jego sześciotomowej *Historii Anglii* (1754–1761), która przyniosła mu sławę i niezależność finansową. [przypis edytorski]

[880] *Prévost*, [*Antoine* (1697–1763)] — autor *Manon Lescaut*. [przypis tłumacza]

nie wielkie pojęcie o jego charakterze co o talencie. Pragnienie poznania tego rzadkiego człowieka i zyskania jego przyjaźni w znacznym stopniu zwiększyło pokusę udania się do Anglii, którą budziły we mnie nalegania pani de Boufflers, bliskiej przyjaciółki pana Hume'a. Przybywszy do Szwajcarii, otrzymałem od niego za pośrednictwem tej pani nadzwyczaj pochlebny list, w którym do najwyższych pochwał dla mego geniuszu dołączał nagłące zaproszenie do Anglii, ofiarując cały wpływ własny i przyjaciół, aby mi pobyt ten uczynić przyjemnym. Pospieszyłem natychmiast do milorda marszałka, krajana i przyjaciela pana Hume'a; potwierdził dobre pojęcie, które miałem o nim, i opowiedział mi nawet w związku z jego osobą anegdotę, która go bardzo uderzyła i która mnie uderzyła tak samo. Wallace, który pisał przeciw Hume'owi w przedmiocie zaludnienia w starożytności, był nieobecny wówczas, gdy drukowano jego dzieło. Hume podjął się przeglądać korekty i czuwać nad wydaniem książki. Postąpienie to było w duchu mego charakteru. Podobnie ja sprzedawałem, po sześć su za sztukę, kopie piosenki, którą na mnie napisano. Byłem tedy pod każdym względem najlepiej uprzedzony do Hume'a, kiedy pani de Verdelin zaczęła w nader żywy sposób mówić o przyjaźni, którą rzekomo ma dla mnie, i o skwapliwości, z jaką pragnąłby mnie powitać jako swego gościa w Anglii; tego wyrażenia użyła pani de Verdelin. Nalegała bardzo, abym skorzystał z tej gorliwości i napisał do pana Hume'a. Ponieważ nie miałem z natury sympatii do Anglii i byłbym skłonił się do tego postanowienia jedynie w ostateczności, nie chciałem pisać ani przyrzekać; ale zostawiłem jej swobodę uczynienia wszystkiego, co uzna za stosowne, aby utrzymać pana Hume'a w jego dobrym usposobieniu. Opuszczając Motiers, zostawiła mnie w przekonaniu, dzięki wszystkiemu, co mi mówiła o tym znamienitym człowieku, że jest on moim szczerym przyjacielem, a ona, więcej jeszcze, moją przyjaciółką.

Po wyjeździe pani de Verdelin Montmollin podwoił zabiegi i ludność straciła już wszelki hamulec. Mimo to przechadzałem się, jak zazwyczaj, spokojnie wśród wycia i zniewag; zamiłowanie do botaniki, które obudziło się we mnie w towarzystwie doktora d'Ivernois, dając nowe zainteresowanie mym przechadzkom, sprawiło, iż przebiegałem całą okolicę, herboryzując, bez troski o wrzaski motłochu, którego wściekłość zdawała się rosnąć jeszcze pod wpływem mej zimnej krwi. Rzeczą, która dotknęła mnie najboleśniej, było to, iż widziałem, jak rodziny moich przyjaciół[881], lub noszących bodaj to miano wchodzą dość otwarcie w ligę z mymi prześladowcami. Tak czyniła rodzina d'Ivernois, nie wyjmując[882] nawet brata i ojca mojej miłej Izabeli, tak Boy la Tour, krewny przyjaciółki, u której mieszkałem, i pani Girardier, jej bratowa. Ów Piotr Boy był to taki cham, taki głupiec i zachowywał się tak brutalnie, iż aby nie wpaść w gniew, pozwoliłem sobie zażartować zeń. Napisałem, w guście *Małego proroka*, broszurkę na kilka stronic, zatytułowaną *Widzenie Piotra z Gór, zwanego Jasnowidem*, w której udało mi się zadworować z cudów, stanowiących wówczas główny pretekst mego prześladowania. Du Peyrou kazał wydrukować w Genewie ten świstek, który zyskał w kraju jedynie mierne powodzenie: Nefchatelczycy, przy całym swym humorze, nie rozumieją się na soli attyckiej[883] ani na żarcie, o ile jest trochę wybredniejszy.

Włożyłem nieco więcej starania w inny utwór, napisany w tym samym czasie, którego rękopis znajdzie się w moich papierach, a którego przedmiot trzeba mi tu przytoczyć.

Podczas największego szału dekretów i prześladowania Genewczycy wyróżnili się osobliwie, krzycząc „gwałtu!" ze wszystkich sił. Między innymi przyjaciel mój Vernes[884], z iście teologiczną szlachetnością, wybrał właśnie ten czas, aby wydać przeciwko mnie li-

[881] *widziałem, jak rodziny moich przyjaciół […] wchodzą dość otwarcie w ligę z mymi prześladowcami* — fatalność ta zaczęła się za mego pobytu w Yverdon. Kiedy młodszy Roguin umarł w rok czy dwa po moim wyjeździe z miasta, stary Roguin miał tę uczciwość, aby mi donieść z boleścią, iż znaleziono w papierach jego krewnego dowody, iż maczał palce w spisku mającym na celu wygnanie mnie z Yverdon i ze stanu berneńskiego. Dowodziło to bardzo jasno, iż spisek ten nie był, jak starano się wmówić, sprawką bigotów, ile że baneret Roguin nie tylko nie był dewotem, ale posuwał materializm i niedowiarstwo aż do nietolerancji i do fanatyzmu. Poza tym nikt w całym Yverdon tak mi nie nadskakiwał, nie obsypywał mnie czułościami, pochwałami i pochlebstwami co właśnie ów jegomość. Trzymał się wiernie ukochanego planu moich prześladowców. [przypis autorski]

[882] *nie wyjmując* — dziś: nie wyłączając. [przypis edytorski]

[883] *sól attycka* — tradycyjne określenie ciętego, lecz eleganckiego dowcipu; od Attyki, krainy greckiej, w której położone są Ateny. [przypis edytorski]

[884] *Vernes, Jacob* (1728–1791) — teolog protestancki, pastor w Genewie, znany z korespondencji z Wolterem i Rousseau. [przypis edytorski]

sty[885], w których silił się dowieść, że nie jestem chrześcijaninem. Listy te, pisane tonem wielkiego zarozumienia[886], nie były zbyt szczególne, mimo że — jak twierdzono — naturalista Bonnet[887] przykładał do nich rękę: Bonnet bowiem, mimo iż materialista, skoro tylko chodzi o mnie, zaleca się bardzo niewyrozumiałą ortodoksją. Nie miałem oczywiście chęci odpowiadać na to pismo; ale ponieważ nastręczyła się sposobność wspomnieć o nim słówko w *Listach z gór*, wsunąłem tam dość wzgardliwą notkę, która doprowadziła Vernes'a do furii. Napełnił Genewę krzykami wściekłości; d'Ivernois powiadał mi, iż po prostu szaleje. W jakiś czas potem ukazał się bezimienny świstek, o którym można by rzec, iż pisany jest nie atramentem, ale wodą Flegetonu[888]. Oskarżano mnie w tym liście, iż, porzuciwszy dzieci swoje na ulicy, wlokę za sobą ladacznicę z kordegardy[889], że jestem wyniszczony rozpustą, zgniły od przymiotnej[890] choroby i inne podobne słodycze. Nietrudno mi było poznać rękę autora[891]. Czytając to pisemko, mogłem dumać nad istotną wartością wszystkiego, co się u ludzi nazywa sławą i reputacją, widząc, jak traktuje się jako wycierucha domów publicznych człowieka, którego noga nie postała tam w życiu i którego największą wadą jest to, iż zawsze był nieśmiały i wstydliwy jak dziewica. Przedstawiono mnie jako zżartego kiłą, mnie, który nie tylko nie miałem w życiu swoim najmniejszego śladu choroby tego rodzaju, ale którego nawet ludzie zawodowi uważali za niezdolnego, wskutek warunków swej konstytucji[892], do nabycia czegoś podobnego. Wszystko dobrze zważywszy, osądziłem, iż nie mogę lepiej odeprzeć tej szmaty niż dając ją drukować w mieście, gdzie najdłużej przebywałem: posłałem ją Duchesne'owi, każąc wydrukować tekst dosłownie, z dopiskiem, w którym wymieniłem pana Vernes, i kilkoma krótkimi notatkami dla wyjaśnienia faktów. Nie zaspokojony tym, iż kazałem przedrukować ten świstek, posłałem go różnym osobom, między innymi księciu Ludwikowi Wirtemberskiemu, który okazał mi pierwszy względy nader pochlebne i z którym byłem wówczas w korespondencji. Ten książę, du Peyrou i inni zdawali się wątpić, aby Vernes był autorem broszurki i ganili mnie, iż wymieniłem go zbyt lekkomyślnie. Pod wpływem ich przedstawień zbudził się we mnie skrupuł: napisałem do Duchesne'a, aby zniszczył ten świstek. Guy doniósł mi, że go zniszczył; nie wiem, czy to uczynił; okazał się kłamcą w tylu okolicznościach, iż nie byłoby cudu, gdyby nim był i tym razem; odtąd zaś pogrążyłem się w te głębokie ciemności, przez które niepodobna mi przeniknąć prawdy zgoła w niczym.

Pan Vernes zniósł moje posądzenie z umiarkowaniem więcej niż osobliwym u człowieka, który by na nie nie zasłużył, zwłaszcza jeżeli porównać je z wściekłością objawianą poprzednio. Napisał do mnie parę bardzo wstrzemięźliwych listów, które zdawały się mieć ten cel, aby z moich odpowiedzi przeniknąć, do jakiego stopnia jestem poinformowany i czy mam jaki dowód przeciw niemu. Przesłałem mu dwie odpowiedzi, krótkie, suche, twarde w treści, ale wolne od niegrzeczności w formie; nie uczuł się dotknięty. Na trzeci list, widząc, iż chce nawiązać coś w rodzaju korespondencji, nie odpowiedziałem już: zwrócił się do mnie za pośrednictwem pana d'Ivernois. Pani Cramer napisała do du Peyrou, że pewna jest, iż broszurka nie jest pióra Vernes'a[893]. Wszystko to nie zachwiało mego przekonania; ale ponieważ ostatecznie mogłem się mylić i w takim razie winien byłem Vernes'owi niewątpliwe zadośćuczynienie, kazałem mu powiedzieć przez pana d'Ivernois, iż gotów mu jestem dać pełną satysfakcję, jeśli potrafi wskazać prawdziwego autora bro-

[885] *wydać przeciwko mnie listy — Lettres sur le Christianisme de J. J. Rousseau* (Listy o chrystianizmie J. J. Rousseau), opublikowane w lipcu 1763. [przypis edytorski]

[886] *zarozumienie* (daw.) — zarozumiałość. [przypis edytorski]

[887] *Bonnet, Charles* (1720–1793) — znakomity filozof i naturalista szwajcarski. [przypis tłumacza]

[888] *Flegeton* (mit. gr.) — płomienista rzeka w podziemnej krainie umarłych; w *Boskiej komedii* (*Piekło*, pieśń XIV) Dantego Flegeton jest rzeką wrzącej krwi w siódmym kręgu Piekła. [przypis edytorski]

[889] *kordegarda* — wartownia straży pałacowej. [przypis edytorski]

[890] *przymiotna choroba* a. *przymiot* (daw.) — kiła, syfilis. [przypis edytorski]

[891] *Nietrudno mi było poznać rękę autora* — autorem tego pisma, pt. *Sentiments des citoyens*, był w istocie — jak to dziś z pewnością wiadomo — nie kto inny, tylko Wolter. [Przyczyną zaciekłej reakcji Woltera było publiczne ujawnienie przez Rousseau w *Listach z gór*, że to Wolter był autorem anonimowego *Kazania pięćdziesięciu* (*Sermon des cinquante*, 1749), zjadliwego ataku na chrześcijaństwo; red. WL] [przypis tłumacza]

[892] *konstytucja* — tu: indywidualne cechy budowy ciała. [przypis edytorski]

[893] *Pani Cramer napisała do du Peyrou, że pewna jest, iż broszurka nie jest pióra Vernes'a* — pani Cramer to żona jednego z braci Cramer, wydawców Woltera. Wiedziała, kto jest autorem broszury, ale nie mogła podać nazwiska. [przypis edytorski]

szurki lub bodaj dowieść, że nim nie jest. Uczyniłem więcej: czując, iż ostatecznie, jeżeli nie jest winny, nie mam prawa wymagać, aby mi cośkolwiek udowadniał, zdecydowałem się spisać, w dość obszernym memoriale, pobudki mego przeświadczenia i przedłożyć je sądowi arbitra, którego Vernes nie będzie mógł odrzucić. Nikt by nie zgadł, kto był arbitrem, którego wybrałem: Rada Genewy. Oświadczyłem na końcu memoriału, iż jeżeli — dobrze rozpatrzywszy rzecz i przeprowadziwszy dochodzenia, które uzna za potrzebne i które ma możność z powodzeniem uskutecznić — Rada oświadczy, iż pan Vernes nie jest autorem broszury, w tej chwili szczerze przestanę go o to posądzać, pospieszę rzucić się do jego stóp i błagać o przebaczenie. Śmiem powiedzieć, iż nigdy zapał dla słuszności, nigdy prawość, szlachetność mej duszy, nigdy zaufanie moje w miłość sprawiedliwości wrodzoną wszystkim sercom, nie ujawniły się bardziej pełno, namacalnie niż w tym roztropnym i wzruszającym memoriale, gdzie brałem bez wahania najbardziej nieubłaganych nieprzyjaciół za arbitrów pomiędzy swoim potwarcą a sobą. Odczytałem to pismo w obecności du Peyrou: był zdania, aby je cofnąć; cofnąłem. Radził mi czekać dowodów, które Vernes przyrzekał; czekałem i czekam jeszcze; radził mi w oczekiwaniu ich milczeć; umilkłem i będę milczał całe życie, ścierpiawszy naganę, iż obciążyłem Vernes'a posądzeniem ciężkim, fałszywym i bez dowodu, mimo że pozostaję w sercu przekonany, pewny, tak jak tego, że istnieję, iż on jest autorem broszury. Memoriał mój znajduje się w rękach pana du Peyrou. Jeżeli ujrzy kiedy światło dzienne, świat znajdzie tam moje racje i pozna, mam nadzieję, duszę Jana Jakuba, którą współcześni moi zapoznawali[894] tak uparcie.

Czas przyjść do katastrofy w Motiers i do mego wyjazdu z Val-de-Travers, po dwóch i pół latach pobytu, a ośmiu miesiącach niewzruszonej stałości w znoszeniu najniegodniejszego obchodzenia. Niepodobieństwem mi jest przypomnieć sobie jasno wszystkich szczegółów tej przykrej epoki; ale znajdą się w relacji, jaką wydał o nich du Peyrou. Będę miał sposobność mówić o niej w dalszym ciągu.

Od wyjazdu pani de Verdelin wrzenie stało się coraz żywsze. Mimo ponawianych reskryptów królewskich, mimo częstych zarządzeń Rady Stanu, mimo starań kasztelana i miejscowych urzędników, lud, uważając mnie po prostu za antychrysta i widząc, iż wszystkie jego wrzaski są daremne, w końcu, jak się zdaje, zapragnął wejść na drogę gwałtu. Już po gościńcach kamienie zaczynały latać w mą stronę, rzucane wszelako z nazbyt daleka, aby mnie mogły dosięgnąć. Wreszcie w noc jarmarku w Motiers, który przypada z początkiem września, zaatakowano mnie we własnym domku, w sposób mogący grozić życiu tych, którzy go zamieszkiwali.

O północy usłyszałem wielki hałas w ganku biegnącym wzdłuż tylnej ściany. Grad kamyków, rzuconych w okna i drzwi wychodzące na ten ganek, spadł z takim hałasem, iż pies mój, który sypiał w ganku, zaczął zrazu szczekać, a potem umilkł z przestrachu i skrył się w kącie, kąsając i drapiąc deski w poszukiwaniu drogi do ucieczki. Wstaję z łóżka na ten hałas; już miałem wyjść z pokoju, aby przejść do kuchni, kiedy kamień rzucony silną ręką przeleciał kuchnię, wybiwszy szybę w oknie. Otworzywszy drzwi do mego pokoju, padł u stóp łóżka; gdybym się pospieszył o sekundę, otrzymałbym go w same piersi. Poznałem, iż hałas uczyniono umyślnie, aby mnie zwabić, kamień zaś rzucono, aby mnie powitać, gdy będę wychodził z pokoju. Biegnę do kuchni. Zastaję Teresę, która też wstała i która, cała drżąca, przybiegła do mnie. Przyciskamy się do ściany, poza światłem okna, aby uniknąć pocisków i zastanowić się, co należy czynić: wyjść bowiem z domu, aby wołać o pomoc, groziło niebezpieczeństwem życia. Na szczęście służąca jakiegoś staruszka, który mieszkał pode mną, wstała, usłyszawszy hałas, i pobiegła wołać kasztelana, naszego najbliższego sąsiada. Wyskakuje z łóżka, wdziewa spiesznie szlafrok i przybywa natychmiast ze strażnikiem; odbywał właśnie tej nocy ront[895] z okazji jarmarku i znalazł się w pobliżu. Kasztelan tak się przeraził, ujrzawszy spustoszenie, że aż zbladł; na widok kamieni, których cały ganek był pełny, wykrzyknął: „Mój Boże! To nagroda życia!". Zwiedzając parter, stwierdził, iż drzwiczki od dziedzińca były wyłamane i że starano się wtargnąć przez ganek. Kiedy później wszczęto dochodzenie, dlaczego strażnik nie zauważył rozruchów lub nie przeszkodził im, stwierdzono, iż ludzie z Motiers uparli

[894] *zapoznawać kogoś* (daw.) — nie doceniać kogoś; przeoczać; zapominać o kimś. [przypis edytorski]
[895] *ront* (daw.) — patrol. [przypis edytorski]

się sprawować straż tej nocy poza zwykłym porządkiem, mimo że była kolej innej wsi. Nazajutrz kasztelan wysłał raport o całym zajściu do Rady Stanu, która w dwa dni później przesłała mu rozkaz przeprowadzenia śledztwa, przyrzekając nagrodę i sekret tym, którzy wskażą winnych. Na razie zalecono postawić na koszt króla straż pod domem oraz pod domem kasztelana, który doń przylegał. Nazajutrz pułkownik Pury, generalny prokurator Murron, kasztelan Martinet, poborca Guyenet, skarbnik d'Ivernois i jego ojciec, słowem, co było znaczniejszego w mieście, przyszli mnie odwiedzić. Wszyscy zjednoczyli swe prośby, nakłaniając, bym zgodził się ustąpić burzy i opuścił bodaj na jakiś czas parafię, gdzie niepodobna mi już żyć z czcią i bezpieczeństwem. Spostrzegłem nawet, iż kasztelan, przerażony wściekłością rozszalałego ludu i lękając się, aby nie dosięgła i jego, bardzo byłby rad wyprawić mnie co rychlej, aby nie mieć kłopotu chronienia mnie i aby móc samemu opuścić tę miejscowość: jakoż uczynił to po mym wyjeździe. Ustąpiłem tedy, nawet z niewielką przykrością; widok bowiem nienawiści ludu przyprawiał mnie o rozdarcie serca, którego nie mogłem już udźwignąć.

Miałem do wyboru między rozmaitymi miejscami schronienia. Od powrotu do Paryża pani de Verdelin wspominała mi nieraz w listach o niejakim panu Walpole[896], którego nazywała milordem. Donosiła, iż, ożywiony wielkim zapałem dla mnie, ofiaruje mi w jednym ze swych majątków schronienie, które malowała mi w najpowabniejszych barwach, wchodząc, odnośnie do mieszkania i życia, w szczegóły, które świadczyły, do jakiego stopnia milord Walpole zajmował się z panią de Verdelin tym projektem. Milord marszałek zawsze radził mi Anglię i Szkocję i również ofiarował mi *asylum* w swoich ziemiach; ofiarował mi też i inne, o wiele bardziej kuszące, w Poczdamie, blisko siebie. Doniósł mi o jednym odezwaniu się króla, które było jakby rodzajem zachęty, aby się tam udać. Księżna de Saxe-Gotha tak dalece liczyła na tę podróż, iż napisała do mnie, nalegając, bym ją odwiedził po drodze i zatrzymał się jakiś czas w jej rezydencji. Mimo to byłem tak przywiązany do Szwajcarii, że nie mogłem się zdobyć na to, aby ją opuścić, póki będzie mi możliwe w niej wyżyć. Obrałem tę chwilę na wykonanie zamiaru, który zaprzątał mnie od kilku miesięcy, a o którym nie mogłem dotąd mówić, aby nie przerywać wątku.

Projekt ten polegał na tym, aby się osiedlić na Wyspie Św. Piotra, należącej do szpitala w Bernie, a położonej na jeziorze Biel[897]. W czasie pieszej pielgrzymki, jaką odbyłem w zeszłym roku wspólnie z panem du Peyrou, zwiedziliśmy tę wyspę; byłem nią tak zachwycony, że od tego czasu nie przestałem myśleć o tym, aby tam osiąść i zamieszkać na stałe. Największą przeszkodą było to, że wyspa należała do Berneńczyków, którzy przed trzema laty szpetnie wygnali mnie od siebie. Nie licząc, iż duma moja cierpiała nad tym, aby wracać do ludzi, którzy mnie tak źle przyjęli, miałem przyczyny się obawiać, iż tak samo nie zostawią mnie w spokoju na tej wyspie, jak nie zostawili w Yverdon. Poradziłem się w tej materii milorda marszałka. Myślał jak ja, iż Berneńczycy byliby bardzo radzi widzieć mnie zamkniętym na tej wyspie i trzymać jako zakład dzieł, które mógłbym tam napisać. Postarał się wybadać ich usposobienie w tym względzie przez niejakiego pana Sturlera, swego dawnego sąsiada z Colombier. Pan Sturler zwrócił się do naczelników stanu i, na ich odpowiedź, upewnił milorda marszałka, iż Berneńczycy, wstydząc się poprzedniego postępku, gorąco pragnęliby mnie widzieć w gościnie na Wyspie Św. Piotra i zostawiliby mnie w spokoju. Zanim się namyśliłem tam osiedlić, zebrałem dla większej pewności jeszcze nowe informacje przez pułkownika Chaillet, który oświadczył mi to samo; że zaś poborca wyspy otrzymał od swej władzy pozwolenie pomieszczenia mnie u siebie, sądziłem, iż nic nie ryzykuję, zamieszkując w jego domu, z milczącym zezwoleniem tak naczelnej władzy, jak właściciela; nie mogłem bowiem spodziewać się, iżby panowie Berneńczycy jawnie uznali niesprawiedliwość, którą mi wyrządzili. Czyniąc w ten sposób, zgrzeszyliby przeciw najbardziej niezłomnej maksymie wszystkich naczelników państwa.

Wyspa Św. Piotra, nazywana w Neuchâtel wyspą de la Motte, pośrodku jeziora Biel, ma około pół mili obwodu; ale na tej małej przestrzeni dostarcza wszystkich głównych

[896] *Walpole, Horacy* (1717–1797) — pochodzący z arystokratycznej rodziny pisarz angielski, żył długi czas we Francji, gdzie wiązała go serdeczna przyjaźń z margrabiną du Deffand. [przypis tłumacza]

[897] *Biel*, fr. *Lac de Bienne*, niem. *Bielersee* — jezioro w zach. Szwajcarii. Największym miastem nad jego brzegami jest dwujęzyczne Bienne (Biel). [przypis edytorski]

produktów potrzebnych do życia. Posiada pola, łąki, sady, las, winnice; całość zaś, dzięki właściwościom urozmaiconego i górzystego terenu, tworzy widok tym powabniejszy, ile że części wyspy odsłaniają się kolejno, stopniując w ten sposób wrażenie i każąc mniemać, iż wyspa większa jest, niż jest w istocie. Bardzo wyniosła terasa tworzy część zachodnią, obróconą ku Gleresse i Bonneville. Zasadzono na tej terasie długą aleję, wyciętą w środku w wielką naturalną altanę, gdzie podczas żniw zbiera się ludność sąsiednich wybrzeży, aby tańczyć i weselić się. Jest na wyspie jeden tylko dom, ale obszerny i wygodny, stanowiący mieszkanie poborcy i położony w zagłębieniu chroniącym go od wiatrów.

O kilkaset kroków od wyspy, od południa, znajduje się druga wyspa, o wiele mniejsza, nieuprawna i opuszczona, niegdyś, zdaje się, oderwana od tamtej przez burze. Wysepka ta, o jałowym i żwirowatym gruncie, rodzi jedynie wierzby i rdesty; znajduje się na niej wszelako wyniosłe wzgórze, pięknie porośnięte trawą i bardzo lube. Kształt jeziora posiada prawie regularny owal. Brzegi jego, mniej żyzne niż brzegi Jeziora Genewskiego lub Neuchâtel, tworzą mimo to wcale wdzięczną perspektywę, zwłaszcza w zachodniej części. Ta część jest bardzo ludna i okolona winnicami ciągnącymi się u stóp łańcucha gór, mniej więcej tak jak na Côte-Rôtie, z tą różnicą, że wino dają mniej dobre. Idąc z północy na południe, napotyka się tam wioski Saint-Jean, Bonneville, Bienne i Nidau, na samym końcu jeziora, wszystko przeplatane bardzo powabnymi siołami.

Takie było schronienie, które sobie umyśliłem i gdzie postanowiłem się osiedlić, opuszczając Val-de-Travers. Wybór ten był tak zgodny z mymi spokojnymi upodobaniami, z moją samotniczą i leniwą naturą, iż liczę go między najsłodsze i najżywiej pociągające mnie marzenia. Zdawało mi się, że na tej wyspie będę bardziej oddzielony od ludzi, bezpieczniejszy od ich napaści, bardziej zapomniany, bardziej, słowem, zdany na słodycze kontemplacyjnego życia. Byłbym pragnął tak zagrzebać się na tej wyspie, abym nie miał już styczności z resztą śmiertelnych. To pewna, iż uczyniłem, co w mej mocy, aby się uchronić od konieczności tych stosunków.

Chodziło o to, aby żyć; otóż, tak z powodu drożyzny produktów, jak trudności przewozu, życie drogie jest na tej wyspie, gdzie zresztą jest się zupełnie zdanym na łaskę poborcy. Trudność tę usunął du Peyrou dzięki zawartemu ze mną układowi, wchodząc na miejsce tej spółki, która powzięła zamiar, poniechany następnie, zbiorowego wydania mych pism. Oddałem mu wszystkie rękopisy potrzebne w tym celu. Nakreśliłem plan i rozkład materiału. Dołączyłem zobowiązanie oddania mu wspomnień swego życia i uczyniłem go depozytariuszem wszystkich papierów, z wyraźnym warunkiem, że nie zrobi z nich użytku aż po mej śmierci, pragnąłem bowiem dokończyć spokojnie żywota, nie zaprzątając już sobą publiczności. Dzięki temu układowi dożywotnia renta, którą podjął mi się wypłacać, wystarczała mi do istnienia. Milord marszałek, odzyskawszy wszystkie swoje dobra, ofiarował mi pensję tysiąca dwustu franków: przyjąłem jedynie połowę. Chciał mi przesłać kapitał, ale nie przyjąłem, z obawy kłopotów z ulokowaniem. Oddał ten kapitał w ręce du Peyrou, który wypłaca mi dożywotnią rentę wedle stopy umówionej z fundatorem. Jednocząc tedy układ z du Peyrou, pensję milorda marszałka, której dwie trzecie przechodziły na Teresę po mej śmierci, i trzysta franków rocznie, które miałem u Duchesne'a, mogłem liczyć na przyzwoitą egzystencję i dla siebie i, po mej śmierci, dla Teresy. Zostawiałem jej pensję siedmiuset franków, tak z pensji Reya, jak milorda marszałka; nie miałem tedy przyczyn się obawiać, aby jej brakło chleba, równie jak mnie. Ale snadź było napisane, iż honor każe mi odtrącić wszystkie zasoby, które los i praca dały mi w ręce, i że umrę równie ubogim, jak żyłem. Czytelnik sam osądzi, czy, nie chcąc stać się ostatnim nędznikiem, mogłem dotrzymać układów, które zawsze starano się połączyć z mą hańbą, odejmując troskliwie wszystkie inne źródła, aby mnie zmusić do zgody na to poniżenie. I jakże byliby się domyślali drogi, którą obiorę w tej alternatywie? Wszak zawsze sądzili moje serce na miarę swoich!

Uspokojony co do warunków egzystencji, byłem bez troski w każdym innym względzie. Mimo iż dawałem wolne pole nieprzyjaciołom, zostawiałem w szlachetnym entuzjazmie, który podyktował moje pisma, w nieugiętej stałości zasad, świadectwo mojej duszy, zgodne z mą istotną naturą i życiem. Nie trzeba mi było innej obrony przeciw potwarcom. Mogli malować pod mym imieniem innego człowieka, ale oszukać mogli chyba tych, którzy chcieli być oszukani. Mogłem wydać życie swoje, od jednego do drugiego krańca, na pastwę ich komentarzy: byłem pewny, iż poprzez moje błędy i słabości,

poprzez mą niezdolność znoszenia jakiegokolwiek jarzma, ten, kto umie patrzeć, znajdzie zawsze człowieka sprawiedliwego, dobrego, wolnego od żółci, nienawiści, zazdrości, gotowego zawsze uznać własne błędy, jeszcze bardziej gotowego zapomnieć cudzych, szukającego szczęścia w uczuciach pełnych miłości i słodyczy i posuwającego we wszystkim szczerość aż do nierozwagi, aż do najprawdopodobniejszej bezinteresowności.

Rozstanie

Rozstawałem się więc niejako ze swą epoką i z współczesnymi; żegnałem się ze światem, grzebiąc się na tej wyspie na resztę dni; takie było bowiem me postanowienie. Tam to zamierzałem urzeczywistnić wreszcie moje ciągłe dążenie do spokojnego, bezczynnego życia, któremu aż dotąd poświęciłem bezużytecznie tę trochę energii i zdatności, jakimi mnie niebo obdarzyło. Wyspa ta miała się stać dla mnie wyspą Papimanii, tym szczęśliwym krajem, gdzie się śpi: „Więcej tam czynią, nic bowiem nie czynią”[898].

To więcej było wszystkim dla mnie, zawsze bowiem mało byłem łakomy na sen: bezczynność wystarcza mi i bylem nie robił nic, wolę śnić raczej na jawie niż we śnie. Wiek romantycznych projektów minął; dym chwały okazał się bardziej odurzający niż miły; zostawało mi już tylko, jako ostatnia nadzieja, żyć bez troski, w wiekuistym wczasie[899]. Oto życie błogosławionych na tamtym świecie; życie, z którego uczyniłem odtąd moje najwyższe szczęście na tej ziemi.

Ci, którzy zarzucają mi tyle sprzeczności, nie omieszkają wytknąć mi jej i tutaj. Rzekłem, iż bezczynność towarzyskiego życia czyniła mi je nieznośnym: i oto szukam samotni jedynie po to, aby się oddać bezczynności. Taki już jestem; jeżeli jest w tym sprzeczność, natura odpowiedzialna jest za nią, nie ja: ale, przeciwnie, tak dalece nie ma w tych rzeczach sprzeczności, iż właśnie przez to jestem zawsze sobą. Bezczynność towarzystw jest zabójcza, ponieważ jest musowa; bezczynność samotności jest urocza, ponieważ jest swobodna i dobrowolna. W obcowaniu z ludźmi próżniactwo jest mi nieznośne, bo jestem do niego zmuszony. Muszę z konieczności siedzieć przymurowany do krzesła albo sterczeć jak żołnierz na pikiecie, nie mogąc ruszyć ręką ani nogą, nie śmiejąc ani biec, ani skakać, ani śpiewać, ani krzyczeć, ani gestykulować, kiedy mam ochotę, nie śmiejąc nawet marzyć, cierpiąc równocześnie całą nudę bezczynności i mękę przymusu. Trzeba mi słuchać z uwagą wszystkich bredni, jakie mówią dokoła, wszystkich komplementów, jakie sobie świadczą, i dręczyć ustawicznie mózgownicę, aby ulokować z kolei moje łgarstwo i moje banialuki. I wy to nazywacie bezczynnością! To praca galernika.

Nuda

Samotność

Bezczynność, którą kocham, to nie owa próżniacza, która trwa z założonymi rękami w zupełnym bezwładzie i równie mało myśli, jak działa: jest to równocześnie bezczynność dziecka, które jest bez ustanku w ruchu, nic nie robiąc, i bezczynność gaduły, który miele językiem, podczas gdy ręce jego są w spokoju. Lubię zajmować się i bawić lada czym, zaczynać sto rzeczy i nie kończyć żadnej, chodzić tam i sam, jak mi przyjdzie fantazja, zmieniać co chwilę zamysły, wodzić okiem za muchą, śledząc jej poruszenia, wygrzebać z ziemi kawał skały, aby zobaczyć, co jest pod spodem, podjąć z zapałem pracę na dziesięć lat i rzucić ją bez żalu po dziesięciu minutach, słowem, wałęsać się cały dzień bez ładu i porządku i iść w każdej rzeczy jedynie za kaprysem chwili.

Natura, Nauka

Botanika, taka, jak ją zawsze pojmowałem, i taka, jaka zaczynała się stawać mą namiętnością, była właśnie owym leniwym studium, zdolnym wypełnić moje życie i moje wczasy, nie zostawiając i miejsca na rozszalenie wyobraźni, ani też na nudę zupełnego bezrobocia. Błądzić niedbale po lasach i polach, uszczknąć machinalnie tu i tam to kwiat, to gałązkę, zbierać sobie zioła niemal na los szczęścia, obserwować po tysiąc razy też same rzeczy, a zawsze z tym samym zainteresowaniem, ponieważ zapominałem ich zawsze — oto na czym mogłem spędzić wieczność, nie nudząc się ani chwili. Mimo całej wytworności, cudowności, urozmaicenia budowy roślinnych tworów, nie uderzają one nieświadomego oka dostatecznie, aby je zająć. Ta stała analogia, a jednak zdumiewająca rozmaitość panująca w ich organizacji przejmuje zachwytem jedynie tych, którzy mają jakieś pojęcie o świecie roślinnym. Inni na widok wszystkich tych skarbów natury odczuwają jedynie tępy i jednostronny podziw. Nie widzą nic w szczególe, ponieważ nie wiedzą nawet, na co trzeba patrzeć; nie widzą także całości, ponieważ nie mają żadnego

[898] *Więcej tam czynią, nic bowiem nie czynią* — wiersz La Fontaine'a z utworu *Le Diable de Papefiguière* [1674, ze zbioru La Fontaine'a *Contes et nouvelles en vers* (Opowiastki i nowele wierszem); motyw wyspy Papimanii został przez La Fontaine'a zaczerpnięty z IV księgi *Gargantui i Pantagruela*; red. WL]. [przypis tłumacza]

[899] *wczas* (daw.) — odpoczynek, wytchnienie. [przypis edytorski]

pojęcia o tym łańcuchu stosunków i kombinacji, który przytłacza swym cudem umysł obserwatora. Byłem w tym szczęśliwym położeniu (a mój brak pamięci miał mnie w nim zawsze utrzymać), iż umiałem dość mało, aby na wszystko być wrażliwym. Rozmaite rodzaje gruntu, na które wysepka, choć mała, była podzielona, nastręczały mi dostateczną rozmaitość roślin dla nauki i zabawy całego życia. Nie chciałem zostawić ani źdźbła trawki bez zanalizowania go i gotowałem już na podstawie olbrzymiego zbioru ciekawych obserwacji przyszłe dzieło *Flora Petrinsularis*[900].

Sprowadziłem Teresę wraz z książkami i sprzętami. Ulokowaliśmy się jako pensjonarze u dzierżawcy wyspy. Żona jego miała w Nidau siostry, które odwiedzały ją kolejno i stanowiły towarzystwo dla Teresy. Zakosztowałem tam słodkiego życia, w którym byłbym pragnął strawić swoje dni: smak, który w nim znalazłem, posłużył jedynie na to, aby mi dać lepiej uczuć gorycz tego, które miało niebawem po nim nastąpić.

Natura, Wiara

Zawsze namiętnie lubiłem wodę; widok jej pogrąża mnie w rozkosznym marzeniu, mimo że często bez określonego przedmiotu. Co dzień, ledwie wstawszy z łóżka, kiedy czas był ładny, biegłem na terasę wdychać ożywcze i świeże powietrze ranku i wodzić oczyma po horyzoncie tego pięknego jeziora, którego wybrzeża i zamykające je góry czarowały mój wzrok. Nie umiem znaleźć godniejszego hołdu dla Bóstwa niż ten niemy podziw budzący się pod wpływem kontemplacji jego dzieł i nie wyrażający się za pomocą określonych aktów. Rozumiem, że mieszkańcy miast, którzy widzą jedynie mury, ulice i zbrodnie, bywają obojętni w rzeczach wiary; ale nie mogę zrozumieć, w jaki sposób ludzie ze wsi, zwłaszcza o ile żyją samotnie, mogą jej nie mieć. W jaki sposób dusza ich nie wznosi się po sto razy dziennie z uniesieniem ku sprawcy cudów, które ich otaczają? Co do mnie, to, zwłaszcza po wstaniu, zmordowany mymi bezsennymi nocami, z dawnego przyzwyczajenia skłonny jestem do tych wzlotów serca, które nie wymagają nużącego wysiłku myśli. Ale trzeba na to, aby oczy moje były porwane czarownym widokiem natury. W pokoju modlę się rzadziej i oschlej; ale na widok pięknego krajobrazu czuję się wzruszony nie mogąc wyrazić dlaczego. Czytałem, iż pewien mądry biskup, zwiedzając diecezję, spotkał starą kobietę, która za całą modlitwę umiała mówić jedynie: „O!". Biskup rzekł: „Dobra kobieto, módl się zawsze w ten sposób; twoja modlitwa więcej jest warta niż nasze". Ta najlepsza modlitwa jest też i moją.

Wiara, Miasto, Wieś

Modlitwa

Po śniadaniu z pośpiechem i niechęcią kreśliłem kilka opłakanych listów, wzdychając żarliwie do szczęśliwej chwili, gdy nie będę ich już pisywał wcale. Krzątałem się chwilę koło książek i papierów, raczej, aby je rozpakować i ułożyć niż aby czytać. Porządkowanie to, które było dla mnie pracą Penelopy[901], dawało mi przyjemność wałęsania się przez jakiś czas; po czym przykrzyłem sobie to zajęcie i rzucałem je, aby spędzić kilka godzin rannych, które mi zostawały, na studiowaniu botaniki. Zajmował mnie zwłaszcza system Linneusza[902]; nabrałem doń namiętności, z której nigdy nie mogłem się zupełnie uleczyć, nawet kiedy poznałem jego pustkę. Ten wielki obserwator jest, moim zdaniem, jedynym obok Ludwiga[903], który umiał spojrzeć na botanikę jako naturalista i jako filozof; ale nadto studiował ją w zielnikach i ogrodach, a nie dosyć w samej naturze. Co do mnie, który brałem za ogród całą wyspę, kiedy potrzebowałem uczynić albo sprawdzić jakąś obserwację, natychmiast z książką pod pachą biegłem do lasu lub na łąkę: tam kładłem się na ziemi koło rośliny, o którą chodziło, aby badać ją na żywo wedle upodobania. Ta metoda wielce mi posłużyła do poznania tworów roślinnych w ich naturalnym stanie, nim je wyhodowała i znieprawiła ręka człowieka. Powiadają, iż Fagon[904], przyboczny lekarz Ludwika XIV, który nazywał i znał doskonale wszystkie rośliny Ogrodu Królewskiego,

[900] *Flora Petrinsularis* (łac.) — Roślinność Wyspy Św. Piotra. [przypis edytorski]

[901] *Penelopa* (mit. gr.) — opisana w Odysei żona Odyseusza, która przez 20 lat wiernie czekała na powrót męża z wojny trojańskiej. W tym czasie zwodziła ubiegających się o jej rękę zalotników, obiecując, że wyjdzie ponownie za mąż, gdy skończy tkać całun dla teścia, lecz każdej nocy pruła robioną w dzień tkaninę. [przypis edytorski]

[902] *Linneusz*, właśc. *Carl von Linné* (1707–1778) — szw. przyrodnik, profesor Uniwersytetu w Uppsali, twórca systemu klasyfikacji organizmów żywych, zastosowanego w jego dziełach opisujących system natury oraz gatunki (gł. roślin): *Systema Naturae* (1735–1770), *Genera Plantarum* (1737) i *Species Plantarum* (1753). [przypis edytorski]

[903] *Ludwig, Christian Gottlieb* (1709–1778) — niem. botanik i lekarz. [przypis edytorski]

[904] *Fagon, Guy-Crescent* (1638–1718) — francuski lekarz i botanik, gł. lekarz nadworny Ludwika XIV, dyrektor Ogrodu Królewskiego. [przypis edytorski]

znalazłszy się na wsi, był tak zbity z toru, iż nie mógł rozeznać się w niczym. Ze mną jest zupełnie odmiennie: rozumiem się cośkolwiek na dziele przyrody, nic na dziele ogrodnika.

Co się tyczy poobiedzia, to poświęcałem je wyłącznie swemu pędowi do próżniactwa i beztroski, idąc, bez żadnych prawideł, za natchnieniem chwili. Często, kiedy powietrze było spokojne, ledwie wstawszy od stołu, rzucałem się samotnie w małą łódeczkę, którą dzierżawca nauczył mnie kierować jednym wiosłem. Wypływałem na pełne jezioro. Chwila, w której odbijałem od brzegu, dawała mi radość, która przejmowała mnie wprost drżeniem, a której przyczyny niepodobna mi określić ani nawet dobrze pojąć. Było to chyba tajemne poczucie szczęścia, iż w tej chwili znajduję się poza sferą pościgu złych. Błądziłem następnie sam po jeziorze, zbliżając się niekiedy do brzegu, ale nie przybijając doń nigdy. Często, pozwalając płynąć łódce z wolą wiatru i wody, poddawałem się marzeniom bez treści, które mimo że niedorzeczne, niemniej przeto były lube. Wykrzykiwałem niekiedy z rozczuleniem: „O, naturo, o moja matko, otom jest pod twą jedyną strażą! Nie ma tu przebiegłego i zdradliwego człowieka, który by się wciskał między ciebie a mnie". Oddalałem się w ten sposób nieraz na jakie pół mili od ziemi: pragnąłbym, aby to jezioro było oceanem. Wszelako, aby się zastosować do życzeń mego biednego psa, który nie lubił w tym samym stopniu co ja tych postojów na wodzie, obierałem zwyczajnie jakiś cel: zwykle ograniczał się on do lądowania na małej wysepce. Przechadzałem się po niej godzinę lub dwie lub też wyciągałem się na szczycie wzgórka na trawniku, podziwiając z rozkoszą jezioro i okolice, badając i dyssekując[905] wszystkie zioła, jakie znalazłem na sięgnięcie ręką, i budując sobie, jak drugi Robinson, urojone mieszkanie na tej wysepce. Polubiłem bardzo to wzgórze. Kiedy mogłem tam zawieźć na przechadzkę Teresę wraz z żoną dzierżawcy i jej siostrami, jakże dumnie się niosłem jako ich pilot i przewodnik! Zawieźliśmy uroczyście na wysepkę króliki, aby ją zaludnić: nowe święto dla Jana Jakuba. Zaludnienie to uczyniło mi tę wysepkę jeszcze bardziej zajmującą. Odwiedzałem ją od tej pory częściej i z większą przyjemnością, aby śledzić ślady rozwoju nowych mieszkańców.

Do tych zabaw dołączyłem jedną, która przypominała mi rozkoszne życie w Charmettes i której pora roku sprzyjała osobliwie. Były to prace około zbioru jarzyn i owoców, które to mozoły oboje z Teresą dzieliliśmy z prawdziwą przyjemnością z dzierżawczynią i jej siostrami. Przypominam sobie, iż pewien Berneńczyk nazwiskiem Kirchberger[906], przybywszy mnie odwiedzić, zastał mnie pod wielkim drzewem, z workiem przywiązanym u pasa i tak już pełnym jabłek, iż ledwie mogłem się ruszać. Nie byłem nierad z tego spotkania i kilku podobnych. Spodziewałem się, iż Berneńczycy, widząc naocznie, jaki użytek robię ze swoich wczasów, nie będą się kusili mącić ich swobodę i zostawią mnie w spokoju w mej samotni. Byłbym wolał być uwięziony w niej z ich woli niż z mojej: bardziej byłbym pewny, iż nic nie zakłóci mego spokoju.

Oto jeszcze jedno wyznanie, przy którym z góry pewien jestem niedowiarstwa czytelników, upierających się sądzić mnie zawsze wedle samych siebie, mimo iż musieli chyba dostrzec w biegu mego życia tysiąc skłonności niepodobnych do ich własnych. Co w tym najdziwniejsze, to iż odmawiając mi wszelkich dobrych lub obojętnych uczuć, których sami nie mają, zawsze są gotowi użyczać mi innych, tak złych, iż nawet nie zdolne byłyby postać w sercu człowieka. Wówczas wydaje się im bardzo proste postawić mnie w sprzeczności z naturą i zrobić ze mnie potwora, jaki nie mógł nawet istnieć. Żadna niedorzeczność nie wydaje się im niewiarygodną, z chwilą gdy zmierza do tego, aby mnie oczernić; nic zwykłego nie wydaje się możliwe, z chwilą gdy zmierza ku temu, aby mi przynieść zaszczyt.

Ale co bądź by mogli mniemać lub mówić, mimo to będę nadal kreślił, czym był, co robił i myślał J. J. Rousseau, nie tłumacząc ani usprawiedliwiając jego uczuć i pojęć, ani nie dochodząc, czy inni myśleli tak jak on. Zasmakowałem tak bardzo w Wyspie Św. Piotra i pobyt ten tak bardzo mi odpowiadał, że skupiając wszystkie pragnienia w tej wyspie, szczerze pragnąłem nigdy jej już nie opuszczać. Odwiedziny, które należało mi oddać w sąsiedztwie, małe podróże do Neuchâtel, do Bienne, Yverdon, Nidau, które mnie

[905] *dyssekować* (daw.) — dokonywać rozbioru, szczegółowo analizować części czegoś; dokonywać sekcji. [przypis edytorski]

[906] *Kirchberger, Nicolas-Antoine* (1739–1799) — oficer szwajcarski, zachęcony przez Bernoulliego i Rousseau poświęcił się literaturze i filozofii, korespondował również z Eckartskausenem, Zimmermannem, Saint-Martinem. [przypis edytorski]

czekały, nużyły już z góry mą wyobraźnię. Każdy dzień spędzony poza wyspą zdawał mi się skradziony memu szczęściu; wyjść z kręgu tego jeziora znaczyło dla mnie wyjść ze swego żywiołu. Zresztą, doświadczenia przeszłości uczyniły mnie lękliwym. Wystarczało, by posiadanie czegoś było lube memu sercu, abym tym samym spodziewał się to utracić; toteż gorące pragnienie zakończenia swoich dni na tej wyspie nieodłączne było od obawy, iż będę zmuszony ją opuścić. Przyzwyczaiłem się chodzić co wieczora na wybrzeże, zwłaszcza kiedy jezioro było burzliwe. Czułem osobliwą przyjemność w widoku fal rozbryzgujących się u moich stóp. Widziałem w nich obraz zgiełku świata i spokoju mojej siedziby; roztkliwiałem się niekiedy nad tą słodką myślą, aż wreszcie czułem, iż łzy spływają mi z oczu. Spokój ten, którym syciłem się tak żarliwie, mąciła jedynie obawa, iż go postradam; ale obawa ta dochodziła do tego nasilenia, iż kaziła jego słodycz. Położenie moje zdawało mi się tak wątłe, iż nie śmiałem na nim budować. „Ach! — powiadałem sobie — jakże chętnie zmieniłbym prawo opuszczenia tego miejsca, o które bynajmniej nie stoję[907], na pewność zostania w nim na zawsze! Zamiast by mnie cierpiano z łaski, czemuż nie więżą mnie w nim siłą! Ci, którzy cierpią mnie w nim jeno, mogą w każdej chwili mnie wygnać; a czyż mogę się spodziewać, aby prześladowcy, widząc mnie oto szczęśliwym, pozwolili mi być nim nadal? Ach! to mało, iż dają mi żyć tutaj: chciałbym, aby mnie na to skazano, chciałbym być zmuszony zostać tu, aby nie być zmuszony stąd odejść". Spoglądałem okiem zazdrości na szczęśliwego Michelego Ducret, który, spokojny w zamku Arberg, potrzebował jedynie chcieć być szczęśliwym, aby nim być. Wreszcie, pod wpływem tych refleksji oraz niepokojących przeczuć nowych burz wciąż gotowych zwalić się na mnie, zacząłem pragnąć, i to z żarliwością trudną do wiary, aby, miast cierpieć jedynie pobyt mój na tej wyspie, dano mi ją za wiekuiste więzienie. Mogę przysiąc, iż gdyby tylko ode mnie zależało skazać się na nie, byłbym to uczynił z największą radością, przekładając tysiąc razy konieczność spędzenia tam reszty życia nad niebezpieczeństwa wygnania stamtąd.

Obawa ta nie długo pozostała próżną. W chwili gdy najmniej się tego spodziewałem, otrzymałem list starosty z Nidau, w którego okręgu znajdowała się Wyspa Św. Piotra. W liście tym udzielał mi ze strony ich ekscelencji rozkazu opuszczenia wyspy i stanów. Czytając ten list, miałem uczucie, że śnię. Nic bardziej nienaturalnego, nieracjonalnego, nieprzewidzianego niż podobny rozkaz: raczej bowiem uważałem swe przeczucia jako niepokoje człowieka spłoszonego przebytymi nieszczęściami niż jako przewidywanie, które by miało jakiekolwiek racje. Kroki, które poczyniłem, aby sobie zapewnić milczące przyzwolenie zwierzchności; spokój, z jakim patrzano na moje osiedlenie; odwiedziny wielu Berneńczyków i samego starosty, który obsypał mnie uprzejmościami i względami; ostrość pory roku, w której barbarzyństwem było wypędzać chorego człowieka — wszystko to kazało mi mniemać, wraz z wieloma osobami, iż rozkaz ten był wpływem jakiegoś nieporozumienia i że nieżyczliwi ludzie umyślnie wybrali czas zbiorów i nieobecności członków senatu, aby mi zadać ten cios.

Gdybym słuchał pierwszego oburzenia, wyjechałbym natychmiast. Ale dokąd się udać? Co począć u progu zimy, bez celu, bez przygotowania, bez przewodnika, pojazdu? Trzeba by chyba zostawić na łaskę losu wszystko: moje papiery, sprzęty, wszystkie sprawy. Trzeba mi było czasu, aby się zająć tym wszystkim, a nie było powiedziane w rozkazie, czy mi go udzielą. Ciągłość nieszczęść zaczynała osłabiać mój hart. Pierwszy raz uczułem, iż wrodzona duma ugina się pod jarzmem konieczności: mimo szemrań mego serca trzeba mi było zniżyć się do prośby o zwłokę. Zwróciłem się do pana de Graffenried z prośbą o objaśnienie. List jego zawierał bardzo żywe potępienie tego rozkazu, którego — jak pisał — udzielał mi jedynie z wielkim żalem; świadectwa bólu i poważania, jakimi ten list był przepełniony, zdawały mi się być łaskawym zaproszeniem, abym przed nim wynurzył me serce, co też uczyniłem. Nie wątpiłem nawet, iż list mój otworzy tym niedobrym ludziom oczy na ich barbarzyństwo i że jeśli nie odwołają tak okrutnego rozkazu, to udzielą mi racjonalnej zwłoki, może na całą zimę, abym mógł przygotować swoje przeniesienie i wybrać sobie miejsce.

Oczekując odpowiedzi, zacząłem się zastanawiać nad położeniem i rozważać, jaką drogę należy obrać. Widziałem ze wszystkich stron tyle trudności, zmartwienie zgryzło mnie

[907] *nie stoję o to prawo* — nie dbam o to prawo. [przypis edytorski]

tak bardzo, zdrowie moje było w tej chwili tak opłakane, iż ugiąłem się zupełnie pod ciosem. Zniechęcenie moje miało ten skutek, iż zbawiło mnie nawet tej trochy zasobów, jakie mogłem jeszcze znaleźć w umyśle dla powzięcia możliwie najlepszego postanowienia. W jakimkolwiek schronieniu próbowałbym się osiedlić, jasne było, że nie mam sposobu ustrzec się przed jednym z dwóch sposobów, które obrano, aby mnie wygnać: jeden, podburzając przeciw mnie ludność za pomocą podziemnych machinacji; drugi, wypędzając mnie wprost, siłą, bez podania przyczyny. Nie mogłem więc liczyć na żaden pewny przytułek, chyba żebym go poszukał dalej niż siły moje i obecna pora roku pozwalały. Wszystko to sprowadzało mnie do myśli, które od dawna snuły mi się po głowie: ośmieliłem się powziąć i wyrazić pragnienie, aby raczej upewniono się co do mej osoby za pomocą wiekuistego więzienia, niż aby mi kazano błąkać się ustawicznie, wypędzając mnie kolejno z każdego schronienia. W dwa dni po pierwszym liście napisałem do pana de Graffenried drugi, prosząc go o przedłożenie tego życzenia ich ekscelencjom. Odpowiedź z Berna na oba listy zawierała rozkaz wyrażony w najbardziej formalnych i bezwzględnych terminach. Nakazywano mi opuścić w ciągu dwudziestu czterech godzin wyspę oraz wszelkie pośrednie i bezpośrednie terytoria Republiki i nie wracać na nie nigdy, pod groźbą najsurowszych kar.

Chwila była okropna. Znalazłem się później niekiedy w gorszych niebezpieczeństwach, nigdy w większym kłopocie. Ale co mnie zmartwiło najbardziej, to iż zmuszony byłem wyrzec się zamiaru, dla którego, obok innych przyczyn, pragnąłem spędzić zimę na wyspie. Czas wspomnieć tu o fatalnym wydarzeniu, które dopełniło miary klęsk i pociągnęło w ślad za mną nieszczęśliwy naród, którego rodzące się cnoty zapowiadały, iż kiedyś doścignie Spartę i Rzym. Wyraziłem się w *Umowie społecznej* o Korsykanach jako o ludzie świeżym, jedynym w Europie podatnym dla prawodawstwa; zaznaczyłem też, jak wielkie nadzieje można pokładać w takim narodzie, o ile będzie miał szczęście znaleźć roztropnego kierownika. Dzieło moje dostało się do rąk kilku Korsykan, których mile pogłaskał zaszczytny sposób, w jaki o nich mówiłem. Okoliczności, wskutek których trzeba im było myśleć o ugruntowaniu swej Rzeczypospolitej, obudziły w ich przywódcach myśl, aby mnie zapytać o radę w tej doniosłej pracy. Niejaki Buttafoco[908] — jedna z pierwszych rodzin w kraju — służący we Francji jako kapitan w pułku królewsko-włoskim, napisał do mnie w tym przedmiocie oraz dostarczył mi wielu dokumentów, o które go poprosiłem dla zaznajomienia się z historią narodu i stanem kraju. Paoli[909] też pisał do mnie kilka razy. Czułem, że podobne przedsięwzięcie przewyższa moje siły; mimo to sądziłem, iż nie godzi mi się odmówić udziału w tak pięknym i wielkim dziele, skoro zasięgnę wiadomości potrzebnych mi w tym celu. W tym sensie odpowiedziałem im i korespondencja ciągnęła się aż do mego wyjazdu.

Właśnie w tym samym czasie dowiedziałem się, że Francja wysłała wojska na Korsykę i zawarła traktat z Genueńczykami[910]. Ten traktat, to wysłanie wojsk zaniepokoiły mnie. Jakkolwiek daleki od podejrzewania związku, który to wszystko miało z moją osobą, uznałem za niemożliwe i śmieszne pracować nad dziełem wymagającym tak głębokiego spokoju jak prawodawstwo jakiegoś ludu, właśnie w chwili, gdy ten lud znajduje się może w przededniu ujarzmienia. Nie ukrywałem moich niepokojów panu Buttafoco. Uspokoił mnie oświadczeniem, iż gdyby w traktacie tym znajdowały się rzeczy przeciwne swobodzie jego narodu, tak dobry obywatel jak on nie pozostawałby (jak on to czynił) w służbie Francji. W istocie, zapał jego dla prawodawstwa Korsyki i ścisłe jego związki z panem Paoli nie mogły zostawiać, co się tyczy jego osoby, żadnej wątpliwości; toteż kiedy się dowiedziałem, że odbywa częste podróże do Wersalu i Fontainebleau i że utrzy-

[908] *Buttafoco, Mateo de* (1731–1806) — oficer regimentu korsykańskiego, rojalista i zwolennik przyłączenia Korsyki do Francji, później marszałek polny Francji. [przypis edytorski]

[909] *Paoli, Pasquale* (1725–1807) — bohater narodowy Korsyki, przywódca pierwszego i jedynego niepodległego państwa korsykańskiego (1755–1769); syn Giacinto Paoliego, przywódcy powstania przeciw Genui z roku 1729; przeciwnik polityczny Napoleona Bonapartego. [przypis edytorski]

[910] *traktat z Genueńczykami* — od XIII w. Korsyka należała do Republiki Genui. Od r. 1729 na wyspie rozpoczęły się walki o niepodległość, w listopadzie 1755 proklamowana została Republika Korsykańska pod przywództwem Pasquale Paoliego. Uchwalono pierwszą na świecie konstytucję (1755), napisaną w języku włoskim. W traktacie z Versailles zawartym 15 maja 1768 Genua w zamian za darowanie długów zrzekła się pretensji do wyspy na rzecz Francji, która w tym samym roku wysłała na nią swoje oddziały. Walki trwały do 1769 i skończyły się zwycięstwem Francuzów, w 1770 Korsyka stała się prowincją Francji. [przypis edytorski]

muje stosunki z panem de Choiseul, wnosiłem stąd tylko tyle, iż posiada snadź co do prawdziwych intencji dworu francuskiego gwarancje, których pozwalał mi się domyślać, ale których nie chciał wyszczególniać otwarcie w korespondencji.

Wszystko to uspakajało mnie po części. Mimo to, nie umiejąc sobie wytłumaczyć tego wysłania wojsk francuskich, nie mając racji przypuszczać, aby celem ich było bronić wolności Korsykan, którzy byli zdolni doskonale bronić się od Genueńczyków sami, nie mogłem się całkowicie uspokoić ani też zająć się na dobre owym dziełem prawodawczym, póki nie będę miał silnych dowodów, iż to wszystko nie jest igraszką celem zadrwienia ze mnie. Byłbym pragnął zobaczyć się z panem Buttafoco; był to najlepszy środek wydobycia zeń objaśnień, których mi było trzeba. Uczynił mi nadzieje w tej mierze; oczekiwałem jego przybycia z największą niecierpliwością. Co do niego, nie wiem, czy miał w istocie ten zamiar; ale gdyby go i miał, nieszczęścia moje nie dałyby mi zeń skorzystać.

Im więcej rozmyślałem nad przedłożonym mi zadaniem, im głębiej zapuszczałem się w badania dokumentów, które miałem w rękach, tym więcej czułem potrzebę bliższego poznania i ludu, dla którego miałem stanowić prawa, i kraju, i stosunków, do których trzeba było dostosować to prawodawstwo. Napisałem do Buttafoco: rozumiał to sam. Jeżeli nie powziąłem jeszcze stanowczej decyzji udania się na Korsykę, zajmowałem się wiele sposobami odbycia tej podróży. Wspomniałem o tym panu Dastier, który mógł znać tę wyspę, ile że sługiwał na niej niegdyś pod panem de Maillebois. Nie oszczędził niczego, aby mnie odwieść od tego zamiaru; wyznaję, iż straszliwy obraz, w jakim odmalował mi Korsykan i ich kraj, ostudził mocno pragnienie osiedlenia się między nimi.

Ale kiedy prześladowania w Motiers kazały mi myśleć o opuszczeniu Szwajcarii, pragnienie to ożywiło się pod wpływem nadziei, iż znajdę wreszcie może u tych wyspiarzy spokój, którego nie chciano mi nigdzie użyczyć. Jedna rzecz tylko niepokoiła mnie: mianowicie wrodzona niezdolność i odraza do czynnego życia, na które miałem być skazany. Stworzony do swobodnego dumania w samotności, nie byłem zdatny do mówienia, działania, utrzymywania stosunków z ludźmi. Natura, która dała mi pierwszy z owych talentów, odmówiła mi drugiego. Czułem, iż nie biorąc nawet wprost udziału w sprawach publicznych, będę zmuszony, skoro raz znajdę się na Korsyce, wydać się na pastwę ciekawości ludu oraz znosić się[911] często z jego naczelnikami. Sam cel podróży wymagał, abym miast szukać spokojnej ustroni, szukał we współżyciu z ludem światła, któregom potrzebował. Jasne było, że nie będę już mógł rozrządzać sobą samym; że wciągnięty mimo chęci w wir, do którego nie byłem stworzony, będę prowadził życie wręcz przeciwne swoim upodobaniom i ujawnię w nim wyłącznie swoje najmniej korzystne strony. Przewidywałem, iż licho swoją obecnością podtrzymując pojęcie, które mogły dać o mnie moje utwory, zdyskredytuję się u Korsykan, i stracę, zarówno z ich, jak z własną szkodą, zaufanie, którym mnie obdarzyli, a bez którego nie mogłem skutecznie dokonać dzieła, którego się po mnie spodziewają. Byłem pewien, iż wychodząc w ten sposób z mojej sfery, stanę się dla nich bezpożyteczny, a sam dla siebie nieszczęśliwy.

Dręczony, miotany burzami wszelkiego rodzaju, znużony podróżami i prześladowaniem od szeregu lat, czułem żywą potrzebę spoczynku, którego pozbawiać mnie było igraszką dla mych barbarzyńskich prześladowców. Wzdychałem, bardziej niż kiedy, do tej lubej bezczynności, do słodkiego spokoju ducha i ciała, którego tak pożądałem i w którym, oprzytomniawszy z urojeń miłości i przyjaźni, serce moje mieściło najwyższe szczęście. Z przerażeniem patrzałem na prace, które miałem podjąć, na burzliwe życie, które mnie czekało. Jeżeli wielkość, piękność, pożytek celu ożywiały mą odwagę, niepodobieństwo skutecznego poparcia go własną osobą odejmowało mi ją zupełnie. Dwadzieścia lat głębokiej medytacji mniej by mnie kosztowało niż pół roku czynnego życia wśród ludzi i spraw z tą pewnością, że źle wywiążę się z zadania.

Przyszedł mi do głowy sposób, który zdawał się godzić wszystko. Ścigany w każdym schronieniu podziemnymi intrygami wrogów, widząc już tylko jedną Korsykę, gdzie mógłbym się spodziewać dla mych starych lat spoczynku, którego nie chciano mi zostawić nigdzie, postanowiłem udać się tam, zgodnie z wskazówkami Buttafoco, skoro tylko będzie możliwe. Jednak, aby tam żyć spokojnie, umyśliłem wyrzec się, przynajmniej na pozór, zadania prawodawcy i ograniczyć się (aby spłacić do pewnego stopnia gospodarzom

[911] *znosić się z kimś* (daw.) — spotykać się z kimś, porozumiewać się, współpracować. [przypis edytorski]

ich gościnność) do spisania na miejscu historii tego kraju. W ten sposób zabezpieczałem sobie, bez rozgłosu, możność zebrania potrzebnych wiadomości, które pozwoliłyby mi może stać się im później bardziej użytecznym, o ile bym uznał, że są widoki w tej mierze. Nie zobowiązując się na początek do niczego, spodziewałem się, iż będę mógł obmyślić w tajemnicy i swobodnie plan, który mógłby się im nadać, i to nie wyrzekając się zbytnio mej drogiej swobody ani nie poddając się rodzajowi życia, który mi był nieznośny i do którego nie miałem talentu.

Ale podróż ta w moim położeniu nie była rzeczą łatwą. Sądząc z tego, co pan Dastier mówił o Korsyce, mogłem tam liczyć, w zakresie najprostszych wygód, jedynie na to, co wziąłbym z sobą. Bieliznę, ubranie, sprzęty, naczynie kuchenne, papier, książki, wszystko trzeba było przywieźć. Aby się tam przenieść z moją „gospodynią" trzeba było przebyć Alpy i w tej dwustomilowej przeprawie wlec za sobą cały bagaż. Trzeba było przejechać stany rozmaitych władców; wedle tonu zaś poddanego przez całą Europę, mogłem po swoich nieszczęściach spodziewać się, iż wszędzie znajdę przeszkody i że każdy zrobi sobie uciechę z tego, aby mnie chłostać nową przykrością i gwałcić wobec mnie wszelkie prawa narodów i ludzkości. Olbrzymie koszta, zmęczenie, niebezpieczeństwa podobnej podróży zmuszały mnie dobrze przewidzieć i zważyć jej trudności. Myśl wreszcie, iż mogę się znaleźć sam, bez środków, w moim wieku, z dala od wszystkich znajomych, na łasce tego ludu barbarzyńskiego i okrutnego, jak mi go odmalował pan Dastier, kazała się dobrze zastanowić nad podobną decyzją, nim ją wprowadzę w życie. Pragnąłem gorąco spotkania, którego Buttafoco nadzieję mi uczynił i czekałem z decyzją na wynik rozmowy.

Podczas gdy tak się wahałem, przyszły prześladowania w Motiers, które zmusiły mnie do opuszczenia tej miejscowości. Nie byłem przygotowany do długiej podróży, zwłaszcza na Korsykę. Czekałem nowin od Buttafoco; schroniłem się na Wyspę Św. Piotra, skąd wypędzono mnie z początkiem zimy, jak rzekłem poprzednio. Alpy pokryte śniegiem uniemożliwiały w danej chwili tę wędrówkę, zwłaszcza wobec pośpiechu, jaki mi nakazano. Prawda, iż sama niedorzeczność podobnego rozkazu czyniła go niepodobnym do spełnienia. Z wnętrza tej samotni okolonej wodą, mając od chwili doręczenia rozkazu jedynie dobę na przygotowanie do wyjazdu, znalezienie statku i wehikułów celem opuszczenia wyspy i całego terytorium, gdybym nawet miał skrzydła, z trudnością mógłbym usłuchać. Napisałem do starosty w odpowiedzi na jego list i spieszyłem wydostać się z tego kraju ciemięzców. Oto w jaki sposób trzeba mi było zaniechać mego ulubionego projektu i jak, nie mogąc w mej rozpaczy uzyskać, aby rozrządzono mym losem, zgodziłem się na zaproszenie milorda marszałka na podróż do Berlina, zostawiając Teresę na zimę na Wyspie Św. Piotra, wraz z rzeczami i książkami, a składając papiery w ręce pana du Peyrou. Rozwinąłem taki pośpiech, że już następnego dnia rano opuściłem wyspę i przybyłem do Bienne jeszcze przed południem. Niewiele brakło, abym tam nie zakończył mej podróży, wskutek wypadku, którego nie godzi się zamilczeć.

Skoro rozeszła się wieść, że otrzymałem rozkaz opuszczenia swego schroniska, stałem się przedmiotem mnóstwa odwiedzin z sąsiedztwa, zwłaszcza Berneńczyków, którzy ze wstrętną obłudą przychodzili czulić się nade mną, pocieszać i zaklinać się, że wyzyskano chwilę wakacji i niepełnego składu senatu, aby ukuć i przesłać mi ten rozkaz, którym, mówili, wszyscy Dwustu są oburzeni. Między tą ciżbą pocieszaczy znalazło się kilku z miasta Bienne, małego wolnego staniku, zamkniętego w stanach berneńskich; między innymi młody człowiek nazwiskiem Wildremet, którego rodzina zajmowała tam naczelne miejsce i miała znaczny wpływ w tym miasteczku. Wildremet zaklął mnie żywo w imieniu obywateli, abym obrał miejsce schronienia wśród nich, upewniając, iż pragną gorąco mnie przygarnąć; że będą sobie uważali za chlubę i obowiązek dać mi zapomnieć o prześladowaniach, które wycierpiałem; że nie mam przyczyny obawiać się wśród nich wpływu Berneńczyków; że Bienne jest wolnym miastem, które nie pozwala się wtrącać do swoich spraw nikomu, i że wszyscy obywatele mają stanowczy zamiar nie słuchać żadnych głosów, które by były dla mnie nieprzyjazne.

Wildremet, widząc, iż nie zachwiał mego postanowienia, wezwał do pomocy kilka innych osób, tak z Bienne i jego okolicy, jak z samego Berna, między innymi tegoż samego Kirchbergera, o którym mówiłem, iż szukał mego towarzystwa od czasu mego schronienia się w Szwajcarii i że talenty jego i zasady zwróciły nań moją uwagę. Bardziej

nieprzewidzianym i ważkim dla mnie było naleganie pana Barthès, sekretarza ambasady francuskiej, który odwiedziwszy mnie wraz z Wildremetem, zachęcał mocno, abym przyjął zaproszenie i zdziwił mnie serdeczną życzliwością, jaką zdawał się przejęty. Nie znałem zupełnie pana Barthès; ale widziałem, iż mówi przezeń szczera i gorliwa przyjaźń, widziałem, że leży mu prawdziwie na sercu, aby mnie namówić do osiedlenia się w Bienne. Rozpływał się w niebotycznych pochwałach nad tym miastem i jego mieszkańcami, z którymi zdawał się związany tak ściśle, iż po kilkakroć dawał im miano swoich ojców i opiekunów.

Ten krok pana Barthès zachwiał wszystkie moje przypuszczenia. Zawsze podejrzewałem, iż pan de Choiseul jest ukrytym sprawcą prześladowań, które cierpiałem w Szwajcarii. Zachowanie rezydenta francuskiego w Genewie, ambasadora w Solurze aż nadto potwierdzało te podejrzenia. Widziałem, iż Francja wpływa tajemnie na wszystko, co mi się zdarzyło w Bernie, w Genewie, w Neuchâtel, nie sądziłem zaś, bym miał we Francji innego potężnego nieprzyjaciela, prócz księcia de Choiseul. Cóż mogłem tedy myśleć o odwiedzinach Barthesa i o jego tkliwym, zdawałoby się, zainteresowaniu moim losem? Nieszczęścia nie zniweczyły jeszcze ufności wrodzonej memu sercu, a doświadczenie nie nauczyło mnie widzieć zasadzek pod wylewami przyjaźni. Szukałem ze zdumieniem przyczyn życzliwości Barthèsa; nie byłem dość głupi, aby myśleć, iż uczynił ten krok z własnej pobudki. Powziął go tak jawnie, a nawet z taką afektacją[912], iż wszystko to zdradzało ukrytą intencję; nie spotykałem zaś u tego rodzaju podrzędnych agentów owej szlachetnej odwagi, jaka, na podobnym stanowisku, często wzbierała w mym sercu.

Widywałem niegdyś u księstwa de Luxembourg kawalera de Beauteville[913]; okazywał mi życzliwość. Od czasu swej ambasady dawał mi jeszcze niekiedy jakieś znaki pamięci, nawet zapraszał, bym go odwiedził w Solurze: zaproszenie, które mimo że nie korzystałem zeń, pochlebiało mi bardzo, ponieważ nie przywykłem do takich uprzejmości ze strony panów dygnitarzy. Sądziłem tedy, iż pan de Beauteville, zmuszony trzymać się instrukcji w tym, co tyczyło spraw Genewy, litując się wszelako moich nieszczęść, uzyskał dla mnie przez osobiste wpływy to schronienie w Bienne, abym mógł tam żyć spokojnie pod jego pieczą. Wzruszyła mnie ta życzliwość, nie chciałem jednak z niej korzystać. Zdecydowany stanowczo na podróż do Berlina, czekałem niecierpliwie chwili, gdy znajdę się w pobliżu milorda marszałka, przekonany, że już tylko przy nim czeka mnie prawdziwy spokój i trwałe szczęście.

Kiedym opuszczał wyspę, Kirchberger towarzyszył mi aż do Bienne. Zastałem tam Wildremeta i kilku innych Bieńczyków, oczekujących mnie na wybrzeżu. Zjedliśmy wspólnie obiad w gospodzie; pierwszym mym staraniem było poszukać kolasy, aby nazajutrz ruszyć w drogę. Podczas obiadu panowie ci na nowo wszczęli nalegania, aby mnie zatrzymać u siebie; i to z takim zapałem i tak wzruszającymi zaklęciami, iż mimo wszystkich postanowień serce moje, które nigdy nie umiało się oprzeć dowodom gorącej sympatii, dało się wzruszyć. Skoro tylko ujrzeli, że się chwieję, podwoili wysiłki tak skutecznie, iż wreszcie dałem się zwyciężyć i zgodziłem się zostać w Bienne, przynajmniej do przyszłej wiosny.

Natychmiast Wildremet zakrzątnął się, aby mi znaleźć mieszkanie. Wrócił z poszukiwań, chwaląc się, iż znalazł prawdziwy skarb. Skarbem tym był mały szpetny pokoik od tyłu, na trzecim piętrze, wychodzący na podwórze, gdzie za całą rozkosz miałem wyziewy cuchnących zlewów garbarni. Gospodarz mój był to mały człeczyna o nieszczególnej minie i wątpliwej uczciwości. Dowiedziałem się nazajutrz, iż jest to hulaka, gracz i w ogóle człowiek zażywający bardzo złej sławy w dzielnicy. Nie miał żony, dzieci ani służby; tak iż, żałośnie uwięziony w samotnym pokoju, znalazłem się, w najbardziej uroczym kraju pod słońcem, pomieszczony w sposób zdolny w ciągu kilku dni przyprawić o śmierć z melancholii. Co mnie najbardziej dotknęło, to iż mimo wszystkiego, co mi mówiono o zapale mieszkańców dla mej osoby, nie spostrzegłem, przechadzając się po ulicach, najmniejszej uprzejmości w obejściu ani też życzliwości w spojrzeniach. Miałem wszelako zupełnie stanowczy zamiar zostać tam; tymczasem zaraz następnego dnia dowiedziałem się, ujrzałem i uczułem, iż panuje w mieście straszliwe wrzenie przeciw mnie. Wiele god-

[912] *afektacja* — przesada w okazywaniu uczuć, egzaltacja. [przypis edytorski]

[913] *Beauteville*, *Pierre de Buisson de* (1703–ok. 1792) — francuski ambasador w Szwajcarii (1762–1775). [przypis edytorski]

nych osób przyszło uprzedzić mnie życzliwie, iż nazajutrz miano mi doręczyć, w możliwie najostrzejszej formie, rozkaz opuszczenia natychmiast stanu, to znaczy miasta. Nie miałem kogo się poradzić; wszyscy, którzy mnie zatrzymywali, pochowali się. Wildremet znikł; nie słyszałem już nic o panu Barthès i nie wydaje się, aby jego zalecenie posłużyło mi bardzo w oczach tych „ojców" i „opiekunów", którymi popisywał się przede mną. Niejaki pan de Vau-Travers, Berneńczyk, który miał ładny domek pod miastem, ofiarował mi wszelako schronienie, mając nadzieję — jak mówił — iż będę mógł w nim uniknąć ukamienowania. Przywilej ten nie wydał mi się dość pociągający, aby mógł starczyć za pokusę przedłużenia pobytu wśród tego gościnnego ludu.

Straciwszy trzy dni na tym opóźnieniu, przekroczyłem już znacznie owe dwadzieścia cztery godziny udzielone mi przez Berneńczyków na opuszczenie ich ziemi. Znając bezwzględność tych panów, nie byłem wolny od obaw co do dalszej podróży, kiedy starosta z Nidau pospieszył w samą porę wydobyć mnie z kłopotu. Ponieważ głośno potępił bezwzględne postąpienie ich ekscelencji, sądził w szlachetności swojej, iż winien mi jest publiczne świadectwo, że nie ma w nim żadnego udziału. Nie zawahał się opuścić swego starostwa, aby mnie odwiedzić w Bienne. Przybył w wilię mego wyjazdu; daleki od szukania *incognito*, rozwinął nawet niejaki ceremoniał, przybył *in fiocchi*[914] w swojej karocy, wraz z sekretarzem, i przywiózł mi paszport ze swoim podpisem, upoważniający do swobodnego przebycia stanów berneńskich bez obawy szykan. Odwiedziny wzruszyły mnie bardziej od paszportu. Nie mniej byłbym nimi wzruszony, gdyby miały za przedmiot kogo innego niż mnie. Nie znam nic, co by potężniej działało na me serce niż akt odwagi okazanej w sposobną chwilę na rzecz słabego, niesprawiedliwie uciśnionego.

Wreszcie, wystarawszy się z trudem o kolaskę, wyjechałem nazajutrz z tej morderczej ziemi, przed przybyciem deputacji, którą mnie zamierzano uczcić. Nie zdążyłem nawet doczekać się Teresy, którą wezwałem do siebie w przekonaniu, iż zatrzymam się w Bienne, i którą ledwie zdołałem odmówić pospiesznym listem, donosząc o nowej klęsce. Czytelnik ujrzy w trzeciej części, jeśli kiedykolwiek będę miał siłę ją spisać, w jaki sposób, mniemając, iż jadę do Berlina, pojechałem w istocie do Anglii i w jaki sposób dwie damy, które chciały rozrządzić mą osobą, wygnawszy mnie za pomocą swych intryg ze Szwajcarii, gdzie nie dość byłem w ich mocy, zdołały mnie wreszcie wydać swemu przyjacielowi.

*

Odczytawszy to pismo hrabiemu d'Egmont oraz jego małżonce, księciu Pignatelli, margrabinie de Mesme i margrabiemu de Juigné, dodałem te słowa:

„Powiedziałem prawdę: jeżeli ktokolwiek wie rzeczy sprzeczne z tym, co tu przedstawiłem, choćby po tysiąc razy dowiedzione, wie kłamstwa i szalbierstwa; jeżeli odmawia zgłębienia ich i rozjaśnienia ze mną, póki jestem przy życiu, nie kocha ani sprawiedliwości, ani prawdy. Co do mnie, oświadczam głośno i bez obawy: ktokolwiek, nawet nie przeczytawszy moich pism, zbada własnymi oczami mój charakter, obyczaje, skłonności, upodobania, przyzwyczajenia i będzie mnie mógł uważać za nieuczciwego człowieka, sam jest człowiekiem zasługującym, aby go zadławić".

Na tym dokończyłem czytania; wszyscy trwali w milczeniu. Jedna pani d'Egmont zdawała się wzruszona; zadrżała widocznie, ale opamiętała się szybko i zachowała milczenie, równie jak całe towarzystwo. Oto był owoc, który zyskałem z tej lektury i z mego oświadczenia.

[914] *in fiocchi* (wł.) — tu: oficjalnie, z całym splendorem; dosł.: we frędzlach, od kapeluszy kardynalskich ozdobionych umieszczonymi po bokach sznurami z frędzlami, noszonych dawniej podczas szczególnie ważnych uroczystości. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rousseau-wyznania/

Tekst opracowany na podstawie: Jean-Jacques Rousseau, Wyznania t. 1-3, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boya, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Kopeć, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5322-5

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.